colloquia
orientalia
bialostocensia

LITERATURA/HISTORIA

XV

Kościół Ewangelicko-Metodystyczny

Parafia Miłości Bożej
w Ełku

WYDAWNICTWO PRYMAT

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY
UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU
NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA

colloquia orientalia bialostocensia

LITERATURA/HISTORIA

XV

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH
„WSCHÓD – ZACHÓD”
PARAFIA MIŁOŚCI BOŻEJ W EŁKU
KOŚCIOŁA EWANGELICKO-METODYSTYCZNEGO
STOWARZYSZENIE NAUKOWE „OIKOUMENE”

KOMITET REDAKCYJNY SERII:

Marcin Bajko, Mariya Bracka, Lilia Citko, Agnieszka Czajkowska, Krzysztof Czajkowski, Grzegorz Czerwiński [Sekretarz Redakcji], Joanna Dziedzic, Anna Janicka, Monika Jurkowska, Tadeusz Kasabuła, Andrzej P. Kluczyński, Kamil Kopania, Krzysztof Korotkich, Grzegorz Kowalski, Paweł Kuciński, Dariusz Kukiełko, Lucy Lisowska, Jarosław Ławski [Przewodniczący], Barbara Olech, Iwona E. Rusek, Michał Siedlecki, Łukasz Zabielski

Recenzent: **Prof. zw. dr hab. Zbigniew Chojnowski (UWM, Olsztyn)**

Redakcja, opracowanie tekstu, wstęp: Jarosław Ławski
Przedsłowie: ks. Dariusz Zuber
Opracowanie komputerowe tekstu: Dariusz Kukiełko
Korekta: Łukasz Zabielski
Indeks nazwisk i miejscowości: Michał Siedlecki
Skład: Ewa Frymus-Dąbrowska (Wydawnictwo Prymat)
Opracowanie graficzne: Wydawnictwo Prymat
Streszczenie: dr Jacek Partyka, dr Rafał Żytyniec
Okładka: Ewa Frymus-Dąbrowska (Wydawnictwo Prymat)

Copyright by Andreas Mallek, Białystok – Ełk 2016
Copyright by Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód" Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok – Ełk 2016
Copyright by Parafia Miłości Bożej w Ełku Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, Białystok – Ełk 2016

Wszystkie wykorzystane we *Wspomnieniach* i na okładce fotografie pochodzą ze zbiorów Edwarda Małłka i zostały włączone do edycji za zgodą Rodziny pastora E. Małłka. Pocztówki wykorzystane w tomie pochodzą z kolekcji pana Tomasza Kopoczyńskiego znajdującej się w zbiorach Muzeum Historycznego w Ełku.

ISBN: 978-83-86064-23-6

Druk i oprawa:
Wydawnictwo Prymat
Mariusz Śliwowski
ul. Kolejowa 19; 15-701 Białystok
tel. 602 766 304, e-mail: prymat@biasoft.net
www.prymat.biasoft.net

Edward Małłek

GDZIE JEST MOJA OJCZYZNA?

wspomnienia

Opracowanie tekstu, wstęp, redakcja tomu
JAROSŁAW ŁAWSKI

Przedsłowie
KS. DARIUSZ ZUBER

Białystok – Ełk 2016

NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA
COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA

Wschód, pogranicza, Kresy, obrzeża i krańce, peryferie i prowincja to miejsca o szczególnej mocy kulturotwórczej. Równocześnie jest to przestrzeń oddziaływania odmiennych centrów cywilizacyjnych, religijnych, językowych, symbolicznych i literackich. Białystok i Podlasie, dawne ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego i całej jagiellońskiej Rzeczypospolitej to miejsce i dynamiczna przestrzeń pograniczna w głębokim znaczeniu: stykają się tutaj przecinające Europę na pół płyty kontynentalne cywilizacji łacińskiego Zachodu i bizantyjskiego Wschodu. Ścierają się tu, ale nie niszcząc wzajemnie, Orient ze światem Zachodu, Bałtowie ze Słowianami, prawosławni z katolikami, Białorusini z polakami, Ukraińcy i Rosjanie. To źródło niemal wygasłej, niegdyś żywej tradycji żydowskiej, wyniszczonej przez Szoah, powoli odbudowującej się w nowym otoczeniu kulturowym i etnicznym. Tu znajdują się wielkie centra religijne i kulturalne wschodniego i zachodniego chrystianizmu: Ostra Brama, Żyrowice, Święta Góra Grabarka, Poczajów, Troki, Ławra Supraska, Grodno, Żytomierz, Bar, nade wszystko Ławra Kijowsko-Peczerska; tu leżą ośrodki polskiego islamu: Kruszyniany i Bohoniki, centra religijne Karaimów, źródła chasydyzmu.

Białostockie Kolokwia Wschodnie to idea służąca międzykulturowej i międzyreligijnej wymianie myśli, utrwalaniu źródeł pamięci i tożsamości kulturowo-historycznej, badaniu świadectw literackich, artystycznych, przedstawiających przenikanie się wiar, kultur i tożsamości.

„Colloquia Orientalia Bialostocensia" to naukowa seria wydawnicza, której zadaniem jest publikowanie materiałów źródłowych i prac naukowych dotyczących szeroko rozumianego dziedzictwa europejskiego Wschodu. Jego części stanowią…

- Kultura, literatura, historia Europy Środkowej i Wschodniej.
- Cywilizacyjne i kulturowe pogranicza Europy i innych kontynentów, Orientu, południa, Śródziemnomorza.
- Pierwsza Rzeczpospolita oraz kultury krajów słowiańskich, bałtyckich, germańskich, romańskich.
- Wielkie Księstwo Litewskie, Podlasie i Polesie, Infanty, Kresy, pogranicze wschodnie, Prusy Wschodnie.
- Kultury mniejszości: Białorusinów, Żydów, Karaimów, Ukraińców, Rosjan, Niemców, Romów, Tatarów, staroobrzędowców, prawosławnych, protestantów.
- Tradycje, obrzędy, symbole i mity narodów Wschodu, języki ludów zamieszkujących tę kulturową przestrzeń.

STUDIA MAZURSKIE I

Redakcja serii: Jarosław Ławski

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH „WSCHÓD – ZACHÓD"
WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU

Białystok – Ełk 2016

RADA NAUKOWA SERII WYDAWNICZEJ:
COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA

Andrzej Baranow (Wilno, Litwa)
Adam Bezwiński (UKW, Bydgoszcz)
Olena Bondareva (Kijów, Ukraina)
Grażyna Borkowska (IBL PAN, Warszawa)
Tadeusz Bujnicki (UW, Warszawa) – Przewodniczący
Andrea de Carlo (Neapol, Włochy)
Urszula Cierniak (AJD, Częstochowa)
Mieczysław Jackiewicz (UWM, Olsztyn)
Wołodymyr Jerszow (Żytomierz, Ukraina)
Dmitry Karnaukhov (Nowosybirsk, Rosja)
Zbigniew Kaźmierczyk (UG, Gdańsk)
Anna Kieżuń (UwB, Białystok)
Halina Krukowska (UwB, Białystok)
Ryszard Löw (Tel-Aviv, Izrael)
Jan Leończuk (Książnica Podlaska, Białystok)
Natalia Maliutina (Odessa, Ukraina)
Elżbieta Mikiciuk (UG, Gdańsk)
Małgorzata Mikołajczak (UZ, Zielona Góra)
Swietłana Musijenko (Grodno, Białoruś)
Aleksander Naumow (UJ, Kraków)
Viviana Nosilia (Padwa, Włochy)
Jerzy Nikitorowicz (UwB, Białystok)
Eulalia Papla (UJ, Kraków)
Danuta Piwowarska (UJ, Kraków)
Jarosław Poliszczuk (Kijów, Ukraina)
Rościsław Radyszewski (Kijów, Ukraina)
German Ritz (Universität Zűrich)
Krzysztof Rutkowski (UW, Warszawa)
Tadeusz Sucharski (AP, Słupsk)
Wanda Supa (UwB, Białystok)
Halina Turkiewicz (Wilno, Litwa)
Alois Woldan (Universität Wien)
Jolanta Wróbel-Best (Houston, USA)
Ihar Wasiliewicz Żuk (Grodno, Białoruś)

Ks. Edward Małłek: nabożeństwo domowe z sakramentem Chrztu Św.,
Ełk, lata 50. XX wieku

SPIS TREŚCI

Jarosław Ławski
Tęsknota za Ojczyzną. Mazurska odyseja Edwarda Małłka 15

Ks. Dariusz Zuber
Pastor Edward Małłek i metodyści 43

Zasady wydania 49

Edward Małłek

GDZIE JEST MOJA OJCZYZNA? WSPOMNIENIA

Od Autora 61

Wstęp 63

1. Gdzie jest moja Ojczyzna? 65
2. Hermann von Salza 76
3. Herzog Albrecht von Preussen 78
4. Moja kołyska 80
5. Zasady wiary ewangelickiej 91
6. Gromadkarstwo 97
7. Idę do szkoły 102
8. I wojna światowa 103
9. Znów do szkoły 105
10. Obowiązki domowe 107
11. My, Polacy czy Niemcy? 112
12. Wersalski Traktat Pokojowy 117
13. Polska „przyszła” do Brodowa 120
14. Plebiscyt w Prusach Wschodnich 127
15. Działdowszczyzna w Polsce 144
16. Do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie 147
17. Walka religijna na Działdowszczyźnie 149
18. Śmierć mego najstarszego brata 151
19. Boże Ciało w Działdowie 152
20. Mój najszczęśliwszy dzień w życiu 155
21. Dalsza moja edukacja 159
22. Na stancji 161
23. My, harcerze 162

24. Incydent z Piusem XI ... 163
25. Nauka w Państwowym Seminarium Nauczycielskim ... 164
26. Moja polska świadomość narodowa ... 166
27. Moja matura ... 168
28. Podanie o posadę nauczycielską ... 173
29. Moja pierwsza posada nauczycielska ... 174
30. Pierwsze wakacje nauczycielskie ... 188
31. Druga moja posada nauczycielska ... 189
32. Powołanie na Komisję Poborową ... 196
33. W wojsku ... 197
34. W 64-tym Pułku Piechoty w Grudziądzu ... 203
35. Trzecia posada nauczycielska ... 205
36. Jestem oficerem Wojska Polskiego ... 219
37. Zwolnienie z nauczycielstwa ... 220
38. Moja czwarta posada nauczycielska ... 223
39. Bez pracy ... 226
40. Jestem nauczycielem religii ... 230
41. Uroczystość Trzeciego Maja w Brodowie ... 230
42. Oficerskie ćwiczenia rezerwy ... 231
43. Kurs Straży Pożarnych ... 232
44. Jestem Powiatowym Instruktorem Straży Pożarnych ... 233
45. Kurs Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej ... 234
46. Jestem Powiatowym Instruktorem LOPP-u ... 236
47. Oficerskie ćwiczenia wojskowe ... 237
48. Wycieczka do Prus Wschodnich ... 238
49. Ślub ... 240
50. Akcja Katolicka w akcji ... 244
51. Zwolniony z LOPP-u ... 247
52. Otwieramy sklep ... 247
53. Żona rodzi pierwsze dziecko ... 248
54. Próby rozbicia naszego małżeństwa ... 250
55. Nowe możliwości handlu ... 251
56. Otwieramy nowy sklep ... 251
57. Śmierć Ojca ... 254
58. Likwidacja naszego sklepu ... 259
59. Związek Mazurów w Działdowie ... 260
60. Bursa Mazurska w Działdowie ... 263
61. Ćwiczenia wojskowe w Radymnie ... 272
62. Znów jestem nauczycielem ... 273
63. Ćwiczenia wojskowe w Bochni ... 276
64. Sytuacja w Działdowie ... 277
65. Mobilizacja – wojna ... 280
66. Po kapitulacji ... 292
67. Jesteśmy wolni ... 293
68. Nieopatrzny krok prezesa Związku Mazurów ... 300

69. Wracamy do domu, do Brodowa ... 301
70. Znów do niewoli ... 304
71. Lagier w Olsztynku ... 306
72. Oflag VII C w Nürnberg ... 307
73. Oflag VII C w Laufen koło Salzburga ... 311
74. Zwolnienie z niewoli ... 311
75. Robert, mój brat, rozstrzelany ... 314
76. Obóz koncentracyjny w Działdowie ... 317
77. Sytuacja w Brodowie ... 318
78. *Kristallnächte* w Brodowie ... 319
79. Segregacja ludności na grupy ... 320
80. Nasza tułaczka ... 322
81. O, to Pan żyje?! ... 324
82. Życie w Czarnowie – dwie wiary pod jednym dachem ... 325
83. Pełki na Kaszubach ... 326
84. W Bydgoszczy ... 328
85. Włocławek ... 329
86. Sklep tytoniowy we Włocławku ... 331
87. Spotkanie z osobistym wrogiem ... 333
88. Pogrom Żydów we Włocławku ... 334
89. „Musterung" – Komisja Poborowa ... 337
90. Moje podróże ... 337
91. Powołanie na ćwiczenia wojskowe ... 339
92. Zerwanie spółki ... 340
93. Wpadka ... 340
94. Ucieczka z Włocławka ... 341
95. W Płońsku ... 343
96. Wyprawa do Warszawy ... 345
97. Wojna niemiecko-rosyjska ... 348
98. Druga wyprawa do Warszawy ... 349
99. Wieprzek w koszu ... 351
100. Wsypa ... 352
101. Ucieczka do Guberni Generalnej ... 354
102. Radość koło Warszawy ... 357
103. Los działaczy mazurskich ... 360
104. Paulinów koło Nałęczowa ... 361
105. Dowody osobiste ... 366
106. Ostatnie miesiące w Paulinowie ... 368
107. Ponownie w Radości koło Warszawy ... 370
108. Nasza sytuacja bytowa ... 372
109. Stosunki polityczne w Polsce ... 376
110. Konferencja w Teheranie ... 377
111. Program Związku Mazurów ... 378
112. Radość – „Mekka" ... 383
113. Program ONR-u ... 384

114. Wyzwolenie ... 388
115. Konferencja w Jałcie (4 – 11.02.1945) ... 394
116. Związek Mazurów po wyzwoleniu ... 394
117. Kontakt z rządem Polski ... 395
118. NKWD na wyzwolonych terenach ... 396
119. Warszawskie Starostwo Powiatowe ... 397
120. Działacze mazurscy wznawiają kontakty ... 398
121. Prezes Związku Mazurów w Lublinie ... 399
122. Druga podróż do Lublina ... 401
123. Totalna ofensywa Armii Sowieckiej ... 404
124. Wracamy do domu na Mazury ... 405
125. Sytuacja w Brodowie (według opowiadania głównie mojej siostry, Jadwigi) ... 405
126. Polscy „Krzyżacy" w akcji ... 407
127. Co robi reszta działaczy mazurskich? ... 417
128. Sprawy religijno-kościelne ... 418
129. Ruszamy do Olsztyna ... 421
130. Jestem starostą powiatowym w Niborku ... 424
131. Rezygnacja ze starostwa ... 434
132. W Olsztynie ... 435
133. Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie ... 436
134. Metodyści na Mazurach ... 439
135. Augsburczycy na Mazurach ... 440
136. Ewangelicy na Mazurach pod opieką dwóch kościołów protestanckich ... 443
137. Prezydent Bierut pod Grunwaldem ... 447
138. Konferencja Poczdamska ... 453
139. Jestem aresztowany przez UB ... 455
140. Dwie wiary pod jednym dachem ... 462
141. Jestem studentem teologii ... 465
142. Weryfikacja wojskowa w Warszawie ... 469
143. Delegacja do Ełku ... 470
144. Jestem pastorem w Ełku ... 472
145. Kaplica w Ełku ... 475
146. Pierwsze nabożeństwo w Ełku ... 478
147. Organizacja pracy kościelnej ... 482
148. Stosunek Polaków do Mazurów ... 487
149. Proces z Polskim Czerwonym Krzyżem ... 488
150. „Kristall-Sonntage" w Ełku ... 491
151. Nasze dzieci w szkole w Ełku ... 493
152. Dom Starców w Piętkach, powiat Ełk ... 495
153. Pożar Domu Starców ... 496
154. Bandycki napad na Dom Starców ... 499
155. Bursa Mazurska dla młodzieży ... 500
156. Konfirmacje ... 507
157. Chór kościelny ... 516
158. Napad bandycki na pastora ... 517

159. Kamienowanie w Kalinowie ... 521
160. Delegacja Mazurów u Władysława Gomułki ... 523
161. „Zamach stanu” w Kościele Metodystycznym ... 525
162. Współpraca kościołów z Rządem ... 527
163. Założenie Zboru Kościoła Metodystycznego w Mrągowie ... 528
164. Akcja ks. Zygmunta Michelisa ... 532
165. „Odwilż” polityczna w Polsce ... 538
166. „Pucz” – spisek w Kościele Metodystycznym ... 540
167. Staranie o wyjazd za granicę ... 545
168. Zwolnienie z pastorstwa ... 548
169. Drzwi zamknięte w Kościele Metodystycznym w Warszawie ... 555
170. Staram się opuścić Ełk ... 558
171. Ultimatum ... 561
172. Praca w Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” ... 562
173. Stosunek władz państwowych do mnie ... 568
174. Wyjazd żony do Ameryki ... 582
175. Mój wyjazd z Polski ... 584
176. Zestawienie doznanej dyskryminacji w Polsce ... 589
177. Czy zasługiwałem na dyskryminację? ... 591
178. Czy Związek Mazurów spełnił swoją misję? ... 592
179. Próba reaktywowania Związku Mazurów ... 605
180. Stosunek Związku Mazurów do katolicyzmu ... 616
181. Martwy Mazur – dobry Polak ... 618
182. Kim jestem? ... 634
183. Tęsknota ... 637

Epilog I ... 645
[Epilog II] ... 665
[Epilog III] ... 667

Aneks ... 669

Bibliografia ... 695

Noty o Autorach ... 699

Summary ... 701

Zusammenfassung ... 703

Indeks miejscowości ... 705

Indeks nazwisk ... 711

Zniszczenia wojenne w Działdowie (Soldau) po I wojnie światowej, Prusy Wschodnie

Jarosław Ławski
(Ełk – Białystok)

TĘSKNOTA ZA OJCZYZNĄ. MAZURSKA ODYSEJA EDWARDA MAŁŁKA

I słońce oświeca nasz zbożny trud:
Ojczyzna to nasza, te wody i las,
Niech żyją Mazury, ten kraj pełen kras.

Hymn mazurski[1]

„Dziecko z mazurskiej rodziny Prus Wschodnich"

Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia Edwarda Małłka to jedna z najniezwyklejszych książek, jakie przyszło mi czytać. Fascynujące świadectwo, kontrowersyjna polemika, obrazoburcze ujęcie losu Mazura, którego świadomość została uwięziona między polskością a niemieckością, mazurskością a nowoczesnym poczuciem narodowości, ruchem gromadkarskim a protestantyzmem, między dolą emigranta i misją wiernego swej ojczyźnie ziomka. *Wspomnienia* Małłka nikogo nie pozostawiają obojętnym – trudno je zarazem zrozumieć poza ich właściwym mazurskim kontekstem: oto dziecko ze znanej mazurskiej rodziny, licznymi więzami połączonej z kulturą polską, opowiada o osobistej klęsce życiowej i o kresie tej niewielkiej wspólnoty Mazurów, która od XVI wieku żyła sobie w cichym zakątku Prus, zrazu pielęgnując swój język, język polski o niemal szesnastowiecznej proweniencji, potem ulegając coraz mocniej, ale nigdy do końca, żywiołowi niemczyzny[2].

Była to wspólnota obywateli państwa pruskiego, wiernych poddanych królów pruskich, a potem władz niemieckich. Wspólnota gorliwych, pobożnych protestantów, którzy jednak językowo i kulturalnie pozostawali w orbicie kultury polskiej.

I nagle wiek XIX rozpoczął proces niszczenia tej wspólnoty. Posiadającej, dodajmy koniecznie, swą literaturę, w tym poezję, czasopisma, rozległe piśmiennictwo religijne. Mazurzy czuli się lojalnymi obywatelami państwa, w którym mieszkali, choć pielęgnowali swój „polski-mazurski" język, tradycję, obyczaj. Współczesny Polak lub Niemiec nie bez trudu przyjmuje do wiadomości tożsamościowe rozdwojenie Mazurów: zawieszonych między odróżniającymi ich od Polaków protestantyzmem i lojalizmem a polszczyzną i jej literackim dziedzictwem, tak dalekim od kultury Niemców. To pęknięcie, rozdarcie widać do-

[1] *Hymn mazurski*, w: A. Kant, K. Małłek, *Mazurski Śpiewnik Regionalny*, Działdowo 2013, s. 53-56.

[2] Zob. o historii Mazurów: A. Sakson, *Mazurzy – społeczność pogranicza*, Poznań 1990; *Mazurzy – tradycja i codzienność*, opr. A. Kossert, przeł. E. Kaźmierczak, W. Leder, Olsztyn 2002.

brze też u wybitnego poety mazurskiego Michała Kajki (1858–1940)[3]. Z jednej strony, niemieckiej, jawili się Mazurzy jako religijno-kulturowa osobliwość, którą należy poddać przystosowaniu do wysokich wzorców kultury niemieckiej przez niemieckojęzyczną edukację, z drugiej, polskiej strony, wywoływali dość naiwny entuzjazm o romantycznym rysie jako jeszcze jedna wspólnota mówiąca po polsku, pomimo tego, że między 1795 a 1918 rokiem państwa polskiego nie było[4].

Z takiej wspólnoty wyrósł pastor Edward Małłek. Jego wspomnienia to żarliwe świadectwo epoki, która położyła kres światu Mazurów. Nim ich resztki wyjechały z PRL-u w latach 70. XX wieku do Niemiec, nim odeszli z tego świata ci z ostatnich Mazurów, którzy pozostali w Polsce (jakże nieliczni w mej rodzinnej wiosce Spychowie), trwał od blisko stu lat proces, którego finałem był podział Prus Wschodnich po II wojnie światowej. Właściwie już zwycięska dla „ducha niemieckiego" wojna 1871 roku – śladem tej wiktorii są liczne gmachy publiczne wznoszone w Prusach Wschodnich[5] – zapowiadała, że procesy wojenne w Europie nie ustaną, że czaić się będzie duch rewanżu. Skumulowaniem tych tendencji była tragiczna w konsekwencje dla Mazurów i całych Prus Wschodnich I wojna światowa[6]. Jej echa – krwawe, złowrogie – pobrzmiewają we wspomnieniach Małłka. Pokój, który po niej nastąpił (republika weimarska) był krótkim epizodem normalizacji przed dojściem Hitlera do władzy (1933), którą to władzę ludność Prus Wschodnich powszechnie popierała, czując zewsząd zagrożenie: sowieckie, polskie.

Znamiennym wydarzeniem był też plebiscyt roku 1920. Za Polską w mieście, gdzie przyjdzie Edwardowi Małłkowi spędzić szmat życia, w Ełku, opowiedziało się 7 osób, za Niemcami 8339. Wyniku tego można nie komentować[7].

Pomimo hitleryzmu, wojny, masakr związanych z tzw. „wyzwalaniem" przez Armię Czerwoną, na Mazurach przetrwała liczna wspólnota Mazurów, mówiących wciąż po polsku, ale i, oczywiście, używająca niemczyzny.

Wspomnienia Edwarda Małłka przypadają na czas przełomowy, traumatyczny dla losów Mazurów: zaczynają się w latach 20. XX wieku, kiedy bohater wybiera polską tożsamość i przynależność państwową. Obejmują okres przed wojną i w czasie II wojny światowej, kiedy jego tożsamość polska ulega najpierw wzmocnieniu i zaraz potem zachwianiu. Nie wybiera on jednak tożsamości niemieckiej – przeciwnie: to wtedy zaczyna się u Edwarda Małłka proces budowania od podstaw (czy może: odbudowywania?) tożsamości mazurskiej, której konstytutywnym i odróżniającym elementem pozostaje

[3] Por. M. Kajka, *Gedichte*, hrsg. von Z. Chojnowski, aus dem Poln. von M. Szalonek, Berlin 2003; J. Jasiński, *Michał Kajka 1858–1940. Życie – spuścizna literacka – rodzina – polemiki – wiersze*, Ełk 2008; Z. Chojnowski, *Michał Kajka. Poeta mazurski*, Olsztyn 1992.

[4] Taką postawę reprezentowali w XIX wieku niezwykle prominentni Polacy: Adam Mickiewicz, Wojciech Kętrzyński czy Zygmunt Gloger. Dla nich wszystkich mazurskość i Mazurzy byli jeszcze jednym poświadczeniem siły wspólnoty polskiej, scementowanej językiem i kulturą ponad podziałami, jakie tworzyły różne zabory i dzielnice. Nie można tego ich mniemania mieszać ze współczesną, „nowoczesną" wiedzą o kulturowej pograniczności Mazurów i na przykład ich lojalizmie wobec Berlina.

[5] W Ełku, gdzie tyle lat przepracował E. Małłek: w 1881 roku wzniesiono budynek poczty, otwarto połączenia kolejowe do Grajewa, Gołdapi i Piszu (1871, 1879, 1885), zbudowano ogromny gmach sądu (1880, Szkoła Podstawowa nr 2), zbudowano koszary piechoty (1884) itd.

[6] Zob. na ten temat: S. Achremczyk, *Historia Warmii i Mazur*, T. II: *1772–2010*, Olsztyn 2011.

[7] Zob. *Plebiscyty na Warmii, Mazurach i Powiślu w 1920 roku. Wybór źródeł*, wyd. P. Stawecki, W. Wrzesiński, Olsztyn 1986; R. Traba, *„Wschodniopruskość". Tożsamość regionalna i narodowa w kulturze politycznej Niemiec*, Poznań – Warszawa 2005; W. Wrzesiński, *Prusy Wschodnie w polskiej myśli politycznej w latach 1864–1945*, Olsztyn 1994.

protestantyzm. Tożsamość ta utrwala się w czasie lat pracy duszpasterza w Ełku, a dopełnia po wyjeździe *via* Kanada do Niemiec, gdzie Małłek spisał *Wspomnienia*.

W oficjalnym *Życiorysie* Edwarda Małłka, zawartym w piśmie pochodzącym z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej [25 listopada 1950 roku], czytamy:

„Małek Edward syn Wilhelma i Augusty z Marenskich ur. 16.V.1907 r. w Brodowie, pow. Działdowo,

b) [pochodzenie] chłopskie,

c) [wykształcenie] seminarium nauczycielskie,

d) w roku 1929/32 był w baonie podchorążych Berezie Kartuskiej, gdzie został mianowany ppor. W roku 1933 został zwolniony z tej funkcji i rok czasu był bez pracy. W roku 1934 ukończył kurs instruktorów straży pożarnej w Lublinie, następnie brał udział w kursie L.O.P.P. w Warszawie, po ukończeniu ich otrzymał pracę jako instruktor straży pożarnej i L.O.P.P. w Działdowie, w roku 1935 został zwolniony z tej pracy i założył sklep galanteryjny z którego utrzymywał się do 1939 r. W czasie okupacji przebywał na terenie Guberni. Po wyzwoleniu przebywał na ternie miasta Działdowa, jako Przewodniczący Rady Narodowej, a następnie jako Wicestarosta w Niborku woj. Olsztyńskie, ze stanowiska tego zwolnił się tłumacząc słabym stanem zdrowia. Na. teren woj. Olsztyńskiego przybył w roku 1945, a stamtąd przeniósł się do Ełku w roku 1947 i objął stanowisko pastora”[8].

W Ełku, początkowo pod nazwiskiem Stanisława Łopatowskiego, już jako pastor, rozwija bardzo energiczną działalność na rzecz wiernych Kościoła Metodystycznego, obejmując opieką duszpasterską wszystkich pozostałych tu Mazurów, nierzadko mówiących tylko po niemiecku. Zakłada Bursę szkolną dla młodzieży mazurskiej, która chce zdobywać wykształcenie, równocześnie podejmując naukę języka polskiego, odprawia nabożeństwa, organizuje materialne podstawy działalności parafii, przeprowadza konfirmacje, a nade wszystko bezkompromisowo broni Mazurów i przed władzą, i przed napływową, często przybyłą tu z Kresów, wygnaną ze swych małych ojczyzn ludnością polską, która nie rozumie, dlaczego mówiący po niemiecku mieszkańcy powiatu mieliby nie być tymi samymi ludźmi, którzy przed wojną głosowali tu za Niemcami w plebiscycie i na nazistów w ’33 roku.

W tym samym dokumencie z 1950 roku, którego częścią jest *Życiorys Pastora Małka Edwarda parafii Kos. Ewang.Metodystycznego w Ełku* [pisownia oryginalna] znajdujemy opinię władzy o Małłku:

„pkt. 3. Rada Narodowa uważa go za materialistę, jako obywatela z którym nie można współpracować,

pkt. 4. obecnie ma dobry wpływ na parafian,

pkt. 5. porusza w formie hamującej akcję repolonizacyjną, tłumacząc to, że Mazur nie jest Niemcem ani Polakiem tylko Mazurem,

pkt. 6. przeważnie w gronie swych wyznawców”.[9]

W opinii Rady Narodowej znać reakcję na cechę pastora, która zawsze go charakteryzowała: nieustępliwość.

[8] APS, O. Ełk, Starostwo Powiatowe Ełckie, Sprawy wyznaniowe, 1948-1950 sygn. 130/25, s. 76. Fragmenty te publikujemy dzięki uprzejmości dra Stefana Michała Marcinkiewicza [Olsztyn, UWM], autora książki *Mityczna stolica Mazur. Między Ełkiem a Lyck*, Ełk 2015.

[9] Tamże. Do tego i kolejnego dokumenty odnosi się również ks. Dariusz Zuber w swoim wstępie.

Władza, jak się wydaje, tak długo tolerowała w Ełku Małłka, jak długo jego działania miały „dobry wpływ na parafian", a polska administracja sama czuła się niezbyt pewnie. Jeszcze dwa lata wcześniej w piśmie Starosty Powiatowego Ełckiego z 2 czerwca 1948 roku skierowanym do Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego Białostockiego, znajdujemy zamienny opis działalności pastora:

„W odpowiedzi na pismo z dnia 16.V.48r.Nr.SP.N.I-2/7-2/48 pfn donoszę: odnośnie wyznania Ewangelicznego Metodystów do punktu

1) Wyznanie Ew.Metodystów na terenie tut. Powiatu rozwija dość szeroką działalność pod względem charytatywnym i repolonizacyjnym. Pracuje społecznie pomagając materialnie ludności miejscowej.
2) Kierownik jednocześnie kaznodzieja wymienionego wyznania Łopatowski Stanisław [Edward Małłek – dopisek mój, J. Ł.] pracuje dużo społecznie okazując pomoc ludności bez względu na wyznanie. Do obecnego ustroju ustosunkowany dobrze, współpracuje z administracją.
3) Ogólna ilość wyznawców na terenie tut. Powiatu wynosi około 1600 osób.
4) Odnośnie uznania ww. Kościoła za publiczno prawny związek religijny popieram wnioskiem przychylnym"[10].

Po tej opinii następuje krytyczna ocena innej wspólnoty religijnej, Wyznania Ewangelicznego Chrześcijan Baptystów, któremu zarzucona się między innymi nikłą działalność „repolonizacyjną"[11]. Zwraca uwagę podkreślenie, iż „Łopatowski Stanisław" niesie pomoc mieszkańcom Ełku „bez względu na wyznanie".

Jak wiemy, cały wysiłek Edwarda Małłka budowania nowej wspólnoty mazursko-polskiej, ocalenia protestantyzmu na Mazurach, w Ełku, zostanie zniweczony przez peerelowskie władze, które podejmą nawet próbę zwerbowania pastora jako agenta kontrwywiadu. O tej dla niego wstrząsającej sytuacji, także o krachu mazursko-protestanckiego projektu, pisze on z siłą wielkich emocji w kolejnych rozdziałach *Wspomnień*.

Wszystko kończy się goryczą – z najwyższym trudem zdobytym pozwoleniem na wjazd za granicę, koniec końców do Republiki Federalnej Niemiec.

Tu, w Niemczech, pozostał przede wszystkim Mazurem – ani polska, ani niemiecka tożsamość wybrana nie okazały się na tyle silne, by zwyciężyć w nim Mazura-protestanta. Ale, dodajmy, wybrana tożsamość mazurska ma tu dla niego r y s t r a g i c z n y . Tworzy się ona bowiem i ulega u Małłka wprost apologetyzacji i idealizacji w momencie, gdy świat Mazurów, kosmos moralny i ontologiczny ich ojczyzny opiewanej w *Hejnale* i *Hymnie mazurskim* jako kraina borów, jezior, ptaków, myśliwych, gdzie człowiek woła: „Tu chcę umierać i tutaj chcę żyć"[12] – odchodzi w przeszłość w sposób brutalny. Uśmiercają go najpierw nazizm i żywioł wojny, potem komunizm. Małłek zostaje Mazurem, gdy Mazurzy znikają z Mazur jako ich mieszkańcy, gospodarujący tu przez setki lat niepodzielnie.

Stąd bierze się dramatyczna tonacja *Wspomnień*. Ten zrazu wielki polski patriota, nauczyciel, żołnierz zmobilizowany we Wrześniu '39, potem robotnik i w końcu pastor oraz

[10] APS, O. Ełk, Starostwo Powiatowe Ełckie, Korespondencja w sprawach różnych 1948–1950, sygn. 130/28, s. 12. Pisownia oryginalna.

[11] Oczywiście, trzeba podkreślić, ze Małłek nie był w tych latach wiernym władzy „repolonizatorem", był człowiekiem, który wierzył w ocalenie mazurskiego protestantyzmu i kultury mazurskiej na ziemiach, które przeszły pod polskie panowanie.

[12] *Hymn mazurski*, w: *Mazurski Śpiewnik*..., s. 54. O świecie wyobrażeń Mazurów o historii pisze wnikliwie Zbigniew Chojnowski: *Wyobraźnia historyczna Mazurów polskich. Studia i źródła*, Olsztyn 2014.

emigrant, pisze językiem pełnym żółci, naznaczonym apokaliptyczną grozą, wizją odpłaty i pomsty, która spotka wszystkich zaborców jego małej-wielkiej ojczyzny. Ów nerwowy ton wyraża tytuł-pytanie: *Gdzie jest moja ojczyzna?* Tych kilkaset stron służy tu jej odnalezieniu – jako straconej, ale nie bezpowrotnie, szansy zadomowienia. Dlatego Małłek jest bezkompromisowy: „Niektóre moje wyrażenia, wypowiedzi (...) mogą wywoływać sprzeciw, oburzenie" (*Od Autora*).

Powiedzmy szczerze: większość wypowiedzi pastora Małłka wywołuje przynajmniej sprzeciw, wiele można by uznać za skandaliczne uproszczenia, gdyby poddać je naukowej analizie[13]. Książką tą mogą się poczuć zranieni wszyscy: Polacy, bo są tu ukazani jako dyskryminatorzy i barbarzyńscy niszczyciele kultury Mazurów; Niemcy, albowiem to na nich spada odpowiedzialność za piekło II wojny światowej; Mazurzy, bo Małłek nie oszczędza tych kolaborujących z hitleryzmem i gani powojenną naiwność polityczną Związku Mazurów; katolicy i ich Kościół, bo ukazani są niemal jako światowy spisek przeciw prawdzie Objawienia, której depozytariuszami są protestanci; protestanci, bo pastor bezlitośnie piętnuje ich częstą uległość władzom komunistycznym i UB; rodzina Małłków, albowiem autor *Gdzie jest moja ojczyzna?* nie unika mówienia o animozjach familijnych i krytyki „króla Mazurów", Karola Małłka, współpracującego z władzami Polski peerelowskiej; dzisiejsi mieszkańcy Mazur, gdyż zbudowali swój świat, podług Małłka, na krzywdzie pierwotnych mieszkańców tych ziem, Prusów, potem na nieszczęściu wypędzonych Mazurów i Niemców; zwykli czytelnicy, urażeni szczerością niektórych wyznań przyszłego pastora, opowiadającego o swych miłostkach lub dotknięci złośliwym, jakby niemiłosiernym tonem niektórych tyrad, okraszonych przy tym hojnie cytatami z Pisma Świętego[14].

Jednakże w tym właśnie, co tak bolesne, tkwi w i e l k o ś ć t e g o ś w i a d e c t w a. Pisanego jako rozdrapywanie bolesnej rany, psychicznej traumy utraty ojczyzny, rozprawa z tymi, którzy ją zdradzili i grabili. Jest to tekst – tak go nazwę – bolesny. Ale, co też istotne, pisany ku napomnieniu i przestrzeżeniu: wszystkich, Polaków, Mazurów, Niemców, a nade wszystko potomków i pradziadów. W całym świecie Edwarda Małłka trzy są tylko „absoluty", których on nie tyka. Więcej: pochyla się nad nimi z miłością lub z wiarą wznosi ku nim oczy: Bóg, rodzice, dzieci i żona. Dlatego można i trzeba przywołać jakże znamienne słowa dedykacji *Wspomnień* – wybrzmiewające tonami wdzięczności (rodzice), wiary (Bóg) i ostrzeżenia (dzieci):

Błogosławionej pamięci
moich kochanych Rodziców
poświęcam
moje myśli i słowa,
dziękując im z całego serca
za wskazanie mi drogi
i prawdy Bożej.

[13] Stąd zresztą bierze się fenomen tekstu *Wspomnień*, które krążą w kopiach, znają je badacze, pisarze, działacze, a nikt nie chce ich, jako tekstu zbyt rzekomo „antypolskiego", opublikować.

[14] Biblia funkcjonuje w tekście Małłka jako najwyższy autorytet i tekst konsolacyjny, który jednak wciąż zderza się z polemicznymi tyradami autora. Por. Z. Chojnowski, *Z tekstu do tekstu. Mazurskie „wyjmowanie" ze „Starego Testamentu"*, w: *Biblia w literaturze polskiej. Romantyzm – Pozytywizm – Młoda Polska. Stary Testament*, red. E. Jakiel, J. Mossakowski, Gdańsk 2014; *„Cóż za księga". Biblia w literaturze niemieckojęzycznej od Oświecenia po współczesność*, red. M. Kłańska, J. Kita-Huber, P. Zarychta, Kraków 2010; M. Starowieyski, *Tradycje biblijne. Biblia w kulturze europejskiej*, wstęp G. Ravasi, Kraków 2011.

„Skoro stracimy ziemską ojczyznę,
mamy jeszcze Ojczyznę w niebie,
zgotowaną przez Jezusa Chrystusa,
Pana i Zbawiciela naszego”
Filip. 3,20.

Poświęcam też
kochanym Dzieciom i Potomstwu
ku rozwadze, przestrodze i nauce.[15]

Ten inicjalny metatekst, jakim staje się rozbudowana dedykacja, jest kluczowy dla zrozumienia postawy Małłka. W imię najlepiej przez siebie rozumianej prawdy, którą wyznaje przed Bogiem, ma on odwagę powiedzenia rzeczy czasem okrutnych, gorzkich, niesprawiedliwych lub po prostu – z punktu widzenia historii, psychologii, nawet teologii – niezgodnych z prawdą: „Ale – argumentuje – takie n i e s t e t y są moje wspomnienia, oparte na moich przeżyciach i uczuciach z nimi związanych” [*Od Autora*; podkr. moje – J. Ł.].

Pierwszym słowem, jakie narzuciło mi się po lekturze już dwustu stron *Wspomnień* Edwarda Małłka, było słowo o d y s e j a . Z satysfakcją odnalazłem je w tekście, zapisane przez samego autora. Bowiem jest to prawdziwa mazurska odyseja, opowieść o losie Odysa, który wrócił do Ojczyzny, by zobaczyć na własne oczy, że tam, gdzie była jego Ojczyzna, jest już jakiś inny świat. Odysa, który nie zapytał beznamiętnie o los ukochanych i najbliższych, lecz jak biblijny patriarcha zawołał *de profundis*: *Gdzie jest moja Ojczyzna?*

Spod strzechy do literatury...

Edward Małłek urodził się 16 maja 1907 roku w Brodowie jako syn Wilhelma i Henryki Augusty z Mareńskich Małłków.

Przyszły działacz mazurski, nauczyciel, oficer, pastor przyszedł na świat w rodzinie ubogiej. Warto zauważyć, jak trudny był start osieroconych wcześnie rodziców Małłka, których do końca życia darzył prawdziwą czcią. Wszyscy byli ewangelikami, rolnikami, mówili po mazursku, zachowywali surowe normy obyczajowe...

> Ale wreszcie szukajmy tej *mojej kołyski*.
>
> Stała ona w Brodowie, w drewnianej chacie pod strzechą, to znaczy słomą krytej, stojącej szczytem do ulicy. [...]
>
> Moimi rodzicami byli:
>
> Ojciec (Ojculek): Wilhelm Mallek, ur. 9.4.1862 roku w Gross Schläfken (Duża Sławka), pow. Neidenburg (Nibork), ochrzczony tamże w kościele ewangelickim dnia 21.04.1862 roku. Ojca rodzicami byli: Friedrich Mallek, rolnik w Gross Schläfken (Duża Sławka) i Anna z domu Jebram.

[15] Dedykacja ta znajduje się w każdej z wersji *Wspomnień*: rękopiśmiennej, przepisanej przez E. Małłka na maszynie, wreszcie komputerowej.

Matka (Matecka): Henriette Auguste Marenski, ur. 13.08.1871 roku w Scharnau (Sarnowo), powiat Neidenburg (Nibork), ochrzczona tamże w Kościele ewangelickim dnia 2.9.1871 roku. Rodzicami matki byli: Wilhelm Marenski, rolnik (Köllmer), i Maria Braun, wdowa po Jorkowskim. Wilhelm Marenski, syn rolnika z Brodowa, wżenił się do wdowy Jorkowskiej z d. Braun w Scharnau.

Ojciec mając 9 lat stał się pełnym sierotą. Najpierw żył i pracował przy starszym bracie Karolu w Dużej Sławce, a mając 14 lat pracował u swojej starszej siostry Anny, która wyszła za mąż za Dąbrowskiego.

Mateczkę spotkał ten sam los; mając zaledwie 7 lat, stała się sierotą. Po śmierci rodziców zabrał ją do siebie stryj, Jan Marenski z Brodowa.

I tak obie sieroty znalazły się w Brodowie. Rodzice chodzili do szkoły, w której w pierwszych latach szkolnych uczono tylko po mazursku, dopiero w ostatnich latach nauki wprowadzono dodatkowo język niemiecki.

Nauczyciel Łoś pozostał w miłej pamięci mego Ojca, a Mateczka mile wspominała swego nauczyciela Bucika. Chyba smutny los sierocy i ciężka praca od dzieciństwa, a przede wszystkim życzenie Mateczki mieć za męża niepijaka i niepalącego (jakim był mój Ojciec), sprawiły, że Wilhelm i Henrietta Augusta zawarli związek małżeński i to z pomocą „rajka" (swata).

Ślub odbył się dnia 5 marca 1895 roku, przed południem, w Urzędzie Stanu Cywilnego, po południu w Kościele ewangelickim we wsi Narzym. Odtąd oboje gospodarowali u stryjostwa Mareńskich w Brodowie.

Dnia 16 maja (czwartek) 1907 roku Mateczka urodziła mnie. Nadano mi imię Eduard Julius i położono do drewnianej kołyski z dwoma wyciętymi w szczytach serduszkami, które jednocześnie służyły za uchwyty przy przenoszeniu.

I oto mamy tę moją kołyskę.

(*Moja kołyska*)

Start życiowy Edwarda Małka był więc trudny. A przecież od początku, pomimo niedostatku, co warto podkreślić, dokonywał on i reszta jego rodzeństwa zasadniczych wyborów: życiowych, tożsamościowych, kulturowych.

Należy do rodziny, która ma wielkie zasługi dla kultury polskiej. Karol Małłek (1898–1969) to znany mazurski działacz, pisarz, publicysta, polityk[16]. Jego syn, Janusz Małłek (ur. 1937), zdobył rozgłos jako znakomity historyk związany z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu[17]; brat Robert (1909–1943) został zamordowany przez hitlerowców w lesie w Komornikach w powiecie działdowskim jako polski patriota. Wreszcie Edward Małłek zapisał się przede wszystkim jako działacz mazurski i pastor w Ełku, heroicznie po wojnie opiekujący się wiernymi. Edward Małłek nie był i nie jest powszechnie znany jako memuarysta czy w ogóle jako pisarz.

Jego *Wspomnienia* przez około trzydzieści lat znane były tylko w kręgu mieszkającej i w Niemczech, i w Polsce rodziny Małłków. Powoływał się na nie w swych pracach historiograficznych prof. Janusz Małłek[18]. Znane były w środowisku protestantów i Mazurów[19].

[16] Zob. K. Małłek, *Z Mazur do Verdun. Wspomnienia 1890–1919*, Warszawa 1967; tegoż, *Mazury polskie. Pamiętniki,* T. IV, *Od 2 lutego 1945 do 12 października 1966 r.*, opr. T. Baryła, wstęp B. Gołębiowski, Olsztyn 2011.

[17] Por. J. Małłek, *Dwie części Prus. Studia z dziejów Prus Książęcych i Prus Królewskich w XVI i XVII wieku,* Olsztyn 1987.

[18] Przywołuje *Wspomnienia* E. Małłka w tomie: J. Małłek, *Moje Prusy, moje mazury. Szkice z dziejów Prus Książęcych, Królewca i Mazur*, Dąbrówno 2009.

[19] Patrz: E. Kruk, *Uzupełnienie do listy duchownych*, „Kartki Mazurskie" 2008, nr 5 (59), cyt. za: http://diec.mazurska.luteranie.pl/pl/biuletyn/MTE_2008_05_59.htm. Dostęp: 25.01.2015r.

Jest jednak tajemnicą Poliszynela, iż dość zgodnie odradzano pastorowi Małłkowi publikację tego świadectwa jako zbyt bezkompromisowego, mogącego urazić żyjące jeszcze pod koniec XX wieku osoby, który były ich „bohaterami", ale i świadkami tych samych wydarzeń, zapewne widzącymi je czasem zupełnie inaczej. Trudno nie rozumieć tych obaw[20]. Ks. Małłek piętnował we *Wspomnieniach* nieprawości bez względu na narodowość: nie omieszkał odnotować nazwisk rodzin mazurskich, których przedstawiciele szczególnie gorliwie służyli nazistom. Podobnie nie oszczędzał barbarzyńskich zachowań ludności napływowej.

Z drugiej strony, minęło już tyle dekad od epoki powojennej, która budzi we *Wspomnieniach* najwięcej kontrowersji, że trzeba przerwać tę ciszę i dopełnić wolę Autora, który przecież pisał ów tekst do konkretnego czytelnika. Zwracał się doń, tłumaczył, moralizował. Był to – ów zakładany przez autora – czytelnik, oczywiście, używający polszczyzny. Jak sądzę, tym czytelnikiem idealnym mieli być przede wszystkim: Mazurzy, rodzina, polscy protestanci i – *last but not least* – Polacy zamieszkujący dziś realną i wyimaginowaną Ojczyznę Małłka, której pozostał on wierny nawet wbrew rzeczywistości historycznej i tzw. *Realpolitik*.

Wspomnienia spisane zostały w Hamburgu w latach 1984–1989. Następnie przepisał je na maszynie sam autor. Wersję komputerową przygotował mgr Janusz Małłek, a opracował ją językowo, zredagował, scalił ks. Zygmunt Karczewski (ur. 1926). Ksiądz Karczewski to serdeczny, oddany przyjaciel ks. Edwarda Małłka, z którym – wedle informacji przekazanych przez Roberta Małłka – łączyły go dwie pasje: „praca w Kościele i pszczelarstwo". Edward Małłek, pisząc *Wspomnienia,* sprawy kościelne konsultował z ks. Karczewskim, zaś w kwestiach dotyczących rodziny kontaktował się z siostrą, Jadwigą Małłek. Wszyscy w tym czasie mieszkali w Hamburgu. Ks. Karczewski był częstym gościem w mieszkaniu Małłków. Dodajmy, iż ks. Karczewski był w latach 1950–1954 pastorem zborów metodystycznych na Mazurach, a potem wyjechał do Niemiec. Zapewne w tej wersji maszynopisowej krążyły wśród rodziny i znajomych. W 2014 roku syn Edwarda Małłka, Andreas Małłek, inżynier na co dzień żyjący i pracujący w Republice Federalnej Niemiec (świetnie mówiący po polsku, jest jednym z bohaterów *Wspomnień*)[21], zwrócił się z propozycją ich opublikowania do pastora Dariusz Zubera z Parafii Miłości Bożej Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Ełku. Z kolei pastor Zuber zapytał o opinię dyrektora Kazimierza Bogusza z Muzeum Historycznego w Ełku. Przez tego ostatniego i ja zostałem poproszony o zdanie w sprawie „ostrych", „kontrowersyjnych" *Wspomnień* Małłka.

Trudno tu ukryć, iż także moja opinia była zrazu podszyta lękiem: czy świadectwo strasznych czasów, pisane tak radykalnie, bez skrótów i eufemizmów nie wywoła oburzenia? Z drugiej, tej decydującej strony – nie można było odmówić *Wspomnieniom* wysokich walorów literackich, znaczenia jako zapisu indywidualnego, dramatycznego losu oraz rangi świadectwa historycznego. Spotkanie w lipcu 2014 roku z Andreasem Małłkiem utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie ma takich spraw, o których powinniśmy dziś, Mazurzy, Polacy i Niemcy, milczeć. Piszę to jako badacz także świadectw Shoah i polskiego Sybiru; a więc tekstów, w których miara okrucieństwa i drastyczności opisywanych zdarzeń osiąga

[20] Niewątpliwie obawiano się też reakcji niektórych mieszkających dziś na Mazurach Polaków – często uciekinierów i wypędzonych z Kresów.

[21] Jak się wyraził w prywatnej rozmowie: polskiego już trochę zapomniał, a niemieckiego nigdy się dobrze nie wyuczył. To zapewne przesada motywowana skromnością.

pułap niespotykany gdzie indziej. Rzadko jednak i wśród nich zdarzają się teksty pisane z takim nerwem, zacięciem, wielkim a samorodnym talentem literackim.

Gdzie jest moja Ojczyzna?[22] to tekst, który przed publikacją funkcjonował także w wersji elektronicznej, podzielonej na tomy przypadkowo przez konieczność ujęcia go w mniejszych plikach komputerowych. Obie wersje – maszynopisowa i elektroniczna – cechowały się dalece niedoskonałą formą technicznego opracowania. Błędów składu, ortograficznych, interpunkcyjnych etc. było w nich bez liku. Przepisujący stosował na przykład niemiecką regułę ortograficzną i w zapisie licznych rzeczowników, a już szczególnie w pisowni nazw wszelkich urzędów, urzędników, instytucji, stosował wielką literę. Osobliwym zjawiskiem były partie dialogowe i zapisy „strumienia myśli" wplatane przez Małłka wprost do swej narracji, czasem oznaczane cudzysłowami.

Podsumowując: można powiedzieć, że publikacja obecna jest kompromisem między wymogami ortografii i interpunkcji a pragnieniem zachowania idiolektu autora, cech jego języka, zakorzenionego – poprzez niektóre formy – jeszcze w XIX-wiecznej polszczyźnie, języku Mazurów i, co też widać, nowomowie PRL-u, gdzie autor spędził kilkadziesiąt lat (patrz: *Zasady wydania*). Tekst oddaje wiernie wszystkie osobliwości języka autora – nawet wtedy, gdy niektóre jego upodobania gramatyczne i stylistyczne są niezgodne z normą współczesnego języka polskiego. Na przykład zdania z konstrukcją imiesłowu czynnego; już w słowie *Od Autora* mamy przykład takiej konstrukcji: „Pisząc moje *Wspomnienia* jako 80-letni starzec, mój styl życzy sobie od Czytelnika dużej wyrozumiałości [...]"[23]. Za błędny uznałem postulat takiego czyszczenia, wygładzenia polszczyzny Edwarda Małłka, by miała ona finalnie kształt literackiego wzorca. Straciłaby za to całą swą oryginalność. I piękno autentyku.

Życzeniem Edwarda Małłka była pełna publikacja tekstu zatytułowanego *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*. Depozytariuszem tej woli stała się Rodzina, reprezentowana przez Andreasa i Roberta Małłków. Ich ojciec, pastor Edward Małłek, pozostał do końca wierny swej Ojczyźnie Mazurskiej. Przyjeżdżał na Mazury, opiekował się grobami Rodziców i Braci, wspierał ostatnich Mazurów i tutejszych protestantów. Tu także, w roku 1995 zastała go śmierć. Zmarł na zawał serca na dworcu kolejowym w Olsztynie. Miał 89 lat.

Śledząc publikacje książkowe, a nade wszystko przeglądając mazurskie i protestanckie strony internetowe, odnieść można wrażenie, że *Wspomnienia* Edwarda Małłka znają już prawie wszyscy zainteresowani z tych środowisk. Pora, by stały się własnością szerszej wspólnoty wszystkich po polsku czytających – jako cenne źródło historyczne i literackie oraz filozoficzna przypowieść o meandrach kształtowania się tożsamości i wybrykach losu igrającego z człowiekiem tak, jak z owym mazurskim Odysem, Edwardem Małłkiem.

---

[22] Słowo *Ojczyzna*, jak wszystko na to wskazuje, powinno tu być pisane dużą literą. Tak w rękopisie zapisuje je ks. Edward Małłek.

[23] Należy podkreślić, iż już na samym początku zgłoszono postulat takiej językowej „obróbki" tekstu Małłka, by przypominał on polszczyznę literacką. Wybrałem inny wariant „literackości": bliższy autentycznemu zapisowi.

Prawda ponadhistoryczna

Edward Małłek nie jest historykiem. Większość jego sądów zakwestionuje historyk polski, niemiecki i rosyjski. Ale też nie o historiograficzną adekwatność słowa i faktu Małłkowi szło. Jest on wizjonerem z ducha romantycznym, piszącym o tym, jak wyobraża sobie dzieje Mazurów[24]. Co więcej, jest to wizjonerstwo człowieka zranionego stratą i stęsknionego. Zatem: subiektywne do bólu, niesprawiedliwe, a bywa, że i złości pełne. Historia opowiedziana przez Małłka obejmuje okres od lat 20. do lat 70. XX wieku. Opowiada swą historię Małłek w aż 183 epizodach (rozdziałach, ustępach, fragmentach) w porządku linearnego następstwa czasu, rzadko tylko uciekając się do retrospekcji, o wiele częściej do alternatywnych wizji historii, prospektywnych ujęć typu „co by było, gdyby...".

W jakimś sensie reakcją na stratę Ojczyzny jest tu projekt historii alternatywnej jako marzenie i, mniej już radosny, projekt – irracjonalny z ducha – odpłaty za krzywdę Mazurów, którą grabieżcom przyniesie historia (z woli Stwórcy): „Jak Polakom wolno było wierzyć w Niepodległość, pozwólmy Mazurom – przepraszam – »Ostpreusiakom« – wierzyć, że wrócą na »Swoje«" (*Kim jestem?*). To najdelikatniejsze słowa spośród tych, które Edward Małłek kieruje do Polaków. Nie jest już i nie chce być – w finale *Wspomnień* – Polakiem, nie jest też Niemcem. Należy do klasy żyjących w dostatku, ale nieszczęśliwych „Umsiedlerów" (przesiedleńców, ale też różnie się określających: wysiedlonych, wypędzonych, emigrantów). Do końca jednak nie wyzbywa się wiary, że jeśli nie on, to potomkowie Mazurów wrócą na swoje ziemie. Odmawia przy tym Polsce wszelkich praw do Prus Wschodnich. Powinniśmy się w tym momencie oburzyć. Ale czy koniecznie musimy?

Pisze to eks-Polak, oficer Wojska Polskiego, konspirujący przeciw Niemcom. Pisze to reprezentant rodziny Małłków, toczący nieustającą polemikę z bratem Karolem, działaczem komunistycznego aparatu władzy, ale i – nie zapominajmy – zdolnym pisarzem. Małłek posuwa się do tego, że niejako mówi za brata. Za brata wyrzeka się polskości nawet:

> **Niestety, walka Karola Małłka o „Mazury dla Mazur[ów]" była daremną i bez skutku, gdyż Polacy uznali Mazurów za Niemców i pozbawili ich prawa do ich Ojczystej Ziemi. Dlatego stwierdzam, że mój brat, Karol Małłek, nie jest polskim bohaterem, lecz jedną z niezliczonych ofiar wyniszczonego przez Polaków Narodu Mazurskiego. Dlatego należałoby zmienić napis na pomniku na: *Martwy Mazur – dobry Mazur*.**
>
> Nasuwa się analogia losu Narodu Mazurskiego z losem narodu Indian. Ziemia Indian jest bez Indian. Ziemia Mazurska jest bez Mazurów.
>
> Nie muszę powtarzać hasła, którym kierowali się Polacy, likwidując mieszkańców Prus Wschodnich, w tym i Mazurów w latach od 1945 roku. Polska, dokonując wyniszczenia Narodu Mazurskiego, powtórzyła zbrodnię, już raz dokonaną na tej ziemi przez Zakon Krzyżacki, sprowadzony przez Polaków w osobie księcia Konrada Mazowieckiego. Wtedy ofiarą padł cały naród Starych Prusów, który znikł z ziemi i z mapy świata"[25].

---

[24] I to dziedzictwo marzycielskiego Romantyzmu jest tu zarazem polskie (wymiar utopii i marzenia), i niemieckie (wymiar polityczno-historyczny). Zob. A. Citkowska-Kimla, *Romantyzm polityczny w Niemczech. Reprezentanci, idee, model*, Kraków 2010; *„Niemiecki Wschód". Wyobrażenia – misja – dziedzictwo*, opr. Ch. Kleßmann, przeł. I. Drozdowska-Broering, J. Kałążny, Poznań 2014.

[25] Zupełnie inaczej wygląda to oczyma Karola Małłka. Zob. tegoż, *Polskie są Mazury. Wspomnienia 1945–1966*, Warszawa 1972.

To oburzająca inwektywa. Jedna z wielu. W imię czego przybiera pastor Małłek tę postawę nieprzejednanej antypolskości, skwitowanej wspomnieniem najazdu hetmana Gosiewskiego w XVII wieku na Prusy? Historia Mazurów przypomina u Edwarda Małłka – ale dopiero w finale *Wspomnień* – ciąg martyrologicznych aktów przemocy, których na bezbronnych Mazurach dokonują zmityzowani Polacy (raczej też: zdemonizowani). Już Prusów – ten lud bałtycki – u Małłka tępią Krzyżacy, ale czynią to tylko na życzenie Konrada Mazowieckiego (1187/88–1247), który ich sprowadził do walki z Prusami. Lektura ostatnich partii *Gdzie jest moja ojczyzna?* sprawi polskiemu czytelnikowi przykrość. Można odnieść wrażenie, że pióro wymyka się z ręki autora, że unoszą je emocje. Nie dzieje się tak – jednak – przypadkowo.

Małłek konsekwentnie buduje historyczny mit, a nawet tworzy mazurską *quasi*-historiografię[26]. Jest w tym stronniczy, nerwowy, napastliwy. Ale takie są prawa owej konstrukcji, którą tworzy. Nieprzypadkowo używa figury Mazura-Indianina, wyniszczonego przez obcych. Do tej samej figury odwołuje się w XIX wieku literatura polska (Mickiewicz, August Antoni Jakubowski, Ludwik Powidaj)[27]. Konstrukcja mityczna Małłka zbudowana jest z sześciu elementów.

Po pierwsze, zidealizowanego z a d o m o w i e n i a , obrazu ojczyzny, stron rodzinnych, domu, w którym choć biednie, to żyło się jednak prawie arkadyjsko, bo na łonie natury i zgodnie z Bożym prawem. Symbolem tego świata są tu dom ze strzechą i kołyska.

Kolejnym mitem w tej konstrukcji jest w y j ś c i e z d o m u i rozpoczęcie – to po drugie – tożsamościowej odysei. Pamiętajmy, że kiedy Małłek wspomina przeszłość – młodość i wiek męski naznaczone gorliwym wyborem polskości – jest już zdeklarowanym Mazurem po wieki wieków. Profiluje to jego ogląd większej części swego życia, w którym widać nade wszystko krzywdy zadawane mu przez „Polaków" i w „Polsce", umniejsza się własne błędy, a przede wszystkim skrywa niewygodny etap entuzjastycznego poczuwania się do polskiej tożsamości. Przypadł on na okres największej aktywności życiowej Małłka: nauczyciela, żołnierza, konspiratora mazurskiego, protestanta-Polaka. Wspominanie jest konstruowaniem. Zazwyczaj takim, które okazuje się wygodne dla wspominającego. Tak jest i tu. Mamy oto do czynienia z projekcją retrospektywną, rzutowaniem wstecz obecnego stanu świadomości, idei, przekonań, w które „tu i teraz" się wierzy (czyli wierzy w momencie, gdy już pisze się wspomnienia).

Trzecim elementem konstytutywnym jest s t r a t a O j c z y z n y . Dokonuje się ona u Małłka przez lata, ciągnie się jako trzyetapowy proces, którego części to: upadek III Rzeszy, złudzenia początkowo pełnej sukcesów (bursy szkolne) pracy w protestanckim środowisku w Ełku, emigracja do Niemiec. Był to więc przez dziesiątki lat ciągnący się proces, w którym jedne po drugich odpadały od świadomości autora iluzje: że po wojnie Mazury

[26] Przy tym jest w tym daleki od zobiektywizowanych dawnych i nowszych wzorców historiografii opisującej Prusy. Zob. M. Murinius, *Kronika mistrzów pruskich*, opr. i wstęp Z. Nowak, Olsztyn 1989; K. Hartknoch, *Altes und Neues Preussen*, Królewiec 1684; J. Voigt, *Geschichte Marienburgs, der Stadt und des Haupthauses des deutsche Ritter-Ordens in Preußen*, Königsberg 1824; M. Toeppen, *Historia Mazur. Przyczynek do dziejów krainy i kultury pruskiej*, przeł. M. Szymańska-Jasińska, wstęp G. Jasiński, Olsztyn 1998. Z tak ujętą historiografią „oficjalną" nie ma Małłek wiele wspólnego.

[27] Mickiewicz w *Konradzie Wallenrodzie* powołuje się na J. F. Coopera, autora powieści *Szpieg* (1820) i *Ostatni Mohikanin* (1826). A. A. Jakubowski jest autorem pierwszych wierszy o Indianach (widzianych w Ameryce naocznie) pt. *Indianin* i *Indianka* (zob. tegoż, *Poezje*, opr. J. Maślanka, Kraków 1973), zaś Ludwik Powidaj to autor słynnego artykułu *Polacy i Indianie* (w: *Publicystyka okresu pozytywizmu 1860–1900. Antologia*, opr. S. Fita, Warszawa 2002).

urządzą się w nowej Polsce, że w PRL-u można być obywatelem i protestantem, że można będzie zostać i przeczekać aż na ziemie mazurskie wróci przyjazna im władza, na przykład niemiecka lub... sowiecka. Mazurskość i idea mazurska są u Małłka ponad wszelkim wątpieniem, dominują czasami nad perspektywą chrześcijanina protestanta. Ta dawkowana kropla po kropli deziluzja, strata Ojczyzny, rozpętuje w świadomości Małłka żywioł podejrzeń i mitologii spiskowych: katolicy tworzą rzekomo wielką organizację spiskową, która przez niemieckich nazistów-katolików rozpętała II wojnę światową, protestanci walczą między sobą pociągani za sznurki przez katolickie państwo polskie (przed wojną) albo UB i komunistów (po wojnie), Niemcy zaś dziczeją podczas wojny, a po wojnie, co też wynika ze *Wspomnień*, próbują wchłonąć resztki mazurskiego ethnosu posługując się ideą Wielkich Niemiec.

Jest nader wątpliwe, by tak myślał Edward Małłek w latach 30., 40., a nawet jeszcze na początku 60. Widać za to zacierającą się i do bólu subiektywną perspektywę, którą wyznacza starość autora pozbawiona nadziei na powrót do Działdowa lub Ełku. A niedwuznacznie – oddając konwencjonalne hołdy uczciwym Polakom, o których Małłek pisze teraz zupełnie z zewnątrz tej wspólnoty – marzy on o restytucji dawnego świata:

> Uchylam czoła przed Polakami, którzy swym działaniem i pisaniem mają odwagę występować w Polsce jako *przyjaciele,* jako *obrońcy* Ludu Mazurskiego. Jednak pozwolę sobie do nich skierować mój apel: Stawiajcie żywe pomniki:
>
> 1. Zwróćcie domy i gospodarstwa Mazurom, którzy ocaleli i żyją w Polsce.
> Dla przykładu: zwróćcie własność wnukowi Michała Żywca z Brodowa.
> 2. Przywróćcie prawa do własności Mazurom, których wypędzono z Polski.
> 3. Zwróćcie Mazurom zabrane im kościoły ewangelickie.
> 4. Zadbajcie i uszanujcie groby i cmentarze Mazurów ewangelików.
> 5. Spowodujcie, aby zrabowane dzwony, wróciły na swoje miejsca.
>
> Z góry wiem, że tego nie zdołacie przeprowadzić. Łatwiej postawić pomnik, czy tablicę. Dlatego proponuję, aby umieścić na każdej przydrożnej figurce, czy kapliczce Matki Boskiej tablicę pamiątkową, choćby z następującym napisem:
>
> Tu, na ziemi Starych Prusów, wymordowanych przez Zakon Krzyżacki, sprowadzonego przez księcia polskiego Konrada Mazowieckiego, żył Lud Mazurski, wyniszczony przez Polaków w latach od 1945 roku.
>
> Czyż nie byłby to pouczający pomnik, historycznie prawdziwy? Naprawdę godny zrealizowania.
>
> Takie oto refleksje snułem, wpatrując się w pomnik mego brata, Karola Małłka, w Brodowie.
>
> (*Martwy Mazur – dobry Polak*)

Jak widać furia, sarkazm, gorzka ironia dominują tu nad trzeźwą oceną historii. Ojczyzna jest u Małłka postromantycznym konstruktem, który ulega nadmiernej waloryzacji dodatniej, przewartościowaniu. Tego rodzaju regionalna patriolatria, kult ojczyzny-matki, ulega hiperbolizacji za sprawą owej straty, której doznaje wygnany i uciekinier. Literatura polska znała tylko jeden przypadek podobnego przewartościowania, zgubny w skutkach, którego po latach jako projektu nieetycznego wyparł się autor – to *Konrad Wallenrod*

(1828) Adama Mickiewicza[28]. Małłek to nie Mickiewicz, lecz siła resentymentu, pomruki mścicielskie i ironia starty, gniew rozpaczy są tu jeszcze silniej zaakcentowane. To prawdziwe ojczyźniane *furioso*.

Arkadia domowa, metamorfozy tożsamości, rozpisane na lata wykorzenienie – na tym gruncie rodzą się trzy ostatnie konstrukcje mityczne obrazu historii: mit etnogenetyczny, utopia historyczna i utopia historiozoficzno-eschatologiczna.

Ta pierwsza to utopia polityczna, swego rodzaju kontrfaktyczny, wyobrażony obraz powojennych dziejów Mazur. Pastor Małłek wyobraża sobie (podkreślam: wyobraża, bo to wizja irracjonalna), iż oto po wojnie istniała szansa stworzenia Szwajcarii Mazurskiej lub jakiejś Mazurskiej Republiki Radzieckiej, gdzie ocalałyby resztki kultury mazurskiej, choć pewnie zniewolone w komunistycznym ustroju. Ten wybór Stalina jako gwaranta praw, a nie słabej Polski, był, zdaniem autora, konieczny, a zaprzepaścił go Związek Mazurów. Nieskromnie ideę ocalenia przypisuje Małłek sobie, naginając fakty, tworząc „idealny" obraz życia w ZSRR i w (sic!) DDR. Tu konieczny będzie dłuższy cytat...

> **Mogę otwarcie powiedzieć: Byliśmy »analfabetami« politycznymi pod tym względem.** Treści rozmów przedstawicieli wielkich mocarstw były nam nieznane. Słyszeliśmy tylko hasła Narodu Polskiego: „Polska od morza do morza!", „Od Niemna po Odrę!"... Największym naszym błędem było zlekceważenie mojej przypadkowej wypowiedzi w Lublinie w 1944 roku: „Jedźmy do Stalina!". Prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, zdeterminowany powiedział na to: „Za późno!".
>
> **Czy było „za późno"? Niektórzy pisarze polscy zadają pytanie: „Czy istniała możliwość uniknięcia Exodusu ludności mazurskiej – dodajmy mieszkańców – Prus Wschodnich?". Sami odpowiadają: „W tamtych warunkach było to niemożliwe".**
>
> Ja na to odpowiadam: „Było możliwe!". Trzeba było tylko posłuchać Edwarda Małłka i w sierpniu 1944 roku powiedzieć: „Jedziemy do Stalina!". Nie było wcale „za późno". Przecież od wypowiedzenia słów „Jedźmy do Stalina" do Konferencji Wielkiej Trójki (Roosevelt – Churchill – Stalin) 4-11.II.1945 roku w Jałcie mieliśmy pół roku czasu, a do Konferencji Poczdamskiej (Truman – Churchill, Attlee – Stalin) od 17.VII. – 2.VIII.1945 roku było jeszcze rok czasu, więc nie było „za późno".
>
> **Dlaczego nie pojechaliśmy do Stalina? Pewnie ze strachu.**
>
> Wiedzieliśmy o tragedii katyńskiej, gdzie tysiące polskich oficerów na rozkaz Stalina zostało zamordowanych.
>
> **Ale nie wiedzieliśmy o tym, co mogło być dla nas bardzo ważne, że Stalin długo, długo, bardzo długo sprzeciwiał się oddaniu Prus Wschodnich pod administrację Polski. Dopiero pod naciskiem mocarstw zachodnich zgodził się oddać Polsce część Prus Wschodnich, przy czym pewną rolę odegrała Polsce przyjazna Francja.**
>
> **Stalin niewątpliwie byłby z otwartymi rękami przyjął delegację Prus Wschodnich, która zaproponowałaby mu utworzenie Republiki Prus Wschodnich pod taką czy inną nazwą.**
>
> **Niestety, trzeba powiedzieć, że nikt z działaczy mazurskich nie urodził się na „Wodza Niepodległej Szwajcarii Bałtyckiej"**.
>
> W tym leży tragedia Prus Wschodnich.

[28] Zob. A. Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*, opr. S. Chwin, BN I nr 72, Wrocław 1991. Por. I. Surynt, *O misjonarstwie cywilizacyjnym. Zakon krzyżacki i kolonizacja „Wschodu" w niemieckim piśmiennictwie drugiej połowie XIX wieku*, w: *Opowiedzieć naród. Literatura polska i niemiecka wobec nacjonalizmów XIX wieku*, red. I. Surynt, M. Zybura, Wrocław 2006.

Dziś wiemy, że w Rosji mogło powstać „Das Neue Deutschland" – przyszłe „DDR". Tak samo mogła powstać „Szwajcaria Bałtycka".

Większość mieszkańców „DDR" czuje się dobrze, bo są u siebie. Tak samo i my czulibyśmy się dobrze w swojej „republice", u siebie, na swojej ziemi. Ta okazja została przez Związek Mazurów zaprzepaszczona. Przecież myśl-idea: „Niepodległe Prusy Wschodnie" nie była nowa. Nie jest wymysłem Związku Mazurów, który ją tylko podchwycił w 1935 roku w Działdowie.

(*Próba reaktywowania Związku Mazurów*)[29]

Utopijność projektu Małłka i niesprawiedliwy charakter pretensji, jakimi obrzuca on kolegów, są wyraźne. Widać, jak świadomość tęskniącego Mazura przesuwa się w stronę mitu (-ów). Kończy tekst *Gdzie jest moja ojczyzna?* rozliczenie tych złudzeń – powracają one w zakończeniu dzieła jako rzekomo utracona szansa ocalenia świata Mazurów pod skrzydłami Stalina.

Zaczyna zaś *Wspomnienia* jeszcze inna konstrukcja mityczna: wywód dziejów Mazurów, jak wiadomo przybyszów ze słowiańskiego, polskiego Mazowsza, od bałtyckich Prusów. Nie chodzi przy tym o etnogenezę Mazurów, ich rodowód od Prusów w znaczeniu biologiczno-plemiennym. Chodzi o spadek losu, dziedzictwo wyniszczenia, którego tak Mazurzy, jak i Prusowie mieli doznać od polskich i krzyżackich wrogów, a w rzeczy samej od demonicznego Rzymu, stolicy katolickiego Babilonu:

Krzyżacy zdobyli ziemię przez wyniszczenie, wymordowanie Prusów. Kraj i naród Prusów przestały istnieć.

Nieliczni Prusowie znaleźli schronienie na Litwie. Reszta zepchnięta została do roli niewolnika, siły roboczej, bez jakichkolwiek praw. Niemcy chlubią się tym, że Zakon Krzyżacki wniósł na Ziemię Prusów cywilizację i kulturę. Pytanie: jaką kulturę?

Jeżeli mówić o kulturze na ziemiach Prusów, to zgodnie z prawdą trzeba powiedzieć, że pierwszą, którą Zakon Krzyżacki wniósł tam, była „kultura" gwałtu, tortur i mordu. Skąd pochodziła taka „kultura"?

Wylęgarnią tej „kultury" był Rzym – „Stolica Apostolska" – „Stolica Święta".

„Kultura" ta w okresie 50-letniej walki z Prusami wylęgała się w mózgach następujących papieży, „Ojców świętych" (?): Innocentego III, Honoriusza III, Grzegorza IX, Celestyna IV, Innocentego IV, Aleksandra IV, Urbana IV, Klemensa IV, Grzegorza X, Innocentego V, Hadriana V, Jana XXI, Mikołaja III, Marcina IV – którzy organizowali wyprawy (posiłki) morderców przeciwko Prusom.

Zakon Krzyżacki w ślad za zdobywaniem ziemi sprowadzał z Niemiec osadników, którzy zagospodarowali zdobyty kraj. Budowano zamki, miasta, osady[30].

Jak widać, dostaje się tu i Niemcom, choć i tu pastor Małłek tworzy spiskową teorię, w myśl której za wszystkie sznurki zła w świecie pociągają papież i Watykan: „Nigdy nie mogę Zakonu krzyżackiego uważać za głównego sprawcę tragedii narodu Prusów, ponieważ działał on na rozkaz Papieża i na życzenie Polaków" (*Gdzie jest moja Ojczyzna?* –

[29] Mamy to do czynienia ze skrzyżowaniem utopii politycznej, przestrzennej i psychicznej (eupsychii). Myśl Małłka o dobrobycie pod skrzydłami Stalina wydaje się po prostu zdumiewająca, podobnie jak pozytywnie jego wypowiedzi o DDR. Zob. J. Szacki, *Spotkania z utopią*, Warszawa 2000; K. Mannheim, *Ideologia i utopia*, przeł. J. Miziński, Warszawa 2008.

[30] W tej sprawie – losu Prusów – trzeba po prostu odesłać do kompetentnych badań. Zob. Ł. Okulicz-Kozaryn, *Dzieje Prusów*, Wrocław 1997.

rozdział II). Ten sam katolicyzm winien ma być rzekomo zupełnej i powszechnej obojętności Polaków wobec mordowania Żydów przez Niemców, wobec prześladowania protestantów i Niemców etc. Są to uproszczenia, nieprawdy, teorie spiskowe. Bezradna świadomość pisarza znajduje schronienie w świecie zbudowanym z czarno-białych podziałów, iluzji i utopii, mitów.

Ostatnim z nich jest mit o charakterze już religijnym. Oto Bóg pokarze grabieżców „Ziemi Mazurskiej", a dziejowej sprawiedliwości stanie się kiedyś zadość. Tę prawdę u Małłka wyrażają i cytaty z Biblii, i przywołane wiersze patriotyczne, takie jak *Unser Herz blieb in Masuren* (*Nasze serce zostało na Mazurach*), w którego kluczowym momencie wprost wyrażona zostaje nie nadzieja, lecz pewność restytucji dawnego świata pruskich Mazurów:

> Drum mögt ihr in Geduld noch warten,
> Denn unrecht Werk hat nie Bestand.
> Doch eurer Heimatschönheit Garten
> Ist unvergänglich wie das Land.
> Niemals verlöschen unsere Spuren,
> Das Schwören wir: Mann, Frau und Kind.
> Denn unser Herz blieb in Masuren,
> Wenn wir auch fern von euch noch sind. –

> Dlatego czekać jeszcze musimy cierpliwie. Dzieło bezprawia ostać się nie może. Piękno Ojczyzny, jej rajskich ogrodów trwa i nie przeminie.
>
> Nigdy nie zanikną nasze ślady – to przysięgamy, my: mężczyzna, kobieta, dziecko, bo serce nasze na Mazurach zostało, mimo że w dali żyjemy.
>
> (*Kim jestem?*)[31]

I tak wygląda mitobiografia Małłka, mazurskiego Odysa – Mazura, potem Polaka, protestanta, Niemca, każdego po trochu – której klamrą pozostaje mazurskość jako punkt wyjścia i dojścia. Pastor Małłek odwołuje się do Boskiego autorytetu sprawiedliwości oraz do licznych dokumentów historycznych, które przytacza *in extenso*. Namawiano mnie do niepublikowania tych historycznych dodatków i dywagacji Małłka. Myślę, że pokazują one pewną stronę jego umysłu, swoistą monotematyczność wyobraźni, rozpoznającej wszędzie trop powrotu i źródła straty *Heimatu*. Przy tym, jak sądzę, źródłami historycznymi i ich interpretacją autor posługuje się stronniczo, subiektywnie.

Napisanie przypisów ze sprostowaniami interpretacji historii dokonanych autora *Wspomnień* zajęłoby kilka lat. Nie ma teraz potrzeby tego czynić – dla historyków są to kwestie oczywiste. Zupełnie już poza kompetencją badacza pozostaje wewnątrzrodzinny dyskurs rodu Małłków, tak znamienitego, tak różnych dokonującego wyborów.

Natomiast trzeba jasno powiedzieć, że *Gdzie jest moja ojczyzna?* nie jest dziełem historiograficznym. Że trzeba ów tekst czytać, biorąc pod uwagę niezmiernie złożone problemy z określeniem tożsamości u Małłka, z których wyplątał się on imaginacyjnie, tworząc kreację ostatniego pruskiego Mazura, niezłomnego, arcyprotestanta, ostatniego Mohi-

[31] Wiersz ów – i inne patriotyczne, przywołane przez E. Małłka – wpisują się w dawniejszą, także literacko zaświadczoną tradycję wschodniopruskiego patriotyzmu, opartego na mitycznych związkach krwi i relacji z ziemią-symbolem. Por. H. Orłowski, *Za górami, za lasami... O niemieckiej literaturze Prus Wschodnich 1863–1945*, Olsztyn 2008.

kanina, nie-Polaka i nie-Niemca, który ukojenie znajduje w przedziwnej utopii: obrazie niedoszłej, ale kiedyś odrodzonej w dalekiej przyszłości Szwajcarii Mazurskiej.

Sądzę, że te marzenia Małłka pozwalają też na pewien dystans wobec jego postawy, dystans rozumny, tam szczególnie, gdzie wygłasza on sądy nader kontrowersyjne. Czyni to w imię niemożliwej do spełnienia utopii mazurskiego państwa. Można też powiedzieć odpowiedzialnie, że traktowanie *Wspomnień* pastora jako źródła historycznego – którym niewątpliwie też są – powinno mieć swoje ograniczenia: trzeba zachować dystans, którego nie musi, bo takie jest prawo pisarza, zachowywać Małłek. Różne partie różnie się w tej roli źródłowej spełniają. Niewątpliwie nie są takim źródłem początkowe (1-4) i końcowe partie *Wspomnień*, mające raczej charakter manifestu. Natomiast części opisujące drogę życiową Małłka od nauczycielstwa przez służbę wojskową po misję pastora ełckiego przynoszą mnóstwo realiów, faktów i – nie zapominajmy – ostrych ocen.

U pastora Małłka nie ma licytacji win polsko-mazursko-niemieckiej historii. Nie ma dopuszczenia do głosu drugiej strony, która pewnie powiedziałaby o bezprzykładnym opowiedzeniu się Mazurów za nazizmem, o służbie w armii niemieckiej ludności Prus Wschodnich, zbrodniach Niemców w Polsce i na wschodzie Europy, czy potem o kolaboracji części Mazurów z komunistyczną Służbą Bezpieczeństwa. Jest za to rejestr polskich win prawdziwych i wyimaginowanych: niechęć do każdego innego, w tym protestanta, grabieże, gwałty, szabrownictwo w Prusach po przegraniu przez Niemcy wojny, traktowanie Mazurów i metodystów jako obcych, „Szwabów", prześladowania fizyczne, napaści na kościoły protestanckie, grabież majątków Mazurów, których po dziś dzień nie mogą oni odzyskać[32], cywilizacyjny regres, jaki powodują na Mazurach przesiedleńcy z Kresów, regres jakby spełniający wszystkie cechy stereotypu *polnische Wirtschaft*[33]. Na końcu tej listy byłoby uniemożliwianie Mazurom wyjazdów do RFN aż do lat 70., ich przymusowa polonizacja i wciąganie w tryby peerelowskiego aparatu władzy, czego przykładem zdaje się pastorowi Edwardowi jego brat Karol, którego jakby broni przed jego własnym życiem, dokonując niebywałej reinterpretacji jego wyborów życiowych, czyniąc zeń ofiarę systemu polskiej władzy[34].

Traktowanie więc *Gdzie jest moja Ojczyzna?* jako może i „przesadnego", „niesprawiedliwego" świadectwa, ale świadectwa wiarygodnego w pełni, jest co najmniej dyskusyjne[35]. Edward Małłek jest świadkiem historii, lecz jest to historia Edwarda Małłka, całkowicie podporządkowana jego wyobrażeniom, idiosynkrazjom i marzeniom. Ma on tego pełną świadomość, pisze o własnym „fanatyzmie", który ściera się z „fanatyzmem" polsko-katolickim. Nie wątpię jednak, że część czytelników już potraktowała ów tekst jako książkę historyczną. Cóż, nie jest to dobrze. Jest to książka „historyczna" w znaczeniu rangi zapisu

[32] Zob. E. Kruk, *Spadek. Zapiski mazurskie 2007–2008*, Dąbrówno 2009.

[33] H. Orłowski, *„Polnische Wirtschaft". Nowoczesny niemiecki dyskurs o Polsce*, przeł. J. Sellmer, S. Sellmer, Olsztyn 1998. Temu stereotypowi Polacy przeciwstawiają często racje moralne. Por. W. Próchnicki, *Władza demonów*; J. Ławski, *Życie i śmierć mitu. „Faust polski" między XIX a XXI wiekiem*, w: *Postaci i motywy faustyczne w literaturze polskiej. Materiały Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej Białystok 23-26 października 1997*, pod red. H. Krukowskiej i J. Ławskiego, Tom II, Białystok 2001.

[34] Właściwie trzeba zapytać – czy ma prawo tak czynić?

[35] Autorzy *Ełku. Spacerownika po mieście niezwykłym* (Ełk 2014, wyd. 2), Michał Olszewski i Rafał Żytyniec, kilkanaście stron na temat Parafii Ewangelicko-Metodystycznej Miłości Bożej (s. 105-117) oparli na *Wspomnieniach* Małłka, pisząc, iż korzystają z „pamiętników gorzkich jak piołun i niesprawiedliwych" (s. 106), po czym przywołali obszerne partie tekstu i zdjęcia z *Gdzie jest moja Ojczyzna?*.

– tak ostrej, jednowymiarowej, pełnej paradoksów wypowiedzi w literaturze mazurskiej i o Mazurach jeszcze nie było.

Paradoks kulturowego zakorzenienia

Paradoksem tekstu Edwarda Małłka jest to, że przez swój językowy i kulturowy kształt przynależy on do literatury polskiej, jej mazurskiej gałęzi. Co więcej, jest to przynależność jeszcze silniejsza niż u XIX- i XX-wiecznych poetów mazurskich. Małłek jest po prostu wrośnięty w kulturę literacką polską – jeśli już coś, kogoś oprócz Biblii cytuje, to pisarzy polskich: Reja, Mickiewicza, Asnyka. To jest jego środowisko kulturowe, pomimo iż tkwi też w niemczyźnie. Ten bilingwinizm Małłka nie przekłada się na jego zainteresowanie literaturą niemiecką, która na przykład w „Przyjacielu Ludu Łeckim" i kalendarzach mazurskich funkcjonowała na równych prawach obok staropolskiej klasyki, od Kochanowskiego począwszy[36].

Jeszcze większym paradoksem okazuje się efekt tego Małłkowego wielkiego wspominania. Wyjaśnia on we wstępie: „Czytając moje wspomnienia, należy pamiętać, że nie jestem ani literatem, nie jestem pisarzem ani naukowcem" (*Od Autora*). Ba, kiedy Edward Małłek okazał się bardzo zdolnym pisarzem! Na tle ogromnej literatury wspomnieniowej tekst jego – niemały przecież – wyróżnia się rozmachem i żelazną konstrukcją, szczegółowością (pamięta nawet, w którym kącie jaki stał mebel w kolejnych mieszkaniach) złączoną z wizjonerstwem i mitotwórstwem (ma ambicje pokazania geopolitycznych procesów, które doprowadziły do zagłady Mazurów). Widać tu opanowanie technik i poetyki tekstu biblijnego, nad czym góruje jednak zmysł i zdolność żywego utrwalania wydarzeń sprzed pół wieku tak, jakby działy się przed chwilą. Ważną rolę pełni tu przyśpieszające nerw narracji zdialogizowanie opowieści, wplatanie w nią dialogów, a nawet myśli bohatera. Z drugiej strony funkcję retardacji, spowalniającej narrację, pełnią liczne cytaty biblijne[37], pełniące rolę autorytatywnych rozstrzygnięć, wspierające autorytet opowiadacza i mające funkcję moralizującą. Małłek nie jest „literatem", ale jest pisarzem. Samorodnym talentem, trochę naturszczykiem, trochę pozującym na naiwnego twórcę pisarzem o sporej samoświadomości pisarskiej.

Gdy idzie o gatunkowe przyporządkowanie, tekst Małłka określa jednoznacznie podtytuł: *Wspomnienia*. Aczkolwiek są to wspomnienia z elementami wyznań (*confessiones*), eposu, kazania, traktatu polemicznego i protestanckiej postylli, by nawiązać do Dambrowskiego i innych[38]. Liczne są tu interpolacje poetyckie, publicystyczne, historiograficzne. To wszystko jednak nie zaburza głównego strumienia wspomnień, zbudowanych na następstwie kolejnych etapów życia. Tekst Małłka, pomimo niewspomnieniowego początku i końca, utrzymanego w poetyce manifestu (tożsamości) i inwokacji, jest spójny. Jest wspomnieniem-sylwą-polemiką; można by ułożyć kilkanaście takich hybryd genologicz-

[36] Zob. *Przyjaciel Ludu Łecki (ełcki). Rocznik 1842 i 1844 wraz z „Przydatkiem"*, opr. i wstęp G. Jasiński, Dąbrówno 2010; D. Kasparek, *Jan Karol Sembrzycki 1856–1919. Mazur na rozdrożu narodowym*, Olsztyn 1988; S. Sobieraj, *Mazurski splot. Studia i szkice literackie*, Warszawa 2003.

[37] Małłek korzysta z protestanckiego przekładu Biblii.

[38] Zob. L. Przymuszała, *Struktura i pragmatyka „Postylli" Samuela Dambrowskiego*, Opole 2003.

nych na określenie tego – w pewnym znaczeniu – arcydzieła memuarystyki. Że budzącego przestrach swą treścią – to inna sprawa, ale też związana z wartością artystyczną tekstu.

Co inni kamuflują, Małłek nie tylko ujawnia, lecz i czasem doprowadza do przesady. Unika przy tym estetyki wzniosłości czy melancholii. *Gdzie jest moja ojczyzna?* cechuje realizm stylu z silnie zaznaczonymi elementami polemiczności, ironii (rzec można: zgryźliwości) i s a r k a z m u . Osobiście uznałbym *Wspomnienia* za znamienitą manifestację estetyki sarkazmu, a nie ironii. Sarkazm jest żywiołem świadomości, która nie godzi się z rzeczywistością, ale też (inaczej niż ironia) jej nie burzy. Jest on konstatacją gorzkiej, rozdzierającej bezsilności. Świadomość sarkastyczna Małłka to wynik jego świadomości, że pisze ów tekst jako „80-letni starzec" (*Od Autora*) i że jest to horyzont, który zbyt wiele już nie obiecuje. I ów sarkazm nie ma też godzić Małłka ze światem – ma być ostatnim i mocnym „nie!" powiedzianym historii[39].

Jak wiemy, autor podróżował do Brodowa na groby rodzinne, lecz także wielokroć odwiedzał Ełk. Edward Małłek to jakby sobowtór-zaprzeczenie Siegfrieda Lenza, pisarza urodzonego w Ełku. Gdy ten drugi mówi „pogódźmy się", Małłek odpowiada: „O, nie, najpierw oddajcie to, coście zabrali...". Na *Wspomnieniach* nie da się ufundować mitologii polsko-mazurskiego pojednania, tak jak na postawie Lenza buduje się strategię polsko-niemieckiej zgody historycznej. Lenz jest tu Doktorem Jekyllem, Małłek – Mister Hydem. *Wspomnienia* przynoszą zresztą niezmiernie ostrą polemikę z obrazem Mazur zapisanym w *Muzeum ziemi ojczystej* (1978) Lenza[40]. Są jakby odpowiedzią na ten skandal pojednawczego gestu. I, trudno nie dodać, jest to odpowiedź „amatora", która sprostała wyzwaniu „profesjonalisty" Lenza. W każdym razie – musimy dziś, szczególnie my, Polacy – słyszeć oba głosy, dobiegające z przeciwnych brzegów tej samej rzeki, która zmiotła świat Mazurów.

Nie zgadzam się z głosem, jakoby los Mazurów wskazywał na jakąś istotną klęskę samej kultury polskiej, która nie umiała ich przyciągnąć. Zawieszeni między silnymi ekonomicznie Niemcami a zawsze od XVIII wieku słabą Polską, między totalitarnym obozem sowieckim i demokratycznym Zachodem – w sposób rozumny, przezorny wybrali Zachód. Nie odjęło im to od razu kulturowego bagażu polskości, którą zaświadczają – w części przeciw Polsce i Polakom napisane – *Wspomnienia* pastora Małłka.

Powiada się, że takie małe wspólnoty „pograniczne" w epoce szalejącej historii skazane były na klęskę. To też półprawda. Czemu powiodło się Kaszubom, a nie Słowińcom? Dlaczego istnieją, pomimo wszystko, Gaugazi, Pomacy, słowaccy Węgrzy? Nie ma prostej odpowiedzi na pytanie, dlaczego jednym się udało, innym nie. *Wspomnienia* są swego rodzaju summą mazurskiego losu, prawda, że zakończoną rozpoznaniem tożsamościowym autora, który zakreśliwszy koło życia, odkrył w sobie niepogodzonego ze światem „pruskiego Mazura". I nie wyciągnął pospiesznie ręki do pojednania.

Jest to Jego wybór. Wybór Odysa, który wróciwszy do Itaki, znalazł pustkowie zasiedlone przez, jak to odczuł, obcych. I w ich, obcych, języku, który był jego językiem, spisał to cierpieniem znaczone, ostro wybrzmiewające, sarkazmem przepojone wołanie: *Gdzie jest moja Ojczyzna?* Zapewne, jak zawsze, ojczyzna jest także w języku.

---

[39] Przypomnijmy nieco złowieszczą etymologię słowa „sarkazm" – gr. *sarkasmos* – szydzić, gryźć ze złości wargi.

[40] S. Lenz, *Muzeum ziemi ojczystej*, przeł. E. Borg, M. Przybysławska, Olsztyn 2010.

Tekst ten zrodziły strata, tęsknota, nostalgia. Jak rzadko kiedy, nie przyniosło to literackiego dokumentu rozpaczy, sentymentalnego wspominactwa, rozrzewnienia. Małłek, inaczej niż profesjonalni literaci, tacy jak Wiechert, Bobrowski, Surminski[41], nie dał się unieść metafizyce krajobrazu (to chyba obce jego chłopskiej duszy) i stylistycznemu ornamentowi i rozrzewnieniu. Nie popadł w poprawnościową koleinę: „innego" (czytaj: dobrego) Wschodnioprusaka, który godzi, opłakuje, kocha to, co stracił, jeszcze bardziej, bo... to stracił, bo już tego nie ma[42]. Właściwie każdy wybór postawy był tu zły. Ani gesty pojednawcze, ani pomstowanie na Polaków-katolików niczego nie zmieniały. Pozostał sarkazm. Małłek przyznał sobie do niego prawo. Wiele przemilczał – szczególnie z okresu, kiedy żył polską ideą narodową[43]. Nie za chętnie o tym pisze. Nie za chętnie eksponuje odpowiedzialność Niemców i Mazurów za historię, w tym kataklizm II wojny światowej. Przyjmuje postawę ofiary, która w stylistycznej furii pyta o racje prześladowców realnych i wyimaginowanych, bowiem...

> Hitlerowcy tych, którzy mówili: *Ich bin ein Masure*, uznawali za Polaków. Dlatego mój brat Robert i dr Kurt Obitz ponieśli męczeńską śmierć. Oni są męczennikami Ludu Mazurskiego.
>
> I ja byłem w rękach hitlerowców jako oficer wojsk polskich. Gdyby mnie postawili pytanie, z którym wiązałoby się życie lub śmierć, wybrałbym życie. Dlatego za staraniem przyjaciół-Niemców, rodziców moich dzieci szkolnych w W. Wełczu, powiat Grudziądz, zostałem – ku mojej radości – zwolniony z niewoli niemieckiej z Oflagu VII C w Laufen koło Salzburga.
>
> Będąc wolny, mogłem w konspiracji działać przeciw hitleryzmowi, a od 1945 roku służyć mojemu Ludowi Mazurskiemu jako ewangelicki pastor w Ełku, będąc wiernym synem Ziemi Mazurskiej.
>
> (*Kim jestem?*)

Oto jeszcze jeden paradoks postawy i tożsamościowego wyboru – przeciw polskości stawia on nawet swe „polskie" cierpienie. Odrzucenie polskości jest zresztą w finale *Wspomnień* jednoznaczne i bezdyskusyjne. Paradoks: dokonuje się w językowo-kulturowej przestrzeni polskości, jaką eksponują te *Wspomnienia*. Małłek osiąga pewność, że jest „pruskim Mazurem", ale przecież nie może nie wiedzieć, że pisze dla czytających po polsku Mazurów i Polaków. Ucieka od tego, w czym się przez język zakorzenia. Odrzuca „fałszywą" tożsamość, zaświadczając jej nieprzemijalność, „nieścieralność" jako najważniejszej warstwy własnej tożsamości. Życia nie da się zgubić i zetrzeć z istoty pamięci w kilka dni. W ogóle nie da się go zetrzeć.

---

[41] Zob. J. Bobrowski, *Gesammelte Werke in sechs Bänden*, hrsg. von E. Haute, Berlin 1987; J. Zaprucki, *Kultura reminiscencji – reminiscencje kultury. Motyw małej ojczyzny w twórczości Siegfrieda Lenza, Horsta Bienka i Johannesa Bobrowskiego*, Jelenia Góra 2006; *Studia o twórczości Ernsta Wiecherta*, red. S. Sobieraj, Siedlce 2010; H. E. Beyersdorf, *Erinnerte Heimat. Ostpreussen in literarischen Werk von Arno Surminski*, Wiesbaden 1999; E. Konończuk, *Literatura i pamięć na pograniczu kultur (Erwin Kruk – Ernst Wiechert – Johannes Bobrowski)*, Białystok 2000.

[42] Por. prace zebrane w tomie: *Wielokulturowy świat Siegfrieda Lenza. Studia*, red. J. Ławski, R. Żytyniec, Białystok – Ełk 2014; także: M. Ossowski, *Literatura powrotów – powroty literatury. Prusy Wschodnie w prozie niemieckiej po 1945 roku*, Gdańsk 2011.

[43] Por. prace: *Tożsamość a język w perspektywie slawistycznej*, red. S. Gajda, Opole 2008; W. Olszewski, *Tożsamość kulturowa Kresów w humanistycznym nurcie polskiej myśli etnologicznej do roku 1939. Studium z zakresu antropologii stosowanej*, Toruń 2007; jako kontekst: M. Jochemczyk, *Śląski oikos – na rubieżach światów*; K. Tałuć, *Historiozoficzne koncepcje Śląska jako pogranicza w piśmiennictwie ks. Emila Szramka*, w: *Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria II: *Wiktor Choriew in memoriam*, idea i wstęp J. Ławski, red. A. Janicka, G. Kowalski, Ł. Zabielski, Białystok 2013.

XX wiek przyniósł tysiące podobnych biografii – polskich, niemieckich, żydowskich, rosyjskich. Ich istotą jest powrót podmiotu u kresu życia do tej pierwotnej warstwy tożsamościowej, którą się odrzucało, przekraczało, negowało, wybierając komunizm, nowoczesność, lewicowość, totalitaryzm. Na końcu „ja" wracało do gniazda. Ale pozostawały zawsze niemożliwe do przekreślenia świadectwa tej drogi: czyny, teksty, akty i fakty.

W przypadku Mazurów rzecz się miała jeszcze inaczej: przez język niedaleko im było i do polskości, i do odwrócenia się od niej, by wrócić w patriarchalny świat prusko-niemieckich wartości, świat, gdzie po polsku wydany *Wianek śpiewów patriotycznych* (*Patriotischer Lieder Kranz*) poprzedza wiernopoddańcza pruska dedykacja: *Królowi i Ojczyźnie / Dawna wierność nieskażona*[44].

Edward Małłek wybrał jako ojczyznę swą ukochaną rodzinę, wyimaginowaną pruską Mazurskość jako idealny regulator jego intelektualnych rozterek i politycznych wyborów oraz protestantyzm jako, w jego ujęciu najgłębszą, formę duchowości. Są to wybory istotne. Wybory istotnych wartości. Miał do nich prawo. Rodzina, Mazurzy, Kościół – w tym kręgu zamyka się jego świat opisany w Mazurskiej Odysei po polsku.

Epilogi po epilogu... Katharsis

W papierach, które Andreas Małłek przekazał Muzeum Historycznemu w Ełku, znajduje się teczka czy skoroszyt zawierający niezwykłe dopełnienie tekstu *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*[45]. Jest to mianowicie *Epilog* pisany w latach 90. po upadku komunizmu, a więc w zmienionej sytuacji geopolitycznej, gdy rozpadł się dawny porządek dwóch bloków politycznych, a Polska Rzeczpospolita Ludowa, bezpośrednia sprawczyni wygnania Mazurów, odeszła do historii:

> Gdy skończyłem pisanie moich *Wspomnień*, ziemia zatrzęsła się doniosłymi wydarzeniami. Rozpadł się Związek Socjalistycznych Republik Rad, kolebka i bastion komunizmu światowego. Upadają reżimy komunistyczne w różnych krajach świata. Na gruzach ZSRR powstają republiki narodowościowe, w tym Rosja. Odzyskują niepodległość kraje bałtyckie: Estonia, Łotwa i Litwa.
>
> Jednoczą się dwa państwa niemieckie: Bundesrepublika i Deutsche Demokratische Republik. Berlin staje się na nowo stolicą zjednoczonych Niemiec.
>
> Komunistyczny dyktator DDR, Erich Honecker, umiera na wygnaniu w Chile jako azylant, chowany przez wdzięcznych mu lumumbowców. Na terenie zbankrutowanej DDR w miejsce komunistycznej partii SED powstaje jej spadkobierczyni, „socjalistyczna" partia PDS, która żywi się resztkami padliny „nieodżałowanego" komunizmu.
>
> Jest rok 1994. Ostatni żołnierz byłego Związku Socjalistycznych Republik Rad opuszcza w tym roku: Polskę, Estonię, Łotwę, Litwę i Niemcy. Jedynie Prusy Wschodnie (mój Heimat) nie uzyskały wolności. Ale i tu zachodzą doniosłe zmiany.
>
> [*Epilog (I)*]

[44] *Wianek śpiewów patriotycznych. Wydał Gottfried Schulz pleban ewangelistów w Jansborku (Piszu) 1852*, opr. G. Jasiński, Pisz 2013.

[45] Zobacz *Zasady wydania* w niniejszej książce – tu: opis skoroszytów, które trafiły do MHE w Ełku.

Małłek dostrzegł w tej sytuacji konieczność ponownego przemyślenia historycznych perspektyw ziem mazurskich i ich dawnych mieszkańców, potomków, wywodzących się z Prus Wschodnich. Jest to spojrzenie człowieka, który w tym czasie stale jeździ na Mazury, a ponadto śledzi polityczne rachuby wielkich dzienników niemieckich, cenzurujących *Ostpolitik* rządu kanclerza Helmuta Kohla, oraz mniejszych pism wydawanych przez ziomkostwa. Jak zawsze, u Małłka polityk zostaje zwyciężony przez wizjonera, marzyciela-geostratega. Po prostu rodzi się znów pruski Mazur, który nagle widzi szansę stworzenia nowego państwa: „Czwartej Republiki Bałtyckiej" (obok odrodzonych państw bałtyckich: Litwy, Łotwy i Estonii).

Państwo to uznaje pastor za – w tej czy innej formie – konieczny element przyszłego, w dalekiej przyszłości funkcjonującego nowego ładu europejskiego. Małłek sprzeciwia się z jednej strony ideologii Wielkich Niemiec, jednopaństwowych, jednokulturowych, jednojęzykowych, a z drugiej strony (chyba) przypisuje tę wyimaginowaną Republikę Bałtycką do wielkiej kulturowej strefy państw niemieckich, razem z Republiką Federalną Niemiec, Austrią, Szwajcarią, sugerując nawet, iż w przyszłości jeszcze odleglejszej przesiedleńcy z przeludnionych Niemiec znajdą w niej ziemię, przestrzeń, swobodę:

> Tym ziomkom Prus Wschodnich i ich potomkom, żyjącym w Niemczech, którzy dziś nie myślą o przyszłości swojej Ziemi Ojczystej, chciałbym powiedzieć, że przyjdzie czas, że Naród Niemiecki, ściśnięty w dzisiejszych granicach, będzie szukał kraju i ziemi dla nadmiaru swej ludności. Dlatego już dzisiaj należy myśleć o przyszłości naszej Ziemi Ojczystej, która może być kolebką dla naszych wnuków, prawnuków.
>
> [*Epilog (I)*][46]

Pastor Małłek – człowiek już wtedy ponadosiemdziesięcioletni – z impetem piętnuje zarówno izolacjonizm ziomkostw wschodniopruskich, jak i zbyt powierzchowne, jego zdaniem, gesty pojednawcze Polaków, „nowych Mazurów" zasiedlających te ziemie. Wszystkim im przeciwstawia drobiazgowo opracowany plan powołania nowego państwa (tak!) pod warunkiem, że nastąpi „(...) rewizja – korektura – zmiana orientacji myślenia, uczuć patriotyczno-nacjonalistycznych u mieszkańców obecnie zamieszkujących Prusy Wschodnie i u tych, którzy chcą wrócić na swoje ziemie" [*Epilog (I)*]. Plan Małłka jest szczegółowy, opracowany drobiazgowo, począwszy od takich imponderabiliów, jak oparcie Republiki Prus Wschodnich na Rosji:

> Prusy Wschodnie powinny być Państwem Niepodległym. Landsmannschaft Ostpreussen powinno przypomnieć dzień 11 lipca 1920 roku, kiedy to 98% głosujących mieszkańców Prus Wschodnich wypowiedziało się za Prusami Wschodnimi – „für Ostpreußen". Już wtedy mogła być niepodległa Republika Prus Wschodnich. Niestety, zrezygnowano z „Ostpreußen", przyłączając się do „Groß-Deutschland". I dlatego płacimy za to teraz naszą tragedią.
>
> Obecnie należy ten błąd naprawić. Innej alternatywy dla Prus Wschodnich nie ma, jeżeli chcemy wrócić do Domu, do Heimatu.
>
> Przy tym wszyscy, Polacy i Niemcy, powinniśmy sobie zdawać sprawę z tego, że klucz przyszłości Prus Wschodnich (powstania Czwartej Republiki Bałtyckiej) nie leży ani w Bonn, ani w Berlinie, ani w Warszawie, lecz jedynie w Moskwie.

[46] Fragment ów, co znaczące, znalazł się w samym zakończeniu *Epilogu (I)*, tuż przed apostrofą do Boga.

> Moskwa bowiem jestem matką-rodzicielką dzisiejszego stanu rzeczy w Prusach Wschodnich. Moskwa urodziła polskie „Mazury" i rosyjski „Oblast Kaliningradzki". I tylko Rosja może skorygować, zmienić to, co według słów Mołotowa miało istnieć 50 lat.
>
> [*Epilog (I)*][47]

Projektodawca skupia się na wszystkim: na nazwie państwa („P r u s a i R e p u b l i k a" – dla upamiętnienia dawnych bałtyckich Prusów), zarysie demokratycznego ustroju państwa wielonarodowego i wieloreligijnego z absolutnym rozdziałem od niego kościołów (równych sobie), kończąc na opisie – jakże precyzyjnym – plebiscytu, który miały doprowadzić do powstania „Prusai Republiki". Projektodawca daje się ponieść marzeniom. Kreśli nawet nowe granice państw, przyłącza do wymarzonego państwa Gdańsk, szkicuje mapę przyszłych sojuszy.

Można, oczywiście, uznać *Epilog (I)* za rejestr mrzonek niemożliwych do spełnienia. Ale trzeba w nim widzieć też stałą cechę myśli i wyobraźni pastora Małłka – odpowiedzią na wstrząs wydziedziczenia z Ojczyzny jest u niego predylekcja do tworzenia – w najlepszym tych słów znaczeniu – wizji utopijnych.

Projektowane państwo – „Prusai Republika" – to utopia polityczna, ale przecież i najgłębiej intymna tęsknota o charakterze egzystencjalnym. U starego już człowieka znów i z jakże wielką siłą odzywa się pragnienie zakorzenienia, przypisania do idealnej Wspólnoty Mazurów (teraz obejmowałaby ona i Polaków, i inne narody zamieszkujące dzisiejsze Warmię i Mazury, Gdańsk), do własnego protestanckiego Kościoła oraz do – w końcu zjednoczonej ponad podziałami, jakie ujawniła XX-wieczna polityka – rodziny Małłków. Małłków rodem z „Prusai Republiki". Jest w tym wszystkim nostalgia, jest i niepowstrzymana tęsknota, wyrażona podróżami pastora Małłka do Brodowa, udziałem we wspólnych uroczystościach dawnych i dzisiejszych mieszkańców wsi.

Małłek znów bywał nieugięty jako szermierz swojej „prawdy historycznej", przypominający roszczenia pruskich Mazurów do ziemi, majątku, dóbr kultury. Choć – jak sam pisze – głos polityka zawiesza w chwilach uroczystości religijnych, to jednak nieprzejednanie powraca do swego stanowiska...

> Dzisiejszą uroczystość chciałbym nazwać S p o t k a n i e m. Spotkaniem dwóch epok. Dwóch epok osadnictwa polskiego na Ziemi Brodowskiej. Ci, których honorujemy tablicą pamiątkową, to potomkowie polskich osadników, którzy przybyli na te ziemie 700-800 lat temu. Wykarczowali lasy i założyli osadę Brodowo.
>
> Wówczas Brodowo wyglądało inaczej. Otoczone było borami, lasami, kniejami, nad rzeką rozpościerały się rozlewiska, trzęsawiska, topiele. W lasach pełno dzikiego zwierza, nawet byzony i niedźwiedzie – jak to stwierdzają naukowcy. Praca pierwszych osadników była ciężka, mozolna i niebezpieczna.
>
> Mieszkańcy dzisiejszego Brodowa to osadnicy polscy obecnej epoki, od 1945 roku, którzy posiedli dorobek pierwszych osadników polskich, jakże w łatwiejszy sposób od tamtych.

[47] Widzę w tych słowach i echo mazurskiego, „lokalnego" lojalizmu wobec „kajzerów", cesarzy niemieckich, i domieszkę niemieckiej myśli geopolitycznej – studiowanej przez Małłka w artykułach z niemieckich gazet – tradycyjnie sprowadzającej porządek w Europie Środkowo-Wschodniej do rozwiązań „uzgodnionych" przez Niemcy i wielką Rosję. Nie jest to spojrzenie w jakikolwiek sposób związane z polską tradycją patrzenia na Rosję (zob. *Obraz Rosji w literaturze polskiej XX wieku*, red. A. Jarzyna, Z. Kopeć, współudział M. Jaworski, Poznań 2014).

> Dzisiejszą uroczystość chciałbym też nazwać P o j e d n a n i e m . Czy jednak można tak powiedzieć? Moim zdaniem, w tej sprawie zaistniała istotna historyczna przeszkoda. Bardzo dawno. Był to rok 1525. Wtedy, kiedy książę pruski Albert I składał hołd królowi polskiemu Zygmuntowi I Staremu w Krakowie, między Mazowszanami a osadnikami polskimi księstwa pruskiego powstała – powiedziałbym – swego rodzaju „żelazna kurtyna" – granica religijno-wyznaniowa".
>
> [*Epilog (I)*]

Upór był jedną z tych cech charakteru pastora Małłka, które zjednywały mu zwolenników, ale i wrogów. Upór, konsekwencja, stanowczość i marzycielstwo – to wszystko jednak stawiało pisarza w sytuacji niegodnej pozazdroszczenia i wobec Polaków, i wobec Niemców. Ci pierwsi widzieli w nim czasem „rewizjonistę", ci drudzy – jak redakcja „Ostpreussenblatt" – zwolennika „pojednania" i restytucji jakiejś obcej, bo nie niemieckiej kultury w Prusach Wschodnich. Zresztą pokusę pangermanizmu gromił Małłek bez litości, odwołując się tym razem do polsko-mazowieckich tradycji Mazurów:

> Z treści pisma widzimy wyraźnie, na jakim koniu galopuje „Ostpreußenblatt". Widocznie „Ostpreußenblatt" uważa, że w Prusach Wschodnich istniała tylko kultura niemiecka i dlatego należy tylko do niej nawiązywać. Myślę, że takie stanowisko pachnie szowinizmem, niezgodne [jest] z prawdą historyczną.
>
> Ogólnie wiadomą jest rzeczą, że w północnej części Prus Wschodnich, graniczącej z Litwą, mieliśmy ludność pochodzenia litewskiego z językiem i kulturą litewską. W powiatach: Neidenburg, Osterode, Ortelsburg, Sensburg, Johannisburg, Lötzen, Lyck, Olecko zamieszkiwała ludność mazurska, pochodzenia polskiego, pielęgnująca swój język mazurski i swoją kulturę mazurską.
>
> Jestem Wschodnioprusakiem i jest mi wiadome, że generacja moich rodziców (ojciec ur. 1862 Groß Schläfken (Sławka Wielka), matka ur. 1971 Scharnau (Sarnowo), oboje pow. Neidenburg) uczęszczała do szkoły (w Prusach Wschodnich) z mazurskim-polskim językiem wykładowym. Tak było we wszystkich wymienionych powiatach. Nauczyciele nie umieli po niemiecku. W kościołach panował język mazurski.
>
> [*Epilog (I)*][48]

Pastor Edward Małłek, co może brzmi zaskakująco, pisał, działał i żył jak skromny człowiek – niewolny od wad, uparty, czasem konfliktowy. Miał tego pełną, szlachetną świadomość. I nigdy nie przemawiał *ex cathedra* jako reprezentant „żywiołu germańskiego" ani jako głos Mazurów przypisujący sobie boski autorytet. Przeciwnie: rachuby i czyny polityczne, nadzieje i zwątpienia poddawał – w swej skromności – ocenie najwyższego autorytetu: Wszechmogącego Boga. I to Jemu w zakończeniu *Epilogu (I)* powierzał losy swej Ojczyzny: „Boże Wszechmogący, błogosław moje wolne Prusy Wschodnie! *Hamburg, dnia 7.09.1994*". Rok później na dworcu w Olsztynie Edward Małłek doznał zawału serca, który zakończył jego życie[49]. Znów był w drodze. W drodze do swych ukochanych, do własnego świata marzeń o Ojczyźnie.

---

[48] „Ostpreussenblatt" – niemiecki tygodnik wydawany od 1950 roku, organ Landsmannschaft Ostpreußen. W roku 2003 przemianowany na „Preußische Allgemeine Zeitung". Pismo o charakterze konserwatywnym, szerzące wschodniopruski, wielko-niemiecki patriotyzm.

[49] Por. A. Szymański, W. Zagożdżon, *Małłek Edward (1906–1995)*, w: *Mazurzy. Słownik stronniczy, ilustrowany*, red. W. Mierzwa, Dąbrówno – Warszawa 2008, s. 102: „Jedna z jego sentymentalnych podróży na ukochane Mazury zakończyła się śmiercią na dworcu kolejowym w Olsztynie".

Życzeniem – jasno wyrażonym – pastora Małłka było opublikowanie *Epilogu (I)* wraz z całym tekstem *Wspomnień*:

> Załączony *Epilog* znajdzie się w przyszłości w mojej książce – wspomnieniach pod tytułem *Gdzie jest moja Ojczyzna?* (Heimat) – przeszło 600 stron druku z licznymi zdjęciami.
>
> [*Epilog (III)*]

Ale przekazany Muzeum Historycznemu w Ełku skoroszyt, o którym wspomniałem, przynosi kolejne dopowiedzenia. Jakby pastor nie mógł zakończyć rozliczeń z historią bez rozliczeń z tym, co bolało go szczególniej: losami Kościoła Metodystycznego w Polsce po II wojnie światowej[50]. Dlatego w papierach znajdujemy jeszcze jeden *epilog* [określony tu przez nas jako: *Epilog (II)*], tym razem zawierający gorzką ocenę odpowiedzi, jakiej w 1991 roku udzielił księdzu Kościół, który w stosownym piśmie odmówił mu (w tymże roku) rehabilitacji. Małłek przyjmuje tę decyzję z ogromną goryczą, używając wobec władz wspólnoty ostrych, niewątpliwie przesadnie surowych słów. Postawę ofiar komunistycznych represji ocenia jednoznacznie: „Niewinnie zwolnieni pastorzy mogą być dumni ze swej postawy. *Hamburg, dnia 7.09.1994. Edward Małłek*". Autor, co znać po datach, tego samego dnia napisał i polityczny projekt zawarty w *Epilogu (I)*, i rozliczenie z Kościołem, które publikujemy jako *Epilog (II)*.

Trzeba jasno powiedzieć, iż wspólnotom religijnym w Rzeczypospolitej Polskiej nie do końca powiodło się rozliczenie przed sobą, wiernymi i historią działań z epoki PRL-u, takich jak kolaboracja z UB, SB, MO, wywiadem i kontrwywiadem, finansowanie i polityczne współdziałanie z władzą reżimową. Przez następujące po roku 1990 roku ćwierć wieku temat ten stawał się na przemian: tabu społecznym i medialnym, sensacją i skandalem posądzeń o agenturalność, przedmiotem zaciekłych sporów historyków[51].

Dlatego w 1991 roku pastor Małłek raczej nie mógł się spodziewać satysfakcjonującej odpowiedzi od władz Kościoła. Ale dodajmy też: nie chodziło mu tylko o „urzędowe" rozliczenie przeszłości. Chodziło o najgłębiej osobistą krzywdę, która mogła i w końcu musiała się wyjawić w *Epilogu (II)*. Dla Małłka były to bowiem działania bezbożne, których bez świadectwa (przemilczając je...) pozostawić nie mógł i nie chciał. Taki miał charakter, tak nieustępliwą osobowość.

Ostatnim zakończeniem mazurskiej epopei jest wreszcie list pastora do redakcji jednej z niemieckich gazet (nie wiemy, jakiej). To już ostatnie słowo Małłka, podpisane *Hamburg, 20.09.1994 r.*, tym razem skierowane w przyszłość. Autor *Wspomnień* wyraża tu nie tylko nadzieję na publikację *Epilogu (I)*, lecz także kreśli plan wydania całości *Wspomnień* wraz z *Epilogiem (I)* w formie książkowej. Można uznać, iż jest to ostateczne dopełnienie znakomitej mazurskiej odysei Edwarda Małłka:

---

[50] Do tej sprawy odnosi się tekst ks. Dariusza Zubera: *Pastor Edward Małłek i metodyści* publikowany w tym wydaniu.

[51] Zob. między innymi: A. Kopiczko, *Kościół Warmiński a polityka wyznaniowa po II wojnie światowej*, Olsztyn 1996; E. Kruk, *Ewangelicy olsztyńscy w okresie totalitarnym i wymiany ludnościowej XX wieku*, w: *Ewangelicy na Warmii i Mazurach. Dzieje i współczesność*, red. E. Kruk, Olsztyn 2001; A. Sakson, *Stosunki narodowościowe na Warmii i Mazurach w latach 1945–1946*, Poznań 1998; M. Płotek, *Trudne początki. Okręg Mazurski 1945–1946*, Dąbrówno 2011; M. T. Korejwo, *PZPR na Warmii i Mazurach 1948–1990*, Olsztyn 2011.

Obecnie jestem chyba jednym z ostatnich Mazurów Prus Wschodnich o tradycyjnym języku mazurskim, tradycyjnej kulturze mazurskiej, mazurskich zwyczajach, obyczajach mazurskich i ewangelickiej kulturze religijnej.

Ponieważ przyjąć trzeba, że tradycyjnej mazurskości w Prusach Wschodnich dzisiaj nie ma (wyniszczona, zanikła), wobec tego obecnie przyłączam się do tych, którzy mówią o sobie: „Ich bin ein Ostpreuße". I jako taki rozmyślam nad przyszłością mojej kochanej Ziemi Ojczystej Prus Wschodnich.

[*Epilog (III)*]

Niniejsza publikacja jest, sądzić wolno, epilogiem wszystkich epilogów, ujmującym w jednym tomie wszystkie części tej fascynującej opowieści Pastora, Ostatniego Mazura. Człowieka z takiej części świata, gdzie cywilizacja przychodziła po cywilizacji: starych, bałtyckich Prusów zastąpili Niemcy i Mazurzy, tych zastąpili Polacy i Rosjanie; świata, gdzie asymilowali się przybysze z różnych części Zachodniej i Wschodniej Europy (od mennonitów po filiponów, od członków diaspory żydowskiej w XIX wieku po Ukraińców zasiedlających nie z własnej woli te ziemie po II wojnie światowej). Wszystkie te światy po kolei przeorały i zmiotły wojny 1871, 1914 i 1939 roku i kolejne „wyzwolenia", „układy", „akcje".

Pastor Małłek – postać w różnych etapach życia różne obierająca strategie tożsamościowe – pozostał wierny przede wszystkim pamięci tych, których wielka-bezlitosna historia zniszczyła, wygnała z ich mazurskiej, wschodniopruskiej Ojczyzny. We wszystkich swoich wspomnieniach, często i gorzkich, a bywa, że niesprawiedliwych, w tyradach i polemikach pozostaje on zwolennikiem i obrońcą człowieka, który ma prawo do ojczyzny, małej ojczyzny, *Heimatu*, krainy, regionu, powiatu, wioski i miasta. Jako taki jawi mi się jako protestancki humanista, jeden z tych, których tak wielu zasilało kulturę Rzeczypospolitej od XVI wieku. Człowiek, który do końca szukał – także w politycznych marzeniach – wyjścia z sytuacji, którą zgotowały procesy historyczne XIX i XX wieku. Kto tu był (lub: bywał) winnym, kto ofiarą – to już kwestie do dyskusji. *Wspomnienia* zaświadczają, iż pastor Małłek był obrońcą człowieka, Mazura, który ma prawo i powinność zapytać: *Gdzie jest moja Ojczyzna?*[52].

Właśnie dwa fundamentalne przeżycia Mazurów – szczęśliwego zżycia z ojczyzną, jej głębokiego od dzieciństwa po dojrzałość uwewnętrznienia i – nagle – tragicznej utarty ojczyzny są podwaliną XX-wiecznego, mazurskiego doświadczenia świata. Czynią z niego doświadczenie uniwersalne. O ponadlokalnym znaczeniu. Dwa owe przeżycia spajają się w jednym mazurskim losie, którego istotę tak ujął jeden z pisarzy:

„– Pisałem tylko o tym, co widziałem i znałem. Nie potrafię pisać o czymś, czego nie znam. Wrażenie w dzieciństwie przeżywamy szczególnie mocno. Do czasu zakończenia wojny i deportacji moich rodziców, żyłem sobie beztrosko jak ryba w wodzie. Rok 1945 był wielkim pęknięciem, przewrotem w moim życiu. Bardzo wcześnie wiedziałem, że chcę zostać pisarzem. Bo wiedziałem, że przeżyłem coś niezwykłego. Najpierw byłem szczęśliwym dzieckiem w pięknej krainie i nagle straciłem dom, rodziców, wszystko dookoła, widziałem trupy, żołnierzy, krew"[53].

[52] Przy czym ojczyznę lokalną (*Heimat*) stawia Małłek przed ojczyzną jako krajem (*Vaterland*), wynosząc przede wszystkim swój regionalny patriotyzm. Nie znaczy to, że pod koniec życia Edward Małłek nie czuł się – również, ale nie tylko – zakorzeniony w niemieckości i niemczyźnie.

[53] A. Surminski, *Krótka podróż z Prus do Niemiec i długi powrót do miejsc i czasów*, rozmawia z pisarzem Ewa Mazgal, przekład Jeanine Nowak, „Gazeta Olsztyńska" 26.06.2015, s. 10-11.

Właśnie o tym – o tym, jak przy milczeniu świata znika z kulturowej mapy Polski, Niemiec i Europy, znika nieżegnana i zbyt szybko zapominana Wspólnota Mazurska – jest ta książka. Jest to książka o cierpieniu: Mazurów, Małłka, ludzi, więc, z konieczności, przynosi ona niewolną od cierpienia refleksję także jej czytelnikowi. Edward Małłek nie poprzestawał na zapisie krzywd. *Epilogi* przynoszą i przekazują naszej uwadze horyzont jego nadziei, z której nie wyklucza nikogo, także tych, którzy po ’45 roku zasiedlili Prusy Wschodnie. I to jest świadectwo myślowej i pisarskiej wielkości tego tekstu pastora z Ełku. Ostatniego Mazura i pierwszego obywatela zrodzonej z nadziei Republiki Pruskiej.

Przede wszystkim jednak – protestanckiego humanisty.

Przesłanie

Mam nadzieję, że lektura *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnień* Edwarda Małłka odbędzie się ze spokojnym namysłem nad doniosłością jego głosu, który przeczy tak wielu polskim przekonaniom – przeczy w dziele literatury polskiej. I ja należę do tych, którym Małłek w sposób bezwzględny odmawia prawa do poczucia mazurskości: „Tak, jak mordercy narodu Starych Prusów przyswoili sobie nazwę mordowanego »Preussen«, podobnie postąpili Polacy, likwidując Lud Mazurski, nazwali ich Ziemię »Mazurami«” (*Martwy mazur – dobry Polak*)[54].

Mógłbym się, oczywiście, oburzyć. Ale się nie oburzam. Rozumiem Małłka właśnie z tego powodu, dla którego nie chce on mi przyznać prawa do mojej mazurskiej ojczyzny: Szczytna, Spychowa, Ełku. To nie jest „teraz”, lecz – w horyzoncie egzystencji – „od zawsze” dla mnie moja ojczyzna, którą widzę, zamykając oczy, śniąc, gdy jestem daleko stąd.

Na myśl o tym, że mógłbym ją stracić, przychodzą mi do głowy słowa o sile równej przynajmniej tej, z jaką pastor Edward Małłek atakuje tych, którzy zamieszkali w jego mazurskiej Itace. I to jest kolejny paradoks tych *Wspomnień*. I tylko ziemia, którą i on, i ja wspominamy – trwa w pięknie. Z niepewnym losem w tym miejscu świata, „w przeciągu” między Zachodem i Wschodem, Północą i Południem. Na Mazurach.

Może najtrafniej wspólny dramat wszystkich, którzy tracą ojczyznę, nie tylko mazurską, ujął Andreas Małłek w liście adresowanym do mnie z lutego 2015 roku, pisząc o przeżyciu wydziedziczenia tak...

> Tak chodzę z myślami naokoło tych wspomnień ojca i dochodzę do przekonania, że jest to właściwie „Saga Mazurów”. To jest tragiczne, że w przeciągu życia jednej osoby jest na początku naród, mniejszość narodowa, istnieje, funkcjonuje, ma swoją 600-letnią tradycję, charakter i mówi swoją indywidualną gwarą. I nagle ta mniejszość narodowa przestaje istnieć. Powstaje kompletna pustka. Nikt nie pyta. Strona Niemiecka przyjmuje wszystkich jako „Ostpreusser”,

[54] Może to jest tak, że trzeba iść ku temu porozumieniu „pomimo wszystko”. Zob. E. Feliksiak, *Budowanie w przestrzeni sporu. Ethos literatury w sytuacji kryzysu europejskiego pluralizmu (Tomasz Mann, Tadeusz Konwicki, Erica Pedretti)*, Warszawa 1990; E. Feliksiak, *Antropologia literatury, Interpretacje i studia*, Kraków 2014. A może jest to kolejna utopia? Por. M. Saganiak, *O niemożliwości dialogu międzykulturowego. Teza prowokacyjna*; M. Bracka, *Wartości narodowe na pograniczu kultur i światopoglądów*, w: *Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria I: *Prace ofiarowane Profesor Swietłanie Musijenko*, idea i wstęp J. Ławski, red. A. Janicka, G. Kowalski, Ł. Zabielski, Białystok 2013; S. Zabierowski, *Wojna i pamięć*, Katowice 2006.

> [Strona] Polska: „pojechali tam, gdzie jest ich miejsce". I tak jak ojciec pisze: są Mazury bez Mazurów. Zubożały krajobraz. Te ostatnie osoby chodzą gdzieś po świecie i pytają się siebie samego »gdzie jest moja ojczyzna?«. Stwierdzam, z własnego doświadczenia, że stawianie tego pytania jest dziedziczne, przechodzi z pokolenia na pokolenie. Mam nadzieję, że przy trzecim, czwartym pokoleniu zatrą się ślady[55].

Z ufnością jednak, że oprzemy się zarówno naiwnej nostalgii, jak i irracjonalnej sile oburzenia, pozostaje mi zaprosić Państwa do lektury znakomitej, obrazoburczej książki pod wymownym, esencjonalnym tytułem: *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*. Dzieła Edwarda Małłka, Mazura, pastora z Ełku.

*

Pragnę gorąco podziękować Osobom, które zainicjowały tę edycję i wsparły mnie w czasie jej przygotowania: mieszkającej w Niemczech Rodzinie Małłków, w szczególności panom Andreasowi i Robertowi Małłkom, którzy podjęli inicjatywę wydania *Wspomnień* Ojca; następnie ks. Dariuszowi Zuberowi i dyr. Kazimierzowi Boguszowi, którzy poparli projekt wydania *Gdzie jest moja Ojczyzna?*; doktorowi Łukaszowi Zabielskiemu, magistrowi Dariuszowi Kukiełce, którzy ze mną przedzierali się przez ortografię tego tekstu; ks. Zbigniewowi Kamińskiemu za kwerendę w powojennych numerach „Pielgrzyma Polskiego"; wreszcie prof. Zbigniewowi Chojnowskiemu, recenzentowi, który podtrzymał we mnie przekonanie, iż warto to świadectwo przeszłości wydać. Bez ich wsparcia długo jeszcze nie powstałoby to pierwsze, może niedoskonałe, ale wreszcie dostępne dla wszystkich zainteresowanych, wydanie tekstu pastora Edwarda Małłka.

*

W imieniu Panów Andrzeja i Roberta Małłków oraz ich Rodzin, a także w imieniu własnym, składam szczere i głębokie wyrazy wdzięczności ks. Zygmuntowi Karczewskiemu, pastorowi, Przyjacielowi ks. Edwarda Małłka, za to, że pomógł uporządkować i przepisać *Wspomnienia*. Bez tej Jego pomocy zapewne niniejsza edycja tego tekstu nie byłaby możliwa. Dziękujemy.

[55] List Andreasa Małłka (mail), 02.2015. Publikuję go za zgodą Autora.

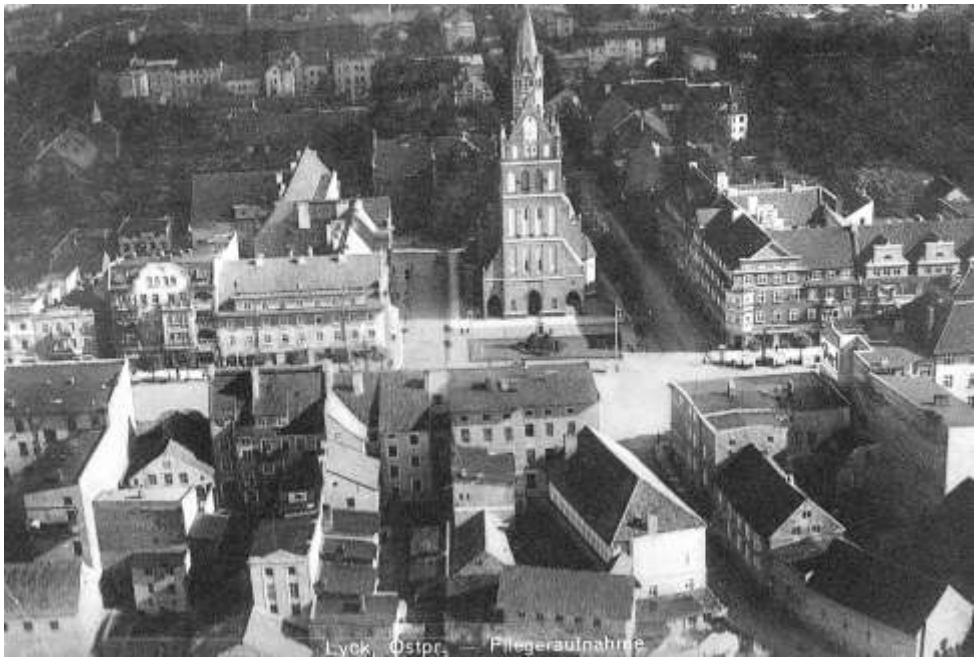

Ełk przed rokiem 1939, Prusy Wschodnie

Ks. Dariusz Zuber
(Ełk)

PASTOR EDWARD MAŁŁEK I METODYŚCI

„Gdzie jest moja Ojczyzna? Gdzie ona jest? Czy są nią Niemcy, gdzie się urodziłem? Czy jest nią Polska, do której bez mojej woli zostałem w 1920 roku włączony? Czy Ojczyzną moją są Niemcy, gdzie obecnie od 1973 roku żyję? Niemcy czy Polska? Polska czy Niemcy? Może nie jest ani jedna, ani druga? A może są nią obie? A może jednak żadna z nich?”[1]. Tymi pytaniami Edward Małłek rozpoczyna swój tom wspomnień. W tych pytaniach zawiera się coś więcej niż poszukiwania zwykłego miejsca. Bardziej chodzi tu o wspólnotę ludzi i wiary, która nas ukształtowała i tworzy, która podtrzymuje i jest nośnikiem przeszłości, z którą mogę się utożsamić. Odpowiedź Małłek zamknął w niemieckim słowie *Heimat*. „Słowo *Heimat* zawiera w sobie coś miłego, przyjemnego, coś pieszczotliwego i przytulnego. *Die Heimat* to tak jakby kolebka, w której dziecko jest kołysane, wysłuchując przyjemnego śpiewu”[2].

Małłek całe życie wsłuchiwał się w kulturę i religijność mazurską. Marzył o tym, aby ją utrwalić, zachować i zbudować dla niej odpowiednie miejsce, ów *Heimat*. W 1945 roku był świadkiem, jak wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej do Prus Wschodnich rozpoczął się powolny koniec kultury, języka i tradycji mazurskich ewangelików. Małłek wiedział, że w nowej rzeczywistości państwowej nie może liczyć na pomoc władz PRL-u w zachowaniu dziedzictwa mazurskiego, dlatego ulokował swoje marzenia w Kościele Ewangelicko-Metodystycznym. Jednak w powojennej Polsce, przesyconej pragnieniem odwetu za krzywdy wyrządzone przez nazistowskie Niemcy, nie było miejsca dla uważanych za Niemców Mazurów. Głęboko inwigilowany i manipulowany przez PRL-owski Urząd Bezpieczeństwa Kościół Ewangelicko-Metodystyczny nie mógł się ostać jako miejsce przyjazne nie-Polakom.

Późniejsze masowe emigracje ludności mazurskiej do Niemiec potęgowały w Małłku wrażenie postępującego końca kultury Prus Wschodnich. Małłek w końcu zawiódł się i na Kościele, który okazał sie zbyt słaby, aby przeciwstawić się machinie PRL-owskich „służb”. Z kart jego *Wspomnień* co raz wyłania się marzenie autora o zbudowaniu przyjaznego domu dla Mazurów (*Heimat*). Kim był Edward Małłek i dlaczego dziedzictwo mazurskie było tak ważne dla niego? Dlaczego w przestrzeni Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego umieścił swoją wiarę i marzenia?

Edward Małłek był rodowitym Mazurem, ukształtowanym religijnie przez duchowość gromadkarską. Ruch gromadkarski (Wschodniopruski Związek Modlitw) rozwijał się na

---

[1] E. Małłek, *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*, Hamburg 1989, Archiwum Parafii Miłości Bożej Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Ełku, s. 12.

[2] Tamże, s. 13.

ziemiach Prus Wschodnich w XIX i XX wieku w gronie Mazurów, będących członkami Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Ruch miał charakter pietystyczny i funkcjonował w obrębie małych grup (gromadek), w których odbywało się wspólne czytanie i rozważanie Biblii, śpiew oraz modlitwa. Uczestnicy tych zgromadzeń budowali swoją religijność na przekonaniu o konieczność nawrócenia się, rozumianego jako świadoma decyzja naśladowania Jezusa Chrystusa, przeżywana jako odrodzenie w Duchu Świętym, które uzdalnia do wejścia we wspólnotę prawdziwie wierzących. Gromadkarze zazwyczaj nie byli tolerowani przez duchowieństwo ewangelickie i to zarówno z powodu dystansowania się do oficjalnego Kościoła, jak i kultywowania tradycji mazurskich. Mimo tego, iż swoje życie religijne i kulturalne realizowali głównie w małych wspólnotach gromadkarskich, byli oni również członkami parafii ewangelickich, korzystając z opieki duszpasterskiej, sakramentalnej (Chrzest Św. i Komunia Św.) i religijnej duchownych (konfirmacje, śluby, pogrzeby etc.). Gromadkarze wybierali spośród siebie własnych kaznodziejów oraz prowadzili aktywną działalność misyjną, mającą na celu pozyskiwanie w ich szeregi kolejnych wiernych.

Wspólnota gromadkarska tworzyła krajobraz społeczno-religijny, który nosił pod swoimi powiekami Edward Małłek. Jego tożsamość była zakorzeniona w tym doświadczeniu i wyrażała się w pobożności i ewangelickiej refleksji teologicznej, budowanej na reformacyjnych pryncypiach: *Sola Scriptura – Jedynie Pismo, Solus Christus – Jedynie Chrystus, Sola Fide – Jedynie Wiara* i *Sola Gratia – Jedynie Łaska.* Ten akcent co jakiś czas wybrzmiewa w jego wspomnieniach – zwłaszcza wtedy, gdy z pozycji ewangelickich opisuje, często krytycznie, religijność rzymskokatolicką.

Dlaczego i skąd w życiu Małłka pojawił się metodyzm?

Kontakt Małłka z metodyzmem miał miejsce w marcu 1945 roku w Warszawie na spotkaniu ze zwierzchnikiem Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, ks. Superintendentem Konstantym Najderem. W trakcie tego spotkania Edward Małłek wraz z ks. Janem Sczechem prosił Superintendenta metodystycznego o przysłanie duchownych do opieki nad mazurskimi ewangelikami, którzy w wyniku wkroczenia wojsk sowieckich i polskich do Prus zostali pozbawieni opieki duszpasterskiej – większość pastorów albo uciekała, albo została zamordowana[3]. Jak czytamy w napisanej w 1989 roku przez Małłka *Krótkiej historii Parafii Ełk Kościoła Metodystycznego,* Rada Ewangelicka[4], opiekująca się tuż po wojnie

[3] E. Małłek, *Krótka historia Parafii Elk Kościoła Metodystycznego. Napisał pierwszy pastor Edward Małłek*, Hamburg 1989, Archiwum Parafii Miłości Bożej w Ełku Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego.

[4] Na temat okoliczności i celu powołania Rady Ewangelickiej tak pisze Małłek: „Na początku marca 1945 roku ks. Jan Sczech, rodem z Regla, powiat Ełk, i ja, Edward Małłek, rodem z Brodowa, pow. Działdowo, widząc, iż po zajęciu Prus Wschodnich przez wojska sowieckie i polskie, prawie wszyscy pastorzy Kościoła Ewangelicko-Unijnego, jeżeli nie zostali zamordowani, to uciekli na Zachód (pozostał tylko lud ewangelicki), udaliśmy się do Biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie, ks. dra Jana Szerudy, z prośbą, by zaopiekował się ewangelikami na Mazurach. Po wyczerpującej dyskusji biskup ks. dr Jan Szeruda oświadczył, iż z braku pastorów nie może zaopiekować się ewangelikami na Mazurach, dodając: *A zresztą to są Niemcy...* Wyszliśmy rozczarowani słowami Męża Bożego. Za radą ks. Jana Sczecha udaliśmy się do Superintendenta Naczelnego Kościoła Metodystycznego w Warszawie, ks. Konstantego Najdera (ja luteranin, nie znałem wtedy jeszcze Metodyzmu). Superintendent ks. Najder, po dłuższej rozmowie w biurze przy ul. Mokotowskiej 12, entuzjastycznie oświadczył: *Zawiadomcie mnie, jak zajdzie potrzeba, a wyślę wszystkich pastorów, których mam.* Z tak różną reakcją, a jednak perspektywą dla protestantyzmu na Mazurach, udaliśmy się do Olsztyna, siedziby województwa.

Tam założyliśmy Radę Kościoła Ewangelickiego (...). Rada Kościoła Ewangelickiego, po odmowie objęcia zwierzchnictwa nad Kościołem Ewangelickim na Mazurach przez ks. Rzadkiego, byłego superintendenta Kościoła Ewangelicko-Unijnego w Olsztynie, rozesłała zaproszenie do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego i Kościoła Metodystycznego celem wzięcia udziału w konferencji, która rozpatrzy sprawy kościelne na Mazurach. Na konferencję przybyli przedstawiciele Kościoła Metodystycznego w osobach: sup. ks. Konstanty Najder (...). Kościół

Kościołem Ewangelicko-Unijnym na Mazurach, ustaliła następujące zasady opieki duszpasterskiej z Kościołem Ewangelicko-Metodystycznym nad mazurskimi ewangelikami: „(1) Kościół Metodystyczny w Polsce przejmie opiekę kościelną nad ewangelikami na Mazurach na czas potrzeby. (2) Kościół Metodystyczny będzie nauczał zgodnie z nauką reformatora Marcina Lutra. (3) Pastorzy metodystyczni będą stosowali luterski strój liturgiczny (toga, befki). (4) Nabożeństwa będą prowadzone według dawnej liturgii Kościoła ewangelickounijnego. (5) Nauka Kościoła Metodystycznego o *odrodzeniu/ nawróceniu* nie koliduje z nauką dra M. Lutra, której w szczególny sposób hołdowali *gromadkarze* na Mazurach”[5]. Od tego momentu rozpoczęła się służba Kościoła Ewangelicko-Metodystycz-nego na Mazurach i równocześnie przygotowanie Edwarda Małłka do służby pastorskiej w tym Kościele.

Ewangelicką i gromadkarską tożsamość Małłka dopełniła duchowość metodystyczna, a zwłaszcza jej otwartość teologiczna. Metodyzm, który wyrasta z anglikańskiej wersji protestantyzmu, w swojej teologii i duchowości jest pomostem łączącym ze sobą różne nurty chrześcijaństwa, tak więc myśl Wschodu z myślą Zachodu, lecz także chrześcijaństwo ewangeliczne, pełne patosu rozgrzania serca i darmowości zbawienia, z chrześcijaństwem ewangelickim, stojącym na reformacyjnych pryncypiach. Małłek wybrał metodyzm w pierwszej kolejności z tego powodu, że w tym Kościele odnalazł przestrzeń, gdzie mógł pielęgnować duchową tradycję Mazurów z jej ewangelicką i gromadkarską specyfiką. W Kościele Metodystycznym urzekła go również otwartość na świeckich, ich rolę w parafii, nauka o *duchowym odrodzeniu/ nawróceniu* chrześcijanina oraz praca społeczna[6].

Jak wspomina przyjaciel Małłka i jego współpracownik, pastor Zbigniew Karczewski, w metodyzmie ujęło ich to, że kaznodziejstwo i duszpasterstwo oprócz refleksji teologicznej zawierało w sobie świadectwo głoszącego o własnych doznaniach w życiu z Bogiem. Pastor czy kaznodzieja metodystyczny przepowiadał Ewangelię nie do ludu, ale można powiedzieć, że niejako mówił z ludem. Karczewski na temat współpracy pastorskiej z Małłkiem na Mazurach wspomina: „(...) nie namawialiśmy do Kościoła Metodystycznego, ale podkreślaliśmy potrzebę osobistego stosunku do Chrystusa. Bo codzienne obcowanie z Bogiem oznacza korzyść osobistą. Takie przesłanie przekonywało i pomagało ludziom w trudnej, burzliwej codzienności zachować nadzieję, chociaż życie było tak napięte na różnych poziomach konfrontacji z powojenną rzeczywistością”[7].

Metodyzm bowiem nie jest zbiorem nowych doktryn, ale – bazując na uznanych przez protestantyzm prawdach wiary – upowszechnia wśród ludzi znaczenie takich pojęć teologicznych, jak: grzech, łaska, usprawiedliwienie, pewność zbawienia, uświęcenie tak społeczne, jak i duchowe. W metodyzmie podkreśla się, że każda służba w Kościele jest zakorzeniona w służbie Chrystusa. Chrystus wzywa wszystkich ludzi, by przyjęli Boże zbawienie i podążali za nim drogą miłości i służby. Kościół jako całość przyjmuje to wezwanie

Ewangelicko-Augsburski nie dał żadnej odpowiedzi. Wobec tego przedyskutowano zagadnienie Kościoła Ewangelickiego na Mazurach tylko z przedstawicielami Kościoła Metodystycznego (...)” – E. Małłek, *Krótka historia...*, s. 4-5.

[5] Tamże.

[6] Będą pastorem w parafiach ełckich, Małłek prowadził szeroko zakrojoną pomoc społeczną wśród ludności mazurskiej (stworzył Dom Starców w Piętkach, Bursę szkolną dla młodzieży, gdzie dokształcano młodzież i uczono ją języka polskiego, pomagał w szukaniu pracy, wyjazdach za granicę, organizowaniu rozdawania darów z zagranicy itp.).

[7] Z. Karczewski, *Kościoły i konfesje w Prusach Wschodnich. Doznania byłego pastora metodystów na Mazurach*, „Pielgrzym Polski” nr 768, s. 14.

i wszyscy chrześcijanie mają udział w tej nieustającej służbie[8]. Zakorzenienie wspólnoty w służbie Chrystusa wskazuje także na jedność, powszechne kapłaństwo wiernych: „Jest tylko jedna służba w Chrystusie, ale są różne dary i dowody łaski Bożej w ciele Chrystusa (*List do Efezjan* 4, 4-16). Służba wszystkich chrześcijan uzupełnia się nawzajem. Żadna służba nie jest podporządkowana innej. Wszyscy Metodyści są wezwani i posłani przez Chrystusa, aby żyć i pracować razem we wzajemnej współzależności oraz aby być prowadzonym przez Ducha do prawdy, która wyzwala, oraz miłości, która przynosi pojednanie"[9].

Takie rozumienie Kościoła – jako wspólnoty chrześcijan obdarowanych różnymi charyzmatami – wskazuje na istotną cechę metodyzmu. Otóż wyróżnikiem Kościoła jest jego osadzenie na strukturze charyzmatycznej[10], która wskazuje na współzależność członków parafii od siebie nawzajem. Posługa pastorska jest w tym kontekście ujmowana przez metodystów jako „służebne przywództwo", czyli hierodiakonia. W ten sposób swoją służbę pastorską realizował Edward Małłek, który organizując pracę kościelną w parafiach i filiałach w powiecie ełckim współpracował z kaznodziejami gromadkarskimi (oni na co dzień opiekowali się filiałami), liderami młodzieżowymi, którzy byli odpowiedzialni za katechizację dzieci oraz innymi osobami, z którymi tworzył chór parafialny, grupy wsparcia oraz organizował pracę parafii.

Posługa pastorska Edwarda Małłka skończyła się wraz z 1956 rokiem (formalnie w 1959). Nastąpiło to po wydarzeniach, które rozegrały się na corocznym Synodzie Kościoła Metodystycznego. Wtedy to na skutek nieporozumień i rozdwojenia w łonie synodałów co do właśnie wybranej Rady Kościoła powstał „zgrzyt", który uruchomił proces rozstawania się pastora Małłka z Kościołem. Wydaje się, że jednym z ważnych czynników skuteczniejszego dzielenia i inwigilowania duchownych i członków Synodu Kościoła przez UB był wydany zakaz powrotu do kraju Superintendenta Najdera z Synodu Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Norwegii. Kościół w Polsce stracił doświadczonego i silnego przywódcę, sprawdzonego w trudnych czasach wojny i powojnia, a co ważne, przyjaznego sprawie mazurskiej. Należy wspomnieć, że już wcześniej Małłek w swojej służbie pastorskiej mierzył się z prześladowaniami ze strony władz państwowych[11] (zakaz

[8] Por. *Porządek Kościelny Konferencji Centralnej Europy Środkowej i Południowej. (Dyscyplina Kościoła),* „Methodos. Przegląd Teologiczno-Społeczny WST im. Jana Łaskiego w Warszawie", R. V-VIII, red. Z. Kamiński, E. Puślecki, Warszawa 2009, s. 39.

[9] Por. *Księga Dyscypliny Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego,* „Methodos. Przegląd Teologiczno-Społeczny WST im. Jana Łaskiego w Warszawie", r. I, red. E. Puślecki, Z. Kamiński, Warszawa 2002, s. 112.

[10] Warto w tymi miejscu nadmienić, że w teologii protestanckiej trwa dyskusja, rozpoczęta przez Adolfa Harnacka, na temat relacji pomiędzy charyzmatami a urzędem kościelnym. Wspomniany Harnack „wyróżniał w Kościele pierwotnym dwie organizacje: charyzmatyczną (w Kościele powszechnym), uformowaną z apostołów, proroków i nauczycieli, oraz niecharyzmatyczną (w Kościołach lokalnych), uformowaną z instytucji wywodzącej się ze społeczności świeckiej (prezbiterzy) i ustanowionej przez wspólnotę (biskupi i diakoni). Niestety w historii Kościoła ta druga organizacja w końcu zastąpiła pierwszą" (J. Majewski, *Teologia na rozdrożach,* Kraków 2005, s. 167-168.). Debata rozpoczęta przez Harnacka utrwaliła na scenie protestanckiej trzy stanowiska: (1) Prymat, a nawet wyłączność, struktury charyzmatycznej nad strukturą hierarchiczną. (2) Charyzmat i urząd stanowią dwa istotne elementy Kościoła i nie sprzeciwiają się sobie, a występujące napięcia między nimi są czymś naturalnym. (3) Zwolennicy trzeciego stanowiska podporządkowują charyzmaty urzędowi, uważając, że Ci, którzy w Kościele pełnią służebne funkcje, mają charyzmaty (zob. J. Majewski, dz. cyt.., s. 168). Teologia metodystyczna definiuje relacje pomiędzy urzędem Kościelnym a charyzmatami według drugiego stanowiska.

[11] Kilka informacji na ten temat znajdziemy również w książce S. M. Marcinkiewicza, *Mityczna stolica Mazur. Między Ełkiem a Lyck* (z rękopisu autora), s. 140: „W piśmie z prezydium Powiatowej Rady Narodowej odbywającego się 25 listopada 1950 r. pastor Edward Małłek określony został jako materialista, z którym nie można współpracować. Ponadto miał on hamować akcję repolonizacyjną, tłumacząc parafianom, że: *Mazur nie jest Niemcem, ani Polakiem tylko Mazurem* (APS, O. Ełk, Starostwo Powiatowe Ełckie, Sprawy wyznaniowe, 1948–

wykonywania zawodu nauczyciela, pozbawienie stopnia oficerskiego, odmawianie prawa do własności[12]) i ludności, która osiedliła się Mazurach, oraz prześladowaniami ze strony z mazurskiego duchowieństwa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (w 1950 roku w ramach tzw. Akcji Mazurskiej[13] metodyści tracą kościół w Ełku na rzecz luteran)[14].

Rozczarowanie Kościołem Metodystycznym, który jak większość Kościołów mniejszościowych był skutecznie inwigilowany i manipulowany przez PRL-owski Urząd Bezpieczeństwa, dopełniło się kolejnymi doświadczeniami biedy, trudności w znalezieniu pracy, zakazu wyjazdu z kraju itd. W końcu udało się pastorowi wyjechać, ale już na emeryturze, do Niemiec. Tam zmierzył się ze swoimi wspomnieniami, marzeniami i bolesnymi doświadczeniami, pisząc dzieło *Gdzie jest moja ojczyna? Wspomnienia*. Pomimo bolesnych doświadczeń, zawiedzionych nadziei na budowę Kościoła pielęgnującego wiarę, tradycję i kulturę mazurską, Małłek do końca życia podtrzymywał więź z ełcką parafią. Wspomagał ją darami, co szczególnie wyraziło się w trakcie kapitalnego remontu ewangelicko-metodystycznego Kościoła Miłości Bożej w Ełku. Wtedy wśród byłych parafian ełckich mieszkających w Niemczech przeprowadził wraz z Hansem Waschkiem zbiórkę pieniędzy na remont Kościoła oraz napisał *Krótką historię Parafii Ełk*, gdzie w posłowiu tak się wyraził:

> Drogi Pastorze – Drodzy Zborownicy Parafii Ełk,
>
> Z radością dowiadujemy się, że Pan i Zbawiciel nasz Jezus Chrystus powołał i wysłał do Ełku dzielnego sługę Ewangelii w osobie Pastora Zbigniewa S. Chojnackiego, który odważył się odrestaurować zrujnowaną kaplicę, która jest droga naszemu sercu. Rozumiejąc ciężar przedsięwzięcia, postanowiliśmy dołożyć „cegiełkę" do budowy Domu Bożego, urządzając wśród byłych Ełczan zbiórkę ofiar na ten cel. Przesyłając zebrane pieniądze, wraz z *Krótką Historią Parafii Ełk*, napisaną przez pastora Edwarda Małłek, życzymy Pastorowi i Zborowi w Ełku obfitego błogosławieństwa Bożego, aby w odnowionej Kaplicy w Ełku na nowo zabrzmiał głos Słowa Bożego i wesoły śpiew na chwałę Boga. Niech Bóg Wszechmogący błogosławi dzieło rąk Waszych.

1950 sygn. 130/25, s. 76). Opinia o Małłku w ciągu dwóch lat zmieniła się diametralnie. Jeszcze w czerwcu 1948 r. E. Małłek, wówczas jako Stanisław Łopatowski, miał prowadzić szeroką działalność charytatywną i repolonizacyjną, udzielając się społecznie i świadcząc pomoc materialną ludności miejscowej: *Kierownik jednocześnie kaznodzieja wymienionego wyznania Łopatowski Stanisław pracuje dużo społecznie okazując pomoc ludności bez względu na wyznanie. Do obecnego ustroju ustosunkowany dobrze, współpracując z administracją* (APS, O. Ełk, Starostwo Powiatowe Ełckie, Korespondencja w sprawach różnych 1948–1950, sygn. 130/28, s. 12)".

[12] E. Małłek, *Epilog* [do] *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia,* w: Archiwum Parafii Miłości Bożej Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Ełku.

[13] Władze państwowe w latach 50. XX wieku wspierały materialnie i administracyjnie Kościół Ewangelicko-Augsburski w jego działalności na Mazurach jako gwaranta polonizacji Mazurów. Działo się to kosztem Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego. Zob. K. Urban, *Luteranie i metodyści na Mazurach 1945–1957. Wybór materiałów,* Kraków 2000, s. 134-192, 242-276).

[14] Małłek wspomina, że przy wsparciu odpowiednich władz państwowych Kościół wraz z częścią plebanii został przekazany znacznie mniejszej parafii Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, która liczyła 76 osób. Parafia Ewangelicko-Metodystyczna liczyła w Ełku 626 osób (Zob. K. Urban, *Luteranie i metodyści na Mazurach 1945–1957. Wybór materiałów,* s. 473 i 491). W latach 70. parafia luterańska sprzedaje kościół miastu Ełk z powodu trudności finansowych – parafia z powodu małej ilości członków nie jest w stanie utrzymać pastora, który przez jakiś czas dojeżdżał z Białegostoku. Metodyści są zmuszeni opuścić budynek i od tego momentu nabożeństwa odbywają się w Kościele Baptystów w Ełku. Dopiero w 1989 roku – po odkupieniu od miasta zrujnowanego Kościoła i wyremontowaniu go – parafia metodystyczna znowu może normalnie funkcjonować.

Edward Małłek był jedną z najważniejszych postaci w dziejach ełckiej parafii ewangelicko-metodystycznej jako jej budowniczy i pastor oraz adwokat sprawy ewangelickiej i mazurskiej tak na forum państwa polskiego[15], jak i lokalnej społeczności powiatu ełckiego. Czytając *Wspomnienia* Edwarda Małłka, możemy przenieść się w trudne i bolesne zarówno dla Mazurów, jak i Polaków czasy powojnia oraz PRL-u i zobaczyć je oczami mniejszości dyskryminowanej przez władze i ludność rzymskokatolicką. Czytanie wspomnień będzie dobrą lekcją uczenia się tolerancji i poszanowania dla inności, która nie jest zagrożeniem, ale bogactwem. Stereotyp bowiem jest wygodną i powszechną praktyką myślenia o innych kulturach i wyznaniach[16]. Jak krótkowzroczna to droga, widać w opisywanych w pamiętniku historiach.

Służba pastorska Edwarda Małłka w Kościele Ewangelicko-Metodystycznym przypadła na ciężkie czasy powojenne, znaczone trudem odbudowy zniszczonego kraju, instalowania się nowej, totalitarnej władzy oraz powolnym „pustoszeniem" Mazur z ich etnicznego i kulturalnego pierwiastka. Małłek był tego codziennym świadkiem, co budziło jego rozgoryczenie i zarazem motywowało do dalszej pracy. Ciężkie czasy mają to do siebie, że albo tworzą ludzki heroizm, oddanie dla spraw większych niż ludzkie życie, albo pchają w stronę konformizmu. Życie Małłka bez wątpienia jest przykładem oddania dla Boga, rodziny i mazurskiej wspólnoty. Trzeba jednak spytać na kanwie lektury *Wspomnień*, czy decyzje Małłka, tak odnośnie „spraw mazurskich", jak i Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, były właściwe? Trudno powiedzieć. Na pewno temat wymaga głębszych analiz i badań archiwalnych, które pomogą nam zrozumieć kontekst tamtych jego wyborów. Mam nadzieję, że *Wspomnienia* rozpoczną taki ruch myśli w środowiskach teologów, historyków, socjologów i etnografów.

Wspomnienia Małłka mają wartość nie tylko historyczną, opisującą kontekst społeczno-kulturowy Mazur, lata powojenne Ełku i losy ludności mazurskiej, ale okazują się przede wszystkim świadectwem chrześcijańskiej wiary i tęsknoty do utraconego dziedzictwa na Mazurach. Małłek na kilka lat przed śmiercią pisał o swojej pracy pastorskiej:

„Po 30 latach od mego zwolnienia [skreślenia z listy duchownych Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego – uwaga D. Z.] czule wspominam te dzieje, przeżycia i wydarzenia, będąc na Obczyźnie, dziękując Wszechmogącemu Bogu, dawcy życia i śmierci, za tak bogate doświadczenie. Zawiodłem się na ludziach. Nie zawiodłem się na Bogu, Panu mym, Jezusie Chrystusie, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków"[17].

---

[15] W 1948 roku wraz z ks. Superintendentem Konstantym Najderem i innymi delegatami z Mazur Edward Małłek spotkał się z ówczesnym Pierwszym Sekretarzem PZPR, Władysławem Gomułką, by przedstawić mu skargę na władze i duchowieństwo rzymskokatolickie, które przez obojętności władz lokalnych odbierało ewangelikom kościoły oraz nie dotrzymywało umów odnośnie posiadanych budynków (np. kościoły w powiecie ełckim miał otrzymać Kościół Rzymsko-Katolicki, a plebanie Kościół Ewangelicko-Metodystyczny).

Jak pisze Małłek, Gomułka, po wysłuchaniu delegacji Kościoła, powiedział: „*To co wy macie za wyznawców, że dają sobie zabrać kościoły*! Słowa te bardzo nas zaskoczyły. Po chwili zwróciłem uwagę, że jesteśmy ludźmi porządku, respektujący prawo i przepisy, w tym wypadku ustawy i własności państwowego mienia poniemieckiego. Dlatego zwracamy się do władz państwowych o uregulowanie tych spraw. Dalsza rozmowa się nie kleiła, była bez efektu i bez rezultatu" (E. Małłek, *Krótka historia,* s. 10).

[16] We *Wspomnieniach* znajdziemy krytyczne teksty na temat Kościoła rzymsko-katolickiego, które znaczą teologiczne uproszczenia. Wynikają one jednak nie tyle z braku chęci zrozumienia drugiej strony, ile bardziej z doświadczenia dyskryminacji i napiętnowania przez większość rzymskokatolicką. Na marginesie warto dodać, że Mazurzy byli traktowani przez ludność napływową jako Niemcy, a w Niemczech byli traktowani jako Polacy.

[17] E. Małłek, *Krótka historia,* s. 16.

Jarosław Ławski

ZASADY WYDANIA

1.

Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia to tekst Edwarda Małłka, który powstał w latach 80. XX wieku w Hamburgu, gdzie pastor mieszkał. Tytuł pochodzi od Autora. Ze względu na emocjonalną i symboliczną wartość, jaką Edward Małłek przypisuje idei *ojczyzny*, postanowiono, iż właściwe będzie pisanie tego słowa wielką literą: *Ojczyzna*, czyli tak, jak zapisywał je sam Małłek.

Tekst zapisywany był zrazu przez Małłka w zeszytach (patrz fotografie w *Aneksie*) w wersji rękopiśmiennej, którą autor stale uzupełniał o różne dopiski. Powstawał w ten sposób swoisty palimpsest. Pismo drobne, wyraźne, długopisem, nietrudne do odczytania, pomimo niewielkich rozmiarów liter.

Rękopisy zostały następnie komputerowo przepisane (przez mgra Janusza Małłka) i opracowane przez współpracującego z Małłkiem księdza ewangelickiego Zygmunta Karczewskiego, jego przyjaciela. Jest to właściwie dość wierna kopia rękopiśmiennego tekstu Małłka. Zastosowano w niej częściowo niemieckie reguły ortograficzne, stąd nadreprezentacja wielkich liter, bardzo liczne błędy ortograficzne, interpunkcyjne i tzw. literówki. Tekst przepisano z rękopisu z intencją jego rozpowszechnienia w ograniczonym kręgu czytelników, dlatego wykropkowano miejsca, gdzie np. padają nazwiska osób i rodzin mazurskich, które okryły się niesławą przez swe zachowanie w czasie II wojny światowej. Zapewne były to osoby żyjące, być może obawiano się oskarżenia o pomówienie. Tekst *Wspomnień* rzeczywiście był znany dość licznym osobom w Niemczech i, co ciekawe, w Polsce.

Jako edytor otrzymałem od Rodziny pastora wersję już elektroniczną, dość uporządkowaną – tekst *Wspomnień* został zatem raz jeszcze przepisany. Pomnożyło to ilość błędów. Ponadto został mechanicznie – ze względu na swój ogromny rozmiar – podzielony na tzw. tomy – w istocie mniejsze pliki komputerowe, które można przesyłać pocztą elektroniczną. Podjąłem decyzję o przywróceniu ciągłego charakteru tekstowi przez – oczywistą w takim razie – likwidację owych plików („tomów"). Tekst w wersji elektronicznej bez wątpienia przygotowano z intencją jego publikacji: został zaopatrzony w indeksy nazwisk, miejscowości, cytatów.

Przygotowując tekst *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia* do druku, kierowano się intencją zachowania kształtu pierwowzoru – zarówno gdy chodzi o myśl Małłka, jak i sposób pisania, język. Dlatego:

- Poprawiono ortografię i interpunkcję, przystosowując ją do współczesnej normy, ale w niektórych miejscach zachowano wielkie litery, podkreślające znaczenie pewnych zjawisk dla autora.

- Zachowano osobliwości leksykalne języka Małłka: słownictwo charakterystyczne dla polszczyzny Mazurów (dość słabo tu obecne), archaizmy (np. *boć*), końcówki zaimków typu: *tem, owem*. W tym zakresie poprawiano tylko ewidentne błędy osób przepisujących tekst.
- Starano się nie modyfikować stylistycznych i gramatycznych cech języka Małłka, który często mówi i pisze polszczyzną kolokwialną, nie zawsze zgodną z normą. Jest jednak niezwykle konsekwentny w powtarzaniu tych samych konstrukcji (np. zdań z imiesłowem czynnym), dlatego uznano te formy za znamienne dla jego idiolektu i nie zmieniano ich.
- Tekst *Wspomnień* przynosi kilkadziesiąt fotografii, kserokopii, odbitek dokumentów. Cały ten materiał zachowano, także tam, gdzie z pozoru mógłby się wydać zbędny (np. krytykę kultu maryjnego u katolików ilustruje zdjęcie Matki Boskiej Częstochowskiej, co niewątpliwie świadczy o emocjonalnym, wprost obsesyjnym zaangażowaniu Małłka w pewien wymiar polemik religijnych). Ilustracje bez podpisu opatrzono podpisami z zaznaczeniem ich pochodzenia od Redakcji [– Red.].
- Autor wplótł do tekstu – w tekst główny lub jako przypisy – liczne artykuły, dokumenty historyczne, mające ilustrować, wspierać głoszone przezeń poglądy. I ten materiał, opracowawszy go językowo, pozostawiono bez zmian, pomimo że utrudnia i spowalnia lekturę. Lecz też jest świadectwem postawy autora *Wspomnień*.
- Małłek opatrzył tekst przypisami. Są to najczęściej wierne tłumaczenia niemieckich zdań i słów wplecionych w tekst główny. Po opracowaniu językowym pozostawiono je bez zmian; znakomicie ułatwiają lekturę osobom nieznającym niemieckiego. Przypis od Redakcji zaznaczono znakiem |*.
- Pomimo pierwotnych intencji, by tekst opatrzyć przypisami odredakcyjnymi, zrezygnowano z tego zamiaru. *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia* to wypowiedź tak dalece subiektywna, że wymagałaby właściwie w każdym akapicie komentarza historycznego, etnologicznego i filologicznego. Historyczne ustalenia Małłka w zasadzie w całości uznać trzeba za wizję, a nie naukowy wywód. Także w tym przypadku mnożenie przypisów nie miałoby sensu. Zapewne odniosą się do jego tez historycy i badacze kultury i literatury mazurskiej.
- Poprawiono pisownię cytatów biblijnych, ale nie ingerowano w ich treść – Małłek cytował często z pamięci, stąd czasem odchylenia tekstu cytatów od wzorca *Biblii*.
- Nie skorzystano z indeksów sporządzonych przez Małłka lub jego współpracowników – przygotowano od nowa dwa kompletne indeksy: nazwisk i miejscowości.

2.

Wspomnienia Edwarda Małłka – wersja rękopiśmienna – zostały przekazane przez syna, Andreasa Małłka, w 2014 roku Muzeum Historycznemu w Ełku.

Edytor otrzymał 7 (ponumerowanych: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 8; bez siódmego) skoroszytów, zawierających rękopis *Wspomnień*. Strona tytułowa Skoroszytu 1: Edward Małłek, *Gdzie jest moja Ojczyzna? (Wspomnienia). Wszelkie prawa zastrzeżone, część pierwsza. Hamburg, 1989 rok.*

Następnie znajdujemy *Spis treści*, obejmujący 29 części *Wspomnień*. Na kolejnej stronie *Dedykacja* z odręcznym podpisem Edwarda Małłka. Część kolejna – *Od Autora* – napisana na maszynie, choć do Skoroszytu nr 1 wetknięta jest też rękopiśmienna wersja *Wstępu*. Tekst *Wspomnień* tworzą: zapisane ręką Małłka kartki białego papieru (pisane piórem, atramentem niebieskim z licznymi dopiskami czarnym długopisem, przekreśleniami, wklejonymi mapami, wierszami i nutami, portretami osób ważnych dla dziejów Prus i protestantyzmu, także zdjęcia rodzinne, fotografie z książek i gazet ważne dla wywodów Autora. W tekście zdarzają się fragmenty zamazane zupełnie przez Małłka, np. dotyczące relacji z katolikami.

W Skoroszycie 2 na początku luźne notatki, potem wypisy, wycinki z gazet – w większości będące szkicami do kolejnej części *Wspomnień*. Pisane piórem, długopisem (niebieskim i czarnym) na luźnych kartkach, skrawkach papieru. Cała druga część Skoroszytu 2 – niezapisana, kartki w jedną linię.

W Skoroszycie 3 – tu niespodzianka – znajdujemy: *Gdzie jest moja Ojczyzna? (Wspomnienia). Część czwarta. Wszelkie prawa zastrzeżone. Hamburg – 1989*.

Spis treści obejmuje 30 rozdziałów, s. 607-478 (od *Ucieczki z Włocławka* do *Totalnej ofensywy Armii Sowieckiej*). Pięć ostatnich rozdziałów (s. 749-768) zamazanych, wykreślonych w *Spisie treści* (*Wracamy do domu, Sytuacja w Brodowie, Polscy „Krzyżacy" w akcji, Co robi reszta działaczy mazurskich?, Sprawy religijno-kościelne*). Podany bez treści i tytułu nr rozdziału 37. Wykreślonych ze *Spisu treści* rozdziałów brak w Skoroszycie 3.

Skoroszyt 4 przynosi *Część piątą* tekstu Małłka, obejmującą według jego numeracji strony 749-942. Tutaj rozdziały, które nie zmieściły się w Skoroszycie 3. Cały tekst *Części piątej* przepisany na maszynie. Jak poprzednio: liczne wklejki, uzupełnienia, np. z treścią postanowień Konferencji w Poczdamie (1945) z podkreśleniami Małłka.

Skoroszyt 5 przynosi rękopiśmienną wersję tekstu, który w maszynopisie zawiera się w Skoroszycie 4 (s. 749-942). Pisane niebieskim lub czarnym długopisem. Pismo wyraźne, z licznymi poprawkami, skreśleniami i uzupełnieniami.

Skoroszyt 6 – na okładce tytuł: *Epilog*, pisany w latach 90., już po rozpadzie Związku Radzieckiego. Małłek utwierdza się tu w przekonaniu, że w przyszłości, choć odległej, powstanie niezależne państwowo: Prusy Wschodnie. Tekst przepisany na maszynie, z dodatkiem polskich tłumaczeń fragmentów napisanych po niemiecku. W części drugiej – po *Epilogu* – korespondencja Małłka, zdjęcia z Brodowa. W liście pisanym *20.09.1994 r., Hamburg* czytamy: „Załączony *Epilog* znajdzie się w przyszłości w mojej książce-wspomnieniach p. t. *Gdzie jest moja Ojczyzna (Heimat)* – przeszło 600 stron druku z licznymi zdjęciami". Na samym końcu do Skoroszytu 6 włożone *Wstawki do „Epilogu"*, podpisane *Hamburg, 14.12.1994*. Cały *Epilog* [I] został przepisany na maszynie i załączony do Skoroszytu 6 w wersji niemieckiej.

Skoroszyt 8 (nru 7 brak) to dużych rozmiarów wydruk komputerowy wstępnie zredagowanych *Wspomnień* Małłka, obejmujący 116 stron. W spisie treści znów podział na „tomy". Od s. 143 pomylona numeracja, strony przypadkowo pozszywane. Kolejnych skoroszytów brak.

3.

Istotne światło na sam proces powstawania *Wspomnień* Edwarda Małłka rzuca list jego syna, Roberta Małłka, zamieszkałego w Hamburgu, który otrzymałem 10 lutego 2015 roku. Fragmenty publikuję za zgodą Autora:

„Edward [Małłek – J. Ł.] pisał swoje wspomnienia w latach 1984–1989. Najpierw pisał je ręcznie, potem na bieżąco przepisywał je na ręcznej maszynie do pisania, robiąc jednocześnie jedną kopię przez kalkę. W rękopisie i maszynopisie robił często dopiski i poprawki, dlatego też niektóre strony przepisywał od nowa. Z tych rękopisów zachowało się tylko to, co zostało przekazane do Muzeum w Ełku. Nie jest mi wiadomym, czy Edward zrobił jakieś kopie tych rękopisów.

Edward [Małłek – J. Ł.] po zakończeniu maszynopisu *Wspomnień* dał mi je do skopiowania. W moim zakładzie pracy zrobiłem ok. 10 odbitek. Te kopie maszynopisu Edward rozesłał do swoich znajomych i przyjaciół. Jeśli się nie mylę, to między innymi otrzymali je: p. Willan, p. Wilamowska, p. Późny, p. Kruk, prof. dr Janusz Małłek, ks. Zygmunt Karczewski, „Ostpreußenblatt" – redaktorzy tego czasopisma zrobili Edwardowi zarzut fałszowania historii. O ile wiem, moje rodzeństwo ani ja nie otrzymaliśmy żadnego z tych egzemplarzy.

Jeden z tych egzemplarzy maszynopisu otrzymał też mgr Janusz Małłek (podaję mgr, żeby go odróżnić od jego wuja prof. dr. Janusza Małłka), który zaoferował wpisanie tego tekstu do komputera. Przypuszczam, że sam tego nie robił, a raczej zlecił to jakiejś maszynistce. Jak się później okazało, ten zapis zawierał sporo błędów i opuszczonych tekstów. Wykonanie tego zapisu w komputerze zleciliśmy tylko z tego powodu w Polsce, ponieważ w naszym amatorskim komputerowym sprzęcie i oprogramowaniu nie mieliśmy żadnego edytora uwzględniającego polską czcionkę, a Janusz powiedział nam, że jest akurat w posiadaniu polskiego edytora (TAG-a) z polską czcionką. W tym czasie to były jeszcze początki rozwoju technologii komputerowej. Ten TAG-owski zapis *Wspomnień* na CD Edward przekazał ks. Zygmuntowi Karczewskiemu do sprawdzenia i do dalszego opracowania tego tekstu (zdjęcia i grafika).

W tym miejscu chcę zrobić odnośnik do załączonych do tego maila plików, oddając głos pastorowi Zygmuntowi Karczewskiemu, który w nich opisuje swoje zmagania z opracowywaniem *Wspomnień* Edwarda[1].

---

[1] Kopia informacji ks. Zygmunta Karczewskiego do opracowanej przez niego drugiej digitalnej edycji *Wspomnień* E. Małłka. (26.11.2010):

„Gdzie jest moja Ojczyzna" w wersji dwojakiej:
Rodzina decyduje, którą wersję odda do druku.
Należy dopilnować, aby po wydrukowaniu brudnopisu dokonana została nowa poprawna inwentura wykazów.
Inwentura wersji elektronicznej jest w moich warunkach przedsięwzięciem nieekonomicznym i niedokładnym.

A.
1. Tom 1
2. Tom 2
3. Tom 3
4. Tom 4
5. Tom 5
6. Tom 6: z dopiskiem KONIEC, czyli bez wykazów

Książka (1- 6) liczy 453 strony

B.
1. Tom 1
2. Tom 2

Wszystkie materiały dotyczące *Wspomnień* Edwarda, które otrzymałem w spadku po Edwardzie, przekazałem mojemu bratu, Andrzejowi. U mnie pozostały tylko osobiste dokumenty dotyczące starań rodziców o wyjazd za granicę, jak również ich pobytu w Kanadzie, USA i Niemczech.

Czy rozesłane przez Edwarda maszynopisy zachowały się jeszcze u innych osób, które od Edwarda je otrzymały? – nie jestem w stanie na to odpowiedzieć. Większość tych osób osobiście nie znamy i nie mamy ich danych kontaktowych".

Jak wynika z informacji Roberta Małłka, zgodnych z informacjami uzyskanymi od Andrzeja Małłka, tekst był wielokrotnie przepisywany, kopiowany, korygowany, zapisywany w różnych plikach. Sam jego autor, Edward Małłek, pisał go niemal jako stale uzupełniany palimpsest; nanosił bez ustanku uzupełnienia, poprawki. Na podstawie wszystkich zgromadzonych informacji – od Rodziny, wynikających z analizy różnych wersji tekstu (rękopisy, maszynopisy, wersje cyfrowe) – można w przybliżeniu zrekonstruować proces powstawania wersji cyfrowej, która stała się podstawą niniejszej edycji:

- W latach 1984–1989 Edward Małłek spisuje rękopiśmienną wersję *Wspomnień*. W roku 1994 dopisuje *Epilog*.
- Autor równolegle przepisuje rękopis na maszynie, robiąc przez kalkę jego kopię.
- Na napisanych odręcznie, przepisanych na maszynie i odbitych przez kalkę częściach *Wspomnień* Edwarda Małłek zapisuje poprawki, uzupełnienia, dopowiedzenia.
- Maszynopis *Wspomnień* zostaje skopiowany w około 10 egzemplarzach.
- Mgr Janusz Małłek wpisuje z maszynopisu tekst *Wspomnień* do komputera (w TAG-u).
- Wersję elektroniczną – z licznymi błędami i opuszczeniami – otrzymuje ks. Zygmunt Karczewski w celu uporządkowania, poprawienia, uzupełnienia luk. Druga elektroniczna wersja *Wspomnień* jest gotowa pod koniec 2010 roku (powstają 2 wersje: jedna z wykazami, indeksami, druga – bez nich).
- Rok 2013, Ełk – ks. Dariusz Zuber zwraca się do dyrektora Kazimierza Bogusza [MHE w Ełku] z prośbą o opinię w sprawie edycji *Wspomnień*.
- 5 lutego 2014 roku teksty zostają przekazane do zaopiniowania niżej podpisanemu. W czerwcu rozpoczyna się pierwsza korekta tekstu (opracowują tekst: J. Ławski, dr Łukasz Zabielski, mgr Dariusz Kukiełko). Zakończenie korekt: lipiec 2015 roku.

Na koniec uwaga o charakterze wspomnieniowym: niewątpliwie największą barierą, jaką należało pokonać, przygotowując tekst *Wspomnień* do druku, nie był język Edwarda Małłka (żywy, plastyczny!), lecz sposób zapisu tekstu. W trakcie kolejnych przemian ulegał on w swej warstwie interpunkcyjnej, ortograficznej, graficznej tak licznym przemianom, że trzeba go było sprowadzić do normy językowej przynajmniej w zakresie ortografii. Uzupełniono, gdy było to możliwe, luki powstałe w wyniku przepisywania, dopisywania, kopiowania, wpisywania i redakcji. Poprawiono oczywiste omyłki. Nie ingerowano w żaden sposób w treść przekazu. Nazwisk rodzin, które (w negatywnym kontekście) wymienia pastor Małłek, wspominając czasy II wojny światowej na Mazurach, nie przywołano dlatego, że nie ma ich w rękopisach (znaczna część z nich nie trafiła do MHE w Ełku).

---

3. Tom 3
4. Tom 4
5. Tom 5
6. Tom 6 z dopiskiem WYKAZY (cytaty, literatura, fotografie, miejscowości, nazwiska)

Książka (1- 6) liczy 453 strony, 485 strony.

Warto na koniec podkreślić, iż *Wspomnienia* są w jeszcze jednym wymiarze dziełem niezwykłym: zgromadzono w nich bogaty, subiektywnie dobrany przez Edwarda Małłka materiał fotograficzny, dokumenty, kserokopie artykułów, map. Ta „multimedialność" *Wspomnień*, ich słowno-wizualny charakter, wzbogacony wielogatunkowością, a nawet poetycko-melicznymi interpolacjami, czynią z tekstu prawdziwą Sylwę Mazurską, dzieło literackie o niewątpliwie bardzo wysokich walorach estetycznych.

W stylu pastora Edwarda Małłka, tak mocno, jak nigdzie indziej, odciska się bogata, pełna sprzeczności, fascynująca osobowość autora tekstu o tak doskonale przemyślanym tytule: *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*.

Pocztówka z panoramą Ełku sprzed 1939 roku

Kościół Ewangelicki w Działdowie (Soldau) po pierwszej wojnie światowej

Edward Małłek

GDZIE JEST MOJA OJCZYZNA?

wspomnienia

colloquia
orientalia
bialostocensia

„Skoro stracimy ziemską ojczyznę,
mamy jeszcze Ojczyznę w niebie
zgotowaną przez Jezusa Chrystusa,
Pana i Zbawiciela naszego".

Filip. 3,20.

*

Błogosławionej pamięci
moich kochanych Rodziców
poświęcam
moje myśli i słowa,
dziękując im z całego serca
za wskazanie mi drogi
i prawdy Bożej.

Poświęcam też
kochanym Dzieciom i Potomstwu
ku rozwadze, przestrodze i nauce.

Kościół Metodystów w Ełku przed remontem (lata 70. XX w.)
[Ilustracja dodana przez Redakcję]

OD AUTORA

Czytając moje wspomnienia, należy pamiętać, że nie jestem literatem, nie jestem pisarzem ani naukowcem.

Jako 13-letni chłopiec, dziecko z mazurskiej rodziny Prus Wschodnich, razem z rodzicami i ośmiorgiem rodzeństwa oraz innymi mieszkańcami Ziemi Działdowskiej (Soldauergebiet) z dniem 10.01.1920 roku na mocy Traktatu Wersalskiego znalazłem się w granicach państwa polskiego, bez plebiscytu.

W związku z tym powstały przede wszystkim dwa problemy: ojczyźniany i świadomości narodowej, które znalazły swój wydźwięk w moim życiu, a tym samym miejsce we *Wspomnieniach*.

Pisząc moje *Wspomnienia* jako 80-letni starzec, mój styl życzy sobie od Czytelnika dużej wyrozumiałości, nie jest on bowiem elokwentny i jest daleki od poezji. Moje *Wspomnienia* mają szatę niepretensjonalną, prostą, bezpośrednią. Niektóre moje wyrażenia, wypowiedzi mogą drażnić uczucia, mogą „drapać" ucho, „gryźć" serce Czytelnika, mogą wywoływać sprzeciw, oburzenie. Ale takie niestety są moje wspomnienia, oparte na moich przeżyciach i uczuciach z nimi związanych.

W moich *Wspomnieniach* wypowiedziałem też moje indywidualne zdanie i swoiste spojrzenie na wydarzenia społeczno-polityczne owych czasów, które wyciosały taką a nie inną moją indywidualność, osobowość, tożsamość.

Opisane moje przeżycia są prawdziwe, autentyczne.

Pastor Edward Małłek

Kościół Metodystów w Ełku, stan odnowiony (koniec XX w.)
[Zdjęcie dodane przez Redakcję]

WSTĘP

Latem 1987 roku przeczytałem otrzymaną od mego przyjaciela, pastora Jana Sczecha, ciekawą książkę w niemieckim języku o Prusach Wschodnich pt. *Nur der Name blieb* [*Tylko nazwa pozostała*]. Autorem tej książki jest Heinrich Gerlach, rodem z Königbergu (Królewca). Książka ta wzbudziła we mnie myśl napisania moich wspomnień w formie pytania: *Gdzie jest moja Ojczyzna?*

Tytuł taki wybrałem częściowo dlatego, że od 16 lat mieszkam daleko od miejsca mego urodzenia, gdzie przeżyłem 66 lat. Jeżeli używam słowa Ojczyzna, to nie mam na myśli tworu polityczno-państwowego jakiegoś państwa, którego byłem, jestem, czy też mogę być obywatelem. Pod słowem *ojczyzna* rozumiem raczej to, co w języku niemieckim określa się słowem *Heimat*[1]. Przecież to jest to samo, powiecie. Nie, nie! – to nie jest to samo. W słowie ojczyzna kryją się takie pojęcia, jak: granica, władza, rząd, partia, wojsko, policja, urząd bezpieczeństwa, więzienie, prześladowanie itp.

Taka ojczyzna może być dla człowieka często niemiła, nawet groźna i niebezpieczna. Jesteśmy świadkami tego, jak miliony ludzi uciekają ze swojej ojczyzny. Natomiast słowo *Heimat* zawiera w sobie coś miłego, przyjemnego, coś pieszczotliwego i przytulnego. *Die Heimat* to tak jakby kolebka, w której dziecko jest kołysane, wysłuchując przyjemnego śpiewu, choćby tak monotonnej piosenki:

Ha-ha! Bi-bi!
poszła baba na grzyby,
a dziad na orzechy,
przyniósł Hedce do uciechy.

Tak śpiewałem jako czteroletni brzdąc, kołysząc moją siostrzyczkę Hedkę, 4 lata młodszą ode mnie. Dlatego tytuł moich wspomnień po niemiecku nie może brzmieć: *Wo ist mein Vaterland?*[2] – lecz *Wo ist meine Heimat?*[3] A to choćby dlatego, że z „Ojczyzny", której byłem i jestem obywatelem, uciekłem. Dlaczego? – to zobaczymy.

Nie znajdując w języku polskim trafnego odpowiednika na słowo *Heimat*, używać będę na zmianę słowa *Ojczyzna* i *Ziemia Ojczysta*.

Granica w poprzek Prus Wschodnich wprowadzona samowolnie w 1945 roku spowodowała oddzielenie części północnej, zawiadywanej przez Sowietów, od południowej, administrowanej przez Polaków. Tereny utracone w wyniku Traktatu Wersalskiego zaznaczono linią kreskowaną.

---

[1] Macież, miejsce narodzin, kolebka, strona ojczysta.
[2] Gdzie jest moja ojczyzna?
[3] Gdzie jest moja strona rodzinna?

Eine Kartenskizze von Ostpreußen nach dem Stand vom 1. Januar 1939. Die 1945 willkürlich gezogene Grenze quer durch Ostpreußen trennt den nördlichen, sowjetrussisch verwalteten, von dem südlichen, polnisch verwalteten Teil der Provinz. Die im Frieden von Versailles verlorenen Teile sind mit gestrichelten Grenzen eingezeichnet

Szkic Prus Wschodnich, ukazujący sytuację z 1.01.1939 r.

1
Gdzie jest moja Ojczyzna?

Gdzie ona jest?

Czy są nią Niemcy, gdzie się urodziłem?

Czy jest nią Polska, do której bez mojej woli zostałem w 1920 roku włączony?

Czy Ojczyzną moją są Niemcy, gdzie obecnie od 1973 roku żyję?

Niemcy czy Polska? Polska czy Niemcy? Może nie jest ani jedna, ani druga? A może są nią obie?

A może jednak żadna z nich?

Och! – Jakież to dręczące pytania.

Dlaczego dręczące? – ktoś powie.

Przecież każdy człowiek zna swoją ojczyznę i może ją nazwać bez zastanawiania się. Hm..., w moim wypadku nie jest to takie proste.

To może wydawać się dość dziwne, ale muszę szczerze powiedzieć, że mam z tym kłopot. Nad odpowiedzią muszę się zastanowić. A więc niech myśli moje lecą w dal w poszukiwaniu mojej Ojczyzny, którą we wstępnych słowach przyrównałem do kolebki.

A była to prawdziwa kolebka z naturalnego drzewa sosnowego, „kraszona" (pomalowana) na kolor orzechowy.

A gdzie ona stała?

Aha! a jednak stała... na ziemi!

Och! ukochana moja Ziemio. Jakże daleko jesteś ode mnie. Tęskno mi bardzo za Tobą...

Parafrazując słowa Adama Mickiewicza, wołać muszę: „Ziemio Ojczysta moja, ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił".

Gdzież jest ta moja utracona Ziemia Ojczysta, na której stała moja sosnowa kolebka?

Droga do niej ode mnie z Hamburga dość daleka – poza samolotem – dość uciążliwa.

Leży przede mną mapa Europy Środkowej. Wiodę po niej palcem; wychodząc z Hamburga w kierunku wschodnim, idąc wzdłuż wybrzeża Bałtyku przez miasta Lübeck – Rostock – Szczecin – Koszalin – Słupsk, dochodzimy do dolnej rzeki Wisły. Odtąd zaczyna się Ziemia moich Przodków – moja Ziemia Ojczysta.

Rozpościera się od Wisły poza rzekę Niemen na wschodzie, na południu do dawnej granicy Niemcy – Polska sprzed 1920 roku, a na północy po Bałtyk.

W jednym z zakątków tej ziemi, na południowym cyplu, stała chatka drewniana, słomą kryta, w której się urodziłem.

Cóż to za Ziemia Przodków moich?

Melchior Wańkowicz, wędrując po tej ziemi przed II wojną światową, pisał, że jest to ziemia, nad którą unosi się „Smętek".

A syn tej ziemi, Fryderyk Leyk, pisał: „Nad naszą Ziemią Ojczystą unosi się «Moorgeist» (Duch Moczarów)". O tym czytamy w jego wierszu w języku niemieckim pt. *Der Moorgeist*.

Dlaczego tak smutne, bodajże nawet magiczne określenia tej ziemi znajdujemy w różnych opisach?

W wielu pracach historycznych, w różnych językach, kryje się tragiczna przeszłość... i teraźniejszość mojej Ziemi Ojczystej.

Spojrzałem na szczegółową mapę mojej Ziemi Ojczystej. – Zasmuciłem się…

Ogarnął mnie „Smętek”...

Jakże została ona poćwiartowana, podzielona na 3 części, każda z nich należy do innego państwa. Jest to wynik II wojny światowej, która trwała od 1 września 1939 roku do 8 maja 1945 roku. Ale o tym potem...

Cofnijmy się myślami hen, daleko wstecz: może 5, może 4, może 3, a na pewno 2 tysiące lat temu. Żył tu naród, którego nie ma. Co się z nim stało?

Co wiemy o mojej Ziemi Ojczystej?

Historycy mówią, że był to kraj o nieprzebytych, wspaniałych lasach, między nimi często podmokłe łąki i pastwiska. Naokoło niezliczonych jezior rozpościerały się niebezpieczne trzęsawiska i moczary (jeszcze dziś nie radzę samotnemu wędrowcy zapuszczać się głęboko w Puszczę Piską).

Lasy, łąki, woda i co w nich rosło i żyło, stanowiło bogactwo tej ziemi. A bursztyn wybrzeża Bałtyku, nazywany „złotem”, rozsławił po dalekim świecie naród tubylczy.

Naród, który zamieszkiwał moją Ziemię Ojczystą, według historyków istniał już przed kilku tysiącami lat.

Co to był za naród? Jak się nazywał?

Co się z nim stało?

Może jestem jego potomkiem?

Melchior Wańkowicz, pisząc *Smętka*, ubolewał przede wszystkim nad zanikiem języka mazurskiego (polskiego) w Prusach Wschodnich (bo tak się nazywała ostatnio moja Ziemia Ojczysta).

Natomiast Fryderyk Leyk, pisząc wiersz pt. *Der Moorgeist* (smętek), czuje powiew ducha, unoszącego się nad moczarami, lasami, łąkami, wodami, wymarłego, wytępionego, wymordowanego pierwotnego narodu, który od tysięcy lat zamieszkiwał moją Ziemię Ojczystą.

I moje serce boleje nad śmiercią dzielnego, niepodległego Narodu Prusów.

Bo tak nazywał się pierwotnie lud zamieszkujący Prusy Wschodnie.

Prusy w XIII stuleciu [podpis – Red.]

Ziemie Prusów w XIII wieku

Prusowie nazywali siebie – jak to podają historycy – *prusai*.

Nie myślę pisać książki o Prusach. Jest to zbyteczne, gdyż na ich temat jest tyle dzieł wydanych, że żywot jednego człowieka nie wystarcza na ich przeczytanie. I, co ciekawe, pojawiają się coraz to nowe wydania. Piszą o Prusach różni pisarze, historycy różnych narodów. Jedni mówią, że był to naród spokojny, pracowity, gościnny. Polscy historycy są raczej zdania, że Prusowie to naród napastliwy, nękający Polskę.

Przeważa opinia, że był to naród spokojny, ale jednocześnie dzielny. Napadnięci przez książąt polskich potrafili przegonić Mazowszan poza Płock, a Pomorzan daleko za Gdańsk. Dlatego polski kronikarz Wincenty Kadłubek, po nieudanej wyprawie Mazowszan, nazywa Prusów strasznym narodem w jego potwornej dzikości, jeszcze wścieklejszym od dzikich zwierząt.

W okresie naszych dziejów historycznych, tysiąc lat temu, Prusowie zajmowali obszar od Ziemi Chełmińskiej na zachodzie, poza Niemen na wschodzie, na północy do Bałtyku, na południu poza granice Prus Wschodnich. Prusowie słynęli w świecie z handlu. Bogactwem ich był przede wszystkim bursztyn, który masowo zbierano na brzegach Bałtyku. Drugim towarem, który szedł poza granicę, były skóry przeróżnych dzikich zwierząt, masowo rozmnażających się w borach, w puszczach. Niezliczone jeziora i rzeki dostarczały Prusom ogromne ilości ryb. Leśne pszczoły dostarczały miodu i wosku. Z miodu produkowano swoisty napój (nie wiem, czy był to „Bärenfang”[4]). Prusowie trudnili się też rolnictwem, uprawą zbóż. Łąki, pastwiska, dostarczały pokarmu hodowanemu bydłu i koniom.

Naturalne bogactwa ziemi Prusów nęciły sąsiadów, najbardziej tych w biednych sukmanach, Mazowszan. Na naród Prusów składało się 11 plemion: Pomezanie, Pogezanie, Warmiacy, Natangowie, Sambowie, Bartowie, Nadrałowie, Skalowie, Galindowie, Sasini i Jaćwingowie. Mimo różnic plemiennych, mówiono jednym językiem. Jednakowe też miano wierzenia i obyczaje, jednakową kulturę.

Prusowie, według naszej religijnej nomenklatury, byli poganami. Wierzyli w swoich bogów, którym oddawali cześć i składali ofiary. Na przykład bogiem przyrody i gromów był Perkunos; bogiem żniwa był Kurcho. Mieli też innych bogów, których można by przyrównać do rzymsko-katolickich świętych czy patronów. Głównymi bóstwami Prusów byli: Perkunos – Potrimpos – Pikollos. – Trójca, tak, jak u chrześcijan Święta Trójca. Prusowie mieli święte miejsca, którymi były gaje (lasy), w których urzędował ich najwyższy kapłan „Kriwe”. Jego siedzibą było „Romowe”. Prusowie wierzyli w życie pozagrobowe.

Po przyjęciu chrześcijaństwa w Polsce w 966 roku powstała myśl schrystianizowania pogańskich Prusów. Inspiratorami tej idei byli niewątpliwie ówcześni papieże rzymscy. Papieże, wyrzekłszy się słów Jezusa Chrystusa: „Moje królestwo nie jest z tego świata”, stali się władcami świeckimi, tocząc nieustannie walkę z królami, cesarzami o prymat panowania nad światem. Papieże uzurpowali też sobie wyłączne prawo do krajów pogańskich, do których należał również kraj Prusów.

Wiemy z historii, że pierwszym misjonarzem wśród Prusów był biskup Wojciech (Vojtech) z Pragi. Nie wiemy tylko, czy była to jego osobista decyzja, czy raczej zbieg okoliczności i konieczność życiowa biskupa Wojciecha. Wiemy bowiem, że jako biskup

[4] Krupnik – wysokoalkoholowy napój miodowy.

w Pradze był bardzo nielubiany (może był za mało lub za bardzo „święty"). Kilkakrotnie był wypędzany z Pragi.

I tak, będąc „bezrobotnym" biskupem, znalazł się u swego przyjaciela, Bolesława Chrobrego, króla polskiego. Przypuszczam, że Bolesław, nie mając w zanadrzu żadnego wolnego biskupstwa dla swego przyjaciela (a może z góry przewidział go na „świętego"), skłonił go do podjęcia misji nawracania Prusów na chrześcijaństwo. Niewątpliwie Bolesław Chrobry liczył też na przyszłe korzyści terytorialne. Niemniej papież liczył na to samo. I tak, Bolesław Chrobry wysłał Wojciecha do Prusów, aby ich nawracał. Przydzielił mu eskortę z 12-tu wojaków (rycerzy), którzy mu towarzyszyli, ale (jak źródła podają) tylko do granicy, przypuszczalnie do Wisły.

Nasuwa się pytanie: dlaczego Bolesław ograniczył zadanie eskorty tylko do granicy? W żadnych publikacjach nie znalazłem na to pytanie odpowiedzi. Należy przypuszczać, że Bolesław Chrobry musiał dobrze znać Prusów, a szczególnie ich waleczność. Na pewno nie obce były mu wiadomości o nieudanych wyprawach Mazowszan. Wkroczenie 12-tu rycerzy (na owe czasy) na ziemię należącą do Prusów tamci uznaliby za wypowiedzenie wojny. Z pewnością Bolesław Chrobry wolał uniknąć zakłócenia stosunków z Prusami, gdyż zajęty był podbojem Pomorza, ziem po Odrę, by tam „wbić słupy graniczne". W ten sposób Wojciech pozostawiony został własnemu losowi.

Zagadką jest: Dlaczego Wojciech został w 997 roku zamordowany przez Prusów?

Pisarz niemiecki Karl Baumann w *Die Prussen*[5] podaje, że przypuszczalnie jeden z kapłanów zabił Wojciecha w lesie w Sambii. Z innych miejsc wiemy, że Prusowie mieli tak zwane „święte gaje". Można więc przypuszczać, że Wojciech – jako nieupoważniony – naruszył tego rodzaju gaj. W jakiś sposób mógł znieważyć ich wierzenia, zwyczaje, obyczaje, narzucając wierzenia chrześcijańskie. Być może, że jego charakter był osobliwy, skoro bowiem kilkakrotnie był wypędzany jako biskup z Pragi, więc i Prusom mógł nie przypaść do gustu swoim zachowaniem. W każdym razie śmierć Wojciecha pozostaje nadal zagadką.

Uczyłem się w szkole, że Bolesław Chrobry wykupił zwłoki swego przyjaciela Wojciecha złotem o wadze jego ciała. Nikomu z nas uczniaków, nawet studentom, nie przyszło wtedy na myśl, aby postawić nauczycielowi, profesorowi pytania: Dlaczego Bolesław Chrobry to zrobił? Dlaczego jako „Chrobry" wódz, król Polski nie pomścił śmierci swego przyjaciela siłą, bez okupu, sprowadzając zwłoki Wojciecha? Myślę, że już poprzednio dałem odpowiedź na te pytania. Po prostu Bolesław Chrobry miał respekt przed dzielnym narodem Prusów. Wolał płacić, niż wchodzić z nimi w konflikt.

Po tragicznej śmierci Wojciecha drugim misjonarzem wśród Prusów, za zgodą papieża, cesarza i Bolesława Chrobrego, był Bruno z Querfurtu – o przydomku Bonifacius. I ten został zamordowany w lutym lub marcu 1009 roku. Przyczyny jego śmierci też nie są znane. Po tych tragicznych wypadkach przez 200 lat nie widać w historii odważnych misjonarzy do nawracania Prusów.

Dopiero w 1216 roku papież Innocenty III uznał Krystiana (Christiana) z Łękna w Wielkopolsce w dowód jego zasług za pierwszego biskupa Prus. Biskup Christian, podobno znający język Prusów, łatwiej dogadywał się z nimi. Podobno miał szczęście kilku Prusów nawrócić do chrześcijaństwa. Przedstawił nawet papieżowi dwóch ochrzczonych: Warpode i Survabuno.

[5] Prusowie.

Niezadowolony jednak z wyników swej pracy misyjnej, z pomocą księcia Konrada I Mazowieckiego, zorganizował w 1222 i 1223 roku dwie wyprawy krzyżowe, które niestety zakończyły się sromotną klęską. Może wtedy biskup Christian nazwał Prusów „dziećmi diabła". Na tych wyprawach ucierpiało przede wszystkim Mazowsze. Obdarowany przez Konrada Mazowieckiego w 1222 roku licznymi dobrami, nadal działał wśród Prusów, aż ci wreszcie wzięli go do niewoli w 1233 roku, z której wyszedł szczęśliwie w 1239 roku. Nasuwa się pytanie: Dlaczego misja chrześcijańska nie miała wzięcia u Prusów?

Wiemy, że pogańscy Prusowie byli bardzo wierni swoim bogom, przywiązani do swoich obrzędów i obyczajów. A to, co przynosili im papiescy misjonarze, było dla nich tak obce i wrogie, że nie znajdowało posłuchu i przyjęcia. Być może, przynosząc Prusom chrześcijaństwo, używano języka łacińskiego, który obowiązywał w Kościele Rzymskim już od 600 roku, od papieża Grzegorza I.

Może kazano Prusom modlić się do figurki i obrazka „Matki Boskiej" i świętych? Bowiem kult „świętych" figur i obrazów wprowadzono w Kościele Rzymskim w 788 roku za papieża Hadriana I.

Może kazano im całować krzyż i „święte obrazy?" Kult wprowadzono w tymże 788 roku przez tegoż papieża Hadriana I.

A może kazano im pościć w piątki? Przepis wprowadzony przez papieża Grzegorza V w 998 roku.

Może pryskano na nich „święconą wodą?". Kult wprowadzony przez papieża Sylwestra II w 1000 roku.

Może krytykowano kapłanów Prusów za to, że są żonaci? Dogmat ten, tzn. celibat, wprowadził papież Grzegorz VII w roku 1079.

A może kazano Prusom przebierać „paciorki" różańca? Kult wprowadzony przez papieża Urbana II w 1090 roku.

A może wmawiano Prusom, że opłatek w ręku kapłana rzymskiego zamienia się w „prawdziwe ciało Chrystusa?" Dogmat wprowadzony przez papieża Innocentego III w 1215 roku.

Porównując powyższe kulty religijne Kościoła Rzymskiego, widzimy, jak obce one były Prusom, których obyczaje i wierzenia były bardziej duchowe, połączone ze zjawiskami przyrody.

Niewątpliwie do kraju Prusów docierały wiadomości o wyprawach krzyżowych do Ziemi Świętej, organizowanych przez papieży przeciwko muzułmanom. Główną rolę w tych wyprawach odgrywał tzw. Zakon Krzyżacki, który został specjalnie założony przez papieży do potępienia pogan, nie słowem Ewangelii, lecz mieczem. Pierwotnie Zakon ten, założony w 1190 roku, nosił nazwę „Zakon Szpitala Najświętszej Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie". Zakon ten miał na celu opiekowanie się pielgrzymami i chorymi. W roku 1198 został przekształcony w Zakon Rycerski, czyli organizację o charakterze czysto wojennym.

Papieże puścili w niepamięć słowa Jezusa Chrystusa: „Miłujcie nieprzyjaciół waszych". Woleli naśladować zapalczywego Piotra, który w obronie Jezusa dobył miecza i uciął ucho sługi kapłana. Papieże też zapomnieli wypowiedź Jezusa, którą skarcił swego ucznia: „Schowaj swój miecz, bo kto mieczem walczy od miecza zginie". Niechlubnie dlatego papieże nazywają się następcami Piotra, uważając Piotra za I papieża w Rzymie, gdy tymczasem Piotr nigdy nie był w Rzymie. Był po prostu „starszym wśród braci" w Jerozo-

limie. Ani legenda, ani przesadna wyobraźnia Henryka Sienkiewicza, przedstawiająca Piotra uciekającego z Rzymu (według powieści *Quo vadis*), nie może zastąpić prawdy historycznej.

Papieże, zamiast głosić Ewangelię Miłości Jezusa Chrystusa, woleli szerzyć strach, grozę, gwałt i mord, i to pod znakiem krzyża. Prusowie, prowadząc handel ze światem, z pewnością słyszeli o tych mordach. Na pewno nie były im obce wieści o moralnym zepsuciu papieży i duchowieństwa rzymskiego oraz o wzajemnych antagonizmach i walkach między papieżami, wzajemnie się wyklinającymi, gdy było ich 2 i 3 w jednym czasie.

Czyż takie rzeczy mogły imponować Prusom? Chyba reakcja była odwrotna: Prusowie tym bardziej zaczęli doceniać swoje obyczaje i kulturę. Wyprawy krzyżowe, organizowane przez papieży z Zakonem Krzyżackim na czele, nie odniosły pożądanego zwycięstwa nad muzułmanami w walkach o zdobycie Palestyny – „Ziemi Świętej".

Papieże razem z Zakonem Krzyżackim ponieśli klęskę. Zakon Krzyżacki popadł w „bezrobocie". Zakon, szukając „pracy" mordowaniem niewinnych ludzi, znalazł nabywcę, który ich potrzebował. Był nim król węgierski, Andrzej II. Zaprosił on „dzielnych" rycerzy w 1211 roku, ale już po 13-tu latach (w 1224–1225) wypędził ich z kraju, bo zaczęli zakładać na Węgrzech własne państwo („państwo w państwie").

Nie wiem, czy Prusowie byli świadomi, że burza nieszczęścia zbliża się ku granicom ich kraju. Bo oto Zakon Krzyżacki (twór papieży) znów znalazł się w papieskim „Arbeitsamcie"[6]. Kłopot nie lada. Wiemy bowiem dobrze, że papieże chętnie biorą pieniądze, choćby ostatni grosz wdowi, ale opłacać „bezrobotnych" rycerzy, to nie leży ani w guście, ani w tradycji – podobno „Świętej Stolicy".

A więc na gwałt szukano nowego pobojowiska przelewania niewinnej krwi ludzkiej. Na reżysera nowej epopei zgłosił się (w sukmanie, a może w gronostajach) Konrad I Mazowiecki, znany wróg Prusów. W 1226 roku zaprosił książę Konrad I Mazowiecki Zakon Krzyżacki, oddając im w 1230 Ziemię Chełmińską, która służyć miała jako baza wypadowa przeciwko Prusom. Krzyżacy opanowali Ziemię Chełmińską w latach 1230–1233. Historycy niemieccy twierdzą, że Zakon Krzyżacki otrzymał Ziemię Chełmińską na podstawie dokumentu Konrada Mazowieckiego, mocą którego Ziemia Chełmińska przechodziła na własność Zakonu. Polacy natomiast twierdzą, że Zakon Krzyżacki sfałszował dokument.

Ja przychylam się do tych historyków, którzy mówią, że Konrad Mazowiecki darował Zakonowi to, co do niego w ogóle nie należało, gdyż Ziemia Chełmińska należała do Prusów.

Więc o co się kłócić?

Jest rzeczą bezsporną: Konrad Mazowiecki, książę polski, sprowadził Krzyżaków, aby z ich pomocą zagarnąć i przywłaszczyć Ziemię Prusów. (Encyklopedia niemiecka błędnie podaje, że: „Konrad berief den Dt. Orden zum Schutz gegen die heidnischen Prussen"[7].)

Konrad Mazowiecki, sprowadzając Zakon Krzyżacki, nie przewidział, że sprowadził dla Polski długowiecznego wroga.

Pisarze niemieccy (a może i polscy) głowią się nad odpowiedzią na pytanie: „Kto namówił Konrada I Mazowieckiego do sprowadzenia Zakonu Krzyżackiego?".

Czyż aż tak trudno znaleźć na to pytanie odpowiedź? Przecież nie kto inny, jak tylko panujący wówczas papież Honoriusz III, który pragnął dać pracę „bezrobotnemu" Zakono-

[6] Urzędzie Pracy.
[7] Konrad przywołał zakon niemiecki dla ochrony przed pogańskimi Prusami.

wi. Papieże uważali siebie za właścicieli krajów pogańskich. Oni założyli Zakon Krzyżacki, który był ich narzędziem, zbrodniczym narzędziem w zdobywaniu i opanowywaniu krajów pogańskich.

Z rokiem 1233 rozgorzała straszna walka przeciwko Prusom, walka na śmierć i życie. Po stronie Zakonu Krzyżackiego stanęły wojska książąt polskich: Mazowsza (Konrad Mazowiecki), Pomorza (Świętopełk) i inni. Papieże organizowali posiłki Zakonowi. Ochotnicy zgłaszali się przeważnie z krajów niemieckich. Przestępcom, więźniom, zgłaszającym się do wypraw krzyżowych, darowywano wszelkie kary, a papieże dodatkowo obdarowywali ich „amnestią wieczną" w formie „listu odpustowego", mocą którego byli wolni od wszelkiego grzechu, przeszłego i przyszłego.

Przeciwko takim siłom stanęli Prusowie. Za swoich sprzymierzeńców mieli jedynie terenowe ukształtowanie swojej ziemi: nieprzebyte gęste bory, knieje, moczary i... miłość do swojej ziemi.

Pod hasłem krzyża: „Chrzest albo śmierć!" ruszyły siły papieskie ze swoimi sprzymierzeńcami przeciwko niewinnym Prusom.

Rozległ się brzęk, chrzęst, zgrzyt pancerzy, dzid, toporów i innego sprzętu wojennego.

Niewolników Krzyżacy torturowali tak długo, aż katowany „przyjął" chrzest lub śmierć. Tych pierwszych w pierwszych latach nie było, bo dla Zakonu Krzyżackiego „tylko martwy Prus był dobrym Prusem".

Prusowie dzielnie stawiali opór Krzyżakom, często zadając wrogowi ciężkie straty. Mieli oni też dzielnych wodzów, jak na przykład: Herkus Monte, Dywanas, Auktumi i najdzielniejszy Skomand. Prusowie, mimo swej dzielności, popełnili w wojnie przeciw Krzyżakom jedyny kardynalny błąd taktyczny i strategiczny. Nie stworzyli od początku jednego, wspólnego dowództwa obejmującego siły zbrojne wszystkich plemion, by w ten sposób przeciwstawić się Krzyżakom wspólnymi, silnymi oddziałami, likwidując wroga w zarodku. Niestety, plemiona kolejno przeciwstawiały się napastnikowi. W takim układzie, Krzyżacy, mając przewagę w uzbrojeniu, w sprzęcie wojennym i nieustające posiłki, stopniowo zdobywali obszary poszczególnych plemion.

Walka trwała 50 lat (1233 do 1283), co świadczy o waleczności Prusów; jednak zakończona ich klęską. Prusowie, nie mając znikąd pomocy, dzielnie, bohatersko bronili swojej niepodległości, swojej wolności, swego bytu. 50-letnia wojna mówi dobitnie o dzielności Prusów, bowiem mieli przeciwko sobie całą Europę z „Stolicą Świętą" na czele.

Krzyżacy zdobyli ziemię przez wyniszczenie, wymordowanie Prusów. Kraj i naród Prusów przestał istnieć.

Nieliczni Prusowie znaleźli schronienie na Litwie. Reszta zepchnięta została do roli niewolnika, siły roboczej, bez jakichkolwiek praw. Niemcy chlubią się tym, że Zakon Krzyżacki wniósł na Ziemię Prusów cywilizację i kulturę. Pytanie: jaką kulturę?

Jeżeli mówić o kulturze na ziemiach Prusów, to zgodnie z prawdą trzeba powiedzieć, że pierwszą, którą Zakon Krzyżacki wniósł tam, była „kultura" gwałtu, tortur i mordu. Skąd pochodziła taka „kultura"?

Wylęgarnią tej „kultury" był Rzym – „Stolica Apostolska" – „Stolica Święta".

„Kultura" ta w okresie 50-letniej walki z Prusami wylęgała się w mózgach następujących papieży, „Ojców Świętych"(?): Innocentego III, Honoriusza III, Grzegorza IX, Celestyna IV, Innocentego IV, Aleksandra IV, Urbana IV, Klemensa IV, Grzegorza X, Innocen-

tego V, Hadriana V, Jana XXI, Mikołaja III, Marcina IV – którzy organizowali wyprawy (posiłki) morderców przeciwko Prusom.

Zakon Krzyżacki w ślad za zdobywaniem ziemi, sprowadzał z Niemiec osadników, którzy zagospodarowali zdobyty kraj. Budowano zamki, miasta, osady.

Polacy wkrótce spostrzegli, że popełnili straszny błąd, sprowadzając Zakon Krzyżacki. Szczególnie Konrad Mazowiecki był zawiedziony w swoich ekspansywnych planach. Zamiast spokojnych Prusów miał teraz prężnego, wojowniczego sąsiada, wroga, wobec którego był bezsilny. Zakon Krzyżacki panoszył się w Prusach. Rósł w sile. Sięgał po ziemie poza Niemen. Zagrażał Polsce i Litwie. Być może, że groźba ta była jednym z powodów Unii Polsko-Litewskiej w 1386 roku za króla Władysława Jagiełły. Chyba dopiero teraz pomyślano w Polsce poważnie o wypowiedzeniu wojny Zakonowi Krzyżackiemu.

15 lipca 1410 roku doszło do decydującej walki pod Grunwaldem. Na polach grunwaldzkich stanęły naprzeciw siebie wojska polsko-litewskie pod wodzą króla Jagiełły i księcia litewskiego Witolda z jednej strony, wojsko Zakonu Krzyżackiego pod wodzą Mistrza Ulricha von Jungingen po drugiej stronie.

Okrutna walka pokryła pola grunwaldzkie trupami obu stron. Poległ też Mistrz Krzyżacki Ulrich von Jungingen. Zwyciężyli Polacy. Krzyżakom „złamano kręgosłup". Ale Jagiełło nie wykorzystał należycie swego zwycięstwa.

Zakon Krzyżacki nadal był gospodarzem Prus, umacniając swoją władzę. Siedzibą Mistrzów Zakonu do 1457 roku był Malbork. Po utracie Malborka na rzecz Polski siedzibą stał się Królewiec.

Dnia 8 kwietnia 1525 roku ostatni Mistrz Zakonu Rycerskiego Albrecht (od 1510), syn Margrafa Friedricha von Brandenburg-Ansbach, wraz z całym bractwem zakonnym zrzucił pancerz – strój rycerski, udał się do Krakowa, by złożyć hołd królowi Polskiemu, Zygmuntowi I Staremu, który był jego teściem. Odtąd Albrecht jako książę Prus stał się lennikiem Polski.

Sekularyzacji Zakonu Rycerskiego w Księstwo świeckie dokonał Albrecht za radą reformatora Kościoła dr. Marcina Lutra. Aby nie mieć kłopotów ze Stolicą Apostolską, przyjął luteranizm, zaprowadzając nową wiarę w całym kraju.

A co działo się w międzyczasie z pierwotną ludnością Prus?

Po prostu wymierali. Ostatni Prus, według notatki w jednym z egzemplarzy katechizmu dr. Marcina Lutra, mówiący językiem Prusów, zmarł w 1701 roku. Tak to w imię krzyża zniknął z powierzchni ziemi, wymazany z mapy, Naród Prusów.

Wymazany z mapy? – Nieprawda.

Faktycznie, od księcia Albrechta istniało Księstwo Pruskie (Herzogtum Preussen). A dnia 8 stycznia 1701 roku koronował się w Królewcu książę Friedrich III z Brandenburgii na króla w Prusach (König in Preussen).

Czyż więc istnieją Prusowie? Niestety nie. Cóż więc się stało? Może to brzmieć wulgarnie, ale powiem prosto: morderca ukradł i przywłaszczył sobie nazwę zamordowanego.

Słowa: mord, morderca, to straszne pojęcia i oskarżenia. A jednak są one związane z losem, z wyniszczeniem narodu Prusów.

Stawiam sobie wobec tego pytanie: Kto wymordował Prusów? Kto dokonał na nich „Holocaustu"[8]? Kto jest ludobójcą tak niewinnego narodu, którym był naród Prusów?

Odpowiedzi na te pytania ogólnie są właściwie znane. Jednak mnie nie zadawalają.

[8] Dosłownie 'całopalenie', zagłada Żydów europejskich podczas II wojny światowej.

Posłuchajmy, co mówią Polacy. Ich odpowiedź może być i jest całkiem krótka: Prusów wymordowali Niemcy, bo Zakon Krzyżacki był niemiecki. – Nic ująć, nic dodać.

Niemcy, słysząc taką definicję, wybuchają oburzeniem i wołają: „Myśmy Prusów nie wymordowali, lecz wchłonęliśmy ich w nasz organizm społeczno-państwowy, wnieśliśmy do kraju kulturę, cywilizację itd. Jeśli ktoś mówi lub twierdzi, że myśmy wymordowali Prusów, to posłużył się kłamstwem propagandowym (Propagandalüge[9]). Prusowie żyją wśród nas, ich krew połączyła się z naszą (niemiecką)" itp.

Niewątpliwie pewne okruchy narodu Prusów ocalały, przyjmując pod groźbą śmierci chrzest lub grając rolę „Quislinga" (Quisling – polityk norweski, współpracujący z Hitlerem), w późniejszych wiekach może nawet przez ożenki Prusów z osadnikami niemieckimi, litewskimi, polskimi.

Jeżeli „Propagandalügner"[10] twierdzi, że Niemcy nie wymordowali Prusów, to niech mi pokaże kraj, w którym Prusowie żyją jako naród swobodnie, wolno, niepodlegle, mówiąc własnym językiem. Czyżby 4444 nazwisk (nazw) pruskich zebranych przez pisarza Hansa Georga Podehla miały usprawiedliwiać mord Prusów przez niemiecki Zakon Krzyżacki albo „istnienie" narodu – kraju – państwa Prusów?

Niestety, już od 700 lat nie ma ani kraju, ani narodu, ani języka Prusów.

Historycy piszą, że Prusowie nie znali, czy też nie mieli pisma; nie pozostawili po sobie nic pisanego. A te drobiazgi, które ocalały w piśmie, nie pisali Prusowie, lecz obcy pisarze. Po Grunwaldzie (1410) Prusowie mogli też „kumać" się z Polakami, napływającymi z Mazowsza jako osadnicy. Być może, że i we mnie płynie jakaś kropla krwi Prusów, boć przecież jestem synem tej ziemi, która należała do nich.

Czytając historię o Starych Prusach, ze wstrętem stwierdzam, że padli oni ofiarą obrzydliwej ludzkiej nienasyconej zachłanności – zaborczości. Kierowali się nią trzej wspólnicy, których wymieniam w porządku chronologicznym, według odgrywanej funkcji i kompetencji:

1. Papież (papieże).
2. Konrad I Mazowiecki (Polacy).
3. Zakon Krzyżacki (Niemcy).

W takiej kolejności widzę odpowiedzialnych winowajców, sprawców wyniszczenia narodu Prusów. Mogę przypuszczać, że przez powyższe zaszeregowanie „wsadziłem kij w mrowisko". Z pewnością popłyną z tej czy innej strony słowa oburzenia. Ja jednak obstaję przy tym, co powiedziałem.

Dlaczego głównym winowajcą wyniszczenia narodu Prusów czynię papieża, papieży?

Bowiem papież, wbrew słowom Jezusa Chrystusa: „Moje królestwo nie jest z tego świata" – uważa się panem świata. Rości wyłączne prawo do krajów pogańskich. Celem zdobycia pogan dla chrześcijaństwa papież nie wysłał misjonarzy z Biblią w ręku, lecz znów nie pomnąc na słowa Jezusa: „Wsadź miecz do pochwy, bo kto miecz dobywa, od miecza zginie" – zorganizował Zakon Rycerski i uzbroił nie w „pancerz wiary", lecz w pancerz żelazny, konia i człowieka. Gdyby nie nienasycona żądza papieża panowania nad światem, nie byłoby Zakonu Rycerskiego, nie byłoby mordu dokonanego na Prusach. Papież był inspiratorem i organizatorem wypraw krzyżowych przeciwko Prusom. On ape-

[9] Oszustwo propagandowe.
[10] Kłamliwy propagandzista.

lował i skłaniał książąt, królów, cesarzy do wysyłania posiłków zbrojnych Zakonowi Krzyżackiemu.

Drugim, odpowiedzialnym za mord na narodzie Prusów był Konrad I Mazowiecki, który zaprosił lub wezwał Zakon Krzyżacki do walki przeciw Prusom. Jestem pewny, że Konrad Mazowiecki nie powziął decyzji bez pomocy doradców, przedstawicieli narodu polskiego, a zatem należy powiedzieć, że Polacy są współwinni za mord Prusów. Bo, gdyby Polacy nie wezwali Zakonu Krzyżackiego, Prusowie istnieliby do dziś dnia, podobnie jak istnieją Litwini, Łotysze.

Dopiero po tych dwóch współwinnych (papieża i Polaków) widzę Zakon Krzyżacki w akcji przeciw Prusom. Nigdy nie mogę Zakonu Krzyżackiego uważać za głównego sprawcę tragedii narodu Prusów, ponieważ działał on na rozkaz papieża i na życzenie Polaków. Wysyłając, zapraszając Zakon Rycerski, czegóż można było się spodziewać? Była to przecież specjalna, zawodowa organizacja zbrojna do prowadzenia walki. Była to jednostka do „specjalnych poruczeń", do specjalnych akcji, w których nie liczono się, kogo się zabija. Jęki rannych, torturowanych, płacz i lament kobiet, dzieci, cierpienia niewolników, nie wzbudzały litości.

Zakon Krzyżacki był do „wynajęcia" do zabijania, opłacany przez angażującego. Rzemiosło Zakonu Krzyżackiego można by przyrównać do rzemiosła kata. Kat wieszał, ścinał skazańców, bo za to mu płacono. Zakon Krzyżacki robił to samo, otrzymując w zamian dobra i przywileje. Czynił to, wykonując wolę papieża i Polaków. Powtarzam: gdyby nie Papież, nie byłoby Krzyżaków na ziemi Prusów. Gdyby nie papież i Polacy, Prusowie nie zginęliby jako naród. Żaden z 14-tu papieży, panujących w czasie 50-letniej wojny z Prusami, nie opamiętał się i nie odwołał zbrodniarzy, przeciwnie, czyniono wszystko, by posiąść ziemię dla „Stolicy Świętej".

Należy dziwić się, że dotąd narody świata nie postawiły Papiestwo, Polskę i Niemcy przed Międzynarodowym Trybunałem za dokonanie ludobójstwa na narodzie Prusów. Nowoczesna mapa wystarczyłaby jako dowód rzeczowy, gdyż nie znajdziemy na niej kraju, zamieszkałego przez Prusów.

Jak trudno Papiestwu, Polsce i Niemcom przyznać się do winy wyniszczenia Prusów. Zresztą, który przestępca dobrowolnie przyznaje się do winy? Każdy z nich szuka „alibi", względnie przerzuca winę na drugiego.

Niemcy po II wojnie światowej poczuli się bardziej świadomi swojej odpowiedzialności za skutki wojenne. Rząd Niemiec Zachodnich przyznał się do wymordowania Żydów. „Holocaust" żydowski znany jest na całym świecie. A przecież Żydzi nie zostali wymordowani. Żyją na całym świecie, w różnych krajach. A nawet po 2 tysiącach lat, w 1948 roku odzyskali swój kraj ojczysty, Kanaan – Palestynę, dzisiejsze państwo Izrael.

Tylko o wymordowaniu Prusów mało kto na świecie wie i pamięta.

Skoro Niemcy twierdzą, że nie wymordowali Prusów, to należy przyjąć, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym Prusowie odzyskają swój kraj i staną się państwem wolnym i niepodległym. Boć od utraty ich niepodległości w 1283 roku minęło zaledwie 705 lat, żadne 2 tysiące.

A zatem możliwe?...

Nad tym zagadnieniem „czy możliwe" zastanawiał się pisarz niemiecki Heinrich Gerlach, urodzony w 1908 roku w Królewcu. Po klęsce pod Stalingradem, siedząc z innymi

oficerami-Landsmanami[11] w niewoli w Rosji, debatowali nad możliwością uratowania Prus Wschodnich (Ziemi Prusów) jako odrębnego państwa. Gerlach wydał ciekawą książkę o Prusach pt. *Nur der Name blieb*[12].

Pisząc o sobie, twierdzi na podstawie archiwalnych dokumentów, że jest potomkiem Prusów. Dzieło Gerlacha dało bodźca, że niejaka pani Ruth Eleonora Kauffman, wywodząca się również z rodu Prusów, urodzona w okolicach Tolkemit[13], założyła w 1980 roku „Prussen-Freundeskreis Tolkemita"[14] z siedzibą w 6110 Dieburg I, Landhaus Vogelsang[15]. Towarzystwo to skupia pisarzy, historyków, naukowców i „prostych" ludzi, obywateli różnych krajów i narodowości, interesujących się narodem Prusów.

Szkoda, że Towarzystwo to odżegnuje się od polityki. Przewodnicząca drugiego spotkania Towarzystwa Przyjaciół Prusów, p. Gerda Seutter, ujęła to tak: „Ich habe darauf Wert gelegt, dass das Unpolitische dieses Freundeskreises betont wird. Auf eine einfache Formel gebracht: Wer Prusse ist, ist auch Ostpreusse, wer Ostpreusse ist, ist auch Deutscher; wer Deutscher ist, ist auch Europäer – da gehen dann schon viele Richtungen unter einen Hut"[16]. Chyba pod tym „kapeluszem" coś nie sztymuje: Prus nigdy nie był Niemcem.

Wer wir sind[17]

Der Prussen-Freundeskreis TOLKEMITA wurde 1980 von Ruth Eleonore Kauffmann (Waispatti Rutele Kauffmann-Tolkmitt) ins Leben gerufen.

Seinen Namen bezieht der Freundeskreis von der Prussenburg Tolkemita über dem Frischen Haff nahe dem Städtchen Tolkemit poln. Tolkmicko).

Anschrift ist: TOLKEMITA
Landhaus Vogelsang
D - 6110 Dieburg 1

---

[11] Ziomkami.

[12] Została tylko nazwa.

[13] Tolkmicko.

[14] Towarzystwo Przyjaciół Prusów.

[15] Adres siedziby towarzystwa.

[16] Zależało mi na tym, by zaakcentowana została apolityczność tego koła przyjaciół i by sprowadzona była do prostej formuły: Kto jest Prusem, ten jest też Prusem Wschodnim, więc jest Niemcem; a kto jest Niemcem, ten jest też Europejczykiem – wtedy pod jednym kapeluszem pomieścimy już wiele ukierunkowań.

[17] *Za kogo się mamy?*

„Koło Przyjaciół Prusów TOLKEMITA powołane zostało do życia w 1980 roku przez Ruth Eleonorę Kaufmann (Waispatti Rutele Kaufmann-Tolkmitt).

Nazwę swą Koło Przyjaciół wywodzi od grodu Prusów Tolkemita nad Zalewem Wiślanym w pobliżu miasteczka Tolkmicko.

Adres: TOLKEMITA, rezydencja na wsi pod nazwą Vogelsang (śpiew ptasi)

Niemcy, 6110 Dieburg 1

Do Koła Przyjaciół, które jest liberalnym zgrupowaniem o zasięgu ogólnoświatowym, może dołączyć każdy, kto pragnie przyczynić się, by:

– pamięć o zachodniobałtyckim narodzie Prusów zachowała się i była dalej przekazywana,

– jego spadek kulturowy nadal badano i pielęgnowano,

– przekaz o Prusach (wypaczony i zniekształcony) był korygowany, prezentowany w godniejszych barwach,

– zachowane były resztki mowy pruskiej i by badano nadal ten język, by był on w jakiejś formie w użyciu u tych, którzy czują się potomkami Prusów, niezależnie od tego, do jakiego narodu obecnie przynależą.

Im Freundeskreis, der eine lockere Gruppierung ist, die sich mittlerweile über den ganzen Globus erstreckt, ist willkommen, wer dazu beitragen möchte, daß

– die Erinnerung an das westbaltische Prussenvolk bewahrt und weitergegeben wird,

– seine kulturelle Hinterlassenschaft weiter ermittelt und gepflegt wird,

– das überlieferte (verzerrte und auch entstellte) Prußenbild berichtigt und farbiger wird,

– die Reste der prußischen Sprache erhalten bleiben, und die Sprache weiter erforscht sowie (ggf. weiterentwickelt) noch ein wenig gebraucht wird,

– und wer sich als Abkömmling oder als Freund zu den Prußen (Altpreußen, Stammpreußen, Pruzzen, Urpreußen) bekennt, gleich welch anderer Herkunft er sonst noch ist, welchen Namen er trägt oder welcher Nation er heute angehört!

8.1983

Osobiście uważam, że jest to towarzystwo bez „twarzy", bez twarzy Prusów. Ci, którzy są świadomi, że są potomkami Prusów, winni prosto mówić: Jestem Prusem, a nie Preusse-Deutscher. Celem Towarzystwa winna być wizja wolnego, niepodległego państwa Prusów. *Idée fixe*?...

Żydzi tak nie myśleli. Bo są mądrzejsi od potomków Prusów. Obcy pisarze muszą wstawiać się za Prusami. Pisarze litewscy i łotewscy podkreślają, iż tylko dzięki dzielności i wytrwałości Prusów ocalała Litwa i Łotwa jako państwa i narody. Gdyby nie 50-letni opór Prusów przeciw Krzyżakom, tenże los likwidacji spotkałby Litwę i Łotwę.

Pisarz rosyjski V. N. Toporow ubolewa nad tragedią Prusów, pisząc: „Upadek (Prusów) jest stratą dla ludzkości i człowieczeństwa".

Skończyła się epopeja Prusów.

Dzisiaj tylko opary przelanej krwi pomordowanych Prusów unoszą się nad moczarami, bagnami, lasami i łąkami dawnej Ziemi Prusów – mojej Ziemi Ojczystej.

Wspomnieć jeszcze wypada o dwóch najważniejszych osobistościach Zakonu Krzyżackiego, które odegrały główną rolę w działalności przeciwko Prusom.

2
Hermann von Salza

Jako 39-letni młodzieniec był czwartym Wielkim Mistrzem Zakonu Krzyżackiego, panując od 1209 do 1239 roku. On to rozpoczął w 1226 roku walkę przeciwko Starym Prusom, zamieszkującym w dzisiejszych Prusach Wschodnich i Ziemi Chełmińskiej. Walka ta nosiła niewinną, wspaniałomyślną, dobroczynną nazwę: „Misja nawracania Prusów na chrześcijaństwo", inaczej mówiąc: „krucjata".

W gruncie rzeczy była to walka zbrojna, prowadzona ogniem i mieczem pod białym płaszczem z czarnym krzyżem przeciw Prusom, dzielnie broniącym swej wolności i niepodległości.

Wiemy już, że te „Krucjaty" doprowadziły w ciągu 50ciu lat do wyniszczenia narodu Prusów, do wymazania z mapy niepodległego Państwa Prusów.

Niemcy wysławiają Wielkiego Mistrza Hermana v. Salza jako wielkiego Męża Stanu – „Genialer Staatsmann”. Moim zdaniem, jest on oprawcą, pogromcą Prusów. Myślę, że gdyby on dzisiaj podobnie działał, byłby uznany za zbrodniarza, ludobójcę.

Niemcy widocznie uważają, że Prusowie są sami winni temu, że zostali wymordowani.

Dziwna to moralność. – Niesprawiedliwa gloryfikacja.

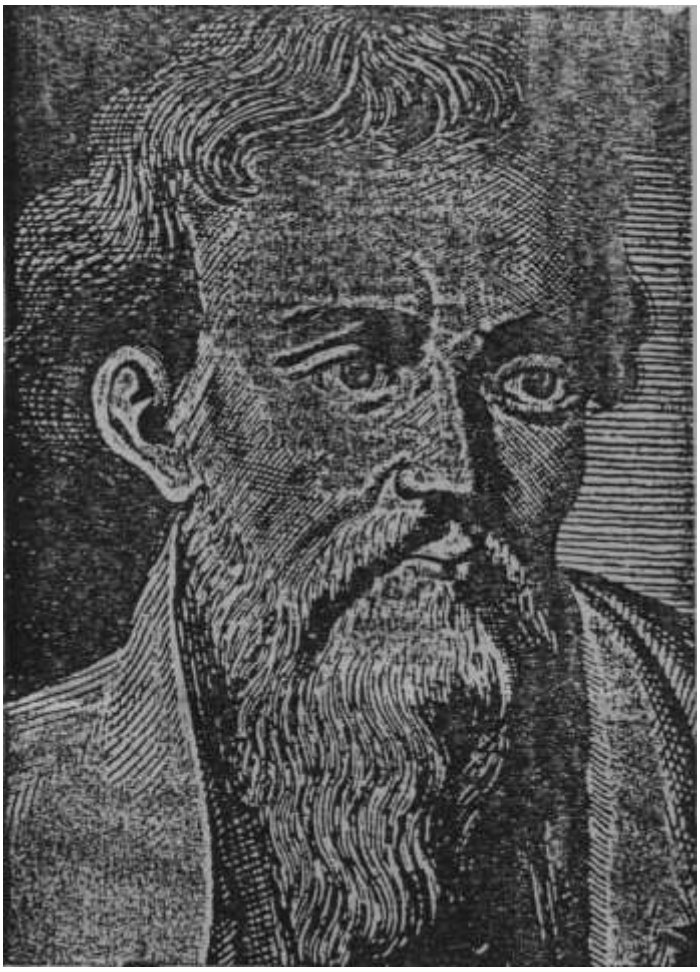

Hochmeister Hermann von Salza: Genialer Staatsmann[18]

[18] Wielki Mistrz Hermann von Salza, genialny mąż stanu.

3
Herzog Albrecht von Preussen

Urodził się 17.05.1490 roku w Ansbach, zmarł 20.03.1568 roku w Tapiau. Jego ojciec, Margraf Friedrich von Brandenburg-Ansbach, Matka, Zofia, córka króla polskiego Kazimierza IV, siostra Zygmunta I Starego. Książę Albrecht ożenił się z córką króla polskiego, Zygmunta Starego.

Dnia 13.02.1511 roku Albrecht został przyjęty do Zakonu „Spital des Deutschen Adels”[19] w Zschillen koło Chemnitz.

Dnia 6.07.1511 roku wybrany w Królewcu Wielkim Mistrzem Zakonu Krzyżackiego.

Dnia 8.04.1525 podpisuje Akt Traktatu Lennego z królem polskim, Zygmuntem I Starym, swoim teściem. Dnia 10.04.1525 roku składa hołd królowi polskiemu, Zygmuntowi Staremu w Krakowie, likwidując Zakon Krzyżacki, stając się świeckim Księciem Prus, lennikiem króla polskiego.

Jako Książę Prus panuje od 1525 do 1568 roku.

Dnia 8.07.1525 roku Książę Albrecht oficjalnie opowiada się za nową religią luterańską, wprowadzając ją jako obowiązującą w całym kraju.

Być może, że reforma religijna Księcia Albrechta dała zawierającym „Pokój Religijny” w Augsburgu w 1555 roku impuls do potwierdzenia zasady: *Cuius regio, eius religio*[20].

Wprowadzenie luteranizmu w Księstwie Pruskim przez Księcia Albrechta wywołało reakcję Księcia Mazowieckiego Janusza, który tegoż roku wydał dekret, zabraniający ewangelikom pod grozą śmierci zamieszkiwania na terenie Mazowsza, w szczególności Warszawy. Tak powstała „żelazna kurtyna”, granica religijno-wyznaniowa między katolickimi Mazowszanami a ewangelikami Księstwa Pruskiego. Przyjazne sąsiedztwo ewangelickich osadników polskich Księstwa Pruskiego z katolickimi Mazowszanami z wiekami zamieniło się w nienawiść, do tego stopnia, że powstało polskie przysłowie: „Jak świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem”.

Nienawiść zrodzona historycznym wydarzeniem z 1525 roku jest w wiekowym rozwoju przyczyną tragicznemu wyniszczeniu Mazurów, potomków osadników polskich, wraz z innymi mieszkańcami Prus Wschodnich przez Polaków w 1945 roku, którym chodzi tylko o zdobycie ziemi a nie o przygarnięcie „braci z krwi i kości”. O to samo chodziło już 400 lat przed tym Konradowi Mazowieckiemu, ale niestety nie miał takiego „darczyńcy” na miarę Stalina.

Książę Albrecht jest ostatnim Wielkim Mistrzem Zakonu Krzyżackiego. Jako 21 letni mężczyzna stał się Wielkim Mistrzem w 1511 roku.

Nie jest moim zamiarem opisywać sylwetkę jego postaci. Co do tego warto przeczytać wartościową książkę prof. dr. Janusza Małłka pt. *Dwie części Prus*. Tu chciałbym podkreślić, iż Książę Albrecht wszedł do historii w zupełnie odmiennym świetle od Wielkiego Mistrza Hermana von Salza. Książę Albrecht pod wpływem nauki i rady dr. Marcina Lutra, reformatora Kościoła, zrzucił haniebny, niewinną krwią splugawiony biały płaszcz z czarnym krzyżem na piersiach i plecach i przywdział szatę książęcą, stając się świeckim władcą Prus. Złożywszy hołd królowi polskiemu Zygmuntowi I Staremu w Krakowie dnia 8. 04.

[19] Szpital szlachty niemieckiej.
[20] Czyj kraj – tego religia.

1525 roku, stał się lennikiem Polski. Książę Albrecht, będąc wielkim zwolennikiem nauki Lutra, założyciela Kościoła Ewangelickiego, stał się szermierzem Ewangelii Chrystusowej. Zrzuciwszy z siebie obłudną zewnętrzną szatę zakonną, przyoblókł szatę Słowa Bożego, zgodnie ze słowami apostoła Pawła, zapisanych w liście do Efezjan 6, 14-17.

„Stójcież tedy, przepasawszy biodra wasze prawdą i oblekłszy pancerz sprawiedliwości, i obuwszy nogi w gotowość Ewangelii pokoju, a nade wszystko wziąwszy tarczę wiary, którą byście mogli wszystkie strzały ogniste onego złośnika zagasić. Przyłbicę też zbawienia weźmijcie i miecz Ducha, którym jest Słowo Boże".

„Albowiem na początku było Słowo, a Bogiem było ono Słowo". Ewang. Jana 1,1.

Herzog Albrecht von Preußen (nach einem Gemälde von Lukas Cranach d. Ä. vom Jahre 1528)
Foto aus „Vertrau Gott allein – Gebete Herzog Albrechts von Preußen", Holzner-Verlag 1956 [21]

Rozbierając powyższe słowa, można powiedzieć, że Książę Albrecht wcielił je w życie w swoim kraju, sam będąc gorliwym wyznawcą Ewangelii Chrystusowej w ujęciu nowej nauki według dra Marcina Lutra.

[21] Książę Albrecht Pruski (na podstawie obrazu Lukasa Cranacha Starszego z roku 1528). Fotografia z modlitewnika *Jedynie Bogu zaufaj – modlitwy księcia Albrechta Pruskiego* – wydawnictwo Holzner, 1956.

Szczytem jego działalności było założenie Uniwersytetu w Królewcu w 1544 roku, gdzie wykładowcami byli teolodzy Reformacji, gdzie kształcili się nowi teolodzy ewangeliccy. Królewiec stał się stolicą, gdzie drukowano dzieła w różnych językach. Albrechtowi zawdzięczamy to, że kazał przetłumaczyć *Katechizm* Marcina Lutra na język Prusów. Wiadomo, że w niewielu egzemplarzach wydano tłumaczenia *Katechizmu*: pierwsze tłumaczenie wydano w 200 egzemplarzach, drugie w 190. Trzeciego tłumaczenia *Katechizmu* dokonał pastor Abel Will z Pobethen w 1554 roku, czyli 10 lat po pierwszych wydaniach. Biorąc sam fakt przetłumaczenia *Katechizmu*, można przypuszczać, że stosunek Księcia Albrechta do Prusów był przyjazny i ludzki.

4
Moja kołyska

Na mapie Prus Wschodnich – bo tak nazywała się do 1945 roku Ziemia Prusów – dotykam palcem najdalej na południe wysuniętego cypla. Tam znajdujemy kółeczko i napis: Neidenburg (Nidzica).

Pisząc o tym, cofam się pamięcią do początkowych lat XX wieku i dlatego używam nazw wówczas urzędowo używanych. Neidenburg (Mazurzy nazywali Nibork) było miastem powiatowym. Na południe od Neidenburg leży miasteczko Soldau (po polsku Działdowo). Idąc z Soldau na wschód, przechodząc przez wieś Kyschienen (Kisiny), dalej omijając majątek Gajowken (Gajówki), dochodzimy do wsi Brodau (Brodowo). Tutaj dłużej się zatrzymamy, bo tu się urodziłem.

Wychodząc ze wsi Kisiny w kierunku Brodowa, widzimy w pewnej odległości po lewej stronie rozległe łąki wzdłuż rzeki Działdówka (Nida-Wkra), a po prawej stronie szosy pola uprawne. Brodowo widzimy z Kisin w odległości 5 km, położone na małym wzniesieniu. Dochodząc do Brodowa, po prawej stronie za uprawną rolą mamy łąki, a po lewej stronie szosy za uprawną ziemią również łąki wzdłuż Działdówki. Brodowo otoczone jest polami uprawnymi, które na wschód ciągną się aż do dawnej granicy z Rosją, właściwie Polską Kongresową. Granica była we wsi Illowo (Iłowo). Niewiele lasu było w kierunku wsi Białuty.

Przyjrzyjmy się wsi Brodowo. Przez wieś prowadzą 2 główne ulice. Jedna (idąc z Działdowa) idzie w kierunku Niborka, miasta powiatowego, z odgałęzieniem na północny-zachód do rzeki Działdówki. Druga ulica, idąca równolegle, z jednym wylotem do wsi kościelnej Narzym, drugim wylotem do wsi Janowo, trzecim do wsi Białuty. Wzdłuż ulic ułożyły się zabudowania gospodarcze w kształcie czworoboku. Domy mieszkalne stare, pod strzechą, stały szczytem do ulicy, nowsze, murowane, dachówką kryte wzdłuż ulicy, z boku stały obory, chlewy, z tyłu od pola stodoły.

Właścicieli gospodarstw o różnej ilości morgów przed 1945 rokiem było 59. Bogatszych nazywano gburami.

Brodowo posiadało jedną mleczarnię, 2 karczmy, dwóch rzeźników, jedną szkołę o trzech nauczycielach, cmentarz z dzwonnicą z dwoma pięknie brzmiącymi dzwonami i jedną publiczną studnię przy gospodarstwie Jebrama. Niektórzy gospodarze, jak: Heyn, Schau, Jebram, Schimański, Napierski, mieli domy dla robotników, tzw. „czworaki".

Każde gospodarstwo posiadało indywidualną pompę, ewentualnie studnię. Między ulicami był stawek, a przy nim kuźnia, oczywiście z kowalem. Z drugiej strony stawu stała remiza z ręczną sikawką na kołach.

Brodowo liczyło przed I wojną światową około 600 mieszkańców. Odtworzyłem z pamięci spis rodzin, zamieszkujących w Brodowie przed 1920 rokiem. Niestety, nie pamiętam nazwisk rodzin robotniczych, które mieszkały w czworakach większych gospodarzy. Spójrzmy na załączony spis. Zauważamy, że spośród 56 nazwisk tylko 9 jest niemieckich: Heyn, Bromberg, Müller, Brock (Żyd), Bredlau, Schau, Schulz, Grieswald, Lange. Inne nazwiska są albo polskie, albo innego pochodzenia (a może nawet potomkowie Prusów). Wszyscy mówili w tym czasie dobrze po mazursku, słabo tylko Bredlau, Brock i Müllerka. W domu mówiono po niemiecku w rodzinach: Schau, Brock, Dalkowski (karczmarz) i Müller.

Skład wyznaniowy mieszkańców Brodowa był następujący: większość była wyznania ewangelicko-luterskiego, 5 rodzin było wyznania rzymsko-katolickiego: Krzemieniewski, Walerowicz, Sowa, Lewandowski, Zakrzewski (kowal); jedna rodzina wyznania żydowskiego: Brock (karczmarz).

Mieszkańcy Brodowa żyli zgodnie, przyjaźnie, bez antagonizmów. Oczywiście szkoła przed 1920 rokiem spełniała swój obowiązek szerzenia i wpajania, z wielkimi oporami, języka niemieckiego.

Ale wreszcie szukajmy tej „mojej kołyski".

Stała ona w Brodowie, w drewnianej chacie pod strzechą, to znaczy słomą krytej, stojącej szczytem do ulicy. (Na szkicu nr 8.)

Moimi rodzicami byli:

Ojciec (Ojculek): Wilhelm Mallek, ur. 9.4.1862 roku w Gross Schläfken (Duża Sławka), pow. Neidenburg (Nibork), ochrzczony tamże w kościele ewangelickim dnia 21.04.1862 roku. Ojca rodzicami byli: Friedrich Mallek, rolnik w Gross Schläfken (Duża Sławka) i Anna z domu Jebram.

Matka (Matecka): Henriette Auguste Marenski, ur. 13.08.1871 roku w Scharnau (Sarnowo), powiat Neidenburg (Nibork), ochrzczona tamże w Kościele ewangelickim dnia 2.9.1871 roku. Rodzicami matki byli: Wilhelm Marenski, rolnik (Köllmer), i Maria Braun, wdowa po Jorkowskim. Wilhelm Marenski, syn rolnika z Brodowa, wżenił się do wdowy Jorkowskiej z d. Braun w Scharnau.

Ojciec mając 9 lat stał się pełnym sierotą. Najpierw żył i pracował przy starszym bracie Karolu w Dużej Sławce, a mając 14 lat pracował u swojej starszej siostry Anny, która wyszła za mąż za Dąbrowskiego.

Mateczkę spotkał ten sam los; mając zaledwie 7 lat stała się sierotą. Po śmierci rodziców zabrał ją do siebie stryj Jan Marenski z Brodowa.

I tak obie sieroty znalazły się w Brodowie. Rodzice chodzili do szkoły, w której w pierwszych latach szkolnych uczono tylko po mazursku, dopiero w ostatnich latach nauki wprowadzono dodatkowo język niemiecki.

Nauczyciel Łoś pozostał w miłej pamięci mego Ojca, a Mateczka mile wspominała swego nauczyciela Bucika. Chyba smutny los sierocy i ciężka praca od dzieciństwa, a przede wszystkim życzenie Mateczki mieć za męża niepijaka i niepalącego (jakim był mój Ojciec), sprawiły, że Wilhelm i Henrietta Augusta zawarli związek małżeński i to z pomocą „rajka" (swata).

Ślub odbył się dnia 5 marca 1895 roku, przed południem, w Urzędzie Stanu Cywilnego, po południu w Kościele ewangelickim we wsi Narzym. Odtąd oboje gospodarowali u stryjostwa Mareńskich w Brodowie.

Dnia 16 maja (czwartek) 1907 roku Mateczka urodziła mnie. Nadano mi imię Eduard Julius i położono do drewnianej kołyski z dwoma wyciętymi w szczytach serduszkami, które jednocześnie służyły za uchwyty przy przenoszeniu.

I oto mamy tę moją kołyskę.

Wykołysała ona przede mną już sześcioro mego rodzeństwa w pierwotnym domu stryjostwa Mareńskich. Oto moje rodzeństwo:

1. Wilhelm-Karl, ur. 4.01.1896 r.
2. Karl-Gustaw, ur. 18.03.1898 r.
3. Johann-Friedrich, ur. 9.10.1900 r.
4. August-Samuel, ur. 9.10.1900 r.
5. Emil-Herman, ur. 2.11.1902 r.
6. Martha-Augusta, ur. 20.06.1904 r.

– i jeszcze jednego młodszego brata po mnie:

7. Robert-Otto, ur. 6.10.1909 r.

Na Robercie, przypuszczalnie „wysłużyła" się moja kołyska, bo przy urodzeniach młodszych dwóch sióstr, już w nowym domu, kołyski nie było, był wózek:

8. Hedwig-Emilie, ur. 17.11.1911 r.
9. Helene-Ottilie, ur. 17.07.1913 r.

Wspominając kochanych Rodziców, można ich tylko podziwiać.

Muszę wspomnieć pewne wydarzenie z moją kołyską, które przekazała mi moja siostra Marta. Pewnego piątku Ojciec z Mateczką (jak zwykle każdego tygodnia) jadą do Działdowa na targ. Przed wyjazdem Mateczka woła mego brata Karla i mówi do niego: „Karlušku, ty będziesz się opiekował Edusiem, aż wrócimy". Z pewnością nie przypadła bratu ta funkcja do gustu, ale nakaz matki trzeba spełnić. Mając do towarzystwa młodszą, 3-letnią siostrę Martę, pomyślał, że jakoś to będzie. Z początku dziecko (Eduś) leżało spokojnie, czy też spało. Była cisza. Nie było kłopotu. Ale nagle Eduś zaczyna „ryceć". „Rycy i rycy!", „Becy i becy!" No cóż, trzeba kołysać: „Hurdu-burdu, hurdu-burdu", kołyska chodzi z boku na bok. A Eduś wciąż rycy i becy. Powstaje sprzeczka między Karlem i Martą: kto ma kołysać. Ze złości, że dzieciak nie przestaje becyć, zaczęto kołysać coraz mocniej. Aż tu nagle kołyska się wywróciła i Eduś wpadł do piwniczki na kartofle, bo klapa do piwniczki pod podłogą w kuchni była otwarta. Widocznie była to jesień i świeże kartofle znajdowały się w piwnicy. Ażeby kartofle mogły „oddychać", klapa musiała być otwarta (w każdej mazurskiej chacie w kuchni była piwnica na ziemniaki). Na szczęście Edusiowi nie stało się nic. Tylko Karluśkowi dostało się po portkach. Gdy o tym wydarzeniu od siostry się dowiedziałem, zrozumiałem, że miałem od Boga anioła-stróża, który uchronił mnie od kalectwa.

Po śmierci córeczki Anecki i obojga stryjostwa Mareńskich, Mateczka była główną spadkobierczynią majątku. Ze względu na dużą ilość spadkobierców różnego rzędu rodzice sprzedali gospodarstwo i wypłacili należne udziały. Za resztę z gospodarstwa stryjostwa oraz za udziały spadkowe po swoich rodzicach Ojciec z Mateczką kupili „resztówkę" po większym gospodarstwie, którego właścicielem był Czwella, który rozparcelował swoje dobra i opuścił Brodowo.

W 1909 roku rodzice z ośmiorgiem dzieci przeprowadzili się na nowe miejsce, do większego gospodarstwa, do murowanego domu, stojącego wzdłuż ulicy. Tam urodziły się moje dwie młodsze siostry, Hedwig i Helena. One dwie nie były kołysane w kolebce, lecz bujane w wózku. Przypominam, jeden wózek był pleciony z wikliny, przeplatany szulkami. Helenka zmarła po pięciu tygodniach życia. Piastunkami naszymi były staruszki, Landzyna i Mirowicka, będące na utrzymaniu wsi. Mieszkały w drugim domu Kantorka, naprzeciw nas. Mitrojicka (bo tak ją nazywaliśmy) chodziła skrzywiona tylko z pomocą stołecka (taborecika), którego posuwała przed siebie. Staruszki te, jako biedne, otrzymywały od wsi bezpłatne mieszkanie, odzież i wyżywienie. „Arbeitslosengeldu”[22] ani renty nie otrzymywały. Wyżywienie ich było tak zorganizowane, że każdego dnia otrzymywały jedzenie od innego gospodarza. Często uskarżały się na liche jedzenie od niektórych gospodarzy. Cieszyły się na jedzenie z naszego domu. Zresztą codziennie przebywały u nas. Opowiadały nam różne bajki. Były one też wspaniałymi „reporterkami”, bo codziennie rano przynosiły nam najświeższe wiadomości poranne, które nazywaliśmy „Morgenpost”[23]. Znały one każdego we wsi, boć pracowały przecież od młodości jako robotnice ciężko, aż się zgarbiły. Mateczka miała z nich wyrękę, bo bawiły nas, a one też pewną radość, boć przecież zawsze „coś spadło z pańskiego stołu”.

Wyobraźmy sobie dziś rodzinę z dziesięciorgiem dzieci. Nie chcę źle powiedzieć, ale byłby to chyba dom wariatów. Bo idąc w gościnę, gdzie jest jedno dziecko, nie można wytrzymać z powodu pisku, wrzasku, płaczu, krzyku rozpieszczonego, zchymerowanego dziecka.

Były to inne czasy. Oj! zupełnie inne.

W czasie gościny nigdy dziecko nie mogło przeszkadzać dorosłym w rozmowie. Dzieci bawiły się w innym pokoju lub na dworze. Tak byliśmy my wychowani. W innych rodzinach było tak samo. Wprawdzie i u nas wisiał na „framudze” „klopejć” („dyscyplina”), trzonek z kilkoma rzemykami, ale nie pamiętam, aby nasi rodzice go używali. Ale wiem, jak płakali chłopaki sąsiada Wiśniewskiego, który często używał „klopejcia”.

Rodzice, kupując gospodarstwo po Czweli, stali się bogatsi; odtąd należeli do średniozamożnych. Niestety, byli też „bogatsi” w długi, bo część ceny kupna pokryli kredytem bankowym, który musieli spłacać i ciążył na gospodarce przez około 10 lat. Nowa posesja była dużo większa od poprzedniej. Duży murowany dom mieszkalny, cały podpiwniczony, z dwoma wejściami: od ulicy i od podwórka. Rodzice zlikwidowali wejście od ulicy i z sieni urządzili dużą kuchnię z dużą płytą („platą”) do gotowania, z dużym piekarnikiem i duchówką. Na części kafelkowej płyty kuchennej wygrzewała się nasza trzy-kolorowa kotka, która w nocy spała przeważnie w łóżku u Emila lub Hedki.

Do pomocy w gospodarstwie przyjmowano służbę: „parobka” do pracy w podwórku i na polu. Spał w „krawacu”, sobie z desek zrobionego łóżka, zawieszonego pod sufitem w stajni (dziś za „Zielonymi” nazywalibyśmy to „zbliżeniem do przyrody”). Tak było u wszystkich gospodarzy. Parobki wcale nie narzekali na swój los, bo mieli ciepło, szczególnie zimową porą, a latem świeże powietrze, bo drzwi i okna stajni były otwarte na całą szerokość.

Do kuchni przyjmowano służącą, zwaną „dziewką”. Oj, jaka byłaby to dzisiaj obraza, gdyby pannie powiedzieć: Pójdziesz w służbę za „dziewkę” do gospodarza XY. No, ale tak

[22] Zasiłek dla bezrobotnych.
[23] Poranna poczta – nowiny.

było. Ba, mało tego, dziewczyny wyścigały się, aby dostać służbę u naszych rodziców. Służba otrzymywała wynagrodzenie w naturaliach, w zbożu, ziemniakach i trochę gotówki.

W dniu „św. Marcina", 11 listopada każdego roku, służba rozpoczynała, kończyła lub przedłużała swoją pracę służebną. Zwykle przychodził ojciec dziewczyny, aby omówić warunki pracy i płacy. Pamiętam, że najdłużej u nas pracowała („służyła") Berta Adria, tego, który mieszkał przy stawku. Była to zdrowa, silna, dobrze zbudowana, ładna dziewucha. Najlepszą służącą dla nas, dzieci, była Paulina, bo ta brała często w soboty zaliczkę pieniężną i kupowała u Brocka całą torbę dobrych cukierków i dzieliła się z nami tak długo, aż wszystkie były zjedzone. Służba traktowana była u nas na równi z domownikami. Jedliśmy przy jednym stole (mało u którego większego gospodarza tak było). Służąca zimową porą spała w kuchni, gdzie było ciepło. Bo aczkolwiek były 4 pokoje, to w zimę spaliśmy w dwóch ze względu na oszczędność opału. W „zielonej izbie" nie było nawet pieca. W innych stały piece kaflowe z „dórką" (duchówką), do której wstawiano kawę, aby zachowała ciepło, szczególnie w zimę.

Spaliśmy po dwóch w jednym łóżku. Łóżka były do spania rozsuwane, na dzień zsuwane, wyłożone słomą żytnią, zmienianą od czasu do czasu, a już zawsze na każde święta. Słomę przykrywano sobie wyrabianymi, lnianymi prześcieradłami. Latem i zimą spano pod „pościelami" – pierzynami z piór od własnych gęsi. W tzw. „izdebce" oprócz stołu, ławy przy piecu i krzeseł stały same łóżka, a między dwoma łóżkami pod oknem stał stolik z ławeczkami dla małych dzieci.

W izbie od podwórka po lewej stronie od wejścia do domu spali rodzice w takim samym łóżku. W izbie tej stał duży rozsuwany stół z krzesłami, nad nim wisiała duża ozdobna, piękna lampa. Obok łóżka rodziców wisiał duży piękny zegar, wydzwaniający każdą godzinę. Na ścianie dzielącej „izdebkę" od pokoju rodziców wisiał ozdobny „krucyfiks". W tym pokoju stała też szafa ubraniowa. W „dużej" izbie stała kanapa, stół, krzesła, lustro, komoda. Przeznaczona była na uroczystości. W „zielonej" izbie stały łóżka, w których spano latem, oraz skrzynie dawnej mody. Izba ta służyła jako chłodnia, a piwnica była „lodówką", bo lodówek na prąd nie znano. Pralką była odpowiednia beczka z kranem u dołu do spuszczania wody, w środku znajdował się na osi wiatrak poruszany rączką wahadłową, w prawo, w lewo. Do wody wkładano strugane szare mydło.

Nasza wielce ceniona i kochana Rumanowska była stałą praczką. A roboty miała pełne ręce przy tak dużej rodzinie. Zawsze ktoś z nas był jej do pomocy. Wypraną bieliznę rozpościerano na „bielniku"[24] przy słonecznej pogodzie, częściej polewając wodą, potem wieszano do suszenia na linkach. Po wysuszeniu maglowano w „wałkownicy", która stała w piwnicy. Składała się z mocnego statywu z gładką płytą, po której posuwały się dwa drewniane wałki, przygniecione dużą skrzynią, obciążoną kamieniami. Na wałki nawijano sztuki bielizny. Była to dość ciężka praca. „Wałkownica" była dla nas małych dzieci pewną rozrywką, bo siadaliśmy do skrzyni i jeździliśmy tam i z powrotem, ale gdyśmy dorośli, musieliśmy też wałkować.

W kuchni stał duży stół, pod oknami wzdłuż całej ściany stała ława, która kryła w sobie gniazda, w których gęsi, indyczki, kury (rzadko i kaczki) wysiadywały jaja. Jaka radość była z wylęgłych piskląt, które w pierwszych dniach karmiliśmy jajami, ugotowanymi na twardo i podrobionymi. Przy tym część ukradkiem zjadaliśmy sami.

[24] Trawniku.

W rogu, tuż przy wejściu do kuchni, stała duża beczka pod kranem wodociągu, doprowadzonego z pompy znajdującej się bliżej stajni, do której wodociąg również był doprowadzony. Wystarczyło zakręcić kran przy pompie, a pompując mieliśmy wodę w kuchni lub w stajni. Poza tym w kuchni stała szafa do naczyń. Nie trzeba też zapomnieć o parniku w kuchni, w którym gotowano kartofle dla świń i drobiu. W sieni stała skrzynia do pastewnych mieszanek i śrutu oraz maszyna do gniecenia ziemniaków ze skrzynią. Stąd noszono we wiadrach karmę dla świń, cieląt i drobiu. Na strychu w domu urządzono śpichlerz na zboże. Była tam też duża wędzarnia, w której stale wisiały boczki i słonina. Można zauważyć, że w mieszkaniach ogólnie brakowało szaf. Ubiór po prostu wieszano na hakach.

W stajni mieliśmy do ośmiu koni, w świniarni kilkanaście sztuk świń, licząc w tym prosięta. W oborze około dwadzieścia sztuk bydła (a było i więcej), przeważnie dojne krowy, poza tym kilkanaście owiec, nawet były (w pewnym czasie) i kozy psotniki i jeden maciek-kozioł, przebywający w stajni. Podobno jego maćkowaty smród wpływał korzystnie na zdrowie koni, tak jak „mawiali starzy". Stąd powstało powiedzenie: „Śmierdzi, jak maciek" – o człowieku, który nie dbał o czystość.

Jednym słowem, dużo dobytku, ale jeszcze więcej pracy.

A co dopiero mówić o pracy w polu. Część gruntów to pola uprawne, nieco więcej było łąk, część z nich przeznaczono na pastwiska, resztę na sianokosy. Łąki były bogate w torf. Był też i las. Więc gospodarstwo było pod każdym względem samowystarczalne. Nadwyżki sprzedawano. Do większych prac, jak: sianokosy, żniwa, kopaczki ziemniaków i buraków, młócenie zboża, najmowano dodatkowo robotników. Chętnie przychodzili z uwagi na dobrą zapłatę i dobre jedzenie. Dlatego rodzice moi byli pierwsi w wykonaniu udanych prac.

Gdy dzisiaj w mojej starości mile wspominam moich zacnych kochanych rodziców, to nasuwa mi się przede wszystkim jedno pytanie: „Jaka cecha charakteru dominowała u moich rodziców?"

Po dłuższym przemyśliwaniu doszedłem do przekonania, że główną cechą i zaletą moich rodziców była ich pobożność. Z ich wiary w Boga, w Jezusa Chrystusa i w Jego Ewangelię wypływały ich słowa i uczynki: zgodne, miłością otulone życie małżeńskie (nigdy nie słyszałem jakiejkolwiek sprzeczki), przykładne wychowanie dzieci w duchu religijnym, pracowitość, szacunek do człowieka („miłość bliźniego"), łatwość współżycia z ludźmi, litość nad biednymi.

Kiedy dorastałem, przykładem byli dla mnie moi rodzice, ale niestety nie dorosłem ich miary, mimo iż odziedziczyłem niektóre ich cechy.

Źródłem pobożności rodziców było Słowo Boże – Biblia, oraz tzw. księgi kazalne, zawierające kazania na każdą niedzielę i święta. Ojciec i Mateczka lubili śpiewać, oczywiście tylko pieśni religijne. Do tego celu służył nam tzw. „kancjonał" – śpiewnik pieśni religijnych, zawierający 924 pieśni. Oboje rodzice mieli bardzo dobry głos, o dużej skali tonu, szczególnie wzwyż.

Wieczorem, po „ziecerzy" (kolacji) słyszymy głos Ojca: „Dziateczki, usiądźta, weźta kancynale, zaśpiewamy". Ojciec zaczynał, Mateczka i my wszyscy za nim. Często Ojciec brał za wysoką tonację, myśmy nie dawali rady. Wtedy Ojciec obniżał ton i śpiew szedł w dal, aż na ulicy było słychać. Po prześpiewaniu kilku pieśni Ojciec zakończył słowami: „Zmówta paciorek i spać". Ojciec z Mateczką szli do swojej sypialni i jeszcze śpiewali tę oto pieśń nr 687:

O Jezu obrono moja,
Idę do swego pokoja,
Położe się w łóżko swoje,
Zawrzyj Ty zamno drzwi moje.

Innym razem Rodzice śpiewali pieśń nr 816, ostatnie dwie zwrotki:

Bądź na zieki pochwalon,
Nieśniertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć,
Nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki racys,
Na tej niskiej zieni;
Jedno niech zawdy będziem
Pod skrzydłami Twemi. –

Wiara moich Rodziców „w zamknięcie drzwi przez Jezusa" była tak wielka, że nie zamykaliśmy u nas drzwi wejściowych do mieszkania na klucz i na noc też nie. Rodzice, po odśpiewaniu pieśni, klęcząc zmawiali modlitwę, kończąc słowem „Amen" i przeżegnaniem znakiem krzyża. Potem Ojciec stawał w oknie i patrząc na podwórko, znakiem krzyża powierzał Panu Bogu i jego Aniołom pieczę nad dobytkiem i domostwem. To spełniwszy, rodzice spokojnie kładli się do snu. My, dzieci, rano i wieczorem zmawialiśmy klęcząc modlitwę słowami Jezusa Chrysusa:

Ojce nas, chtórny jesteś w niebzie,
Swięć się imię Twoje,
Przyjdź królestwo Twoje,
Bądź wola Twoja, jak w niebzie, tak i na zieni.
Chleba nasego powsednego daj nam dzisiaj,
I odpuść nam nase ziny, jak i my odpuscamy
nasym zinowajcom;
I nie wódź nas na pokusenie,
Ale nas zbaw ode złego;
Albowziem Twoje jest Królestwo,
moc i chwała na zieki zieków. Amen.

Maleńkie dzieci uczono modlitw niemieckich, bo nieznano podobnych w języku polskim. Na przykład:

Abba, lieber Vater, mach mich fromm,
daß ich in den Himmel komm. Amen[25].

Albo:

Ich bin klein
mein Herz mach rein,
niemand soll drin wohnen,
nur Jesus allein. Amen[26].

[25] Abba, drogi Ojcze, zrób mnie pobożnym, abym dostał się do nieba.

Rano rodzice, też klęcząc, zmawiali pacież, po czym śpiewali pieśń nr 669:

Z całego serca mego dziękuję, mój Panie,
tego czasu rannego, i póki mnie stanie:
Boże w swym tronie, miej chwałę przez własnego Syna,
Pana naszego w każdej świata stronie.
Na Boga się ja spuszczam, bo on wszystko może;
całemu się poruczam, on mnie sam wspomoże:
on mnie sam z opieki, on stworzenia swojego,
duszy, ciała mojego nie spuści na wieki.

Każdy posiłek (frysztyk, obziad i ziecerzo) rozpoczynano modlitwą:

Przyjdź, Panie Jezu, bądź gościem nam,
błogosław te dary, które spożywamy. Amen.

Tak samo każdy posiłek kończono modlitwą:

Dziękujemy Panu, albowiem jest dobry,
A miłosierdzie Jego trwa na zieki, zieków. Amen.

Takiej pobożności uczyli nas moi rodzice, jak to też śpiewano:

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa, tak mawiali starzy...

Albo:

Bez Boga nie przestępuj proga.

W swej pobożności rodzice nie byli wyjątkiem. Taka pobożność panowała w owe czasy prawie w każdej rodzinie na Mazurach, w Prusach Wschodnich. Szczególnie niedzielami i w święta otwierano latem okna i na cały głos rozlegał się śpiew religijnych pieśni z *Kancjonału* w języku mazurskim, w niektórych domach (jak u nas) śpiewano nawet na głosy. Śpiew każdorazowo trwał kilka godzin.

Rodzice moi, jak i wszyscy ewangelicy Prus Wschodnich, gruntowali swoją wiarę jedynie na Piśmie Świętym, czytając gorliwie Biblię oraz oparte na niej księgi kazalne oraz *Kancjonał* z pieśniami na każdą okoliczność życia ludzkiego.

Mówiliśmy, śpiewaliśmy, modliliśmy się po mazursku, bowiem mowa mazurska jest naszym językiem ojczystym, a jako taki jest jedną z wielu gwar języka polskiego. Wnieśli go wraz ze swoją kulturą potomkowie Mazurów Prus Wschodnich, którzy przed setkami lat przybyli z Polski i osiedlili się na ziemiach starych Prusów, gdzie nadal pielęgnowali swoją mowę, kulturę i obyczaje mazurskie.

Jakże byłem zaskoczony, gdy natknąłem się na słowa pisarza wschodniopruskiego, Siegfrieda Lenza, który w *Heimatmuseum*[27] na stronie 222 pisze: „(...) eine eigen masurische

[26] Jestem maleńki. Oczyść me serce. Niech nikt inny w nim nie zamieszka, jak tylko Jezus. Amen!
[27] *Muzeum ojczyźniane* [właśc. *Muzeum ziemi ojczystej* – Red.]

Sprache nicht gab, nie gegeben hat... Wörter, ja, verschlossene, beziehungsreiche Wörter, die nur uns gehörten, manche Lehnswörter, aus dem Polnischen, heidnische und germanische Ausdrücke, (...) aber ein pures Masurisch gab es nicht"[28].

Jakież niedorzeczności prawi człowiek, który urodził się i wychował w tak po mazursku mówiącym powiecie, jakim jest powiat Ełk. Od kwietnia 1946 roku byłem tam pastorem. Stwierdziłem, że nie tylko starsza generacja, ale nawet i młodzież mówiła po mazursku. Nawet Niemcy, jak Leimann, Gänseleiter, mówili płynnie po mazursku.

Czyżby sz. pan S. Lenz nie widział chociażby np. *Kancjonału Pruskiego* w języku mazurskim lub ksiąg z kazaniami na każdą niedzielę i święta?

Czyżby – według Pana Lenza – Mazurzy Prus Wschodnich nie mieli własnego języka, podobnie jak starzy Prusowie nie posiadali własnego pisma?

Oczywiście, mowa mazurska lada dzień wymrze, ale nie z winy Mazurów ani Niemców, lecz z winy Polaków, którzy żyjących Mazurów wypędzili z ich ziemi do Niemiec, gdzie rozproszono ich po wszystkich landach Bundesrepubliki, mówiących niestety przeważnie już tylko po niemiecku.

Niemcy cieszą się, że Polska do reszty zgermanizowała Mazurów, „braci z polskiej krwi i kości".

„Mazurzy – nie gęsi, swój język mieli" – parafrazuję Mikołaja Reja.

Wieś Brodowo

BRODOWO – właściciele gospodarstw (w 1918 roku)

1. Heyn Oskar
1a. Heyn Oskar – czworak (Klenzan...)
2. Boliński Gustaw
3. Bromberg Gottlieb – rzeźnik
4. Krokowski Andreas
5. Krzemieniewski Konstanty
6. Jeschonek-Falkowski – rzeźnik
7. Schimański
8. Mareński Jan–Mallek–Zakobielski–Büchler
9. Prilipp
10. Wischniewski Adam
11. Müller-Bolińki – rzeźnik
12. Jebram Samuel
12a. Jebram S. – 2 czworaki (Romanowska, Losch Marta)
13. Walerowicz Jan
14. Robaczek
15. Adria
16. Zakrzewski Michał

[28] Odrębny język mazurski nie istniał, nigdy go nie było... Owszem, były pojedyncze słowa, zamknięte, wielorako kojarzone, którymi władaliśmy tylko my. Były to słowa zapożyczone, niektóre z polskiego, z pogaństwa oraz wyrażenia germańskie. Mazurskiego jako takiego, w wydaniu czystym, nie było.

17. Zakobielski
18. Lawrenz
19. Cybulla
20. Schimański Karl
21. Schimański/Hardt
21a. Schimański/Hardt – 2 czworaki
22. Wischniewski/Rybka – Napierski Wilhelm
23. Napierski Wilhelm
23a. Napierski – czworak
24. Wischniewski (kulawy)
25. Dombrowski
26. Czwella–Żywiec Michał
27. Czwella–Mallek Wilhelm
28. Wischniewski Jan
29. Zakrzewski Wilhelm (kulawy)
30. Jerzynowski–Ligossek
31. Brock-karczmarz
32. Grabowska – wdowa
33. Jankowski – grabarz, dzwonnik
34. Robaczek
35. Schwerz
36. Schliwiński-Opałka
37. Pieszczek-Lawrenz
38. Bredlau – mleczarnia
39. [w oryginale brak jakiegokolwiek wpisu]
40. Soschiński Samuel
41. Adria
42. Kantorrek
43. Zakrzewski – kuźnia
44. Schau Adolf
44a. Schau Adolf – 2 czworaki
45. Kantorrek Gottlieb i Dom Starców (Landzyna i Mitrowicka)
46. Schulz
47. Szkoła (kier. Chmielewski, Rajzig, Braun, Kelch)
48. Dalkowski – karczmarz
49. Jebram – wdowa (nazywana „czarownicą”),Wischniewski Karl
50. Sowa
51. Lewandowski i Zakrzewski
52. Kamiński
53. Lawrenz i Grieswald – szewc
54. Salenga–Zywietz – dróżnik
55. Lawrenz–Manthey
56. Zywietz

Na kolonii (na „wybudowaniu”):

57. Gradke

58. Opalka
59. Kantorrek

We wsi były:

Kuźnia
Stawek przy kuchni
Gminna studnia przy gospodarstwie Jebrama
Cmentarz („Smentarz”)
Dzwonnica z dwoma dzwonami

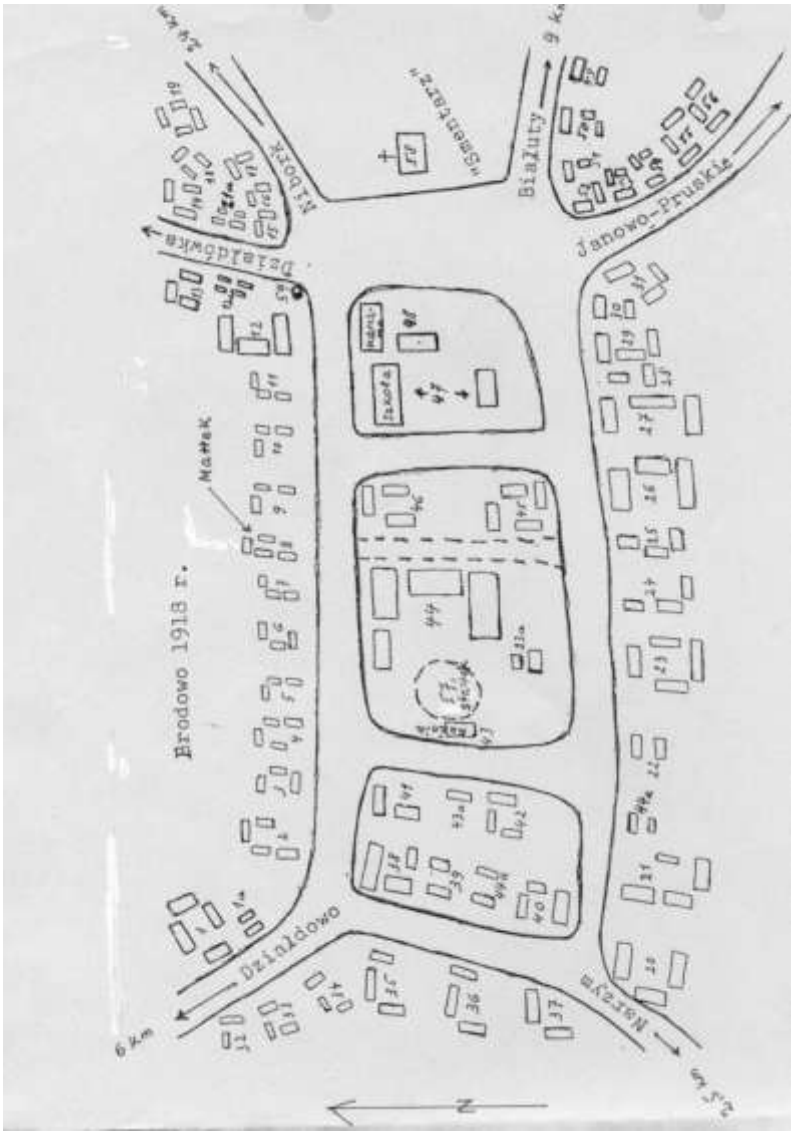

Plan Brodowa z 1918 roku [podpis – Red.]

5
Zasady wiary ewangelickiej

Warto przyjrzeć się zasadom religijnym, którym hołdowali protestanci Prus Wschodnich, a stanowili oni około 98% ogółu ludności.

Chrześcijaństwo zrodziło się z wiary jednego prostego rybaka z okolic jeziora Genezaret, imieniem Piotr, który wyznał o Jezusie: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego". Na co mu Jezus odpowiedział: „Tyś jest Piotr, na tej opoce zbuduję kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go" – Mat.16,18.

Jezus mówi wyraźnie „zbuduję kościół mój". Nie mówi „zbuduję kościół Piotrowy". Jezus nie mówi też: „A opoką kościoła mego jesteś ty, Piotrze", jak to fałszywie pojmują papieże. Jezus, mówiąc o opoce, miał na myśli jedynie wiarę Piotrową, a nie Piotra jako takiego, którego za chwilę nazywa szatanem – Mat.16,23.

Nowo wydany *Kancyonał Pruski* zawierający w sobie WYBÓR PIESNI starych i nowych, w Ziemi Pruskiej i Brandenburskiej zwyczajnych, z wyrokami Pisma Św. nad każdą pieśnią, z gorliwymi modlitwami kościelnymi, pospolitymi i osobliwymi, wszystkim wobec służącymi, a oraz też z potrzebnymi rejestrami i przedmową nauczającą, jakim sposobem tego kancjonału każdy ku zbudowaniu swemu zażywać ma. Cum Gratia et Privil. S.R.M. Borussiae W Królewcu, drukował kosztem swoim Hartung, 1905.

Jezus założył swój (Chrystusowy) Kościół, a nie rzymsko-katolicki. Kościołem Chrystusowym jest każdy kościół, który wyznaje i wierzy, że „Jezus jest Chrystusem, Synem Boga żywego". Głową Kościoła Chrystusowego jest sam Jezus, a nie Piotr, ani jego „następcy", którzy wbrew słowom Chrystusowym: „nikogo na ziemi nie nazywajcie ojcem, bo jeden jest Ojciec, ten w niebie" (Mat.23,9), mienią się „ojcami świętymi".

Czyli prawdziwymi chrześcijanami byli i są tylko ci, którzy wierzą w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego żywego.

Chrześcijaninem, według Słowa Bożego, nie jest ten, kto wierzy w człowieka, choćby on się nazywał „ojciec święty" – papież lub „Matka Boska" – Panna Maria, matka Jezusowa. Nie jest chrześcijaninem, kto człowiekowi cześć oddaje lub do niego się modli.

„Bo nie ma w innym zbawienia (poza Jezusem), albowiem nie ma żadnego innego imienia pod niebem danego ludziom, przez które moglibyśmy być zbawieni" – Dz. Ap. 4,12.

Jezus nie wskazał ani jednym słowem, aby Jego wyznawcy – chrześcijanie zwracali się do Jego matki, modląc się, jak to czynią papieże i ich wyznawcy. Bowiem i Panna Maria, rodzicielka Jezusa – „Syna Człowieczego", też była tylko człowiekiem, potrzebującym jak wszyscy ludzie łaski i miłosierdzia Boga Wszechmocnego.

Sam Jezus nazywa matkę swoją „Niewiasto", a na weselu w Kanie Galilejskiej nawet ją skarcił, słowami: „Czego chcesz ode mnie, niewiasto? Jeszcze nie nadeszła moja godzina" – Jan 2,3-4. Jest to jedyne miejsce w Nowym Testamencie, w którym widzimy, że Maria, matka Jezusowa, chciała odegrać rolę pośredniczki. Lecz Jezus dał jej odpór. Dlatego i papieski dogmat: „Maria Pośredniczka-Orędowniczka", zbudowany na wydarzeniu weselnym w Kanie Galilejskiej, nie ma żadnych podstaw w Piśmie Świętym. Po prostu jest to wymysł papieży, Stefana III i Hadriana I – z 788 roku.

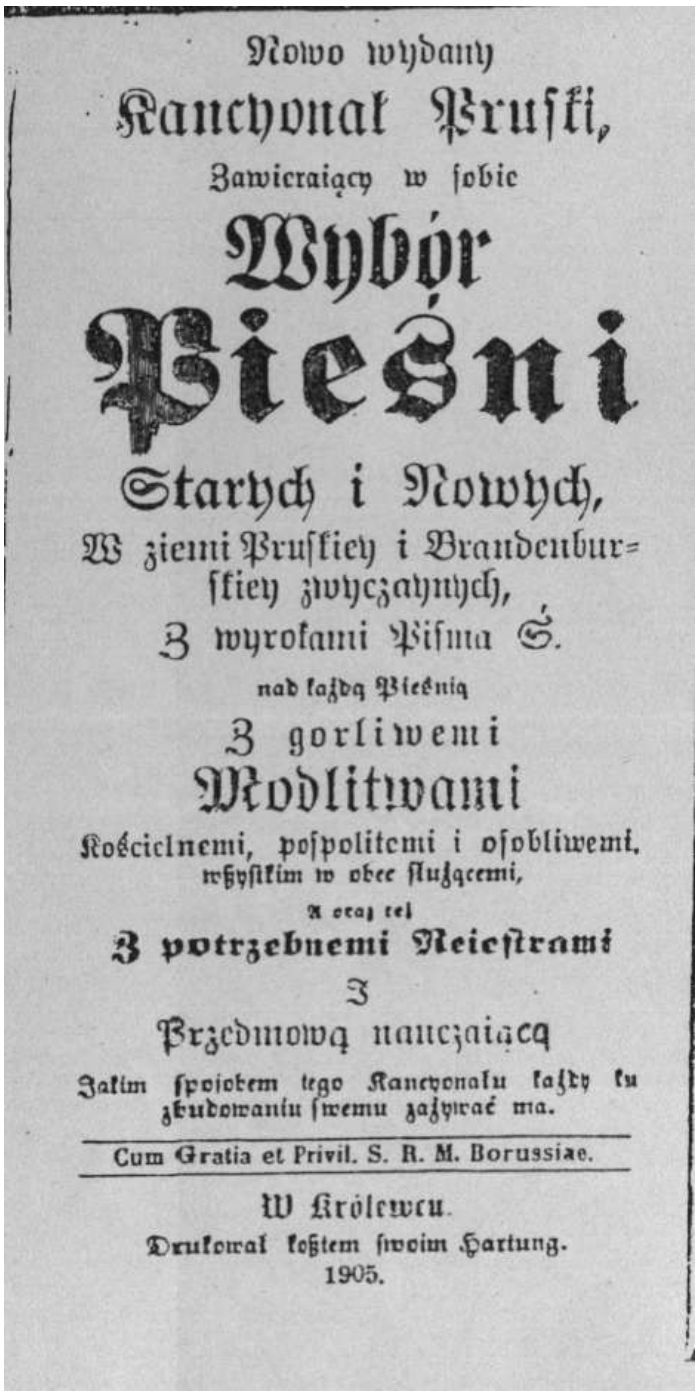

Nowo wydany
Kancyonał Pruski,
Zawieraiący w sobie
Wybór
Pieśni
Starych i Nowych,
W ziemi Pruskiey i Brandenburskiey zwyczaynych,
Z wyrokami Pisma Ś.
nad każdą Pieśnią
Z gorliwemi
Modlitwami
Kościelnemi, pospolitemi i osobliwemi,
wszystkim w obce służącemi,
A oraz też
Z potrzebnemi Reiestrami
I
Przedmową nauczaiącą
Jakim sposobem tego Kancyonału każdy ku zbudowaniu swemu zażywać ma.

Cum Gratia et Privil. S. R. M. Borussiae.

W Królewcu.
Drukował kosztem swoim Hartung.
1905.

Kancjonał Pruski z 1905 roku [podpis – Red.]

W Piśmie Świętym wyraźnie czytamy: „Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek Chrystus Jezus" – 1Tym 2,5.

„Jeśliby kto zgrzeszył, mamy orędownika u Ojca, Jezusa Chrystusa, który jest sprawiedliwy" – 1 Jana 2,1.

„Jezus Chrystus, który umarł, więcej, zmartwychwstał, który jest po prawicy Boga, ten przecież wstawia się za nami" – Rzym 8,34.

Sam Jezus mówi: „Nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przeze mnie" – Jan 14,6.

Po śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Jezusa chrześcijaństwo rozwijało się z wiary Apostołów w Jezusa Chrystusa, szczególnie po zesłaniu Ducha Świętego (Zielone Świątki), który napełnił ich mocą od Boga. W swej działalności napotykali na wielkie trudności, prześladowania, cierpienia, tortury, więzienie oraz śmierć. Dzielnie znoszono to wszystko dla „Imienia Jezus", wspominając słowa Jego: „Wyłączać was będą z synagog, więcej, nadchodzi godzina, że każdy, kto was zabije, będzie mniemał, że spełnia służbę Bożą. A to czynić będą dlatego, że nie poznali Ojca ani mnie" – Jan 16,2-3, Jan 9,22, Mat.5,11, Mat.24,9, Łuk. 6,22.

Ogólnie wiadomo, że wszyscy Apostołowie ponieśli śmierć męczeńską, za wyjątkiem Apostoła Jana („ucznia, którego Pan miłował"), który napisał księgę *Objawienie św. Jana*. Poniósł też śmierć męczeńską Jakub, jeden z czterech braci Jezusa, który uwierzył w Jezusa po Jego śmierci – Dz. Ap.12,2.

Wierzący w Jezusa musieli się ukrywać przed prześladowcami. Nabożeństwa odprawiali po kryjomu, w domach prywatnych, w katakumbach. Prześladowania i cierpienia pierwszych chrześcijan poznajemy czytając Pismo Święte – *Dzieje Apostolskie* i listy apostołów. Tragedię pierwotnych chrześcijan znamy też z dzieła Henryka Sienkiewicza pt. *Quo vadis*.

Mimo doznawanego prześladowania i cierpienia, „heroldowie" Ewangelii Jezusa Chrystusa nieśli „Radosną Nowinę" w świat zgodnie z poleceniem Jezusa: „Idźcie tedy i czyńcie uczniami moimi wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego" – Mat. 28,19. Wielkim Apostołem Ewangelii Jezusa Chrystusa był Paweł, który nie był uczniem Jego, przeciwnie, początkowo był gorliwym prześladowcą chrześcijan. Dopiero po „nawróceniu" w drodze do Damaszku stał się wiernym głosicielem Jezusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego. Poniósł śmierć męczeńską w Rzymie, o czym świadczą jego listy i *Dzieje Apostolskie* Nowego Testamentu.

Pierwsi chrześcijanie w pracy misyjnej powoływali się na słowa samego Jezusa Chrystusa i na Stary Testament. Gminy żydowskie zebrały księgi Starego Testamentu w ciągu V do II wieku przed Chrystusem. Późniejsi chrześcijanie korzystali już z Nowego Testamentu, którego księgi powstały w ciągu I wieku po Chrystusie. Księgi Nowego Testamentu zostały w IV wieku uznane przez Kościół za słowo objawione przez Boga, czyli „Słowo Boże".

Pierwszą stolicą uczniów Jezusa była Jerozolima, a „starszym" tego zboru był Piotr i to zgodnie z *Dziejami Apostolskimi*, począwszy od pierwszego rozdziału. A więc pierwszą stolicą nie był Rzym. Drugim, większym skupiskiem chrześcijan była Antiochia. Tu po raz pierwszy nazwano uczni Jezusa „chrześcijanami" – Dz. Ap. 11,26. Chrześcijaństwo z wiary w Jezusa Chrystusa rozwijało się (można powiedzieć) od zesłania Ducha Świętego aż do 313 roku. W tym bowiem roku cesarz rzymsko-bizantyjski, Konstantyn I Wielki, Edyktem Mediolańskim zrównał chrześcijaństwo z religią rzymską (pogańską). Stało się to za na-

mową jego matki, chrześcijanki. On sam stał się chrześcijaninem krótko przed śmiercią (zmarł 22.05.337 roku, a urodził się 27.02.280.) Cesarzem był od 306 roku.

Jaka musiała być radość wśród chrześcijan, gdy dowiedzieli się, że odtąd mogą swobodnie głosić Słowo Boże. Edyktem tym Konstantyn Wielki uznał chrześcijaństwo za religię państwową.

Nasuwa się pytanie: Czy było to dobre dla Kościoła Chrystusowego, to znaczy dla chrześcijaństwa z wiary w Jezusa Chrystusa Syna Bożego? – Z pewnością nie. Wiemy bowiem z historii, że przystępowano do chrześcijaństwa bez przekonania, z czasem gwałtem pędzono do chrztu. Wytworzyły sie dwie grupy chrześcijan: jedni z wiary, drudzy pozorni. Chrześcijaństwo stopniowo odchodziło od nauki Jezusa Chrystusa, od Słowa Bożego. „Starsi", biskupi urastali do władców świeckich. Kościół sfałszował dokument *Darowizna Konstantyna*, mocą którego jakoby Konstantyn I Wielki miał uznać prymat Rzymu ponad wszystkie inne kościoły, a biskupa Rzymu za pana Rzymu i wszystkich krajów świata.

Wiemy, do czego to doszło: Powstała walka między cesarzami, a papieżami, między biskupami a książętami. Chrześcijaństwo prześladowane stało się prześladowcą. Chrześcijaństwo z inicjatywy papieży organizowało wyprawy przeciw niechrześcijanom (wymordowano w ten sposób Prusów, Waldensów, Hugenotów i innych). Papiestwo zorganizowało specjalną instytucję do torturowania i mordowania ludzi nieposłusznych papiestwu. Instytucja ta, pod nazwą inkwizycji, zapisała się w historii przelewem krwi niewinnych ludzi.

Zepsucie religijne duchowieństwa, promieniujące z siedziby Watykanu, nabrzmiało do tego stopnia, że znalazł się odważny mnich, doktor teologii katolickiej, Marcin Luter, który wystąpił oficjalnie przeciw błędnym naukom, wprowadzonym do Kościoła przez papieży, niezgodnym z nauką Jezusa Chrystusa, przeciwnym Słowu Bożemu. Szczególnie aż z równowagi wyprowadziła dra Marcina Lutra praktyka odpuszczania grzechów. Papieże potrzebujący pieniędzy rozesłali do różnych krajów mnichów upełnomocnionych do sprzedawania listów odpustowych, mocą których nabywcy listu odpustowego (za pieniądze) dostępowali „częściowego" lub „zupełnego" odpustu grzechów, udzielanego przez papieża. W Witenberdze, gdzie urzędował dr Marcin Luter jako teolog (jeszcze katolicki), zjawił się mnich nazwiskiem Johann Tetzel, który rozwijając swój „kram" na placach, skrzyżowaniach ulic, nawoływał ludzi do kupowania listów odpustowych:

> Sobald dein Geld im Kasten klingt.
> Deine Seele (aus dem Fegefeuer)
> in den Himmel springt.–

Po polsku brzmi to tak:

> Gdy twój pieniądz zabrzmi w skrzyni,
> Twoja dusza (z czyśćca) do nieba skoczy.

Dr Marcin Luter, tocząc dyskusyjny bój z wytrawnymi teologami, wysłannikami papieża, udowodnił na podstawie Pisma Świętego, że zbawienie to dar Boży, zgotowany przez Jezusa Chrystusa, a nie przez samego człowieka: „Jesteśmy usprawiedliwieni darmo z łaski Boga przez odkupienie w Chrystusie Jezusie (...) Człowiek bywa usprawiedliwiony przez wiarę niezależnie od uczynków zakonu (...) Dlatego z uczynków zakonu nie będzie usprawiedliwiony przed Bogiem żaden człowiek" – Rzym. 3, 20. 24. 28. „Nie rzeczami

znikomymi, srebrem albo złotem zostaliście odkupieni, lecz drogą krwią Chrystusa" – 1 Piotra 1, 18-19. „Wierzymy przecież, że zbawieni jesteśmy przez łaskę Pana Jezusa" – Dz. Ap. 15,11.

A zatem, człowiek winien ten dar Boży w wierze i pokorze tylko przyjąć. Błędem zatem jest twierdzenie, że „dobrymi" uczynkami możemy zasłużyć na zbawienie. Gdyby tak było, to po co musiał się narodzić, umrzeć na krzyżu, zmartwychwstać i być do nieba wziętym Jezus Chrystus?

Ponieważ papiestwo kurczowo trzymało się swojej wykładni Pisma Świętego, a szczególnie dogmatów przez siebie wydanych, dlatego nastąpił drugi rozłam Kościoła. Albowiem za pierwszą schizmę uznaje się oddzielenie się Kościoła wschodniego – prawosławnego, od Kościoła rzymskiego, nazywane „schizmą wschodnią" (1054 rok). Były też schizmy „zachodnie", w okresach „antypapieży", to znaczy, że w jednym czasie było więcej papieży (2 i 3-ech). Takich okresów naliczyłem 27, w których konkurujący papieże wzajemnie się wyklinali.

Niewiadomo, jak się skończy współczesna, obecna „schizma", którą spowodował biskup rzymsko-katolicki, Marcel Lefebvre, działający od 1970 roku, a który ostatnio, dnia 30.06.1988 roku wyświęcił 16-tu księży i 4-ch biskupów. Rozłamem swoim rozgniewał obecnego papieża, Jana Pawła II (Karola Wojtyłę), który, po uprzedzeniu, ekskomunikował biskupa Lefebvre, jego duchownych oraz jego wiernych. Ale biskup Lefebvre ignoruje papieża i działa dalej.

Dr Marcin Luter, wyklęty w swoim czasie przez ówczesnego papieża, musiał się ukrywać, gdyż każdy, kto by go spotkał, miał prawo go zabić. Oczywiście, ewentualny zabójca miał z góry zapewnione papieskie rozgrzeszenie – odpuszczenie grzechów, wieczne zbawienie.

Lefebvre i jego zwolennicy obecnego wyklęcia się nie boją, nie potrzebują się ukrywać. Jak to czasy się zmieniły. To nie czasy Jana Husa, spalonego na rozkaz papieża w Konstancji 6.07.1415 roku. Jak by to się przydała „Inkwizycja", prawda, „ojcze święty", Janie Pawle II (Karolu Wojtyło)? Ale to już nie te czasy. Dziś trzeba wysłuchiwać krytyk, żądań reform, w czasie papieskich wojaży we Włoszech (nawet tu, we własnym gnieździe), we Francji, Holandii, Niemczech, Południowej Ameryce i gdziekolwiek by nie był.

O co chodzi biskupowi Lefebvre? Ogólnie mówiąc, nie uznaje on postanowień II Soboru Watykańskiego za Pawła VI. Jako konserwatysta, fundamentalista, uważa te uchwały za bardzo postępowe. Lefebvre zarzuca papieżowi liberalizm, a nawet komunizm. Co do tego, to chyba się zagalopował. Gdzie tam Jan Paweł II (Karol Wojtyła) liberał-komunista? Lefebvre w dalszym ciągu stosuje w liturgii łacinę, którą zniósł II Sobór Watykański.

Wróćmy do Reformacji. Dr Marcin Luter, przetłumaczywszy Biblię na język niemiecki, spowodował ożywienie religijne, nawrót do Słowa Bożego. Nauka Lutra, oparta na Piśmie Świętym, obejmowała coraz szersze kręgi społeczeństwa w różnych krajach. Kościół rzymski, zatrwożony sytuacją, podjął akcję przeciw Reformacji. Znów walczono w „imię Boga". Znów lała się krew w walkach religijnych. Po wykrwawieniu, ustaliły się granice krajów o większości religii rzymsko-katolickiej i ewangelickiej. Walki religijne wychowały zdecydowanych na śmierć i życie, gorliwych wyznawców swojej religii, swojej wiary. Strona rzymsko-katolicka nie przebierała w swojej brutalności w środkach, prześladując, tępiąc, mordując protestantów, nazywając ich odszczepieńcami, heretykami.

Życiorys Marcina Lutra – *Reformacja i Konfesja Augsburska*

Dla skromnego przykładu: w encyklopediach świata zapisano na wieczną pamiątkę: „Noc św. Bartłomieja" w Paryżu, dnia 24.08.1572 roku, w którym to dniu katolicy wymordowali 100 tys. Hugenotów[29]; mord ten nazywają też „Krwawym ślubem". Mordu tego dokonali katolicy kilka dni po ślubie króla Henryka z Nawarry (który był protestantem-kalwinistą), przyszłego króla Francji Henryka IV z siostrą króla Karola IX.

Albo „rzeź toruńska", spowodowana przez jezuitów w Toruniu w 1724 roku. Zamordowano wtedy wielu protestantów, w tym dziesięciu wybitnych obywateli Torunia. Powo-

[29] Protestantów.

-dem rzezi był student, który nie oddał pokłonu – hołdu „Ciału Chrystusowemu” – opłatkowi niesionemu w czasie procesji w złotej monstrancji. Oczywiście, student został zamordowany w imię „jedynozbawczej” (jak to twierdzi papiestwo) religii rzymsko-katolickiej. Nie jest moim zamiarem opisywać tych spraw, mogę tylko ogólnie powiedzieć, że dzieje Kościoła rzymsko-katolickiego pod dyktaturą papieży przesiąknięte są krwią.

Zasada *cuius regio, eius religio* (czyj kraj, tego religia) dawała prawo do wypędzania, czy też do opuszczania rodzinnego kraju przez mniejszości religijne. I tak większość Hugenotów opuściła rodzinną Francję, udając się do innych krajów, szczególnie do Niemiec.

Żydzi miasta Toledo za przyczyną tamtejszego biskupa zostali w końcu XV wieku wypędzeni z Hiszpanii.

W Austrii biskup Salzburga, Leopold Anton-Freiherr von Firmian, wypędził w 1731 roku 20 tysięcy Salzburczyków, którzy znaleźli schronienie w Prusach Wschodnich, przyjęci przez króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I. Osiedleni zostali w północnej części Prus Wschodnich (obecnie okupowanej przez Związek Sowiecki). Z zawodu byli to bardzo pracowici rolnicy i rzemieślnicy. Wyznaniowo ewangelicy, bardzo religijni i pobożni, można powiedzieć: chrześcijanie z wiary w Jezusa Chrystusa.

Będąc w nowej ojczyźnie, włączyli się do Kościoła ewangelickiego, który w Prusach Wschodnich istniał już 200 lat, od 1525 roku. Po pewnym czasie zauważyli, iż w życiu religijnym ewangelików wschodniopruskich pozostało jeszcze wiele obyczajów i wierzeń z czasów rzymskich (papieskich), a nawet pogańskich. Nabożeństwa kościelne nie zaspakajały ich potrzeb duchowych. Nie występując z Kościoła ewangelickiego, poczęli zgromadzać się w domach prywatnych na modlitwy, czytanie Pisma Świętego, śpiewanie pieśni religijnych. Prowadzącym zgromadzenia był ktoś ze starszych, spośród ludu. Na Mazurach, gdzie mówiono tylko po mazursku, zgromadzenia te nazywano „gromadkami”.

6
Gromadkarstwo

Nabożeństwa gromadkarskie Salzburczyków prowadzone były przez prostych ludzi – laików, tak zwanych kaznodziei świeckich (nieteologów). Przez tych kaznodziei nastąpiło przebudzenie religijne. Rozwinęła się dość powszechna pobożność, nie z metryki, lecz z wiary w Jezusa Chrystusa.

Spośród takich kaznodziei świeckich wyróżnił się salzburczyk Friedrich Grenz, rolnik z Georgenburg koło Insterburga[30], który przybył do nowej ojczyzny jako dziecko na plecach swego ojca. Od 1760 roku wędrował od wsi do wsi, głosząc Ewangelię, „Nową Nowinę” o Jezusie. Nauczywszy się języka litewskiego, docierał do miejscowej ludności. Był płomiennym mówcą. Dożył 90 lat.

Drugim, jeszcze bardziej znanym kaznodzieją gromadkarskim był syn 75-hektarowego rolnika, Christoph Kukat. Urodził się 31.12.1844 roku w Gross-Wersmeningken, powiat

[30] Wystruć (obecnie Czerniachowsk).

Pillkallen[31] w Prusach Wschodnich. W 1864 roku został powołany do wojska, służył w Potsdamie. Tam zachorował, znalazł się w szpitalu, w którym codziennie ktoś umierał. Komisja wojskowa uznała go za niezdolnego do służby wojskowej. Wzruszony śpiewem i kazaniem w pewnym domu prywatnym, zaczął rozmyślać nad własnymi grzechami. Wróciwszy do domu, po dwutygodniowej walce wewnętrznej, uwierzył w Jezusa. Przyłączył się do grupy społeczności pobożnych ludzi, które działały w ramach Kościoła ewangelickiego. Któregoś dnia na nabożeństwie gromadkarskim zabrakło kaznodziei. Poproszono „brata" Kukata, aby wygłosił kazanie. Uczynił to i odtąd stał się słynnym mówcą, przez Boga obdarzonym kaznodzieją.

Na nabożeństwa gromadkarskie prowadzone przez Kukata przychodziło setki, nawet do dwóch tysięcy ludzi, chętnych słuchania „żywego" Słowa Bożego. Nabożeństwa odbywały się w domach prywatnych, stodołach, po ogrodach, pod gołym niebem, zależnie od ilości słuchaczy i pogody.

Gromadkarstwo rozszerzyło się, objęło całe Prusy Wschodnie, w tym i powiaty mazurskie, gdzie mówiono po mazursku. Przebudzenie religijne objęło całe Niemcy. Był to ruch religijny w ramach Kościoła Ewangelickiego. Pastorzy ewangeliccy przez dłuższy czas byli przeciwni gromadkarstwu, uważając gromadkarzy za sekciarzy. Oskarżali kaznodziei i właścicieli lokali, w których odbywały się nabożeństwa, przed władzami. Niektórzy z kaznodziei dostawali się do więzienia. Konsystorz Kościoła Ewangelickiego w Królewcu zabraniał młodzieży uczęszczania na nabożeństwa gromadkarskie. Karczmarze przeklinali gromadkarzy, przezywając ich „papistami" (na Mazurach mówiono „papsiże"), bo „nawróceni" do Boga, uwalniali się od pijaństwa i innych nałogów, przez co karczmarze nie mieli profitu.

Kukat jeździł po całym kraju, wygłaszając płomienne kazania o Zbawicielu Jezusie Chrystusie. Tłumy słuchały. Setki „nawracały" się do Boga (już wtedy byli kaznodzieje tej miary, co w obecnych czasach kaznodzieja baptystyczny Billy Graham w Ameryce). W 1883 roku Kukat był zaproszony do Berlina, celem odprawienia nabożeństwa, o którym i prasa podawała do wiadomości. Prezydium policji zawiadomiło o tym Cesarza Wilhelma I (cesarstwo Niemiec od 1871 roku). Cesarz na to: „I ja chciałbym tego człowieka posłuchać. W tym wypadku ma on nabożeństwo odprawić w Kościele Garnizonowym". Na nabożeństwo przyszedł Cesarz z całą rodziną. Po nabożeństwie Cesarz powiedział: „Predigen Sie weiter so, zum Segen für das ganze Volk"[32].

Kukat w porozumieniu z innymi „braćmi" kaznodziejami, powołując się na Ustawę o Związkach i Stowarzyszeniach[33] z dnia 11 marca 1850 roku, założył w 1885 roku związek religijny pod nazwą „Ostpreußischer Evangelischer Gebetsverein"[34], który został zatwierdzony 27 kwietnia 1885 roku. Kukat wydawał drukiem najpierw: „Pakajaus Paslas"[35] w języku litewskim, potem „Posła Pokoju" w języku mazurskim i „Friedensbote I"[36] po niemiecku. Gromadkarstwo Kukatowskie było apolityczne, językowo dopasowane do poszczególnych grup narodowościowych.

[31] (Schloßberg) – Dobrowolsk.
[32] Głoście nadal takie kazania ku błogosławieństwu wszystkiego ludu.
[33] Vereinsgesetz.
[34] Wschodnio-Pruski Związek Modlitwy.
[35] Poseł pokoju.
[36] Poseł pokoju, I-szy.

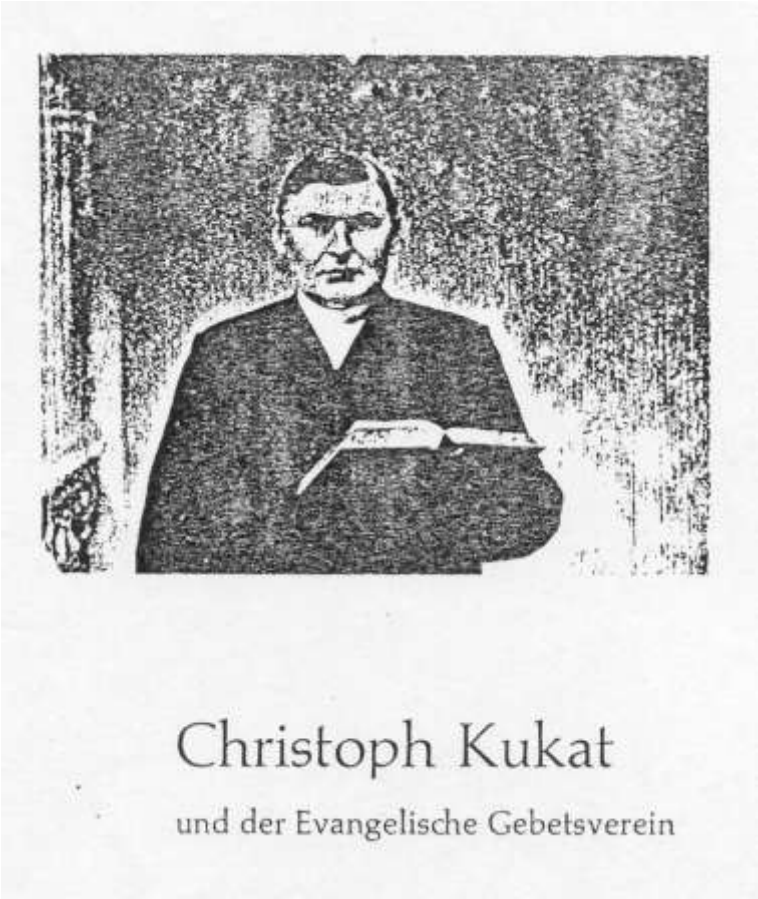

Christoph Kukat i Ewangelicki Związek Modlitwy

Przypuszczalnie na początku XX wieku powstał konkurujący „Gebetsverein”[37] kaznodziei Reicha, który też wydawał „Friedensbote”, ale numer II[38]. Reich prowadził misję tylko w języku niemieckim, w której przewijał się duch germanizacyjny. Przypuszczalnie ten ruch przekształcił się w organizację pod nazwą „Entschiedene Christen”[39], w skrócie „EC”, ale dokładnie tego nie wiem. Główną myślą, zasadą i treścią działalności misyjnej Gromadkarstwa było doprowadzenie chrześcijan do „nawrócenia-nowonarodzenia”, zgodnie ze słowami Jezusa, wypowiedzianymi do dostojnika żydowskiego Nikodema (z faryzeuszów): „Jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie może ujrzeć Królestwa Bożego” – Jan 3,3. „Jeśli się kto nie narodzi z wody i z ducha, nie może wejść do Królestwa Bożego” – Jan 3,5. „Musicie się na nowo narodzić” – Jan 3,7.

[37] Związek Modlitwy.
[38] Poseł pokoju, II-gi.
[39] Chrześcijanie stanowczy.

Przez chrzest wodny dziecka czy dorosłego przyjmujemy ochrzczonego do społeczności chrześcijańskiej. Chrzest z Ducha następuje wtedy, gdy człowiek świadomie uwierzy w Jezusa Chrystusa jako Zbawiciela. „Albowiem tak Bóg umiłował świat (ludzkość), że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń uwierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny" – Jan 3,16.

Kto uwierzy w Jezusa? – oto pytanie.

Gdybyśmy chrześcijan zapytali: Czy wierzysz w Jezusa? – z pewnością otrzymamy odpowiedź potwierdzającą. Uczyliśmy się w szkole, słyszymy w kościele, że „Jezus jest Zbawicielem świata" – Jan 4,42.

Ale zapytajmy – Czy Jezus jest twoim Zbawicielem? – Na to pytanie nieprędko dostaniemy odpowiedź, a może nawet w ogóle jej nie otrzymamy. Zauważymy pewne zakłopotanie. Ale znalazł się odważniejszy i zapytał: „A co to jest mój Zbawiciel?"

Wielu ludzi, nawet chrześcijan, nie zastanawia się nad znaczeniem wyrazu „Zbawiciel". W języku niemieckim mamy bardziej zrozumiałe określenie „Erlöser". Dlatego po polsku słowo „Wybawiciel" – „Wyzwoliciel" byłoby bardziej zrozumiałe. A więc: od czego Jezus wyzwala-wybawia-zbawia człowieka?

Józef, małżonek Marii Panny, Matki Jezusa usłyszał od aniołów następujące słowa: „(Mario), urodzisz syna i nadasz mu imię Jezus; albowiem On zbawi lud swój od grzechów jego" – Mat. 1,21. Jezus zbawi, wyzwoli od grzechów. O tak, to jest zrozumiałe, wiemy bowiem, co to jest grzech. A więc Jezus zbawia od grzechów, uwalnia, odpuszcza, powiadając: „Abyście wiedzieli, że Syn Człowieczy (tak Jezus siebie nazywa) ma moc na ziemi odpuszczać grzechy" – Mat. 9,6., Łuk. 5,24.

Powiedzieliśmy, że wiemy, co to jest grzech. Ale, czy czujesz go w sobie? Czy wiesz, że jesteś grzesznikiem? (ja przez szereg lat nie wiedziałem). Czy jesteś świadom, że masz złe myśli, używasz złych słów, źle czynisz, źle postępujesz? Och, jak wielu powiada: Przecież ja niczego nie robię. Nikomu krzywdy nie czynię... (?) Czyli tacy, którzy tak mówią, nie czują grzechu i myślą, że są bez grzechu. Nasuwa się pytanie: Czy jest ktoś bez grzechu? Jezus odpowiada faryzeuszom, ludziom pobożnym, którzy uważali, że są bez grzechu, pytaniem: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem" (na jawnogrzesznicę) – Jan 8,7. Nie znalazł się ani jeden; ze wstydem rozeszli się. Bo w Piśmie Świętym czytamy: „Wszyscy są pod wpływem grzechu. Nie ma ani jednego sprawiedliwego" – Rzym. 3,9-10. „Wszyscy zgrzeszyli i brak im chwały Bożej" – Rzym. 3,23. „Jeśli mówimy, że grzechu nie mamy, sami siebie zwodzimy i prawdy w nas nie ma" – 1 Jan 1,8. „Jeśli mówimy, że nie zgrzeszyliśmy, kłamcę z Boga robimy i nie ma w nas Słowa Bożego" – 1 Jan 1,9. „Zapłatą za grzech jest śmierć" – Rzym. 6,23.

Słowa apostoła Pawła powinny nas przestraszyć. Czy nie powinniśmy szukać ratunku? Dopóki człowiek nie czuje choroby, nie będzie szukał lekarza. Nawet Jezus powiada: „Nie potrzebują zdrowi lekarza, lecz ci, którzy się źle czują" – Łuk. 5,31. Tak samo, gdy nie czujemy w sobie grzechu – winy, nie będziemy szukali tego, który by nam odpuścił, który by darował nasze winy. Nie możesz pogodzić się z bliźnim swoim, jeżeli nie wyznasz przed nim winy swojej i nie poprosisz go o przebaczenie.

Przez grzechy nasze jesteśmy skłóceni z naszym Stwórcą – Bogiem. Dlatego powinniśmy rychło posłuchać rady apostoła Jana, który zachęca słowami: „Jeśli wyznamy grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy i odpuści nam grzechy i oczyści nas od wszelkiej nieprawości" – 1 Jana 1,9. Jakież to wspaniałe słowa. Niemniej, apostoł Piotr pociesza nas:

„Chrystus grzechy nasze sam na ciele swoim poniósł na drzewo (krzyż)" – 1 Piotr. 2,24. „Każdy, kto w Jezusa wierzy, dostąpi odpuszczenia grzechów przez imię Jego" – Dz. Ap. 10,43.

Apostoł Paweł woła: „W Jezusie mamy odkupienie przez krew Jego, odpuszczenie grzechów, według bogactwa łaski Jego" – Efez. 1,7 (Kolos. 1,14). Apostoł Paweł podkreśla, że mamy odpuszczenie przez krew Jezusa, która popłynęła z ran Jego jako ofiara za nasze grzechy. Jezus spełnił to zgodnie z prawem Starego Przymierza, albowiem: „Według zakonu niemal wszystko bywa oczyszczane krwią i bez rozlania krwi nie ma odpuszczenia" – Żyd. (Hebr.) 9,92. Jezus mówi: „Synu (córko) odpuszczone są grzechy twoje" – Mark. 1,5. Ewangelista i apostoł Jan zwraca się do nas: „Dzieci moje, to wam piszę, abyście nie grzeszyli. A jeśliby kto zgrzeszył, mamy orędownika u Ojca, Jezusa Chrystusa, który jest sprawiedliwy. Onci jest ubłaganiem za grzechy nasze, a nie tylko za nasze, lecz i za grzechy całego świata" – Jan 22,1-2.

Jezus, przewidując śmierć swoją, modli się do Ojca w niebiesiech: „Ojcze! Chcę, aby ci, których mi dałeś, byli ze mną, gdzie ja jestem, aby oglądali chwałę moją, którą mi dałeś" – Jan 17,24. Jezus pociesza i zapewnia nas słowami: „Niechaj się nie trwoży serce wasze; wierzcie w Boga i we mnie wierzcie. W domu Ojca mego wiele jest mieszkania; gdyby było inaczej, byłbym wam powiedział. Idę przygotować wam miejsce... I dokąd ja idę, wiecie, i drogę znacie". „Ja jestem droga i prawda i żywot, nikt nie przychodzi do ojca, tylko przeze mnie" – Jan 14,1-6.

Jezus mówi o zmartwychwstaniu i żywocie wiecznym, objawiając swoją moc, wzbudzając od umarłych: Łazarza, córkę Jaira, jedynego Syna wdowy z Nain, mówiąc: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot. Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie" – Jan 11,25. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto słucha słowa mego i wierzy temu, który mnie posłał, ma żywot wieczny... i przeszedł z śmierci do żywota" – Jan 5,24. „Ja żywot daję wam" – Jan 10,28. „Ja żyję i wy żyć będziecie" – Jan 14,19.

A zatem, zgodnie z Pismem Świętym każdy, kto wierzy w Jezusa Chrystusa, dostępuje odpuszczenia grzechów i żywot wieczny. Pismo Święte było jedynym gruntem i źródłem misyjnej działalności gromadkarstwa, które nawoływało słuchaczy do wiary w Jezusa Chrystusa.

Pobożność w Prusach Wschodnich nie jest bynajmniej zasługą pastorów, lecz właśnie tych prostych nawróconych, szczerze oddanych Bogu, ufających w zbawienie przez Jezusa Chrystusa kaznodziei gromadkarskich. Do tych ludzi należeli moi zacni, kochani rodzice, Ojciec i Mateczka, rodzeństwo oraz liczni krewni, jak również rzesze mieszkańców Prus Wschodnich.

Gromadkarstwo odegrało poważną rolę w moim osobistym życiu (o tym w innym miejscu). Niestety, hitleryzm ze swoją diabelską ideologią zadusił ducha i wiarę w Jezusa Chrystusa. Z dniem 1 września 1939 roku w powiecie Działdowo zamilkły śpiewania religijnych pieśni, zaniechano zgromadzeń i nabożeństw gromadkarskich. Wielu odstąpiło od wiary w Jezusa Chrystusa, oddając hołd Hitlerowi. Nawet niektórzy z kaznodziei, jak Falkowski z Brodowa i Sommer z Janowa, znaleźli się pod skrwawionymi sztandarami SA i SS. Nastała era panowania diabła.

7
Idę do szkoły

Dnia 16 maja 1913 roku ukończyłem 6 lat. Nadszedł dzień pójścia do szkoły. Rodzice kupili nowe ubranko i buciki. Mateczka przygotowała wszystko; nie mogło zabraknąć białego „półkoszulka" ze sztywnym kołnierzem. Dorośli mężczyźni też nosili półkoszulek. Jak wyglądał taki półkoszulek? Wyobraźmy sobie koszulę do fraka, smokinga: Ma ona przednią część sztywniejszą. Właśnie „półkoszulek" to była ta sztywniejsza część, reszty koszuli nie było. Noszono zwykłą białą koszulę bez kołnierza, a na nią zakładano biały „półkoszulek" ze sztywnym kołnierzem, a do rękawów wkładało się mankiety – „sztulpy". Chłopięcy „półkoszulek" był w kształcie skrzydeł motyla, zapinany z przodu. Tak wyszykowany, w ręku tabliczka, „gryfel"[40], „szwama"[41], stałem gotowy do szkoły.

Mateczka mówi: „Nie bój się!" Ogólnie bowiem bano się szkoły, bo kij był w „robocie". Kto nie umiał lekcji, dostawał po „łapach", po plecach, albo po portkach. Ja właściwie strachu nie miałem, bo z sześciorga mego starszego rodzeństwa nikt nie mówił, że dostał lanie, bo każdy dobrze się uczył. Martwiło mnie jedynie to, że nie umiałem po niemiecku. W domu mówiliśmy tylko po mazursku, bo po mazursku mówiono ogólnie w powiatach Prus Wschodnich.

Więc Mateczka wzięła mnie za rękę i prowadzi do szkoły.

Szkoła stała w środku wsi, od naszego domu tylko przez ulicę (na szkicu nr 47). Była to szkoła 3-klasowa o trzech nauczycielach. Ale w budynku szkolnym z wejściem głównym z drugiej ulicy były tylko dwie klasy i mieszkanie kierownika; trzecia klasa mieściła się u gospodarza Prilippa, na szkicu nr 9 (Prilipp, nasz sąsiad do 1909 roku). To była klasa dla początkujących. Tam zaprowadziła mnie Mateczka. Zapukała do drzwi. Z klasy wyszedł bardzo młody, przystojny nauczyciel o nazwisku Braun. Uśmiechnięty, przywitał Mateczkę i mnie, podając rękę. Krótko porozmawiał z Mateczką, pożegnał ją, a mnie wprowadził do klasy.

W klasie było sporo dzieci. Rozbawione, gotowały wraz z nauczycielem groch w dziecinnej, zabawkowej kuchence na spirytusie-denaturacie. Nie było to poważne, prawdziwe gotowanie, lecz zabawa, przy tym nauczyciel był wesoły i dzieci razem z nim. Widząc taką atmosferę, poczułem się pewny i dobrze.

Potem nauczyciel zaczął z nami rozmawiać, raczej pytać o nazwy otaczających nas przedmiotów i rzeczy. Pytając mnie, zauważył, że ja nie wymawiam głoski „r". Zamiast mówić na brata Robert, mówiłem „Lobelt", zamiast rama, mówiłem „lama" itd. Wtedy pan Braun wziął mnie na kolana, pogłaskał, po chwili powiedział: „Mach deinen Mund auf"[42] (myśmy dużo rozumieli, tylko nie umieliśmy mówić po niemiecku). Otworzyłem usta, nauczyciel włożył odwrócony tępym końcem „Bleistift"[43] do ust, przycisnął tylną część języka i kazał mi mówić „r". Powtarzał tylko: „Feste pusten"[44]! Przednia część języka zaczęła

[40] Rysik.
[41] Gąbka.
[42] Otwórz swoją buzię.
[43] Ołówek.
[44] Mocno dmuchać.

trzepotać, drgać i powoli wydostawał się dźwięk „r”. Kilka razy to powtórzył i za pierwszym dniem szkolnym zacząłem wymawiać „r”.

Szczęśliwy wróciłem do domu. Mówię do Mateczki: Ta „rampa” jest zakopcona. Co jest zakopcone? – pyta Mateczka. Odpowiedziałem: „No ta rampa”. A przecież to jest lampa – mówi Mateczka... Ale co, ty możesz mówić „r”? Tak, Mateczko. Nauczyciel mnie nauczył. I puściłem język w ruch: rrrrrr! Tak mi się ten dźwięk motoru podobał, że często odwrotnie wymiawiałem, zamiast mówić „l”, wstawiałem piękny dźwięk „r”. Lubiliśmy nauczyciela Brauna, bo był wesoły i nie bił. Niestety, na drugi rok już go nie było.

8
I wojna światowa

Dnia 1 sierpnia 1914 roku wybuchła I wojna światowa i pan Braun powołany został do wojska i ślad po nim zaginął, gdyż pochodził z innych stron.

Nie wiem, czy przypadkowo nauczyciel Braun nie był moim krewnym, gdyż matka mojej Mateczki była z domu Braun i też ze wsi Sarnowo. W domu nie pamiętam, aby na temat pochodzenia nauczyciela Brauna była kiedykolwiek rozmowa. Dnia 29 czerwca 1990 roku, krocząc śladami „smętka”, szukając śladów moich przodków, natknąłem się w Sarnowie na wojskowy pomnik z napisem:

V.D.Gl.
Stud. mach.
Ulrich Braun
mob. Ers. Bat. I.R.148.
geb. 10.07.1891
gef. 12.11.1914 b. Neidenau

– który jako jedyny pomnik poniemiecki stoi na chwastami porośniętym dawnym cmentarzu przy kościele. Podziwiam, że nie został zniszczony. Mogę bodajże z całą pewnością twierdzić, że Ulrich Braun to mój nauczyciel w Brodowie i krewniak z rodu mojej matki. Przypuszczalnie wnuk brata matki mojej Mateczki. A zatem mój kuzyn z mojej generacji, 5 lat starszy od mego najstarszego brata Wilhelma.

Od wybuchu wojny w 1914 roku, do końca tego roku prawie w ogóle nie chodziliśmy do szkoły, bo 5 razy musieliśmy uciekać przed Ruskami, którzy tu i ówdzie wkraczali na teren Prus Wschodnich, niszcząc wszystko, co zastali; kogo z ludzi złapali, zabrali do niewoli. Strach przed nimi był ogromny. Ludzie pamiętali dobrze opowiadania o wielokrotnych najazdach w czasie dawniejszych wojen. Szczególnie utrwalił się w pamięci napad Tatarów w 1656 roku. Ze smutkiem śpiewano o tej nieludzkiej tragedii 41-zwrotkową pieśń, zawartą w *Kancjonale,* nr 740: A oto słowa pierwszej zwrotki tej pieśni:

Ojczyzno tęskliwa, zalewaj się łzami,
wspomnijcie Prusacy, co się działo z wami,
w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym,
kiedy różne wojska leżały, jak mostem.

A tu nowa wojna. Ludziska krzyczą: „Ruski idą!... Uciekać!" Dobrze powiedzieć „uciekać!" A co zrobić z dobytkiem (bydło, konie, świnie, drób)? To przecież był 1 sierpień, a więc część żniwa w stodole, szopy pełne siana. Tu nie ma co myśleć, trzeba działać, trzeba się śpieszyć.

W odległości 7 km słychać wybuchy pocisków artyleryjskich, grają cekaemy – karabiny maszynowe i strzały karabinów ręcznych. Ojciec z Karlem, Augustem, Janem i Emilem szykują wozy z budami. Ładują worki zboża, szczególnie owsa dla koni, worki mąki razowej i „pytlowej" (białej). Poprawiają uprząż, smarują osie u kół wozów. Roboty pełne ręce. Mateczka ze służącą i 10-letnią Martą ładują do skrzyń świeżo upieczony chleb (8 bochnów 6-kilogramowych), boczki i szynki wędzone, smalec, masło i co tylko się nadawało do zabrania. Oczywiście i część pościeli, i ubioru. Nie wiem, czy wóz o gumowych oponach wytrzymałby taki ładunek. Nawet wozy z kołami o żelaznych okuciach łamały się. Dlatego zabierano też koła zapasowe. – Ciężar niesamowity! – A tu przecież musi się jeszcze zmieścić rodzina.

Na jednym wozie, którym powoził Emil z Mateczką, siedziała Marta (10-letnia), która trzymała przy sobie 3-letnią Hedkę. Drugim wozem powoził Jan, a z tyłu wozu pod budą umieszczono mnie, 7-letniego, i 5-letniego Roberta. Plandekę zasznurowano, żebyśmy czasami nie wypadli. Jednym słowem, siedzieliśmy po ciemku, bo wóz załadowany był aż pod sam wierzch plandeki.

Myślicie, że z takiego lokum byliśmy z Robertem zadowoleni? Bynajmniej. Nasz „Lebensraum"[45] był tak ograniczony, że nie mogliśmy się ruszyć. Było nam też i za gorąco, bo to przecież było lato, sierpień, gorąco, burzliwe lato. Nic nam nie pozostało, tylko włączyć nasze głośniki. Zaczęliśmy „ryceć" i „beceć" na cały głos. Raz dwugłosowo, to znów solowo tak na przemian. „Rycelim" tak długo, aż Mateczka, jadąca na wozie za nami, nie mogła znieść naszej muzyki, prosiła Jana, aby stanął.

Mateczka ulitowała się i rozsznurowali nam trochę plandeki, tylko tyle, że na zmianę mogliśmy zerkać na świat. Ale trzeba było szybko ruszać dalej, bo za nami ciągnął się cały sznur wozów uciekających. Ojczulek z Augustem postanowili pędzić bydło. Świnie i drób wypuściliśmy z chlewów i pozostały na pastwę losu. Przypuszczam, że był i trzeci wóz, którym powoził parobek ze służącą, ale tego dobrze nie pamiętam. Uciekaliśmy nie w kierunku na Nibork (na północ), lecz na zachód przez Działdowo, gdzie most przez Działdówkę (Nidę – Wkrę) był wysadzony, a prowizoryczny most był bardzo niebezpieczny. Z Działdowa jechaliśmy w kierunku Uzdowa – Grunwaldu.

Tak uciekaliśmy 4- czy 5-krotnie. Raz zatrzymaliśmy się na postój u pana Wallescha, który był kaznodzieją gromadkarskim. Innym razem w majątku Myślęta. Innym razem gdzieś (miejscowości nie pamiętam) w katolickiej plebanii. Tam spotkała nas straszna burza z ulewą. Trzeba dodać, że Ojciec z Augustem, pędzący bydło, zgubili się, bo musieli pędzić drogami polnymi. Krowy bardzo cierpiały z powodu braku dojenia, mleko gubiły po drodze, a na postojach też trudno było temu zaradzić. Głodu nie cierpieliśmy, bo mieliśmy zapasy.

Z tych uciekań pamiętam takie epizody. Któregoś uciekania (nie pierwszego) jechaliśmy z Emilem i Robertem naszą bryczką. Przejeżdżaliśmy dniem przez jakąś wieś z sadami owocowymi. Zsiedliśmy i dawaj na gruszki, były bardzo smaczne. Innym razem, myślę, że

[45] Przestrzeń życiowa.

to było w okolicach Gryźlin[46], byliśmy tam na postoju, niedaleko od nas wylądował samolot (dwupłatowiec). Pędziliśmy, aby tego „diabelskiego ptaka" – jak to mówili gromadkarze, zobaczyć. Ale wojsko nas nie dopuściło, bo ponoć to sam Hindenburg wylądował.

Kiedyś zatrzymaliśmy się w jakiejś stodole napełnionej zbożem. Spanie urządziliśmy na klepisku. Rano słyszymy jakiś szelest na zasieku, to znaczy wysoko na zbożu. Był to ruski żołnierz, który w jakiś sposób, chcąc albo nie chcąc, oddzielił się od oddziału. Będąc kilka dni bez jedzenia, słysząc głos cywilów, mówiących nie po niemiecku, odważył się zejść na dół do nas. Tyle, ile starsi mogli się z nim domówić, przekonali go, aby się nie bał iść do niewoli. Będzie mu lepiej, niż na froncie. Posłuchał i wojsko go przejęło, będąc przez nas nakarmiony i zaopatrzony w jedzenie. Wtedy jeńców się nie zabijało.

A co nas czekało w domu po powrocie z uciekania? Za pierwszym razem nie zastaliśmy żadnych świń. Tu i ówdzie leżały zarżnięte sztuki, ale widocznie Ruski nie zdążyli zabrać. Drobiu też nie było. Najwyżej gdzieś jakaś kura ukryła się w wyrosłym zielsku i ocalała. Mieszkanie zdemolowane, pełno pierza.

Ostatni powrót z ucieczki był w Wigilię Bożego Narodzenia. Byliśmy szczęśliwi, mogąc przytulić się do na prędce napalonych pieców.

Ruski poniósł dotkliwą klęskę w walce pod Tannenbergiem w dniach 26-31.08.1914 roku (gen. Samsonow po stronie rosyjskiej; po stronie niemieckiej Hindenburg i gen. Ludendorf). Tylko sporadycznie zagrażali granicom Prus Wschodnich.

9
Znów do szkoły

Już od Bożego Narodzenia 1914 roku przez cały okres wojny nie musieliśmy uciekać. Front wojenny stopniowo przesuwał się przez ziemie dawnej Polski aż po ziemie rosyjskie. W domu życie powracało do normy. Ale świnie trzeba było kupować, maciorę do zarodu. Z drobiem było tak samo.

Od Nowego Roku 1915 rozpoczęła się w szkole normalna nauka. Czy była to normalna nauka, tego nie można powiedzieć. Raczej była to nauka nienormalna. Bo kierownik szkoły, Konstanty Chmielewski, ogłosił we wszystkich klasach, co następuje: „Jeżeli zobaczycie na budynku szkolnym chorągiew, to na znak zwycięstwa na froncie, wtedy macie dzień wolny, nie musicie przyjść do szkoły. Ponieważ mieszkaliśmy naprzeciw szkoły, wystarczyło nam spojrzeć przez okno i stwierdzić, czy jest wywieszona chorągiew. Bardzo często, kto pierwszy spojrzał przez okno, wołał: «Fana!»[47] – wolne!"

Większość dzieci cieszyła się z takich wolnych dni, nie zdając sobie sprawy z tego, ilu żołnierzy przypłaciło życiem ten dla dzieci wolny dzień. Samej nauce wyrządziły te wolne dni (czy zwycięstwa frontowe) ogromne straty. Muszę podkreślić, że od mego rocznika idąc do młodszych roczników nie otrzymaliśmy tych wiadomości, co starsze roczniki, zwłaszcza w języku niemieckim.

[46] Grieslienen.
[47] Flaga.

Mimo to, z roku na rok przechodziłem z oddziału do oddziału (z klasy do klasy). Po Braunie uczył moją klasę nauczyciel Willi Rajzig. Był wysoki, o średnioatletycznej budowie, łagodnego charakteru. Ogólnie mówiąc, był dobry. Jeżeli bił, to długim kijem, używanym do wskazywania punktów geograficznych na mapie. Przy czym, bił po plecach, sięgając kilku chłopaków na raz. To nie bolało, bo siła uderzenia rozkładała się na części, każdy otrzymał tylko część bólu. Ale bicie było dopiero w trzecim i czwartym oddziale (trzeci, czwarty rok nauki) już w klasie, w budynku szkolnym od ulicy.

W sąsiedniej klasie przez ścianę uczył kierownik Chmielewski; przysiadły, niewysokiego wzrostu. Przez ścianę słyszeliśmy, jak Chmielewski wyżywał się nad „nieukami". Był dobrym pedagogiem, ale ostrym i wymagającym. Za nieuwagę na lekcji lał, za nieodrobienie lekcji lał. Dzieci z płaczem wracały do domu. Były to dzieci mniej zamożnych rodzin i robotników, które w domu musiały pomagać w pracy i nie miały czasu na odrabianie lekcji. Szczególnie z językiem niemieckim kulało bardzo. Już w trzecim, czwartym roku szkolnym (1916–1917) przychodziły rozgniewane matki maltretowanych dzieci, uzbrojone w drewniaki (pantofle drewniane) i kije, aby odpłacić się kierownikowi. Ten prędko ulatniał się do przyległego mieszkania i zamykał się na klucz. Z kobiet rej wodziły takie „festbaby", jak Wiśniewska, mieszkająca przez ulicę i Szymaska. Zawsze było kilka kobiet, które krzykiem dodawały sobie odwagi. Groźby i wyzwiska były oczywiście po mazursku. Często takie „oblężenie" trwało dość długo. A „Kostek" (bo tak go pospolicie nazywaliśmy), zabarykadowany, nie wychodził. Powoli kobiety się wyszumiały, brakło im animuszu. Grożąc ruchami rąk opuszczały „pole walki". A „Kostek" wracał z groźną miną do klasy. Dzieci siedziały jak trusie.

My, dzieci z innej klasy, byliśmy w tym wypadku tylko obserwatorami, ale w piątym roku szkolnym czekało nas dostać się do klasy kierownika. Tak też się stało. Tu musieliśmy odpowiednio nastroić nasz tylny „instrument", nasz tyłek, bo kierownik chłopców lał tylko po tyłku, dziewuchy dostawały po „łapach".

Na domiar złego, któregoś dnia ogłosił, że od dziś w ogóle nie wolno mówić po polsku. Kto będzie mówił w klasie lub na przerwie, będzie karany. Zapowiedź ta weszła nam w jedno ucho, drugim wyszła. Nic się nie zmieniło. Nadal mówiliśmy po mazursku. Na to wymyślił coś nowego, „szpiclowanie". Każdego rana Chmielewski wchodził do klasy z tabliczką tekturową na sznurku w ręku. Na tabliczce był napis: „Wer polnisch spricht, der wird bestraft"[48]. Tabliczkę kierownik zawieszał na szyję pierwszemu lepszemu, dodając: „Jeżeli usłyszysz kogoś, mówiącego po polsku, zdejmiesz tabliczkę z twojej szyi i zawiesisz temu, którego przydybałeś na polskiej mowie; na końcu lekcji, posiadający tabliczkę dostanie lanie". Strach przeszedł po całej klasie. Wszyscy zamilkli, stali się niemowami. Pilnowano, aby nie dostać lania. „Wilk" z tabliczką chodził między owieczkami, aby pozbyć się tego lekkiego jarzma. Oczywiście, tabliczka chodziła z szyi na szyję. Ale po jakimś czasie utarło się, że ostatnim był zawsze Szymański Gustaw[49]. To był syn tej Szymańskiej, której kierownik Chmielewski najbardziej się bał. To dawało kierownikowi satysfakcję, że swoją złość mógł wylać na jej synie. Ale Gustaw był na tyle cwany, że na każdy dzień odpowiednio przygotował swój tyłek: podkładał pod spodnie skórkę króliczą. I dał się bić. Mimo że go nie bolało, ryczał w niebogłosy, tak głośno, że kierownik nie wymiarkował tego, że Gustaw ma coś pod spodniami.

[48] Kto rozmawia po polsku, zostanie ukarany.
[49] Schimanski.

Pewnego dnia przydarzyło się, że kierownik zawiesił mnie tabliczkę. Niestety, przez cały czas nie mogłem pozbyć się tabliczki. Nie wiem, czy źle szpiclowałem lub nie miałem natury drugiemu zawiesić przedmiot tortury. W każdym razie czekała mnie „wypłata". Z Gustawem Szymańskim byliśmy dobrymi kolegami. Gustaw zauważył, że mam ogromnego „pietra". Byłem delikatnej natury. On krępy, dobrze zbudowany, silny chłopak. Powiada do mnie: „Daj mnie, ja już to wytrzymam". No i znów był ryk na cały świat. Podziękowałem Gustawowi za ofiarne wstawiennictwo.

Tak świstał kij po tyłkach aż blisko końca wojny. O „skórce króliczej"... nigdy Chmielewski się nie dowiedział. Chmielewski zaniechał bicia, gdy Niemcy przegrywali na frontach i zbliżał się koniec przegranej wojny.

10
Obowiązki domowe

Mając 9, 10 lat, a nawet wcześniej pomagaliśmy w domu, choćby przynieść drewek, torfu do kuchni, zimową porą przygotowanie paszy dla bydła i owiec. Na każde święta była to niejaka robota. Na 4 dni świąt (licząc pół dnia przed i pół dnia po świętach) narżnąć maszyną brukwi i buraków, i zmieszać z sieczką (w tamtych czasach obchodziliśmy 3 dni świąteczne, zgodnie z „Trójcą Świętą"). Pomagaliśmy też przy młóceniu zboża, podajając snopki z zasieka do młóckarni. Latem przewracanie siana na łąkach, zwożenie zboża z pola w czasie żniw, zgrabianie siana konną grabiarką. W kopaczki (początek października) zbieranie za maszyną kartofli, wybieranie z ziemi brukwi i buraków. Najżmudniejsza praca była przy wyrywaniu lnu na polu. Często zielsko przerastało len, bo wtedy rolnicy nie znali środków chemicznych, tępiących chwasty. Len trzeba było wtenczas wyrywać łodyżkę za łodyżką wraz z korzonkami, wiązać w snopki w jednej kupce. Len stał na polu tak długo, aż ziarno (siemię) dojrzało. Wtedy zwoziło się do stodoły do młócki. Młócka wyglądała właściwie podobnie do czesania odpowiednio do tego celu przygotowanym grzebieniem. Po wyczesaniu lnu z siemienia wywożono go do torfowiska, zastępując go w wodzie, przyciskając żerdziami, aby nie pływał na wierzchu.

Zatopiony len leżał w wodzie 2 tygodnie; nie szkodziło, jeżeli poleżał trochę dłużej. Chodziło o to, aby łodyga zgniła, a włókno nie gniło. Po upływie co najmniej dwóch tygodni wydobywano len z wody i rozkładano na łąkach w cienkich warstwach do suszenia. Przy dobrej pogodzie, po kilkunastu dniach był gotowy do zwózki do domu (musiał być dobrze wysuszony). Tak wysuszony len podlegał tarciu na „cierlicy". Było to dość prymitywne urządzenie, na którym gniotło się len, by w ten sposób połamane na drobno łodygi odpadały jako paździerze. Pozostawało włókno, które czesano znów na innym prostym urządzeniu (grzebieniu), by wyczesać resztę paździerzy. W dalszej obróbce trzeba było jeszcze włókno wyklepać klepadłem. Tak oczyszczone włókno nadawało się do przędzenia nici. Włókno w formie „kondzieli" nakładało się na kołowrotek, palcami formując nici, kręcąc nogą kołowrotek nawijano nić na szpulę. Gdy była pełna, wkładano nową. Ze szpuli nawijano nici na tzw. „krzyżak". Był to przyrząd, składający się z dwóch listew, złączone w środku, w którym był otwór, do którego wchodziła oś podstawy. Na czterech końcach listew wsadzano kołki. Kręcąc jedną ręką krzyżakiem, drugą ręką trzymając nić idącą z ko-

łowrotka, nawijano przędzę (nici) na „motoidło". Po zdjęciu z „motoidła" były „motki". Z motków można było robić kłębki.

Przędzę lnianą używano przede wszystkim do wyrobów samodziałowych na krosnach, płótna na koszule, prześcieradła, powłoki, fartuchy i inne przedmioty sztuki ludowej. Płótno, wyprodukowane na krosnach, rozpościerano na „bielniku" (trawniku) do bielenia na słońcu, przy czym trzeba było częściej polewać wodą. Dopiero z dobrze wybielonego płótna szyto koszule, prześcieradła i inną bieliznę. Nasza Mateczka była mistrzynią w tych rzeczach. Robiła też chodniki na podłogę z pasków ciętych z niepotrzebnych szmat.

Podobnej obróbce podlegała wełna od własnych owiec, z której dziano głównie skarpety, pończochy, szale, rękawiczki itp. Myśmy jako dzieci mieli wielką radość i zabawę Mateczce w tym wszystkim pomagając. Ileż to pracy kosztowało, aby z lnu rosnącego na polu powstała koszula, albo z owczej wełny skarpetka czy rękawica.

Najciekawszą dla nas rzeczą było darcie pierza. Najczęściej odbywało się ono między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem i po Nowym Roku. Mateczka zapraszała dziewczyny, kobiety ze wsi do darcia pierza. Oczywiście, domownicy robili to samo. Była cała kupa ludzi. Każdy dostał dużą miskę lub inne naczynie, do którego brał z beczki pióra, które obdzierał, odrzucając łodyżkę, a obdarte pióra wysypywał do ustawionych innych beczek.

Były to bardzo wesołe wieczory, bo szczególnie starsze babcie opowiadały różne bajki, o bardzo dziwnych rzeczach, o duchach, o strachach, o czarownicach fruwających na miotle, o diabłach wyrządzających różne figle, o „kołtunach" (włosach), których nie wolno obcinać itd. A my, malcy, słuchaliśmy tych bajek z rozdziawionymi gębami, a po plecach ciarki przechodziły ze strachu, jak to „szpuk"[50] w nocy przewracał szafy z naczyniami, a rano stały nienaruszone.

Przy tym, Mateczka opowiedziała o „prawdziwym" zdarzeniu: Mateczka jako sierota wychowywała się u stryjostwa Marenskich w Brodowie. Po tragicznej śmierci stryja, pozostała przy stryjence, która miała jedyną córeczkę, Aneckę, w wieku naszej Mateczki. Anecka, po ciężkiej chorobie, zmarła. Stryjenka bardzo ubolewała i opłakiwała stratę jedynaczki. Stale płakała, szlochała, wołała, błagała: „Anecko, wróć do mnie", powtarzając dzień za dniem. Stryjenka po śmierci Anecki spała z moją Mateczką w jednym łóżku. Pewnej nocy słychać pukanie do okna. Stryjenka, pełna strachu, zapytała: „Kto tam?" – „To ja, twoja Anecka"... O mój Boże, to być nie może – wyszeptała, mocniej przytulając się do Mateczki. Drżąc obie ze strachu, słysząc mocne bicie własnych serc... Co będzie dalej?... Nagle słyszą kroki w sieni, otwierają się drzwi do sypialni. Tup-tup, słychać kroki po podłodze, coraz bliżej łóżka... Ktoś wchodzi do łóżka, czują, że coś leży między nimi. Obie zamarły ze strachu... Nagle to coś zginęło bez jakiegokolwiek kroku i szelestu, a stryjenka z Mateczką poczuły, jak bardzo były przyciśnięte, przytulone do siebie, obficie oblane potem ze strachu... Długo obie pamiętały to wydarzenie, a stryjenka przestała wołać Anecki, opłakując ją aż do śmierci.

Oto podobne opowiadania szły każdym wieczorem aż do północy, do godziny dwunastej.

Ależ to godzina duchów-strachów. Jak tu teraz iść do domu? Każda ma stracha, bo niektóre z nich musiały przechodzić obok cmentarza. O mój Boże, ja sama nie pójdę... I tak powtarzały jedna za drugą, dodając, że już nigdy nie będziemy bredzić i słuchać takich bajek... Jutro schodziły się na nowo do darcia piór i na nowo poszły w ruch czarownice, diabły i duchy. I znów Ojczulek musiał zapalać latarnię i kolejno odprowadzać kobietki do

[50] Straszydło.

domu, bo same bały się iść. Gdy moi bracia podrośli, wyręczali ojca. I tak powtarzało się rok za rokiem.

Do dalszych obowiązków domowych należało latem wypędzanie bydła na pastwisko. Mając 8-9 lat, po szkole, popołudniu, wypędzaliśmy razem z bratem Robertem bydło na pastwisko. Pierwsze wypędzanie po zimie było swego rodzaju uroczystością. Ilu nas mężczyzn było w domu, tylu brało w tym udział. Bydło, czując zapach wiosny, skakało z radości, zachowywało się dziko. „Uroczystość" wypędzania bydła – jak pamiętam – przypadała zwykle 24 kwietnia każdego roku. Dawniej wiosny były wcześniejsze i cieplejsze. Z przepędzeniem bydła na pastwisko był dość duży kłopot, szczególnie pierwszy raz wiosną. Droga do pastwiska „za wieś" była wąska i prowadziła między zasiewami. Nie wolno było zrobić szkody, bo z prawej były nasze zboża, z lewej Bolińskiego. Dlatego pierwszy raz pędzić musiało kilka osób, trzymając trzodę w kupie. Jaka radość była, gdyśmy byli już na łąkach. Bydło cieszyło się świeżą trawą, a my kwitnącymi wiosennymi kwiatami, szczególnie kaczeńcami w rowie, który był granicą między naszą a Bolińskiego łąką. A „kiwitki"[51] krzyczały, gdy dochodziło się do ich gniazd, które zakładały na kępach między pasącym się bydłem. Na końcu łąki były torfowiska, w których łowiliśmy karasie, szczupaki, płotki, miętusy i inne ryby. W zaroślach miały dzikie kaczki swe gniazda, potem swe młode kaczątka. Nad zbożami śpiew skowronków, a w zbożu ich gniazda. Pod każdą miedzą zając. W powietrzu wysoko śmigłe jaskółki, zdobywające swój pokarm w locie, dla oka ludzkiego niewidoczny. W „kamienicy"[52] gnieździły się dzikie koty, których baliśmy się bardzo. Pewnego dnia, któregoś roku, było to blisko żniwa, zboże wyższe od człowieka, oczom nie wierzę, od wsi kroczy przez nasze żyto wspaniały jeleń (daniel), niosący dumnie na głowie przepiękne rogi. Obraz niesamowity, który utrwalił się na zawsze. Spokojnie, majestatycznie oddalił się w stronę naszego lasu olchowego na „Grabniku" koło majątku Gajówki.

Obowiązek pastucha był dość smutny, bo było się samemu, gdyż nie zawsze syn Bolińskiego, sąsiada, pasł swoje bydło. Rozrywkę szukało się w przyrodzie, która była ciągle żywa: szukanie gniazd różnego ptactwa, obserwacja piskląt, odwiedzanie gniazda młodych zajączków, nadsłuchiwanie głosów ptaków. Zawsze znalazło się jakąś rozrywkę. Aby uchronić się przed deszczem, wybudowaliśmy z Robertem budę[53] z „kępów"[54]. Ściany były z ciętej w pasy darni, dach pokryty deskami, a na nich darń. Było okienko i drzwi, w środku ławeczki z darni. Był to piękny „Zielony Domek", w którym mieszkaliśmy i nie mokliśmy w czasie deszczów.

Najczęściej paśliśmy bydło, konie i owce na łąkach „za wsią"[55]. Ale mieliśmy drugie pastwisko – łąkę na „Grabniku", w sąsiedztwie z majątkiem Gajówki. Na granicy mieliśmy „olszyny"[56]. Ile radości mieliśmy każdego roku z rosnących tam malin. Każdego roku wiosną na „grabniku" cieszyła mnie jedna rzecz. Granicę między nami a Gajówkami tworzył rów, w którym nie zawsze była woda. W końcu naszej olszyny[57] była wysepka, otoczona ze wszystkich stron rowami odwadniającymi. Wysepka miała kształt trójkąta. Na tej wysepce

[51] Czajki.
[52] Kupie polnych kamieni.
[53] Domek.
[54] Darni.
[55] Blisko wsi.
[56] Las olchowy.
[57] Lasu.

rokrocznie rodziła i wychowywała sarna swoje młode. Każdego dnia odwiedzałem je. Gdy zbliżałem się do ich legowiska, sarna-matka uciekała, wtedy ja mogłem pieścić młode sarniątka. Nie przyszło mi wówczas na myśl, aby butelką z mlekiem oswoić je, bo gdy tylko podrosły, gdy się zbliżałem, razem z matką uciekały.

Na „Grabniku" miały też swoje kryjówki żółte lisy. Przy tej okazji muszę powiedzieć o naszym psie. Była to suka i tak też ją nazywaliśmy – po prostu „Suka". Była koloru żółtawo-brązowego. Mówiłem poprzednio w krótkich słowach o przyrodzie: świat roślinny, zwierzęcy i ptaki sprawiały nam tyle radości. Nasza Suka miała nam pomagać paść bydło, pilnować trzody. Niestety, była ona jedynie tępicielem dzikich zwierząt. Jak tylko znaleźliśmy się na pastwisku, już jej nie było. Znikała jak kamfora. Za chwilę pędzi za zającem. W żaden sposób nie można było ją od tego sportu powstrzymać. Była szybsza od zająca i w każdej chwili mogła go schwytać. Śledzę gonitwę. Patrzę, widzę, że już go ma. O nie, pozwoliła mu dalej cwałować. Zajączek robi uniki w lewo, w prawo, Suka za nim. Nagle wyprzedza go, zachodząc mu z przodu i pędzi go z powrotem, wprost na mnie. Krótko przede mną zachodzi mu znów z przodu i goni go tą samą drogą. Zajączek miarkuje, że to nie przelewki, wpada w rynnę, znajdującą się pod przejazdem. Poczuł się bezpieczny, bo przekrój rynny był tak mały, że Suka nie mogła się tam dostać. Myślicie, że Suka zrezygnowała z „zawodów" sportowych z zającem? Bynajmniej. Usiadła nad wylotem i cierpliwie czeka. Raz siedziała tak kilka godzin, aż zajączek wyskoczył, sądząc, że psa nie ma. A tu nagłe niebezpieczeństwo i na nowo gonitwa aż do skutku. Suka nie uczyła się psychologii, a była tak mądra, że zawsze przechytrzyła ofiarę. Zawsze likwidowała upolowaną ofiarę daleko, w niewiadomym miejscu i nigdy nie zjadła zdobytego łupu. Ofiarę zjadały wrony i owady. Bardziej zażarta walka była z lisem. Nie wiadomo, skąd go przygnała bliżej mnie. Tak, jakby chciała powiedzieć: „Przypatrz się, kto zwycięży?" Nie było rady, by ją odpędzić od lisa, bo zbliżając się do walczących, i lis mnie atakował. Nie pozostało mi nic innego, jak być widzem walki dwóch zapaśników. Lisy na naszych łąkach były przybłędami, więc nie mogły liczyć na to, że jakoś gdzieś się skryją. Lis musiał stawić czoła rywalowi na ringu. Walka z lisem trwała zawsze dłużej niż z zającem. Lis dzielnie się bronił i nieźle atakował. Ale siły stopniowo opadały i niestety zwycięzcą była zawsze Suka. Mówię „zawsze", bo na przykład w jednym roku było takich zapasów aż osiem. Ze skór lisich były damskie kołnierze. Podobnego szczęścia z lisami nasza Suka nie miała w naszym lesie na „Dalnicach", 2 km od domu. Tam lisy miały jamy, do których Suka nie mogła się dostać. W owych czasach dzikiej zwierzyny były niezliczone ilości.

Na „Dalnicach" paśliśmy bydło tylko po kopaczkach[58] na saradeli[59], która urosła po ścięciu żyta. Gleba tam była słabsza. Sialiśmy tylko żyto i trochę jęczmienia i sadziliśmy każdego roku ziemniaki, bo stamtąd były najlepsze. W czasie kopaczek zbieraliśmy w naszym lesie grzyby: maślaki, zielonki, prawdziwki, a najsmaczniejsze były rydze, które, po umyciu, smażyliśmy wprost na gorącej płycie, posypując solą. Wiosną chodziliśmy do lasu na poziomki i czarne jagody. W lesie gnieździły się różne ptaki: dzikie gołębie, wrony, jastrzębie, kukułki i inne. Lisy miały swoje jamy, wiewiórki hasały po gałęziach, kryjąc się w swoich dziuplach. Las dostarczał nam drewna na opał oraz budulec, a chrust[60] zbierały biedne kobiety na rozpałkę.

[58] Po wykopkach.
[59] Saladery.
[60] Tak zwane „ptasie nogi".

Z górki, na skraju naszego lasu, można było widzieć w kierunku na północ wieżę kościoła w Sarnowie, w którym ochrzczona była nasza Mateczka, bowiem w Sarnowie się urodziła.

Gnaliśmy też nasze bydełko dość daleko, około 2 km na „Duże Łąki" na „Zagaju". Leżały one za kanałem, nad rzeką Działdówką[61]. Paśliśmy tam tylko jesienią, po ostatnich sianokosach. Z tych łąk mieliśmy najlepsze siano. Były one dość podmokłe; dla odwodnienia podzielono je rowami, nad którymi rosła wiklina. Ażeby Działdówka nie zalewała przyległych łąk, usypano „trychtę"[62], która i nasze łąki ochraniała przed powodzią. Krzewy i zarośla stanowiły dobre schronienie dla dzikich zwierząt, saren, lisów i różnego ptactwa. Przyjemnie było tam paść, ponieważ było dużo chłopaków (pastuchów), którzy paśli swoje bydło. A ponieważ po św. Michale nie uznawano granic[63], więc wszyscy razem mogliśmy się swobodnie bawić, pokrzepiając się pieczonymi w ogniskach ziemniakami z solą. Bydło mogło chodzić gdzie chciało, bez względu na granice. Tam paśliśmy aż do zimy.

Muszę wspomnieć jeszcze raz naszą „Sukę". Któregoś dnia, pasąc sam bydło na łąkach „Za wsią", siedząc za „klaftrem torfu"[64], nagle słyszę głośny plusk wody w torfowisku. Biegnę na brzeg, patrzę, widzę dwóch „diabłów", jeden rogaty, drugi bez rogów. Raz są ponad wodą, to znów pod wodą. Straszne łby, unurzane błotem. Nierogaty diabeł chwyta rogatego za gardło i zanurza go w wodzie. Patrzę i patrzę na tę walkę, straszną walkę. Mimo iż rogaty był większy od nierogatego, widzę, że jest słabszy. Wreszcie poznaję, że tym diabłem bez rogów jest nasza Suka. Krzyczę na nią, aby ją odpędzić, ale ona nie słucha. Starałem się uchwycić rogatego za rogi, aby pomóc mu wydostać się z tej topieli, bo okazało się, że to wcale nie diabeł, a koziół – jelonek. Niestety, nie udało mi się uchwycić jelonka za rogi, bo i on nie przypuszczał, że we mnie znajduje przyjaciela-ratownika. Walka odsunęła się od brzegu. Suka zanurzała go tak długo, aż się udusił. Suka, zadowolona ze zwycięstwa, otrząchnęła się, uciekła ode mnie, bojąc się kary. Koziołka wyciągnąłem z wody, ale życia już mu nie mogłem przywrócić. Leży koziołek, ja stoję nad nim i myślę: co tu robić? Uświadomiłem sobie, że jestem w niebezpieczeństwie, bo saren, jeleni nie wolno było zabijać. Był to „szóstak". Skryłem go między klaframi torfu. W południe popędziłem bydło do domu i opowiedziałem rodzicom i rodzeństwu o wydarzeniu.

Bracia Jan, August i ja pojechaliśmy na łąkę i odpowiednio zamaskowanego jelonka przywieźliśmy do domu. Nikt nas nie widział, nikt nas nie oskarżył o „kłusownictwo". Niechcąco mieliśmy smaczną dziczyznę, wspaniałą pieczeń i pasztet. A ja miałem piękne trofeo-rogi, które wisiały długie, długie lata. Dopiero w 1945 roku „wpadły" w ręce Rusków lub Polaków, gdyż cały dom został doszczętnie wyszabrowany. Delektując się dziczyzną, jednocześnie myśleliśmy o niebezpieczeństwie za „kłusownictwo". A przecież nie my jesteśmy sprawcami śmierci jelonka. „Kłusownikiem" jest nasza Suka i tylko ona może być ukarana. Ponieważ do pilnowania bydła w ogóle się nie nadawała, więc nie miała dla własnej obrony żadnych okoliczności łagodzących. W imię dobra dzikiego świata zwierzęcego wydano wyrok śmierci. Straszne to słowo, ale śmierć Suki uznano za konieczne, bo wyniszczy całą dziką zwierzynę, gdyż nawet z jeżem walczyła, ale w tym wypadku musiała uznać siebie za pokonaną. Wyrok został wykonany, tylko nie pamiętam, kto go wykonał. Nie

[61] Nidą-Wkrą.
[62] Groblę.
[63] „Michał granice rozpychał".
[64] Cegiełki torfu ułożone w stożek.

pamiętam też, czy poszła „na mydło", czy została zagrzebana (jak nie było mydła, to zabijano psy, koty, dodawano resztki tłuszczu, gotowano, dodając sodę kaustyczną i z tego powstawało szare mydło, szczególnie w czasie wojny funkcjonowały własne „fabryki" mydła).

Po naszej Suce pozostała pamiątka – szczenię, które nazwaliśmy „Mopsem", o sierści żółtawo-brązowej. Mops nie odziedziczył po matce żadnej cechy, jakby nie był od niej. Mops był milutki, posłuszny, rozumny, pojętny, po prostu inteligentny. Już jako szczenię potrafił zauważyć, kiedy bydlak chce wejść w szkodę. Sprytnie dopadał tylnej pęciny, szybko odskakując, by nie dostać kopniaka. Wykształciłem go do takiej perfekcji, że w czasie pędzenia bydła drogą, krążył naokoło trzody i nie pozwalał, aby któraś sztuka się „wychyliła" i weszła w szkodę. Przez sprytne ugryzienie w tylną nogę, utrzymywał porządek.

Na pastwisku (najczęściej paśliśmy „Za wsią") była jedna granica bardziej do strzeżenia. Mopsowi kazałem, aby położył się na niej i pilnował. Jak tylko jakaś sztuka przekroczyła granicę i weszła na łąkę pana Heyny, samorzutnie dopadał do niej i przegnał na naszą stronę. Bydło miało przed Mopsem taki respekt, że wystarczyło, aby zaszczekał i już było w porządku. Ja z bratem Robertem mieliśmy z Mopsem wielką wyrękę.

Latem chodziliśmy boso, komary gryzły, skóra swędziała. Korkami (drewnianymi) obijaliśmy kostki, robiły się rany. Wieczorami siadałem w sieni na ławeczce, a Mops był moją „pielęgniarką": lizał moje nogi, miejsca swędzące. Jakież to było przyjemne uczucie i ulga w bólu. Odtąd jestem zdania, że ślina ma w sobie coś leczniczego. Dlatego wszelka rana w ustach szybko się goi, co osobiście mogę potwierdzić.

Po kilku latach Mops zaczął chorować, ale tego nie można było poznać, bo w dalszym ciągu dobrze i wiernie służył. Aż pewnego dnia pojawiła się w boku materia. Myśmy to nazywali „otok". Po prostu pękł wrzód, który rozwijał się wewnątrz od dłuższego czasu. Rozwinęła się gangrena i nasz wierny sługa i przyjaciel zdechł. Za bramą prowadzącą za stodołę wykopaliśmy dół i tam żeśmy go uroczyście pochowali. Usypaliśmy mu mogiłkę, która istniała przez dłuższy czas. Pisząc te słowa, mile wspominam naszego Mopsa. Zasłużył na moją pamięć.

Oto takie przyjemności, przygody i smutki przeżywałem, pasąc bydełko.

Ciekaw jestem, czy dzisiaj, po 70 latach (mam obecnie 81 lat), znalazłbym na Ojczyźnianych polach, łąkach, lasach, torfowiskach sarny, jelenie, lisy, zające; dzikie kaczki, kiwitki, jastrzębie, kukułki; wiewiórki, jeże; szczupaki, karasie, płotki; smaczne maślaki, zielonki, prawdziwki, rydze...?

Czy są bociany na stodole Müllerki, które swoim „klekaniem" zwiastowały radość i wesele?...

Pozostały tylko wspomnienia...

11
My, Polacy czy Niemcy?

Cofając się pamięcią do lat mego dzieciństwa, to znaczy do okresu sprzed 1920 roku, kiedy byłem w 14-tym roku życia. Pozwolę sobie na postawienie bardzo ważnego pytania: „My, Polacy czy Niemcy?"

Co na to pytanie mogę powiedzieć jako 13-letni chłopiec?

Muszę raz jeszcze powiedzieć, że w naszym domu rozmawialiśmy tylko po mazursku. Tak mówiono w każdej rodzinie w Brodowie, w każdej wsi i mieście na Mazurach. Nie tylko w domu, ale i na ulicy, na rynku, a nawet w szkole i urzędach mówiono po mazursku, czyli po polsku. Ilekroć razy postanawialiśmy w domu: „Od dziś będziemy mówić w domu tylko po niemiecku", już po drugim zdaniu załamywała się rozmowa, kończąca się ogólnym śmiechem... i „płyta gramofonowa" ust naszych przeskakiwała na nutę mazurską. Gdziekolwiek pojechaliśmy na gościnę na wieś czy do miasta, mówiono po mazursku. Ba, walczono o to, aby język mazurski rozbrzmiewał w kościele ewangelickim. A w szkole znosiliśmy chłosty za mówienie po mazursku.

Stąd wynikłby chyba prosty wniosek, że my to Polacy. – Tak by się wydawało.

Niestety, ja tego nie mogę potwierdzić, że tak wtedy było. – A jak było?

Otwarcie muszę powiedzieć, że nigdy z ust moich rodziców nie słyszałem: „My, Polacy", albo, że „za Iłowem (gdzie była granica z Kongresówką), tam nasza Ojczyzna – Polska", albo, że „tam są nasi bracia (?) Polacy".

A więc kim właściwie byliśmy? „Ni pies ni wydra?" Czy mieliśmy świadomość narodową polsko-niemiecką? Ja odpowiadam na to prosto: nie mieliśmy ani świadomości narodowej polskiej, ani niemieckiej. Mieliśmy natomiast dwie świadomości i to bardzo mocne: Pierwsza to świadomość językowa, która była nam droga i miła. Druga świadomość to świadomość obywatelska.

O pierwszej świadomości dosyć powiedziałem. Świadomość obywatelska wyrażała się w naszym poczuciu, że jesteśmy pełnoprawnymi obywatelami państwa niemieckiego, które uważaliśmy za naszą ojczyznę[65], a Kaiserowi[66] na jego urodziny 4 stycznia śpiewaliśmy „Heil dir im Siegerkranz"[67], za co dzieci w szkole, w przedszkolu dostawały szneki[68] i cukierki. A dorośli mężczyźni dzielnie walczyli (tak, jak Prusowie) na frontach „für Kaiser und Vaterland"[69]. Dumny był mój brat Karol, gdy za dzielność na zachodnim froncie przypięto mu „Eisernes Kreuz zweiter Klasse"[70]. (Dobrze, że nie walczył przeciw „braciom (?) – Polakom, walczącym w armii rosyjskiej.)

Komu tam w głowie było na Mazurach Prus Wschodnich powiedzieć, że „my to Polacy"?

Na to słyszę krytykę: Przecież statystyki niemieckie z różnych lat podają dane składu ludnościowego na Mazurach, w których są rubryki, zdawałoby się odzwierciedlające grupy narodowe, niemieckie, polskie. Nieprawda!

Statystyki te mówią wyraźnie o grupach językowych. Statystyki te na pewno nie sporządzano na podstawie pytania: „Niemiec czy Polak", lecz na podstawie pytania: „Jakim językiem się posługujesz?" Gdyby bowiem wtedy pytano: Polak czy Niemiec? – niewątpliwie wynik byłby podobny, jak w Plebiscycie 1920 roku (98% za Niemcami, tylko 2% za Polską), a może, że 100% byłoby za Niemcami. Można powiedzieć, że mając swobodę mówienia po mazursku (poza wojskiem i szkołą), czuliśmy się raczej Niemcami (Prusakami), nigdy Polakami.

---

[65] Vaterland.
[66] Cesarzowi.
[67] Zdrowie tobie, z wieńcem zwycięstwa.
[68] Ciastka zawijane.
[69] Za cesarza i ojczyznę.
[70] Krzyż żelazny klasy II.

Mieliśmy bowiem wszelkie prawa do własności, do kształtowania się (aczkolwiek wtedy to jeszcze nie było w modzie), do wykonywania wszelkiego zawodu, bez zastrzeżeń przyjmowano Mazurów do policji. Z Brodowa uczęszczał do gimnazjum Emil Jebram, ale nauki nie ukończył. Tylko Adolf Schimanski ukończył wyższe studia i uzyskał tytuł doktora. Obaj wyżej wymienieni uczęszczali do szkół niemieckich.

ODPIS
NIEWYRAŹNEJ FOTOKOPII*

Zentrales Nachweiseamt
für Kriegerverluste und Kriegergräber
Büro für Kriegsstammrollen
Nr. *A St XX /Bd 55/66 Feld 79*
62 ck.34 Bei Nachfragen ist diese Bescheinigung beizufügen

Berlin-Spandau, den 9.05.1934
Fernsprecher: C7 (Spandau) 4111

Militär-Dienstzeitbescheinigung *)

über den *ehem. Gefreiten* ***Karl Mallek***
geboren am *18.3.1898* in *Brodau*

1. Dienstverhältnisse:
a) vor dem Kriege *keine*
b) nach Eintritt der Mobilmachung
1.2.1917, zur 2. Ers. Battr., Ers. Abt. Feld. Artl. Regts 79
15.11.1917, zur 5. Battr. Landw. Feld. Art. Regts 8
21.11.1918, zum Stab Landw. Feld Art. Regts 8

Entlassen *5.3.1919*

2. Gefechtshandlungen bzw. Aufenthalt im Kriegsgebiet, *seiner Trupenteile, unter anderen*:
1917: *18.11.17 – 5.11.18 Kämpfe zw. Maas u. Mosel*
1918: *9.4.18 – 11.11.18 Kämpfe b. Verdun, Soissone, Reime, Champagne, Tschikiel-Stogen, Woevre, Choel*

3. Beförderungen: *8.12.18: Gefreiter*

4. Orden: *Eis. Krz zweiter Kl. (27.7.18)*

5. Bemerkungen: *Keine*

Vorstehende Angaben stimmen mit der Kriegsstammrolle Br. Nr. 55/66
Feldb.79 – XX überein.

Siegel, Unterschrift

---
*) Militärpässe werden bestimmungsgemäß nicht mehr ausgestellt.

* Fotografia dokumentu na stronie następnej – Red.

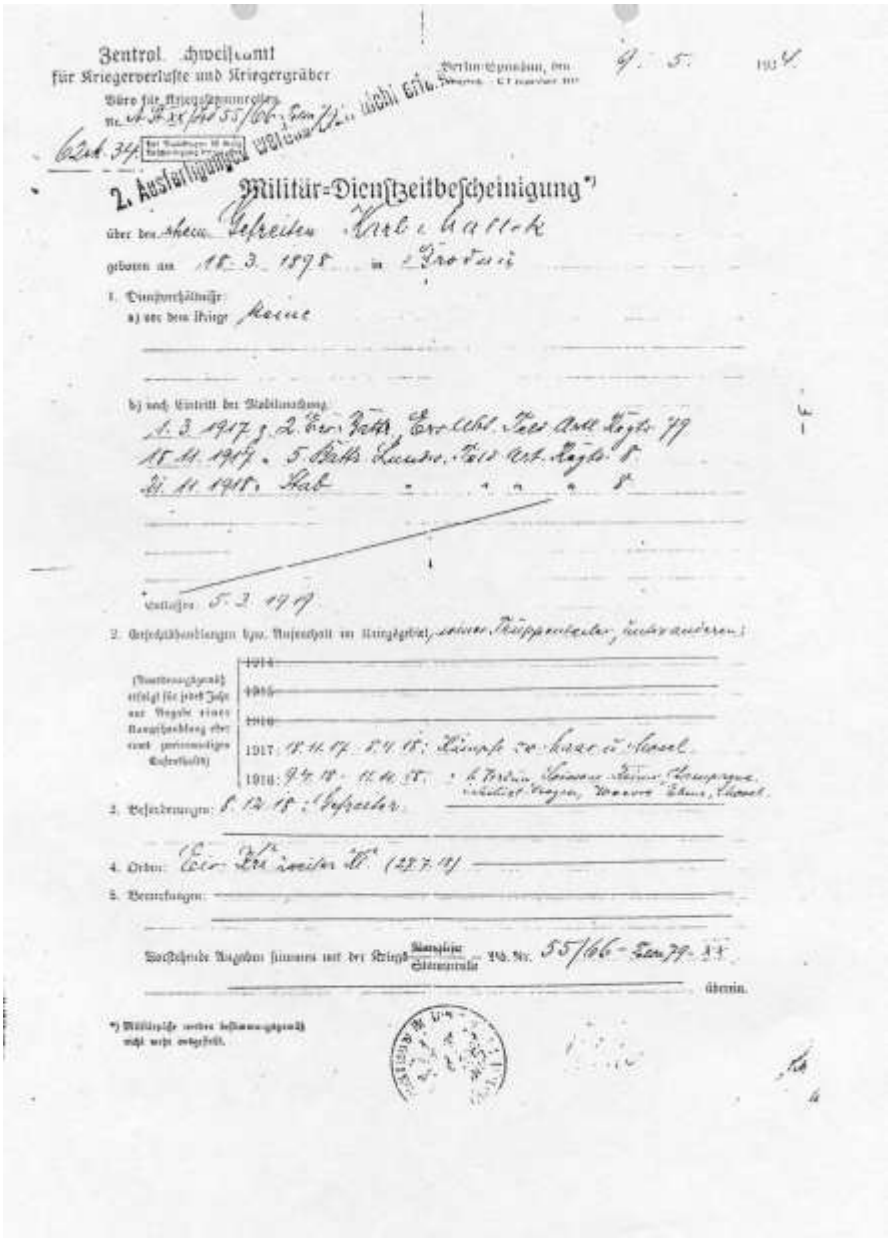

Zentral-Nachweisamt
für Kriegerverluste und Kriegergräber

Berlin-Spandau, den 9. 5. 1924

Büro für Kriegsstammrollen
Nr. A. F. XX/Ist 55/66 - Ersatz 79 - XX

62 Ab. 34

2. Ausfertigungen werden nicht erteilt

Militär-Dienstzeitbescheinigung*)

über den ehem. Gefreiten Karl Mallek

geboren am 18. 3. 1898 in Grodno

1. Dienstverhältnisse:
   a) vor dem Kriege keine

   b) nach Eintritt der Mobilmachung:
   1. 3. 1917 z. 2. Ers. Batt. Ers. Abt. Feld Art. Regts. 79
   18. 11. 1917 z. 5. Batt. Landw. Feld Art. Regts. 8
   21. 11. 1918 z. Stab " " " " 8

   Entlassen 5. 3. 1919

2. Gefechtshandlungen bzw. Aufenthalt im Kriegsgebiet, seiner Truppenteiler, unter anderen:

(Anordnungsgemäß erfolgt für jedes Jahr nur Angabe einer Kampfhandlung oder eines zweiteiligen Aufenthalts)

1914
1915
1916
1917: 18. 11. 17 - 8. 4. 18: Kämpfe zw. Haar u. Mosel
1918: 9. 4. 18 - 11. 11. 18: b. Verdun, Soissons, Reims, Champagne, Mitteldeutschland, Wesel, Ehrenbreitstein, Mosel

3. Beförderungen: 8. 12. 18: Gefreiter

4. Orden: Eis. Kr. zweiter Kl. (28. 7. 18)

5. Bemerkungen:

Vorstehende Angaben stimmen mit der Kriegs-Stammrolle Bd. Nr. 55/66 - Ersatz 79 - XX überein.

*) Militärpässe werden bestimmungsgemäß nicht mehr ausgestellt.

Tłumaczenie powyższego zaświadczenia:

Centralny Urząd Udokumentowania
strat wojennych oraz mogił poległych żołnierzy
Biuro List Poborowych
Nr. A St XX/ tom 55/66 pozycja 79
62 ck. 34 (w razie zapytań dołączyć niniejsze zaświadczenie)

Berlin-Spandau, dnia 9.05.1934
Telefon: C7 (Spandau) 4111

Zaświadczenie odbycia służby wojskowej *)

Były st. *szeregowiec* ***Karl Mallek***
urodzony *18.3.1898 w Brodowie*

1. Stosunek służbowy
a) Przed wojną: *Nie było*
b) Po zmobilizowaniu
1.2.1917, do 2. Zapasowej Baterii, Oddziału Zapasowego Artylerii Polowej, Pułku 79.
15.11.1917, do 5.Baterii, Artylerii Polowej Landwery, Pułku
21.11.1918, do sztabu Artylerii Polowej Landwery, Pułku 8

Odwołanie *5.3.1919*

2. Udział w bojach wzgl.pobyt na froncie części jego jednostek, m.in.:
1917: *18.11.17 – 5.11.18 Walki między Maas a Mosel*
1918: *9.4.18 – 11.11.18 Walki pod Verdun, Soissone, Reime, Champagne, Tschikiel, Stogen, Woevre, Choel*

3. Awans: *8.12.18 na st. szeregowego*

4. Odznaczenia: *Krzyż żelazny czwartej klasy (27.7.18)*

5. Uwagi: *Brak*

Niniejsze dane zgodne są z zapisem ewidencji wojennej, Brygada Nr 55/66,
Książka polowa 79 – XX.

Pieczęć okrągła, podpis.

---

*) Zgodnie z zarządzeniem książeczek wojskowych nie wystawia się.

12
Wersalski Traktat Pokojowy

Niemcy, pomimo iż ich armie odnosiły wspaniałe zwycięstwa w licznych walkach na wszystkich frontach (które honorowaliśmy wolnymi dniami od nauki szkolnej) i mimo waleczności i dzielności ich żołnierzy (między innymi moich braci Wilhelma i Karola), sromotnie wojnę przegrali. Wprawdzie nie tak tragicznie, jak drugą wojnę światową, bowiem Państwo Niemieckie jako Republika nie przestało istnieć. Cesarz Wilhelm II, odpowiedzialny za klęskę, nie był powieszony i nie musiał popełnić samobójstwa, żył wspaniale i spokojnie w willi w Holandii jako „azylant".

Niemcom udało się zawrzeć separatystyczne zawieszenie broni dnia 15.12.1917 roku umową w Brześciu nad Bugiem, którą Stalin podpisał dnia 3.03.1918 roku jako „Dyktat Pokojowy". Dzięki „Rewolucji Październikowej" z 6-7 listopada 1917 roku Niemcy wyszły z wojny z Rosją Bolszewicką z „dobrą twarzą", nie tracąc (chwilowo) żadnych terenów na Wschodzie. Niezadowolenie wewnątrz kraju z powodu braku zaopatrzenia, ruchy rewolucyjne, załamanie się frontu na Zachodzie, doprowadziły do zawieszenia broni dnia 11.11.1918 roku z „Ententą"[71], przyjmując czternasto-punktowy Plan Prezydenta Ameryki Woodrowa Wilsona za podstawę rokowań pokojowych.

Dnia 9.11.1918 roku Scheidemann ogłosił Państwo Niemieckie jako Republikę. Stało się to po ogłoszeniu abdykacji Kaisera Wilhelma II przez Prinza Maxa. Na zgliszczach dawnych monarchii Niemiec, Rosji Carskiej, Państwa Austro-Węgierskiego powstały nowe państwa: Austria, Węgry, Czechosłowacja, Jugosławia, Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Polska i inne. Granice zmieniły się ogromnie.

Po 123 latach Polska odzyskała niepodległość. Dnia 7 listopada 1918 roku Ignacy Daszyński w imieniu Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie proklamował Polską Republikę Demokratyczną (według encyklopedii PRL). W Lozannie w Szwajcarii dnia 15.08.1917 roku utworzył się Polski Komitet Narodowy z Ignacym Janem Paderewskim i Romanem Dmowskim na czele. Dnia 20.09.1917 roku Komitet ten został przez Mocarstwa Zachodnie uznany za reprezentanta Polski w przygotowywaniu traktatu pokojowego. Osobista znajomość Paderewskiego z Prezydentem Woodrowem Wilsonem zaowocowała, że sprawa Polski znalazła się w Planie Pokojowym Wilsona, pkt. 13 („Polska z dostępem do morza").

Pytanie: czy Wersalski Traktat Pokojowy był dla nas, mieszkańców Prus Wschodnich, szczęśliwy czy nieszczęśliwy?

Wersalski Traktat Pokojowy został podpisany przez zwycięzców i pokonanych w Paryżu, dnia 28.06.1919, a 10.01.1920 roku wszedł w życie. Pokonanym i tym razem były Niemcy, które musiały przyjąć warunki podyktowane przez Mocarstwa Zachodnie. Podpisanie Traktatu Pokojowego odbyło się w tej samej – „lustrzanej" sali i przy tym samym stole, przy którym dnia 26.03.1871 roku zwycięskie Niemcy dyktowały Francji, pokonanej w wojnie niemiecko-francuskiej, warunki pokojowe. Obecnie, dnia 28.06.1919 roku Francja mogła odpłacić się Niemcom „pięknym za nadobne". Jakie warunki nakładał Wersalski Traktat Pokojowy Prusom Wschodnim:

[71] Państwami sprzymierzonymi Zachodu, łącznie z Ameryką.

1. Oddzielenie Prus Wschodnich od Rzeszy Niemieckiej przez oddanie Polsce Ziemi Kaszubskiej z dostępem do Bałtyku.

2. Utworzenie Wolnego Miasta Gdańsk.

3. Przeprowadzenie plebiscytu (głosowania): za Prusami Wschodnimi lub za Polską w następujących powiatach:

a) Mazurskich: Osterode, Neidenburg, Ortelsburg, Sensburg, Johannisburg, Lyck, Treuburg, Lötzen (Ostróda, Nidzica, Szczytno, Mrągowo, Pisz, Ełk, Olecko, Giżycko).

b) Warmińskich: Allenstein Stadt und Land, Rössel (Olsztyn miasto i powiat, Reszel).

c) Na Powiślu: Rosenberg, Stuhm, Marienwerder, Marienburg (Prabuty, Susz, Kwidzyń, Malbork).

Bez plebiscytu, bez głosowania (wbrew woli miejscowej ludności) do Polski przyłączono miasto Soldau z okolicznymi wioskami.

Nad nową granicą, po stronie polskiej, znalazły się następujące miejscowości:

Działdowo (miasto powiatowe), Białuty (Bialutten) – wieś kościelna; Purgałki (Purgalken); Sochy (Sochen); Chorap (Chorapp); Szczepka (Sczepka); Dźwierznia (Dzwiersna); Iłowo (Ilowo); Czworaki (Zworaden); Kraszewo (Kraschewo); Narzym (Narzym); Janowo (Hansburg); Pruski (Prusken); Brodowo (Brodau); Gajówki (Gajowken); Mansfeldy (Mansfeld); Kisiny (Kyschienen); Kurki (Kurken); Bursz (Bursch); Wierzbowo (Wiersbau); Rywociny (Rywoczin); Księżydwór (Königshagen); Pierławka (Pierlawken); Wysoka (Hohendorf); Prusinowo (Pruschinowo); Grodki (Grodtken); Przełęk Duży (Groß; Przellenk) Przełęk Mały (Klein Przellenk); Łęsk Wielki (Groß Lensk); Łęsk Mały (Klein Lensk); Pryoma (Priom); Rutkowice (Rutkowitz); Płośnica (Heinrichsdorf); Turzno (Groß Tauersee); Turzno (Klein Tauersee); Murawki (Murawken); Gralewo (Grallau); Koszelewy (Groß Koschlau); Zabiny (Seeben); Tuczki (Tauschken); Prusy (Preussen); Wesołowo (Wesolowo); Nieostoja (Nieostoy); Skurpie (Skurpien); Burkat (Borschersdorf); Filice (Fylitz); Sękowo (Schönkau); Klęczkowo (Klentzkau); Malinowo (Amaliendorf); Komorniki (Kämmersdorf); Krasnołąka (Schönwiese); Wilamowo (Wilmsdorf); Pożary (Posaren); Kramarzewo (Krämersdorf); Myślęta (Meischlitz); Szczupliny (Sczuplienen); Szczupliniak (Sczuplienen); Nowawieś (Neuendorf); Wądzy (Wansen).

Uzdowo (Usadu) znalazło się w granicach Polski tylko i jedynie za przyczyną miejscowego sołtysa, którym był Wallesch, kaznodzieja gromadkarski. Zebrawszy podpisy mieszkańców wsi za Polską, przekonał Komisję wytyczającą granicę, która włączyła Uzdowo do Polski. Później Wallesch nie mógł odżałować swego czynu.

Działdowo zostało miastem powiatowym. Obszar Działdowszczyzny po włączeniu do Polski wynosił 501 km^2, miejscowej ludności 24 787 osób. Działdowszczyzna przypadła Polsce z uwagi na linię kolejową Warszawa – Gdańsk, która przebiega przez Działdowo.

Wprawdzie delegacja niemiecka przy Komisji Pokojowej w Wersalu czyniła wszelkie starania, aby „Soldauergebiet" nie odłączać od Prus Wschodnich, obiecując i zapewniając wybudowanie nowej linii kolejowej, omijając obszar Działdowszczyzny. Jednak Komisja Pokojowa przychyliła się do żądań reprezentacji Polski. Wiadomość przyłączenia Działdowszczyzny do Polski wywołała wśród ludności miejscowej wielką konsternację. A ponieważ od podpisania Układu Pokojowego (28.06.1919 roku) do wprowadzenia jego uchwał w życie (10.01.1920 roku) było pół roku, więc było sporo czasu do zastanawiania się nad pytaniem: co robić?

Traktat Wersalski zapewniał mieszkańcom Działdowszczyzny (i wszelkim mniejszościom) automatyczne prawo obywatelskie w Polsce. Poza tym, każdy miał prawo opcji. Można było optować na rzecz Niemiec i to:

1. pozostając w Polsce jako optant – obywatel niemiecki;
2. lub opuścić Polskę, wyjeżdżając do Niemiec.

Zresztą, każdy człowiek mógł Polskę opuścić. Optanci w Polsce korzystali z prawa mniejszości narodowej. Układ dotyczący mniejszości narodowych został uchwalony przez Komisję Pokojową dnia 29.06.1919, który wszedł w życie 10.01.1920 roku.

A więc, każdy mieszkaniec Działdowszczyzny miał do wyboru – pozostać w Polsce lub wyjechać z Polski.

Co się dzieje? O dziwo: rodziny robotnicze nie zastanawiały się, opuściły miejsce zamieszkania jeszcze przed objęciem terenu przez władze polskie. A drobni gospodarze zamieniali się na gospodarstwa w Prusach Wschodnich lub sprzedając swoją ojcowiznę.

Obie powyższe grupy społeczne to element, który najbardziej ucierpiał w Niemczech z powodu prześladowania za używanie języka mazurskiego. Zdawałoby się, że właśnie ci ludzie pozostaną w Polsce. Przeciwnie, jako pierwsi opuścili swoje gniazdo, aby nie żyć w Polsce. Średni i więksi gospodarze pozostali na miejscu. Po prostu, aby zobaczyć, co będzie dalej.

Pozbawieni siły roboczej, nadsłuchiwali tylko wiadomości. Dowiedziano się, że Cesarz Wilhelm II, któremu śpiewaliśmy „Heil dir im Siegerkranz”[72], musiał abdykować i uciekać z kraju do Holandii. Wojsko się buntowało, część społeczeństwa ulegała propagandzie komunistycznej, spodziewano się nawet rewolucji. Jednym słowem, w kraju wrzało. Powoli ocaleni żołnierze wracali do domu, przynosząc ze sobą różne, najnowsze wiadomości. Wrócił też z niewoli angielskiej mój najstarszy brat Wilhelm. Wrócił też z wojska (zdemobilizowany) brat Karol. Jako artylerzysta przyjechał na pięknym koniu, którego dostał za grosze z demobilu. Zdemobilizowani żołnierze dzielili się z nami wiadomościami, które nie były wesołe, bo Niemcy wojnę przegrali. Nie wiadomo, jak będzie gospodarczo w Niemczech.

Przyjeżdżają goście, krewni ze Sławki, z Niborka, z Krokowa, kuzyni ze strony Ojca i Matki. Mówią o toczącej się propagandzie przed Plebiscytem. Jedni agitują, aby głosować za Niemcami, drudzy za Polską. Powiadają, że agitatorzy Polscy głoszą, że my, Mazurzy, jesteśmy Polakami i żeby głosować za Polską. Co wy na to? – pytają się nas. A my pytamy się ich, bo wiemy, że byliśmy Prusakami i Polski nie znamy.

Jeździmy i my do krewnych do Sławki, Krokowa, Niborka, aby się czegoś nowego dowiedzieć. Jednak nic nie wymyśliliśmy.

Nadszedł dzień 10.01.1920 r., kiedy to Pakt Pokojowy z 28.06.1919 roku nabrał mocy.

Każdy, kto nie opuścił Działdowszczyzny, pozostał na swoich śmieciach, wyczekując dalszych wiadomości i wydarzeń.

[72] Tobie, uwieńczonemu zwycięstwem, życzymy zdrowia i szczęścia!

13
Polska „przyszła” do Brodowa

Dnia 11 stycznia 1920 roku dawna granica na Iłowie znikła; przesunęła się na nową linię, wchłaniając Działdowszczyznę do Polski.

Pierwszymi „jaskółkami” Polski w Brodowie i nie tylko w Brodowie, byli żebracy. Byli to mężczyźni i kobiety w różnym wieku, czasami kobieta z dzieckiem. Liczba tych biednych była tak wielka, jakby się worek wysypał. Zbierali przede wszystkim żywność: chleb, mąkę, groch, fasolę, słoninę, boczek i co się tylko dało. Jakiś czas Mateczka hojnie obdarowywała ich, nawet nocując niektóre babki, które pod ciężarem uzbieranych darów, nie były zdolne wrócić 10 i więcej kilometrów do domu. Jakże one były wdzięczne za wszystko. Z czasem jednak Mateczka musiała ustalić miarki, bo wreszcie nie stałoby dla nas.

Niektórzy przyjeżdżali wozami drabiniastymi „Po spaleniu” – tak mówili, mając nawet „lipne” zaświadczenia od sołtysa. Zbierali siano, słomę, zboże, kartofle i co się dało. Niektórzy żebracy nie śmieli wejść do domu, bo byli w łachmanach, brudni i zawszeni. Nie zapomnę nigdy jednego żebraka. Był to człowiek w sile wieku, niestary, wysoki, dobrze zbudowany, można by powiedzieć „przystojny”. Otrzymawszy na progu posmarowany chleb, podziękowawszy, poszedł do szkolnego chlewka, naprzeciw nas, który był pusty, bo kierownik Chmielewski już wyjechał do Niemiec. Tam położył się na barłogu i spożywał otrzymany dar Boży.

Widok jego Mateczce nie dał spokoju. Wzięła ze sobą Martę, mnie i Roberta i poszliśmy za nim do wspomnianego chlewka-obórki, niosąc mu znów jedzenie, coś gotowanego i mleko. Leżał na słomie, wsparty o ścianę, półnagi (było ciepło, maj lub czerwiec 1920 roku), drapał się po całym ciele. Odłamkiem szkła zdrapywał z siebie brud i robactwo. Coś takiego trudno sobie wyobrazić. Nigdy nie widzieliśmy tyle wszy, pcheł i żeby człowiek był tak zaniedbany, będąc jeszcze niestary. Straszny to był widok, który przez wszystkie lata nie zatarł się w mojej pamięci. Litość ogarnęła naszą Mateczkę i myśmy ze smutkiem patrzyli na tego biednego człowieka. Ale nasza Mateczka była dzielną i energiczną niewiastą. Z naszą pomocą zanieśliśmy do niego dużą wannę do kąpania. Mateczka nastawiła kocioł gorącej wody. Nanosiliśmy w wiadrach zimnej wody do wanny, potem dodaliśmy gorącej. Mateczka poprosiła go, aby wszelką swoją odzież złożył w jednym miejscu i żeby się wykąpał.

Mateczka poszła do domu, a myśmy się przyglądali, jak on się cieszył, będąc w wannie, nadal zdrapując brud z ciała odłamkiem szkła. Mateczka dała mu długą koszulę, aby ją ubrał, a myśmy wynosili brudną wodę z wanny na dwór i na nowo nanosiliśmy czystej wody do wanny, aby gruntownie się wykąpał. Na szczęście miał bardzo krótko strzyżone włosy na głowie, więc i głowę mógł dobrze umyć. Mateczka w międzyczasie przygotowała mu świeżą bieliznę i po kimś ubranie. Zanieśliśmy mu to wszystko, aby w czystym miejscu ubrał na siebie i żeby zaraz przyszedł do nas do domu. Jego wszystkie rzeczy bez wyjątku spaliliśmy na szkolnym podwórku. W domu dopasował sobie też jakieś buty. Obdarzony żywnością i bielizną na zmianę, jako nowonarodzony udał się w swoje strony, skąd przyszedł. Teraz można było powiedzieć, że był przystojny, niebrzydki i normalny, i jako taki mógł znaleźć kobietę i się ożenić. Nigdy więcej żeśmy go nie widzieli.

Za to inni nas odwiedzali. Byli i tacy, którzy wdawali się z nami w dłuższą rozmowę. Opowiadali różne żarty i kawały, nawet polityczne, dziwiliśmy się bardzo, że żartowali

i naśmiewali się z hymnu polskiego i z Piłsudskiego, śpiewając: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki kura w garnku”..., „Marsz, marsz, Piłsudski, my twoje psy i sucki”... (nigdy nie przyszło nam na myśl, aby z naszego Kaisera Wilusia się naśmiewać). Takie żarty odzwierciedlały ówczesne stosunki polityczne w Polsce i walkę między Piłsudczykami a Narodową Demokracją (Endecją). Z obserwacji i opowiadań żebraków wyrobiliśmy sobie pogląd, że Polska to bardzo biedny kraj. To nie zachęcało nas, aby żyć w Polsce.

Pewnego dnia wiosną 1920 roku, mogło to być w końcu kwietnia lub na początku maja, rozeszła się po Brodowie pogłoska: „Polskie wojsko jest we wsi”! Nie zrobiło to na ludziach dobrego wrażenia, bo jak wybiegłem z domu i stanąłem za węgłem płotku Kantorka, nie zobaczyłem nikogo z miejscowych mieszkańców, którzy ciekawi byliby zobaczyć polskich żołnierzy. Zauważyłem 6-ciu, może 8-miu „rogatych” żołnierzy, odpoczywających na murawie między posiadłością Kantorka a stodołą i oborą Schauy. Z ich rozmowy, którą prowadzili między sobą dość głośno, zrozumiałem słowa: „Tu mieszkają same szwaby”. Dopiero później dowiedziałem się, co znaczy słowo „szwaby” (obserwując wtedy „rogate” polskie wojsko, nie przyszło mi na myśl, że za 2 lata ja i Robert nosić będziemy harcerskie „rogatywki”).

Nie wiem, jakie zadanie miał wtedy ten oddział „rogatego” wojska. W każdym razie, mogę powiedzieć, że ani my, ani nikt z meszkańców Brodowa nie powiedział: przyszło „nasze” wojsko. Było to polskie wojsko, ale nie nasze. „Nasze” to tam, tam za nową linią graniczną, za Purgałkami. Nie pamiętam, czy to nie tego samego dnia, a może wcześniej, aresztowano całą radę gminną Brodowa, to znaczy radę z czasów niemieckich. Aresztowani zostali: sołtys Adolf Schau, Michał Żywiec, Zakrzewski Wilhelm i Wilhelm Małłek, mój ojciec. Aresztowanych załadowali na wóz i wio! Do Działdowa, do więzienia. Oskarżano ich o różne rzeczy, nawet o szpiegostwo. Ale wszystkie zarzuty były wyssane z palca. Po kilku dniach zostali zwolnieli, brudni, z „minorową” miną. Niedługo potem załadowano wszystkich mężczyzn na wozy i również wywieziono do więzienia w Działdowie. I ich po kilku dniach zwolniono do domu.

Wyobraźcie sobie, jak mógł się czuć nasz Ojciec po takim upodleniu i wszyscy inni, którzy walczyli w Niemczech o język polski, a ich dzieci dostawały za to po skórze.

Pytanie: „My, Polacy czy Niemcy?”

Urzędy polskie samowolnie wpisywały Mazurów, bez ich zgody, na listę optantów, aby przy okazji mieć prawo do wysiedlenia ich z Polski. Aresztowano kilkakrotnie księdza naszej parafii ewangelickiej, we wsi Narzym, pastora Helda, powszechnie lubianego i poważanego. Szczególnie odpowiadał on Mazurom, gdyż doskonale władał językiem mazurskim (w 1922 roku zmuszono go do wyjazdu z Polski).

Z początku nikt tego nie pojmował, dlaczego tak Polacy z nami postępują, skoro Polska przyjęła uchwały Traktatu Pokojowego.

Ogólnie nie znaliśmy historii ani kultury Polski, ani religii katolickiej. Jeżeli Mazurzy Prus Wschodnich byli wykształceni, to raczej w znajomości historii i kultury Niemiec.

Kto z nas był wtedy tak mądry, żeby wiedzieć, co było w 1622 roku. Otóż w tym roku założył Papież Grzegorz XV organizację kościelną pod nazwą „Congregatio de propaganda FIDE”[73]. Była to organizacja powołana przez papieża do walki, do wytępienia heretyków, innowierców. Organizacja ta jest dobrze znana w Polsce pod skróconą nazwą „AK”. Ktoś

[73] Stowarzyszenie/bractwo z siedzibą w Rzymie, złożone z 12 kardynałów. Instytucji tej podlegała także tzw. Święta Inkwizycja.

pomyśli „Armia Krajowa”? – walcząca w Polsce w czasie II wojny światowej. Nie o tę AK chodzi. „AK” w tym wypadku znaczy „Akcja Katolicka”. Co o niej czytamy w polskiej encyklopedii: „Jest to organizacja świeckich katolików, mająca na celu podporządkowanie Kościołowi (oczywiście katolickiemu) wszystkich dziedzin życia społecznego, [...] zapewnienie Kościołowi wpływu na politykę wewnętrzną, ustawodawstwo, gospodarkę”.

Można by powiedzieć: nic ująć, nic dodać. Szczególnym organizatorem Akcji Katolickiej w omawianym okresie był papież Pius XI (panował w latach 1922–1929), który wydał w tej sprawie dwie encykliki: w 1922 i 1923 roku. Encyklopedia Polska podaje, że „Akcja Katolicka” działała od 1926 do 1939 roku. A co robiła „AK”, kiedy to dnia 16 grudnia 1922 roku fanatyk katolicki morduje pierwszego prezydenta Polski, Gabriela Narutowicza, tylko dlatego, że był „heretykiem”? Co robiła „AK” za czasów okupacji poprzez choćby taką podziemną organizację „O.N.R.” (Obóz Narodowo-Radykalny), który w swych planach przewidywał wyniszczenie 18 milionów ludzi na przyszłych „Ziemiach Odzyskanych”?

Co robiła „AK” (zawsze mówię o Akcji Katolickiej) za Bieruta? Za Gomułki? Za Gierka? Co robi za Jaruzelskiego? Co robi „AK” w Solidarności? Czytam, że „AK” nie ma wpływu na politykę i gospodarkę. Odpowiedź na ostatnie pytania pozostawiam Jaruzelskiemu, który właśnie nie może się uporać z gospodarką w Polsce.

O tym wszystkim wiemy teraz. Wtedy, w momencie, gdy dostaliśmy się w łapy nowoczesnej „inkwizycji” – „Akcji Katolickiej”, byliśmy w sprawach społeczno-politycznych niemowlakami.

Aresztowania i inne objawy prześladowania Mazurów Działdowszczyzny spowodowały liczne ucieczki do Prus Wschodnich.

Również nasz Ojciec postanowił opuścić tak ciężko wypracowaną gospodarkę w Brodowie. Kilka razy wyjeżdżał za granicę (powiat niborski), aby znaleźć podobne gospodarstwo do zamiany. Niestety, takiej gospodarki, jaką mieliśmy w Brodowie, gdzie była dobra gleba, dużo łąk, las i torf, nigdzie Ojciec nie mógł znaleźć. Tak samo inni sąsiedzi borykali się z tymi trudnościami. Każdemu było żal opuszczać swoją ojcowiznę, z którą byliśmy zrośnięci.

Pomaleńku pogodzono się z losem, który został nam narzucony przez państwa, które wygrały I wojnę światową. Z determinacją zostaliśmy w Polsce, rozmyślając nad przeszłością. Na miejsce robotników-Mazurów, którzy wyjechali do Prus Wschodnich lub do Westfalii, napłynęli robotnicy z Polski, z pogranicznego powiatu mławskiego. I tak powoli czworaki Heyny, Schaua, Jebrama, Schimanskiego i Napierskiego napełniły się rodzinami polskimi wyznania katolickiego. Skład ludnościowy pod względem wyznaniowym w Brodowie i całym powiecie działdowskim bardzo się zmienił na niekorzyść ewangelicyzmu. „Przybysze” – nazwijmy ich tak, przynieśli ze sobą inne zwyczaje, obyczaje, inną kulturę; wszystko było dla nas obce. Raziło nasze ucho ich słownictwo, przeklinania, nazywano to później „polską łaciną”. Zaczęto stawiać przy drogach „figurki” lub kapliczki z figurką „Matki Boskiej” – jak to nazywali katolicy. Było to dla nas coś obcego, coś pogańskiego, bo przecież każdy Mazur-ewangelik dobrze znał Pismo Święte i to od samego dzieciństwa.

A szczególnie każdy umiał na pamięć pierwsze przykazanie, które brzmi: „Jam jest Pan Bóg twój. Nie będziesz miał innych (cudzych) bogów obok mnie. Nie uczynisz sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze i co jest na ziemi w dole, i tego, co jest w wodzie i pod ziemią. Nie będziesz się im kłaniał i nie będziesz im służył” –

słowa według 2 Mojż. 20, 2-5 i 5 Mojż. 5, 6-9. Słowo „cudzych” w nawiasach wyjęte jest z Pisma Świętego wydania katolickiego. Treść I przykazania w obu Bibliach jest identyczna.

Na temat pierwszego przykazania pozwolę sobie przytoczyć z Biblii katolickiej następujące słowa, które oczywiście są też w Biblii ewangelickiej: „Ja Pan, Bóg wasz. Nie będziecie sobie czynić bałwana, ani rzeźby, ani znaków stawiać nie będziecie, ani kamienia znaczonego nie postawicie w ziemi waszej, żebyście się mu kłaniali; bom Ja jest Pan, Bóg wasz” – 3 Mojż. 26,1. „Nie zwracajcie się do bałwanów, ani bogów lanych sobie nie czyńcie” – 3 Mojż. 19,4. „Przeklęty człowiek, który robi posąg rzeźbiony lub lany, obrzydliwość dla Pana, robotę rąk rzemieślniczych, i stawia go w skrytości” – 5 Mojż. 27,15. „Bałwany pogańskie, to srebro i złoto, robota rąk człowieczych. Usta mają, a nie mówią, oczy mają, a nie widzą. Uszy mają, a nie słyszą, nos mają, a nie czują. Ręce mają, a nie dotykają, nogi mają, a nie chodzą, ani zawołają gardłem swoim. Niech im podobni będą, którzy je czynią, i wszyscy, którzy w nich ufają” – Psalm 113b (w Biblii ewangelickiej Psalm 115). Teksty „katolickie” wyjąłem z Pisma Świętego według W.O. Jakuba Wujka, S.J., wydane z wizerunkiem papieża (polskiego) Jana Pawła II, wydanego przez Wydawnictwo Franciscan Publishers-Pulaski, Wisconsin, U.S.A.

Mimo tak wyraźnych słów Pisma Świętego, katolicy produkują masę „świętych” obrazów, figur. Kłaniają się im, klękają przed nimi, dźwigają w czasie procesji, służą im. Nasuwa się pytanie: czy katolicy nie znają pierwszego przykazania? – Tak czy nie? Oczywiście, znają i umieją na pamięć, ale tylko następujące słowa: „Jam jest Pan Bóg twój. Nie będziesz miał cudzych bogów obok mnie”. – Intryguje mnie słowo „cudzych” zamiast „innych”. Czyżby katolikom wolno mieć „swoich” bogów?

Protestanci, przez katolików nazywani „heretykami”, nie mają „swoich” bogów. Znają tylko jednego Boga, który nie ma kształtu glinianej czy metalowej figury, lecz, zgodnie ze słowami Jezusa Chrystusa, wierzą, że: „Bóg jest Duchem, a ci, którzy mu cześć oddają, winni mu ją oddawać w duchu i w prawdzie” – Jan 4, 24.

Nasuwa się drugie pytanie: dlaczego katolicy robią podobizny boga, kłaniają się im i im służą? Odpowiedź jest bardzo prosta: bo nie znają treści całego pierwszego przykazania. A dlaczego nie znają? Bo nie czytają Pisma Świętego. Dlaczego nie czytają? Bo czytanie, posiadanie Biblii w domu było przez Kościół pod groźbą grzechu zakazane. Papież Pius IX (panował w latach 1846–1878) uznał Towarzystwa (Wydawnictwa) Biblijne rozpowszechniające Pismo Święte (Biblię) za przeklęte. Katolik powszechnie do dziś dnia boi się czytania Pisma Świętego. Bojaźń ta leży we krwi katolika, gdyż przez czytanie Biblii miał grzech. Dlaczego katolicy kłaniają się przed obrazami, figurami? Bo to nakazuje Kościół katolicki.

Papież Grzegorz XV (1621–1623) zarządził, że należy zdjąć nakrycie głowy, gdy przechodzi sakrament. Co tu znaczy „sakrament”? Jest to opłatek z mąki, umieszczony w złotej monstrancji. Przed taką odrobiną chleba katolicy nie tylko zdejmują nakrycie głowy, ale klękają nawet na ulicy. Dlaczego nie klękają przed bochenkiem chleba (darem Boga), wyrzucanym często do śmietnika? Papież Paweł V (1605–1621) edyktem z 25.06.1620 roku zarządził, że nawet heretycy muszą zdejmować nakrycie głowy, gdy przechodzi procesja lub sakrament. A kto z heretyków nie zdjął nakrycia głowy, temu groziła nawet śmierć, czego dowodem jest student w czasie „Rzezi Toruńskiej”, a ja dostałem w Dział-

dowie w 1922 roku w czasie procesji „Bożego Ciała" po głowie, aż mi się gwiazdy pokazały.

Dla katolika nie zawsze ważne są nawet słowa samego Jezusa Chrystusa, który powiedział: „Panu Bogu samemu pokłon oddawaj i tylko Jemu będziesz służył" – Mat. 4,10. Praktyki te, kult „Matki Boskiej", kult świętych, kult obrazów i figur był nam – Mazurom – obcy, wprost pogański, a co najmniej niezgodny z Pismem Świętym. Nie mogliśmy zrozumieć, jak można przed figurą kłaniać się lub zdejmować nakrycie głowy. Albo zbierać się pod figurą i zmawiać „różaniec", na który składały się: modlitwa „Ojcze nasz", modlitwa do „Matki Boskiej" – „Zdrowaś Mario" i wyznanie wiary, wypowiadane kilkakrotnie w kółko. I to uważaliśmy za pogańskie, bo Jezus powiedział: „Modląc się, nie mówcie wiele, jak poganie; albowiem mniemają, że w wielomówstwie swoim będą wysłuchani. Nie bądźcie do nich podobni". „Ale ty, gdy się modlisz, wejdź do izdebki swojej, a zawarłszy drzwi, módl się do Ojca swego w skrytości; a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda tobie jawnie" – Mat. 6,6-8.

Wiemy, iż przez dziesięć wieków chrześcijanie w modlitwie byli „małomówni". Dopiero papieżowi Urbanowi II (1088–1099) ubzdurzyło się w 1090 roku wprowadzić do Kościoła „różaniec". Różaniec składa się z krzyża, uwiązanego do łańcuszka, na którym jest 6 dużych i 53 małych pereł. Zmawiając różaniec, trzeba najpierw chwycić krzyż i zmówić „Apostolskie Wyznanie Wiary" (krótko mówiąc, tak zwane „Wierzę"), następnie przy każdej dużej perełce należy zmówić „Ojcze nasz", a przy małej należy zmówić tzw. „Zdrowaśki" do Panny Marii. Czasami chodziliśmy przyglądać się nabożeństwom „majowym", które odprawiano przy figurze „Matki Boskiej", zmawiając różaniec. Pobożność taka nie odpowiadała nam i nie przyciągała nas do katolicyzmu, przeciwnie, ugruntowywaliśmy się w naszej ewangelickiej wierze. Mimo to, z czasem niektóre dziewczęta ewangelickie zakochiwały się w katolikach, wychodziły za mąż, biorąc ślub w Kościele katolickim, przez co formalnie stawały się katoliczkami. Ale to były sporadyczne wyjątki.

Jedną z dalszych plag (poza żebractwem), które nawiedziły Działdowszczyznę po przyłączeniu do Polski, były kradzieże. Złodzieje z terenu byłej Kongresówki grasowali w całym powiecie, szczególnie w wioskach przyległych do dawnej granicy. Kradli, co się dało: świnie (zabijali na miejscu), krowy, cielęta, zboże, a przede wszystkim konie. Wszelkie ślady prowadziły do Starej Polski. Gospodarze zabezpieczali swój dobytek, jak tylko mogli. Zakładano na drzwi od wewnątrz rygle, zapory. Wszelkie drzwi stajen, obór, chlewów, stodół, bramy wjazdowe zamykano na kłódki. Ale i kłódki nie chroniły przed włamaniami. Jeszcze najlepszą obroną było pilnowanie, spanie przede wszystkim w stajni.

Złodzieje wyszpiegowali, jakimi zaporami zabezpieczają gospodarze drzwi do stajni. Więc wzięli się na sposób: w odpowiednim miejscu wywiercali w drzwiach otwór, by mogła się zmieścić ręka, która odhaczała rygiel (zaporę). W ten sposóbo otwierali sobie drogę do stajni.

Słyszeliśmy (czy to bajka, czy to prawda, tego nie mogliśmy stwierdzić), że pewien gospodarz, wiedząc o złodziejskim wierceniu dziur, zaczaił się w stajni: przygotował pętlę i czekał na złodziei. Rzeczywiście, przyszli. Gdy zaczęli wiercić, gospodarz trzymał pętlę tak, aby obejmowała otwór. Złodziej wsadził rękę, gospodarz zacisnął pętlę, a linkę uwiązał do słupa, by złodziej nie mógł wycofać ręki. Złodziej zaczął się szamotać, starając się wycofać rękę, ale i pomoc wspólników nie pomogła, bo ręki nie można było wyciągnąć i drzwi do stajni też nie można otworzyć, gdyż są zabarykadowane. Nie pozostało bandzie

nic innego, jak kumplowi uciąć rękę. Pewnie wolał stracić rękę, niż odsiadywać wieloletnie kary więzienne za liczne kradzieże. Mówiono, że to szczera prawda.

W każdym razie kradzieże, dokonywane przez Polaków na Mazurach, nie przynosiły sławy, lecz potwierdzały już i tak złą opinię o Polakach. Pamiętam, jak powtarzano o złych cechach charakteru Polaków. Ponieważ po przyłączeniu nas do Polski, uznano nas formalnie za Polaków, to jest mi „markotno” cechy te nazwać po imieniu. Wydarzenia, które działy się u nas na Działdowszczyźnie, szczególnie aresztowania niewinnych ludzi, „pocztą pantoflową” przedostały się, jak to się mówiło, „za kordon”, za granicę, do naszych krewnych, do Mazurów w Prusach Wschodnich, którzy mieli swój jeszcze nierozwiązany problem: plebiscyt-głosowanie za Niemcami lub Polską.

Olsztyn w dniu 19 sierpnia 1920 roku

a) Wejście wojsk do Olsztyna
b) Uroczysty wiec w Jakobsberg. Mówcy: Dr. Mark, Heimatdienst (Aktyw dla dobra Ojczyzny), Severing, pruski minister spr. wewn., Dr. Heinze, wicekanclerz

Zeigt die damals beteiligten elf Abstimmungskreise: Bronzeplatte auf dem Altarstein des Abstimmungsdenkmals von Allenstein. Unter Aufsicht einer neutralen Kommission stimmten 1920 97,86 Prozent für Deutschland Foto Bildband Allenstein

W wewnętrznym kole liczba oddanych głosów w poszczególnych okręgach. "Deutsch-Polnisch"- powinno być : "Ostpreussen-Polen",zgodnie z uchwałą Komisji Międzynarodowej.

Abstimmungsdenkmal in Allenstein
Wie 1920 müssen alle Deutschen in ihrem nationalem Anliegen zusammenstehen.

Pomnik w Olsztynie ku uczczeniu plebiscytu
My, Niemcy, w kwestii narodowej musimy trwać w jednocie – jak w 1920 roku!

14
Plebiscyt w Prusach Wschodnich

Za kim głosować? Za Polską czy za Niemcami? Oto pytania, które powtarzano na plebiscytowym terenie.

Zgodnie z postanowieniami Wersalskiego Traktatu Pokojowego, powołana została specjalna Komisja Międzynarodowa, w skład której weszli przedstawiciele Anglii (przewodniczący), Włoch, Francji i Japonii.

Siedzibami Komisji był Allenstein (Olsztyn) i Marienwerder (Kwidzyń). Komisja miała do pomocy 80-ciu wyższych urzędników i oficerów. Uprawnieni do głosowania byli wszyscy (mężczyźni i kobiety), którzy w dniu 10.01.1920 roku ukończyli dwudziesty rok życia i którzy:

1. W Prusach Wschodnich się urodzili, względnie od 1.01.1905 roku mieszkają.
2. W Prusach Zachodnich się urodzili, względnie od 1.01.1914 roku mieszkają.

W Prusach Wschodnich były 3 listy:
1. Na terenie Plebiscytu urodzeni i tam zamieszkujący.
2. Na terenie Plebiscytu urodzeni, ale tam nie zamieszkujący.
3. Na terenie Plebiscytu nie urodzeni, ale od 1.01.1905 roku zamieszkujący.

W Prusach Zachodnich były 4 listy:
1. Na terenie Plebiscytu urodzeni i od 1.01.1914 roku zamieszkujący.
2. Na terenie Plebiscytu nie urodzeni, ale dopiero po 1.01.1914 roku zamieszkujący.
3. Na terenie Plebiscytu urodzeni, ale dopiero po 1.01.1914 roku zamieszkujący.
4. Na terenie Plebiscytu urodzeni, ale nie zamieszkujący.

Komisja Plebiscytowa przygotowała obowiązujące kartki do głosowania, ustalonego wzoru, o wymiarach 10 x 8 cm. Na jednej był napis „Polska – Polen", na drugiej „Ostpreussen" – w nawiasach (Prusy Wschodnie).

Stronę Niemiecką Prus Wschodnich reprezentowali przed Komisją Plebiscytową: Komisarz Freiherr von Gayl i Max Worgitzki (Wschodnio-Prusacy).

Przedstawicielami Polskiej Strony były następujące związki:

1. Mazurski Związek Ludowy z siedzibą w Szczytnie, prezesem był Friedrich Leyk ze Szczytna.

2. Komitet Mazurski z siedzibą w Warszawie, prezesem ks. dr Juliusz Bursche, biskup Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

3. Zrzeszenie Plebiscytowe Ewangelików Polaków w Warszawie, której członkiem była między innymi pisarka Emilia Sukert-Biedrawina.

4. Rady Ludowe zrzeszające przede wszystkim obszarników pod przewodnictwem hrabiego Sierakowskiego z Waplick /Sztumu.

Pierwsze trzy ugrupowania miały charakter ewangelicki. Czwarte było czysto katolickie.

Obie strony już od chwili podpisania Traktatu Pokojowego przystąpiły do agitacji, drukując ulotki, urządzając zebrania, na których przemawiali przedstawiciele jednej czy drugiej strony.

Strona niemiecka miała za sobą całe społeczeństwo miejscowe. Dysponowała tysiącami ludzi, czynnie zaangażowanych w pracy agitacyjnej.

Strona polska miała za sobą zaledwie kilka rodzin mazurskich, czynnie współpracujących w akcji przedwyborczej.

Niemcy postulowali przed Komisją Pokojową:

– pozostawienie terenu plebiscytowego przy Niemczech, decyzję uzasadniając tym, iż Prusy Wschodnie nigdy bezpośrednio nie należały do Polski i że Mazurzy czują się Niemcami.

Przedstawiciele Polski uzasadniali swoje żądania następująco:

1. Prusy Wschodnie to pierwotnie polska ziemia, polski kraj.

2. Państwo Niemieckie przez wieki utrzymywało lud mazurski w nieświadomości narodowej, germanizując go.

3. Niemcy deportowały polskie rodziny z Prus Wschodnich na roboty do Niemiec Zachodnich, w szczególności do Zagłębia Rury (Westfalii).

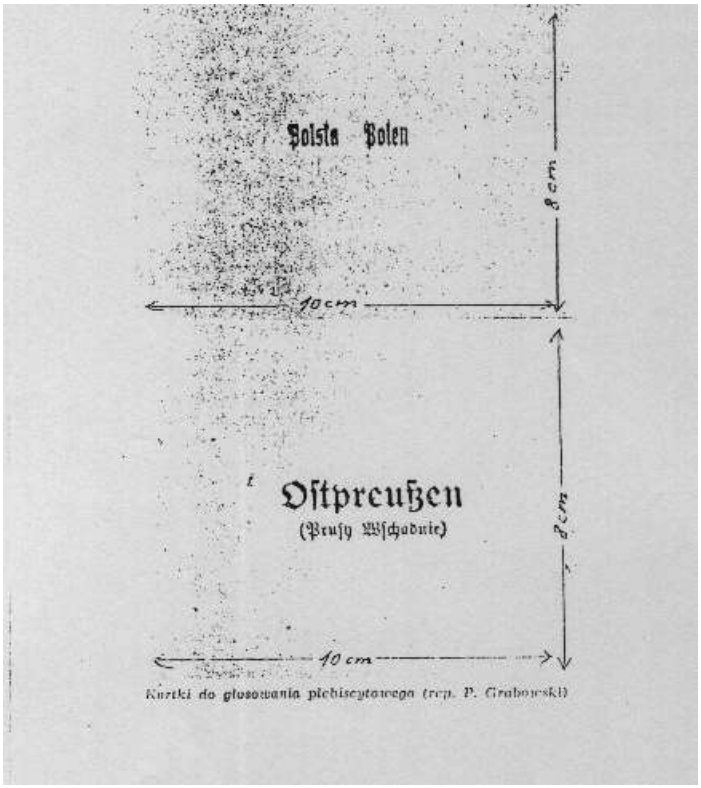

Kartki do głosowania plebiscytowego (reprodukcja P. Grabowski)
U góry: Polska–Polen, na dole Ostpreußen – Prusy Wschodnie

Czytając listy uprawnionych do głosowania dziwi niejednego to, że z listy trzeciej w Prusach Wschodnich i z listy czwartej w Prusach Zachodnich dopuszczono osoby urodzone, ale nie zamieszkujące teren plebiscytowy.

Jak mogło do tego dojść?

Polskie źródła o tym milczą. – Dlaczego?

Dowiadujemy się, że uzasadnienie Polski według punktu trzeciego: „Rodziny polskie z Mazur Prus Wschodnich były przymusowo wysyłane do Westfalii". Strona niemiecka sprytnie to podchwyciła i przekonała Radę Pokojową w Paryżu, że wobec tego ludzie ci powinni mieć prawo głosowania w czasie Plebiscytu. Rada Pokojowa to zatwierdziła. Teraz rozumiemy, dlaczego Polacy o tym milczą. Cichutko i ze wstydem pogodzono się z uchwałą Komisji Pokojowej. Głupi pomysł Przedstawicieli Polski odbił się rykoszetem i jak bumerang uderzył w ich głowy. Konsekwencją tej uchwały było to, że całe transporty (pociągami, okrętami) przychodziły z Niemiec z uprawnionymi do głosowania.

Rozgorzała walka o duszę – przepraszam – o głos Mazura i Warmiaka.

Max Worgitzki, reprezentujący swój wschodnio-pruski naród, wierny ewangelik, wystarczyło, że powiedział jedno zdanie: „Jak dostaniecie się do Polski, musicie stać się katolikami"; albo: „Nigdy do Polski nie należeliśmy i nigdy nie chcemy należeć". To wystarczyło, aby przekonać wyborców.

Polskie Komitety przedstawiały Polskę w świetlanej aureoli, w różnych kolorach. Zapewniali, że w Polsce gospodarczo będą mieli lepiej, bo Prusy Wschodnie będą odcięte od Reichu (przez korytarz) i ludzie Prus Wschodnich zginą z niedostatku (niestety, o żebrakach i złodziejach w Działdowszczyźnie już słyszeli, jak tam Mazurzy mają „dobrze"). Zapewniali też, że w Polsce jest lepszy ład i porządek, „śmiech na sali".

Biskup dr Juliusz Bursche zapewniał, że ewangeliccy Mazurzy nareszcie dostaną polskich pastorów, głoszących Słowo Boże w języku polskim. A o aresztowaniach ewangelickiego księdza Helda w Narzymiu, powiat Działdowo, władającego pięknym językiem mazurskim-polskim również bardzo dobrze wiedziano w Prusach Wschodnich. A któż w tym czasie pragnął w Kościele ewangelickim języka polskiego? Z Brodowa na pewno mój Ojciec, stary Kantorek i kilku staruszków. Młoda generacja uczęszczała (i w powiecie działdowskim) na nabożeństwa niemieckie, aczkolwiek w domu rozmawiano po mazursku.

Biskup Bursche, chcąc przekonać Mazurów, powinien im powiedzieć prawdę o Kościele ewangelickim w Polsce, że ma 4 razy więcej parafii z językiem niemieckim niż polskim. To byłoby bardziej zachęcające, bo przecież parafie ewangelickie w Polsce były przede wszystkim tam, gdzie mieszkali Niemcy[74].

Dlaczego tego nie powiedział? Dlaczego nie powiedział, że i jego Polacy uważają za Niemca. A inni pastorzy Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, jak: Sues[75], Bartel, Gloeh, Kleinschmidt, Michelis, Trenkler, Otello, Gastpary, Lodwich i cała falanga innych – to też Polacy? Choćbyście nosili tablicę rejestracyjną na szyi i na d... z napisem: „Ja, Polak" – to i tak w Polsce uważać was będą za szwabów tak, jak i zawsze kościoły nazywają „Kirchą". – Chcę przez to powiedzieć, że cała akcja biskupa Burschego w czasie Plebiscytu „psu na buty się nie przydała". Z przykrością trzeba stwierdzić, że biskup Bursche nie apelował do Mazurów jako herold protestantyzmu, lecz jako patriota polski. A to niestety nie trafiało do serca Mazura.

Strona polska, zaangażowana w akcji plebiscytowej, chcąc zdobyć fundusze, bajali społeczeństwo w Polsce, że „Mazurzy to Polacy z krwi i kości", że „gwałtem ich zrobiono protestantami", że „Mazurzy są chorzy, źle się czują jako ewangelicy, a wyzdrowieć mogą jedynie w atmosferze polskiej" itp. bzdury.

Mazurski Związek Ludowy z Fr. Leykiem na czele postulował w swoim programie (na wypadek przyłączenia Prus Wschodnich do Polski) utworzenie mazurskiego województwa z daleko idącą autonomią (pkt. 3). Ale i ta myśl nie chwytała Mazurów za serce. Zresztą Fr. Leyk będąc w Warszawie ubolewał: „Zauważyliśmy słabe zainteresowanie sprawą plebiscytową wśród miarodajnych czynników rządowych. Spotkaliśmy się z odmową przyjęcia naszej delegacji ze strony marszałka Piłsudskiego". Widocznie Fr. Leyk nie znał poglądu Piłsudskiego na te sprawy i na pewno nie znał jego powiedzenia: „Do domu wariatów należą ci, którzy wierzą, że Wschodnioprusacy będą kiedykolwiek skłonni dać się ostemplować jako Polacy".

---

[74] „Koloniści".
[75] Süss.

Wojna Polski z Rosją Bolszewicką, której Armia Czerwona przed Plebiscytem przeszła przez Działdowszczyznę, oraz złe wiadomości o położeniu Mazurów w powiecie działdowskim po jego przyłączeniu do Polski, znacznie ujemnie wpływały na polską akcję plebiscytową, jak również brak funduszów.

Obie strony starały się podważyć argumenty przeciwnika. Obie strony przeszkadzały przeciwnikowi w urządzaniu zebrań. Obie strony zmuszone były do organizowania straży ochronnej, zapewniającej bezpieczeństwo agitatorom-mówcom. Straże ochronne nazywano po prostu „bojówkami". Strona niemiecka nie miała żadnej trudności, aby w każdej miejscowości mieć z miejscowych mieszkańców straż ochronną.

Natomiast Komitety Polskie musiały zdobywać „krzyżowców", płatnych „rycerzy" najemnych z innych terenów Polski, głównie katolików z Wielkopolski. Niestety, nie byli to wojacy godni równać się z dawnymi rycerzami Zakonu Krzyżackiego. Czytamy, jak „bojówki polskie" razem z agitatorami tylko ucieczką ratowali swoją, często poturbowaną skórę.

Wreszcie nadszedł dzień głosowania 11.07.1920 roku.

W lokalach wyborczych zawrzało jak w ulu. Sprawdzano kartki do głosowania przez mierzenie wymiarów (10x8), czy czasami nie są fałszywe. Kartkę do głosowania musiał każdy zdobyć od swoich agitatorów.

Wynik głosowania był dla Polski klęską. Tylko 3 wioski: Małe Tarpy, Lubsztynek i Groszki, blisko powiatu lubawskiego, przypadły do Polski. Szczegółowy wynik głosowania znajduje się na tabeli na dalszej stronie.

Plebiscyt dał odpowiedź na pytanie: Mazur i Warmiak to Polak czy Niemiec?

Klęska plebiscytowa Polski stworzyła bardzo niebezpieczną sytuację dla agitatorów akcji polskiej. Oczywiście, płatni agitatorzy z terenów Polski, nie czekając na wyniki, uciekli „gdzie pieprz rośnie". Ale co mają robić agitatorzy – rodowici Mazurzy? I oni musieli nawiewać do Polski, przynajmniej niektórzy z nich, jak: Friedrich Leyk, Gustaw Leyding, Bocian, Jan Jagiełłko-Jaegeral, Lipert, Sczech...

Odważniejsi pozostali: Labusch Gottlieb (jun.), zmarł 3.10.1976 r. w Reszlu (Rößel); Labusch Emilia, córka Bogumiła (sen.), zmarła 11.07.1948 roku w Hosenbarku; Gottlieb z małżonką, zamordowani w 1945 roku, przypuszczalnie przez bandę szabrowników; Michał Kayka, poeta mazurski, którego pomnik stoi w Ełku, zmarł 22.09.1940 roku, pochowany w Ogródku, powiat Ełk.

Polacy, po „wyzwoleniu Mazur" (?), uhonorowali polską działalność Kayki białą farbą namalowanym słowem na jego grobie: „Szwab!"

Osobno wspomnieć należy o nieroztropnym bohaterze mazurskim, którym był Gottlieb Linka, zmarły dnia 29.03.1920 roku. Jeszcze przed plebiscytem pobity przez bojówkę niemiecką za to, że za namową ewangelików polskich w Warszawie, pojechał do Paryża z żądaniem przyłączenia Prus Wschodnich do Polski bez plebiscytu. Ale spóźnił się przecież o 9 miesięcy, gdyż Traktat Pokojowy był już podpisany 28.06.1919 roku. Czyż o tym nie wiedzieli ewangelicy Polacy? Aby w ten sposób biednego Mazura wystrychnąć na dudka? W dodatku przypłacił to utratą życia, gdyż zmarł wkrótce po pobiciu na skutek odniesionych ran.

Die Einzeleigebnisse der Volksabstimmung am 11.7.1920

Ostpreußen

	Einwohner zahl am 8.10.1919	Stimm-berechtigte am 11.7.11/20	Abgegebene Stimmen für Ostpreußen	für Polen
Oletzko [1]	40259	32010	2 28625	2
Allenstein Stadt	34731	20160	10742	342
Allenstein Land	57518	41586	31707	4871
Allenstein Land	52403	38964	33817	14
Lötzen	45681	33339	29349	13
Lyck	57414	40440	36529	44
Neidenburg (Teil)	38571	26449	22235	330
Ortelsburg	73719	56389	48207	497
(Osterode	76258	54 256	46 46368	1031
Rößel	49658	39738	33243	758
Sensburg	50789	38736	34332	25
Zusammen	577001	422067	363159	7924

Westpreußen

Marienburg (Teil)		27858	20342	17805 191
Marienwerder (Teil)		40730	31913	256081779
Rosenberg		56057	39630	334951073
Stuhm		39538	29291	199644904
Zusammen		164183	121 176	968957947

Ost- und Westpreußen

Zusammen	741184	543242	460054	15871

In Prozent

Ostpreußen	97,86	2,14
Westpreußen	92,42	-=7,58
Ost- und Westpreußen zusammen		96,66 8,34

Quelle: Die von Preußen abgetretenen Gebiete., bearbeitet vom Preußischen Statistischen Landesamt, Berlin 1922, S. 229.
Die Interalliierte Kommission hat geringfügig höhere Zahlen angegeben, so die Gesamtzahl der für Ostpreußen abgegebenen Stimmen im ostpreußischen Abstimmungsgebiet mit 363 209.
Das Abstimmungsdenkmal in Allenstein trug diese letztere Zahl
Oletzko, später Treuburg, gehörte zum Regierungsbezirk Gumbinnen, die anderen ostpreußischen Kreise zum Regierungsbezirk Allenstein.
Marienburg gehörte zum Regierungsbezirk Danzig, die übrigen westpreußischen Kreise zum Regierungsbezirk Marienwerder

Wyniki referendum[76]

[76] Tytuł tabeli: Rezultat plebiscytu z 11.07.1920 r. w szczegółach.
Dane liczbowe ukazane w działach:
a) Prusy Wschodnie,
b) Prusy Zachodnie,
c) Prusy Wsch. i Zach. Razem,
d) Rezultat w procentach,
e) Przypisy.
Treść przypisów:
Źródło: (Prawdopodobnie książka pt.) *Tereny, które odpadły od Prus.*
Opracowanie: Pruski Urząd Statystyczny w Berlinie, 1922 r. strona 229.
Międzysojusznicza Komisja zawyżyła nieznacznie ogólną liczbę głosów oddanych na rzecz Prus Wschodnich, podając [liczbę] 363 209. Na pomniku plebiscytowym w Olsztynie widnieje ta liczba. Oletzko, później Treuburg, przynależało do regencji Gumbinnen. Pozostałe wschodniopruskie powiaty do regencji Allenstein (Olsztyn). Marienburg (Malbork) zaliczał się do regencji Danzig (Gdańsk), a pozostałe powiaty do regencji Kwidzyń.

Taką zapłatę otrzymali działacze plebiscytowcy – Mazurzy agitujący za Polską, śmierć i tułactwo w Polsce, która – podobno – miała być Ojczyzną. Analizując historyczne wydarzenia plebiscytowe, a zwłaszcza tragedię działaczy mazurskich na rzecz Polski, stawiam pytanie: dlaczego tak się stało?

Osobiście nie wiem, czym kierowali się Mazurzy, agitując i głosując za Polską. Sądzę, że żyjąc tradycją języka mazurskiego uważali może, że Mazur a Polak jest to samo. A działacze i agitatorzy mazurscy, nie znając przede wszystkim prymitywno-fanatycznego katolicyzmu polskiego, ulegli propagandzie polskiej. Przez to samo odseparowali się od większości społeczeństwa Prus Wschodnich. Wobec tego nie można mówić, że działacze mazurscy, agitujący za Polską, reprezentowali wolę ludu mazurskiego. Byli po prostu narzędziem obcej sprawy.

Prawdziwym reprezentantem ludu mazurskiego był prymitywny człowieczek imieniem Worgitzki Max. Worgitzki dobrze przewidywał, co spotkałoby Mazurów, gdyby dostali się w orbitę katolicyzmu w Polsce. Dlatego lud mazurski usłuchał głosu Maxa Worgitzkiego, a nie Friedricha Leyka, Labuschów, Leydingów, ani biskupa Juliusza Burszego.

Należy dziwić się, dlaczego działacze mazurscy nie podchwycili myśli, którą wyrażała kartka do głosowania: „Polen – oder Ostpreussen”[77]. Wprawdzie Friedrich Leyk postulował jak najdalej idącą autonomię, ale dlaczego nie posunął się trochę dalej? Dlaczego nie wołał głośno: „Prusy Wschodnie!”[78] – jako państwo niepodległe, niezależne.

Jeżeli bowiem Traktatowcy Wersalscy wymyślili taką formułę „Polska – albo Prusy Wschodnie”, to chyba można było się domyślać, że państwom ościennym, jak Francji, Anglii, Rosji, byłoby na rękę mieć Prusy Wschodnie jako oddzielne państwo, a nie bastion wypadowy nowej Republiki Niemieckiej. Z pewnością i Polsce takie rozwiązanie byłoby na rękę. Dlaczego u Fr. Leyka nie obudził się „Moorgeist Prusów”? Dlaczego nie konferował na ten temat z rodakiem Maxem Worgitzkim albo Freiherrem von Gaylem? Prezydentura Prus Wschodnich na pewno imponowałaby Gaylowi, a Worgitzkiemu Landratura w Neidenburgu.

Niestety, zaprzepaszczono ideę „wzbudzenia” Państwa Prusów – nowej Republiki Bałtyckiej.

Szkoda, że w Prusach Wschodnich brakowało wtedy takich roztropnych, mądrych i dzielnych ludzi, jak pastor Emil Hegemann, który z pomocą nadleśniczego i sołtysa ogłosił w 1919 roku swoją parafię w Schwenten, Kreis Wollstein[79], niepodległą „Republiką Schwenten”. Trochę dziwna, nawet śmieszna rzecz, ale prawdziwa. – Jak to było?

W 1918 i 1919 roku toczyły się w Poznańskiem walki wyzwoleńcze[80]. Po stronie polskiej walczyły jednostki powstańcze, które starały się wydrzeć Niemcom jak najwięcej ziemi, po drugiej stronie wojsko „Grenzschutzu” broniło każdej piędzi swego „Heimatu”. Na terenie walczących stron znajdowała się parafia Święte[81], której mieszkańcy nie chcieli, aby na ich ziemi rozgrywała się walka.

Po prostu chcieli mieć spokój. Parafia liczyła 3 tysiące mieszkańców, po połowie ewangelików i katolików. Pastorem parafii ewangelickiej był młody, energiczny, 48-letni ksiądz Emil Hegemann. Gdy walki w okolicy się rozpoczęły, Hegemann skontaktował się

[77] Polska albo Prusy Wschodnie.
[78] Ostpreussen.
[79] Schwenten.
[80] „Powstania Wielkopolskie”.
[81] Święte, powiat Wolsztyn, woj. Poznańskie.

z nadleśniczym i sołtysem i razem ogłosili swoją gminę „Republiką”. Swoją decyzję przedstawili stronie polskiej i niemieckiemu Grenzschutzowi, oświadczając, iż Republika Święte postanawia być neutralna do chwili uregulowania spraw granicznych przez Traktat Pokojowy. Obie strony walczące poważnie honorowały „Niepodległą Republikę Święte”, nie naruszając jej granic. W Republice panował spokój i porządek. Pastor Hegemann był Premierem[82], jednocześnie Ministrem Spraw Zagranicznych. Nadleśniczy był Ministrem Obrony[83] i głównym dowódcą naprędce zorganizowanej Milicji Obywatelskiej[84], Sołtys był Ministrem Spraw Wewnętrznych[85]. Republika Święte przestała istnieć z dniem 10 stycznia 1920 roku, bowiem jej obszar pozostał przy Rzeszy Niemieckiej. Czy postawiono im pomnik, tego nie wiem, ale dosyć na tym, że zanotowano o nich i o ich „Republice”.

Szkoda, że o tym nie wiedział sołtys Wallesch z Uzdowa, powiat Działdowo. Zamiast przyłączyć Uzdowo do Polski, mógł ogłosić „Republikę Uzdowską”, stając się „Ministerpräsidentem”. Na pewno by tego nie żałował, albowiem bardzo żałował, że spowodował przyłączenia Uzdowa do Polski bez plebiscytu. Jaka szkoda, że Leykowie, Leydingowie, Labuszowie, Linkowie, Jaegertalowie i jak się oni działacze mazurscy nazywali nie byli tej miary, co wspomniany pastor Hegemann z jego wspólnikami.

Niemcy Plebiscyt wygrali, natomiast Wschodnioprusacy razem z działaczami mazurskimi sromotnie go przegrali, co ujemnie odbije się na przyszłych losach Prus Wschodnich. Ostpreusacy z Mazurami przede wszystkim przespali wspaniałą okazję proklamowania niepodległego państwa Starych Prusów – Republiki Prus Wschodnich, po prostu Ostpreussen.

Die Abstimmung in Zahlen.

Nach den Angaben der interalliierten Kommission.

Kreis	Anzahl der einzelnen Abstimmungsberechtigten				Anzahl der Gemeinden, die stimmen für		Anzahl der abgegebenen Stimmen für		Anzahl der ungültigen Stimmen	Gesamtzahl der Stimmen
	Liste I*	Liste II**	Liste III***	Zusammen	Ostpreußen	Polen	Ostpreußen	Polen		
Oletzko+	18957	13053		32010	121		28625	2	23	28650
Lötzen	19720	13652	2312	35684	116		29378	9	14	29401
Rössel	22786	16673	1900	41359	117	1	35252	758	29	36039
Allenstein (Stadt)	13848	3900	2412	20160	1		16742	342	54	17138
Osterode	29432	20605	4261	54298	244	4	46385	1043	54	47482
Johannisburg+	24561	13831		38392	198		34036	14	19	34069
Allenstein (Land)	25616	14295	1460	41371	179	3	31486	4902	185	36573
Sensburg	23416	14431	960	38807	190		34334	25	13	34372
Neidenburg	14481	10830	1298	26609	142	1	22233	330	37	22600
					eine Gemeinde mit gleichen Stimmen					
Ortelsburg	32517	22630	1164	56311	197		48204	511	65	48780
Lyck	25370	13528	1406	40304	190		36534	44	33	36611
Insgesamt:	250704	157428	17173	425305	1695	9	363209	7980	526	371715

Tabela zawiera dane liczbowe o plebiscycie (na podstawie materiałów Komisji Międzysojuszniczej)

[82] Ministerpräsident.
[83] Kriegsminister.
[84] Befehlshabender der Bürgerwehr.
[85] Minister des Innern.

Komisarz Rzeszy i Państwa, baron von Gayl, ze swoim sztabem

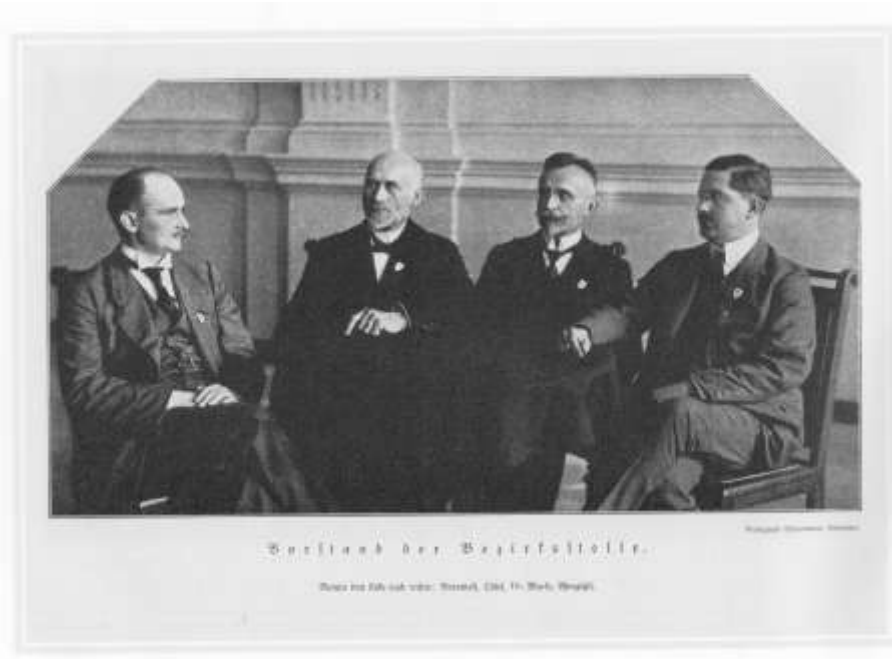

Zarząd placówki okręgowej. Nazwiska z lewej: Borowski, Thiel, Dr Marks, Worgitzki

Kierownicy placówek powiatowych.
Nazwiska od lewej, stoją: Rathke – powiat Ełk, Langecker – powiat Mrągowo, Funk – powiat Olsztyn-Miasto, Ehlert – powiat Giżycko, Bunnemann – powiat Szczytno, Schymanski – powiat Ostróda; siedząc: Hesse – powiat Nidzica, Buchholz – powiat Olecko, Panna Lehmann – powiat Reszel, Worgitzki – powiat Olsztyn Wieś, von Lojewski – powiat Pisz

Okręgowa placówka wschodnio-niemieckiego aktywu ojczyźnianego w Olsztynie
Nazwiska od lewej, stoją: Dr Czwalina, Eichler, Marschallek, Dr Zellfelder, Schmidt, Schulz, Ger, Stephan, Hausmann, Sanick, Neumann, Dr Noehl, Steffen, Leckzyck, Dr Trunz; Siedząc: Funk, Dr Marks, Thiel, Dieball, Worgitzki, Danehl, Borowski, Zülch, von Jerin

Dom Niemiecki w Olsztynie
Kwatera główna aktywu ojczyźnianego w trakcie tygodnia plebiscytu

Dom Polski
Polska kwatera główna w Olsztynie
Uzbrojenie polskich oddziałów szturmowych (bojówek)

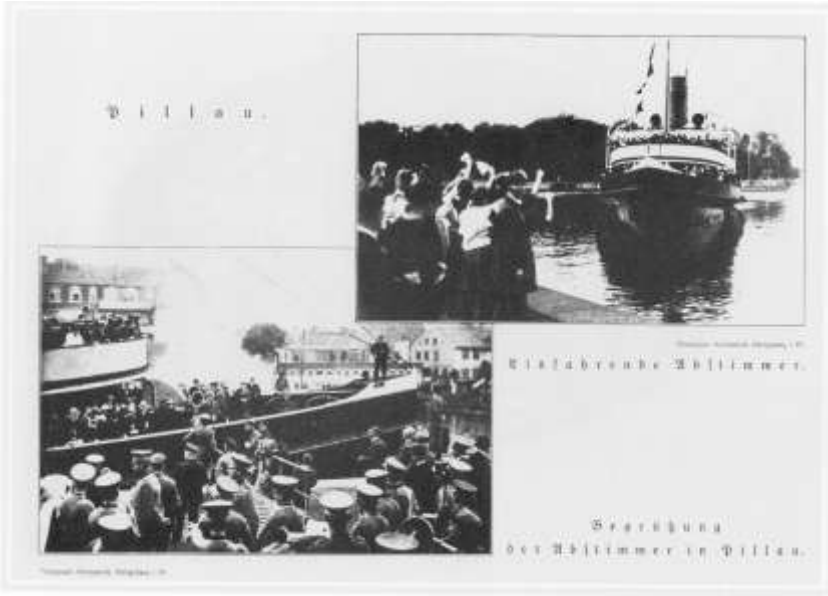

Pillau (obecnie Baltijsk) – przybywający uczestnicy plebiscytu.
Powitanie przybywających do Pillau

Dzień Niemiecki w Ełku
Ełk – przed lokalem wyborczym
Sportowcy w uroczystym pochodzie

Nidzica w tygodniu plebiscytowym
Przed lokalem plebiscytowym – sprawdzanie wymiarów kartek wyborczych w lokalu wyborczym

Powiat Olsztyn
Wioska warmińska udekorowana na powitanie głosujących

Dzień Niemiecki w Ostródzie
Brama honorowa na rynku

Nidzica w tygodniu plebiscytowym
Brama honorowa na rynku

Olsztyn – służba pomocnicza biura rejestracji na dworcu

Nidzica w tygodniu plebiscytowym – dworzec/ rzut oka na miasto

Szczytno w tygodniu plebiscytowym
Brama honorowa na rynku / widok na rynek (odbudowa)

Pisz w tygodniu plebiscytowym
Brama honorowa

Przekazanie terytorium plebiscytowego przez Międzysojuszniczą Komisję
w sali plenarnej rządu w Olsztynie
Nazwiska: von Oppen – premier; (1) baron von Gayl – komisarz Rzeszy; (2) Renni – Anglia; (3) Chevalley – Francja; (4) Frascalsi – Włochy; (5) Morumo – Japonia

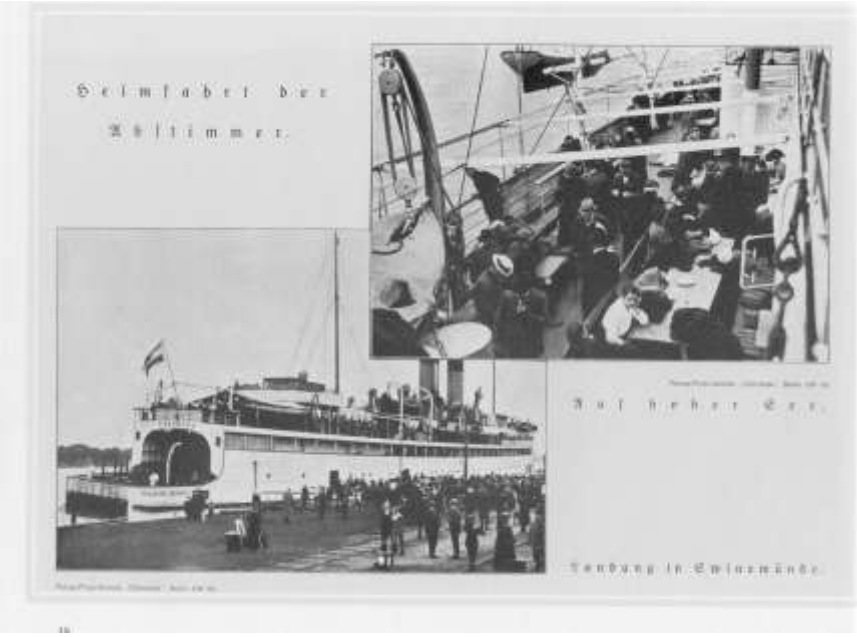

Powrót do domu głosujących przybyłych na plebiscyt
Na pełnym morzu / Statek przycumował w Świnoujściu

Samo hasło plebiscytowe do głosowania: „Polen–Ostpreussen”[86] podsuwało tę myśl. Po drugie, państwom sprzymierzonym zależało na osłabieniu i okrojeniu terenowym Niemiec. Trzeba było wtedy tylko ruszyć mózgami, a nie bojówkami uzbrojonymi w kije i pały.

Z pewnością powstanie odrębnego państwa jako część przegranego Państwa Niemieckiego odpowiadałoby Francji, Anglii, Rosji i chyba też Polsce. Skoro po I wojnie światowej mogły powstać takie państwa, jak: Litwa, Łotwa, Estonia, wcale nie większe od Prus Wschodnich, to dlaczego nie mogłoby „zmartwychwstać” niepodległe Państwo Prusów – Prusy Wschodnie?

Myślę, że zupełnie inaczej potoczyłyby się przyszłe losy Prus Wschodnich. W 1939 roku mogłyby nie przystąpić do wojny, w 1945 roku byłyby Sowiecką Republiką; a w 1990 roku znów Niepodległą Republiką Prus Wschodnich. Jednak do tego nie doszło. Okazało się bowiem, że Wschodnioprusacy z Freiherem von Gaylem na czele i Mazurzy ze swoimi agitatorami byli jedynie najemnikami obcych interesów, które tragicznie zaważyły na klęsce i losie Prus Wschodnich razem z ludem mazurskim w 1945 roku.

15
Działdowszczyzna w Polsce

Po plebiscycie umysły ludzkie ostygły. Niemcy wygrali. Polska sromotnie przegrała, uzyskując zaledwie ok. 2 % głosów. Mazurzy Prus Wschodnich razem z Niemcami zaczęli stawiać pomniki na cześć zwycięstwa nad Polakami. Ażeby pomnikom w przyszłości nie było za gorąco, to przy pomniku sadzono pamiątkowy dąb. Z czasem rzeczywiście ochładzał swoim cieniem dawną gorączkę plebiscytową.

W Brodowie i u nas w domu pogodzono się z faktem, że Działdowszczyzna pozostaje przy Polsce. Oczywiście, Ojciec nie zrezygnował z zamiaru przeniesienia się do Prus Wschodnich. Ale na to w tym czasie nie było czasu, bo żniwo zaprzątało nasze myśli.

Nagle pewnego dnia wpada na nasze podwórko dwóch konnych jeźdźców, ale tak dziwacznie ubranych, że nie przypuszczaliśmy, iż to są bolszewicy. Obaj byli bez butów, jeden miał na głowie damski kapelusz z dużym rondem, drugi też jakieś nakrycie głowy, ubiór cywilny byle jaki, bez marynarek. Nie zatrzymali się wcale, nie zwalniając galopu zakręcili i popędzili z powrotem na wieś. Domyśliliśmy się, że był to patrol, stwierdzający, czy nie ma Polaków – Piłsudczyków. Rzeczywiście, Polaków w Brodowie nie było. Mimo wszystko, strach przeleciał po nas. Bo lada chwila bolszewiki mogą wpaść i robić „brankę” na Sybir. Tego bano się bardzo. Starsi moi bracia: August, Jan, Emil, czmychnęli przez granicę do Mareńskiego Gustawa, kuzyna w Krokowie, aby przeczekać niebezpieczeństwo. A Ojciec z pomocą pozostałych członków rodziny przygotował 2 wozy drabiniaste do ucieczki.

Uciekliśmy tylko na łąki, „za gaj”, ale na stronę pruską, za rzekę Działdówkę. W oddali słychać było strzały. Zostaliśmy na noc. A tu nagle nadeszła burza. Błyskawice raz po raz przeszywały strachem nasze ciała. Przed deszczem tuliliśmy się, jak na to pozwalały

[86] Polska – Prusy Wschodnie.

warunki, bo wozy nie były tak przygotowane, jak w 1914 roku, w czasie wojny, były bez bud. Od czasu do czasu ktoś podchodził do wsi, aby dowiedzieć się, co tam się dzieje. Rano nadeszła wiadomość, że we wsi jest spokój, więc hyżo do domu. W domu, za stodołą, obserwowaliśmy, czy bolszewicy idą. Owszem, szli, ale szosą z Iłowa do Działdowa, Brodowo pozostawało na boku.

Więcej nie uciekaliśmy, ale bracia z Prus nie wracali, bo się bali, aby ich jedna bolszewicka albo druga polska armia nie zagarnęła. Tylko brat Karol popadł z podwodą w bolszewickie ręce, ale tylko na krótko, bo udało mu się uciec. Bolszewicy parli naprzód. Przeszli Działdowo, Lidzbark, szli na Lubawę. Gdzieś tam się potknęli. Polacy część ich armii otoczyli, musieli się ratować ucieczką do Prus Wschodnich, gdzie byli internowani, reszta się wycofała.

Wreszcie Piłsudzki przegonił bolszewików pod Warszawą.

Och, przepraszam. To nie strategia Piłsudskiego pokonała bolszewików, bo był przecież „Cud nad Wisłą": Klęskę bolszewikom dnia 15 lipca 1920 roku zadała „Czarna Madonna", a nie armia Piłsudskiego. I dlatego rokrocznie obchodzono w Polsce 15 lipca święto „Cudu nad Wisłą", mimo iż walka toczyła się 17/18 lipca. Ale co dla Polaków-katolików znaczy ścisłość historyczna. Dzień 15 lipca jest dniem-świętem maryjnym, a zatem „Cud nad Wisłą" był w dniu maryjnym, a nie w dniu Piłsudskiego. Tego uczyły się wszystkie dzieci i młodzież w Polsce. Tak samo uczyły się tego, że obraz „Czarnej Madonny" w 1655 roku przepędził Szwedów, oblegających klasztor w Częstochowie. To był cud nad cudami. „Jasna Góra", na której stoi klasztor z obrazem „Czarnej Madonny" w świątyni, jest miejscem pielgrzymek, a obraz doznaje specjalnej adoracji. Dawniej „Czarna Madonna" na obrazie podobno roniła łzy, ba, nawet krwawe: cud, cud![87]

Na temat obrony Częstochowy wypowiada się pisarz polski Olgierd Górka w *Legenda a rzeczywistość obrony Częstochowy w 1655 r.* (Warszawa 1957), pisząc: „Wbrew bowiem legendzie czy tradycji, przyswojonej także przez *Potop* Henryka Sienkiewicza, w czasie oblężenia czy blokady Jasnej Góry w roku 1655 obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nie znajdował się w klasztorze[88], co zresztą podaje sam Kordecki" (s. 61). „Niemiecko-polska zbieranina oddziałów pod Częstochową przy dokładnej znajomości personaliów wszystkich dowódców wykazuje nawet udział najemników czeskich, ale nie odnajdujemy tam nikogo, komu by można przypisać szwedzkie pochodzenie. Jest przy tym oczywiste, że większość oblegających czy blokujących Częstochowę w nadziei łupów, to katolicy łącznie z księciem heskim" (s. 72). Nuncjusz Andrzej Leszczyński w odezwie do narodu mówi: „Bóg najłaskawszy w braku ludzkich środków i pomocy, ukarawszy nas za grzechy nasze, chce nam wreszcie łaskawe swoje miłosierdzie okazać przez Tatarów i Kozaków", „Chan Tatarski Mehmed Girej z Tatarami śpieszy z pomocą królowi polskiemu Janowi Kazimierzowi w oswobodzeniu Częstochowy w 1655 roku" (s. 155). Rok później – 1656, Tatarzy pod wodzą hetmana Gąsiewskiego napadają Prusy Wschodnie, o czym śpiewali Mazurzy pieśnią Kancjonału Nr 740.

Ale wróćmy do Brodowa.

Po przyłączeniu Brodowa do Polski skończyła się w szkole nauka po niemiecku. Nauczyciele niemieccy wyprowadzili się do Prus, ostatni wyjechał Rajzig. Zaraz nie było nauczyciela. Potem dochodził nauczyciel z czasów niemieckich ze wsi Sochy czy Dźwierzni,

[87] W 1937 roku zwiedzałem świątynię w Częstochowie, ale „Czarna Madonna" nie roniła łez.
[88] Wywieziony był do Głogowa.

umiejący – powiedzmy teraz – po polsku. Nazywał się Kelch (może kiedyś nazywał się Kielich). Uczył i nie uczył, zależało od pogody. Nazywaliśmy go szewcem, bo miał zwyczaj siadać na róg katedry[89], zakładał nogę na nogę, zwijał dłonie w pięść, kładł jedną pięść na kolano, drugą bił jak szewc w kopyto.

Po Kelchu dochodził nauczyciel Wróbel, który pozostał w Polsce chyba dlatego, że miał żonę Polkę, katoliczkę. On to namówił mego brata Karola, by poszedł na nauczyciela. Brat dał się namówić i razem z Konstantym Krzemieniewskim poszli do Działdowa na kurs nauczycielski. Po czterech miesiącach byli nauczycielami, z tym, że będą się dokształcać na dalszych kursach. Krzemieniewski był moim ostatnim nauczycielem. Ale nie pamiętam, czy dostaliśmy świadectwo ukończenia szkoły podstawowej. Skoro tak się stało, że Karol został nauczycielem[90], to zmieniła się całkowicie orientacja w domu. Ojciec zaprzestał szukania gospodarstwa w Prusach Wschodnich na zamianę, bo odpowiedniego i tak nie mógł znaleźć.

Ponieważ było nas sporo w domu, więc każdy musiał myśleć o zdobyciu zawodu. Jedno było pewne, że na gospodarstwie pozostanie Jan. August wybrał zawód rzeźnika i poszedł w „termin" do Żbikowskiego w Działdowie. Emil poszedł uczyć się za piekarza do Kulbackiego. Marta pojechała do Berlina, potem do Więcborka uczyć się gospodarstwa domowego. Najstarszy brat, Wilhelm, który był już wyedukowany w fachu rzeźniczym, zdobytym w Berlinie, dnia 30 marca 1921 roku ożenił się z Amalią-Otylią Heyn z Brodowa i razem założyli rzeźnictwo na miejscu Żbikowskiego w Działdowie przy rynku. Interes szedł im dobrze. Każdej niedzieli przywoził nam kosz wędlin, a najsmaczniejsza była „knobloszka"[91], bo była bardzo soczysta. Jeszcze w tej chwili czuję jej smak. Dziś nie znajdziesz jej nigdzie. Brat mówił, że to najtańsza „woszta"[92], ale nam bardzo smakowała.

No, a kim ja miałem być? Zastanawiałem się nad wyborem: albo fryzjerem, albo kelnerem. Ojciec już rozmawiał z mistrzem fryzjerskim w Działdowie; niestety jego nazwiska zapomniałem. Kuzyn Adolf Mallek miał również zakład fryzjerski w Niborku, ale tam wychodziłoby drożej. Niestety, ani fryzjerem, ani kelnerem nie zostałem. Bo oto pod koniec 1921 roku w Działdowie ks. Ewald Lodwich zorganizował Państwowe Seminarium Nauczycielskie, będąc pierwszym jego dyrektorem. Celem założenia Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie było werbowanie młodzieży spośród miejscowej ludności, to znaczy Mazurów. Ponieważ władze szkolne miały już jednego Małłka w ręku, więc namawiano mego Ojca, aby ostatnich dwóch synów dał do tegoż Seminarium. Wprawdzie Robert chodził jeszcze do podstawówki, ale ja byłem już po jej ukończeniu. Ale gdzież tam; ja nie chciałem tam pójść i Ojciec też nie był zdecydowany, aby mnie namawiać. Ale dyrektor Lodwich i profesor Kożusznik, obaj ewangelicy, „kuli żelazo" tak długo, aż Ojca przekonali. Ja wciąż opierałem się i nie chciałem pójść.

W międzyczasie zostałem konfirmowany w Ewangelickim Kościele w Narzymiu przez ks. Helda. Jakiż on był wysoki, a chudziutki jak tyczka. Był bardzo ostry. Za naukę nie bił, ale za rozrabianie lał po tyłku. Między konfirmandami z Narzymia i Brodowa był antagonizm. Po nauce konfirmacyjnej tworzyły się dwa walczące przeciwko sobie fronty, uzbrojone w kamienie i proce. Czasami narzymiacy przepędzali nas aż do Brodowa, gdzie

[89] Stołu.
[90] W Purgałkach.
[91] Wędlina z czosnkiem.
[92] Kiełbasa.

musieliśmy szukać pomocy u starszych. Ale najczęściej była walka pozycyjna, która kończyła się dopiero wtedy, gdy dostał ktoś kamieniem w łeb i popłynęła krew. Wtedy każda strona ulatniała się do domu. Każda taka „bitwa" doszła do wiadomości księdza Helda. Na następnej lekcji konfirmacyjnej ksiądz wołał do siebie głównych winowajców ostatniej bitwy. Przeważnie było ich trzech lub czterech. Przed wejściem do plebanii od strony podwórka stała ława bez poręczy i oparcia. Ksiądz do delikwentów powiada: kłaść się! Z ociąganiem, kładą się wszyscy razem, bo taka była procedura. Wtedy dłuższą rózgą lał po tyłku wszystkich naraz. Na lekcjach był bardzo wymagający, ale przez to dużo nas nauczył. Lekcje konfirmacyjne odbywały się 2 razy w tygodniu: wtorki i piątki przed południem w ciągu dwóch lat: od 12. do 14. roku życia. W te dni nie uczęszczaliśmy do szkoły.

W 1921 roku nie poszedłem do Seminarium Nauczycielskiego. Ale w czasie ferii świątecznych Bożego Narodzenia przypuszczono na mnie szturm. Ojciec przyobiecał, że po feriach świątecznych, czyli w styczniu 1922 roku, zawiezie mnie do Działdowa. Rodzice nastrajali mnie, abym się nie bał. Byliśmy wychowani w pełni skromności i każdą zmianę przeżywaliśmy z obawą i powątpiewaniem.

16
Do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie

Któregoś dnia po Trzech Królach 1922 roku Ojciec z Mateczką zbierają dziatwę. Kto był w domu, rozdaje *Kancynale*, śpiewamy wybraną pieśń, potem Ojciec zmawiał modlitwę, znów śpiewamy inną pieśń. Po pieśni Ojciec każe mi klęknąć, kładzie swoje dłonie na mojej głowie i błogosławił:

Niech ci błogosławi Pan i niechaj cię strzeże;
Niech rozjaśni Pan oblicze swoje nad tobą i niech ci miłościw będzie;
Niech obróci Pan twarz swoją ku tobie i niech ci da pokój,
– kończąc słowami: „Idź synu w świat, a Pan Bóg niech Cię prowadzi".

Taką ceremonią, posługując się słowami Pisma Świętego (4 Mojż. 6,24-26), wyprowadził mnie, podobnie jak innych rodzeństwa, z domu. Wsiedliśmy na wóz i poturlaliśmy się do Działdowa.

Umieszczono mnie w internacie, w budynku narożnym między Retkowskim a Żbikowskim na I piętrze, z widokiem na Rynek. Lekcje odbywały się w narożnym budynku przy ruinach kościoła ewangelickiego. A kancelaria i sala (pokój) gimnastyczna mieściły się w części starej plebanii. Plac kościelny był placem szkolnym. W pierwszych dniach uczęszczałem na lekcje I-go kursu. (Rok szkolny nazywano kursem.) Pierwszymi wykładowcami byli następujący profesorowie: dyr. Lodwich, prof. Robert Kożusznik, Jan Sikora, Paweł Sikora. Wszyscy to ewangelicy ze Śląska Cieszyńskiego, prócz Lodwicha, który pochodził z Siedlec. Większość uczniów, czy raczej studentów, to byli Niemcy z Kongresówki (koloniści), ewangelicy. Co do wieku, różnice były duże, niektórzy „koledzy", jak: Kannenberg, Spychowski, byli grubo po dwudziestce. Ja byłem najmłodszy, czułem się wśród nich jak dziecko. Nie miałem też odpowiedniego przygotowania naukowego. Dlatego czułem się źle. Czekałem tylko soboty, aby uciec do domu. I tak też zrobiłem.

Rodzice i rodzeństwo zaciekawieni, pytają: jak ci tam poszło? Dziś powiedziałbym, że byłem „wolnym słuchaczem", ale wtedy nie znałem jeszcze tego uniwersyteckiego określenia. Powiedziałem tylko, że nic nie umiem i więcej tam nie pojadę. Na to rodzice: co, nie chcesz się uczyć? Przecież nie będzie tak źle. Karl dał i daje radę, to i ty też podołasz. Jutro cię odwiozę, powiedział Ojciec, a w tygodniu przyjadę do miasta, to pogadam z dyrektorem. Starałem się Rodziców przekonać, że wolałbym się uczyć za fryzjera. Ale rodzice powiedzieli: skoro mamy zostać w Polsce, to starajcie się być „kimś". Mieli na myśli, abym był urzędnikiem. Na drugi dzień, przy niedzieli popołudniu, zaprzęgnięto konie i, rad nierad, trzeba było wsiąść i pojechaliśmy do Działdowa. Wróciłem do internatu. Na drugi dzień dyrektor pyta mnie: dlaczego nie byłem na nabożeństwie?

Bo dyrektor Ewald Lodwich był jednocześnie pastorem zorganizowanej przez siebie parafii i każdej niedzieli odprawiał nabożeństwo. Do jego parafii należeli ewangelicy-Polacy, którzy osiedlili się w Działdowie, przeważnie urzędnicy i studenci Państwowego Seminarium Nauczycielskiego. Ponieważ wówczas wszystkich ewangelików tej parafii było niewiele, więc każda „dusza" liczona była na „wagę złota". Dyrektor prosił, abym na niedzielę nie jechał do domu, lecz był na nabożeństwie.

W poniedziałek zauważyłem w klasie trzy nowe osoby w moim wieku. Wystraszone, jak ja, a nawet gorzej, bo bardzo słabo mówili po polsku, słabiej ode mnie. To mnie trochę podbudowało. Była to młodzież kolonistów niemieckich z okolic Lipna, Sierpca i innych powiatów centralnej Polski. Z tej grupki nieśmiałych „studentów" utworzono „kurs wstępny", przygotowawczy, z czego się bardzo ucieszyłem, bo pomyślałem, że program nauki będzie łatwiejszy. I tak też było. W ciągu 1922 roku do wakacji przybyło sporo dalszych kolegów i koleżanek, klasa była pełna. Nacisk w nauce na wstępnym kursie położono przede wszystkim na język polski, który prowadził osobiście dyrektor. Dużo było dyktand, czytania, pisania wypracowań.

Muszę jednak wspomnieć, że mimo utworzenia kursu wstępnego, w najbliższą sobotę ja „w nogi" do domu, do Brodowa. Jeszcze nie chciałem wracać do Seminarium. Wciąż siedział mi w głowie „fryzjer". Znów Ojciec odwoził mnie do miasta. Na drugi dzień Dyro znów zwraca się do mnie, ale widzę, że jest już trochę zły: dlaczego poszedłeś do domu? Nie mogłem powiedzieć, że zatęskniłem, bo przecież nie byłem już dzieckiem, a w dodatku w miniony piątek widziałem się z Rodzicami, bo byli na targu i Ojciec rozmawiał z Dyrektorem. Pomyślałem, że pewnie coś uknuli przeciwko mnie. Pewnie tak było, bo Dyro powiedział: jeżeli jeszcze raz tak postąpisz, to dostaniesz „karniaka". Wtedy nie rozumiałem, co to jest „karniak".

Nadeszła następna sobota, nie wiedząc jeszcze, co znaczy „karniak", – czmych! – już jestem w domu. W niedzielę odwozi mnie nie Ojciec, a brat Jan. Z obawą idę na lekcje. Dyrektor podchodzi do mnie i powiada: „ponieważ znów uciekłeś do domu, to dostaniesz karniaka". Pomyślałem: wreszcie dowiem się, co to jest karniak. Dyro uzupełnia swój wyrok: „Dziś zostaniesz godzinę po lekcjach". Och, to z tym „karniakiem" nie jest tak źle, bo w niemieckiej szkole trzeba było się trzymać za dupsko. Mimo wszystko, byłem zawstydzony, że zostałem ukarany. Muszę uogólnić, że i karniak nie zmienił mego postępowania. Jeszcze kilka sobót uciekałem do domu, a w poniedziałki odsiadywałem karniaki, ale za każdym razem po 2 godziny.

W czasie karniaka musiałem przepisywać z książki. W domu uskarżałem się z powodu karniaka. Na co Ojciec delikatnie powiada: „Przez to nauczysz się więcej języka polskie-

go". Z tego wnioskowałem, że Dyro omówił tę metodę z Ojcem. To mnie chyba przestroiło i zaniechałem uciekania do domu. Dziś mogę sobie wyobrazić, co Dyrektor mógł o mnie pomyśleć: „twardy to Mazur". Zresztą, dyrektor Lodwich poznał dobrze Mazurów, bo osobiście brał udział w akcji plebiscytowej na rzecz Polski i co najmniej raz razem z Leykiem dostali po skórze od bojówek niemieckich.

Pomaleńku mój stosunek z Dyrektorem się unormował. Postępy w języku polskim robiłem dobre. Ale pewnego razu Dyrektor omawia dyktando. Nagle pyta mnie: Edward, jak mówicie w domu na bochenek chleba? Odpowiadam wyraźnie „bochenek". To dlaczego napisałeś „buchenek"? No, ja ci to przypomnę przy maturze. (Ale nie przypomniał, bo po dwóch latach zrezygnował z dyrektorstwa. A ja to zdarzenie pamiętam do dziś dnia.) Księdza Lodwicha ceniłem jako gorliwego i zdecydowanego protestanta, aczkolwiek po pewnym czasie, a szczególnie obecnie, jego działalność religijno-kościelną krytykuję.

W Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Działdowie, jak również we wszystkich szkołach w Polsce obowiązywały modlitwy:

– przed lekcjami:

Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze, dodaj nam ochoty i zdolności, aby nauka ta była dla nas z pożytkiem doczesnym i wiecznym przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

– po lekcjach:

Dzięki ci, Boże, za światło tej nauki. Pragniemy, abyśmy nią oświeceni, mogli cię zawsze wielbić i wolę twoją wypełniać na wieki przez Chrystusa Pana naszego, Amen.

17
Walka religijna na Działdowszczyźnie

Ewangelicy Prus Wschodnich należeli do Kościoła Ewangelicko-Unijnego (połączony kościół luterski z kalwińskim), a zatem i my, działdowszczanie, należeliśmy do tego kościoła. Ewangelicy w Polsce należeli do Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. To był kościół luterski. Kalwini tworzyli w Polsce osobny kościół pod nazwą Kościół Ewangelicko-Reformowany.

Po przyłączeniu Poznańskiego, Pomorza, Śląska i Działdowszczyzny do Polski, Kościół Unijny korzystał na podstawie Traktatu Pokojowego na równi z Kościołem Augsburskim z praw konstytucyjnych. Siedzibą Kościoła Unijnego był Poznań z Superintendentem dr. Paulem Blauem na czele. Siedzibą Kościoła Augsburskiego była Warszawa z ówczesnym biskupem dr. Juliuszem Burschem. Biskup Bursche jest znany jako były prezes Komitetu Plebiscytowego w Warszawie, który już wówczas, w wypadku przyłączenia Mazur do Polski, stawiał postulat, że ewangelicy Mazur muszą należeć do Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie. Niestety, życzeniu jego nie stało się zadość. Bowiem Konstytucja Polska z dnia 17 marca 1921 roku gwarantowała wszystkim wyznaniom (związkom wyznaniowym) równouprawnienie. Treść § 114 była mniej więcej taka: „Wyznanie rzymsko-katolickie jako religia większości Narodu Polskiego zajmuje w Pań-

stwie główne miejsce wśród równouprawnionych wyznań". Te same prawa potwierdziła Konstytucja z dnia 24 kwietnia 1935 roku.

Dr Blau, superintendent Kościoła Unijnego, starał się stworzyć między obydwoma Kościołami platformę współpracy. W tym celu udał się do biskupa dr. Burschego w Warszawie. Po wizycie dr Blau stwierdza: „Die Standpunkte, von denen wir ausgingen, waren zu verschieden. Bursche sah alles durch die Brille des polnischen nationalen Fanatikers, während mir die Notwendigkeit ge-geben schien, die Antworten auf die Fragen der Zeit vom Evangelium und Bekenntnis her zu suchen"[93].

Trzeba dodać, że dr Blau reprezentował Kościół Unijny, który posiadał parafie wyłącznie z językiem niemieckim. Tylko na Działdowszczyźnie były parafie dwujęzyczne, niemiecko-mazurskie. Kościół Augsburski zawsze podkreślał i podkreśla słowo „polski", aczkolwiek gruba większość parafii tegoż kościoła w Polsce była niemiecka. Z tych parafii pochodzili moi koledzy i koleżanki Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie, wielu z nich słabo władało językiem polskim.

Dlaczego Augsburczycy w Polsce tak bardzo podkreślają „polskość" swego kościoła? Proste: pastorzy augsburscy, również w grubej większości o nazwiskach niemieckich, chcą być „bardziej papiescy, niż sam papież". Stąd wywodzi się ich „polski" nacjonalizm, który stawiają w pracy kościelnej na pierwszym miejscu, sprawy religijno-kościelne dopiero na miejscu drugim. Dlatego nie dorośli swoim głównym przeciwnikom, Polakom, którzy najpierw są katolikami, a potem dopiero Polakami.

Nie mogąc przeforsować wchłonięcia Kościoła Unijnego w formie ustawy, Kościół Augsburski podjął „podjazdówkę". Zaczął zakładać osobne parafie augsburskie obok unijnych. I tak powstały parafie między innymi w Poznaniu, Toruniu, Grudziądzu, do których należeli prawie wyłącznie ewangelicy z centralnej Polski, a nie miejscowi. Taką parafię augsburską zorganizował w Działdowie ks. Ewald Lodwich, pierwszy dyrektor tamtejszego Państwowego Seminarium Nauczycielskiego, do której należeli przybysze z Polski, przeważnie urzędnicy, no i z obowiązku szkolnego uczniaki Seminarium, także moja „dusza", bez pytania, została tam doliczona. Mało tego, bez pytania wpisano na listę członków mego Ojca oraz sąsiada, Żywca, którego córka Anna z moim bratem Robertem wstąpiła do Seminarium w roku szkolnym 1922/1923.

Superintendentem Kościoła Ewangelicko-Unijnego na powiat Działdowo-Lubawa z siedzibą w Działdowie był ks. Ernst Barczewski, rodowity Mazur pochodzący z powiatu Ełk (Lyck), urodzony 1 marca 1861 roku, zmarł 11 września 1937 roku, pochowany w Działdowie. Pięknie mówił po mazursku. Superintendent Barczewski był jednocześnie pastorem parafii w Działdowie. Nabożeństwa odprawiał: niemieckie o godzinie 9 rano, mazurskie o 11. Był dobrym kaznodzieją i wspaniałym mówcą. Mówił z pamięci, patrząc na ludzi. W czasie jego kazania nikt nie mógł usnąć. Był bardzo szanowany i lubiany. Godnie reprezentował swój Kościół. Nabożeństwa odbywały się w ruinach starego pokrzyżackiego zamku na piętrze, do którego prowadziły dobudowane z zewnątrz drewniane kryte schody.

Superintendent Barczewski był posłem, później senatorem do parlamentu Polskiej Rzeczypospolitej z ramienia partii niemieckiej. Ks. Ewald Lodwich wszczął z superintendentem Barczewskim walkę. Wykorzystywał w tym celu nieświadomych tego, co robił,

[93] Nasze wyjściowe pozycje za bardzo różniły się. Bursche patrzył na wszystko przez okulary fanatyka nacjonalnego. Tymczasem ja uważałem, że odpowiedzi na aktualne kwestie szukać trzeba koniecznie z pozycji Ewangelii i wyznania.

mego Ojca i Żywca. Starał się, aby Barczewskiego pozbawić superintendentury i parafii w Działdowie, a parafie ewagelicko-unijne poddać pod kuratelę Kościoła Augsburskiego w Warszawie, a Lodwich miałby objąć superintendenturę w Działdowie. Gdy o tych machlojkach dowiedzieli się mój Ojciec i Żywiec, natychmiast zerwali wszelki kontakt z ks. Lodwichem.

O większą stawkę, bo o ogólną hegemonię nad Kościołem Unijnym walczył biskup Bursche, chcąc zlikwidować superintendenta dr. Blaua w Poznaniu. Akcja Burschego i Lodwicha „spaliła na panewce". Wygrali Blau i Barczewski, bo za nimi stało prawo konstytucyjne i parafianie. Czy biskup Bursche i ks. Lodwich nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wielką szkodę czynią swoim postępowaniem protestantyzmowi w Polsce? Tacy uczeni teolodzy, jak biskup Bursche i ks. Lodwich, powinni znać i pamiętać słowa wielkiego przeciwnika Reformacji, Stanisława Hozjusza, który w latach 1504–1579, będąc katolickim biskupem Warmii, powiedział: „Bellum haereticum pax est Ecclesiae" (wojna między heretykami jest pokojem dla Kościoła – oczywiście katolickiego).

Trzeba jeszcze dodać, że gdy ks. Lodwichowi nie udało się wypędzić superintendenta Barczewskiego z Działdowa, skierował atak przeciw parafii Narzym, powiat Działdowo, gdzie pastorem był Held. W nikczemnej akcji swojej użył nazwiska mego Ojca i Żywca, członków parafii w Narzymiu. Gdy Ojciec i Żywiec o tym się dowiedzieli, kategorycznie odmówili swego poparcia. Jedynym wynikiem akcji ks. Lodwicha chyba było to, że pastor Held był kilkakrotnie aresztowany, przesłuchiwany, więziony i ostatecznie w 1923 roku wydalony z Polski. Udał się do Prus Wschodnich, gdzie był pastorem w Białej (Bialla), pow. Jańsborg (Pisz). Ks. Ewald Lodwich też musiał Działdowo opuścić. Na tym skończyła się kariera ks. Lodwicha.

Parafianie Kościoła Ewangelicko-Unijnego pozostali wierni swoim duszpasterzom.

Członkami parafii Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Działdowie pozostali wyłącznie ewangelicy z centralnej Polski i ze Śląska Cieszyńskiego. Na miejsce ks. Helda do Narzymia przyszedł ks. Wilk, szwagier nauczyciela Wróbla. W przeciwieństwie do ks. Helda, był to człowiek potężny, otyły, dość wysoki, łagodnego usposobienia.

Trzeba wyjaśnić, że Mazurzy, aczkolwiek w dużej ilości byli „gromadkarzami", to jednak nie tworzyli osobnego wyznania. Byli po prostu wierzącymi członkami Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Chrzty, śluby, konfirmacje odbywały się w kościele. Również umarłych wyprowadzał pastor, w wyjątkowych wypadkach ktoś ze starszych Zboru.

18
Śmierć mego najstarszego brata

Brat Wilhelm-Karl Mallek urodził się 4 stycznia 1896 roku w Brodowie, w domostwie po Mareńskich. Po ukończeniu niemieckiej Szkoły Powszechnej w Brodowie wyjechał do Berlina, by uczyć się na rzeźnika. Tam zdał egzamin na czeladnika i mistrza. W Berlinie pracował do chwili powołania go do wojska w 1917 roku. Brał udział w I wojnie światowej na froncie zachodnim w stopniu szeregowca. Nie dosłużył się krzyża żelaz-

nego („Eisernes Kreuz"), który zdobył brat Karol. Wilim wcześnie dostał się do niewoli angielskiej.

W marcu 1920 roku wrócił do domu do Brodowa. W tym samym roku otworzył rzeźnictwo w Działdowie, przy Rynku, po Żbikowskim (seniorze). Następnego roku, dnia 30 marca 1921 roku, ożenił się z Amalią-Otylią Heyn, córką nieżyjącego gbura, Jana i Amalii z domu Wencławskiej. Po ślubie Wilim razem z Otką (bo tak ją nazywano) prowadzili dobrze prosperujący sklep masarski. Z Wilimem miałem właściwie mało kontaktu, bo byłem 11 lat młodszy od niego. Gdy poszedł do Berlina, ja miałem wtedy 3-4 lata. Dlatego Wilima mało pamiętam z pobytu w domu, w rodzinie. Brat Karol w swoich wspomnieniach przedstawia Wilima jako człowieka bardzo świeckiego, niepobożnego. Nic nie wspomina o tym, o czym ja bardzo dobrze pamiętam.

Zrozumiałe, bo Karol pisał w erze „stalinowskiej" jako „komunista", choć nigdy takim nie był. Ale co się nie robi „dla chleba, panie, dla chleba". W 1922 roku Wilim nagle poważnie zachorował. Na co? Do dziś nie wiem. W domu zasłychnąłem, że chorobę „przywlókł" z angielskiej niewoli. Jako chory leżał w łóżku w dużym pokoju, po prawej stronie, wchodząc do domu po schodach od ulicy, w domu rodzinnym swojej żony, u Heynów, pod opieką Otylki.

Odwiedzając go, zastawałem go zawsze z Biblią w ręku i zawsze mówił o Bogu i Jezusie. A więc ja pamiętam Wilima jako pobożnego człowieka. Ostatni raz, przed przewiezieniem go do szpitala w Niborku, mówił mi znowu o Jezusie, że on wierzy w Jezusa, gdyby nawet umarł, to żyć będzie przez wiarę w Jezusa. Muszę przyznać, że wówczas niewiele rozumiałem z tego, co mi mówił. Siedząc na krawędzi jego łóżka, chcąc już pójść do domu, czule żegnając mnie powiedział: „Eduś, uwierz w Jezusa, uwierz w Jezusa, a będziesz szczęśliwy". Pocałunkiem rozstaliśmy się, a słowa jego wciąż brzmiały mi w uszach. Nigdy ich nie zapomnę. Po operacji nie wrócił do zdrowia. Zmarł w dzień moich urodzin, 16.05.1922 roku. Dziś wiem, że jest u Boga, odkupiony przez Jezusa Chrystusa. Pochowany został na cmentarzu w Niborku. Kroczyłem z całą rodziną za jego trumną, już jako uczeń Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie. Z żalem wspominam mego brata, Wilima.

19
Boże Ciało w Działdowie

Jest czerwiec 1922 roku. Ostatnie dni roku szkolnego. Pół roku mojej edukacji w prawdziwie polskiej szkole, jaką było Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Działdowie. Zapowiadało się, że po skończeniu wstępnego kursu, z nowym rokiem szkolnym 1 września, przejdę do klasy pierwszego kursu. W poznaniu języka polskiego poczyniłem pewne postępy, szczególnie w pisowni, ortografii, bo z mową miałem mniejsze trudności, gdyż mój mazurski język ojczysty był pomostem do polskiego. Czy pół roku polskiej szkoły wpłynęło na ukształtowanie mego poczucia narodowego?

Byłem Polakiem – czy Niemcem?

Polakiem na pewno jeszcze się nie czułem. Ale niemieckość jakby powoli się ulatniała. Utwierdzało się we mnie poczucie odrębności. Na to wpływały okoliczności, związane z Państwowym Seminarium Nauczycielskim, którego celem było werbowanie młodzieży mazurskiej. Profesorowie nie wmawiali mi, że jestem Polakiem. W gazetach pisano o nas jako o Mazurach. Koleżeństwo nazywało mnie Mazurem.

A więc czułem się Mazurem.

Pewnej czerwcowej środy 1922 roku ogłoszono w Seminarium, że jutro, we czwartek mamy wolny dzień od nauki z powodu święta „Bożego Ciała". Z wolnego ucieszyłem się bardzo, ale nie rozumiałem wówczas, co to może być Boże Ciało. Byłem przecież chłopcem ze wsi, poza Brodowem świata nie znałem, o którym można wulgarnie powiedzieć polskim przysłowiem: „W d... był, g... wie". Nigdy nie słyszałem o Bożym Ciele. W religii, z domu i z niemieckiej szkoły byłem dostatecznie wyedukowany. Wiedziałem, że Pan Jezus się narodził, głosił radosną Ewangelię, uzdrawiał chorych, był prześladowany, został ukrzyżowany, pochowany, trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił do nieba. Znałem też Słowo Boże, które mówi: „Boga nikt nie widział, jedynie Syn Człowieczy, Jezus Chrystus, który nam Go objawił" – Jan 1,18.

Więc skąd tu wezmą „Boże Ciało"? Dręczyło mnie to pytanie. W końcu zapytałem któregoś z kolegów, katolików. Czy wiedział, czy nie wiedział, powiedział tylko: „Idź na rynek, to zobaczysz Boże Ciało". Pomyślałem: „Na rynku Boże Ciało"? To mnie bardzo zastanowiło i zdziwiło. Wiedziałem bowiem, że gospodarze przywozili na rynek zwierzęta, drób na sprzedaż, na ubój. Ale żeby na rynku było „Boże Ciało", to przecież niemożliwe. Zaciekawiony wielce, wychodzę na rynek. Skręciłem w lewo, przy sklepie pani Glasmann widzę ustawione brzózki. Podchodzę bliżej, w środku ustawiono ołtarz z obrazem „Matki Boskiej". Ale nie wiem, czy to ta sama z Częstochowy, która przepędziła Szwedów, czy ta, która przegoniła Bolszewików w „Cudzie nad Wisłą". Na ołtarzu pełno kwiatów. Na około unosi się przyjemny zapach brzozy, zmieszany z zapachem kwiatów.

Idę dalej chodnikiem. Po wschodniej stronie rynku, przy sklepie bławatów pana Januszewskiego stoi podobny ołtarz, ale jeszcze piękniejszy. Takiż sam ołtarz po stronie południowej. Bardzo bogaty ołtarz przy sklepie bławatnika Borkowskiego. Czyli razem cztery ołtarze na cztery strony świata. Przed ołtarzami dywany, nad ołtarzami kilimy. Słyszę rozmowę przechodniów: „Jeden przez drugiego wyścigają się, aby postawić jak najpiękniejszy ołtarz". Ale nikt jeszcze nie mówi o „Bożym Ciele". Wreszcie ktoś woła: „Idą z Bożem Ciałem". Wszyscy patrzą w stronę bramy, przez którą wchodzi się na rynek. Słyszę słowo „procesja". Słowo to też mi nic nie mówiło. Byłem dzieckiem „heretyckiej" wioski i heretyckiego powiatu, więc nie znaliśmy ani takich słów, ani takich zwyczajów.

Oddaliłem się i stanąłem przy drukarni pana Makoły. Patrzę, wchodzi na Rynek wspaniały orszak. Na samym przedzie dużo małych dzieci z przedszkola i pierwszych klas szkolnych, w białych strojach z koszykami, z których w takt komendy sypały kwiaty, po których kroczyła procesja. Za dziećmi mężczyźni niosą baldachim. Wszyscy odświętnie ubrani. Pod baldachimem kroczy proboszcz parafii katolickiej w białym stroju z szarfami, które na pewno inaczej się nazywają. Podtrzymywany był przez dwóch najprzedniejszych obywateli miasta. Na wysokości swoich ócz proboszcz niósł misternie rzeźbioną tarczę, chyba ze złota, bo bardzo błyszczała, a z przodu w środku tarczy jakby lusterko w białym kolorze, też błyszczące. Proboszcz, wpatrzony w tarczę, nie widział, co jest przed nim, dlatego musiał być prowadzony, powoli, majestatycznie.

Za baldachimem kroczyła pięknie ubrana młodzież szkolna i pozaszkolna, niosąca różne figury i obrazy, za nimi różne organizacje ze sztandarami i wreszcie tłum śpiewający pieśni kościelne. Orszak skręcił w lewo do wschodniego ołtarza. Widząc, że stojący na chodnikach katolicy klękają, gdy znajdują się na wysokości proboszcza, cofnąłem się głębiej w ulicę. Patrząc na to obrazowo wspaniałe widowisko, słyszę w moich uszach słowa pierwszego przykazania, które jest sprzeczne z tym, co robią i w co wierzą katolicy. Wciąż nie widzę tego „Bożego Ciała". Czoło procesji doszło do pierwszego ołtarza, bogato urządzonego przez kupca Januszewskiego (bogaty bławatnik, wrócił z Ameryki). Ksiądz podszedł do ołtarza i odprawiał jakieś modły po łacinie, a lud klęczał na bruku rynku. Ja trzymam się w oddali.

Te same modły odprawił proboszcz przy drugim ołtarzu, ale nie pamiętam, kto go urządził. Potem przy trzecim ołtarzu, urządzonym przez drugiego bogatego Amerykanina, Borowskiego. Wreszcie procesja podeszła do ostatniego ołtarza, urządzonego przez panie Glasmann (u których później kupowałem wierzchnie koszule). Panie Glasmann były bardzo miłe i zawsze uprzejme. Miały dobry towar. Śledząc procesję z pewnej odległości, wciąż nie widzę „Bożego Ciała". A tu chyba kończy się procesja. Zdobyłem się na odwagę. Zbliżam się dość blisko brzózek, otaczających ołtarz. Stanąłem i zerkam między gałązkami drzewek, aby zobaczyć, co tam robi ksiądz przy ołtarzu. Nim coś ujrzałem, nagle z tyłu dostałem silne uderzenie w głowę i za uderzeniem towarzyszące wyzwiska: „Ty, skurwysynie!", „ty, chamie!", „klęknij przed Bożem Ciałem!" Ja, bojąc się Boga, przekraczając pierwsze przykazanie, nie ukłoniłem się, ale co sił, chwytając moją szkolną czapkę, która frunęła po uderzeniu, uciekłem do pobliskiego internatu, oszołomiony wydarzeniem. To było dla mnie coś strasznego.

Po procesji wrócili koledzy-katolicy, którzy obowiązkowo musieli brać udział w uroczystości. Jeden z nich zdziwił się, że już jestem w internacie, zapytał: „no i co, widziałeś Boże Ciało?". „O, tak! Widziałem gwiazdy w oczach, a nie Boże Ciało". „Co to znaczy, widziałeś gwiazdy w oczach?" – pytają. Nie dali mi spokoju, musiałem im opowiedzieć o całym zajściu. Po wysłuchaniu poczęli mi wyjaśniać, wciąż nie rozumiejąc mnie. „Przecież musiałeś widzieć Boże Ciało?". Odpowiadam: „Nie widziałem!". „A widziałeś, jak ksiądz niósł przed sobą monstrancję?". „Taką złotą tarczę?" – pytam. „Tak, to jest monstrancja". No i co dalej? – chcę wiedzieć. „W środku monstrancji jest okrągłe miejsce, w którym mieści się Boże Ciało". Ja widziałem w środku tylko coś białego, błyszczącego – powiadam. „No właśnie, to jest Boże Ciało". Nie pojmuję. Powiedzcie mi: co to jest, to białe, co tam się błyszczy? „To jest opłatek z delikatnej białej mąki i to nazywamy Bożym Ciałem albo Sakramentem" – odpowiada jeden z mądrzejszych kolegów i dodaje: „Jak ksiądz idzie z takim opłatkiem na przykład do chorego, to mówimy, że idzie z Panem Bogiem. Ażeby ludzie mogli poznać, że ksiądz idzie z Bogiem, to ma przy sobie, przy sutannie dzwoneczek, który w czasie chodu dzwoni, wtedy mijający przechodnie (katolicy) muszą klękać, choćby na ulicy". Hm, to ciekawe, to bardzo ciekawe. U nas ewangelików tego nie ma.

Procesja w Działdowie wywołała w moich myślach wiele niejasności i pytań:

1. Bóg to opłatek – odrobina delikatnego chleba? W domu zawsze dziękowaliśmy Bogu za chleb powszedni, ale żeby chleb był „Bożem Ciałem"? – to nie mieściło się w mojej głowie.

2. Modlić się i przeklinać, i wyzywać od chamów i skurwysynów, to chyba nie można podciągnąć pod jedną melodię pobożności.
3. Modlić się i bić po głowie niewinnego człowieka, to przecież nie zgadza się ze słowami Jezusa: „Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego", albo „Miłujcie nieprzyjacioły wasze".
4. Procesja „Bożego Ciała" jest odpowiedzią na pytanie: „Pokaż nam Boga", które często stawiają ludzie, wątpiący w istnienie Boga.

Oto katolicy, powiedzmy dokładniej, ich przywódcy – papieże, spełniają życzenie tych, którzy chcą widzieć Boga. Po prostu ściągnęli Boga z nieba, czy też z krzyża i umieścili, uwięzili go w monstrancji, w kapsułce wielkości małego kieszonkowego zegarka. Gdy tymczasem mój Bóg jest Stwórcą i Panem nieba i ziemi. A zgodnie ze słowami Jezusa Chrystusa: „Bóg jest Duch", a nie upieczony w opłatku i nie uwięziony w kapsułce.

Chrześcijanie do 1215 roku wierzyli, że Bóg jest Duchem i nie znali „Bożego Ciała". Dopiero pojawił się na świecie, na stolcu papieskim, podobno bardzo mądry (ja bym powiedział „bardzo chytry") papież Innocenty III, panujący od 1198 do 1216 roku, który rok przed śmiercią (1215) wprowadził Boga do „więzienia" i zamknął go w złotej monstrancji, ustalając dogmat o tzw. „Transsubstantiatio" (o przeistoczeniu się opłatka w prawdziwe ciało i krew Jezusa Chrystusa). Odtąd katolicy mają Boga, którego mogą nosić nawet w kieszeni, bo jako taki nie mieści się w sercu ludzkim.

Przykre doświadczenie z „Bożem Ciałem" nastroiło mnie do poznawania zasad nauki rzymsko-katolickiej. W tym czasie, gdy o tym piszę, mogę powiedzieć, że katolicyzm znam lepiej od większości katolików. Badając zasady katolicyzmu, zgłębiłem Pismo Święte, które utwierdziło moją wiarę w Boga Ducha, objawionego przez Jezusa Chrystusa. Po procesji „Bożego Ciała" przez dłuższy czas bałem się spotkać księdza z dzwoneczkiem, żeby znów nie dostać po głowie.

Jako uczeń Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie w 1922 roku nie znałem jeszcze fanatyzmu katolickiego. Dopiero w dalszych latach nauki historii dowiedziałem się o tak strasznej „Nocy św. Bartłomieja" z 24.08.1572 roku we Francji, w której katolicy wymordowali około dziesięć tysięcy protestantów – Hugenotów. Albo tzw. „Rzeź Toruńska" w 1724 roku, w której mordowano ewangelików, a pierwszym był zamordowany student, który nie oddał pokłonu przechodzącej procesji, podobnie jak ja. Zamordowanych zostało też dziesięciu radców miasta Torunia. Ucząc się o tych zbrodniach, byłem szczęśliwy, że Bóg nieba i ziemi nie dopuścił, abym podzielił tragiczny los studenta w Toruniu. Jeszcze nie raz uratuje mnie od nieszczęścia i śmierci mój Bóg przez Jezusa Chrystusa.

Bóg nieśmiertelny i wszechmogący godzien jest chwały i uwielbienia.

20
Mój najszczęśliwszy dzień w życiu

Kaznodzieje gromadkarscy organizowali od czasu do czasu święta misyjne, na które przyjeżdżali kaznodzieje z innych, nawet często z dość odległych stron. Tego samego roku,

w którym umarł mój brat Wilim, było takie święto misyjne zorganizowane przez Falkowskiego w jego domu, gdzie normalnie odbywały się nabożeństwa gromadkarskie w Brodowie. Pokój od ulicy był dość duży, w którym znajdowały się zwykłe ławy bez oparcia, stół i krzesła dla kaznodziei. Tym razem była pełniutka sala. Było to w okresie świąt Narodzenia Pańskiego.

Pamiętne nabożeństwo, jak zresztą każde inne, rozpoczęło się pieśnią z mazurskiego kancjonału („kancynala"). Tę samą pieśń niektórzy śpiewali z niemieckiego śpiewnika. Po pieśni, kaznodzieje modlili się własnymi słowami. Po modlitwie gospodarz Falkowski zapowiedział, że mamy dzisiaj kaznodziei zamiejscowych. Pierwszym mówcą był Wilhelm Sommer z Janowa. Był to słaby kaznodzieja. Po pieśni zabrał głos kaznodzieja Dropiewski ze wsi Purgałki. Lubiłem go słuchać, bo przemawiał od serca do serca. Wszyscy go cenili. Po pieśni gospodarz powiedział: „a teraz przemówi do nas brat Ewald...", niestety nazwiska jego nie pamiętam. Był to młodzieniec w wieku około 20 lat, średniego wzrostu, blondyn, o twarzy, która świadczyła, że chorował na ospę (miał twarz „podziobaną"). Ewald pochodził gdzieś z Lubelszczyzny, syn „kolonistów" niemieckich.

Swoje przemówienie w języku niemieckim (po polsku mówił bardzo słabo) rozpoczął od przedstawienia swego rodowodu. Potem mówił o swoim nawróceniu, to znaczy, kiedy uwierzył w Jezusa Chrystusa. Przemawiał tak obrazowo, że każdy słuchał z podziwem i wzruszeniem. A gdy przeszedł do tematu misji Jezusa, że „przyszedł na świat, aby zbawić ciebie i mnie" wtedy mowa jego stała się tak płomienna, porywająca, tak przekonywująca, że serce rwało, ściskało się. Z czułością zwrócił się do zgromadzonych słowami Jezusa: „Oto stoję u drzwi twoich i pukam; Jeśli usłyszysz głos mój i otworzysz drzwi, wstąpię do ciebie i będę z tobą wieczerzał (ucztował), a ty ze mną". Gdy słowa te rozwinął i obrazowo przedstawił, że w tej chwili Jezus stoi przed każdym z obecnych i puka do serca każdego, cichutko zapytał zgromadzonych: „Wpuścisz Jezusa do serca twego?" – „Wpuścisz Jezusa, czy każesz Mu odejść?"

Słowami tymi tak wzruszył słuchających, że chyba każdy miał łzy w oczach, a niektórzy nawet szlochali. Apelem do ogółu: „Wpuść Jezusa, a On zbawi ciebie, wybawi od zguby, wyzwoli i odpuści ci grzechy twoje, za które okup złożył na krzyżu Golgoty, aby każdy, kto Weń wierzy nie zginął, ale miał żywot wieczny" – zakończył swoje kazanie.

Po tym kazaniu, które było ostatnie, nastąpiły modlitwy (zawsze klęcząc) osób już nawróconych, które rzewnymi słowami wyznawały radość z uwierzenia w Jezusa Chrystusa, rodzice modlili się, aby ich dzieci uwierzyły, niejedna kobieta modliła się, aby jej mąż uwierzył i zaczął żyć bez alkoholu. Modlitwy kończyli kaznodzieje, dziękując Bogu za Jego błogosławieństwa i dobrodziejstwa oraz aby obudził serca niezdecydowanych, do oddania się w opiekę Jezusa Chrystusa. Po zmówieniu Modlitwy Pańskiej „Ojcze Nasz", zaśpiewano pieśń. Po pieśni kaznodzieje zaapelowali do zgromadzonych: „kto chce oddać się Jezusowi, kto chce przyjąć Jezusa Chrystusa do serca swego? – niech wystąpi i zbliży się do przodu". Poszło kilka osób, poszedłem i ja. Każdy z kaznodziei wziął kogoś z tych zgłoszonych i udali się do osobnych pokoi („komórki" – jak to powiedział Jezus), aby się modlić.

Mnie na modlitwę wziął Falkowski. W pokoju, w którym znaleźliśmy się, było ciemno. Atmosfera wprost przeciwna, odwrotna do tej, którą miałem z przemówień kaznodziei, szczególnie Ewalda. Falkowski ukląkł ze mną i modlił się, dziękując Bogu, że wezwał mnie i prosił Boga, aby mocą Ducha Świętego wzmacniał moją wiarę. Gdy skończył, pro-

sił, abym i ja modlił się swoimi słowami. Zdziwiłem się, że mimo wewnętrznej radości, serce i umysł zamknęły się, nie wydałem słowa. Wstaliśmy z klęczek i weszliśmy do sali, gdzie było jeszcze dość sporo osób rozmawiających między sobą i z kaznodziejami. Ja, nie zatrzymując się, bo było już bardzo późno, z radością (miałem wrażenie, że fruwam) pobiegłem do domu. Wpadłem do sypialni rodziców. Mateczka była już w łóżku. Podbiegłem do niej i mówię w zachwycie: „Mateczko, ja się nawróciłem". Och, jakże czule Mateczka przytuliła mnie do siebie, mówiąc:

„Jakże ja się z tego raduję". Nie potrzebowałem Mateczce tłumaczyć o moim nawróceniu, bo i ona była wierząca w Jezusa Chrystusa, jak również nasz Ojczulek.

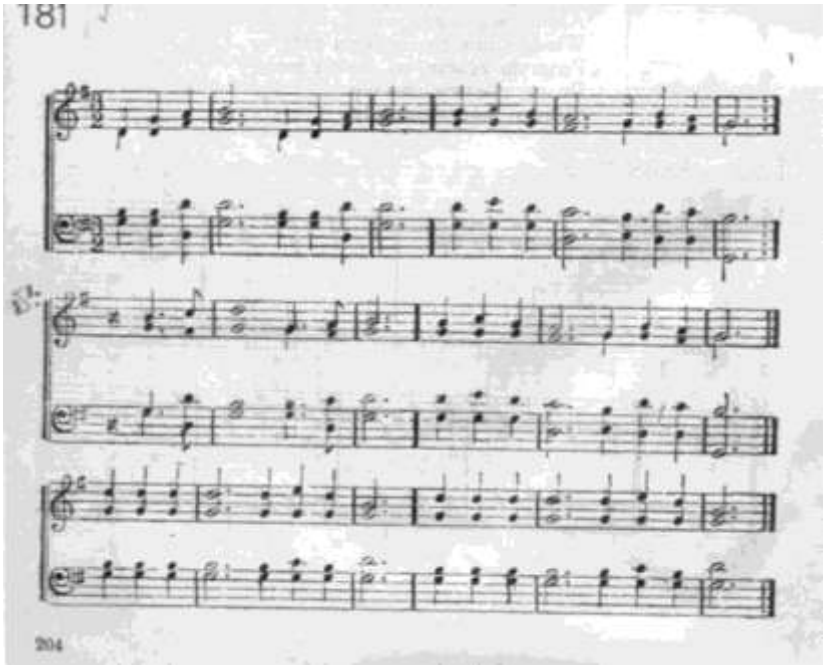

Nuty z kancjonału [podpis – Red.]

Ktoś zapyta: „cóż to za stan duchowy to nawrócenie"? Słyszałem od „nawróconych", że każdy inaczej przeżywa swoje nawrócenie. Znamy dobrze z Biblii o wspaniałym nawróceniu Pawła w drodze do Damaszku. O sobie mogę powiedzieć tylko to, że biegnąc do domu, czułem, że nie biegnę sam, lecz towarzyszy mi Duch Jezusa. Czułem, że nie jestem sam. I tak pozostało na zawsze. Gdziekolwiek się obracałem, czułem obecność Boga w Jezusie Chrystusie. Czułem Jego obecność w dobrych i złych chwilach. Z żalem wyznaję, że często ufałem w własne siły, chodząc grzesznymi drogami. Ale Jezus zawsze mnie znajdował, szczególnie wtedy, gdy moje siły mnie zawiodły i potrzebowałem Jego pomocy. Dlatego dzień, w którym uwierzyłem w Jezusa Chrystusa uważam za najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

1. Ach, błogi dzień, pamiętny dzień,
Gdym Zbawcy już me serce dał:
Znikł z duszy mej wraz smutku cień,
Szczęśliwy jam się odtąd stał!

Refren: Błogi dzień, szczęsny dzień
Gdym Jezusowi serce dał;
Poznałem moc nadziemskich tchnień,
Piękniejszym mi się świat ten zdał.

2. I podczas gdym w obłędzie mym
W niedolę wpadł i w grzechu toń,
Gdym błąkał się na świecie złym,
Jezusa dziś mię wiedzie dłoń!
Błogi dzień... i t. d.

3. O, dawniej wciąż, po wszystkie dni
Sumienia głos w mej piersi łkał,
Lecz teraz już spokojem mi
I ciszą sam się Jezus stał.
Błogi dzień.... i t. d.

4. Swój pokój daj mi Jezu mój,
Ty sam mię krzep i tul i ciesz,
Bądź ze mną wciąż, wciąż przy mnie stój,
Bo, żem jest Twój — Ty dobrze wiesz!
Błogi dzień... i t. d.

Pieśń z kancjonału śpiewana w czasie nabożeństwa gromadkarskiego [podpis – Red.]

Mogę śmiało i szczerze powiedzieć, że gromadkarstwo odegrało w moim życiu bardzo ważną, a raczej najważniejszą rolę, bo znalazłem Jezusa, a może On mnie. Wiara w Boga, w Jezusa Chrystusa pomagała mi przezwyciężać trudności i przykrości, które były niewątpliwie moim produktem. Produktem mojej zarozumiałości, lekkomyślności, uporu. Zrozumiałem, że mając niepowodzenia w życiu, nie można za to winić Pana Boga, mówiąc: „Bóg mnie skarał". Bóg nie karze, bo jest miłością. Tylko człowiek, w swojej pysze, planując projekty życiowe, nie pyta Pana Boga, czy Bóg je akceptuje. Gdy byłbym Boga pytał o radę i więcej Mu ufał, z pewnością uniknąłbym wielu przykrych przeżyć.

Mimo moich błędów i uchybień stwierdzam, że Bóg był dla mnie wielce miłosierny, cierpliwy i łaskawy. Za złe wynagradzający.

Nie wyobrażam sobie życia na ziemi bez Boga. I tylko Boża miłość, dobroć i łaska zadecyduje o mojej wiecznej bytności.

21
Dalsza moja edukacja

Z nowym rokiem szkolnym, dnia 1 września 1922 roku, przybyło do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie nowych seminarzystów, między nimi dwoje Mazurów, mój brat Robert i Anna Żywiec (według metryki Zywietz), krewniaczka z Brodowa. Oboje przyjęci na kurs wstępny.

Ja, otrzymując dobry wynik z kursu wstępnego, zostałem promowany na kurs pierwszy. Już nie byłem „pierwiastkiem" z Mazurów, bo było nas troje. Z dniem 1 września 1922 roku przeniesiono nasz internat do budynku, który otrzymał nazwę „Dom Mazurski" (późniejsze „Muzeum Mazurskie"), przy ulicy Dworcowej, obok willi adwokata Wyrwicza. Chłopcy mieścili się w pokojach na parterze, gdzie była też sala jadalna i kuchnia, a dziewczęta na piętrze. Pokoje chłopców znajdowały się w przybudówce bez piętra. Mogliśmy wdrapywać się na dach i z dachu, przez okna wchodzić do dziewcząt. Oczywiście, musieliśmy się liczyć z kontrolą dyrektora lub profesorów.

Pewnego razu bawiliśmy się u dziewcząt w „ślub". Ja byłem „panną młodą", a kolega Henryk Bomert „panem młodym", księdza grał kolega Daase. Gdy ślub był w trakcie wykonywania ceremonii, nagle, niespodziewanie wpada profesor, na szczęście młody profesor Paweł Ożana, muzyk. Ileż on się naśmiał z naszego ceremoniału, a szczególnie z naszych cudacznych strojów. Po chwili spoważniał i pyta: „w jaki sposób dostaliście się do dziewcząt?" (drzwi do dziewcząt były zawsze zamykane na klucz). Bodajże chórem zawołaliśmy: „panie profesorze, drzwi były otwarte". Dobrze, że to był profesor Ożana, kawaler, rozumiejący żarty i kawały. Nie wyciągał z tego złych konsekwencji.

Innym razem, oczywiście, weszliśmy znów przez „zamknięte drzwi" i bawiliśmy się u dziewcząt w „chowanego" przy zgaszonych światłach. Zabawa polegała na tym, aby po ciemku zgadnąć, kto z chłopców skrył się w szafie z wybraną koleżanką. W tym wchodzi tym razem prof. Robert Kożusznik, matematyk, fizyk, chemik (właściwie profesor wszystkich przedmiotów: „Mädchen für Alles"[94]). „Saperlot" – woła: „Co tu się dzieje"?! Może dwóm kolegom udało się uciec drogą, którą weszliśmy z dachu przez okna. Ale w szafie siedzi Alma Sierpówna (ładna to była dziewucha, oj, ładna) z kolegą, którego nazwiska nie pamiętam, pochodził z Warszawy (też bardzo przystojny). Chociaż siedzieli w szafie jak „mysz pod miotłą", to jednak prof. Kożusznik miał dobry węch i tam ich nakrył. Zawstydzeni „lubieżnicy" wychodzą z szafy. Wtem profesor mówi do wspomnianego kolegi: „chuchnij"! Kolega chuchnął. Na to profesor: „ty dudku śmierdzący, paliłeś papierosy". Palenie papierosów w szkołach było surowo zabronione. Zresztą bardzo mało młodzieży używało palenia tytoniu.

Prof. Kożusznik nie darował „grzesznikom". Musieli się tłumaczyć przed Dyrektorem. Nie pamiętam, jak im to wyszło. W każdym razie, ten kolega za złe postępy w nauce i złe zachowanie jeszcze tego samego roku szkolnego wyleciał z „budy" – tak nazywano szkołę. A koleżanka Alma nie skończyła Seminarium, musiała opuścić szkołę. Chyba nie było chłopca, który by jej nie żałował. Z męskich pokoi internatu mieliśmy wyjście wprost do ogrodu, gdzie rosło kilka drzew owocowych, w tym jedna jabłonka z „rajskimi", bardzo maleńkimi kolorowymi jabłkami. Za drzewami był warzywnik. Po ogrodzie mogliśmy spa-

[94] Służąca do wszystkiego.

cerować. Najbardziej z tego korzystali koledzy: Emil i Rudolf Gerent, którzy już o godzinie 5 rano wstawali i wkuwali na pamięć materiał lekcyjny. To byli „kujoni". Podziwialiśmy ich. Jeżeli byli pytani z lekcji na lekcję, to recytowali jak ze sznurka. Gorzej było z ich pamięcią, gdy przyszły powtórki z wstecznych materiałów. Ja nie lubiłem wkuwania na pamięć. Starałem się utrwalać w pamięci najważniejsze fragmenty i dlatego korzystałem szczególnie przy powtórkach.

Nasze męskie pokoje, w liczbie trzy, były połączone ze sobą, przechodziło się z jednego do następnego pokoju. W Ameryce taki system mieszkania nazywa się „sabłejem" – mówiąc po polsku. Zimową porą pokoje były ogrzewane węglem w żelaznych piecykach – „krystkach". Poszczególne pokoje były zamykane drzwiami. Z pierwszego przechodziło się korytarzykiem do jadalni, w prawo z korytarzyka wchodziło się do umywalni i ubikacji.

Pewnego dnia, nad ranem, komuś z ostatniego pokoju zachciało się siusiu. Wstał, przeszedł przez dwa sąsiednie pokoje, wszedł do korytarzyka, wtem nagle potknął się o coś, czego po ciemku nie mógł rozeznać. Zrobił światło, patrzy, a tu leży któryś z kolegów, jakby nieżywy. Wrzasnął: „ratunku!" Przybiegli koledzy z ostatniego pokoju, my z drugiego pokoju gramolimy się otumanieni, jakby pijani, koledzy w pierwszym pokoju leżą na łóżkach nieprzytomni, jeden wywlókł się do łazienki i tam leżał nieprzytomny, inny leżał nieprzytomny w korytarzyku, a Schmidt, jakimś cudem, wydostał się przez okno i leżał nieprzytomny na śniegu. O tragedii usłyszała w swojej sypialni pani Weiss, gospodyni internatu. Zawiadomiła szpital. W międzyczasie wszystkich nieprzytomnych wynieśliśmy na powietrze, potem zostali przewiezieni do szpitala. Okazało się, że koledzy śpiący w pierwszym pokoju za wcześnie zakręcili piec węglowy, z którego zaczął się wydobywać czad, nie śmierdzący, a bardzo trujący gaz: dwutlenek węgla. Ponieważ drzwi, dzielące pokoje, zamykaliśmy, więc my z drugiego pokoju tylko w małym stopniu ulegliśmy zaczadzeniu, a koledzy z trzeciego pokoju wyszli zupełnie cało. To była dobra nauka na przyszłość.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem 1922 roku zachorowaliśmy z bratem na bóle żołądka. I inni z koleżeństwa cierpieli na bóle brzucha. Doktor Michejda lekarstwami zaradził naszym cierpieniom. Skarga na złe odżywianie internackie doszła do wiadomości dyrektora, ks. Lodwicha. Któregoś dnia przyszedł do internatu. Zebrał wszystkich seminarzystów, wezwał gospodynię p. Weiss. Przemówił do wszystkich, a potem w ostrych słowach skrytykował panią Weiss, z czego zapamiętałem tylko takie słowa: „niech Pani nie traktuje internatu jako jaskini zbójców". Ostre to były słowa. Ale też i sprawa była bardzo poważna, bo dopiero po kilku dniach doszliśmy do zdrowia. Jedzenie w internacie było bardzo mizerne.

Z tego, co pani Weiss gotowała, lubiłem jedynie zupę z płuc na kwaśno z „szturganymi" kartoflami i kapuśniak również z takimiż ziemniakami. Były to „cieniutkie" (rzadkie) zupy, ale smaczne. Innych potraw nie pamiętam.

Jak „wylizaliśmy się" z bratem z choroby, pojechaliśmy do domu na świąteczne wakacje Bożego Narodzenia.

22
Na stancji

W czasie świąt postanowiono w domu umieścić nas na prywatnej stancji. Jakim sposobem trafiliśmy na panią Amalię Kraft, tego nie wiem. Pani Kraft była wdową, skromniutką, małego wzrostu kobiecinką, mówiącą po niemiecku i trochę po polsku. Posiadała maleńki parterowy domek w Działdowie przy ulicy Świętej Elżbiety. Rodzice zawarli z nią umowę, oczywiście ustną, na mocy której mogliśmy z bratem u niej mieszkać.

Wchodząc do domu pani Kraft, po lewej stronie od ulicy znajdował się dość duży pokój o dwóch oknach, tzw. „pański pokój". Ten był zajęty przez lokatora, który był jakimś urzędnikiem. Wchodząc do sieni, drzwi po lewej stronie prowadziły właśnie do tego „pańskiego" pokoju. Idąc dalej korytarzem, po lewej stronie były drzwi do ciemnej bardzo maleńkiej kuchenki. Tuż na wprost z korytarza wchodziło się do pokoju od podwórka. Obok, idąc dalej korytarzykiem, wychodziło się na bardzo maleńkie podwórko. Naokoło podwórka były ściany sąsiednich budynków. Można powiedzieć: podwórko-"studzienka".

Pokój od podwórka był podzielony cienką ścianką na dwie części, dwa pokoiki, a zamiast drzwi była kotara. Każdy z tych pokoików miał jedno okno z widokiem na podwórko. Ta pierwsza część pokoju to był nasz pokój. Po wejściu do niego, tuż przy drzwiach po lewej stronie stał nieduży stół z dwoma stołkami. Za stołem stał kaflowy piec, który ogrzewał obie części pokoju. Przy oknie, po prawej stronie stało dość szerokie, drewniane łóżko. Zamiast sprężyn i materaców były deski i siennik ze słomą. Po lewej stronie, przy ścianie stała mała szafa ubraniowa i umywalka z miską i wiadrem. To było całkowite umeblowanie naszego pokoju. Oświetlenie: mała lampa naftowa, wisząca na ścianie nad stołem. Taki prawdziwy kopciuszek. W czasie dnia lekcje mogliśmy odrabiać tylko przy oknie, na kolanach, bo w pokoju było ciemno. Sufit wisiał nad nami dość nisko. Wątpię, czy nasz Jurek zmieściłby się w tym pokoju. W łóżku spaliśmy razem z Robertem pod jedną pierzyną. Takie były nasze warunki mieszkaniowe od stycznia 1923 roku do 30 czerwca 1926 roku.

Od 1 września 1926 roku do matury: mojej 17 maja 1927 roku, Roberta maj 1928 roku, pani Kraft odstąpiła nam „pański" pokój. Oczywiście za wyższą opłatą i dodatkowo był kolega Radtke jako trzeci lokator. Radtke prawie głową sięgał sufitu. Nadal z Robertem spaliśmy w jednym łóżku bez sprężyn na sienniku, pod wspólną pierzyną. Pokój ten był stokrotnie lepszy od poprzedniego. Był słoneczny, widny, od ulicy, o dwóch oknach. Między nami wisiało lustro. To było już coś pańskiego. Reszta mebli podobna do poprzednich.

A teraz coś o naszym wyżywieniu u pani Kraft, która nam gotowała. Każdej soboty szliśmy z Robertem piechotą 7 km do domu. Na drugi dzień, przy niedzieli, wracaliśmy z Anną Żywcówną obładowani siedmiokilogramowym bochnem chleba, osełką masła, słoikiem smalcu i mendlem jaj. Och, jak nam było wstyd iść z takim ciężarem pieszo, przy niedzieli, szczególnie na odcinku szosy od Kisin do Działdowa, na której spotykaliśmy spacerowiczów. Ażeby „ukryć" nasz wstyd, szliśmy „gęsiego" rowami, dźwigając drogocenne prowianty, które musiały starczyć na tydzień. Dopiero matura wyzwoliła nas od tych ciężarów i wstydu.

Na śniadanie i kolację dostawaliśmy mleczną zupę i chleb lub smażone ziemniaki. Na obiad najczęściej też zupę, w tym trochę mięsa. Czasami w tygodniu była pieczeń. Och, jak bardzo pragnęliśmy zjeść suchą bułkę. A marzeniem było kupić „sznekę" – słodką bułkę,

dzisiaj nazywaną też „Kopenhagener". Aby to osiągnąć, musieliśmy „polować" każdego piątku na naszego Ojczulka, który przyjeżdżał na targ, aby uprosić parę groszy. Bułka kosztowała 2-2,5 groszy, szneka 7-10 groszy. Gdyśmy wywalczyli te grosze, to w czasie długiej przerwy biegliśmy (jak na wyścigach) do piekarni pani Bandau, która uśmiechnięta, grubiutka, czekała na swoich szkolnych klientów (podobnie, jak piekarz „Nur" w Centrum Steilshoop w Hamburgu czeka na uczniaków z Gemeinschaftsschule[95]).

A co za radość była, gdyśmy otrzymali trochę więcej groszy i starczyło na bilet do kina. Ale o tym nie mogliśmy mówić Rodzicom, bo chodzenie do kina, na tańce, palenie papierosów, picie wódki było grzechem. Ale cóż poradzić, skoro w ludzkiej naturze leży to, że zło ciągnie jak magnes opiłki żelaza. Kino w Działdowie było małe i ciasne, tłoczne, nawet miejsca stojące zajęte po brzegi. Duszność zmniejszano „psiukaczem" – pompką rozpylającą pachnący płyn, który odświeżał powietrze. Obrazy były nieme.

Wolny czas wykorzystywaliśmy na „ubijaniu" chodników, chodząc w kółko Rynku i ulicami. Przyjemniejsze były spacery poza miasto. Ulubionym miejscem spotkań, zwłaszcza par zakochanych, był tzw. „Małpi Gaj". Był to maleńki lasek (gaik) za miastem, za koszarami w kierunku na wieś Burkat. Tam profesorowie nie śledzili uczniów. Przypuszczalnie bali się, żeby czasami nie oberwać za wystawienie złych stopni.

23
My, harcerze

W Polsce istniał Związek Harcerstwa Polskiego, w skrócie „ZHP". Założony został na wzór Międzynarodowego Związku Skautów. Jest to organizacja młodzieżowa, skupiająca przede wszystkim młodzież szkolną. Głównym obowiązkiem harcerza było: „Każdy dzień rozpocząć dobrym uczynkiem". Strojem Polskich Harcerzy był mundur, czapka rogatywka i chusta na szyję. Oznaką Harcerstwa dla chłopców była linijka, dla dziewcząt listek koniczyny.

Profesor gimnastyki, pan Chodura, zorganizował przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim Hufiec Harcerski, do którego przyjęto mnie i brata Roberta. Nie wiem, czy polska edukacja zrobiła z nas już Polaków, w każdym razie dumni byliśmy nosić strój harcerski, nawet rogatywkę, która jeszcze dwa lata temu wywoływała zdziwienie, obcość i śmiech.

Harcerstwo odpowiadało nam swoimi ideałami, gdyż pokrywały się z naszym chrześcijańskim wychowaniem. Z radością braliśmy udział w zajęciach. Organizowano wycieczki, obozy w pobliskim lesie z biwakowaniem w namiotach. Tam musieliśmy pełnić służbę wartowniczą, nocą z niemałym strachem. Sporządzanie potraw w polu nad ogniskiem należało też do obowiązków harcerza. Najprzyjemniejsze były jednak gry i zabawy razem z koleżankami. Nasz Hufiec brał udział w różnych imprezach, pochodach z orkiestrą, urządzanych z okazji uroczystości narodowo-państwowych i szkolnych.

[95] Szkoła zbiorcza.

Harcerstwo i nauka w Seminarium wpływały na moją asymilację z Narodem Polskim. Pokrewieństwo mowy mazurskiej z językiem polskim ułatwiało ten proces.

24
Incydent z Piusem XI

A co to za incydent? O tak, bardzo poważny incydent, który dla seminarzysty mógł mieć przykre następstwa. Co to więc było z tym Piusem XI? Przecież to był papież. Tak, właśnie. Dlatego był to incydent bardzo poważny.

Ale trochę cierpliwości, bo muszę najpierw coś powiedzieć o Seminarium w Działdowie.

W 1923 roku przybyło do Seminarium sporo nowych seminarzystów ewangelików z rodzin niemieckich kolonistów. Ale przybyło na mój pierwszy kurs również kilku katolików. My, ewangelicy, mieliśmy księdza Lodwicha, który jeszcze był dyrektorem. Katolicy mieli katechetę ks. Żochowskiego.

Dnia 6 lutego 1922 roku kardynał Ambrogio Damiano Achille Ratti został wybrany papieżem, który przybrał imię Piusa XI. Dla katolików było to wydarzenie podobne do wyboru Karola Wojtyły na papieża. Kardynał Ratti był między innymi nuncjuszem apostolskim w Polsce. Wielce uczony i sportowiec, jak Karol Wojtyła. Należał do włoskiego klubu górskiego. Zdobył szczyty górskie Matterhorn i Mont Blanc. Był słynnym papieżem. To ten sam papież, który za kilka lat miał mieć do czynienia z Mussolinim i Hitlerem. Temu drugiemu dopomógł w 1933 roku w wyborach do zwycięstwa za cenę konkordatu z Trzecią Rzeszą.

A teraz wróćmy do mego incydentu z tym papieżem Piusem XI. A było to tak: siedzimy w klasie, nie w ławkach, lecz na ławkach. Są między nami koledzy ewangelicy i katolicy. To nie była lekcja, ani przerwa. To musiało być po lekcjach. Ot tak, siedzieliśmy i dość żywo i wesoło toczyła się rozmowa. Ktoś z katolików miał obrazek z wizerunkiem papieża Piusa XI. Zajęci rozmową, podobno (tak zeznali koledzy katolicy) dziobałem agrafką w obrazek Piusa XI. Po jakimś czasie rozeszliśmy się, kartka została w klasie.

Na drugi dzień jestem wezwany do Dyrektora, ale jest też obecny ks. Żochowski, który trzymał w ręku podobiznę Piusa XI bardzo podziobaną. Pyta mnie: „Czy widziałeś ten obrazek”? Nie zaprzeczyłem, powiedziałem: tak. „Dlaczego tak podziobałeś ten obraz szpilką?” Pytaniem tym byłem bardzo zaskoczony, bo byłem pewny, że tego nie zrobiłem. Ale ks. Żochowski powiada: twoi koledzy, Stanisław Pawłowski i Stanisław Gawłowski (katolicy), to potwierdzają. Koledzy ewangelicy byli za moją niewinnością. Dano jednak wiarę tym dwóm katolikom. Ks. Żochowski do mnie: „wiesz, że to jest profanacja osoby ojca świętego i za to grozi kara?”. Dyrektor stara się załagodzić sytuację, ale ks. Żochowski obstaje za ukaraniem mnie. Ja, będąc nowicjuszem, dopiero rok w Seminarium, zawstydzony, nie rozumiałem, co jest profanacją, ani nie zdawałem sobie sprawy z sytuacji. Dowiedziałem się, że na Konferencji Rady Pedagogicznej postawiony został wniosek przez ks. Żochowskiego o wydalenie mnie z Seminarium. Z uwagi na moją niepełnoletność nie mogłem odpowiadać przed sądem.

Wydaleniu mnie z Seminarium sprzeciwili się profesorzy ewangeliccy z dyrektorem na czele, wierząc w moją niewinność i choćby dlatego, że byłem pierwiastkiem spośród seminarzystów Mazurów. Wydalenie mnie z Seminarium odbiłoby się ujemnie na dalszy werbunek młodzieży mazurskiej. Dyrektor, udzielając mi odpowiedniego pouczenia, formalnie zlikwidował incydent.

Dla mnie jednak ta sprawa do dziś pokutuje, bo potrzebuję odpowiedzi na dwa pytania: „kto uszkodził wizerunek papieża?", „dlaczego koledzy-katolicy kłamali?". Sprawa powoli ucichła. Odtąd straciłem jednak zaufanie do pewnych kolegów. Nie byłem wtedy na tyle sprytny, aby posądzić kogoś o fałsz, podstęp i kłamstwo. Dopiero dziesięć lat później doświadczyłem, do jakiego stopnia może posunąć się osoba, niby „koleżanka" z Seminarium, fałszywie i podle oskarżając „kolegę" przed władzami. A przecież wychowankowie Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie wyznania katolickiego mieli być „pomostem" między Polakami a Mazurami. Takie przynajmniej cele i zadania stawiało sobie Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Działdowie. Niestety, cel ten nie został osiągnięty.

25
Nauka w Państwowym Seminarium Nauczycielskim

Seminarium Nauczycielskie w Działdowie rozwijało się z roku na rok. Seminarzyści wyznania ewangelickiego przybywali z województwa warszawskiego, młodzież byłych kolonistów niemieckich. Katolicy rekrutowali się z wiosek powiatu mławskiego.

Przybywało też młodzieży Mazurów, ewangelików z następujących miejscowości:

Z Brodowa: Edward i Robert Małłek, Anna Żywiec, Zakrzewski, Georg Żywiec (nie ukończył), Fritz Żywiec (nie ukończył), Erich Dalkowski i Otto Cybulla.

Z Działdowa: Alfred Longwitz, Adalbert Borutta.

Z Narzymia: Ernest Kościński.

Z Pierławki: Adalbert Olszewski, Fryderyk Burski.

Z Klęczkowa: Oskar Napierski.

Z Uzdowa: Hermina Długokińska.

Ze Skurpia: Herman Schmidt (przeszedł do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie), Kurt Wilamowski (poszedł do Zawodowej Szkoły Oficerskiej).

Z Prus Wschodnich: Jan Sczech (przeszedł na teologię ewangelicką w Warszawie), Walter i Fryderyk Późny (poszli na dziennikarstwo w Warszawie).

Wliczając mego brata Karola, było 14-tu wykształconych nauczycieli Mazurów. Późniejsze roczniki Mazurów uczęszczały, po zlikwidowaniu Seminarium Nauczycielskiego, do Gimnazjum, które mieściło się w nowym budynku w pobliżu koszar. Młodzież mazurska poczęła garnąć się do Gimnazjum. Czy z przekonania, że są Polakami, tego nie można powiedzieć. Przytoczę raczej powiedzenie ojca Ericha Dalkowskiego: „Jeżeli już mamy zostać w Polsce, to niech nasze dzieci będą raczej panami niż parobkami".

Na pewno względy ekonomiczno-gospodarcze przemawiały zatem, aby dopasować się do nowych polskich warunków, a nie przekonania narodowo-patriotyczne.

Po odejściu pierwszego dyrektora Seminarium (założyciela), ks. Ewalda Lodwicha, który wyprowadził się w swoje rodzinne strony do Siedlec, na jego miejsce przyszedł Ślązak, pan Józef Biedrawa. Postać majestatyczna, poważna, autorytatywna, wysokiego wzrostu, dobrze zbudowany, przystojny, o barytonowym głosie, kawaler, raczej stary kawaler, bo przypuszczalnie około czterdziestki.

Po przedstawieniu się, odnieśliśmy wrażenie, że z nim żartów nie będzie. I nie pomyliliśmy się.

Pierwszą kadrę nauczycielską stanowili następujący profesorowie:

Dyrektor ks. Ewald Lodwich – religia, język polski.

Jan Sikora – język polski i historia.

Robert Kożusznik – matematyka, fizyka, chemia, biologia, rysunki, roboty ręczne („Mädchen für Alles”[96]).

Paweł Ożana – śpiew, muzyka, gimnastyka.

Pani Klimaszowa – roboty ręczne dziewcząt (żona inspektora szkolnego).

Później doszli do wymienionych:

Ks. Olszar – religia ewangelicka (krótki czas).

Ks. Kahane (konwertyta z Żydów) – religia ewangelicka.

Bałachowski – pedagogika i historia.

Poznański – język polski, historia.

Błachowski – fizyka, chemia, biologia.

Chodura – gimnastyka.

Chmurzyński – rysunki, roboty ręczne.

Jankowski – matematyka.

Wolf – matematyka, fizyka (krótko).

Jakkolwiek większość przedmiotów miała stałych wykładowców, to matematyka, fizyka, chemia, biologia ulegały „żonglerce”. Co rusz zmieniali się wykładowcy. Wreszcie przyszedł bardzo dobry matematyk, prof. Jankowski, kawaler lat około 35. Cieszyliśmy się, że nareszcie nauczy nas matematyki, która u nas bardzo kulała. Jednak niespełna po roku, prof. Jankowski dostał ataku „galopującej” gruźlicy i wkrótce zmarł w szpitalu. Niedługo trwała nasza radość. Urządziliśmy mu uroczysty pogrzeb ze śpiewem chóralnym w kościele, orkiestrą i chórem na cmentarzu, pod batutą profesora Ożany, założyciela orkiestry seminarialnej. Żal po profesorze Jankowskim był wielki.

No cóż, kto ma teraz uczyć matematyki? A któż, jak nie „Mädchen für Alles” – profesor Kożusznik. Na krótki czas wskoczył inż. Wolf, ale szybko uciekł. On by nas niczego nie nauczył.

Świetnymi wykładowcami byli:

Dyr. Biedrawa – geografia.

Prof. Sikora – język polski.

Prof. Bałachowski – pedagogika.

Prof. Ożana – śpiew i muzyka.

Prof. Kożusznik nauczył nas pięknego pisma, kaligrafii, skrupulatności i dokładności.

Dwóm profesorom mogliśmy płatać figle: profesor Poznański przychodził do klasy zawsze z jedną zadartą nogawką. Jemu przypinaliśmy z tyłu marynarki kartkę na sznurku. Gdy wychodził z klasy, wszyscy parsknęli śmiechem. Wraca i pyta: „Z czego się śmieje-

[96] Dziewczę do wszystkiego (do każdej pracy).

cie?”. Zawsze ktoś powiedział: „Pan profesor przyszedł z kartką na plecach”. Oczywiście profesor w taką bajkę nie wierzył i figlarz musiał się przyznać. Reakcja profesora była taka: „ty, stołowe nogi, nie mogłeś niczego lepszego wymyśleć?” I na tym się kończyło. Zawsze, gdy prof. Poznański chciał o kim złośliwie powiedzieć, to mówił: „ty, stołowe nogi”. To powiedzenie przylepiliśmy do jego osoby: „Stołowe nogi idą” – wołaliśmy.

Drugim, któremu robiliśmy figle, to profesor Kożusznik. On miał jedno sztuczne oko. Stawaliśmy po stronie szklanego oka i ręką wydziwialiśmy różne ruchy i znaki. Przyłapując figlarza, powiada: „Saperlot! ty dudku, uciekaj mi!”. Profesora Kożusznika ceniliśmy i szanowali, bo nigdy nie był zły. Piękny miał charakter pisma. Świetnie podrabiałem jego podpis, ale dzisiaj już mi się nie udaje.

Jak wyglądała lekcja – wykład? Było tuż po wojnie. Nie było książek, nie było pomocy naukowych. Były zaledwie mapy. Lekcje polegały na wykładzie profesora, a myśmy notowali. Z notatek trzeba było się uczyć. Eksperymenty chemiczne z fizyki dokonywano w formie rysunku. Jaka reakcja piewiastków była w rzeczywistości, tego nikt nie oglądał. Mimo takich braków, robiliśmy dobre postępy i nauczyliśmy się bardzo wiele.

Nawet jako nowicjusz w polskiej szkole dawałem sobie doskonale radę. Zawdzięczam to przede wszystkim dyrektorowi ks. Lodwichowi i prof. Sikorze, którzy doskonale uczyli języka polskiego, nie szczędząc mi „karniaków”, na przykład za uciekanie do domu w pierwszym roku szkolnym. „Karniaki” przyczyniły się do lepszego opanowania języka polskiego. Materiał naukowy opanowywałem swoistą metodą. Należałem do pilnych i bardzo uważnych słuchaczy na wykładach. Jednocześnie robiłem możliwie dokładne notatki, gdyż podręczników nie było. W domu, zaraz po obiedzie, przepisywałem notatki z brulionu na czysto do innego zeszytu. W ten sposób ugruntowywałem wykład. Wieczorem, przed snem, jeszcze raz przeczytałem notatki i byłem gotowy odpowiadać na lekcji. Moje notatki były bardzo dokładne. Wielka szkoda, że zeszyty z notatkami zginęły w Brodowie dopiero po „wyzwoleniu”. Dziś mógłbym się pochwalić przed dziećmi i wnukami.

Mimo słabego przygotowania do Seminarium, dobrze dawałem sobie radę w nauce. Z roku na rok przechodziłem z jednego do następnego kursu z wynikiem nie słabszym, jak dobry. Nie należałem do najlepszych uczniów, ale co najmniej do lepszych od dobrych, bo nigdy nie miałem więcej jak trzy stopnie dostateczne i niestety zawsze z tych samych przedmiotów: polski, historia i matematyka. Do profesorów historii i matematyki nie miałem żalu, ale do profesora Sikory z języka polskiego miałem duży żal, bo w porównaniu do innych kolegów zasługiwałem na stopień dobry.

26
Moja polska świadomość narodowa

Już w czasie pierwszych wakacji szkolnych w 1922 roku, pasąc bydło na „Grabniku”, patrząc w kierunku Prus Wschodnich, śpiewałem „Deutschland, Deutschland unter alles”[97].

[97] Niemcy, Niemcy, poniżej wszystkiego.

Mimo przykrych przeżyć ze strony katolików (Boże Ciało w Działdowie i incydent z Piusem XI), ale zauważając wielki patriotyzm polski u profesorów Seminarium, ewangelików, oraz innych urzędników w Działdowie, jak też ewangelików zajmujących najwyższe stanowiska w Polsce, jak: prezydent Narutowicz, Marszałek Józef Piłsudski, ministrowie: Sławoj-Składkowski, Berner, Beck i inni, polskość wgryzała się coraz głębiej w moją duszę. To samo zauważyłem w całej mojej rodzinie. Uważaliśmy, że i my jako ewangelicy możemy żyć w Polsce, dlatego podając do dowodu osobistego „narodowość polska", „obywatelstwo polskie", uznaliśmy za normalne.

Uczęszczałem na nabożeństwa mazurskie, czy to w Działdowie do superintendenta Barczewskiego, czy do Narzymia z Ojcem do ks. Wilka. Każdej soboty i niedzieli wieczorem chodziłem na nabożeństwa gromadkarskie w języku polskim i mazurskim, odprawiane w kapliczce przy ul. Piwnej. Profesor Kożusznik często tam wygłaszał kazania; był bardzo wierzący. Ojciec, żartując, drażnił mnie i Roberta pytaniami: „jak byłoby, gdyby wojna wybuchła między Polską a Niemcami, kto by wygrał"? Na Ojca pytanie, ja z Robertem odpowiadamy: „Naturalnie, my, Polacy, wygramy. Polska jest dobrze uzbrojona. Pokonała Rosję Bolszewicką, to i z Niemcami wygramy". „Oj, oj, synkowie, w razie wojny, to Niemcy zjedzą Polskę. Gdyby wojna wybuchła, to Niemcy będą w Brodowie do Frysztaku"[98] – mówi Ojciec. A my na to: „Co tam Ojculek gada, my pójdziemy na Prusy".

Jakież to były słowa prorocze, które wypowiedział Ojciec, który wojny tej nie dożył. Ale my dobrze pamiętamy jego słowa.

Ja z Robertem obstawaliśmy przy swoim: „Polska zwycięży".

Tak, patriotyzm polski opanowywał moje myśli i duszę, a im bliżej matury, tym bardziej. Gdyby wtedy ktoś postawił pytanie: „Jesteś Niemcem czy Polakiem?" – odpowiedziałbym śmiało i zdecydowanie: „Jestem Polakiem!"

Do matury niemieckość wywietrzała ze mnie całkowicie. Mówię o sobie, o nikim innym.

Kim był w tym czasie mój Ojciec: Polakiem czy Niemcem? Uczciwie mówiąc, nigdy nie słyszałem, aby Ojciec wypowiadał się na ten temat, to znaczy nigdy nie mówił: Jestem Polakiem, albo Niemcem. Opowiem pewien ciekawy epizod rozmowy mego Ojca z moim bratem Karolem, którą miał przed ślubem Karola z nauczycielką w Brodowie, Wilhelminą Aleksandrą Piecha. Było to w 1925 roku. W „pańskiej izbie" Karol przekonywał Ojca o słuszności swego kroku, podkreślając walory swojej wybranki. Mimo woli, usłyszałem z ust mego Ojca takie słowa: „Karlušku, ale to przecież Pólka" (Mazurzy wymawiają „Pólka", a nie Polka). Z powyższych słów można wnioskować, że Ojcu było nieprzyjemnie, że Karol żeni się z „Pólką". Boć poza tym Ojciec Piechównie nie miał nic do zarzucenia, była piękna (tak wszyscy mówili), poważna i ewangeliczka. Powyższe zastrzeżenie Ojca nie przeszkodziło jednak w ożenku Karola z Piechówną. Skoro jednak Ojciec wypowiedział takie słowa, można przyjąć, że Ojciec nie czuł się Polakiem. Był po prostu Mazurem, z pewnością Pruskim Mazurem.

Mogę się domyślać, jak ciężko musiał Ojciec przeżywać mój ożenek z Jadwigą Gertrudą Wysocką, Pólką i do tego katoliczką. Nie biorąc udziału w ceremonii naszego ślubu w ewangelickim kościele, dał temu dowód, jak tragicznie przeżywał nasz radosny (płaczliwy) dzień. Nawet konwersja mojej żony na ewangelicyzm nie rekompensowała jego smutku. Dziś aż nadto rozumiem mego Ojca, jego postawę, jego rozumowanie. Ale cóż można

[98] Do śniadania.

zrobić, skoro dzieci po swojemu urządzają swoje życie, nie dbając na dobre rady ojca, matki, nie wczuwając się w ich smutek i ból.

Na pewno Ojciec nie brał pod uwagę polskości, lecz wspólnotę religijną i kulturalną.

Ktoś zapyta: „a za kogo narodowo uważała się nasza Mateczka"? Była Polką czy Niemką? Wypowiedź Mateczki dla jednych będzie zaskoczeniem, dla innych rozczarowaniem. Tak jak Ojciec, tak i Mateczka nigdy nie wypowiadała się co do narodowości. Dopiero któregoś dnia byłem w gościnie u Mateczki, która mieszkała i żyła na utrzymaniu swoich córek, moich sióstr: Marty i Jadwigi, zajmując mieszkanie 2-izbowe w Olsztynie, przy Placu Pułaskiego 1 m. 3 na pierwszym piętrze, razem z wnuczkami: Helgą i Hanką. Było to dwa, trzy lata przed śmiercią Mateczki (zmarła 8.1.1963 roku w Olsztynie). Za nami leżały smutne i ciężkie przeżycia w Polsce: likwidacja gospodarki w Brodowie z powodu nadmiernych podatków, domiarów i obowiązkowych dostaw. Upaństwowienie gospodarstw rolnych rodzeństwa: Marty w Pierławce, Augusta w Rutkowicach, Emila w Klęczkowie. Skazanie brata Karola (działacza mazurskiego) na żebraczą rentę w wysokości 260 zł w 1951 roku. Moje zwolnienie z pracy pastora (zakaz wykonywania zawodu duchownego) w Ełku z dniem 25 maja 1959 roku. Rozmawialiśmy z Mateczką o różnych sprawach, między innymi też o wyjeździe na Zachód. W pewnym momencie siostra Marta zapytała Mateczkę: „Mateczko, powiedzcie, jesteście Polką czy Niemką"? Po raz pierwszy w życiu usłyszeliśmy z ust Mateczki słowa w języku niemieckim: „Mein Herz ist deutsch"[99]. – Komentarz zbyteczny. Ale dodam: Polska uczyniła z Mazurów Niemców.

27
Moja matura

Niektórzy koledzy, którzy ze mną rozpoczęli naukę, nie doszli ze mną do matury. Kolega Gross z powiatu mławskiego, katolik, wyleciał z „Budy" już w 1922 roku za kradzież; kolega Daase za udział w wieczornych bójkach w mieście; Henryk Bomert za złe postępy w nauce; Zygmunt Müller za „miłość" do koleżanki, Zosi Lubiejewskiej. Zygmunt wyjechał do Warszawy, ożenił się, stał się kupcem, a Zosia została mu wierna do dziś, nie wyszła za mąż, mimo iż była urodna. Inni koledzy, jak Rudolf Auch, Keller i koleżanka Ferchau, powtarzali któryś kurs i zdawali maturę rok później ode mnie, razem z moim bratem. Termin mojej matury ustalono na 16-17 maja w 1927 roku.

Już od 1 maja byliśmy wolni od nauki. Przygotowywaliśmy się do egzaminów, piśmiennego i ustnego. Na czym polegało nasze przygotowywanie do matury? Schodziliśmy się grupkami u kogoś na stancji, wyskrobywaliśmy z kieszeni grosiki, składając się na kupno bułek, szneków i mleka. Jedząc bułki, popijając mlekiem, rozprawialiśmy o maturze. Jak dosyć nabredziliśmy się, to każdy szedł do siebie, na stancję lub do internatu, przygotowywać ściągawki. Bo wbijanie do głowy materiału z pięciu lat nie miało sensu, nie było na to czasu. Każdy żył nerwami, które potęgowały się, im bliżej było matury.

[99] Moje serce jest po stronie niemieckiej.

Wreszcie nastał dzień 16 maja 1927 roku. Dzień moich urodzin. Skończyłem 20 rok życia. Wszyscy ubrani na gala, w nowe ubrania granatowe lub czarne, dziewczęta w nowych sukienkach, też w kolorach ciemnych. Wszystkich zgromadzono w jednej klasie na pierwszym piętrze od Rynku. Podzielono nas na dwie grupy. Na tablicy były wypisane tematy do piśmiennego egzaminu, dla każdej grupy inne. Każdy spisał tematy swojej grupy. Ja z grupą, do której należałem, przeszliśmy do sąsiedniej klasy. Urządzono tak, że tylko jedna osoba mogła siedzieć w ławce. Każdy dostał odpowiednią ilość arkuszy papieru do pisania, ostemplowane pieczątką Seminarium.

Profesor-dyżurny zapowiedział: „Macie 5 godzin do napisania pracy. Kto skończy wcześniej, odda pracę, może wyjść. Nikogo nie można prosić o pomoc. Nie wolno korzystać z żadnych notatek. To wszystko. Proszę pisać". Pochyliliśmy się nad arkuszem papieru i zaczęliśmy swoje mądrości przelewać na papier. W każdej klasie jeden profesor na zmianę pilnował, aby nikt nie korzystał ze „ściągawek". Chłopcy byli obładowani książkami do tego stopnia, że nogawki spodni były napięte. Wszędzie: w kieszeniach, w rękawach, pod koszulą na brzuchu pochowaliśmy zeszyty. W ręku drobna karteczka z notatkami, gdzie muszę szukać odpowiedniej książki, zeszyt na odpowiedni temat. Korzystanie z tych rzeczy było wprost niemożliwe. Na dworze, pod oknami stali koledzy z czwartego kursu, czekający na zrzut kartek z pytaniami egzaminacyjnymi. Spuszczając z klasy egzaminacyjnej sznurek, otrzymać można było odpowiedź, czy też rozwiązanie zadania, opracowanych przez kolegów z dołu. Łatwo było wyrzucić kartkę, czy też spuścić sznurek z okna. Trudniej było wciągnąć sznurek z odpowiedzią, by nie zauważył profesor dyżurujący.

Ja siedziałem w drugiej ławce od końca przy oknie. Za mną, w ostatniej ławce siedziała koleżanka Migdalska, która ledwo, ledwo przechodziła z kursu do następnego kursu. Była bardzo ładna, ale źle się uczyła. Mając też dostęp do okna, korzystała ze „sznurka" i kartek z rozwiązaniami zadań z „dołu". Potem okazało się, że te rozwiązania były złe. I biedna Migdalska przepadła i nie zdała egzaminu maturalnego. Ja ze „sznurka" nie korzystałem, raz aby nie podpaść, po drugie mieliśmy do wyboru trzy tematy, więc pomyślałem, że coś tam się napisze. I tak też było. Po czterech godzinach pisania oddałem pracę i poszedłem na plac, gdzie byli już ci, co wcześniej oddali, no i cała grupa tych, co za rok staną do matury. Gwar, rozmowy, pytania, wszystko na około tego, jak było na egzaminie. Głównie pytano: czy jest możliwość korzystania ze „ściągawek". Odpowiedź była jednoznaczna: zależy to od dyżurującego (pilnującego) profesora.

Następnego dnia, 17 maja egzamin ustny. Według wywieszonej listy, każdy wiedział, czy zdał egzamin piśmienny, a więc tym samym był dopuszczony do egzaminu ustnego. Już nie musieliśmy się stawić do klasy. Wiedzieliśmy, że Komisja Egzaminacyjna urzęduje od godziny 8. rano w klasie, w której ja zdawałem egzamin piśmienny. Porządek był następujący: na początku weszło dwóch kandydatów (-tek). Jeden z nich siadał naprzeciw stołu Komisji przy profesorze przedmiotu egzaminacyjnego, drugi siadał w ławce. Jeżeli egzaminowany na jakieś pytanie nie mógł odpowiedzieć, mógł się popisać kandydat z ławki i to liczyło się na jego dobro. Po egzaminie kandydat wychodził z klasy, jego miejsce siadał kandydat z ławki, a na jego miejsce z kolei wchodził nowy maturzysta i tak w kółko aż do końca.

Strach przeszedł po wszystkich, gdy dowiedzieliśmy się, że z Kuratorium przyjechał wizytator, Stanisław Wiśniewski, znany z surowości i oblewania „maturzystów". On też był przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej. Do Komisji, poza wizytatorem, należeli:

dyrektor Józef Biedrawa, Jan Sikora z polskiego i Bałachowski z pedagogiki. Z tych dwóch przedmiotów zdawaliśmy egzamin ustny. Ja z natury nie lubię odwlekać z decyzją, więc raniutko pobiegłem, aby jak najprędzej stanąć do egzaminu i zbyć wszystko z głowy. Niestety, nie byłem pierwszy, lecz czwarty.

Następnego dnia biegniemy do Seminarium, aby dowiedzieć się o wynikach egzaminu. Czytamy listę z nazwiskami seminarzystów, którzy zdali egzamin maturalny. Każdy się cieszy, widząc swoje nazwisko. Oczywiście, i moja radość była wielka, widząc siebie na liście. Brakowało tylko nazwiska koleżanki Migdalskiej, która zaufała z matematyki kartce na sznurku z błędnymi rozwiązaniami. Na pewno sama lepiej by napisała. Z ogłoszenia dowiedzieliśmy się też o terminie wręczenia „świadectwa dojrzałości", bo tak nazywały się świadectwa maturalne (chyba trochę niewłaściwie, bo to nie był ślub, ani pobór do wojska). Nikt z nas nie dowiedział się, jakie stopnie dostaliśmy z egzaminu piśmiennego i ustnego. Wiadome było tylko to, że stopnie były dodatnie, a więc co najmniej dostateczne.

Mając maturę za sobą, pracowaliśmy nad przygotowaniem balu maturalnego, który postanowiono urządzić w sali teatralno-balowej hotelu pana Kühnela, Ślązaka, przy ul. Dworcowej. Świadectwa maturalne wypisywał prof. Kożusznik z pomocą kogoś z seminarzystów. Uroczystego wręczenia świadectw dojrzałości dokonał dyrektor Józef Biedrawa w towarzystwie wszystkich profesorów w klasie na pierwszym piętrze od strony Rynku.

A oto moje Świadectwo Dojrzałości. Oryginał i inne dokumenty rozszabrowali „wyzwoliciele" w 1945 roku.

Sygn. akt: nieczytelne /63

ODPIS
Postanowienie

Dnia 24 maja 1963 roku
Sąd Powiatowy w Ełku, Wydział Cywilny w składzie:
Przewodniczący: E. Wojtaszek
Protokólant: E. Piekarowicz
po rozpoznaniu w dniu 24 maja 1963 roku na posiedzeniu jawnym sprawy z wniosku Edwarda Juliusza Małłek o odtworzenie świadectwa dojrzałości postanawia:
odtworzyć świadectwo dojrzałości Edwarda Juliusza Małłek w następującym brzmieniu:

Świadectwo dojrzałości

Edward Juliusz Małłek,

urodzony dnia 16 maja 1907 r. w Brodowie, powiat działdowski, województwo pomorskie, religii ewangelickiej, po zdaniu egzaminu wstępnego na kurs pierwszy, od r. 1922/23 do końca r. szk. 1926/27 był uczniem Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Działdowie, sprawował się w ciągu ostatniego roku szkolnego bardzo dobrze, zdawał seminaryjny egzamin dojrzałości/pierwszy egzamin nauczycielski, po raz pierwszy jako uczeń zwyczajny i otrzymał stopnie następujące:

z nauki religii	– bardzo dobry
z pedagogiki	– dobry
z praktyki pedagogicznej	– dobry
z języka polskiego	– dostateczny
z historii	– dostateczny
z nauki o Polsce współczesnej	– bardzo dobry
z geografii z kosmografią	– bardzo dobry
z matematyki	– dostateczny
z fizyki, chemii i mineralogii	– dobry
z biologii	– dobry
z higieny	– dobry
z rysunków	– bardzo dobry
z robót ręcznych	– bardzo dobry
z muzyki i śpiewu	– bardzo dobry
z ćwiczeń cielesnych	– bardzo dobry

Na tej podstawie Komisja Egzaminacyjna postanowiła wydać Edwardowi Juliuszowi Małłek niniejsze świadectwo dojrzałości, uprawniające do pełnienia obowiązków tymczasowego nauczyciela w szkołach powszechnych.

Edward Juliusz Małłek w czasie pobytu w seminarium pobrał stypendium w łącznej kwocie --, i jest zobowiązany do --letniej służby w szkołach powszechnych.

W Działdowie, dnia 17 maja 1927 roku.

Pieczęć okrągła z godłem państwowym: Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Działdowie.

Przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej: (–) St. Wiśniewski.

Dyrektor Seminarium (–) J. Biedrawa.

Podpisy egzaminatorów: (–) Aug. Lott, (–) Bałachowski – egz. z ped. i hist. po., (–) J. Sikora egz. z jęz. pol.

Skala oceny: Sprawowanie się: bardzo dobrze, dobrze, dobrze, odpowiednie, nieodpowiednie, postępów naukowych: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Uzasadnienie

Wnioskodawca żądał odtworzenia świadectwa dojrzałości z ukończenia Seminarium Nauczycielskiego Mąskiego w Działdowie w r. szkolnym 1926/27, twierdząc, że dokument ten zaginął mu podczas działań wojennych. Do akt załączono pismo Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Olsztynie, z którego wynika, że wszystkie akta w w/w gimnazjum zaginęły w 1939 r.

Sąd dokonał stosownego ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Oświaty z dnia 31 grudnia 1962 r.

Z zeznań świadków: Eugeniusza Piechy i Jana Kuchcika wynika, iż wnioskodawca w 1927 r. ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie w Działdowie.

Wobec powyższego na zasadzie przepisów z dekretu z dnia 7.VII. 1945 r. (Dz.U. nr. 7, poz. 36 z późniejszymi zmianami) należało postanowić jak w sentencji.

Pieczątka: Na oryginale właściwe podpisy.

Pieczęć okrągła. W środku pieczęci godło Państwa. Na jej obrzeżu: Sąd Powiatowy w Ełku.

Za zgodność: Sekretarz, podpis nieczytelny

Bal maturalny odbył się według planu. Zaproszeni byli wszyscy profesorowie z dyrektorem na czele. Najpierw była uczta przy pięknie udekorowanych stołach, dzieło naszych koleżanek, w sali z girlandami i lampionami ozdobionych przez chłopców. Po oficjalnym przemówieniu przedstawiciela maturzystów i dyrektora stoły usunięto pod ściany i rozpoczęła się potańcówka. Wprawdzie nie dla wszystkich, bo wielu (i ja) nie umieli tańczyć. Czas upływał na rozmowach. Nie obyło się też bez porachunków. Niektórzy z kolegów, po wypiciu alkoholu, nabrali odwagi do wygarnięcia swego żalu, a nawet złości niektórym profesorom za niesprawiedliwe stopnie.

Profesor Bałachowski, atakowany przez kolegę Aleksandra Tereya, musiał cichaczem ulotnić się, aby nie oberwać po grzbiecie. (Nawiasem powiem, że kolega Terey był bardzo zdolny, ale ogólnie wiadome było, że razem z kolegą Edmundem Moritzem byli wydaleni z Gimnazjum w Suwałkach. Terey był szczególnie dobrym matematykiem, „zaginał" każdego profesora. Poza lekcjami nie lubił się uczyć, a prof. Bałachowski nie przepuścił nikomu. Jednym słowem, pedagogika nie była ulubionym przedmiotem Tereya. Myślę, że pretensje jego były nieuzasadnione.)

Moimi ulubionymi przedmiotami były: geografia z nauką o Polsce współczesnej, pedagogika, śpiew i anatomia, którą wykładał dr Rachocki.

Powracając do balu maturalnego dodam, że poza krytycznymi wypowiedziami niektórych kolegów przeciwko pewnym profesorom do rękoczynów nie doszło. Bawiono się wesoło, aczkolwiek nie tylko ja, ale i inni koledzy nie umieli tańczyć. Dla mnie wtedy jeszcze, zgodnie z zasadami religijnymi „gromadkarzy", tańczenie było grzechem. Dopiero dwa lata później, będąc nauczycielem, spróbowałem tańczyć.

Po balu maturalnym, podpisując wspólne zdjęcie pamiątkowe, rozjechaliśmy się do domu.

Osobiście, zdobywając maturę, cieszyłem się podwójnie: po pierwsze, zdobyłem ulubiony zawód nauczyciela. Że lubiłem uczyć dzieci, przekonałem się, prowadząc „próbne" lekcje w „Ćwiczeniówce" w klasie nauczyciela Dawida, który był dobrym pedagogiem. (Później zszedł na „dziady" jako alkoholik.) Po drugie, cieszyłem się, że zdobyłem polską dojrzałość narodową, czułem się **Polakiem**. (Muszę już w tym miejscu powiedzieć, że co do mojej polskiej świadomości narodowej inni mieli odmienne zdanie. Ale o tym w innym miejscu.)

Zdobywając maturę, cieszyłem się, że nie będę ciężarem dla Rodziców, którzy kształcili mnie i Roberta na własny koszt, bez jakiejkolwiek pomocy ze strony państwa i szkoły. Z powodu naszego kształcenia Rodzice musieli sprzedać olchowy las pod Gajówkami oraz „Duże Łąki". Gospodarka w Brodowie uległa uszczupleniu. Ciężarem Rodziców pozostał tylko brat Robert, który zdał egzamin maturalny w maju 1928 roku. Jednak świadectwa nie dostał, bo powiedziano mu, że „jest za mały (1,5 m), aby mógł być nauczycielem; jak podrośnie, dostanie świadectwo". Co za pech. W domu Robert odżywiał się odpowiednio i cud się stał: do pierwszego września podrósł o 10 cm i mógł objąć posadę nauczycielską w Działdowie.

Po maturze, zastanawiałem się nad przyszłą pracą nauczycielską. Ale do 1 września miałem trzy miesiące wakacji, które spędziłem u Rodziców na gospodarstwie w Brodowie. Z radością pomagałem w zbiórce siana i przy żniwach. Zresztą, tak spędzaliśmy coroczne wakacje. Nie, nie, na „wczasy ani na wycieczki" do Jugosławii, Bułgarii, Włoch, Francji, Ameryki... Rodzice nas nie wysyłali. Wycieczki nasze prowadziły nas na nasze żyzne pola, pełne kwiecia łąki i pachnące żywicą lasy. W czasie wakacji Mateczka szykowała mi wyprawę: dobrą pierzynę ze świeżych piór od własnych gęsi (aby „Synek" nie marzł), bieliznę pościelową, nowe ubranie na co dzień i nowe buty. Bo na maturę dostałem nowy czarny garnitur, który nosiłem w niedziele i święta. Całą wyprawę ułożono w koszu do bielizny i w antycznym kuferku, który od pójścia do Seminarium towarzyszył mi na posady nauczycielskie. Koszule mogły być tylko białe; kolorowe, w kratkę, nie wchodziły w grę. Bo nauczyciel w tamtych czasach to był pan i musiał się ubierać po pańsku. Tak byłem przygotowany na posadę.

28
Podanie o posadę nauczycielską

Po maturze inspektor szkolny w Działdowie, pan Klimosz, cieszył się, że będzie miał drugiego nauczyciela Małłka w swoim powiecie. (Wyjaśniam: moje nazwisko według me-

tryki było „Mallek" i na to nazwisko było wystawione świadectwo dojrzałości.) Osobiście też byłem nastawiony, że będę pracował w rodzinnych stronach. Ale stało się inaczej.

Starszy brat Karol, będąc nauczycielem – kierownikiem trzyklasowej szkoły w Kisinach, powiat Działdowo, przekonywał i namawiał mnie, abym podanie złożył do powiatu Grudziądz. Do dziś dnia nie wiem, czym się kierował, odmawiając mi pracę w powiecie rodzinnym. A przecież Seminarium w Działdowie miało właśnie na celu kształcenie Mazurów do pracy wśród Mazurów. Mogę się tylko domyślać powodów: być może obawiał się, że mogę być lepszym nauczycielem od niego. Snuję to na podstawie doświadczenia, które Robert miał z Karolem, który jedyny z nauczycieli skrytykował lekcję Roberta na Konferencji Rejonowej w Kurkach. W każdym razie, uległem radom Karola i wniosłem podanie do Kuratorium Pomorskiego w Toruniu z prośbą o posadę w powiecie grudziądzkim. Klamka zapadła.

29
Moja pierwsza posada nauczycielska

W lipcu 1927 roku otrzymałem nominację na nauczyciela w trzyklasowej szkole powszechnej we wsi Lisnowo, powiat Grudziądz (dawniej Leistenau). Natychmiast jadę na oględziny. Patrzę na mapę i stwierdzam, że w Jabłonowie muszę przesiąść do kolejki wąskotorowej idącej w kierunku granicy Prus Wschodnich czy Zachodnich. Czekam w Jabłonowie na podstawienie pociągu wąskotorówki do Lisnowa. W Jabłonowie słyszę mowę niemiecką. Wreszcie wsiadamy do pociągu. Wagony „bydlęce" – towarowe. Opieramy się o ściany. Wsiadając, słyszę tylko język niemiecki. Po polsku nikt nie mówił. Pomyślałem sobie: dokąd ja tu jadę? Co też mnie tu czeka za niespodzianka? Stojąc jeden przy drugim, dojechaliśmy do stacji Szarnoś (Scharnau). Wysiadam. Chociaż widzę w odległości jednego kilometra wieś, dla pewności pytam się po niemiecku o drogę do Lisnowa i do szkoły. Grzecznie wskazano mi drogę, a do szkoły we wsi należy iść w prawo. Trochę zaszokowany mową niemiecką, bezmyślnie idę bez towarzystwa do wsi, we wsi kieruję się do szkoły, którą poznaję po wyglądzie. Jest szkoła, zatrzymuję się. Patrzę, taka mała szkoła, a w nominacji pisze trzyklasowa. Budynek wygląda na to, że mieści tylko jedną klasę. Chwytam za klamkę, drzwi zamknięte.

Pytam przechodniów po niemiecku (Polaków nie spotykam), czy mogą mi powiedzieć, gdzie mogę spotkać kogoś z nauczycielstwa. Powiedziano mi, że kierownik wyjechał na urlop, ale jest nauczycielka, która mieszka prywatnie u pani „N. N." – wskazano mi dom. Pukam, wchodzę, widzę dwie panie, rozmawiające ze sobą po niemiecku. Domyśliłem się, która może być nauczycielką, podchodzę i przedstawiam się: jestem Mallek. Pani nauczycielka przedstawia się: jestem Kamińska. Przedstawia też swoją gospodynię, która, po przywitaniu, wyszła z pokoju, zostawiając nas sam na sam.

Pokazałem pani Kamińskiej moją nominację. Przeczytała i zaczęła mnie informować o miejscowej szkole. Powiedziała, że szkoła mieści się w dwóch budynkach: jedna klasa mieści się w nowym budynku (na który po drodze zwróciłem uwagę), w którym uczy najstarsze roczniki kierownik szkoły, Alojzy Pronobis. W drugim budynku przy ewangelickim kościele mieszczą się dwie klasy. W jednej uczy Kamińska młodsze roczniki. A w drugiej

klasie uczą się dzieci niemieckie. Dalej informuje mnie: nauczyciel niemiecki pan Klebs został zwolniony, więc przypuszczam, że pan (zwracając się do mnie) przejmie po nim niemiecką klasę. Dla upewnienia się pytam, w jakim języku tam trzeba uczyć? „Oczywiście, po niemiecku" – odpowiada. Pytam dalej: tylko po niemiecku? „Tak. Tylko jedna godzina dziennie przeznaczona jest na język polski. Wszystkie inne przedmioty w języku niemieckim, nawet historia o Polsce też po niemiecku".

Pani Kamińska zdziwiła się, gdy powiedziałem: „To straszna dla mnie niespodzianka, bo ja nie umiem po niemiecku. To niemożliwe, abym mógł tę posadę przyjąć. Z miejsca jadę do inspektora, prosić o inną posadę" – powiadam do pani Kamińskiej. Czułem się przecież Polakiem. Pani Kamińska ugościła mnie kawą. Nie zwlekając, jeszcze tego samego dnia jestem w Inspektoracie Szkolnym w Grudziądzu. Na szczęście zastaję inspektora Józefa Sowińskiego. Przedstawiam mu się i mówię mu, że ja posady niemieckiego nauczyciela w Lisnowie przyjąć nie mogę, bo nie umiem po niemiecku. Na to inspektor odpowiada: „Przecież pan jest ewangelikiem". (Oto najlepszy dowód polsko-katolickiego myślenia: ewangelik to Niemiec.) „Tak jest, jestem ewangelikiem, ale muszę panu wyjaśnić, że w naszym domu rodzinnym nigdy nie mówiliśmy po niemiecku, dlatego bardzo proszę o polską posadę, bo klasy niemieckiej w Lisnowie nie będę w stanie prowadzić".

W trakcie rozmowy wszedł otyły pan. Okazało się, że to był drugi inspektor szkolny, pan Batock, Kaszub. W końcu inspektor Sowiński powiedział: „Pomyślimy. Damy na piśmie odpowiedź". Jeszcze raz podkreśliłem, że nie mam żadnych kwalifikacji w języku niemieckim, gdyż w Seminarium w Działdowie nie mieliśmy ani jednej godziny nauki języka niemieckiego. Poprosiłem raz jeszcze o zmianę decyzji. Ukłoniłem się, wyszedłem. Trochę zniechęcony, wróciłem do domu i opowiadam o mojej podróży i rozmowie z inspektorem. Wszyscy zdziwili się, że dostałem nominację na objęcie szkoły niemieckiej. Liczymy jednak, że przed 1 września nadejdzie odpowiedź inspektora. Do tego czasu było jeszcze sześć tygodni. Wreszcie, krótko przed 1 września, otrzymuję pismo, że niestety innej posady nie otrzymam i powinienem podjąć pracę w Lisnowie. To było dla mnie drugą niespodzianką. Pierwszą moją myślą było zrezygnować z Lisnowa i przy tym obstawałem. Ale znów znalazł się ten sam „doradca", brat Karol. Zachęcał mnie słowami: „Nie rezygnuj, dasz sobie radę. Na drugi rok poprosisz o przeniesienie" itd., itp. Z drugiej strony dręczyła mnie myśl, że rezygnując, musiałbym siedzieć u rodziców, być ich ciężarem, czekając na inną posadę. To zadecydowało, że 1 września zjawiłem się w Lisnowie jako „niemiecki nauczyciel". Wtedy nie nasunęło mi się jeszcze pytanie: „Polak czy Niemiec?", bo byłem wtedy przekonanym Polakiem.

Przed 1 września 1927 roku zajeżdżam tą samą drogą, co pierwszy raz do Lisnowa. „Mit meinen sieben Sachen"[100] (to powiedzonko było mi znane). Melduję się u kierownika. Przedstawiam się, podając mu rękę. Jak mi rękę ścisnął, to wiedziałem, że to silny człowiek. Nieco wyższy ode mnie, ale grubszy, krępy. Przyjął mnie bardzo serdecznie i zapowiedział, że na razie będę mieszkał u niego, aż znajdę dla siebie mieszkanie. Okazało się, że moje mieszkanie służbowe zajmuje zwolniony niemiecki nauczyciel, pan Klebs. Nie rozumiałem tego wszystkiego, ale kierownik zapewnił mnie, że o wszystkim mnie poinformuje. Mam się tylko rozpakować. Zrobił od razu kawę i jedzenie. Zauważyłem, że to mu idzie jak najlepszej gospodyni. Przy tym powiedział, że sam sobie gospodarzy, a na obiady chodzi do restauracji – karczmy pana Salomona, Żyda.

[100] Ze wszystkimi manatkami.

Po posiłku poszliśmy do sołtysa, który był krawcem, sprowadził się do Lisnowa po pierwszej wojnie światowej. A więc był przybyszem z Poznańskiego, wyznania katolickiego. Kierownik przedstawił mnie jako nauczyciela niemieckiej klasy, który potrzebuje mieszkania. „Będzie to sprawa trudna" – powiada sołtys – „ale musimy znaleźć". Bowiem wieść o mnie jako o „niemieckim nauczycielu" nie mówiącym po niemiecku rozeszła się błyskawicą po całej wsi.

Umówiliśmy się z sołtysem na jutro. Mam do niego przyjść i razem pójdziemy szukać mieszkania. Wróciłem z kierownikiem do jego mieszkania, u którego też miałem pierwsze noclegi. Usiedliśmy i kierownik zaczął mi opowiadać o sytuacji, która zaistniała we wsi po mojej nominacji na nauczyciela dla klasy niemieckiej. Zakomunikował mi, że drugi budynek szkolny, w którym jest „moja" klasa i pani Kamińskiej, jako własność Kościoła Ewangelickiego jest przez tenże kościół zamknięty, a klucze oddane adwokatowi w Grudziądzu. Dalej, że dzieci niemieckie zapowiedziały strajk i nie przyjdą do szkoły. (Gdy to kierownik powiedział, zaistniała we mnie iskierka nadziei, że muszą mnie przenieść.) Kierownik mówi dalej: Dopóki sytuacja się nie wyjaśni i drugi budynek będzie zamknięty, zmuszeni jesteśmy w trójkę uczyć tylko dzieci polskie (katolickie), z tym, że dwoje z nas będą uczyli, a trzeci na zmianę będzie miał wolny dzień. Niemcy Lisnowa strajkują, bo nie zgadzają się na moją nominację. Kierownik słyszał w karczmie, jak wygrażali się pod moim adresem, wykrzykując: „Wenn nicht anders, dann werden wir ihn mit den Forken rauswerfen" (jeżeli nie inaczej, to go na widłach wyrzucimy). Można sobie wyobrazić, jak ja się wówczas czułem. Po prostu jak owieczka czy baranek otoczony stadem wilków. Jako niewinny, niedoświadczony nie wiedziałem, co robić. Kierownik radził wytrwać. Zobaczymy, jak sprawy się potoczą – powiada.

Następnego dnia idziemy z sołtysem szukać mieszkania, bez kierownika. „Pójdziemy najpierw do dwóch sióstr (stare panny), które mają duży dom" – powiada sołtys. Pukamy, drzwi się otwierają, wychodzą dwie starsze panie. Sołtys przedstawia sprawę, o którą chodzi, jednocześnie przedstawiając mnie jako nauczyciela. Panie nie podały rąk. Co do mieszkania, odpowiedziały krótko w dość ostrym tonie: „Nein, in keinem Fall"[101] (później dowiedziałem się, że Niemcy umówili się, aby nie dać mi mieszkania). „Teraz pójdziemy do jednej wdowy z córką – powiada sołtys – Jeżeli i ta odmówi, wówczas będę zmuszony czyjeś mieszkanie zarekwirować". Wchodzimy do pani Stanko z córką Metą. Przedstawiamy się i sołtys pyta, czy mogą odstąpić pokój dla nauczyciela. Kobietki popatrzyły, podumały, może pomyślały: taki młody, a może pasowałby do Mety? No, nie wiem, co sobie pomyślały, w każdym razie zgodziły się oddać mi pokoik na strychu. Poszliśmy oglądać. Po otwarciu drzwi, na wprost, w rogu stał kaflowy piec, w prawo przy ścianie mały stół, jedno krzesło, naprzeciw przy ścianie łóżko drewniane z siennikiem ze słomą, dwa małe, wąskie okienka, przez które można wyglądać na ulicę, między okienkami małe podłużne lustro. Szafa ubraniowa nie mieściła się w pokoju, stała obok na strychu. Chcąc dojść do okna, trzeba było krzesło podsunąć pod stół. Powierzchnia pokoju wynosiła 2,20 x 4,0 m. Sołtys zapytał się, czy zgadzam się na to mieszkanie. Znając sytuację, zgodziłem się, byłem szczęśliwy, że będę miał własny, cichy kąt. Natychmiast przeniosłem swoje „Vier Sachen"[102] od kierownika do „swego" mieszkania, które nazwałem „gołębnikiem".

[101] Nie, w żadnym wypadku.
[102] Manatki, rzeczy.

Chwilę po wejściu do mieszkania, puka ktoś do drzwi. Wchodzi panna Meta, niosąc w rękach wazę ze wspaniałymi jabłkami. Ślicznie podziękowałem, gdyby nawet miały być jabłkami Ewy kuszące Adama. Ale mimo woli przypomniały mi się też „widły", na których lisnowiacy chcą mnie wyrzucić. Zrozumiałem, że nie wszyscy są uzbrojeni w widły. Niektórzy mają dobre serce i nawet bardzo smaczne jabłka. To mnie pocieszyło. W dodatku Meta pyta się: „Möchten Sie vielleicht Frühstück, Mittagessen und Abendbrot haben?" (czy chciałby pan mieć śniadanie, obiad i kolację?). „Sehr gerne" (bardzo chętnie) – odpowiadam. Meta dodała, że mogą mi to robić. Podziękowałem z wielką radością. Ceny nie ustaliliśmy, bo to dla mnie nie było ważne. Ważne, że będę miał jedzenie gotowe i na miejscu. Ustaliliśmy tylko godziny poszczególnych posiłków. Pogadaliśmy jeszcze trochę i Meta zostawiła mnie ze smacznymi jabłkami. Och, jakie one smaczne. Czy podobała mi się Meta? – o tym powiem później. W tej chwili miałem ważniejszy kłopot – problem nauki w szkole.

Nadszedł pierwszy dzień nauki szkolnej, dzień 1 września 1927 roku. Zjawiłem się na czas u kierownika szkoły, witając się z nim i koleżanką Kamińską. Kierownik, Alojzy Pronobis (10 lat starszy ode mnie, pani Kamińska tyleż, a może nawet więcej), oświadczył nam, że klasy w drugim budynku są zamknięte, dzieci niemieckie strajkują, nie stawiły się do szkoły. Sprawa o dwie klasy w budynku, który jest własnością Kościoła Ewangelickiego, znajduje się w rękach Inspektora Szkolnego i adwokata, zastępującego interesy kościoła. Pracę naszą – mówi dalej Kierownik, musimy ograniczyć na czas niewiadomy do jednej klasy i tylko do dzieci polskich. Jedno z nas będzie miało lekcję ze starszymi rocznikami od 8. do 11. godziny, drugi z nas z młodszymi rocznikami od 11. do 13. godziny, trzeci z nas na zmianę będzie miał dzień wolny.

Po tej informacji schodzimy z mieszkania kierownika (z pierwszego piętra) na dół do jedynej klasy, w której zgromadzone są wszystkie polskie dzieci. Kierownik przedstawił mnie i wyjaśnił zaistniałą sytuację. „Tak długo, jak tamte klasy będą zamknięte, pan Małłek i was będzie uczył" – dodał kierownik. Nastąpiła luźna rozmowa na temat książek, zeszytów i innych pomocy szkolnych. Po sporządzeniu spisu poszczególnych oddziałów (klas), zapowiadając, że od jutra rozpocznie się normalna nauka, rozpuszczono dzieci do domu. Dłuższą rozmową nad zaistniałą sytuacją zakończyliśmy dzień 1 września 1927 roku.

Dowiedziałem się, że dzieci polskich jest około 45 osób, pochodzących z rodzin robotników, zatrudnionych w miejscowym dużym majątku. Poza tymi były dzieci listonosza. Polką była kierowniczka Agencji Pocztowej, panna. Polakiem był już wspomniany sołtys, który nie miał dzieci szkolnych. Reszta mieszkańców Lisnowa to Niemcy. Dzieci niemieckie to przeważnie dzieci rolników, młynarza i rzeźnika, i kilkoro robotników folwarcznych. Domyślałem się, że akcją przeciwko mnie kierują ks. Horn i zwolniony nauczyciel Klebs, ostatni zajmujący „moje" mieszkanie służbowe, które należało do Kościoła ewangelickiego. Mieszkanie to znajdowało się naprzeciw mojej klasy. Słysząc codziennie o nienawiści Niemców do mnie, często płakałem w moim „gołębniku".

Od drugiego września uczyliśmy w trójkę dwie klasy polskie i to przez okres trzech tygodni. Po trzech tygodniach nauki było dwa tygodnie wakacji na wykopki ziemniaków. Na dziesięć dni wyjechałem do domu, do rodziców. Niestety, nie znalazłem tam żadnej rady, która pozwoliłaby mi wywikłać się z afery w Lisnowie.

Po powrocie do Lisnowa dowiaduję się, że strony sporne doszły do porozumienia: klasy będą otwarte, dzieci niemieckie zakończą strajk, przyjdą do szkoły. Pomyślałem: „Jaka szkoda, czemu nie strajkują choćby cały rok".

Miałem kilka dni czasu na przygotowanie się do lekcji. Każdą lekcję przygotowywałem na piśmie, by nie popełnić rażących błędów językowych. Przygotowania te były solidne i dokładne. Piątego października 1927 roku zjawiłem się przed dziećmi mojej (już nie w cudzysłowie) klasy. Przestraszyłem się liczbą dzieci, które wypełniały po brzegi klasę. Było ich 79, czyli dwa razy tyle, co dwoje nauczycieli polskich. Widzę, że niektóre dziewuchy i chłopcy są więksi i silniejsi ode mnie. Cisza w klasie. Przedstawiłem się i zapowiedziałem, że dzisiaj nauki nie będzie, sporządzę jedynie spis poszczególnych oddziałów. To trwało dość długo. Podałem też do wiadomości rozkład godzin lekcyjnych. Nauka odbywać się będzie dla starszych od 8. do 11., dla „maluchów" od 11. do 13. godziny. Na zakończenie pierwszego dnia powiedziałem: „Jetzt könnt ihr nach Hause gehen"[103].

Następnego dnia rozpocząłem lekcję nauką religii. Dzieci zachowywały się możliwie cicho. Po przerwie przystąpiłem kolejno do innych przedmiotów. Cokolwiek powiedziałem (a mówiłem z kartki, a więc bez błędu), cokolwiek napisałem na tablicy, dzieci chórem wrzasnęły śmiechem. Gdy się odwróciłem, nastąpiła cisza. Znów coś powiedziałem lub napisałem, dzieci parskają śmiechem. Pytam się, dlaczego się śmieją. Nie odpowiadają.

Tak przeszło kilka dni. Rozmawiam z kierownikiem na temat sytuacji w mojej klasie oraz o moich trudnościach w języku niemieckim. W międzyczasie bowiem dowiedziałem się, że kierownik Pronobis kończył niemieckie seminarium nauczycielskie jeszcze za „niemieckich czasów", więc prosiłem go, aby on przejął klasę niemiecką, przynajmniej język niemiecki i historię, a ja przejmę język polski i historię w jego klasie. Powiedział, że to jest niemożliwe. Zdziwiłem się bardzo. Dlaczego niemożliwe? – pytam. Przecież zauważyłem, że Niemcy pana cenią i lubią, dlaczego nie moglibyśmy poczynić takich zmian. Krótko mówiąc: kierownik nie zgodził się na moją propozycję, nie uzasadniając swojej decyzji. A więc nadal jestem narażony na pośmiewisko. Domyśliłem się, że to chyba po prostu taktyka celem zmuszenia mnie do ucieczki. Bez skutku były moje wyjaśnienia, że jestem w Lisnowie wbrew mojej woli, że każdej chwili gotów jestem opuścić Lisnowo, ale przeniesienia dokonać może tylko inspektor szkolny. Moje tłumaczenia nie dochodziły do uszu młodzieży, ani ich rodziców. Dzieci nadal się śmiały bez powodu, aż wreszcie wyczerpała się moja cierpliwość. Zapowiedziałem dzieciom starszych roczników (bo tylko te się wyśmiewały), mówiąc do nich: „Dobrych słów nie przyjmujecie, a ponieważ jesteście Niemcami, więc od jutra stosować będę wobec was dyscyplinę niemiecką". „Schluss, aufstehen – nach Hause!"[104].

Zapowiadając niemiecką dyscyplinę, którą dobrze znałem z moich lat niemieckiej szkoły podstawowej w Brodowie, brałem wszelkie ryzyko na siebie: zwycięstwo albo klęska. Nad decyzją rozmyślałem dniami i nocami. Nie znałem bowiem lania w domu, a w szkole tylko w miarę. Idąc na nauczyciela, byłem pewny, że kija nie będę używał. Z chwilą wylądowania w Lisnowie prysły wszelkie ideały pedagogiczne i dydaktyczne. Stanąłem przed twardą próbą z rzeczywistością. Poznałem, że życie to nie bajka. Przygotowując się w Seminarium do zawodu nauczycielskiego byłem pewny, że będę idealnym, spokojnym, dobrym, miłym, łagodnym nauczycielem, z miłością podchodzącym do dzieci

[103] Teraz możecie iść do domu.
[104] Dosyć, wstańcie i do domu!

(bo takim właściwie byłem i w Lisnowie), a tymczasem widzę, że sytuacja nabrzmiewa i nabiera takich rozmiarów, że muszę stać się tyranem. Bowiem obraz szkoły, który nosiłem w mojej wyobraźni i który wyniosłem z Seminarium, okazał się fatamorganą, balonikiem mydlanym. W sytuacji, w której się znalazłem nie z mojej winy, znosząc cierpliwie drwiny i śmiechy ze strony dzieci przez cały miesiąc, uważałem, że tak dalej być nie może. Nie widziałem innego wyjścia, jak zastosowanie dawnej metody niemieckiego wychowania: „Chłosty kija". Długi czas dręczyła mnie ta myśl. Zastanawiałem się nad sposobem jej użycia.

Pewnego dnia, gdy Meta postawiła mi obiad na stół (Meta miała 16 lat, czyli zaledwie dwa lata temu skończyła szkołę), mimo woli zapytałem ją: „Czy twój nauczyciel, pan Klebs (mój poprzednik), bił dzieci". Odpowiedziała bez namysłu: „Und noch wie" (jeszcze jak), dodając: „Manchmal für nichts" (czasami za nic). Ze słyszenia dowiedziałem się, że mój poprzednik był bardzo ostry, dawnej daty nauczyciel. Skoro tak, że nawet bez powodu bił, to dlaczego ja mam przepuszczać bezkarnie takie wybryki, pomyślałem. Jeżeli mego poprzednika, mimo stosowania kar cielesnych, tak bardzo szanowali i lubili, to może i mnie wtedy...

Wątpiłem, aby polubili. Zobaczymy, co będzie. Po lekcjach wszedłem do ogrodu szkolnego, gdzie rosły różne krzewy. Wyciąłem trzy różnej długości i grubości rózgi. Zaniosłem do klasy, położyłem na katedrę (stół nauczycielski). Zobaczę, jakie wrażenie jutro zrobią na dzieciach. Ktoś zapyta: Jak mogłem miesiąc znosić tego rodzaju drwiny i pośmiewiska? Tak, trudno to wyobrazić, trudno oddać słowami, trudno opisać taką sytuację. Jedno mogę powiedzieć, że wówczas miałem jeszcze nerwy nienaruszone. Byłem cichutki, skromniutki, niedoświadczone niewiniątko. „Jak wobec tego wyglądała nauka? Krótko mówiąc: Ja robiłem swoje, dzieci (starsze roczniki) swoje. To nie była nauka. (O maluchach powiem później.) W tej sytuacji pozostało mi tylko płakać w moim „gołębniku" i składanie podań bez skutku o przeniesienie.

Następnego dnia, po przygotowaniu rózg, idę do szkoły trochę podniecony i z myślą: a może dzieci zmienią do mnie swój stosunek? Wchodzę do klasy, niesamowity gwar. Dzieci, widząc mnie, zajmują miejsca w ławkach. Spojrzałem na katedrę, rózgi leżą, ale inaczej ułożone, w innym miejscu. To znak, że rózgi były w rękach dzieci. Po drodze do szkoły wiedziałem, że jeżeli dojdzie do użycia rózgi, to tylko przez spryt mogę odnieść sukces, zwycięstwo. Zasiadłem za katedrą, odczytałem listę obecnych. Wstałem, podszedłem do tablicy i piszę coś z gramatyki (była to lekcja języka niemieckiego). Gdy tylko napisałem jedno zdanie, dzieci wrzasnęły śmiechem, głośniej niż zawsze. Odwróciłem się do dzieci, spokojnie zapytałem, czy coś źle napisałem. Milczenie. Skoro nic nie mówicie, to znaczy, że to, co napisałem, jest bez błędu. (Na pewno było bez błędu, bo odpisywałem z zeszytu według lekcji przygotowanej w domu.) Nadto przypomniałem dzieciom to, co powiedziałem wczoraj o dyscyplinie niemieckiej. Podkreśliłem dobitnie, jeżeli jeszcze raz wybuchną śmiechem bezpodstawnie, leżące na stole rózgi będą użyte. Mówię to bez żartu. Piszę dalej na tablicy. Już przy drugim zdaniu dzieci parsknęły śmiechem. Znów pytam grzecznie: „Co jest złego na tablicy?" Milczenie. Na to zwróciłem się do chłopca z ostatniej ławki, który wydawał mi się być najsilniejszym i prowodyrem chłopców. Pytam go: „Dlaczego śmiałeś się?" Milczy... „Chodź do przodu". O dziwo, przyszedł do przodu, drwiąco uśmiechnięty. Trzymając najgrubszą rózgę w ręku, mówię do niego: „Kładź się na ławę!" On się śmieje. Powtórzyłem jeszcze raz. On nie reaguje, śmiejąc się. Wtedy ja do niego mówię: „Patrz, jak wszyscy się z ciebie śmieją – wskazując ręką na klasę. Na to on odwró-

cił się do dzieci. Ja błyskawicznym chwytem, lewą ręką z tyłu za kołnierz marynarki, rzuciłem go na ławę, a prawą leję po tyłku ile wlezie. Nie puściłem go z ręki, aż zaczął strasznie płakać i wołać: „Hilfe!”[105]. Ale jakoś nikt nie ruszył się, aby mu pomóc. W klasie zauważyłem konsternację. Na pewno dzieci nie przypuszczały, że jestem tak silny, skoro najsilniejszy chłopak nie mógł wyrwać się z moich rąk. Z płaczem usiadł chłopak w ławce, zasłaniając rękami swoją zawstydzoną twarz. Odsapnąwszy trochę, zwracam się do klasy: „Kto chce być następny?” Chwilę czekam. Milczenie. Nikt się nie zgłosił. Dalsze godziny tego dnia upłynęły spokojnie, bez śmiechu. Co dzieci w tym czasie myślały, trudno powiedzieć. W każdym razie, ze zwieszonymi głowami poszły do domu. A ja, odniósłszy sukces, myślę: jaki też będzie następny dzień? Jaką też instrukcję udzielą rodzice dzieciom? Na wszelki wypadek rózgę wymieniłem na nową, bo była sfatygowana. Na drugi dzień zauważam na twarzach wielu dzieci odwagę, jakby gotowe do walki. Z pewnością dostały od rodziców odpowiednią instrukcję. Wcale się nie pomyliłem. Bo za pierwszym zdaniem skierowanym do dzieci wybuchły śmiechem. Ponieważ patrzyłem na klasę, więc wiedziałem, kto się śmiał. Wywołałem pierwszego lepszego z chłopców. To był „średniak”, średnio mocny. Wywołany, przyszedł do przodu. „Kładź się na ławę” – mówię do niego. Trochę się wierci, ale o cudo, kładzie się. Dostał „średnią” rózgą, nie za dużo, ale tyle, aby to poczuł. Wywołuję następnego ze „średniaków”. Powtarzam procedurę. I ten się dobrowolnie kładzie na ławę. Dostał swoją porcję. Wywołuję na próbę jednego z silniejszych. O dziwo, i ten się kładzie. Nie pamiętam, ilu chłopców tego dnia dostało po portkach, ale daleko nie wszyscy. Przeszedłem na prawą stronę do dziewcząt. Pytam: „Dlaczego się śmiałaś?” Milczy, nie daje odpowiedzi. „Wyciągnij rękę, otwórz dłoń”. Posłusznie wyciąga. Dostała raz rózgą. Tak samo kilka innych. Reakcja dzieci dnia dzisiejszego bardzo mnie zaskoczyła, bo myślałem, że z każdym będę musiał walczyć, jak z pierwszym. Czyżby klęska pierwszego delikwenta tak podziałała, że nie odważały się przeciwstawiać? A może były po prostu przyzwyczajone do otrzymywania lania, jak to było za mego poprzednika, który lał nawet „za nic”, według słów Mety.

Z żalem i przykrością muszę powiedzieć, że stosunek dzieci (starszych roczników) do mnie się nie poprawił. One się śmiały, a moje rózgi „tańcowały” po tyłkach chłopców i po rękach dziewcząt. Oczywiście posypały się skargi do Inspektora Szkolnego. Ten przysyła mi pisma pouczające i upominające, że nie wolno stosować w nauce kar cielesnych. Pisma te lekceważę, bo chcę na gwałt, aby mnie przenieśli.

Któregoś dnia znienacka przyjeżdża inspektor Patock na inspekcję. Trafia na pierwszą lekcję, na naukę religii. Ponieważ religii uczyłem się przez osiem lat w szkole powszechnej i dwa lata nauki konfirmacyjnej po niemiecku, więc lekcja językowo wypadła nieźle. Po lekcji inspektor powiada: „No widzi pan, panie Mallek, jak doskonale daje pan sobie radę”. Zadowolony odjechał, nie interesując się sytuacją, walką, którą toczą dzieci przeciwko mnie, a ja się tylko bronię. Walka ta trwała aż do wakacji Świąt Bożego Narodzenia, z następującymi urozmaiceniami: matki niektórych dzieci, pod wodzą pani Kadau, uzbrojone w kije, przychodziły kłócić się ze mną. Wchodziły brutalnie do klasy, wygrażając kijami. Przypomniały mi się sceny z Brodowa, sprzed 15 laty, które przeżywał niemiecki kierownik szkoły, Konstanty Chmielewski. Czy przeszło mi wtedy przez głowę, że mnie to samo spotka? Były wypadki, że musiałem opuścić klasę i pozostawić wojownicze kobiety, aż się wyszumią.

[105] Na pomoc!

Inspektor Patock, będąc na wizytacji, namawiał mnie, abym złożył wizytę miejscowemu pastorowi. Co? – pomyślałem, mam iść do tego, który jest prowodyrem walki przeciwko mnie. Nie, tego nie zrobię. Ale i kierownik szkoły mówi: „Idź pan, to nie zaszkodzi". Z niechęcią poszedłem. Dzwonię. Długo czekałem, aż gospodyni otworzyła drzwi. Wprowadziła mnie do pokoju. Siedzę i czekam. Wiem, że nie ma żadnych gości, cichutko w plebanii. Daje mi po prostu czekać. Po przeszło pół godziny wreszcie przychodzi: butny, wysokiego wzrostu, dość tęgi, prawdziwy hakatysta. Po moim przedstawieniu się rozmowa się nie klei. Nie mam mu nic do powiedzenia, on mnie też nic. Wyszedłem. Żałowałem wtedy, że tam w ogóle byłem. Nie mogłem sobie darować, że tak długo czekałem na przyjęcie. Trzeba było pójść do domu. Ale stało się, byłem. Po wizycie, w mojej sytuacji nic się nie zmieniło.

W pracy nauczycielskiej w Lisnowie od samego początku miałem do czynienia z dwiema grupami dzieci, które całkowicie różnie i odmiennie ustosunkowały się do mnie. Pierwsza grupa to dzieci starsze od trzeciego roku szkolnego wzwyż, mające lekcje od 8. do 11. godziny. Grupa ta, to dzieci z „rodu diabła" (nie wszystkie). Dziś nazwałbym je „terrorystami". Druga grupa, to „maluchy", pierwszy i drugi rocznik szkolny. Te, w odróżnieniu od pierwszych, nazywałem „aniołkami".

Pierwsi prowadzili ze mną wojnę. Drugie obdarowywały mnie taką miłością, aż ludzie się temu dziwili. Jaką ja miałem z nich radość, aż miło o tym wspominać. Jak one mnie witały, jak się przymilały, przytulały się do mnie, siadały na kolana. Po lekcjach prawie wszystkie odprowadzały mnie do domu, tańcząc naokoło mnie, na zmianę brały mnie za rękę, aby choć na chwilę ją potrzymać. Nie chciały mnie po prostu puścić do domu. To zjawisko obserwowali mieszkańcy wsi. Przechodząc z pierwszej grupy do „maluchów", czułem, że opuszczam piekło, a idę do nieba. Wśród „maluchów" czułem się pełnowartościowym nauczycielem. Dzieci bardzo dobrze się uczyły. Stosowałem najnowsze metody nauczania, zdobyte w Seminarium Nauczycielskim. Jakże dzieci się cieszyły, gdy zdolniejsze z nich mogły mnie „zastępować", grając rolę „nauczyciela" – oczywiście pod moim nadzorem. Taka Ruth (drugi rocznik), córka administratora majątku, dziewucha niezmiernie na swój wiek fizycznie rozwinięta, spełniała swoją rolę „nauczycielki" z perfekcją. Jak cudownie dyrygowała w czasie śpiewu, aż do podziwu. Niektóre z „maluchów" odwiedzałem w domu. Najczęściej rodzinę Jordan. Oboje rodzice głuchoniemi, niezamożni, on szewc. Od Jordanów chodziły trzy dziewczynki do szkoły: dwie w grupie „maluchów", jedna w grupie „wojującej" (bez udziału). Wszystkie trzy blondynki o pięknych bujnych włosach, podobne do siebie, ładne, o tak milutkim wyrazie twarzy, że tylko przypiąć im skrzydełka, a byłyby aniołkami z obrazu, albo do obrazu. Z rodzicami rozmawiały mową głuchoniemych. Były bardzo zdolne, troskliwe o rodziców.

Dziwna to była sytuacja: starsze dzieci nienawidzą, wojują z nauczycielem, młodsze uwielbiają go. Co działo się w rodzinach, które miały dzieci w obu grupach? Jakie były tam rozmowy na mój temat? Tego właśnie nie wiem. Ale w każdym razie to było zastanawiające i jednocześnie dziwne.

Po świętach, od 7 stycznia 1928 roku, warunki w klasie się unormowały. Starsze dzieci zrezygnowały z wybryków i wzięły się do nauki. Nie wiem, co wpłynęło na taką zmianę? Czy dyscyplina niemiecka (rózga)? Czy może przykładne zachowanie się „maluchów" wobec mnie? A może „prowodyrzy", wrogowie moi, dostali zapewnienie od inspektora szkol-

nego, że od nowego roku szkolnego nie będę w Lisnowie? Co spowodowała akcja Niemców Lisnowa we mnie?

Ugruntowała się we mnie polska świadomość narodowa. Jestem Polakiem. Powiedziałem w Lisnowie do koleżanki Kamińskiej, że nigdy nie wezmę Niemki za żonę. A tu właśnie kręci się naokoło mnie Niemka, której na imię jest Meta, lat 16. Razem z matką dogadzają mi, jak i czym tylko mogą. Miałem bardzo dobre jedzenie. Pani Stanko wspaniale gotowała, a Meta z całą gracją usługiwała. Jabłek nigdy nie brakowało na stole. Ale cóż, Meta nie była ładna i chyba trochę z małym „ptaszkiem" w głowie. Ale strasznie czuła w sobie „wolę Bożą" – jak to się mówiło. A ja, takie niewiniątko, dziewuchy jeszcze nie znałem, nigdy dziewczyny nie całowałem, bo przecież to „grzech" – powiadali „gromadkarze", przez których uwierzyłem w Jezusa Chrystusa. Gdyby nie to, że Meta miała w kącikach ust zawsze ślinę, to nie gwarantuję, czy nie skusiłaby mnie. „Bo i głupia dziewczyna może mieć ładne nogi", powiada słynny pianista Bernstein. Przez tę ślinę brzydziłem się jej. Ale cóż ona nie wyrabiała, aby mnie „zgwałcić". Przynosząc kolację, była ubrana, nie wiem, jakby to określić, powiedzmy, że była na pół ubrana. W karnawale ma być w karczmie pana Winklera bal maskowy. Meta powiada mi, że szyje sobie strój balowy. Jak będzie gotowy, to przyjdzie i mi go pokaże. Chciałaby też, abym i ja poszedł na ten bal. Ale nie dałem jej słowa.

Pewnego wieczoru, już po kolacji, przychodzi do mnie w stroju balowym. Była to sukienka z tak delikatnej i przezroczystej koronki, że wszystko z detalami było widać. Na pytanie, czy mi się podoba, oczywiście pochwaliłem ją, że strój jest bardzo piękny. Zadowolona, poszła do domu.

Nadszedł dzień balowy. Była pewna, że ja będę na balu. Ja tymczasem podpasowałem moment, gdy Meta poszła na bal, zamknąłem drzwi na klucz i do łóżka, boć to była już dziewiąta godzina wieczór. Na bal nie poszedłem. Nigdy jeszcze nie tańczyłem i na żadnej zabawie nie byłem, bo przecież to grzech tańczyć. Tak głosili „gromadkarze". Meta dobijała się do drzwi kilka razy, a ja w duchu, pod pierzyną szepcę: „Nie wódź mnie na pokuszenie", udając śpiącego, właściwie nieobecnego. Wytrzymałem... Nie „zgrzeszyłem". Bezskuteczne zaloty Mety trwały do Wielkiejnocy. Gdy od Winklerówny dowiedziała się, że jej koleżanka, Luca Wechsler, skusiła mnie na pocałunek, zrobiła ze mną krótki proces: wypowiedziała mi stołowanie. Koniec i basta.

No cóż, trzeba było się z losem pogodzić, gdyż nie zawsze „miłość" realizuje się przez żołądek. Uprosiłem jeden litr mleka dziennie; na obiady chodziłem do karczmy Salomona, Żyda. W karczmie schodzili się karciarze na skata, a między nimi mój kierownik, Pronobis, który ich stale ogrywał. Pewnego wieczoru jest mowa o psie pana Salomona, który uprzedza gości, aby nie drażnić czasami psa, bo jest zły. Na to jeden z graczy powiada: „Co, on jest zły? Jestem pewny, że on mi nic nie zrobi, przeciwnie, będzie uciekał, gdzie pieprz rośnie". Od słowa do słowa, doszło między nami, Salomonem i graczem do zakładu: kto przegra, stawia kolejkę wódki. Zakładający zastrzegł sobie, że nie odpowiada za szkody ewentualnie wyrządzone przez psa i moment „walki" z psem on sam wybierze bez uprzedzenia. Wszyscy zaintrygowani zakładem, ale skaciarze grają dalej. W międzyczasie pies, sięgający wzrostem płyty stołu, paraduje między graczami. W pewnym momencie „gracz" chwyta ogon psa i błyskawicznym ruchem pakuje dobrze rozżarzone cygaro psu pod ogon. Pies przyciska ogonem cygaro, które go parzy, zaczyna szaleć po sali, wreszcie w szaleństwie rzuca się w okno, przebija szybę i nurkuje na dworze. Pan Salomon za psem, ale pies

zniknął. Z początku przestraszyliśmy się wypadkiem, ale potem ryknęliśmy śmiechem. Zwycięzca gwarantował, że pies wróci, ale za kilka dni. Kolejka wódki i historia z psem rozweseliła obecnych, a pana Salomona kosztowała kolejkę wódki. Z przygody z psem okazyjnie zarobił szklarz. Pies wrócił na trzeci dzień, wygłodniały, ze spuszczonym łbem i podsmażonym tyłkiem. Salomon wysmarował go jakąś „salbą". Psisko zesmutniało, straciło swoją dumę, zawstydzone, nie pokazywało się więcej w karczmie.

Innym dniem, po obiedzie, ci sami skaciarze zapraszają mnie, abym z nimi zagrał. Wtem sumienie mówi mi: „Nie graj w karty, bo to grzech". Wprawdzie Pan Jezus nic nie powiedział na temat gry w karty, ale kaznodzieje gromadkarscy głosili, że w kartach siedzi diabeł, który kusi człowieka tymi czteroma lucyferkami, których skaciarze nazywają „bubkami", a po mazursku nazywają się „dupkami": „Kreuz-Bubek" to ten herszt, mocniejszy od trzech dalszych; albo kusi „diabliczkami", w skacie nazywanymi „damami", i znów ta „Kreuz-Dama" bije po głowie trzy dalsze. Delikatnie wymigałem się, bo rzeczywiście nie znałem żadnej gry w karty.

Cztery lata później przekonałem się, że choć Jezus o kartach nic nie powiedział, to „gromadkarze" mieli rację, że gra w karty jest grzechem, jest nieszczęściem, bo często ludzie przegrywają majątki. Ale o tym w innym miejscu.

Myślicie, że Lucyferek dał mi spokój? Wcale nie. Na odmianę wybrał dwie „diabliczki" dość ładne. Jedna nazywała się Lucie Wechsler, mówiąca tylko po niemiecku, druga miała na imię Gertruda Burczyk, siostra kolegi, ta mówiła tylko po polsku. Czyli atak Lucyferka na moją niewinność z dwóch stron. Obie dziewczynki poznałem przypadkowo. Jedną odprowadziłem półtora kilometra do domu, drugą aż siedem kilometrów. Była śnieżna mroźna zima. Obie „diabliczki" nauczyły mnie pocałunków, a Lucyferek zadbał, aby zagłuszyć we mnie słowa kaznodziei, że lubieżność to grzech. Ale za ten grzech pokutował nawet jeden z kaznodziei gromadkarskich, który nazywał się Wilhelm Sommer z Janowa, powiat Działdowo. Przez dłuższy czas nie miał prawa wygłaszania kazań, ponieważ dorwał się do służącej, o ile się nie mylę, miał z nią dziecko. Tak, tak, „Duch Boży" nie śpi i u świętych, których nie było i nie ma na świecie, aczkolwiek papieże mają przyjemność „produkowania" „świętych", wbrew Pismu Świętemu, które mówi: „nie ma sprawiedliwego ani jednego".

Przyjemnie było dotykać rąk Lucy. Była milutka, pulchniutka, niebrzydka, nieduża. Miała szesnaście albo siedemnaście lat. Druga posłanniczka Lucyferka, Gertruda, w tym samym wieku, podobnej urody, nieco wyższa, bardziej bezpośrednia. Obie pozwalały na pocałunek. Wiecie jak? Ano w policzki, w oczy, w nos, czoło, a szczytem pocałunku był pocałunek w szyję, a zwycięstwem dla chłopca był pocałunek w szyję z pozostawieniem znaku, lekkiego podskórnego wylewu krwi. Po tych znakach poznawano dziewczyny, które dawały się całować. A co, pocałunku w usta nie było? Owszem, był, ale nie taki, jaki to dziś widzimy. Dziś, patrząc na pocałunek „zakochanych", zachodzi obawa, że jedno drugiemu wygryzie szczęki albo przypadkowo połknie protezę. Takiego pocałunku dawniej nie było i dlatego nie znano AIDS. A więc moje „diabliczki" dokonały dzieła, zleconego przez „Lucyferka", bo odtąd spotykałem się z Lucą dość często, rzadziej z Gertrudą. Gertruda pozwalała mi nawet głaskać jej uda. Raz, głaskając, doszedłem tak daleko, że trafiłem na jakąś „grzywkę", ale nic dalej, bo odskoczyła. Luca mi na to nigdy nie pozwoliła, aczkolwiek romansowałem z nią dość często, ale od lipca 1928 roku raczej tylko korespondencyjnie. Obcując z Lucą, nauczyłem się dużo niemieckiego. Pisała do mnie piękne, obszerne li-

sty, które były dla mnie jednocześnie lekcją języka niemieckiego. Za to jestem jej bardzo wdzięczny. Ceniłem jej zachowanie, jej dystans w „miłości", ale pewnie tylko dlatego, że sam byłem jeszcze „nienaruszony". Luca uprzyjemniła mi smutny mój los w Lisnowie.

Mimo obcowania z Niemką, ani uczuciowo, ani narodowo, nie zbliżyłem się do Niemców Lisnowa, za głęboko bowiem leżał w sercu mój żal do nich. Sytuację, która zaistniała między mną a nimi z Nowym Rokiem 1928 nazwać by można „zawieszeniem broni". Przestali atakować, przestali też grozić. Mogłem bez strachu się poruszać.

Jako młody człowiek szukałem kontaktu z ludźmi. Z Niemcami, wyznaniowo bliskimi, kontaktu (z ich winy) nie mogłem mieć, więc zbliżyłem się do Polaków-katolików. Oczywiście, wyznaniowo mnie do nich nie ciągnęło, choćby wspominając niezapomniane „Boże Ciało" w Działdowie. Po prostu szukałem życia społecznego. Nadarzyła się okazja. Istniejący w Lisnowie Związek Powstańców i Wojaków (niby uczestników dawnych powstań) planuje urządzić uroczystość 3 Maja. Nie chodziło o Międzynarodowe Święto Pracy 1 Maja, lecz o Święto Marii Królowej Polski, obchodzone trzeciego maja. Święto w Lisnowie ma być połączone z uroczystą „mszą polową", to znaczy pod gołym niebem. Na prośbę Związku zorganizowałem chór, z którym zdążyłem przygotować zaledwie „Mszę św.", śpiewaną na cztery głosy. Msza odbyła się na placu szkolnym, ołtarz pod ścianą pod oknami mieszkania kierownika. Po udanym odśpiewaniu Mszy przez chór na zmianę z księdzem udałem się do mieszkania kierownika, skąd przez otwarte okno z pierwszego piętra mogłem obserwować dalszy przebieg Mszy. Po raz pierwszy w życiu widziałem z bliska (z góry), jak ksiądz katolicki zamiast dać komunikantom popić trochę wina – zgodnie z postanowieniem Chrystusa Pana – dał im tylko opłatek, a sam „wychmolił" pełniutki (dosłownie) kielich. Myślę, że po takim kielichu ksiądz czuje się niebiańsko. A co czuje oszukany ludek?... Za odśpiewanie Mszy otrzymałem z Chórem wielką pochwałę od proboszcza i ogółu.

Po Mszy Polowej uformował się pochód ze sztandarami Związku Powstańców i Wojaków i z licznymi chorągwiami maryjnymi, udając się ulicą do karczmy pana Salamona, gdzie uroczystość 3 Maja zakończono ogólną zabawą. (Polacy woleli bawić się w tym wypadku u Żyda, niż u pana Winklera, Niemca.) Ja na zabawę nie poszedłem, wolałem pójść do Lucy.

Muszę wspomnieć o pewnym wydarzeniu, które mogło się dla mnie zakończyć tragicznie. Jeden z dwóch rzeźników w Lisnowie nazywał się Radtke. Mieszkał naprzeciw karczmy pana Winklera. Ze względu na bardzo złego psa podwórze jego było ogrodzone chyba trzymetrowym płotem z desek. Posesja Radtkego przedstawiała się jak nieprzezroczysta twierdza. Psa nigdy nie widziałem. Ale Meta uprzedzała mnie, abym miał się na baczności, bo pies jest bardzo groźny. Pewnego dnia, mogło to być w marcu, bo jeszcze leżał śnieg, wracam z kolacji u pana Salomona, gdzie przyglądałem się grze w skata. Po ciemku, idąc ulicą między posiadłością pana Radtkego a murowaną oborą pana Winklera. Była straszna ciemnica. Będąc na wysokości bramy pana Radtkego raptem na środku ulicy, wprost przede mną, stoi ów „groźny, niebezpieczny" pies. Stanąłem jak wryty, a pies stoi przede mną dumny, nieruchomy, z podniesionym łbem, jak egipski sfinks. Jego błyszczące oczy były na wysokości moich oczu, taki był wielki. Stoję zdrętwiały, pies też stoi nieruchomy, wpatrzony we mnie. Nie wiem, jak długo tak nieruchomo staliśmy naprzeciwko siebie. Myślę, że tu i rozżarzone cygaro na nic by się nie przydało. Pies nie atakuje, tylko wciąż nieruchomo stoi, a moje oczy utkwione w jego ślepiach. Może go zahipnotyzowa-

łem? Bo słyszałem, że psa oczami można zahipnotyzować, ale czy on w taką ciemnicę w ogóle widzi moje oczy? Niezależnie od położenia, muszę coś działać. Nie mogę czekać na jego atak. Począłem poruszać stopami, stopa za stopą w kierunku murowanej obory. I tak znalazłem się przy ścianie. Odetchnąłem, czując, że ten mur daje mi pewne oparcie w razie napaści psa. Ale pies wciąż stoi, jakby uroczony, zaczarowany. Ochłonąwszy nieco ze strachu, począłem pomaleńku, stopa za stopą posuwać się wzdłuż muru, aż ciemność zakryła mi widok psa. Potem już lekkim, szybkim krokiem śpieszę się do domu. Kiedy pies („brunatny sfinks" – tak go nazwałem) zeszedł z ulicy, tego nie próbowałem sprawdzać. Dziękowałem Bogu, że wyrwał mnie z „paszczęki lwa". Na drugi dzień Meta powiada: „Oj, miał pan wielkie szczęście".

A oto z erotycznej dziedziny nowe doświadczenie: Starsze dziewczęta mojej klasy zaskakiwały mnie problemami intymnymi. Były ciekawe na moją reakcję. Dziewczęta ostatniego rocznika szkolnego były fizycznie bardzo rozwinięte, po prostu pannice. Niektóre z nich miały przyjaciela, do którego pisywały listy miłosne, nawet w szkole. Jedne drugim starały się wychwycić taki list. Któregoś dnia wręczają mi list pisany przez uczennicę Elsę Rosenow do „swego" chłopaka. Nazwisko jej wskazywałoby, że jest pochodzenia ruskiego, ale moim zdaniem była raczej Kaszubką lub z Pruskiego Pomorza, gdzie spotykało się nazwiska o końcówce „ow". Elsa była córką robotnika folwarcznego. Jej list, który znalazł się w moim ręku, świadczył, że była ona seksualnie doświadczona. W liście tym było na przykład takie zdanie: „Wenn du einen dicken hast, so komm zu mir"[106]. Czytając ten list, z pewnością rumieniłem się, z czego klasa miała ubaw, chichając, podśmiewując się pod nosem. Oczywiście nie byłem na tyle „dorosły", aby wiedzieć, co z tym fantem zrobić. Zaniosłem list kierownikowi szkoły, który pod tym względem miał swoje doświadczenie. Opowiadał mi, że będąc w moim wieku był po uszy zakochany w dziewczynie do tego stopnia, że poza nią świata nie widział. Ona dała mu kosza, a on został jej wierny aż do śmierci i nie ożenił się. Będąc dziesięć lat starszy ode mnie, więc i pod tym względem dysponował większym autorytetem. Poprosił Elsę na rozmowę. Nie byłem przy tym obecny. Na tym zakończył się ten epizod. Ja stałem się o tyle mądrzejszy, że jako nauczyciel muszę wiedzieć, iż młodzież już w szkole podstawowej przeżywa takie problemy. Elsa kończyła czternasty rok życia. Była nieładna, jej twarz pełna „pikli", trądziku. Starałem się, aby nie cierpiała z powodu wychwyconego listu.

Innym razem donoszą mi, że Anni Diesing, lat dwanaście, „bawi" się z rówieśnikami w stogach słomy, stojących na polu. Była to córka bogatego gospodarza, ładna blondynka. W tym wypadku poszedłem sam, podpatrzeć ową „zabawę". Przy tym przypomniałem swoje dzieciństwo: mając pięć lat „bawiłem się w małżeństwo", żeniłem" się z Elzą Kossmann, córką biednych sąsiadów, mieszkających u Wiśniewskiego. Doszedłem do przekonania, że Anni Diesing, chociaż starsza o parę lat od wspomnianych moich lat, na pewno tarzanie się w stogu słomy uważała za normalną dziecinną zabawę. Nie widziałem w tym nic złego. Muszę zaznaczyć, że w owych czasach nie było w szkołach pogadanek, czy lekcji na temat „uświadamiania seksualnego". Młodzież musiała sama zdobywać pod tym względem swoją mądrość, czasami przypłacając to przykrym doświadczeniem, ciążą już w szkole podstawowej. U dorosłych były wypadki chorób wenerycznych. Dość powszechnie spotykana była „rzeżączka" (tryper), choroba już wówczas wyleczalna. Ale znany był też „syfilis", wówczas nieuleczalny, jedynie zaleczalny. Nawet w Lisnowie córka wspomnianego rzeź-

[106] Gdy będziesz miał grubego, przyjdź do mnie.

nika Radtkiego była syfiliczką. Choroby tego rodzaju zdobywały tylko dziewczyny, które latami przebywały w Berlinie. Taką była córka Radtkego. Jej synek chodził trzeci rok do szkoły. On nie miał syfilisu w sobie. Był tylko blady, o ciemnych włosach. Należał do najgrzeczniejszych dzieci w klasie.

A teraz opowiem o problemie, jaki miał mój kierownik szkoły. Mieszkał, jak już w innym miejscu wspomniałem, w nowym państwowym budynku szkolnym na piętrze, nad klasą, w której uczył. Okna jego mieszkania znajdowały się od placu szkolnego, drugie od ulicy. Naprzeciw, przez ulicę, stała mała drewniana chatka kryta słomą. W tej chatce mieszkały dwie „stare panny", siostry, w wieku 45-50 lat. Z czego się utrzymywały, nie wiem, ale przypuszczam, że częściowo były na utrzymaniu gminy, wsi. W każdym razie domek był ich własnością. Okna z jednego ich pokoju wychodziły do ulicy. Starsza z nich robiła wrażenie osoby normalnej. Grała rolę matki nad młodszą. Ta młodsza była nienormalna, prawdopodobnie na tle erotycznym. Ludzie mówili o niej, że będąc młodą, była normalna. Co ona wyrabiała? Otwierała okno od ulicy, jak było ciepło nigdy go nie zamykała. Przechylała się przez ramę okienną, wpatrzona w okno kierownika szkoły, wołała na cały głos: „Du mein Liebster!"; „Du mein Schatz!"; „Du bist mein Prinz!"[107] I wiele innych epitetów miłosnych. Kierownika najbardziej denerwowała, gdy wołała: „Es war so wunderbar schön, als du mit mir geschlafen hast"[108]. Co oczywiście nie było prawdą, ale tak często wołała. Na odmianę często wyzywała go od najgorszych kurwiarzy i uwodzicieli. Często byłem świadkiem tej „polemiki". Kierownik z sołtysem i radą gminną zastanawiali się nad tym, co z nią zrobić. Postanowiono wywieźć ją do zakładu psychiatrycznego w Kocborowie na Kaszubach. Ale jak ją wydostać z domu? To był nie lada problem. Kiedykolwiek bowiem wszedł ktoś z mężczyzn do jej pokoju, to ona hyc! do łóżka, przykrywała się pierzyną aż pod oczy i półgłosem wołała: „Komm zu mir"[109]. Odsłaniając i zasłaniając oczy, wabiła do siebie.

Wreszcie ustalono dzień jej wywózki do zakładu. Zamówiono taksówkę. Przygotowała się eskorta z dwóch mężczyzn i przedstawiciela gminy z dokumentami. Wszedł sołtys z przedstawicielem gminy, aby ją wyprowadzić do samochodu. Niestety ona w łóżku i odgrywa zabawę w „ciuciubabkę", w chowanego pod pierzyną. Ani rusz nie chce wyjść. Naradzają się panowie nad sposobami, aby ją wydostać z łóżka do samochodu. Poza użyciem siły i gwałtu nie widzą innego sposobu. Słuchając tych narad, podsunąłem im następującą myśl: kierownik szkoły, pan Pronobis, powinien wejść do niej i namówić ją do wyjazdu, choćby „do ślubu". Kierownik dał się namówić. Wszedł do pokoju, ja za nim. Jak ona się ucieszyła. Odchyliła pierzyny i woła: „Komm zu mir"[11]. On prosi ją, aby się ubrała, a ona: „Nein, komm du ins Bett"[110]. Podszeptuję kierownikowi, że ma samochód i pojedzie z nią na bal do miasta. Zaczął ją bujać tak długo, aż zdecydowała się wyjść z łóżka. Siostra pomogła ubrać ją w świąteczną suknię. Ja w międzyczasie wyszedłem na dwór i powiedziałem, aby przedstawiciel gminy zajął miejsce obok kierowcy, jeden z eskorty usiadł na tylnym siedzeniu, a drugi trzymał się w rezerwie przy otwartych tylnych drzwiach samochodu. Pan Pronobis podchodzi ze swoją „kochanką" do samochodu. „Kochanka" zatrzymała się i mówi: „Was wollen diese Kerls im Auto?"[111]. Pan Pronobis odpowiedział przekony-

[107] Ty, mój ukochany! Ty, mój skarbie! Ty, mój księciu!
[108] To było cudowne, gdy ze mną spałeś.
[109] Chodź do mnie.
[110] Nie, ty chodź do łóżka.
[111] Czego chcą te chłopy w samochodzie?

wująco: „Sie fahren mit uns zum Ball”[112]. Wprowadził ją do wnętrza samochodu, ale zamiast niego błyskawicznie wsiadł drugi mężczyzna z eskorty. I w ten sposób delikwentka znalazła się w środku między dwoma silnymi mężczyznami. Drzwi zatrzaśnięto, kierowca dał gazu w kierunku do Jabłonowa do pociągu.

Eskortujący po powrocie opowiadali, ile kłopotu i ubawu mieli w pociągu do Kocborowa. Właziła im pod ławkę, skąd mieli trudność ją wydostać. Łatwiej było ją zdjąć z bagażnika. Z trudem dowieźli ją do Zakładu i tam została. Kiedy wróciła i czy wróciła? Mnie już w Lisnowie nie było. Z rozwiązania tej sprawy najszczęśliwszy był mój kierownik szkoły. Sołtys podziękował mi za szczęśliwy pomysł, uczynienia kierownika „kochankiem” umysłowo chorej. Nie pamiętam jej nazwiska, boć to przecież 60 lat temu.

Pobyt mój w Lisnowie zakończę krótkim opisem warunków gospodarczych wsi. Była to wieś o bardzo urodzajnej glebie, bez lasów, bardzo mało łąk. Obok wsi duży, dochodowy majątek, źródło zarobku dla licznych rodzin robotniczych. Z przyjemnością oglądałem pola majątku. Ogromne obszary zasiane były lucerną i mieszanką zbożową. Część służyła jako pastwisko dla krów, drugą koszono na zielonkę dla koni i bydła. Krowy w liczbie przeszło trzydziestu sztuk „palowane” były na lucernie, nie pasły się luzem, lecz chodziły na łańcuchu. Lucerna pastwiskowa była do kolan. Każda krowa miała swój odcinek, „kosiła” lucernę posuwając się naprzód, zostawiając za sobą „wystrzyżoną” ziemię. Krowy były tak ciężkie, że nie mogły być pędzone na pastwisko i dlatego pasły się blisko majątku, blisko obory. Wymiona miały tak wielkie, że ledwo mieściły się między nogami. Piękny to był widok, patrzeć, jak one „kosiły” lucernę. Krowy dojono na pastwisku, bo szkoda było pędzić je do obory. Dojarki pod wodzą „szwajcara” (brygadzisty) ręcznie dokonywały dojenia. Mechanicznych urządzeń wtedy jeszcze nie znano. Wieczorem krowy dostawały (już w oborze) jeszcze paszę w formie zielonki zbożowej. Krowy takie dawały dziennie trzydzieści litrów mleka, czyli trzy wiadra. Jałowizna, czyli młodzież bydlęca, pasła się w okólnikach, a na noc dostawała zielonkę zbożową. Trzeba było widzieć taką wzorową hodowlę bydła, w ogóle gospodarkę majątku, która dawała dobrobyt „panu” i zarobek licznym rodzinom robotniczym.

Administratorem majątku w Lisnowie był pan Kohls, ojciec mojej najlepszej uczennicy Ruth, której często pozwalałem grać rolę „nauczycielki”, z czego była bardzo dumna. Była w drugim oddziale (drugi rok szkolny), ale swoją budową ciała śmiało mogła być w piątym oddziale. Dziewczyna zdrowa, pełna energii i werwy. Ona trzymała dyscyplinę wśród „maluchów”. Wiosna, słońce, pogoda, gry, zabawy na powietrzu, nieco zbliżyły i starsze dzieci do mnie. Może niektóre żałowały swego nietaktu wobec mnie. Każda z dziewcząt tamtych lat mogła być przecież w przyszłości moją żoną, gdyż różnica wieku była tylko sześć lat. W czerwcu 1928 roku dostałem przeniesienie do innej szkoły. Z ulgą opuszczałem Lisnowo jako Polak.

Nie udawałem Polaka – byłem Polakiem.

Spóźniłem się do kolejki, ale chłopak odwożący mnie bryczką („wasągiem”) powiada: „Ja będę prędzej w Jabłonowie niż kolejka”. I dawaj! Pędzi drogami polnymi i przez pola i rzeczywiście byliśmy na dworcu w Jabłonowie szybciej niż kolejka wąskotorowa. Pochwaliłem dzielnego chłopca i jego konia, płacąc należność za przewóz. Na tym skończyło się dla mnie Lisnowo-Leistenau, powiat Grudziądz.

[112] Jadą z nami na bal.

3-klasowa Szkoła Powszechna, Lisnowo, powiat Grudziądz
Rok szkolny 1927/1928
Nauczyciele: Alojzy Pronobis, Kamińska, Edward Małłek

30
Pierwsze wakacje nauczycielskie

Pożegnawszy się z Lisnowem znalazłem się w domu w Brodowie na czas wakacji, które trwały od pierwszego lipca do trzydziestego pierwszego sierpnia.

Z przyjemnością pomagałem w gospodarstwie przy sianokosach, zwożeniu siana. Potem przy żniwach. Przed pójściem do Seminarium Nauczycielskiego, praca w gospodarstwie należała do moich (naszych) obowiązków. Teraz, mając już swój umiłowany zawód, pracę w polu i w domu uważałem raczej jako sport i rozrywkę, a nie jako obowiązek. Gdyśmy z bratem Robertem byli pracą zmęczeni, to Ojczulek pozwalał nam na odpoczynek dnia następnego. Zresztą główne prace, jak zbiórka siana czy żniwa, nie były w jednym czasie. Często deszcze przerywały pracę w polu. Dawały czas na odpoczynek.

W czasie wakacji miałem czas na dyskutowanie z Robertem na temat pracy w szkole. Robert miał osobliwy kłopot. Mimo iż maturę zdał z dobrym wynikiem, nie otrzymał świadectwa dojrzałości do ręki. Dyrektor powiedział mu na osobności (aby go nie zawstydzać przed koleżeństwem) następujące słowa: „Mój drogi Małłku, cieszę się, że pięknie zdałeś maturę, ale świadectwa chwilowo nie mogę ci wręczyć, bo raz, jesteś za młody (miał dopiero 18 lat), ale co jest ważniejsze, jesteś za mały”. Nie wiem, co w tym momencie pomyślał

Robert. W każdym razie przyjął do wiadomości słowa pocieszenia Dyrektora: „Jak tylko ciut urośniesz, zgłoś się po świadectwo”. Z taką „pociechą” żył Robert w czasie wakacji. Aby o tym zapomnieć, chętnie pomagaliśmy w pracach rolnych, które uważaliśmy za gimnastykę. Co kilka dni Robert staje przy „framudze” drzwi, aby na kreskach sprawdzić swój wzrost. Chodziło o to, aby urósł ponad swój wzrost, który w czasie matury wynosił 1,5 m. Jakaż była radość, gdy co kilka dni stwierdzał, że rośnie. W czasie wakacji urósł o piętnaście centymetrów, a skończył róść, mając 1,68 m. Uprzedziłem go, aby podanie o posadę nauczycielską składał tylko do Działdowa. „Nie możesz popełnić mego błędu” – powiedziałem bratu. Po odebraniu świadectwa dojrzałości, zgłosił się do Inspektora Szkolnego, pana Klimosza, który z otwartymi rękoma przyjął drugiego (poza Karolem) Małłka, i otrzymał nominację na nauczyciela w siedmioklasowej Szkole Powszechnej w Działdowie. W którymś roku został przeniesiony do dwuklasowej Szkoły Powszechnej we wsi Kurki, pięć kilometrów odległego od Działdowa. Kierownikiem w Kurkach był Jan Kordalski. Robert pracował tam aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Zachęcony jego angażem, pojechałem do Kuratorium Pomorskiego w Toruniu w sprawie zmiany mojej nominacji. Odszukałem siedzibę Kuratorium. Krążyłem, jakby przed królewskim pałacem, nie mając odwagi wejść do wewnątrz. Wreszcie poprawiłem garnitur, podciągnąłem krawat. W korytarzach budynku odszukałem właściwe drzwi. Pukam... Słyszę: „Proszę wejść!”. Wchodzę, zamykam za sobą drzwi. Staję wyprostowany blisko drzwi. Kłaniam się i wymieniam moje nazwisko: „Jestem Małłek”. Przyjął mnie wizytator Śliwiński słowami: „Proszę usiąść!”, wskazując mi krzesło przy biurku naprzeciw niego. Pyta o cel mej wizyty. Powiedziałem, że przyszedłem prosić o posadę w języku polskim w powiecie grudziądzkim, a jeżeli to byłoby niemożliwe, to o przeniesienie mnie do powiatu działdowskiego. Wizytator wyjaśnił, że wszelkie zmiany w tej chwili, kilkanaście dni przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego, są niemożliwe. Radził mi, abym o zmianę starał się dość wcześnie przed zakończeniem roku szkolnego.

A więc podróż do Kuratorium w Toruniu była bez pozytywnego rezultatu. Wróciłem do domu z posiadaną w kieszeni nominacją do dwuklasowej Szkoły Powszechnej w miejscowości Piaski, powiat Grudziądz.

31
Druga moja posada nauczycielska

Kilka dni przed pierwszym września 1928 roku, jadąc rowerem z Grudziądza, zjawiłem się w Piaskach. Była to wieś – można powiedzieć – podmiejska, bo do granic miasta Grudziądza było zaledwie trzy kilometry. Kierowniczką dwuklasowej szkoły była pani Stefania Gnida. (Jakież nieprzyjemne nazwisko po mężu.) Była to młoda mężatka z półrocznym synkiem. Dość przystojna i urodziwa niewiasta, mego wzrostu (166 cm), jak na kobietę średnio wysoka. Bardzo uprzejma, na wskroś szlachetna i uczciwa, a przede wszystkim bardzo koleżeńska, a jako przełożona wyrozumiała. Zapoznała mnie z warunkami pracy i rozkładem lekcyjnym, którego jeszcze nie wysłała do Inspektoratu Szkolnego do zatwierdzenia. Powiedziała, że ona prowadzi klasę polską, a ja mam klasę niemiecką. Pomyślałem:

Znów ta sama „kołomyjka" jak w Lisnowie. Zapytałem, czy mogę ją nazywać „Panią Stefanią", bo „Gnida" nie przechodziła mi przez gardło. Bez namysłu zgodziła się, wyjaśniając, że z mężem złożyli wniosek na zmianę nazwiska. Pani Stefania była ode mnie tylko o dwa-trzy lata starsza, więc byliśmy – można powiedzieć – rówieśnikami. Jej mąż pracował jako sekretarz w Spółce Parcelacyjno-Osadniczej w Grudziądzu. Raniutko wyjeżdżał do pracy, pod wieczór wracał. Zjadł obiad i buch do łóżka. Czytał książki, aż zasnął. Niedzielę przeleżał w łóżku, czytając książki, nawet nie wstawał do obiadu. Mąż pani Stefanii był nietowarzyski, „nie do mówienia". Był przystojny, wysokiego wzrostu. „Ale, cóż z tego?..." – tyle pani Stefania mówiła o mężu. Pani kierowniczka miała do dziecka i w ogóle do pomocy dziewczynę ze swoich stron. Pochodziła z mężem z Krakowskiego.

Myśląc o pracy w Piaskach, postanowiłem inaczej postępować, niż to robiłem w Lisnowie. Zrozumiałem, że to, co robiłem w Lisnowie, było z gruntu złe i niewłaściwe. Wstydziłem się tego. Od kierowniczki dowiedziałem się, że ogółem jest 60-ro dzieci, w tym niemieckich 40-ro, czyli dolna granica istnienia oddzielnej klasy niemieckiej. Z miejsca złożyłem wizytę kantorowi w plebanii, który zastępował pastora. Po prostu mieszkał, urzędował i odprawiał nabożeństwa w miejscowym kościele ewangelickim. Był to starszy pan (nazwiska nie pamiętam), z zawodu nauczyciel-emeryt, z żoną, bez dzieci. Bardzo szlachetni ludzie, pochodzili z kolonistów niemieckich zza Buga. Powiedzieli mi, że miejscowi Niemcy-ewangelicy to dobrzy ludzie, lecz jest ich coraz mniej, bo wielu przenosi się do miasta.

Stołowanie (obiady) zamówiłem w karczmie u pana Pirsiega, który prowadził też skromny sklep żywnościowy. U niego można było dostać tylko najpotrzebniejsze artykuły. Po większe zakupy jeździli mieszkańcy do Grudziądza, bo było blisko. Mleko na śniadanie i kolację zamówiłem u sąsiedniego gospodarza. A więc byt zapewniony. Moja pensja (bez nadliczbówek) wynosiła 232 zł miesięcznie. W Lisnowie kupiłem rower, zapłaciłem 99 zł. Był to pierwszy rower w moim życiu. W domu w Brodowie nie mieliśmy ani jednego roweru. Za obiady w Piaskach u pana Pirsiega płaciłem 1 zł za obiad. W mieście też kosztował 1 zł, ale był znacznie lepszy, niż u pani Pirsieg. Po rozmowie z niektórymi Niemcami w Piaskach zauważyłem, że to ludzie o zupełnie innym pokroju niż w Lisnowie. Byli uprzejmi i dobroduszni. Może bliskość miasta wpływała korzystnie na ich usposobienie.

W przeciwieństwie do Lisnowa, gleba – jak już sama nazwa wsi wskazuje – była licha, piaszczysta. Za to było dużo łąk i tuż, bliziutko las. Szkoła stała w rozwidleniu dwóch ulic, głównej i wiejskiej. W samym rogu rozwidlenia było boisko szkolne. Z drugiej strony budynku szkolnego, przy ulicy głównej, był sad z dorodnymi jabłoniami, a przy ulicy wiejskiej był warzywnik. Przed wejściem do szkoły po lewej stronie rosła wspaniała lipa, która gałęziami swoimi muskała okna mego mieszkania na piętrze. Budynek szkolny robił miłe wrażenie. Jedna klasa znajdowała się od ulicy – od południa, druga – od północy. W pierwszej uczyła pani kierowniczka, w drugiej ja. Do szkoły wchodziło się od głównej ulicy. Z korytarza w lewo wchodziło się do klas, a w prawo do kancelarii. Był to nieduży pokój. Z kancelarii wchodziło się do mieszkania pani kierowniczki, składającego się z pokoju stołowego, sypialni i kuchni, bez łazienki, z wyjściem na podwórko, gdzie w chlewiku gdakały kurki, a rano piał kogut.

Moje mieszkanie na piętrze składało się z dwóch pokoi i małej kuchenki. Pod moim mieszkaniem znajdowały się obie klasy szkolne. Nad mieszkaniem pani Kierowniczki był strych. W jednym pokoju od ulicy, od południa miałem następujące umeblowanie: drew-

niane łóżko ze szczytami, z siennikiem wypchanym słomą. Pod łóżkiem stały w „szeregu" wypucowane moje siedem par butów, dla wszystkich widoczne tak, jakbym chciał się tym pochwalić. Nie, taka była wtedy moda, stawiania butów pod łóżkiem. Przy łóżku stał stół z dwoma byle jakimi krzesłami. Między oknami lusterko. Szafy nie było. Niedzielne ubranie wieszało się na haku. W kuchni stał mizerny stolik i ławeczka z miską do mycia i dwoma wiadrami, jedno z czystą wodą do picia i mycia, drugie na zlewki. Drugi pokój był całkowicie pusty. Można było jeździć rowerem, który tam miał miejsce. Naprzeciw szkoły, po drugiej stronie głównej ulicy, stał kościół ewangelicki, ze wspomnianym kantorem spełniającym funkcję pastora. Kościół otoczony był ogrodem, który śmiało można było nazwać parkiem o starym, wspaniałym drzewostanie. Był to raj dla ptactwa i wiewiórek. Przez las, o trzy kilometry drogi znajdowała się miejscowość letniskowa Rudnik, z jeziorem, wśród lasów, dokąd latem zjeżdżało dużo wczasowiczów i wycieczkowiczów.

Wieś Piaski i okolica zrobiły na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Rozmowa z kierowniczką i mieszkańcami oraz przyroda Stwórcy nastroiły mnie tak zachęcająco, że poczułem się bardzo szczęśliwy. Nabrałem chęci, werwy i energii do pracy. Oczywiście nastrojony jako patriota – Polak!

Układając z kierowniczką rozkład lekcji na rok szkolny 1928/29, zaproponowałem zlikwidowanie niemieckiej klasy „maluchów" (pierwszy i drugi rok szkolny) i połączenie niemieckich „maluchów" z polskimi. Kierowniczka zastanawiała się, czy tak można zrobić, ale wreszcie uległa mojej sugestii i plan został wysłany do Inspektoratu Szkolnego celem zatwierdzenia. Drogą odwrotną nadeszła decyzja zatwierdzająca nasz plan. Oboje ucieszyliśmy się bardzo, bo oboje korzystamy z ułatwienia w nauce. Zamiast mieć dwa roczniki „maluchów" w jednej klasie, teraz urządziliśmy się tak, że „nowicjuszów" (pierwszy rocznik) wzięła pani kierowniczka, a drugi rocznik (oddział) przypadł mnie. Czyli „maluchy" miały odtąd przez całą lekcję tzw. „głośną naukę". Przedtem było tak, że jeden rocznik (oddział) miał głośną naukę, a drugi ciche zajęcie, po pół lekcji na zmianę. Och, jak pięknie pracowało się z „maluchami". Czekaliśmy na reakcję ze strony rodziców dzieci niemieckich. Nikt nie wniósł reklamacji ani skargi, a niektórzy uważali za dobre, bo jeżeli dzieci niemieckie mają żyć w Polsce, to niech umieją po polsku.

Dzieci od trzeciego rocznika (oddziału) wzwyż zostały podzielone tak, że pani kierowniczka uczyła dzieci polskie, a ja niemieckie. Jakże przyjemnie było uczyć, w ogóle nie używając „dyscypliny" (rózgi). Wkrótce zapowiedział się na piśmie inspektor szkolny, pan Patock (Pattock?), ten sam, który wizytował mnie w Lisnowie. Pani kierowniczka uprzedziła mnie, abym się nie bał. Powiedziała: „To jest bardzo dobry człowiek. Na lekcji siedzi tylko kilkanaście minut, a potem siada do kielicha...", dodając: „Już ja to wszystko przygotuję". Faktycznie, przyjechał już po godzinie jedenastej. Mieliśmy lekcje tylko z „maluchami". Wszedł do pierwszej klasy od ulicy, do pani kierowniczki. Za chwilę był w mojej klasie. Dzieci powitały go słowami: „Dzień dobry, Panie Inspektorze!". „Dzień dobry, dzieci" – odpowiedział. Przywitał się ze mną. „Proszę prowadzić lekcję, ja posłucham" – rzekł, siadając z tyłu na ławce (bo w ławce nie mieścił się jego korpus). Był otyły, na czarno ubrany, garnitur nie najnowszej daty. Za chwilę powiada: „Proszę rozpuścić dzieci, a my pójdziemy do kancelarii". Dzieci pożegnały się słowami: „Do widzenia, Panie Inspektorze!". „Do widzenia, dzieci".

W międzyczasie pani kierowniczka nakryła stół: świetne zakąski i wódka, dla inspektora czysta, dla nas nalewka osobiście przyrządzona przez kierowniczkę. Po chwili zasiedli-

śmy do stołu, do pięciodaniowego obiadu, oczywiście z wódką. Wynik wizytacji – doskonały.

Inspektor Patock miał wśród nauczycielstwa opinię bardzo dobrego człowieka; nikogo jeszcze nie skrzywdził. Odwrotną opinię miał Józef Sowiński, o którym jeszcze powiem. Byłem szczęśliwy, że szkoła w Piaskach podlegała inspektorowi Patockowi. Był to typowy Kaszub. W tym miejscu muszę wspomnieć, że podeptałem jeden z obyczajów „gromadkarskich". „Nie wolno pić alkoholu" – tak brzmiał przepis „gromadkarstwa". A tu wypiłem (po raz pierwszy) z inspektorem szkolnym kilka kieliszków smacznej nalewki owocowej na spirytusie. „Całkiem smaczna, doskonała" – pochwaliłem panią kierowniczkę za świetne przyrządzanie nalewki. „No widzisz" – szepce Kusiciel, ten Lucyferek: „przecież wódka też dla ludzi" – zadowolony ze zwycięstwa. Wnet jednak znika, bo słyszy innego Ducha: „Pijaństwo to nieszczęście ludzkości". I tak duch Lucyferka i duch Jezusa Chrystusa toczą bój w mojej duszy przez całe moje życie. „Bój to będzie ostatni", gdy Zbawiciel mój, Jezus Chrystus, wyzwoli mnie na zawsze z podszeptów Kusiciela.

Wynik wizytacji był pozytywny. Mieliśmy spokój od inspekcji inspektora przez cały rok. Praca w szkole dawała mi pełne zadowolenie i radość. Współpraca z kierowniczką była idealna. Jej koleżeńskość była niespotykana. Z otwarciem korespondencji czekała aż do mojej obecności.

Nadeszła jesień. Niemiecka młodzież pozaszkolna zwróciła się do mnie z prośbą o urządzenie kursu nauki języka polskiego. Oczywiście z radością zorganizowałem wieczorowy kurs języka polskiego dla dorosłych. Język polski był potrzebny tym, którzy pracowali w mieście. Sporo osób z Piasków pracowało w Grudziądzu w fabryce „pepegów" – butów gumowych.

Jesień 1928 roku była piękna, pogodna, ciepła. Mogłem zwiedzać i cieszyć się okoliczną przyrodą. W domu otwierałem okna, ciesząc się lipą, która swymi gałązkami wchodziła wprost do pokoju. Wtedy brałem skrzypce i grałem ogólnie znane piosenki, jednocześnie śpiewając drugim głosem. Widocznie przyjemnie to brzmiało, bowiem przechodnie stawali, opierając się o płot, wysłuchiwali „koncertu". Albo naśladowałem głos ptaków – widocznie tak doskonale – bowiem przylatywały, siadały na gałęziach tuż przy oknach. Cieszyłem się świergotem i śpiewem ptaków. Oberżysta, pan Piersieg, posiadał dużą salę taneczną. Którejś soboty urządził zabawę. Było to w końcu września. Zamówił dobrą orkiestrę z Grudziądza. Pogoda dopisała. Aczkolwiek nie umiałem tańczyć, postanowiłem pójść na zabawę, gdyż bardzo lubiłem muzykę. Zająłem stolik na sali, zamówiłem lemoniadę i obserwuję tańczących. A ponieważ rytm i takt leżał w moich żyłach, więc nogami przytupywałem i rozmyślałem, czy potrafiłbym zatańczyć takiego „szyberka" albo marsza. Ale nie miałem odwagi poprosić którąś z dziewcząt, które zleciały się z okolicznych miejscowości, nawet z Grudziądza. Niedługo było czekać. Jakaś „Nimfa" podchodzi i prosi mnie do tańca. Tłumaczę jej, że nie umiem tańczyć. „To ja pana nauczę". Wzięła mnie za rękę, ja ją pod pachę i dawaj, posuwamy się krok za krokiem w takt muzyki. Akurat był to „szyberek". Potem zagrali coś w rodzaju marsza, więc podobnie można było się posuwać to do przodu, to do tyłu. Poszło całkiem nieźle. Z walczykiem było nie tak, jak się należało, ale jakoś tam się nogami zamiatało. Towarzystwo rozbawiło się na całego, a do wesołości przyczyniały się napoje „podskokowe" czy „wyskokowe". Ludu pełna sala. Zrobiło się duszno. Niektórym poty wychodziły na wierzch. Dla ochłodzenia wychodziło się na dwór, do ogrodu. Po którymś tańcu dziewczynka powiada: „Chodźmy na powietrze trochę się

ochłodzić". Idziemy. Trzymając mnie za rękę prowadzi gdzie ciemno, w krzaki. Kładzie się, ciągnie mnie do siebie. Ja na nią, ale nim się położyłem, twarzą pojechałem po krzakach, które okazały się pokrzywami. „Jak oparzony" prędko podniosłem się, dziewczynka też poparzona, za mną. Idziemy, ja nie w humorze, ocieram swędzącą twarz. Przechodzimy obok bardzo pochylonej wierzby. Dziewczynka, trzymając mnie, kładzie się, podnosi sukienkę i… rozprawicza młodzieńca. Nie była to nowicjuszka. „No co, jesteś zły, niezadowolony?" – szepce Lucyferek – „następnym razem będzie lepiej". (To zaistniało dopiero za dwa lata.)

I popatrzcie: Udało mu się (oczywiście Lucyferkowi) w ciągu 1-2 lat zrujnować w człowieku wszelkie filary dobrych obyczajów i nauk gromadkarstwa. Stałem się wielorakim grzesznikiem. To był początek krzyża, który zgotowałem mojemu Zbawicielowi, Jezusowi Chrystusowi, który upadł pod jego ciężarem, ukoronowany jakże bolesną koroną, brocząc na Golgotę, gdzie złożył okup za moje przeszłe i przyszłe grzechy, ponosząc mękę krzyżową i śmierć. Tak niechlubnie – można powiedzieć – zamknął się mój 1928 rok.

Nastała zima. Jakże prawdziwa zima, mroźna, śnieżna. Zaspy śnieżne sięgały koron drzew. Byliśmy odcięci od świata. Ruch na szosach zamarł. Furmanki nie mogły się wymijać. Jezdnia była jednotorowa na wysokości koron drzew.

Z Nowym Rokiem 1929 uprosiłem panią kierowniczkę, bym mógł się u niej stołować. Po prostu ulitowała się nade mną. Bo z obiadów w karczmie często rezygnowałem, aczkolwiek zapłaciłem za każdy obiad. Obiady tam były mizerne i powtarzały się tydzień za tygodniem. Jeszcze dziś pamiętam, że w poniedziałki były zawsze kartoflane placki i zupa wiśniowa. I to było wszystko. U pani kierowniczki, która za rok nazywała się już Błoniecka (a nie Gnida), miałem luksusowe obiady, codziennie pięciodaniowe plus dwa kieliszki „nalewki". „To na dobrą strawność" – mówiła pani Stenia. Płaciłem honorowo 1,75 zł za obiad. Nie przypuszczałem, że tak młoda mężatka potrafiła tak wyśmienicie gotować. Każdego dnia był inny skład potraw z pięciu dań. Nigdy nie powtórzył się ten sam skład.

Jak ona to robiła, przecież prowadziła lekcje? Po prostu dała zlecenie służącej (gospodyni): „zrobisz to – to – to, o godzinie takiej wstawisz na ogień to, o innej tamto itd." Po lekcjach kierowniczka tylko sprawdzała i przyprawiała to, co było potrzeba. Obiady smakowały wyśmienicie. Czekając na obiad, gdy panie go przygotowywały, ja bawiłem synka kierowniczki, którego nauczyłem chodzić, gdy miał niespełna roczek. Wczesną wiosną kierowniczka powiedziała, że będzie sadziła w ogrodzie maliny. „To mogę pomóc" – powiedziałem. „Och, nie, to bardzo brzydka robota" – powiedziała. Uparłem się, że pomogę obojętnie na „brzydkość" roboty. Poradziła mi, abym na wszelki wypadek ubrał lichsze spodnie. Do sadzenia zabrała się też służąca, która już przedtem porobiła naokoło 30 cm głębokie rowki. Kierowniczka podzieliła funkcje: „Ty – zwracając się do dziewczyny – będziesz wybierała fekalie ze skrzyń z ustępów szkolnych, ja (kierowniczka) będę mieszała z wodą, a pan (tzn. ja) będzie nosił w wiadrach do ogrodu i wylewał do przygotowanych rowków". Ja pochodzę ze wsi, z gospodarstwa, więc „perfumy" tego rodzaju nie były mi obce, ale nie przypuszczałem, że pani Stefania nauczy mnie sadzenia malin. Pochodziła też ze wsi, z biednej rodziny, więc na pewno też z „potrzebą" wchodziła na „grzędę", na deskę, dziś to się mówi „sedes". Gdy skrzynie na fekalie („g") były puste, to siadało się – mówmy kulturalnie – na sedes, ale gdy były pełne, zwłaszcza zimową porą, tworzył się zamarznięty stożek, wtedy z konieczności wchodziło się na deskę (sedes). Oczywiście, trzeba to wie-

dzieć, że dawniej „toalety" (= ubikacje = ustępy = wychodki) stały na podwórku lub w ogrodzie.

Z jaką wesołością mieszaliśmy i rozlewaliśmy „witaminy" dla roślin, w tym wypadku dla malin. Rowki zalane „mieszaninką" trochę podobną do buraczanego barszczu wchłaniały płyn, a na wierzchu pozostawała galaretowata powłoczka, którą zasypywało się trochę ziemią, aby korzenie malin nie dotykały bezpośrednio „nalewki". Potem pani kierowniczka brała kolejno roślinki dzikich malin za „głowę", a ja zasypywałem korzenie. W taki sposób powstała w ogrodzie „kolonia" malin. Co? pfuj! – nie jedlibyście tych malin? Och, jak one obrodziły, a jak smakowały! – Pycha! Codziennie przez dłuższy czas jedliśmy i jedli. Tak dużych malin więcej w życiu nie widziałem. Sadzenia malin nauczyłem się od koleżanki, delikatnej, przystojnej niewiasty, która nie brzydziła się żadnej roboty.

Wiosna 1929 roku zapowiadała się wcześnie, pogodnie, słonecznie i ciepło. Na strychu znalazłem rezerwową, starą tablicę szkolną i stare ławki. Z chłopcami znieśliśmy je i ustawiliśmy w ogrodzie, w cieniu drzew owocowych. Tam prowadziłem lekcje z moją klasą przez maj i czerwiec, za wyjątkiem dni deszczowych, których prawie nie pamiętam. Jakże przyjemnie było dzieciom uczyć się pod gołym niebem, w cieniu rozłożystych koron jabłoni. Ludzie podziwiali sposób prowadzenia lekcji. A stawali, opierając się o płot, słuchając, gdy prowadziłem lekcję śpiewu na głosy. Gdy była „publika", specjalnie powtarzaliśmy znane pieśni, aby repertuar był wart i godny słuchania. To był wspaniały czas. Albo gry i zabawy na boisku, gdzie wszystkie dzieci razem, polskie i niemieckie, bawiły się jak jedna rodzina.

Rodzinny, sielankowy nastrój w szkole zakłócili nam dwaj chłopcy, przeniesieni do nas z sąsiedniej szkoły do klasy pani kierowniczki. Jeden z nich w wieku dwunastu lat, silny, drugi jedenaście lat, słabszy i mniejszy. Mieszkali w sąsiedniej wsi Kobylanka, położonej wśród łąk. W Kobylance była tylko szkoła niemiecka. Dzieci polskie – katolickie, dochodziły do szkoły w Piaskach. Kolega w Kobylance był Niemcem, ale wyznania katolickiego, o około dwadzieścia lat starszy ode mnie. Ja dochodziłem do Kobylanki celem udzielania nauki religii ewangelickiej. Były to moje godziny nadliczbowe. Wyżej wymienieni chłopcy zachowywali się w klasie pani kierowniczki niemożliwie, przeszkadzając na każdej lekcji. Kolega z Kobylanki, skąd pochodzą chłopcy, doniósł nam, że rozniecają ogniska pod stołami, czym gospodarze Kobylanki są bardzo zaniepokojeni.

Kierowniczka poprosiła o opinię o nich z poprzedniej szkoły. Co się dowiadujemy? Chłopcy rozrabiali tam do tego stopnia, że łamali tablice szkolne, tłukli szyby, robili szkody różnego rodzaju, nie uczyli się w ogóle i przeszkadzali w czasie lekcji. Kierowniczka mająca ich w swojej klasie, niewiasta delikatnej natury, nie wiedziała, co robić, aby ich uspokoić. (W ich poprzedniej szkole nauczycielem była niewiasta, więc nic dziwnego, że byli rozbisurmanieni.) Kierując się koleżeńską solidarnością, wyręczyłem kierowniczkę w rozprawieniu się z chłopcami.

W czasie przerwy poprosiłem starszego do mojej klasy. Stanął przede mną prawdziwy bandzior. Byliśmy tylko we dwójkę. Wyliczając mu jego grzechy, pytam, czy to prawda. Na każde pytanie i zarzut odpowiada: „Nie". Wziąłem do ręki rózgę służącą normalnie do wskazywania na mapie. „Kładź się na ławę" – mówię do niego. On ani rusz. Chwyciłem go za kołnierz, aby dostać go na ławę, on tymczasem kładzie się na podłogę. To ułatwiło mi rozprawę z nim: chwyciłem lewą ręką obie nogawki, nakryłem go nogami, a rózga solidnie „potańcowała" po tyłku. Zaczął głośno płakać. Nie mogąc się wyrwać z moich rąk, udało

mu się wczołgać pod ławkę. Odłożyłem rózgę. „Wychodź spod ławki”. Widząc, że nie mam w ręku rózgi, z płaczem wyszedł. Ponownie pytam go, wyliczając mu jego przewinienia. On milczy. Na to powiadam mu: „Kładź się na ławę”. On w płacz i woła: „Proszę pana, ja tego nie będę robił, nie będę robił”. Jesteś wolny. Zawołaj twego wspólnika. Okazało się, że jego kompan, słysząc płacz kolegi, uciekł do domu. Przyszedł do szkoły dopiero za dwa dni. Przyznał się do wszystkiego i przyrzekł poprawę, przez co uniknął rózgi. Jakież to było lekarstwo dla obu. Jacy oni byli odtąd grzeczni i usłużni. Ten starszy, który dostał lanie, stał się wzorowym uczniem. Kiedykolwiek potrzebowałem pomocy, mogłem na niego liczyć.

„To niemożliwe?” – wątpiła w poprawę chłopców nauczycielka, która wyzbyła się ich z poprzedniej szkoły. To był przykład, że „dyscyplina” często odnosi pożyteczny skutek. Incydent ten na szczęście zakończył się korzystnie dla obu stron. Nastała w szkole przyjemna, przyjacielska, rodzinna atmosfera, taka, jaka była dotąd. Lekcje odbywały się według planu, bez zakłóceń. Dzieci chętnie się uczyły. W ogrodzie, pod jabłoniami rozbrzmiewał chóralny śpiew, również przyjemność dla przechodniów. Na boisku, w czasie przerw gwar bawiących się dzieci z moim czynnym udziałem. W maju, czerwcu pojawiły się w ogrodzie nowalijki, które urozmaiciły menu obiadowe. Delektowaliśmy się wspaniałymi malinami, które niczym nie przypominały „barszczu”, z którego czerpały soki żywotne.

2-klasowa Szkoła Powszechna, Piaski, pow. Grudziądz
Rok szkolny 1928/1929
Nauczyciele: Stefania Błoniecka, Edward Małłek

Pięknie i przyjemnie zakończyliśmy rok szkolny. Nastały dwumiesięczne wakacje letnie. Dzieci niestety w owych czasach nie korzystały z żadnych „kolonii letnich", żadnych „wczasów" ani wyjazdów zagranicznych. A mimo to, po wakacjach wracały opalone, wypoczęte, chętne do nauki. W czasie wakacji musiały pomagać w pracach rolnych w domu i na polu. Ja również i te wakacje spędziłem w domu u Rodziców, pomagając w pracach polnych. Cieszyłem się, że po wakacjach wrócę do tej samej szkoły w Piaskach i przygotuję się do drugiego egzaminu nauczycielskiego, tzw. „kwalifikacyjnego". Nie przypuszczałem wtedy, że spotka mnie w Piaskach przykra niespodzianka.

Kilka dni przed 1 września 1929 roku z radością jadę do pracy w Piaskach. Witamy się serdecznie z kierowniczką (już nie panią Gnidą, a panią Błoniecką) i cieszymy się, że nadal będziemy razem pracować. Opracowaliśmy nowy rozkład lekcji, który przewidywał, że ja będę uczył polskiego i historii w polskiej klasie. Plan został zatwierdzony przez Inspektorat Szkolny. Taki układ planu lekcyjnego umożliwiał mi przystąpienie do egzaminu kwalifikacyjnego, który przewidywał dwie lekcje: z języka polskiego i historii. Poza tem praca piśmienna na podany przez Komisję Egzaminacyjną temat i egzamin ustny. Nie przeszło mi wtedy przez głowę, że nigdy nie będę miał warunków, aby taki egzamin zdać. Ale nie uprzedzajmy faktów.

32
Powołanie na Komisję Poborową

Już w pierwszym tygodniu nauki przychodzi do mnie sołtys i powiada: „Muszę pana doprowadzić na Komisję Poborową, bo pan się nie stawił w terminie". Tłumaczę mu, że o żadnym „terminie" nie wiedziałem (widocznie już wtedy istniał w urzędach bałagan). Prawdopodobnie figurowałem na liście jeszcze w Lisnowie, mimo mego przemeldowania rok temu do Piasków. Mówię do sołtysa: „Gdzie mam się stawić i kiedy?" Sołtys na to: „Pan pójdzie ze mną, bo muszę pana odstawić i to zaraz, teraz". Byłem bardzo zaskoczony, ale cóż było robić, władza jest władzą. Wsiedliśmy na furmankę i wio do Grudziądza.

W lokalu, w którym urzędowała dodatkowa Komisja Poborowa, było już sporo „maruderów", którzy nie stawili się w terminie. Sołtys zameldował mnie Komisji i pożegnał się ze mną. „Rozbierać się i stać w kolejce!" – pada komenda. Stoimy jeden za drugim na „Szwancparadzie"[113] – na nagusa. Wreszcie staję przed stołem, za którym siedzi kilka osób Komisji Poborowej. Najpierw notują dane personalne, a potem w obroty bierze lekarz, zaglądając najpierw – jak to się mówi do – d..., czy odbytnicy. Decyzja lekarza i Komisji: „Zdolny do służby wojskowej, 15 września stawić się w Baonie Podchorążych Rezerwy Piechoty Nr 9 w Berezie Kartuskiej".

O, do licha, ależ to niespodzianka! Bereza Kartuska! Myślałem, że leży gdzieś na Kaszubach. Okazało się, że jadę daleko na Polesie. Plany się zmieniły, raczej były przekreślone, zrujnowane. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zwijać manatki. Spakowałem się, pożegnałem się z dziećmi i panią kierowniczką, która ubolewała, że traci dobrego współ-

[113] Z „ogonem" do lustracji.

pracownika (spotkaliśmy się dopiero po dwudziestu latach w Olsztynie, gdzie jej mąż był komisarzem ziemskim).

Myślę, że dzieci w Piaskach wspominały nasze śpiewy pod jabłoniami i gry na boisku szkolnym. Osobiście jeszcze dziś mile wspominam wszystko, co było w Piaskach. Rzeczy swoje zawiozłem do rodziców w Brodowie, gdzie spokojnie spoczywały przez cały rok. W domu byłem tylko tak długo, aby na czas 15 września być w Berezie Kartuskiej.

Wsiadłem do pociągu w Działdowie, mając bilet darmowy dla poborowych. W Warszawie przesiadałem się na Dworcu Wileńskim (wtedy istniał taki). Wysiadam na stacji Bereza Kartuska. Widzę, że jest to tylko stacja kolejowa, a miasteczko leży kilka kilometrów dalej. Dowiaduję się, że dojechać mogę autobusem. Wsiadam z innymi pasażerami. Za chwilę autobus staje na placu koszarowym tuż przy wejściu do jednego z budynków koszarowych. Wysiadam, czytam: „Baon Podchorążych Rezerwy Piechoty Nr 9, Bereza Kartuska".

33
W wojsku

Melduję się na wartowni oficerowi służbowemu. Przydziela mnie do drugiej Kompanii Piechoty, ulokowanej w budynku (przy którym staje autobus) obok bramy wyjściowej na ulicę, na drugim piętrze. W każdym pokoju (sali) dwudziestu chłopa – jedna drużyna. Każdy miał łóżko żelazne bez sprężyn, deski, siennik ze słomą, podgłówek też ze słomą, dwa koce, jeden taboret, metalową szafkę ubraniową. Na sali stał duży – długi stół i dwie ławy. Jeszcze tego samego dnia z magazynu dostałem umundurowanie i buty, a ubranie cywilne trzeba było zapakować do torby i pozostało w magazynie. W drugim miejscu dostałem karabin i tornister. Wszyscy inni koledzy byli już od 1 września, czyli już od dwóch tygodni znali rygor wojskowy. Ja musiałem się dopiero ze wszystkim zapoznać.

Dzień rozpoczynał się pobudką i biegiem na plac na piętnastominutową gimnastykę. Po gimnastyce mycie się, słanie łóżka, ubieranie się i zbiórka na korytarzu do modlitwy. Śpiewano kościelną pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze..." Po modlitwie – śniadanie w kompanijnej sali. Po śniadaniu rozpoczynały się ćwiczenia: musztra bez i z karabinem, ćwiczenia polowe na poligonie pod wsią Nowosiołki. Po ćwiczeniach przedpołudniowych mycie się. Na gwizdek zbiórka na obiad w jadalni, która znajdowała się na parterze obok kuchni. Jedzenie – można powiedzieć – było dobre. Często kasza – „pęcak".

Po ćwiczeniach popołudniowych było czyszczenie broni, zakończone przeglądem. Zamek karabinu i lufa wewnątrz musiały błyszczeć. Kto źle wyczyścił, stawał na drugi dzień w południe do karnego raportu. Tak samo za wyjście do miasta bez przepustki stawało się do raportu przed dowódcą kompanii. Karami w Berezie Kartuskiej były „stójki":

Stójka lekka = 1 godzina stania na baczność z karabinem na ramieniu;

Stójka średnia = 2 godziny stania na baczność z karabinem na ramieniu;

Stójka ciężka = 3 godziny stania na baczność z karabinem na ramieniu i obciążonym plecakiem (6 kg cegieł).

Nie wolno było się ruszyć, ani drgnąć. Pilnował podoficer – instruktor.

Na wykładach uczono nas o rodzajach i obsługiwaniu broni, o taktyce wojennej, sposobach walki, a w ostatnich dwóch miesiącach mieliśmy wykłady na temat wywiadu i kontrwywiadu. Dowódcą „Podchorążówki" był Major Budrewicz. Ludzki człowiek. Dowódcą mojej drugiej kompanii był kapitan (nazwiska nie pamiętam). Był to człowiek ostry i zły. Wyżywał się na ćwiczeniach. Gdy były kałuże, dawał w tym momencie komendę: „Lotnik, padnij!" Przy tym pilnował, abyśmy się kładli w to błotko. Wyjaśniał, że w czasie nalotu trzeba wykorzystywać każde wgłębienie terenowe, a kałuża jest właśnie takim dołkiem. Dziękuję za taką przyjemność. Często wracaliśmy z ćwiczeń unurzani w błocie jak świnie. W jakiś sposób dowiedział się o tym dowódca Szkoły, major Budrewicz. Przyjechał na poligon na kontrolę właśnie w dniu, w którym nasz kapitan wyżywał się nad nami „padaniami w kałużę". Major nakazał trębaczowi odtrąbić koniec ćwiczeń i zarządził zbiórkę. Jakże on zbeształ tego kapitana, aż było nam go żal. Odtąd mieliśmy spokój z kałużami.

Zastępcą dowódcy naszej kompanii był porucznik (nazwiska też nie pamiętam). Przystojny facet, zgrabny, dobrze zbudowany, o koleżeńskim ustosunkowaniu się do nas. Ten wygrywał z nami zawsze pierwsze miejsce w każdej defiladzie. A robił to tak: kazał nam przy każdym kroku lekko mruczeć: „m – m – m ..." To pomrukiwanie potęgowało głos kroku defiladowego; nikt tego nie zauważył, a efekt był doskonały. Imponującym był śpiew kompanii w drodze na ćwiczenia i z powrotem. Każdą pieśń śpiewaliśmy na głosy. Ludzie wychodzili z domów, z ukrycia, aby posłuchać pięknej żołnierskiej pieśni. Do dziś dnia nie mogę wytłumaczyć sobie, dlaczego koledzy między poszczególnymi pieśniami wplatali przyśpiewkę o następujących słowach:

Mówił raz dziad do obrazu: ho!
mówił raz dziad do obrazu: ho!
a obraz mu ani razu: ho!
taka była ich rozmowa!: ho – ho – ho!

Po przyśpiewce wybuchali śmiechem. Przypuszczam, że to była jakaś aluzja do czegoś czy kogoś. Każdy dzień wieczorem o godzinie dziewiątej kończyliśmy nabożnym odśpiewaniem modlitwy wieczornej, słowami bardzo melodyjnej pieśni kościelnej:

Pod Twą obronę, Ojcze na niebie,
Grono Twych dzieci swój powierza los,
Ty nam błogosław, ratuj w potrzebie,
I broń od zguby, gdy zagraża cios.
Czy toń spokojna, czy huczą fale,
Gdy Ty swe dzieci w swej opiece masz.
Wznosimy modły dziś ku Twej chwale,
Boś Ty nam tarczą, Boże, Ojcze nasz.

Ze wzruszeniem śpiewałem tę pieśń, która chóralnymi głosami rozbrzmiewała w długim korytarzu. W niedzielę czy święta, po śniadaniu była zbiórka do kościoła. Przed wymarszem dyżurny podoficer zakomenderował: „Innowiercy wystąp!" Wystąpiłem. (Bo razem z apostołem Pawłem wołam: „Nie wstydzę się Ewangelii Chrystusowej, jest ona bowiem mocą Bożą ku zbawieniu każdego, kto wierzy".) Okazało się, że jestem sam jeden. Wprawdzie było dwóch innych ewangelików, Templin i Wróbel, obaj kończyli Seminarium Nauczycielskie w Działdowie, ale albo wstydzili się swej wiary, albo bali się napiętnowa-

nia, którego ja nie zaznałem. W każdym razie, każdej niedzieli powtarzała się ta procedura. Wszyscy na rozkaz, na komendę, szli do kościoła katolickiego, a ja byłem wolny. Każdej niedzieli chodziłem do innego kościoła, również i do katolickiego, ale nie na komendę.

Lubiłem chodzić do cerkwi prawosławnej, aby posłuchać pięknych pieśni i śpiewu liturgicznego na głosy. Do synagogi jakoś nie miałem odwagi wejść, bo katolicy rozszerzali różne brednie i posądzenia, idące tak daleko, że mówiono: „Żydzi mordują dzieci katolickie, bo potrzebują ich krwi do wypieku mac". Dziś rozumiem, jaki cel miały takie kłamstwa. Mimo tych bredni, właśnie w Berezie Kartuskiej zakochałem się w Żydówce. Nazywała się Zlatka Skóra, córka szewca. Czarnulka, piękna milutka dziewczynka, lat szesnaście. Spotykaliśmy się, ale tylko i jedynie na ławce pod oknami ich mieszkania. Tylko ukradkiem mogliśmy się pocałować według ówczesnego zwyczaju, przeważnie w policzek. Również Zlatka zakochała się we mnie do tego stopnia, że chciała uciec z domu w tym czasie, gdy byłem już na trzeciej posadzie nauczycielskiej, a ja miałem dla niej pracę w Grudziądzu w zakładzie fryzjerskim, bowiem Zlatka była fryzjerką. Niestety, otrzymałem wiadomość, że rodzice jej wyłapali mój list, z którego dowiedzieli się o naszych zamiarach. Zaczęli ją obserwować i pilnować na każdym kroku. Była jedynaczką. Z wielkim żalem napisała, że musimy o sobie zapomnieć. Kto wie, czy nie zginęła w komorze gazowej. A jej zdjęcie zginęło w wojnę.

Po kursie rekruckim, który trwał ponad dwa miesiące, stanęliśmy na placu koszarowym do przysięgi. Ustawieni byliśmy w grupach według wyznań: rzymsko-katolicy, ewangelicy i Żydzi. Różnica słów przysięgi rzymsko-katolickiej od protestanckiej była ta, że w przysiędze katolickiej wpleciona była „Maria, Królowa Korony Polskiej". Po przysiędze otrzymaliśmy prawie wszyscy stopień „Starszego szeregowca". Z tą chwilą mieliśmy prawo, w wolnych chwilach, wychodzić do miasta. Naturalnie, pierwszą potrzebą było zapoznać dziewczynę. Wtedy właśnie poznałem Zlatkę. Drugim miejscem uderzenia i ataku były lokale. Trudno było je nazwać restauracjami. Były to knajpki prowadzone przez Żydów. W takiej knajpie w towarzystwie kolegi Janoski (Janoska) ze Śląska nauczyłem się jeść pomidory z cebulą. Była to zakąska do wódki czystej. Nie smakowała mi wódka, ale dla towarzystwa „cygan dał się powiesić" – mówiło przysłowie. „Podobno wódka też dla ludzi", te słowa pamiętam.

Z chwilą możliwości wychodzenia do miasta, służba żołnierska nie była tak przykra. Najbardziej bezmyślną była musztra: „Padnij! Powstań! Padnij! Powstań! Biegiem marsz! Z powrotem marsz!..." I tak w kółko. A niechby się ktoś wychylił i niedokładnie wykonał rozkaz czy komendę, wnet usłyszał głos plutonowego: „A co wam się tu niepodoba? Tu nie uniwersytet. Tu trzeba myśleć!" Faktycznie, tu trzeba myśleć, kiedy paść, kiedy powstać. Ale trudno, rozkaz jest rozkazem: padałem i wstawałem...

Bardziej interesujące było strzelanie ostrymi nabojami do tarczy z dwunastoma pierścieniami. Śmiało można powiedzieć, że były to zawody, bo każdy otrzymywał stopień. Któżby nie chciał mieć dwunastki? Od czasu do czasu udało mi się strzelić dwunastkę, ale to był rarytas. Nie należałem do najlepszych, ale ze strzelania miałem stopień dobry. Ciekawe były ćwiczenia nocne. Była to zabawa w „prawdziwą" wojnę. Podzieleni byliśmy na dwie grupy: „czerwoni" to napastnicy – wróg. Niebiescy mieli za zadanie bronić swoich okopów, swoich pozycji. Czerwoni natomiast mieli zdobyć pozycje niebieskich. Pewnej nocy z „zabawy" zrobiła się prawdziwa wojna. Obie strony były uzbrojone w karabiny z nasadzonymi bagnetami. Była ciemna noc. Doszło do spotkania, do walki wręcz. Czy

przypadkowo, niechcąco, czy też w zapaleniu bojowym, doszło do tego, że „czerwony" żgnął „niebieskiego", ten oddał „czerwonemu". Do nich dołączyli się inni. Powstał tumult, wrzawa, krzyk, istna wojna. Dowódcy, oficerowie krzyczą: „Koniec ćwiczeń!" Nikt ich nie słyszy. Bojowcy powoli ostygli i walka ustała. Ale kilku rannych odtransportowano do lekarza. Czy można się dziwić, że na prawdziwej wojnie jeden drugiego żga bez namysłu? Tam słowa Jezusa: „Miłujcie bliźniego swego, jak siebie samego", „Miłujcie nieprzyjaciół swoich" – zagłuszone bywają hukiem armat, grzechotem karabinów maszynowych, dziś dodatkowo warkotem samolotów. Taka jest logika wojny.

Do naszego „wykształcenia" żołnierskiego należało zaliczenie marszu długodystansowego – na wytrzymałość – [...]* kilometrów. Po pierwszej godzinie marszu zarządzono 15 minut przerwy. Każdy mógł poprawić onuce, aby nie uwierały. Co dalszą godzinę mieliśmy już tylko 10 minut odpoczynku. Do celu, do miasta Kobryń, dotarliśmy wieczorem około godziny dziesiątej (wyruszyliśmy o czwartej). Jak przyjemnie było rzucić się na legowisko ze słomy. Każdy zrzucił buciory i spogląda na nogi, na stopy. Patrząc na moje stopy na szczęście nie widzę żadnych pęcherzy, ani zatarć pięt. Patrzę na nogi kolegów. Wielu z nich miało obtarte pięty i pęcherze na stopach. U kilku było tak, że stopa to jeden pęcherz z wodą. Kilkunastu wracało taborem – wozami, bo nie było w stanie do pieszego marszu. Marsz powrotny odbywał się w wolniejszym tempie i z dłuższymi odpoczynkami. Osobiście marsz długodystansowy zdałem na piątkę, na bardzo dobry. Doszedłem do koszar o zdrowych nogach i zdrowych stopach.

W czasie pobytu w Podchorążówce miałem okazję poznać warunki bytowe wsi Polesia. Niedzielami, po obiedzie, szliśmy z kolegą Janoską (Ślązak) na wieś. Obaj byliśmy nauczycielami, więc na pierwszy plan wzięliśmy pod lupę szkołę poleską. Zastaliśmy nauczycielkę w domu – o ile to tak można nazwać. Co to był za dom? Co za szkoła? I jedno, i drugie mieściło się w jednej izbie, która była i klasą, i mieszkaniem nauczycielki – młodej dziewczyny. Jej część – jakby to powiedzieć – mieszkania, izby była oddzielona od klasy tylko kotarą. Tam miała pryczę – niby łóżko, jakieś wieszaki na ubiór i nic więcej. Była to szkoła jednoklasowa z językiem białoruskim; język polski tylko jako przedmiot. Bieda i nędza. Straszny prymityw. Ale i nauczycielka nie „świeciła" specjalnie inteligencją i kulturą. Była rodaczką z tamtych stron.

Innym razem poszliśmy do wieśniaków, mieszkańców wsi. Większość zabudowań nowa, przeważnie z drzewa. Domy mieszkalne robiły dobre wrażenie, schludne, otoczenie zabudowań czyste i uporządkowane. Jesienią dochodziło się do domu po drewnianej kładce, bo cała ulica albo była błotnista, albo stała pod wodą. Chodniki z desek ułożone wzdłuż zabudowań umożliwiały spacer po wsi. Pole, gleba była piaszczysta. Świnie chodziły razem z bydłem po pastwisku. Jedną maciorę widzieliśmy, była tak wielka, jak mała krowa. Weszliśmy do gospodarza, wprost do kuchni. Po prawej stronie ogromny piec z cegły. Gospodarz z żoną w kuchni. U góry słyszymy szelest. Patrzymy, a tam kilkoro dzieci podpartych na łokciach, leżąc na piecu, obserwują nas. W kuchni nie było żadnych mebli, tylko jedna krótka ława. Gospodarze zapraszają nas do pokoju. Tam stoi tylko jedna długa ława wzdłuż całej ściany, na której siadamy z gospodarzami. Naprzeciw nas, pod drugą ścianą stoi coś w rodzaju kojca dla dziecka, uczącego się chodzić. Ale wydaje się nam, że jest coś za wysoki. Za chwilę dowiedzieliśmy się, do czego służył kojec. Wszystkie dzieciaki przeskakiwały z pieca i jeden za drugim wskakiwały do kojca, podparłszy się o poręcz, przysłu-

* W rękopisie zapis nieczytelny – Red.

chiwały się naszej rozmowie. Wszystkie ściany i piec były bielone wapnem. Do gotowania służyła „kotlina”, w której rozniecało się ogień i wstawiało się garnek. Po rozmowie o tym i owym podziękowaliśmy za gościnę i udaliśmy się do koszar.

Następnym razem trafiliśmy do gospodarza, u którego pokoje były umeblowane. Z rozmowy dowiedzieliśmy się, że ich syn służył w wojsku w Poznańskiem. (Taka była metoda Ministerstwa Obrony, że mężczyźni ze wschodu służyli na zachodzie Polski, a z zachodniej Polski służyli na wschodzie.) Powracający z wojska z zachodniej Polski przynosili do domu nową kulturę i postęp. Tak było u gospodarza, któregośmy odwiedzali.

Któregoś dnia wróciliśmy z ćwiczeń bardzo głodni. Siadamy w stołówce do stołu, dziesięciu przy stole. Wiemy od kucharzy, że na drugie danie będą mielone kotlety, ziemniaki i buraczki. Jeden z kolegów powiada: „Wiecie koledzy, że dzisiaj zjadłbym za dziesięciu”. „Co, żartujesz chyba” – powiadamy. Powstała dyskusja. Stanęło na tym, że cała dziewiątka zgodziła się oddać swój obiad. Ustalono zakład: „Kandydat ma zjeść dziesięć porcji drugiego dania z tym, że część kartofli może nie zjeść”. (Według normy na każdego żołnierza przypadało 100 gram mięsa.) Myśmy musieli się zadowolić zupą pęcakową, przyglądając się konsumującemu kotlety. Zawodnik zaczął łomotać. Kotlety jeden za drugim znikają w jego przełyku. Buraczki towarzyszą klopsom z ust do żołądka. Kartofelków od szóstego kotleta już w ogóle nie ruszył. Ale reklamacji nie wnosimy. Klopsy znikają z talerzy, ale coraz wolniej, coraz wolniej. Wreszcie został tylko jeden. Zawodnik odetchnął. Zdawało się nam, że zrezygnuje. A to był z jego strony tylko mały manewr. Zabrał się do ostatniego i szybciej go skonsumował od poprzednich. Głęboko odsapnął. Zakład wygrał. Wszystkie kotlety wrąbał, a myśmy się tylko obliznęli. I było po obiedzie.

Zawodnik poczołgał się na piętro, i, sapiąc, legł na swoje łoże. W pewnym momencie zauważamy, że jest mu coś markotno... tak, jakby mu się zbierało na... Pytamy go: „Kolego, a może zamówić ci bilet do Rygi, co?” Po pewnej chwili machnął ręką i rzekł: „Nie, nie pojadę!” I obrócił się na bok. Rzeczywiście, nie pojechał do Rygi.

Zakład ten przypomniał mi inny, jeszcze z internatu Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie w 1922 roku. Kolega, Henryk Bomert, założył się, że zje jednokilogramową kostkę sztucznego miodu, popijając tylko wodą. Krótko relacjonując: zjadł. Nie pamiętam, ile litrów wody wypił jeszcze po zjedzeniu miodu. Leżał w łóżku i popijał wodą, a myśmy dochodzili do niego i... „lizaliśmy” jego pępek, bo ktoś powiedział, że miód będzie wychodził pępkiem... Niestety to bujda. Wracam pamięcią do Berezy Kartuskiej. Przed Wielkanocą jeden z kolegów dostał dwutygodniowy urlop zdrowotny, bo chorował na ischias. Może jechać do domu i dołączyć do tego dwutygodniowy urlop świąteczny. Za czas urlopu, zamiast „strawnego” (jedzenia), wypłacano gotówkę. A na to każdy leciał. Ubzdurzyło mi się razem z innym kolegą zasymulować chorobę. Pytaliśmy się kolegi, na czym polega ischias. Powiedział tylko tyle, że jest to ból w krzyżu i w nogach i choroby tej żaden lekarz nie może zbadać. Krótko myśląc, zgłaszam się z kolegą do lekarza. „Chorych” (?) rano o godzinie ósmej wartownik zaprowadzał do izby chorych na lekarskie badanie. Lekarzem był starszy pan, który prawdopodobnie miał wykształcenie tylko felczera. Nazywaliśmy go „konowałem”. Chorych, u których stwierdzał temperaturę, ustawiał w szeregu i zakomenderował! „Odlicz do trzech!” Krótko zaordynował: „jedynki – aspiryna, dwójki – gliceryna, trójki – rycyna; brać, to pomoże”.

Wiedział dobrze, że większość symuluje. Na przykład temperaturę stwarzaliśmy przez lekkie pukanie w główkę termometru. Oto takimi sposobami leczył „chorych” i gonił jesz-

cze tego samego dnia na ćwiczenia. Kto był rzeczywiście chory i miał co najmniej 37,2 stopni temperatury, otrzymywał 1-3 dni wolnego. Poważnie chorych zostawiał na izbie chorych. Ponieważ ja i kolega twierdziliśmy, że cierpimy na ischias, niestety nie potraktował nas, jak tamtego kolegę, dając mu dwa tygodnie urlopu zdrowotnego, lecz wysłał nas na badanie do szpitala w Brześciu nad Bugiem. Źle, pomyśleliśmy. Ale stało się, musimy jechać, bo dostaliśmy skierowanie i bilety.

Zajechaliśmy do szpitala. Skierowano nas do internisty. Ten opukał, posłuchał, zajrzał do gardła, poklepał po brzuchu... „Całkowicie zdrów – oświadczył – proszę iść do neurologa". Ten przystępuje do mnie z młoteczkiem. Mimo woli przypomniał mi się młoteczek używany w Watykanie do stwierdzania zgonu papieża. Kardynał, stwierdzający zgon papieża, dotyka młotkiem czoła zmarłego i pyta wymieniając pierwotne imię i nazwisko zmarłego: „X-Y, czy umarłeś?" Zmarły oczywiście nie odpowiada. Wtedy stwierdzający zgon oświadcza: „X-Y prawdziwie nie żyje". Zauważam, że młoteczek w ręku lekarza jest gumowy, bo watykański jest metalowy, prawdopodobnie złoty, więc myślę, że badanie mego stanu zdrowia nie będzie aż tak bolesne. (O młoteczku watykańskim można czytać w dziełach: *Dzieje papieży, Watykan...*)[*]

Wracam do mego neurologa: „Proszę usiąść" – powiada. Puk młoteczkiem w kolano jedno, drugie. Nie wiem, jaka miała być reakcja. „Proszę podnieść nogę". Puk młoteczkiem w jedną, w drugą stopę. „Gdzie boli?" Nie wiem, co powiedzieć, bo nic mnie nie boli. Lekarz nie czeka na moje odpowiedzi, tylko puka młoteczkiem, to w stopę, to w piętę i pyta: „Gdzie boli?" Każe mi zginać nogę jedną i drugą: „Gdzie boli?" Tu zdążyłem powiedzieć: „W krzyżu!" – czy to była dobra odpowiedź na ischias, tego do dziś nie wiem. Tak mnie wygimnastykował badaniami, że zgłupiałem. Nie wiedziałem, co mam odpowiadać na jego pytania: „Gdzie boli?" Całkiem mi się pofajtało. Diagnoza: „Zdrów, zdolny do ćwiczeń". – „Masz babo placek".

Kolega, który symulował ischias w głowie (w mózgu), otrzymał identyczną diagnozę. Twarze nam zbladły, bo wracając z takim wynikiem wiedzieliśmy, że czeka nas „koza" (areszt) o chlebie i wodzie. Teraz uświadomiliśmy sobie, w jaką wpadliśmy kabałę. Siedząc w pociągu, dumam, jak tu uniknąć „kozy". Zadecydowałem: jak symulować, to do końca. Im bliżej wysiadki z pociągu, narzekam na bóle w krzyżu. Na stacji w Berezie kolega prowadzi mnie do autobusu. Na przystanku w koszarach wartownicy dowiadują się, że nie mogę iść. Biegiem lecą z noszami, kładą i niosą mnie na salę. Lekko, ostrożnie kładą mnie na łóżko. Dostaję drgawek. Jeden z kolegów, Warszawiak, rozpina mi mundur i zaczyna masować. Gdy trafia rękami pod pachę, zbiera mi się na śmiech, bo byłem łachotliwy. Inny z kolegów pobiegł po lekarza. Przyszedł, przeczytał zaświadczenie szpitalne, popatrzył: „Przenieść go do izby chorych" – powiada. A więc już nie do „kozy". Chłopaki pieczołowicie zanieśli mnie na noszach do izby chorych. W ten sposób uniknąłem aresztu i głodówki. A więc jestem w izbie chorych jako „chory". Dostaję maście do nacierania krzyża i nóg.

Nic nie wyszło z urlopu zdrowotnego, a tu przede mną zaledwie dwa tygodnie do urlopu świątecznego Wielkiejnocy. Jak tu zrobić, aby na Święta nie zostać w izbie chorych? Muszę wszystko robić, aby „wyzdrowieć", wydostać się przed świętami z izby chorych. Z początku udawałem chorego. Po tygodniu leżenia zacząłem chodzić i nie narzekać. Na przeglądzie lekarskim mówiłem, że boleści przeszły. Ale lekarz na to: „No poleż, poleż". -

[*] Być może chodzi Małłkowi o tom: F. X. Seppelt, K. Löffler, *Dzieje papieży. Od początków Kościoła do czasów dzisiejszych*, uzup. T. Silicki, przeł. J. Kozolubski, il. E. Woroniecki, Poznań 1936 – Red.

Codziennie to powtarzał. W tym widziałem, że chce mnie zostawić na święta w izbie chorych, przez co nie skorzystam z dwutygodniowego urlopu świątecznego. Tego jeszcze mi brakowało. Jednak w ostatniej chwili udało mi się wyjść z izby chorych i wyjechać do domu na Święta Wielkiejnocy.

Jestem w domu, a tu za kilka dni nagle chwycił mnie straszny ból w krzyżu i nogach. „Chciałeś chorować na ischias, to masz" – mówi mi mój duch. Nie wiem, czy mówi mi to duch dobry, czy zły. Gromadkarze mówili, że „Pan Bóg nie karze, ale doświadcza". Pewnie to „scera" prawda. Bóle były tak intensywne, że udałem się do dr. Rachockiego, mego wykładowcy z anatomii. Stwierdził „ischias"[114]. Przepisał lekarstwo w płynie do nacierania. Paliło, jak złe, ale pomagało. Po urlopie świątecznym dał mi dwa tygodnie chorobowego. A jednak Pan Bóg skruszonego i pokutującego grzesznika wynagradza. Po powrocie do koszar dostałem „strawne" – pieniądze za niewykorzystane jedzenie koszarowe.

Z tego głupiego mego pomysłu, symulowania, wyciągnąłem odpowiednią naukę: „Nie pragnij choroby, ani niczego złego, bo one same się zjawią". Dziękuj Panu Bogu za każdy dzień zdrowia i szczęścia.

Poza tym dość poważnym wydarzeniem miałem tylko kilka lekkich wybryków, za które odpokutowałem ogółem dziesięcioma „stójkami". Dwa razy za nieterminowy powrót z urlopów, z winy złych połączeń pociągów. Dwa razy za niepopełnione wykroczenia w czasie marszu z ćwiczeń, zgodnie z przysłowiem „Chłop zawinił, cygana powiesili", czyli „stójkę" odstałem za kolegę, którego nie zdradziłem. Resztę „stójek" miałem za spóźniony powrót z miasta. Wieczorem brama była zamknięta, trzeba było się przeprawiać przez wysoki płot i czasami wpadło się w ręce kontrolera.

„Studia" wojskowe w Berezie Kartuskiej zakończyliśmy z końcem czerwca egzaminami końcowymi. A ukoronowaniem tego był awans na „podchorążego", kaprala lub plutonowego. Z powodu „stójek" dostałem tylko stopień „kapral podchorąży". Do każdego stopnia dodawano słowo „rezerwy", a więc „kapral podchorąży rezerwy".

Zatem już nie jestem tylko Polakiem, ale również obrońcą Ojczyzny – Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polski!

34
W 64-tym Pułku Piechoty w Grudziądzu

Szkolenie podchorążych w Berezie Kartuskiej zakończyło się 26 czerwca 1930 roku. Każdy z nas dostał przydział do jednostki wojskowej na praktykę. Ja dostałem się do 64 Pułku Piechoty w Grudziądzu. Koszary tego Pułku znajdowały się przy ulicy Lipcowej. Najbliższy plac ćwiczeń był naprzeciw koszar, po drugiej stronie ulicy na Tarpnie, przedmieście Grudziądza. Rola podchorążego w pułku polegała na instruktażu – szkoleniu rekrutów. Jedzenie otrzymywaliśmy w kasynie oficerskim, za które płaciliśmy z naszego żołdu. Dodatkowo kupowałem świeże masło, bułki i pomidory, które nadzwyczaj smakowały. Był to bowiem ciepły lipiec, sierpień i połowa września.

[114] Rwa kulszowa.

Służba w pułku należała do przyjemności, boć naprawdę to była „zabawa w wojsko". Po zajęciach wolność wychodzenia do miasta do godziny dwunastej w nocy. Grudziądz bardzo mi się podobał. Chodziliśmy do parku, nad Wisłę, do restauracji, w których były tańce w zieleni pod gołem niebem, wieczorami oświetlone różnokolorowymi lampionami. Dziewuchy młodziutkie obskakiwały podchorążaków, oficerów, jak pszczoły ul. Chociaż nie umiałem tańczyć, ale one zmuszały i uczyły wszystkiego. Ulica Lipowa, przy której znajdowały się inne jednostki wojskowe (artyleria, łączność), opanowana była przez „Lucyfera", którego „posłanki" czyhały na oficerów, podchorążaków, żołnierzy. Mówiono, że kwitnąca lipa wzdłuż całej ulicy odurza i nastraja do miłości.

Pewnego wieczoru, dość późno wracam ze spaceru do koszar, oczywiście ulicą Lipową. Nagle podchodzi do mnie krasawica, dziewczyna o nieprzeciętnej piękności, młodziutka, blondyneczka. „Czy mogę pójść z panem?" A może w pokrzywy? – pomyślałem. (Od tamtych pokrzyw minęło dwa lata.) „Chciałabym u pana przenocować". „Jestem też głodna" – powiada. Przesunęły mi się różne myśli: skoro tytułowała mnie przez „pan", to byłem pewny, że nie jest „zawodową uwodzicielką", prostytutką, bo te mówią wprost „ty". Może jest zabłąkana? Może szuka przygód? W tym w duszy mojej słyszę głos: „Bezdomnego przyjmij, głodnego nakarm". Dziewczynka robiła wrażenie uczciwej, niewinnej osoby. Nie wiem, czy litość, czy pożądanie zadecydowały, że poszliśmy razem do koszar, do mego pokoju. (Oficjalnie nie wolno było wprowadzać kobiet do koszar, ale nieoficjalnie wprowadzano „siostry" lub „kuzynki".) Dopiero w pokoju przy świetle podziwiałem jej piękność. Tłumiłem w sobie pożądanie, bowiem „głodnego trzeba nakarmić, skoro przyjąłem go do domu". Mając gruszkę elektryczną, zrobiłem herbatę. Postawiłem na stół bułki, masło, kiełbasę, pomidory. Jedząc, opowiadała o sobie: mieszka w Nowem (miasteczko po drugiej stronie Wisły). Dziś wybrała się do Grudziądza, aby zwiedzić miasto, zabawiła za długo i bała się wieczorem wracać do domu. Zdecydowała się mnie zaczepić. Mówiła też, że miała chłopca, którego kochała, ale on ją tylko wykorzystał i znalazł drugą. Opowiadała dużo więcej o sobie i o rodzinie. Wreszcie nadeszła pora, aby pójść spać. Od czasu „dziewczyny w pokrzywach" nadal byłem wstydliwy i bez odwagi, więc powiedziałem: „Ty będziesz spała tutaj, zamkniesz się na klucz, a ja pójdę spać do kolegów". „Ach, nie" – zawołała – „tu razem będziemy spać". I nim się zorientowałem, była roznegliżowana. Stała jak nimfa. Jakież miała powabne kształty ciała: wspaniale rozwinięte biodra, biust, zgrabne nogi, piękną twarz, wszystko tak idealnie proporcjonalne, po prostu cud stworzenia. Któż mógłby się oprzeć takiej pokusie? Sądzę, że nawet św. Franciszek z Asyżu uległby przed taką pokusą. Albo słynny artysta-pianista, Artur Rubinstein, lubił kobiety, o których powiedział: „głupia dziewczyna ma ładne nogi". Widocznie Rubinstein obserwował, brał kobietę od spodu.

Ciekawy wywiad wśród mężczyzn przeprowadził pewien reporter. Indagowanym mężczyznom stawiał następujące pytanie: „Na jaką część ciała rzuca pan okiem, patrząc na kobietę, która się panu podoba; najpierw – następnie – i na końcu?" Z odpowiedzi pytanych, reporter zestawił ciekawą statystykę: „Większość mężczyzn zerka najpierw na część okrągłą, środkową, która wprawdzie nie zawiera mózgu, ale za to jest powabna i pociągająca. Po oblizaniu części, często niewymiarowej, oczy posuwają się dalej, głaszcząc uda i nogi, potem nagłym przerzutem spoczywają na biuście i dopiero z tych „pagórków" zerkają w górę na część zawierającą mózg, ale bardzo ostrożnie, by nie przestraszyć się brzydką twarzą". Czy reporter miał rację? – powiedzcie mężczyźni.

Co robiłem z dziewczynką w łóżku? Czy muszę o tym pisać? W każdym razie było więcej, niż zerkanie. Tak kształtowna dziewczynka udowodniła, że seks to cudownie przyjemna rzecz. A ta okrąglutka część ciała kobiety (ta bez mózgu) jest ośrodkiem, naokoło którego kręci się cały męski świat; jest oazą, do której śpieszą spragnieni. Rezultatem mego spania z dziewczynką w koszarach 64 Pułku Piechoty w Grudziądzu było to, że odtąd (mając 23 lata) stałem się pełnowartościowym mężczyzną, spoglądającym na kobietę zgodnie ze statystyką reportera. Na drugi dzień, mając ostatni dzień wolny z powodu skaleczonego łokcia, w południe odprowadziłem dziewczynkę, prosząc ją, aby tak cudowne kształty swego ciała szanowała i nie oddawała je na uliczną sprzedaż. Czy posłuchała mojej rady, nie wiem, bo więcej nie widziałem tej pięknej, siedemnastoletniej dziewczyny.

A więc przestałem być „świętoszkiem". Czy popełniłem grzech, jak powiadają gromadkarze? Dręczyło mnie przykazanie: „Nie cudzołóż". Czy cudzołożyłem? Rozum mi mówi, że, zgodnie z prawdą, leżałem, czy spałem w swoim łóżku, a nie w cudzym. Pomyślałem po niemiecku: „Du sollst nicht Ehe brechen"[115]. Chyba i w tym wypadku jeszcze bardziej jestem niewinny, boć przecież nie rozbiłem małżeństwa, gdyż byłem kawalerem i dziewczynka panną, a nie mężatką. Tak oto żartobliwie można tłumaczyć święte przykazania Boskie.

Gdy jednak spojrzymy, co widzimy w świecie, jak często tak piękny kształt kobiety staje się przedmiotem handlu, wyzysku, upodlenia, niewolnictwa, tragedii. Wtedy tego wszystkiego nie można inaczej nazwać jak grzechem.

Jeżeli wyzyskałem dziewczynkę, to, niestety, muszę się uznać za grzesznika. I jako taki stoję przed moim sędzią, Jezusem Chrystusem, w podobnej sytuacji, w jakiej znalazła się Maria Magdalena. „Święci" Faryzeusze krzyczą: „Ukamionować ją!" – Jezus milczy, patyczkiem pisze coś w piasku..., wreszcie powiada: „Kto z was jest bez grzechu" (dodać by należało: bez grzechu seksualnego) – „niech pierwszy rzuci kamieniem". Ani jeden nie znalazł się, by rzucić kamieniem. Bo kto jest bez grzechu? „Nie ma ani jednego" – czytamy w Piśmie Świętym – Rzym. 3,10. Jezus nie potępił Magdaleny – Jan 8,5. Dlatego i ja mam nadzieję, że i moją słabość nie potępi. Bywało bowiem, że dziewczynki towarzyszyły nam na ćwiczenia, aby w przerwach poromansować, nawet jechały za nami na manewry.

35
Trzecia posada nauczycielska

Jednoroczną obowiązkową służbę wojskową, rozpoczętą piętnastego września 1929 roku w Baonie Podchorążych Rezerwy Piechoty nr 9 w Berezie Kartuskiej i praktyką od pierwszego lipca 1930 roku w 64 Pułku Piechoty w Grudziądzu, zakończyłem 15 września 1930 roku. W sierpniu tegoż roku otrzymałem nominację na nauczyciela w trzyklasowej Szkole Powszechnej w Wielkim Wełczu nad Wisłą i tuż przy granicy Prus Zachodnich (zachodnia część Prus Wschodnich). Nominacją tą byłem bardzo zaskoczony, bo spodziewałem się wrócić do Piasków.

[115] Nie zdradzaj żony.

Dnia 15 września, bezpośrednio po zwolnieniu z wojska, jadę rowerem w mundurze kaprala-podchorążego do odległego o osiemnaście kilometrów od Grudziądza Wielkiego Wełcza. Jest piękna słoneczna pogoda. Zajeżdżam do szkoły akurat w czasie przerwy. Dzieci na boisku i dwie panie nauczycielki. Nie chce mi się wierzyć: jedna z nich to dobrze mi znana z Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie (maturzystka z 1929 roku), Irena Żołnowska. Przywitała mnie z dziwnie drwiącym śmiechem. Spodziewałem się z jej strony raczej radosnego powitania. Natomiast druga, pani Wallas, kierowniczka, powitała mnie bardzo serdecznie. Kierowniczka wskazała mi budynek szkolny, murowany z trzema klasami, w tym też moje mieszkanie (dwa pokoje z kuchnią) na piętrze. Poza tym stary budynek z dwoma mieszkaniami dla nauczycielek. Stwierdziłem, że i tutaj, jako świadomy Polak i oficer Wojska Polskiego, jestem „niemieckim" nauczycielem. Ponieważ rok szkolny był już w biegu, musiałem się tylko dopasować do już obowiązującego programu i porządku zajęć.

Zameldowałem się u sołtysa o nazwisku Ficek. Pochodził z Wileńszczyzny. Po drodze u Szczepańskiego zaopatrzyłem się w wędliny. Obiady zamówiłem w karczmie u pana Gronka (Gronek – Kaszub), który miał trzy córki: Jadwigę, Gertrudę i Urszulę. W karczmie zaopatrywałem się we wszelkie produkty żywnościowe.

Komendantem Posterunku Straży Granicznej był sierżant Borkowski, który miał dwie córki: Wandę i Anielę. Poza Komendantem było jeszcze trzech strażników: pan Świercz, Gustaw Kawiecki – kawalerzy – i jeden żonaty i dzieciaty (nazwiska nie pamiętam). Wielki Wełcz był dużą wioską rolniczą, bez majątku. Poza tradycyjnymi zbożami i okopowymi, uprawiano tytoń. Niemieccy gospodarze zasobni. Polacy biedniejsi. Każdy gospodarz miał sad. Brakowało w pobliżu lasów. Łąki rozpościerały się za wałem ochronnym wzdłuż Wisły. Gleba urodzajna, czarnoziem. Gospodarze niemieccy bogaci, czego nie można było powiedzieć o polskich rolnikach, którzy byli powojennymi mieszkańcami Wielkiego Wełcza.

Obok szkoły stał ewangelicki kościół, obsługiwany przez pastora (Mazura, inwalidę) z Prus Wschodnich, który dojeżdżał co drugą niedzielę. Najbliższy kościół katolicki był w Dusocinie. Proboszczem był ksiądz Pronobis. Wójtem gminy, do której należał Wielki Wełcz, był brat proboszcza, też Pronobis, mieszkał w sąsiedniej wsi Mokre, kawaler (stary kawaler). Sołtysem, jak już wspomniałem, był Pan Ficek, drobny rolnik, żonaty, kupa dzieci. W Wełczu był jeden rzeźnik, Szczepański, i jedna karczma, pan Gronek.

Ludność Wielkiego Wełcza narodowo i wyznaniowo mieszana, ilościowo pół na pół. Ale właścicielami gospodarstw byli przeważnie Niemcy. Współżycie było normalne, aczkolwiek kulturowo żyli w osobnych grupach. Niemcy jeździli na wszelkie rozrywki do Grudziądza. Część brała udział w polskich zabawach (przynajmniej za mego pobytu). Stosunek do mnie był z obu stron przyjazny. Nauka w klasie niemieckiej odbywała się normalnie, bez najmniejszych zgrzytów. Polacy respektowali mnie po prostu jako żołnierza Wojska Polskiego (podchorążego, później oficera), a w krótkim czasie nawet bardzo polubili.

Kierowniczka szkoły, pani Wallas, właściwie mało przejmowała się szkołą, którą rok temu przejęła po koledze, mężczyźnie. Żyła – można powiedzieć – miłością, wyczekując każdej soboty, kiedy przyjeżdżał na pięknym motorze jej narzeczony z Grudziądza. Dziwiłem się, że stosunek Ireny Żołnowskiej do mnie był nieszczery, nieżyczliwy i jakoś podejrzliwy. Nie mogłem tego wybadać i zrozumieć. Spodziewałem się raczej przyjaźni, choćby tylko dlatego, że kończyliśmy to samo Seminarium Nauczycielskie w Działdowie.

Wkrótce po moim przybyciu, karczmarz Gronek urządził zabawę. Była orkiestra ludowa. Zleciało się dużo młodzieży miejscowej, w późniejszych godzinach dochodzili za-

miejscowi. W międzyczasie zdążyłem zapoznać się bliżej ze strażnikiem Gustawem Kawieckim, który miał służbowego psa śledczego. Przeprowadzał z nim codziennie ćwiczenia: chodzenie za śladem, poszukiwanie ukrytych przedmiotów, obezwładnianie przeciwnika (człowieka). Do ostatnich ćwiczeń zgłaszał się dwudziestoletni młodzieniec, nazwiskiem Dziubek, który nie bał się psa. Raz wszedł z panem Kawieckim w zakład, że pies go nie ruszy, a nawet będzie uciekał. Dziubek swoim wzrokiem psa do tego stopnia zahipnotyzował, że pies zaczął się kręcić, wycofywać i przestał w ogóle atakować. Dziubek zakład wygrał. A pan Kawiecki od tego dnia zrezygnował z Dziubka do ćwiczeń z psem, bo bał się, że zostanie zdemoralizowany i będzie niezdolny do służby.

Ów pan Kawiecki zapoznał mnie z niektórymi dziewczynami, aby się z nimi pobawić. Sala zabaw była cośkolwiek udekorowana. Pod ścianami długie ławy, obsiadłe dziewczynami i tu, i ówdzie między nimi chłopiec. Zauważyłem, że chłopcy tańczą zawsze ze „swoją" dziewczyną. Czasem dziewczyna miała kilku „swoich" chłopaków, więc już jeden powód do nieporozumienia i w końcu do bójki. Później zjawiały się grupy młodzieńców, tak zwane „bandy", które walczyły między sobą. Zwycięstwo padało z bandy na bandę. Raz jedni wygrywali, innym razem drudzy. Narzędziem walki były noże i szpadrynki. Szpadrynka to pierścienie na cztery palce, zlane w całość, zewnętrznie zakończone kolcami. Najgroźniejszą bandą była banda z Tarpna, przedmieścia Grudziądza. Do rozrabiania dochodziło dopiero wtedy, gdy młodzież podpiła. Wówczas jeden bohater wzywa drugiego na dwór, aby się rozprawić. Z pojedynczych porachunków powstaje tumult. Dziewczęta uciekają, kryją się, odważniejsze przyglądają się walce chłopców. U niejednego leje się krew. Wreszcie karczmarz wzywa wszystkich do opuszczenia sali. Walka przenosi się na dwór. Zamiejscowa „banda" ucieka, okazała się słabsza, miejscowi gonią i leją uciekających. Dziewczęta opatrują swoich „bohaterów", zadowolonych ze zwycięstwa i powoli rozchodzą się do domów. Nic dziwnego, że młodzież niemiecka nie bierze udziału w tego rodzaju zabawach. Na tej zabawie i z opowiadania Kawieckiego zorientowałem się, że w Wielkim Wełczu jest dużo pozaszkolnej młodzieży. Pomyślałem, będąc jedynym nauczycielem – mężczyzną we wsi, należy zająć się młodzieżą.

W księgarni Braci Bażyńskich w Grudziądzu, przy Rybnym Rynku, zaopatrzyłem się w kilka sztuk teatralnych możliwych do wystawienia na wsi. Zaprosiłem osoby, które nadawałyby się na „aktorów". Nauczycielka Żołnowska odmówiła współpracy. Zespół teatralny udało się zorganizować. Główniejsze role przejęli: Gustaw Kawiecki, Szeflerówna i ja. Pierwszą sztuką – o ile przypominam – była *Piłsudski w Szczypiorniaku* (w więzieniu). Ćwiczyliśmy intensywnie. Organizowałem również wieczorki świetlicowe, na których młodzież bawiła się w gry towarzyskie oraz gry stołowe: szachy, warcaby, „nie denerwuj się" i inne. Na zajęciach świetlicowych omawiałem z młodzieżą formy, „jak należy się bawić na publicznej zabawie?" Młodzież zaakceptowała mój projekt: „Bawimy się wszyscy ze wszystkimi, a nie tylko ze swoją sympatią". Do każdego następnego tańca chłopcy biorą zawsze inną tancerkę tak, żeby wszystkie dziewczęta, ładne czy brzydkie, nawet ułomne (były we wsi dwie), mogły się ubawić. Przyjęto też zasadę: jeżeli któraś panna odmówi chłopcu, da „kosza", wtedy żaden chłopiec nie powinien jej prosić do tańca, niech sobie siedzi na „koszu".

Przedstawienie teatralne połączyliśmy z zabawą. Sztuka się udała, publiczność była zadowolona. Wstęp na przedstawienie pokrył nam wszelkie koszty, nawet związane z zabawą i wydatkami na orkiestrę. Dochód z zabawy mieliśmy na czysto, na urządzenie na-

stępnych atrakcji. Z przebiegu zabawy młodzież była bardzo zadowolona, a szczególnie dziewczęta, bo żadna nie siedziała na ławce, wyczekując na tancerza, wszystkie tańczyły. „Takiej zabawy jeszcze nie było" – mówiono. Nie było scyzoryków, nie było sztyletów, nie było kłótni, nie było porachunków, bo wszyscy wspólnie się bawili. A „oberki", „poleczki" tylko dudniły na drewnianej podłodze. Romantyczne, pełne nastroju były „walczyki": chłopiec przytulał dziewczynkę, ona swego partnera. W taki sposób bawiła się młodzież w Wielkim Wełczu aż do mego wyjazdu w 1933 roku.

W karnawale 1931 roku wystawiliśmy nową sztukę teatralną z jeszcze większym powodzeniem. A po przedstawieniu odbył się „bal maskowy". Opinia o naszych zabawach rozniosła się po całej okolicy. Na przedstawienie przyszło znacznie więcej gości. A na zabawę, na „bal maskowy", napływała młodzież z różnych stron. Nasi chłopcy byli przygotowani, aby na balu był spokój i porządek. Nastawieni byli na to, aby mniej się bawić, a pilnować porządku, by nie doszło do żadnych incydentów.

Ponieważ byłem organizatorem, więc musiałem być wszędzie: witałem gości, podziwiałem kostiumy balowe, zachęcałem do tańca. A moi chłopcy nie próżnowali, brali do tańca jedną pannę po drugiej. Wodzirejem był Kawiecki. Świetnie to robił. Karczmarz z dwiema córami nie nadążał nalewać kielichów wódką, wydawać lemoniady i zakąski. Tylko się śmiał, bo interes kwitł. Towarzystwo rozbawiło się na całą parę. Orkiestra rżnie od ucha do ucha. W pewnej chwili stoję przy kasjerkach obok drzwi, do sali wchodzi grupa „Indian", pięknie ubrani w oryginalne stroje indiańskie, w pióropuszach, ubiory ozdobione błyszczącymi kolorowymi szkiełkami, twarze pomalowane, niczym prawdziwi Indianie. Powitałem „Indian" bardzo serdecznie i uroczyście, podziwiając i chwaląc ich wspaniałe stroje. Przy okazji dotknąłem ich pasa i w koło zawieszonych sztyletów. Przekonałem się, że to są prawdziwe, błyszczące metalowe, ostre sztylety. Ktoś już na wstępie zdążył mi szepnąć jedno słowo: „Tarpno!" Wiedziałem, co to słowo znaczy, z kim mam do czynienia: „Banda z Tarpna" – najgroźniejsza w całym powiecie. Natychmiast pomyślałem: „Tylko jakiś fortel może zapobiec krwawej rozróbie".

„Szanowni Indianie, strój wasz zasługuje na to, aby was godnie powitać i przyjąć" – rzekłem do nich – „zapraszam panów do bufetu". Minęliśmy korytarz, weszli do sali z bufetem. Było ich sześciu dorodnych młodzieńców. „Proszę sześć pięćdziesiątek, a dla mnie, jak zwykle" – zwracam się do pana Gronka (karczmarza). On wiedział, że mnie w miejsce wódki wlewał wodę sodową, czasami najmniejszy kieliszek wódki. Nim kieliszki były napełnione, rozmawiałem z „Indianami" o ich strojach, skąd je zdobyli (z wypożyczalni), ile płacili itd. „No to zdrowie Indian!" – trąciliśmy kieliszkami. Twarze „Indian" się rozweseliły, jak u prawdziwych Indian. „Jeszcze jedną kolejkę" – proszę karczmarza. Rozmowa z „Indianami" się ożywiła, stała się serdeczna. Wychyliliśmy następnego kielicha. Teraz odważyłem się ich rozbroić, pozbawić ich groźnych sztyletów. Zwróciłem się do „Wodza": „Mam do was jedną prośbę". Wesoło odpowiadają: „Słuchamy". (Może pomyśleli, że będą mi potrzebni do walki.) Ciągnę dalej: „Urządzam zabawę, chcę aby była wesoła i spokojna, ale sądzę, że wasze sztylety" (w tym momencie pojechałem ręką po sztyletach „wodza", które zabrzmiały dźwiękiem szlachetnego metalu) „wystraszą mi wszystkich gości; spójrzcie" (wskazałem na gości w sali) „z jakim strachem i lękiem patrzą na was". Kiwnąłem na pana Gronka, aby nalał następną kolejkę. Biorąc kieliszki do rąk, mówię do „Indian": „Prosiłbym was, abyście pasy wasze złożyli u mnie w depozyt, które dostaniecie, gdy będziecie odchodzili". Mówiąc te słowa, wyciągnąłem lewą rękę i poprosiłem, aby zawiesili na niej

swoje pasy ze sztyletami. Z uśmiechem popatrzyli po sobie i zawołali „Oczywiście, możemy złożyć". I w tym momencie sześć pasów, dość ciężkich, zawisnęło na moim ramieniu. Pasy oddałem pani Gronkowej na bezpieczne przechowanie. Dziękując im za grzeczność, postawiłem im po kielichu, życząc im przyjemnej, wesołej zabawy. Zadowolony z „rozejmu", udałem się na salę. Przystojni „Indianie" uzupełnili procentualnie brak mężczyzn do tańca.

Razem z panem Kawieckim kierowaliśmy tańcami i figurami tanecznymi: „Tworzymy kółko, panie do środka na zmianę z mężczyznami, kręcenie to w lewo, to w prawo". „Przeplatanego". „Tworzymy tunel", „para za parą" w takt marszu lub poloneza i inne.

To było w Wielkim Wełczu coś nowego. „Takich zabaw tu nie znaliśmy" – mówiła młodzież. Na chwilę pan Kawiecki wyłączył się z zabawy, poszedł przebrać się w „kozła", a jego kolega, pan Świercz, za „bociana". Wpadają na salę Koziół – jak wiemy – z natury stworzenie psotliwe, zbereźne, „gdzie koza nie wejdzie" – powiedzonko ludowe. Bocian natomiast istota spokojna, powolna, poważna, majestatyczna. Przebierańcy, według swoich natur, odstawiali niesamowite figle. Koziół skakał po krzesłach, ławach, stołach, atakował mężczyzn, straszył dziewczęta. Bocian powolnym krokiem obchodził dziewczęta, tulił główkę do piersiątka, dziobem dotykał brzuszka, zaglądał pod sukienkę, objawiając swoje posłannictwo: „Kle-kle-kle, bocianie! Przynieś mi dzieciaka, dam ci za to trojaka".

Koziół i bocian odegrali figle nie z tej ziemi. Śmiechu pełna sala. Goście boki zrywali ze śmiechu. Nagle patrzymy, „koziół" padł na podłogę. Podlatujemy do niego, leży zemdlały, nieprzytomny. Wynosimy go do pokoju. Zdejmujemy mu cały strój oraz ubrania. Masujemy mu serce. (Oddychania „usta w usta" wtedy nie znano). Po chwili oprzytomniał. Ponieważ był pijany, więc ktoś poradził, aby pił kwas z kapusty kiszonej. To pomogło. Wnet znalazł się na sali wśród tańczących.

O godzinie dwunastej w nocy orkiestra zagrała odpowiedni hejnał, zapowiadający poloneza z odsłonięciem masek. Na środku sali ustawiono masywny stół z dwoma krzesłami do wchodzenia i schodzenia ze stołu. Zamaskowani w tempie poloneza okrążyli salę i kolejno para za parą wchodzili na stół i zdejmowali maski. Ileż było rozczarowań i niezadowolenia z partnera czy partnerki, po ujrzeniu prawdziwej twarzy. A ileż było śmiechu, gdy parą okazały się dwie panny, a jeszcze większy śmiech, gdy „zakochanymi" było dwóch mężczyzn. Ale na to jest zabawa, aby się uśmiać.

Na tym nie było końca z zabawą. Tańce szły dalej. Tańczono i śpiewano: „Nie pójdziemy aż rano, aż rano, aż będzie świtało". „Indianie", uzbrajając się z powrotem w strój bojowy, serdecznie dziękowali, mówiąc: „Jeszcze na żadnej zabawie tak się nie ubawili, jak tutaj". Nawet te dwie kulawe panienki nie siedziały na ławie, lecz tańczyły. Jedna z nich była mała, grubiutka. Prosiłem pana Świercza (wysokiego wzrostu), aby z nią zatańczył: on trzymał ją za uszy, a ona jego za biodra. Taka była różnica wzrostu. Z tej pary była kupa śmiechu.

Wrócę wspomnieniami do szkoły, do mojej klasy. Wkrótce po przybyciu do Wielkiego Wełcza, przypuszczalnie w październiku, znienacka wpada do klasy inspektor szkolny, Józef Sowiński. Trafił na lekcję języka polskiego w klasie niemieckiej. Usiadł na froncie klasy, obok katedry i przysłuchiwał się. Minę miał grobowo poważną. Przesiedział do dzwonka. Na przerwie, nie mając właściwie nic do skrytykowania, przeczytał mi jedno zanotowane w jego notesie zdanie, w którym niby użyłem rodzajnika przed rzeczownikiem (jak to jest w języku niemieckim) dodając: „Tak się nie mówi po polsku". Tylko tyle było z nim rozmowy. Nie pamiętam, czy podał mi rękę, wchodząc do klasy i wychodząc. Wpadł,

jak złodziej i pojechał. Zionął z niego chłód – zimny jak głaz. U inspektora Patocka promieniowała dobroć, serdeczność, życzliwość, koleżeńskość. Trudno, wpadłem w inne, złowrogie ręce. Ciekawe, że inspektor Sowiński (inspektor Patock miał inny rejon) w ciągu trzech lat nie wizytował ani razu nauczycielki Ireny Żołnowskiej. Zobaczyłby u niej prawdziwe błędy ortograficzne i gramatyczne wypisywane na tablicy, które osobiście widziałem. Mnie kontrolował często i niespodziewanie. Z kierownikiem zamieniał zaledwie kilka słów i znikał.

Irena Żołnowska jako nauczycielka nie interesowała się w ogóle pracą społeczną. Pochodząc z nędzy, dumnie chodziła z podniesioną głową, nie widząc nikogo, nie kłaniając się nikomu, nie znając nikogo, nie odwiedzając dzieci w ich domach. Widocznie brzydziła się pospólstwem, z którego sama pochodziła. Na przedstawienia teatralne, urządzane przeze mnie, przychodziła, zajmując miejsce w pierwszym rzędzie. Wybuchała śmiechem w miejscu, w którym nie było nic do śmiechu. Żenowała się za każdym razem, gdy stwierdzała, że jej śmiech był „solowy". Wyglądało to na nienormalność. (Jeszcze w innym miejscu powiem o niej.)

Po przybyciu do Wielkiego Wełcza zapoznałem się z najważniejszymi osobistościami, które jednocześnie tworzyły „Klub Skatowy" i niechlubny „Klub pijacki". Siedzibą „Klubu" była (jakżeby inaczej) karczma pana Gronka. Stołując się w karczmie, jakżeby to było, aby nauczyciel nie należał do tego klubu. Z zasadami Skata zapoznałem się jeszcze w Lisnowie, aczkolwiek tam nie grałem. Do tego klubu należeli: sołtys Ficek, wójt Pronobis z Mokrego, proboszcz katolicki Pronobis, brat wójta z Dusocina i emerytowany adwokat (jego nazwiska nie pamiętam). Czwórka ta zjeżdżała się w soboty po południu. Wójt przyjeżdżał bryczką w karego (maść miał czarną jak smoła), po drodze zabierał proboszcza i adwokata, aczkolwiek ten ostatni częściej bywał w Wielkim Wełczu na kielicha z sołtysem, obaj byli notorycznymi alkoholikami. Z początku tylko kibicowałem, wymawiając się, że nie znam skata, zawsze pamiętając, że picie alkoholu i gra w karty to grzech. Powoli jednak wciągnęli mnie do gry. Kiedyś grali na pieniądze, ale za mego czasu grano: „kto przegra, stawia kolejkę wódki". Zimową porą grano w lokalu, latem w ogrodzie.

Koń wójta, Kary, był niecierpliwy długogodzinnym postojem, wyrywał się, chciał uciekać. Wójt miał na to sposób: wychodził z lokalu, siadał do bryczki, naprowadzał konia z bryczką pionowo do sztachetowego jednometrowego płotu i zawołał: „kary, hop!". Koń przeskoczył, znalazł się w ogrodzie, a bryczka za płotem na ulicy. „Teraz mi nie uciekniesz!" – powiada wójt, wracając do gry w karty. I rzeczywiście, koń nie mógł się ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Piękny Kary musiał znosić takie „stójki".

W sobotę gra szła do nocy. Mimo że byłem początkującym, rzadko przegrywałem (bo oszukiwałem w pięciu kolejkach, mając umowę z karczmarzem: zamiast wódki, podawał mi wodę sodową). Najczęściej przegrywał sołtys i wójt. Ale ci dwaj nie chcieli kończyć gry przed północą. Zbliżała się godzina dwunasta w nocy. Proboszcz powiada: „O dwunastej kończymy grę, bo jutro Msza Święta". Na to sołtys: „Ach, co tam msza, grajmy dalej". Tak długo nalegał, aż „złamał" proboszcza. Proboszcz na to: „Ale to musimy cofnąć zegarki". „Dobrze". Cofnięto o jedną godzinę, potem znów o godzinę. Często godzina czwarta rano była godziną dwunastą w nocy. (Dlaczego tak było, o tym wiedzą duchowni katoliccy.) Wreszcie rozchodzono się w stanie podchmielonym do domu. Karego trzeba było wyprząc, bo do tyłu skakać – tego i wójt nie mógł go nauczyć. Chcąc nie chcąc, znalazłem się w towarzystwie pijaków i namiętnych graczy. Stwierdziłem, że sołtys i adwokat to alkoholicy.

Jak dalece zaawansowani byli w tym kierunku wójt i proboszcz, tego nie mogę powiedzieć, bo spotykaliśmy się tylko sobotami.

Przykro było wysłuchiwać płaczu i lamentu sołtysowej, która przychodziła, czasami z dzieckiem po męża, który zawsze znalazł kogoś do kielicha. Dowiedziałem się, że poprzedni kierownik szkoły stał się w tym towarzystwie alkoholikiem. To była poważna przestroga dla mnie. Umówiłem się z karczmarzem, że mnie będzie nalewał wodę, a liczyć może za wódkę. To funkcjonowało bardzo dobrze, gdyż każdy otrzymywał swój kieliszek z tabletu. W taki sposób ja korzystałem na zdrowiu, a pan Gronek kasował pieniążki za wodę.

Przez pracę szkolną i pozaszkolną byłem ściśle związany z mieszkańcami wsi. Poznałem, jak uprawiają rolę, jak prowadzą uprawę i zbiór tytoniu, jak się zakłada pola szparagowe. Pod szparagi gospodarz wykopywał szerokie, na metr głębokie rowy. Wtedy kładł warstwę obornika, na to warstwę ziemi i tak na przemian, aż utworzył się ogromnie szeroki i długi kopiec. Kopiec dzielił się na podłużne kopczyki, oddzielone ścieżkami. Tak przygotowane szparagowisko zapewniało na długie lata dobre zbiory. U rolnika Maciejewskiego (Niemiec o polskim nazwisku) widziałem, jak sadzi się drzewka owocowe. Maciejewski powiada: „Wykopuje się dół głębokości dorosłego człowieka, o obwodzie korony przyszłego wyrosłego drzewa (jabłoni, gruszy, wiśni...), potem daje się na przemian obornik lub kompost i ziemię aż do poziomu, w środek sadzi się drzewko i leje się wody tyle, aż stanie na wierzchu. W ten sposób posadzone drzewo owocować będzie pięćdziesiąt i więcej lat". W innym gospodarstwie niemieckim przyglądałem się, jak się robi powidła ze śliwek i ewentualnie innych owoców. „To mozolna robota" – powiada gospodyni – „nie można odchodzić od kotła, wciąż trzeba mieszać, żeby się nie przypaliły". Do tego służą specjalne, żeliwne kotły.

Nigdy nie spodziewałem się, że na wsi znajdę w mieszkaniu ogród botaniczno-zoologiczny. Odwiedzając rodziców uczennicy Rosenhauer na kolonii, zastałem jej matkę na inwalidzkim wózku, gospodarz pracował w polu. Po zapoznaniu się, rozwinęła się interesująca, przyjacielska rozmowa. Pani Rosenhauer była inteligentną, oczytaną, szlachetną osobą. Gdy zapytałem o jej domowe czynności, zakręciła kółkami wózka, zapraszając mnie słowami: „Bitte, kommen Sie mit, ich werde Ihnen meine Arbeit zeigen"[116].

Wprowadziła mnie do bardzo dużego pokoju. Co tam zobaczyłem, zatkało mój oddech. Znalazłem się wśród mnóstwa żywych roślin, przeróżnych kwiatów, preparowanych zwierzątek i ptaków, gustownie rozmieszczonych w pokoju, w którym poruszała się sparaliżowana gospodyni, osobiście doglądając wszystkiego. Można było tylko podziwiać. Był to prawdziwy ogród przyrodniczy. Wszyscy mieszkańcy Wielkiego Wełcza byli bardzo gościnni, szczególnie rodzice moich niemieckich dzieci szkolnych. Wzorem gościnności świeciły rodziny: Strehlau i Bonnek. Ursel Strehlau była bardzo zdolną uczennicą. Za czasów Hitlera była nauczycielką (niekwalifikowaną) w Wielkim Wełczu. Bonnkowie mieli dwoje dorosłych dzieci: starszy Walter, młodsza Anna. Był to dom, który zupełnie przypominał mi mój rodzinny dom. Stary Bonnek i jego małżonka swoim usposobieniem podobni byli do moich rodziców: spokojni, ułożeni, szlachetni, religijni, gospodarni. Czułem się u nich jak w domu. Często ich odwiedzałem, czasami nawet ze strażnikiem Gustawem Kawieckim. Wybieraliśmy się tak, aby trafić na kolację. Pewnego wieczoru wchodzimy na podwórko, patrzymy przez okno: rodzina Bonnek przy stole. Anna trzyma połeć boczku na kolanach i kroi plastry. „Dobrze trafiliśmy" – mówię do Gucia. Weszliśmy, witając się,

[116] Proszę pójść ze mną, pokażę Panu moją robotę.

Anna trochę speszona. Natychmiast znalazły się nakrycia dla nas. Najedliśmy się, uśmieli, nażartowali do syta.

Będąc u Bonnków sam, nigdy nie wracałem od nich wieczorami. Było bowiem we wsi kilku bandziorów, którzy wygrażali się, że kiedyś mnie napadną. Nie było im do gustu, że urządzam zajęcia świetlicowe, na które przychodzą wszystkie dziewczęta, a oni nie mają się wieczorami z kim bawić na ulicy. Idąc od Bonnków, mijałem ich obok rzeźnika Szczepańskiego. Przechodząc, kładłem rękę do kieszeni marynarki, palcem wypychałem, udając, że mam w kieszeni rewolwer. Kiedyś dziewczęta mówiły mi, że „bandziory" boją się mnie, „bo on ma rewolwer, gdyż jest podchorążakiem i jako taki ma prawo posiadać broń". Nigdy nie śmieli mnie zaatakować.

Anna i Walter Bonnek bywali na moich urodzinach. Byłem też na weselu, gdy Walter się żenił z panną nie z Wielkiego Wełcza. Z Anną łączyła mnie miłość „platoniczna". Była w moim wzroście (166 cm), ładna, zgrabna, o łagodnym usposobieniu. Kto wie, czy nie byłaby z nas para, gdy byłbym dłużej urzędował w Wielkim Wełczu. Ale wtedy wcale nie myślałem o ożenku.

Natomiast mój przyjaciel, Gucio Kawiecki, na gwałt szukał kandydatki na ożenek. Poznałem dwie panny, siostry, córki bogatego rolnika ze wsi Mokre. Nazywały się Chomicz, starsza Anna, imię młodszej zapomniałem. Obie ładne, ale młodsza ładniejsza. Umówiliśmy się z Guciem wspólnie je odwiedzić. Wybraliśmy się wieczorkiem dnia powszedniego. Pojechaliśmy rowerami. Wchodzimy od frontu do sieni. W prawo widzimy otwarte drzwi do obory. Uderzył nas zapach świeżego mleka i „perfum" oborowych. Wyskoczyły do nas obie panny, ubrane jeszcze w fartuchy, bo co tylko skończyły udój krów. Przeprosiły nas, zakręciły się, aby się przebrać, otwierając nam drzwi do pokoju po lewej stronie. Był to ich pokój panieński. Po chwili zjawiły się gustownie ubrane i potoczyła się wesoła rozmowa, przy czym nie brakowało momentów zbliżenia się. Uderzał od nich odór oborowy. Ale to nas nie zrażało, boć obaj z Guciem pochodziliśmy z gospodarstwa wiejskiego i takie zapachy były nam dobrze znane. A świeże mleko wprost od krowy bardzo nam smakowało. Młodsza Chomiczówna bardzo mi się podobała, ponieważ jednak między Guciem a mną stanęła umowa, że jemu przysługuje pierwszeństwo wyboru (bo szuka żony), więc ja musiałem się zadowolić Anną. Choć też nie była brzydka, ale nie tak ładna, jak jej siostra. Anna zakochała się we mnie do tego stopnia, że nie mogła znieść, gdy widziała mnie z inną dziewczyną. Pewnego dnia prosiła, abyśmy się spotkali w lesie w Leśniewie, jeden kilometr od Wielkiego Wełcza. Tam w czasie rozmowy powiedziała, że chce, abym się z nią ożenił. Jeżeli odmówię, to mnie zastrzeli. I w tym momencie wyciąga rzeczywiście prawdziwy rewolwer. „Skoro tak myślisz, to strzelaj!" – mówię do niej wnikliwie, patrząc w jej oczy tak, jak chciałbym ją zahipnotyzować. Nieruchomie patrzymy na siebie. Po chwili ręka jej się trzęsie i wreszcie bezwładnie opada. Uspokoiłem ją i wyperswadowałem jej, że nie w ten sposób szuka się męża. Na tym przyjaźń się skończyła. Również mój przyjaciel, Gucio, też nie ożenił się z jej siostrą.

Życie młodzieżowe rozwijało się. Na zajęcia świetlicowe przychodziło coraz więcej młodzieży. Jesienią urządziliśmy loterię fantową z uprzednią sprzedażą losów. Zezwolenie na tego typu loterię uzyskałem w Urzędzie Skarbowym. Wśród mieszkańców uzbieraliśmy dość dużo różnego rodzaju fantów. Walter Bonnek ofiarował nawet ładnego warchlaka. Fanty były numerowane i wystawione na widok publiczny. Losowanie odbyło się w sali tanecznej pana Gronka. Przy tym ubawu było co niemiara. Czasami los szczęścia może być

dość przykry. Posłuchajcie, służący (parobek) pana Strehlau przyniósł jako fant ogromną dynię. Popatrzcie ten sam chłopak wygrał nie co innego, tylko tę samą dynię. Co za traf, co za przypadek. Myślicie, że zrezygnował z wygranej? Wcale nie. Po zabawie, która odbyła się po losowaniu, wziął dynię na „bary" i wlecze do domu, a to jest jeden kilometr drogi. Blisko domu zahaczył nogą o kamień, bo był pijany, dynia padła z hukiem na ziemię i rozprysła się w kawałeczki. Nie było co zbierać. Czy się śmiał z tego upadku, czy przeklinał? – tego nie wiem. Ale uśmieliśmy się wszyscy, gdyśmy się o tym dowiedzieli.

Wiosną 1931 roku postanowiliśmy zorganizować orkiestrę. Scheffler z Leśniewa był muzykantem, miał własną trąbkę. Kilku innych młodzieńców, w tym i Gucio Kawiecki, umieli tyle o ile grać, że można było myśleć o skompletowaniu zespołu. Ale skąd wziąć pieniędzy na zakup używanych instrumentów? Skąd wziąć kapelmistrza, któryby uczył?

Zarabiałem wtedy nieźle. Razem z nadliczbówkami 330 złotych miesięcznie. To było dużo. Życie było tanie. Postanowiłem kupić instrumenty za własne pieniądze, a wycofywać będę z dochodów z urządzanych zabaw i imprez. Kupiłem siedem instrumentów na raty. Razem z Schefflerem było ośmiu „muzykantów", w tym i ja jako basista. A więc mieliśmy własną orkiestrę, nie musieliśmy najmować obcą. Graliśmy nawet poza Wielkim Wełczem na zabawach. Jednym słowem, życie wrzało we wsi. Tak, jak cieszyłem się wynikami pracy wśród młodzieży pozaszkolnej, tak przygnębiała mnie atmosfera w szkole. Nie mogłem zrozumieć niespodziewanych nalotów inspektora szkolnego Józefa Sowińskiego. Co mogło się za tym kryć? Daleki byłem od posądzeń o fałsz, nieżyczliwość, złą wolę. Nie posądzałem nikogo o jakiekolwiek intrygi. Postępowanie inspektora było dla mnie zagadką. Musiałem wszystko znosić. Z dniem 22 czerwca 1931 roku (jeszcze w czasie roku szkolnego) zostałem powołany na ćwiczenia wojskowe do 64 Pułku Piechoty w Grudziądzu. Były to manewry na poligonie w Grupie koło Grudziądza. Na zakończenie manewrów odbyła się prawdziwa wojna z ostrym strzelaniem. Amunicją nie były „ślepaki", lecz prawdziwe naboje karabinowe i pociski artyleryjskie. W tych ćwiczeniach trzeba było naprawdę szukać dołków, zasłon terenowych, aby przypadkowo (w czasie pokoju) nie zginąć na „polu chwały". Dowódcy manewrów wywiązali się z założonych zadań, a ja wróciłem zdrów dnia 2 sierpnia z awansem na plutonowego-podchorążego rezerwy do domu.

W międzyczasie, dnia 25 czerwca 1931 roku, w mundurze podchorążaka pojechałem z Grudziądza do Brodowa na ślub kościelny mojej siostry Marty z Fryderykiem Żbikowskim z Pierławki. Niestety, nie zdążyłem na ślub, który odbył się w kościele ewangelickim w Narzymiu, udzielony przez księdza Wilka. Wesele urządzono po „gromadkarsku", bez orkiestry i bez trunków alkoholowych. Jednak po wspaniałym obiedzie atmosfera stawała się ociężała. Wówczas brat Karol przejął funkcję organizacyjną. Sam lubił piwo i wódkę, więc znalazły się na stołach napoje alkoholowe. Znalazł się też jakiś muzykant i całe towarzystwo ruszyło do tańca, nawet Ksiądz Wilk nie odmówił. Grono weselne, składające się głównie z krewnych, sąsiadów i znajomych w liczbie 70 osób, chętnie korzystali z trunków „wyskokowych". Atmosfera stała się całkiem weselna. A specjalnie „trunkowi": Karol i Wilhelm, kuzyn z Dużej Sławki, popijając „Kornusa", opłakiwali z Janem Marszewskim z Chorapia jego zmarłą, kochaną Gottliebę. Byście zobaczyli, jak rzęsiście lały się z ich oczu łzy, aż chusteczki były mokre od wycierania. Nie wiem, czy ich zalane gęby cieszyły Gottliebę, patrzącą na nich z nieba. Ale takie oto jest życie ludzkie: radość i smutek idą w parze.

Resztę wakacji spędziłem – jak zwykle, w domu w Brodowie – pomagając w pracach rolnych. Kilka dni przed 1 września 1931 roku byłem już w Wielkim Wełczu, aby być obecnym przy opracowywaniu rocznego programu lekcyjnego. Po przyjeździe do Wielkiego Wełcza, zastałem duże zmiany. Zasmuciły mnie przede wszystkim dwa wydarzenia: jeden z „Klubu Skatowego", adwokat zapił się na śmierć (był w wieku 60 lat). Drugi, sołtys, pan Ficek, musiał sprzedać swoje gospodarstwo, aby uregulować wszelkie długi. Z reszty, co mu pozostało, kupił chałupinkę w Tarpnie, na przedmieściu Grudziądza. Poważnie pomyślałem: a jednak „Gromadkarze" mieli rację, głosząc: „Gra w karty i pijaństwo to grzech". Jakaż to straszna rzecz, gdy alkohol, karty, papieros stają się mocniejsze od woli człowieka. Miliony ludzi znajduje się w szponach tych słabości. Gromadkarze mówią: „Ci ludzie znajdują się w szponach diabła". Dr Marcin Luter powiada: „Życie nasze jest czemś, co składa się z mocy i słabości". Takie jest życie ludzkie. Czasami jesteśmy mocni, dając odpór złu, a chwilami tak słabi, że ulegamy każdej pokusie. Raz znosimy wszystko ze spokojem, innym razem reagujemy naszymi nerwami. Czując grzech, jedni szukają spowiednika, drudzy znajdują pomoc u Boga w Jezusie Chrystusie.

Dalszą niespodzianką w Wielkim Wełczu była zmiana właściciela karczmy. Pan Gronek sprzedał wszystko i przeniósł się do swojej ojczyzny, na Kaszuby. Na miejscu pana Gronka zastałem nowego karczmarza, którego nazwiska nie pamiętam. „Klub Skaciarzy" się rozpadł. Bo i proboszcz, i wójt przestali przyjeżdżać. Pewnie i oni „walczyli" z długami. Nie ubolewałem nad likwidacją „Klubu". Byłem z tego zadowolony, bo aczkolwiek nie „zastawiłem swoich portek", to jednak uznać muszę, że gra w karty to „złodziej" drogocennego czasu.

W szkole też zastałem zmianę. Kierowniczka, pani Wallas, wyszła za mąż za rzeźnika i zrezygnowała z nauczycielstwa. Na jej miejsce przyszedł pan Paprocki, żonaty, Pomorzak z Lubawskiego, władający dobrze językiem niemieckim. Po zapoznaniu się Paprocki zaproponował mi zamianę mieszkania. Chętnie się na to zgodziłem. On zajął moje mieszkanie w budynku szkolnym na pierwszym piętrze. Z tyłu budynku był ogród warzywny. Ja przeniosłem się do mieszkania w starym budynku na parterze od strony karczmy. Z frontu miałem do ulicy ogródek. Miałem dwa duże pokoje, jeden mały przez sień i kuchnię z wyjściem na podwórko, gdzie znajdował się budynek gospodarczy (chlew, stodółka). W pokoju frontowym od ulicy zawiesiłem najpierw firany. Między oknami stało biurko, na środku mebelki koszykowe: stół i fotele. Zdobyłem starą „grajkę", małe fisharmonium. W drugim pokoju – sypialni – stało łóżko i nic więcej, bez szafy.

Z kierownikiem Paprockim rozumieliśmy się dobrze, bo obaj byliśmy Pomorzakami, gdyż powiat Działdowo, skąd pochodziłem, należał do Pomorza. Poza tym Paprocki zdobył zawód nauczycielski tuż po wojnie, na rocznym kursie, który kończył również mój brat Karol. Przedstawiłem Paprockiemu mój plan, że chciałbym w bieżącym roku szkolnym złożyć egzamin kwalifikacyjny. W związku z tym prosiłem go, aby układając roczny plan lekcyjny przydzielił mi w klasie polskiej naukę języka polskiego i historię, gdyż z tych przedmiotów prowadzi się pokazowe lekcje na egzaminie. Paprocki chętnie się na to zgodził. Był bowiem pewny, że w tych przedmiotach byłem bardziej fachowy od niego, gdyż pięć lat „kułem" te przedmioty, a on tylko jeden. Wspólnie zmontowaliśmy rozkład lekcyjny na cały rok i kierownik wysłał go do inspektoratu szkolnego do zatwierdzenia.

Drogą odwrotną kierownik otrzymał pismo poufne, w którym inspektor pisze: „Pod żadnym warunkiem nie zgadzam się, aby pan Mallek udzielał języka polskiego i historii

w klasie polskiej" – podpis: Józef Sowiński. Mimo „poufności" pisma, Paprocki dał mi je do przeczytania. Mój plan został przekreślony. Jedynie biologię i fizykę mogłem uczyć w klasie polskiej. Klasa niemiecka pozostała nadal w moich rękach.

Dzisiaj, gdy o tym zakazie inspektora wspominam, to nie mogę siebie zrozumieć, dlaczego wówczas nie zareagowałem odpowiednio, obojętnie przyjmując decyzję inspektora do wiadomości. Czyż aż tak dalece byłem przekonany, że „co władza postanowi, to tak musi być?". Nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego wydano taki zakaz? Czy tylko dlatego, że byłem nauczycielem klasy niemieckiej? Przecież czułem się stuprocentowym Polakiem, a może nawet więcej. Swoją pracą w szkole i poza szkołą nie podważyłem godności Polaka. A tu naraz taki zakaz. Mało tego, wzmogła się nagonka inspektora na mnie. Wzmogła się częstotliwość zaskakujących wizytacji, po których nigdy nie było rozmowy i nigdy nie otrzymałem powizytacyjnych uwag na piśmie. Ciekawe przy tym było to, że każdą wizytację inspektora wyczułem dnia poprzedniego i uzupełniłem brakujące elaboraty lekcyjne, które obowiązywały każdego nauczyciela tymczasowego. Elaborat to była jedna lekcja tygodniowo opracowana na piśmie. Nigdy nie zaskoczył mnie nieprzygotowanego. I nigdy nie usłyszałem od niego żadnych uwag. Mimo to, widziałem i wyczuwałem, że coś knuje przeciwko mnie.

Postępowanie inspektora wobec mnie dziwiło również kierownika, a przede wszystkim uczniów. Po pewnej wizytacji dzieci klasy polskiej obstąpiły mnie i powiedziały: „Jeżeli inspektor jeszcze raz przyjedzie taki zły przeciwko panu, to my sprawimy mu lanie". Szczególnie dzieci klasy polskiej lubiły mnie, bo mogłem z nimi swobodnie, szczerze rozmawiać i żartować.

W 1931/32 roku szkolnym brałem udział w kursach robót ręcznych: obróbka drewna, metali i preparowanie ptaków i zwierząt. Kursy te odbywały się w jednej ze szkół w Grudziądzu, w godzinach popołudniowych. Kursy te miały na celu, aby nauczyciel we własnym zakresie mógł tworzyć pomoce naukowe. (Introligatorstwa nauczyłem się jeszcze w Seminarium Nauczycielskim w Działdowie.)

Do „bójki" dzieci z inspektorem nie doszło, aczkolwiek miałem wielką pokusę z nim się rozprawić.

W maju 1932 roku wyznaczono u mnie Konferencję Rejonową, na którą zjechało się nauczycielstwo naszego rejonu w liczbie 14 osób. Tematem Konferencji było: „Zakładanie ogródków szkolnych" (bowiem nastała taka moda w szkolnictwie). Ogród przy ulicy obok mego mieszkania był przygotowany. Wszelkie narzędzia i sprzęt do tego potrzebne również oraz kwiaty i rośliny do sadzenia. Na tablicy był wypisany plan pracy. O godzinie dziewiątej rano wchodzimy do klasy polskiej, gdzie obecne są dzieci trzeciego i czwartego oddziału, czyli starsze roczniki. Koleżeństwo zajęło miejsce w ławkach z tyłu klasy. Ja przystąpiłem do omawiania z dziećmi programu pracy. Nagle słyszymy warkot samochodu. Patrzymy przez okno, z taksówki wysiada inspektor Józef Sowiński. Wpada do klasy. Z nikim się nie wita. Zwraca się do mnie: „Proszę przeprowadzić z dziećmi powtórkę materiału z całego roku; z trzecim oddziałem naukę głośną, czwartemu oddziałowi zadać pracę cichą". Usiadł w ławce z tyłu i nastawił się do słuchania. Pociągnięciem inspektora byli wszyscy zaskoczeni. Ale władza jest władzą, nikt nie odważył się oponować.

Pracę piśmienną na temat *Rodzaje żelaza* zadałem czwartemu oddziałowi. Z trzecim oddziałem omawiałem zapylanie u roślin. (Były to te same dzieci, które namawiały mnie, aby inspektorowi sprawić lanie.) Po lekcji głośnej trzeciego oddziału polecił inspektor za-

dać mu cichą pracę i przystąpić do sprawdzenia pracy piśmiennej czwartego oddziału. Kilkoro dzieci odczytało swoje prace. Wszystkie bez zarzutu. W pewnym momencie inspektor przerwał, wskazał na jednego chłopca i polecił mu: „Wskaż w klasie przedmioty z żelaza i nazwij rodzaj żelaza". Chłopiec wymienił wszystko bez zarzutu, ale przy drzwiczkach pieca, jakby na sekundę przełknął ślinę. Sekundę tę wykorzystał inspektor, nie pozwalając chłopcu dokończyć odpowiedzi. Wstał, odwrócił się do klasy i rzekł, patrząc na chłopców: „Widzę, że wasza mądrość mieści się w waszych włosach". (Chłopcy nosili przyzwoite, młodzieżowe fryzury.) Nagle wstaje uczeń Wacław Dziubek i mówi: „Panie inspektorze, to znaczy, że mądrość dorosłych też jest we włosach, bo mają długie włosy". Koleżeństwo, słysząc te słowa, nie wiedziało, czy się śmiać, czy też podziwiać odwagę ucznia. (Trzeba wiedzieć, dzieci odczuwały, że inspektor mnie nienawidzi i prześladuje.)

Sowiński udał, że nie słyszał słów ucznia, pokręcił się i rzekł: „Proszę zarządzić przerwę". Wszyscy wyszli na boisko szkolne. Inspektor zamienił kilka słów z którymś z kolegów i odjechał. Właściwy temat Konferencji inspektora nie interesował, bo miał inny cel: maltretowanie mnie. Widocznie widział w tym swoją satysfakcję i zadowolenie. Po odjeździe inspektora koledzy przystąpili do mnie, wypowiadając najlepsze pochwały: „Ależ to był wspaniały przebieg lekcji. Dzieci z biologii jakże mądrze wypowiadały się o tak delikatnym problemie, jakim jest zapylanie, równoznaczne z zapładnianiem. To było wspaniałe...". Po przerwie przystąpiłem do właściwego tematu Konferencji: „Zakładanie ogródka szkolnego". Dzieci podzielone na grupy robocze przystąpiły do sadzenia kwiatów, roślin, zgodnie z planem, który był wypisany na tablicy i według szkicu na rysunku.

Ogródek ten był przedmiotem podziwiania, gdyż przylegał do ulicy, więc każdy przechodzień nie przeszedł, aby nie stanąć i napawać się pięknem i zapachem kwiatów. Po skończonej pracy zwolniłem dzieci do domu, a koleżeństwo zaprosiłem na obiad z „popijochą". Ponieważ inspektor zajął nam „swoją powtórką materiału" dużo czasu, więc zrezygnowano z wygłoszenia referatu, który przygotował ktoś z kolegów. Koleżeństwo wolało się pobawić, popijając na mój koszt piwo i wódkę, siedząc w zielonym ogródku tuż przy otwartej furtce do karczmy. Komunikacja w obie strony funkcjonowała doskonale. Tylko po konferencji nie bardzo funkcjonowała moja kieszeń, gdy zobaczyłem rachunek za napoje alkoholowe. Bo rachunek nie wypisywał uczciwy pan Gronek, lecz nowy karczmarz, który okazał się pijawką. Przez niego wpadłem w długi. Rozbiła się też moja orkiestra. Z kapelmistrza (byłego wojskowego), którego przywiozłem z Grudziądza i odwoziłem rowerem 18 km, bo nie umiał jeździć rowerem, musiałem zrezygnować. Orkiestranci na tyle opanowali instrumenty, że na swoją rękę grywali na zabawach. Bezczelnie żądali zapłaty, grając na zabawach, urządzanych przez nasz zespół teatralny. Korzystali przecież z moich instrumentów. Skoro mamy płacić swojej orkiestrze, to po co mam poświęcać moje instrumenty. Postanowiłem je sprzedać. Tak też zrobiłem. Odseparowałem się też od nowego karczmarza, wyzyskiwacza, rezygnując z obiadów.

Stołowałem się u żony kierownika, pani Paprockiej. Moja siostra Marta, zaledwie rok po ślubie, opuściła swego męża i wróciła do rodziców. Namówiłem ją, aby przyjechała do mnie. Przyjechała i gospodarowaliśmy razem do końca lutego 1933 roku, niespełna rok czasu. Razem jeździliśmy do Grudziądza. Raz spowodowałem wypadek, jadąc rowerem, nie trzymając kierownicy. Wjechałem na kupę żwiru, wywaliłem się. Marta, jadąc za mną, najechała na mnie, też się przewróciła. Oboje doznaliśmy lekkich obrażeń. Razem chodziliśmy też w gościny do rodziny Bonnek, Strehlau, Paprockich i innych. Jednym słowem, by-

ło nam dobrze. W szkolnictwie nastała moda zakładania sklepików szkolnych. Byłem chyba pierwszy, który w 1932 roku zorganizował taki sklepik. Na ogólnym zebraniu wszystkich dzieci wybrano Zarząd, który będzie prowadził i odpowiadał – pod moim nadzorem – za sklepik. Wybrano trzy osoby, uczciwe i sumienne, które w czasie przerw pełnią dyżur, sprzedając artykuły szkolne. Dodatkowo wprowadzono sprzedaż słodyczy, cukierków, czekolady. Sklepiki szkolne korzystały z cen hurtowych. Marża na cukierkach i czekoladach wynosiła co najmniej 50% ceny detalicznej, a na niektórych gatunkach, jak czekoladki z kremem, otrzymywaliśmy rabat w wysokości 60%.

Sklepik urządziliśmy w moim małym pokoiku, który z sieni miał osobne wejście, naprzeciw mego pokoju. Słodycze na noc przenoszono do mego pokoju, a to ze względu na bezpieczeństwo przed kradzieżą. Dla sklepiku było to gwarantowane bezpieczeństwo, ale dla mnie gwarantowana pokusa. Codziennie rano, wydając towar do sklepiku, jednocześnie przekazywałem pieniądze za przeze mnie zjedzone słodycze. Czyli sklepik miał najlepszego klienta w mojej osobie. Dzieci bowiem zaopatrywały się w przybory szkolne, jak: zeszyty, pióra, atrament, ołówki itp. Sporadycznie kupowały słodycze. W każdym razie, sklepik prosperował dobrze, przynosił zyski. Zarząd Sklepiku wywiązywał się ze swego zadania uczciwie i bezbłędnie. Może w przyszłości niektóre z dzieci polubiły zawód sprzedawcy-ekspedienta? Koleżeńskie stosunki utrzymywałem z sąsiednimi szkołami, z panną Badtke w Mokrem, z Rogalskim w Leśniewie i z Zielińskim w Zakurzewie, który gospodarował z matką.

Szkoły w Leśniewie i Zakurzewie były jednoklasowe, o jednym nauczycielu, dzieci mieszane, polsko-niemieckie. (Jeżeli liczba dzieci niemieckich wynosiła co najmniej czterdzieści, wtedy przysługiwał nauczyciel niemiecki.) Ponieważ obaj koledzy byli katolikami, więc dojeżdżałem do ich szkół, udzielając lekcji religii ewangelickiej w języku niemieckim. Były to moje godziny nadliczbowe, które dawały mi dodatkowy dochód minimum 100 zł miesięcznie. Kolega Rogalski z pobliskiego Leśniewa również mnie odwiedzał. Raz przyszedł i chwali się, że kupił sobie browning – rewolwer. „No to dawaj, idziemy na podwórko, postrzelać" – powiadam do niego. Postawiliśmy na słupku butelkę w odległości 30 m. Mówię do niego: „strzelaj!". „Wiesz, zrób ty początek" – nalegał. Chwyciłem, zmierzyłem: bac! Brzęk, butelka się rozprysła. Pomyślałem: „Chyba sam Pan Bóg kulę nosił". Rogalski na to: „To ja nie mam co próbować". Zrezygnował, uznając mnie za zwycięzcę. Odtąd rozniosła się o mnie fama, że jestem doskonałym strzelcem. Po drodze do Grudziądza przejeżdżałem przez wieś Mokre. Tam urzędowała koleżanka Olga Bathke. Jej szkoła była jednoklasowa o wyłącznie niemieckich dzieciach. Olga pokazała mi, jak się robi lekarstwo na gruźlicę. Przygotowywała to dla kogoś ze wsi. Do dużego słoja wlewała spirytus lub koniak. Wkładała kilka jaj ze skorupami i pokrojone cytryny ze skórką. To wszystko stało tak długo, aż skorupy jaj się rozpuściły. Wtedy trzeba było wszystko rozbełtać, potrząść i dawkami pić. Nie miałem okazji posmakować, bo „zacier" był co tylko postawiony. Olga zapewniała, że jest to środek doskonały.

Jakkolwiek przeżycia moje pozaszkolne w Wełczu były przyjemne i mile je wspominam, jednak pewien incydent nie należał do przyjemności. Komendant Straży Granicznej, Borkowski, miał dwie córki: Wandę i Anielę. Gdy przybyłem do Wielkiego Wełcza, Wanda miała 16 lat, a Aniela 14, skończyła podstawówkę. Aniela, będąc jeszcze uczennicą, mając 13 lat, urodziła dziecko, które zmarło. Obie „córy" – można śmiało powiedzieć, były lekkiego prowadzenia. Nie należały do młodzieży uczęszczającej na zajęcia świetlicowe.

Można powiedzieć, że były to dziewczyny „gorącej krwi". One wabiły, atakowały chłopaków. Obie miały rowery, którymi jeździły główną ulicą (drogą) od granicy, obok szkoły i dalej w stronę Grudziądza. Pewnego czasu przypuściły szturm na mnie. Z początku rozmawiałem z nimi, ale one chciały więcej, niż rozmowy. Nie mogę powiedzieć, że były brzydkie, ale ja się ich bałem. Wydawały mi się głupowate. Przestałem z nimi rozmawiać. Wtedy one, przejeżdżając tam i sam obok mego mieszkania, gdy siedziałem w ogrodzie przy ulicy, zaczęły mnie obrażać różnymi epitetami. Wybrykami swymi denerwowały mnie dość długo, aż wreszcie straciłem cierpliwość i poszedłem ze skargą do rodziców. Ci nie chcieli wierzyć, bo córki wszystkiemu zaprzeczały. Nie miałem innej rady, jak napisać pismo do Powiatowej Komendy. Ta nakazała Borkowskiemu oczyścić się z przedstawionych przeze mnie zarzutów. Borkowski nie miał innego wyjścia, jak tylko wytoczyć mi proces o obrazę.

Sąd w Grudziądzu wyznaczył termin. Na sprawę zjawia się Borkowski, który w imieniu swych córek oskarża mnie o obrazę. Ja jestem „pozwanym". Sędzia otwiera postępowanie i pyta najpierw Borkowskiego, czy podtrzymuje swój pozew. Borkowski potwierdza i żąda mego ukarania. Sędzia zwraca się do mnie: „Czy pozwany przyznaje się do tego listu?" – pokazując mi mój list pisany do Komendy Powiatowej. Odpowiedziałem: „Przyznaję się". „Co pozwany ma na swoją obronę. Czym może udowodnić, że to, co pozwany napisał, jest prawdą?" „Proszę o przesłuchanie świadka" – powiedziałem. Sąd wezwał świadka, Gustawa Kawieckiego, strażnika granicznego, który był moim serdecznym przyjacielem. Guciowi było przykro świadczyć przeciwko swojemu przełożonemu, w dodatku prywatnie kupował od Borkowskich mleko. Ale gwoli prawdzie wszystko potwierdził, co napisałem w moim liście o złym prowadzeniu córek Borkowskiego.

Trzyklasowa Szkoła Powszechna w Wełczu, powiat Grudziądz
Dzieci: część klasy niemieckiej. Nauczyciele: Paprocki, Edward Mallek

Borkowski, słysząc wypowiedzi świadka, poprosił Sąd o odroczenie sprawy. Sprawa została odroczona, ale do następnego terminu nie doszło. Po dłuższym czasie Borkowski wycofał pozew. Widocznie w „inny" sposób załatwił swoją sprawę w Komendzie Powiatowej. A Gucio Kawiecki za kilka lat ożenił się z Wandą Borkowską. „Wilk syty i owca cała". Tak skończyła się sprawa.

36
Jestem oficerem Wojska Polskiego

Dziennikiem Personalnym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Nr 1 z 1933 roku zostałem ja, Edward Juliusz Mallek, mianowany podporucznikiem rezerwy Wojska Polskiego. Byłem dumny z tej nominacji, która potwierdzała moje przekonanie – Polaka. Niestety, krótka była moja radość, gdyż została przyćmiona i przygaszona następnym, przykrym, smutnym i bolesnym wydarzeniem, spowodowanym przez złośliwego człowieka.

Podporucznik Edward Mallek

37
Zwolnienie z nauczycielstwa

W końcu lutego 1933 roku otrzymuję z Inspektoratu Szkolnego w Grudziądzu pismo, mniej więcej takiej treści: „Z dniem 1 marca 1933 roku zwalniam Pana z nauczycielstwa, bez prawa odwołania. Służy Panu trzymiesięczna odprawa, która będzie Panu przesłana pocztą". Podpis: Józef Sowiński, inspektor. Wiadomość ta spadła na mnie, jak piorun z jasnego nieba. „Nie ma prawa do odwołania". A więc klapka zapadła. Teraz zrozumiałem, jaki cel miały jego niespodziewane naloty.

Zacząłem rozmyślać nad tym, co mogło być powodem, że inspektor Sowiński, nie znając mnie bliżej, bo, po pierwsze, dwa lata podlegałem inspektorowi Patockowi, z góry nastawił się wrogo do mnie. Po wizytacjach nigdy nie skrytykował moich lekcji ani ustnie, ani na piśmie. Ale im więcej rozmyślałem, tym mniej rozumiałem pociągnięcia inspektora.

No cóż, trzeba wszystko likwidować i pakować manatki i z powrotem do rodziców, do Brodowa, tam, gdzie stała moja kołyska. Ale nie sposób, aby na nowo położyć się do niej jako niemowlak. Wszystko, co dotychczas zdobyłem, zostało zniszczone jednym podpisem „hijeny". Zlikwidowałem do reszty moją orkiestrę. Dzięki wspólnej gospodarce z siostrą Martą wylazłem z długów, które powstały przez pracę społeczną, którą zignorował bezczelnie inspektor Sowiński. Decyzją inspektora Sowińskiego „nie wolno mi było uczyć polskich dzieci języka polskiego i historii polskiej". Zwalniając mnie z nauczycielstwa, nie doceniał mego wkładu w szerzenie kultury polskiej wśród młodzieży i dorosłych.

W mojej desperacji przypomniał mi się wiersz Adama Asnyka pt. *Słońce*, który deklamowałem na Wieczornicy Szkolnej w sali pana Kühneka w Działdowie jako seminarzysta wstępnego kursu w 1922 roku, kończący się słowami: „Ból swój niebu trza polecić, a samemu wciąż wytrwale, trzeba naprzód iść i ... świecić". No tak, trzeba wytrwale iść naprzód. Ale komu tu świecić? I czym? A może świecić doznaną niesprawiedliwością?

Z bólem rozstałem się z dziećmi, które bardzo były przywiązane do mnie, bowiem tylko ja bawiłem je w czasie przerw. Inni „odbębnili" swoje lekcje i koniec na tym. Z dziećmi zrobiliśmy remanent towarów i gotówki sklepiku szkolnego. Gotówki, czyli zarobku, było 550 zł. To wartość trzech pensji nauczyciela. Poza tym dochodziła wartość pozostałego towaru. Biorąc pod uwagę krótki okres istnienia sklepiku, był to pokaźny zysk. Taki stan sklepiku szkolnego pozostawiłem, odchodząc z Wielkiego Wełcza. W czasie wakacji, jedna z uczennic doniosła mi, że za pieniądze zlikwidowanego sklepiku szkoła urządziła wycieczkę.

Dopiero po zwolnieniu dowiedziałem się, że na początku 1931 roku, kiedy kierowniczką szkoły była jeszcze pani Wallas, „Klub Skaciarzy", szczególnie wójt Pronobis i sołtys Ficek, zebrali podpisy mieszkańców wsi, adwokat przygotował pismo i udali się do inspektora Sowińskiego z wnioskiem „mianowania mnie kierownikiem szkoły w Wielkim Wełczu". Nigdy nie dowiedziałem się, jak inspektor Sowiński na to zareagował. Mogę tylko przypuszczać, że fakt ten nie był mu na rękę. Może był nawet powodem licznych inspekcji i nalotów na mnie.

Będąc już w domu w Brodowie, sprawą mego zwolnienia zajął się mój brat Karol. Może dręczyło go sumienie, ponieważ on był powodem, że znalazłem się w szkolnictwie niemieckim powiatu grudziądzkiego. Karol znał osobiście prezesa Polskiego Związku Za-

chodniego (PZZ). Ten wkrótce poinformował Karola, że „Edward Mallek został zwolniony z nauczycielstwa jako Niemiec!”. Że były donosy: śpiewał z Niemcami patriotyczne pieśni niemieckie, na przykład *Die Wacht am Rhein*, itp.”

Edward Małłek (w środku) – Red.

Wszystkie tego rodzaju plotki i donosy były wyssane z palca. Goszcząc u Niemców (rodziców moich dzieci szkolnych), nigdy nie popisywaliśmy się śpiewem. Z drugiej strony, będąc nauczycielem klasy niemieckiej było rzeczą normalną śpiewać pieśni niemieckie. A program lekcyjny był zatwierdzony przez inspektora szkolnego. Jakaż tu niekonsekwencja inspektora Sowińskiego. Nawiązując do wymienionych zarzutów, konfrontowałem dwa wydarzenia, dotyczące mojej sytuacji, które wydarzyły się w jednym czasie:

1. Nominacja na oficera Wojska Polskiego przez Prezydenta R.P. Ignacego Mościckiego.
2. Zwolnienie mnie, świadomego Polaka, jako „Niemca" przez inspektora Józefa Sowińskiego.

Czyżby rozdwojenie władzy? „Skoro diabeł jest rozdzielony, jak może się ostać królestwo jego" – głosi Słowo Boże. To „rozdwojenie" dało mi odwagę do napisania odpowiedniego pisma do Kuratorium Szkolnego w Toruniu, w którym podkreśliłem zdanie w formie pytania: „Jak może inspektor szkolny Józef Sowiński, który za niemieckich czasów germanizował i jako nauczyciel niemiecki korzystał z tzw. *Osthilfe*, decydować o mojej polskości?". Zarzut powyższy zmyśliłem, bo nikt mi go nie podał.

Wiedziałem tylko tyle, że Sowiński był niemieckim nauczycielem, a więc germanizował. Zarzut mój był trafny, bo z kół „PZZ" dowiedziałem się, że Sowiński miał perypetie, kłopoty.

Drugie pismo napisałem do Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Interwencja Polskiego Związku Zachodniego, a może i moje pisma, dały pozytywny rezultat. Otrzymałem posadę nauczycielską w Przygodzicach koło Ostrowa Wielkopolskiego.

Zakrzewski, Jadwiga Małłek z d. Wysocka, Edward Małłek

38
Moja czwarta posada nauczycielska

Z dniem 1 kwietnia 1933 roku, czyli miesiąc po zwolnieniu, dostałem angaż na nauczyciela kontraktowanego w miejscowości Przygodzice koło Ostrowa Wielkopolskiego. Była to trzyklasowa szkoła. Dzieci wyłącznie polsko-katolickie.

Przygodzice to wielkie majątki – dobra księcia Michała Radziwiłła. Majątkami kierowali administratorzy, których głównym zadaniem było przekazywanie księciu pieniędzy za granicę, gdzie przeważnie przebywał. Tylko czasami zjawiał się w Przygodzicach. W szkole nauczycielami byli kierownik i jego żona. Mnie przydzielono pierwszą i drugą klasę, czyli maluchów. Poza tym prowadziłem gimnastykę i śpiew wszystkich dzieci. Była to bardzo przyjemna praca, gdyż z miejsca pozyskałem dzieci.

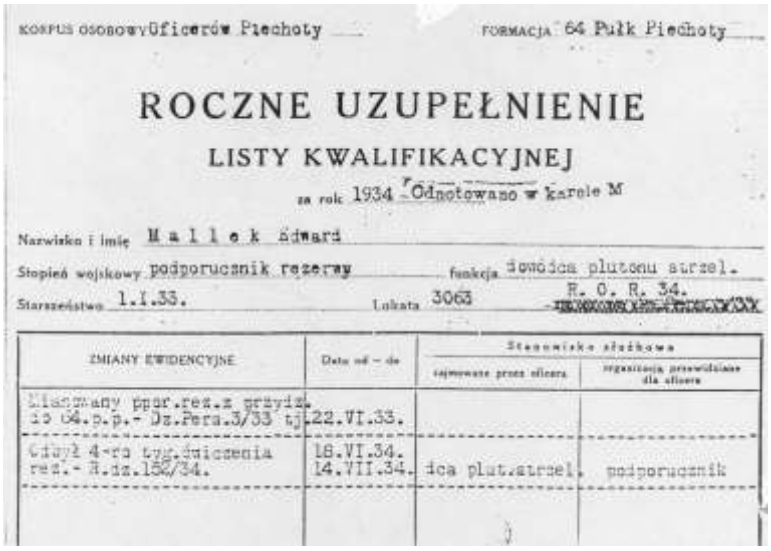

KORPUS OSOBOWY Oficerów Piechoty FORMACJA 64 Pułk Piechoty

ROCZNE UZUPEŁNIENIE

LISTY KWALIFIKACYJNEJ

za rok 1934 Odnotowano w karcie M

Nazwisko i imię Mallek Edward

Stopień wojskowy podporucznik rezerwy funkcja dowódca plutonu strzel.

Starszeństwo 1.I.33. Lokata 3063 R. O. R. 34.

ZMIANY EWIDENCYJNE	Data od – do	Stanowisko służbowe: zajmowane przez oficera	Stanowisko służbowe: organizacja przewidziana dla oficera
Zlikwidowany ppor.rez.z przydz. do 64.p.p.- Dz.Pers.3/33 tj.	22.VI.33.		
Odbył 4-ro tyg.ćwiczenia rez.- R.dz.152/34.	18.VI.34. 14.VII.34.	dca plut.strzel.	podporucznik

Roczne uzupełnienie listy kwalifikacyjnej

Na zakończenie roku szkolnego zaplanowałem urządzić zabawę szkolną. W czasie gimnastyki przygotowywałem różne „obrazy” gimnastyczne w takt muzyki oraz liczne zabawy i gry. Chłopcy ubrani w ciemne spodenki i białe koszule. Dziewczęta granatowe spódniczki i białe bluzki. W rękach trzymały różnokolorowe wstęgi, które nadawały uroku przy wykonywaniu figur – „obrazów” gimnastycznych. To było namiastką tego, co w obecnych czasach oglądamy na olimpiadach w cudownym opracowaniu i oświetleniu. Zabawa odbyła się w sobotę, koniec czerwca, w cudowny, słoneczny dzień. Na placu szkolnym uformowaliśmy pochód: na przedzie dziewczęta w bieli, wymachując kolorowymi wstęgami, za nimi chłopcy również w białych koszulkach. Razem około 140 dzieci. (Moje klasy liczyły 60 uczniów i uczennic.) Przemaszerowaliśmy przez całą wieś, udając

się na łąki koło stawów rybnych. Tam, najpierw z dziewczętami, dałem widowisko figurowych „obrazów" gimnastycznych w takt muzyki. Chłopcy odegrali „szarżę kawalerii": chłopcy podzieleni byli na dwie grupy: „czerwoni" i „niebiescy", stojący w szeregach naprzeciw siebie. Końmi byli silniejsi chłopcy, dźwigający na sobie jeźdźców. Na sygnał ruszyły szeregi do ataku. Walka polegała na tym, kto zrzuci przeciwnika z „konia". Potem odbyły się różne gry i zabawy.

Dzieci i mieszkańcy wsi ubawili się do syta. Wesołość, śmiechy rozlegały się po falach wód stawów rybnych. Pewnie i ryby cieszyły się pluskając radośnie w wodzie. Po wyczerpaniu programu wróciliśmy pochodem do karczmy, gdzie na krótko odbyły się tańce dla dzieci, a wieczorem dla dorosłych. Mieszkańcy nie mieli słów, aby wyrazić podziw i radość z odbytej zabawy szkolnej. Dotąd nie mieli takiej uroczystości. To była jedna strona medalu, mając radość i zadowolenie z pracy w szkole. Uczyłem tam też jedną dziewczynkę gry na skrzypcach. Ale ile można było nauczyć w ciągu trzech miesięcy?

Drugą stroną medalu był głód, który przeżyłem w Przygodzicach. Wracając pociągiem z Zielonych Świąt z domu z Brodowa, wdałem się w grę „As – Dwójka" – karty w rękach szulerów. Stawka była 5 zł. Krótko mówiąc, karciarze-oszuści ograli wszystkich podróżnych dwóch przedziałów trzeciej klasy, w tym i mnie. Nie spostrzegliśmy nawet, kiedy wysiedli. Nie pamiętam, ile straciłem, ale do Przygodzic zajechałem bez grosza. Wstyd pożyczyć, bo nikogo bliżej nie znałem. Piszę do rodziców. Bez odpowiedzi. Piszę do brata Roberta. Nie daje odpowiedzi. I tak musiałem wytrwać do końca roku szkolnego o kawałku chleba i jednym litrze mleka dziennie na kredyt u kierownika i jego żony, bez obiadów. Powiedziałem sobie: pamiętaj, nie leć na cudze pieniądze! Nie graj w karty, bo w kartach siedzi „rogaty", który zawsze cię oszuka! Była to nauczka na całe życie.

Jadąc na Zielone Świątki do domu do Brodowa, wybrałem się rowerem. Wyruszyłem z Przygodzic o godzinie trzynastej. W Inowrocławiu wypiłem herbatę i coś przegryzłem. Nocowałem na ławie na dworcu w Inowrocławiu. Jak tylko świt, wyruszyłem dalej. Z Lidzbarka częściowo szedłem pieszo, bo tyłek nie wytrzymywał. W domu byłem przed wieczorem, zupełnie wyczerpany. Powrót już wyżej opisałem. Za głupotę „Bóg nie karze, ale doświadcza". Pamiętaj o tym!

Cudem dożyłem końca roku szkolnego. Co będzie dalej, nie wiedziałem, gdyż kontrakt kończył się z dniem 30 czerwca 1933 roku. O ewentualnym dalszym angażu Inspektorat Szkolny w Odolanowie obiecał zawiadomić mnie piśmiennie.

Wiadomość otrzymania przeze mnie posady nauczycielskiej w Przygodzicach nie dała spokoju Irenie Żołnowskiej z Wielkiego Wełcza, a z pewnością i inspektorowi Sowińskiemu. Żołnowska zaczęła rozsiewać o mnie różne brednie, głównie to, że nie zdałem w porządku biblioteczki szkolnej. Wszystko, cokolwiek bredziła, nie było prawdą. Po prostu chciała mnie uczynić „złodziejem", co jednak jej się nie udało, bo ze zdania biblioteczki posiadałem protokół, podpisany przez kierownika szkoły, pana Pronobisa.

Napisałem do Żołnowskiej list w formie żartobliwych dwuznaczników, wygarniając, co o niej myślę. Żołnowska wzięła moje słowa za obrazę „majestatu". Wniosła do Sądu Powiatowego w Grudziądzu skargę – pozew przeciwko mnie o „obrazę i zniesławienie". Sąd w Grudziądzu przesłał mi pozew Żołnowskiej z jednoznacznym podaniem terminu rozprawy. W tym czasie byłem już bez pracy. Kupiłem sobie kodeks karny i cywilny. Przestudiowałem dość dokładnie. Doczytałem się, że nie mając środków, można się nie stawić na rozprawę. Powołując się na dany paragraf, napisałem do sądu, że na rozprawę nie mogę

się stawić, gdyż jestem bez pracy i środków finansowych. Myślałem, że sprawa nie dojdzie do skutku. Aż tu nagle pewnego dnia przychodzi do domu w Brodowie komendant policji z Iłowa, którego osobiście dobrze znałem i powiada do mnie: „Panie Małłek, mamy podróż przed sobą". „Nie rozumiem pana, jaką podróż?". Komendant śmieje się: „Mam pana dostawić do Sądu Powiatowego w Grudziądzu na rozprawę. Dostałem z sądu pieniądze na podróż i wszelkie koszty utrzymania. Możemy sobie na wszystko pozwolić. Żołnowska musiała zaliczkować" – powiada komendant.

3-klasowa Szkoła Powszechna w Przygodzicach, pow. Ostrów Wielkopolski
Klasa I i II – Nauczyciel Edward Małłek, czerwiec 1933 rok

Następnego dnia przyszedł komendant po mnie i pojechaliśmy pociągiem trzecią klasą (bo była i czwarta) do Grudziądza. Na dworcu zjedliśmy sowite śniadanie (na koszt Żołnowskiej). Zameldowaliśmy się w Sądzie i czekamy na rozprawę. Byłem dobrze przygotowany na zarzuty Żołnowskiej. Wreszcie sąd wywołuje moją sprawę. Ze strony Żołnowskiej zjawił się tylko adwokat. Z drugiej strony na ławie oskarżonych ja jako pozwany. Sędzia najpierw sprawdził moje personalia. Potem oddał głos adwokatowi, który powtórzył to, co było napisane w pozwie. Następnie sędzia zwrócił się do mnie: „Co pozwany może powiedzieć na swoje usprawiedliwienie?".

Miałem przygotowane dyspozycje mojej obrony. Ponieważ mój list do Żołnowskiej zawierał dwuznaczniki, to znaczy, że moje wyrażenia można było dwojako rozumieć. A więc w mojej „obronie" wyjaśniłem „dwuznaczniki" mego listu tak, jak ja je rozumiałem. Moje wypowiedzi wywołały wesołość i śmiech na sali. Ale po krótkich moich „humoreskach" (z których i sędzia się uśmiał) sędzia przerwał moją mowę i zapytał: „Skąd pozwany pisał swój list do pani Żołnowskiej, z Grudziądza czy skądinąd?" Odpowiedziałem: „Mój list pisałem z Przygodzic, powiat Ostrów Wielkopolski". „Wobec tego – powiada sę-

dzia – sprawa ta nie może być rozpatrywana przez tutejszy sąd. Sprawa zostanie przekazana według właściwości do Sądu Powiatowego w Ostrowiu Wielkopolskim. Na tym postępowanie jest zakończone". Wróciliśmy do domu. Po dłuższym czasie dostaję wezwanie z Sądu Powiatowego z Ostrowia Wielkopolskiego celem stawienia się na rozprawę. Znów, powołując się na odpowiedni paragraf kodeksu, trzy dni przed terminem wysłałem odwołanie, zawiadamiając jednocześnie sąd, że na rozprawę nie przyjadę, gdyż jako człowiek bez pracy nie posiadam środków finansowych na opłacenie kosztów podróży. Termin prawdopodobnie się odbył, gdyż sąd nie zdążył zawiadomić adwokata o moim niestawiennictwie. Adwokat znów dostał swoją „dolę", a Żołnowska musiała bulić.

Za jakiś czas zjawia się u mnie znów ten sam komendant policji z Iłowa i powiada: „Panie Małłek, mamy nową wycieczkę, tym razem trochę dalej, do Ostrowa Wielkopolskiego". „Świetnie" – odpowiadam. Jedziemy, do Ostrowa kawał drogi. W Poznaniu przesiadka. Posililiśmy się w restauracji dworcowej. W Ostrowiu zjedliśmy śniadanie w mieście na koszt Żołnowskiej.

Meldujemy się w sądzie. Ja zajmuję miejsce na ławie oskarżonych jako pozwany. Po drugiej stronie tylko adwokat, bez powódki. Znów ta sama procedura jak w Grudziądzu. Po sprawdzeniu personalii, sędzia oddaje mi głos. Tym razem recytowałem moją obronę – jakby adwokat – często powołując się na paragrafy. Moje wyjaśnienia zarzutów powódki co chwila wywoływały na sali burzę śmiechu. Moje przemówienie trwało nieprzerwanie około jedną godzinę. Wyrok: „Pozwanego zasądza się na grzywnę 20 zł na rzecz PCK (Polski Czerwony Krzyż)". „Koszty sądowe ponosi Skarb Państwa. Koszty adwokackie ponosi powódka (Żołnowska)". Po sprawie, gdy przechodziłem obok sędziego, szepnął mi: „I tych 20 zł nie będzie pan płacił". Kto tu był wygrany? Chyba ja. A kto przegrany? Niewątpliwie Żołnowska, bo straciła kupę pieniędzy na adwokata i koszty podróży. Tak zakończył się roczny proces.

39
Bez pracy

Ludzi bez pracy nazywamy bezrobotnymi. Od jakiego czasu zaistniała taka nazwa, nie jest mi wiadome. Wiem tylko, że w latach mojej młodości ludzi bez pracy było bardzo dużo, lecz tylko w miastach byli rejestrowani. Warunki bytowe bezrobotnego sto lat temu, a dziś są nie do porównania. Bezrobotny niby żył, ale nie miał żadnych środków do życia. Nie miał prawa do mieszkania, do bezpłatnego leczenia, lata „bez pracy" nie były zaliczane do renty. Jeszcze dziś widzę bezrobotnych, wystających przed ratuszem w Działdowie, łamżący o jakikolwiek zasiłek. Natomiast w dzisiejszych czasach „bezrobotny" nie jest bez środków do normalnego życia: otrzymuje tzw. „bezrobocie" (*Arbeitslosengeld*[117]) albo „zasiłek" (*Arbeitslosenhilfe*[118]). Posiada wszelkie prawa socjalne na równi z ludźmi pracy. Jako człowiek „bez pracy" byłem zdany na łaskę rodziców. Świadom byłem tego, że moje wykształcenie za nauczyciela kosztowało rodziców niemało. Musieli nawet sprzedać część gruntów, łąki „Za Gajem". Fakt ten przygnębiał moje poczucie. Szanse na otrzymanie pra-

[117] Zasiłek dla bezrobotnych.
[118] Zapomoga dla bezrobotnych.

cy były żadne. Próba utworzenia Związku Mazurów w 1933 roku z prezesem dr. Adolfem Szymańskim się nie udała. Na konferencji pod przewodnictwem wojewody uznano nas, „Mazurów", za Niemców. Więc moje nadzieje na pomoc z tej strony znikły.

W czasie wakacji 1933 roku, tuż po zwolnieniu, czułem się fizycznie i duchowo dość dobrze, wciąż mając nadzieję na pracę. Często przesiadywałem w biurze wójta Żywca w Brodowie, spędzając czas na rozmowie z Fritzem, synem wójta, który był z nami spokrewniony. W Brodowie był zwyczaj, że młodzież spacerowała wieczorami ulicami, rozprawiając i żartując. Za niemieckich czasów śpiewano niemieckie pieśni, których młodzież nauczyła się w szkole. Za Polski nie znano jeszcze ani *Góralu, czy ci nie żal,* ani innych pieśni. Przesiadywano też na ławkach przy płocie każdego gospodarstwa.

Pewnego dnia, spacerując z Fritzem Żywcem wieczorem, przechodząc obok karczmy, słyszymy muzykę. Była to któraś sobota, lipiec 1933 roku. Zaintrygowani muzyką, wchodzimy do lokalu. Wchodziło się z ulicy bezpośrednio do dużego lokalu, urządzonego jako sklep spożywczy, po prawej stronie regały i bufet. W lewo było wejście do dużej sali tanecznej. Na wprost znajdował się pokoik, niby gościnny, ale jednocześnie służył jako pokój sypialniany, panny Jadwigi Wysockiej, właścicielki sklepu. W prawo za ścianą była mleczarnia Wilangowskich i ich mieszkanie. Cała posesja pierwotnie należała do Dalkowskiego, lecz sprzedał ją i opuścił Brodowo. Po wejściu z Fritzem do lokalu słyszymy jak Wądzyński z Narzymia ze swoją kapelą ludową rżnie polki, oberki, walczyki, a lud bawi się aż hej! Porwało to i nas. Puściliśmy się w tany. Tańcząc, dowiaduję się, że są tu jednocześnie zaręczyny panny Jadwigi Wysockiej, córki zawiadowcy stacji kolejowej w Narzymiu. Było pełno ludzi, suto popijając i jedząc. Pokoik był zatłoczony gośćmi uroczystości zaręczynowej.

Znalazła się okazja, że poprosiłem do tańca pannę młodą. Podobała mi się bardzo. Może też z wzajemnością, bo odtąd tańczyliśmy prawie każdego tańca. Może to była miłość *Auf einen Blick*?[119]. Nie wiem. Ponieważ „Pan Młody", pan Szymański, upił się i poszedł spać do Wilangowskich, więc „Panna Młoda" miała okazję bawić się, z kim chciała. Pewnie Panna Jadzia zraziła się do „Śpiącego Rycerza", w każdym razie, wbrew woli rodziców, zerwała zaręczyny, oddając pierścień zaręczynowy. A więc była wolna. Za miesiąc od „zerwanych" zaręczyn panna Jadzia kończyła osiemnasty rok życia. Czyli już jako siedemnastoletnia prowadziła samodzielnie sklep żywnościowy w Brodowie. Oczywiście, pod kontrolą ojca, który założył ten sklep. Jej brat Franek prowadził podobny sklep w Kraszewie – pięć kilometrów od Brodowa, więc on był też „zaopatrzeniowcem" obu sklepów. Sklep w Brodowie rozwijał się coraz bardziej. Do pomocy przyjechał brat Bernard, a jako wyuczony siodlarz reperował gospodarzom brodowskim uprząż konną. Prowadzono w sklepie nawet wymianę zboża na mąkę. W każdym razie, panna Jadzia wytrzymywała konkurencję kwalifikowanego kupca, Fritza Żywca, który prowadził podobny sklep na drugim końcu wsi, w miejscu dawnej mleczarni pana Bredlaua.

Panna Jadzia, będąc wolna, miała kandydatów do wyboru: kierownik Urzędu Celnego w Purgałkach, pan Krawczyk, studenci gimnazjum: Ernst Kościński z Iłowa, Kaczan i Świgoń z Purgałek i „zarozumiały" student ze wsi Sochy (nazwiska nie pamiętam). Dlaczego panna Jadzia wybrała mnie? Nie wiem. Może dlatego, że byłem „bez pracy" i miałem czas ją odwiedzać, często z Fritzem Żywcem, synem wójta, który na „zerwanych" zaręczynach panny Jadzi poznał swoją przyszłą żonę, Emmę Mogiłowską z Kraszewa. Częstymi gośćmi

[119] Od pierwszego zobaczenia.

i klientami pani Jadźki byli strażnicy graniczni, a szczególnie pan Badowski, żonaty, małego wzrostu, krępy, okrąglutki jak beczułka. Zadziwiał wszystkich, wypijając pół litra wódki, nie łykając. Pomogłem Jadzi urządzić zabawę leśną, połączoną z loterią fantową. Fantami były „buble", które leżały w jej sklepie. Muszę dodać, że prowadziła też „krótkie" towary, łokciówkę i rowery. Tego wszystkiego wyzbyła się dzięki loterii. Główną wygraną był nowy rower, który wygrał mój brat August. W ten sposób panna Jadzia wycofała „zamrożony" pieniądz. Za pomysł była mi bardzo wdzięczna.

W wolnych chwilach spacerowaliśmy do „naszego" lasu, na „Dalnicach". Upajaliśmy się tam śpiewem przeróżnych ptaków, kukaniem kukułki, gruchaniem dzikich gołębi, krakaniem wron, broniących swych gniazd przed jastrzębiami. Podziwialiśmy wysportowane wiewiórki, skaczące z drzewa na drzewo, albo chytre lisy, kryjące się w niedostępnych jamach, gdzie czuły się bezpiecznie nawet przed naszą „Suką". Nad lasem szybowały drapieżne jastrzębie, bystrym wzrokiem wypatrującym swojej ofiary, którą przeważnie stawały się dobrotliwe, niewinne kuropatwy, wygrzewające się na brzegu lasu. Wszelkie stworzenie miało miejsce, swoje prawa i warunki życiowe, które dawał nasz las, a my przechadzaliśmy się, jak Adam i Ewa, po „naszym raju", w którym choć na chwilę zapomniałem o mojej desperackiej sytuacji zawodowej. Ścieżki między zbożami, pachnącymi chabrami, kąkolami, też wydeptywaliśmy naszymi stopami. Gdzież znaleźć dziś zboża, w których kwitną kąkole i chabry? Oj, ta chemia wszystko wytruła! Tylko wyobraźnią czuję zapach kąkolu i chabru. Ale i to dobre, bo nasze dzieci i wnuki nawet wyobraźnią tego nie widzą.

Mając umiejętność preparowania ptaków i zwierząt, z długiego czasu, zajmowałem się wypychaniem okazów, które mogły służyć jako pomoce naukowe w szkole. Miałem wspaniałego jastrzębia „myszołowa" o półtora metra rozpiętości skrzydeł. Wspaniały okaz, wyglądał na orła. Poza tym wypchałem różne drobne ptaszki, które umieściłem na krzaczku, również kukułkę i tchórza, którego osobiście złapałem w naszym chlewie w Brodowie. A było to tak: patrząc przez okno na podwórko, zauważyłem, jak tchórz wpadł do obory. Szybko pobiegłem, po drodze chwyciłem worek, przymknąłem drzwi obory, w szparę rozpiąłem worek, na dole przytrzymując stopami, u góry jedną rękę trzymam worek, a drugą uderzam w drzwi, aby wystraszyć tchórza. Za chwilę wpada do worka, podniosłem do góry i tchórz jest mój. Za chwilę znalazł się na moim „stole operacyjnym". Wtem wchodzi mój kolega, Krajka, nauczyciel w Brodowie i pyta: „Co ty masz?". Ja położyłem lewą rękę na brzuchu tchórza i mówię do Krajki: „Chodź, zobacz, nachyl się, bliżej". Nagle nacisnąłem brzuch tchórza, wydobył się straszny odór. – „Teraz już wiem, co to za zwierzę" – odskakując od stołu. Tak, tak, ten odór to „broń chemiczna", stosowana przez tchórze: tchórz wkrada się do kurnika, gazuje, czyli puszcza bąki, inaczej mówiąc, pierdzi. Kury zostają odurzone smrodem, spadają z grzęd jakby martwe i uczta gotowa dla tchórza, wystarczy brać jedną po drugiej, wynosząc do kryjówki.

Czas „bez pracy" uprzykrzał mi się coraz bardziej. Często siadałem do mojej mizernej fisharmonii i grałem religijne pieśni, przy tym przyśpiewując drugim głosem. To sprawiało mojemu Ojcu przyjemność, bo lubił śpiew i muzykę. Aby się nie nudzić, założyłem w Brodowie chór kościelny. Na Wielkanoc 1934 roku śpiewaliśmy w kościele ewangelickim w Narzymiu: na nabożeństwie niemieckim po niemiecku, na mazurskim po mazursku. Ale to wszystko nie wypełniało mego czasu.

Często jeździłem do Działdowa, aby rozerwać się, aby o wszystkim zapomnieć. Wpadałem do Karolów, aby może zjeść obiad. Ale cóż, służąca miała zawsze tylko rosół i kar-

tofle. Nim usiedliśmy do stołu, to mięso zjadły już dzieci: Ryszard i Leopold. Pozostał rosół i kartofle. Ale i to dobre. Czasami porcje mięsa leżały na dwóch talerzach dla dzieci. Łakomszy Lalut plunął na porcję Ryśka, który brzydził się zjeść, no i wtedy obie porcje zjadał Lalut. Ta zabawa powtarzała się, żartobliwie, dość często.

Podróże do Działdowa nic mi nie dawały. Nie miałem żadnego zadowolenia, bo o czym ktoś ma rozmawiać z człowiekiem „bez pracy". Wałęsałem się po ulicach. Wracając pociągiem z Działdowa do Brodowa, często jechałem do Iłowa, aby droga do domu była jak najdłuższa. Bo po co wracać do domu? Przecież tam nikt się nie cieszy moim widokiem. Któż wtedy pomyślał, że przyjdą czasy, że człowiek „bez pracy" będzie nazywany „bezrobotnym" i otrzymywać będzie zasiłek, tzw. „bezrobocie"? Jakie byłoby dobrodziejstwo, gdy byłbym, po moim zwolnieniu, otrzymywał chociażby 20 % mojej pensji nauczycielskiej, czyli około 40 zł miesięcznie. (Tyle potrzebowaliśmy na utrzymanie: ja z żoną i dzieckiem po ślubie.) A dzisiejsi „bezrobotni" w Niemczech, mając często powyżej 1500 DM, są niezadowoleni, dostają depresji, po prostu wariują. Trzeba było im żyć 50 lat temu. Wiedzieliby, co to było żyć „bez pracy".

Moje starania o pracę nie dawały żadnego wyniku. Zdaję sobie sprawę, jak ubolewali nade mną moi rodzice, ale niestety nic mi pomóc nie mogli. Moje zakłopotanie i zmartwienie potęgowało się z dnia na dzień. Napadały mnie złe myśli, z którymi z nikim nie mogłem się podzielić. Jedynie u Jadźki znajdowałem pocieszenie. Mało, pocieszenie. Miała tyle werwy. Widziała inne perspektywy, inne rozwiązania, inne możliwości zarobkowania. Wspomniała, że gotowa wyjść za mnie za mąż i wspólnie pokonywać trudności. „Co, ożenek ze mną, człowiekiem bez pracy"? „Chyba nie myślisz trzeźwo, jeszcze w dodatku z heretykiem?" „To nic, damy sobie radę, otworzymy sklep i będziemy żyli" – powiada Jadzia.

Chociaż nie widziałem możliwości zrealizowania planów Jadźki, a przede wszystkim myśl o ożenku w tej sytuacji była mi obca, mimo to, w naszych rozmowach wracaliśmy do tych tematów. Codziennie poruszaliśmy sprawy religijne. Jadzia reprezentowała wierną katoliczkę, która idąc z kościoła w Iłowie do Brodowa, w rowie modliła się, aby była taka, jak święta Teresa. Ja natomiast byłem radykałem, ewangelikiem. Dla mnie autorytetem było Pismo Święte. Te przeciwległe bieguny wiary były tematem naszych codziennych rozmów. Jadzia, nie znając Pisma Świętego (bo wówczas czytanie Biblii przez katolików było śmiertelnym grzechem), wychodziła w sprawach religii z punktu praktycznego, ja znów, powołując się na Pismo Święte.

Jadzia stawiała mi kilkakrotnie pytanie: „Pokaż mi różnicę między katolikiem a ewangelikiem?" Na to odpowiadałem jej, że różnicy nie ma żadnej, bowiem zgodnie z Pismem Świętym jesteśmy wobec Boga równi, „albowiem wszyscyśmy zgrzeszyli". Jedni i drudzy wobec Boga jednacy – grzesznicy. Co nas dzieli zasadniczo, to nauka o Bogu. Katolicy wierzą w to, co każe Kościół, a ściśle mówiąc, co każe papież, wydając od czasu do czasu nowe nakazy wiary. Ewangelicy wierzą tylko w to, co czytamy w Piśmie Świętym, które uznane zostało przez pierwotny Kościół chrześcijański, pisane częściowo – Nowy Testament – przez uczniów Jezusowych. Dlatego nie można mówić o różnicach między katolikami a ewangelikami, tylko o błędnych naukach Kościoła katolickiego, niezgodnych z Pismem Świętym. Przedstawiłem cały szereg nauk Kościoła katolickiego, sprzecznych z Pismem Świętym, dodając, że z tych względów nigdy nie mógłbym być katolikiem. Bo dla mnie autorytetem jest Bóg, a nie człowiek, choćby on się nazywał „ojcem świętym", co, zgodnie z Pismem Świętym, należy uznać za bluźnierstwo wobec Boga i wobec nauki Je-

zusa Chrystusa, który powiada: „Nikogo nie nazywajcie ojcem, bowiem jeden jest, ten w niebie". Myślę, że Jadzia przyznawała mi rację, gdyż zobojętniała do Kościoła katolickiego, coraz bardziej przywiązując się do mnie, a ja do niej.

Jedno mogę powiedzieć, że były to wspaniałe dyskusje, które pozwalały mi zapomnieć o mojej niedoli, oddalały moje złe myśli, ufając Bogu, że znajdzie sposób dźwignąć mnie z upadku. Boć przecież nie Bóg był sprawcą mego złego losu, lecz ja sam byłem temu winien. Dlaczego usłuchałem rady brata Karola, idąc do powiatu grudziądzkiego? Dlaczego zgodziłem się pracować w szkole niemieckiej? itd., itd. To moja była wina – *Mea culpa*. Przyjaźń z Jadzią tak się obopólnie ugruntowała, że wyglądało na to, że będzie trwałą.

40
Jestem nauczycielem religii

W domu znów wracam do mego problemu znalezienia pracy. Podania o przyjęcie na nauczyciela były bez skutku. Wyjątkowo od 1 września 1933 roku Inspektor Szkolny Kazimierz Kąkol (sekretarz – Nowak) przydzielił mi nauczanie religii ewangelickiej w Brodowie, Purgałkach i Narzymiu. Nie pamiętam, ile godzin nauki tygodniowo miałem w wymienionych szkołach. O ile się nie mylę, miałem dwie godziny w każdej miejscowości. Niewiele to było, ale „lepszy rydz, jak nic" – mówi przysłowie. Przez to miałem jednak kontakt z nauczycielstwem.

Mimo wszystko, nadal miałem dużo czasu na kręcenie się z kąta w kąt. Chodziłem do lasu. Pomagałem też w gospodarstwie, ile zachodziła potrzeba. Dużo okazji miałem na romanse z Jadźką. Jak na to patrzyli moi rodzice? – nie wiem. Z pewnością woleliby, abym zalatywał za ewangeliczką, córką takiego czy innego gbura. Ale któraż z nich chciałaby chłopaka bez pracy, bez zarobku? Tylko Jadźka miała odwagę snuć plany i marzyć z Edwardem o przyszłości. Krzywo patrzył się na to jej brat, Franek, który na pewno widział we mnie heretyka. Nigdy nie miałem okazji z nim porozmawiać, ani z jej rodzicami. Niezależnie, co kto myślał, przyjaźń z Jadźką była nierozerwalna. Bo, jak to się mówi: „Miłość nie zna granic, ani przeszkód". Tak było z nami.

41
Uroczystość Trzeciego Maja w Brodowie

Nauczycielem w Brodowie był Krajka. W 1934 roku rozważano nad zorganizowaniem uroczystości Trzeciego Maja, połączonej z zabawą. Szkoła razem z Ochotniczą Strażą Pożarną debatowały nad przebiegiem uroczystości. Uchwalono, że musi być zorganizowany pochód przez całą wieś. W dyskusji padło pytanie: „Kto ma przyjąć defiladę?" Nie brałem udziału w tych naradach, ale ktoś powiedział: „Przecież mamy w Brodowie jednego oficera Wojska Polskiego, Edwarda Małłka, więc on powinien spełnić tę funkcję". Nie

wiem, czy była na ten temat dyskusja, czy nie. W każdym razie, poproszono mnie, abym przyjął propozycję. Oczywiście, zgodziłem się.

Zbiórka odbyła się na placu szkolnym. Pochód ruszył z muzyką ulicą naokoło karczmy Jadwigi Wysockiej, obok naszego domu, do Szymańskiego, potem obok mleczarni – sklepu Fritza Żywca. Koło Falkowskiego pochód się zatrzymał. Ja, Krajka i Komendant Ochotniczej Straży Pożarnej udaliśmy się na schody szkolne. Wtem orszak ruszył do defilady, przytupując nogami, oczyma patrząc w prawo, na nas.

To była pierwsza defilada w Brodowie, którą odbierał Mazur, oficer Wojska Polskiego, zwolniony z nauczycielstwa jako Niemiec. Co na to powiedzą Polacy dzisiejszego Brodowa? Wszak defilada się odbyła, zakończona huczną zabawą w sali Jadwigi Wysockiej oraz zawodami strzeleckimi na placu.

42
Oficerskie ćwiczenia rezerwy

W lipcu 1934 roku zostałem powołany na pierwsze oficerskie ćwiczenia do 64. Pułku Piechoty w Grudziądzu. Ucieszyłem się z tego bardzo. Nie wiem, dlaczego? Muszę przyznać, że lubię żołnierkę. Może płynie we mnie krew dzielnych, bohaterskich Prusów? Kto raczy wiedzieć?

Po zameldowaniu się w kancelarii Pułku otrzymaliśmy umundurowanie służbowe oraz dodatek pieniężny na mundur, strój galowy, składający się z munduru koloru zielonego, granatowych spodni z żółtym lampasem z boku oraz bryczesów do kolan (bufiaste) koloru beżowego, butów z cholewami i półbuciki oraz rogatywki. Ubiór galowy był własnością oficera rezerwy. Poza tym, wolno było posiadać prywatną krótką broń – rewolwer. Ćwiczenia oficerskie polegały już tylko na dowodzeniu. Zwykle po trzech dniach oficerów rezerwy przydzielano do każdej kompanii. Każdego dnia ktoś z tych trzech otrzymywał zadanie dowodzenia ćwiczeniami kompanii.

Z uwagi na to, że lipiec i sierpień były miesiącami słonecznymi i ciepłymi, pobyt w wojsku był dla mnie pogodny i przyjemny. A do Grudziądza coraz bardziej się przywiązywałem, mimo tak smutnych przeżyć w szkolnictwie. Z dwoma kolegami (jeden z Warszawy, drugi z Brodnicy) byliśmy zakwaterowani w koszarach w jednym pokoju. Stołowanie w kasynie oficerskim należało do przyjemności. Płaciliśmy z naszej gaży oficerskiej. W kasynie wieczorami odbywały się zabawy. Ale my, rezerwiści, woleliśmy chodzić na zabawy do restauracji, gdzie tańczono pod gołym niebem, stoliki ustawione wśród zieleni. Przyjemnością było przysłuchiwać się pięknej, nastrojowej muzyce, patrząc na wędrujący po niebie księżyc, a przede wszystkim wpatrując się w piękne oczy dziewczyny, wabiącej do tańca.

Po czterech tygodniach, niestety, musieliśmy wracać do domu. Ćwiczenia dla mnie były oderwaniem się od mego smutnego losu. Wracałem do domu, nie widząc żadnego celu. Ćwiczenia te trwały od 18 lipca do 14 sierpnia 1934 roku.

43
Kurs Straży Pożarnych

Po przyjeździe z ćwiczeń wojskowych do domu, stwierdzam, że nie mam żadnej nadziei na pracę w szkolnictwie. Dowiedziałem się, że w każdym powiecie ma być zawodowy instruktor straży pożarnych, płatny przez Wydział Powiatowy przy Starostwie. Starostwo w Działdowie szuka kandydata, który musi mieć maturę.

Z dniem 1 września 1934 roku Związek Straży Pożarnych w Rzeczypospolitej Polskiej organizuje Kurs VII Stopnia dla Powiatowych Instruktorów Straży Pożarnych w Lublinie. Zgłaszam swoją kandydaturę Komendantowi Okręgowemu Straży Pożarnych w Toruniu, panu Roszczykowi. Zostaję przyjęty i dostaję pieniądze na podróż.

Dnia 31 sierpnia 1934 roku udaję się do pociągu do Narzymia. Odprowadza mnie Jadźka Wysocka. Spóźniłem się na pociąg osobowy. Następny był dopiero za kilka godzin. Poprosiłem zawiadowcę stacji (pana Wysockiego, ojca Jadźki już nie było, przeniesiony do Czarnowa, powiat Toruń), aby zatrzymał pociąg towarowy, który szedł za kilka minut. Zawiadowca zatrzymał pociąg i poprosił kierownika pociągu, aby mnie zabrał. Zajechałem pociągiem towarowym do dworca Warszawa-Gdańsk. Stamtąd nie miałem połączenia do dworca Wschodniego, więc razem z jednym kolejarzem, który szedł do domu na Pragę, pieszo, dźwigając walizkę, dobrnąłem do dworca Wschodniego. Tam czekałem na pociąg do Lublina. Z dworca w Lublinie dorożką zajechałem do Szkoły Instruktorskiej Straży Pożarnych przy ulicy Strażackiej. Lokum dla mężczyzn było na pierwszym piętrze, dla dziewcząt na drugim piętrze, na parterze były hale na sprzęt strażacki. Do ćwiczeń służyła pięciopiętrowa wieża.

W pierwszych dniach pobytu w Lublinie otrzymałem list od Jadźki, która wspomniała, że też składała podanie o przyjęcie na kurs, ale nie została przyjęta. Szkoda, bylibyśmy oboje instruktorami straży pożarnych.

Po wypadku na gimnastyce w Seminarium Nauczycielskim w Działdowie w 1923 roku nie należałem do ludzi odważnych. Jak doszło do wypadku? Na gimnastyce profesor Ożana „budował" z uczniów czteropiętrową piramidę. Najmocniejsi na dole, inni wyżej na barkach kolegów, a ja jako najmniejszy i najlżejszy, stojąc zupełnie na górze. Geniek Piecha jako najsilniejszy dzierżył cały środek piramidy. „Budowa" udała się doskonale, ale „rozbiórka" piramidy zawiodła. Na odpowiednią komendę profesora każdy z nas miał skakać w dół. Geniek Piecha, nie czekając komendy, zrobił niewłaściwy ruch i cała piramida się zawaliła. Ja upadłem na tyłek, na kość ogonową. Straciłem na pięć-dziesięć minut mowę. Powstał ogólny strach, ale na szczęście mowa wróciła. Widocznie był to lekki wstrząs mózgu. Wypadek ten wpłynął ujemnie na moją odwagę.

Mimo to, zgłaszając się na kurs strażacki, postanowiłem wytrwać. Zresztą ćwiczenia strażackie odbywały się stopniowo, od łatwiejszych do trudniejszych. Najpierw wchodzenie po drabinie na pierwsze piętro, potem na drugie, trzecie, czwarte i piąte. To samo ćwiczenia schodzenia po linie w dół. Potem zjazd w worku ratowniczym. Skoki na płachtę nie były obowiązkowe. Skakali tylko niektórzy, odważniejsi. Ćwiczenia ze sprzętem strażackim nie nastręczały żadnych trudności. W czasie całego kursu nie mieliśmy żadnego wypadku. Dodatkowo przerabialiśmy kurs jazdy samochodem i na motocyklu z przyczepą z otrzymaniem prawa jazdy. Mieliśmy też wyjazdy do prawdziwych pożarów na wsi. Miałem tam

niesamowite przeżycie. Zajeżdżamy do pożaru samochodami ze sprzętem, z motopompami, a tu ludzie, szczególnie baby, nie dopuszczają nas do akcji gaszenia. Kobiety ze „świętemi" obrazami chodzą naokoło palącej się chaty, pośpiewując maryjne pieśni i odpychają strażaków. Lud wierzył, że obrazy „święte" ugaszą pożar. Mnie się wydawało, że nie dopuszczając straży do gaszenia pożaru, chodziło im o to, aby wszystko się spaliło. Bo, mimo machania obrazami, ogień jeszcze bardziej się wzmagał. Ponieważ budynki były z drzewa i kryte słomą, więc żadna ilość wody nie była w stanie ugasić ognia. Pozostały tylko zgliszcza i... „święte obrazy".

Kurs Powiatowych Instruktorów Straży Pożarnych VII stopnia
Lublin, 1.09.–8.12.1934 roku

Dnia 8 grudnia 1934 roku Kurs VII Stopnia Powiatowych Instruktorów Straży Pożarnych zakończył się egzaminem z pożarnictwa i z jazdy samochodem, motocyklem. Wszyscy uczestnicy zdali egzamin pozytywnie, ja uzyskałem stopień dobry. Z dyplomem w ręku każdy wracał do swego województwa, ja do pomorskiego.

44
Jestem Powiatowym Instruktorem Straży Pożarnych

Po przyjeździe do domu udałem się do Torunia do Komendanta Okręgowego Straży Pożarnych, Roszczyka. Zaopatrując mnie w odpowiednie pismo, skierował do Działdowa, celem zgłoszenia się u Starosty Powiatowego, którym był pan Horwath. Ten przydzielił mi

pokój w starostwie, w którym urządziłem swoje biuro. Oświadczył też, że sprawa uposażenia (pensji) zostanie uregulowana przez Wydział Powiatowy przy Starostwie.

Wróciwszy do Brodowa, nie zastałem już Jadźki. Zlikwidowała sklep i razem z bratem Frankiem otworzyli w Fordonie koło Bydgoszczy rzeźnictwo. Będąc Powiatowym Instruktorem, objeżdżałem wszystkie Ochotnicze Straże Pożarne w powiecie, aby się wzajemnie poznać i zorientować się, co do wyposażenia straży w sprzęt strażacki. Mijał miesiąc za miesiącem, a pensji jak nie ma, tak nie ma. Cierpliwie czekałem już pół roku, czekając o zawarcie umowy. Tłumaczono wciąż brakiem funduszów. Nadal wykonuję moje obowiązki, licząc na pozytywne załatwienie sprawy.

45
Kurs Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej

W marcu 1935 roku szukają w Działdowie kandydata na Kurs Powiatowych Instruktorów „LOPP" – Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej, który odbędzie się od 1 kwietnia 1935 roku w Warszawie. Proponują, abym ja pojechał. Nie mając żadnego zarobku, oczywiście, zgodziłem się. Otrzymałem pieniądze na podróż, na utrzymanie i mieszkanie. Pojechałem.

W Warszawie kolega Rudolf Gerent nastręczył mi mieszkanie u profesora Gellerta, który zajmował się też germanistyką. Miał trzy pokoje z kuchnią, łazienką przy ulicy Żelaznej. Jeden pokój oddał mi do mojej dyspozycji bezpłatnie, z czego się bardzo ucieszyłem. Radość moja szybko minęła, gdy następnego dnia wstałem, cały opuchnięty, na oczy prawie nie widzę. Tak byłem urządzony przez pluskwy. „Co panu jest?" – pyta profesor. „Nie wiem, przypuszczam, że to są pluskwy" – odpowiadam. „Mnie one nie gryzą" – powiada. Dobre pocieszenie – myślę. Wstydzę się odejść, zrezygnować z bezpłatnego mieszkania w Warszawie?! Nie, muszę wytrzymać. Spróbuję walczyć. Na noc zawijałem się w prześcieradło, przesuwałem tapczan z miejsca w inne miejsce. Nic nie pomagało. Właziły pod prześcieradło, spadały z sufitu. Jak gryzły, tak gryzą. Ale o tyle już było dobrze, że nie puchłem. Karaluchom w kuchni, których była chmara, stawiałem miskę z wodą, opierałem drewienka o kant miski, aby mogły włazić. Codziennie dziesiątki zdechłych wyrzucałem lub żyjące dobijałem. To była prawdziwa wojna z robactwem. Po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z pluskwami i karaluchami.

Na wspomniany kurs uczęszczało nas ośmiu strażaków z różnych miast Polski, z Głównym Komendantem Związku Straży Pożarnych w Rzeczpospolitej Polskiej Milewskim na czele. Wykłady mieliśmy w lokalu Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej, a ćwiczenia odkażające po użyciu gazów na placu na Żoliborzu.

Śniadania i kolacje robiłem sobie w domu. Na obiady chodziłem do stołówek publicznych. Były to stołówki, w których wydawano dziennie setki obiadów. Obiad trzydaniowy kosztował 35 groszy: na drugie danie dostawało się na przykład duży mielony kotlet, ziemniaki i buraczki. Oczywiście, na takie obiady chodził „plebs", studenci i tacy mortusowcy, jak ja. No trudno, nie zawsze w życiu można sobie pozwolić na obiady gatunku pani Błonieckiej w Piaskach, powiat Grudziądz. Ale i te w stołówce smakowały. Zawsze zastana-

wiałem się nad tym, jak stołówka wychodziła na swoim przy tak niskich cenach. Ile sobie przypominam, to każdego dnia był tylko jeden jedyny skład obiadu, bez wyboru. Masa ludzi się tam przewijała.

W maju 1935 roku przeżywaliśmy w Warszawie chorobę Marszałka Józefa Piłsudskiego. Całe społeczeństwo było tym przejęte. Żadne zabiegi lekarskie nie pomogły. Zmarł 12 maja 1935 roku.

Trumna ze zwłokami Marszałka była wystawiona w Belwederze na widok publiczny. I ja jako oficer Wojska Polskiego oddałem hołd zmarłemu Marszałkowi, przechodząc z niezliczonymi mieszkańcami Warszawy obok jego trumny. Tłumy ludzi żegnały Marszałka Józefa Klemensa Piłsudskiego, twórcę Niepodległej Polski (urodzonego 5.12.1867 w Żułowie koło Wilna). Ulice Warszawy były zatłoczone, we wszystkich oknach flagi z czarną wstęgą. Wielu ze łzami w oczach. Na polach Mokotowa oddano ostatni salut, ładując trumnę Marszałka w drogę na Wawel do Krakowa. Ale ile to było walki, nim wreszcie ustalono miejsce spoczynku Marszałka. Bowiem kardynał książę Sapieha, „dziedzic" na Wawelu, nie chciał „wpuścić" Piłsudskiego na Wawel. Dopiero prestiż i zdecydowana interwencja Prezydenta R. P. profesora Ignacego Mościckiego złamały hardość i sztywny kark „księcia Kościoła". Zwłoki Marszałka złożono na Wawelu. Tyle o walce o ciało Marszałka.

Marszałek Piłsudski zmarł jako ewangelik. Ale czy można wyobrazić sobie w Polsce katolickiej pogrzeb po heretycku? To jest niemożliwe. Więc znów rozgorzała walka o duszę Marszałka. Ostatecznie jakiś duchowny katolicki dostał się do Belwederu i namaścił zmarłego „świętemi" olejkami i heretyk stał się katolikiem. A więc i uroczystość pogrzebowa odbyła się po katolicku. Nie wiadomo tylko, czy duszę Marszałka wysłano do piekła, czy do czyśćca? „Religijną komedię" o zmarłego Marszałka Piłsudskiego obserwowałem z bliska, będąc na kursie LOPP w Warszawie.

Kurs Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej

Kurs Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej zakończyliśmy egzaminami. Ja i kolega z Poznańskiego zdaliśmy egzamin na bardzo dobrze, reszta (sześciu) na dobrze. Wspólną fotografią uwieczniliśmy nasz udział na kursie. Sądziłem, że w Głównym Komendancie Straży Pożarnych, panu Milewskim, który też był kursistą, będę miał przyjaciela. Niestety, moje nadzieje się nie spełniły. Może zazdrościł mi, że zdałem egzaminy na bardzo dobry, a on tylko ledwo-ledwo na dobry. Mogę wątpić, aby miał średnie wykształcenie, maturę.

46
Jestem Powiatowym Instruktorem LOPP-u

Po powrocie z kursu w Warszawie zostałem z dniem 1 maja 1935 roku (o miesiąc wcześniej) zaangażowany jako Powiatowy Instruktor Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej w Działdowie. Pensja była nieduża, ale w każdym razie zapewniała mi minimum egzystencji. Prezesem Zarządu Powiatowego LOPP był były profesor rysunków Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie, pan Chmurzyński. Na pensję za instruktorstwo pożarnictwa wciąż czekałem, bo jeszcze nie było w tej sprawie uchwały Wydziału Powiatowego. Funkcję instruktora LOPP-u łączyłem z funkcją instruktora pożarnictwa. Wyjazdy służbowe nie pociągały za sobą dużych wydatków, ponieważ do placówek dojeżdżałem rowerem. Na jedzenie też nie wydawałem, bo byłem suto goszczony.

Praca była mało ciekawa, bo któż w 1935 roku poważnie myślał o wojnie, skoro w 1934 roku Marszałek Piłsudski zawarł z Hitlerem pakt o nieagresji. Pakt ten „uśpił" polskie społeczeństwo. Ale „dla chleba, panie, dla chleba" jeździłem po powiecie działdowskim i do Lidzbarka, wygłaszając referaty na temat niebezpieczeństwa lotniczego i gazowego. W połowie czerwca 1935 roku Wojewódzki Komendant Straży Pożarnych w Toruniu, pan Roszczyk, organizował wojewódzkie zawody strażackie, na które też zostałem zaproszony, otrzymując zwrot kosztów podróży i diety. Jeden dzień przypatrywałem się zawodom. Ponieważ nie byłem płatnym pracownikiem Straży Pożarnych, nie miałem obowiązku ani potrzeby zostawać w Toruniu na dalsze dwa dni. Pojechałem sobie do mojej Jadźki do Fordonu, z którą dłuższy czas się nie widziałem, aczkolwiek listy często kursowały w obie strony. Zatrzymałem się w hotelu, bo brat Jadźki, Franek, boss rzeźnictwa, niemile mnie widział u siebie.

Zadzwoniłem. Jadźka rzuciła wszystko, zostawiając klientów w sklepie, pędem przybiegła do mnie. (Po chwili wchodzi do sklepu Franek: „Gdzie jest Jadzia?" – pyta ludzi. Odpowiadają: „Gdzieś wybiegła".) Nie wiem, czy się domyślił, że ja się zjawiłem. Dowiedział się dopiero pod wieczór, gdy Jadzia wróciła do domu. Cieszyliśmy się bardzo z naszego spotkania. Na drugi dzień byłem przyjmowany w ich domu, podziwiając wspaniałe wyroby masarnicze. Franek uczył się rzeźnictwa w znanej na całą Polskę firmie masarniczej Braci Dawidowskich w Poznaniu. Stamtąd też miał bardzo dobrego czeladnika, który był kierownikiem wyrobów.

Gdyby to teraz gdzieś można dostać takie wyroby wędliniarskie. Co to był za smak. Na samą myśl, ślinka leci. Nic dziwnego, że drzwi do sklepu się nie zamykały, tyle było klientów. Ale nim ktoś wszedł do sklepu, najpierw spojrzał przez duże okno wystawowe,

aby stwierdzić: „Kto jest w sklepie, Franek czy panna Jadźka?" – bo tak ją nazywali klienci. Jak obsługiwał Franek, to ludzie czekali z wejściem do sklepu, aż będzie panna Jadźka. Bo panna Jadźka zawsze tam coś dołożyła. Szczególnie litowała się nad biednymi. Każdy z nich dostawał dokładkę z najlepszych wędlin, nigdy z tych tańszych. W niedzielę raniutko, jeszcze wszyscy spali, przychodzili biedni z bańkami po „Wurstzupę"[120]. To był po prostu rosół, w którym gotowano niektóre gatunki wędlin, niektóre z nich pękały, szczególnie kaszanki, i zawartość pozostawała w zupie. Biedni jedli to z kartoflami. To była bardzo pożywna, tłusta zupa. I tu panna Jadźka dokonywała cudów, wrzucając do „Wurstzupy" kawały kaszanki.

Dzięki sprytowi panny Jadźki sklep kwitł. Pracownicy nie nadążali z robotą. Poza czeladnikiem (z firmy Braci Dawidowskich) do pomocy był najmłodszy brat Stefan i Bernard, który tylko skupował świnie, jałowiznę, cielęta, od czasu do czasu owce. Ach, te paróweczki, które pękały po ugryzieniu, ta soczysta knobloszka[121], albo ta bułczanka, a nawet ta pospolita kaszanka, nie mówiąc wcale o rozmaitych „szlachetnych" wyrobach! Rozkosz! Co to był za smak!

Nie, nie! Nie szukaj tego w obecnych czasach, bo takich wyrobów nigdzie nie znajdziesz. Musiałbyś się cofnąć pięćdziesiąt lat wstecz. To było u mojej Jadźki w Fordonie. Miasteczko leżące nad Wisłą w pobliżu Bydgoszczy. Tam spacerowaliśmy. Tam plażowaliśmy się. Tam w Fordonie Jadźka miała okazję wyjść za mąż za bardzo bogatego kupca, który każdego ranka wychodził ze sklepu, aby zobaczyć Jadźkę. A ta głupia dziewczyna wybrała „kogo" i w dodatku „heretyka"? Tak na pewno mówili rodzice i rodzeństwo Jadźki. Współczułem „kupcowi" (nazwiska nie pamiętam), który przysyłał wspaniałe bombonierki, a ja je musiałem konsumować, bo Jadźka bała się, że może być w nich „jakiś" środek. Może na odkochanie? Albo? Najczęściej nie ruszyła ich.

Nie wiem, co Jadźka widziała we mnie? Być może, że po pięćdziesięciu latach tego żałuje?...

Ale wtedy byliśmy tak szczęśliwi i chyba właśnie wtedy miłość nasza „zaowocowała", bo za dziewięć miesięcy urodziła Jadźka pierwszego syna, któremu nadaliśmy imię Robert. Niestety, przyjemność w Fordonie nie mogła trwać wiecznie, bo „służba nie drużba", trzeba było wracać do Działdowa, do pracy instruktorskiej.

Pensji za instruktaż pożarniczy wciąż nie ma. Nadal czekam cierpliwie, wierząc w obiecankę.

47
Oficerskie ćwiczenia wojskowe

W sierpniu 1935 roku jestem znów na ćwiczeniach rezerwy w 64. Pułku Piechoty w Grudziądzu. Zawsze cieszyłem się, gdy powoływano mnie na ćwiczenia wojskowe, po pierwsze, zapominałem o mojej nieustabilizowanej sytuacji materialnej, po drugie, jako oficer rezerwy otrzymywałem gażę oficerską, której część zaoszczędziłem.

[120] Woda, w której gotowano kiełbasę.
[121] Kiełbasa z czosnkiem.

Zaraz w pierwszych dniach przygotowywaliśmy się do wyruszenia na manewry. Tym razem manewry odbyły się w okolicach miejscowości Golub-Dobrzyń nad Drwęcą. Jako oficerowie korzystaliśmy z kwater prywatnych. Moja kompania zakwaterowana była w magazynach zbożowych, które w tym czasie były puste. W nocy jednemu żołnierzowi szczur nadgryzł palca u nogi. Korzystał ze zwolnienia lekarskiego, gdyż nie mógł normalnie chodzić.

Przyjemne to były ćwiczenia, bez ostrego strzelania. Zadaniem ćwiczeń była obrona i zdobywanie miejscowości w warunkach normalnych. Okolice Golubia-Dobrzynia bogate są w sady owocowe. To radocha dla żołnierzy. I oficerowie nie powstrzymywali się od pokusy zrywania dojrzałych jabłek i grusz. To było przyczyną, że właściciele ogrodów narzekali na wyrządzane szkody, bowiem ćwiczenia przebiegały przez sady, przy czym i płoty uszkadzano. Mieszkańcy miasta cieszyli się, gdyśmy z końcem sierpnia kończyli manewry, wracając do koszar 64. Pułku Piechoty w Grudziądzu. Mile wspominałem i wspominam te manewry.

Po zakończeniu manewrów odwiedziłem moją Jadźkę w Fordonie, tym razem oficjalnie nocowałem w firmie Wysockich, w pokoju na pierwszym piętrze. Wtedy wiedzieliśmy z Jadźką, że w „drodze" jest nasze dziecko. Mnie to przestraszyło, bo choć lubiłem Jadźkę, ale małżeństwa bałem się bardzo. Mając tak mizerną pensję jako instruktor LOPP, bałem się przyszłości. Ale Jadźka była pełna optymizmu i odwagi. Zawsze powtarzała jedno zdanie: „Damy sobie radę".

Gościłem u Jadźki już oficjalnie, bez względu na to, jak na mnie patrzy Franek, brat Jadźki. Fordoniacy dowiedzieli się, że ich „dobra, milutka panna Jadźka" ma narzeczonego-oficera, bo byłem z nią w kościele katolickim w Fordonie na nabożeństwie. Nabożeństwo nie wywarło na mnie dobrego wrażenia, bo dzwoneczki dyrygowały zachowaniem się nabożnych ludzi. Na głos dzwoneczków klękano, uderzając się pięścią w pierś. Ale ilu było wśród nich, którzy szczerze wyznawali: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu" – to tylko sam Pan Bóg wie.

Po gościnie u Jadźki, z którą zaplanowaliśmy ożenek, wróciłem do pracy do Działdowa.

48
Wycieczka do Prus Wschodnich

Po powrocie z ćwiczeń wojskowych i gościny u Jadźki w Działdowie dowiedziałem się, że Straż Pożarna urządza wycieczkę do Prus Wschodnich, do Dąbrówna (Gildenburg), leżącego tuż za granicą. Wyjazd odbędzie się na zaproszenie strony niemieckiej, to jest Ochotniczej Straży Pożarnej miasta Gilgenburg[122].

Dzięki traktatowi o nieagresji, zawartemu między Marszałkiem Piłsudskim a Hitlerem w 1934 roku, ruch graniczny w obie strony znacznie się wzmógł. Nastały znaczne ułatwienia przekraczania granicy. Pojechaliśmy samochodami ciężarowymi. W Dąbrównie uroczyście witali nas tamtejsi strażacy z całym Zarządem na czele. Hymnów narodowych nie

[122] Dąbrówno.

odegrano. Po piętnastu latach spotkali się Mazurzy-strażacy z obu stron, z Polski i Prus Wschodnich, rozdzieleni 10 stycznia 1920 roku na mocy Traktatu Wersalskiego.

Powitanie i spotkanie było wesołe i swojskie. Była to sobota na początku września 1935 roku. Dzień słoneczny, ciepły, raczej gorący. Pogoda wyjątkowa, jak na wrzesień. Gospodarze poprowadzili nas nad Jezioro Dąbrowieńskie. Tam, na łące, tuż przy jeziorze, zastawione stoły różnymi wyrobami wędliniarskimi, przekąski, butle gorzały z mazurską wódką i *Bärenfangiem*[123] na czele oraz beczki piwa. Gwarno i raźno ruszono wspólnymi siłami do „gaszenia pożarów" w... żołądkach. Pogoda podniecała pragnienie, jak wiatr podnieca ogień. Pito, a pito, końca nie było. Wszyscyśmy zapomnieli o przestrogach „Gromadkarzy", że picie alkoholu to grzech. I ja też dałem się pociągnąć. „Weź tego słodkiego" – szepce mi „rogaty", „bardzo smaczny" – powiada. Faktycznie, bardzo smaczny – stwierdziłem. Tamci pili czyściochę, po ichniemu *Kornusa*[124], a ja tego „słodkiego".

Tak goszczono nas najpierw w Dąbrównie, a pod wieczór pojechaliśmy do Marwałdu na dalszą ucztę. Stamtąd wieczorem wróciliśmy do Dąbrówna, gdzie odbywała się ogólna zabawa. Nagle wieczorem czuję, że znalazłem się w łapach *Bärenfanga*. Poznałem, jak zdradliwym trunkiem jest ten słodki *Bärenfang*. Pije się jak miód i nie spostrzeżesz się, jak cię zamroczy. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy byłem naprawdę pijany. Wstydziłem się ogromnie. Nie byłem w stanie korzystać z zabawy. Ale może i lepiej, bo cóż to by było, gdyby „Kusiciel" zbliżył mnie z jakąś dziewoją? Jak bym wyglądał wtedy wobec mojej Jadźki, która szykowała się do wyjazdu do mnie? Ze wstydem wspominam to moje doświadczenie z *Bärenfangiem*. Choć przyznać muszę, że to smaczny trunek. Po polsku pięknie nazywa się pitny miód. Tak, tak, pitny! „Tylko pij... Pij, pij, braciszku, pij, na starość torba i kij"...

Oj, była to gościna u naszych druhów w Prusach Wschodnich. Mało kto trzymał się na nogach. Mimo to, wielu miało powodzenie w tańcu u dąbrowianek. Pijani, zmęczeni, jak nieboskie stworzenia, wracaliśmy, jak dzień zaświtał, do domu. Zamiast, przy niedzieli, iść do kościoła i wyznać swoje grzechy, każdy lunął się na swój barłóg i chrapał. Niejeden okładał łepetynę zimnymi okładami, bo pękała z nadmiaru niedotlenienia mózgu. „Płukanie żołądka", *Katzenjammer*[125], też każdy będzie pamiętał. Ale co to się nie robiło, aby ugruntować przyjaźń polsko-niemiecką, po mazursku. Na drugi dzień był *Blaumontag*[126]. Każdy poruszał się w pracy, jak „mucha w smole".

Dzień przyjaźni strażackiej wspominano długo. Ja wspominam to po pięćdziesięciu latach chyba dlatego, że dałem się uwieść, tym razem niedźwiedziowi. Do rewanżu, to znaczy do goszczenia strażaków pruskich w Działdowie, nie doszło, bo stosuneczki sąsiedzkie przybierały powoli innego dźwięku. Po polskiej stronie pobrzękiwano szabelkami, a po hitlerowskiej stronie warkotem motorów. Myśmy stali twardo za Marszałkiem Rydzem Śmigłym: „Guzika nie damy...!"

[123] Miód pitny, nalewka miodowa na spirytusie.
[124] Żytniówkę.
[125] Kac, zamroczenie i niedyspozycja po nadmiernej konsumpcji alkoholu.
[126] Wagary.

49
Ślub

Jest początek października 1935 roku. W mieszkaniu Jadźki Wysockiej w Fordonie jest ogromny ruch. Nie wiem, czy była sama w pokoju, czy był ktoś z rodziny? Może ktoś ze znajomych? Może Żydóweczka, przyjaciółka Jadźki? Wiem tylko, że była to chwila bardzo poważna i bardzo ważna w życiu Jadźki. Pakowała właśnie swoje rzeczy, aby „opuścić Ojca i Matkę i przyłączyć się do..." – do Edwarda. Czyni to wbrew woli rodziców, wbrew woli rodzeństwa. Z pewnością chwila wielkiego smutku, nie mając na drogę błogosławieństwa Ojca i Matki. To bardzo przykre... Co wygania Jadźkę z domu? Dlaczego ucieka? Dokąd pędzi? – Niezrozumiałe pytania dla jej Rodziców i rodzeństwa. Dlaczego ta milutka, dobra Jadźka porzuca tak wiernych swoich klientów, których lubiła i całym sercem im służyła? Dlaczego?... Dlaczego zostawia tak świetnie prosperujący sklep masarniczy, który w połowie był jej własnością? Dlaczego?... Dręczące pytanie: „dlaczego?"...

Jedyna odpowiedź na te i inne pytania leżała wyłącznie i jedynie w duszy tej osoby, która nosi tak piękne imię Jadwiga. Za chwilę zobaczymy, czym Jadźka przezwycięża swój smutek rozstania się z domem rodzinnym.

Kierunek pociągu, do którego Jadźka wsiadła, ma dać odpowiedź na wszystkie stawiane pytania, bo u celu tej podróży jest: Miłość!... Miłość do Edwarda. Czy można zgadnąć myśli, które snuła w głowie Jadźka w czasie parogodzinnej jazdy pociągiem? Z pewnością były one różne: raz leciały w nieznaną przyszłość, to znów cofały się w przeszłość, dobrą czy złą. Jechała do celu swej miłości. Odważna, pełna energii, entuzjazmu i optymizmu. Gotowa stawić czoła wszelkim trudnościom i przykrościom, pewna tego, co stale powtarzała: „Damy sobie radę!". Puf-puf-puf... pociąg stanął w Działdowie. Jadźka wysiada. Powitanie z Edwardem. Coś tknęło Jadźkę (ale to nie było kopnięcie synka w brzuszku), bo powitanie nie było takie, jakiego się spodziewała.

Witałem Jadźkę dręczony złymi myślami, które były produktem otoczenia, które odstraszały mnie od ożenku. Słyszałem tylko słowa: „co ty robisz?", „żenić się w twojej sytuacji?" itd., itp. Rzeczywiście, sytuacja moja była żadna. Dręczony tymi myślami, rozmyślałem, co mam powiedzieć mojej Jadźce. Nie pamiętam, gdzie, czy już w drodze, idąc z dworca, czy dopiero w hotelu, powiedziałem Jadźce straszne, okropne cztery słowa: „Ja się nie żenię". Myślę, że słowa te spowodowały, że ziemia zadrżała pod nogami Jadźki. Grom uderzył – słońce zgasło – nastała ciemność. To tak, gdy Jezus powiedział: „Wykonało się" – też ziemia zadrżała, słońce zgasło, ciemność okryła ziemię. Słowa Jezusa dały ludzkości radość, zbawienie. A co dały Jadźce moje słowa? Smutek, ból, zawód w miłości, zraniły miłujące serce.

Pamiętam, nie było między nami żadnej kłótni, ale pewnie nie było też rozmowy. Chyba panowało grobowe milczenie, przerwane nagle słowami Jadźki: „W każdym razie, ja zostaję. Nie wracam do domu". Słowa te obudziły mnie i zrozumiałem, że uczyniłem Jadźce straszną krzywdę i ból. To było straszne, co uczyniłem osobie, która była mi oddana całym sercem. Przez trzy lata jedna jedyna, która rozumiała mój los człowieka bez pracy. Jedyna, która miała słowa pociechy i otuchy w chwilach, gdy traciłem zaufanie i wiarę w uczciwość i sprawiedliwość ludzką. Jedna jedyna, która potrafiła snuć plany na przyszłość, mając odwagę powtarzać słowa: „damy sobie radę". Czy przeprosiłem, czy nie

przeprosiłem, w każdym razie nadszedł moment, że przytuliliśmy się do siebie, jak dawniej. Ubolewałem bardzo nad tym, co się stało.

Dziś, wspominając o tym, wstyd mnie ogarnia. Jak mogłem coś podobnego wyrzec. Było to wydarzenie bardzo przykre. Tak niemiłe, że nigdy nie wspominaliśmy o tym.

Po dojściu do porozumienia przystąpiliśmy do zawarcia związku małżeńskiego. Chwilowo zamieszkaliśmy w hotelu pana Schilkowskiego przy Rynku, róg kościoła ewangelickiego, na pierwszym piętrze, w pokoju, w którym kiedyś mieszkał profesor muzyki, pan Paweł Ożana. Omówiliśmy też naszą sytuację finansową: ja pobierałem bardzo skromną pensję (ile, nie pamiętam) jako instruktor LOPP (Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej). Jadźka przywiozła coś około 900 złotych, to tyle, co cztery pensje nauczyciela początkującego. Franek, brat Jadźki, odmówił raz na zawsze wypłaty jej części udziału sklepu w Fordonie. Jadźka miała prawo wystąpić do sądu o wypłacenie jej udziału. Ale dla „świętej zgody" zrezygnowaliśmy, nie chcąc się procesować w rodzinie.

Na drugi dzień poszedłem do Urzędu Stanu Cywilnego, który mieścił się w ratuszu, w Magistracie, zgłosić „zapowiedzi" o ślubie. Zapowiedzi te były wywieszone u wejścia do Urzędu Stanu Cywilnego do publicznej wiadomości, co najmniej na dwa tygodnie przed ślubem. Termin ślubu ustaliliśmy na sobotę, dnia 26 października 1935 roku.

Poszliśmy do stolarza Jakscha zamówić sypialnię (łóżka, szafę, stoliki nocne, lustro). Jadźka przywiozła ze sobą dostateczną ilość osobistego ubioru i bielizny. Mieszkanie wynajęliśmy u kupca Małka (nie krewnego), przy Rynku, na drugim piętrze. Składało się z dwóch pokoi i kuchni; ubikacja w korytarzu. Duży pokój, słoneczny, od południa, z widokiem na Rynek; drugi, mały, przy kuchni, od północy. Kuchnia mała, dość ciemna. W dużym pokoju ustawiliśmy łóżka małżeńskie ze stolikami nocnymi, szafę trzydrzwiową na ubrania i bieliznę i wiszące lustro między oknami. Oczywiście i firany, pewnie jeszcze moje kawalerskie z Wielkiego Wełcza. Meble sypialniane były koloru jasnego orzecha. W małym pokoju stał mój komplet kawalerski, pleciony z wikliny, fotele, sofa ze stolikami. W kuchni stała płyta do gotowania na gaz, tak zwana „wersalka" i jakaś mała szafa kuchenna (w Wielkim Wełczu posiadałem biurko, ale nie przypominam, aby stało ono gdzieś w wyżej wymienionym mieszkaniu).

Po przyjeździe Jadźki do mnie mieszkaliśmy około dziesięć dni w hotelu pana Schilkowskiego, a potem w naszym mieszkaniu u pana Małka. Z tej zdobyczy byliśmy bardzo zadowoleni. Mieliśmy swój własny kąt. Czuliśmy się szczęśliwi jak dwa gołąbki. Na uroczystość wejścia do własnego mieszkania Jadźka kupiła kaczkę i wstawiła w brytfance do duchówki. W tym czasie, jak kaczka się piekła, myśmy byli zajęci w sypialni i... zapomnieliśmy o kaczce. Nagle czujemy dym, smród spalenizny. Biegiem do kuchni, a tam pełno dymu i sadzy. Po kaczce... spaliła się na węgiel. A ileż to było roboty, kuchnię i mały pokój doprowadzić do porządku i czystości. Ale miłość wszystko znosi. Głód musieliśmy zaspokoić kiełbaską.

Wyznaniowo stawiałem sprawę w ten sposób, że każdy może pozostać przy swoim wyznaniu, z tym, że dzieci chciałbym, aby były wychowywane według nauki ewangelickiej. Jadźka natomiast oświadczyła, że chce, abyśmy wzięli też ślub kościelny w kościele ewangelickim i że chce być ewangeliczką. Wobec tego, że decyzja Jadźki była nieodwracalna, udaliśmy się do superintendenta Ernsta Barczewskiego celem ustalenia terminu ślubu kościelnego. Dzień ślubu ustalono na niedzielę dnia 27 października 1935 roku, po południu.

Na osobiste życzenie Jadźki superintendent Ernst Barczewski sporządził akt konwersji (przejścia na ewangelicyzm). Był to chyba jedyny wyjątkowy wypadek w Działdowszczyźnie, że katoliczka przeszła na ewangelicyzm. Wszystkie inne (wprawdzie nieliczne) mieszane wyznaniowo małżeństwa ślubowały w Kościele katolickim.

Działdowo było małym miasteczkiem, liczącym trochę ponad pięć tysięcy mieszkańców. Jeden drugiego znał. Jak ktoś dmuchnął na jednym końcu miasta, to na drugim końcu wiedziano, kto zepsuł powietrze. Toteż wiadomość o naszych ślubach, cywilnym i kościelnym, była wszystkim wiadoma. Krótko przed ślubem dowiedzieliśmy się, że katolicy szykują się nas w czasie ślubu kościelnego „ukamienować". Z tą wiadomością poszedłem do superintendenta Barczewskiego, aby poradzić się, co mamy robić. Zamiarem katolików superintendent Barczewski wcale nie był zaskoczony. Rzeczy takie były mu znane. Powiedział mi, że mamy zajechać przed tylne wejście (nie frontowe) i ślub odbędzie się przy zamkniętych drzwiach kościelnych. Radę superintendenta trzymaliśmy w tajemnicy.

Ślub cywilny odbył się w Ratuszu – w Magistracie Miasta – w Urzędzie Stanu Cywilnego w Działdowie przed południem, dnia 26 października 1935 roku. Ślubowania dokonał sekretarz burmistrza, pan Jan Jóźków. Świadkami ślubu cywilnego i kościelnego byli: mój brat Karol i Jan Jagiełłko-Jaegertal, prezes Powiatowego Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej. Po ślubie cywilnym zaprosiliśmy świadków i pana Jóźkowa do hotelu pana Schilkowskiego na krótki, skromny poczęstunek. Resztę dnia spędziliśmy z Jadźką, już jako małżonkowie, we własnym mieszkaniu.

Niedziela, 27 października 1935 roku, dzień naszego ślubu kościelnego. Był to dzień płaczliwy. Cały dzień, od samego rana, padał deszcz. Po południu szykujemy się do kościoła. Moja Jadźka, niestety, nie przeżywa swego ślubu w wesołym nastroju. Nie ma ani powłóczystej, białej sukni, ani welonu. Jeżeli się cieszyła, to chyba dlatego, że od czasu do czasu dziecko w łonie dawało znać o swojej radości. Jadźka, będąc w ciąży, ubrana była w pięknej czarnej sukni, sobie uszytej. Ja byłem ubrany w mundur powiatowego instruktora Straży Pożarnych. Zamówiliśmy taksówkę pana Scholza. Kilka minut przed czternastą godziną schodzimy z drugiego piętra naszego mieszkania u pana Małka przy Rynku do taksówki. Przy wyjściu grupa ludzi, nie wiem, czy przyjaznych nam, czy wrogów. W każdym razie nie wiwatują. Szybko siadamy do samochodu. Do kościoła mamy bardzo blisko, tylko przez Rynek.

Przed głównym wejściem kościoła owa złowroga grupa fanatyków katolickich, którzy mieli nas zamiast kwiatami – obrzucić kamieniami. Sądzili, że wysiądziemy przy głównym wejściu. W sukurs, na pomoc, przyszedł nam Pan Bóg, który w tym momencie zesłał z nieba ulewny deszcz. Grupa fanatyków przytuliła się przed deszczem do ściany kościoła, a my tymczasem wchodzimy bocznym wejściem do kościoła. Tego nie spodziewali się fanatycy katoliccy.

W kościele czekali na nas: z mojej rodziny: Mateczka, Jan, August, Karol z żoną Wilhelminą i Marta z mężem Fritzem Żbikowskim z Pierławki. Poza tym byli Jan Jaegertal z żoną. Z rodziny Jadźki nikt nie przybył, ani nie otrzymaliśmy życzeń. Ze względu na bezpieczeństwo ślub odbywał się przy drzwiach zamkniętych. Śpiewano dwie pieśni: na początku: *Toruj Jezu sam, drogę życia nam*; na zakończenie: *Za ręce weź mię Panie i prowadź sam*. Z przemówienia superintendenta Barczewskiego nic nie pamiętam. Ale gdy klęczeliśmy w czasie udzielania błogosławieństwa, nie mogłem opanować moich łez. Po prostu płakałem. Nie wiem, dlaczego płakałem. Czy wyczuwałem, że „droga życia naszego"

będzie trudna? A może dlatego, że z rodziny Jadźki nikogo nie było na ślubie? Przygnębiała mnie też nieobecność mego ojca. Nie rozumiałem również wrogości i nienawiści katolików, ze złością czekających na nas za zamkniętymi drzwiami kościelnymi.

Z pewnością wszystkie te okoliczności wpływały na moje poczucie, rzucając cień smutku w radosnym – zdawałoby się – dniu weselnym. Opatrzeni błogosławieństwem Bożym przez superintendenta Barczewskiego oraz obdarowani życzeniami szczęścia, wyrażonymi przez krewnych i gości, opuściliśmy kościół. Przy rzęsistym deszczu szybką taksówką szczęśliwie minęliśmy próżno czekających na nas u głównego wejścia fanatyków. Nie wiem, co byłoby, gdyby to był dzień pogodny i słoneczny?

Z kościoła udaliśmy się wszyscy do mieszkania mego brata Karola przy ulicy Lidzbarskiej. Stamtąd służący wrócił bryczką do domu do Brodowa. Wila, bratowa, urządziła skromne przyjęcie, które rozweselał swymi „kawałami" Jan Jaegertal. Późnym wieczorem rozeszliśmy się: Marta z Fritzem pojechali swoją bryczką do Pierławki. Mateczka nocowała u Karolów, a Jan i August nocowali u nas. Mateczka, Jan i August na drugi dzień wrócili do domu z wójtem Żywcem, który dojeżdżał do swego biura do Działdowa, a mieszkał w Brodowie. Ojczulek i Hedka nie byli na naszym ślubie, bo przez dwa dni musieli doglądać obowiązków w gospodarstwie. Emil z Agatą z Klęczkowa też nie byli, bo coś im tam wypadło.

Jadwiga Gertruda Małłek z d. Wysocka,
urodz. 27.08.1915 w Berlinie

Edward Juliusz Małłek
urodz. 16.05.1907 w Brodowie

Ślub cywilny: 26.10.1935 w Urzędzie Stanu Cywilnego w Działdowie,
udzielił: Jóźkow, sekretarz
Świadkowie: Jan Jaegertal i Karol Małłek
Ślub kościelny: 27.10.1935 w Kościele Ewangelicko-Unijnym w Działdowie,
udziel. superint. ks. Ernst Barczewski

Na przyjęciu weselnym u Karolów nie czuliśmy się z Jadźką ani swojo, ani szczęśliwie. Jako biedacy, poślubieni wbrew wszystkiemu, robiliśmy „dobrą minę do złej gry". Szczególnie smutna to była sytuacja dla Jadźki, która stała bez własnego „zaplecza" ze swej rodziny. Chyba i ja wtedy nie dorosłem, aby należycie rozumieć jej sytuację i doceniać jej osobowość. Z pewnością byłem za obojętny, chyba za mało wczuwałem się w jej przeżycia, które w naszej egzystencji nie były radosne.

Stan panieński czy kawalerski jest wolny od obowiązków. Stan małżeński nakłada na obie strony szereg obowiązków. Młodzi najczęściej nie zdają sobie sprawy i bywają często zaskoczeni problemami, które stwarza małżeństwo. Młodzi, po ślubie, często się nie poznają. Małżeństwo jakby przenosiło młodych ze świata marzeń w świat realiów, który często zaskakuje przykrymi niespodziankami. Przykrości wpływają bardzo ujemnie na uosobienie i stan nerwowy człowieka. A to znów odbija się ujemnie na współżycie małżonków.

Z perspektywy czasu spróbuję opisać przykrości, których doznaliśmy w naszym małżeństwie. Cud, że się nie rozleciało. A jednak trwa już 56 lat.

50
Akcja Katolicka w akcji

Mówiąc o Akcji Katolickiej, często używać będę skrótu „AK". Proszę jednak nie mylić z podobnym skrótem „AK", oznaczającym organizację podziemną typu wojskowego, „Armia Krajowa", działającą w czasie okupacji hitlerowskiej. Na wstępie cośkolwiek z teorii o „Akcji Katolickiej" („AK"), dla lepszego zrozumienia moich-naszych przeżyć.

Papież Grzegoż XV zapisał się w historii Kościoła rzymsko-katolickiego jako założyciel, w 1622 roku, specjalnej organizacji do walki i do tępienia heretyków pod nazwą „Congregatio de Propaganda Fide". Papieżom bowiem nie wystarczała już istniejąca zbrodnicza organizacja pod nazwą Inkwizycja. Przeciwników władzy i nauki papieży prześladowano, ścigano, więziono, torturowano aż do śmierci i dodatkowo palono.

Słynny astronom i katolicki biskup Warmii, Mikołaj Kopernik, uniknął losu spalenia tylko dlatego, że nie wydał za życia swego na cały świat słynnego dzieła *O obrotach ciał niebieskich*. Głoszenie, że ziemia obraca się naokoło słońca, papiestwo uznawało za herezję, a twórcę takiej teorii za heretyka godnego tylko śmierci.

Organizacja „AK" działa, aczkolwiek w innych formach, do dnia dzisiejszego i działać będzie tak długo, jak długo będzie istnieć „Babilon" – papieski Rzym.

Widocznie organizacja „Congregatio de Propaganda Fide" była za mało sprężysta, za mało aktywna, za mało owocna, bo nie wystarczała jednemu z następnych papieży: papież Pius XI (tak, tak, ten sam, z którym w Seminarium Nauczycielskim w Działdowie miałem już opisany „incydent") założył w 1922 roku nową organizację pod nazwą „Akcja Katolicka". Jakie cele ma ta papieska organizacja, wprowadzona w życie Encyklikami Papieża Piusa XI z 1922 i 1923 roku? Odpowiadając na to pytanie, nie użyję tu własnych słów, lecz powołam się na notatkę na ten temat, zawartą w polskiej Encyklopedii PWN z 1973 roku:

„AKCJA KATOLICKA, jedna z gł. form katol. apostolatu świeckich, organizacja świeckich katolików ma na celu podporządkowanie kościołowi wszystkich dziedzin życia społ. w Europie, zapewnienie kościołowi wpływu na politykę wewn., na ustawodawstwo, gospodarkę poszczególnych państw europ. Zaczątkiem A.K. były luźne stowarzyszenia katol. powstające w końcu XIX w. jako reakcja na ograniczenie wpływów kościoła w wyniku wzrostu nastrojów liberalnych i antyklerykalnych, szerzenia się zasady – rozdziału kościoła od państwa i likwidacji państwa kośc. (1870). Właściwym organizatorem A.K. był Pius XI, który uczynił z niej organizację ogólnokośc., obejmującą wszystkie zrzeszenia katol. i sprecyzował jej cele ideologiczne i polit. (encykliki 1922,1923). A.K. rozwinęła działalność gł. we Włoszech, Francji, Niemczech: w Polsce działała 1926–1939".

Nie zgadzam się z ostatnim zdaniem powyższej notatki.

A „Solidarność?" – to nie Akcja Katolicka?! Już w przedszkolu w Polsce uczono dzieci:

„Kto ty jesteś? – Polak mały!

Jaki znak twój? – Orzeł Biały!"

Spójrzcie na demonstracje „Solidarności". Pod jakim znakiem maszerują „Solidarnościowcy?" Na próżno szukałbyś tam „Orła Białego". Jaki znak, jaki wizerunek dźwiga na brzuchu „wódz" „Solidarności", Lech Wałęsa? Może wizerunek generała Polski, Jaruzelskiego? Och, nie! Nie widzieliście tego w telewizji? Ja widziałem. To był przecież obraz „polskiego papieża!". Och, jak temu musi być miękko na sercu i mokro w oczach, gdy ogląda na ekranie swoją „Solidarność". A ta „polska solidarność" niepomna jest ostrzeżeń swoich proroków i wieszczów, na przykład Juliusza Słowackiego, który przestrzegał rodaków słowami: „Polsko – Polsko, zguba twoja w Rzymie!" A przecież Słowacki to katolik, Polak, walczący o niepodległość Polski wtedy, gdy Polski jeszcze nie było.

Obecnie Polska przecież istnieje. Więc o co walczy „Solidarność"? Czy mam powiedzieć? Moim zdaniem, walczy o całkowite poddanie Polski papieskiemu Rzymowi, a tym bardziej „polskiemu papieżowi" po to chyba, aby Polska... zginęła. (?) Bo czy „Choumenizm" może trwać na wieki? Chyba nie.

Ale wróćmy na nasze „podwórko". Jakież szaleństwo musiało ogarnąć katolików Działdowa na wiadomość, że Jadwiga Wysocka wbrew woli rodziców stała się konwertytką, przeszła na ewangelicyzm. Przecież to zgroza! Przecież to grzech śmiertelny! Odstępcę od „wiary" Kościół katolicki okładał klątwą. A klątwa, w dawnych czasach oznaczała śmierć dla delikwenta. „Wyklętego" każdy miał prawo zabić bez ponoszenia odpowiedzialności, a „prawowierni" uważali to nawet za obowiązek. „Klątwa" w obecnych czasach oznacza prześladowanie, co wynika z programu „AK".

Katolicy, nie znając Pisma Świętego, a słuchając i wierząc tylko w to, co papież podaje do wierzenia, uważają, że kto odstępuje od katolicyzmu, wyrzeka się jedynozbawczej wiary, wyrzeka się Boga. Natomiast dr Marcin Luter, były zakonnik i teolog katolicki, powiedział: „Jeżeli chcesz słyszeć głos diabła – czytaj dekrety i bulle papieskie".

Katolicy unikają rozmowy na temat religii. Mało który katolik wda się w dyskusję. Ogólnie usłyszysz od katolika takie powiedzenie: „W jakiej wierze się urodziłam, w takiej chcę umrzeć". To tak się słyszy, jakby ktoś powiedział: „Analfabetą się urodziłem i analfabetą chcę umrzeć". Przecież ogólnie wiadomą jest rzeczą, że są różne religie. Były, są i będą. Jedne są prymitywne w swej wierze, inne stoją na wyższym poziomie. Jedne są naturalistyczne, na przykład u dawnych Prusów, Indian, pierwotnych ludów, drugie spirytuali-

styczne. Różne religie inaczej widzą swego Boga. Nas, chrześcijan, powinno cechować i obowiązywać to, co Jezus Chrystus, założyciel Kościoła chrześcijańskiego, powiedział: „Bóg jest Duch! A kto chce Boga chwalić, winien Go chwalić w duchu i w prawdzie" – Jan 4,23 – 24. A zatem Bóg chrześcijański to nie figura ani człowiek, siedzący na takim czy innym tronie. Bóg jest Duch. Zatem im religia chrześcijańska bardziej ma cechy duchowe (żadnych figur, obrazów, którym adoruje – jak to jest w Kościele katolickim), tym religia ta, albo powiedzmy wyznanie, stoi na wyższym poziomie. Jeżeli bowiem uczeń przechodzi do wyższej klasy, dostaje pochwałę, a nie naganę.

Jezus, syn Marii, jako wierny Syn Boga, zakładając „Swój Kościół" – Mateusz 16,18, – nie umarł Żydem. Powiedział przykre słowa: „Przyszedłem do swoich, ale swoi mnie nie przyjęli" – Jan 1,11. A więc Jezus, założyciel Kościoła chrześcijańskiego, był pierwszym „konwertytą" – zmienił wyznanie.

Czy katolicy nie wiedzą, że Jezus założył „Swój Kościół", który ma taką organizację: „Gdzie są dwaj lub trzej zgromadzeni w imię moje, tam jestem pośród nich" – Mateusz 18,20. Więc dlaczego chcieliście nas w dniu naszego ślubu kamienować? Przecież Jadźka, przechodząc na ewangelicyzm, przeszła do „wyższej klasy". Pan Bóg przegonił was ulewnym deszczem i nie mogliście wykonać waszego diabelskiego zamiaru.

Jezus, zakładając „Swój Kościół", wykształcił i rozesłał swoich uczniów, mówiąc: „Idźcie tedy i czyńcie uczniami moimi (nie katolikami) wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego" – Mateusz 28,19. Stąd prosty wniosek: apostołowie to konwertyci. Inaczej pozostaliby Żydami i poganami. Jeżeli więc „obrok" w Kościele katolickim nie smakuje, to idę do luteran. Jeżeli i tam dostaję „przestarzały", „wyschły" chleb, mam do wyboru cały szereg wyznań, głoszących wiernie lub mniej wiernie Słowo Boże, jak: Kościół Reformowany (Kalwiński), Metodystyczny, Babtystów i inne. Niech papież się nie dziwi, że „niewierni" uciekają z szeregów Kościoła katolickiego. Jezus powiedział: „Czy myślicie, że przyszedłem, by dać ziemi pokój? Bynajmniej, powiadam wam, raczej rozdwojenie" – Łukasz 12,51. Dlatego powiedzenie: „W jakiej religii się urodziłem, w takiej chcę umrzeć" – jest co najmniej prymitywne.

Akcja Katolicka obejmuje wszelkie ogniwa pracy kościelnej. Przy każdej parafii istnieje Katolickie Stowarzyszenie Kobiet, Mężczyzn, Młodzieży. Miały one charakter społeczno-religijny. Poza tym istnieją Koła Różańcowe, Maryjne itp. Na zebraniach poszczególnych stowarzyszeń omawiano wszelkie objawy życia ludzkiego na terenie parafii i wyciągano odpowiednie wnioski i zalecenia. Do Stowarzyszeń tych należeli prawie wszyscy katolicy: pospólstwo, urzędnicy, naukowcy... Posłuszeństwo wobec Kościoła stało u katolików (dodajmy: polskich) na pierwszym miejscu, potem dopiero patriotyzm narodowy. Katolik, wyrzekający się katolicyzmu, przestawał być uważany za Polaka.

My, młodzi (od 1920 roku) obywatele Polski, Działdowszczyzny, w ogóle nie znaliśmy ani duszy, ani rozumowania Polaków-katolików. Nasz lojalny, więcej, wierny stosunek do Polski, uważany był za fałszywy, zakamuflowany maską. Dlatego spotykaliśmy się, my Mazurzy, z podejrzliwością, niechęcią, nieżyczliwością, nienawiścią. Nie podejrzewaliśmy tego i nie rozumieliśmy, że taka jest nasza rzeczywistość w Polsce: nienawiść do Niemców, a zatem i do nas, Mazurów Działdowszczyzny, bowiem przez 500 lat należeliśmy do Prus.

Nienawiść Polaków do Niemców znał dobrze Marszałek Józef Piłsudski, który do wysłannika Hitlera, von Moltkego, powiedział takie oto słowa: „Sagen Sie Ihrem Führer, ich

glaube es gern, daß er ehrlich bemüht ist, alle Probleme zwischen Polen und Deutschland vernünftig zu lösen. Er möge aber nicht übersehen, der Haß meines Volkes gegen alles Deutsche ist abgrundtief'[127]. Czy można dobitniej powiedzieć o Polakach? Chyba nie. A kto w Polsce jest Niemcem? Oczywiście ewangelicy, a więc i Mazurzy, bo są ewangelikami, i co więcej, do 1920 roku Mazurzy Działdowszczyzny byli obywatelami niemieckimi. Czegóż dobrego mogli oczekiwać Mazurzy od Polaków?...

51
Zwolniony z LOPP-u

Moje śluby (cywilny i kościelny) z katoliczką, Jadwigą Wysocką, były przede wszystkim nie w smak rodzicom Jadzi, a szczególnie matka ubolewała bardzo nad „odejściem od wiary" swej córki. Nie pamiętam, czy teściowa odwiedziła nas, gdyśmy mieszkali jeszcze u Małka przy Rynku, czy dopiero w 1936 roku. W każdym razie, w czasie pierwszego pobytu u nas, dała sobie upust bólu, smutku, a może nienawiści, mówiąc do córki: „Wolałabym cię widzieć na ulicy". Straszna wypowiedź matki do córki! Okropne porównanie! Ale o tym później.

Miesiąc po naszym ślubie prezes powiatowy Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej, Chmurzyński (były profesor rysunków i robót ręcznych Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie), wręcza mi pisemko, mocą którego z dniem 1 listopada 1935 roku jestem zwolniony ze stanowiska instruktora powiatowego LOP-P-u. Wiadomość z jasnego nieba! – Pytam o powody. „Nie mam obowiązku podawać przyczyn zwolnienia" – odpowiada prezes. No cóż, pozostaje mi składać odwołanie, skargę, żal, prośbę do Pana Boga. Piękny podarunek poślubny! Entuzjazm nasz został przygaszony. To nie była wesoła podróż poślubna, oj nie. A tu przecież dziecko „w drodze". Będą nowe potrzeby i wydatki...

Wprawdzie jestem nadal instruktorem Straży Pożarnych, ale co z tego, skoro wciąż jeszcze nie uchwalili mego wynagrodzenia.

52
Otwieramy sklep

Na drugi czy trzeci dzień po smutnej wiadomości o zwolnieniu Jadźka wciąż pełna energii i odwagi radośnie zapowiada mi: „Edward, otwieramy sklep!". „Dopóki jeszcze mamy trochę pieniędzy" – powiada.

W moim pojęciu „trochę pieniędzy" (kilkaset złotych) to żaden kapitał, aby można otwierać sklep. Ale Jadźka miała już w tym kierunku sporo doświadczenia i praktyki. Miała

[127] „Proszę powiedzieć swemu Führerowi (wodzowi), że nie wątpię w jego szczere zabiegi o rozsądne uregulowanie wszystkich problemów między Polską a Niemcami, lecz niech weźmie pod uwagę, że nienawiść mego narodu do wszystkiego, co niemieckie, jest bezgraniczna".

przecież za sobą cztery lata samodzielnego prowadzenia sklepu, od małego. Ze względu na widoczną nienawiść do nas w Działdowie Jadźka bardzo nalegała, abyśmy poszli w „obce strony" – to będzie nam dobrze. Ale ja jako „uparty" Mazur, przywiązany do Ziemi Ojców, przekonałem Jadźkę i postanowiliśmy otworzyć „Sklep krótkich towarów" w Działdowie.

Wynajęliśmy mieszkanie u pana Plucińskiego na parterze przy ulicy Świętej Katarzyny, róg ulicy Zamkowej, naprzeciw sklepu żywnościowego pana Frydrychowskiego. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi, kuchenki z małym okienkiem na ciemne podwórko, bez łazienki, ubikacja w korytarzu. Pokój narożny nadawał się na sklep, bo miał drzwi wyjściowe wprost na ulicę. Zamówiliśmy u Jakscha regał dwumetrowy i nieco krótszy bufet. Ustawiliśmy w rogu przy oknie. Reszta pokoju była pusta. Nasze mieszkanie ograniczyliśmy do jednego pokoju. Był bardzo duży, na pewno, bo ponad 30 metrów kwadratowych.

Przez pewien, krótki czas nocował u nas Wiktor, brat Jadźki, który uczył się u Longwitza za ślusarza, u którego miał też skromne utrzymanie. Jadźka pojechała do Mławy, do dawnych znajomych, Żydków. Zakupiła towaru, na ile nas wtedy było stać: nici, igły, koronki, lamy, pończochy, skarpetki, kilka koszul, parę swetrów. I chyba to było wszystko. Ułożyliśmy na regale, który nadal świecił pustkami. Regał był po prostu „na wyrost". Mój Boże, gdyby nas wtedy nasze dzieci widziały? Na pewno zapłakałyby rzewnymi łzami.

A myśmy się cieszyli z naszego początku. Ale to tylko dlatego, że Jadźka miała odwagę i ryzyko rozpocząć od małego. Cierpliwie czekaliśmy na klientów. Właściwie to Jadźka obsługiwała sklep. Ja wciąż, jak głupi, jeździłem po powiecie, przeprowadzając inspekcje Straży Pożarnych, licząc, że kiedyś wypłacą mi pensję instruktora pożarniczego. Cały problem leżał w tym, że nominację miałem z Pomorskiego Okręgu Straży Pożarnych w Toruniu z adnotacją, że sprawę wynagrodzenia ustali Wydział Powiatowy w Działdowie. A tu wciąż brak umowy. I tak borykaliśmy się z trudnościami. Nawet swoi nas omijali. Wilutka, żona Karola, zakupując artykuły żywnościowe u Frydrychowskiego, aby nie przejść obok nas, szła naokoło ulicą Wolności. Wstydziła się nas biedaków. Karole ani razu nas nie odwiedzili.

53
Żona rodzi pierwsze dziecko

W takich warunkach oczekujemy urodzenia naszego pierwszego dziecka. Nie wiemy, czy będzie syn, czy córka. Ponieważ Jadźka w ciąży bardzo pięknie wyglądała, więc każdy prorokował nam syna. Jest dzień 26 lutego 1936 roku. Coś Jadźka zaczyna się kręcić. Jest niespokojna. Ja mówię do niej: „Poczekaj jeszcze te dwa dni, a dziecko urodzi się 29 lutego, to będzie swe urodziny obchodziło co cztery lata, bo może też będzie takie biedne, jak my". „Dobrze byłoby" – odpowiada Jadźka, „ale mi się wydaje, że będzie prędzej".

Tak. Niestety, bóle pojawiały się najpierw co godzinę, potem co pół godziny. Jadźka w boleściach chodziła po pokoju, to znów wstawała, drapała ścianę i tak w kółko. Jaki ja byłem wtedy jako mężczyzna głupi. Zachowanie Jadźki pobudzało mnie do śmiechu. Aby tego nie okazywać, wychodziłem do kuchni.

Wreszcie przyszła akuszerka. Jadźka jeszcze chodzi i kładzie się, aż bóle, co do częstotliwości, nabrały takiego tempa, że Jadźka już tylko leży i napręża się, wijąc się z bólu. Dopiero teraz zrozumiałem, co to jest poród. Jaki to jest ból. Całowałem Jadźkę, pieściłem, roniąc łzy i rękami, według wskazań akuszerki, trzymałem głowę, aby zanadto nie wychylała jej do tyłu.

Po długim czasie „poszła woda". No to nadzieja, że już tylko-tylko dziecko wychyli główkę. Niestety, wciąż mu się nie śpieszy wyjść na ten padół ziemski. A Jadźka, przy każdym parciu, syczy z bólu i powtarza: „Już nigdy więcej, już nigdy więcej"... Ja tulę ją, wciąż całą siłą trzymam głowę, aby nie wychylała jej do tyłu. Akuszerka robi, co może. Wreszcie wychyla się główka. Potem szyjka. Na barkach zaparł się. Akuszerka zachęca Jadźkę: „Mocniej, mocniej, jeszcze mocniej, jeszcze trochę"... Wyprysnął... Akuszerka woła: „Chłopiec!". Co zresztą osobiście mogłem stwierdzić.

Jadźka zmęczona, wyczerpana, głęboko odetchnęła. Uścisnąłem ją, przytuliłem. Akuszerka odłączyła pępowinę, chwyciła za stopki, podniosła do góry i dała dziecku klapsa po tyłku. Tak, tak, jak tylko człowiek się urodzi, już go biją. Po klapsie do wanienki. Po obmyciu, mamusi do piersi, pod pierzynkę. Mamusia cieszy się i uśmiecha. Głaszcząc ją, pytam: „Będzie jeszcze?". Uśmiechając się, kiwnęła głową i rzekła: „Tak". Wezwany lekarz dokonał u Jadźki małego zabiegu. Kilka dni dochodziła akuszerka, opatrując Jadźkę, którą po urodzeniu syna zacząłem nazywać „mamusią".

Według ówczesnej recepty lekarskiej, każda dobrze szanująca się kobieta po porodzie dwa tygodnie leżała w łóżku. Tak też i Jadźka-Mamusia zrobiła. A synek z każdym dniem coraz bardziej dawał o sobie znać, po prostu „ryczał". Nie wiedzieliśmy, co mu jest. Aż któregoś dnia przyjechała moja Mateczka i powiada: „Ten dzieciak chce jeść". Dostał butlę i zaraz przestał wrzeszczeć. Bo już wtedy była moda chowania dziecka według książki. Na przykład u Karolów Rysiek „na książce" byłby umarł, gdyby go Mateczka nie wzięła na kilka dni do domu, do Brodowa, na odkarmienie. Właśnie butla ucisza płaczące dziecko, tak jak pijaka rozwesela.

Zastanawialiśmy się nad imieniem dla synka. Damy takie czy inne. Wtem Jadźka powiada: „Damy mu imię mężczyzny, który nas pierwszy odwiedzi". Zgoda. A na drugie damy mu imię „królewskie", imię królów angielskich: Jerzy (Georg). Pałaców królewskich wprawdzie dać mu nie możemy, ale imię możemy. Teraz czekamy tylko na pierwsze imię. Chyba jeszcze w dniu porodu, po południu, czy też na drugi dzień, ktoś puka do drzwi. Kto wchodzi? Robert, mój brat, który często odwiedzał nas w naszej „Stajence Betlejemskiej". No i Synek dostał imiona: Robert Jerzy. Tak został zarejestrowany w Urzędzie Stanu Cywilnego w Działdowie i za kilka dni (po dwóch tygodniach) ochrzczony w Kościele Ewangelicko-Unijnym w Działdowie przez tegoż Superintendenta Ernsta Barczewskiego, który udzielał nam ślubu.

Jadźka-Mamusia po porodzie szybko wróciła do dobrego zdrowia. Ale Synek musiał się zadawalać butlą z mlekiem od krowy, gdyż matczyne mleko mu nie wystarczało. Przez cały rok krzykiem upominał się o butlę.

54
Próby rozbicia naszego małżeństwa

Od pewnego czasu po naszym ślubie zaczęła nas odwiedzać teściowa, matka Jadźki. Za każdym razem nakłaniała Jadźkę do powrotu do domu, do rozwodu. Za każdym też razem odwiedzała proboszcza katolickiego, prosząc go o pomoc w jej zamiarach. Co najmniej, abyśmy wzięli ślub w Kościele katolickim. O odwiedzeniu proboszcza nic nam nie mówiła. Gdy nalegania jej, aby Jadźka wzięła rozwód, nie odnosiły skutku, wtedy namawiała, abyśmy wzięli ślub w Kościele katolickim. Za każdym razem usłyszała odpowiedź Jadźki: „Edward na to się nigdy nie zgodzi". W czasie pobytu teściowej u nas ja wyjeżdżałem służbowo w teren, dając swobodę do rozmów matki z córką. Wyniki tych rozmów oraz odwiedzanie proboszcza przez teściową nie wpływały korzystnie na nasze życie małżeńskie. Mnie te sprawy „rozwodowe" denerwowały.

Któregoś dnia teściowa przyniosła z kościoła „święconą" wodę i ochrzciła Roberta. Jadźka będzie o tym lepiej wiedziała, bo stało się to w czasie mojej nieobecności. Dałby Pan Bóg, aby obie wody, ta z kranu i ta „święcona", skutkowały w życiu naszego pierworodnego. Ale o tym może powiedzieć tylko nasz Robert.

W naszej biedzie nie mieliśmy przyjaciół, którzyby nas odwiedzali. Ale gdy wyjeżdżałem służbowo jako instruktor pożarniczy w teren, odwiedzała Jadźkę pani Weitz Greta (Małgorzata), która nas bardzo dobrze znała. Była to Skuzówna, ewangeliczka z Kurek, gdzie mój brat Robert był nauczycielem. Wyszła za mąż za katolika, Weitza, który był malarzem pokojowym. Mąż jej był członkiem Katolickiego Stowarzyszenia Mężczyzn. Brał udział w różnych zebraniach, na których omawiano między innymi i nas. Wszystko, o czym dowiedziała się Weitzowa od męża, tym dzieliła się z Jadźką, współczując nam. Mówiła, że matka Jadźki odwiedza proboszcza i że na jednym zebraniu uchwalono, aby bojkotować sklep Jadwigi Małłek. Można sobie wyobrazić, jak myśmy się czuli, słysząc takie wiadomości. Tylko Weitzowa i jej siostra, która miała za męża Brandta, ewangelika, byli naszymi przyjaciółmi. Brandt był rzeźnikiem, ale nie prowadził sklepu, tylko zajmował się skupem dla innych rzeźników. Często zakupywał też u naszych rodziców w Brodowie. Brandtowa wspomagała nas mięsem i wędlinami po tańszej cenie.

Po tych przykrych wiadomościach, które fabrykowano w parafii katolickiej, doszedłem do wniosku, że z pomocą teściowej chcą nas materialnie zniszczyć. A ponieważ zakusy teściowej się nie kończyły, postanowiłem powiedzieć jej moje zdanie: „Mamo, chcecie, żeby Jadźka mnie porzuciła i wróciła do domu. Ja wam coś powiem: jeżeli Jadźka chce teraz czy kiedykolwiek będzie chciała mnie porzucić, może to uczynić, o ile to jest jej wolą. Ja się temu nie sprzeciwiam i nie będę się sprzeciwiał. Jadźka jest młoda, ma zaledwie dwadzieścia lat, ale ma dziecko. Gdyby chciała mnie zostawić, żeby nie była obciążona dzieckiem, więc w takim wypadku dziecko pozostanie u mnie. Jadźka ma być wolna. Proszę to pamiętać. Proszę rozmawiać z córką. Co Jadźka postanowi, tak będzie". Po rozmowach z Matką, Jadźka postanowiła przy mnie zostać. Niemniej, muszę to powiedzieć, że teściowa przez swoje odwiedziny u nas i w kościele wprowadziła w nasze małżeństwo niesmak. Ale dzisiaj, muszę i to powiedzieć, że wtedy nie rozumiałem teściowej jako matki, która walczyła o szczęście swej córki, podobnie jak walczy lwica o swe małe. Nie wiem

też, czy Jadźka lepiej zrobiłaby, gdyby była wtedy wróciła do domu? Na to nie mam odpowiedzi.

Trudno sądzić teściową za jej szkodliwe dla nas postępowanie. Może myślała, że szkodząc nam czyni przysługę Bogu? W każdym razie złe ziarno zasiane zaczęło wydawać owoce! Ludzie omijali nasz sklep. Mimo to istnieliśmy. Żyliśmy bardzo skromnie. Z ołówkiem w ręku zrobiliśmy dokładne notatki wydatków na utrzymanie za miesiąc marzec 1936 roku. Wydaliśmy dokładnie 38 złotych. Dodam, że chleb jedliśmy posmarowany i okładany, obiady z mięsem. Teściowa przestała przyjeżdżać.

55
Nowe możliwości handlu

W międzyczasie, będąc jeszcze instruktorem pożarnictwa, zainteresowałem się firmami, które produkują sprzęt i przybory strażackie. W imieniu Jadźki, bo na nią figurował sklep, zwróciłem się do firmy „Lilpop – Rau – Loewental" w Warszawie, że chcemy rozprowadzać sprzęt strażacki i prosimy o podanie warunków. Natychmiast otrzymaliśmy odpowiedź: „Od każdego zamówienia (rachunku) otrzymywać będziemy co najmniej 40% prowizji, a zamówiony sprzęt firma będzie przekazywała wprost do wskazanego przez nas odbiorcy, za pobraniem należności". Piękny interes – powiedzieliśmy – 40% tylko za same pośrednictwo! Wspaniale! A więc do dzieła. Zdobyłem niektóre straże pożarne, które zamówiły przez nas sprzęt strażacki. Prowizje wpływały. Celem zwabienia klienteli, daliśmy wydrukować w drukarni Makolli reklamówki Firmy „Jadwiga Małłek – sklep Krótkich Towarów" w języku polskim i niemieckim.

Wiedząc, że katolicy nas nie poprą, liczyliśmy na Mazurów o niemieckim nastawieniu. Reklamówki znalazły się na rynku, w rękach ludzi. Ktoś zaniósł reklamówkę do starosty Horwatha. Ten zaprosił mnie na rozmowę. Zwrócił mi uwagę, że reklama w języku niemieckim nie licuje z godnością członka Związku Mazurów, do którego należałem. Nie wziął pod uwagę, że ulotka była mojej żony. Nie zatroszczył się też, aby wreszcie ustalić moją pensję instruktora pożarnictwa.

56
Otwieramy nowy sklep

Zarobki z prowizji za sprzęt strażacki skłoniły nas do szukania lepszego punktu handlowego. Po wschodniej stronie Rynku stały dwa sklepy puste. Jeden z nich uznaliśmy za idealny dla nas. Poszliśmy do właściciela. Był nim starszy człowiek z żoną. Nazywał się Wojciechowski. Przyjechał po pierwszej wojnie światowej jako dorobkiewicz z Ameryki i kupił w Działdowie dom. Nie wiedząc o nas nic, wydzierżawił nam jeden z pusto stojących sklepów. Wybraliśmy, patrząc z ulicy, ten lewy.

Z wiosną 1936 roku przeprowadziliśmy się. Na nasze możliwości był to za duży lokal, z frontu mający tylko drzwi wejściowe i duże okno wystawowe. Z tyłu znajdował się pokój z dwoma oknami, z widokiem na ogród. Rano świeciło tam słońce. Ze sklepu było też bezpośrednie wyjście do klatki schodowej, korytarza. Przed temi drzwiami ustawiliśmy nasz regał w poprzek tak, że dzielił pomieszczenie na dwie części: sklep właściwy i zaplecze (ciemny pokój). W tym ciemnym pokoju urządziliśmy kuchnię. W sklepie dostawiliśmy jeszcze jeden regał wzdłuż ściany. Towaru mieliśmy już więcej i trochę lepszego towaru. Po niedługim czasie drugi, pusto stojący sklep przejął szklarz Górzyński, katolik, który ożenił się z byłą ekspedientką Jaegertala, Pelkówną, ewangeliczką, Niemką. Oboje dobrze nam znani. Poprzedni sklep szklarza znajdował się przy Rynku, tuż przy budynku Państwowego Seminarium Nauczycielskiego. Do obu sklepów wchodziło się z maleńkiego przedsionka. Klient, wchodząc do przedsionka, nie wiadomo było, do którego sklepu ostatecznie wejdzie. Myśmy prowadzili „krótkie towary", a szklarz prowadził zakład szklarski.

W czerwcu 1936 roku dostaję z Pomorskiego Okręgu Straży Pożarnych (po półtorarocznej bezpłatnej pracy) formalne zwolnienie z instruktorstwa Straży Pożarnych w Działdowie. Rozesłałem podania do innych powiatów o zatrudnienie mnie na stanowisko instruktora pożarnictwa. Wkrótce na to dostaję formalny angaż na powiat instruktora Straży Pożarnych w Mińsku Mazowieckim. W tych samych dniach dowiaduję się od prezesa Straży Pożarnej Jaegertala w Działdowie, że Związek Straży Pożarnych w Warszawie rozesłał okólnik, w którym zabrania Strażom Pożarnym zaopatrywania się w sprzęt i przybory strażackie w firmie Jadwiga Małłek w Działdowie. Kilka dni potem otrzymuję list polecony z powiatu Mińsk Mazowiecki, odwołujący mój angaż na powiatowego instruktora straży pożarnych. Dziś powiem: „mafia" działa piorunująco szybko! „Pociski" padały jak grad z nieba. Skończyły się lukratywne prowizje. Pozostał nam tylko skromny sklepik „krótkich towarów".

Z sąsiadami żyliśmy w serdecznej przyjaźni jako dawni znajomi. W wolnych chwilach wpadaliśmy wzajemnie do siebie; my do ich zakładu, oni do naszego sklepu. Częstym tematem rozmów były sprawy handlowe. Była Pelkówna bardzo interesowała się cenami naszych towarów i źródłami naszych zakupów. A my, naiwniacy, wylewni szczerzy, niepodejrzliwi, podawaliśmy wszelkie szczegóły. I tak szło kilka miesięcy. W sierpniu 1936 roku, pewnego ranka, wstajemy, otwieramy sklep, wychodzimy na chodnik, patrzymy w okno wystawowe sąsiadów. Nie wierzymy naszym oczom. „Czy to fatamorgana?" „Czy ktoś przeniósł nasze towary do sąsiadów?" Nie do wiary! Za chwilę otwierają się drzwi sklepu sąsiadów, wczorajsi „przyjaciele", uśmiechnięci, witają swoich umówionych klientów, przedstawiając im swoje „Krótkie towary". Nam jakby dano w twarz. „Schlag auf Schlag!"[128]

Konkurencja w tych samych drzwiach. Teraz ten wspólny przedsionek okazał się bardzo ciekawy. Nasi klienci wpadali do nas jak złodzieje, aby ich nasi sąsiedzi nie widzieli. Ich klienci też wpadali do nich jak złodzieje, abyśmy my ich nie widzieli. Istna zabawa. Często musieliśmy się śmiać z takiego zachowania klientów. Szczególnie, gdy było ciepło i drzwi do obu sklepów były otwarte. „Naprawdę, mogliście się jeszcze śmiać?" – pytał niejeden. A co mieliśmy robić? Przecież wiedzieliśmy dobrze, w jakiej „kuźni" fabrykowano pociski przeciwko nam. Szklarz był członkiem Katolickiego Stowarzyszenia Mężczyzn.

[128] Cios za ciosem.

Pelkówna jako Niemka była członkiem „JDP" (Jung-Deutsche-Partei[129]). Biorąc ślub w Kościele katolickim, stała się katoliczką. To wystarczało, aby była uznana za Polkę. I tak szklarz korzystał z poparcia Akcji Katolickiej, a jego żona z pomocy finansowej „JDP". Trudno było nam konkurować z taką firmą w Polsce.

A mimo to, nie upadliśmy na duchu. Jadźka wpadła na pomysł sprowadzenia modnych (na ów czas) kapeluszy damskich wprost z Warszawy. Znalazła znaną pracownię kapeluszy przy ulicy Żabiej. Jeździła osobiście i sama przywoziła towar, aby nikt nie doszedł źródła pracowni kapeluszy w Warszawie. Ponieważ żaden sklep w Działdowie nie prowadził kapeluszy, więc nasz sklep był nowością. Kapelusze z kwiatami, dużymi rondami, były tak piękne, że żadna dama nie powstrzymała się, aby nie wejść do naszego sklepu. Kapelusze szły jak świeże ciepłe bułki. Co najmniej dwa razy tygodniowo Jadźka musiała jeździć do Warszawy po świeży towar. Na kapeluszach mieliśmy dobry zarobek. A przy tym szły inne towary.

Nasza wytrwałość z pewnością irytowała „producentów" z szeregów „Akcji Katolickiej".

Zarobki ze sklepu pozwalały na to, że do dziecka mieliśmy piastunkę, pomoc domową – „dziewczynę". Pierwszą była Emilia, dobra, skromna córka małorolnego gospodarza, Mazura ze wsi Wysoka. Niestety, w czasie żniw musiała iść do domu, do pomocy. Po Emilii mieliśmy blondynkę (imienia nie pamiętam) z miasta, w oczy bardzo milutka. Otrzymywała 15 złotych miesięcznie. Mając piastunkę do dziecka, mogliśmy od czasu do czasu iść do kina albo na spacer. Wychodząc z domu, synek Robuś wpadał w płacz. Z początku myśleliśmy, że płacze z tęsknoty. Nie podejrzewaliśmy nic złego. Ale płacz Robusia stale się potęgował, po prostu drżał płacząc, gdyśmy wychodzili z mieszkania. To było zastanawiające. Pomyślałem, że tu jest coś nie w porządku. Powiedziałem do żony: „Wiesz, ja podejrzewam, że »dziewczyna« bije Robusia, gdy jest sama". „Musimy to sprawdzić".

Pewnego wieczoru powiedzieliśmy, że idziemy do kina. Zasłonę okna wystawowego zostawiłem uchyloną tak, że przez tę szparę można było w lustrze widzieć, co dzieje się w sklepie, w domu. Wyszliśmy z mieszkania, ale zamiast iść do kina, cichutko czekamy w korytarzu przy drzwiach. Słyszymy, dziecko płacze coraz bardziej. Prowadzę żonę do okna wystawowego. „Spójrz przez szparę, zobacz, co nasza »blondynka« robi?" Dziewczyna brała sukienki, przebierała się, nakładała kapelusze na zmianę, przeglądając się w lustrze. A dziecko płacze i płacze. Wtem słyszymy, że go bije i krzyczy na niego. Na to wchodzimy do mieszkania. Nagłym naszym wejściem „blondyneczka" była bardzo zaskoczona.

Robuś, nie mając roczka, jeszcze nie chodził. Tuląc go, nie mogłem go uspokoić. A żona rozprawiała się z „dziewczyną": „Ach, to ty w ten sposób pilnujesz dziecka? Teraz wiemy, dlaczego płakał, gdyśmy wychodzili z domu. Trudno, nie możesz być dłużej u nas. Spakuj swoje rzeczy i jeszcze dzisiaj pójdziesz do domu". Dziewczyna zawstydzona, czerwona jak burak, szybko zdjęła kapelusz z głowy, sukienkę z siebie i pobiegła pakować swoje rzeczy. Żona wypłaciła jej zarobek. Przepraszając nas, poszła do domu. Nie spodziewaliśmy się po niej wcale, że może być taka fałszywa, gdyż zawsze była do nas grzeczna, uśmiechnięta i miła. Zawiedliśmy się, niestety.

Zostaliśmy sami. Ponieważ nie miałem żadnej innej funkcji ani pracy, więc razem z Jadźką dźwigaliśmy nasze obowiązki. Sklep, mimo tak wielkich przeszkód i trudności,

[129] Partia Młodych Niemców.

prosperował zadowalająco, szczególnie dzięki sprowadzaniu damskich kapeluszy z pierwszej ręki. Każdy model był inny, oryginalny. Żadna klientka nie spotkała inną kobietę w podobnym kapeluszu. To zmuszało panie, które chciały modnie wyglądać, do odwiedzania naszego sklepu. A Jadźka potrafiła swoim wdziękiem i uprzejmością oraz smakiem w modzie zachwalić posiadany towar. Kapelusze z kwiatami i dużymi rondami były tak piękne, że pasowały do każdej twarzy. Z tak miłej obsługi klienci byli bardzo zadowoleni. Ja opiekowałem się dzieckiem. Spacerowałem z nim w wózku chodnikami, albo pilnowałem Robusia przed sklepem.

W 1936 roku wyjątkowo nie byłem na ćwiczeniach wojskowych.

57
Śmierć Ojca

Ojczulek, po naszym ślubie, często nas odwiedzał. Prawie zawsze, gdy był w mieście, wstępował do nas, szczególnie wtedy, gdy był sam. Mnie zwykle nie zastawał w domu, bo wtedy jeszcze byłem instruktorem pożarnictwa i przez pół roku instruktorem „LOPP-u". Wtedy Ojczulek miał sposobność swobodnie porozmawiać z Jadźką. Polubił Jadźkę, bo swoją grzecznością i swobodą potrafiła ujmować ludzi. Choć czasami jej szczerość i otwartość w wypowiadaniu się były nieraz źle zrozumiane. Miała to do siebie, że nigdy nie lubiła mówić o ludziach źle. Cieszyliśmy się odwiedzinami Ojczulka, jak również wtedy, gdy ktoś „zabłądził" i zawitał do nas. A my, odwrotnie, często bywaliśmy u moich rodziców w Brodowie niedzielami, po prostu na „wyżerkę". A na odwitanie, Mateczka jeszcze dawała nam torbę jadła ze sobą. Dobry brat, Jan, zawsze nas odwoził. Ojczulek cieszył się bardzo gośćmi. Do obiadu raczej nie siadał, tylko chodził naokoło stołu i zachęcał gości do jedzenia: „Jedzta dziatecki, jedzta". Och, były to gościny niezapomniane! Te smaczne pieczenie i „kuchy" (ciasta) naszej kochanej Mateczki.

I oto przyszedł czas, że nasz kochany Ojczulek zachorował na zapalenie płuc. W tym czasie prowadziliśmy sklep w Rynku. Przypominam, że już raz Ojczulek był chory na zapalenie płuc, a może było to coś innego. Miał wodę w płucach. Było to tuż po pierwszej wojnie światowej. Przyjechał jeszcze niemiecki lekarz. Stwierdził wodę w boku. „Operacja jest konieczna, ale jeszcze nie dziś" – powiedział. „Jutro przyjadę z żoną i tu w waszym domu dokonam operacji". Spojrzał na duży, dębowy stół i dodał: „Na tym stole". Polecił tylko przygotować wiadra, miski i gorącą wodę. Zdziwiliśmy się wtedy bardzo, że nie kazał Ojczulka zawieść do szpitala. Razem z Ojczulkiem cieszyliśmy się, że operacja odbędzie się w domu. Na drugi dzień przyjechał lekarz (chyba to był wojskowy) z żoną. Po przywitaniu i krótkiej rozmowie ustawił odpowiednio stół, nakrył czystym prześcieradłem. Posadzono Ojczulka na stół, siedząco tak, że plecy były na krawędzi. Lekarz zdezynfekował bok Ojca i dał w to miejsce zastrzyk znieczulający. Tylko Mateczka była przy operacji. Lekarz postawił wiadro na podłodze tuż przy stole. Wziął z rąk swej żony skalpel i operuje. Ojczulek w pełni przytomny, nie widzi i nie czuje, co dzieje się na jego plecach. Lekarz najpierw przeciął skórę, potem wziął szczypce i wyciął kawałki z dwóch żeber. Zrobił się otwór w boku, zamknięty tylko opłucną. Odłożył szczypce, wziął skalpel, ostry jak brzytew. „Te-

raz uwaga, proszę ustawić się z boku" – powiedział do Mateczki, która dzielnie asystuje. Nie wiem, czy Mateczka, czy żona doktora, podniosła wiadro bliżej pleców. Lekarz przeciął opłucną. Z otworu wybuchnął strumień otoku (materii) o mało pełne wiadro. Ojczulek głęboko westchnął i rzekł: „Kamień mi spadł". A Mateczka i my wszyscy dziwiliśmy się: „Gdzie tyle otoku mogło się zmieścić?"

Lekarz pozakładał tampony do rany, obandażował, mówiąc: „Jutro przyjadę". Odjechał. Po dwóch tygodniach Ojczulek wtedy wyzdrowiał i Pan Bóg pozwolił mu przeżyć w zdrowiu jeszcze około 20 lat.

Tym razem Ojczulek zachorował w ostatnich dniach grudnia 1936 roku, względnie na początku 1937 roku. Dr Rachocki przyjeżdżał kilka razy, ale mimo różnych zabiegów stan zapalenia płuc się pogarszał. Ojczulek cierpiąc tylko się modlił do Boga. Był pogodny, przytomny. Widać było, że nie bał się śmierci. Wymieniając imię Jezus („przyjdź Panie Jezu"), wierzył, że tylko On może mu dać zbawienie i radość życia wiecznego.

Ojczulek z Mateczką wychowali dorosłych dziewięcioro dzieci, najmłodsza, dziesiąta zmarła jako niemowlę. Ojczulek, czując, że śmierć nadchodzi, chciał uporządkować sprawy spadkowe. Zorganizowaniem „zapisów" zajął się najstarszy z żyjących dzieci, Karol. Dnia 15 stycznia 1937 roku sprowadził notariusza Dunajskiego z sekretarką celem sporządzenia aktu. Przed zapisami Karol przedstawił nam zestawienie, że Ojczulek jest mu dłużny tyle a tyle tysięcy złotych. Wiedzieliśmy, że Ojciec od czasu do czasu pożyczał od Karola pieniądze, nie chcąc w danym czasie sprzedawać sztukę z inwentarza żywego. Byliśmy jednak zaskoczeni sumą żądaną przez Karola, ale nikt z nas nie pisnął słowa, bo ani Ojciec, ani my nie robiliśmy notatek. Milcząco przyjęto do wiadomości żądanie Karola. Dziwnym ono nam się wydawało, ponieważ po wykształceniu mnie i Roberta od 1928 roku rodzice nie mieli, poza podatkami, żadnych innych poważniejszych wydatków. Ale dla świętego spokoju, aby nie psuć nastroju poważnej chwili, zachowaliśmy poważny spokój. Tylko Karol kursował z pokoju, gdzie byliśmy zgromadzeni przy Ojcu, do pokoju, w którym notariusz dyktował sekretarce treść aktu.

Stwierdzono, że Emil, Robert i ja jesteśmy „spłaceni" (Ja i Robert, otrzymując wykształcenie). Karol właściwie też, ale należy mu się z tytułu długu Ojca. Majątek po rodzicach ma przejąć Jan. Do spłacenia pozostaje Marta, Jadwiga i częściowo August. Mateczkę zabezpieczono dobrym „chlebem" (dożywociem). Z gotówki, którą posiadali rodzice, spłacono Augusta i pokryto koszty notarialne. Reszta, czyli Marta, Jadwiga (Hedka) i Karol, są do spłacenia. Najgorszy orzech do zgryzienia to była sprawa uregulowania długu Karola. Karol zaproponował, że chętnie zgodzi się na zapisanie mu części gruntu. Gotówki nie było, więc Jan, przejmujący gospodarstwo, zgodził się na to. Oczywiście Karol wybrał najlepszą parcelę, Zawieś, około 10 ha. Uznano, że wartość parceli „Zawieś" znacznie przekracza pretensje Karola. Na to Jan z Karolem godzili się, że Karol, przejmując Zawieś, spłaci siostrę Martę sumą 10 tysięcy złotych. Gdy już było prawie wszystko gotowe, wtedy odezwał się Ojczulek: „Słuchajta, Eduś nie ma pracy. Chciałbym, aby on dostał dwa tysiące złotych". Nikt nie powiedział: nie. August, słysząc te słowa, powiedział: „To ja dam Edwardowi te dwa tysiące złotych, a ja poczekam. Jemu teraz bardziej potrzebne, niż mnie". To była dla mnie miła niespodzianka ze strony Ojczulka i bardzo szlachetny gest ze strony brata Augusta i rodzeństwa.

Ogólnie muszę powiedzieć, że dzień „zapisów" był najsmutniejszym dniem w rodzinie. Karol dbał o to, aby jak najlepiej wyszedł z podziału. Wilutka też kręciła się naokoło

tego samego, proponując poprawkę do aktu: „Razem z tegorocznymi zbiorami Zawsi". Ale poprawka ta nie przeszła. Plony z Zawsi 1937 roku pozostały dla Jana. Akt „zapisów" został obecnym odczytany i podpisany. Zawieś obszarem stanowiła czwartą część gospodarstwa, ale wartością stanowiła chyba połowę. Amputując Zawieś, gospodarstwo nasze stało się o połowę mniej atrakcyjne. Stracono najlepszą glebę, łąkę i torf, leżące tuż za wsią. To był pierwszy akt likwidacji naszego gospodarstwa w Brodowie, czego umierający Ojciec nie był świadomy.

Ojczulek po podpisaniu „Aktu darowizny" był słaby i zmęczony, ale wciąż przytomny i modlący się do Boga. Coraz częściej, z przerwami, wymawiał coraz słabiej modlitwę *Ojcze nasz*. Zasypiając i budząc się, świadomie i pogodnie czekał na śmierć. Dnia zapisów mieliśmy wszyscy dosyć. Godnie i spokojnie zachowaliśmy się, nie zakłócając niczym ostatnie chwile życia naszego kochanego Ojca. Pod wieczór ja z Jadźką wróciliśmy do domu do Działdowa, znów odwiezieni przez niezmordowanego Jana. Wszyscy inni, o ile się nie mylę, pozostali przy Ojcu. Karole chyba też odjechali razem z notariuszem.

Na drugi dzień, 16 stycznia 1937 roku, wróciłem z Jadźką do Brodowa. Ojczulek, czując, iż śmierć nadchodzi, pragnął pożegnać się z każdym. Każdy z nas, kolejno, przystępował, klęcząc prosił Ojczulka o przebaczenie win. Ojczulek, błogosławiąc każdego, też prosił, aby i Jemu przebaczono. Klęcząc przy Ojczulku, gdy ręce Jego spoczywały na moich rękach i głowie, przyrzekałem, że będę wierny Bogu.

Ostatnią osobą, która pożegnała Ojczulka, była jego wierna małżonka, nasza dzielna, kochana Mateczka. Chwile te były tak wzruszające, że każdemu łzy kapały jak grochy. Jeszcze dziś czuję błogosławiące ręce kochanego, bogobojnego Ojca.

Po pożegnaniu się ze wszystkimi, Ojczulek rzekł: „A teraz Janie przywieź księdza". Jan zaprzągł bryczkę i pojechał do Narzymia po księdza. W międzyczasie Mateczka z Martą i Hedką przygotowały stół: nakryły pięknym obrusem, postawiły krucyfiks (krzyż z figurką Jezusa z kości słoniowej), który normalnie wisiał na ścianie w sypialni rodziców jako znak chrześcijaństwa, a nie adoracji. Ojczulek cały czas swej ostatniej choroby leżał w łóżku w „izbetce", pokoiku przy kuchni, aby stale być wśród domowników. Przyjechał ksiądz Wilk. Przywitał się z chorym i obecnymi. Wyłożył na stół tacę z opłatkami i kielich z winem, przystępując do ceremonii Komunii Świętej. Najpierw wygłosił krótkie przemówienie na temat pewności zbawienia i żywota wiecznego przez wiarę w Jezusa Chrystusa, powołując się na słowa Pisma Świętego: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie", mówi Jezus Chrystus – Jan 11,25. „Kto słucha słowa mego i wierzy temu, który mnie posłał, ma żywot wieczny i nie stanie przed sądem, lecz przeszedł z śmierci do żywota" – mówi Chrystus Pan – Jan 5,24. „Jeślibyśmy wyznali grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy i odpuści nam grzechy i oczyści nas od wszelkiej nieprawości" – Jan 1,9.

Ksiądz, rozwinąwszy powyższe słowa, w końcu wezwał nas do wyznania grzechów naszych (ogólnej spowiedzi). Ojczulek w łóżku, inni klęcząc, mówią: „Wszechmogący Boże, miłosierny Ojcze, ja ubogi, nędzny, grzeszny człowiek, wyznaję Tobie wszystkie moje grzechy i nieprawości, które dokonałem myślami, słowami i uczynkami, którymi Cię rozgniewałem i zasłużyłem na ukaranie doczesne i wieczne. Tego wszystkiego jest mi serdecznie żal, i proszę Cię według nieskończonego miłosierdzia Twego i gorzkiej, i niewinnej męki i śmierci Syna Twego, miłego Jezusa Chrystusa, bądź mi nędznemu, grzesznemu

człowiekowi łaskaw i miłościw, wszystkie moje grzechy racz mi odpuścić, a do poprawy mojej daj (użycz) mi mocy Ducha Twego Świętego. Amen".

Po ogólnej spowiedzi Ksiądz pyta: „Czy żałujecie za grzechy wasze i czy pragniecie odpuszczenia grzechów waszych?" Spowiednicy odpowiadają: „Tak jest". Po czym Ksiądz wygłasza słowa ustanowienia Komunii Świętej (Wieczerzy Pańskiej): „Pan Jezus tej nocy, której był wydany, wziął chleb, a podziękowawszy, łamał i dawał uczniom, mówiąc: Bierzcie i jedzcie, to jest ciało moje za was wydane; to czyńcie na pamiątkę moją. Potem wziął kielich i podziękowawszy dał im, mówiąc: Pijcie z niego wszyscy. Albowiem to jest krew moja nowego przymierza, która się za wielu wylewa na odpuszczenie grzechów; to czyńcie, ilekroć pić będziecie na pamiątkę moją" – Mateusz 26, 26-28, I Kor. 11,23-25. Po tych słowach, ksiądz podał każdemu opłatek, od chorego poczynając, potem kielich z winem. Po Komunii Ksiądz zmówił modlitwę, którą zakończono wspólną modlitwą *Ojcze nasz*. Po tej smutnej, ale pocieszającej uroczystości, bo wszystko odbyło się w ciszy i spokoju, była jeszcze pogawędka z pastorem Wilkiem, zakończona poczęstunkiem. A Ojczulek, chyba ze zmęczenia, zasnął. Po chwili, obudziwszy się, dziękował pastorowi za słowa pocieszenia. Pastor, współczując nam, pożegnał się z Ojczulkiem i z nami i odjechał, odwożony bryczką przez mego brata Jana. Przed wieczorem, ja z Jadźką, żegnając się z Ojczulkiem i wszystkimi, odjechaliśmy do domu, do Działdowa.

Rano, w niedzielę dnia 17 stycznia 1937 roku, doszła nas wiadomość, że Ojczulek tegoż dnia nad ranem zmarł. Natychmiast pojechałem do domu, moja żona została w domu przy dziecku.

Ciało Ojczulka leżało już w „zielonej" izbie. Dowiedziałem się, że Ojczulek po Komunii Świętej miał noc niespokojną. Coraz trudniej oddychał, serce coraz bardziej słabło. Mimo to, był przytomny. Jeszcze nad ranem zapragnął wyjść z łóżka. Bracia Karol, Robert, Jan, August, Emil byli przy Ojcu. Pomogli mu wstać z łóżka, podtrzymując go. Za moment musieli Ojca z powrotem położyć do łóżka. I odtąd już tylko szeptem modlił się, coraz słabiej oddychając. Nagle głośniejszy wydech i Ojczulek błogo skonał.

Bracia pomogli Mateczce obmyć ciało Ojczulka i ułożyć na deskach, na podłodze, pokrytymi prześcieradłami, w „zielonej" izbie, bo tam było zawsze najchłodniej. Gdy przyjechałem, bracia ze zmęczenia spali, niektórzy rozjechali się, a Jan z kimś pojechał do Działdowa po trumnę. (Bo u nas już zatracił się panujący na Mazurach zwyczaj trzymania w rezerwie trumny na strychu.) Ktoś z rodzeństwa poszedł do Urzędu Stanu Cywilnego do Iłowa zameldować zgon Ojca, zarazem do księdza, celem ustalenia terminu pogrzebu.

Ojczulek żył 74 lata i 9 miesięcy, Mateczka miała wtedy 65 lat.

Będąc w niedzielę, w dniu zgonu, w domu, Mateczka, wciąż trzymająca się dzielnie, jakby niezmęczona, powiada do mnie: „Eduś, mógłbyś Ojczulka ogolić". „O, tak" – odpowiedziałem. Wiedziałem, gdzie Ojczulek przechowywał brzytew i pędzelek do golenia. Wziąłem do tego szare mydło. (Tak, tak, normalnie do golenia wtedy używało się szarego mydła.) Namydliłem pędzel mydłem i pomaleńku, kawałek za kawałkiem, goliłem Ojczulka brodę, wciąż rozmawiając z nim. Golenie trwało dość długo, bo szare mydło z trudem i mało się pieniło. Po ogoleniu obmyłem twarz Ojczulka, która się zaczerwieniła i Ojczulek wyglądał pięknie, jak żywy. Umierając, nie był zniszczony chorobą, wyglądał dobrze.

Po przywiezieniu, złożono zwłoki do trumny i ustawiono na taboretach w „zielonej" izbie, głową do ulicy, nogami na wschód, do drzwi „Dużej Pańskiej" izby. Wieczorami przez trzy dni zgromadzali się mieszkańcy wsi na „puste noce", śpiewając nabożne pieśni

z *Kancjonału Pruskiego* i czytając odpowiednie słowa Pisma Świętego. A Mateczka, wciąż niestrudzona (kryjąc w sobie smutek po stracie kochanego męża), z pomocą Marty, Hedki i służącej, tylko piekła i piekła „kuchy" na poczęstunek tych, którzy przychodzili na „puste noce". Otrzymywali kuchy i kawę. Na „puste noce" ludzie, cała wieś, chętnie przychodzili, dobrze wspominając zmarłego.

Zaraz po zgonie Ojczulka Mateczka prosiła Grabarza, aby trzy razy dziennie (rano, w południe i wieczorem) po piętnaście minut dzwonił oboma dzwonami i aby wykopał w wyznaczonym miejscu dół-grób. Dzwony znajdowały się w „dzwonnicy" na Brodowskim cmentarzu.

Za trzy dni odbył się pogrzeb. Trumna otwarta ze zwłokami Ojczulka stała w „Pańskiej izbie". Uroczystość rozpoczęto odśpiewaniem pieśni, zadanej przez księdza Wilka, po czym ksiądz wygłosił kazanie, zakończone modlitwą. Zaśpiewano drugą, wyjściową pieśń. Słowami: „Niech ci Bóg błogosławi twoje wejście i wyjście odtąd aż na wieki", ksiądz zakończył domową uroczystość, polecając zakryć i wyprowadzić trumnę. Przed zakryciem trumny pożegnaliśmy Ojczulka pocałunkiem w czoło. Tragarze zakryli trumnę, wynieśli na dwór, złożyli na „mary" (nosze na czarno pomalowane). Po wyniesieniu trumny wszystkie okna pootwierano, lustra odsłonięto, zegary puszczono w ruch, gdyż przez trzy dni były nieczynne. (Pominęliśmy stary zwyczaj mazurski wypuszczenia bydła i koni na podwórku w czasie wyprowadzania gospodarza.)

Z chwilą wynoszenia trumny z domu zabrzmiały oba dzwony, ośmiu chłopa chwyciło za mary, złożyli na ramiona i wolnym krokiem, śpiewając religijne pieśni, kondukt ruszył na cmentarz. Za trumną kroczyli: ksiądz, rodzina, krewni, goście i mieszkańcy wsi. Gdy doszliśmy do grobu, dzwony przestały dzwonić. Tragarze zdjęli mary z trumną z ramion i postawili na ziemi. Nad grobem leżały dwa drążki i obok dwie linki, przerzucone na obie strony grobu. Tragarze postawili trumnę na drążki nad grobem. Ksiądz Wilk zadał pieśń do odśpiewania, potem wygłosił kazanie, zakończone modlitwą. Teraz grabarze chwycili za linki, inni usunęli drążki i trumna ze zwłokami Ojczulka pomalutku znalazła się na dnie grobu. W tym momencie ksiądz chwycił garść ziemi, rzucając na trumnę, wypowiedział słowa Pisma Świętego: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Pan nasz Jezus Chrystus wzbudzi cię do żywota wiecznego. Amen". Po księdzu, rodzina i inni, rzucając po trzykroć ziemię na trumnę, pożegnali Ojca. Po zmówieniu wspólnej modlitwy *Ojcze nasz*, śpiewano pieśni kościelne, a grabarze w tym czasie zasypywali grób. Śpiewano tak długo, aż mogiła była uformowana. Wtedy ksiądz, podając rękę, wyrażał rodzinie wyrazy głębokiego współczucia, szczególnie Mateczce, która została wdową.

Po złożeniu wieńców, wszyscy uczestnicy udali się do domu żałoby, gdzie niewiasty już przygotowały smaczne potrawy. Były to wyroby wędliniarskie, przygotowane przez brata Augusta, który był rzeźnikiem. Po obiedzie podano kuchy i kawę. Ponieważ w domu naszym alkohol nie miał miejsca, więc na „stypie" pogrzebowej trunków alkoholowych nie było.

Wśród biesiadników, czołowe miejsce zajmował ksiądz Wilk, człowiek dobroduszny, spokojny, zrównoważony, poważny i godnie reprezentujący swoje stanowisko w Kościele. Po odwiezieniu księdza pozostali już tylko goście zamiejscowi, między nimi kuzynostwo z zagranicy: Niborka, Krokowa, Dużej Sławki i Pielgrzymowa. W domu zabrakło kochanego Ojca. Już go nie ma. Pozostało tylko wspomnienie.

Z upływem czasu osobowość Ojca w oczach i myślach moich coraz bardziej rosła. To wszystko co za Ojczulka życia uważałem za normalne, po jego śmierci podziwiałem jako nadzwyczajne. Ojczulek mój to wzór dobrego i wiernego męża, jakże wielce szanujący swoją małżonkę, naszą kochaną Mateczkę. Nie pamiętam, aby między nimi zaistniała kiedykolwiek choćby najmniejsza sprzeczka. Ojczulek mój to wzór dobrego, wzorowego, kochającego ojca, oddany dzieciom. Ojczulek mój to wierny i niezachwiany chrześcijanin, mąż Boży. Ojczulek mój to przyjaciel wszystkich ludzi, współczujący i pomagający biednym. Ojczulek mój to dobry gospodarz. Ojczulek mój, narodowo, to dobry Pruski Mazur. Gdzież mnie do jego godności, wielkości? Czy jestem choćby miniaturką jego?...

Po pogrzebie Ojczulka każdy wrócił do swego domu, do swoich obowiązków i swoich kłopotów. W osieroconym domu pozostała godnie znosząca śmierć męża kochana Mateczka, brat Jan i siostra Hedka.

Ja z Jadźką wróciliśmy do Działdowa o dwa tysiące złotych bogatsi, podarunek mego Ojca. Z darowizny cieszyliśmy się bardzo. To było chyba więcej, niż mieliśmy naszego kapitału w sklepie. W każdym razie kapitał nasz się podwoił. Od razu zakupiliśmy więcej i efektowniejszego towaru. Nasze okno wystawowe prezentowało powabne towary, a szczególnie piękne kapelusze z kwiatami. Nasza specjalność. Mimo złowrogiej Akcji Katolickiej, cieszyliśmy się powodzeniem. Wprawdzie odczuwaliśmy działalność konkurentów, zwłaszcza kupca Sesemanna, który podbijał nas cenami. Mimo to, liczyliśmy, że damy sobie radę, nie przeczuwając, jaki miecz Demoklesa wisi nad nami.

W czerwcu 1937 roku dostajemy wymiar podatku za okres od 1.01.1936 do 30.06.1936 roku, to znaczy za okres, gdyśmy prowadzili nędzny sklepik u Plucińskiego, mając wtedy zaledwie kilkaset złotych własnego kapitału.

58
Likwidacja naszego sklepu

Czytając wymiar podatkowy, nie wierzyliśmy naszym oczom. Urzędnik podatkowy, wystawiając nakaz, musiał się pomylić, stawiając nie we właściwym miejscu kropkę, oddzielającą tysiące od innych cyfr. Nakaz wędruje z moich rąk do rąk mojej żony. Obracamy go na obie strony. Nic nie pojmujemy. To musi być grube nieporozumienie.

Na odwrocie nakazu doczytaliśmy się, że możemy się odwołać. Biegnę najpierw do Urzędu Skarbowego, by wyjaśnić, czy nie zaszła prosta pomyłka. Urzędnik sprawdził i oświadczył, że nakaz jest prawidłowo wystawiony, na który możemy wnieść odwołanie. Wnieśliśmy odwołanie, podkreślając, że podatek kilkakrotnie przekracza nasz kapitał. Podanie zaniosłem osobiście, by porozmawiać z kierownikiem Urzędu Skarbowego. Urzędnik, przyjmujący odwołanie, oświadczył: „Jak tylko kierownik wróci z urlopu, podanie będzie rozpatrzone i decyzja będzie wam przesłana”.

Wracając z Urzędu Skarbowego, wstąpiłem za czymś do sklepu pana Fichny, jednego z najbogatszych kupców Działdowa. Z rozmowy o podatkach stwierdziłem, że on otrzymał dużo mniejszy podatek od nas, co wynikało z jego nakazu, który mi pokazał. To mnie

upewniło, że nasze odwołanie będzie załatwione pozytywnie. W tej nadziei spokojnie czekamy na decyzję.

Któregoś dnia na początku lipca 1937 roku, jeszcze przed otwarciem sklepu, ktoś barabani, dobija się do frontowych drzwi. Wstaję, otwieram drzwi, słyszę: „Sekwestrator jestem, przychodzę dokonać u państwa zajęcia". „Jak to, pytam, przecież wnieśliśmy odwołanie." „O tym nic nie wiem, mam polecenie dokonać zajęcia" – odpowiada, pokazując mi odpowiedni nakaz. Nie wdając się w rozmowę, idzie do kasy, wrzuca do torby pieniądze, a robotnikom, których miał ze sobą, każe wynosić wszelki towar do samochodu, który stał przed sklepem. Patrzymy, jak osłupieni. „Co to ma znaczyć?" – pytamy. „To wszystko będzie za chwilę sprzedane na rynku" – powiada sekwestrator. Widzimy, że to nie żarty. Wnet stoimy z żoną w puściutkim sklepie jak dwa kołki.

Samochód ciężarowy z naszym towarem stanął przed magistratem. Widocznie niektórzy mieszkańcy wiedzieli o tej wyprzedaży, bo wnet znaleźli się przy samochodzie, a inni dochodzili. Na ten widok otrzeźwieliśmy z żoną z osłupienia. Żona pobiegła po znajomych, aby skorzystali z wyprzedaży naszych towarów. Ceny wywoławcze były z przypadku. Nie było: „Kto da więcej", tylko kto zgłosił się pierwszy, ten dostał daną rzecz za bezcen, na przykład sweter, wartości 36 zł za 2 zł. Dlatego cała wyprzedaż trwała bardzo krótko. Ja w międzyczasie jestem już u notariusza, aby nam i mebli nie zajęli, bo nie mielibyśmy na czym spać.

Nasza totalna klęska! Straciliśmy wszystko i te dwa tysiące złotych, darowizny od Ojczulka. Zaledwie pół roku cieszyliśmy się powodzeniem naszego sklepu. To przeszkadzało naszym wrogom i czynili wszystko, aby nas zniszczyć. Tym razem zadali nam cios we wszystkie nasze wnętrzności. „Panie, ratuj nas, bo giniemy" – wołaliśmy do Boga, podobnie, jak uczniowie Jezusa, gdy ich łodzi groziło zatonięcie. Wrogowie cieszyli się z naszego upadku w imię Boga rzymsko-katolickiego. Akcja Katolicka zwyciężyła. Czy żyją w 1987 roku ci, którzy nas dręczyli? My żyjemy z łaski i dobroci Wszechmogącego Boga, który ma więcej, niż rozdał.

59
Związek Mazurów w Działdowie

Ironią było myśleć i mówić, iż ludność miejscowego pochodzenia – Mazurzy powiatu działdowskiego, będą przyjęci w Polsce jako bracia, dzieci jednej matki i że będzie im lepiej niż w Niemczech. Takie slogany i brednie bajali Mazurom Prus Wschodnich polscy agitatorzy w czasie Plebiscytu w 1920 roku. Życie codzienne i sytuacja ogólna w powiecie działdowskim dawały wręcz odwrotne dowody. Jak „dobrze" było Mazurom w Polsce, w powiecie działdowskim, przeczytajcie *Wspomnienia* mego brata Karola. Ogólnie powiem tylko, że Polacy pałali nienawiścią do Mazurów, nazywając ich „Szwabami".

Mimo ucisku i wrogości, Mazurzy Działdowszczyzny w większości postanowili trwać na swojej ziemi, borykając się z trudnościami. Większość Mazurów powiatu działdowskiego przyjęła przezwisko „Szwab – Niemiec" za dobrą monetę, za honor, utwierdzając w sobie niemieckość. To było ich pocieszeniem.

Pewna grupa Mazurów, biorąc pod uwagę fakt, że Działdowszczyzna Traktatem Wersalskim przypadła Polsce, chciała się jakoś uplasować w nowej rzeczywistości. Widząc beznadziejną sytuację ludności miejscowego pochodzenia, postanowiła upominać się o prawa, o równouprawnienie. Aby podjąć tę walkę, należałoby założyć organizację. Pierwszym inicjatorem był dr Adolf Szymański, pochodzący z Brodowa, powiat Działdowo. Studiował (chyba ekonomię) w Niemczech. Z chwilą odzyskania niepodległości Polski był osobistym sekretarzem wojewody w Toruniu. Po przewrocie Piłsudskiego w 1926 roku odsunięty, zwolniony wraz z wojewodą Wachowiakiem, pożegnał się z urzędem. Wżenił się w duże gospodarstwo i stał się rolnikiem. Dr Szymański razem z moim bratem Karolem postanowili swoje postulaty przedstawić staroście powiatowemu. Starosta, Teodor Montwiłł, przyjął ich na rozmowę. Wynikiem rozmowy było to, że starosta zwoła konferencję celem przedyskutowania przedstawionych przez dr Szymańskiego i Karola zagadnień.

Konferencja odbyła się 8 lutego 1933 roku. Zaskoczeniem dla dr Szymańskiego i Karola było, że starosta zaprosił kilka osób z Akcji Katolickiej. Referat dr Szymańskiego obejmował dzieje ludu mazurskiego oraz jego warunki ekonomiczne w Niemczech. Na koniec przedstawił sytuację i warunki bytowe ludności mazurskiej powiatu działdowskiego. Z referatu wynikało, że Mazurzy byli lepiej traktowani w Niemczech, niż w Polsce. Starosta, słuchając wywodów dr Szymańskiego, niespokojnie wiercił się na fotelu, okazując zdenerwowanie. Dyskusja skończyła się dość nieprzyjemnie, bo starosta ostentacyjnie opuścił konferencję, dając do zrozumienia, że przedstawiciele Mazur to Niemcy. Mazurzy z dr. Szymańskim i Karolem Małłkiem na czele wyszli spłukani, pokonani, przegrani. Tak utworzenie Związku Mazurów nie doszło do skutku, ku radości Akcji Katolickiej i Niemców.

Można powiedzieć, że właśnie ta konferencja dała pretekst do wzmożonego prześladowania Mazurów, przede wszystkim inteligencji mazurskiej. Zaczęto kolejno zwalniać nauczycieli-Mazurów: Zwolnieni zostali: Edward Małłek, Wilhelm Zakrzewski, Ernest Kościński, Alfred Longwitz, Erich Dalkowski, Adalbert Borutta, Karol Cziszko, Fryderyk Burski. Dr Szymański, zrezygnowany, odsunął się od polityki, zaszył się w swoim majątku, mając byt zapewniony, gwizdał na wszystko. Takiego zaplecza, takiego zapewnienia bytu nie mieli mazurscy nauczyciele, aczkolwiek w 90% byli synami rolników – gburów, gdyż swoje udziały strawili na swoje wykształcenie. (Szkoła była wolna od opłat, ale za utrzymanie i książki trzeba było płacić.) Zawód nauczyciela miał być ich majątkiem, chlebem codziennym. Straciwszy posady, nie pozostało im nic innego, jak walczyć o byt. Stąd ponownie zrodziła się myśl założenia organizacji. Tym razem konstelacja polityczna w Polsce się zmieniła.

W 1934 roku Marszałek Piłsudski zawarł z Niemcami (Hitlerem) Pakt o Nieagresji. Wprawdzie fakt ten dawał swobodę działania organizacjom hitlerowskim w Polsce, ale jednocześnie Polska potrzebowała „kogoś", przez którego mogłaby oddziaływać na ludność mazurską Prus Wschodnich. Dlatego przypomniano sobie Mazurów Działdowskich. Starostą powiatowym został Władysław Horwath, który bardzo przychylnie ustosunkował się do ludności mazurskiej. Mój brat Karol, zepchnięty z kierownictwa szkoły w Kisinach na zwykłego nauczyciela w Działdowie, w końcu na nauczyciela jednoklasowej szkoły w Pierławce, uznał, że nadeszła odpowiednia chwila założenia Związku Mazurów.

Dnia 22 grudnia 1935 roku, na zaproszenie mego brata Karola zebrało się w jego mieszkaniu w Działdowie przy ulicy Lidzbarskiej grono Mazurów, którzy postanowili założyć Związek Mazurów. Na prezesa wybrano mego brata Karola. Sekretarzem został Gustaw Leyding, skarbnikiem Jan Jagiełłko-Jaegertal, przewodniczącym Komisji Rewizyjnej doktor Kurt Obitz. Zarząd Związku Mazurów opracował statut, który po licznych zmianach i poprawkach ostatecznie został w kwietniu 1936 roku zatwierdzony przez starostę Horwatha. Do Związku Mazurów mogli należeć tylko rodowici Mazurzy – ludność miejscowego pochodzenia, bez względu na ich uświadomienie narodowe.

Zatwierdzenie Związku Mazurów wprawiło w wściekłość tak Polaków, jak również Niemców. Członkowie Związku Mazurów tworzyli jakoby trzecią grupę społeczną Działdowszczyzny, stojąc między Polakami i Niemcami. Polacy nadal nazywali Mazurów „Szwabami", Niemcy natomiast Polakami. Czyli Związek Mazurów z miejsca miał dwóch poważnych wrogów, którzy nie przebierali w środkach, zwalczając Związek Mazurów. Kim był Związek Mazurów?

Statutowo Związek Mazurów był stowarzyszeniem kulturalno-społeczno-oświatowym. Skupiał w swoich szeregach Mazurów, lojalnie ustosunkowanych do Polski. Językowo Związek Mazurów pielęgnował regionalny język mazurski, jak również kulturę miejscowej ludności mazurskiej. Związek Mazurów był organizacją apolityczną, o cichych, nieoficjalnych tendencjach separatystycznych. Tylko takie tendencje odpowiadały bowiem Mazurom i tylko takie dawały szansę rozwojowe dla Związku Mazurów.

Należąc do Związku Mazurów, poczuliśmy się „odrębnością". Chyba wariat chciałby, aby Mazur-ewangelik, będąc 500 lat Pruskim Mazurem, stał się w ciągu jednego dnia, dnia 10 stycznia 1920 roku, Polakiem w katolickiej Polsce? Zresztą kiedy Polacy uważali Mazurów za Polaków? Ach prawda: w czasie „targów" przed Komisją Wersalską i w czasie agitacji plebiscytowej w 1920 roku. Niestety, i w stosunku do Mazurów aktualne jest powiedzenie: „Jak świat światem, nie będzie Polak Mazurowi bratem". Dlatego Związek Mazurów, będąc na swojej ziemi, Ziemi Ojców naszych, postulował: starostą powiatowym w Działdowie ma być Mazur. Burmistrzem miasta Działdowo – Mazur. Urzędnikami – Mazurzy, nauczycielami – Mazurzy, wójtami, sołtysami – Mazurzy. Jednym słowem: Działdowszczyzna dla Mazurów. Mazurzy gospodarzami na własnej ziemi!

Postulaty powyższe były jawnymi oznakami separatyzmu. I nie bez podstawy niektóre czynniki państwowe posądzały Związek Mazurów o separatyzm. Słusznie Związek Mazurów pielęgnował język i kulturę, i wszystko, co było mazurskie, boć przecież pokolenie współczesne pamiętało, że ich rodzice w Prusach Wschodnich chodzili do szkół, w których językiem wykładowym był język mazurski. Na przykład mój ojciec, rocznik 1862, w Dużej Sławce, moja matka, rocznik 1871, w Sarnowie, chodzili do takich szkół. Dlatego Związek Mazurow urządzał: jutrznie mazurskie, wesela, dożynki (plony) mazurskie. Zbierano i śpiewano pieśni mazurskie. Zbierano i opowiadano bajki, baśnie, legendy mazurskie. Odtwarzano stroje mazurskie... Jednym słowem wszystko, co nasze, co swoje, należy zachować i pielęgnować. Chcąc realizować wysunięte postulaty, należało przygotować kadry pracowników, którzy przejmą z czasem odpowiedzialne stanowiska. Związek Mazurów starał się przede wszystkim, aby zwolnieni nauczyciele odzyskali swoje stanowiska.

60
Bursa Mazurska w Działdowie

Celem umożliwienia młodzieży mazurskiej kształcenie się w gimnazjum i innych szkołach zawodowych Związek Mazurów zorganizował internat – „Bursę Mazurską". Do Bursy przyjmowano wyłącznie młodzież mazurską. Przyjmując młodzież do bursy, nie pytano o świadomość narodową. Wiadomem było, że młodzież ta pochodzi z rodzin, które wychowywane były przez 500 lat pod kulturą pruską o świadomości niemieckiej.

Młodzież Bursy Mazurskiej uczęszczała w Działdowie do szkół polskich z językiem wykładowym polskim. Inne języki były przedmiotami. Regionalizmem Związek Mazurów wzbudzał u młodzieży poczucie przynależności szczepowej: „Jesteśmy Mazurami". Założenie Bursy Mazurskiej było dla mnie i mojej rodziny ratunkiem bytowym. I tu Pan Bóg zesłał Związkowi Mazurów kwalifikowanego kandydata na biuralistę i kierownika Bursy Mazurskiej w mojej osobie. Wydarzenie to zbiegło się z likwidacją naszego sklepu przez Urząd Skarbowy. Dlatego zrezygnowaliśmy z dochodzenia naszych krzywd. Znów doświadczyliśmy, że Pan Bóg jest mocniejszy od Akcji Katolickiej. „Bóg ma więcej, niż rozdał".

Bursę Mazurską zorganizowano w budynku pana Tańskiego, przy ulicy Lidzbarskiej na pierwszym piętrze. Tam też dostaliśmy pokój, do którego mogliśmy się wprowadzić zaraz po likwidacji naszego sklepu. Ja byłem kierownikiem i wychowawcą, moja żona kierowniczką kuchni i wychowawczynią dziewcząt. Przed południem pracowałem też jako sekretarz biura Związku Mazurów, przy ulicy Hallera 10. Ja z żoną otrzymywaliśmy wynagrodzenie, bezpłatne mieszkanie przy Bursie i wolne utrzymanie z kuchni internackiej. A zatem mieliśmy byt zapewniony. A zatem Akcja Katolicka nam osobiście nie zagrażała, aczkolwiek była przeciwna Związkowi Mazurów jako całości. Z nowym rokiem szkolnym 1937/38 Bursę przenieśliśmy do budynku Związku Mazurów, przy ulicy Hallera 10, gdzie mieściło się biuro Związku, bursa dla młodzieży gimnazjalnej, kuchnia i nasze mieszkanie.

Od 18 stycznia do 8 lutego 1937 roku zostałem powołany na ćwiczenia wojskowe do 67. Pułku Piechoty do Brodnicy. Ćwiczenia ograniczały się tylko do służby koszarowej. Jako polski oficer czułem się Polakiem. Po ćwiczeniach wróciłem do pracy w Związku Mazurów. Praca Związku rozwijała się pomyślnie. Coraz więcej młodzieży zgłaszało się do gimnazjum, a więc i do Bursy. Kilku Mazurów otrzymało zabudowane parcele w Rutkowicach, między innymi mój brat August, Gałka, Radzanowski. Przy Związku działało Koło Gospodyń Wiejskich, chór męski, koło teatralne. Wszystko w zakresie kultury mazurskiej. Mazurska młodzież szkolna otrzymywała bezpłatne kształcenie i wolne od opłat utrzymanie w Bursie Mazurskiej.

Czym kierowali się rodzice – Mazurzy, posyłający swoje dzieci do polskiego gimnazjum, pod opiekę Związku Mazurów? Czy kierowali się przy tym polskim patriotyzmem lub polską świadomością? A może przynajmniej poczuciem odrębności mazurskiej?

Jako były kierownik Bursy Mazurskiej śmiem twierdzić, że nie kierowali się ani jednym, ani drugim. Dlaczego nie? Na to pytanie odpowiem notatką z „Gazety Toruńskiej", którą podaje w swej książce *Warmia i Mazury* Wojciech Wrzesiński: „Czucia polskiego, uświadomienia narodowego jest w tym ludzie, zwłaszcza zamieszkującym siedem powia-

tów mazurskich, tyle co nic". „Lud Mazurski ma głęboko zakorzenione uczucie prusko-państwowe" (strona 141 i 143).

Od siebie dodam, iż Mazurzy Działdowszczyzny mieli poczucie przynależności do braci za „miedzą". A więc czym kierowali się Mazurzy Działdowscy, wysyłający swoje dzieci do polskich wyższych szkół? I na to pytanie odpowiem obcymi słowami: „Jeżeli mamy żyć w Polsce, to niech nasze dzieci będą panami, a nie parobkami". Słowa wypowiedziane przez Dalkowskiego, karczmarza w Brodowie, który jako ostatni wysłał swego syna, Ericha, do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie. Tak jest. Względy praktyczno-życiowe przemawiały za posyłaniem mazurskich dzieci do polskich szkół, a nie polska świadomość. Dlatego uważam, że spodziewanie się lub żądanie od Mazurów Pruskich, którzy do Polski nigdy nie należeli, polskiego poczucia i patriotyzmu, to brak co najmniej znajomości historii. Dlatego program Związku Mazurów dla młodzieży mazurskiej przewidywał obudzenie szczepowe.

Związek Mazurów borykał się z trudnościami finansowymi. Każdą potrzebę, związaną z kosztami, musieliśmy każdorazowo skrupulatnie uzasadnić. Gustaw Leyding jako sekretarz Zarządu godzinami ślęczał w nocy, redagując pisma do odpowiednich władz. A potrzeby, szczególnie z utrzymaniem Bursy, były duże. Aż do znudzenia płynęły memoriały, aby wydusić od odpowiednich czynników potrzebne fundusze.

Praca Związku Mazurów przypadła w specyficznym czasie dziejów ludzkości. W chwili powstania Związku Mazurów, w Europie, a może na całym świecie, zapowiadały się nieprzewidziane wydarzenia. Zmiany te łączono z dojściem w 1933 roku do władzy Hitlera w Niemczech. „Niech wszem i wobec będzie wiadome" i wielu katolikom, że Hitler ma do zawdzięczenia swój wybór przede wszystkim papieżowi Piusowi XI (z którym miałem „incydent"), który wpłynął na Partię Centrum (niemiecka partia katolicka), aby głosowała za Hitlerem, w zamian za Konkordat ze Stolicą Apostolską. Gdyby „Centrum" wstrzymało się od głosu, Hitler nie byłby „Führerem".

Hitler, odbudowując militaryzm niemiecki, zapowiadając rewizję postanowień Traktatu Wersalskiego, zagrażał światu niepokojem. W Niemczech powstała nowa partia hitlerowska, która wkrótce stała się jedyną partią. Powstały nowe organizacje, „SA" – Sturmabteilung[130] i „SS" – Selbstschutz[131]. Idea hitlerowska przesiąkała i rozszerzała się w krajach o niemieckiej ludności: Austria, Sudety (Czechosłowacja), Gdańsk (Polska). Na skutek zawarcia w 1934 roku przez Marszałka Piłsudskiego Traktatu „O Nieagresji" z Hitlerem, Niemcy w Polsce mieli swobodę tworzenia organizacji hitlerowskich, przede wszystkim „JDP" (Jung Deutsche Partei[132]). Również na terenie Działdowszczyzny ruch ten powstał i się rozwijał. Prawie w każdej wsi znajdował się działacz „JDP". Powiatowym kierownikiem „JDP" był Domanowski z Pierławki.

Jaka sytuacja powstała dla Związku Mazurów? Niemcy w Polsce jako mniejszość narodowa mieli zagwarantowane prawa obywatelskie na równi z Polakami. Prawa ich gwarantowała Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 17 marca 1921 i z dnia 23 kwietnia 1935 roku. Na tej podstawie Niemcy w Polsce mieli prawo posiadania szkół niemieckich z niemieckim językiem wykładowym, utrzymywanych przez państwo, o ile liczba w danej miejscowości wynosiła co najmniej czterdzieścioro dzieci. Mieli prawo zakładania prywat-

[130] Oddział szturmowy.
[131] Samoobrona.
[132] Partia Młodych Niemców.

nych szkół. Posiadali drukarnie, własną prasę, własne banki, spółdzielnie handlowe, firmy przemysłowe, organizacje kulturalne. Niemcy w Polsce mieli bierne i czynne prawo wyborcze. Jeżeli nie optowali na rzecz Niemiec, będąc obywatelami polskimi, służyli w wojsku polskim. Mężczyźni z cenzusem (z maturą) służyli w podchorążówkach i awansowali na oficerów Wojska Polskiego. W dowodach osobistych mieli adnotację: „narodowość niemiecka, obywatelstwo – polskie". Tak wyglądali Niemcy w Polsce.

Zgodnie z umową z Hitlerem z 1934 roku z takich samych praw mieli-mogli korzystać Polacy w Niemczech. Ale iluż było tych Polaków, na przykład w Prusach Wschodnich? W 1934 roku na pewno dużo mniej, niż w czasie Plebiscytu w 1920 roku. Grupa ta, to znaczy Niemcy w Polsce, była wrogo ustawiona do Związku Mazurów, uważając go za organizację polską. Mając środki finansowe, prowadzili akcję przeciw Związkowi Mazurskiemu.

Drugim potężnym wrogiem Związku Mazurskiego byli Polacy-katolicy. Kościół katolicki, mając tak wszędzie obecną „Akcję Katolicką", szkodził na każdym miejscu. „Akcja Katolicka" spowodowała, że władze powiatowe i urzędnicze Działdowszczyzny przeszły z rąk Polaków warszawsko-śląskich ewangelików w ręce Polaków-katolików z Kongresówki. Akcji Katolickiej nie było na rękę, aby w Działdowie istniał bastion protestantyzmu. Akcja Katolicka nie dopuściła, aby starostą powiatowym był Mazur-ewangelik, dr Adolf Szymański. Skoro mógł być sekretarzem wojewody w Toruniu, to tym bardziej nadawał się na starostę w Działdowie.

Dlaczego burmistrzem Działdowa nie mianowano na przykład Gustawa Leydinga czy Jana Jaegertala, Mazurów, działaczy plebiscytowych? Dlaczego sołtysami w każdej wsi nie mogli być Mazurzy, skoro w 90% właścicielami gospodarstw byli Mazurzy?... Bo to nie odpowiadało Akcji Katolickiej. Ktoś powiedział: „Polska polityka na Mazurach musi być katolicka!" Nic ująć, nic dodać. A Mazurzy niestety są i pozostaną protestantami-ewangelikami. Więc co robić? „Niszczyć!" – oto hasło Akcji Katolickiej.

Niemcy nazywali nas, członków Związku Mazurów – Polakami. Polacy nazywali nas Niemcami. Kim więc był Związek Mazurów? Mając w dowodzie osobistym adnotację „narodowość polska", nie korzystaliśmy z praw mniejszości narodowej. Nazywani przez Polaków-katolików Niemcami, musieliśmy prosić, błagać, żebrać, walczyć o prawa obywatelskie. Inaczej mówiąc, jako członkowie Związku Mazurów byliśmy wyjęci spod prawa.

Opisując swoje przeżycia, powiadam: Nie miałem prawa być nauczycielem o wyłącznie polskim wychowaniu i wykształceniu, nie wolno mi było uczyć w szkole języka polskiego i historii polskiej. Nie wolno mi było być instruktorem straży pożarnych, mimo posiadanych kwalifikacji. Nie wolno mi było być instruktorem „LOPP-u" (Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej). Nie wolno było mi być kupcem...

Dlaczego nie mogłem być? Bo „ukradłem" Rzymowi jedną „owieczkę", moją żonę. A tego przecież nie może darować Akcja Katolicka. Ponieważ Związek Mazurów występował w obronie „uciśnionych Mazurów", dlatego znalazł się w XXX Akcji Katolickiej na „indeksie", na ławie oskarżonych.

Kogo właściwie reprezentował Związek Mazurów? Czy był reprezentantem Mazurów w ogólnym pojęciu? Czy reprezentował choćby wszystkich Mazurów powiatu działdowskiego? Takie zamiary przynajmniej miał Związek Mazurów. Ba, nawet powstał spór: „Kto reprezentuje Mazurów w ogóle (i tych w Prusach Wschodnich)? Czy pani Emilia Sukert-Biedrawina, pisarka, czy Związek Mazurów w Działdowie?" Pani Sukert-Biedrawina przez

długie lata była orędowniczką Mazurów. Już w czasie Plebiscytu. I z tego tytułu nie chciała zrezygnować. Dlaczego działalność pani Sukert-Biedrawiny nie odpowiadała Związkowi Mazurów? Pani Sukert-Biedrawina działała w intencji dobra Polski, a Związek Mazurski miał na celu dobro ludności mazurskiej. Dlatego prezes Związku Mazurów często wybuchał: „Ta baba stale psuje nam robotę". W każdym razie szczerej współpracy między oboma „orędownikami" nie było.

Związek Mazurów w roku 1936
Siedzą od lewej:

1) Napierski Oskar
2) Radzanowski
3) Wallesch Amalia
4) Baron / Żywiec Anna
5) Kejna, sekretarz Starosty
6) Horwath, Starosta Powiatowy
7) Małłek Karol
8) Leyding Gustaw
9) Małłek Wilhelmina
10) Ułanowski Kazimierz
11) Szefler
12) Büchler

Stoją od lewej

1) Falkusowa, kucharka
2) Radzanowska Hilda
3) Longwitz Alfred
4) Schmidt Otylia
5) Ułanowski Edmund
6) Burski Fryderyk
7) Małłek Robert
8) Kościński Ernest
9) Burski Wilhelm
10) Cybulla Otto
11) ? ? ? ?
17) Zdunkówna
18) Żywiec Gertruda, Pierławka
19) ?
20) Żywiec Gertruda, Brodowo
21) Piecha Eugeniusz
22) Waśniewska Hilda
23) ?
24) Sendzicki Horst

Dzieci

1) ?
2) Małłek Leopold
3) Małłek Ryszard
4) Piecha Wiesław

Wrócę do pytania: „Kogo reprezentował Związek Mazurów?" Byłoby błędem twierdzić, że Związek Mazurów reprezentował ogół Mazurów, a tym bardziej nie reprezentował ich woli, ani przekonania. Związek Mazurów, skupiający nieliczną grupę członków – powiedzmy kilkadziesiąt – nie mógł pretendować do tytułu przedstawiciela-orędownika Mazurów. Jeżeli ktoś tak myślał, to chyba nie stąpał nogami po Ziemi Działdowskiej, a tym bardziej po ziemi Prus Wschodnich. A mimo to, przyszedł czas, że ten liliputowy Związek był komuś potrzebny. Tak, prawda, Związek Mazurów był potrzebny dla „uciśnionych" Mazurów. Ale ci „uciśnieni" nie mieliby wielkiej pociechy, gdyby Związek Mazurów nie był potrzebny „komuś", który „uciśnionych" może nie tylko pocieszać, ale nawet obdarzyć posadą, parcelą i innymi dobrami.

Powodem tego, że Związek Mazurów był „komuś" potrzebny, było warczenie hitlerowskich motorów, a i sam Hitler zaczął szczekać na cały świat, a wtórował mu dzielnie i wiernie były zakonnik katolicki, Goebels. Również Hitler był katolikiem. Kiedyś powiedziałem katolikom w Polsce, że Hitler jest katolikiem. „Co, Hitler jest Polakiem, to nieprawda?" – Taka była odpowiedź Polaków, u których katolik to Polak. Można się z tego tylko śmiać. Ale dodam, że Hitler miał cały sztab takich „Polaków-katolików", za wyjątkiem Göringa, który był (przynajmniej z metryki) ewangelikiem.

Wrócę do Związku Mazurów. Mimo tak znikomej ilości członków, Związek Mazurów był potrzebny władzom Polski na najwyższym szczeblu. Co się stało, że Związek Mazurów, nadal zwalczany przez miejscowe społeczeństwo, znalazł wielkie zainteresowanie i poparcie naczelnych czynników państwowych? Powodem był Hitler. Urządzał masowe zjazdy, na których wrzeszcząc zapowiadał rewanż za klęskę pierwszej wojny światowej. Hitler urządzał wielkie parady jednostek partyjnych na tak zwanym Placu Marsowym w Nürnberg (Führt), gdzie wybudowano na ten cel całe miasto baraków. W jednym z nich miałem okazję „mieszkać" w niewoli niemieckiej. Hitler żądał rewindykacji granic, zwrotu utraconych ziem w I wojnie światowej.

Dyplomaci krajów zachodnich, Anglii, Francji, nie mieli nocy spokojnej. Również Polski minister spraw zagranicznych, przystojny pan Beck, często w „salonce" spędzał noc, udając się do Berlina na częste rozmowy z panem Ribentroppem i innymi mężami ideologii Hitlera. Początkowa prośba Hitlera obróciła się wnet w żądanie: wybudowania przez Niemców autostrady przez tak zwany „korytarz" polski, która miałaby łączyć Rzeszę z Prusami Wschodnimi. Innymi słowy, przedsmak wojny. Całe polskie społeczeństwo jest tym poruszone.

Dnia 13 marca 1938 roku Hitler wjeżdża, entuzjastycznie witany, do swojej ojczyzny, Austrii, do stolicy, do Wiednia, witany „Als unser Führer: Heil!"[133]. Wkroczeniem do Wiednia przypieczętował tak zwany „Anschluss"[134] – połączenie Austrii z Niemcami w jedno wielkie państwo niemieckie. W Polsce Marszałek Rydz-Śmigły ze swoim sztabem też nie mają nocy spokojnej. Czyniono przygotowania do ewentualnych działań wojennych. Prasa polska pisze, pisze, pisze. Społeczeństwo demonstruje. Partie polityczne debatują, dyskutują. Rząd polski, partie polityczne, społeczeństwo polskie, mając zawarte pakty z Francją i Anglią „o wzajemnej pomocy w razie wojny", a z Rosją Bolszewicką „pakt o nieagresji", w razie wojny myślały tylko o ekspansji, nigdy o klęsce. Polacy zawsze śnili o potężnej Polsce „od morza do morza", od Bałtyku do Czarnego Morza. I chyba przypo-

[133] Jako nasz wódz, niech żyje.
[134] Dołączenie, przyłączenie.

mniano Konrada Mazowieckiego, który tak bardzo pragnął zdobyć ziemię Prusów i dostać się do brzegów Bałtyku, do kopalni „złota" – bursztynu. Przypomniano króla Władysława Jagiełłę, który nie wykorzystał swego zwycięstwa pod Grunwaldem w 1410 roku. W Warszawie pobrzękiwano szabelką. Tej broni było w Polsce pod dostatkiem. Nawet i ja ją nosiłem.

Czy wiecie, że właśnie te szabelki wystarczały do najazdu wraz... „z kim?", „właśnie, z kim?" – z Hitlerem (o, zgrozo!) na biedną, słabą, bezbronną Czechosłowację, dokonując jej rozbioru dnia 29 września 1938 roku, przyłączając do Polski tak zwane „Zaolzie". W Polsce wielki jubel! W krótkich dniach Hitler zajął całą Czechosłowację, okrążając Polskę od południa. Ładna perspektywa dla Polski: Niemcy u zachodnich, północnych i południowych granic Polski. Hitler, zdawałoby się „sprzymierzeniec" Polski z dnia 29.9.1938 roku, napada na Czechosłowację. Hańba tobie, Polsko! Szabelkowe zdobycie, bez wystrzału, Zaolzia, o jakże natchnęło społeczeństwo polskie odwagą i chęcią do walki. Gdy Hitler, nienasycony dotychczasowymi zdobyczami, zażądał tym razem od Polski „wolnego pasa autostradowego" przez Kaszuby, które łączyłby Rzeszę Niemiecką z Prusami Wschodnimi, w Polsce Marszałek Rydz-Śmigły wołał na wiecach: „Guzika nie damy!". A tłumy wiwatowały na zwycięstwo razem z Francją i Anglią. Bo Rusek będzie się tylko przyglądał, gdyż podpisał przecież „pakt o nieagresji". Jaka wspaniała okazja, ruszyć na północ, na Prusy Wschodnie.

Partie polityczne, prasa i społeczeństwo polskie już „siedziały" w Prusach Wschodnich, oczywiście palcem wodząc po mapie, popijając „czyściuchę" na lepszą jeszcze odwagę. Planowano, jak zlikwidować Niemców w Prusach Wschodnich. W ogóle zastanawiano się, co zrobić z Prus Wschodnich po ich zdobyciu. Każda partia miała swoje plany, oczywiście różniące się od siebie. Koncepcje były różne:

1. Czy włączyć Prusy Wschodnie w organizm państwowy, tworząc z nich jedno województwo?
2. Czy nadać Prusom Wschodnim autonomię?
3. Czy podzielić Prusy Wschodnie między Polskę i Litwę?
4. Czy stworzyć oddzielne państwo pod międzynarodową kontrolą?
5. Czy stworzyć „Szwajcarię" Bałtycką? itp.

Snuto plany, które realizowane będą w zależności od wydarzeń światowych. Jedynie kościoły w Polsce miały jeden ustalony plan! Kościół katolicki – katolicyzację Prus Wschodnich, spełniając wizję św. Wojciecha, pod hasłem: „Chrzest albo..." (uzupełnijcie sami). Kościół Ewangelicko-Augsburski: przyłączyć ewangelików Prus Wschodnich pod kuratelę biskupa dr. Juliusza Burschego w Warszawie. Jakie to wszystko proste i łatwe.

Inaczej widział te sprawy rząd polski, spadkobierca Marszałka Piłsudskiego, świadom tego, że Prusy Wschodnie to nie pustynia ani puszcza, ani dżungla. W Prusach Wschodnich mieszka dwa i pół miliona ludzi. A część mieszkańców, na których liczyliśmy, już raz (w Plebiscycie dnia 11 lipca 1920 roku) powiedzieli nam, że do Polski nie chcą należeć. Może pamiętali też słowa premiera rządu polskiego Witosa, który po Plebiscycie powiedział: „Z powodu tych kilku Polaków (w Prusach Wschodnich) z Niemcami wojny prowadzić nie będziemy". Negatywne nastroje mieszkańców Prus Wschodnich do Polski były dobrze znane trzeźwym politykom w Polsce. Chyba rząd polski nie był tak pewny (jak społeczeństwo polskie), że militarnie można będzie zająć, zdobyć Prusy Wschodnie. Rząd Polski postanowił podziałać na zmianę nastrojów ludności Prus Wschodnich do Polski poprzez

Związek Mazurów w Działdowie. Stwierdzono, że Mazurzy powiatu działdowskiego to przecież cząstka ludu Prus Wschodnich, znajdujących się w granicach Polski. Jeżeli oni będą się w Polsce dobrze czuli, to niewątpliwie będzie to korzystnie rzutowało na krewniaków, mieszkających w Prusach Wschodnich.

Niestety, Mazurzy Działdowszczyzny nie czuli się w Polsce dobrze. Polska nie była dla nich matką, nie była nawet macochą. Rząd widzi, co dzieje się na Działdowszczyźnie: Mazurzy zerkają w stronę Niemiec, organizują się w grupy hitlerowskie. Rząd zrozumiał, że Mazurzy Działdowszczyzny byli traktowani źle, odsuwając ich od życia państwowego. Zaczęto naprawiać zło. Z roku na rok poczęto coraz bardziej popierać działalność Związku Mazurów. Ostatnio młode małżeństwa rolnicze przejmowały zabudowane parcele w Rutkowicach, Bursa Mazurska miała zapewnione środki finansowe. Znalazły się fundusze na odtworzenie strojów mazurskich oraz na urządzanie różnych kursów. Jednostki Wojska Polskiego przejęły w 1938 roku patronaty nad poszczególnymi szkołami powiatu działdowskiego, wspierając je mniej lub więcej finansowo. Była to akcja więcej prestiżowa niż finansowa. Dowódcy tych jednostek ze świtą odwiedzali „swoje" szkoły, przyjmowani owacyjnie przez dzieci i mieszkańców wsi. Trzeba powiedzieć, że Wojsko Polskie imponowało swoim strojem.

Z każdym rokiem istnienia Związku Mazurów coraz częstsze były przyjazdy przedstawicieli władz państwowych z Warszawy na rozmowy z Zarządem. Emisariusze MSW (Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) i MSZ (Ministerstwa Spraw Zagranicznych), szczególnie w latach 1937, 1938 i 1939, byli dość często. Aczkolwiek nie byłem członkiem Zarządu i nigdy nie brałem udziału w rozmowach, ale będąc sekretarzem biura dużo wiedziałem o tych rozmowach. Głównie zastanawiano się nad metodami pozyskania miejscowej ludności mazurskiej.

Związek Mazurów od początku stał na stanowisku oddania władzy powiatu w ręce przedstawicieli miejscowej ludności. Jak wiemy, myśl ta była w 1933 roku w obrzydliwy sposób odrzucona przez ówczesnego wojewodę pomorskiego Montwiłła. Obecnie dyskutowano na ten temat bardzo poważnie i intensywnie. Oczywiście, rozmowy te były poufne, bardzo poufne. Przy tym zauważyłem rzecz ciekawą, że emisariusze z Warszawy, przyjeżdżając do Działdowa, najpierw kontaktowali się z Gustawem Leydingiem, a nie z prezesem Karolem Małłkiem. Osobiście, orientując się (po wykładach w podchorążówce na ćwiczeniach oficerskich) w sprawach wywiadu i kontrwywiadu, podejrzewałem, że „Gucio" (tak nazywaliśmy Leydinga) jest „dwójkarzem" (Oddział II MSW), a co najmniej mężem zaufania. Spotkania z prezesem odbywały się w towarzystwie Gustawa Leydinga.

Rozmowy z przedstawicielami MSW i MSZ na temat Mazur posunęły się tak dalece, że rozważano poważnie sprawę „Autonomii Powiatu Działdowskiego". Rzecz dotąd niebywała. Toć to przecież myśl nurtująca w sercach i myślach członków i działaczy Związku Mazurów. Mówiąc o autonomii powiatu działdowskiego, dyskutowano również o przyszłości Prus Wschodnich, zakładając, że gdyby przypadły do Polski, musiałyby uzyskać najdalej idącą autonomię, bez wyrzucania stamtąd miejscowej ludności. Na tle wydarzeń 1938/39 roku myśl ta znajdowała u czynników rządowych coraz więcej uznania i poparcia. Oczywiście poufnego.

Gdy o tym dowiedział się nasz rodak i działacz doktor Kurt Obitz, przyjechał do Działdowa z gotowymi ulotkami, przeznaczonymi na teren Prus Wschodnich, celem wywołania tam nastrojów i dążeń separatystycznych, z myślą utworzenia odrębnego, niepodle-

głego państwa. Doktor Obitz, ja i Jan Niedanowski ze Skurpia kupiliśmy sporą ilość baloników, nadmuchiwaliśmy gazem świetlnym, przywiązując do nich ulotkę, puszczaliśmy nocą z dachu budynku związkowego, przy ulicy Hallera 10, w powietrze. Było to w 1938 roku. Dostaliśmy z Prus Wschodnich wiadomość, że jedna ulotka z balonikiem doleciała w okolice Królewca.

Muszę podkreślić, że myśl autonomii powiatu działdowskiego, myśl niepodległego państwa Prus Wschodnich odpowiadała wszystkim, bez wyjątku, członkom Związku Mazurów. Przyjmowano ustrój kantonalny, trzy kantony: Niemiecki, Litewski i Mazurski. Nie wiedzieliśmy wtedy, że taka sama myśl istniała wcześniej w Polsce, a mianowicie myśl „Szwajcarii Bałtyckiej", zainicjowanej przez Zrzeszenie Rodaków Warmii, Mazur i Ziemi Malborskiej w Bydgoszczy w lipcu 1928 roku, o czym podaje działacz mazurski Paweł Sowa – według opisu Wojciecha Wrzesińskiego w książce *Warmia i Mazury* (s. 323). Niewątpliwie podobne myśli i pragnienia tkwiły w sercach i umysłach wielu mieszkańców Prus Wschodnich, dawnych i wczesnych czasów.

Przygotowania obronne Polski jako najważniejsze nie pozwoliły jednak na zrealizowanie „Autonomii Powiatu Działdowskiego". „Koń trojański" (Związek Mazurów) był zbudowany i przygotowany, ale nie było siły, aby go wciągnąć na teren Prus Wschodnich. Nie było naiwnych „Trojanów".

Na terenie powiatu zachodziły nowe wydarzenia. Wiadomość „samobójstwa" księdza Wilka w Narzymiu wstrząsnęła sercami wszystkich Mazurów, w Polsce i w Prusach Wschodnich. Ksiądz Wilk był ogólnie ceniony i lubiany. Nikt nie wierzył, że mógł popełnić samobójstwo. Nie pamiętam dokładnej daty tej tragedii, ale było to chyba w 1938, a może na początku 1939 roku. Z relacji żony księdza Wilka, z domu Wróblównej, wiadomym jest, że któregoś dnia przyszło do księdza Wilka do plebanii w Narzymiu dwóch tajniaków. Dłuższy czas z nim rozmawiali w kancelarii. W pewnej chwili ksiądz Wilk wyszedł na podwórko. Za chwilę usłyszano strzał. Księdza Wilka znaleziono martwego, zabitego w ubikacji podwórkowej. Broń, znalezioną przy zabitym, zabrali tajniacy. Każdy był pewny, że na księdza Wilka, który wyszedł prawdopodobnie za potrzebą, czekał trzeci – zabójca, morderca, którego „nie starano się znaleźć".

Była też druga wersja tej tragedii, lansowana przez „wtajemniczonych" w tę sprawę Polaków: „tajniacy, »udowodniwszy« ks. Wilkowi szpiegostwo, dali mu do wyboru: »Albo pójdziesz z nami do więzienia, z którego nigdy nie wyjdziesz, albo – wręczając mu broń – zrobisz ze sobą według honoru byłego kapitana armii niemieckiej z I wojny światowej«", którym był ksiądz Wilk. „Ksiądz Wilk wybrał tę drugą ewentualność". Tej wersji nikt z Mazurów nie wierzył, bo nikt nie wierzył, że ksiądz Wilk był szpiegiem. Bo cóż mógłby on szpiegować w takim Narzymiu, zwykłej wsi, nie mającej żadnych obiektów o znaczeniu militarnym. Jedynym obiektem państwowym była Domena (majątek). Czy tam było coś do szpiegowania. A jeżeli ksiądz Wilk był przewodniczącym Rady Nadzorczej niemieckiego Banku Raifeisena, to to było szpiegostwo? Jeżeli w powiecie były niemieckie spółdzielnie mleczarskie, to to może być przedmiotem szpiegostwa? Jeżeli księdzu Wilkowi zarzucano szpiegostwo, to to były czcze i niczym nieuzasadnione insynuacje. Był to człowiek na wskroś religijny, szanujący swój stan duchownego, kochający swoją rodzinę, żonę, dzieci, oddany swoim parafianom. Wygłaszając kazania, wzruszał się do łez, przejęty tematem przemówienia. Taki człowiek nie może być samobójcą. Zwyczajnie, był to mord, który nie został wyjaśniony.

Rodzina milczała. Nie dochodziła prawdy, bo jakże procesować się z tajną policją? A może rodzina dokładnie wiedziała, znała prawdę tragedii, ale sytuacja w Polsce w tym czasie była napięta, że należało milczeć. Ksiądz Wilk został pochowany przy kościele w Narzymiu. Czy istnieje jeszcze jego mogiła? Na pewno nie (kościół ewangelicki został w 1945 roku gwałtem przejęty przez katolików; o tym w innym miejscu). Tragedia księdza Wilka ujemnie wpłynęła na pracę Związku Mazurów wśród ludności mazurskiej.

Groźby wojny i przygotowania wojenne zepchnęły powoli sprawę autonomii powiatu działdowskiego do lamusa. Władze państwowe zamilkły w tej sprawie. Zresztą, czy w ogóle o tym poważnie myślały? Czy była to tylko gra wywiadu? Jak można wiedzieć, „co w trawie piszczy?"

Związek Mazurów, nie mogąc oficjalnie ani pisnąć o „autonomii", stał się organizacją, jeżeli nie polską, to w każdym razie propolską. Dowodem tego był udział Związku Mazurów w demonstracjach przeciwko Niemcom. A szczytem „polskości" Związku Mazurów był udział w demonstracyjnej uroczystości 20 sierpnia 1939 roku na polach i łąkach wsi Uzdowo, którą Niemcy-hitlerowcy „zza miedzy" obserwowali gołym okiem i nagrywali przemówienia. Nagrane też było przemówienie, a jakże, propolskie prezesa Związku Mazurów, Karola Małłka, które odgrywane było w Działdowie na Rynku tuż po wkroczeniu hitlerowców do miasta, jedenaście dni po jego wygłoszeniu.

Młodzież Związku Mazurów – Działdowo 1938 rok

Tak wyraźne podkreślenie polskości spowodowało utratę zaufania do Związku Mazurów nawet tych, którzy już byli członkami, a co gorsze, Związek Mazurów znalazł się na li-

ście wrogów numer jeden u Niemców. Nic więc dziwnego, że hitlerowcy dawali sto tysięcy marek za schwytanie Karola Małłka. A czy Karol Małłek zdobył przez tę mowę zaufanie u władz polskich? Przeczytajcie o tym w jego *Wspomnieniach*. Ja o tym jeszcze wspomnę w innym miejscu.

Największą stratą, którą poniósł Związek Mazurów przez podkreślanie polskości, to była na zawsze utrata mandatu reprezentowania Mazurów! Przybierając taką propolską postawę, postawmy pytanie: „Kogo reprezentował Związek Mazurów?" Bądźmy szczerzy i otwarci – reprezentował garść ludzi, zależnych od władz państwowych, jak: nauczycieli, urzędników, pracowników państwowych, i garść naiwnych, jak: rodzinę Małłków, Żywców, Walleschów, Jaegertalów, Leydingów i to chyba wszystko. Gdyby wśród tej grupki przeprowadzono „tajny" plebiscyt, to kto wie, ilu głosowałoby za Polską. Jednym słowem trzeba powiedzieć, że Związek Mazurów nie reprezentował woli ludu mazurskiego. Cała szkoda, że Związek Mazurów nie pozostał wierny idei „autonomii" w szerszym znaczeniu, idei „Szwajcarii Bałtyckiej". Może istniałby dzisiaj jako jedna z republik radzieckich? A tak, co pozostało?

„Mazurzy byli!" – „Mazurzy nie są!" „A czy będą?" Bóg raczy wiedzieć. Chyba drwinami lansowane jest hasło w Polsce: „Mazurzy byli, są i będą". Chyba, że będziemy ich szukać w Bundesrepublik Deutschland, w Deutsche Demokratische Republik i... w grobach. Przykra, tragiczna rzeczywistość!

61
Ćwiczenia wojskowe w Radymnie

Jakiś głupiec czy wariat, a może „wtyczka" obcego wywiadu, w sztabie Marszałka Rydza-Śmigłego przeforsował plan stworzenia specjalnych jednostek wojskowych, które zapewniałyby, w razie wojny, sprawne zaopatrywanie jednostek bojowych w amunicję i żywność. Jednostki te jako samodzielne, pod własnym dowództwem, nazwano „kolumnami taborowymi". Ponieważ dotąd Wojsko Polskie nie posiadało dowódców tej kategorii, więc należało takich przeszkolić – wyszkolić.

Dnia 4 kwietnia 1938 roku zostałem powołany na ćwiczenia rezerwy do dziesiątego Dywizjonu Taborów w miejscowości Radymno koło Przemyśla, bliżej Jarosławia. Ćwiczenia miały na celu wyszkolenie dowódców kolumn taborowych. Radymno to małe miasteczko, leżące w dzielnicy Kraju o bardzo urodzajnej glebie – „less=loess"[135]. Gleba ta dała nam się we znaki na codziennych ćwiczeniach polowych, a szczególnie w dniach wietrznych. Ćwiczenia polegały na nauce jazdy konnej jako woźnica, nauce o koniu, o sprzęcie: siodło, uprząż do wozu, czyszczenie koni. „Woltażerka", jazda na koniu: wsiadanie, zsiadanie, bez siodła, z siodłem, jazda stępa, kłusem, galopem, jazda przez przeszkody. Ćwiczenia w terenie były dość trudne. Wymagały umiejętności i znajomości jazdy po wertepach, wąwozach, zjazdach, po dużych pochyłościach. Jeżeli jeździec, zjeżdżając po skarpie w dół, nie nakierował konia prostopadle do skarpy, lecz skośnie, było pewne, że wywali się

[135] Glina nawiana, jak mąka.

razem z koniem lub wozem. Trzeba było podziwiać umiejętność koni, które zsuwały się po skarpie jak na sankach. Oczywiście, jeżeli jeździec umiejętnie konia prowadził.

Muszę podkreślić, że na ćwiczeniach byli oficerowie rezerwy, którzy w swoim życiu nigdy nie mieli do czynienia z koniem. Byli to przeważnie Żydzi. Ubaw miałem z mego sąsiada, Żyda. Facet wysoki, dobrze zbudowany, przystojny, z bogatej rodziny, ale o dużej nadwadze. Koń dla niego był egzotyką. Na komendę „na koń!", mój Żydek nie mógł się wdrapać na konia. Zawsze podpadał. Wpadł na pomysł. Prosił mnie, czy nie mógłbym mu w tym pomóc? Odpowiedziałem mu: „Spróbuję, ale musisz wiedzieć, że przez to nie chcę podpaść przez spóźnienie się i chcę siedzieć razem z innymi na koniu". Na drugi dzień próba naszej umowy: Chorąży (piłsudczyk, stary żołnierz) woła: „na koń!". Ja szybkim biegiem omijam mego konia, dopadam sąsiada (wiedząc, że jest ciężki), chwytam go za nogę i całą siłą rzucam go na konia. Ale rzut był tak silny, że Żydek przerzucił się i rąbnął z drugiej strony na ziemię. Ja zdążyłem wskoczyć na moją szkapę. Ale sąsiad sromotnie podpadł, wywołując ogólny śmiech. W następnych dniach ograniczyłem moje siły i eksperyment się udawał, za co sąsiad był mi bardzo wdzięczny. Na tych ćwiczeniach byliśmy właściwie rekrutami, z tym, że otrzymywaliśmy oficerską gażę. Przybyło nam do wyposażenia ostrogi i długie płaszcze kawaleryjskie. Prezentacja nasza na tym bardzo zyskała.

Dnia 5 czerwca wróciłem z Radymna już w ostrogach i jako przyszły dowódca „kolumny taborowej". Zobaczycie, jak one się „spisały" w czasie wojny.

Wróciwszy z ćwiczeń, nadal spełniałem funkcję wychowawcy Bursy Mazurskiej oraz wykonywałem obowiązki sekretarza biura, pisząc na maszynie wszelkie sprawy związkowe.

Dnia 27 września 1938 roku urodził się nasz drugi synek, któremu daliśmy imiona: Karol Michał. Urodził się w domu, w budynku Związku i Bursy w Działdowie, przy ulicy Hallera 10. Ochrzczony został w kościele ewangelickim w Działdowie przez superintendenta Jana (Johannesa) Wallacha (superintendent Ernst Barczewski zmarł, będąc emerytem, dnia 11 września 1937 roku w Brodnicy, pochowany na cmentarzu w Działdowie).

62
Znów jestem nauczycielem

Dzięki staraniom Zarządu Związku Mazurów z dniem 1 lutego 1939 roku otrzymałem posadę nauczycielską w Nowej Wsi, powiat Działdowo, jako nauczyciel kontraktowy. Przeprowadzka wypadła w zimę. Stało się to, wbrew przestrodze Słowa Bożego: „Módlcie się, aby to nie było w zimie" – Mateusz 24, 20. I rzeczywiście, przeprowadzka w takiej porze nie wyszła nam na zdrowie. Budynek szkolny, szczególnie mieszkanie nauczyciela, stojące od jakiegoś czasu puste, był tak wychłodzony, że żadne palenie w piecu nie dawało przytulnego poczucia. Sypialnia była zacieniona przed słońcem dużą lipą, zimna lodownia. Żona zachorowała na zapalenie środkowego ucha. Musiała pójść do szpitala w Grudziądzu. Dziecko się przeziębiło. Oddałem pod opiekę Mateczki do Brodowa. Lekarz nie poznał się na chorobie. Leczył przeziębienie, a dziecko umarło 5 marca 1939 roku na zapalenie ucha środkowego, bo w dniu śmierci wyciekł otok. Karolek, chorując, dawał znaki swej choroby,

chwytając się za ucho, ale nikt na tym się nie poznał. I lekarz nie rozumiał „mowy" niemowlęcia. I tak Karolek został pochowany obok miejsca, w którym kiedyś miała być pochowana nasza Mateczka (miejsce Mateczki jest dotąd puste, gdyż Mateczka została pochowana w Olsztynie). Na pogrzeb w Brodowie przyjechała żona ze szpitala w Grudziądzu, chora, z opatuloną głową. Karolek po śmierci wyglądał jak aniołek, w bieli ubrany, w białej trumience, niesiony przez brodowskie dzieci, też w bieli ubranych, pochowany na cmentarzu w Brodowie przez księdza Horna, który urzędował w Narzymiu po tragicznej śmierci księdza Wilka.

Po pogrzebie żona wróciła do szpitala w Grudziądzu, a ja pojechałem do Nowej Wsi uczyć dzieci jednoklasowej szkoły. Czyli byłem sam na „włościach". Wkrótce wróciła żona ze szpitala, ale w domu brakowało Karolka. Smutno było w domu. Może Pan Bóg chciał Karolkowi zaoszczędzić biedy, którą przeżywałby z nami w czasie okupacji jako jednoroczne dziecko. Dziś wspominam Karolka, pisząc o nim te słowa, akurat w dniu jego urodzin, 27 września. Gdyby żył, miałby dzisiaj 50 lat. Nie żyjąc wśród nas, znajduje się w Krainie Odwiecznego Boga Stwórcy, a duch jego być może patrzy gdzieś z wysokości, jak my, tu, na padole ziemskim, pielgrzymujemy. A być może jest naszym „Aniołkiem Stróżem?"... Któż może zgłębić mądrość Bożą?

Będąc nauczycielem w Nowej Wsi, zabrałem się gorliwie i uczciwie do pracy. Lubiłem zawód nauczyciela. Ponieważ było to już drugie półrocze szkolne, zabrałem się też za przygotowywanie z dziećmi uroczystości zakończenia roku szkolnego, czyli urządzenia tak zwanego „Schulfestu"[136]. Szkoła w Nowej Wsi też otrzymała patrona pewnej jednostki wojskowej. Nie pamiętam jej nazwy. Otrzymaliśmy też skromną pomoc na zakup potrzeb naukowych.

Sytuacja polityczna się zaostrzyła, w związku z dalszymi żądaniami terytorialnymi Hitlera. Ponieważ rząd polski nie zgadzał się na wybudowanie autostrady przez tak zwany „Korytarz", więc i stosunki niemiecko-polskie się pogorszyły. Społeczeństwo polskie ustosunkowało się wrogo do mniejszości w ogóle, szczególnie do Niemców, Żydów i komunistów. Prześladowania się wzmogły. Sporządzano listy podejrzanych osób. Utworzono już wcześniej, bo już w 1933 roku, „obóz koncentracyjny" w Berezie Kartuskiej, w koszarach byłej podchorążówki (tam odbywałem moją czynną służbę wojskową w 1929/30). Z początku umieszczano tam komunistów, potem i innych podejrzanych politycznie. Sporządzano też listy osób, które na wypadek wojny będą internowane. Groźba wojny wisiała w powietrzu. W kwietniu 1939 roku ogłoszono częściową mobilizację. A Związek Mazurski, nie patrząc na sytuację, przygotowywał się do uroczystości teatralno-tanecznej. Chyba w kwietniu urządzono w mojej szkole w Nowej Wsi dwudniowy zjazd młodzieży celem nauczenia tańców ludowych. Stroje mazurskie były na ukończeniu.

Związek Mazurski był zajęty zbieraniem i szerzeniem folkloru, spuścizny kultury ludu mazurskiego. Będąc w Nowej Wsi, nie wiem, czy Związek Mazurów nadal był nawiedzany przez emisariuszy rządu Rzeczypospolitej Polskiej? W pierwszych miesiącach 1939 roku kontakty były na pewno. Przypuszczalnie po ogłoszeniu częściowej mobilizacji mogły nabrać innego tempa, boć przecież przygotowywano wielką uroczystość z udziałem Armii Generała Andersa w Uzdowie, więc kontakty były co najmniej do 20 sierpnia 1939 roku.

W ostatnich dniach czerwca 1939 roku odwiedziła nas w Nowej Wsi grupa młodzieży Bursy Mazurskiej. Przyjechali rowerami, zwiedzając okolice powiatu działdowskiego. Byli

[136] Święta szkoły.

między nimi: Oskar Napierski, kierownik grupy, Horst Czwella, Hildegard Radzanowska, Hildegarda Waśniewska, Ata Schmidt. Innych nie pamiętam. Był piękny, słoneczny, ciepły dzień. Poszliśmy wszyscy, również moja żona i nasz trzyletni synek Robert, na tak zwany „Cypel". Było to najlepsze miejsce nad jeziorem do kąpania, bo część brzegu była płytka, ale od pewnego miejsca raptowna głębina. Było to jednocześnie najwęższe miejsce jeziora, jakby dzielące dwa jeziora. Rozłożyliśmy koce, rozebraliśmy się do kąpielówek, wylegując na słońcu, od czasu do czasu wchodzimy do wody. Uprzedziłem wszystkich, aby wchodzili do jeziora tylko do pewnego miejsca. W pewnym momencie pluskają się, opryskując się wodą Horst Czwella z Hildą Radzanowską i Hildą Waśniewską. Zobaczyłem, że są za daleko w jeziorze. Wołam: „Chodźcie bliżej!". Hilda Radzanowska wyskoczyła z wody, przyszła do nas. Horst i Hilda Waśniewska opryskują się nadal. Widzę, że coraz głębiej zapadają w wodę. Szybko wstałem, biegnę podać im rękę. Niestety, razem z obojgiem znalazłem się w głębinie jeziora. Na brzegu krzyk, wołanie! Nas troje pochłonęła woda. Ja i Czwella nie umieliśmy pływać, Hildka umiała. Będąc pod wodą, nie straciłem przytomności. Najpierw widzę o kilka metrów ode mnie, szarpiących się ze sobą, Hildkę i Horsta. Potem straciłem ich z oczu.

Wtedy byłem świadom, nie umiejąc pływać, że utonę. Wszystko, o czym w wodzie myślałem, kręciło się szybkością taśmy magnetofonowej. Najpierw pojednałem się z Bogiem, aby przyjął moją duszę. Potem obleciałem całą rodzinę: żonę, dziecko, Mateczkę, siostry, braci tak, jakby żegnając się z nimi. Czułem wszystko tak, jakby kręcił się film w przyśpieszonym tempie. Gdy pojednałem się z Bogiem i pożegnałem wszystkich, poczułem błogi spokój. Nagle woda wyrzuciła mnie na wierzch. Bluznęła ze mnie woda. Czuję, że leżę na wodzie, na wznak. Drugi raz woda bluznęła ze mnie. Nagle myślami moimi jestem na lekcji fizyki u profesora Kożusznika i słyszę jego słowa: „Gdy będziesz tonął, spokojnie połóż się na wodzie na wznak, zachowaj spokój, nie podnoś rąk ponad wodę. Staraj się poruszać nogami i rękami". Czuję, że pływam. Słyszę z brzegu wołanie: „Dobrze – dobrze, pływaj, dobrze – dobrze...!" Słysząc te słowa i czując, że pływam, pomyślałem: „Dobrze – dobrze, pływaj", ale jak tu dopłynąć do przeciwległego brzegu jeziora? Bo zdawało mi się, że płynę w odwrotnym kierunku, na drugi brzeg jeziora. Ale słyszę, że wołanie jest coraz bliższe. Nagle, coś machnęło nad moją głową. Był to koc, czy ręcznik, prześcieradło, rzucone przez ratujących. Żona, Napierski, Hildka Radzanowska i inni utworzyli łańcuch, aby nas ratować. Poczułem dno pod nogami. Chwyciłem się rzuconego mi przedmiotu i wygramoliłem się, jak pijany, na pewny grunt.

Natychmiast obróciłem się na jezioro, na wodę. Nikogo nie widzę, ani Hildki, ani Horsta. Wołanie o ratunek nie ustaje. Nasz synek Robert, nie zauważony, pobiegł sam do wsi, opowiadając o tragedii swoimi słowami. Chwiejąc się na nogach, wypatruję z innymi za Hildą i Horstem. Nagle widzimy głowę z okularami na nosie. To Horst, wychylił się z wody i też niemrawo poruszając rękoma i nogami, wydostał się z pomocą innych na brzeg. W międzyczasie, na ciągłe wołanie, przypłynęli rybacy na łodziach. Ponieważ Hildka nie wypływała, jedna łódź, jak tylko szybko mogła, popłynęła do Rybna, po lekarza, a inni rybacy zakładali sieci, aby wyłowić Hildkę. Po dwudziestu minutach rybacy wyłowili Hildkę, ale żadne ratowanie nie przywróciło jej życia. W tym momencie nadjechał lekarz, który stwierdził „zawał serca". Mimo, że Hildka umiała pływać, zginęła. Ponieważ widziałem ich oboje, jak szamotali się w wodzie, przypuszczam, że Horst trzymał się Hildki („bo

tonący chwyta się brzytwy"). Ona, nie mogąc się wyrwać z jego rąk, zginęła. Serce jej, jak to się pospolicie mówiło: pękło. Straszna była to tragedia.

Nasz synek, Robert, widząc, jak jego tatuś znikł pod wodą, słysząc wołanie o ratunek, pobiegł 300 metrów do wsi, opowiadając o wypadku. Wyciągniętą z wody, nieobudzoną do życia, Hildkę przenieśliśmy do szkoły. Wszyscy płakali z powodu jej śmierci. Pozostałej młodzieży, która miała w planie dalsze zwiedzanie powiatu, przeszła wszelka chęć i ochota. Natychmiast zawiadomiliśmy rodziców Hildki w Iłowie. Jakiż szok musieli przeżyć na wiadomość tragicznej śmierci ich jedynaczki. Trudno wyobrazić sobie, jak bardzo musieli opłakiwać kochaną córkę, która skończyła zaledwie 15 lat. Ponieważ to był wypadek, prokurator wszczął dochodzenie. Ponieważ ja tej wycieczki nie organizowałem, ani młodzieży nie zapraszałem, byłem wolny od odpowiedzialności. Z młodzieży też nikt nie odpowiadał, bo każdy indywidualnie, bez namawiania brał udział w wycieczce i zatrzymaniu się w Nowej Wsi. Niemniej, moralnie wszyscy czuliśmy się winnymi, bo byliśmy za mało ostrożni.

Synek i żona cieszyli się, że Pan Bóg przywrócił im tatusia i męża. Osobiście bardzo przeżywałem tę tragedię. Rozmyślałem o tym, jak niezbadane są wyroki boskie. Jak nieumiejętność i słabość Bóg może obrócić w moc i umiejętność. „Panie Boże! Podniosłeś z otchłani duszę moją" – Psalm 30, 4. Już Psalmista tak śpiewał, a teraz ja z głębi serca wyznaję, że tylko Pan Bóg wyrwał mnie od niechybnej śmierci. Czy litował się nad moją żoną i moim synkiem, aby nie zostali sierotami? Czy też Pan Bóg wyznaczył mi dalszą drogę, dalsze doświadczenia życiowe. Bóg dał mi tyle dowodów opieki i miłości nade mną i nad nami, nie dając nam, mimo prześladowań, zginąć. Uratowanie z wody uważam za dalszy cud, którego doznałem od litościwego, miłosiernego i wszechmogącego Boga, który jest Panem życia i śmierci. Dlatego „wysławiać Cię będę Panie, bo wyciągnąłeś mnie z toni" – Ps. 30, 2. „Chwalić będę Pana, pókim żyw" – Ps. 146, 2.

Bóg, odwołując Hildkę z tej ziemi, może zapobiegł wydarzeniom, które mogłaby przeżywać w czasie najazdu żołnierzy sowieckich na Prusy Wschodnie. Ileż wtedy młodych dziewcząt zginęło z ich rąk? Niektóre wolały ponieść śmierć z niemowlętami, skacząc do studni (na przykład Adriówny w Brodowie). Któż zgłębił mądrość Bożą? Bóg przeniósł Hildkę z śmierci do żywota wiecznego.

Po przyjeździe rodziców Hildki do Nowej Wsi, ubraliśmy Hildę w białe szaty, złożyliśmy do pięknej trumny, która powędrowała do domu rodzinnego. Tam, w Iłowie została pochowana. Na pogrzebie była cała młodzież Bursy Mazurskiej, która ze łzami i żalem pożegnała swoją koleżankę. Ja na pogrzebie nie mogłem być, bo musiałem wyjechać na ćwiczenia wojskowe.

63
Ćwiczenia wojskowe w Bochni

Z dniem 1 lipca 1939 roku zostałem powołany na ćwiczenia wojskowe do Bochni na Podkarpaciu. I te ćwiczenia miały na celu przeszkolenie oficerów rezerwy na dowódców kolumn taborowych. Jazda konna i powożenie wozami taborowymi były codziennymi zajęciami. Nacisk kładziono na umiejętną jazdę po nierównym terenie: wjazdy i zjazdy po pochyłościach. A tych nierówności terenowych na Podkarpaciu nie brakowało. Mimo, że ćwi-

czenia należały – można powiedzieć – do przyjemności, to jednak gorące lato powodowało zmęczenie. Wracając z ćwiczeń, czy to w południe, czy wieczorem, pierwszą rzeczą było zdjęcie butów oficerskich z ostrogami, aby nogi odpoczęły. Ani w Radymnie zeszłego roku, ani obecnie w Bochni nie mieliśmy ordynansów, więc buty musieliśmy czyścić sami. W Pułku Piechoty my, oficerowie rezerwy, mieliśmy ordynansów. Równość, co?!

Będąc w Bochni, mieliśmy okazję zwiedzić kopalnię soli w Bochni i Wieliczce. Można było podziwiać podziemne jeziorka, kapliczkę podziemną, cudne sople zwisające, o różnych kształtach. Wszystko błyszczało i mieniło się kolorowymi światłami. Miałem też okazję poznać miasto Bochnię, o pięknych willach z ogrodami owocowymi, pięknie utrzymane i pielęgnowane, pełne brzoskwiń i innych owoców. Nie zapomnę wycieczki samochodem ciężarowym w okolice Bochni, drogę wijącą się serpentynami coraz wyżej. Patrząc z wysokości w dół, miało się wrażenie, że jesteśmy w tym samym miejscu, skąd wyjechaliśmy, tylko dużo, dużo wyżej.

Jakże przyjemnie było obserwować wieczorem burzę w górach. Te cudowne błyskawice, skaczące poziomo z wierzchołka na wierzchołek gór, z szczytu na szczyt. Przypominało to rzucony kamyk na wodę, który robi kilka skoków. Tak podobnie „skaczą" pioruny w górach. Tego nie spotyka się na równinach. Tego nie widziałem więcej w moim życiu. Piękne jest Podkarpacie. Cudowne widoki.

64
Sytuacja w Działdowie

Będąc na ćwiczeniach wojskowych, napisałem do żony, aby poszła do Inspektoratu Szkolnego i zapytała inspektora Kazimierza Kąkola o moje dalsze zatrudnienie w nauczycielstwie, bo mój kontrakt skończył się z dniem 30 czerwca 1939 roku. W lipcu żona poszła do Inspektoratu Szkolnego, który mieścił się przy ulicy Świętej Katarzyny. Wchodząc do biura, zameldowała się u sekretarza, prosząc o rozmowę z inspektorem. Sekretarz, pan Nowak, zameldował żonę, inspektor każe wejść. Po powitaniu, inspektor prosił, by żona zajęła miejsce naprzeciwko biurka, za którym on siedział. Żona przedstawiła swoją prośbę. Chwilę popatrzył na żonę, pomyślał i rzekł: „Pani Małłek, jest pani małżonką. Myślę, że ma pani tyle wpływu na męża, że moglibyście wziąć ślub w Kościele katolickim. Jeżeli to zrobicie, mąż pani dostanie posadę nauczycielską taką, jaką tylko będzie chciał". Co na to powiedziała moja żona i czy była dalsza rozmowa, tego nie wiem. Powyższe słowa inspektora żona przekazała mi listownie do Bochni. Poczułem, że gdy wrócę do domu, znów jestem na „lodzie", bez pracy, gdyż na drugi ślub się nie zgodzę. Z drugiej strony, miałem dowód, że Akcja Katolicka jest nadal w akcji. Inne wiadomości z Działdowa i nie tylko z Działdowa zagłuszyły mój kłopot. Na razie miałem co jeść, a żona z dzieckiem też nie głodowały. Przypuszczalnie w sierpniu żona z trzyletnim Robertem, po raz pierwszy po ślubie, pojechała do rodziców, do swojej rodziny w Czarnowie k/Torunia.

W Działdowie władze dokonują aresztowań optantów (Niemców, żyjących w Polsce na paszporcie) i wysyłają ich do obozu koncentracyjnego w Berezie. Między nimi znalazł się również Emil Jebram z Brodowa, nasz półkuzyn. Aresztują też Mazurów, w tym czasie

służących w polskim wojsku, między innymi Juliusza Chmielewskigo z Nowej Wsi, którego umieszczono w więzieniu, w twierdzy w Modlinie (uwolniony został przez hitlerowców). Wiadomość o aresztowaniu tych ostatnich, to znaczy tych, którzy służyli w wojsku, skłoniła innych, którzy jeszcze byli w domu, do ucieczki za granicę, do Prus Wschodnich.

W Polsce odbywa się nadal częściowa mobilizacja, to znaczy, powoływanie indywidualne do wojska. Co robi w tym czasie Związek Mazurów? W lipcu, sierpniu, mając już stroje ludowe, Związek Mazurów całą parą przygotowuje się do pokazów i udziału w ogólnopolskiej uroczystości, która odbyć się ma 20 sierpnia 1939 roku z udziałem Armii Andersa (pięknych ułanów, szwoleżerów) na polach i łąkach w Uzdowie, tuż przy granicy. Na uroczystości nie byłem, bo byłem w Bochni na ćwiczeniach rezerwy. Podobno była to wspaniała uroczystość. Pięknie prezentowała się też grupa Związku Mazurów w swoich pasiakach ludowych. Szarża kawalerii Andersa dała dowód gotowości i waleczności bojowej. Polacy wiwatowali, nagradzali hucznymi oklaskami i okrzykami mówców i poszczególne punkty programu. Jednym z mówców na tej uroczystości był też prezes Związku Mazurów, mój brat, Karol Małłek, który wygłosił (podobno) hiperpropolskie przemówienie.

Tu, w Uzdowie, kawaleria Generała Andersa szarżowała, mówcy gardłowali, chwaląc, jak to Polska jest silna. Ludność wiwatowała, wykrzykując slogany Marszałka Rydza-Śmigłego: „Guzika nie damy!", „Polska od morza do morza!"... itp. A tam, za „miedzą", w odległości około pół kilometra, lornetki żołnierzy hitlerowskich obserwowały z okopów polskie uroczystości. Zresztą gołym okiem mogli wszystko widzieć, bo pole widowiskowe było płaskie jak stół. Muzykę, a szczególnie przemówienia, nagrywali na taśmę. Również przemówienie prezesa Związku Mazurów było nagrane. Nie znam treści przemówienia, ale wszyscy mówili, że przemówienie było w dobitnych słowach skierowane przeciwko Niemcom.

Pytam się: czy przemówienie to było potrzebne? Czy pasowało, czy odpowiadało sprawie mazurskiej? Skoro Związek Mazurów zakładał, przy cichym poparciu centralnych władz Rzeczypospolitej Polskiej utworzenie „Autonomii Powiatu Działdowskiego", a tym samem Autonomicznych Prus Wschodnich w wypadku zajęcia przez Polskę (o czym już pisałem), przemówienie takie było sprawie mazurskiej wręcz szkodliwe. Jeżeli zakładaliśmy (już nawet bez cichej akceptacji władz polskich) po cichu założenie Niepodległego Państwa Nadbałtyckiego, coś w rodzaju trzykantonalnej „Szwajcarii Bałtyckiej", z zachowaniem całej ludności Prus Wschodnich: niemieckiej, litewskiej i mazurskiej, to przemówienie zdecydowanie propolskie prezesa Związku Mazurów, przekreślało naszą wizję własnej Ojczyzny.

Swoim przemówieniem prezes Związku Mazurów zdecydowanie opowiedział się za Polską. Czy była to szczera, z przekonania wypowiedź, czy tylko taktyczna? O to nigdy brata nie pytałem. W każdym razie, mowa jego była tak zrozumiana przez Niemców, a nawet członków Związku Mazurów. Niestety, mowa ta pozbawiła Związek Mazurów prawa, mandatu orędownika, przedstawicielstwa ludności mazurskiej powiatu działdowskiego, a całkowicie prawa przemawiania w imieniu ludności Prus Wschodnich. Prezes Związku Mazurów swą mową, wygłoszoną na polach uzdowskich, pogrzebał raz na zawsze sprawę autonomii, sprawę tak drogą dla Mazurów. Pogrzebał wizję niepodległego państwa „Szwajcarii Bałtyckiej".

Związek Mazurów, a raczej Zarząd Związku, może z niektórymi członkami-urzędnikami państwowymi, stał się po prostu nic nieznaczącą polską „agenturą". A czy prezes

Związku Mazurów przez wygłoszenie owego przemówienia zyskał choćby coś dla siebie prywatnie? Czy zyskał choćby zaufanie władz powiatowych? Na to mamy jego osobistą odpowiedź w jego *Wspomnieniach*. Krótko powiem, że tylko dzięki wczesnej ewakuacji do Warszawy brat, prezes Związku Mazurów, uniknął rozstrzelania na rozkaz starosty powiatowego w Działdowie, Stebłowskiego, który poszukiwał tego „zdrajcę", aby go zlikwidować. Oto taką byłby otrzymał nagrodę za płomienną mowę ujazdowską: „kulka w łeb", jak to się mówi. Czy to świadczy, że byliśmy uważani za Polaków? Jeżeli nie uważali prezesa Związku Mazurów za Polaka, to za kogo uważano prosty lud mazurski? Nic dziwnego, że kto mógł, czmychnął za granicę, do Prus Wschodnich.

Wśród ewakuowanych w głąb kraju znaleźli się: mój brat Robert, nauczyciel w Kurkach, Eugeniusz Piecha z synem Wiesławem z Burkatu, Gustaw Leyding z Działdowa. O innych nie wiem. Zmobilizowani zostali jako oficerowie: Ernest Kościński, nauczyciel w Klęczkowie i Adalbert Olszewski, nauczyciel z Narzymia (obaj zginęli).

Ja od tego, co działo się w Działdowie, byłem daleko na ćwiczeniach wojskowych w Bochni. Ćwiczenia miały trwać do 15 sierpnia. Ale już na początku sierpnia powoływano niektórych kolegów do jednostek mobilizacyjnych. Dnia 15 sierpnia było nas zaledwie połowa oficerów rezerwy. Tego dnia mieliśmy być zwolnieni. Komenda Kursu jednak nie zwalniała nas, czekając na indywidualne wezwania mobilizacyjne. Ale te przestały nadchodzić. Wreszcie 28 sierpnia zostaliśmy zwolnieni. Nie przypominam wcale, aby sytuacja, nastroje wojenne panujące w Polsce mnie przerażały. Pewnie byłem nadal tego przekonania, że „guzika nie damy". Może jeszcze wtedy sprzeczałbym się z Ojczulkiem, gdyby żył, że my, Polacy, pokonamy, zwyciężymy Niemców. Gdy tymczasem Ojczulek powtarzał: „W razie wojny, Niemcy do frysztyku (śniadania) będą u nas – w Brodowie". W każdym razie, mimo licznych niepowodzeń i prześladowań, moja polskość była niezachwiana. Nie przesunęła się żadna myśl, aby w razie wojny nie zgłosić się do wojska. Jestem polskim oficerem i basta. Z takimi myślami jechałem z Bochni do domu, do Brodowa lub do Nowej Wsi, aby stamtąd przewieźć gdzieś nasze meble. Po drodze wstąpiłem do teściów w Czarnowie, aby stamtąd odebrać żonę i synka Roberta. W okolicach Bydgoszczy i Torunia, i Czarnowa pełno było wojska. Wojna „wisi na włosku".

Z Czarnowa już razem z żoną i dzieckiem, dnia 29, chyba raczej 30 sierpnia, byliśmy w Działdowie. Chcemy jechać do Brodowa. Znajomych ani moich braci, Roberta, Karola, już nie zastaliśmy (ewakuowani na wschód Polski). Szukamy taksówki. Dowiadujemy się, że wszelkie pojazdy mechaniczne są zarekwirowane. Dysponuje nimi wyłącznie starosta powiatowy.

Będąc sekretarzem biura Związku Mazurów, byłem codziennym interesantem starostwa, załatwiając różne sprawy członków Związku. Aczkolwiek starosty Horwatha już od roku w Działdowie nie było (którego znałem osobiście), to jednak był tam dobrze osobiście mi znany sekretarz, pan Kejna. Więc nie namyślając się wiele, „walę" do starosty. Przyjmuje mnie pan Kejna. Przedstawiam mu moją prośbę o zwolnienie taksówki pana Scholza, gdyż chciałbym się dostać do Brodowa, aby pożegnać się z Mateczką i rodziną przed pójściem na wojnę. Jestem w mundurze oficera Wojska Polskiego. Pan Kejna dziwnie wpatrywał się we mnie, nie tak serdecznie i nie tak swobodnie, jak zawsze. Tłumaczyłem sobie jego zachowanie poważną sytuacją w Polsce. Musiałem mu powtórzyć moją prośbę, bo był nieskoncentrowany, względnie przejęty był innymi myślami. Gdy uświadomił sobie, o co mi chodzi, poszedł do starosty. Siedział dość długo. Ja rozglądam się za czymś do czytania.

Nie ma nic. Siedzę cierpliwie, często wpatrując się w drzwi starosty, skąd oczekiwałem pany Kejny.

Wreszcie wyszedł pan Kejna. Myślałem, że zbliży się do mnie i zakomunikuje mi decyzję starosty. A on nie zerknąwszy wcale na mnie, poszedł do innego pokoju. Po chwili wraca, nie zwracając na mnie uwagi, wchodzi do gabinetu starosty. Za chwilę znów wychodzi, wchodzi do innego pokoju. I tak w kółko. Nie wiem, ile razy otwierał jedne i drugie drzwi, wciąż nie zwracając na mnie uwagi. Może tylko zerkał spode łba. A ja cierpliwie siedzę i czekam, przekładając nogę na nogę. I tak czekałem co najmniej godzinę, jeżeli nie dużo więcej. Trochę dziwiłem się, że to tak długo trwa. Dobrze, że wtedy nie wiedziałem, co za tym się kryje, bo nie wiedziałbym, co ze sobą robić. Sprawa wyjaśniła się dopiero po kilku miesiącach, już za okupacji. Do tego jeszcze wrócę.

Wreszcie wychodzi pan Kejna i podchodzi do mnie, wręczając mi przepustkę do Brodowa i zezwolenie dla Scholza, zawieść mnie z żoną i dzieckiem taksówką do mojej matki w Brodowie. Ulżyło mi na sercu. Wsiedliśmy do taksówki i jedziemy. Minęliśmy Kisiny. Po lewej stronie szosy okopy strzeleckie. W okopach żołnierze. Z daleka widzę, na środek szosy wychodzi oficer w towarzystwie jakiegoś podoficera. Znakiem zatrzymuje nas. Patrzę, a to jest Albert Olszewski, podporucznik rezerwy, kolega, nauczyciel z Narzymia, pochodzący z Pierławki, członek Związku Mazurów, ożeniony z Herminą Długokińską, Mazurką, nauczycielką, pochodzącą z Uzdowa.

Otwiera drzwi taksówki i woła: „A ciebie gdzie tu Pan Bóg prowadzi?”. Ja wychodzę, serdecznie się witamy. Powiada: „Dalej nie pojedziesz, nie wolno. Widzisz przecież, wojna”. Wtedy wyjmuję mu przepustkę od starosty. Czyta. „A, to co innego”. Pogadaliśmy trochę ze sobą, nie wiem o czym, i pojechaliśmy do Brodowa. Było to ostatnie spotkanie z Albertem Olszewskim. Już go więcej nie widziałem, bo zginął gdzieś pod Warszawą.

W domu Mateczka, Hedka i Jan bardzo się ucieszyli z naszego przybycia. Taksówkę zwolniłem, a ja zostałem z żoną i dzieckiem w domu. Było to najprawdopodobniej 30 sierpnia 1939 roku, bo przypominam, że tylko jedną noc spałem w domu u Mateczki, przed ogłoszeniem ogólnej mobilizacji.

65
Mobilizacja – wojna

W nocy, nad ranem, dnia 31 sierpnia 1939 roku obudziło nas dzwonienie na ulicy. Każdy z nas wiedział, że w ten sposób sołtys przez dzwonnika podaje ważne sprawy do publicznej wiadomości. Wyskoczyliśmy wszyscy z łóżek, otwieramy okna, aby wysłuchać ogłoszenia. Jan wybiegł na ulicę, aby upewnić się o zarządzeniu. Słyszymy: „Rząd Rzeczypospolitej Polskiej z dniem dzisiejszym, 31 sierpnia, zarządza ogólną mobilizację. Zdolni do służby wojskowej zgłaszają się do swego miejsca mobilizacyjnego”. Pewnie będzie wojna – mówimy. Już nikt nie położył się do łóżka. Wszyscy na nogach. Przytulam żonę, dziecko, boć przecież trzeba się szykować do odjazdu, do Sokółki koło Białegostoku, miejsca mego stawiennictwa w wypadku mobilizacji. Taką notatkę miałem w mojej książeczce wojskowej: „Sokółka, stawiennictwo pierwszego dnia mobilizacji”.

Gdzie Brodowo, a gdzie Sokółka? Stawiennictwo pierwszego dnia? Czy to było logiczne? Już to chyba było pierwszym znakiem, że mobilizacja nie będzie sprawna. „Ale wojsko to nie uniwersytet, tu trzeba myśleć" – taką „prawdę" wpajał nam niedowarzony zawodowy plutonowy w podchorążówce. A więc trzeba myśleć, jak się dostać do Sokółki pierwszego dnia mobilizacji, czyli dnia dzisiejszego. Tylko samolotem można by zdążyć dotrzeć do Sokółki, ale samolotów komunikacyjnych nie było.

Nie wiem, czy śniadanie nam smakowało?

Czy po 59-ciu latach można pamiętać, co wtedy czułem? O czym wtedy myślałem?

Przecież zostawiam kochaną, najdroższą Mateczkę, kochaną żonę, kochanego synka Robusia, kochane siostry, kochanych braci. W Brodowie zostają: Jan, Hedka, Mateczka, moja żona z Robusiem. W Pierławce moja siostra Marta, jej mąż Fryderyk Żbikowski i dwie córki: Helga i Hanka. W Rutkowicach, na świeżej parceli brat August z żoną Anną z domu Bromberg z Brodowa. W Klęczkowie brat Emil z żoną Agatą z domu Marrek, synem Edwardem i teściami. Ewakuowani do centralnej Polski zostali: brat Karol z żoną Wilhelminą z domu Piecha i trzema synami: Ryszardem, Leopoldem i Januszem z Pierławki i brat Robert (nieżonaty) z Kurek.

Był to czas, kiedy każdy myślał o sobie.

Wierny nakazom mobilizacyjnym szykuję się do wyjścia z domu. Żegnam czule kochaną Mateczkę, ściskam, przytulam synka Roberta i kochaną żonę, i siostrę Hedkę. Brat Jan czeka z furmanką, aby mnie odwieźć do pociągu do Działdowa. Mateczka, ze łzami wyprowadza mnie na dwór, polecając mnie Panu Bogu, aby mnie strzegł i prowadził. Przypominam, że żegnając się ze wszystkimi, dziwnie, nie płakałem, nie uroniłem ani jednej łzy, powtarzając Mateczce: „Mateczko, nie płaczcie, ja wrócę". „Nie płaczcie, ja wrócę". Nie wiem, dlaczego tak spokojnie wypowiadałem te słowa. Przytuliłem się raz jeszcze do Mateczki, ucałowałem, pokiwałem wszystkim ręką i pojechałem z Janem do Działdowa.

U Mateczki, Hedki i Jana na gospodarstwie pozostawiłem, jak już powiedziałem, moją żonę z synkiem Robertem, wiedząc, że tam mają byt zapewniony, bo w domu moich rodziców chleba nigdy nie brakowało, gdyż „Oczy wszystkich w Bogu nadzieję mieli, a Bóg dawał im pokarm we właściwym czasie" – Ps.145,15. Z tą wiarą zostawiałem moją kochaną żonę i kochanego synka pod opieką mojej rodziny z dzielną i kochaną Mateczką na czele.

Jadąc z Janem do Działdowa, po drodze nie widzimy żadnego wojska. Nie spotkaliśmy też pod Kisinami porucznika Alberta Olszewskiego. Cała droga cicha, spokojna. Widocznie wojsko zajęło inne pozycje. W Działdowie też dość pusto. Chyba kto mógł opuścił miasto leżące zaledwie 4 kilometry od granicy i od linii frontu, wojsk hitlerowskich. Na dworcu też zaledwie kilkanaście osób. Dowiaduję się, że pociąg do Warszawy wkrótce na pewno odejdzie. Więc pożegnałem się czule z Janem i zostałem z walizką z galowym umundurowaniem na dworcu. Jan pojechał szczęśliwie do domu. Za niedługo wsiadłem do pociągu pierwszej klasy (wówczas były cztery klasy wagonów) i ruszyliśmy do Warszawy. Później dowiedziałem się, że był to ostatni pociąg, który opuścił Działdowo.

Zajechałem do Warszawy, Dworzec Gdański. Stamtąd taksówką na dworzec Warszawa Wileński (wtedy był jeszcze taki). Na dworcu tłok, masa ludzi, dużo ewakuowanych z Poznańskiego i Pomorza. Czekam na pociąg do Białegostoku. Po jakimś czasie dostaję się do pociągu, nie patrząc, jaką klasą wagonu się jedzie.

W ciemną noc wysiadam w Białymstoku. Na dworcu tu i ówdzie małe światełko, aby ludzie wzajemnie się widzieli. Obowiązywało zaciemnianie okien. Na dworcu niesamowity tłok. Ponieważ była to noc, ludzie, dzieci, dorośli, zmęczeni, leżą pokotem na posadce. Przejść między nimi bardzo trudno. Cały dworzec zawalony ludźmi z tabołami. Jedni spali, drudzy bezwstydnie się kochali, spragnieni seksu. Jednym słowem: „Sodoma – Gomora".

A tu nikt nie może powiedzieć, czy pociąg do Sokółki pójdzie. Staram się połączyć telefonicznie z Działdowem. A gdzież tam. Żadnego połączenia. Już z Warszawy też nie udało mi się dostać połączenia. Nic nie wiemy, co się dzieje? Wiemy tylko, że Niemcy (Hitler) wypowiedziały dziś, tj. 1 września, wojnę. Nie mając połączenia z Działdowem, przypomniałem Ojczulka powiedzenie: „Niemcy do frysztyku będą u nas w Brodowie". (Że tak rzeczywiście było, dowiedziałem się dopiero po wojnie.)

Rano 1 września ruszył pociąg do Sokółki. Byłem tam przed południem. Odszukałem biuro mobilizacyjne. Komendantem był kapitan Lorenz. Niemiec czy Polak, tego nie mogę twierdzić. W każdym razie reprezentował Wojsko Polskie. W podchorążówce i na ćwiczeniach rezerwy wiedziałem, że w czasie pokoju opracowuje się plany mobilizacyjne. Szczegółowe co do minuty plany mobilizacyjne obejmowały harmonogramy dla poszczególnych jednostek wojskowych od kompanii aż do brygad włącznie. Harmonogramy przewidywały poszczególne czynności danego dowódcy od chwili otrzymania teczki mobilizacyjnej aż do wyruszenia jednostki w pole, do boju. Takie harmonogramy (próbne) dla kompanii sporządzaliśmy w podchorążówce na ćwiczeniach rezerwy. Po zameldowaniu się w biurze mobilizacyjnym komendant oświadczył mi, że jestem mianowany dowódcą Kolumny Taborowej Nr 105. Do pomocy dostanę oficera rezerwy w stopniu podporucznika. Trochę byłem zaskoczony, że ja mam być dowódcą, a ten drugi zastępcą. Myślałem, że będzie odwrotnie. Komunikując mi to, komendant wręczył mi „teczkę mobilizacyjną", która przewidywała dzień, godzinę, minuty i miejsca, gdzie otrzymam żołnierzy, wozy, konie, sprzęt taborowy, broń, umundurowanie i prowiant. Dopiero z teczki dowiedziałem się, że moja kolumna liczyć będzie 154 wozów jednokonnych, 172 koni i 192 żołnierzy. Liczba wozów przestraszyła mnie. Obliczyłem, licząc na każdy pojazd 10 metrów, to długość kolumny w najlepszym szyku i porządku (wóz za wozem) wyniesie około dwóch kilometrów.

Zobaczymy wnet, jak głupi był to pomysł, stwarzać samodzielne jednostki taborowe.

Zabrałem się do realizacji harmonogramu. Zaraz od początku nic nie grało. Poszedłem po żołnierzy w wyznaczone miejsce. Żołnierzy nie było, pewnie jeszcze spali w domu. Poszliśmy po konie. Koni nie było. Poszliśmy po wozy, wozów nie było itd. Harmonogram mój przewidywał, że moja kolumna będzie po dwóch dniach gotowa. Była „gotowa" (trudno to nazwać: gotowa) po ośmiu dniach.

Jak była gotowa? Część żołnierzy nie miała w swoim życiu nigdy konia w ręku. Byli to szewcy, krawcy, piekarze... Wozy jednokonne niesprawne. Spora część wozów miała nierówne koła, różne. Trzeba było dopasowywać. Żaden wóz nie miał skrzyni, niektóre zaledwie deskę. Jak tu miał siedzieć woźnica? Uprząż konna wymagała reperacji. Broń starego typu, chyba jeszcze sprzed I wojny światowej. Za kilka dni przekonaliśmy się, że była nieużyteczna. Broń kolumny składała się z karabinów typu francuskiego dla każdego żołnierza i trzy CKM-y (karabiny maszynowe). Konie dość dobre, niektóre rasy wileńskiej. Umundurowanie dość dobre. Ja, ani mój kolega, nie dostaliśmy żadnej broni, ani rewolweru (bo nie było), ani szabelki, ani kompasu, ani map. Żałowałem, że nie zabrałem z domu chociażby jakąś mapę szkolną. Jak tu poruszać się w terenie bez mapy?

W takim stanie załadowano mnie z moją kolumną na wagony: ludzie, konie w wagonach krytych, wozy na platformach. Dokąd jedziemy? Nie wiem. – Tajemnica! Pytam kierownika pociągu. Odpowiada: „Nie wiem; wiem tylko tyle, że na którejś stacji nas zatrzymają i każą panu się rozładować". A, no to dobrze. Spokojna głowa. Zobaczymy dokąd nas skierują. Byłem pewny, że w kierunku wroga na Prusy Wschodnie. Kuchnię polową usadowiłem w środku pociągu na platformie. Kucharze we własnym zakresie zadaszyli na wypadek deszczu (którego do 6 października nie było). Kolumnę podzieliłem na trzy plutony, każdy pod dowództwem plutonowego. Szefem kolumny był sierżant. Do dyspozycji miałem czterech konnych gońców. Najsprytniejszym i najenergiczniejszym był Janusz (nazwiska nie pamiętam). On był stale przy mnie. Był moim „adiutantem". Gdziekolwiek jechałem, on ze mną. Trzech innych przydzieliłem do plutonów.

Większość żołnierzy to Poleszuki (z Polesia), Białorusini. Tylko część z nich to Polacy, między innymi i mój „adiutant" Janusz. Chaotyczny, nieterminowy przebieg mobilizacji w Sokółce był spowodowany – moim zdaniem – albo przez kontrwywiad, albo przez opór miejscowej ludności narodowości niepolskiej, albo przez oba czynniki. Wrócę myślami do mego transportu. Wyjeżdżając z dworca w Sokółce zorientowałem się, że nie jedziemy w stronę granicy Prus Wschodnich, a w stronę Białegostoku. Jaki Pan Bóg był łaskawy, że dał nam tak cudowną, piękną, słoneczną, ciepłą pogodę. Ale jednocześnie taka pogoda była niekorzystna, jeżeli chodzi o naloty. Samoloty miały wspaniałą widoczność. W Sokółce zdążyłem pouczyć żołnierzy, jak mają się zachować w razie nalotu, w czasie jazdy pociągu i na postoju. Nie wychylać się z wagonu, w czasie postoju kryć się za wagony, pod wagony, szukać wszelkiej osłony.

Zbliżamy się do dworca w Białymstoku. Jest południe, cieplutko, słońce, niebo bez najmniejszej chmurki. W dalekiej odległości i wysokości słyszymy warkot samolotu. Transport nasz staje na stacji, lokomotywą na wprost budynku kolejowego, tył pociągu pod mostem (wiaduktem). Wreszcie na dużej wysokości dostrzegamy samolot. Powoli, okrążając dworzec, obniża lot. Jest już dość nisko. Nie słychać żadnych strzałów artylerii przeciwlotniczej. Żadnego polskiego samolotu, wznoszącego się do walki z wrogiem. Jednym słowem, z polskiej strony nie ma żadnej reakcji. Nagle samolot, widząc, że może swawolnie hasać, obniżył się tak nisko, że z karabinów maszynowych ostrzelał wieżyczki ochronne, przeciwlotnicze, które też zamilkły. Widocznie dobrze trafione. Widząc, że samolot dokonuje bezkarnych lotów, dałem żołnierzom rozkaz: „Ognia! Strzelać!" Okazało się, że wszystkie trzy CKM-y były niezdatne do strzału, jak również wiele ręcznych karabinów. To był pierwszy i ostatni raz użycia naszej broni taborowej przeciwko wrogowi. (Drugi raz użyliśmy sprawnych karabinów ręcznych przeciwko dzikom leśnym.)

Niektórzy żołnierze, nie bacząc na moje pouczenia, wyskoczyli z wagonów, wielu skryło się pod wagonami, inni odbiegli, kryjąc się za budynki, kilku woła: „Panie poruczniku, szybko do schronu!" Z trudem powstrzymałem ich, wołając na cały głos: „Nigdy!" Wtem lotnik, likwidując wieżyczki obronne, wzbił się wyżej, zrzucając bomby, jedną trafiając schron, do którego namawiali mnie żołnierze. Pan Bóg i tu nie wypuścił mnie ze swoich rąk.

Schron był trafiony. Byli ranni czy zabici? Tego nie mieliśmy czasu stwierdzić. Z moich żołnierzy było dwóch rannych, którzy zostali w Białymstoku. Samolot, lotnik, z pewnością zadowolony ze swego rajdu, znikł. A nasz transport natychmiast ruszył dalej w „nieznane", tam, gdzie prowadzą szyny. Wciąż nie wiemy dokąd. Wyjechaliśmy z Białegosto-

ku, nie mając mapy, według słońca widzę, że jedziemy na południe. Hm! – pomyślałem sobie. Co to ma znaczyć? Nie jedziemy ani na północ, ani na zachód. Więc dokąd? Nikt nie daje odpowiedzi na moje rozmyślania. Nagle ni stąd, ni zowąd samolot. Znów tylko jeden, pewnie ten sam, który był nad Białymstokiem. Pociąg stanął. Żołnierze nie zdążyli pozasuwać drzwi wagonów z końmi. Samolot przeleciał, ostrzeliwując cały pociąg z jednej strony. Żołnierze wyskoczyli z wagonów i – mimo mojemu pouczeniu – niektórzy pobiegli do lasu. Krzyczę: „Stój! Nie uciekaj!" Bliżej znajdujących się mnie powstrzymałem, kryjąc się pod wagonami.

Lotnik powtórzył obstrzał pociągu z jednej i drugiej strony. Potem zaczął „kosić" ogniem karabinów maszynowych brzeg lasu, potem coraz głębiej i dalej. Zebrałem żołnierzy, którzy nie pobiegli do lasu i mówię do nich: „Chodźcie, pokażę wam, co zrobi lotnik z tymi, co pobiegli do lasu". Las nie był wielki ani wysokopienny. Lotnik wciąż „kosi" strzałami, a żołnierze uciekają coraz dalej. Lotnik przestał strzelać, ale nadal lata nad lasem. My posuwamy się ostrożnie coraz dalej. Wreszcie jesteśmy na skraju lasu. Lotnik wypędził uciekających na dużą łąkę i lata wciąż nad nimi, nie strzelając. Mówię do moich żołnierzy: „Widzicie, jaki sens jest uciekać?" Widocznie lotnik nie ma już naboi, bo teraz mógłby ich wszystkich wystrzelać, jak zające. Nie wiem, może lotnikiem był człowiek bogobojny i nie chciał być świadomym mordercą. W każdym razie, ubaw miał nie z tej ziemi. A moi żołnierze mieli nauczkę, raz na zawsze. Zmęczeni, sfatygowani, „z duszą na ramieniu" przywlekli się do pociągu, ciesząc się, że lotnik darował im życie.

To było drugie spotkanie z wrogiem, z którego – dzięki Bogu – ja i żołnierze wyszliśmy bez szwanku. Tylko jeden był obrzucony ziemią po wybuchu lekkiej bomby. I dwa konie miały lekkie zadraśnięcia (postrzały), nie grożące ich zdrowiu. Otrząsnęliśmy się ze strachu, zajęliśmy miejsca. Kierownik pociągu, upewniwszy się, że jesteśmy wszyscy, ruszył dalej. Po pewnym czasie dojeżdżamy do jakiejś stacji, ale musimy się zatrzymać, bo tory na stacji naprawiają po lekkim nalocie. Wyrządzone szkody były niewielkie.

Była to chyba stacja Zabłudów przed Bielskiem Podlaskim. Bez dalszych nalotów, o szarówce, zatrzymują nasz transport na stacji Bielsk Podlaski. Kierownik pociągu i ja wchodzimy do biura zawiadowcy stacji. Ten oświadcza nam: „Dwie kolumny taborowe już się rozładowały, są gdzieś w lesie, brakuje jeszcze trzeciej, ale wasza ma inny numer od tej, która miała przybyć. Nie wiem, co mam robić? Poczekamy trochę, może sprawa się wyjaśni". Debatujemy jakieś pół godziny. Wspólnie doszliśmy do przekonania, że po prostu zaszła pomyłka. Tamta poszła w moje miejsce, moja znalazła się tutaj. Zawiadowca, nie mogąc z nikim się dodzwonić, powiada: „Co tam będziemy się zastanawiali: są tamte dwie, pańska będzie trzecia i basta. Niech pan się rozładowuje".

Szefowi kolumny nakazałem, aby dopilnował rozładunku, a ja wdałem się w rozmowę z zawiadowcą stacji, pytając go o możliwość zdobycia gdzieś desek, może w którymś z wagonów towarowych. „To będzie bardzo trudno coś znaleźć" – powiada. Wertuje w listach przewozowych i zwraca się do mnie tymi słowy: „Mam tu jeden wagon, ale z klepkami parkietowymi. Może pan tam coś znajdzie". Pozwolił nam wagon otworzyć. Rozładowaliśmy cały wagon. Znaleźliśmy zaledwie kilka dłuższych ciężkich bali dębowych. W biedzie i to dobre. Po rozładunku kolumny taborowej zawiadowca wskazał nam miejsce „biwakowania" w lesie. Można sobie wyobrazić, jaki to był kłopot, poradzić sobie z szewcami, krawcami itp., nieznającymi konia, ani uprzęży, ani karmienia konia. Po ciemku jakoś zaspokojono paszą konie, a kucharze wzięli się szybko za gotowanie zupy.

Na drugi dzień odnalazł nas dowódca Zgrupowania Kolumn Taborowych w stopniu kapitana (trzy kolumny tworzyły zgrupowanie). Człowiek starszy, blondyn, poznaniak. Przyprowadził mi też mego zastępcę podporucznika, przystojnego, trochę otyłego faceta gdzieś z okolic Włocławka. Dowódca pogadał ze mną trochę i powiedział: „Za kilka dni ruszamy w drogę. Dokąd, tego nie wiem". Zastępca wybrał sobie konia pod siodło. Siodła mieliśmy różne, ale przeważnie meksykańskie. W środku siodła miały otwór. Nie wiem, dlaczego był ten otwór. Może, żeby jeździec nie był wyrzucony w górę, gdy puści „świeże" powietrze? Po prostu nie wiem, po co były te otwory. A do tego były strasznie twarde.

Po dwóch dniach: rozkaz wymarszu. Nie pamiętam, w którym miejscu załadowaliśmy na wozy mojej kolumny stulitrowe beczki benzyny, po jednej beczce na jednokonkę. Kolumna za kolumną maszerujemy na... zachód? Nie, nie, nie na zachód. Prujemy w prostej linii na wschód. Nic nie pojmuję. Nic nie wiemy, co dzieje się na świecie. Czy Francja, Anglia, sprzymierzeńcy wypowiedziały wojnę? Nic nie wiemy. Żadnego radia, żadnych gońców od dowódców, żadne wiadomości nie dochodzą do nas.

Jesteśmy w Hajnówce. Pełno uciekinierów z Poznańskiego, z Pomorza. Zagadnął mnie znajomy policjant z Działdowa, który uciekł na rowerze. Przedstawia mi dwie niewiasty, ewakuowane z Szamotuł. Jedna około trzydziestu ośmiu lat z dwojgiem dzieci: córeczka dziesięć lat, chłopiec osiem. Druga, młoda, po dwudziestce z sześciomiesięcznym niemowlęciem (Wojtek). Policjant (nazwiska nie pamiętam) prosi, błaga mnie, abym przejął je, bo inaczej to one tutaj zginą. Był ostry zakaz zabierania cywilów do jednostek wojskowych. Tłumaczę to uciekinierom. Ale kobiety zaczynają prosić i dzieci też. Jak było można odmówić?

Zgodziłem się. W tym [momencie] przychodzi do mnie mój zastępca i powiada: „Kolego, dostałem na tyłku tak bolesnych »wilków«, że na koniu nie mogę usiedzieć". „To wie kolega co, proszę zaopiekować się tymi niewiastami: jeden wóz przygotować dla młodszej pani z Wojtkiem, drugi dla starszej z dwojgiem dzieci. I niech kolega jedzie wozem". Niewiasty i kolega ucieszyli się bardzo. Ale w tej chwili zaprowadziłem niewiasty do większego wozu z sianem i powiedziałem: „Proszę załadować się na ten wóz, a w czasie jazdy przykryć się plandeką tak długo, aż miniemy punkt kontrolny. Na szczęście nie były zauważone i jeździły z nami cały okres wojaczki, do kapitulacji. A mój kolega, zastępca, już odtąd też nie usiadł na konia. „Przytulił się do niemowlęcia". Ale o świeże mleczko dla Wojtka, codziennie, to ja z moim Januszem, gońcem, musieliśmy się starać. Tak, codziennie Wojtek miał świeże mleko, które zdobywaliśmy, korzystając z postojów.

Podziwialiśmy piękne okolice Hajnówki, wspaniałe lasy, potem niezapomniana Białowieża, słynna z żubrów. Wciąż jedziemy na wschód. Nocą maszerujemy, dniem odpoczywamy w lasach. Pojawiały się samoloty. Nauczyłem moich żołnierzy, że w czasie nalotu nie uciekać, lecz natychmiast zjechać do lasu i stać tak długo będziemy, aż miną nas inne kolumny, które w popłochu mijały nas. Wystawiłem „czujkę", aby obserwowała mijające kolumny i aby dała znać, gdy będą ostatnie. Uciekające kolumny gubiły prowiant przeróżnego rodzaju. Za ostatnią, uciekającą kolumną ruszyliśmy, zbierając to, co one gubiły. W ten sposób polepszyliśmy nawet nasz stan wozów oraz zaopatrzenie w prowianty.

W czasie każdego postoju ruszaliśmy z sierżantem i wszystkimi gońcami do pobliskich wsi, rekwirując to, co nam było potrzebne: wieprze, siano, owies. Gospodarz otrzymywał kwit. Pewnego dnia, w czasie postoju całodziennego, jadę z kucharzami na wieś. Główny kucharz zabrał ze sobą bat. Nie wiedziałem, po co go zabrał. Weszliśmy do jedne-

go z gospodarzy, zajęliśmy ładnego, 120 kg wieprzka. Wieprzek 120 kg starczał nam na dwa obiady. Każdego dnia mieliśmy bardzo smaczne, pożywne zupy.

Będąc w tej samej wsi, zagadujemy mieszkańców innego gospodarstwa, będących na podwórku. Gęsi gęgają, kaczki kwaczą, koguty pieją, a największy wrzask robią indory swoim gluglaniem. Pogadawszy, pożegnaliśmy przyjemnych ludzi. Odchodząc, patrzę, indor z wyciągniętą szyją idzie za nami. Gospodarze śmieją się z tego widowiska, sądząc, że indor nas goni. Gdyśmy skręcili za opłotki, gospodarze już nas nie widzą, kucharz podnosi indora, bierze go pod pachę, wyjmuję mu haczyk z gardła, którego indor połknął z biczyska i powiada: „Panie poruczniku, dziś będzie wspaniała pieczeń". Gospodarze pewnie próżno szukali indora, który „wybrał los żołnierski". Wspaniała była pieczeń. Ale zjadłem tylko odrobinę, bo uznałem, że zupa z wieprzka była smaczniejsza. Muszę powiedzieć, że miałem wspaniałego kucharza, z zawodu rzeźnik. Każdego dnia mieliśmy gorący obiad. Zbierając po drodze to, co inni w popłochu gubili, mieliśmy wszystkiego pod dostatkiem: chleba, sucharów pełne skrzynie, konserw pełne kartony, smalcu, słoniny w dużych puszkach, papierosów „Junaków" pełne skrzynie. Nigdy, żadnego dnia nie byliśmy głodni.

Wreszcie dotarły nas wieści, że polski front załamuje się na wszystkich odcinkach. Mówią: wojna przegrana. Myślę, że moi żołnierze, przeważnie Białorusini, mogą się z tego tylko cieszyć.

W naszym wojsku, poruszającym się wciąż na wschód, nie widzę żadnego pojazdu mechanicznego, żadnego samochodu ciężarowego, osobowego ani motocykla. Naszych samolotów w ogóle nie widać. Przyszedł rozkaz, wyrzucić beczki z benzyną i wypuścić do rowu. Jakże ucieszyłem się z tego, bo to był naprawdę balast, którego nikt nie potrzebował. Przez to nasze wozy miały luz na artykuły żywnościowe, które wciąż zbieraliśmy po drodze.

Kilka dni, po opuszczeniu Bielska Podlaskiego, rankiem przechodzimy przez jakąś wieś. Cała spalona. Tylko przy jednym kominie na zgliszczach stoi zrozpaczony staruszek, siwiuteńki, dość wysokiego wzrostu, w białej, samodziałowej, lnianej sukmanie. Przypominał mi świętego Szczepana, ukamieniowanego na śmierć przez Żydów. Gdybym był malarzem, jeszcze dziś przeniósłbym obraz mojej wyobraźni i pamięci na płótno czy papier. Dopytuję się o przyczynę tak smutnego, tragicznego wydarzenia. Powiadano, że w tej wsi jakaś partyzantka zabiła polskiego oficera. Za karę za to spędzono do stodoły wszystkich mieszkańców tej wsi i wszystkich z całą wsią spalono. Staruszek widocznie nie był w tym czasie w domu i stał jako żywy świadek strasznej tragedii. Naokoło tej wsi rozległe, uprawne pola po żniwach.

Minęliśmy zrozpaczonego staruszka i zgliszcza. Nie było czasu na rozmyślanie nad zaistniałą tragedią, bo nagle słyszę warkot samolotów za mną. Spojrzałem w górę, widzę za spaloną wsią trzy samoloty, walczące ze sobą. Szybko popędziłem moją kolumnę do pobliskiej wsi, skryć się między ogrodami. Patrzę, walka samolotów idzie na całego. Po chwili jeden z nich trafiony pali się, koziołkując spada na ziemię. Pozostałe dwa chwilę pokrążyły nad spalonym i znikły z horyzontu. Była to jedyna walka w powietrzu, którą widziałem w wojnie polsko-niemieckiej. Nie dowiedziałem się, kto zginął, wróg czy swój? Przypuszczać mogę, że był to nasz ostatni samolot na naszym odcinku. Mówiono, że miejscowość ta nazywała się Nujno. Muszę podkreślić, że przechodząc przez miejscowości nie spotykaliśmy tablic ani drogowskazów. A jeżeli były, to wskazywały złe kierunki. To była robota partyzantek.

Przyglądając się walce samolotów, zobaczyłem uciekającego stamtąd konia pod siodłem. Galopuje skośnie w naszym kierunku. Zmobilizowałem wszystkich gońców i podoficerów i jazda, łapać konia. Nie było trudno go złapać. Od razu poznałem, że był to koń „zawodowy" z pięknym, najnowszego typu polskim siodłem, znanym mi dobrze z wykładów jazdy konnej. Natychmiast wskoczyłem na niego i galopem do mojej kolumny. Jazda na nim upewniła mnie, że jest to koń zawodowy, który uciekł jakiemuś zawodowemu oficerowi. Już go nie wypuściłem z mojej ręki. Piękny kasztan. Jakaż wspaniała była na nim jazda, zwłaszcza na wygodnym siodle.

Pewnego dnia przejeżdżamy przez wieś obok kościoła. Żołnierze wołają: „Panie poruczniku, prosimy, zatrzymajmy się, chcemy się pomodlić". Oczywiście, dałem znak do zatrzymania. Spora liczba żołnierzy pobiegła do kościoła pomodlić się. Mnie natomiast przypomniały się słowa Pisma Świętego: „Bóg nie mieszka w budynku rękoma ludzkimi zbudowanego" – Dzieje Apostolskie 7,48. Wprawdzie nie mogłem w tym momencie i w tej sytuacji zastosować słów Jezusa Chrystusa: „Gdy się modlisz, wejdź do komórki i tam się módl" – Mateusz 5,6. Ja tymczasem, przez cały czas wojny, każdego dnia modliłem się tak, jak Jezus. Wprawdzie nie w ogrodzie Getsemane, ale w lasach, w samotności, oddaliwszy się od zgiełku. W ciszy modliłem się o tych, którzy byli daleko ode mnie: Mateczka, żona, synek, osoby cywilne, które znalazły w mojej kolumnie przytulenie. Modliłem się o siebie, prosząc Boga, aby dał znak w domu, gdybym miał zginąć.

Żołnierze wrócili z kościoła. Ruszyliśmy dalej. Muszę wspomnieć, że nasze kolumny taborowe najpierw poruszały się na wschód. Dotarliśmy w okolice Pińska na Polesiu. Stamtąd dalej w kierunku na południe. Przeważnie lasy kryły nasze przemarsze. Były dla nas błogosławieństwem. Tereny odkryte musieliśmy widocznie pokonywać nocą, bo takich terenów mało pamiętam. W lasach pojawiały się partyzantki. Mówiono o ukraińskich.

Biwakując pewnego dnia w lesie, w niedalekiej odległości od nas słyszymy piechocińską strzelaninę, która trwała dość długo. Okazało się, że nasza piechota otoczyła pewną partyzantkę i ją zlikwidowała. Nie wiem, czy wszystkich wybili, czy wzięli do niewoli.

Innego dnia zatrzymujemy się na noc w pewnym lesie, dopiero rano mamy ruszyć dalej. Żołnierze, jak zwykle, wykonują swoje obowiązki, a kucharze dbają o jadło. W tym miejscu spotkaliśmy – moim zdaniem – maruderów w polskich mundurach. Mówili, że są rozbitkami, że oddziały ich zostały rozgromione przez Niemców. „Moje" niewiasty wdały się z nimi w rozmowę. Ja wolałem ich ani nie legitymować, ani z nimi rozmawiać, bo myślałem, że mogą być partyzantami albo szpiegami. Legitymując ich, nie wiedziałbym, co z nimi robić. Wolałem być daleko od nich. Późnym wieczorem kobietki podsłuchały ich, że rano chcą zlikwidować dowódcę kolumny, to jest mnie. Natychmiast mnie o tym uprzedziły. Pomyślałem: nie będę się z wami rozliczał, postaram się was wykiwać. Przez noc nie byłem sam. Raniutko, sprawnie uszykowała się kolumna do marszu, tym razem bez śniadania. Każdy żołnierz był zawsze dobrze zaopatrzony w konserwy i wszystko inne, więc w drodze zje swoje śniadanie. Zwykle w czasie marszu poruszałem się wzdłuż kolumny, tym razem stanąłem na czele. Zdrajcy na pewno czekali gdzieś wzdłuż kolumny. W każdym razie, nie mieli okazji mnie zlikwidować.

Żołnierze nabrali do mnie pełnego zaufania, bo starałem się o nich jak najlepszy ojciec. Wiedząc o tym, że wojna jest przegrana, pewnego dnia przyszli do mnie i mówią: „Panie poruczniku, przecież wojna jest przegrana, my mamy bardzo blisko do domu. Czy możemy iść?". Ja uśmiechnąłem się do nich i mówię: „Ja nie słyszę". Oni powtarzają: „Czy

możemy iść do domu?". Ja na to głośniej: „Ja nie słyszę!". Uśmiechnąłem się, odwróciłem i odszedłem od nich.

Na drugi dzień nie ma sierżanta, szefa kolumny i trzech żołnierzy, uciekli do domu. Za dwa dni wrócili zbici, prawie nago, tylko w bieliźnie. Partyzanci ich stłukli, rozebrali (bo potrzebowali mundurów polskich) i puścili. Skruszeni grzesznicy przychodzą do mnie i mówią: „Panie poruczniku, już nigdy nie uciekniemy". Odtąd nikt nie miał ochoty do ucieczki.

A moim żołnierzom powodziło się bardzo dobrze. Pan Bóg obdarzał nas piękną pogodą. Nigdy nie padał deszcz. Nie cierpieli głodu. Każdego dnia dostali gorący, treściwy, tłusty obiad. Na śniadanie i kolację mieli przy sobie dostateczną ilość konserw, chleba i sucharów.

Któregoś dnia dostałem rozkaz wyjazdu kilkoma wozami do pewnej wsi, celem wypieczenia chleba. Zajechaliśmy tam; była to większa osada. Odszukaliśmy miejscową, prymitywną piekarnię z zapasem mąki. Chłopaki wzięli się do roboty, bo miejscowych piekarzy nie było. Pewnie na nasz widok pokryli się. Z wypiekiem zeszło nam dość długo. W czasie pieczenia chleba pokręciłem się po wsi. Nie było nikogo z mieszkańców. Widocznie pokryli się po lasach. Ale przed kim? Dla mnie zagadka. Wreszcie wracamy ze świeżym chlebem. Jednostki, dla której przeznaczony był chleb, już nie było. Chleb pozostał dla naszej kolumny. Kilku oficerów z innych oddziałów ze zdziwieniem patrzą na mnie i mówią: „Nikogo nie zastaliście tam? Wróciliście cało i szczęśliwie?". Odpowiadam: „Nikogo. Jesteśmy cali, jak widzicie". Przecież tam znajdował się duży oddział partyzantów" – powiadają. To mnie zastanowiło: skoro chleb nie był nikomu potrzebny, to dlaczego akurat mnie wyznaczyli, aby tam pojechać? Wiedzieli przecież, że moja kolumna, jak i inne, nie dysponowała odpowiednim uzbrojeniem, aby zderzyć się z silną partyzantką. No, ale rozkaz jest rozkazem, co tam dużo rozmyślać. Bogu mogę dziękować, że partyzantów wyprowadził z danej wsi. Pewnie i mieszkańcy skryli się przed nimi.

Naloty wzmagały się z dnia na dzień. W czasie każdego nalotu, stojąc w lesie, kryjąc się pod wspaniałymi sosnami i drzewami liściastymi, wyczekiwaliśmy końca nalotu, aby dalej maszerować. Pewnego razu, chcąc dalej maszerować, stwierdzamy brak młodszej niewiasty z Wojtkiem. Dawaj ją szukać konnymi gońcami. Znaleźliśmy ją daleko w lesie, trzęsącą się ze strachu. Tak, jak ta starsza z dziećmi niczego się nie bała, tak ta wpadała w panikę i bezmyślnie uciekała w głąb lasu. Kilkakrotnie mieliśmy z nią kłopot. Wojtek doskonale się rozwijał na świeżym mleczku, które znajdowaliśmy zawsze z moim gońcem Januszem. Po długim szukaniu wreszcie znalazłem kwatermistrza, który jednocześnie był kasjerem. Ucieszył się, że mógł mi wypłacić pensję i żołd dla żołnierzy. Otrzymałem wypłatę aż do marca 1940 roku, gdyż kasjer chciał wyzbyć się pieniędzy, albowiem klęska nasza była coraz bliższa. Otrzymałem też w tym samym punkcie 500-litrową beczkę spirytusu, z czego ucieszyliśmy się bardzo. Spirytus pomagał nam trawić codzienne tłuste jedzenie, które czasami leżało w żołądku.

Dużo mówię o mojej kolumnie taborowej, a dotąd nie wspomniałem prawie żadnym słowem, jakie zadania wykonywałem z moją kolumną. Muszę sumiennie i szczerze powiedzieć, że poza wspomnianym wypiekiem chleba, żadnych innych zadań ani moja, ani inne kolumny mego zgrupowania do końca wojny nie otrzymały. Benzynę, którą woziliśmy kilkanaście dni, na rozkaz zniszczyliśmy, bo nie była potrzebna, albowiem nie było mechanicznych pojazdów ani samolotów. Tasiemcowe kolumny taborowe – wymysł jakiegoś wa-

riata – były ogromnym balastem. Rozbite w walce jednostki uciekając, gromadziły się na wschodzie: piechota, artyleria, kawaleria. Co się wyrabiało na skrzyżowaniach dróg, trudno opisać. Każdy rodzaj broni miał swój kierunek marszu. Jednostki krzyżowały się wzajemnie na skrzyżowaniach dróg. Musiałem użyć dużego wysiłku, popędzając woźniców, by utrzymali łączność: „pysk konia dotykać ma poprzedniego wozu". W ten sposób nie dopuściłem, aby mi piechota czy artyleria, czy kawaleria, przerwały moją kolumnę. Gdyby to się stało, spotkałby mnie los innych dowódców kolumn, których kolumny rozpadły się i zostali bez żołnierzy jako „rozbitkowie".

Ostatni nalot lotnictwa niemieckiego przeżyliśmy, maszerując groblą między dwoma jeziorami. Właśnie ta grobla, długości około kilometra, była silnie bombardowana. Groblę minąłem z moją kolumną szczęśliwie, jadąc na końcu kolumny. W tym momencie staje przede mną porucznik, kierując na mnie pistolet i rozkazuje: „Pan porucznik pozostanie na tym miejscu jako łącznik, wskazując kierunek marszu nadchodzącym jednostkom". Domyśliłem się, że jest tchórzem, bo na pewno on był tym łącznikiem. Ale nie mając ani ja, ani mój goniec broni, pozostałem, polecając gońcowi, aby moja kolumna trzymała się innych. Zsiadłem z konia, trzymając go za uzdę. Schroniliśmy się na początku grobli, pod rozłożystą ogromną wierzbą. A tu bomby pękają, jedna za drugą. Jedne dalej, drugie bliżej, inne całkiem blisko. Całe szczęście, że koń nie został ranny, bo ja mogłem skryć się za wierzbą, ale koń przedstawiał większą możliwość trafienia. Myślałem, że po wybuchu każdej bomby koń mi się wyrwie. Przeciwnie, za każdym hukiem koń, trzęsąc się, tulił się do mnie. Staliśmy jako nierozerwalni przyjaciele.

Bombardowanie grobli i okolicy trwało około dwóch, trzech godzin. Na szczęście ani ja, ani mój kasztan nie zostaliśmy ranni. Przez cały czas żadna jednostka nie przechodziła. Więc galopem dopędziłem moją kolumnę, która w pewnym miejscu biwakowała. Ale nim dopędziłem moją kolumnę, po drodze, na końcu grobli, widzę jakiś oficer samotnie walczy z cywilem. Z pewnością był to partyzant. Widząc mnie nadjeżdżającego, uciekł w zarośla. Napadnięty kapitan serdecznie podziękował mi za uratowanie. Nie wiem, jakim cudem znalazł się sam. Może dezerterował, może stracił swoją jednostkę? Bo takich oficerów bez jednostek w końcu było bardzo dużo. Wspomnę jeszcze o nich.

Od pewnego dnia ustały naloty samolotów niemieckich. W ich miejsce niespodziewanie ukazały się nad naszymi głowami nisko latające kukurużniki sowieckie, dwupłatowe samolociki, zrzucając na nas ręczne granaty, często wiązane łańcuchowo. Latały tuż nad wierzchołkami drzew.

Dowiedzieliśmy się, że Hitler zawarł ze Stalinem porozumienie co do podziału – „rozbioru" Polski. Tereny na wschód od Bugu i w prostej linii na północ, czyli na wschód od tzw. „linii Curzona", przyznano Związkowi Sowieckiemu. Dużo wojska polskiego znajdowało się właśnie na terenach, które przypadły Rosji Sowieckiej. Wojska te były zgrupowane w armii generała Kleeberga. Generał Kleeberg nawiązał kontakt z Marszałkiem Sowietów, Stalinem, proponując, czy też prosząc, aby Stalin wyraził zgodę na przemarsz Wojska Polskiego na Bliski Wschód z bronią w ręku. Stalin kategorycznie odmówił, oświadczając, że jednostki polskie będą rozbrojone i zostaną internowane. Takie warunki nie odpowiadały generałowi Kleebergowi. Nie chcąc dostać się do niewoli rosyjskiej, zarządził szybki marsz na południowy-zachód, oczywiście nie wypowiadając Rosji wojny. Sowieci zastosowali „nękanie" Armii generała Kleeberga nalotami kukurużników i czołgów, wówczas bardzo prymitywnych. Wojsko rosyjskie było bardzo źle uzbrojone.

Armia generała Kleeberga posuwała się wciąż na południe, zbliżając się do rzeki Bug. Nie zapomnę marszu nocnego jakąś groblą, szerokości jednego wozu. Noc była tak ciemna, że nic nie było można widzieć. W pewnym momencie zaświeciłem latarkę elektryczną i skierowałem światło na lewo i prawo. Osłupiałem, po obu stronach była woda. Nie mając mapy, nie wiem, gdzie to było. Podziwiałem, że koniska, ciągnąc wóz, jeden za drugim, nie spadły do wody. Znaleźliśmy się na płaszczyźnie w lesie. Jakże byłem szczęśliwy, że kolumna się nie rozerwała i obyło się bez wypadku.

Nękanie sowieckie nie ustawało. Po prostu naloty ich popędziły nas do szybkiego opuszczania im przydzielonych terenów. Nasze marsze były dłuższe, odpoczynki krótsze. Ludzie i konie przemęczone. Pewnego dnia, w jasny dzień, wyruszyliśmy do marszu bardzo rano, po rosie, przed wschodem słońca. Maszerujemy okolicą piaszczystą, tu i ówdzie samotna, karłowata sosenka. Słońce zaczęło przygrzewać. Tego dnia jadę na koniu na końcu kolumny. Nie wiem, kiedy koń i ja zasnęliśmy. Gdy się obudziłem, koń stał pod sosną, która rzucała rzadki cień. Kolumny nie widzę i naokoło nikogo. Dałem mojemu pięknemu kasztanowi lekkie ostrogi i galopem w pościg za kolumną, którą niebawem dogoniłem. Wreszcie dochodzimy do Bugu. Słyszymy rozkaz: „Przeprawa przez Bug mostem we Włodawie".

Most był zbombardowany, ale nie wiem, czy przez Niemców, czy przez Sowietów. Polscy saperzy [go] nareperowali, ale tak prowizorycznie, że chyba sam Pan Bóg przeprowadzał nas na drugą stronę. Wszyscy musieliśmy zejść z koni i wozów, konie chwycić za uzdy i ostrożnie posuwać się po kładkach, deskach, luzem pokładzionych. Do podziwu, jak konie trafiały nogami na deskę, a nie na lukę, szparę. Szczęśliwie armia Kleeberga znalazła się po stronie niemieckiej. Nękanie sowieckie ustało. Niemcy milczą. Błogi spokój.

Chyba dopiero po dwóch, trzech dniach, w ostatnich dniach września, rozpoczęła się walka z Niemcami. I tu generał Kleeberg próbował maszerować na południe, w kierunku Rumunii, ale stopniowo, z dnia na dzień, znaleźliśmy się w kotle, okrążeni. Dopiero teraz dochodziły moich uszu strzały frontowe. Dotąd kolumny taborowe były dalekie od frontu. Kolumny taborowe były bezczynne i [okazały się] strasznym balastem. Staliśmy w lasach, wygrzewając się na słońcu, tak można by powiedzieć. Tylko huk armat i karabinów maszynowych w oddali przypominał nam, że jesteśmy na wojnie.

Pewnego dnia podchodzi do mnie mój zastępca, podporucznik, który przez cały czas nic nie robił, tylko siedział na wozie z niewiastą z Szamotuł i jej Wojtkiem i powiada: „Panie kolego, wojna przegrana, uciekajmy!". Nie namyślając się i nie analizując jego powiedzenia, odpowiedziałem: „Dopóki będę miał choć jednego żołnierza, będę przy nim, a kolega może robić, co chce". Nie jestem pewny, jaką intencję miał, badać mnie czy rzeczywiście nawiewać, aby nie dostać się do niewoli. W każdym razie nie uciekł, pozostał do końca.

Pierścień okrążenia armii Kleeberga coraz bardziej się zacieśniał. Kolumny taborowe jako balast kręciły się z miejsca na miejsce, usuwając się, aby nie przeszkadzały piechocie i artylerii. Aczkolwiek prowiantu mieliśmy pod dostatkiem, ale aby zdobyć wiejski bochen chleba, oddawałem zań konia z wozem lub worek soli, która była rarytasem. Ale z czasem wieśniacy nie chcieli ani koni, ani wozów, bo nie wiedzieli, co z nimi robić. „Rolnik, który ma za dużo koni, może być przez nie zjedzony". Taka była prawda ludowa.

Wyzbywaliśmy się koni, bo coraz trudniej było z paszą. A tu kocioł stawał się coraz ciaśniejszy. Wybuchy armatnie słychać coraz bliżej. Dostaję meldunek, aby stawić się

w pewnym punkcie. Będąc tam, widzę po jednej stronie oficerowie, prostopadle do nich, po lewej i prawej stronie ustawione w dwuszeregu po jednej kompanii piechoty. W środku tej „podkowy" stoi pojedynczy żołnierz. Nie wiem, co to za dziwowisko. Zapytuję najbliższego oficera, o co tu chodzi. Powiada, że ten żołnierz ma być rozstrzelany. Panuje grobowa cisza. Zauważam, że brak oddziału egzekucyjnego. Po chwili występuje nieco naprzód podpułkownik i powiada: „Szeregowiec Nowak (takie było jego nazwisko) z Poznańskiego ukradł trzy chleby. Kradzież na wojnie jest surowo karana – śmiercią". Ciarki przeszły mi po plecach. Ponieważ nie widzę oddziału egzekucyjnego do wykonania wyroku, pomyślałem, że pułkownik po prostu wyznaczy dowolnie kogoś. Myśli moje suną z szybkością fali elektrycznej. Co zrobię, gdyby mnie wyznaczył? Zdecydowanie odmówiłbym wykonania zabójstwa, obojętnie na konsekwencje, jakie mogą mi grozić. Ale wtem słyszę dalsze słowa pułkownika: „Ponieważ szeregowiec Nowak ma żonę i dzieci, więc postanowiono wyjątkowo darować mu winę". Odetchnąłem i chyba wszyscy zgromadzeni. Po udzieleniu pouczeń pułkownik zarządził rozejście. A szeregowiec Nowak chyba miał poczucie, że się na nowo narodził lub zmartwychwstał.

Rozeszła się wiadomość, że generał Kleeberg chce utworzyć batalion szturmowy z oficerów, którzy postradali swoje jednostki. Jak widać, tych „maruderów" było w liczbie batalionu. Popłoch powstał wśród „maruderów". Podchodzi do mnie kapitan „maruder" i powiada: „Dostałem rozkaz przejąć pańską kolumnę". Na to moja odpowiedź: „A gdzie kapitan podział swoją kompanię?". „Nawet, gdyby mi pan pokazał rozkaz na piśmie, to i tak przepędziłbym pana". Wtem patrzy na mego pięknego kasztana i mówi: „Ten koń też jest mój". „No, widzi pan. Żołnierze opuścili pana i nawet koń. Pan go też nie dostanie". Kapitanek odszedł z kwitkiem. Do stworzenia batalionu szturmowego z „maruderów" nie doszło, z braku odpowiedniego uzbrojenia, a szczególnie amunicji.

Z uwagi na ostateczną walkę i rozprawę z Niemcami generał Kleeberg wydał rozkaz, aby wszystkich cywilów odsunąć od jednostek wojskowych. Po tym widać było, że zbliżamy się do zakończenia wojny. Mieliśmy w naszej kolumnie dwie niewiasty – matki i troje dzieci. Wóz z budą, w którym cały czas spędzała matka z Wojtkiem, przysposobiliśmy na pięć osób. Zaopatrzyliśmy je we wszystkie produkty, chyba na cały rok. Wóz w bardzo dobrym stanie i młoda, piękna klacz, krwi wileńskiej. Tak wyposażone, pożegnaliśmy je w lesie w pobliżu miejscowości Adamów koło Kocka. Dałem im moje adresy: do mojej Mateczki i do teściów w Czarnowie koło Torunia, z prośbą, aby napisały, że żyję. (Wiadomość do Czarnowa doszła, do mojej Mateczki nie doszła.) Niewiasty szczęśliwie dojechały, „po cygańsku", do Szamotuł.

W dniach 4-5 października 1939 roku rozegrała się ostateczna walka armii Kleeberga z Niemcami. Dnia 6 października nastąpiła kapitulacja na skutek braku amunicji. Bez amunicji walki prowadzić nie można. Walka ta zapisała się w historii Polski jako „walka pod Kockiem". Rano szóstego października, pięknego, ciepłego, słonecznego dnia, przyjechał do nas generał Kleeberg, wyjaśniając nam konieczność kapitulacji i jej warunki, ustalone z dowództwem niemieckim:

1. Wojsko Polskie będzie rozbrojone.
2. Oficerowie zachowają broń boczną (szablę).
3. Po przejściu do niewoli tak żołnierze szeregowi, jak podoficerowie i oficerowie, będą jak najszybciej zwolnieni do domu, oficerowie z zachowaniem broni bocznej.

Ustalono cztery punkty przejścia do niewoli. Generał Kleeberg podziękował żołnierzom za dzielność i odwagę. U wielu stanęły łzy w oczach. Generał zaapelował do wszystkich, aby przed przejściem do niewoli uporządkować wszystko, umyć, ogolić się, aby o nas zrobić na Niemcach dobre wrażenie. Życząc nam dobrej przyszłości, Generał Kleeberg ze smutkiem pożegnał nas.

66
Po kapitulacji

Dzień kapitulacji, 6 października 1939 roku, jak już powiedziałem, był ciepły i słoneczny, a do tego w powietrzu panowała cisza. Tylko tu i ówdzie wystrzał rewolwerowy kończył żywot ambitnego, honorowego oficera, który wybrał śmierć, zamiast klęskę i niewolę.

Moja kolumna przed przejściem do niewoli liczyła jeszcze 108 osób. Reszta się rozpierzchła. Szykując się do przejścia do niewoli, część broni zakopywano, nawet armaty. Czy one kiedykolwiek się przydały, bardzo wątpię. Do przygotowania się do niewoli mieliśmy cały dzień do dyspozycji. Każdy się mył, golił, czyścił mundur i buty. Konie spożywały ostatni obrok z rąk polskich żołnierzy. Mój piękny kasztan przymizerniał. Ciągłe marsze dały mu się we znaki. Ja ubrałem galowy strój: mundur zielonego koloru, bryczesy (spodnie do cholewy) koloru beżowego, długie buty z cholewami z ostrogami.

Wreszcie nadeszła godzina marszu do punktu kontrolnego. Było to pod wieczór. Maszerujemy oddziałami. Na punkcie kontrolnym, przejeżdżając na moim kasztanie obok Niemców, słyszę ich słowa: „Na, dieser sieht sehr ordentlich aus”[137]. (Spełniłem życzenie generała Kleeberga, aby na Niemcach zrobić dobre wrażenie.) Za chwilę musiałem zejść z konia, pójść w lewo, gdzie była zbiórka oficerów, a mego kasztana odprowadzono do koni. Potem wozy szły dalej. Broń rzucano na kupę. Oficerowie, niestety, musieli złożyć broń boczną.

Gdyśmy się znaleźli w niewoli, było już ciemno. Nas, oficerów, ulokowano w plebanii. Rozłożyliśmy się na podłodze. Miałem ze sobą tylko tzw. „chlebak” (torbę przewieszaną przez ramię). W torbie pełno sucharów i konserw. W kieszeniach munduru pełno pieniędzy (siedmiomiesięczna pensja dowódcy kolumny, przeszło siedem tysięcy złotych).

Rano 7 października przyszedł do nas kapitan niemiecki i pyta, kto z nas umie po niemiecku. Prawdopodobnie poczuł naszą powściągliwość i wyjaśnia sprawę, mówiąc: „Jedna z baterii artylerii jeszcze nie przeszła przez punkt kontrolny. Więc chodzi o to, by ją odszukać”. Krótko myśląc, zgłosiłem się, a za mną jeszcze jeden z oficerów. Pojechaliśmy „dżipem” przez pola i zalesienia. W czasie jazdy opowiadał nam (kapitan), że te tereny zna jeszcze z I wojny światowej, o czym świadczyły jego blizny na twarzy. Robił wrażenie bardzo szlachetnego, inteligentnego człowieka. Po około dwóch godzinach, nie znalazłwszy owej baterii (pewnie wsiąkła w ziemię), wróciliśmy do plebanii.

Tego samego dnia, 7 października, przewieziono nas oficerów samochodami ciężarowymi do koszar w Dęblinie. Po drodze mijaliśmy nasze „sławne” kolumny taborowe. Zauważyłem mego kasztana, ale zaprzęgniętego do wozu. Jako wierzchowiec był nieprzy-

[137] No, ten wygląda porządnie.

zwyczajony do wozu, więc dreptał jak panna w tańcu. Wjeżdżając wieczorem na plac koszarowy w Dęblinie, zaczął padać deszcz ze śniegiem. Tak, jakby Pan Bóg płakał nad naszą klęską. Cały czas wojny Bóg obdarzał nas piękną, słoneczną pogodą bez jednej chmurki. Płatki śniegu zmieszane z deszczem, jak na początek października, było to trochę dziwne, za wcześnie.

Oficerów ulokowano w budynkach koszarowych, a żołnierzy (szeregowych i podoficerów) przy tak złej pogodzie spędzono na placu pod gołym niebem. Tulili się na zmianę przy rozpalonym dużym ognisku na środku placu koszarowego. Na drugi dzień, 8 października, załadowano nas do węglarek na stacji w Dęblinie. Wagony stały na wprost budynku stacyjnego. Z pierwszego piętra młodzi hitlerowcy drwili i naśmiewali się z nas, wołając: „Erschiessen die polnischen Banditen!”[138].

Rozładowano nas w Radomiu też w koszarach. Tam byliśmy też tylko jeden dzień. Dnia 9 października wiozą nas do Kielc, do koszar. Tu jesteśmy 2 dni. Mieszkańcy miasta przynosili nam w wiadrach treściwą zupę i to, co kto miał. Dnia 11 października przetransportowano nas do Jędrzejowa. Tu umieszczono oficerów razem z szeregowymi w magazynach młyna elektrycznego. Piętra magazynu były o betonowych posadzkach, od ścian pochylone do środka. Na całe szczęście, bo w środku były krany, z których ciągle ciekła woda. Tylko pod ścianami było sucho, gdzie skuleni mogliśmy na posadce cementowej siedzieć lub spać.

Na drugi dzień, 12 października, dostaliśmy po raz pierwszy od kapitulacji, po pięciu dniach, kapuścianą wodę. To miała być zupa. Była to gorąca woda z tu i ówdzie pływającymi płatkami kapusty. Ludność Jędrzejowa ofiarnie organizowała dokarmianie nas. Najbardziej cieszyliśmy się z przynoszonych zup. Piechociarze cieszyli się ze wszystkiego, gdyż nie mieli żadnych zapasów. Byliśmy ogrodzeni drucianą siatką, w której robiliśmy dziury, aby otrzymywać pomoc z zewnątrz. Codziennie obóz nasz wyglądał jak targowisko. Oficerowie mogli nawet robić zamówienia, płacąc gotówką za rzeczy, które mieszkańcy musieli kupić. Od służby obozowej otrzymywaliśmy codziennie zupę kapuścianą.

Z dnia na dzień wyczekiwaliśmy na spełnienie przez Niemców warunków kapitulacji: zwolnienie do cywila.

W kilkutysięcznej masie niewolników znalazłem przypadkowo znajomego, Wądzyńskiego z Iłowa, syna kapelmistrza ludowego z Narzymia, który zmarł przed II wojną światową. Ucieszyliśmy się wzajemnie. W razie zwolnienia, razem będziemy zdążali do domu. Po kilkunastu dniach rzeczywiście zwolnili grupę Poznaniaków. Dwa dni po nich grupę Pomorzaków, do której należeliśmy ja i Wądzyński.

67
Jesteśmy wolni

Czy naprawdę wolni? Kim teraz jesteśmy? To, że 31 sierpnia 1939 roku, będąc w Brodowie, zamiast czmychnąć za Działdówkę, do Niemiec, pojechałem do Sokółki, aby

[138] Rozstrzelać tych polskich bandytów.

dać się zmobilizować jako oficer, dowódca jednostki Wojska Polskiego, i brać udział w wojnie przeciw Niemcom, jest chyba dostatecznym dowodem mojej polskości.

Czyli byłem Polakiem? Kim jestem teraz? Polski nie ma. Po dwudziestu latach [została] znów rozebrana przez Niemców i Rusków.

Jak tu się znaleźć w nowej rzeczywistości?

Po zwolnieniu z niewoli bez zaświadczenia, powiedziano nam: „Mamy iść do domu". Do domu! Jak jest w naszym domu? Co działo się w naszych domach, gdyśmy byli na wojnie? Oto pytanie, które zaprzątało nasze myśli, mijając bramę obozu niewolników w Jędrzejowie. Jak dostać się do naszego domu?

Z Jędrzejowa do Brodowa w prostej linii jest kilkaset kilometrów. Najpierw udajemy się na dworzec kolejowy, dowiedzieć się, czy chodzą jakieś pociągi. Mówią nam, że linia kolejowa: Kielce – Starachowice – Radom – Warszawa jest nieczynna. Można jechać tylko na Częstochowę. Ale to nas nie bardzo urządza. Nawet Wądzyński jako katolik nie wspomniał, że przy okazji pomodliłby się do obrazu „Czarnej Madonny". Może przez skromność nie wspomniał o tym, gdyż był bez grosza, finansowo zależny ode mnie. A mnie nie przyszło do głowy, aby taką wycieczkę na „Świętą Górę" mu zaproponować. A przecież mógłbym być przewodnikiem, bo znałem zakamarki „Świątyni Matki Boskiej Częstochowskiej". (Byłem tam przed wojną z Zalewskim z Krasnołąki, nawet w zakrystii – nie, nie – nie jako ministranci, tylko jako wycieczkowicze, we dwójkę, prowadzani przez jednego z księży po całym skarbcu. Och, jak pragnęliśmy wtedy, tak cichaczem, włożyć jedną ze złotych koron królewskich nie na głowę, lecz do torby. Ale to nie szło zrobić, bo każda korona i inne drogocenne klejnoty były zabezpieczone w specjalnych gablotach.) Wychodząc z niewoli, ani święte obrazy Maryjne, ani złote korony, nie były nam w głowie. Pragnęliśmy jak najprędzej być w domu, wśród rodziny, wśród swoich. Dowiedzieć się, co tam się działo?

Pociąg do Częstochowy jest podstawiony. Wsiadamy. Czy płaciliśmy, czy nie? Tego nie pamiętam. Ale chyba płaciłem, bo złotówki były w obrocie. Z Częstochowy przez Radomsko, Piotrków Trybunalski dojechaliśmy do Łodzi. Będąc w polskich mundurach, nie mieliśmy odwagi gdziekolwiek się zatrzymać. Z Łodzi dojechaliśmy koleją do Łęczycy. Pociąg szedł wprawdzie dalej do Włocławka, ale to nam nie pasowało, więc wysiedliśmy w Łęczycy.

Ponieważ nikt nam nie mógł powiedzieć, kiedy pójdzie pociąg do Kutna, Płocka, więc w Łęczycy znaleźliśmy polskiego taksówkarza, który zgodził się nas „podwieźć". Dokąd? Tego nie mógł powiedzieć. W każdym razie, jechaliśmy, jechaliśmy, aż znaleźliśmy się w Sierpcu. Tu taksiarz powiedział: „Dalej nie jadę". „Dalej jest niebezpiecznie". Nie mógł nam dać dowodów „niebezpieczeństwa", ale kategorycznie odmówił dalszej jazdy. Zapłaciłem, ile żądał, bo zresztą z góry dałem mu pewną sumę, aby wiedział, że za darmo nas nie wiezie. Zajechaliśmy do jakiegoś skromnego hotelu. Zjedliśmy, co tylko dostaliśmy. Taksówkarz odjechał, a myśmy zostali w hotelu na noc, bo słusznie należał się nam odpoczynek. Przez całą drogę nie byliśmy ani razu kontrolowani, ani zatrzymywani. Wszędzie panował spokój. Polacy na pewno woleli się nie pokazywać na ulicach. Zresztą, duża liczba mieszkańców tułała się na terenach wschodnich, będąc ewakuowana. Mimo woli wspomniałem, czy też „wojskowe kobietki z Wojtkiem" dotarły do domu, do Szamotuł.

Po wyspaniu się w hotelu w Sierpcu przy śniadaniu rozmawiamy z Wądzyńskim o dalszej naszej marszrucie. Zastanawiamy się nad słowem „niebezpieczeństwo", które

wymienił taksiarz. Co to może być? Na wszelki wypadek, bądźmy ostrożni. Takie było nasze postanowienie. Wądzyński proponuje, abyśmy nie szli wprost do domu (ja do Brodowa, on do Iłowa), lecz zatrzymali się w Krempie. Tam w Krempie, blisko Narzymia i Iłowa, ma zamężną siostrę, u której się zatrzymamy i dowiemy się, co dzieje się w powiecie działdowskim. Dobra, powiadam. W Sierpcu szukamy taksówki. Nie dostajemy. Pozostało nam iść pieszo. Pocieszamy się, że to już niedaleko. Obciążenia żadnego nie mamy, więc jakoś damy radę.

Maszerujemy szosą. Po jakimś czasie wstępujemy do jakiegoś gospodarza, napić się wody. Wchodzimy do kuchni, zastaliśmy gospodynię nakrywającą stół do obiadu. Zaleciał mi zapach zacierek i smażonych ziemniaków. Och, jakbym chętnie zjadł zacierek na mleku ze smażonymi kartoflami. Widząc kilka talerzy na stole, nie miałem odwagi poprosić o poczęstunek. A gospodyni od siebie też nie zaproponowała strawy „przegranym żołnierzom". Napiliśmy się wody i dalej w drogę. Gdzieś po drodze spotkaliśmy dziedzica majątku Pożary, powiat Działdowo, który uciekał jednokonną bryczką. Zatrzymaliśmy się. Rozmawiamy. On w krótkich słowach naświetla nam sytuację, panującą w Działdowie i mówi o aresztowaniach. „Panie Małłek, tylko niech pan tam nie jedzie" – powiada. Dziedzic ruszył w dalszą drogę do Sierpca... A my, co? „Tylko nie tam"? A więc dokąd? Ponieważ jesteśmy już bliżej onej Krempy, więc kusi nas dowiedzieć się więcej. Idziemy, nikogo nie spotykając. O szarówce, wczesnym wieczorem, ostrożnie wchodzimy do wsi.

W Krempie cisza. Pukamy do drzwi krewnych Wądzyńskiego. Po chwili, cichutko, otwierają się drzwi. We drzwiach siostra Wądzyńskiego. Poznali się, rzucili się na szyję. Popłynęły łzy radości. Wądzyński przedstawia mnie. Nazwisko nasze było Wądzyńskim bardzo dobrze znane. Powoli wychylają się twarze mężczyzn. Wciągają nas do środka. Gospodyni krząta się naokoło poczęstunku, a mężczyźni opowiadają, co się dzieje „za granicą", to znaczy w powiecie działdowskim. Gdy wspomniałem, że jestem z Brodowa, powiedzieli mi, że „tu mamy kogoś z Brodowa, nazywa się Kolarski". „Przecież to nasz sąsiad" – powiadam. Ucieszyłem się bardzo. (Kolarski mieszkał u Kanigowskiego, za naszym płotem.) „My go zaraz zawołamy". Ktoś z chłopców pobiegł, aby zawołać Kolarskiego. Za jakieś pół godziny wchodzi Kolarski. Gdy zobaczył mnie, przywitaliśmy się serdecznie. Wprost ze łzami woła: „Panie Małłek, niech pan tylko nie idzie do domu. Co tam się dzieje. Pański brat Robert jest aresztowany, w więzieniu". Pomału się uspokoił i zaczął opowiadać, jak Niemcy męczą Polaków. „Pański brat Jan i wójt Żywiec też są aresztowani" – powiada. Pewną pociechą była wiadomość, że moja Mateczka, siostra Hedka, moja żona i synek żyją i są w domu. „Tylko niech pan tam nie idzie. Przyjdzie pan do mnie i będziemy razem mieszkali. Mam małą chałupkę". Ucieszyłem się zaproszeniem, nie wiedząc, w jakie warunki tam wejdę. Nagadaliśmy się do północy o wszystkim, co domownikom było wiadome. Wądzyński pozostał u siostry. Dziękował mi serdecznie, ponieważ dzięki mnie, wcześniej znalazł się w domu. Pożegnaliśmy się po żołniersku. Nigdy więcej nie spotkaliśmy się w życiu.

O północy Kolarski prowadzi mnie do swej chaty. Chatka jego, to prawdziwa chatka. Wejście z dworu wprost do małej kuchni z dość dużą płytą do gotowania. Nad nią baldachim połączony z kominem, który „połykał" wyziewy kuchenne. Z kuchni wchodziło się do dość obszernego pokoju, w którym stało duże, szerokie, drewniane łóżko, wysłane słomą. Nie pamiętam, czy tam była szafa, chyba nie. Może tylko dwa krzesła. W kuchni był mały stolik. W kuchni, nad płytą, pod baldachimem wisiały pasy słoniny, z której spadały

tłuste, białe robaki. „Smacznego, panie Edwardzie" – pomyślałem. To była cała chatka. Okna z trzech stron, tylko północna ściana nie miała okna.

Kolarski, wszedłszy do swojej chaty, po zapaleniu naftowej lampki, powiada: „Tu będziemy siedzieć; uzbroimy się w łopaty i siekiery i będziemy się bronić". „A tu – wskazując łóżko – będziemy po bratersku spać". Piękna perspektywa. Zmęczony długą podróżą, śpiąc razem z Kolarskim w jednym łóżku, ja od brzegu, on od ściany, zasnąłem błogim snem. Wprawdzie przez sen słyszę jego duszący tytoniowy kaszel, w gardle jego „gotuje" się jak w tyglu. To mnie, po pewnym czasie, obudziło i już do rana nie zasnąłem. Cierpliwie czekam ranka, wysłuchując gwizdów chrapania, „gotowania kartofli" w gardle Kolarskiego. Ale jak tu przepędzić tańczące pchły? Ot, problem. No trudno, trzeba się podrapać tu i tam i niech sobie tańczą. Wytrzymało się kiedyś pluskwy, karaluchy w Warszawie, to dlaczegóż by nie wytrzymać pcheł i tłustych robaków, spadających na płytę kuchenną. Jakże cieszyłyby się kury, gdyby je mogły połykać – pomyślałem.

Rano wstaliśmy. Po umyciu się Kolarski szykuje śniadanie: odkrawa kawał słoniny, z patelni zgarnia tłuste robaki, które w międzyczasie spadły do ognia, gdzie pękają z trzaskiem, podniecając ogień. Dalej kroi słoninę w plastry, kładzie na patelnię i smaży. Nie wiem, czy w międzyczasie któryś z robaczków nie wpadł do patelni, bo nie patrzyłem. Dalej rozbił jaja, które pokryły słoninę i za chwilę była jajecznica z chlebem i herbatą na stole. „Proszę, niech panu smakuje, na zdrowie". A jakże, smakowało. Dobrze, że siedziałem tyłem do płyty kuchennej i nie patrzyłem na spadające „słoninowce". Po śniadaniu rozejrzałem się nad położeniem naszej „twierdzy obronnej". Chatka stała samotnie w polu, w gołym polu, w odległości pół kilometra od wsi. Naokoło pole, płaszczyzna. Od północy w odległości jednego kilometra las. Widoczność wspaniała. Z okna w kuchni można obserwować las, z pokoju wieś. Jednym słowem, warownia. W kątach kuchni łopaty, drągi, siekiery do... obrony...!

Po śniadaniu poszliśmy do wsi do znajomych Kolarskiego. W rozmowie zapytałem obecnych, czy znalazłby się ktoś odważny i poszedłby do Brodowa, do mego domu. Jeden z mężczyzn, około czterdziestoletni, zgodził się, powiada: „Ja mogę pójść". Pouczyłem go, jak może trafić, nie pytając nikogo: „Minie pan wieś Narzym, zbliżywszy się do Brodowa, nie musi pan iść przez wieś, tylko ścieżką za stodołami. Zauważy pan stodołę najbardziej wysuniętą w pole. To jest nasza stodoła i nasze gospodarstwo. Tam, od pola, wejdzie pan na podwórko. Gdyby pana pode drogą ktoś pytał, czego szukasz, niech pan powie, że idzie pan do Małłka kupić siana". (Wszyscy w Brodowie wiedzieli, że moi rodzice nadmiar siana sprzedawali.) Mając takie „aliby", odważny człowiek (nie pamiętam nazwiska) poszedł do Brodowa, zabierając ode mnie tylko świstek, na którym napisałem, że potrzebuję cywilne ubranie i buty.

„Goniec" bez trudu, niezatrzymany przez nikogo, osiągnął cel, wręczając mojej Mateczce karteczkę, mówiąc: „Ta karteczka jest od waszego syna, oficera". Jakże Mateczka musiała się ucieszyć, słysząc, że ja żyję. Nie wiem, czy przypomniała moje słowa przy pożegnaniu: „Mateczko, nie płaczcie, ja wrócę". Oto dowód, że Bóg zachował mnie przy życiu, aczkolwiek poszedłem na wojnę. Mateczka ugościła „posłańca", a karteczka powędrowała na pole, do mojej żony, która pracowała przy wykopkach buraków i brukwi. Żona, czytając karteczkę, podskoczyła w górę, rzuciła nóż do obcinania liści, biegiem pobiegła do domu, aby od posłańca dowiedzieć się więcej o mnie. „Posłaniec" wrócił i opowiedział mi o swojej wyprawie. Serdecznie podziękowałem mu za jego grzeczność i odwagę.

Na drugi dzień, raniutko, jeszcze po rosie, widzę przez okno i przez mgłę, ktoś rowerem wyjeżdża z lasu. Za chwilę poznaję moją odważną, kochaną Jadźkę, zdążającą w kierunku naszej „twierdzy". Wybiegam z chaty, daję znać podniesioną ręką. Jadźka przyśpieszyła jazdę. Zziajana, rzuca rower, padamy sobie w ramiona, ciesząc się ogromnie z naszego spotkania. Wchodzimy do „twierdzy". Jadźka wykłada z torby cywilne ubranie i buty oraz dużo jedzenia. Nie wiem, czy zauważyła robaki na płycie kuchennej. Byliśmy po śniadaniu, więc interesowało mnie bardziej, co w domu słychać. Przede wszystkim zapytałem o zdrowie Robusia, Mateczki, rodzeństwa. Dowiedziałem się, że poza bratem Robertem, który został aresztowany, wszyscy inni są w domach. Jan, który był aresztowany, maltretowany, zbity w więzieniu w Olsztynie, został zwolniony, może ze względu na krwotoki.

Moja żona opowiada mi, że brat Robert wrócił z ewakuacji zawszony, wygłodniały. Mateczka go oczyściła i ubrała w świeże ubranie. Wrócił z Polski w takim stanie, w jakim był ów żebrak, którego oczyściliśmy w Brodowie w 1920 roku. Jadźka namawiała Roberta do ucieczki z Brodowa, bo może być aresztowany. „Dokąd uciekać? Dokąd uciekać? Do Polski? Przecież stamtąd wracam. Widzisz, w jakim stanie" – odpowiada. Nie miał odwagi. „Pójdę do Kurek" – dodaje. Tam był nauczycielem, przez wszystkich lubiany. W szkole nie mógł mieszkać, bo była zajęta. Karczmarz Samulowicz dał mu pokój na pierwszym piętrze, nad lokalem. Tam Jadźka go odwiedzała i wciąż zachęcała go do ucieczki, że pójdzie z nim i wyprowadzi go do Polski. Będąc u Roberta w jego pokoiku na piętrze, słyszała krzyki, lamenty bitych, katowanych, maltretowanych Polaków.

„Robert, słyszysz te cierpienia? Uciekaj stąd" – Jadźka wciąż go namawia do ucieczki. „...Kiedy Kurkowiacy zapewniają mi, że nic mi złego nie zrobią, że mam być pewny i spokojny" – odpowiada Robert. Nasłuchawszy się krzyków bitych Polaków w karczmie w Kurkach, Jadźka wraca do Brodowa. Robert ją odprowadza. Pode drogą, Jadźka nie przestaje go namawiać do ucieczki. Rozstając się z Jadźką, powiedział ostatnie słowa: „Jutro przyjdę do domu i ruszymy w drogę".

Jutro nie przyszedł na umówiony czas, więc Jadźka rowerem pojechała do Kurek, gdzie dowiedziała się, że rano tegoż dnia został aresztowany i wywieziony do Działdowa. Tam, w więzieniu, widziano go, jak musiał czyścić ustępy. Z Działdowa wywieziono go do więzienia w Olsztynie. Stamtąd do obozu pracy (koncentracyjnego) w Hohenbruch, koło Labiau w pobliżu Königsberg.

Taką relację przekazuje mi Jadźka o Robercie. Straszna to była wiadomość.

„Ale wiesz, czym się najbardziej martwimy i lękamy w domu? Karol przyjechał z Warszawy z żoną, trzema synami i Bronką (szwagierką) i wszyscy są u nas w domu" – powiada Jadźka. „To niemożliwe!" – wykrzyknąłem. „Tak, tak, to prawda. Przyjechali dwa dni temu, pociągiem z Warszawy do Narzymia, nocą. Żonę z trzema synami i Bronkę zostawił z bagażami w poczekalni, a sam przyszedł, przez nikogo niewidziany, do domu. Gdyśmy go zobaczyli, wszyscyśmy struchleli". Co on dobrego zrobił? W domu dowiedział się wszystkiego o Janie, Robercie, wójcie Żywcu itd. Jan pojechał jeszcze nocą i przywiózł jego rodzinę. Cały dom w strachu. Na razie nikt nie wie, że Karol (prezes Związku Mazurów) jest w domu. „Dzisiaj Karol wysłał Wilę (żonę) i Bronkę (szwagierkę) do swych dawnych kumpli »po kielichu«, w przekonaniu, że można będzie Niemcom wszystko wyklarować. Mają wybadać sytuację. Jutro przyjadę do ciebie, to ci wszystko powiem, czego się dowiedzą. A ty zostań tutaj tak długo, aż wybadam, czy bezpiecznie możesz wrócić do domu".

Tyle ważnych, smutnych, tragicznych wieści przekazała mi moja kochana, jakże odważna i dzielna Jadźka, która narażając się na niebezpieczeństwa kursowała między Brodowem a Kurkami, a teraz między Brodowem a Krempą samotna, przejeżdżając o świcie i wracając o zmroku przez las. Jadźka zabrała moje żołnierskie umundurowanie i buty oficerskie z ostrogami, pożegnawszy się czule ze mną, pojechała do domu. „Jutro będę" – słowa na odjazd. Odtąd jestem znów cywilem.

W domu Jan zaprzągł konie do bryczki i ze strachem wiezie Wilę i Bronkę do Działdowa. Nad nimi fruwają „niewidki" – gołąbki pokoju, gruchające słowa Karola: „Przecież Niemcom można będzie wszystko wyklarować". Dzisiaj „Die Grünen"[139] nazwaliby je: „Die Friedensobotinnen" – Posłanki Pokoju.

W Kisinach zatrzymują się przy karczmie. Wstępują do najlepszego przyjaciela Karola, karczmarza Franza Lenherta. Lenhertowie, widząc Wilę (bo Bronki nie znali), ze strachu zamykają drzwi na klucz. Witają się dość grzecznie, ale czują, że rozmowa jest zarzucona pajęczyną strachu. „No tak, tak, świadczyć za Karolem, no tak, tak, ale co powiedzą inni o Karolu" – mówi pan Lenhert. Żegnając „Posłanki", Lehnert poważnie radzi: „Niech Karol się nie pokazuje!". „Pocieszenie" wyniesione od Franza niewarte było antałków piwa, wypitych u niego przez Karola, zakąsanych wędlinami, pieczeniami, zakrapiane „Kornusem", czyściuchą. Niewarte było tych tysięcy złotych, straconych u „przyjaciela" Franza. Bohaterskie „Posłanki", wprawdzie przygaszone radą Franza, nie tracą nadziei, jadą dalej, aby dowiedzieć się, „co inni powiedzą o Karolu".

Zajeżdżają do drugiego dobrego przyjaciela „po kielichu", pana Segnotata w Działdowie, mistrza kominiarskiego, powiatu działdowskiego. Segnotata nie zastały w domu, tylko jego żonę. Z miejsca słyszą głosem podniesionym słowa Segnatotowej: „Co, zaświadczyć za Karolem Małłkiem? Przecież to zbrodniarz! Przestępca! On sporządził listę Niemców, którzy zostali internowani! To zbrodniarz, zdrajca! My tylko czekamy na niego!". Słowa te zagłuszały wołanie Wili: „To nieprawda! To nieprawda!". Słowa te nie docierają do ucha Segnatotowej. Pod hukiem słów: „Zdrajca, zbrodniarz!" Wila załamuje się, mdleje, pada. Ocucają ją szklanką wody.

Załamane, zrozpaczone, opuszczają szybko, jak tylko mogą, dom „serdecznego przyjaciela". Grzmot słów: „Zbrodniarz! Zdrajca!..." uderza w uszy, bębenek o mało nie pęka. Prześladowane temi słowami, pędzą czym prędzej do domu, nic nie widząc, tylko słysząc słowa: Zbrodniarz! Zbrodniarz! Zdrajca! Zdrajca!...

Dowiedziały się też, że hitlerowcy odgrywają z taśmy przemówienie Karola, wygłoszone na polach Uzdowa, dnia 20 sierpnia 1939 roku, drwiąc, wyśmiewając się, dysząc zemstą przeciwko „Królowi Mazurów".

Zdruzgotane, załamane na duchu i ciele „Posłanki" wracają do domu. Najpierw z powodu doznanego rozczarowania nie znajdują słów, aby przemówić. Dopiero na naleganie Karola przedstawiły mu tragiczną sytuację. Karol zawiódł się na najlepszych „przyjacielach". Ogarnął go lęk. Dopiero zrozumiał, że „baran" wpadł do klatki żarłocznego lwa. Jak się z tej klatki wydostać? Oto problem, nad którym poczęto się zastanawiać w domu. Z takimi przykrymi wieściami przyjechała do mnie Jadźka następnego dnia.

Nie zastanawiając się długo, powiadam: „Powiedz Karolowi, niech czym prędzej ucieka tutaj, do nas, a stąd dalej". Karol przyjął tę radę. Tylko jak się wydostać z Brodowa, nie będąc zauważony? Karol zastanawiał się nad tym chyba 2-3 dni, kryjąc się za szafą, gdy

[139] Partia „Zielonych" w RFN.

ktoś z obcych wchodził do domu. Domownicy wyczuwali, że niektórzy brodowiacy domyślali się, że Karol jest w Brodowie. Być może, że wtedy nikomu nie było jeszcze wiadome, że za złapanie Karola wyznaczono nagrodę sto tysięcy marek. To była na owe czasy ogromna suma.

Każdego dnia rankiem wypatrywałem Karola, ale zawsze była to moja dzielna Jadźka, która codziennie zaopatrywała mnie w jedzenie, obdarowując mnie miłością. Pewnego dnia Jadźka powiada: „Jutro nie będę, bo jutro raniutko wybiera się Karol rowerem do was". Wstaliśmy z Kolarskim bardzo rano. Prawie nie jedząc śniadania wypatrujemy przez okno Karola. Nie jedzie i nie jedzie. Pomyśleliśmy, że go gdzieś złapali. Dzień był bardzo mglisty. Wreszcie wychyla się z lasu. Odetchnęliśmy. Wpada zziajany, zszargany, mokry od gęstej mgły. Powiada, że błądził w lesie i to mu zajęło dużo czasu. Przywitaliśmy się serdecznie. Szczęśliwie wyrwał się z „klatki lwa". Teraz jakoś tam będzie. Ale jest nas teraz już trzech mężczyzn. Łatwiej się bronić...? Nie. Trudniej w trójkę spać. Ale Kolarski na noc zostawił nas samych, udając się do swoich krewnych we wsi. Robaki na płycie i „taniec" pcheł przestraszyły Karola. „Stąd trzeba uciekać" – powiada. Przytaknąłem mu.

Rano przyjechała Jadźka, aby dowiedzieć się, czy Karol szczęśliwie dotarł do nas. W każdym razie Karol, nikogo pode drogą nie spotkał, więc byliśmy pewni, że go nikt nie ściga. Ta wiadomość pocieszyła też Wilę i wszystkich domowników, a szczególnie kochaną Mateczkę, która drżała o każdego, rozpaczając o Roberta, od którego otrzymano wiadomość, że z lagru wyprowadzają ich do kopania ziemniaków, ale gołymi rękami, bez motyki. Palce mają zdarte aż do żywego ciała. Mateczka wysłała mu zaraz paczkę z rękawicami, opatrunkami i żywnością. Ale paczka gdzieś pod koniec grudnia wróciła. Nie wiedziano, dlaczego.

Następnego dnia Karol wybrał się w dalszą ucieczkę do Karólkowskiej w Turzy, powiat Mława. Karólkowska posiadała duży sad owocowy. Jeździła z owocami do Brodowa i zawsze u nas nocowała.

O dalszych losach Karola, czytaj jego wspomnienia.

Wila, żona Karola, z dziećmi pozostała w Brodowie u naszej Mateczki, a właściwie będąc ciężarem Jana, który po śmierci ojca był właścicielem gospodarstwa. Wili Niemcy dawali spokój, bo ona legitymowała się jakimś dokumentem z czasów Kaisera Wilhelma II. Dzieci chodziły do szkoły niemieckiej w Brodowie. Dom rodzinny był pełen ludzi. Ale nie do roboty. Mateczka z Hedką miały pełne ręce roboty z synowymi: Wila z trojgiem dzieci: Ryszardem, Leopoldem i Januszem, moja żona z Robusiem. Razem do stołu było dziewięcioro osób, domowników, nie licząc służących. Moja Jadźka, choć nieudolnie, ale coś niecoś pomagała w gospodarstwie, nawet w pracach polowych. Ale Wilutka dała się obsługiwać.

Karol szczęśliwie dotarł do nowej swej kryjówki u Karólkowskiej w Małej Turzy koło Mławy. Z tą chwilą moje i jego losy poszły innymi drogami.

U Kolarskiego byłem chyba tydzień, może dłużej. W tym czasie moja żona sądowała u brodowskich hitlerowców (Augusta Schulza i Fritza Zywtza, u którego w karczmie odbywały się zebrania partyjne i „SA"), czy bezpiecznie mogę zjawić się w Brodowie. Powiedziano jej, że moja sprawa była rozpatrywana i zadecydowano, że „Edward Małłek może spokojnie przebywać w Brodowie".

68
Nieopatrzny krok prezesa Związku Mazurów

Dziś, po pięćdziesięciu latach, analizuję nierozumny krok mego brata Karola, który wrócił do domu, do Brodowa. Uwierzył niemieckim władzom wojskowym, tak jak i ja, i wszyscy, że mamy spokojnie wracać do swoich domów.

Czyż Karol zapomniał, kim był w Działdowie? Przecież jako prezes reprezentował Związek Mazurów. Statutowo Związek Mazurów był stowarzyszeniem społeczno-kulturalnym o charakterze regionalnym. Patrząc politycznie, Związek Mazurów był organizacją wyraźnie propolską, znienawidzoną przez Niemców. Przemówienia Karola jako prezesa Związku Mazurów potwierdzały polski charakter polityczny Związku wbrew cichemu myśleniu i pragnieniu większości członków Związku, którzy byli zwolennikami „autonomii", „separatyzmu". Myśli te nie były przecież obce Karolowi. Mimo to, angażował się oficjalnie w polską politykę. Skoro temu zaprzeczyć nie może, to jakże nie przewidywał, będąc w Warszawie, że jest *persona non grata* w Działdowie? Nie tylko „niepożądaną", ale wprost znienawidzoną, ściganą osobą.

No dobrze, zapominając o tym wszystkim, co dotąd było, czy też nie zważając na nic, Karol, nie tak jak ja, ostrożnie w Krempie, zjawił się wprost w Brodowie. W domu nie bierze pod uwagę, że Robert jest już w lagrze, Żywiec, Napierski, Longwitz, Jaegertal i inni. A członkowie Związku mają co najmniej nieprzyjemności i przykrości. Mimo to, Karol ma odwagę mówić: „Przecież można władzom niemieckim wszystko wytłumaczyć". Chyba nie mówił, że „można się z nimi dogadać". Wstępne sondaże, przeprowadzone przez „Posłanki", Wilę i Bronkę, z góry przekreśliły wszelkie możliwości „wytłumaczenia władzom hitlerowskim wszelkich spraw", czy też nawet „dogadania się z nimi". Już wiemy, że do tego nie doszło.

Na szczęście? Czy na...?

Postawmy jednak hipotezę: „Przyjaciel" Franz Lehnert z Kisin jedzie entuzjastycznie do Segnotata, biorą jeszcze innych ważnych kumpli i razem z Karolem idą do Landrata, do Partii, do „SA", do „SS" i ...aż strach wypowiedzieć te słowa: „I dogadują się"... Czy to miał Karol na myśli, wysyłając żonę i szwagierkę z przykrą misją? Czy to miał Karol na myśli, wypowiadając słowa: „Przecież Niemcom można wszystko wytłumaczyć"?

Postawmy znów hipotezę: Gdyby, gdyby było doszło do takiego „wytłumaczenia", a może nawet do „porozumienia", to... świat przewróciłby się „do góry nogami"? Wtedy Karol Małłek byłby jakimś „Sturmbahnführerem", może „Kreisleiterem"? Może...? Może...?

Och, Polska byłaby biedna. Nie miałaby wielkiego mazurskiego działacza dla polskości. Nie miałaby *Pamiętników* Karola Małłka. Polska Ludowa nie miałaby mazurskiego komunisty Karola Małłka. Polska nie miałaby okazji postawienia mu obeliska, tablic pamiątkowych. Polska byłaby biedna bez tych pomników i grobów mazurskich działaczy w „Alejach Zasłużonych" w Olsztynie. To wszystko Polska może zawdzięczać tylko ludobójcy, zbrodniarzowi, wariatowi Hitlerowi, szatanowi w ludzkim ciele i jego pachołkom.

Gdyby reakcja Lehnertów, Segnotatów była pozytywna, na pewno inne byłyby „pamiętniki" Karola Małłka. Może bardziej prawdziwe? Może nie takie polskie? Może nie ta-

kie komunistyczne? Jakie szczęście dla Polski, że starosta, Adam Stebłowski, nie złapał tego „zdłajcę, kłóla Mazurów, bo byłby go rozwalił" (Stebłowski, zamiast „r" wymawiał „ł").

Bóg tak chciał, że ani polski starosta, ani niemiecki Landrat, nie dostali Karola Małłka w ręce i nie mogli wykonać wyroku śmierci. W ten sposób Polska Ludowa ma bohatera, którego za życia smagała (patrz jego pamiętniki), a po śmierci czci. Ale żeby nie zmartwychwstał, nakryty jest głazem, obeliskiem. Bo tylko „martwy Mazur jest dobrym Mazurem". Takie oto refleksje nasunęły mi się w związku ze słowami mego brata Karola: „Przecież będzie można władzom hitlerowskim wszystko wytłumaczyć, wyjaśnić".

69
Wracamy do domu, do Brodowa

Pewnie i o mnie można by to samo powiedzieć, co o moim bracie Karolu, bo i ja wziąłem poważnie pod uwagę sytuację, która powstała w naszym domu rodzinnym, po „wkroczeniu Niemców do frysztyku do Brodowa". Mając na ewentualne zarzuty biedną przeszłość zawodową w Polsce, odważyłem się pójść razem z żoną do domu, do Brodowa.

Mateczka co tylko pożegnała jednego syna, nie wiadomo na jak długo, drugiego wita, tuląc mnie serdecznie, ciesząc się, że żyję. Ściskam mego synka Roberta, który w czasie całej mojej nieobecności samorzutnie klękał w łóżku, składając rączki, modlił się, aby Boziunia nie pozwoliła Tatusiowi zginąć, aby Tatuś wrócił do domu. I tak modlitwa synka została wysłuchana. Albowiem „wiele może usilna modlitwa sprawiedliwego" – Jakub 5,16. A może nasz maleńki aniołek, Karolek, strzegł mnie, rozpościerał nade mną skrzydełka swoje, aby żadna kula nie trafiła mnie. Łaskawy, dobry, miłosierny Bóg przywrócił mnie do domu, do żony, dziecka, Mateczki, sióstr, braci. Chwała Bogu Wszechmogącemu.

Jestem w domu. Smutek wypełnia serca nasze. Brat Robert daleko w lagrze, w bardzo ciężkich warunkach. W domu okna powybijane przez bandy miejscowych hitlerowców, z którymi razem chodziliśmy do szkoły na naukę konfirmacyjną, na nabożeństwa gromadkarskie. Mateczka mówi: „Diabeł wstąpił w nich, opętał ich i nie wiedzą, co czynią". Wybite szyby zastąpiono oknami zimowymi – „dubeltami", ale i te w większości były pobite. Szał ogarnął ludzi. Nawet pobożni modlili się do Hitlera. Pobożna Lisbeth uczyła w szkole w Brodowie modlitwy do Hitlera, a jej pobożna matka, klęcząc na podwórku, dziękowała Hitlerowi za zbawienie.

Adolf Falkowski, „nawrócony", *Prediger*[140] gromadkarski, stał się bandytą, wydawał Polaków na męki, tortury. Kontrolował nasz dom, szukając nie wiadomo czego. Raz Mateczka go zaatakowała, mówiąc: „Falkowski, gdzie zostawiłeś Pana Jezusa?" Ze spuszczonym łbem szybko znikł, jak Judasz. Tak, tak, to ten sam Falkowski, który w dniu mego „nawrócenia", w ciemnej kuchni modlił się o mnie, ale żadne jego słowo nie docierało do mego serca. Widocznie już wtedy sece moje wyczuło „diabła w owczej skórze", zbrodniarza, i dlatego serce, myśli, słowa moje milczały.

[140] Kaznodzieja.

Diabelskie szaleństwo ogarnęło dawniejszych pobożnych ludzi i oślepli. Shakespeare powiedział: „Wahn macht taub" – szaleństwo czyni głuchym, ja do tego dodam, i „ślepym".

Takimi byli ludzie w Brodowie i wszędzie tam, gdzie służono Hitlerowi.

Będąc w domu, zastanawialiśmy się z żoną i domownikami, co dalej robić. Ale nim o tym powiem, muszę wspomnieć o bardzo ważnym wydarzeniu, które miała moja żona w Brodowie. W lipcu i sierpniu 1939 roku, będąc na ćwiczeniach oficerskich w Bochni, poleciłem żonie, aby napisała do sołtysa w Nowej Wsi, gdzie byłem nauczycielem, podanie o przedłużenie nam prawa przebywania w pasie nadgranicznym, bo taki przepis obowiązywał w Polsce. Dnia 30 sierpnia 1939 roku, jeszcze nie wiedząc, czy będzie wojna, wrzuciła list do skrzynki przy karczmie w Brodowie. Aby uzyskać pozytywną klauzulę, żona w uzasadnieniu podania użyła słów obrażających Hitlera.

Dnia 1września, gdy wojsko niemieckie wkroczyło do Brodowa („do frysztyku"), serce żony przeszył strach. Co będzie, gdy ten list dostanie się w ręce Niemców? Nie daj tego Boże, wzdycha Jadźka. Bierze ze sobą moją siostrę Hedkę i z bojaźnią, ale z udanym spokojem, udają się do karczmy, gdzie wisi skrzynka pocztowa. Jadźka niepostrzeżenie wkłada rękę w szparę skrzynki. Palce chwytają jakąś kopertę. Ostrożnie wyciąga. Zerknęła okiem. Jest mój list – szepnęła. Szybko schowała go pod bluzkę. „Hedka, chodź prędko", chwyta ją za rękę i ciągnie do domu. Nie biegną, ale idą, jakby na skrzydłach. Aby nie trafić na jakąś kontrolę – myśli Jadźka. Wreszcie są w domu, w kuchni. Jadźka rozrywa kopertę, dowody osobiste, które były dołączone do podania, zostawia, a list wrzuca do pieca, aby jak najbardziej spłonął. Teraz czuje się jak nowonarodzona. Serce przestało łomotać.

Jak to Pan Bóg strzeże człowieka w cudowny sposób.

Teraz wrócę do naszych wspólnych kłopotów i trosk. Zdawaliśmy [sobie] sprawę, że nauczycielem nie mogę być, więc trzeba zobaczyć, czy w Nowej Wsi, gdzie byłem nauczycielem, stoją nasze meble. Aby nie jeździć tam dwa razy, postanowiliśmy pojechać drabiniastym wozem. Jedzie z nami, jak zawsze, nasz dobry, niezmordowany brat Jan. W drodze do Kisin spotykamy Falkowskiego, tego szatana. Zatrzymuje nas i powiada: „Eduard, morgen musst du zum Landrat"[141]. No tak, rozpoczyna się – pomyślałem. Zbrodniarz pojechał rowerem dalej do Brodowa, a my jedziemy do Nowej Wsi. Droga daleka, bo musimy przejechać cały powiat, od końca do końca. Wreszcie minęliśmy Żabiny – wieś gminną, siedzibę wójta. Jest już szarówka. Przed nami widzimy nadjeżdżającego na rowerze żandarma z jakimś cywilem. Zatrzymuje nas. Powiada, że przekroczyliśmy godzinę policyjną. „Das kostet Strafe"[142]. Prędko zgadzamy się płacić, aby tylko jechać dalej. Ale żandarm, dowiedziawszy się o celu naszej wyprawy, powiada, żeby jutro przyjść do jego biura z zapłatą. Dobrze. Jedziemy dalej.

Wjeżdżamy do Nowej Wsi na wprost gospodarstwa Skuzy. Na ulicy stoi pan Skuza. Zatrzymuje nas i cieszy się, że mnie widzi. Radośnie woła: „Herr Mallek, sie müssen bei uns als Lehrer bleiben". „Sie haben mir das Leben gerettet"[143]. To mnie zaskoczyło, że są jeszcze przyjaciele. Ale nie rozumiem, abym Skuzie uratował życie. Wtedy Skuza opowiedział mi, że przed wybuchem wojny był aresztowany przez polską policję, ale został zwolniony, ponieważ ja świadczyłem za nim. Rozmowa się urwała, bo nadjechał na rowerze

[141] Jutro masz stawić się u Landrata (starosty).
[142] To kosztuje mandat.
[143] Panie Mallek, Pan musi pozostać u nas jako nauczyciel. Pan uratował mi życie!

powiatowy inspektor szkolny, urzędujący w Niborku. Skuza przedstawia mnie i mówi, że inspektor musi mnie przyjąć za nauczyciela w Nowej Wsi. Na to inspektor: „Ist das der Bruder vom Karl Mallek?”[144]. „Ja”[145] – powiada Skuza. „Na, den suchen wir. Den wollen wir haben, den *Masuren König*”[146].

Ponieważ było późno, inspektor podrałował rowerem w swoją drogę. Myśmy też pojechali do szkoły. Pawłowscy opiekowali się budynkiem szkolnym. Klucze do mieszkania mieliśmy przy sobie. Wieczorem poszedłem do Skuzów. Pogadaliśmy o nowej sytuacji. Na jego propozycję, abym był nadal nauczycielem w Nowej Wsi, powiedziałem, że ta sprawa nie zależy ode mnie. Nareszcie chcemy opróżnić mieszkanie z naszych mebli, aby władze szkolne nie miały kłopotu.

Przyjemnie mi było słyszeć propozycję Skuzy, który za Polski stał na uboczu, nie brał udziału w życiu społecznym wsi. Miał syna i ładną córkę, Hertę; też nie brali udziału w życiu młodzieżowym. Przespaliśmy się jeszcze w naszym mieszkaniu, w naszych łóżkach. Rano zjedliśmy tam jakieś śniadanie. Ja ruszyłem do Żabin, aby zapłacić ów mandat za wczorajsze przekroczenie godziny policyjnej. Po przywitaniu się z Wachmeistrem żandarmerii, zamiast zainkasowania mandatu, wdał się ze mną w przyjacielską rozmowę. W końcu dowiedział się, że jestem polskim oficerem. Po chwili wyczerpał się temat rozmowy. Wtedy wstał, wskazał na plakat, na którym wypisane było jakieś zarządzenie – *Anordnung* i powiada: „Herr Mallek, es tut mir leid, aber ich muß Sie zurück ins Gefangenenlager bringen”[147]. „Wieso? Ich bin aus der Gefangeschaft entlassen worden”[148]. Wachmeister wyjaśnił mi treść plakatu. Powiedział, że właśnie zwolnieni z niewoli żołnierze tworzą „bandy” i napadają na niemieckie jednostki wojskowe i według tego zarządzenia należy wszystkich byłych polskich wojskowych umieścić w obozach jenieckich.

Byłem tym zaskoczony. Ale za moment pomyślałem: może i lepiej. Nie będę musiał stawić się u Landrata, co pode drogą zapowiadał zbój Falkowski. W obozie jenieckim będę traktowany jako polski oficer, a u Landrata „jako przestępca-bandyta” cywilny. W związku z tym pomyślałem, że trzeba się z Wachmistrzem trochę potargować. Zwróciłem mu uwagę, że on i ja jesteśmy żołnierzami, choć przeciwnych frontów. Mimo to mamy coś wspólnego, a to jest „honor żołnierski” i „słowo honoru”, gdy chodzi o coś ważnego. Przytaknął mi, aczkolwiek nie wie, do czego ja zdążam. Zwracam się wreszcie z prośbą o „udzielenie mi jednodniowego urlopu” celem załadowania moich mebli w Nowej Wsi. Jutro rano zamelduję się u niego. Na to daję mu moje słowo honoru: „Das ist mein Ehrenwort”[149] – powtarzam.

Wachmeister roześmiał się głośno i powiedział: „O, das ist aber eine Überraschung!”[150]. Aż usiadł i wpatruje się we mnie, w moje oczy, a ja powtarzam moje słowo honoru i wyjaśniam, że chcę tylko powiadomić moją żonę i zlikwidować mieszkanie w Nowej Wsi. Zastanawiał się, zastanawiał się, na pewno nie słysząc moich dalszych słów. Wreszcie wstał, podał mi rękę i rzekł: „Na gut, Herr Mallek, dann bis morgen”[151]. „Mein

[144] Czy to jest brat Karola Mallka?
[145] Tak!
[146] No, tego właśnie szukamy. Tego „króla Mazurów” chcemy dostać do rąk.
[147] Panie Mallek, żałuję bardzo, ale muszę dostawić Pana z powrotem do lagru dla jeńców wojennych.
[148] A to dlaczego? Przecież z lagru zostałem zwolniony.
[149] Słowo honoru.
[150] A to niespodzianka!
[151] No dobrze, panie Mallek. Zatem do jutra!

Ehrenwort, Herr Wachmeister" – odpowiedziałem: „Ich bringe Ihnen ein Geschenk"[152]. W drodze do Nowej Wsi rozmyślałem: przeżycia Roberta na ewakuacji (głód, robactwo) i moje u Kolarskiego, a przede wszystkim stawiennictwo do Landrata, z góry odrzuciłem ewentualną ucieczkę i... złamanie słowa honoru. Powiedziałem sobie: wojskowa niewola stoi pod międzynarodowym prawem, więc nie będzie tak źle.

Zaszedłem do Nowej Wsi. Żona i Jan byli bardzo zaskoczeni nową wiadomością. Ale byli zadowoleni, że uprosiłem jeden dzień „urlopu". Moja kochana Jadźka też się uspokoiła, wiedząc, że pójdę do niewoli jako polski oficer, a nie do więzienia jako cywil. Powoli załadowaliśmy meble na wóz. Przenocowaliśmy u Pawłowskich i zjedliśmy śniadanie. Rano pożegnaliśmy Pawłowskich i Skuzów i ruszyliśmy do Żabin, aby zameldować się u Wachmeistra.

70
Znów do niewoli

Tak Pan Bóg pokrzyżował szatańskie plany lucyfera Falkowskiego. Boska ręka spoczywała nade mną, nad moją kochaną rodzinką, żoną, synkiem i całą naszą rodziną.

W Żabinach zatrzymaliśmy się przy posterunku żandarmerii. Wysiadłem z wozu, Jadźka za mną. Serdecznie pożegnałem się z Janem. Wziąłem do ręki wypchanego orła, kiwnąłem Janowi na odjazd i z Jadźką wchodzimy do biura: „Guten Morgen, Herr Wachmeister, und dieser Vogel ist für Sie, als Geschenk"[153]. „Da sind sie aber korrekt"[154] – powiedział. „Na, ja: Ein Mann, ein Wort"[155] – odpowiedziałem. Wachmeister uradował się bardzo naszym orłem. Wspaniały to był okaz, półtora metra rozpiętości skrzydeł, przeze mnie osobiście wypchany, preparowany. Później żałowaliśmy, żeśmy się go wyzbyli. Ale stało się.

Wachmeister, podziękowawszy, wskazał nam krzesła, abyśmy usiedli, on załatwi pewne bieżące sprawy i pójdziemy do pociągu. „So, jetzt können wir gehen"[156] – powiada. Idziemy do stacji kolejowej Gralewo, cztery kilometry drogi. Z początku rozmawiamy z Wachmeisterem, który pociesza mnie, że w niewoli nie będzie tak źle. Potem rozmawiałem już tylko z Jadźką, że znów musimy się rozstać i o tym, że wspólnie będziemy się starać o moje zwolnienie. W Gralewie wsiadamy do pociągu, ja pod eskortą Wachmeistera. Wysiadamy na dobrze nam znanym dworcu w Działdowie. Skróconą ścieżką idziemy do dobrze mi znanych koszar. Podchodzimy do bramy. Wartownik zatrzymuje nas. Musimy chwilę czekać, bo akurat przechodzi przez bramę oddział niewolników, liczący około dwustu polskich wojskowych, jedni w mundurach, inni po cywilnemu, jak kogo schwytano, maszerujących do pociągu, który zawiezie ich do obozu jenieckiego. Wreszcie brama wolna.

---

[152] Słowo honoru, panie Wachmistrzu! Przyniosę Panu prezent.
[153] Dzień dobry, panie Wachmistrzu! A ten ptak, to prezent dla Pana.
[154] O, to Pan jest w porządku.
[155] No cóż, słowo się dało, trzeba go dotrzymać!
[156] A teraz możemy iść.

Musiałem pożegnać moją Jadźkę, bo nie wolno było wejść na teren koszar. Wartownik wylegitymował Wachmeistra i kazał mu iść ze mną do biura meldunkowego na pierwsze piętro bloku koszarowego po lewej stronie; po prawej stronie była kuchnia. W biurze meldunkowym Wachmeister przekazał jakiś świstek, z pewnością z moimi personaliami, zostawiając mnie odszedł, spełniwszy swój obowiązek. Mnie kancelista zaprowadził do budynku w ogrodzie, dawnego „kasyna oficerskiego". Wprowadził mnie i odszedł. Rozglądam się po pokojach, są otwarte. Stwierdzam, że jestem sam. Idąc z pokoju do pokoju, widzę drżącego ze strachu cywila, tak jak ja w cywilu. Mówi, że złapali go na ulicy. Pochodzi z powiatu mławskiego. A więc było nas dwóch, bo transport tylko co odszedł. Jeszcze tego samego dnia złapali kilka „zajęcy", więc wieczorem było nas więcej.

Na drugi dzień jestem wezwany do kancelarii. Wchodzę, w biurze jest dwóch kaprali, jeden przy biurku, drugi, bez jednej nogi, kusztyka na protezie, podpierając się szczudłem, kręcąc się po biurze, trzymając w ręku biczysko (wysuszone prącie byka z nadzianym w środku drutem). Widząc ten obraz, pomyślałem, że wpadłem do katowni. Stojąc przy biurku kancelisty, odpowiadam na zadawane mi pytania, dotyczące moich personalii, wciąż zerkając na „szczudłaka", który chodził w nerwach.

Przez okno widzę dawny plac koszarowy, który jednocześnie był boiskiem piłki nożnej przed wojną. Cały plac jest ogrodzony wysokim płotem drucianym, obejmującym dawną stajnię i wozownię. Tam widzę grupę Żydów, mężczyzn. Na ten plac zerkał też kancelista przez okno. Widzę, jak kucharz przerzucił przez płot druciany ogromne kości wołowe, może trzy sztuki. Żydzi rzucili się na nie jak dzikie zwierzęta. Zaczęli wydzierać sobie, walczyć, bo kości było za mało.

W tym momencie kancelista, dość żartobliwie, zwraca uwagę „szczudłowcowi", wskazując ręką na okno, mówiąc: „Walter, sieh mal, etwas für dich"[157]. Szczudłowiec, kusztyk-kusztyk, dopadł wynędzniałych, głodnych Żydów. Zaczął ich łomotać biczyskiem po głowach, po nogach, gdzie popadło. Żydzi, nie dbając o cięgi, kurczowo bronili kości. Niestety, nie obronili. Zbir, szubrawiec, zabrał im kości i wyrzucił do śmietnika. Jakże krajało mi się serce na taki widok. Myślę, że Pan Bóg już gdzieś go dosięgnął swoją sprawiedliwą ręką. Wrócił do biura jak zadyszany lew, zadowolony ze swego zwycięstwa nad biednymi, bezbronnymi, zgłodniałymi ludźmi. Kancelista nie robił wrażenia, aby popierał „bohaterstwo" swego Kamerada[158]. Kancelista, skończywszy „spowiedź" ze mną, zwolnił mnie, informując, że jak zbierze się większa grupa, będziemy stąd wywiezieni. W „kasynie" mieliśmy o tyle dobrze, że mogliśmy chodzić po ogrodzie.

Moja Jadźka ze smutkiem wróciła do domu, w którym już wszyscy od Jana dowiedzieli się o moim losie. W „kasynie" żyjemy, ale dopiero od następnego dnia dostawaliśmy kapuścianą zupę i kawałek chleba. Na drugi dzień odwiedziła mnie Marta, siostra, i przywiozła mi mundur oficerski z długim płaszczem kawaleryjskim oraz żywność. Innym dniem była u mnie moja kochana Jadźka. Powiedziała mi, że była u pastora Sinnera w Uzdowie, który obsługiwał zabytkowy kościół w Szczuplinach koło Nowej Wsi. Prosiła go o pomoc, o interwencję w sprawie mego zwolnienia z niewoli. Pastor Sinner, dobrze nam znajomy, przyznał się, że komendantem lagru w Działdowie jest jego szkolny kolega i uczyni wszystko, abym był zwolniony. Niestety, nie zostałem zwolniony.

[157] Spójrz no, Walter! To coś dla ciebie.
[158] Towarzysza.

„Zajęcy", którzy wpadali w łapy hitlerowskie, było z dnia na dzień coraz więcej. Któregoś dnia przyprowadzili mego kolegę, Alojzego Lipińskiego, którego złapali na ulicy bez marynarki. Lipiński, nauczyciel, też kończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Działdowie. Po 1920 roku był „przesiedleńcem" z Napierek, powiat Nibork. Lipiński, bez marynarki, nacierpiał się chłodu, bo [pod] koniec października pogoda nie była taka, aby chodzić bez marynarki. A nikt w jego rodzinie nie wiedział, gdzie się znajduje. Nazbierali nas przeszło sto osób. Zbiórka. Maszerujemy w szyku żołnierskim przez dobrze nam znaną bramę do pociągu. Dokąd nas wiozą? Nie wiemy.

71
Lagier w Olsztynku

Pociąg staje w Olsztynku (Hohenstein). Wyładunek. Znów w szyku wojskowym ruszamy w kierunku „Mauzoleum" Hindenburga, Grunwaldu. Przechodzimy obok jednego domu. Kobietki patrzące na nas płaczą. Wątpię, aby to były Polki, raczej matki opłakujące swoich poległych synów. Maszerujemy polną drogą, po prawej stronie zostawiamy Hindenburga. Po przebyciu jakichś 5-6 kilometrów wchodzimy do lagru, w którym znajdują się też „podejrzani" cywile. Nas, polskich oficerów, umieszczono w ostatnim baraku, naprędce zbudowanym. Ogromnie długi, wzdłuż ścian ciągowe drewniane prycze po obu stronach. W środku baraku piętrowe prycze. Przed środkowymi, piętrowymi pryczami stał duży piec ceglany. Prycze gołe, bez słomy. W baraku zimno jak w „psiarni". Wkrótce przywieźli trochę słomy. Ja posłałem miejsce z brzegu pryczy pod ścianą, naprzeciw pieca. Obok mnie powiatowy komendant Straży Granicznej z Działdowa. Lipiński, bez marynarki, ulokował się na piętrze, za piecem. Dostarczyli opału. Wszyscy skupiają się koło rozpalonego pieca.

Gdyśmy weszli do baraku, była szarówka. Przez moją kochaną Jadźkę byłem możliwie dobrze zaopatrzony. Miałem koc, prześcieradło, pewnie i „jaśka" oraz płaszcz. Na te warunki byłem urządzony luksusowo. Z mego „luksusu" korzystał mój sąsiad, tuląc się do mnie. Wieczorem wnoszą kotły z gorącą zupą. Ale jaka to była zupa! Wspaniała grochówka, treściwa, pełno mięsa i do tego pajda chleba. Po głodówce w Działdowie wspaniale smakowała. Humory się poprawiły. Zupa rozgrzała, każdemu zrobiło się cieplej na ciele i na duszy. Na drugim końcu baraku były drzwi, którymi wychodziło się do „toalety". Dwa metry głęboki rów, nad nim, na brzegu, drąg na słupkach. Była to tzw. „latryna". Trzymaj się bratku, żebyś nie wpadł w „zupę". Po kolacji sierżant niemiecki, dość uprzejmy, powiedział nam, kiedy dostaniemy śniadanie, obiad i kolację. Żadnych pobudek, apelów nie będzie, także żadnych prac, ani zajęć. Poza tym obowiązuje spokój i porządek. Wszelkie bunty będą surowo karane rozstrzelaniem.

Pierwszą noc mało kto dobrze przespał, bo było strasznie zimno. Piec nie zdołał tak ogromnego baraku ogrzać. Nasza liczba około stu oficerów, zajmowała zaledwie czwartą część baraku, a może i tego nie. Więc i nasze ciała też nie były w stanie ogrzać pomieszczenia barakowego. Teren lagru był gliniasty. Wszędzie błoto, kałuże wody. Mokro i zimno, jak to jest w listopadzie. Na drugi dzień na śniadanie dostaliśmy porcję chleba, kostkę masła, porcję kiełbasy i marmolady, i słodką białą (z mlekiem) kawę. Na kolację to samo.

Na obiad zupa z mięsem bardzo treściwa. Takie wspaniałe jedzenie dostawaliśmy w Olsztynku aż do naszego wyjazdu. Na śniadania i kolacje były też porcje sera. Prowiant śniadaniowy i kolacyjny wydawano raz dziennie, rano. Doszliśmy do przekonania, że komenda lagru trzyma się, w stosunku do nas, ściśle przepisów i uchwał „Konwencji Haskiej", i to co do grama. Mając tak dobre wyżywienie, łatwiej było nam znosić złe warunki zakwaterowania, które o tyle się zmieniły, że dowieźli słomy. Niektórzy do snu zagrzebywali się w słomę, która jednocześnie była „materacem" i „kołdrą".

Gdyby nie pewne wydarzenie, z warunków niewoli można by być całkiem zadowolonym. Co to za wydarzenie? Kilka dni po naszym zakwaterowaniu, wbrew codziennemu zwyczajowi, wezwano nas wszystkich do wyjścia z baraku i ustawienia się w jednym szeregu. Nadszedł „brunatny" SA-mann w towarzystwie oficera wojskowego, trzymając w dłoni przypuszczalnie fotografię, wpatrywał się kolejno każdemu w twarz. Mnie przeszły ciarki po grzbiecie. Byłem szczęśliwy, gdy poszedł ode mnie dalej. To trwało dość długo, nim każdego zlustrował. Na szczęście nikogo nie wyłowił. To było rano.

Wieczorem tegoż dnia, jak zwykle po kolacji, przychodził do nas na pogaduszki ten sam sierżant, bardzo dowcipny, rozmowny, przyjacielski. Zapytaliśmy go, co miał znaczyć ranny przegląd. Powiedział, że wyszukuje się ludzi podejrzanych – „bandytów", jak to pospolicie Niemcy nazywali. Za chwilę usłyszeliśmy wystrzał karabinowy. „Właśnie jeden z »takich« w tej chwili pożegnał się z tym światem" – powiada. „Często zdarza się to tutaj"? – pytamy. „Prawie codziennie" – odpowiada. „Mogę wam i to powiedzieć, że dwóch podejrzanych jest w waszym baraku". Pytamy o nazwiska. Ale powiedział, że tego nie wie. Strach przeszedł po całym baraku. Gdy sierżant poszedł do domu, ja z Lipińskim, obaj pod wrażeniem, pytamy siebie, czy czasami nie my jesteśmy tymi podejrzanymi. Ponieważ członków Związku Mazurów poaresztowali, to mogą i nas tu zlikwidować jako Mazurów. Od tego dnia nie znajdowaliśmy spokoju. Modliliśmy się, aby nas stąd jak najprędzej wywieźli. Byliśmy szczęśliwi, że dzień kończył się nocą i nikt nas nie wzywał. Pocieszenie znajdywałem jedynie w czytaniu Nowego Testamentu, który zawsze mi towarzyszył.

Pod takim strachem nadszedł szczęśliwy dzień odjazdu w nieznane. Załadowali nas do wagonów osobowych III i IV klasy na stacji Hohenstein (Olsztynek). Drzwi zaryglowane.

72
Oflag VII C w Nürnberg

Dokładnej daty wyjazdu z Olsztynka nie pamiętam, ale był to listopad. Tu i ówdzie leżał śnieg. Załadowali nas w wagony III i IV klasy. Wagony zamknięte, pod strażą specjalnych oddziałów, umieszczonych w pierwszym i ostatnim wagonie. Uprzedzili nas, jeżeli będzie ktoś próbował uciekać, będzie zastrzelony. Nie zaopatrzyli nas w żaden prowiant ani picie. Zorientowaliśmy się, że wiozą nas na zachód. Transport jeżeli się zatrzymywał, to zawsze przed lub za stacją.

Minął dzień. Nie dali nam ani jeść, ani pić. Nocą przejeżdżamy przez bardzo uszkodzony most. Prawdopodobnie w Fordonie most przez Wisłę. Drugiego dnia dokucza nam już pragnienie. Ja stosuję w takich wypadkach i w upały niezawodny środek przeciw pra-

gnieniu: słomka lub zapałka w zęby do ssania. W nocy, drugiego dnia podróży, pociąg wyjątkowo stanął na jakiejś stacji miejskiej.

Wszędzie ciemno – „Verdunklung”[159]. Służba (kobiety) Niemieckiego Czerwonego Krzyża biegną z gorącą kawą i kanapkami. Otwieramy okna. Uprzedziłem, aby odzywać się po niemiecku. Kobiety nie zorientowały się i podawały to kawę, to bułki. Aż ktoś z mego przedziału, nie będąc przy oknie, zawołał: „I mnie!” Kobiety to usłyszawszy, krzyknęły: „Das sind doch Polen”![160]. I w sekundach zniknęły, siejąc przekleństwa pod naszym adresem.

Zasady założyciela akcji „Czerwonego Krzyża”, Henri Dunanta, szwajcarskiego filantropa (w roku 1863 początek CK), były hitlerowskiemu Czerwonemu Krzyżowi nieznane lub deptane nogami. Bowiem dewizą Hitlera było: „Nur für Deutsche!”, „Nur für Herrenvolk!”[161]. Natomiast Dunant, zakładając organizację Czerwonego Krzyża, miał na myśli właśnie niewolników i biednych ludzi potrzebujących pomocy. „Biedny, chory, upośledzony, według kodeksu Hitlera, nie ma prawa do życia”.

I tak głodno i chłodno, bez jedzenia i picia, po trzech dniach jazdy dojechaliśmy do Nürnberg-Fürth. Tu załadowali nas do ciężarówek i wieczorem znaleźliśmy się za drutami w „Oflagu” VII C (Ofizierslager)[162], składającego się z dziesięciu baraków, razem ogrodzonych wysokim, trzymetrowym drucianym płotem. Każdy barak mieścił sto oficerów. Za naszymi drutami znajdowały się baraki szeregowych w liczbie ponad 50 tysięcy chłopa. Baraki pochodziły z okresu pokojowego. Służyły w czasie pompatycznych zjazdów partyjnych na tzw. „Placu Marsowym” dla pokazowych parad. Wzdłuż każdego baraku mieszkalnego stał barak-umywalnia, w którym w środku były koryta, nad nimi rury z kranami. Baraki mieszkalne były bardzo dobre, ciepłe. W każdym baraku trzy piece żelazne w dobrym gatunku. Łóżka piętrowe z materacami, prześcieradło, poduszka, dwa koce. Bielizna co tydzień zmieniana. Każdy miał swoją szafkę typu wojskowego.

Ja obrałem łóżko na dole, Lipiński na piętrze. Zakwaterowanie, można szczerze powiedzieć, bardzo dobre. W dziesięciu barakach mieściło się tysiąc polskich oficerów. Za naszymi barakami były baraki, w których umieszczono Niemców, przeciwników Hitlera. W przychodni lekarskiej spotkałem niemieckiego chłopca, pochodzącego z Hamburga, który nie wiedział, dlaczego siedzi w obozie. Mówił, że ojciec i matka też siedzą w lagrach, ale każdy w innym.

W „Oflagu” VII C w Nürnberg znaleźliśmy się przypuszczalnie w końcu listopada 1939 roku, wieczorem. Na przywitanie na kolację dostaliśmy gotowane, nieskrobane kartofle, zasypane osypką. Takie jadło dostawały u nas w domu świnie, z tą różnicą, że dolewano chude mleko, odciąg. Takie jedzenie dostawaliśmy każdego dnia na obiad przez 2 tygodnie. Na śniadanie i kolację kawa i kawałek chleba suchego. Jeden chleb (komiśniak – „Komissbrot”) na dziesięć osób, dziennie! Jednym słowem głodówka. Na szczęście mieliśmy w organizmie pewne zapasy z dobrego wyżywienia w Olsztynku. Ale trzydniowa głodówka w czasie transportu z Olsztynka do Nürnberg dała nam się dobrze we znaki.

Powołując się na uchwały Międzynarodowej Konwencji Haskiej, reklamowaliśmy w komendanturze Oflagu. Komendant przepraszał i tłumaczył, że są zaskoczeni tak ogrom-

[159] Zaciemnienie.
[160] Przecież to Polacy!
[161] Tylko dla Niemców! Tylko dla narodu Panów!
[162] Obóz dla oficerów.

ną liczbą niewolników, że nie dają rady zaspokoić potrzeby. Zapewniał, że będzie się starał warunki wyżywienia polepszyć. Po dwóch tygodniach otwarto dla oficerów w jednym z baraków stołówkę, prowadzoną przez żołnierzy niemieckich. Obiady mało się polepszyły, o tyle, że były zupy: fasolowa, grochówka i inne, bez mięsa. Byliśmy też obsługiwani przez naszych żołnierzy. Zaproponowaliśmy komendanturze, aby prowadzenie kuchni i stołówki oddano w nasze ręce. Komendant wyraził zgodę. Do kuchni weszli polscy kucharze. Wprawdzie dysponowali skromnymi artykułami żywnościowymi, ale zupy smakowo znacznie się poprawiły. Oczywiście, mięsa nie widzieliśmy, ale kucharze czynili wszystko, aby zupy były treściwe i smaczne. I to im się udawało.

Aby otrzymać zupę, trzeba było oddać obsłudze – powiedzmy „kielnerowi" – żeton obiadowy. Każdy otrzymywał jeden litr zupy w miseczce. Na obiady chodziłem razem z Lipińskim. Kombinowaliśmy, aby otrzymać 2 porcje. Braliśmy od „kielnera" zupę, mówiąc, że żeton wziął inny. W ten sposób dostaliśmy często 2 porcje, a raz udało się nam dostać nawet 3 porcje. Co, trzy litry zjedliście od razu? O, nie, z przerwami między jedną a drugą urządzaliśmy spacerek. Były to zupy jarzynowe z fasolą na jakimś tam tłuszczu (mówiliśmy „małpim") z przyprawami. Były smaczne. Po krótkim czasie przybrałem na wadze. Niespodzianką dla nas była wypłata żołdu, pensji oficerskiej. O ile dobrze sobie przypominam, dostawaliśmy 50% normalnej oficerskiej pensji danego stopnia. To było dużo pieniędzy. Ucieszyliśmy się ogromnie.

Odtąd do lagru wjeżdżały ciężarówki z piwem, z winami, inne z jabłkami (były bardzo smaczne) i […] popijać piwkiem. Osobiście nie byłem „kozakiem" piwa, ale jabłek z Lipińskim kupowaliśmy skrzynkami, co drugi dzień skrzynka. Życie obozowe zaczęło się normować. Rano i wieczorem przynoszono nam kawę i chleb do baraku, na obiad chodziliśmy do stołówki. Apelów nie było żadnych. Ustalone były tylko godziny obiadów i przynoszenia kawy rano i wieczorem. Poza tym byliśmy wolni, mogliśmy robić, co chcąc. Spacerować mogliśmy tylko wzdłuż dziesięciu oficerskich baraków.

Rano, po obudzeniu, w spodenkach wybiegłem do baraku-umywalni. Pod kranem myłem się cały zimną wodą. Po chwili w umywalni było jak w łaźni, saunie. Tyle pary i ciepła wydzielały nasze organizmy. Czułem się bardzo dobrze i zdrowo. Ewentualne „wyłowienie" mnie na „stracenie", które prześladowało mnie w Olsztynku, przestało mnie dręczyć. Codziennym naszym gościem w baraku był pewien bardzo sympatyczny i usłużny sierżant niemiecki. Dusza człowiek. Ojciec kilkorga dzieci. Zbierał od nas zamówienia na kupno rzeczy dla nas, względnie na wysyłkę do naszych rodzin. Kartkę z zamówieniem i adresem oddawał odpowiedniej firmie i ta wysyłała paczki do naszych rodzin. Nürnberg słynne było z zabawek, więc ja wysłałem zabawki dla wszystkich dzieci naszej rodziny. W lagrze nie miałem żadnych książek, jedynie Nowy Testament, więc na zmianę z Lipińskim (katolik) czytaliśmy godzinami.

Po pewnym czasie dochodziły do nas wiadomości o wojnie z Francją i Anglią. Z dala widzieliśmy naloty oraz światła rakiet i aminicji świetlnej przeciwlotniczej. A więc nadzieja, że kiedyś Niemcy przegrają i skończy się niewola. Z czasem nadchodziła też poczta. Z terenów przyłączonych do Rzeszy: Pomorza, Poznańskiego, Śląska i Działdowa dozwolone były duże paczki. Z Guberni Generalnej wolno było wysyłać paczuszki do stu gram. Z tego powstawały żarty. Przychodzi z poczty obozowej któryś z kolegów i pyta: „Zgadnij, w której dłoni mam paczkę?". Czasami trudno było zgadnąć, bo stugramowa paczuszka kryła się w dłoni. Rodziny w Guberni skapowały się i wysyłały po dziesięć i więcej paczu-

szek naraz. Wtedy, obdarowany wracał z poczty udekorowany łańcuchem paczuszek. Wyglądał, jakby wracał z uroczystości w Indiach. Śmiech na sali.

Pierwszą paczkę dostałem od mojej żony z chlebem mojej teściowej, kiełbasą i chyba smalcem. Kiełbasa była spleśniała, chleb dobry. Paczka wysłana była do Olsztynka, więc szła bardzo długo. Myślicie, że wyrzuciłem kiełbasę? Wcale nie. Razem z Lipińskim wilgotną szmatką wytarliśmy [pleśń]. Przygotowaliśmy patelnię. Nakroiliśmy cebuli, kiełbasę w plasterki i na piec. Za chwilę wyżerka była, aż hej! Poza Lipińskim jeszcze jeden z kolegów był dopuszczany do „uroczystości". Inni połykali tylko zapach naszej pieczeni. Innym razem dostałem paczkę z domu z Brodowa. I tą paczką dzieliłem się z Lipińskim.

Mimo unormowanego życia, w lagrze były „nudy na pudy". Z Lipińskim postanowiliśmy starać się o jakąś pracę poza lagrem. Dostaliśmy odpowiedź, że oficerów nie wolno zatrudniać do żadnych prac. Niewola zapowiadała się na lata. Rozmyślałem, aby w jakiś sposób wydostać się z lagru, a potem byłaby jakaś rada. Wiedziałem, że moja Jadźka stara się ze swej strony o zwolnienie, więc postanowiłem i z mej strony coś zadziałać. Napisałem do pani Pitrowskiej, żony szewca w Wielkim Wełczu, powiat Grudziądz, gdzie byłem niemieckim nauczycielem, prosząc ją, aby zebrała podpisy od rodziców, których dzieci uczyłem i przesłała do komendy lagru. Po dłuższym czasie napisała mi, że wszyscy mieszkańcy (Niemcy) Wielkiego Wełcza podpisali i pismo wysłała do lagru. Starania te robiłem, nie wiedząc nic o wydarzeniach w domu w Brodowie.

Jeden z kolegów ogłosił w lagrze, że organizuje kurs języka angielskiego i przyjmuje chętnych. Zapisałem się na kurs dla początkujących. Było to krótko przed Gwiazdką – Narodzeniem pana Jezusa. Urządziliśmy polską Wigilię. We wszystkim pomógł nam usłużny sierżant, który postarał się o choinkę, świecidełka, świeczki, różne ciasta i pierniki na stół. Stoły też były udekorowane tradycyjnie. Wszystko wyglądało pięknie, wspaniale, uroczyście. A na dworze głęboki śnieg, siarczysty mróz. Prawdziwy nastrój gwiazdkowy.

Wieczorem ktoś z kolegów zagaił uroczystość po katolicku, podając opłatek do podziału. Po spożyciu opłatka zaintonowaliśmy kolędy. Ryknęło sto męskich głosów w każdym baraku. Wielu z nas było umuzykalnionych, więc powstał wspaniały 4-głosowy chór. Pieśni uniosły się wzwyż, przebiły ściany i sufity, na dworze wyciskały łzy niemieckim wartownikom, którzy zamiast cieszyć się w gronie własnych rodzin, musieli stróżować na dworze, przestępując z nogi na nogę w ciężkich buciorach, poklepując rękami po ramionach, przepędzając przenikliwy mróz. Z pewnością niejeden z nich rozmyślał: „Kto tu jest szczęśliwy: ja, stojący w śniegu, jeden z »Herrenvolku«[163], czy ci w baraku, przy choince, niewolnicy?" Może niejeden tęsknił z nich dostać się do niewoli, aby nie ginąć na froncie?

W lagrze obserwowaliśmy wieczorami naloty. Każdy z nas był pewny, że Niemcy, mimo odnoszonych zwycięstw, w końcu wojnę przegrają. Niejeden wygrażał się, że wtedy Niemców też będzie karmił kartoflami z osypką. Inni przemyśliwali nad innymi torturami (w 1945 roku raczej te ostatnie stosowano). W końcu jednak każdy był szczęśliwy, że żyje.

Sroga zima 1939/1940 roku dała się niemieckiej gospodarce dobrze we znaki. Mrozy w lagrze na dworze przekraczały minus 30°C. Naloty sojuszników posuwały się z dnia na dzień coraz dalej na południe Niemiec. Coraz bliżej słyszeliśmy wybuchy bomb, grę wystrzałów artylerii przeciwlotniczej. Powstało pytanie: „Co byłoby, gdyby któryś z samolotów, przez pomyłkę, spuścił bomby na lagier?"

[163] Narodu Panów.

73
Oflag VII C w Laufen koło Salzburga

Może z powyższych względów w lutym 1940 roku przenieśli nas do miejscowości Laufen b/Salzburg[164], w terenie górzystym. Zima była tu w całej swojej srogości. Zakwaterowali nas w dawnym klasztorze. Nie pamiętam, na pierwszym czy drugim piętrze. Sala ogromna. Okna z widokiem na ulicę. Łóżka piętrowe, jak w Nürnberg. W sali dość chłodno, ale z dnia na dzień było coraz cieplej. Warunki wyżywieniowe znów gorsze. Na obiad zupa jarzynowa przynoszona do sali. Rano i wieczorem słodka kawa z mlekiem z żołędzi, bardzo smaczna, smakiem przypominała kakao. Chleb tylko wieczorem, jeden komiśniak na 10 osób. Nie wiadomo było, kiedy ten plasterek chleba zjeść, wieczorem czy rano? Ponieważ otrzymywaliśmy go tylko wieczorem, więc nie było „mocnego", aby choć połówkę zostawić do śniadania. Każdy zjadał wieczorem do kawy, a śniadanie popijaliśmy żołędziową, słodką kawą z mlekiem. Żałowaliśmy warunków norymberskich, bo tutaj czuliśmy się jak w więzieniu. Nie mieliśmy żadnych spacerów, cały dzień w sali. Okna mogliśmy otwierać, ale za wychylanie się w oknie „kula w łeb". Czyli życie na ulicy obserwowaliśmy z pewnej odległości od okna. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem krowę zaprzęgniętą do wozu, a woźnica siedział na tyle, plecami do przodu. Innym razem jechał [człowiek] pewnie trochę bogatszy, bo w krowę i konia. Pomyślałem sobie: pracharze, biedaki. Jak daleko im do gburów wschodniopruskich.

Ponieważ nie mieliśmy wychodnego, więc atmosfera stałego siedzenia w sali ujemnie wpływała na psychikę. Niektórzy stawali się tak nerwowi, że wszystko ich drażniło. Przy nieopatrznym potrąceniu wpadali w szał. Odnosiłem wrażenie, że jestem w zakładzie dla obłąkanych. Inni popadali w zadumę, w depresję. Dla przybysza nic innego, jak dom wariatów.

Z Lipińskim radziliśmy sobie, czytając Nowy Testament i grając w karty.

74
Zwolnienie z niewoli

Pewnego dnia miesiąca lutego 1940 roku zostałem wezwany do kancelarii komendy oflagu w Laufen. Kapitan siedzący za biurkiem zakomunikował mi, że będę zwolniony. Sprawdził moje personalia i kazał mi być za kilka dni gotowym do opuszczenia lagru. Wychodząc z kancelarii cieszyłem się, że zobaczę się z żoną, synkiem, Mateczką i rodziną. Pomyślałem, że jednak interwencja pastora Sinnera z Uzdowa i pani Piotrowskiej z Wielkiego Wełcza, powiatu grudziądzkiego, odniosły skutek. Wszedłszy na salę, powiedziałem, że będę zwolniony. Wyczułem złowrogie spojrzenia współniewolników. Wyczytać mogłem z ich oczu i myśli: „Szwab". Aczkolwiek wszyscy wiedzieli, że mój brat siedzi w obozie, a drugi się ukrywa, od razu stronili ode mnie. Jedynie mławiacy, mając swój interes, prze-

[164] Laufen koło Salzburga.

kazywali wiadomości, a nawet zegarek i list do przekazania rodzinom. Przyjmowałem to wszystko warunkowo, oświadczając, że nie będę w stronach rodzinnych. I tak też było, że nie miałem warunków do osobistego przekazania, a osoby drugie też tego nie wykonały. Bardzo żałowałem, że przyjąłem owe zlecenia. Pogadałem obszernie z Lipińskim, obiecując mu, że napiszę mu o sytuacji w Działdowie. Na jego prośbę zostawiłem mu Nowy Testament i mój kawaleryjski płaszcz.

Dnia 28 lutego 1940 roku każą mi się zgłosić w kancelarii na odjazd. Pożegnałem się z Lipińskim i kilkoma „kolegami", udając się do kancelarii. W poczekalni zastałem dwóch innych kolegów do zwolnienia. Jeden był Ślązakiem, pan Grycza, drugi Poznaniakiem. Za chwilę zostaliśmy wezwani do kancelarii. Kapitan siedzący za biurkiem wstał i oświadczył, iż jesteśmy zwolnieni, nie podając powodów. Wręczył nam dokument zwolnienia, w którym podane było miejsce docelowe, u mnie niestety „Brodau b/Soldau". Dał nam też bilet wolnej jazdy pociągiem aż do domu. Jednocześnie dostaliśmy kilka kartek żywnościowych, które po raz pierwszy mieliśmy w ręku. Podając rękę, życząc nam szczęścia i powodzenia, nie podniósł ręki do „Heil Hitler". Po tym poznaliśmy, iż nie należał do wielbicieli „Wodza".

A więc, Edwardzie Juliuszu Mallek, trzymając w ręku zwolnienie z niewoli niemieckiej, kim w tej chwili jesteś: Niemiec czy Polak? Żegnając się z „kolegami" niewoli, powiedziałem: Nie myślcie, że będąc zwolniony, przez to samo jestem Niemcem. Ale nie powiedziałem też, że jestem Polakiem. A zatem kim jestem?

Przez pięć miesięcy przebywałem w gronie polskich oficerów, od podporuczników do kapitanów. Jeden był majorem, ale wolał się nie przyznawać, bo oficerowie sztabowi od majora wzwyż byli w innych lagrach, albo w więzieniach. Generał Kleeberg siedział w Nürnberg, gdzie zmarł albo został zamordowany, bo nie przyznał się do niemieckości. Grono oficerów, w którym się znajdowałem w niewoli, w życiu cywilnym byli nauczycielami, profesorami, urzędnikami, mała część oficerami zawodowymi. Jednym słowem, była to elita społeczeństwa polskiego, można powiedzieć tzw. „śmietanka". Przez pięć miesięcy przysłuchiwałem się dyskusji, toczącej się na temat niewoli, a przede wszystkim wojny i przyszłości Polski. W dyskusjach i wypowiedziach ścierały się różne kierunki myślenia. Co do przebiegu wojny i odzyskania niepodległości Polski – o dziwo! – wszyscy, bez względu na stopień wykształcenia i inteligencji, byli jednomyślni, że stanie się „cud!" Podobnie, jak w 1920 roku „Cud nad Wisłą". Wtedy „Matka Boska" sprawiła, że Bolszewicy ponieśli nad Wisłą straszną klęskę. Słuchałem tych bredni i nie dowierzałem, czy to są oficerowie. Gdzież ich znajomość historii. Przecież to nie „Matka Boska" zadała cios bolszewikom, tylko mądra strategia Marszałka Piłsudskiego i waleczność żołnierza polskiego. I nie 15, a 17 lipca odbyła się decydująca walka. Ale cóż, 17 lipca to żaden dzień maryjny, więc co szkodzi Akcji Katolickiej tak ważne wydarzenie przesunąć, wbrew prawdzie historycznej, na dzień maryjny, 15 lipca.

Gdy była też w dyskusji mowa, że Polska musi być katolicka, wolna od Żydów i Niemców (należy rozumieć „ewangelików"), poczułem się w tym gronie „Rycerzy Niepokalanowa" obcy, nie „swój". Umacniał się we mnie, obudzony przez Związek Mazurów, separatyzm, autonomizm. Poczułem się Mazurem, cząstką Ludu Mazurskiego Prus Wschodnich.

Opuszczając obóz jeniecki, nie wiedząc, co dzieje się w domu, cieszyłem się, że spotkam się z kolegami, z ludźmi, którzy tak samo myślą jak ja. Po opuszczeniu kancelarii

komendanta oflagu żołnierz prowadzi nas trzech do bramy. Furtka „klasztorna" się otwiera, przechodzimy na zewnątrz, furtka z trzaskiem zamknęła się za nami.

Ostatni raz zerknęliśmy na mury klasztoru. Mróz, śnieg zaskrzypiał pod butami. Skierowaliśmy się do stacji kolejowej. Droga czy ulica prowadziła w górę. Wsiedliśmy do pociągu, pociągu idącego z Olsztyna do Piszu. W pociągu pełno ludzi, biednie ubranych, obraz szarzyzny. Wejście nasze w mundurach polskich oficerów nie zrobiło żadnego wrażenia. W wagonie ogólne milczenie. Nie pamiętam, aby ktokolwiek nas zagadnął. Pociąg turlał się jak wąskotorówka z Ełku do Kalinowa. Wreszcie znaleźliśmy się w Nürnberg. Postanowiliśmy po pierwsze najeść się na wolności, a potem kupić zabawki dla dzieci i dalej w drogę do domu. Z dworca w Nürnberg idziemy ulicą do miasta, wpatrując się w okna wystawowe. W pewnym momencie zobaczyłem w oknie wystawowym smażone mielone klopsy. Wchodzimy do skromnego baru, stoliki dla stojących. Ucieszyliśmy się, że po długim czasie zjemy coś mięsnego. Zamówiłem klopsy, bo nic innego, lepszego nie było. Podałem barmance kartki żywnościowe, które dostaliśmy na drogę. Barmanka wysortowała kartki nieważne, przedawnione. Z ważnych wybrała tyle, ile trzeba było na klopsy. Podała nam po klopsie, bułce i piwo.

W barze było dość dużo mężczyzn, biednie wyglądających, popijających piwo. Pierwszego klopsa ja dostałem. Zaraz przy bufecie zapuściłem zęby w klops. Nagle zawołałem: „Das ist doch Brot"[165]. Wszyscy obecni w barze ryknęli śmiechem, dodając: „Ja, ja, aber das ist doch Fleisch!"[166]. I znów śmiech. Widać było, że już wtedy Niemcy naśmiewali się z gospodarki Hitlera. No cóż, zjedliśmy ten klops chlebowy z bułką. Po tym posiłku nasz kumpel ze Śląska, pan Grycza, odłączył się od nas. Zostałem tylko z Poznaniakiem. Poszliśmy razem do bogatego sklepu z zabawkami. Obładowałem się różnymi zabawkami dla wszystkich dzieci przebywających u Mateczki, dzieci Marty i Emila. Kolega-Poznaniak zaproponował mi, abym pojechał z nim do Drezna. Tam ma ciotkę, więc u niej się najemy. Rzeczywiście, odszukaliśmy ciotkę. Ale z najedzenia nie bardzo wyszło. Daliśmy jej resztę kartek. Znów niektóre były już nieważne. Ugościła nas jak mogła. Tam przenocowaliśmy i następnego dnia [ruszyliśmy] w dalszą drogę. W Poznaniu odłączył się ode mnie i nigdy nie spotkaliśmy się więcej.

Jak długo jechałem do Narzymia, nie pamiętam. W pierwszych dniach marca 1940 roku, wysiadając w Narzymiu, zastałem zimę w całej pełni. Obładowany zabawkami, wyglądałem jak wielbłąd w pustyni śnieżnej. Szosą szło się jako tako. Doszedłem do naszej ścieżki za stodołami. Zasypana. Śniegu na jeden metr. Nie chciałem iść drogą przez wieś, więc puściłem się przez głęboki śnieg, przypuszczalną, niewidoczną ścieżką. Zapadłem w śnieg poza pas, paczki spoczywały na śniegu. Myślałem, że nie dojdę do domu. Kilka razy odpoczywałem. W dodatku sypał świeży śnieg. Ostatnimi siłami dowlokłem się do naszej stodoły. Tu odsapnąłem, nim wszedłem do domu.

Nikt w domu nie spodziewał się mego powrotu. Radość był wielka.

W domu pełno swoich ludzi.

[165] Przecież to jest chleb.
[166] No tak, przecież to jednak jest mięso.

75
Robert, mój brat, rozstrzelany

Ze łzami w oczach wita mnie kochana Mateczka, nie mogąc powstrzymać w sobie bolesnych, tragicznych słów: „Robert nie żyje. Został zabity". Słowa te uderzyły we mnie jak sztylet wsadzony w serce. Mogłem tylko westchnąć: Mój Boże! Witając się z żoną, synkiem, Janem, Hedką, Wilą bratową i jej dziećmi, radość moja z powodu zwolnienia z niewoli prysła jak bańka mydlana, obciążona głębokim smutkiem. Wyjąknąłem zaledwie te słowa: Dlaczegoście mi o tym nie napisali? Byłbym siedział w lagrze, w niewoli...

Ale cóż, jestem. Zacząłem pocieszać Mateczkę. Dzieci zajęły się przyniesionymi przeze mnie zabawkami tak, jakby u nich wojny nie było, a przecież trzem synom Karola brakowało ojca, który ukrywa się gdzieś w Warszawie. Tragiczna śmierć Roberta przygniatała atmosferę domową. Nieco zabliźniona rana w sercach domowników, zwłaszcza zbolałej ze smutku Mateczki, odżyła na nowo w związku z przyjazdem. Bano się o mnie. Mateczka szczegółowo opowiedziała mi o tragicznej śmierci Roberta, o której dowiedzieli się wszyscy domownicy od mego brata Emila z Klęczkowa, który później osobiście powtórzył mi to wydarzenie. Mało która zbrodnia jest tak dokładnie ujawniona, jak właśnie stracenie mego brata Roberta przez hitlerowców.

Jak już wiadomo, we wrześniu 1939 roku Gestapo aresztowało Roberta w mieszkaniu nad karczmą, w której torturowano Polaków. Jeden z Kurkowian (nazwisko znane) przyczynił się do jego aresztowania. Siedział w więzieniu w Działdowie, potem w Olsztynie. Z pewnością nie obyło się bez znęcania się nad nim. Widziano go, jak musiał czyścić ustępy. Wreszcie został umieszczony w obozie koncentracyjnym (*Arbeitslager*[167]) w Hohenbruch koło Labiau. Tam siedział razem z następującymi kolegami nauczycielami: Edmundem Ułanowskim, Alfredem Longwitzem, Oskarem Napierskim, Kallasem. W Hohenbruch musieli pracować przy wykopkach ziemniaków. Nie dostali żadnych motyk, tylko gołymi rękami musieli wygrzebywać kartofle z ziemi. Przy tym pozdzierali skórę z palców do żywego ciała. Krew lała się. Zawijali palce szmatami, ale skąd je dostać i na jak długo taka szmata wytrzyma. O tym Robert pisał w liście, który cudem dotarł do domu. Mateczka natychmiast wysłała paczkę z rękawicami, ciepłą bielizną i żywnością. Nie wiem, ile takich paczek wysłano Robertowi? W każdym razie, jedna z nich wróciła przed Bożem Narodzeniem bez żadnej adnotacji pocztowej. Zaniepokojono się w domu. Domyślano się, że mogli go przenieść do innego obozu, podobnie jak mnie z Olsztynka do Nürnberg. Sprawa wyjaśniła się dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia, 24 grudnia 1939 roku.

Oto relacja mego brata Emila, który był żonaty z Agatą Marrek i posiadali gospodarkę w Klęczkowie. Gruntami graniczył z Walterem Thewsem z Filic. Więc dobrze się znali. Za Hitlera Thews i mój brat Emil byli Volksdeutschami i należeli do „SA". Obaj spotykali się nie tylko na polu, ale i na zebraniach „SA". Późnym wieczorem w Wigilię Bożego Narodzenia nagle wpada do kuchni Thews, gdzie znajduje się Emil, pada jak szalony na podłogę, tarza się i jęczy, wołając: „Vergib mir, vergib mir..."[168]. Emil stara się go uspokoić, ale Thews, tarzając się, powtarza „vergib mir". „Was soll ich dir vergeben?"[169] – powtarza

[167] Obóz pracy.
[168] Przebacz mi, przebacz mi!
[169] Co mam tobie przebaczyć?

Emil. Na to Thews, wijąc się po podłodze, woła: „Vergib mir, vergib mir, ich habe deinen Bruder erschossen”...[170] Emil słysząc tragiczne słowa czynił wszystko, aby Thewsa uspokoić. Po dłuższej chwili oprzytomniał, uspokoił się, usiadł na krzesło i zaczął powoli opowiadać, zastrzegając, aby o tym nikomu nie mówić, bo inaczej „mnie i ciebie zabiją”. Najpierw mówił o tym, że nie znajduje spokoju. Wszędzie widzi zabitego Roberta. Na jakikolwiek przedmiot spojrzy, to widzi Roberta. Sumienie do tego stopnia go dręczy, że „musiałem przyjść do ciebie, abyś mi darował, wybaczył”.

Potem mówi: Któregoś dnia „SA” czy „SS”, czy Gestapo w Działdowie rozesłało pisma do wiejskich komórek „SA”, aby wytypowali po jednym dobrym strzelcu, bez podania celu. Wybrano dziesięciu z dziesięciu wsi. Emil wymienił mi wszystkie wsie i nazwiska. Ja, niestety, zapamiętałem tylko: Brodowo, Janowo, Kurki, Klęczkowo i Krasnołąkę oraz nazwiska powołanych z tych wsi [...][*]. Thews dalej opowiada: „Umieścili nas na pierwszym piętrze w willi notariusza Wyrwicza, gdzie była siedziba Gestapo. Za dnia ćwiczyliśmy w ogrodzie, strzelając do tarczy. Na kwaterze czyściliśmy broń. Przypuszczaliśmy, że będą jakieś zawody. Niczego złego się nie domyślaliśmy. Bardzo wczesnym rankiem pewnego dnia załadowali nas, uzbrojonych w karabiny i amunicję, do ciężarówki. Stanęliśmy w lesie pod Komornikami. Za nimi przyjechała druga ciężarówka, z której wyładowano 36 osób aresztowanych.

Dopiero teraz zorientowali się, do jakich „zawodów” ich powołano i przygotowywano. Jakaż konsternacja musiała zaistnieć. Zaskoczenie dla obu stron. Któż może to ująć w słowa...? Myślenie obu stron przerwały słowa komendanta egzekucji, Bawarczyka: „Diese Verbrecher sollen erschossen werden!”[171]. Z pewnością szok dla jednych i drugich. Po jednej stronie dziesięciu naiwnych Mazurów, którzy nieświadomie, mimo woli, na rozkaz Bawarczyka mają być zbrodniarzami niewinnych 36 osób. Po drugiej stronie nauczyciele, księża i właściciele majątków powiatu działdowskiego, mławskiego i innych, którzy liczyli na pracę w Generalnej Guberni.

Nie wiemy, w jaki sposób odbywała się egzekucja. Według relacji Thewsa, wiemy dokładnie, jak zginął Robert. Rozkaz rozstrzelania Roberta najpierw dostał „strzelec” z Brodowa, rówieśnik. Razem bawiliśmy się, razem chodziliśmy z nim do szkoły. Trudno domyślać się, o czym w tym momencie myślał Robert. Może modlił się? Nie wiemy, czy cokolwiek mówił. Może był tak słaby, bo trzymali ich w piwnicy bez jedzenia, bez picia, że o niczym nie myślał? Nie, Robert na pewno zastanawiał się nad sytuacją, gdyż niezachwianie stał, czekając na strzał, który nie wychodził z lufy egzekutora.

O czym myślał „strzelec” z Brodowa, stojąc naprzeciw Roberta? Myślenie u niego stanęło. Zemdlał. Upadł. Nastała konsternacja. Odwlekli go na bok. Komendant wyznaczył drugiego. Los trafił na „strzelca” z Janowa, dobrze zaprzyjaźnionego z naszą rodziną. Teraz stoi z karabinem w ręku i ma zabić Roberta, który z pewnością polecał Bogu swoją duszę. Chyba przykazanie „Nie zabijaj” wzruszyło „strzelca” z Janowa, bo też zemdlał i padł jak kłoda, bo był tęgi i wysokiego wzrostu. I tego odwlekli na bok.

Jakże dygotać musiał Robert, słysząc strzały, które pozbawiały życia innych skazanych.

---

[170] Przebacz mi, przebacz mi, to ja zastrzeliłem twego brata.

[*] Nazwiska były wymienione przez E. Małłka w rękopisie (tą jego częścią edytor nie dysponuje). Przepisujący rękopis opuścił je.

[171] Ci przestępcy mają być rozstrzelani.

Trzecim egzekutorem, wyznaczonym przez komendanta, był „strzelec" z Krasnołąki, zaprzyjaźniony z naszą rodziną. I temu zachwiała się ręka, nieprzytomny runął na ziemię. Można sobie wyobrazić złość i zdenerwowanie komendanta egzekucji. Rozjuszony, dopadł Waltera Thewsa: „Jeżeli ty go nie zastrzelisz, to ty dostaniesz kulę w łeb". Tu nie przelewka, pomyślał Thews, który też znał Roberta. Swoje rozważania przekazał memu bratu Emilowi: „Strzelę Robertowi pod nogi, na pewno upadnie, a może nawet zemdleje, gdy odjedziemy, przyjdzie do siebie i ucieknie". Tak też zrobił. Robert rzeczywiście upadł i zemdlał.

Przypuszczalnie Robert był ostatnim skazanym. Niestety, nie stało się tak, jak przewidywał Thews. Nim egzekutorzy odjechali, komendant, ów zbrodniarz Bawarczyk, zamiast odjechać, począł obchodzić wszystkich zabitych, kopiąc nogą, sprawdzał, czy któryś ze skazanych nie daje znaku życia. Podszedł do Roberta, kopnął go buciorem i zauważył, że Robert żyje, więc przyłożył lufę rewolwerową do jego skroni i Roberta dobił.

Tyle co do relacji Thewsa, naocznego świadka i uczestnika zbrodni, pierwszej grupowej egzekucji w Działdowie. Nie znamy dokładnej daty egzekucji. Sądownie, po wojnie ustalono datę na 8 grudnia 1939 roku. Pozostała do rozwiązania zagadka: dlaczego 36 „kacetowców" z Hohenbruch znalazło się nagle w Działdowie?

Po wojnie spotkałem się z Oskarem Napierskim i Alfredem Longwitzem, którzy ocaleli. Pytałem ich, jak to się stało, że tych 36 (w tym Robert) wyjechało z Hohenbruch. Najpierw opowiedzieli mi o początkach pobytu w lagrze. Każdego wypytywali o różne rzeczy. Potem zadawali pytanie: „Was sind sie: Pole oder Deutscher?"[172]. Napierski i Longwitz odpowiadali: „Ich bin ein Deutscher"[173]. O Robercie obaj mówili, że na pytanie Niemców odpowiadał: „Ich bin ein Masure"[174]. „Dann sind sie ein Pole"[175], odpowiadali Niemcy. Robert zaprzeczał: „Nein, ich bin ein Masure"[176], podkreślając autonomizm Prus Wschodnich. Tyle świadkowie o poczuciu narodowym Roberta. A więc, jeżeli Robert zginął, to zginął jako Mazur, a nie jako Polak.

Dalej zapytałem Napierskiego i Longwitza, co działo się potem w Hohenbruch? Odpowiedzieli mi rzecz następującą: pewnego dnia komendantura lagru ogłosiła

[172] Za kogo się macie?
[173] Ja jestem Niemcem.
[174] Ja jestem Mazurem.
[175] W takim razie macie się za Polaka.
[176] Nie, ja jestem Mazurem.

werbunek. Potrzebni [są] pracownicy w administracji w Guberni Generalnej. Mogą się zgłaszać chętni, którzy władają językiem niemieckim. W lagrze zaczęto się zastanawiać: Czy to podstęp, czy prawda? Jednak po kilku dniach zgłosiło się 36-ciu, w tym i Robert Mallek. Tyle świadkowie.

Załadowano ich do wagonu, pociągiem [wieziono] w kierunku Guberni Generalnej. Nie wiadomo, czy jechali wolni, czy pod eskortą. Pociąg stanął na stacji w Działdowie. Przypuszczam, że sługusy hitlerowscy wywąchali udających się do Warszawy, stwierdzając, że są to te same osoby, które zostały aresztowane jako „zbrodniarze". „Jak to, ci mają być na wolności w Guberni Generalnej?". Na pewno Gestapo i „SS" zainteresowało się tą sprawą i zadecydowano ponowne aresztowanie tych, którzy liczyli na wolność. Umieszczono ich w piwnicy w wspomnianej willi pana Wirwicza – siedzibie Gestapo. Za kilka dni rozwalono ich w lesie pana Zwirskiego pod Komornikami.

Pytanie: Czy werbunek w lagrze Hohenbruch był podstępem? Osobiście uważam, że werbunek był uczciwy, gdyż w Guberni Generalnej naprawdę potrzebowali ludzi ze znajomością języka niemieckiego. Co przemawia za takim myśleniem? Gdyby Komenda Obozu w Hohenbruch myślała zgładzić tych 36-ciu, to czy musieliby ich transportować aż do Działdowa? Z pewnością na miejscu nie brakłoby im hitlerowców, chętnych babrać się we krwi ludzkiej.

Jestem przekonany i pewny, że winę za tę zbrodnię ponoszą jedynie i wyłącznie hitlerowcy, którzy rządzili w Działdowie. Wątpię, aby kiedykolwiek można by dojść, kto osobiście ponosi odpowiedzialność za tę zbrodnię. Być może, że wszyscy winni tej zbrodni stoją już przed majestatem sprawiedliwego Boga i szkoda szukać ich wśród żyjących. Thews po tej zbrodni przeniósł się do swojej teściowej w powiecie chełmińskim. Nie miałem odwagi go spotkać, albo go o to pytać, bo sam się ukrywałem u kolegi Ludwika Haupta w jego wsi.

76
Obóz koncentracyjny w Działdowie

Opisana pierwsza tragiczna egzekucja była zaledwie preludium do dalszych pięcioletnich masowych mordów, dokonywanych w imię diabelskiej ideologii wariata, ludobójcy Hitlera. W tym celu w końcu 1939 roku zorganizowano w Działdowie obóz koncentracyjny, w którym umieszczali masowo aresztowanych Polaków. Mnożyły się egzekucje. Rosły masowe groby, zagłodzonych, zamordowanych na polach w rozwidleniu szos do Klęczkowa – Komorniki. Po zakończeniu wojny, w 1946 roku nastąpiła ekshumacja 36-ciu zamordowanych, rozstrzelanych w lesie Zwirskiego pod Komornikami. Przy ekshumacji był obecny mój brat Karol. Reszta rodziny nie wiedziała nic o tym. Szczególnie Mateczka ubolewała bardzo nad tym, że ją nie powiadomiono. Mówiła, że na pewno poznałaby szczątki swego syna. Wiedziała bowiem, że Robert przepasywał biodra ciepłym, wełnianym, ręcznie zrobionym przez Mateczkę szalem, bo cierpiał na korzonki nerwowe (lumbago). A wiadomo, wełna nieprędko próchnieje w ziemi. Wielka szkoda, bo Robert byłby pochowany na cmentarzu w Brodowie, obok Ojczulka, Jana i naszego malutkiego Karolka Michała, w ziemi, która nas wychowała i wyżywiła, w Ziemi Ojców naszych.

Niestety, razem z innymi 35-cioma został przeniesiony do masowego grobu, obok innych masowych grobów pomordowanych w Działdowie, nad którymi obecnie stoi pomnik przypominający morderstwa hitlerowców.

77
Sytuacja w Brodowie

Z dniem 10 stycznia 1920 roku powiat działdowski oderwany od Prus Wschodnich stał się „obcym ciałem" w organizmie Państwa Polskiego. Powiat Działdowo w granicach Polski to sztuczny twór Traktatu Wersalskiego. Ludność miejscowa to Mazurzy o niemieckim poczuciu narodowym. Natomiast administracja powiatu spoczywała w rękach Polaków. W ciągu dwudziestolecia przynależności do Polski tylko drobna część Mazurów przez wykształcenie w polskich szkołach i przez sporadyczne ożenki asymilowała się. Ale i ta część, nie mając pełnego uznania praw obywatelskich, przedstawiała grupę jeżeli nie separatystyczną, to co najmniej odrębną, regionalną. Porozumienie Piłsudskiego z Hitlerem w 1934 roku dodało drożdży do istniejącego zacieru niemieckiego poczucia narodowego Mazurów powiatu działdowskiego. Euforyzm narodu niemieckiego, wiwatującego poczynaniom (powodzeniu) Hitlera w własnym kraju i poza granicami, umacniał poczucia niemieckie Mazurów. „Blitzkrieg" z Polską w 1939 roku oszołomił Mazurów powiatu działdowskiego.

Co działo się w Brodowie? Mazurzy-brodowiacy ogłupieli, wpadli w szał. Szatan ich opętał. Wyzbyli się wszelkiego ludzkiego poczucia, humanitaryzmu. Wyrzekli się zasad chrześcijańskich. Stali się pospolitymi przestępcami i mordercami. Ścigali niewinnych ludzi. Katowano, znęcano się nad nimi, aresztowano, wysyłano do więzienia, stamtąd do obozów zagłady lub mordowano na miejscu nie tylko Polaków, ale również i „swoich", będących w służbie państwa polskiego.

W Brodowie pod tym względem wyżywał się Adolf Falkowski, były kaznodzieja gromadkarski, u którego odbywały się nabożeństwa. Znęcał się nawet nad niewiastami, wysyłając je samorzutnie żandarmom w Narzymiu w wiadomym celu. Nie szczędził nawet mojej żony. Meldując się tam, żandarm zdziwił się jej przybyciem, bo żadnego polecenia nie wydawał. Stąd wiadomo, że Falkowski dla własnej uciechy, od siebie wydawał nakazy. I mnie kazał się zgłosić u Landrata w Działdowie, aczkolwiek nie miał od niego nakazu. Tylko zrządzeniem odpowiedniego ogłoszenia *Bekanntmachung*[177], nie znalazłem się u Landrata, lecz z powrotem w niewoli, o czym już pisałem.

Kiedyś pobożni ludzie zaczęli uwielbiać Hitlera jako zbawiciela. Falkowski zapytany przez moją Mateczkę: „Kiedy będzie nabożeństwo?", odszedł ze zwieszoną głową, nie dając żadnej odpowiedzi. Jak tacy ludzie mogli żyć po klęsce Hitlera? Może z powrotem stali się kaznodziejami?

[177] Ogłoszenie.

78
Kristallnächte[178] w Brodowie

Na wzór niemiecki, zakładano w Działdowie i powiecie organizacje hitlerowskie: „SA" i „SS". Poza tym, w każdej wsi byli różni „Leiterzy"[179] czy „Führerzy"[180]. Emil Jebram był jako „Ortsbauernführer"[181] w Brodowie. Organizacje te, tworząc bandy, znęcały sie nad ludźmi, których uważano za wrogów. W Brodowie za wrogów uznano naszą rodzinę. Banda wybijała wieczorami wszystkie szyby w naszym domu. Brzęk zbitych szyb i ryk pijaków zrywał ze snu zastraszonych domowników. Domownicy nie wiedzieli, gdzie się ukryć przed hitlerowskimi zbirami. Wstawiano „dubelty" (zimowe okna), następnej nocy i te były potrzaskane przez bandy hitlerowskie. Wstawiano nowe szyby. Na nowo tłukli.

Hitlerowcy znęcali się nad rodziną, dokonując częstych kontroli w domu, jak również w budynkach gospodarczych, poszukując w szopach, chlewach, oborach, stodole mego brata Karola, a potem i mnie. Wszystkie produkty rolne trzeba było odstawiać państwu. Dla własnych potrzeb wolno zostawić tylko tyle, ile wyznaczyły władze. Wszystko było racjonowane na kartki. Świniarze hitlerowscy potrafili nawet zaglądać do garnka, aby się przekonać, co się gotuje. Mimo tak ścisłej kontroli, Mateczka z Janem i Hedką jakoś cudem kombinowali, że do życia mieli wszystkiego pod dostatkiem.

Niełatwy byt za czasów okupacji hitlerowskiej miała moja siostra, Marta, zamężna za Żbikowskiego w Pierławce. Swoją gorliwością i skrupulatnością w obowiązkowych dostawach dla państwa prześcigał bodajże wszystkich do tego stopnia, że gospodyni domu brakowało produktów na własne, normalne wyżywienie rodziny. Przede wszystkim przestrzegał norm narzuconych przez reżym, na własne potrzeby, które były bardzo skromne. Siostra miała nie lada kłopot z dostatecznym wyżywieniem maleńkich dwóch córeczek, Helgi, rocznik 1936, i Hanki, rocznik 1938. Po prostu musiała we własnym gospodarstwie podkradać, gdy nikt nie widział, mleko, śmietanę, jaja itp. Mając jednak nad sobą trzech „żandarmów" domowych: teściową, szwagra i szwagierkę, „podkradanie" nie bardzo funkcjonowało. Nie pozostawało jej nic innego, jak każdej niedzieli jechać do Mateczki do Brodowa, która zaopatrywała ją w śmietanę, masło, jaja, słoninę, boczki i inne produkty, a nawet w pieniądze na zakup odzieży i obuwia dla pięknych córeczek.

Z opowiadania siostry Hedki wiemy, że Mateczka była bardzo dzielna i odważna, nie bała się nikogo. Pewnego razu „kontrola" przydybała domowników przy nielegalnym uboju wieprza. Mateczka słowami: „A wy tego nie robicie?" przepędziła zawstydzonych „kontrolerów". I tak, dzięki odwadze Mateczki, w rodzinie niczego nie brakowało.

[178] Noce kryształowe – pogromy.
[179] Kierownicy.
[180] Wodzowie.
[181] Miejscowy (lokalny) wódz rolników.

79
Segregacja ludności na grupy

Diabelskim wymysłem Hitlera była segregacja ludzi na rasy. Kto nie był rasy aryjskiej, ten nie miał prawa do życia. Powstała doktryna *Herrenvolku*[182], którym byli tylko Niemcy. Na okupowanych terenach Polski ludzi podzielono na cztery grupy:

Do I grupy należeli „Reichsdeutsche”[183].

Do II grupy należeli „Volksdeutsche”[184].

Do III grupy należeli „Eingedeutschte”[185].

Do IV grupy należeli „Polen”[186].

Każda grupa otrzymała odrębnego koloru *Ausweis*[187] – dowód osobisty:

I grupa – „Reichsdeutsche” – kolor biały,

II grupa – „Volksdeutsche” – kolor niebieski,

III grupa – „Eingedeutsche” – kolor zielony,

IV grupa – „Polacy” – kolor czerwony.

Mateczka, Jan i Hedka, będący na gospodarce rodowym, zaliczeni zostali do III grupy z zielonym dowodem. Osobom III grupy nie wolno było posiadać własności, w szczególności gospodarstwa rolnego. Zaszła obawa, że Janowi jako właścicielowi ojcowizny zabiorą gospodarstwo. A tu tyle domowników na utrzymaniu: Mateczka, Jan, Hedka, moja żona z Robertem, Wila, żona Karola z trzema synami, Emil z żoną, dwojgiem dzieci i teściową. Razem 14 osób zostanie bez chleba. Trzeba temu w jakiś sposób zaradzić.

Po wkroczeniu hitlerowców Jan był aresztowany, więziony w Olsztynie. Tam zbity, torturowany, zmaltretowany (słabej natury) został zwolniony. Z pomocą domowników i służących gospodarował jak najlepiej. A tu naraz trzeba oddać gospodarstwo. To klęska. Po domowej naradzie, Jan udał się do sołtysa, którym był Oskar Heyn, nasz szwgier. Ten poradził Janowi, aby znalazł drugiego dobrego świadka, który by razem z nim zaświadczył, że Jan jest Niemcem i nigdy nie działał na szkodę państwa niemieckiego. W domu zastanawiano się, kogo by tu wziąć, aby był dobrym świadkiem. Wybór padł na Adolfa Büchlera, który był „SS-manem”. Jan postanowił pójść do niego i prosić go na świadka. Adolf Büchler długo zastanawiał się i wreszcie powiada: „Na ja, aber das muss dich viel kosten”[188]. Nie wiem, czy Büchler postawił cenę, czy Jan od siebie zaproponował mu wynagrodzenie. W każdym razie Büchler dostał najlepszą krowę i co rusz przychodził po „coś”, za co Janowi nie wypadało brać pieniędzy. „Doił, jak tylko mógł”. W każdym razie, Oskar Heyn i Adolf Büchler „zrobili” z Jana *Volksdeutscha*, to znaczy obywatela II grupy o niebieskim dowodzie osobistym.

W ten sposób majątek został uratowany. Domownicy odetchnęli. Życie potoczyło się normalnym trybem. W kwietniu 1940 roku przyznano Wili, żonie Karola, z dziećmi „Volksdeutscherstwo”, ale dowodu nie odebrała, bo krótko przedtem, na podstawie prze-

---

[182] Narodu Panów.
[183] Niemcy pochodzący z Rzeszy.
[184] Niemcy etniczni.
[185] Osoby włączone do niemieckiej wspólnoty narodowej.
[186] Polacy.
[187] Dowód.
[188] No dobrze, ale to musi ciebie dużo kosztować.

pustki od sołtysa, wywędrowała z dziećmi do Warszawy. A dokument ten dostała Wila na tej podstawie, ponieważ legitymowała się niemieckim dowodem osobistym z czasów przed 1920 rokiem, w którym pisało, że jest niemieckiej narodowości. Dokument ten chronił ją przed aresztowaniem, aczkolwiek poszukiwano jej męża, mego brata Karola.

Segregacja społeczeństwa na różne grupy stworzyła dziwaczne, wprost komiczne współżycie między ludźmi, nawet w rodzinie. Niemcom I i II grupy nie wolno było obcować z osobami III i IV grupy. Oto przykład z naszego domu: Jan z Wilimem Brombergiem jako Volksdeutsche jedli przy jednym stole; Mateczka i Hedka jako „Eingedeutscht"[189] przy drugim stole; a służąca i służący jako Polacy przy trzecim stole. Istna komedia, z której domownicy mogli się tylko śmiać, gdyż w naszym domu zawsze „służba" jadła z nami przy jednym stole. Ale tej segregacji przy stole pilnowali hitlerowcy. Już prorok Izajasz powiedział: „Bo oto ciemność okryła ziemię i narody" – Izajasz 60,2.

Tak szatan otumanił ludzi spod znaku swastyki. A oto dalsze przykłady segregacji. Mój brat Emil z żoną w Klęczkowie, siostra Marta z mężem Fritzem Zbikowskim w Pierławce zostali uznani za „Volksdeutschów", obywateli II grupy; brata Augusta z żoną Anną z domu Bromberg uznano jako „Eingedeutscht", obywateli III grupy.

Tak oto posortował ludzi Hitler według swojej szatańskiej ideologii. Ale już Pan Jezus powiedział: „Jeśli więc szatan sam w sobie jest rozdarty, jak się ostanie jego królestwo" – Łukasz 11,18. W rasizmie i w szaleństwie leżała klęska Hitlera, szatana w ludzkim ciele. Tylko wierzący w Boga byli pewni, że zwycięży Jezus Chrystus, którego Hitler chciał jako Żyda po raz drugi ukrzyżować. W pojedynku tym sromotnie przegrał. Zatryumfowała ideologia Jezusa Chrystusa, ideologia miłości Boga i bliźniego. Wierzący w Boga mogą dumnie z doktorem Marcinem Lutrem śpiewać hymn: *Warownym grodem jest nasz Bóg*.

1. Warownym grodem jest nasz Bóg, On nasza tarcza i zbroja,
On wyrwie nas ze wszystkich trwóg, On nasza straż, ostoja,
Swą sieć zdradny wróg, nam stawia wśród dróg,
W nim fałsz i moc zła, On oręż groźny ma,
Na ziemi któż mu sprosta?

2. My piekła nie zdołamy zmóc i zginąć by nam trzeba,
Lecz walczy za nas chrobry Wódz, Bóg sam Go zesłał z nieba.
Kto to? Każdy wie: Chrystus On się zwie,
Anielskich Wódz rot, Pan, Bóg Sabaot.
Zwycięstwo On odniesie!

3. Niech szatan hufce śle na świat, zdradzieckie sieci ściele,
My nie boimy się tych zdrad, będziemy triumf mieli!
Książę mocy złej, mimo siły swej
Nie zaszkodzi nam, już osądzony sam,
I wyrok go powali!

4. Niech nikt się nie tknie Bożych słów! Naruszyć ich nie damy!
Już wiedzie Pan anielski huf, do boju idzie z nami.
Chce nas szatan ściąć, grosz, rodzinę wziąć,
Niechaj bierze nam, nie minie piekieł bram,
My niebo otrzymamy!

[189] Włączony do niemieckiej wspólnoty narodowej.

80
Nasza tułaczka

„Do swej własności przyszedł, ale swoi go nie przyjęli" – Jan 1,11 – oto słowa ewangelisty Jana, odnoszące się do Jezusa Chrystusa, wypowiedziane dwa tysiące lat temu. Jezus urodzony według ciała jako Żyd przyszedł do Żydów. Przyszedł swój do swoich. „Ale swoi go nie przyjęli". Wzgardzili nim i ukrzyżowali. W tym momencie słyszę zaprzeczenie Żydów: „Myśmy Jezusa nie ukrzyżowali!". No dobrze. Nie ukrzyżowali, ale wydali Jezusa w ręce Piłata, wołając: „Ukrzyżuj go!". Wołali tak długo, aż został ukrzyżowany przez Rzymian. Proroka Bożego, Mesjasza ukrzyżowano! Niesamowita zbrodnia!

Przyszedłem z niewoli niemieckiej po raz drugi. Tym razem jako Niemiec, co stwierdzało zaświadczenie komendy oflagu w Laufen. Rodzina przyjęła mnie czule z gorącą radością. Synek Robert cieszył się, że Tatuś nie zginął, o co tak codziennie prosił Boga w łóżeczku. Do tego tatuś przyniósł mu tyle zabawek. Mateczka ze łzami witała mnie, zbolała z powodu zbrodni dokonanej na Robercie. Ogromnie cieszyła się z mego powrotu moja Jadźka, która już nie będzie sama. Radość panowała u sióstr, braci, krewnych. Tak czule, serdecznie i radośnie przyjęli mnie swoi – rodzina.

Ale czy ci „swoi", z którymi razem chodziłem do szkoły, do kościoła, na nabożeństwa gromadkarskie, czy ci „swoi", którzy teraz stali się mordercami mego brata Roberta, sąsiada Kolarskiego i wielu innych, czy ci „swoi" przyjmą mnie? Czy też Falkowski, były kaznodzieja gromadkarski, po raz drugi każe mi się zgłosić do landrata? Albo ci „swoi" każą mi się zgłosić w „kaźni" Gestapo, w willi Wyrwicza, przy ulicy Dworcowej w Działdowie? Albo po prostu zakują mnie w kajdany i wywiozą mnie, już nie do oflagu, lecz do obozu koncentracyjnego w Hohenbruch lub Oświęcimia, lub...?

Wysłuchawszy w domu tyle strasznych, obrzydliwych, zbrodniczych wiadomości, pomyślałem, że do takich „swoich", ubabranych we krwi niewinnych ludzi, nie można mieć odrobiny zaufania. Jakie pozostaje dla mnie wyjście? Tylko ucieczka! Ale dokąd? Pierwsza odpowiedź: gdziekolwiek, aby tylko daleko od brodowskich, działdowskich zbrodniarzy, morderców. Odrzuciłem myśl meldowania się u sołtysa Heyny, bo mógłbym wpaść w nieodpowiednie ręce. Z moją żoną postanowiliśmy najpierw wyjechać do jej rodziców, do Czarnowa koło Torunia. W domu w Brodowie zagrzałem zaledwie dwa dni i znów wyjazd. Z torbą w świat. Znów smutne pożegnanie z Mateczką i bliskimi. Jak ta biedna, kochana Mateczka to wszystko mogła znosić? Z Brodowa wyjechaliśmy w pierwszej połowie marca 1940 roku.

U teściów w Czarnowie też nie było wesoło. Teść, Władysław Wysocki, zawiadowca stacji, tylko cudem, płaczem i usilną prośbą syna Bernarda został uratowany przed rozstrzelaniem. Atmosfera domowa u teściów przygnębiająca. Najstarszy syn, Franek, brat Jadzi, który nie rozliczył się ze spółki ze swoją siostrą, moją żoną, zmarł nagle w niewoli niemieckiej w Austrii na skręt kiszki. Jego żona zmarła na tyfus. Ich jedyny synek zmarł, trafiony szrapnelem pocisku artyleryjskiego, który wpadł przez okno do mieszkania, w którym się znajdował. Pieniądze, oszczędności zakopane w ziemi zbutwiały, [okazały się] nie do użytku. Cały dorobek w niwecz się obrócił. Inni bracia Jadźki pracowali: Bernard na budowie w Fordonie, mieszkał u Piątkowskich, Janek szewcował u majstra w Solcu nad Wisłą, Władek i Albin pracowali u Bauerów za parobków. Stefan i Mietek byli w domu.

Moje przybycie z żoną i dzieckiem było nie lada dodatkowym obciążeniem. Teść nie był już zawiadowcą stacji, lecz tylko robotnikiem kolejowym. Cieszył się, że nadal mógł zajmować mieszkanie służbowe na pierwszym piętrze stacyjnego budynku. Mieszkanie [było] bardzo skromne i ciasne na tyle osób. Co do mnie, pocieszano się tym, że mam zwolnienie z niewoli jako Niemiec. Dręczyło mnie zameldowanie. Skierowanie z oflagu miałem do Brodowa, gdzie nie chciałem się meldować. Wobec tego postanowiłem zameldować się w Czarnowie. Razem z teściem udaliśmy się do sołtysa. Po przeczytaniu zwolnienia z oflagu sołtys powiedział, że niestety najpierw muszę się zameldować w Brodowie, a potem mogę się przemeldować. Inaczej tej sprawy załatwić nie może. Ot, i znów kłopot. Stanęło na tym, że do Brodowa pojadę sam, zamelduję się i zaraz wracam. Pożegnałem się z żoną, Robusiem i wszystkimi domownikami, ruszyłem w drogę wąskotorówką do Torunia z przesiadką na normalny pociąg. Po drodze nuciłem pieśni konfirmacyjne: *Za rękę weź mnie panie i prowadź Sam, Toruj Jezu sam, drogę życia nam*.

Wysiadłem na stacji Narzym. Stąd pieszo poza stodolu do domu, aby nikt nie widział. Domowników zaskoczyłem moim przyjazdem, ale wytłumaczyłem się, że tylko się zamelduję i uciekam z powrotem. Jeszcze tego samego dnia udałem się do sołtysa, Oskara Heyny, mego szwagra (jego siostra, Otylia, była żoną mego najstarszego brata Wilhelma). Wszedłem od podwórka. W sieni drzwi w prawo prowadziły do biura sołtysa. Pukam, wchodzę, pozdrawiam: „Guten Morgen”[190] – bez odpowiedzi. Przy biurku siedzi Oskar, coś tam dłubie ołówkiem w papierkach. Tylko zerknął na mnie, nie witając się ze mną, dalej grzebie w świstkach. W tym momencie w drzwiach do sypialni stanęła Otka, bratowa, i za nią Gertruda Schauówna z małym dzieckiem na ręku. Na moje pozdrowienie: „Guten Morgen”, nikt nie odpowiedział. Pewnie czekali na „Heil...”[191]. Nikt mi też nie podał ręki. Do Oskara, który w dalszym ciągu nie podniósł łba do góry, powiedziałem: „Ich kam mich anmelden”[192], podając mu moje zwolnienie z oflagu w Laufen. Przeczytał, coś tam nagryzmolił w swoich papierkach, a ja stoję.

Wtem Otka się odzywa: „Na, siehst du Eduard, was ist geworden?”[193]. Lekceważąco spojrzałem na nią, „zagryzłem się w język”, aby nie powiedzieć słów, które cisnęły mi się na język: „Noch ist der Krieg nicht zu Ende”[194]. Oskar zakończył „długą” naszą rozmowę słowami: „Das ist alles”[195], odsuwając od siebie papierki. Ukłoniłem się i bez słowa wyszedłem.

Żałuję bardzo, że będąc od 1973 roku w Bundesrepublice nie miałem okazji Otce, mojej szwagierce, powtórzyć jej słów: „Na siehst du, Otchen, was ist geworden?”[196]. Miała szczęście, że zdążyła znaleźć się w Schleswig-Holstein, a nie na Syberii, jak wielu innych. W międzyczasie wyszła za mąż za Nowaka, Predigera (kaznodzieję). I znów udawali pobożnych. Obłudnicy! Za późno pozwolono mi wyjechać z Polski, aby spotkać „naszych” zbrodniarzy. Czy nie uważacie, że ciekawe byłyby takie spotkania?

Tak pozbyłem się mego kłopotu z zameldowaniem, które nie dało mi ani satysfakcji, ani pożytku. W domu u Mateczki zdałem relację z przyjęcia u naszych powinowatych,

[190] Dzień dobry (dobre rano).
[191] Heil Hitler (heil = zdrowie, powodzenie, szczęście, niech żyje Hitler).
[192] Przyszedłem zameldować się.
[193] No i widzisz Edwardzie, do czego to doszło.
[194] Jeszcze wojna się nie skończyła.
[195] To wszystko.
[196] No i widzisz, Otko (Otylio), do czego to doszło.

Heynów. Odpowiedzią domowników było trafne określenie: „paskudne świnie". Cóż więcej można było o nich powiedzieć?

Na drugi dzień raniutko udałem się do pociągu w Narzymiu, w drogę powrotną do Czarnowa, czule żegnając się z kochaną Mateczką i domownikami. Nie przeczuwałem wtedy, że Jana więcej nie zobaczę.

81
O, to Pan żyje?!

Zawsze ze strachem przejeżdżałem stację kolejową w Działdowie. Stąd poprowadzono mego brata Roberta na stracenie. I tym razem wzdychałem, aby pociąg już ruszył w dalszą drogę. Podróżnych bardzo mało. Pociągi były tylko „Nur für Deutsche"[197]. Niemcy natomiast byli zaganiani wojną i hitleryzmem, nie mieli czasu na wędrowanie. Jeżeli wyjeżdżali, to na wojnę.

Szczęśliwie minąłem Działdowo. W przedziale siedzę sam. Nagle na którejś stacyjce za Działdowem wchodzi do mego przedziału ktoś bardzo znajomy: ja dla niego, on dla mnie. Gdy zobaczył mnie, stanął jak wryty. Upewniwszy się, że w sąsiednim przedziale nikogo nie ma, stanął przede mną i przyciszonym głosem powiedział: „Panie Małłek, to pan żyje?" – witając się serdecznie. Był to karczmarz z Tuczek, u którego robiłem zakupy, będąc nauczycielem w Nowej Wsi w 1939 roku.

Z początku pomyślałem: chłop się pomylił, biorąc mnie może za Roberta, który już był zamordowany, o czym mógł ewentualnie wiedzieć. Zapytałem go: dlaczego pan się tak zdziwił, widząc mnie? Przez chwilę nie mógł przyjść do siebie, wreszcie chce się upewnić, mówiąc: „Przecież pan jest panem Małłkiem, który był przed wybuchem wojny nauczycielem w Nowej Wsi?" Oczywiście – zapewniam go. Ale co ma znaczyć pańskie zdziwienie? – pytam. Myśli, myśli, wreszcie powiada: „A, bo wie pan, powiem panu pewną rzecz, o której, być może, pan nie wie". To mów pan, bo mnie to bardzo ciekawi. Opowiada: „W ostatnich dniach, tak około dziesięciu dni przed wybuchem wojny, byłem u wójta w gminie w Żabinach. Wójt pokazywał mi nakaz starosty powiatowego w Działdowie, nakazujący aresztowanie i rozstrzelanie pana". „Nakaz ten widziałem na własne oczy" – dodał. „Co dalej się działo, nie wiem" – zakończył. To straszne! – powiedziałem. Ale dlaczego miałem być rozstrzelany? „Uważano pana za Niemca, pewnie za szpiega" – powiada. To widzi pan, dobrze się stało, że do ostatnich dni sierpnia byłem na ćwiczeniach rezerwy, a 1 września zmobilizowany, brałem udział w wojnie przeciw Niemcom, a teraz ukrywam się przed hitlerowcami. Ale, wie pan – mówię do niego – z tego „rozstrzelania" muszę się dzisiaj nawet śmiać. Jak panu opowiem, to i pan będzie się śmiał. „Oj, szkoda, ale ja muszę wysiadać" – rzekł mój rozmówca.

Siedząc nadal sam w przedziale, zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem. Wiadomość ta przeniosła moje myśli do owej poczekalni Starostwa Powiatowego w Działdowie w przededniu wybuchu wojny. Tam nie wiedząc nic o „nakazie aresztowania i rozstrzela-

[197] Tylko dla Niemców.

nia" mnie, wydanym przez tegoż starostę Stebłowskiego, prosiłem o taksówkę do Brodowa celem pożegnania się z Mateczką i rodziną. Jakież zaskoczenie musiałem sprawić staroście Stebłowskiemu i jego sekretarzowi Kejnie? Szukali Szwaba, zdrajcę, szpiega, a on tu siedzi spokojnie, cierpliwie w przedpokoju, czekając na decyzję, dziwiąc się jedynie nad bieganiną Kejny z pokoju do pokoju. Czy to nie zabawne?

„Zabłąkana owieczka" znalazła się w paszczy lwa. I co dziwniejsze: „owieczka" zwyciężyła, bo dostałem przepustkę i taksówkę do Brodowa. Czyż to nie opatrzność Boża? Tak, bowiem mówi Bóg: „Ja byłem z tobą, gdziekolwiek poszedłeś" – 2. Samuel 7,9. „Opieka Boża czuwała nade mną" – Dz. Ap. 26,22. Bóg sprawił, że starosta nie rozstrzelał mnie, a nawet wysłuchał prośbę moją, dał mi taksówkę, abym, udając się na wojnę, pożegnał się z rodziną. Jak cudowne są sprawy Boże! Jezus Chrystus towarzyszył mi na drogach mego żywota, albowiem: „Pan jest pasterzem moim, Niczego mi nie braknie. Duszę moją pokrzepią. Wiedzie mnie ścieżkami sprawiedliwości. Choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Pan jest ze mną. Laska Twoja i kij Twój, te mnie wspierają" – Ps. 23.

82
Życie w Czarnowie – dwie wiary pod jednym dachem

Szczęśliwie zajechałem do Czarnowa, do teściów, serdecznie witany przez żonę i Robusia. Opowiedziałem o moim spotkaniu w rodzinie, u sołtysa w Brodowie i o tym, co miało mnie spotkać przed wybuchem wojny ze strony polskiego starosty. „Skazany" przez Polaków, teraz ścigany przez Niemców-hitlerowców.

Kim wreszcie jestem? Polakiem nie! Niemcem też nie! A więc jestem Mazurem!

W Czarnowie było nas w kupie 11 osób: teść, teściowa, Janek, Stefan, Albin, Władek, Mietek, Teresa, moja żona Jadźka, synek Robert i ja. Do dyspozycji były trzy maleńkie pokoiki i ciaśniutka kuchnia, bez łazienki, ubikacja w podwórku. Obecność moja u sołtysa w sprawie meldunku sprawiła, że w Czarnowie uważano mnie za Niemca, bo takie miałem zwolnienie z niewoli. Dlatego nikt mnie nie legitymował, ani kontrolował. Ale co tu robić? Zastanawialiśmy się z żoną. Nie możemy tu siedzieć bezczynnie.

Wieczorami chłopcy (szwagrowie) wciągnęli mnie do gry w „baśkę" lub „skata". Żona kręciła się przy matce, pomagając, co mogła. Dla urozmaicenia i rozrywki jeździliśmy do Fordonu, do szwagra Bernarda. Zatrzymywaliśmy się u Piątkowskich, starszych, serdecznych ludzi, którzy mieli córkę Jadwigę. Mieszkaliśmy często u nich przez kilka dni. Jedyną rozrywką, i to wszędzie, było „młócenie słomy politycznej". Czym zresztą ludzie mieli żyć w warunkach, które stworzył Hitler?

Z żoną mieliśmy do dyspozycji pieniądze, które miałem z wymiany złotych na marki z wojny i oszczędności z niewoli niemieckiej, gdzie otrzymywali oficerowie gażę. Ale i te skromne zapasy poczęły topnieć. Moja żona wpadła na pomysł robienia z ryb (drobnicy) rolmopsów. Chłopacy (szwagrowie) zwąchali się z rybakami, od których za darmo otrzymywali kosze drobnych ryb. Ja z żoną siedzieliśmy, czyścili, odrzucając oście. Przepoławialiśmy każdą sztukę. Dodawaliśmy cebulę, ogórek, gorczycę. Zawijaliśmy, przetykając patyczkami. Po ułożeniu w wiaderka po marmoladzie, zalewaliśmy octem. Za dwa dni rol-

mopsy były gotowe do jedzenia. Znaleźliśmy w Bydgoszczy restaurację, która kupi na próbę. Pierwszy raz zawieźliśmy oboje z żoną. Próba się udała, rolmopsy smakowały. Zamówienia były na dalsze dostawy, które już ja sam dostarczałem. Samorodna „produkcja rolmopsów" dawała nam skromny dochód na utrzymanie.

Jednak ciasnota w domu dawała się teściom we znaki. Można sobie wyobrazić, jakie gary jadła trzeba było gotować dla 11 osób. To była po prostu „stołówka" zakładowa, a zarabiający tylko jeden, teść. A co to był za zarobek robotnika kolejowego, Polaka? A do tego obowiązywały kartki. Ale to nie byłoby najgorsze w domu teściów. U teściowej odżyła gorliwość katolicka. Muszę w tym miejscu powiedzieć, że teściowa, mimo mego starania, nigdy nie weszła ze mną w rozmowę. Nigdy nie spojrzała mi w oczy. Nigdy mnie nie zagadnęła. Nigdy o nic mnie nie zapytała. Nie wiem, jak długo teściowa dręczyła swoją córkę, moją żonę, słowami: „Dwie wiary nie mogą żyć pod jednym dachem". Aż wreszcie żona mi o tym powiedziała. To był sygnał, że musieliśmy szukać innego schronienia, bo katolicy i ewangelicy nie mogą żyć pod jednym dachem.

83
Pełki na Kaszubach

Miałem adres Fritza Żywca, syna wójta z Brodowa, krewnego (ja dla niego byłem wujkiem, aczkolwiek wieku rówieśniczego). Mieszkał w Pełkach (obecnie Pełk), gmina Dziemiany, koło Kościerzyny na Kaszubach. Ożeniony był z Emą Mogiłowską z Kraszewa, powiat Działdowo. Poznał ją przeze mnie w tym samym czasie, kiedy ja poznałem moją żonę. Jako panna Ema była miła i przyjemna.

Fritz dał nam znać, że możemy przyjechać. Pojechaliśmy pociągiem do Dziemian. Daleka droga. Jechaliśmy w wagonie „Nur für Deutsche", bo innych nie było. Przeważnie byliśmy sami w przedziale, więc mogliśmy swobodnie mówić po polsku. Ale czasami dosiadł jakiś pasażer. Wtedy Robuś, nasz synek, miał wtedy cztery latka, siedząc zawsze przy oknie i przy mnie, przytulał się do mego ucha, szepcąc: „Tatusiu, teraz ja nie będę nic mówił". Dziecko było zorientowane w ówczesnej sytuacji. Zajął się oglądaniem obrazków.

Po kilkunastu godzinach wysiedliśmy w Dziemianach. Czekał na nas Fritz Żywiec. Przywitaliśmy się serdecznie. Wsiedliśmy na wóz o żelaznych obręczach na kołach i jazda do siedziby Fritza w Pełkach. Droga piaszczysta, przeważnie przez las, siedem kilometrów drogi. Wjechaliśmy jakby w wąwóz. Bardzo duże podwórze. Po prawej stronie tartak i wodny młyn. Na wprost dom mieszkalny, drewniany. Po drugiej stronie podwórka budynki gospodarcze. Obok domu mieszkalnego płynie rzeczka, tworząc małe jeziorko. Młyn poruszany wodą wytwarzał jednocześnie prąd elektryczny, gromadzony w akumulatorach. Stąd płynęła siła, poruszająca urządzenia młyńskie, tartaku i oświetlanie mieszkania.

Miejsce sielankowe. Naokoło jeziorka łąka. Po obu stronach wąwozu lasy. W dół od młyna i tartaku chatka robotnicza. Żadnych innych zabudowań, żadnych sąsiadów. Do innych osiedli dość daleko. Pomyślałem: idealne miejsce dla nas, wśród zaufanych ludzi, krewnych. Do tego znajdzie się dostatecznie pracy w gospodarstwie, młynie i tartaku. Można by tu spokojnie przetrwać czas wojny jako robotnik. Takie oto snułem myśli, po-

dziwiając rajskie położenie Pełk, siedziby Fritza i jego żony. Ema powitała nas z małym dzieckiem na ręku. Fritzowie ulokowali nas w pokoju w prawo od wejścia. Na wprost była komórka, która dzieliła nas od kuchni i ich pokoju stołowego i sypialni. Ulokowawszy się, pomyśleliśmy z żoną: idealne warunki.

Była wiosna, gdyśmy zajechali do Pełk, okres sadzenia kartofli. W pierwszych dniach traktowano nas jako gości. Żona krzątała się w domu, ja towarzyszyłem Fritzowi w polu albo z Robusiem oglądaliśmy młyn i tartak. Z psem chodziliśmy do lasu. W jeziorku pluskały się wspaniałe karpie. Fritz wziął sieć, zahaczył ją na jednym brzegu, drugim końcem zatoczył koło. Widziałem po raz pierwszy w życiu, jak karpie, skacząc ponad sieć, wydostawały się na wolność. Mimo wszystko, połów był wspaniały: dwa olbrzymie karpie, jeden 6,5 kg, drugi 5,5 kg. Fritz musiał się dobrze zasadzić, aby je wciągnąć do łodzi. Pewnego dnia w nocy dostałem strasznych boleści brzucha. O lekarzu nie mogło być mowy. Nawet nie budziliśmy gospodarzy. Żona podawała mi do picia herbatę, którą płukałem żołądek. Po kilku godzinach bóle zaczęły ustępować. Na pewno było to zatrucie żołądka, bo Ema, żona Fritza, podała na kolację odgrzewane jaja na twardo. Byliśmy szczęśliwi, że obyło się bez lekarza.

Pewnego razu patrzę, Fritz niesie z komórki kawał mięsa, z którego kapie zakolorowana woda. Zaciekawiony tym widokiem domyśliłem się, że musi tam mieć jakąś beczkę z mięsem. Odpasowałem odpowiedni moment i wszedłem do komórki, w której faktycznie stała beczka, nakryta wiekiem. Odkryłem, zerknąłem do środka, a tam poza kawałami mięsa i słoniny, w płynnej zaprawie, pełno robaków. Ogarnęło mnie obrzydzenie, podobnie, jak kiedyś u Kolarskiego w Krempie. Były one jednak innego rodzaju, nie takie grube ani pękate. Pfuj! Szybko zakryłem beczkę i cichaczem wyszedłem z komórki. Gdy o tym powiedziałem żonie, brzydziliśmy się jeść u Emy. Tłumacząc, że nie możemy być ich ciężarem, przeszliśmy na własne gotowanie. W każdym razie czuliśmy się tam dobrze, nie obciążając Emę naszym towarzystwem. Zauważyliśmy, że Ema sprzyja Niemcom, więc unikaliśmy rozmów politycznych. Pełki leżały tuż przy dawnej granicy polsko-niemieckiej, po stronie polskiej. Po stronie niemieckiej, niedaleko Pełk, znajdował się posterunek żandarmerii. Żandarmi, od czasu do czasu, zawsze wieczorem, wpadali do Fritzów na wyżerkę. Odchodzili, aż dostatnio się najedli i napili. W czasie ich obecności ja z żoną i Robusiem siedzieliśmy w naszym pokoju jak trusie, cichutko, po ciemku.

Po pewnym czasie pobytu u Żywców, po jednej takiej wizycie żandarmów, podsłuchaliśmy kłótnię między Fritzem a Emą. Powodem kłótni był nasz pobyt u nich. Słyszeliśmy słowa Emy, że tak dłużej być nie może, że poda nas do żandarmerii. Struchleliśmy. Już tej nocy nie mogliśmy spać. Nie było innej rady: Uciekać! „Zajączki uciekajcie, bo pies za wami”! Skończyła się sielanka, zaledwie po kilkunastu tygodniach. Na drugi dzień porozmawiałem o tym z Fritzem. Przykro mu było na ten temat rozmawiać. „Ale co mogę zrobić, jak ona jest taka?” – powiada.

W czasie naszego pobytu w Pełkach, Fritz opowiadał mi, że na Kaszubach, a więc w pobliżu Pełk, działa organizacja podziemna. Skoro musimy wyjechać, to on porozmawia z zaufanym gospodarzem z sąsiedniej wsi, aby nas zabrał dnia, o którym Ema nie będzie wiedziała. Gospodarze sąsiednich wsi przyjeżdżali do młyna ze zbożem na przemiał, względnie do tartaku. Tego dnia Emy nie było w domu. Poznaliśmy owego gospodarza, który pomógł nam załadować się na jego wóz. Pożegnaliśmy się z Fritzem, dziękując mu za

gościnę. To był nasz ostatni uścisk dłoni, bowiem Fritz zginął na wojnie jako żołnierz niemiecki.

Gospodarz niemiecki zawiózł nas do siebie. Dziś nie pamiętam ani nazwy miejscowości, ani jego nazwiska. W domu, poza gospodarzem, zastaliśmy jego żonę i dwie dorosłe, przystojne, ładne córki. Powitali nas bardzo serdecznie, jakby własnych krewnych. Ugościli nas, jakby specjalnych, ważnych gości. W rozmowie dowiedzieliśmy się o organizacji podziemnej i partyzantce, którą prowadzi ksiądz Wrycza. Partyzantka ma odpowiednie kryjówki i bunkry, trudne do odkrycia w kaszubskich lasach. Gospodarze nalegali, abyśmy zostali u nich. „Jest co jeść, będziemy razem żyli" – powiada gospodarz. Był to zasobniejszy gospodarz. Zabudowania w bardzo dobrym stanie, idealny porządek, w domu bardzo czyściutko. Aczkolwiek nie wiedzieliśmy, dokąd uciekać, jednak uznaliśmy, że nie możemy być tak blisko „swojego" wroga. Serdecznie podziękowaliśmy gospodarzom za dobre serce i za tak serdeczną, przyjacielską gościnę. Gospodarze, rozumiejąc naszą sytuację, na drugi dzień odwieźli nas do pociągu. Ruszyliśmy w drogę, wykupując bilety do Bydgoszczy. Był czerwiec. Było cieplutko.

84
W Bydgoszczy

Zajechaliśmy do cioci i wujka mojej żony, Kossaków, którzy mieszkali z czterema córkami w Bydgoszczy Szwederowie, ul. Strzelecka nr 24. Mieszkanie ich składało się z trzech małych pokoi i kuchni, bez łazienki, ubikacja w podwórku. Przyjęli nas bardzo serdecznie. Tam czuliśmy się najlepiej. Jednak był to okres rewizji po domach i łapanek Polaków. W czasie rewizji i łapanek ukrywałem się w podwórku w chlewku na opał. Za chlewkami był ogród. Pewnego dnia jest łapanka, wpadają hitlerowcy na nasze podwórko. Ja jestem w chlewku. Grupa dzieci, młodzieży, przeważnie dziewczęta, uciekła do ogrodu, skryć się w altanie. Hitlerowcy za nimi. Zabrali niektóre starsze dziewczęta. Mając „łup" załadowany do „budy", hitlerowcy zrezygnowali z poszukiwań w mieszkaniach i chlewach. W ten sposób uniknąłem łapanki.

Pięknego dnia poszliśmy z żoną do miasta. Na Rybnym Rynku widzimy stragany z warzywami i gromadę kupujących kobiet. Podeszliśmy i my. Żona, będąc w kolejce, poprosiła [o] to i owo, na co była przygotowana. Nie spodziewała się, że o tej porze, w czerwcu będą kalafiory (holenderskie). Nie znając niemieckiej nazwy, powiedziała: „Und noch kalafiory"[198]. Jak to usłyszały baby, ryknęły chórem: „Das ist eine Polin! Weg mit ihr!"[199] ... I dawaj zaczęły sypać wrogimi wyrazami przeciwko mojej żonie. Żona się speszyła, nie wie, co robić. Ja widzę, że zakrawa na poważną rozróbę, podszedłem do żony, zwróciłem się do skrzeczących bab, też ryknąłem: „Warum ruft der Führer, Hitler, solche deutschen Leute aus Wolinien und anderen Ländern herbei?!"[200]. A do żony powiedziałem: „Lass das Gemüse, denn die Weiber werden dich auffressen!"[201]. Hołota natychmiast zamilkła, nie-

[198] I jeszcze kalafiory.
[199] Przecież to Polka! Precz z nią!
[200] Dlaczego wódz, Hitler, ściąga ludzi pochodzenia niemieckiego do Niemiec z Wołynia i innych krajów?
[201] Chodź, zostaw te warzywa, bo te baby ciebie pożrą!

które starały się usprawiedliwiać. Ale myśmy czym prędzej uciekali, aby się nie zjawiła policja (trzeba wiedzieć, że po układzie Hitler – Stalin Hitler wezwał Niemców za granicą do opuszczenia obcych krajów i powrotu do Niemiec). Na drugi raz już żona wiedziała, że kalafior nazywa się „Blumenkohl".

W Bydgoszczy obracaliśmy się między strachem a odwagą. Lękaliśmy się, by nie wpaść w ręce hitlerowców, którzy w najlepszym wypadku wysłaliby na roboty w głąb Niemiec, w najgorszym wypadku do obozu koncentracyjnego. Z drugiej strony musieliśmy się uzbrajać w odwagę, aby nie siedzieć na jednym miejscu, obciążając jedną rodzinę krewnych, czy też znajomych. Wędrowaliśmy z miejsca na miejsce, odwiedzając teściów w Czarnowie, to znów wujostwo żony, Stamm, w Toruniu, to znów ich córkę Stefanię, zamężną za drogeżystę w Lubiczu. Druga ich córka to Greta. Obie były ładne i przystojne. Najczęściej bywaliśmy w Fordonie, zatrzymując się u bardzo gościnnych Piątkowskich. Obok mieszkał Bernard, brat żony, u rodziny Zobel, gdzie uczył się na pianinie, pracując w fabryce budowlanej. Bywaliśmy też u rodziny Grzywacz (on kolejarz). Ich piękna córka Irena była sympatią mego szwagra Janka. Do ożenku jednak nie doszło. Jedna z córek Kossaków, Luca (Łucja), była zamężna za Niemca, hitlerowca. Ten nie chciał mieć nic wspólnego z Polakami. Nawet żonie zabronił odwiedzać swoich rodziców. I odwrotnie, nie wolno było ją odwiedzać. A więc nie mieliśmy okazji ich poznać, a może nawet baliśmy się ich poznać.

Gdziekolwiek bywaliśmy, byliśmy serdecznie przyjmowani i goszczeni. Wszyscy ubolewali nad naszą sytuacją. A myśmy byli bezradni, nie wiedzieliśmy, co ze sobą robić. Czekaliśmy na zmiłowanie boskie.

85
Włocławek

Zdarzyło się, że któregoś dnia żona jechała pociągiem z Bydgoszczy do Torunia. Zapoznała jadącą w tym samym przedziale młodą niewiastę, Anastazję Bęcławską z Włocławka. Od słowa do słowa Bęcławska zdradziła, że zajmuje się handlem. Żona nabrawszy do niej zaufania, przedstawiła jej naszą sytuację, że nie mamy gdzie się podziać, bo ukrywamy się przed hitlerowcami. „Och! – zawołała Bęcławska – przyjeżdżajcie do mnie, damy sobie radę". Podała swój adres i będzie na nas czekać. Żona, wróciwszy z podróży, opowiedziała o tym spotkaniu. Bez zastanowienia spakowaliśmy nasze *sieben Sachen* i dalej, do Włocławka. Byliśmy szczęśliwi, że nie będziemy naszą obecnością narażać krewnych czy znajomych. Z dworca we Włocławku przez Plac Dąbrowskiego dostaliśmy się na ulicę Łąkową. Tam mieszkała Nastka Bęcławska ze swoją matką i córeczką. Mąż jej zginął na wojnie.

Bęcławska posiadała własny, malutki, nowy, murowany domek. Przedsionek, dość duża kuchnia i duży pokój stanowiły całość domku. Bez łazienki, ubikacja w podwórku. Przywitaliśmy się serdecznie z Nastką, babcią i pięcioletnią córeczką. Ulokowały nas w dużym pokoju, przenosząc się same do kuchni, mimo iż bylibyśmy zadowoleni i wdzięczni, śpiąc w kuchni. Musieliśmy się jednak podporządkować zarządzeniu gospodyni.

Pani Nastka znała naszą sytuację, więc bez ogródek mogliśmy o wszystkim szczerze rozmawiać. Ponieważ Nastka trudniła się handlem, więc plany nasze, szczególnie mojej żony, szły w kierunku handlu. Czuliśmy się szczęśliwi wśród szczerych, życzliwych ludzi. Pierwszą rzeczą było poznać trochę miasto, bo nigdy nie byłem we Włocławku. Spacerując główną ulicą, spostrzegam idącego w moim kierunku Ernesta Kacperowskiego, ucznia byłego gimnazjum w Działdowie, wychowanka Bursy Mazurskiej. I on mnie poznał, radośnie się ukłonił. Przywitaliśmy się serdecznie. Pytam go: „Jak tyś się tutaj znalazł?". „Mam tutaj dwie siostry zamężne, mieszkam u Grety" – powiada. Och! – pomyślałem – Greta, toć to przecież moja dawna sympatia. Właściwie więcej ona sympatyzowała we mnie, niż ja w niej, gdyż uważałem za niewłaściwe kochać się w krewniaczce. Bowiem w domu mówiono zawsze, że z Kacperowskimi jesteśmy spokrewnieni.

Ernst zaprowadził mnie do swojej siostry Grety. Jakże się ona ucieszyła, witając mnie pocałunkiem. Nie widzieliśmy się kupę lat. Była sama, więc mogliśmy swobodnie i szczerze porozmawiać. Powiedziałem jej, że jestem z żoną i dzieckiem w przykrej sytuacji. Na to ona zapewniła mnie, że jej mąż, Arthur Thiede, syn niemieckich kolonistów, *Volksdeutsch*, na pewno nam pomoże, bo jest ważną figurą w „SA"[202]. Pomyślałem sobie: akurat wpaść w ręce „SA-mannów"[203]. Ale Greta była tak serdeczna, że nie mogłem jej odmówić, [by] odwiedzić ich, gdy będzie mąż.

Dowiedziałem się też, że siostra Grety, Henrietta, jest mężatką, ma synka i córkę. Mąż jej nazywa się Janus i też jest „SA-manem", z zawodu stolarz. Nim pożegnaliśmy się z Gretą, przyszedł jej mąż, „SA-man", w brunatnym mundurze, w długich butach, średniego wzrostu. Z twarzy zrobił na mnie dobre wrażenie. Greta przedstawiła mnie jako jej dawną sympatię. To stworzyło od razu żartobliwą, wesołą, przyjacielską atmosferę i rozmowę. Nie był zarozumiały, szczery, gotów wszystko zrobić, aby nam pomóc. Zaprosili nas na drugi dzień. Wytłumaczyłem, że żona nie przyjdzie, bo nie mówi po niemiecku. Przyjęli to do wiadomości, ale niezależnie od tego, prosili, abyśmy przyszli na pewno wieczorem. Poszliśmy o szarówce. Wszędzie ciemno, bo obowiązywało *Verdunklung*. Stojąc pod drzwiami mieszkania Grety słyszymy gwar. Zapukałem. Greta otworzyła nam drzwi. Uderzyło nas jasne światło. Wszedłszy do mieszkania, byliśmy zaskoczeni, bo w izbie pełno brunatnych „SA-manów" głośno rozmawiających między sobą. Mąż Grety, witając, przedstawił nas jako krewnych swej żony. Po przywitaniu zajęliśmy miejsce przy bardzo długim stole, na szczęście obok Grety, z którą moja żona mogła szeptać po polsku. Zdziwiłem się, że przy powitaniu nikt nie podniósł ręki do „Heil H...". Właściwie byliśmy zaszokowani znaleźć się w takim towarzystwie. Dzięki gospodarzom atmosfera była jednak wesoła.

Oczywiście, ucztowano sowicie. Niczego nie brakowało na stole, aczkolwiek wszystko było na kartki. Widocznie dla partyjniaków były „inne" kartki. Okazało się, że ci brunatni towarzysze to podwładni Grety męża. Na moje szczęście wszyscy byli na tyle delikatni, że nikt z obecnych nie zapytał mnie o mój „rodowód". Wszyscy byli *Volksdeutsch*, dawni polscy Niemcy, z kolonistów. Wszyscy znali język polski, ale mówili tylko po niemiecku. Ugoszczeni sowicie, wcześniej od wszystkich podziękowaliśmy za sutą i serdeczną gościnę, pożegnaliśmy gospodarzy i wszystkich obecnych, słowami: „Gute Nacht". I tym razem nikt nie podniósł ręki do „Heil Hit...". Odtąd raczej unikałem gościny u Grety

[202] SA – Sturmabteilung – oddział szturmowy (skrót nazwy hitlerowskiej organizacji paramilitarnej).
[203] SA-Mann – członek organizacji.

w obawie, aby nie zaplątać się w sieci brunatnych siepaczy hitlerowskich, o których dużo więcej dowiedzieliśmy się od męża Henrietty, Janusa.

Janusowie mieszkali przy Placu Dąbrowskiego. Obok znajdował się pusty sklepik, a tuż za ścianą, na rogu budynku, mieszkała rodzina żydowska, starzy rodzice z dwiema dorosłymi córkami. Pusty sklepik nasunął nam myśl otwarcia jakiegoś interesu. Jeszcze lepiej byłoby otworzyć sklep do spółki z *Volksdeutschem*. Będąc u Janusów kilka razy, podsunęliśmy im nasz plan otwarcia sklepu. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że oni nie dysponują gotówką. Wtedy zaproponowałem, że oni dadzą firmie nazwisko, a my postaramy się o pieniądze. Na to się zgodzili, bo niczym nie ryzykowali.

86
Sklep tytoniowy we Włocławku

W imieniu Janusów przygotowałem podanie do Izby Handlowej o udzielenie koncesji na prowadzenie sklepu tytoniowego. Uważałem, że tylko na taki towar możemy zaryzykować, bo się nie psuje. Od zaprzyjaźnionego krawca dowiedziałem się, że kierownikami urzędów są Niemcy z Rzeszy. Ponieważ rodziny ich w kraju cierpią na niedostatek, więc przy załatwianiu spraw chętnie przyjmują podarunki w naturze.

A więc przygotowałem jeden kilogram masła, ładnie zapakowałem i poszedłem do urzędu. Przyjął mnie bardzo uprzejmy, przystojny pan, dość wysoki blondyn, w wieku około 50-tki. Z pierwszych słów zorientowałem się, że pochodzi z Niemiec. Ponieważ był sam w biurze, więc mogłem być swobodny. Przedstawiłem się, podając mu podanie, powiedziałem, o co mi chodzi. W tym samym momencie położyłem mu na biurko jeden kilogram masła ze słowami: „Und das ist für Sie”[204]. Ucieszył się. Uśmiechnięty, zapytał: „Und was ist da drinn?”[205]. Jak mu powiedziałem „2 Pfund Butter”[206], to jeszcze bardziej się rozweselił, szybko chowając masło do biurka. Przeczytał podanie i powiedział: „Kommen Sie Morgen, es wird alles fertig sein”[207]. Dodatkowo poprosiłem go, aby koncesję dał mi w dwóch egzemplarzach: jeden dla właściciela firmy, drugi dla mnie, *Geschäftsleitera*[208]. Na drugi dzień „pofrunęła” na biurko tegoż urzędnika zarżnięta kaczka, a do mojej kieszeni dwa egzemplarze koncesji.

Mieliśmy w ręku lokal i koncesję. Ale skąd wziąć pieniądze na zakup towaru? Jakoś to będzie, powiedzieliśmy z żoną. Mieliśmy trochę pieniędzy, więc poszliśmy do pobliskiej stolarni zamówić według mego rysunku regał i bufet. Pożegnałem żonę i dziecko i ruszyłem w świat, w poszukiwaniu pieniędzy.

Znane są historie o ludziach, poszukujących złota. Jedni z nich znaleźli i wzbogacili się, inni przypłacili życiem. Znane są bajki o ukrytych skarbach. Ale to, co ja przedsięwziąłem, to żadna bajka, lecz prawdziwa przygoda, do której nastawiłem się entuzjastycznie

[204] A to dla Pana.
[205] A co jest w środku.
[206] 2 funty masła.
[207] Proszę przyjść jutro, wszystko będzie przygotowane.
[208] Kierownik przedsiębiorstwa (biznesu).

i z optymizmem. Żona zapytała: „dokąd jedziesz?”. Odpowiedziałem, że najpierw pojadę, po kryjomu, do domu. I pojechałem. W domu, jak zwykle, pełno bydła, świń, zboża, ale gotówki w domu dużo nigdy nie było. Więc i tym razem trafiłem źle. Odjechałem przygaszony w moich planach. „Dokąd teraz?” – pytam siebie.

Jeszcze z niewoli miałem adres dobrych i życzliwych mi Pitrowskich. On, szewc w Wielkim Wełczu powiat Grudziądz, Pitrowska to ta, która zebrała podpisy we wsi, abym był zwolniony z niewoli. Pitrowska pisała do mnie do Oflagu, że zmienili nazwisko na Peters i prowadzą duży zakład szewski w Grudziądzu. Łatwo trafiłem do nich, bo Grudziądz znałem bardzo dobrze. W pracowni zastałem Petersa z kopytem na kolanie, obok kilku szewców, Polaków. Przywitałem się z Pitrowskim, a w drugim pokoju z jego żoną. Najpierw podziękowałem jej za jej dzielną akcję. Z lekka, delikatnie wspomniałem, że zakładam sklep. Pokazałem koncesję. Szukam pożyczki. Pitrowska opowiedziała mi, że z niczym przejęli sklep i nie dysponują żadną gotówką. Chętnie chcieliby mi pomóc, ale nie są w stanie. Pogadałem jeszcze chwilę, ale rozmowa się już nie kleiła, bo myśli moje były gdzieś indziej. Pożegnałem się i zamyślony wyszedłem na ulicę. Smutek mnie ogarnął, bo u Pitrowskich liczyłem na pewną pożyczkę. Byłem zrezygnowany, bo nie miałem nikogo więcej w moim planie. Zamyślony, zadumany i już trochę zmęczony niepowodzeniem łaziłem po ulicach, znając dobrze Grudziądz.

Skierowałem się wreszcie na słynną ulicę Lipową, przy której znajdowały się koszary mego 64 Pułku Piechoty. Dochodząc do niepokaźnego hoteliku przy Rybnym Rynku, nie dowierzam moim oczom: podchodzi do mnie bardzo dobrze mi znana właścicielka sklepu-restauracji w Rybnie, którą znałem z czasu, gdy byłem nauczycielem w Nowej Wsi, powiat Działdowo. Jakże się ona ucieszyła, spotykając mnie. Na to ja od razu do niej: „Wiesz, Pan Bóg mi zesłał Ciebie”, witając ją serdecznie. „Jeżeli ty mi nie pomożesz, to już nikt”. „A co takiego, w czym mam ci pomóc?” – pyta. Ale, nie czekając na moją odpowiedź, bierze mnie pod ramię i powiada: „Chodźmy do hotelu, zjemy dobry obiad”. Wspaniale, pomyślałem, bo byłem naprawdę głodny. Weszliśmy do hotelu. Zamówiła obiady. Z rozmowy przy obiedzie dowiedziałem się, że nadal prowadzi restaurację w Rybnie i przyjechała do Grudziądza po zakupy.

„A teraz mów, gdzie cię gniecie w żołądku?” – zwraca się do mnie. „Potrzebuję pieniędzy” – krótko odpowiadam. „Na co potrzebujesz?” – też krótko pyta. Opowiedziałem jej o naszych planach, dokumentując moje wywody posiadaną koncesją. Wysłuchała uważnie i powiada: „Mogę ci dać tylko to, co mam przy sobie, co mi zostało z zakupów”. Wzięła torebkę, wyjmuje banknoty i liczy: „To jest wszystko, 2800 marek. To masz na twoje szczęście”. Ucałowałem ją serdecznie. Och, jak lekko zrobiło się na duszy. „Jak się wzbogacisz, to mi oddasz” – takie były ostatnie słowa na ten temat. „Czyż to nie dopust Boży?”. Spędziliśmy jeszcze całe popołudnie razem, wspominając czasy przed wybuchem wojny. Nie pytałem jej, ale przypuszczałem, że uzyskała „Volksdeutscherstwo”, mogła prowadzić restaurację. Po dobrej kolacji, serdecznie rozstaliśmy się: ja odjechałem, ona jeszcze została. Do domu wracałem, jak na skrzydłach, przyciskając pieniądze w kieszeni. Pomyślałem: a jednak mogą być bajki o skarbach, które się urzeczywistniają. W domu opowiedziałem żonie całą historię: od mego smutku do radości. Uznaliśmy to za cud od Boga. Od razu zakupiłem różne gatunki papierosów i tytoniu.

Urządziliśmy sklepik skromnie, ale efektownie. Regały były tak skonstruowane, że na pochyłych półkach było towaru mało, a wyglądało dużo. Najgorsze było to, że każdy sklep

otrzymywał z hurtowni tylko limit – przydział towaru na cały miesiąc. A była to znikoma ilość. Z tego moglibyśmy tylko wegetować. A sprzedawać oficjalnie mogliśmy tylko Niemcom. A myśmy sprzedawali przede wszystkim Polakom. Istniał wtedy tzw. czarny rynek, na którym za wyroby tytoniowe otrzymywaliśmy co najmniej czterokrotnie wyższą cenę. Kilkoro zaufanych dzieci z polskich rodzin sprzedawały nasz towar na „czarnym rynku". Towar rozchodził się jak „ciepłe bułki". Za produkty nabiałowe otrzymywałem dodatkowe przydziały. Ale i te nie zaspakajały potrzeb rynkowych. Jeździłem nawet do Torunia do prywatnych sklepów tytoniowych, zakupując nawet po normalnej, detalicznej cenie. W Toruniu zatrzymywałem się u państwa Bińkowskich. On był kolejarzem, żona jego, Marta, była starszą córką Piątkowskich z Fordonu. Mieszkali w budynku kolejowym na głównym dworcu. Należeli do tajnej polskiej organizacji.

Spacerując pewnego dnia w Toruniu, będąc po zakupy, spotkałem przypadkowo moją pierwszą sympatię, Lucę Wechsler z Lisnowa, gdzie byłem nauczycielem w 1927/28 roku. Wyglądała dobrze i [była] dobrze ubrana. Po przywitaniu zamieniliśmy kilka zdań. Powiedziała o sobie, że wyszła za mąż, mają dwoje dzieci. Ja też pochwaliłem się moim ożenkiem z jednym synkiem. Pożegnaliśmy się dość obojętnie, nie podając sobie swoich adresów. Któż spodziewałby się takiego spotkania?

Dodatkowe zakupy towaru w Toruniu nie zaspakajały potrzeb naszego sklepu, więc planowałem wyjazd do Berlina do firmy Remtsma, mając adres wujka żony, Schwarza, oraz Anny Orzechowskiej, która pracowała w fabryce tytoniowej. Jednak do wyjazdu do Berlina nie doszło, bo nieoczekiwanie dostałem dodatkową pulę towaru wprost z fabryki w Łodzi. Oczywiście poprzez „załączniki". W ten sposób interes kwitł. A bezwarunkowa „pożyczka" okazała się bardzo szczęśliwa. Z pewnością dana była z serca. Wprawdzie nie stałem się nigdy bogatym, więc nie ciąży na mnie dług wdzięczności, oddania „pożyczki", która po prostu była podarunkiem. A wspaniałomyślna ofiarodawczyni, jako dużo starsza osoba ode mnie, z pewnością spoczywa w krainie dobrego, miłosiernego Boga Stwórcy. Wdzięcznie wspominam jej bezinteresowny uczynek.

87
Spotkanie z osobistym wrogiem

Na początku pobytu we Włocławku przypadkowo spotkałem moją serdeczną koleżankę, nauczycielkę Olgę Badtke z Mokrego, powiat Grudziądz. Zaprosiła mnie do siebie, bo mieszkała stale we Włocławku. Powiedziała mi, że jest *Volksdeutsch*. Przed wojną wyszła za mąż za kolegę, nazwiska nie pamiętam, Polaka, katolika, który teraz ukrywa się, ale widują się od czasu do czasu. Ja powiedziałem jej o sobie i naszej sytuacji. Oldze mogłem mówić wszystko, gdyż była to osoba godna pełnego zaufania. W rozmowie nagle powiada: „Edward, wiesz kto mnie odwiedza?!". „Kto taki?" – pytam z zaciekawieniem. „Irena Żołnowska!" – odpowiada Olga. „Och, jak ja chciałbym się z nią spotkać". „Jeżeli chcesz się z nią spotkać, to przyjdź do mnie pojutrze po południu" – powiada Olga.

Poszedłem na umówiony czas. Zastałem Olgę samą. Olga opowiada: „Wiesz Edward, Irena była, ale gdy wspomniałam, że lada chwila ty przyjdziesz, podskoczyła z krzesła i wołając: »Ola Boga, Matko Boska!«, szybko pożegnawszy się, uciekła".

„Ta paskudna, przeklęta diablica, teraz Pana Boga i Matkę Boską wzywa", zawołałem. Teraz mam namacalny dowód, że Irena Żołnowska była powodem mego zwolnienia z nauczycielstwa w Wielkim Wełczu w 1933 roku. Ona donosiła inspektorowi Józefowi Sowińskiemu paszkwile przeciwko mnie. Ona z pewnością opowiedziała mu o moim „incydencie" z Piusem XI, gdyż ta sprawa (pokłucie pocztówki z wizerunkiem tego papieża) była swego czasu bardzo głośna i poważna w Seminarium Nauczycielskim w Działdowie. Dlatego Sowiński jako wierny katolik z góry uprzedził się do mnie, nienawidził, prześladował i ostatecznie mnie zwolnił. Gdy byłaby Żołnowska niewinna, nie potrzebowałaby przede mną uciekać, gdyż od Olgi wiedziała, że się ukrywam. Ale sumienie jej zadrgało. Mimo woli przypomniała mi się bajka Krasickiego pod tytułem *Żaba i zając*. Treść bajki jest taka: żaba, wystraszona przez zająca, ucieka przed nim, i odwrotnie, zając wystraszony skokiem żaby, ucieka przed żabą. Oto żaba – Irena Żołnowska – ucieka przed niegroźnym zającem...

Ta szatanica nie pokazała się więcej u Olgi. I na pewno zmieniła swoją kryjówkę. Jeżeli przeżyła wojnę, to nawet po „wyzwoleniu" bała się zjawić na Zjeździe Maturzystów Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie. Znikła z horyzontu jak kamfora.

88
Pogrom Żydów we Włocławku

Krótko po otwarciu naszego sklepu tytoniowego pod nazwą „Tabakwaren-Henriette Janus"[209] – było to chyba w lipcu 1940 roku – dowiedzieliśmy się od Grety i Janusów, że pojutrze będą Żydzi przepędzani z miasta do „Getta". Nie będzie im wolno nic zabrać z dotychczasowego mieszkania. Natychmiast wszedłem do rodziny żydowskiej sąsiadującej z naszym sklepem i w zaufaniu powiedziałem o tym, co ich czeka. Ponieważ już przedtem miałem okazję z nimi rozmawiać, więc byli przekonani o naszej życzliwości. Powiedziałem im, aby przenieśli wszystko, co uważają, bo pojutrze nie pozwolą im nic zabrać. Zaufali i po cichutku przenieśli potrzebne rzeczy na teren „getta", które już istniało. Mieszkanie opuścili, a klucz nam oddali. Zapowiedzianego dnia jesteśmy z żoną w sklepie i przez otwarte drzwi (bo było ciepło) obserwowaliśmy, co będzie się działo.

Około godziny dziesiątej przed południem słyszymy krzyki, dolatujące z ulic po drugiej stronie Placu Dąbrowskiego. Wrzask ten przypominał mi pierwsze wiosenne wypędzania rozjuszonego bydła na pastwisko, w którym brało udział kilkanaście osób, krzykiem przywołujące bydło do porządku. Nagle z różnych stron wypłynęła na Plac Dąbrowskiego rozsypana gromada Żydów, pędzona, bita pałami, kopana butami przez „SA-manów". Pędzą w naszym kierunku. Słyszymy jęki, płacz, lament przeważnie kobiet i dzieci oraz ryki, krzyki rozjuszonych hitlerowców.

[209] Wyroby tytoniowe – Henrieta Janus.

W tym momencie zauważamy Janusa, męża naszej szefowej. Dopadł biedną Żydówkę w ciąży. Leje ją pałą, gdzie popadło. Biedna potknęła się, upadła na ziemię. On kopie ją po brzuchu, nogach, głowie. Każe jej wstać. Zmaltretowana, ostatkiem sił wstaje i posuwa się za innymi, a ten bije ją w dalszym ciągu. Co za bydlak! Barbarzyniec!

Gdy tak ze łzami w oczach obserwujemy dramat, odgrywany przed naszymi oczyma, wpada do naszego sklepu wielce zdenerwowana, dobrze ubrana, młoda niewiasta. Trzęsie się cała i tylko woła: „Mein Gott, wo sind wir nur gelangt? Mein Gott, mein Gott..."[210]. Gdy się uspokoiła, powiedziała, że jest „Umsiedlerką"[211] z Estonii. Była to szlachetna kobieta. Jakże żałowała, że posłuchała Hitlera i opuściła Estonię, aby tutaj w „Tysięcznym Reichu"[212] patrzeć na mord niemieckich morderców.

Od tej pory ze wstrętem patrzyliśmy na Janusa, który okazał się gorszym od dzikiego zwierza. Wspomnienie o tym wstrętnym, barbarzyńskim wydarzeniu zbiega się akutat z dniem, w którym Niemcy Bundesrepubliki i Niemcy DDR publicznie spowiadają się przed światem z dokonanej zbrodni ludobójstwa, obchodząc w dniu dzisiejszym, 9 listopada 1988 roku, pięćdziesiątą rocznicę „Kristallnacht"[213]. 50 lat temu bandy hitlerowskie napadły mieszkania i sklepy żydowskie, tłukąc szyby, niszcząc mienie, paląc książki, skarb kultury żydowskiej oraz podpalając synagogi w całych Niemczech.

„Kristallnacht" była początkiem pogromu – likwidacji Żydów w Niemczech i w Europie przez Hitlera. Wyniszczenie Żydów przeszło do historii pod nazwą Holocaust. 6 milionów Żydów zostało zamordowanych, rozstrzelanych, spalonych w piecach krematoryjnych obozów koncentracyjnych. Hitler planował wyniszczyć wszystkich wrogów całego świata. Siejąc śmierć, nie przewidywał, że ostrzy kosę przeciwko sobie. Trafnie powiedział w swoim wierszu niemiecki poeta żydowski najnowszych czasów, Fried: „Wer den Nächsten tötet, tötet sich selbst" (Kto zabija bliźniego, zabija siebie).

Hitler, popełniając w 1945 roku samobójstwo, wydał przed śmiercią wyrok i na siebie, nakazując „spalenie zwłok". Tak sromotnie zginął „twórca" tysiącletniego panowania „Herrenvolku".

Spadkobiercy, Bundesrepublika i Deutsche Demokratische Republik, ze wstydem i wyrzutem sumienia obchodzą dziś, 9 listopada 1988 roku, uroczyście pięćdziesięciolecie „Kristallnacht".

Jedni Niemcy, wspominając rządy Hitlera, wstydzą się, drudzy chełpią się, chwaląc jego czyny. Bundesrepublika, po ukonstytuowaniu się rządu, zaraz przyznała się do winy, wypłacając Żydom słusznie należne odszkodowania, dotychczas w sumie 80 miliardów DM.

Deutsche Demokratische Republik pod rządami Honeckera potrzebowała aż 40 lat, by dopiero w październiku 1988 roku uznać, że i Niemcy DDR ponoszą winę w pogromie Żydów. Ale nie mając funduszy w kieszeni państwowej, Honecker w dniu wczorajszym, 8.11.1988 roku, udekorował szereg osobistości świata żydowskiego orderami komunistycznego państwa DDR, kwitując winę DDR symboliczną sumą 100 milionów dolarów i owymi orderami. Nie powiedziano, z jakiego są metalu.

---

[210] Mój Boże, do czego to doszliśmy, mój Boże, mój Boże!
[211] Przesiedlona.
[212] Rzesza Tysiącletnia.
[213] Kristallnacht – Reichskristallnacht = noc kryształowa w Rzeszy – pogrom Żydów w 1938 r.

Najparadniejszym w tej uroczystości było to, jak udekorowani Żydzi, głęboko kłaniając się, dziękowali Honeckerowi za „tak wysokie odznaczenie", wychwalając rząd DDR, że jedyny w świecie w ten sposób uhonorował, uczcił pamięć sześciu milionów pomordowanych Żydów. Nic dziwnego, że Honecker, przyjmując honory i podziękowania od przedstawicieli żydowskich całego świata, uśmiechem wyraził swoje zadowolenie z tak korzystnego załatwienia krzywd pomordowanych Żydów. Czyż nie wstyd wam, Żydzi, przyjąć haniebne ordery z rąk dawnych oprawców? Jak wygląda z takim orderem Prezydent Żydowskiego Kongresu Światowego („World Jewish Congress", WJC), Edgar E. Bronfman, reprezentujący Żydów całego świata? Ten sam Prezydent Żydów wyśmiewał się z Kanclerza H. Kohla, mówiąc: „Der deutsche Bundeskanzler ist ein Politiker, der „das Kreuz" der nazionalnalistischen Vergangenheit nicht tragen will"[214]. No właśnie: Niemiecki Kanclerz nie chce nosić orderu, czy krzyża niemieckiej przeszłości. Wy natomiast, Żydzi, nosić będziecie ordery niemieckich morderców. Głosicie: „Nie możemy zapomnieć Kristallnacht", a zarazem bezcześcicie honor pomordowanych współbraci.

Ordery z rąk Honeckera należą się bohaterom armii niemieckiej, poległym pod Stalingradem, Tobrukiem w Normandii..., a nie wam, Żydzi. Nie wstydzicie się zamienić Gwiazdę Syońską na order z sierpem i młotem?

Oczywiście, i w Bundesrepublice uroczystość 50-lecia „Pogromu Żydów" miała swój wydźwięk, nawet poważniejszy niż w DDR. Dnia 10 listopada 1988 roku po przemówieniu Prezydenta Bundestagu pana Jenningera na temat uroczystości 50-lecia „Kristallnacht" powstała na sali wielka wrzawa. Duża część posłów opuściła salę. Pewne fragmenty jego przemówienia uznano za niewłaściwe i niepasujące do obchodzonej uroczystości. Prezydent przedstawił w swoim przemówieniu rozwój antysemityzmu, podkreślając, że antysemityzm istniał przed erą hitleryzmu i to w różnych krajach. To uznano za swego rodzaju usprawiedliwianie pogromu hitlerowskiego. Poruszenie było tak wielkie, że prezydent był zaszokowany, przestraszony, zaskoczony. Sytuacja wytworzyła się tak poważna, że prezydent Jenninger zrezygnował z prezydentury Bundestagu. A frakcje polityczne w dyrdy: jedne z żalem, drugie, jak SPD, jakby z radością, przyjęły rezygnację „do wiadomości".

Dla mnie, prostego człowieka, to rzecz dziwna. Dlaczego powstała taka reakcja? Po co ta konsternacja? Widocznie niemieccy posłowie nic nie wiedzą np. o antysemityzmie w Polsce po 1920 roku. Jak Polacy tłukli szyby, demolowali sklepy, Żydom obcinano brody, pejsy, drwiono i wyśmiewano się z nich. Szerzono wśród społeczeństwa (ciemnoty) oszczercze pogłoski, że Żydzi mordują dzieci katolickie, których krew używają do wypieku maców...

Po tych słowach i mnie może ktoś posądzić o usprawiedliwianie ludobójcy Hitlera. Bynajmniej. Sam opłakuję zamordowanego mego brata, Roberta, maltretowanego brata Jana i wielu kolegów. Obracałem się w Polsce wśród Żydów i wiem, jak byli znienawidzeni przez Polaków. Sam „poszukiwacz", „ścigacz" przestępców hitleryzmu, pan Wiesenthal, skrytykował posłów parlamentu niemieckiego, oświadczając, że prezydenta Jenningera źle zrozumiano. Dosłownie: „Byłoby chyba źle, aby prezydent Bundestagu musiał pytać Szamira Izraela, czy amerykańskiego Żyda Bronfmana, co i gdzie ma mówić".

Jak czujecie się „Abgeordnete Bundestagu"[215] po takich słowach???

---

[214] Niemiecki kanclerz federalny jest politykiem, który nie ma ochoty dźwigać „krzyża" nazistowskiej przeszłości.

[215] Posłowie do Bundestagu.

89
„Musterung” – Komisja Poborowa

W żargonie żołnierskim nazywa się to „Schwanzparadą”[216]. I mnie Hitler chciał użyć za „Kannonenfutter”[217]. W lipcu 1940 roku niespodziewanie dostaję wezwanie do stawienia się przed Wojskową Komisję Poborową we Włocławku (Leslau). Najpierw pomyślałem, że to *Witz* (żart). Ale skąd mają mój adres, skoro nigdzie się nie meldowałem? Czytam raz, czytam drugi raz. Widzę, że to żaden żart. Po „nitce do kłębka”, dowiedziałem się, że mąż Grety, Thiede, „dla mego dobra” (akurat!) zameldował mnie w urzędzie meldunkowym jako Niemca. O tym nic nie wiedziałem. Nie posiadałem też żadnego dowodu osobistego, ani nie pobierałem kartek przydziałowych. Trzymając wezwanie w ręku, rozmyślałem nad tym, jak się do tego ustosunkować. Z jednej strony „wgryzłem” się w handel i szkoda mi dobrze prosperującego sklepu, który zapewnia nam dostatni byt. Z drugiej strony, ani mi nie w głowie walczyć po stronie niemieckiej. Więc, co robić? Uciekać?...

Po dłuższym rozważaniu, powiedziałem sobie: Na uciekanie jeszcze nie czas. Postanowiłem stawić się na „Schwanzparadę”, bo Komisja Poborowa to jeszcze nie stawiennictwo do wojska. Rano, wyznaczonego dnia, stawiłem się w lokalu Komisji Poborowej, wraz z innymi delikwentami. Kazano nam się rozebrać na nagusa. Każdemu bimbał „ogonek”, dlatego nawet w Polsce mówiono: „Schwanzparada”.

Pojedynczo wzywano każdego do drugiej izby, gdzie za stołem siedziała kilkuosobowa Komisja, a przed stołem lekarz. Sekretarz spisywał dane personalne, a przewodniczący zapytał: „W jakim rodzaju broni służyłem jako oficer w Polsce?”. Nie wiem, co pomyślał, gdy mu powiedziałem: „Trainkollone” (w taborach). Lekarz kazał mi podnieść stopy do góry, potem zrobić skłon w dół. Klepnął w tyłek: „Abtreten” (odmaszerować). „Der Nächste”! (następny). Po badaniu mogliśmy się ubrać i czekać do końca. Chwilę po zakończeniu wyszedł do nas przewodniczący Komisji z sekretarzem i wręczył każdemu książeczkę wojskową („Wehrpass”). Zerknąłem do książeczki. Czytam: „Kf” – Kriegsfähig – (zdolny na wojnę). Masz babo placek. Dobrze, że nie załadowali nas do „budy” i nie posłali na zachodni front.

Idąc do domu, pocieszałem się, że mając dowód niemiecki, mogę bez obawy poruszać się i korzystać z napisów „Nur für Deutsche”. Przyznam, że korzystałem tylko z wagonów „Nur für Deutsche”, nic więcej. Nie korzystaliśmy z żadnych przydziałów ani kartek.

90
Moje podróże

Mając w ręku dokument niemiecki, poczułem się pewniejszy. O posiadaniu tego dokumentu mało kto wie do dnia dzisiejszego. O tym nie wiedzieli ani znajomi Niemcy, ani

[216] Paradą męskich penisów, genitalii.
[217] Mięso armatnie.

Polacy. Dokument ten chciałem wykorzystywać przede wszystkim i jedynie w celach podróżowania. Najpierw pomyślałem o podróży do Warszawy, by spotkać się z bratem Karolem. Do tego potrzebna była przepustka. Udałem się do Prezydium Policji we Włocławku. Tam można było spotkać gestapowców, SA- i SS-manów. Dreszcz przechodził po krzyżu, widząc ich. Przyjął mnie bardzo surowo wyglądający, chudy, małego wzrostu urzędnik nazwiskiem Otto, przypominający mi Goebelsa. Okazało się, że to był „Leiter"[218] biura, bardzo ważna szyszka. Przedstawiając moją prośbę o przepustkę, wyczuwałem, że u tego człowieka nic nie wskóram. I tak też było. Jego odpowiedź była groźna i krótka: „In keinem Fall. Sie können gehen". (W żadnym wypadku. Możecie odejść.)

Byłem szczęśliwy, że mogłem tego człowieka stracić z oczu. Słychać było, że dał się dobrze we znaki Polakom. Odtąd unikałem wszelkich urzędników i urzędów za wyjątkiem Izby Handlowej i jej kierownika, który udzielał mi dodatkowych przydziałów wyrobów tytoniowych. A więc podróż do Warszawy odpadła i przypuszczalnie nigdy nie będzie możliwa z Włocławka.

Wierny sługa Hitlera, Nadprezydent Prus Wschodnich, Erich Koch, został obdarzony dalszymi terenami Polski, które zostały włączone do Ostpreussen. Widać to na załączonej mapie. Nadgorliwość jego w tępieniu Polaków po przegranej wojnie nie znalazła uznania nawet u Niemców. Ukrywającego się (jako robotnik) w Schleswig-Holstein, wydali go Polakom, którzy skazali go na śmierć, ale ze względów humanitarnych zamieniono na dożywocie. Po długich latach żywota w celi zmarł w więzieniu w Barczewie koło Olsztyna.

Wybrałem się do Mławy, dokąd przeniosło się wielu znajomych z Działdowa. Młody kelner, Reinke, otworzył dość pokaźną restaurację w rynku, gdzie zjadłem smaczny obiad. Waśniewski, żonaty z Mazurką, prowadził rzeźnictwo. Jego brat i Małek (u którego mieszkaliśmy po ożenku w Działdowie) mieli sklepy żywnościowe. Wszystkich odwiedziłem, z wszystkimi rozmawiałem. Odwiedziłem też Oskara Napierskiego, absolwenta Gimnazjum w Działdowie. Pracował w Powiatowym Sądzie w Mławie jako biuralista. Opowiedział mi o cierpieniach w Obozie Pracy w Hohenbruch, w którym siedział razem z Robertem. Napierski był sprytniejszy, podał się jako Niemiec i razem z Longwitzem Alfredem na Boże Narodzenie 1939 roku zostali zwolnieni. Robert, na nieszczęście, wybrał tragiczną drogę. Wielka szkoda, bo będąc na wolności, można w ten czy inny sposób lawirować.

Pojechałem też do Ciechanowa, aby odwiedzić Ottka Maxa Cybullę, ale nie zastałem go w domu. Był w podróży służbowej. Pracował w jakimś urzędzie. Wróciłem do Mławy, gdzie z Małkiem ubiłem interes. Zamówił u mnie ciężarowy samochód wyrobów tytoniowych. Umówiliśmy się, że przyśle do mnie samochód z kierowcą i z pieniędzmi i razem pojedziemy do fabryki tytoniu w Łodzi. Prosiłem też, aby dał kierowcy dobrą, tłustą gęś, taką samą kaczkę, około kilogram wędlin i ze 2 kilogramy masła. W umówiony dzień kierowca – pełnomocnik Małka, przyjechał i pojechaliśmy do Łodzi.

W fabryce byłem dobrze znany z zakupów tytoniu i papierosów dla naszego sklepu. Stanęliśmy przed bramą fabryki. Wziąłem wyładowaną teczkę i poszedłem do biura. Jak zwykle przyjął mnie ten sam pracownik, kierownik biura, który miał osobny pokój. Przywitałem się, wypchaną teczkę położyłem na biurko i poprosiłem o przydział wyrobów tytoniowych. Zapytał, ile chcę mieć? Powiedziałem, że jestem samochodem ciężarowym, więc chciałbym, aby wóz nie wracał pusty. Dobrze, powiedział. Dał przepustkę kierowcy, aby wjechał na teren fabryki, przed magazyn, a sam sporządził specyfikację, przekazał ją maga-

[218] Kierownik.

zynierowi, przygotował rachunek. Wziąłem od kierowcy pieniądze i poszedłem do biura, a kierowca załadowywał towar do samochodu. Zapłaciłem, pięknie podziękowałem i wyszedłem. Plandekę samochodu zasznurowaliśmy i kierowca, zaopatrzony w rachunki, szczęśliwie zajechał do Mławy. Ja zostałem w Łodzi i zadowolony pojechałem pociągiem do domu.

Był to jedyny tego rodzaju ładunek wyrobów tytoniowych, który przysporzył nam pieniędzy. Oczywiście, zakupu tego nie przeprowadziłem przez księgę kasową, do której wpisywałem tylko towar z normalnego przydziału. Każdy sklep był zobowiązany do prowadzenia księgi kasowej. Otrzymywało się ją w Urzędzie Skarbowym („Finanzamt"). Wpisywało się do niej wszelkie rachunki związane z prowadzeniem sklepu i dochody ze sprzedaży towaru. Na końcu książki załączona była dokładna instrukcja prowadzenia rachunkowości. Podane było, od jakiej sumy obrotu płaci się podatek obrotowy i od jakiej sumy dochodu płaci się podatek dochodowy. Podawała też górną granicę kosztów handlowych od obrotu w procentach. Instrukcja była tak prosta i zrozumiale ujęta, że kto miał choć trochę „kaszy" w głowie, mógł tak prowadzić sklep, że nie płacił żadnego podatku. Trzeba było tylko uważać, aby nie przekroczyć procentowo kosztów handlowych.

91
Powołanie na ćwiczenia wojskowe

Czas we Włocławku upływał nam dość spokojnie i dostatnio. Zajęcia mieliśmy pod dostatkiem. Jesienią 1940 roku spotkała mnie niespodzianka. Oto otrzymałem wezwanie na oficerskie ćwiczenia wojskowe. Oczywiście, w wojsku niemieckim. Zmartwiliśmy się bardzo. Co robić? Uciekać?! Nie uciekać?...

Ot, dręczące myśli, które przerywały nam sen. Gdy ochłonąłem z wrażenia, czy przerażenia, wpadłem na myśl napisania podania o odroczenie. Nie zwlekając sprawy, spreparowałem podanie, uzasadniając tym, że nie władam językiem niemieckim i uczęszczam na kurs językowy. Podkreśliłem, że nie władając językiem niemieckim jako oficer nie byłbym w ogóle użyteczny. W końcu poprosiłem, aby mi umożliwiono kontynuację przeszkolenia językowego. Odwołanie widocznie uzasadniłem tak przekonywująco, że odwrotną pocztą otrzymałem bezterminowe odroczenie. Podskoczyłem do góry. Mogliśmy dalej spokojnie siedzieć we Włocławku, handlować i nadal w domu mówić po... polsku.

Dalsze wydarzenia tak się potoczyły, że nie jest mi wiadome, czy kiedykolwiek dostałem podobne wezwanie na ćwiczenia, bo wiosną 1941 roku musieliśmy uciekać z Włocławka. W każdym razie Boże Narodzenie 1940 roku świętowaliśmy we Włocławku.

92
Zerwanie spółki

W styczniu 1941 roku zrobiłem remanent, bilans i rozliczenie kasowe za czas od założenia sklepu do 31.12.1940 roku, czyli za pół roku. O wynikach poinformowaliśmy „firmę" Henriette Janus. W czasie rozmowy, nie pamiętam, co było powodem, zrezygnowaliśmy z dalszego prowadzenia sklepu. Ponieważ „firma" nie włożyła ani grosza, ani pracy, zaproponowałem rozliczenie „Füfti-füfti", pół na pół. Oczywiście, „firma" się zgodziła. Przekazałem „firmie" 2.500 marek i urządzenie sklepowe, w tym wartość towaru w sklepie. Drugie 2.500 marek zostało dla nas. To był dochód z oficjalnych obrotów towarowych. Oddałem też „firmie" koncesję, zostawiając drugi egzemplarz sobie, o czym „firma" nigdy się nie dowiedziała. W ten sposób rozstaliśmy się z Janusami. „Spółki zjadły diabułki" – mówi przysłowie.

Krótko po rozwiązaniu „spółki", Henrietta Janus, która osobiście prowadziła sklep, dostała kontrolę skarbową. Na drugi dzień jestem proszony, bo urzędnik nie może się połapać. Stawiłem się. Urzędnik delikatnie zadaje mi pytania i prosi o wyjaśnienia pewnych pozycji. Ja, znając „moją" księgę kasową jak elementarz szkolny, bez zastanawiania dawałem mu odpowiedzi i wyjaśnienia. W końcu powiedział mi tylko: „Sprytnie pan prowadził księgowość, nie można nic zarzucić. Firma nie potrzebuje płacić żadnego podatku". Pełna satysfakcja po mojej stronie.

93
Wpadka

Po rozwiązaniu spółki, byliśmy bez zatrudnienia. Mając jednak w kieszeni koncesję tytoniową zamawiałem w Łodzi małe ilości towaru na mój adres. Nie przewidywałem, że przez to samo możemy wpaść w ręce Gestapo („Geheimpolizei").

Pokusiło mnie, aby zamówienie wziąć dla prywatnego sklepu, nie wiedząc, że właścicielka jest wierną hitlerówką. Zamówiłem kilka kartonów towaru tytoniowego, który otrzymałem koleją. Dorożkarz dostarczył towar na miejsce. Jakbym przewidywał, po pieniądze nie poszedłem sam, lecz posłałem moją żonę. Siedzę w domu z synkiem i panną Zosią (nazwiska nie pamiętam), którą mieliśmy od początku do dziecka, do pomocy. Czekanie wydawało mi się długie, więc wysłałem Zosię, aby ostrożnie zauważyła, co żona robi w sklepie. Po chwili Zosia wpada zadyszana i powiada: „Pani otoczona jest dwoma panami i dała mi oczyma znać, że coś jest nie w porządku".

Nie czekam na nic, tylko pakuję papierosy do torb, a Zosi każę palić wszystkie mapy i podejrzane papiery. Podaję Zosi adres, dokąd się udaję i znikam. Poszedłem do staruszki, inteligentnej osoby, byłej profesorki gimnazjum (nazwiska nie pamiętam), cierpiącej na gruźlicę, którą częściej odwiedzaliśmy. Tam się zatrzymałem. To było rano, w marcu 1941 roku.

Wieczorem przyszła do mnie żona. Zobaczywszy ją, ucieszyłem się bardzo. Szczęśliwy byłem, że nie zatrzymali jej w areszcie. Zaczyna opowiadać: „Gdy tylko weszłam do sklepu, gestapowcy już czekali na mnie. Wypytywali się o to i tamto. Kręciłam, jak tylko mogłam. Gdy jednak zauważyłam Zosię, byłam pewna, że natychmiast uciekniesz. Więc w dalszej spytce powiedziałam, że nic o tych sprawach nie wiem, że to są sprawy mego męża". „Zaprowadzili mnie do Gestapo i tam już do protokółu podawałam odpowiedzi na ich pytania. Obstawałam przy tym, że nic nie wiem, niech pytają męża. Po jakimś czasie skończyli". Za chwilę mówią: „A teraz idziemy do waszego domu na kontrolę". Gdy żona to usłyszała, mówi do nich: „Gdy tam będziecie, zastaniecie dziewczynę z dzieckiem. Powiedzcie jej, aby przygotowała mi kanapki, bo chce mi się jeść". Gestapowcy ze zdziwieniem spojrzeli na moją żonę, gdyż chyba nie mieli nikogo w swoich łapach, by prosił o jedzenie. Ze strachu każdy był syty. (Żona rzeczywiście należy do tych osób, że będąc zdenerwowana, musi jeść.) Wiemy, w strachu każdy reaguje inaczej.

Gestapowcy poszli do naszego mieszkania, które mieliśmy po rodzinie żydowskiej, obok sklepu. Składało się z dwóch pokoi, bez łazienki, ubikacja w korytarzu. W pokoju od ulicy mieliśmy łóżka, stół, krzesła, szafę, w rogu kuchenka, tzw. „wersalka". W drugim pokoju znajdował się tylko opał: węgiel i szczapy drzewa. Żonę zostawili w Gestapo, która z obawą czekała na wynik kontroli. Gestapowcy spenetrowali całe mieszkanie. Śladów handlu papierosami, ani jakichkolwiek podejrzanych przedmiotów nie znaleźli. Żona ucieszyła się, gdy stwierdziła, że mnie nie zastali w domu. Gestapowcy, podając żonie przyniesione z domu kanapki, na pewno ciekawi byli, czy żona zabierze się zaraz za jedzenie. Żona najspokojniej rozwinęła kanapki i zaczęła się delektować. Mogli dociekać, skąd szynka i masełko w kanapkach. Ale jakoś o to nie pytali.

Żona, posiliwszy się, dostarczając witamin dziecku, znajdującemu się w łonie matki, bo była w piątym miesiącu ciąży, poczuła się lepiej. Zresztą było to grubo po południu, a wyszła z domu prawie bez śniadania. Mimo iż nie znaleziono materiału obciążającego, zwolniono żonę dopiero wieczorem. Żona, poinformowawszy mnie o swoim aresztowaniu i zwolnieniu, kazała, abym pozostał u „Babci", a sama wróciła do domu.

94
Ucieczka z Włocławka

Nie ulegało wątpliwości, że musimy nawiewać z Włocławka. Uświadamiając sobie jednak fakt, że Gestapo nie widziało mnie nigdy na oczy, zbytnio nie przejmowałem się i ucieczkę odkładałem z dnia na dzień, nocując spokojnie u „Babci", pocieszając ją w jej strasznej chorobie, wtedy jeszcze niewyleczalnej. Do Bęcławskiej wolałem nie zachodzić, bo i ona jako handlarka mogła być podejrzana. Po dwóch tygodniach, przypadkowo, spotyka mnie nasz listonosz, Polak. Ze zdziwieniem powiada: „Panie Małłek, to pan jeszcze tu? Przecież pana szukają. Na poczcie leży też paczka dla pana, ale uszkodzona". Podał mi odcinek, ostrzegając mnie, abym się nie pokazywał i był bardzo ostrożny. Ach! pomyślałem: spróbuję odebrać przesyłkę. Wiedziałem, że jest to przesyłka tytoniowa.

Poszedłem na pocztę, podałem odcinek. Przyniesiono paczkę, dwóch urzędników przy niej. Obracają paczkę na wszystkie boki, po chwili jeden z nich chwyta telefon do ręki i coś mówi. Ja, w tym momencie nie czekając na nic, spokojnie oddalam się, za drzwiami szybkim krokiem znikam z „horyzontu". Pościgu nie było. Może byli to urzędnicy, którzy rozumieli moją sytuację i moje zniknięcie. Skoro bowiem listonosz wiedział, że mnie poszukują, to na pewno wiedzieli o tym owi urzędnicy. Jednym słowem, Pan Bóg zesłał mi anioła stróża w osobie listonosza, aby mnie uprzedzić o niebezpieczeństwie. Zresztą i mojej żonie ukazał się we śnie anioł stróż. Rano mówi mi żona: „Śnił mi się Robert, mój zamordowany brat, to przestroga. Grozi nam niebezpieczeństwo. Zawsze, przed każdym niebezpieczeństwem, śni mi się Robert", powiada żona. Teraz to już nie przelewki, skoro poszukują mnie jako przestępcę prawa niemieckiego.

Od mego kolegi, Otto Rangenaua, którego odwiedziłem na jego posadzie nauczycielskiej za Wisłą, otrzymałem niektóre adresy kolegów z Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie. Z żoną opracowujemy plan przeprawy promem przez Wisłę na drugi brzeg. Stamtąd idą autobusy do Lipna. Tam wstąpimy do mojej koleżanki (dawnej sympatii) z Seminarium Nauczycielskiego, Haliny Bachmann. U Haliny orientujemy się, co możemy dalej przedsięwziąć. Zatem plan ustalony. Ona robi jednak uwagę: „Ale jak się wydostać, by nie być poznaną?". „To prawda", odpowiadam. Wobec tego trzeba się jakoś zamaskować. „Właściwie ja nie muszę się maskować, bo mnie nie znają", mówię do żony. „Wystarczy ciebie odpowiednio ubrać". W sukurs przychodzi nam Zosia: „Ja przyniosę z domu chustę na głowę, która i część twarzy zasłoni". Świetnie, powiadam. „Ja pojadę z panią przez Wisłę" – dodaje Zosia. Jeszcze lepiej. „Ale co zrobić z Robusiem, on może mnie zdradzić" – mówi żona. Robusiem ja się zajmę, a ciebie ucharakteryzujemy, gdy tego nie będzie widział. Zabawię go tak, aby ciebie nie poznał.

Umówionego dnia poszliśmy do przystani. Weszliśmy na prom. Ona, przebrana za „Babcię", z Zosią zajęły miejsca, ja z Robusiem ławkę przed nimi. Ruszyliśmy. Nie zauważyłem nic, co świadczyłoby o niebezpieczeństwie. W pewnym momencie odwróciłem się do tyłu, mówiąc jakieś słowo. Na to żona szeptem: „Cicho bądź". Zamilkłem. Wstałem, wziąłem Robusia za rękę i poszliśmy na pokład. Tam nie było żadnych ławek ani ludzi. Zabawiałem go, pokazując mu fale, brzegi Wisły, prom i co tylko się dało, aby tylko nie miał okazji poznać matki. Szczęśliwie przepłynęliśmy Wisłę. Na drugim brzegu, trzymając Robusia za rękę, znów się obróciłem, mówiąc do żony jakieś słowa. Usłyszałem od żony tylko jedno słowo: „Idź!" – ale tak rozkazującym tonem, że zrozumiałem, abym milczał. Zastanawiałem się: Co tu może być groźnego?

Dopiero gdyśmy wysiedli z autobusu w Lipnie, gdy za nami ulicą nikt nie szedł, żona odezwała się i powiedziała, że razem z nami promem i autobusem jechał gestapowiec, który ją przesłuchiwał, gdy była aresztowana. Teraz zrozumiałem, z jakim strachem jechała żona, obawiając się być rozpoznaną lub kontrolowaną. Zaszliśmy do Haliny Bachmanówny, która wyszła za mąż za bogatego przemysłowca. Niestety, nie zastaliśmy ani Haliny, ani jej męża. Powitała nas jedynie Haliny siostra, której mąż zginął w egzekucji razem z Robertem. Z rozmowy przekonaliśmy się, że tu nie mamy zatrzymania, bo w Lipnie wciąż jeszcze kogoś wyłapują i aresztują. Nie nocując, ruszyliśmy w dalszą drogę do Płońska.

95
W Płońsku

Przyjęci zostaliśmy przez mego serdecznego kolegę z Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie, Henryka Bomerta, i jego żonę, Lusię. Henryk Bomert, to ten sam, który wszedł do gniazda bocianiego na wieży kościelnej w Działdowie, i ten sam, który w internacie zakładając się zjadł kostkę 0,5 kg sztucznego miodu. Pracował w urzędzie jako kreślarz. Był *Volksdeutsch*, ale zdecydowany przeciwnik ideologii Hitlera, działający w konspiracji.

Całą duszą zajął się nami. Mieszkaliśmy u Bomertów w bardzo skromnych warunkach. Mieszkanie mieli dość ciasne. Ja z żoną spaliśmy w jednym łóżku. Po kilkunastu dniach żona dostała we włosach takich wszy, że rady nie było. Od drapania dostała strupów. Gdy to doszło do wiadomości Bomertów, Henryk rzekł do Lusi: „Zajrzyj no ty do twojej głowy!". Oczywiście, u Lusi było aż szaro. Wtedy obie niewiasty kurowały się środkami znanymi w owym czasie. Kuracja trwała kilkanaście dni. Przy tym dziwne było to, że ani ja, ani Henryk, ani Robuś nie mieliśmy ani jednej wszy, aczkolwiek ja spałem razem z żoną. Widocznie mieliśmy niesmaczną krew. Dodać muszę, że Lusia była małego wzrostu, ładna brunetka, ale bardzo niegospodarna. Henryk był wysoki, przystojny blondyn. Moja żona wyręczała Lusię w gotowaniu.

Od Henryka dowiedzieliśmy się, że kilka kilometrów od Płońska, w Słoszewie, mieszka jego siostra, Jadwiga, którą poznałem, gdy odwiedzała braci w Działdowie. Jako *Volksdeutschanka* była sołtysem w Słoszewie. Jej mąż, Schmalz, posiadał dość duże gospodarstwo. Jadwiga wżeniła się do niego. Wyglądał na dobrego, szlachetnego człowieka, ale harmonii małżeńskiej między nimi nie było. Przyczyn nie znam. Prawdopodobnie Schmalz chciał mieć dzieci, a Jadwiga widocznie nie mogła ich mieć i nigdy ich nie miała.

Ścieżką ze Słoszewa, przez pola, dochodziło się do wsi Źwiklinek. Tam mieszkał brat Henryka, Adam. Również były seminarzysta z Działdowa. Ale obaj nie skończyli Seminarium Nauczycielskiego. Henryk wrócił do matki, która gospodarowała z najstarszą córką Almą na gospodarstwie, o ile się nie mylę, w powiecie sierpeckim. Adam natomiast bez zawodu ożenił się z bardzo biedną dziewczyną, za to rodną, i prowadził w Działdowie zakład introligatorski (introligatorstwa uczyliśmy się w Seminarium Nauczycielskim). Teraz w czasie okupacji Adam prowadził w Źwiklinku sklep spożywczy i towarów gospodarstwa domowego. W sklepie posiadał wszelkie towary, za wyjątkiem gotowych ubiorów. Przy tym prowadził agencję pocztową.

Jadwiga Schmalz, siostra Henryka, sprowadziła nas do Słoszewa i ulokowała u Kucharzaków, swoich bezpośrednich sąsiadów. Rodzina Kucharzaków składała się z następujących osób: poczciwy, szlachetny dziadek, wdowiec, przygłuchawy, jego syn Jan, gospodarz, żona Bronka, dzieci: Tomek i Niuńka oraz siostra Janka, dzielna Wikcia. Drugie gospodarstwo w sąsiedztwie posiadał drugi syn dziadka, Antoni. Kucharzakowie odstąpili nam nieduży pokój od ulicy, z widokiem do sąsiadów Schmalzów, a przez drugie okno widzieliśmy wieś Źwiklinek. Kucharzakowie, rodzina polsko-katolicka, wiedząc o nas coś nie coś, przyjęła nas bardzo życzliwie i serdecznie.

Wreszcie nasz Robuś miał towarzystwo, gdyż dzieci Janków były w jego wieku. Z dnia na dzień tworzyliśmy jedną rodzinę. Często jedliśmy z jednego garnka, a Robuś był

właściwie na ich wyżywieniu. Jakże on pałaszował żytnie tarte kluski. Przybierał na wadze, dobrze wyglądał, buzia kolorowa jak jabłuszko. Miejsca do zabawy pod dostatkiem: podwórko, stodoła, obora, kuchnia. A Bronka i Wikcia miały przyjemną towarzyszkę w osobie mojej żony, będącej w szóstym miesiącu ciąży. Kucharzakowie bardzo nas szanowali i dzielili się, czym mieli. Wnet po ulokowaniu się u Kucharzaków odwiedziłem Adama Bomerta w Źwiklinku. W jednym budynku, pod jednym dachem był sklep, agencja pocztowa i mieszkanie. Gdy wszedłem do sklepu, zastałem pełno kupujących artykuły żywnościowe, materiały na suknie, ubrania i inne. Gwar, ruch niesamowity, a kasa „połykała" monety i banknoty. Wszedł Adam, przywitaliśmy się serdecznie. Pogratulowałem mu „Gold-Gruby" (kopalni złota), bo zauważyłem, że interes kwitnie. Moje spostrzeżenie całkowicie się potwierdziło.

Adam przeprowadził mnie ze sklepu przez agencję pocztową do mieszkania. Wszedłszy przestraszyłem się panującym tam bałaganem, a wśród tego nieporządku żona Adama. Nie poznaję. Ubrana jak jakaś księżniczka w piękną suknię, korale na szyi, złote pierścienie z drogimi kamieniami na palcach, złote bransolety. Och! To nie ta sama Bomertowa z zakładu introligatorskiego w Działdowie. Dumnie się przywitała. Po sklepie przechadzała się jak paw, rajski ptak. „Nie dostępuj czasami!...". W sklepie urzędowały ekspedientki. Pomagierem Adama był jego szwagier, brat żony, oraz kierowca Antoni, który obsługiwał „hulajnogę" – samochód na trzech kółkach. Adam, znając naszą sytuację, zaproponował mi, że przy nim mogę zarobić, ponieważ często jeździ po zakupy do Łodzi, to mogę się z nim zabierać. Oczywiście, podziękowałem mu za tak miłą propozycję. Mieliśmy sporo gotówki, więc mogliśmy włączyć się w handel.

W Płońsku zapoznał mnie z rzeźnikiem, *Volksdeutschem*, u którego kupowaliśmy dowolną ilość mięsa, wędlin, w mleczarni dostawaliśmy masło według życzenia. Do Łodzi dostarczaliśmy mięso, wędliny, drób i masło, a z Łodzi przywoziliśmy materiały odzieżowe (łokciówkę). W Łodzi mieliśmy stały zajazd w hotelu, narożnik ulicy Kilińskiego. Jak wiadomo, materiały (łokciówka), jak zresztą wszelkie towary i produkty, były na kartki. Adam, chcąc nabyć nowy towar, musiał przedłożyć arkusze z naklejonymi odcinkami kart odzieżowych („Kleidermarken"). Były to skromne ilości, a popyt na materiały był wielki. W hotelu przewijali się różni kombinatorzy, pracujący w konspiracji. Poznałem tam przystojnego faceta w wieku około trzydziestki, nazwiskiem Jurkiewicz (chyba Jurek). Ten zaproponował mi, że może dostarczyć dowolną ilość oryginalnych kart odzieżowych, jednocześnie podając cenę za jedną kartę. Porozumiałem się z Adamem w tej sprawie. Och! jak się z tego ucieszył. Dał mi pewną ilość pieniędzy na zakup kart na próbę. Nie pamiętam, ile odcinków (punktów) zawierała każda karta. Za każdy punkt otrzymywałem 50 fenigów. To było dużo. Pracując w tej „akcji", dowiedziałem się, że Jurkiewicz otrzymuje karty wprost z drukarni, która je produkuje. A więc cena była bardzo korzystna. Za każdym razem kupowałem 50 kart, które mieściły się w bocznej kieszeni marynarki, zamiast portfela.

Z kartami w ręku razem z Jurkiewiczem zajeżdżaliśmy dorożką do hurtownika, „bławatnika", jak to się mówiło, i kupowaliśmy towar, który następnie w podwórku hotelowym przeładowywaliśmy na „hulajnogę" i dalej do Źwiklinka. „Lewe" nabywanie kart odzieżowych dawało Adamowi możliwości kupowania towaru w nieograniczonej ilości. A ja zarabiałem na „punktach" oraz na artykułach żywnościowych, które szły do Łodzi. Jedyny raz kupiłem kilka bel materiałów, ale to był balast i kłopot z ukrywaniem w stodole i ze sprze-

dażą. Droga do Łodzi i z powrotem samochodem prowadziła: Łódź – Skierniewice – Sochaczew – Czerwińsk nad Wisłą – Płońsk – Źwiklinek. Unikaliśmy głównych tras.

W Płońsku poznałem krawca, który zatrudniał Żydów. Kupiłem u niego piękne damskie futro oraz ładny złoty zegarek męski. A u szewca, Żyda, zamówiłem oficerskie długie buty. Te rzeczy: futro, zegarek i buty, odegrały swoją rolę w dalszej naszej wędrówce. O tym później.

96
Wyprawa do Warszawy

Zawsze myślałem o tym, aby skontaktować się z moim bratem, Karolem, który ukrywał się w Guberni Generalnej. Nadeszła chwila, że mogę zrealizować mój plan.

Henryk Bomert zapoznał mnie z panną Marysią Kozłowską, która pracowała w Landraturze i zapewniła mnie, że przepustkę dostanę na pewno. Poznałem też zaufanego człowieka, trudniącego się przemytem przez „zieloną granicę" do Warszawy. W Warszawie miał zamężną siostrę, dentystkę. Szmuglował do Warszawy tylko walutę – dolary, stamtąd szlachetne kamienie. Przeprawiał się drogą konspiracyjną przez Narew. Przez niego dałem pewną sumę dolarów do złożenia w depozycie u jego siostry, a gdy będę w Warszawie, to odbiorę. Poszedłem do Marysi Kozłowskiej po przepustkę, oczywiście z „załącznikiem". Na otrzymanie przepustki czekałem zaledwie kilkanaście minut. Przygotowałem walizkę z żywnością i 400 marek włożyłem do bocznej kieszeni marynarki. Wykupiłem bilet do Warszawy przez Nowy Dwór. W Nowym Dworze pociąg staje: kontrola graniczna. Mnie nie kontrolują, tylko celnik mówi do mnie: „Nehmen Sie Ihr Gepäck und kommen Sie mit"[219]. Speszyłem się, ale w takiej chwili potrafiłem zachować spokój i nie dać pozorów, że się denerwuję. Prowadzi mnie do budynku (baraku) kontroli celnej. W tym momencie pociąg ruszył. Pomyślałem: niedobrze. Czyżby ktoś mnie zdradził? Różne myśli przesuwały mi się przez głowę. Wchodzimy do baraku. Walizkę każe mi postawić, a mnie prowadzi do małej komórki i tam mi mówi: „Alles, was sie in den Taschen haben, legen sie auf diese Bank (wskazując ławkę), und ziehen Sie sich aus!"[220]

Rozebrałem się na „Adama". Obejrzał mnie naokoło, każe mi się ubrać. Bierze ze sobą moje dokumenty, w których znalazł cztery setki marek. Powiada do mnie, że chyba wiem, że nie wolno przewozić pieniędzy. Tłumaczę, że widocznie żona w ostatniej chwili włożyła mi do kieszeni, o czym nie wiedziałem. Celnik wprowadził mnie do sąsiedniego biura, w którym siedziało dwóch na pewno tajniaków z Gestapo. Każą mi usiąść. Wertują w moich papierkach. Oświadczają mi, że pieniądze konfiskują, bo nie wolno przewozić. Między moimi dokumentami znajdują list, który dał mi ktoś, abym go oddał jego synowi w Warszawie. W liście pisze ojciec do syna: „Synu, przyślij mi (tu wymienia przedmioty ubraniowe, dodając) i marynarkę". Gestapowcy uczepili się tego słowa „marynarka" i dawaj wmawiać mi, że to jest „szyfr". Pytają w kółko: „Po co jadę do Warszawy? Od początku podawałem, że jadę do bratanków, którzy są w sierocińcu, aby zawieźć im trochę żywności. (Rzeczywiście, synowie Karola byli w tym czasie w sierocińcu jako „sieroty".) Nie

[219] Proszę wziąć swój bagaż i iść ze mną.
[220] Proszę wyłożyć wszystko z kieszeni i rozebrać się.

dają się przekonać, stale nawracają do „marynarki" (marynarki wojennej). Po jakichś dwóch godzinach męczarni puszczają mnie.

Wychodzę na peron. Barak stał tuż przy peronie. Jest mniej więcej godzina jedenasta przed południem, miesiąc maj 1941 roku. Stwierdzam, że następny pociąg do Warszawy jest dopiero pod sam wieczór. Co tu robić? Rozmyślam, powoli spacerując po peronie, zachowując największy spokój. Nasuwają się myśli: „Może spróbować oddalić się lub uciec? Nie, tego nie można zrobić", dyktuje zdrowy rozum. „Uciec? Dokąd? Nie, w żadnym wypadku. Nie ma najmniejszych szans i w dodatku dałbym dowód, że jestem szpionem". Tak rozmyślając, chodząc po peronie, w pewnym momencie zauważyłem siedzącego za oknem przy biurku w budynku kolejowym pana Boelkego, piekarza, pracującego przed wybuchem wojny w sklepie pani Bandau w Działdowie. Wówczas łączyły nas przyjazne stosunki, ale obecnie, widząc go jako pracownika w mundurze kolejarza, przestraszyłem się bardzo. Wystarczyłoby, aby powiedział jedno zdanie, że jesteśmy z bratem poszukiwani, to leżę. Zauważyłem, że Boelke nie interesuje się „spacerującym" po peronie. Może mnie nie poznał...

Nagle gestapowcy wołają mnie z powrotem do biura. Znów spytki na temat listu ze słowami: „Synu, przyślij mi marynarkę". Wszystkie inne papierki poprzednio mi oddali, zatrzymując tylko ten list. Po dobrej godzinie „prania mózgu" puścili mnie. Ale byłem pewny, że w dalszym ciągu mnie obserwują. Zachowuję spokój. Spaceruję, to siadam na walizce i tak w kółko, bo żadnej ławki na peronie nie było. Jakieś półtorej godziny przed nadejściem pociągu do Warszawy znów mnie wołają. Ta sama „kołomyjka", te same pytania aż do znudzenia. W odpowiedziach trzymam się jednej i tej samej wersji, jeżeli chodzi o cel mej podróży do Warszawy.

Przypuszczalnie pół godziny przed nadejściem pociągu jeden z nich stawia mi pytanie: „Co zamierzam zrobić po zwolnieniu?" Odpowiedziałem: „Ponieważ skonfiskowaliście mi pieniądze, mając przy sobie jedynie bilet, chciałbym pojechać do Warszawy i odwiedzić moich bratanków w sierocińcu". „Dann fahren sie"[221] – padła odpowiedź. Pociąg nadjechał. Wsiadłem z walizką. Odetchnąłem głęboko.

Ciekawe, że nie zakwestionowali mi zawartości walizki, w której mieściły się artykuły żywnościowe. Wysiadłem w Warszawie. Udałem się wprost pod adres „dentystki", u której znajdowały się zdeponowane przez jej brata moje dolary. Dentystka serdecznie mnie powitała, ugościła, wręczyła mi dolary i zatrzymała na noc. Oboje z mężem mieli piękne mieszkanie. Widać było, że powodzi im się bardzo dobrze. Wszyscy: Bomertowie, Marysia Kozłowska w Landraturze, Kucharzakowie, Schmalzka, „kurier dolarowy", jego siostra „dentystka" z mężem, to ludzie działający w konspiracji, godni zaufania. Opowiedziałem o mojej przygodzie na granicy. Gospodarze cieszyli się, że tak szczęśliwie mi się „upiekło". Bo naprawdę mogło być gorzej. Może moja książeczka wojskowa, którą miałem przy sobie, odniosła skutek i chyba też mój spokój i opanowanie. Ale przez cały dzień nerwy były w naprężeniu. Przyrzekłem sobie, że już nigdy nie pojadę przez punkt graniczny w Nowym Dworze.

Synów mego brata Karola nie zastałem w Warszawie, bo byli u rodziców w Czapkowie koło Mińska Mazowieckiego, gdzie Karol się ukrywał. Mając informacje otrzymane od Ebingerów, krewnych Karolowej z Radości koło Warszawy, udałem się pociągiem do Mińska Mazowieckiego. Stamtąd do Siennicy i Czapkowa. Ale czym tam dojechałem, tego dziś nie pamiętam.

[221] No to jedź Pan.

Siedziba „Króla Mazurów” w Czapkowie znajdowała się na wzgórzu, wśród lasów. Dobra kryjówka. O ile sobie przypominam, to brata Karola z żoną i synami zastałem przy obiedzie: zacierki na sinym mleku. Przywitaliśmy się serdecznie i zaprosili mnie do stołu, częstując zacierkami. Brat ciekaw był usłyszeć wiadomości z terenów przyłączonych do Rzeszy, tzn. stron ojczystych. Powiedziałem o rodzinie, krewnych i o sobie. A przede wszystkim o tym, że Niemcy przygotowują się do wojny z Rosją. Podkreśliłem bratu, że głównym celem ryzykownego przyjazdu do niego, to to, że chcę mu finansowo pomóc, na ile mnie stać. Przywiozłem dolary, aby zużył na swoje potrzeby. Ile dolarów było, tego nie pamiętam. Słysząc o dolarach, bratowa Wila powiada: „Edward, my to ci wszystko zwrócimy”. Na to ja powiedziałem: „Wiesz, Wilu, na pożyczki mnie jeszcze nie stać. Ja to wam daję, a nie pożyczam”. (O tej „pożyczce” wspomnę w innym miejscu.) Na to Karol powiada: „Wiesz, ty nam nie dawaj, tylko razem pójdziemy zakupimy to, co będzie możliwe”. „Dobrze”...

Wieczorem poszliśmy z Karolem do pobliskiego młynarza. Trafiliśmy na kolację. „Nie, nie”, nie poczęstowali nas. Widocznie „polska gościnność” zaginęła w czasie okupacji. Zapomniano też o chrześcijańskim pozdrowieniu, czy powitaniu: gość w dom, Bóg w dom. Na kolację mieli rosół na wołowinie i kartofle. „Hadziaje”[222] delektowali się najpierw rosołem z kartoflami. Widziałem, jak brat chętnie przyłączyłby się do wieczerzy. Niestety, tylko ślinę mógł połykać. Po rosole zabrali się do mięsa z chlebem, popijając „czyściuchą”. Gości starano się widzieć przez mgłę zaćmionych umysłów. Po kolacji, młynarz głaszcząc opasły brzuch, ocierając zatłuszczoną gębę, jakby od niechcenia, łaskawie zapytał o cel naszego przybycia. Widziałem, jak brat czuł się poniżony, upodlony, aczkolwiek młynarz dobrze wiedział, kogo ma przed sobą, człowieka ściganego przez oprawców hitlerowskich.

Brat przedstawił młynarzowi, że z pomocą brata chciałby kupić mąki i jakiegoś wieprzka i prosi o podanie ceny. Gdy podał cenę, widziałem, że mamy do czynienia z „pijawką społeczną”, która gotowa wyssać z ofiary ostatnią kroplę krwi. Zakończyliśmy rozmowę tym, że jutro przyjdzie brat z pieniędzmi i kupi to, co potrzebuje. Po drodze brat wyjaśnił, że niestety tylko u tego młynarza można coś kupić, bo inni gospodarze są biedni. I dlatego młynarz nie rozczula się nad biedą bliźniego, grunt, aby własny brzuch rósł i kieszeń była coraz pełniejsza. Zostawiłem bratu dolary i nie wiem, jak sobie poradził z zakupami. Zabawiłem w Czapkowie – nie pamiętam – może 2-3 dni, nie chcąc dłużej obciążać braterstwa moją osobą. Mogłem tylko współczuć bratu i jego rodzinie.

Wtenczas nikt nie myślał o przyszłości. Nie robiliśmy żadnych planów. Jedyną troską każdego z nas było zachować życie. Nie dostać się w ręce morderców. Boga prosiłem o opiekę i dobry rozum, by móc chodzić ścieżkami między żarłocznymi bestiami.

Wracając od brata, wstąpiłem w Warszawie do diakonisy, Amalii Wallesch. (Córka owego słynnego sołtysa, który wieś Uzdowo „przyłączył” w 1920 roku do Polski.) Jako *Volksdeutschka* pracowała w szpitalu w Warszawie w charakterze pielęgniarki. W swoim dość dużym mieszkaniu przechowywała przez wszystkie lata okupacji jedno małżeństwo żydowskie nazwiskiem Czerny. (Małżeństwo to spotkałem całych i zdrowych po wyzwoleniu w Warszawie.) Amalia Wallesch była niezwykle dzielna, odważna i pełna poświęcenia. Za przechowywanie Żydów groziła śmierć, względnie obóz koncentracyjny. Pożegnawszy Amalię Wallesch, udałem się w drogę powrotną do domu, do Płońska. Wróciłem przez

[222] Gospodarze.

Kutno, aby nie wpaść w ręce tych samych gestapowców w Nowym Dworze. Domowników, żonę, dziecko, Kucharzaków i wszystkich znajomych zastałem przy zdrowiu. Włączyłem się z powrotem w handel z Łodzią.

97
Wojna niemiecko-rosyjska

Hitler sprytnie maskował przed Stalinem swoje złowrogie plany przeciw Związkowi Sowieckiemu. Jeszcze dzień przed wybuchem wojny wjechał na stację Prostki, powiat Ełk, ostatni transport zboża rosyjskiego – według opowiadania Gottlieba Mroczka z Ełku, który był maszynistą kolejowym, kursując na linii Białystok [–Ełk][*]. Przesunięcia jednostek wojskowych na wschód dokonywano wyłącznie nocą. Toteż Polacy nie przewidywali tak nagłego wybuchu wojny. Nagle rano 21 czerwca 1941 roku budzą nas odległe wybuchy bomb. Wybiegliśmy wszyscy na dwór, aby lepiej słyszeć.

Ludzie mówią: Hitler wypowiedział Stalinowi wojnę.

Granica ze Związkiem Sowieckim dość daleko. Ale pierwszego dnia słyszymy głośne wybuchy bomb i pocisków armatnich. Baliśmy się, aby front nie zbliżył się w nasze strony. Drugiego dnia odgłosy wybuchów jakby przycichły. Trzeciego dnia były już słabe, a czwartego dnia w ogóle nie słyszeliśmy. Byliśmy zadowoleni, że front przesunął się na wschód. Dowiedzieliśmy się, że Hitler swoim „blitzkriegem"[223] pędzi Bolszewików na wschód, biorąc całe masy żołnierzy sowieckich do niewoli. Polacy cieszą się, że Hitler stworzył sobie dalszy front walki, co w konsekwencji doprowadzi go do zguby. Humor w społeczeństwie polskim poprawił się, jak również odwaga w działalności konspiracyjnej. Najbardziej wybuchem wojny przestraszona była moja żona, która za kilka dni oczekiwała porodu. „Co będzie, gdy trafi uciekać?" – pyta zakłopotana. Już Jezus powiedział te słowa: „Biada kobietom brzemiennym i karmiącym w owe dni, gdy ujrzycie ohydę spustoszenia" – Mat. 24, 19, 15. Na szczęście „ohyda spustoszenia" przesunęła się na Wschód. Gdy nadszedł dzień porodu, żona nie musiała drżeć ze strachu na skutek bomb czy pocisków armatnich. Dnia 29 czerwca 1941 roku bóle zapowiadały bliski poród. Kochana Wikcia pobiegła po polską akuszerkę, która opiekowała się żoną przy porodzie i szereg dni po porodzie.

Raniutko, dnia 30 czerwca, przyszła na świat nasza córeczka. Poród był normalny w domu, trzeci z rzędu, nie zapowiadający żadnych komplikacji. Tegoż dnia byłem umówiony z Adamem Bomertem jechać do Łodzi. Nie chcąc go zawieść, pojechałem. Do dnia dzisiejszego mam wyrzuty sumienia, że w takiej chwili zostawiłem żonę samą. Gdy wróciłem, dowiedziałem się, że żona dostała gorączki. Na szczęście obyło się bez lekarza. Lekkomyślności z mojej strony żona nie mogła zapomnieć. Nie wiem, jako młody człowiek uważałem poród jako rzecz naturalną, nie myśląc, że może przydarzyć się coś przykrego. Córeczka urodziła się zdrowa. Radość dla nas rodziców i domowników. A szczególnie Robuś i dzieci Kucharzaków cieszyły się, że mają żywą lalkę, która pije mleczko od krowy, płacze, oddycha, oczkami mruga. Takiej „lalki" nie widziały nigdy. Dobrze, że było lato,

[*] Zapewne chodzi o połączenie kolejowe Białystok–Grajewo–Prostki–Ełk – Red.
[223] Wojnę błyskawiczną.

więc mogłem Robusiowi pokazać bociana, który „przyniósł” mu siostrzyczkę. Myślę, że uwierzył w tę bajkę, bo zapytał: „Ale jak on ją niósł?”. Musiałem mu przedstawić, że bocian położył siostrzyczkę na bielutkie czworokątne prześcieradełko (ot tak, jakby na tę chusteczkę), rogi prześcieradełka związał, chwycił dziobem i fru-fru! przez otwarte okno do Mamusi do łóżeczka. Robuś słuchał uważnie z otwartą buzią. Miał się potem czym pochwalić przed Tomkiem i Niuńką, pokazując fruwającego lub chodzącego po łąkach bociana. Wątpię, czy dzisiaj jakiekolwiek dziecko wierzy jeszcze w „bociana”. Po pierwsze: „Gdzie spotkać bociana?”. Żab nie ma, to i bocianów nie ma. Po drugie: „Dzisiaj jajo mądrzejsze od kury”. Już dwuletni brzdąc jest „reżyserem” życia rodzinnego, a naiwni rodzice z radością „tańczą” naokoło „aktora”, na wyścigi wykonując z nakładką jego żądania.

Nasza córeczka urodziła się, żyła, rozwijała się, ale formalnie nie istniała, bo nie była meldowana w żadnym rejestrze ludnościowym. Ponieważ ukrywaliśmy się, nie będąc meldowani, więc i córki nie mogliśmy zameldować. (Akt urodzenia sporządzono w USC w Baboszewie, powiat Płońsk, dopiero po wyzwoleniu.) Mieliśmy też trudność w wyszukaniu córce imienia. Ponieważ imię Jadwiga mi się podobało, więc nazwaliśmy ją imieniem mamusi. Mamy teraz w rodzinie trzy Jadwigi: moja siostra, żona i córeczka. Nie mogliśmy też ochrzcić córki, więc jako wierzący chrześcijanin, zgodnie z tradycją Kościoła ewangelicko-luterskiego, osobiście dokonałem chrztu wodnego. Normalny chrzest Jadźki w kościele odbył się razem z jej braćmi: Jerzym i Andrzejem w Kościele Ewangelicko-Metodystycznym w Ełku, dnia 26 lutego 1950 roku, dokonany przez superintendenta Józefa Naumiuka, gdy byłem pastorem w Ełku. Chrzestnymi Jadźki byli: Małłek Emil i Wilhelmina Bielińska z Szyby; chrzestnymi Jerzego byli: Richard Mallek i Olga Bąk; chrzestnymi Andrzeja byli: Kazimierz Milewski i Marta Żbikowska.

W Słoszewie Jadźka była wielce pieszczona przez wszystkich domowników. Przechodziła z rąk do rąk. Tak się przyzwyczaiła do noszenia, że chciała, aby ją stale nosić. I tak „hurdu-burdu” u Bronki, potem u Wikci, potem u Mamusi i tak w kółko, a dzieci woziły „żywą lalkę” w wózku. Dzieci nic nie miarkowały [z] wojny. Błogi jest świat dziecięcy.

98
Druga wyprawa do Warszawy

Walki niemiecko-rosyjskie przesunęły się daleko na wschód. Zaochociliśmy się do działania. W lipcu 1941 roku udałem się do Landratury, aby prosić o „Passierschein” (przepustkę). Marysi Kozłowskiej nie zastałem w biurze. To mnie trochę speszyło. Na jej miejscu zauważyłem młodą, przystojną, w moim guście panienkę. Grzecznie odpowiedziała na mój ukłon i pozdrowienie, pytając, czym może służyć. Po jej mowie poznałem, że nie jest Niemką, a *Volksdeutschką*. Grzecznie wysłuchała mojej prośby, uśmiechając się lekko. Po jej zachowaniu widziałem, że dobrze trafiłem. Wzięła druczek, wypisała moje personalia. Wstała, wyszła zza biurka, powiada: „Ich muss zum Chef, die Unterschrift holen”[224]. Przechodząc obok mnie, podziwiałem jej piękną figurę. Do tego była ładna na twarzy. Jedno-

[224] Muszę pójść do szefa po podpis.

cześnie pomyślałem, że szef może odmówić podpisu. Za chwilę wraca, uśmiechnięta. Wręcza mi przepustkę, miłym głosem mówi: „Ich wünsche Ihnen eine gute Reise”[225]. Biorąc przepustkę do ręki, gotów byłem ją pocałować za otrzymaną przepustkę, a może i dlatego, że bardzo mi się podobała. Do pocałunku nie doszło. Opanowując się, grzecznie podziękowałem i z radością wróciłem do domu.

Za kilka dni wybrałem się w podróż, ale tym razem nie przez Nowy Dwór. Przygotowałem dość dużą walizkę z samymi artykułami żywnościowymi, boć wiem, że w Warszawie głód. Najpierw pojechałem do Torunia, do Bińkowskich, których często odwiedzałem. U nich był nasz dom gościnny. Jako rodzina kolejarska miała dostęp do najnowszych wiadomości, którymi dzielili się z zaufanymi sobie osobami. U nich poznałem też pannę Zosię, łączniczkę, kurierkę „podziemia”. Dzielna i odważna dziewczyna. Przez Bińkowskich dowiedziałem się, że walizkę do Warszawy mogę nadać koleją jako bagaż, poddając ją ocleniu przez kolejowego celnika, który często „przymyka” oko na niedozwolone towary. Zaryzykowałem i poszedłem z pełną walizą: boczki, słonina, kiełbasy, smalec, masło. Wszystko towary zakazane. Celnika pierwszy raz widzę. Otwieram walizkę. Byłem pewny, że ryknie na mnie. Aczkolwiek z twarzy robił wrażenie spokojnego, zrównoważonego człowieka. Musiał to być bardzo dobry, ludzki człowiek, bo gdy usłyszał, że wiozę te artykuły dla dzieci do sierocińca, to tylko trochę pogrzebał, mówiąc „Machen sie zu”[226]. Nakleił hitlerowskie znaczki celne z napisem „Zollfrei”[227] i bagaż poszedł koleją. Celnik był tak uczciwy, że nie „oglądał się”, aby za „przymknięcie oka” coś dostać. Ja pojechałem pociągiem następnego dnia z teczką w ręku.

W Kutnie pociąg kończył bieg. Wszyscy musieli wysiąść. Ci, co jechali dalej do Warszawy, musieli przejść przez kontrolę. Urząd celno-kontrolny mieścił się w baraku. W pierwszym pomieszczeniu dokonywano kontroli bagażu. Dokładnie obserwowałem całą procedurę. Każdy podróżny musiał swój bagaż położyć na bufet. Celnik pytał o zawartość bagażu. Nie zawsze kazał otwierać pakunki. Przyszła kolej na mnie: „Was haben sie in der Tasche?”[228] – pyta celnik. Wymieniam: „Etwas Wurst, Speck, Schmalz, Butter, Zucker”. „Machen sie die Tasche auf”[229]. Spojrzał do środka. „Gut, machen sie zu!”. „Der Nächste”[230] – woła następnego. Zauważyłem, że kto mówił prawdę, nie wyciągano żadnych konsekwencji. Po kontroli bagażu przechodziło się przez furtkę, w której stał urzędnik sprawdzający dokumenty podróży (przepustki i inne). Za furtką była poczekalnia, w której siedzieliśmy (bez wychodzenia) aż do podstawienia pociągu, idącego do Warszawy. Wtedy otwierano drzwi i każdy szedł do pociągu, zajmując miejsce w wagonie. Nie uszło mojej uwadze, że kolejarze niemieccy pomagali kobietom, które miały większe bagaże, a szczególną pomocą obdarzali kobiety z małymi dziećmi. To sobie dobrze zapamiętałem.

Ogólnie kontrola była spokojna i nikt nie został pokrzywdzony. Pociąg ruszył. Jeszcze w pociągu trzeba było się liczyć z kontrolą dokumentów, bo dopiero na stacji Żychlin była granica między Rzeszą a Gubernią Generalną. Obyło się jednak bez kontroli. Zajechałem szczęśliwie do Warszawy. Odebrałem walizkę z bagażowni i dorożką poturlałem się do Amalii Walesch, u której czułem się jak w domu.

---

[225] Życzę przyjemnej podróży.
[226] Proszę zamknąć.
[227] Bez cła.
[228] Co ma Pan w teczce? Wyliczam: trochę kiełbasy, słoniny, smalcu, masła, cukru.
[229] Proszę otworzyć teczkę.
[230] Dobrze, proszę zamknąć. Następny!

Mieszkanie Walleschówny było obszerne, a przede wszystkim była duża łazienka z prysznicem. Tam mogłem się zawsze dobrze wykąpać. Od Amalii pojechałem do Radości, do Ebingerów, u których na piętrze mieszkał już brat Karol z żoną i najmłodszym Januszem, przeprowadziwszy się z Czapkowa. Starsi ich synowie, Ryszard i Leopold, byli w internacie w Warszawie jako „sieroty". Rozmawiając z bratem i Ebingerami, wspomniałem, że prędzej czy później i ja z rodziną musimy uciekać do Guberni, bo tam w każdej chwili możemy wpaść w ręce Gestapo. Poradzili mi, że w każdej chwili możemy przyjechać i mieszkać razem z Karolami. Byłem im wdzięczny za to.

Z Radości pojechałem do Piotrowic koło Nałęczowa Lubelskiego, gdzie odwiedziłem Hermanna Schmidta, który przybrał nazwisko „Hieronim Skurpski". Jako artysta-malarz mieszkał obok innej malarki. Schmidt ożeniony był z bardzo biedną panną, która przed wojną była guwernantką u bogatych rodzin. Stąd „odziedziczyła wielkopańskie maniery". Mieli wówczas jednorocznego synka. Schmidt trudnił się w tym czasie uprawą pomidorów. Żyli bardzo biednie i skromnie. Ich lista potraw stołowych obejmowała tylko jedną jedyną pozycję: „zupa jarzynowa". Od Schmidta dostałem adres Fryderyka Burskiego, który przybrał imię „Jerzy". Pracował w Puławach w kasynie jako kelner.

Pojechałem do niego. Tam zjadłem przynajmniej dobry obiad. Burski opowiedział mi o swoich perypetiach i o ucieczce z Działdowa, z Pierławki. Tylko cudem przedostali się do Guberni Generalnej. Schmidt i Burski radzili mi „zadekować" się na Lubelszczyźnie. O miejscach pobytu innych kolegów-„działaczy" nie dowiedziałem się.

Tak nasycony różnymi wiadomościami wróciłem do Radości, potem do Amalii Wallesch w Warszawie. Z Warszawy przez Kutno wróciłem do domu z pustą walizką i pustą teczką. W domu wziąłem się znów za handel, aby odrobić straty. Zacząłem jeździć pociągiem z Płońska do Łodzi, mając wypchane dwie walizki zakazanym towarem. Jeżdżąc pociągiem, ubierałem się „po niemiecku", zawsze w kapeluszu. Kupiłem przypadkowo wyjątkowy egzemplarz płaszcza nylonowego. W nim wyglądałem na gestapowca. Pewnego dnia wysiadam w Łodzi z dwiema walichami zakazanego towaru, a tu obława, łapanka. Nie tracąc tupetu, niosę walizki tak, jakby nic nie ważyły. Odważnie podchodzę do kontrolującego i pytam: „Sag mir, wie komme ich in die Stadt?"[231]. Spojrzał na mnie od góry do dołu i powiada: „Dort hast du die Strassenbahn!"[232] – wskazując tramwaj, dobrze mi znany. Widzicie: kapelusz i płaszcz nylonowy uratowały moją sytuację. Wielu innych podróżnych załadowali do samochodów ciężarowych i wywieźli. Dokąd?

99
Wieprzek w koszu

Natura ludzka nie jest nasycona. Człowiek im więcej ma, tym więcej chce. Tak jak niemieckie przysłowie mówi: „Je mehr er hat, desto mehr er will"[233]. Tak było też ze mną. Warunki życiowe w czasie okupacji zmusiły mnie do nielegalnego handlu. Handlowałem,

[231] Powiedz, jak dostanę się do miasta?
[232] Tam masz tramwaj.
[233] Im więcej ma, tym więcej chce.

jak tysiące Polaków, czym się dało. Najczęściej nie brało się pod uwagę ryzyka, które było z tym związane. Każda wpadka groziła wysoką karą, aż do śmierci włącznie.

Oglądaliście może film, który naświetlał te sprawy w czasie ery hitlerowskiej, kiedy to sędzia skazał żołnierza na karę śmierci za kradzież dwóch czekolad. Taka była rzeczywistość.

Ostatnio handlowałem wyrobami mięsnymi dostarczanymi do Łodzi. Ryzyko ogromne. Ale zawsze wierzyłem w Opatrzność Bożą. Stale dążyłem do robienia większych obrotów. Nie zadawalałem się ilościami, mieszczącymi się w walizce czy dwóch walizkach. Wpadłem na pomysł wysłania do Łodzi całego, ubitego wieprzaka. Ale skąd go zdobyć? W Słoszewie sprawa ta była nie do spełnienia. Postanowiłem pojechać w rodzinne strony. Do Brodowa bałem się, aby nie spotkać zbrodniarzy typu Falkowskiego. Wybrałem się do mego brata Augusta do Rutkowic. Wysiadłem na stacji Pryoma, stamtąd pieszo. Trafiłem w niedzielę, kilka dni po urodzeniu ich córki, Edyty, w sierpniu 1941 roku. Ucieszyliśmy się wzajemnie, widząc się po długim czasie. W czasie gościny zapytałem brata, czy byłoby możliwe ubić świniaka wagi około 120 kg? Zapewniłem, że mam pieniądze i dobrze zapłacę. Brat zapytał: „Co chcę z tym zrobić?". Powiedziałem: „Wyślę do Łodzi jako przesyłkę expresową: »Hausrat« (domowizna)". Brat zgodził się. Nie zwlekając z robotą, brat ubił świniaka, poćwiartował, powiesił, aby mięso przeschło. Za dwa dni zapakowaliśmy odpowiednio do kosza od bielizny (z wikliny), zaadresowałem na odbiorcę w Łodzi jako „Hausrat", załadowaliśmy na furmankę. Na stacji Pryoma nadaliśmy jako przesyłkę ekspresową do Łodzi.

Pożegnawszy się z rodziną, pojechałem innym pociągiem. W Łodzi od razu udałem się pod adres odbiorcy, aby dowiedzieć się, czy kolej dostarczyła przesyłkę? Osoba stale rozprowadzająca mój towar oświadcza, że żadnej przesyłki nie otrzymała. Och, to mnie zastanowiło. Co tu robić? Po dwóch dniach zdecydowałem się zapytać o przesyłkę na kolei. Podaję dowód nadania. Kolejarz wziął dowód i poszedł do przesyłki. Będąc przy koszu, odwrócił się do mnie i woła: „Przesyłka leży uszkodzona, musimy sporządzić protokół". Mówiąc te słowa, urzędnik poszedł do innego pokoju. A ja, nie czekając na nic, szybkim krokiem w nogi. Taki pożytek miałem z mojej wyprawy: wieprzka skreśliłem na „straty". Bogu dziękowałem, że hitlerowcy nie skreślili mnie „na straty".

100
Wsypa

Mając dobrą nauczkę z wieprzkiem w koszu ograniczyłem mój handel do małych obrotów, współpracując z Adamem Bomertem. Po powrocie do brata z Rutkowic dowiedziałem się, że Gestapo nakryło w Łodzi drukarnię, aresztując personel. W drukarni tej dostawaliśmy przez Jurkiewicza karty odzieżowe. W jaki sposób Gestapo wpadło na ślad nadużycia kart odzieżowych? Otóż urzędowa statystyka za pierwsze półrocze 1941 roku wykazała, że karty wyczerpały limit całego roku. Zaczęto szukać fałszerzy. Wynikiem śledztwa było zlikwidowanie drukarni. Straciliśmy źródło zdobywania kart odzieżowych, które umożliwiały nam zakup towarów. Smutek nasz trwał zaledwie kilkanaście dni.

Pewnego dnia nasz pośrednik Jurkiewicz zawiadamia nas, że inna drukarnia niemiecka przejęła drukowanie kart i w ten sposób proceder szkodzenia gospodarce hitlerowskiej szedł dalej, na czym ja i Adam zarabialiśmy. Spokojnie przeżyliśmy miesiące: sierpień, wrzesień, październik i połowę listopada 1941 roku. Około 20 listopada 1941 roku Adam Bomert mówi mi: „Moja żona jedzie pojutrze »hulajnogą« do Łodzi celem kupna samochodu osobowego, możesz zabrać się z nimi". Pomyśleliśmy: „Hrabini Bomertowa zapragnęła mieć limuzynę". Oczywiście, stać ich było na to. Sklep w Źwiklinku przynosił bardzo dobre dochody.

Skorzystałem z propozycji. Przygotowałem skromną ilość wędlin, boczku, słoniny i masła, zamierzając jechać z nimi. Na drugi dzień rano budzimy się i żona powiada: „Miałam dziwny sen. Znów śnił mi się Robert. Przeczuwam, że grozi nam niebezpieczeństwo. Nie jedź z Bomertami do Łodzi". Sen mojej żony o Robercie był dla mnie święty. Bez słowa sprzeciwu zrezygnowałem z wyjazdu. Ponieważ jednak towar był już zakupiony, więc przekazałem go szoferowi, dając mu kartkę z adresem, aby dostarczył odbiorcy. Na kartce wymieniłem rodzaj i ilość poszczególnych artykułów. Następnego dnia raniutko „hrabini" Bomertowa z szoferem Antkiem „pohulali" do Łodzi, zabierając nie tylko mój towar, ale przede wszystkim swój, ilościowo przekraczający 10-20-krotnie ilość mego towaru. Tego samego wieczora mieli być z powrotem. Niestety, nie przyjechali. Zwłokę tłumaczyliśmy trudnościami kupna samochodu.

Czekamy następnego dnia. Też ich nie ma i nie telefonują, a przecież Adam prowadzi agencję pocztową. Przeczuwaliśmy z żoną coś niedobrego. I rzeczywiście, sen żony, przestroga anioła stróża Roberta się sprawdziła. Po dwóch dniach, w listopadowy wieczór, potajemnie przyszła do nas żona szofera Antka ze smutną wiadomością. Opowiada: „Bomertowa z Antkiem szczęśliwie zajechali do Łodzi. Antek z Placu Wolności kierował się normalnie w ulicę Kilińskiego (gdzie w hotelu mieliśmy stałą kwaterę), nagle »księżniczka« (bo i tak Bomertową nazywali) poleciła Antkowi skręcić w inną ulicę. Antek musiał zrobić niewłaściwy manewr. Za nimi przypadkowo jechała policja drogowa, która zauważyła nieprzepisową jazdę i zmusili »hulajnogę« do zatrzymania. W czasie legitymowania żandarmi zajrzeli do środka samochodu, znajdując zakazany towar. Zaaresztowali Bomertową i Antka. Przesłuchiwali obojga. Tłumaczyli się, że towar nie jest ich, że dał im Edward Mallek, na dowód pokazując kartkę z adresem. Po spisaniu protokółów, po dwóch dniach ich puścili. Myślę, że to jest dla pana bardzo niebezpieczna sprawa" – zakończyła opowiadanie żona szofera Antka. Podziękowałem Antkowej za życzliwość i pomoc. Nie trzeba było mi dwa razy mówić: uciekać!

Z żoną zmartwiliśmy się bardzo. Cała rodzina Kucharzaków była zaskoczona wydarzeniem. Wszyscy stanęli do pomocy. Wikcia, dzielna dziewczyna, powiada: „Ja pana ukryję u naszych krewnych w Płońsku". Spakowałem manatki, pożegnałem się ze wszystkimi i jeszcze tego samego wieczoru opuściłem tak bardzo gościnny dom i rodzinę Kucharzaków w Słoszewie. Całując żonę, synka i córeczkę, słyszę słowa żony: „Jutro rano będę z dziećmi u ciebie". Wikcia ulokowała mnie u młodego małżeństwa na pierwszym piętrze w budynku sąsiadującym z posterunkiem żandarmerii, o czym mi nie powiedziano. Rodzina ta, z małym dzieckiem, była tak miła i odważna, że uspokoiłem się i nabyłem odwagi. Na drugi dzień rano, nie zwlekając, zjawiła się żona z Robusiem i Jadźką w wózku, też opuszczając tak gościnne Słoszewo. W nowym miejscu uradziliśmy, że ja przeniosę się w inne miejsce, aby nie obciążać bardzo gościnnej rodziny. Do Henryka Bomerta nie za-

chodziłem, bo mogliby mnie u niego szukać. Ulokowałem się u Bagińskiego, który był żonaty z Mazurką – ewangeliczką, która była *Volksdeutsch*.

Po dwóch dniach od ulokowania się żony z dziećmi w nowym miejscu, wieczorem niewiasty słyszą w korytarzu jakieś głosy i ciężkie kroki po schodach. „Nic innego, tylko buciory żandarmów" – pomyślały. Struchlały ze strachu. Wtem do drzwi głośne puk puk! „Aufmachen!"[234]. Właścicielka mieszkania otwiera drzwi. Wchodzi opatulony żandarm i z miejsca ryknął: „Verdunklung!"[235] – wskazując na okno. „Strafe zahlen!"[236] – kobietki, drżące ze strachu, na wyścigi, to zasłaniają okno, to szukają pieniędzy, aby zapłacić mandat. Żandarm po zainkasowaniu należności ciężkim krokiem opuścił mieszkanie. Niewiasty padły na siedzenia jak martwe. Serca im jeszcze dygotały. Myślały bowiem, że żandarm przyszedł po uciekinierów ze Słoszewa. Jedyną troską moją i żony było wydostać się z Płońska. Zastanawialiśmy się, dokąd uciekać? Stwierdziliśmy, że nie możemy przenosić się tam, gdzieśmy już byli.

A gdzieśmy jeszcze nie byli? Od Kaszub – Torunia – Bydgoszczy – Włocławka dotarliśmy do Płońska. Dokąd teraz? Pozostaje nam jedynie wyprawa do Guberni Generalnej.

101
Ucieczka do Guberni Generalnej

Jak tu myśleć w naszej sytuacji o wyprawie do Guberni Generalnej? Nie jestem przecież sam, jest nas cała rodzina, czworo osób, w tym pięciomiesięczna córeczka. Byli szmuglerzy, którzy nielegalnie przeprowadzali uciekinierów przez granicę. Przy tym trzeba liczyć przeprawę przez rzekę Wkrę, potem Narew. A tu zima, koniec listopada 1941 roku. Czy można ryzykować taką podróż z pięciomiesięcznym dzieckiem? Uznaliśmy, że to jest niemożliwe.

Pomyślałem o legalnym wyjeździe z przepustkami w ręku. Aby ten plan zrealizować, całą nadzieję pokładałem w dzielnej Marysi Kozłowskiej, pracującej w Landraturze, przez którą już raz otrzymałem przepustkę do Warszawy. Po kilku dniach, mimo grożącego niebezpieczeństwa, udałem się do Landratury. Po wejściu do biura, Marysia wyszła ze mną na korytarz. Dowiedziawszy się ode mnie, o co mi chodzi, cichutko powiedziała, że w tej chwili otrzymanie przepustki jest niemożliwe. Szef biura, który decydował o przepustkach, jest aresztowany. Niektórzy urzędnicy są przesunięci na inne stanowiska. Strach panuje w biurze – powiada. „Przyjdź za dwa dni". Nic się nie zmieniło na lepsze. Odszedłem z kwitkiem. A tu czas nagli. Ale nie można rezygnować.

Pomyślałem o rzeźniku, u którego kupowałem wyroby na sprzedaż do Łodzi. Byłem z nim i jego żoną zaprzyjaźniony. Ponieważ u niego wyżerali się hitlerowcy wszelkiej maści, więc jako *Volksdeutsch* ma u nich na pewno „chody". Nie myśląc długo, pewnego wieczora idę do niego. Przyjęli mnie jak zwykle bardzo gościnnie. Nie owijałem sprawy w bawełnę. Powiedziałem, że chciałbym dostać przepustki dla mnie, żony i dzieci do Warsza-

[234] Otworzyć!
[235] Zaciemnienie!
[236] Trzeba zapłacić mandat!

wy, ale, jak się dowiedziałem, Landratura w ogóle nie wydaje nikomu przepustek. Może pan mógłby nam w tym pomóc. Jako wynagrodzenie damy wspaniałe futro dla pani, a dla pana złoty kieszonkowy zegarek z łańcuszkiem. Nie czekając na moje słowa o futrze i zegarku, powiada: „Naturalnie, mogę się postarać o przepustki". „Na pewno?" – zapytałem. „Gwarantuję", odpowiedział. Podałem mu nasze dane personalne i prosiłem, aby przepustka dla mnie była na trzy miesiące z wielokrotnym przekroczeniem granicy, a dla żony tylko jednorazowe przekroczenie tam i z powrotem. „Kiedy mogę dowiedzieć się?" – pytam. „Dla pewności, proszę przyjść pojutrze" – powiada. Uradowany, biegnę do żony, aby podzielić się wiadomością. Wprawdzie „ptaszka" jeszcze nie mamy w ręku, ale nadzieja napełniła serca nasze. Dwa dni wyczekiwania były dla nas wiecznością.

Wreszcie wieczorem drugiego dnia zabraliśmy obiecane podarunki i razem z żoną znaleźliśmy się u rzeźnika. Żałuję, że nie mogę go nazywać nazwiskiem, bo nie pamiętam. Nie dał nam długo czekać. Zaraz po przywitaniu wręczył nam przepustki tak, jak sobie tego życzyłem. Myśmy wyjęli z opakowania cudowne futro, które pasowało jakby szyte na zamówienie oraz piękny, złoty, kosztowny zegarek kieszonkowy męski. Radość była po obu stronach. Dziękując serdecznie, pożegnaliśmy się z dobroczyńcami na zawsze. Teraz pozostała tylko sprawa wydostania się z Płońska.

Zapomniałem wspomnieć, że następnego dnia po wyjeździe żony z dziećmi, u Kucharzaków w Słoszewie zjawili się gestapowcy. Jeden z nich pokazuje Janowi Kucharzakowi moje zdjęcie i pyta: „Znasz go? Gdzie on jest?". Dziadek, głuchawy, włączył się w rozmowę, coś tłumacząc. Żandarm uderzył go w twarz. Rodzina poniekąd była z tego zadowolona, bo dziadek mógł wygadać niepotrzebne rzeczy. Zamilkł i nie odezwał się więcej. Mądrzejsi powiedzieli, że „wyjechali w niewiadomym kierunku". Żandarmi odjechali (a myśmy dwa tygodnie mieszkali tylko przez ścianę z powiatową komendą żandarmerii w Płońsku).

W przygotowaniach do wyjazdu pomagali nam Bomertowie, Henryk z Lusią, a przede wszystkim rodzina Kucharzaków. Dzielna Wikcia ostrzegła nas przed bratem Bomertowej, którego podejrzewa, że jest szpiclem, gdyż dopytuje się o nas. Radziła, abyśmy byli na baczności. Ustaliliśmy nasz wyjazd z Płońska na dzień 5 grudnia 1941 roku, wieczorem pociągiem do Torunia.

Wikcia faktycznie stwierdziła, że szwagier Adama Bomerta kręci się na dworcu. Aby pomylić szyki ewentualnym szpiegom, Wikcia z rodziną odprowadziła żonę z dziećmi, a ja w ukryciu czekałem na przyjście pociągu. Żona z dziećmi załadowała się do pociągu, a ja wskoczyłem do ostatniego wagonu dopiero, gdy pociąg ruszył. Z pociągu rzeczywiście zauważyłem szwagra Bomerta na stacji. Szczęśliwie zajechaliśmy do Torunia do Bińkowskich, u których byliśmy częstymi gośćmi. Zabawiliśmy u nich kilka dni. Znając procedurę kontroli celnej w Kutnie oraz przywileje kobiet z małymi dziećmi na kolei, opracowałem plan działania. W ciągu dwóch dni zakupiłem 15 kg kaszy manny, 15 kg cukru, wędzonego boczku, słoniny, kiełbas, masła, smalcu i nie pamiętam, co jeszcze. Do głębokiego wózeczka córeczki na spód włożyłem piętnaście kilogramów cukru, tyleż kaszy manny, na to dałem jedną pierzynę i poduszkę. Na to przyjdzie w dniu odjazdu córeczka, przykryta drugą pierzyną. Do dwóch dużych walizek zapakowałem wyroby mięsne, które poprzednio wymieniłem. Ponieważ walizki nie były nowe, więc zasznurowałem je grubym szpagatem. Chcąc do nich zajrzeć, potrzeba by dużo czasu. Wszystko obmyśliłem i przekalkulowałem.

Dnia 7 grudnia 1941 roku włożyliśmy małą Jadźkę do przygotowanego wózka i powtórzyłem żonie, jak ma się zachować w podróży: „Załadujemy ciebie i dzieci oraz wózek i walizki do pociągu. Pojedziesz beze mnie. W Kutnie czekaj na konduktora, który pomoże ci wyładować się i zadźwiga walizki do biura kontroli. Ty potoczysz wózek. Gdy staniesz przed celnikiem, zapyta cię: Co masz w walizkach. Spokojnym głosem, bez strachu wyrecytuj mu po kolei: »Wurst, Speck, Schmalz, Butter«[237]. Jestem pewny, że nie będzie rozsznurowywał walizek i cię przepuści. Do pociągu do Warszawy też ci pomogą się załadować. O to się nie martw. Tylko trzymaj się ściśle [zaleceń]. A ja przyjadę jutro". Muszę powiedzieć, że wózka i walizek trudno było udźwignąć.

Ja zostałem u Bińkowskich w Toruniu, polecając Bogu i Jego opiece moją Trójkę. Wieczorem przyszła do Bińkowskich dobrze mi znana z poprzednich bytności w Toruniu panna Zosia, łączniczka, kurierka Walki Zbrojnej, organizacji konspiracyjnej, i powiada, że „grunt pod nią się pali i musi nawiewać". „Jadę z panem" – powiada. „Ależ to jest niemożliwe, bo ja jadę legalnie. Jak pani chce się przedostać?". „Musi mnie pan przeszmuglować", zażartowała, ale dość poważnie. Ponieważ nie odstępowała od swego planu i zdecydowana jest ryzykować jazdę do Warszawy, więc pouczyłem ją, jak może w Kutnie próbować przejść przez kontrolę paszportową. Jeżeli będzie sprytna, to może się jej udać.

Dnia 8 grudnia 1941 roku pojechała panna Zosia do Kutna z zamiarem przedostania się do Warszawy. Drugim pociągiem pojechałem ja, tylko z teczką w ręku. Wysiadam w Kutnie, bo pociąg kończy bieg. Idę do kontroli celnej. Wszedłszy do baraku, po lewej stronie widzę siedzącą na ławce pannę Zosię. Sądziłem, że jest aresztowana, więc nie zbliżam się do niej. Porozumiewamy się wzrokiem. Po kontroli celnej inny urzędnik kontroluje paszporty, przepustki. Staję w kolejkę. Kontrolujący stoi w furtce bariery, dzielącej nas od drugiego pomieszczenia, do którego przejdziemy po zbadaniu dokumentów. Stojąc w kolejce, czuję, że ktoś ciśnie się do moich pleców. Obracam się, a to panna Zosia. Szeptem powiedziałem jej: „Uważaj dobrze, postaram się wywabić go z furtki". Zosia zrozumiała moje słowa, bo o tym mówiliśmy jeszcze w Toruniu. Gdy przyszła na mnie kolejka, stałem w pewnej odległości od furtki, grzebiąc w moich dokumentach. Siłą rzeczy kontrolujący podszedł do mnie. Furtka była wolna. Sprytna Zosia skorzystała z tej okazji i za plecami urzędnika znalazła się w przedziale już skontrolowanych. Moment ten zauważył jeden z celników, ale tylko się uśmiechnął i nic nie powiedział. Za chwilę wypuszczono nas do podstawionego pociągu, idącego do Warszawy. Dopiero w pociągu, będąc w przedziale sami, zaczęliśmy rozmawiać. Zwróciłem Zosi uwagę, aby przedwcześnie się nie cieszyła, bo może być dodatkowa kontrola w pociągu na granicy w Żychlinie. Jednak kontroli nie było. Szczęśliwie zajechaliśmy do Warszawy. Oboje cieszyliśmy się, że przeprawa się udała. Tam pożegnaliśmy się i ślad między nami zaginął na zawsze.

Po spotkaniu z żoną oświadczyła mi, że jazda jej z dziećmi i bagażem odbyła się dokładnie według mojej instrukcji. Oczywiście, celnik zrobił wielkie oczy, słysząc zestaw zakazanych artykułów, ale spojrzał na dzieci i zaniechał kontroli. Natomiast urzędnik paszportowy, widząc w przepustce tylko kilkudniową ważność, zapytał: „Czy zdąży pani wrócić?". Żona odpowiedziała, że odwozi dzieci do babci, bo chorują na koklusz i zaraz wraca.

Tak zakończyła się ucieczka z Płońska, z terenów przyłączonych do Rzeszy Niemieckiej, do Guberni Generalnej.

---

[237] Kiełbasa, słonina, smalec, masło.

102
Radość koło Warszawy

Szczęśliwie znaleźliśmy się w Guberni Generalnej, można by powiedzieć w „Polsce". W każdym razie okupowanej Polsce, gdzie Polacy oficjalnie pracują w urzędach, fabrykach i innych zakładach pracy. Gdzie kwitnie przede wszystkim „czarny rynek" i pokątny handel. Dla nas nowe środowisko, do którego musimy się przyzwyczaić i dopasować.

Przyjęci zostaliśmy przez rodzinę Ebingerów w Radości, skąd mieliśmy dojazd do Warszawy kolejką elektryczną lub „ciuchcią". Radość to miejscowość letniskowa, zamieszkała przez średnio zamożne społeczeństwo, w dużej części posiadające własne wille. Ebingerowie posiadali własną posesję z piętrowym domem przy ulicy Grottgera 50. Za zgodą Ebingerów zamieszkaliśmy razem z bratem Karolem, jego żoną, Wilhelminą, i najmłodszym synkiem, Januszem, na pierwszym piętrze. Razem z nami siedmioro osób. Trochę ciasno, ale tak na początek musi być.

Brat Karol z rodziną, krótko przed nami, sprowadził się z Czapkowa koło Mińska Mazowieckiego, gdzie ukrywał się przez dłuższy czas. Ponieważ brat ani bratowa nie zarabiali, więc cały ciężar utrzymania spadł na nas, ponieważ przyjechaliśmy z pewnym zasobem pieniędzy. I, co gorsze, obowiązki gotowania spadły na moją żonę, bo...

W Radości znaleźliśmy się w czasie, gdy armie hitlerowskie zajęły większą część Stalingradu. Społeczeństwo polskie z wielką uwagą obserwowało przebieg walk sił hitlerowskich na wszystkich frontach, prorokując im klęskę. Zauważyłem, że całe rzesze Polaków i Polek zajmują się handlem. Kobiety, objuczone ciężkimi torbami, bańkami z mlekiem z dalekich odległości dojeżdżają do Warszawy, aby zarobić na utrzymanie. Nie zważają na grożące łapanki i aresztowania. Handlowano, czym się tylko dało. Pomyślałem o sobie. Mając na utrzymaniu siedmioro osób i skromny kapitał, który topniał, z uwagi na drożyznę [potęgującą się] z dnia na dzień, nie mogłem spocząć na laurach. Trzeba i tutaj zahandlować. Już w pierwszych dniach pobytu w Guberni, w gronie znajomych, zainteresowałem się brylantami. Ale jak to jest w życiu: trzeba w każdej sprawie zdobyć doświadczenia i doznać „nauczki".

Zaraz na początku dałem się nabrać warszawskim kanciarzom, kupując brylant. Transakcja odbyła się w klatce schodowej przy ulicy Chmielnej obok dawnego Dworca Głównego. Najpierw pokazali mi piękny, prawdziwy brylant. Zgodziłem się, zapłaciłem. Przy wkładaniu brylanta do szkatułki zamienili, wkładając zwykłe „czeskie" szkiełko, dobrze imitujące prawdziwy brylant. Gdy poszedłem do fachowca, stwierdził, że zostałem oszukany. To pierwsza nauczka. Mając w ręku trzymiesięczną przepustkę z wielokrotnym przekroczeniem granicy, postanowiłem zahandlować brylantami, sprzedając je na terenach przyłączonych do Rzeszy, skąd uciekliśmy. Warszawski specjalista brylantów, dysponujący przyrządami do badania szlachetnych kamieni, pouczył mnie, jak rozpoznać brylanty, [przekonać się] co do ich prawdziwości i czystości (bez skaz, ze skazami, z węgielkami i innymi znakami). Zaopatrzył mnie w dobre szkło powiększające i miarkę do mierzenia wielkości (karatów) brylantów. Kupiłem u niego kilka pierścieni z brylantami i pojechałem do Torunia, zatrzymując się u Bińkowskich. Brylanty w mig sprzedałem. Niemcy chętnie kupowali. Zarobiłem nieźle. Kupiłem specjalne buty z szerokimi obcasami i grubymi zelówkami. Pojechałem do teściów do Czarnowa. Szwagier Janek był szewcem. Dałem Jan-

kowi buty do ręki i poprosiłem go, aby w obcasach wyżłobił wgłębienia. Pieniądze wymieniłem na banknoty dużej wartości. Janek włożył pieniądze w wyżłobienia i przybił spodnią skórę. Buty były gotowe do podróży. Powrót do domu był bez przeszkód.

W międzyczasie dowiedziałem się, że brylanty najtaniej kupuje się w Przemyślu. Tam Żydzi mieli jeszcze interesy w swoich rękach. Nie mając żadnego adresu, wszedłem do pierwszego lepszego jubilera. Okazało się, że trafiłem do bardzo uczciwego i solidnego Żyda. Zostałem fachowo pouczony i obsłużony. Nie zwlekałem z podróżą do Torunia. Znów zarobiłem. Znów wyjazd do Przemyśla po nowy zakup do tego samego jubilera. I tak kursowałem z brylantami do Torunia i Bydgoszczy, aż do końca lutego 1942 roku, do końca ważności mojej przepustki. Otwory w obcasach już nie mieściły zarobionych pieniędzy, więc Janek musiał i pod zelówkami wydrążyć schowek na banknoty.

Brylanty przewoziłem normalnie, nakładając je na palce, za każdym razem coraz bardziej wartościowe. Ostatnia wyprawa: mam osiemnaście wspaniałych pierścieni. Na każdym palcu po dwa pierścienie (poza kciukiem), jeden pierścień oczkiem do góry, drugi oczkiem w dół. Jadę, ale bardzo się denerwuję, bo mam jeszcze dwa pierścienie, które nie mieszczą się na palcach. Posłuchałem kogoś głupiego, aby na uspokojenie kupić paczkę papierosów. Zapaliłem jednego. Wstrętne, powiedziałem i nie paliłem. Im bliżej Kutna, tym bardziej się denerwowałem. Nie wiedziałem co zrobić z dwoma pierścieniami. Wychodząc z pociągu do kontroli celnej, wrzuciłem dwa pierścienie i miarkę do popielniczki, aby przy ewentualnej rewizji-kontroli, nie podpaść jako szmugler. Jakże musiała się ucieszyć sprzątaczka, znajdując taki skarb. Po szczęśliwej kontroli bardzo żałowałem, że to zrobiłem. Była to moja ostatnia podróż do Torunia, ponieważ moja przepustka straciła swoją ważność.

Z zakończenia moich podróży do Torunia najbardziej zadowolona i szczęśliwa była moja żona, bo bardzo przeżywała każdy mój wyjazd, bowiem na każdym miejscu czyhało niebezpieczeństwo. Żona mi radzi, abym zaniechał dalekich podróży za nielegalnym handlem, bo to jest niebezpieczne. Na to powstało poruszenie w domowym „kołchozie". Brat Karol przekonuje moją żonę, że „Edek musi handlować, bo z czego będziemy żyć?". Na to żona mu odpowiada: „A ty to nie możesz jeździć i handlować?". „Ja też nie chcę stracić męża" – dodaje. Nieporozumienie rodzinne skończyło się na tym, że w marcu czy kwietniu, za zgodą Ebingerów, wprowadziliśmy się do ich letniego domku w podwórku. Odtąd żyliśmy osobno: „Każdy sobie rzepkę skrobał". Sytuacja rodzinna była nieprzyjemna, ale Ebingerowie rozumieli nas, bowiem nie tylko Karol był w niebezpieczeństwie, lecz każdy Polak, każda Polka żyli w strachu pod tym samym hitlerowskim paragrafem. A mimo to, każdy, kto chciał żyć, ryzykując musiał sobie radzić, aby w ten czy inny sposób zarobić.

Tak Władka i Kostek, dorosłe dzieci z pierwszego małżeństwa Ebingera, pracowali. Z drugą żoną, Emilią, siostrą Karolowej, miał dwóch nieletnich synów. Też musieli sobie radzić. Siostra Karolowej, Bronka, niezamężna, handlowała bułkami. Brat Karolowej, Geniek, zahaczył się w tajnym szkolnictwie, mając na utrzymaniu syna Wieśka, mieszkając razem z siostrą Bronką. Ebingerowie wyzbyli się pamiątkowej złotej dwudziestozłotówki, którą kupiliśmy od nich. Jedyną pamiątką mojej żony z mego handlu brylantami był jeden jedyny brylant. Mieszkając osobno, od czasu do czasu jeździłem do Krakowa po papierosy, na których się zarabiało w Warszawie. Z Krakowa wracałem zawsze wieczorem, nocą. Dwie walizki kładłem na bagażniku nad drugą ławką i kładłem się niby spać. W razie kon-

troli powiedziałbym, że to nie są moje. Ale nigdy nie miałem kontroli. Jakoś Pan Bóg czuwał nade mną, bowiem zawsze kierowałem do Niego myśli moje.

Pewnego dnia powiada mój kolega z Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie, Rudolf Auch, że i on chciałby zarobić na papierosach. „To jedź ze mną" – powiadam. „Dobrze, pojadę!" – odpowiada. Pojechaliśmy. Zakupiliśmy papierosów, on do jednej walizki, ja do drugiej. Na stacji Rudek powiada: „Wiesz, Edek, ja się boję mieć walizkę przy sobie w pociągu, nadajmy lepiej jako bagaż". Musiałem mu ustąpić, choć wiedziałem, że to niedobrze. Nadaliśmy bagaż do Dworca Warszawa Wschodnia. Jedziemy. Obudziliśmy się krótko przed Warszawą. Za chwilę pociąg stanął w Warszawie Zachodniej. Jest rano. Ludzie wsiadają, wysiadają. Ruch wielki. Kolejarze ciągną wózki z bagażami. Wtem mówię do kolegi: „Rudek, patrz, patrz, wiozą nasze walizki! Co to ma znaczyć? Przecież nadaliśmy do Warszawy Wschodniej". Nie mylimy się, tak, to nasze walizki. „No, widzisz, Rudek, jak wyszliśmy, słuchając ciebie?". Stawiamy sobie pytanie: dlaczego wyładowali tutaj, a nie na Dworcu Wschodnim, przecież pociąg idzie do Wschodniego? Na to pytanie nikt nam nie odpowiada. W każdym razie jest coś podejrzanego.

Rudek przestraszony powiada: „Ja rezygnuję z mojej walizki. Nigdy po nią nie pójdę". Z kwaśną miną zajechaliśmy do Dworca Wschodniego. Przesiedliśmy się do kolejki elektrycznej. Rudek w kolejce powtórzył, że on swojej walizki nie będzie szukał, dodając: „Pierwsza próba, nigdy więcej". Wysiadłem w Radości, on pojechał do Świdra, gdzie mieszkał. Ja jakoś nie mogłem sobie darować takiej straty. Na drugi dzień, nie mówiąc nikomu nic, pojechałem do Warszawy. Najpierw wstąpiłem do bagażówki na Dworcu Wschodnim, aby stwierdzić, czy nadeszły nasze walizki. Niestety, ich nie było. Ponieważ nie byłem nowicjuszem w tych sprawach, nabrałem odwagi i jadę do Dworca Zachodniego. Przez barierę wchodzę do biura bagażówki. Zastaję jednego (stojącego) kolejarza w niemieckim mundurze i trzech cywilów, siedzących przy biurkach. Kolejarzowi podałem kwit, zapytując, czy czasami tutaj nie ma mojej walizki. Wziął i wyszedł, szukać walizki. Ja zostałem w biurze. Okazało się, że ci trzej przy biurkach to Polacy. Jeden z nich pyta mnie, co mam w walizce, która nadeszła uszkodzona. Powiadam prosto: papierosy. Na to ten sam powiada: „Radzę panu nawiewać, bo to śmierdzi". Zdążyłem tylko „dziękuję" powiedzieć i już mnie nie było w biurze. Kierując się do bariery po prawej stronie widzę, jak kolejarz, obrócony do mnie tyłem, w komórce szuka mojej walizki. Nie zauważył, jak wychodziłem. Przeszedłem cichaczem barierę i wtedy szybkim krokiem w tłum. Ślad za mną zaginął. A moją walizkę z papierosami spisałem na straty.

I tym razem Pan Bóg uchronił mnie przez „aniołów stróżów", siedzących przy biurkach, od wielkiego nieszczęścia. Dlatego tak bardzo wierzę w Boga i Jego Opatrzność.

Nie pamiętam, czy po tym wypadku jeszcze zahandlowałem papierosami. Wiem tylko, że ostatnią moją czynnością w tym okresie, mieszkając u Ebingerów, było piłowanie i rąbanie szczapów na opał, bo było jeszcze zimno.

103
Los działaczy mazurskich

Co działo się z działaczami Związku Mazurów w czasie, gdy przybyłem jako uciekinier do Guberni Generalnej? Można ogólnie powiedzieć, że wszyscy przycupnęli pod „miedzę", jak drżące ze strachu zajączki. Nie słyszałem, aby jako grupa działali. Każdy z osobna skrył się, chroniąc własnej skóry, aby nie była „wygarbowana" przez zbirów hitlerowskich, albo nie dostać się do pieca na mydło. Bo i takie wieści kursowały po polskiej ziemi, że hitlerowcy w obozach koncentracyjnych produkują mydło z ludzkich ciał. Strach był wielki, a każdy chciał żyć i doczekać się klęski Hitlera.

Prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, przeniósł się z Czapkowa, żył w ukryciu pod dachem szwagra Ebingera w Radości. Wraz z nim żona Wilhelmina i najmłodszy syn, Janusz. Starsi synowie, Ryszard i Leopold, znajdowali się w sierocińcu w Warszawie. Eugeniusz Piecha, szwagier Karola z synem, Wiesławem, mieszkali razem z jego siostrą, Bronisławą, w Radości, radząc sobie jak mogli.

Fryderyk (Jerzy) Burski utulił się w Puławach, pracując w kasynie jako kelner. Poczynał dość odważnie jak na te czasy.

Hermann Schmidt jako artysta-malarz ożenił się z Wacławą... z Paulinowa. Przeniósł się z Piotrowic do Paulinowa. Mieszkał przy teściowej. Zajmował się malarstwem, a fizycznie wyspecjalizował się na drwala. U bogatszego gospodarza karczował „karpy" – pnie: dwa dla gospodarza, jeden dla siebie. Stąd opału miał pod dostatkiem, ale jedzenia mizernie mało.

Jan Sczech obracał się w Częstochowie. Nie, nie! Nie w klasztorze na Jasnej Górze. U jakiś bogatych znajomych jako domowy nauczyciel. Chyba nie cierpiał głodu.

Fryderyk Późny, ożeniony z siedlecczanką, żył na wsi u teściów. Był właściwie obywatelem niemieckim, więc jako „Reichsdeutsch" mógł korzystać z dobrodziejstw, które stały do dyspozycji Niemcom. Ale wolał nie korzystać.

Walter Późny, brat Fryderyka, też jako obywatel niemiecki z powiatu Szczytno, ożeniony z lublinianką, mieszkał z żoną i córeczką Elżbietą w Warszawie. Działał w polskim ruchu oporu.

Gustaw Leyding zamelinował się w jakimś urzędzie w Siedlcach.

Fryderyk Leyk również w Siedlcach, pracując w ubezpieczalni społecznej.

Amalia Wallesch jako pielęgniarka, *Volksdeutsch,* mieszkała w Warszawie.

Kurt (Bohdan) Wilamowski wraz z teściami i żoną Bożeną obracali się gdzieś w Tarnowskiem.

Wilhelm Burski, były inspektor rolny w Działdowie, nie miał stałego miejsca zamieszkania.

Dr Kurt Obitz był już aresztowany, znajdował się w obozie koncentracyjnym. (Nie podaję tutaj żadnych pseudonimów, bo były mi wtedy nieznane.)

Każdy z tych działaczy we własnym środowisku działał w ruchu oporu różnych organizacji. Ale jako grupa działacze „Związku Mazurów" nie istnieli. Nie mieli grupowych spotkań, a to z uwagi na bezpieczeństwo każdego z nich. W tym czasie, lat 1941–1942, największą troską każdego było przede wszystkim materialnie przetrwać i nie wpaść w ręce hitlerowców.

104
Paulinów koło Nałęczowa

Współżycie z bratem i bratową po rozdzieleniu wspólnego „stołu" układało się dość chłodno. Atmosfera rodzinna była dość nieprzyjemna, krępująca. Zaproponowałem żonie przeprowadzkę w strony Nałęczowa, na przykład do Paulinowa, gdzie mieszka Schmidt. Tam spotykać będziemy też często Jerzego i Wilhelma Burskich. Bylibyśmy nie tacy sami. Żona zgodziła się, o ile znajdę tam mieszkanie. W tym czasie dysponowaliśmy jeszcze pewną gotówką. Pojechałem do Nałęczowa, stamtąd pieszo przez Piotrowice do Paulinowa. Schmidtowie, widząc mnie, ucieszyli się, a jeszcze bardziej, gdy powiedziałem, że chcemy się osiedlić w Paulinowie. Hermann bardzo się ucieszył naszą decyzją. Krótko myśląc, powiedział: „Już wiem, u kogo znajdziemy mieszkanie". Poszliśmy do wdowy, pani Cybulskiej, bogatszej gospodyni we wsi. Gospodarowała z córką i zięciem, Usarkiem. Młodzi mieli syna, Wieśka, w wieku naszego Robusia. Zauważyłem, że ani córka, ani Usarek nie mają tu nic do powiedzenia, tylko matka, pani Cybulska.

Dom pani Cybulskiej był dość obszerny. Z frontu i od ogrodu miał wejścia do dwóch sieni. Frontowa sień zamieniona była na komorę. Do domu wchodziło się z tyłu od ogrodu. Z sieni w lewo była kuchnia z płytą do gotowania i przy tym dobudowany piec z cegły, pobielany (jak i ściany) wapnem. Obok był „pański" pokój, ale bez pieca. W kuchni stało żelazne łóżko z siennikiem ze słomą i stół z desek pod oknem oraz dwa taborety. W „pańskim" pokoju był ładny stół i jakaś tam kanapa. Pogadaliśmy z panią Cybulską szczerze i otwarcie. Zgodziła się odstąpić nam właśnie tę część domu. Z sieni, po prawej stronie była bardzo duża kuchnia i duży pokój. Tu mieszkała cała rodzina Cybulskiej. Zapytałem: „Jak będzie z opałem?". Pani Cybulska powiedziała, że da drzewa do ścięcia według potrzeby, tylko sami musimy ściąć. Pani Cybulska posiadała duży ogród owocowy, z którego możemy dowolnie korzystać. Po drugiej stronie ulicy był jej staw rybny. Doszliśmy do ugody. Ile mieliśmy płacić, tego doprawdy nie pamiętam.

Przenocowałem u Schmidtów pod kocem, a Hermann nakrył się samodziałowymi chodnikami – „Lauframi". A jedliśmy jarzynową zupę bez mięsa. Z powyższymi wiadomościami wróciłem do domu. „No, to pakujemy się", mówi żona, niezrażona warunkami, w których będziemy żyli, bo może będą korzystniejsze od posiadanych. I teraz wózek dziecinny okazał się najlepszym środkiem transportowym. Załadowaliśmy do niego pierzyny i jedenastomiesięczną córeczkę, Jadźkę. Do dwóch walizek ubiory, bieliznę i trochę żywności. Pożegnaliśmy się z bratem, bratową i rodziną Ebingerów.

Był to początek maja 1942 roku. Wsiedliśmy w Radości do kolejki elektrycznej. W Warszawie Wschodniej przesiedliśmy się do pociągu lubelskiego. Wysiedliśmy w Nałęczowie. Tu czekał na nas pan Usarek, zięć pani Cybulskiej, z furmanką. Ze stacji Nałęczów do Paulinowa przez Piotrowice prowadziła polna droga. Wjeżdżając do Paulinowa, po prawej stronie był nieduży las, w którym Hermann Schmidt dokonywał wyrębu pni. U pani Cybulskiej wszyscy domownicy powitali nas serdecznie i pomogli nam się rozładować. Ulokowaliśmy się w kuchni. (Gdyby dzisiaj nasze dzieci widziały to nasze lokum, co by też powiedziały?) Ściany, piec i płyta do gotowania z cegły, wapnem bielone, podłoga z desek ze szparami. Na szczęście Robuś i Jadźka były małe, więc na pewno nie umiały ocenić sytuacji i warunków ówczesnych. Robuś chyba ucieszył się, że ma rówieśnika, Wieśka, duży

ogród i staw z rybami. Moja żona zajęła się sporządzaniem posiłku. Po rozpakowaniu się i odpoczynku, Hermann Schmidt zaprosił nas do swej rodziny, która mieszkała u państwa Jasińskich, mających syna Tadeusza i córkę Kazimierę (późniejszą żonę Fryderyka Jerzego Burskiego). Żona Schmidta miała kilka kuzynek. Jedna po drugiej zaczęły bawić maleńką Jadźkę. Jedna z nich miała chyba zaledwie 13 lat. Ta codziennie zabierała Jadźkę i bawiła ją. Ale dziewczęta huśtaniem tak znarowiły Jadźkę, że bez kołysania nie zasypiała. Czasami godzinami trzeba było ją kołysać, nim zasnęła. Ale tak musiało być.

Pierwszą rzeczą, którą musiałem się zająć, to zdobycie opału. Chwilowo korzystaliśmy z opału gospodyni. Pani Cybulska dała nam do wyrębu na miedzy rosnącą dużą lipę. Hermann jako „fachowiec" zaproponował mi swoją pomoc. Uzbroiliśmy się w siekiery, łom, piłę i dalej do dzieła. Oj, nie była to lekka robota. Dopiero przekonaliśmy się, jak bardzo rozgałęzione korzenie ma lipa. Dwa dni solidnie pociliśmy się, niż lipa*, z grubsza popiłowana, znalazła się na podwórku, przywieziona przez pana Usarka. Już tu, w domu miałem czas do rąbania. Gdy porąbałem lipę i drzewo ułożyłem w stodole, pani Cybulska dała nam do wyrębu ogromny kasztan, rosnący na podwórku. (Drzew na posesji pani Cybulskiej było dużo.) Z kasztanem dałem sam sobie radę. Z porąbanej lipy i kasztanu mieliśmy opału na długi czas. Z opału tego zrobiłem w stodole nawet kryjówkę na wypadek zjawienia się żandarmerii. Wejście do kryjówki było zamaskowane. Było też rezerwowe wyjście, gdyby podpalono stodołę. Ze wszystkim trzeba było się liczyć.

Lato było piękne. Pierwsze w ogrodzie były maliny, porzeczki, potem czereśnie, wiśnie, później jabłka...

Wszyscy wiedzieli, że jestem z zawodu nauczycielem, a dzieci nie chodzą do szkoły, więc pani Usarkowa zaproponowała, abym uczył dzieci. Ale tych dzieci w wieku szkolnym w Paulinowie, razem z naszym Robertem, było „aż" troje. Mimo to, podjąłem naukę. Dobrze się składało, że wszystkie troje były w jednym wieku: Robert i Wiesław Usarek – sześć lat, Marta, córka od sąsiadki – siedem lat, zdolna dziewczynka. Mieszkając w Paulinowie, od czasu do czasu jeździłem do Warszawy. Mając niemiecką książeczkę wojskową, korzystałem z wagonów „Nur für Deutsche"[238]. Miałem okazję widzieć, jak Niemcy w Dęblinie robili kontrole, łapanki, czasami kazali wszystkim wysiąść z „polskich" wagonów i wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, wywieźli do obozu w Majdanku-Lublinie.

Pewnego razu wybrała się żona z bratem Bernardem do Warszawy. [W międzyczasie Bernard uciekł z Fordonu, przez Słoszewo (Kucharzaków) do Guberni Generalnej, pracował na Ukrainie w niemieckiej firmie budowy dróg.] Bernard, mając delegację służbową, jechał do Warszawy celem zakupu sprzętu dla swojej firmy. Przy okazji odwiedził nas. Żona i Bernard wykupili w Nałęczowie bilety i czekają z gromadą handlarek i kilkunastu mężczyzn na pociąg. Czekali dość długo. Siedzą na ławce i rozmawiają z kobietami. Nagle moja żona wstaje i powiada: „Bernard, ja nie jadę". „Co ci się stało?". „Dlaczego nie chcesz jechać?". „Mam złe przeczucie, nie jadę". „Przecież mamy już bilety, to pojedziemy". „To nic, że mamy bilety, ty możesz jechać, ale ja nie jadę i daj mi spokój". „Co, pani ma złe przeczucie?" – pytają inne kobiety. „Tak, mam złe przeczucie" – powiada żona. „To i ja nie jadę" – mówi jedna. „To i ja nie jadę" – mówi druga, trzecia...

Nadszedł pociąg, Bernard wsiadł i większość ludzi wsiadła, tylko kilka kobiet z żoną nie wsiadły i rozeszły się do domów. Zdziwiłem się tak szybkim powrotem żony. Ale zaw-

* „Niż lipa..." – tu: w znaczeniu „zanim lipa"... – Red.
238 Tylko dla Niemców.

sze podziwiałem żonę, gdy miała złe przeczucia. Na drugi dzień wrócił Bernard i opowiada: w Dęblinie cały dworzec i perony były obstawione żandarmerią z psami. Gdy pociąg stanął, krzykiem, rykiem wypędzili wszystkich podróżnych z polskich wagonów. Wysiadł też i Bernard. Ale zorientował się, że jest źle, umiejąc po niemiecku, z akcentem niemieckim, wyjął swoją delegację, podszedł do „ważniejszego" żandarma i wytłumaczył, że ma zadanie dla niemieckiej firmy. Żandarm przeczytał i kazał mu wsiąść do pociągu. Tylko on jedyny z Polaków pojechał do Warszawy, reszta, co do jednego, powędrowała do Majdanka w Lublinie. Jakże szczęśliwą poczuła się żona i ja z dziećmi. Jak Bóg czuwał nad nami. Na pewno i te kobiety, które nie pojechały, dziękowały Bogu, że były powstrzymane przez moją żonę od nieszczęścia.

Pewnego pięknego, gorącego, sierpniowego dnia wracam z Warszawy i z Radości, czekając w Otwocku na pociąg do Lublina. Pociąg był podstawiony, ale do odejścia było jeszcze sporo czasu. Słońce grzało, otworzyłem drzwi wagonu „Nur für Deutsche", usiadłem w wagonie nie zamykając drzwi, czytam gazety, bez których nigdy nie jeździłem. Wtem podchodzi patrol, dwóch żandarmów: „Bitte Papiere!"[239]. Wyjąłem niemiecką książeczkę wojskową i podałem. Żandarm wziął książeczkę do ręki, czyta, spojrzał na mnie i powiada: „Na, hier sehen sie anders aus"[240]. „Na, ja, damals war ich etwas jünger"[241] – odpowiedziałem. Grzecznie oddał mi dokument, mówiąc „Gut!"[242]. Gut, Gut, pomyślałem sobie, ale mogło też być gorzej. „Na złodzieju czapka gorze". Tak ja się wtedy czułem. Przecież z przypadku, z woli pana Thiede byłem Niemcem, a ponieważ uciekłem, więc jestem też „przypadkowym" dezerterem. Bo któż to wie, ile razy mogłem dostawać we Włocławku wezwania na ćwiczenia, czy też na wojnę? Nie próbowałem tego sprawdzać. Gdy wróciłem do domu i opowiedziałem o tym żonie, żona zareagowała słowami: „Odtąd nigdy nie puszczę cię do Warszawy". Po prostu areszt domowy. Z dnia na dzień upływało życie w Paulinowie. Często spotykaliśmy się z Schmidtami, gospodarzami i mieszkańcami wsi. Od czasu do czasu gościliśmy Jerzego i Wilhelma Burskich. A Robuś miał rozrywkę z dziećmi, choć był wśród nich najmłodszy. Często chodziliśmy nad staw, obserwując pluskające karpie.

Za naukę dwojga dzieci dostawałem chleb, na zmianę, raz od matki Wieśka, Usarkowej, a właściwie od pani Cybulskiej, drugim razem od matki Marty. W Paulinowie był zwyczaj, że kilka rodzin na zmianę piekły chleb. W ten sposób zaoszczędzano sobie na czasie. Raz na tydzień dokonywano wypieku. Chleb był razowy i był właściwie rarytasem. Przeważnie gotowano różne barszcze.

Raz żona zaproponowała Cybulskiej wyręczyć ją w wypieku chleba. Cybulska się zgodziła. Żona wyrobiła ciasto według własnej sztuki. Chleb był pulchny, nie taki ścisły i bardzo smaczny. Gospodarzom i nam smakował wyśmienicie. Po zjedzeniu chleba żona pyta Cybulskiej: „Czy mogę Pani znów upiec chleb?". „O, nie, nie, w żadnym wypadku, nigdy więcej!" – odpowiada pani Cybulska. Żona zawstydzona, pyta: „A co, chleb mego wypieku nie był dobry, nie smakował?". „O, tak, tak, nawet za dobrze smakował, ale cóż z tego, kiedy zjedliśmy go w ciągu trzech dni, a miał starczyć na cały tydzień. Nie, nie, kochana pani, my takiego chleba piec nie możemy, bo zboża starczyłoby nam zaledwie na pół roku, zamiast na cały rok" – wyjaśniła sprawę pani Cybulska. Na wsi, na przednówku,

[239] Proszę dokumenty.
[240] Ale tu Pan inaczej wygląda.
[241] No cóż, wtedy byłem trochę młodszy.
[242] Dobrze.

u wielu rodzin chleba się prawie nie jadło. Przez całe lato aż do października mieliśmy owoców z sadu pani Cybulskiej pod dostatkiem. Zrobiliśmy dużo zapraw, szczególnie przecierów z jabłek, przechowywanych w piwniczce wykopanej obok domu, nakrytej słomianym daszkiem. Schodziło się po krótkiej drabince. Przeważnie Robuś przynosił odpowiedni słoik. Dziwiłem się, że Robuś nie bał się ciemności, nawet późnym wieczorem, bez światła, wchodził do piwniczki. Nie przestraszył się nawet, gdy zamiast słoika chwycił za ropuchę. Ja w moim dzieciństwie bałem się ciemności, a to na skutek słuchania różnych bajek o duchach, strachach, czarownicach, diabłach i szpukach.

Zbliża się jesień. Jest wrzesień. Myślimy z żoną, jak tu zaopatrzyć się w ziemniaki na zimę. Od kilku dni są w Paulinowie Burscy, Fryderyk i Wilhelm. Od Schmidtów dowiadujemy się, że gospodarz Komsta potrzebuje ludzi do kopania kartofli. Ucieszyliśmy się, a Burscy chcą mi pomóc. Idziemy na ugodę. Zauważyliśmy, że Komsta powątpiewał w nasze umiejętności. Z pewnością pomyślał: „Takie inteligenty, co z nich będzie za pociecha?". Zapewniliśmy go, że przecież jesteśmy ze wsi, synowie rolników, znamy robotę. Zgodził się. Poszliśmy razem na pole obejrzeć robotę. Był dość duży obszar kartofli. Dokładnie przez środek przebiegała dróżka. Umówiliśmy się, że my trzech „budrysów" weźmiemy jedną połowę, gospodarze drugą. Pani Komstowa zapewniła nas, że dostaniemy obiad. To nas tym bardziej zachęciło. Komsta zapowiedział, że jutro od rana razem rozpoczynamy kopać: nas trzech i od gospodarza troje. Przygotowaliśmy odpowiednie motyki i raniutko byliśmy na polu. Na szczęście dopisała piękna, słoneczna pogoda. Grupa Komsty rozpoczęła kopać od domostwa, a my od dróżki. Każdy z nas wziął trzy redliny naraz. Ziemniaki miały jeszcze dość żywą, mocną nać. A więc jedną ręką brało się za nać, drugą mocno motyką w ziemię tak, aby objąć całe gniazdo kartofli. Ponieważ gleba była bardzo gliniasta, twarda, więc ziemniaki mieściły się w kupce, w miękkiej ziemi. A zatem za każdym uderzeniem motyką całe gniazdo ziemniaków było na wierzchu i do kosza. Mało kiedy potrzeba było dołek powtórzyć. I tak szła robota bardzo sprawnie i szybko. Od czasu do czasu zerkaliśmy okiem, kto szybciej kopie, my czy grupa Komsty. Wnet okazało się, że my przodujemy. Robota szła nam od ręki, bo przecież byliśmy wypoczęci i młodzi, nie spracowani. W południe Komsta woła nas na obiad. Co było więcej na obiad, tego nie pamiętam, ale każdy dostał dość dużą miskę makaronu z makiem na słodko. Jakże nam to smakowało. Jeszcze dziś czuję ten smak. Nakluskowaliśmy się aż po szyję, jak gąski.

Po obiedzie dalej do roboty. Ubrani byliśmy po sportowemu, tylko w spodenkach, bez koszuli, bo było ciepło jak w lato. Z Jurkiem patrzymy na „Lewonika" (Wilhelma Burskiego): żołądek jego, napełniony makaronem, wypchnięty jak bochenek chleba. Tego u nas nie było widać. Pracowaliśmy aż do zmierzchu. Wieczorem do domu na godny odpoczynek. Na drugi i trzeci dzień robota szła dalej. Wprawdzie odczuwaliśmy bóle w krzyżu, zwłaszcza drugiego dnia, ale jak żeśmy się rozruszali, bóle ustępowały. Kluski z makaronem bardzo nas mobilizowały. Trzeciego dnia przed zachodem słońca skończyliśmy naszą robotę. Grupę Komsty odstawiliśmy daleko w tył. Mieli jeszcze sporo do wykopania. Komsta zaprosił nas na jutro na dobrą kolację i na rozrachunek. A jakże, zjawiliśmy się punktualnie. Nie pamiętam, co było na kolację, ale była to kolacja mięsna, do tego rozmaite dodatki. W czasie ucztowania Komsta powiada: „Wiecie panowie, muszę was pochwalić. Jestem z waszej roboty bardzo zadowolony. Muszę przyznać, patrząc na wasze »wyścigi«, pomyślałem, że połowę ziemniaków zostawicie w ziemi. Dziś przeszedłem kultywatorem i bronami i uzbierałem zaledwie jeden kosz kartofli. Tak dobrych kopaczy jeszcze nie miałem". Pochwała połechtała nas po ser-

duszku, bo i my byliśmy zadowoleni. Jutro każdy z nas dostał zapłatę w formie umówionej ilości ziemniaków, które starczyły aż do nowych. To był nie lada wyczyn.

Pod wieczór październikowego dnia 1942 roku z dala słyszymy jakieś krzyki, dochodzące od strony pola. W obawie, z ukrycia, wypatrujemy, co to może być. Wreszcie widzimy: drogą polną żandarmi pędzą grupę ludzi, popędzanych krzykami i szturchańcami karabinów. Okazało się, że wyłapali ukrywających się Żydów. Były to przeważnie kobiety z dziećmi w różnym wieku, zapłakani, zmaltretowani, ledwo wlokący się ze zmęczenia. Popędzili ich przez Paulinów, w kierunku Piotrowic i stacji kolejowej Nałęczów. Bardzo dziwiłem się, że mieszkańcy Paulinowa nie objawiali żadnego współczucia, obojętnie patrząc na cierpiących. Ogólnie można powiedzieć, że Polacy nienawidzili Żydów.

Aby przetrwać zimę, mieszkańcy wsi wzięli się za ogacanie domów. Tak też i my, ja, żona z Robusiem zrobiliśmy rusztowanie naokoło naszych ścian od zewnątrz. Zbieraliśmy liście i upychaliśmy między rusztowaniem a ścianą. W tak ogaconym domu było cieplej i przyjemniej spędzić zimę. Ale, nie daj Bóg, gdyby tak ktoś złośliwie lub nieopatrznie rzucił niedopałek papierosa. Oj, gogałoby![243] Wtedy, kto wie, czy ktokolwiek uszedłby „z duszą na suso"[244]. Ale o tym jakoś nikt nie myślał, ogacając chałupę.

Pewnej nocy, na początku grudnia, straszna strzelanina zerwała nas z łóżek. Prędko ubieramy się do ucieczki, bo myślimy, że żandarmeria toczy walkę z partyzantką. Strzelanina trwa kilka godzin za lasem. Nikt nie może nam powiedzieć, co się dzieje. Powoli uspakajaliśmy się, bo strzelanina oddalała się od nas. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, że była to walka między dwiema partyzantkami: Partyzantka BCH (Bataliony Chłopskie) przeganiała partyzantkę żydowską. Partyzantka żydowska z zasady nie napadała, ale broniła się, gdy była napadnięta. Wszystkie organizacje polskie działające w konspiracji nienawidziły Żydów. Nie dowiedzieliśmy się, czy byli zabici. Chyba raczej nie, bo jak można trafić w ciemności. Aczkolwiek przysłowie mówi: człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. A więc przypadek może być.

Nadszedł okres Adwentu 1942 roku. Myślano o Świętach, nazywanych w Polsce katolickiej świętami Bożego Narodzenia, gdy tymczasem zgodnie z Pismem Świętym jest to święto Narodzenia Jezusa Chrystusa. Dla nas „przesiedleńców" (tak nas w Paulinowie nazywano) święta nie zapowiadały się bogato. Jednak zdobyliśmy się na to, że kupiliśmy od sąsiadów ładną, dużą gęś. Urządziliśmy jej kojec w rogu kuchni, przy piecu kuchennym. Tak więc gęś mieszkała i spała z nami razem w kuchni. Było trochę smrodno, ale wyobraźnia pieczeni i czarniny niwelowała zapaszek gęsi. Aby zapach był znośniejszy, codziennie czyściliśmy kojec. Przez dziesięć dni karmiliśmy, kluskowaliśmy gąskę specjalnie przyrządzonymi kluskami z owsa, osypki i trochę kartofli. Dwa razy po dziesięć klusków wkładano jej do gardła. Wody dostawała niewiele. W ten sposób tuczono gęsi, aby dały jak najwięcej tłuszczu, smalcu. Dwa, trzy dni przed zarżnięciem karmiona była normalnie.

W ten sposób mieliśmy na Święta pieczeń, czarninę i sporo smalcu. Czuliśmy się szczęśliwi. Mieszkanie ochędożyliśmy. Żona wyszorowała podłogę w kuchni do białości. Ja wymieniłem słomę w sienniku na świeżą. Gdy wynosiłem siennik na dwór, żona zajrzała do łóżka, by stwierdzić, czy są ukryte w tajemnicy przez nią brylant i złota dwudziestozłotówka. Niestety, ani brylantu, ani złotówki nie było. Poszukiwania nie dały wyniku. O tych skarbach nic nie wiedziałem, bo byłbym znalazł odpowiedniejszy schowek. Łóżko było że-

[243] Oj, gorzałoby.
[244] Z duszą na sucho.

lazne, wyłożone deskami. Można przypuszczać, że przy poruszaniu łóżkiem, brylant i złotówka po prostu wypadły i przy zamiataniu znalazły się w śmieciach lub prawdopodobniej dostały się przez szpary pod podłogę i dotąd mogą tam leżeć, bo podłogi żeśmy nie odrywali i o zgubie nie mówiliśmy nikomu. Żona szczególnie żałowała, bo to były jedyne pamiątki z okresu, gdy nam się dobrze powodziło. Stratę trzeba było przeboleć. Na pocieszenie przypomniałem słowa Asnyka: „Ból swój niebu trza polecić, a samemu wciąż wytrwale trzeba naprzód iść i ...świecić".

Dwa dni przed Wigilią pani Cybulska spuściła wodę w stawie i wyłowiła wszystkie karpie, przechowując w beczkach w komórce. Z narybku wiosną wrzuconego do stawu karpie urosły przez niespełna rok czasu do wagi około dwóch kilogramów. Pani Cybulska cieszyła się, że ze sprzedaży karpi zbierze sporo grosza.

Dzień przed Wigilią w nocy obudziło nas strasznie głośne dobijanie się do drzwi wejściowych. Wyskoczyliśmy z łóżek. Z obu stron domu widzimy światła lamp kieszonkowych, które oświetlają naszą chałupę. Ukradkiem stwierdzamy, że nasz dom jest otoczony. Ale kim, przez kogo? Przez ścianę słyszymy kilka męskich głosów w mieszkaniu gospodyni. Za chwilę przez drzwi słyszymy głosy mężczyzn w komorze i plusk wody w beczkach. Słyszymy też głos pani Cybulskiej: „Ależ panowie, nie zabierajcie wszystkich ryb". Z tych słów domyśliliśmy się, że złodzieje okradają panią Cybulską. Gdy złodzieje zniknęli, poszliśmy do gospodyni. Zastaliśmy wszystkich we łzach. Pani Cybulska, szlochając, powiada: „Partyzanci zabrali nam wszystkie ryby. Jak weszli, pytali się, kto mieszka po drugiej stronie. Powiedziałam, że to są przesiedleńcy". Partyzanci do nas nie weszli. Gospodyni z rodziną mieli bardzo smutne święta. Stracili całoroczny dochód. Współczuliśmy im bardzo. Takie były wtedy stosunki współżycia ludzkiego. Partyzanci, ludzie żyjący w lasach, utrzymywali się z rabunków.

Święta „Bożego Narodzenia" 1942 roku i Nowy Rok 1943 przeżyliśmy zdrowo przy zapachu pieczonej gęsiny, spotykając się z przyjaciółmi: Schmidtami i Burskimi.

Nowy rok 1943 zapowiadał się jeszcze bardziej skromny i biedniejszy. Nasze skromne zapasy się kończyły. Zagubiona złota dwudziestozłotówka i brylant, sprzedając, dałyby nam pewną małą odskocznię. Nie pozostało nic innego, jak wziąć się na nowo za handel. Ponieważ żona bała się, abym ja jeździł do Warszawy, więc ona przejęła tę funkcję. Na wsi kupowała produkty nabiałowe, sprzedawała je w Warszawie, narażając się stale na „łapanki". W Warszawie kupowała różne towary, sprzedając je na wsi, za każdym razem kupując czy sprzedając robiła do dwudziestu kilometrów. Mozolna to była robota i mało popłatna, zapewniająca mizerną egzystencję.

105
Dowody osobiste

Jesteśmy w Guberni Generalnej już przeszło rok i wciąż jeszcze niemeldowani i bez dowodów osobistych. Pod tym względem byliśmy w GG[245] chyba wyjątkiem, gdyż osoby

[245] General Gouvernement – Generalna Gubernia.

nieposiadające dowodu były podejrzane i mogły być aresztowane w każdej chwili. Ze względu na osobiste bezpieczeństwo, za radą mojej żony zrezygnowałem z korzystania z niemieckiej książeczki wojskowej. Wobec tego trzeba było pomyśleć o zdobyciu dowodów osobistych. Chcąc otrzymać dowody osobiste, potrzebne były metryki urodzenia, a takich myśmy nie mieli. Po drugie, dowody nie mogły być wystawione na nasze nazwiska. A więc trzeba zdobyć metryki osób z „cmentarza", nieboszczyków. Po trzecie, chodziło o to, aby nasze „lipne" dowody nie figurowały w rejestrach meldunkowych w gminie. Organizacje konspiracyjne ułatwiały i pomagały w tych sprawach.

Zwróciłem się do mego kolegi, Rudolfa Aucha, w tej sprawie. Po dłuższym czasie dostarczył nam, ale tylko metryki urodzenia, bez metryki ślubnej. Tak więc byliśmy małżeństwem nieślubnym: żona nazywała się Anastazja Mordzińska, urodzona siódmego kwietnia 1906 roku w miejscowości Zwoleń, powiat Kozienice, województwo Radom; ja, Stanisław Łopatowski, urodzony siedemnastego marca 1906 roku we wsi Szeligi, powiat Płock. Oboje wyznania katolickiego.

Dowód osobisty Stanisława Łopatowskiego (właśc. Edwarda Małłka) – Red.

W Sylwestra, 31 grudnia 1942 roku, udaliśmy się z żoną w towarzystwie męża zaufania Batalionów Chłopskich, sąsiada z Paulinowa do Nałęczowa, w godzinach, gdy w gminie już nikogo nie było. Wtajemniczona urzędniczka, biorąc „nasze" metryki, wygotowała „Kennkarty" z naszymi zdjęciami i odciskami lewego i prawego wskazującego palca. I tyle było formalności. Dziękując urzędniczce, opuściliśmy gminę. Muszę podkreślić, że za jakiekolwiek kombinacje papierkowe Polacy nie brali żadnych „łapówek". Jeden drugiemu pomagał w czym tylko mógł. A więc z dniem 31 grudnia 1942 roku byliśmy zameldowani w Nałęczowie, województwo lubelskie, jako panna i kawaler.

106
Ostatnie miesiące w Paulinowie

Klęska wojsk hitlerowskich pod Stalingradem wstrząsnęła całym światem. Bitwa toczyła się od 17 lipca 1942 roku do 2 lutego 1943 roku. Setki tysięcy Niemców straciło życie. Około sto tysięcy dostało się do niewoli. Generał Paulus skapitulował dnia 31 stycznia, a generał Seydlitz dnia 2 lutego 1943 roku. Ich armie przestały istnieć. My i całe społeczeństwo polskie zaczęło żyć nadzieją bliskiego końca wojny. Wzmogła się w Polsce walka przeciwko wrogowi: wysadzano pociągi idące z amunicją, uzbrojeniem, zaopatrzeniem na wschód. Okradano pociągi z artykułami żywnościowymi i umundurowaniem. Organizacje konspiracyjne zaczęły się uzbrajać w broń, zdobywaną przez napady na pociągi. W fabrykach przemysłu zbrojeniowego starano się opóźniać produkcję. Hasłem w zakładach pracy (w fabrykach) było: „kraść, co się da!". O tej akcji przekonałem się osobiście pół roku później, pracując w fabryce Gerlacha w Warszawie przy ul. Tamka. Zima i wiosna 1943 roku była okresem ciężkiej pracy mojej żony, która nie chcąc narażać mnie na niebezpieczeństwo, sama przejęła walkę o byt, handlując, jeżdżąc do Warszawy.

Smutnym i groźnym wydarzeniem była moja nagła choroba. Przypuszczalnie w styczniu 1943 roku, pod wieczór dostałem bardzo silnych bólów w okolicy „ślepej kiszki" – wyrostka robaczkowego. Boleści nie ustępowały. Zbiegli się sąsiedzi. Radzono: „Co tu robić?". Jest podejrzenie o ostre zapalenie ślepej kiszki. Konieczna operacja. Ale cały sęk w tym, że nie mogę udać się do szpitala, bo boję się, aby hitlerowcy nie weszli na mój trop, gdyż byłem poszukiwany. Sąsiedzi powiadają: „W Nałęczowie znamy dobrego chirurga, Polaka". Pan Usarek, nie czekając na moją prośbę, szybko zaprzągł konie i kłusem pojechał po lekarza. Przyjechał lekarz w wieku około czterdziestki, przystojny, bardzo uprzejmy. Po krótkiej rozmowie i badaniu stwierdził ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Po zbadaniu oświadczył: „Ponieważ, jak się zorientowałem, nie mogę pana zabrać do szpitala, więc polecam zastosować następujące środki: zimny okład na pachwinę i pić dużo, choćby dziewięć litrów, przegotowanej, ostudzonej, zdatnej do picia duszkiem wody. Jeżeli boleści nie przejdą do rana, proszę przyjechać po mnie. Przyjadę i tu na miejscu dokonam operacji. Poza tym, daję ogólną radę: w wypadku bólów żołądka, wątroby, nerek, ślepej kiszki, pierwszą rzeczą jest pić dużo przegotowanej wody". Zapłaty lekarz nie wziął. Ja z żoną bardzo serdecznie podziękowaliśmy za bezinteresowną fatygę i pomoc. Przez całą noc piłem wodę. Chyba wypiłem pełne wiadro. Bóle powoli ustępowały, a nad ranem cał-

kiem ustały. Obyło się bez operacji. Była to wspaniała rada lekarska picia wody, z której kilka razy korzystałem w moim życiu.

W Święta Wielkiejnocy wydarzeniem o charakterze obyczajowym był dyngus. Idąc do studni po wodę, niczego nieprzyjemnego się nie spodziewając, nagle, znienacka zostałem oblany dwoma wiadrami wody i znów dwoma powtórzono. Zmoczony zostałem do ostatniej nitki. Kto to zrobił? Byłem ciekawy. Sprawczynie, dwie sąsiadki, Kisielewska i matka Marty, uczennice, śmiejąc się uciekają zadowolone z udanego dyngusa.

Coraz częściej spotykaliśmy się z Schmidtami i Burskimi, zastanawiając się nad sytuacją, która może wkrótce nastąpić: co robić, gdy Hitler nadal będzie przegrywał i front zbliży się do nas? Rozmyślając o tym, nie można było zapominać, że każdy dzień przynosił swoje troski i starania, aby przeżyć. A to stawało się coraz trudniejsze. Na działalność polskiego podziemia i hitlerowcy wzmogli swój terror. Coraz częstsze łapanki, częste rozstrzeliwania. O tym piszę tylko ubocznie, gdyż piszę o sobie i mojej rodzinie, a nie o ogólnych wydarzeniach wojennych, które posiadają szeroką publikację. O ile pamiętam, byliśmy zdecydowani pozostać w Paulinowie aż do zakończenia wojny. Bo do tego namawiali nas Schmidt i Jerzy Burski, którzy zdecydowanie oświadczyli, że oni zostaną w Paulinowie. Tak też o niczym nie myśleliśmy, tylko aby przetrwać, aby wytrzymać. Panu Bogu polecaliśmy nasz los, krzątając się nad zdobyciem codziennego chleba.

Nieoczekiwanie, w dniu moich urodzin, 16 maja 1943 roku przyjeżdża do nas mój brat, Karol, ze swoim szwagrem, Eugeniuszem Piechą. Zdziwiłem się, że zdobyli się na tyle odwagi, aby zaryzykować podróż z Warszawy do Nałęczowa i do nas. Jakież też nowości nam przynoszą? – jesteśmy ciekawi. Karol powiada, że nadszedł czas, abyśmy i my, Mazurzy, wszczęli intensywną działalność, przygotowując się do powrotu na Ojczyste Ziemie. Wezwał nas, „lubelszczaków", do przeniesienia się do Warszawy, byśmy byli razem, przygotowując programy działania na przyszłość, gdy znajdziemy się na Mazurach, Prusach Wschodnich. Rozwinęła się dłuższa dyskusja, zakończona ogólnym zrozumieniem, że powinniśmy coś działać. Ale z czego żyć? Gdzie mieszkać, przenosząc się z Paulinowa? Prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, w odpowiedzi na te pytania przedstawił następujące możliwości: w międzyczasie poznał inżyniera Bronisława Bukowskiego, pochodzącego z Gdańska, który reprezentuje Kaszuby. Ten zapewnia każdemu Mazurowi 500 złotych, ale w każdym razie była to pewna suma, lepsza niż nic.

Reakcja Schmidta była negatywna. Powiedział, mając żonę i dwuletniego synka, tak długo, jak długo trwać będzie wojna, on z Paulinowa się nie ruszy. Jerzy Burski, sympatyzujący z Kazią Jasińską z Paulinowa, też nie wyraził ochoty do przeprowadzki. Uważał, że w Paulinowie jest bezpieczniej. Może i prawda, ale aby działać, trzeba mieć kontakty z przedstawicielami innych ugrupowań politycznych, konspiracyjnych, stojących w kontakcie z Rządem RP w Londynie. Chodzi też o poznanie ich programów. Schmidt i Burski podchodzili do tej sprawy, mając na myśli własne bezpieczeństwo, aczkolwiek byli zdecydowani, jak się wojna skończy, powędrują w ojczyste strony na Mazury. Karol i Geniek czekali na moją odpowiedź. Zależało im bardzo na tym, abym przyłączył się do nich. Powiedzieli mi, że mają na oku mieszkanie w Radości blisko lasu.

Wiadomo, duchowo żyłem ideą autonomii Mazur – Prus Wschodnich i w czasie okupacji nie należałem do „tchórzy". W dodatku z Paulinowem się nie ożeniłem. Ponieważ i żona miała dość tak ciężkiego i niebezpiecznego handlu, więc też nie miała nic przeciwko temu, aby opuścić Paulinów, tym bardziej, że Karol powiedział, abyśmy zapomnieli o nie-

porozumieniu, które mieliśmy w Radości. Karol i Geniek ucieszyli się naszą zgodą na przeprowadzkę.

W sprawie mazurskiej Karol ogólnie powiedział, aby po klęsce Hitlera, ktokolwiek z nas znajdzie się w pobliżu rządu polskiego, żeby natychmiast nawiązał kontakt i stanął w obronie ludu mazurskiego Prus Wschodnich. Na tym zakończyliśmy pierwsze spotkanie członków Związku Mazurów w Paulinowie.

Dowód osobisty Anastazji Mordzińskiej (właśc. żony Edwarda Małłka) – Red.

107
Ponownie w Radości koło Warszawy

Jak Cygany zwinęliśmy nasze manatki, podziękowaliśmy gospodarzom, pani Cybulskiej i Usarkom za wszelkie dobrodziejstwa. Pożegnaliśmy się z nimi i z wszystkimi znajomymi. Ruszyliśmy furmanką pana Usarka do stacji Nałęczów. Ale nim wyszliśmy

z mieszkania, spaliłem moją niemiecką „tożsamość" – książeczkę wojskową, aby przypadkiem nie być nakrytym jako niemiecki dezerter. Dziś można tego dokumentu żałować, bo byłby dowodem, jak człowiek wówczas ryzykował i kombinował, aby żyć. Mieszkańcy Paulinowa byli tego zdania, że ja to na pewno jestem Polakiem, ale moja żona, to na pewno Niemka, bo zaciąga berlińskim „r", boć przecież w Berlinie urodzona.

Do Radości, z przesiadką w Warszawie Wschodniej, zajechaliśmy bez przygód. Stamtąd już pieszo, z obładowanym dziecinnym wózkiem, walizkami i torbami, z siedmioletnim Robusiem i dwuletnią Jadźką, zmęczeni, dowlekliśmy się do Zbójnej Góry. Tak nazywało się osiedle, sąsiadujące z Radością, w którym wynajęliśmy mieszkanie u pana Florczaka, przy ulicy 3 Maja nr 45. Nasze mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Składało się z kuchenki, pokoju z wyjściem na balkon i pokoiku z małym okienkiem, z widokiem na Radość. Ubikacja w podwórku. Obok, przez ścianę, mieszkała wdowa, samotna staruszka. Na parterze mieszkali Florczakowie. Mieli dwóch synów, Marka i Tomka, w wieku szkolnym. Drugie mieszkanie na parterze zajmowali lokatorzy: Wdowa pani Sadren z dwiema córkami (jedna nazywała się Lucyna) i synem. Z wyglądu podobni do Żydów, ale nimi nie byli.

Gdyśmy się rozejrzeli w otoczeniu, poczuliśmy się szczęśliwi. Naokoło las, zagajniki, ziemia, czysty bialutki piasek. Radocha dla dzieci. A był to czerwiec 1943 roku, cieplutko, słonecznie. Za płotem była sąsiednia, niewielka willa, w której mieszkała rodzina żydowska, małżeństwo w wieku około czterdziestki z urodziwą siedemnastoletnią córką Elwirą. Po drugiej stronie ulicy, w pięknej willi mieszkało małżeństwo z córeczką w wieku Robusia, też o imieniu Elwirka, oraz dwie dorosłe panny, krewne. Po zakupy chodziliśmy do Radości, gdzie mieszkali Ebingerowie, brat Karol z rodziną, Eugeniusz Piecha z synem i nowopoślubioną żoną, Lusią, i siostrą Bronką. A więc mieliśmy kogo odwiedzać. Dobrze żyliśmy z sąsiadami i gospodarzami Do ogrzewania i gotowania używaliśmy drzewo z leśniczówki. W pokoju pieca nie było, bo było to mieszkanie letniskowe. Czyli piec kuchenny ogrzewał całe mieszkanie.

Do Zbójnej Góry przybyliśmy z dowodami panieńsko-kawalerskimi jako Łopatowski i Mordzińska z dwojgiem dzieci: Robert i Jadwiga. Sąsiedzi, nie wiedząc, kim jesteśmy, plotkowali o nas: „Co to może być za para?". „On to pewnie wdowiec z dziećmi, a ona jego kochanka?". „Ten chłopczyk to pewnie jego syn, a ta mała córeczka, to pewnie ich wspólne dziecko?". Ciekawość ludzka nie zna granic. Wreszcie gadka: „Żyją bez ślubu, to nie przystoi na porządnych ludzi". „Żyją na kocią łapę". Padały pod naszym adresem różne, czasami wstrętne epitety. Wobec tego postanowiliśmy z żoną wziąć po raz drugi ślub.

Ślub cywilny odbył się w gminie Falenica koło Radości, 19 października 1943 roku, bez naszego udziału. Sprawy formalne załatwił szwagier brata Karola, Eugeniusz Piecha. Żona otrzymała nową „Kennkartę", na nazwisko Łopatowska. Odtąd byliśmy małżeństwem wyznania rzymsko-katolickiego, bez ślubu kościelnego. Przez ponowny ślub zyskaliśmy na opinii i ustały plotki. Wtedy i staruszka, nasza sąsiadka (chyba nazwiskiem Rutkowska), nabrała do nas zaufania jako do „prawowiernych". Któregoś dnia przyszła do nas i żali się, że nie może dostać się do swego mieszkania, bo klucz jakby nie pasował. Zwraca się do mnie: „Może by pan spróbował otworzyć?". „Ależ bardzo chętnie" – odpowiadam, biorąc od niej klucz do ręki. Poszedłem do jej drzwi, wsadziłem klucz, przekręciłem, drzwi się otworzyły. Wróciwszy do mieszkania, powiadam: „Sąsiadko, drzwi są otwarte". „No widzi pan, jak pan poszedł otwierać, ja modliłam się do św. Antoniego, no i drzwi się otworzyły".

Cud! Polacy to dziwny naród, wierzy w cuda. Czy to nie śmieszne, że św. Antoni tak na poczekaniu znalazł pasujący klucz do drzwi naszej sąsiadki?

Wydarzenie to przypomniało mi pewien spór w prasie niemieckiej: niejaki pan Martin Döpner pisze odnośnie pierwszego przykazania Dekalogu takie oto słowa: „Man könnte meinen, der Katholischen Kirche sei dies Gebot (das I. Gebot) unbekannt. Denn da wird Maria als Mutter Gottes angebetet, da werden von der Kirche für heilig erklärte Menschen angebetet, da werden Statuen, Heiligenbilder, Kruzifixe und andere Symbole angebetet. Also Götzendienst in Reinkultur”[246]. Powyższe słowa ogromnie oburzyły pewnego profesora, doktora Gerharda Materna (pewnie z Fuldy, teolog katolicki), który w następnym numerze tegoż samego pisma, zamiast na podstawie Pisma Świętego uzasadnić słuszność wierzeń katolickich (wiedząc, że w Piśmie Świętym tego nie znajdzie), odreplikował Döpnerowi obrażającymi słowami, cytując wypowiedź byłego kanclerza niemieckiego, Adenauera: „Es ist schrecklich, daß der Weisheit der Menschen so enge Grenzen gesetzt sind, und der Dummheit überhaupt keine”[247]. Pan profesor doktor G. Matern, nie mając argumentów, którymi mógłby zbić twierdzenia strony przeciwnej, po prostu nazwał przeciwnika głupim. Aby nazwać człowieka mówiącego prawdę głupim, to widocznie trzeba zdobyć tytuł doktora czy profesora. Ale kto tu jest tym głupim?

Profesor dr Matern, z pewnością katolik, widocznie nigdy nie był na katolickim nabożeństwie, pewnie nigdy nie miał w ręku modlitewnika katolickiego, pewnie nigdy nie widział procesji; nie towarzyszył (choćby tylko w telewizji) papieżowi Janowi Pawłowi II[248], na przykład w podróży do Częstochowy lub do portugalskiej Fatimy. Tam zobaczyłby, do kogo modlił się wymieniony papież, który potrafi wyświęcać, dekorować obrazy „święte”. Czy jakikolwiek obraz może być święty? Pewnie nieznane są prof. Maternie jedyne słowa westchnienia, które wypowiedział ciężko ranny Jan Paweł II, przeszyty kulami mordercy, Agcy: „Madonna, Madonna, dlaczego?”. Papież, znawca Pisma Świętego, nie wzdychał do jedynego Zbawcy danego ludzkości przez Boga, Jezusa Chrystusa, który powiada: „Nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przeze mnie” (Jan 14,6), lecz wzdycha do Madonny. Papież Jan Paweł II specjalnie jedzie do Fatimy, aby tam przed „świętym” obrazem podziękować Madonnie za uratowanie życia. Czyżby w Watykanie, siedzibie papieża, nie mieszkała Madonna? A gdzież papież zostawił Jezusa Chrystusa? Kto miał rację, Döpner czy prof. Matern? Warto się zastanowić.

108
Nasza sytuacja bytowa

Zgodnie z obiecanką brata Karola daną mi w maju 1943 roku w czasie naszego pierwszego spotkania członków Związku Mazurów w Paulinowie, otrzymywałem, począwszy od

[246] „Można by sądzić, że przykazanie to (pierwsze) jest Kościołowi katolickiemu nieznane, gdyż do Marii modli się jako do matki Boga, modli się do ludzi, których Kościół orzekł jako świętych, modli się do figurek, wizerunków świętych i krucyfiksów oraz innych symboli. Zatem 100% bałwochwalstwo”.

[247] „To okropne, że wiedzy ludzkiej wyznaczone są ścisłe granice, a głupocie żadne”.

[248] W oryginale: „Pawłowi Janowi II” – Red.

czerwca tego roku, 500 zł miesięcznie jako zasiłek pieniężny od profesora Bronisława Bukowskiego za pośrednictwem brata. Był to skromny zasiłek, dlatego prof. Bukowski (po wyzwoleniu profesor Politechniki w Gdańsku) postarał się dodatkowo o pracę „fikcyjną" w fabryce Martensa. Tam chodziłem przez kilka miesięcy po „wypłatę zarobku". Takich jak ja, „fikcyjnych" pracowników, było wielu. Byli to ludzie tropieni, ścigani, zagrożeni.

Jesienią 1943 roku otrzymałem za pośrednictwem prof. Bukowskiego prawdziwą pracę w fabryce Gerlacha w Warszawie, przy ulicy Tamka. Była to firma dawniej produkująca urządzenia precyzyjne, obecnie produkowała dla armii niemieckiej części zbrojeniowe. Fabryką kierowali szwagrowie: Döring i Vehlnagel? (Fehlnagel – nie przypominam, jak się pisał). Szefem był Döring, który mnie też przyjął do pracy na stanowisko zastępcy referenta gospodarczego, którym był Tiller. Działem technicznym kierował sympatyczny, spokojny, zrównoważony, młody inżynier, podobno też krewny firmy. Odpowiadał za bezbłędną i terminową wysyłkę produkcji wojennej. Załoga składała się z majstrów ślusarzy, tokarzy i innych fachowców w tej branży oraz dwóch biuralistów: księgowego i sekretarki.

Wśród załogi miałem współimiennika, też Stanisław Łopatowski, ale pochodzący z innych stron, niż mój „nieboszczyk", po którym noszę jego nazwisko. Przez załogę i biuralistów zostałem mile i po koleżeńsku przyjęty. A to niestety było „drzazgą" w oku mego bezpośredniego przełożonego, który, nie wiem dlaczego, wrogo ustosunkował się do mnie. Z drugiej strony, miał dobre „chody", zaufanie u dyrektora Döringa. Döring był *Volksdeutschem*, ale działał na dobro Polaków. Przyjmując mnie, wiedział, że jestem uciekinierem. Mego gospodarczego podejrzewałem o szpiclostwo. Na każdym kroku mnie śledził. Może nie było mu na rękę, że ma pomocnika. Według umowy, miałem mieć zajęcie na miejscu w fabryce, a on specjalnie wysyłał mnie w różnych sprawach z furmanką i robotnikami do miasta. Wyjazdy te były dość częste. Bałem się, bo nie było dnia, aby nie urządzano „łapanek" przez żandarmerię. Już samo dojście z dworca głównego do fabryki i z powrotem do domu było wystarczającym przeżyciem, dostateczną dawką dla serca i nerwów. Wychodząc z domu ze Zbójnej Góry, modliłem się i nuciłem pieśni: „Za ręce weź mnie, Panie, i prowadź sam", albo „Za mną, mówi Jezus, pójdźcie". Modlitwą i pieśniami dodawałem sobie odwagi.

Będąc często w Warszawie poznałem zwyczaje patroli żandarmerii, które stale chodziły ulicami. Kogo upatrzyli, kiwnięciem ręki wzywali do siebie. Polacy unikali chodzenia chodnikiem, na którym znajdował się patrol żandarmerii. Ja robiłem odwrotnie, krótko przed patrolem przechodziłem na ich stronę, idąc wprost na nich, zachowując spokój. Ponieważ ubierałem się „po niemiecku", więc nigdy nie miałem wypadku, aby mnie zatrzymali. A prawie codziennie mijałem taki patrol.

Z Dworca Głównego do Gerlacha musiałem przechodzić Al. Jerozolimską, Nowym Światem, ul. Kościuszki do ul. Tamka. Z powrotem tą samą trasą. Pewnego dnia po pracy udaję się do Dworca Głównego. Skręcając z ul. Tamki, za zakrętem, na ul. Kościuszki stoi „buda" (policyjny samochód ciężarowy), obława. Widzę, jak żandarmi ładują ludzi, mężczyzn i kobiety. Prąd przeszedł przez moje ciało. Błyskawiczna reakcja: „Nie uciekaj! Udawaj Niemca!". Nie zatrzymując się ani na sekundę, śmiałym krokiem walę wprost na sierżanta żandarmerii, który kieruje akcją. Kilka kroków od niego, ze względu na zgiełk, donośnym głosem, patrząc mu w oczy, pytam: „Kann man hier durch?!"[249] – nie zatrzymując się, ręką wskazuję kierunek. Zmierzył mnie okiem od dołu do góry i rzekł: „Kannst ge-

[249] Czy można tu przejść?

hen!"[250]. Szedłem jak na gumowych, sprężynowych nogach wzdłuż szpaleru żandarmów, którzy obstawili kilka ulic, kierując lufy w okna budynków. Że tu nie znalazłem się w „budzie", to tylko Bogu mogę być wdzięczny, który dał mi dobre myśli. Strach, stała obawa przed łapankami ujemnie wpływały na ustrój nerwowy, na zdrowie. Przez cały czas pracy u Gerlacha cierpiałem na bóle żołądka. Sekretarka litowała się nade mną, kurując mnie herbatkami z ziół. Ale to nic nie pomagało. Chcąc wiedzieć, co mi jest, wybrałem się do szpitala do Lublina na badanie. Pojechałem tam przez znajomość, aby być badany przez polskiego lekarza. Będąc na czczo, musiałem wypić szklankę magnezji. Potem prześwietlenia i badania. Diagnoza: „Wszystko w należytym porządku, żołądek, jelita bez skazy. A skoro są bóle, to tylko na tle nerwowym, nerwica żołądka". Z tym trzeba było żyć, popijając herbatki koleżanki.

Jak wyglądała praca w fabryce Gerlacha? Każdy z pracowników otrzymywał do obróbki jakąś część. Wszyscy starali się w terminie oddać wykonany przedmiot. Ale wykorzystywali każdą chwilę, gdy nikt nie widział z kierownictwa, by wykonywać „prywatkę". Przeważnie wyrabiali z materiałów fabrycznych koperty do zegarków, zwykłe ozdobne, nawet artystyczne. W ten sposób każdy dorabiał, aby żyć. W czasie przerwy zbierali się w palarni lub w innych zakamarkach na kielicha. Bali się, ale zło broili. Mnie się nie bali, bo mieli zaufanie, ale nie mogli zrozumieć, że nie lubię wódki. Mimo to, zawsze mnie zapraszali, kusząc. Czasami musiałem dla pozoru z nimi wypić. W fabryce było też trzech zwykłych robotników, którzy obsługiwali piec centralnego ogrzewania i jeździli ze mną do magazynów po opał: węgiel, koks i drzewo, oraz zaopatrywali rodziny krewnych „klanu" firmy Gerlacha w opał. Jadąc po opał, kombinowali w magazynach, aby ukraść węgla dla siebie na zarobek. Mieli do tego przygotowane worki i umówione „meliny", gdzie po drodze zrzucali, a ktoś umówiony odbierał i wręczał zapłatę. Opał, który kradli, nie był z puli fabryki Gerlacha, lecz z magazynu hurtowni. Czyli fabryka Gerlacha nie ponosiła straty. Każdej soboty robotnicy mieli obowiązek zaopatrzyć rodziny „klanu" Gerlacha w opał na cały tydzień, według ustalonych norm. Każda z uprawnionych rodzin do otrzymywania opału miała u siebie gospodynię lub służącą. Ja wydawałem opał w piwnicy, a robotnicy dostarczali za pokwitowaniem. Gospodynie też kombinowały, gospodarowały opałem jak najoszczędniej, zaoszczędzony razem z robotnikami odstępowały „nieuprawnionym" lokatorom. Dewizą było: ręka rękę myje.

Ja o tych ostatnich kombinacjach nic nie wiedziałem i nie miałem [z nimi] nic wspólnego. Dowiedziałem się dopiero kilka miesięcy później, gdy niespodziewanie zostałem wezwany przez dyrektora Döringa, który zakomunikował, że z dniem takim a takim jestem zwolniony z pracy z powodu mego działania na szkodę firmy. Okazało się, że pan Tiller, mój przełożony, śledził każdy transport opału, a nawet podobno przyłapał robotników, którzy nieśli opał do obcego lokatora. Nic nie pomogły moje wyjaśnienia, że ani w jednym, ani w drugim wypadku firma nie ponosiła żadnej straty. Konfident zwyciężył, pozbył się „pomocnika", który przeszkadzał mu w łapówkarstwie, które sam uprawiał. Musiałem odejść. Nie pamiętam daty. Wielka szkoda, bo pensja u Gerlacha była w tym czasie naszym jedynym środkiem do życia. Żyliśmy bardzo skromnie, ale żyliśmy. Nie wiemy, co będzie dalej?

W tym samym czasie, jak ja u Gerlacha, późną jesienią 1943 roku, brat Karol podjął intratną robotę w młynie Frydrychewicza na Pradze, ulica Kossaka. Formalne jego zarobki

[250] Możesz iść!

były minimalne, ale gdy zdobył zaufanie śród współpracowników, dochody uboczne rosły z dnia na dzień. Kombinacje w młynie nie ograniczały się do worków, lecz wyrażały się wagonami. Z podziału „doli" każdy otrzymywał solidną sumę. Kiedy myśmy musieli się ograniczyć do nieregularnej, minimalnej pomocy ze strony inż. Bukowskiego, u brata Karola był dostatek. Rok 1944 był dla nas tragiczny, żyliśmy na skraju egzystencji. Wyprzedawaliśmy, cośmy tylko mogli. Na miesiąc mogliśmy sobie pozwolić na jeden kilogram słoniny. Mięsa prawie nie widzieliśmy. Jedliśmy okropny chleb, podobny do pompernikla, ciężki jak glina. Trudno powiedzieć, z czego był wypiekany.

Bratowa Wilunia w tym czasie „upychała" tysiące w kufereczku. „Wzruszona" naszą biedą, gdy byłem u niej, powiada do mnie: „Słuchaj, Edward, chciałabym ci zwrócić dług". „Jaki dług?" – pytam. Przecież wobec mnie nie masz żadnego długu. „No, przecież wtedy w Czapkowie dałeś nam tyle a tyle dolarów". No tak, ale to nie była pożyczka. Wtedy byłem w stanie wam to dać, a nie pożyczyć. „No tak, ale ja nie chciałabym mieć tego na sumieniu". Zrobiło mi się bardzo przykro, że moje narażenie się na niebezpieczne przekraczanie granicy potraktowano jako pożyczkę. „Skoro ma to obciążać twoje sumienie, to zrób, jak uważasz, bo ja nie pamiętam, ile wam dałem". Wila miała przygotowane pieniądze według aktualnego kursu dolara, dokładnie co do grosza. Przyjąłem pieniądze i z niesmakiem poszedłem do domu. Wilunia nie zdobyła się na gest, aby powiedzieć: wtedy wyście, narażając swoje życie, pamiętali o nas w naszej biedzie, teraz my jesteśmy w stanie wam pomóc. Nic z tej rzeczy nie wyszło z jej serca, ani ust. Ogromnie przykro mi było.

Jeszcze inne doświadczenie mieliśmy. W Święto Wielkiejnocy poszliśmy odwiedzić brata Karola z rodziną, aby złożyć życzenia. Nim weszliśmy do mieszkania, zerknęliśmy przez okno (bo Karolowie mieszkali na parterze), aby stwierdzić, czy jest ktoś w domu. Zobaczyliśmy Wilę przy stole, a na stole dużą szynkę. Pomyśleliśmy: „Dobrze trafiliśmy". Puk-puk – wchodzimy. Wilunia zdążyła schować szynkę pod stół zasłonięty obrusem aż do podłogi. Wilunia zmieszana, przywitała się, zaprowadziła nas do pokoju, szynki nie wyciągnęła. Głodni przyszliśmy, głodniejsi wróciliśmy do domu. Dlatego mój Ojciec zawsze tak prawił: „Dziatecki, jedziemy na gościnę, najedzta się". No tak, nie każdy jest zdolny współczuć drugiemu, a cóż dopiero narażać siebie za drugiego. Może warto w tym miejscu zacytować słowa Jezusa: „Większej miłości nikt nie ma nad tę, jak gdy kto życie swoje kładzie za przyjaciół swoich" – Jan 15,43. Zwróconą „pożyczkę" zużyliśmy na naszą biedę. Po zwolnieniu u Gerlacha nie pracowałem.

Od czasu do czasu przyjeżdżał do nas z Ukrainy brat żony, Bernard. Raz przyjechał ze swoją „narzeczoną", piękną Ukrainką. Szwagier zastrzegł, aby nie mówić jej, że Bernard jest rzeźnikiem, bo ona tego zawodu nie lubi. Mimo tego zastrzeżenia, żartobliwie zagadnąłem ją tymi słowy: „Co zrobiłaby Pani, gdyby, kochając kogoś na śmierć i życie, dowiedziała się, że ten kochany ma zawód, którego Pani nie lubi?". Nie dała mi wyraźnej odpowiedzi, za to Bernard wściekł się ze złości. Niepotrzebnie, bo nadal się kochali, tylko front rosyjsko-niemiecki rozłączył ich na zawsze. Przypadkowo poznaliśmy Jankę Kornalewską, która w 1943 roku uciekła z Mławy do Warszawy z synem Januszem i założyła zakład dziewiarsko-przędzalniczy. Przyjeżdżała do nas bardzo często i wspierała nas materialnie. W końcu zlikwidowała zakład, bo każdy nastawiony był na zakończenie wojny. Powstanie Warszawskie rozłączyło nas i spotkaliśmy się znów, gdy Rosjanie zajęli Warszawę.

Nasza sytuacja materialna przed wkroczeniem armii sowieckiej była krytyczna. Sprzedałem ostatnią rzecz, która w tej chwili była niepotrzebna, buty oficerskie.

109
Stosunki polityczne w Polsce

Klęska armii hitlerowskiej pod Stalingradem, zakończona kapitulacją generała Paulusa i Seydlitza w dniach 31.1.1943 i 2.2.1944 roku, oraz załamywanie się niemieckiego frontu na wschodzie postawiły społeczeństwo polskie na nogi. Wzmógł się ruch partyzancki. Organizacje typu wojskowego, jak AK (Armia Krajowa), BCH (Bataliony Chłopskie) i inne rosły liczebnie. Oddziały wojskowe potajemnie odbywały w lasach ćwiczenia. Organizowano napady na pociągi, wysadzając transporty z posiłkami i zaopatrzeniem. Dokonywano napadów na magazyny, celem zdobycia broni, umundurowania i żywności. W fabrykach zbrojeniowych każdy Polak czuł moralny obowiązek hamowania, szkodzenia produkcji wojennej. Dużo ludzi uciekało w lasy, przyłączając się do partyzantek. Rosła liczba osób podejrzanych, zagrożonych, a jednak rejestrowanych w urzędach meldunkowych. To było niebezpieczne. Dlatego zachodziła konieczność likwidacji tych rejestrów. Nie mogli tego dokonywać Polacy, pracujący w tych urzędach, bo groziłaby im szubienica. Dlatego likwidacji tych dokumentów dokonywały partyzantki przez napady i niszczenie, a nawet przez podpalanie całego urzędu meldunkowego. W taki sposób tysiące osób zagrożonych, poszukiwanych mogło mieszkać we własnych mieszkaniach, w domu.

Załamanie się niemieckiego frontu wschodniego i stopniowe zwycięstwa armii sowieckiej spowodowało ogromne poruszenie naczelnych władz poszczególnych organizacji politycznych. Od skrajnej prawicy po lewicę zaroiło się jak w ulu. Wszystkie partie i organizacje polityczne, które warte są tego określenia, patrzyły na Zachód, w stronę Rządu Polskiego w Londynie. Kurierzy, łącznicy, różnymi drogami i sposobami kursowali tam i sam, przewożąc wiadomości i dyrektywy orientacyjne. Każdy Polak, Polka byli pewni, że wyzwolenie, wolność Polski przyjdzie z Zachodu.

Kiedyś, przy okazji, zapytałem mego kolegę, Rudolfa Aucha, bardzo zaangażowanego w AK na stanowisku oficera: „Czy istnieje jakaś organizacja komunistyczna?". Odpowiedział: „Owszem, istnieje, ale bardzo mała grupa działaczy politycznych, ale ona jest bez znaczenia". Po chwili dodał: „W polskiej rzeczywistości boją się występować, bo któżby ich słuchał". A tu prawdziwa rzeczywistość płata figla. Sojusznicy zachodni walczą w Afryce, goniąc Rommla, względnie doznając od niego cięgi. Na zachodzie Europy nie ma frontu, który zbliżałby się do Polski. Natomiast ze wschodu kroczy Armia Sowiecka. Wielka konsternacja w umysłach Polaków. Stawiano kłopotliwe pytanie: czy armie sojusznicze Zachodu wraz z Armią Polską zdążą wyprzedzić armię sowiecką z wyzwoleniem Polski spod jarzma hitlerowskiego? Niezależnie od tego wszystkie sztaby poszczególnych partii, organizacji politycznych opracowały programy działania po klęsce Hitlera. Ile było partii, tyle było programów.

Skoro w okresie Polski sanacyjnej do wyborów stawało 33 partii politycznych, to w czasie okupacji działało na pewno więcej ugrupowań konspiracyjnych. Każda z nich uważała się za najlepszą, za najodpowiedniejszą do rządzenia przyszłą Polską. Aczkolwiek każde ugrupowanie myślało odrębnie i kroczyło własnymi drogami, to jednak dwie sprawy łączyły je w całość:

1. Granica wolnej Polski po Odrę i Bałtyk, łącznie z Prusami Wschodnimi. (Już w 1902 roku Roman Dmowski, jeden z przyszłych sygnatariuszy Paktu Pokojowego po

I wojnie światowej, żądał przyłączenia Prus Wschodnich do Polski. Jemu podobnych, z ekspansywnym „apetytem", było wielu i w różnym czasie.)

2. Likwidacja Niemców – niemczyzny. Pierwsza sprawa wymagała opracowania programów i przygotowania odpowiednich ekip ludzi, którzy przejmą przyszłą administrację „Wyzwolonych Ziem", „Ziem Odzyskanych". Każda partia, każda organizacja polityczna miały przygotowane składy personalne przyszłych władców, dygnitarzy „Ziem Zachodnich" i Prus Wschodnich. Ile było partii, tylu było wojewodów, którzy czekali na dobre czasy z chwilą zajęcia tych ziem. Każda partia miała też swoich ludzi na starostów, kuratorów, inspektorów szkolnych, prokuratorów, sędziów, aż do najmniejszych szczebli administracyjnych. Można sobie wyobrazić, jaka byłaby gonitwa z chwilą „wyzwolenia": kto pierwszy usiądzie na swoim fotelu? Do bójki ani do wyścigu nie doszło. Dlaczego nie? Bo Rusek zajął Polskę. Niedoszli „wojewodowie", „starostowie" i inni „dygnitarze" – można powiedzieć „Polski katolickiej" – nie doszli do celu swojej kariery. Przeciwnie, z opuszczonymi głowami przycupnęli pod miedzą, by tylko nie dostać się na Sybir; boć wielu tam się dostało.

Drugą wspólną sprawą dla Polaków wszelkich odcieni była likwidacja wszystkiego, co niemieckie, łącznie z likwidacją ludności niemieckiej. Obmyślono sposoby i metody pozbycia się Niemców. Dysząc nienawiścią i zemstą, społeczeństwo polskie czekało chwili, by pomścić zamordowanych, rozstrzelanych, zagłodzonych, ściętych toporem, spalonych w krematoriach, ojców, matek, dzieci, braci, sióstr, którzy padli ofiarą zbrodni hitlerowskiej. Patrzono, co w tej sprawie podejmą Mocarstwa walczące przeciwko Hitlerowi.

110
Konferencja w Teheranie

„Zusammentreffen von F.D. Roosevelt (USA), W. Churchill (Großbritannien) und J.W. Stalin (UdSRR), festigte die Zusammenarbeit der „Großen Drei" während des 2. Weltkrieges in der Anti-Hitler-Koalition. Die von Stalin geforderte Errichtung einer „Zweiten Front" in Frankreich durch die Westallierten (USA, Großbritannien) und eine gleichzeitige sowjet. Offensive wurden auf das Frühjahr 1944 festgesetzt, Stalin sicherte zu, nach Niederringung des nat.-soz. Deutschlands in den Krieg gegen Japan einzutreten und schlug auf Kosten Dtl.s die „Westverschiebung" Polens (zu Gunsten der UdSSR) vor. Die Diskussion über die Nachkriegspolitik gegenüber Dtl. verlief ergebnislos, ihre Themen wurden der European Advisory Commission (EAC) überwiesen"[251].

[251] „Konferencja w Teheranie (28.11. – 1.12.1943), gdzie spotkali się F.D. Roosevelt (USA), W. Churchil (W. Brytania) i J. W. Stalin (ZSRR), umocniła współpracę »Wielkiej Trójki« podczas II wojny światowej w ramach koalicji antyhitlerowskiej. Stalin dopominał się od zachodnich aliantów utworzenia »drugiego frontu« we Francji (przez USA i W. Brytanię). Uzgodniono, że wiosną 1944 ruszy równocześnie sowiecka ofensywa. Stalin zapewnił, że po złamaniu narodowego socjalizmu Niemiec przystąpi do wojny z Japonią. Zaproponował też »przesunięcie Polski na zachód« kosztem Niemiec, a na korzyść ZSRR. Dyskusja na temat polityki powojennej wobec Niemiec nie przyniosła rezultatu. Tematy poruszone w niej przekazano do European Advisory Commission (EAC)".

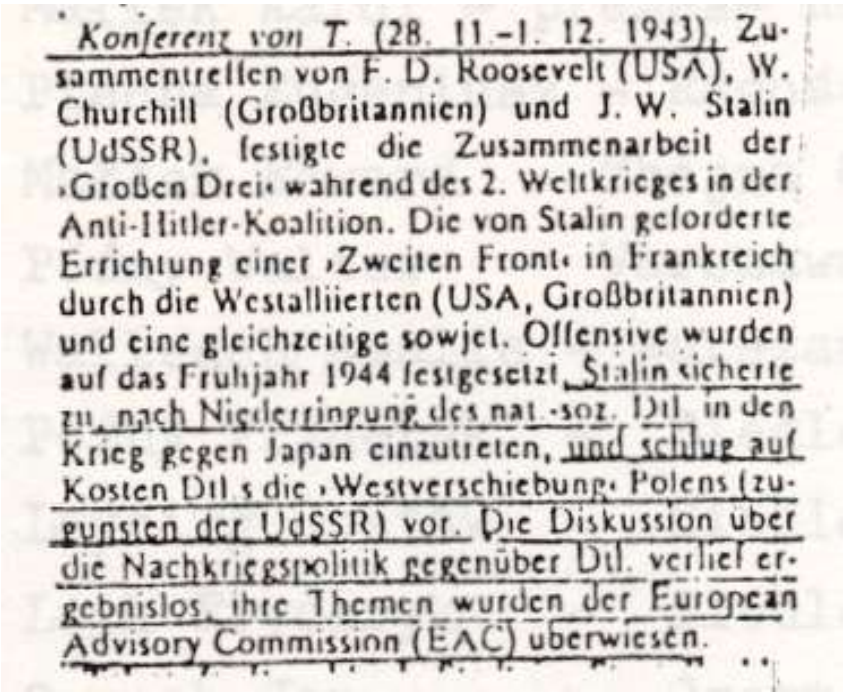

Konferenz von T. (28. 11.–1. 12. 1943), Zusammentreffen von F. D. Roosevelt (USA), W. Churchill (Großbritannien) und J. W. Stalin (UdSSR), festigte die Zusammenarbeit der »Großen Drei« während des 2. Weltkrieges in der Anti-Hitler-Koalition. Die von Stalin geforderte Errichtung einer »Zweiten Front« in Frankreich durch die Westalliierten (USA, Großbritannien) und eine gleichzeitige sowjet. Offensive wurden auf das Frühjahr 1944 festgesetzt. Stalin sicherte zu, nach Niederringung des nat.-soz. Dtl. in den Krieg gegen Japan einzutreten, und schlug auf Kosten Dtl.s die »Westverschiebung« Polens (zugunsten der UdSSR) vor. Die Diskussion über die Nachkriegspolitik gegenüber Dtl. verlief ergebnislos, ihre Themen wurden der European Advisory Commission (EAC) überwiesen.

Konferenz von Teheran (28.11. – 1.12.1943)

Encyklopedia polska podaje: „Osiągnięto wstępne porozumienie w sprawie granic Polski". Żądania Stalina na Konferencji w Teheranie przesunięcia granic Polski na zachód przeraziły i zasmuciły przede wszystkim Polaków z terenów wschodnich, szczególnie lwowian i wilnian. Aczkolwiek granice te nie zostały ustalone (encyklopedia mylnie to interpretuje), to jednak obawiano się, że Polska te tereny utraci. Za tym, że tak się stanie, przemawiało porozumienie Stalina z mocarstwami Zachodu, że one podejmą ofensywę dopiero na wiosnę 1944 roku (by Stalin miał czas zająć wschodnie tereny Polski).

Mimo tych realiów, Polacy wciąż wierzyli i ufali aliantom Zachodu. Stawiano też ołtarzyki z Czarną Madonną prawie w każdym podwórku Warszawy, wierząc w cud.

111
Program Związku Mazurów

Co robi w tym czasie Związek Mazurów? Prezes Związku Mazurów, mój brat Karol, powoli wyzbywa się poczucia człowieka tropionego, ściganego, poszukiwanego, aczkolwiek niebezpieczeństwo to nadal istniało, co pokrywało się z wiadomościami z domu rodzinnego. Wyszedł z „nory lisiej" i zaczął się rozglądać po okolicy. Z początkiem 1943 ro-

ku musiał opuścić mieszkanie przy ulicy Grottgera w Radości, bowiem Ebingerowie, szwagrostwo Karola, przyciśnięci biedą, musieli sprzedać swoją piękną willę, kupując skromniejszą i tańszą przy ulicy Kościelnej.

Prezes Związku Mazurów wynajął samodzielne, niezależne mieszkanie w Radości przy ulicy Jasna 9. Tutaj rozpoczął intensywną działalność konspiracyjną. Najpierw nawiązał kontakt ze swoimi znajomymi. Pierwszym był przypuszczalnie Walter Późny, mieszkający w Warszawie. Potem byli moi koledzy z Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie, Rudolf Auch, Zygmunt Müller. Od nich i od inżyniera Bukowskiego dowiedział się o istnieniu różnych organizacji konspiracyjnych Polski Podziemnej i o ich programach, planach na przyszłość. Plany i programy te przeraziły prezesa Związku Mazurów. Postanowił opracować program Związku Mazurów i przeciwstawić go programom innych organizacji. Aby tego dokonać, potrzebował współpracowników, oczywiście z dawnych członków Związku Mazurów w Działdowie. Ilu ich w ogóle było w Guberni Generalnej? Oto ich nazwiska:

1. Małłek Karol – prezes	Radość k/Warszawy
2. Piecha Eugeniusz	Radość k/Warszawy
3. Małłek Edward	Zbójna Góra k/Warszawy
4. Późny Walter	Warszawa
5. Wallesch Amalia	Warszawa
6. Późny Fryderyk	Siedleckie
7. Leyding Gustaw	Siedlce
8. Leyk Fryderyk	Siedlce
9. Sczech Jan	Częstochowa
10. Schmidt Hermann	Paulinów, Lubelskie
11. Burski Fryderyk	Paulinów, Lubelskie
12. Burski Wilhelm	Paulinów, Lubelskie
13. Wilamowski Kurt	Tarnowskie.

Jak widać z powyższego zestawienia, działacze Związku Mazurów „rozsiani" byli po całym terenie Guberni Generalnej. Powstało pytanie: jak tu zorganizować wspólną pracę? Prezes powziął myśl, aby skoncentrować członków możliwie jak najbliżej Warszawy. Podjął z Piechą podróż do Paulinowa i Siedlec, aby omówić te sprawy. Niestety, względy bytowe nie pozwalały na to, aby każdy zmienił miejsce zamieszkania, gdyż nie było komu gwarantować egzystencję poszczególnym rodzinom czy osobom. Udało im się tylko mnie namówić. Nie mieliśmy bowiem nic do stracenia, bo do życia „cygańskiego" byliśmy przyzwyczajeni. I tak w „kupie" było nas tylko czterech: Małłek Karol, Piecha Eugeniusz, Późny Walter i ja, Edward Małłek.

Z chwilą zamieszkania na Zbójnej Górze spadła na mnie gruba robota Związku Mazurów. Wykorzystując uprzednio zdobyte i zgromadzone materiały, opracowałem całokształt zagadnień administracyjno-społeczno-gospodarczych oraz ludnościowych Prus Wschodnich. Sprawy te były opracowane szczegółowo powiatami, gminami, osiedlami.

Konspiracyjna grupa działaczy mazurskich w Radości latem 1943 r.
Od lewej: E. Małłek, Fr. Leyk, Jan Sczech, W. Małłkowa, E. Piecha, K. Małłek

Edward Małłek – pierwszy z prawej – Red.

Ważną rzeczą było znalezienie odpowiedniej kryjówki do przechowywania tych materiałów. Przypadkowo – wyglądając przez okienko w małym pokoiku – pod moją ręką poruszyła się cegła parapetu. Podniosłem ją, pod nią widzę wolną przestrzeń w ścianie. Usunąłem jeszcze jedną cegłę. Uznałem, że odkryłem wspaniałą kryjówkę na dokumenty. Wewnątrz powbijałem mocne gwoździe, na których zawieszałem w torbach materiały typu konspiracyjnego. Otwór nakrywałem owymi dwoma cegłami. Przy wkładaniu i wyjmowaniu musiałem bardzo uważać, aby nie spadły w dół, bo chcąc je wtedy wyjąć, trzeba by rozebrać ścianę. W taki sposób materiały te przetrwały aż do wyzwolenia i były wykorzystywane w pierwszym okresie przez Urząd Wojewódzki w Olsztynie.

W ciągu 1943 i 1944 roku odbyło się sporo spotkań członków Związku Mazurów, przeważnie w małych grupach. Na wstępie ustalono, że Mazurzy tworzą osobną grupę konspiracyjną pod nazwą Związek Mazurów, o własnym programie. Dalej: członkowie Związku Mazurów nie powinni należeć do żadnych innych organizacji, ani partii politycznych Polski Podziemnej, a to ze względu na bezpieczeństwo poszczególnych osób. Członkowie winni utrzymywać kontakty z innymi organizacjami po to, aby poznawać ich myśli i programy.

Uchwała ta była spóźniona, bowiem niektórzy członkowie, jak: Późny, Wilamowski, Leyk, Leyding, już należeli do różnych organizacji. Nie należeli do żadnych organizacji: Małłek Karol, Burski Jerzy, Schmidt Hermann, Piecha Eugeniusz, Sczech Jan. Właściwym inspiratorem Związku Mazurów był Karol Małłek. Nie jestem w stanie przedstawić szczegółów programu Związku Mazurów, wspomnę tylko to, co pamiętam. Związek Mazurów, zgodnie z programem, był organizacją propolską. Moim zdaniem, wielka szkoda, że nie nawiązywaliśmy do naszych ideałów: autonomii czy też „Szwajcarii Bałtyckiej", o czym marzyliśmy, działając w Działdowie w okresie od 1935 do 1939 roku.

Związek Mazurów w ślad za innymi polskimi organizacjami przyjął, że Prusy Wschodnie będą wcielone do Polski. Wprawdzie były głosy, aby Mazury były dla Mazurów i aby tam nie wpuścić nowych osadników. Ale kto miałby im zagrodzić drogę? Jedynie Fryderyk Leyk przeforsował w swojej organizacji, do której należał, że Prusy Wschodnie będą „autonomią". Jednym słowem, członkowie Związku Mazurów, jedni szczerze, drudzy z pomrukiem, jedni głośno, drudzy cichutko, nucili polską pieśń: Polska do Bałtyku z Prusami Wschodnimi włącznie.

Sprawę ludnościową Prus Wschodnich, zgodnie z historią, Związek Mazurów widział w następującym świetle: skład ludnościowy Prus Wschodnich po wymordowaniu dawnego narodu tych ziem Prusów przedstawia się następująco:

1. Są potomkowie osadników polskich – Mazurzy.
2. Są potomkowie osadników litewskich.
3. Są potomkowie osadników holenderskich (Mennonici).
4. Są potomkowie osadników francuskich (Hugenoci).
5. Są potomkowie osadników austriackich (Salzburg).
6. Są resztki potomków Starych Prusów.
7. Są potomkowie osadników niemieckich.

Jak wyglądała sprawa „likwidacji niemczyzny" w Prusach Wschodnich w ujęciu Związku Mazurów?

Związek Mazurów stanął na stanowisku, że Mazurów należy zachować bez względu na stopień zgermanizowania jako szczep pochodzenia polskiego. Mazurzy nie są bowiem

winni, że nigdy do Polski nie należeli i Polska nic nie uczyniła, by Mazurzy zachowali polskie poczucie narodowe. Uznanie ich za Niemców do „zlikwidowania" byłoby zbrodnią wobec własnych plemieńców. Przecież Polska tylko i jedynie z tytułu polskiego pochodzenia Mazurów może rościć nadzieję włączenia Mazur do Polski. Ludność Prus Wschodnich, pochodzenia mniejszościowego, jak: litewskiego, holenderskiego, francuskiego, austriackiego, potomków Starych Prusów, należy zachować w całości z uwagi na prawa międzynarodowe i humanitarne. Ogromnym błędem było, że Związek Mazurów pod wpływem organizacji polskich wprowadził do swego programu „wysiedlenie Niemców".

Ta zasada okazała się później bumerangiem wobec samego Związku Mazurów i ich działaczy, o czym przekonamy się po zagarnięciu Prus Wschodnich do Polski. W programie Związku Mazurów znalazła się też sprawa *Volksdeutsch* i *Eingedeutscht*. Związek Mazurów stanął na stanowisku, że wobec nich nie należy wyciągać żadnych konsekwencji, ponieważ ludność urodzona na Pomorzu, w Poznańskiem, na Śląsku i na Działdowszczyźnie automatycznie została przez władze hitlerowskie uznana jedni za *Volksdeutsch*, inni za *Eingedeutscht*. Za takim rozwiązaniem przemawiał fakt, że masa uciekinierów z tych ziem, a obecnie działacze i autorzy programów „likwidacji niemczyzny" w Guberni Generalnej, względnie ci, co się ukrywają w lasach, mieliby być sędziami nad rodzicami, braćmi, siostrami, którzy pozostali na miejscu. Zresztą, co uczynili Polacy Guberni Generalnej, aby przyjąć wszystkich Polaków z Pomorza, Poznańskiego, Śląska? Dla przykładu podaję dowód.

Na początku 1940 roku wszystkim członkom Związku Mazurów w powiecie działdowskim groziło wysiedlenie do Guberni Generalnej. Prezes Karol Małłek, dowiedziawszy się o tej groźbie, zwrócił się do kół Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, by przygotowali swym współwyznawcom miejsca zakwaterowania. Mimo iż zagrożona wysiedleniem grupa nie była liczna, sprawa nie znalazła posłuchu ani realizacji. Wtedy dano zagrożonym znać, aby wszystko czynili, by mogli zostać na miejscu, w domu.

Skoro tak mała grupa ludzi nie znalazła miejsca w sercach „braci" Polaków, to co mówić o całej masie ludności Pomorza, Poznańskiego i Śląska. Kto wobec tego ma prawo ich sądzić? Jakim prawem Karol Małłek i ja, ukrywający się w Guberni Generalnej, mielibyśmy sądzić naszą kochaną Matkę, siostrę Hedkę, brata Augusta, że zostali przez hitlerowców *Eingedeutscht*?! Jakim prawem?! – mielibyśmy sądzić tych, których uznano za *Volksdeutsch*. Zbrodnia musi być karana, a nie taka czy inna narodowość.

W programie Związku Mazurów znalazły się też sprawy religijno-kościelne. Opracowałem na ten temat referat, który wygłosiłem na konspiracyjnym spotkaniu duchowieństwa Kościoła Reformowanego z superintendentem generalnym, księdzem Skierskim, na czele. Ze strony Związku Mazurów udział wzięli prezes Karol Małłek, ja i Eugeniusz Piecha. Punktem wyjściowym referatu było przypuszczenie, że z chwilą zajęcia Prus Wschodnich przez Polskę zastaniemy ludność ewangelicką, ale bez duszpasterzy, którzy w obawie o swoje życie uciekną. Wówczas powstaje pytanie: kto ma się zająć ewangelikami Prus Wschodnich, którzy stanowią około 90% ogółu ludności? Związek Mazurów, mając złe doświadczenie z Polskim Kościołem Ewangelicko-Augsburskim w okresie dwudziestolecia istnienia Polski przed wybuchem II wojny światowej na terenie Działdowszczyzny, gdzie toczył walkę z Kościołem ewangelicko-unijnym, która przyniosła doniosłe szkody protestantyzmowi w Polsce, doszedł do przekonania, że opiekę nad ewangelikami po przyłączeniu Prus Wschodnich do Polski powinien objąć Kościół Ewangelicko-Reformowany. Ko-

ściół Ewangelicko-Unijny był bowiem połączeniem Kościoła Luterskiego z Reformowanym (kalwińskim), więc formalnie biorąc nie ma przeszkód. Poza tym Kościół Reformowany co do składu personalnego duchownych – pastorów, jest czysto polski, na przykład superintendent Skierski, ks. Niewieczerzał itd. Nikt nie będzie mógł mówić, że Kościół Reformowany to „Kircha”, jak to określali Polacy-katolicy „okrąglak” Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie. W przeciwieństwie spójrzmy na nazwiska pastorów – księży Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego: biskup Bursche, Gloeh, Busse, Trenkler, Wittenberg, Saks, Suess, Bartel, Kleinschmidt, Burchard itd. Nic dziwnego, że Augsburczycy chcieli być bardziej „papiescy niż sam papież” i dlatego stale podkreślali polskość: „Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski”. Kościół Ewangelicko-Reformowany nie potrzebuje podkreślać swojej polskości.

Referat zrobił na zebranych wielkie wrażenie. A ponieważ w referacie użyłem mnóstwo wersetów biblijnych, wszyscy byli przekonani, że jestem teologiem. Musiałem wyjaśnić, że znajomość Biblii jest po prostu owocem nauki religii w szkole i praktykowania pobożności w domu rodzinnym. Rozwinęła się ożywiona dyskusja, w której przyznawano słuszność naszemu stanowisku. Niektórzy nie mogli się zgodzić z przypuszczeniem, że pastorzy niemieccy opuszczą swoje parafie (jednak przewidywania Związku Mazurów się sprawdziły).

112
Radość – „Mekka”

Istnienie autochtonicznej, rodzimej grupy Mazurów Prus Wschodnich pod nazwą Związek Mazurów zaintrygowało i zainteresowało kierownictwa i sztaby poszczególnych partii i organizacji działających w konspiracji. Za pomocą różnych powiązań i znajomości szukano kontaktu ze Związkiem Mazurów, w szczególności z jego prezesem. Co rusz zjawiał się, w poufnie umówiony czas, wyższej lub najwyższej rangi przedstawiciel takiej czy innej organizacji na poufną rozmowę. Po prostu drzwi do mieszkania prezesa Związku Mazurów w Radości przy ulicy Jasnej 9 nie zamykały się. Można śmiało powiedzieć: Radość, mieszkanie prezesa Karola Małłka, stało się miejscem pielgrzymek, „Mekką” dla różnych pełnomocników, przyszłych dygnitarzy państwa polskiego. W niektórych spotkaniach brałem udział, jak również Eugeniusz Piecha.

Każda organizacja proponowała nam wstąpienie na członków. Odpowiadaliśmy negatywnie, uważając to za zbyteczne. W to miejsce proponowaliśmy, aby organizacje przyjęły nasz program. Ponieważ program Związku Mazurów różnił się od programów innych organizacji, „jak niebo od ziemi”, więc powstała platforma do szerokiej dyskusji. Przy tym poznawaliśmy dokładnie treść innych programów. Na kontaktach z przedstawicielami ograniczała się nasza współpraca z innymi organizacjami „Polski Podziemnej”.

113
Program ONR-u

Prezes Związku Mazurów zlecił mi utrzymywanie kontaktu z Obozem Narodowo-Radykalnym, w skrócie ONR. Była to organizacja polityczna o bardzo radykalnym programie, jednocześnie przesiąknięta radykalnym katolicyzmem. Miejscem spotkań było mieszkanie (nie pamiętam przy której ulicy w Warszawie), które robiło wrażenie, że nie jest zamieszkane przez nikogo, a jedynie „meliną" na konspiracyjne spotkania. Rozmowy, które miałem z przedstawicielem ONR-u, nie były interesujące. Zauważyłem, że nie bardzo darzy mnie zaufaniem. Tylko nie wiedziałem, czy powściągliwość jego wypływa z nastawienia politycznego, czy religijnego, boć przecież zetknęło się dwóch radykałów religijnych: on katolik, ja ewangelik. Wreszcie oświadczył mi, że następnym razem przekaże mi program ONR-u na piśmie odnośnie „Likwidacji niemczyzny na Ziemiach Odzyskanych". O to mi właśnie chodziło.

Następnym razem, pod strachem przed żandarmami, śpieszę się do domu z plikiem papierów, powszechnie nazywanych „bibułą". W domu ciekawość nie dała mi spokoju. Natychmiast wziąłem się za czytanie. W tym miejscu byłoby najlepiej, gdyby można przepisać cały program ONR-u. Niestety, prezes Związku Mazurów, mój brat, zaprzepaścił go, czego osobiście nie mogę przeboleć i odżałować. Dlatego przekażę tylko to, co moja pamięć zachowała. Autorzy programu „Likwidacja niemczyzny na Ziemiach Odzyskanych" ONR-u wyszli z pozycji ustalenia ogólnej liczby ludności tych ziem. Zgodnie ze statystykami przyjęto, że po klęsce Hitlera Polska przejmie na odzyskanych terenach po Bałtyk i Odrę około osiemnaście milionów Niemców. Postawiono pytanie: „Co zrobić z Niemcami?". W programie wysunięto kilka wariantów rozwiązania tego problemu, w zależności od sytuacji polityczno-światowej. Szeroko rozwodzono się nad sprawą wysiedlania wszystkich Niemców:

a) na Sybir lub
b) na Zachód.

Autorzy programu nie czuli się szczęśliwi z wysiedlenia Niemców ani na Sybir, ani na Zachód, uważając, że taka masa ludzi może stać się w przyszłości groźna, gdziekolwiek by nie była. W końcu autorzy programu ONR-u doszli do przekonania, że idealnym rozwiązaniem likwidacji Niemców byłoby ich wyniszczenie (trudno uwierzyć, ale tak pisali). Zastanawiano się tylko nad sposobami i metodami. Uznano, że nie można zastosować metod hitlerowskich. Więc co robić?

Autorzy programu ONR-u wpadli na szatański pomysł: wykorzystać walki, które niewątpliwie toczyć się będą na całym terenie „Ziem Odzyskanych" i po prostu: zabijać! zabijać! zabijać!... W swojej perfidii zbrodniczej postawili pytanie: „Jak uchronić w takim pogromie Polaków, którzy znajdują się na przymusowych robotach?". Odpowiedź autorów programu ONR-u: „Trudno, własne ofiary muszą być".

Możecie wyobrazić sobie moją reakcję na takie szaleństwo. Czytając, za każdą stroną włosy dęba stawały. Dopiero widziałem, jaki miecz Demoklesa wisi nad naszym Ludem Mazurskim, nad naszymi rodzinami. Prawdziwa „wyprawa krzyżowa", jak kiedyś przeciwko naszym przodkom, Starym Prusom. (Jak trudno odnaleźć ten program ONR-u. Czyżby

ze wstydu całkowicie go zniszczono?) Program ONR-u dał mi dużo do myślenia. Nigdy więcej nie poszedłem na spotkanie z ich przedstawicielem.

Gdy dzisiaj o tych sprawach wspominam, to muszę powiedzieć, że grupa Związku Mazurów miała mizerne rozeznanie tego, co działo się w świecie i w ruchu podziemnym w Polsce. Dziś czytam książkę pt. *Warmia i Mazury* Wojciecha Wrzesińskiego, który na stronie 361-362 podaje następujące słowa: „Bardzo zdecydowanie w sprawach Prus Wschodnich wypowiadała się grupa »Szaniec«, wywodząca się z Obozu Narodowo-Radykalnego. Uzasadniając tezę »o fatalnych dla Polski konsekwencjach odwrotu z zachodu« nawoływano do wykorzystania okazji, która nadarza się w latach wojny, a która prawdopodobnie już nigdy się nie powtórzy, do zmiany granic Polski". Albo: „W grupie »Szaniec« przyznawano, że we współczesnym świecie argumenty etniczne nie są tak ważne dla rozstrzygania o kwestiach granicznych"; „(...) postulowano jednakże wysiedlenie wszystkiej ludności niemieckiej". Słowa powyższe potwierdzają to, co powiedziałem o ONR-ze. Nic dziwnego, skoro nawet prezydent USA Roosvelt (jak podaje W. Wrzesiński) w 1943 roku powiedział: „Prusy Wschodnie należy wyłączyć z Niemiec i siłą usunąć ze społeczeństwa wszystkie niebezpieczne elementy".

„Za wysiedleniem wszystkich Niemców z terenów przejętych od pierwszych miesięcy wojny wypowiadały się ugrupowania endeckie, odrzucając możliwość opcji. Projekty wysiedlenia Niemców spotkały się z poparciem wszystkich stronnictw związanych z Delegaturą" (w Londynie) – cytat [z] W. Wrzesińskiego, strona 396. Kto i jak rozumiał hasła: „wysiedlenie wszystkich Niemców" i kogo uznać w Prusach Wschodnich za „niebezpieczny element", okaże się nieco później. Okaże się też, iż polityka Związku Mazurów była błędna.

Największym błędem prezesa Karola Małłka było to, że naiwnie wierzył w słowa wypowiadane przez przedstawicieli różnych stronnictw. Nie ustała bowiem pielgrzymka do Mekki – Radości. Uważnie wysłuchiwano z rzewnością przedstawiane postulaty Związku Mazurów, by „nie uronić ani jednej kropli krwi polskiej na Mazurach". Oczywiście, ze względów taktycznych, dyplomatycznych i grzecznościowych przytakiwano i przyznawano słuszność poglądów. A co myśleli, co w sercu i pod pazuchą mieli, tego można się było tylko domyślać. Na pewno dumali sobie: „A kto tam na Mazurach, w Prusach Wschodnich jest Polakiem?". Przecież dobrze pamiętali, ilu Mazurów w Plebiscycie w 1920 roku opowiedziało się za Polską – zaledwie 2%. A ilu głosowałoby teraz, gdyby dano im swobodę głosowania?

Dlatego dla Polaków problem ludnościowy Prus Wschodnich był całkiem prosty: wszystkich Niemców wysiedlić lub wyniszczyć i basta. Tym bardziej, że warunki i sytuacja na arenie światowej temu sprzyjały.

A kogo uzna się w Prusach Wschodnich czy na Ziemiach Zachodnich za Polaka, to też żaden problem. Nie trzeba bowiem zapominać, że społeczeństwo polskie, bez względu na farbę polityczną, kieruje się względami religijnymi. O tym namacalnie przekonaliśmy się w czasie dwudziestolecia przynależności Działdowszyzny do Polski. Czy obecnie ograniczą się dla Mazurów warunki do przyjacielskiej rady inspektora szkolnego Kazimierza Kąkola: „Weźcie ślub w Kościele katolickim (stańcie się katolikami), a wszystko będzie dobrze", to się dopiero okaże.

Kogóż zdziwi tak radykalny, diabelski program ONR-u, pisany przez autorów w czerwonych (krwistych) rękawiczkach, namiastka przelanej krwi przyszłych ofiar pogromu ludności Prus Wschodnich i Ziem Zachodnich, skoro ofiarą paść mają nawet Polacy

– tubylcy i będący na robotach. Przecież z tych samych szeregów (z Endecji) pochodził morderca, E. Niewiadomski, który dnia 16 grudnia 1922 roku zastrzelił pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polski, Gabriela Narutowicza, tylko dlatego, że [ten] był ewangelikiem. Z tych samych pobudek religijnych stworzono tak drakoński, szatański plan ONR-u wyniszczenia, a według memorandum Delegatury Rządu Polskiego i wszystkich innych polskich organizacji, wysiedlenia wszystkich Niemców z obszarów przyłączonych do Polski i z Centralnej Polski.

A któż to dla Polaków jest Niemcem? Niemcem dla Polaka jest każdy ewangelik, bez względu, czy umie, czy nie umie po niemiecku. Ktoś powie, że taki wniosek wyciągam na podstawie własnego przeżycia i doświadczenia. Wcale nie. Pytam się: dlaczego Polacy tak uporczywie żądają wysiedlenia wszystkich Niemców, mimo iż są oni potomkami różnych narodowości, nawet rosyjskiej? Przecież na świecie nie ma państwa, które nie miałoby mniejszości narodowych. Dlaczego Polska nie życzy sobie Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Niemców i innych grup narodowych?

Bo Polacy chcą mieć Polskę katolicką! Dlatego wysuwają postulat wysiedlenia czy nawet wyniszczenia wszystkich Niemców. Prosta sprawa. Spójrzmy na realia: Polska sanacyjna (przedwojenna) miała 33-35% mniejszości narodowych, czyli z trzydziestu milionów ogółu ludności przeszło dziesięć milionów innowierców. Liczba ludności ziem, które mają przypaść Polsce, wynosi plus minus osiemnaście milionów. Ludność ta jest w 85% ewangelicka, czyli Polsce przybyłoby około piętnaście milionów „heretyków". Można się domyślać, jaki skład ludnościowy pod względem religijnym powstałby w Polsce. Być może, że innowiercy liczbowo stanowiliby większość ludności Polski powojennej.

Nie trudno domyślać się, jaka „mafia" jest inspiratorem takich ONR-owskich programów: wysiedlenia, wyniszczenia. „Mafią" tą jest Akcja Katolicka. Pogrom Niemców ma być podobny do wypraw krzyżowych przeciwko Starym Prusom, których inspiratorami byli papieże, a pomocni im byli Polacy, pierwszy Konrad Mazowiecki.

Co ciekawe i dziwne, że polskim planom przytakiwał, jak już wspomniałem, protestancki prezydent Ameryki, Franklin Delano Roosvelt, zachęcając Polaków, aby „siłą usunąć z Prus Wschodnich elementy niebezpieczne". A jakie elementy należy rozumieć, to już wyżej powiedziałem. Dziwne, że taka zachęta do wysiedlania wyszła od prezydenta państwa, w którym każda grupa etniczna korzysta z pełnych praw obywatelskich oraz praw swobodnego organizowania się w związki, utrzymywania szkół i pielęgnowania własnego języka i kultury. A co do Niemców, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, Roosvelt nie okazał się wcale taki srogi. Mimo prowadzonej z Niemcami wojny, Niemców amerykańskich ani nie wysiedlił, a nawet nie internował, jak to zrobił z Amerykanami pochodzenia japońskiego.

Polacy zrozumieli, że nadarza się okazja, która nigdy może się nie powtórzyć, by Polska była katolicką. Polacy zarzucili całkowicie myśl „rekatolizacji" Mazurów, mając pod tym względem złe doświadczenie z lat 1920–1939 na terenie Działdowszyzny. Rezultaty z tego okresu zadały kłam powiedzeniu działacza katolickiego, Jaroszyka, który w czasie Plebiscytu w 1920 roku głosił: „Mazurzy lgną do katolicyzmu". Jak i kto lgnął, to jeszcze zobaczymy.

W każdym razie jest rzeczą pewną, że członkowie Związku Mazurów, obracając się między polskimi organizacjami w Guberni Generalnej, mieli do czynienia z zakamuflowaną „mafią – Akcją Katolicką". Postulat pozostawienia, zachowania pół miliona Mazurów-

ewangelików nie odpowiadał, nie leżał w koncepcji mafii „Akcji Katolickiej", której duch żył w każdej polskiej organizacji. (Partii komunistycznej nie możemy uważać za polską, gdyż jest agenturą sowiecką.) Niestety działacze Związku Mazurów nie doceniali ważności „Akcji Katolickiej", może nawet nie myśleli o istnieniu takowej. Wierzono w polskość, nie przypuszczając, że organizacje polskie są inspirowane przez „mafię – Akcję Katolicką". Chyba nie potrzebuję tłumaczyć, że Polak najpierw jest katolikiem, a potem dopiero Polakiem. Polak nie nazywa budynku kościelnego „Kościołem katolickim", lecz „Kościołem polskim".

Działacze Związku Mazurów postępowali tak, jakby chcieli potwierdzić zdanie Kazimierza Jaroszyka, że „Mazurzy są chorzy, a wyzdrowieć mogą jedynie w atmosferze polskiej" – cytat z *Warmii i Mazury* W. Wrzesińskiego, s. 193. Innego zdania był Mazurski Komitet Plebiscytowy, który uważał, że „Mazur zna tylko Polaka-katolika, zna tylko nędzę polską, zna tylko biednego robotnika... Stąd miano »Polska« to dla Mazura synonim niższości, niższej kultury, biedy" – cytat z *Warmii i Mazur* W. Wrzesińskiego, s. 252.

Działacze Związku Mazurów odskoczyli od myślenia Mazurów Prus Wschodnich, którzy już w Plebiscycie 1920 roku dali pozytywną odpowiedź na hasło Maxa Worgitzkego: „Jak będziecie w Polsce, musicie być katolikami!" – Mazurzy Prus Wschodnich odpowiedzieli: „Nie chcemy być katolikami" i głosowali przeciwko Polsce.

A czy Mazurzy Prus Wschodnich i Działdowszczyzny w latach 1939–1945 inaczej myśleli? Z pewnością nie. A więc o co tu „kopię kruszyć?" – mówią Polacy. Już premier Rządu RP po przegranym Plebiscycie powiedział: „Z powodu tych kilku Polaków (którzy głosowali za Polską) z Niemcami wojny prowadzić nie będziemy". Tak samo Polacy Wyzwolonej Polski mogą powiedzieć: „Dla tych kilku polskich działaczy Związku Mazurów (13 osób), nie myślimy zgermanizowanych i do tego ewangelickich Mazurów Prus Wschodnich i Działdowszczyzny trzymać w granicach Polski".

W tym sensie podobną myśl usłyszał prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, z ust konspiracyjnego pana „Pawła" na pytanie: „A kogo pan zalicza do Polaków o pełnej świadomości narodowej w Prusach Wschodnich?". Pan „Paweł" odpowiedział: „A no, takich jak Pan, jak pańska grupa". Czyli raptem 13 osób, w tym jedna *Volksdeutscha*, jeden *Reichsdeutsch*, bo reszta Mazurów Prus Wschodnich i Działdowszczyzny to przecież Niemcy albo *Volksdeutsch* i *Eingedeutscht*.

A więc wyniszczenia Niemców wymaga polska racja stanu Akcji Katolickiej. To jest jasne.

Tak więc działacze Związku Mazurów nieświadomie borykali się z niewidzialną „niewidką" – mafią – Akcją Katolicką, uporczywie utrzymując, że Mazur Prus Wschodnich to Polak. Rzeczywistość zaprzeczała takiej tezie. Działacze Związku Mazurów powinni byli sobie uświadomić, że idea „Mazur to Polak" nie miała racji bytu ani w czasie Plebiscytu, ani w czasie dwudziestolecia przynależności Działdowszczyzny do Polski, ani w czasie wojny, ani w przyszłości. Związek Mazurów bowiem nie reprezentował ani myślenia, ani poczucia narodowego ogółu ludności mazurskiej Prus Wschodnich i Działdowszczyzny, mimo iż ta ostatnia 20 lat należała do Polski.

Ludności Prus Wschodnich łącznie z Mazurami bardziej odpowiadałaby idea „autonomii", a jeszcze lepiej niepodległe, niezależne państwo pod taką czy inną nazwą, choćby „Szwajcaria Bałtycka".

Ale działacze Związku Mazurów, uciekając przed prześladowaniem hitlerowskim z Działdowa do „podziemia" w Guberni Generalnej, po drodze zagubili i zatracili tę wspaniałą niepodległościową myśl, którą żyliśmy w Działdowie w latach od 1935 do 1939 roku. A myśl i idea ta miała na pewno większe szanse do zrealizowania, niż „polsko-mazurskie" Prusy Wschodnie. Trzeba było nam tylko zawczasu spojrzeć w inną stronę: na Wschód, a nie wypatrywać z Polakami wyzwolenia z Zachodu. Chwilą tą była data klęski armii niemieckiej pod Stalingradem, a nie lipiec 1944 roku, gdy było już po uchwałach mocarstw wojujących przeciw Hitlerowi. A może i wtedy było jeszcze nie za późno.

Właśnie po klęsce pod Stalingradem niemieccy niewolnicy w Rosji, pochodzący z Prus Wschodnich, zastanawiali się razem z królewieckim komunistą, Hermannem Materną, ukrywającym się w Związku Sowieckim nad oderwaniem Prus Wschodnich od Rzeszy Niemieckiej i w ten sposób uratować Prusy Wschodnie i ich ludność od zagłady. Pisze o tym autor książki pod tytułem *Nur der Name blieb* Heinrich Gerlach.

Czyli idea niepodległościowa istniała w Prusach Wschodnich. Wojciech Wrzesiński w *Warmia i Mazury* pisze: „Pierwsze propozycje utworzenia z Prus Wschodnich tzw. Oststaatu zostały rzucone już w 1918 roku. Utrzymywały się jeszcze po podpisaniu traktatu pokojowego. W Obozie Piłsudczykowskim z zainteresowaniem obserwowano wśród Niemców Prus Wschodnich tendencje separatystyczne". A więc idea niepodległościowa istniała dawno. Nie jest, jakby złośliwie ktoś myślał, „wymysłem" Związku Mazurów. Szkoda tylko, że Związek Mazurów ją zaprzepaścił. Po klęsce Hitlera jedynie Niepodległe Prusy Wschodnie odpowiadałyby Mazurom i wszystkim innym narodowościom. Historycznie biorąc, nie byłoby to żadne *novum*.

Ziemia Prus Wschodnich przez długie wieki była niepodległa, niezależna: Najpierw jako państwo Prusów, potem jako Zakon Krzyżacki, następnie jako Prusy Książęce i wreszcie jako Królestwo Prus, które z Brandenburgią i innymi terytoriami połączone było tylko unią personalną. Jeszcze za Fryderyka II Wielkiego (1740–7686) nie było Prus od Niemca do Renu, lecz tylko jako „Seiner Majestät Gesamtstaaten".

Tylko idea niepodległościowa mogła zapobiec tragedii Prus Wschodnich.

114
Wyzwolenie

Polaków irytowała sytuacja na frontach. Cieszyli się klęską armii niemieckiej pod Stalingradem, ale denerwowali się, że Anglia i Stany Zjednoczone nie śpieszą się z utworzeniem drugiego frontu przeciwko Hitlerowi na Zachodzie. Tymczasem wojska sowieckie wypierają Niemców z terenów rosyjskich i z każdym dniem zbliżają się do granic Polski. Dopiero dnia 6 czerwca 1944 roku państwa zachodnie rozpoczęły inwazję przeciwko Hitlerowi, lądując desantami w Normandii. Walka była bardzo ciężka. Niemcy bronili się wszelkimi siłami, zadając przeciwnikowi duże straty. O rozmiarach bitwy świadczy ilość sił bojowych, które rzucili Alianci do boju: 11 tysięcy samolotów bojowych, dwa tysiące samolotów transportowych, pięć tysięcy okrętów wojennych, cztery tysiące okrętów transportowych. W bitwach brali udział również żołnierze i lotnicy Armii Polskiej. Bitwa trwała

od 6 czerwca do końca sierpnia 1944 roku. To był początek wyzwalania Francji, Belgii, Holandii spod jarzma hitlerowskiego i dalszy marsz bojowy aliantów z Zachodu.

Niewielka pociecha dla Polaków, bo już 20 lipca 1944 roku armie radzieckie z pierwszą Armią Polską, utworzoną przez ZPP – Związek Patriotów Polskich w ZSRR, przekroczyły Bug. Dnia 21 lipca 1944 roku w Chełmie powstał PKWN – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, w składzie:

Osóbka-Morawski	– przewodniczący
Wanda Wasilewska, A. Witos i S. Janusz	– zastępcy
Michał Rola -Żymierski	– obrona narodowa
S. Kotek-Agroszewski	– administracja publiczna
J. S. Heneman	– gospodarka, finanse
J. Czechowski	– sprawiedliwość
S. Radkiewicz	– bezpieczeństwo publiczne
B. Drobner	– praca, opieka społeczna, zdrowie
J. M. Grubecki	– komunikacja, poczta, telegraf
E. Sommerstein	– odszkodowania wojenne
S. Skrzeszewski	– oświata
W. Rzymowski	– kultura i sztuka
S. Jędrychowski	– informacja i propaganda

To byli kierownicy „resortów". Resort spraw zagranicznych i rolnictwa spoczywał w rękach przewodniczącego, Osóbki-Morawskiego. Wyznaniowo duża część z nich to Żydzi. Politycznie przedstawiali „lewicę" po „ludowców".

Dnia 21 lipca 1944 roku przemianowano Armię Polską w Ludowe Wojsko Polskie.

Dnia 22 lipca 1944 roku wyzwolony został Chełm – siedziba Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Dnia 22 lipca 1944 roku PKWN ogłasza „Manifest Lipcowy", zapowiadając wielką reformę rolną.

Dnia 24 lipca wyzwolony został Lublin.

Dnia 24 lipca 1944 roku Związek Sowiecki na Konferencji w Moskwie wyjaśnia przedstawicielom PKWN podział Prus Wschodnich.

Dnia 30 lipca 1944 roku czołówka czołgów Sowieckich wkracza do Zbójnej Góry i do Radości k/Warszawy.

Kilka dni przed 30 lipca 1944 roku obserwowaliśmy z naszego balkonu naloty lotnictwa niemieckiego na stanowiska sowieckie. Szczególnie interesujące były naloty nocą. Bombardowanie i ostrzeliwanie artyleryjskie Niemcy poprzedzali zrzucaniem rakiet świetlnych. Rakiety rozpryskując się nabierały kształtu pięknych świetlnych choinek. Były to cudowne iluminacje. Takich nie widziałem nawet w New Yorku w Dzień Niepodległości, ani w Bundesrepublice w Sylwestra. Dnia 30 lipca 1944 roku, przy pięknej, słonecznej pogodzie przed południem, zatrzymała się w Zbójnej Górze czołówka czołgów sowieckich, maskując się w zaroślach obok naszego domu. Dla nas był to dowód, że Niemcy się wycofali, ale przez Zbójną Górę nie przechodziły żadne oddziały niemieckie. Ogólnie cieszyliśmy się, że ze strony hitleryzmu nie grozi nam już żadne niebezpieczeństwo, ale nikt nie entuzjazmował się wojskiem sowieckim. Nikt z mieszkańców nie witał czołgistów ani czerwonymi chorągiewkami, ani okrzykami „hura!".

Po chwili należałem do grupki odważniejszych, niektórzy umieli po rosyjsku. Podeszliśmy do grupy czołgistów, aby z nimi porozmawiać. Zdziwiliśmy się przede wszystkim tym, że zamaskowali czołgi w zagajnikach, co znaczy, że nie zamierzają dalej maszerować. Podeszliśmy do podoficera, pozdrawiając go po rosyjsku słowem „zdraswujtie", i pytamy go, dlaczego nie maszerują dalej do Warszawy. Mówimy mu, że w Warszawie Niemców nie ma. Odpowiedział: „Stalin przykazał tu się zatrzymać". Unikał dalszej rozmowy. Czołgiści odmówili przyjęcia papierosów, chleba, herbaty, kawy, wódki. Na pewno ślinka im leciała, patrząc na poczęstunek, ale „prykaz" jest „prykazem". Widocznie bali się, aby w poczęstunku nie było trucizny. Oj, nie ufali Polaczkom, nie ufali.

Dwa dni później przybył patrol z podoficerem. Ten w mieszkaniu naszego gospodarza, rozwinąwszy mapę, zapoznawał się z terenem. Na mapie był zaznaczony punkt do urządzenia swego stanowiska. Po dłuższej rozmowie, było to przed południem, prosił kogoś z nas na przewodnika. Nikt się nie zgłaszał, więc zgodziłem się ich poprowadzić. Było kilka kilometrów do owego wzgórza. Podziękował mi po rosyjsku. Wróciłem do domu, gdzie obawiano się o mój powrót.

Od 30 lipca do 10 września 1944 roku napływały dalsze jednostki wojsk sowieckich, szczególnie artylerii z kaciuszami. Cały teren naokoło nas był naszpikowany sprzętem bojowym. Zgromadzono ogromną siłę uderzeniową.

Dnia 1 sierpnia PKWN przenosi się z Chełma do Lublina.

Dnia 1 sierpnia 1944 roku wybucha powstanie warszawskie.

Do 29 lipca odbywał się normalny ruch komunikacyjny z Warszawą. Chodziła „ciuchcia" wąskotorowa, chodziły kolejki elektryczne. W ostatnich dniach lipca odbywał się niesamowity ruch z Warszawy i do Warszawy. Jedni wyjeżdżali z Warszawy, aby schronić się gdzieś pod Warszawą, inni natomiast uważali, że w Warszawie będzie bezpieczniej, więc z osiedli podwarszawskich przenosili się do Warszawy. Było tak, że nawet rodziny się rozdzieliły. Wejście Rosjan do Radości, Zbójnej Góry położyło kres wędrówce. Każdy musiał zostać, gdzie był. Myśmy pozostali na miejscu. Znaleźliśmy się po prostu na froncie, który ciągnął się wzdłuż lasu aż do Wisły. W rękach niemieckich znajdowały się miejscowości: Międzylesie, Anin, Wawer i Warszawa Praga, po prawej stronie Wisły.

Generał Bór-Komorowski, reprezentujący linię polityczną Rządu Polskiego w Londynie, ogłosił dnia 1 sierpnia 1944 roku powstanie, aby w ten sposób dać dowód, że Polacy również walczyli przeciwko Niemcom. Z pewnością liczono na pomoc ze strony wojsk sowieckich, stojących kilka kilometrów od Warszawy. Z mego okienka konspiracyjnego oglądaliśmy, jak niebo nad Warszawą zasłonięte było dymem. Niemcy podpalali Warszawę, równając ją z ziemią. Spalone strzępy gazet, książek, pędzone wiatrem, dolatywały aż do Zbójnej Góry. Początkowe sukcesy powstańców słabły z dnia na dzień. Brak amunicji, żywności dawały się we znaki. Pewnego dnia zauważyliśmy nad Warszawą dużą ilość samolotów. Za chwilę rozwarły się spadochrony. Sądziliśmy, że to desant wojskowy na pomoc powstańcom. Później dowiedzieliśmy się, że to był zrzut amunicji i żywności. Niestety, większa ilość zrzutu dostała się w ręce Niemców.

Przez cały czas powstania Niemcy ostrzeliwali nasze okolice ogniem artyleryjskim, szczególnie nocami. Wszyscy kryli się do piwnic. Ja wybrałem raczej miejsce za ścianą domu w ogrodzie. Za dnia stwierdziłem, że Niemcy ostrzeliwali nas pociskami szrapnelowymi (rozpryskowymi). Mogły ranić ludzi, wyrządzając małe szkody materialne. Aby być

bezpiecznym przed odłamkami pocisków, zbudowałem w ogrodzie, pod ścianą domu, mały schron ze szczapów opałowych, w którym przesiadywałem w czasie bombardowania.

A „sojusznik-przyjaciel-owobodziciel", ciekawym okiem przypatrywał się beznadziejnej walce powstańców warszawskich. Stalin czekał, aż powstańcy się wykrwawią. Chodziło mu o to, aby zginął kwiat młodzieży polskiej, nowy narybek oficerów polskich. Rolę wyniszczenia pozostawił Niemcom, nie chcąc być po raz drugi mordercą oficerów polskich. Pewnie Katyń gryzł jego mózg. Nagle zaczęło się coś ruszać po stronie sowieckiej. Na początku września 1944 roku Sowieci zaczęli ściągać coraz więcej wojska na linię frontu. Spotykani oficerowie zapowiadali, że wkrótce zagrają „organy Stalina". Co to mogą być za organy? – pomyśleliśmy. Ale o mało bylibyśmy ich nie usłyszeli. Bo oto naczelny dowódca frontu wydał rozkaz, aby ludność cywilna usunęła się w stronę Lublina. Zarządzenie swoje uzasadnił tym, że odbędzie się straszna bitwa i nie chce, aby ludność cywilna przy tym ucierpiała.

A myśmy się po prostu zżyli z frontem. Wszyscy sąsiedzi szykują się do opuszczania domów. W naszym domu jest narada. Żona radzi, abyśmy opuścili dom. Ja odradzam, bo z czego będziemy żyć na tułaczce. Oświadczyłem, że ja się nie ruszam. Jednak żona z Robusiem i Jadźką, w towarzystwie Bernarda, brata żony, udali się w drogę. Ja zostałem w domu. Jeszcze tego samego dnia wróciła żona z dziećmi i Bernardem, który swego czasu wycofał się przed frontem z Ukrainy. Mimo ostrego zarządzenia, dano nam spokój. Czekamy na „organy Stalina". Sowieci poradzili nam, aby do uszu powkładać watę, bo mogą nam bębenki popękać. Dowiadujemy się, że jutro rano zagrają „organy".

O ile się nie mylę, dnia 10 września 1944 roku wstaliśmy bardzo rano, aby być świadkami ogromnej batalii wojennej. Kto tego nie widział, nie może sobie wyobrazić, jak gęsto, jedne od drugich, stały armaty i kaciusze i to naokoło naszego domu i całej okolicy. Na rozkaz, wszystkie armaty i kaciusze jednocześnie rzygnęły ogniem. Pół godziny bez przerwy widać było ogień i dym. Do tego straszny huk. Ci, co to nazywali „organami", wcale nie przesadzali. Po pół godzinie strzelaniny kaciusze znajdujące się na platformach samochodowych szybko zmieniały stanowiska, gdyż nad nimi unosił się słup dymu, dobry cel dla nieprzyjaciela. Po krótkich przerwach powtarzano półgodzinną grę „organów Stalina". Patrząc w kierunku Warszawy, nad Międzylesiem i Aninem widzieliśmy ogromną chmurę dymu. Całe niebo było ciemne.

Po tak strasznym huraganie ognia sądziliśmy, że osiedla Międzylesie, Anin i Wawer przestały istnieć, a pobojowisko [jest] zasłane niezlicznymi trupami. Pierwszego dnia Sowieci zdobyli Międzylesie, Anin i Wawer. Front przesunął się nad przedpola Warszawy. Następnego dnia rano ani śladu po wojsku. Wszystkie jednostki opuściły Radość, Zbójną Górę [oddalając się] w kierunku Warszawy Pragi. Ciekawość nie daje nam spokoju, [w] kilku odważniejszych wyruszamy, aby oglądać pobojowisko w Międzylesiu i Aninie. Zdziwiliśmy się bardzo, bo nie znaleźliśmy żadnych trupów, ani śladów krwi po rannych, czy zabitych. Nie widzimy żadnych dużych lejów po pociskach artyleryjskich i kaciuszach, tylko tzw. „kurze gniazda", dołki po pociskach rozpryskowych. Drzewa ogołocone z liści i drobniejszych gałęzi. Domy tylko częściowo uszkodzone. Stąd wyciągnęliśmy wojskowy wniosek, że „organy Stalina" miały zdemoralizować wroga i razić go na powierzchni ziemi. Nie znajdując na polu walki żadnych trupów, dowiedzieliśmy się, że Niemcy dnia poprzedniego cichaczem wycofali się za Wisłę. A zatem w Międzylesiu i Aninie nie było Niemców. Czyli „organy Stalina" zagrały nam dla przyjemności.

Drugiego dnia ofensywy rozpoczęto zdobywanie Warszawy Pragi, która została wyzwolona 14 września 1944 roku. Z pewnością otucha weszła w dogorywające oddziały powstania warszawskiego, tym bardziej, że generał Zygmunt Berling ze swoją pierwszą Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki przeforsował Wisłę i Pilicę, stwarzając przyczółek pod Warką.

Wyglądało na to, że Sowieci ruszą dalej, aby zająć zniszczoną Warszawę i pomaszerować dalej. Niestety „prikaz" Stalina nakazywał stanąć na linii rzeki Wisła. Generała Berlinga zmuszono do wycofania swojej dywizji z powrotem na prawy brzeg Wisły, ponieważ przekraczając Wisłę i Pilicę działał podobno samowolnie, bez odgórnego rozkazu. Stąd popadł w niełaskę i zdaje się został zastąpiony przez generała Rolę-Żymierskiego.

Na próżno niedobitki powstańców warszawskich czekały na pomoc Sowietów. Stalin z przyjemnością patrzył, jak Niemcy likwidują Polaczków, tych, którzy słuchali Polskiego Rządu w Londynie. Być może było to też na rękę Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego. Generał Zygmunt Berling poszedł w zapomnienie. Warszawa z powstańcami oddana była całkowicie, bez reszty w ręce Niemców.

Dnia 2 października 1944 roku powstanie warszawskie skapitulowało. Niedobitki powstańców wraz z generałem Bór-Komorowskim dostali się do niewoli, a mieszkańcy Warszawy do obozów internowanych. Warszawa runęła w gruzy wraz z „świętymi" ołtarzami maryjnymi. Społeczeństwo polskie nie doczekało się tak upragnionego cudu. Pozostały dymiące zgliszcza Warszawy.

A wojska sowieckie odpoczywają od 14 września 1944 do połowy stycznia 1945 roku, czyli pełne cztery miesiące. W międzyczasie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego umacniał w Polsce swoją władzę.

Dnia 31 grudnia 1944 roku Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przemianowano na Tymczasowy Rząd, jeszcze z siedzibą w Lublinie.

W styczniu 1945 roku Stalin przygotował wielką ofensywę na całej linii frontu od Karpat po Bałtyk.

Dnia 17 stycznia 1945 roku wyzwolono Warszawę.

Dnia 19 stycznia 1945 roku wyzwolono Kraków.

Dnia 23 stycznia 1945 roku wyzwolono Poznań.

Dnia 25 stycznia 1945 roku zajęty został Elbląg, a więc w styczniu 1945 roku Prusy Wschodnie znalazły się w ręku wojsk sowieckich.

W czerwcu 1945 roku na skutek porozumienia między Tymczasowym Rządem w Lublinie i Rządem RP w Londynie utworzono Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, którego głównymi osobami byli:

Bolesław Bierut – przewodniczący,
Osóbka-Morawski – premier,
Władysław Gomułka
i Stanisław Mikołajczyk – wicepremierzy.

Powołanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej dokonano zgodnie z uchwałą trzech mocarstw na Konferencji w Jałcie między Roosveltem, Churchilem i Stalinem, odbytej w dniach od 4-11 lutego 1945 roku. Delegacja Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej pod przewodnictwem Bolesława Bieruta przedstawiła w Jałcie przywódcom trzech mocarstw stanowisko Polski w sprawie granic na zachodzie i północy.

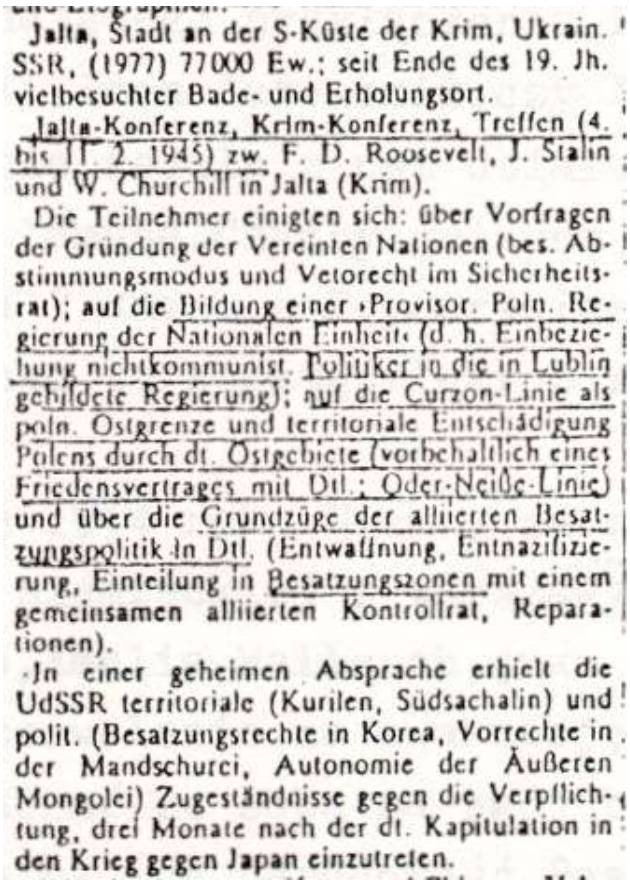

Jalta, Stadt an der S-Küste der Krim, Ukrain. SSR, (1977) 77000 Ew.; seit Ende des 19. Jh. vielbesuchter Bade- und Erholungsort.

Jalta-Konferenz, Krim-Konferenz, Treffen (4. bis 11. 2. 1945) zw. F. D. Roosevelt, J. Stalin und W. Churchill in Jalta (Krim).

Die Teilnehmer einigten sich: über Vorfragen der Gründung der Vereinten Nationen (bes. Abstimmungsmodus und Vetorecht im Sicherheitsrat); auf die Bildung einer ›Provisor. Poln. Regierung der Nationalen Einheit‹ (d. h. Einbeziehung nichtkommunist. Politiker in die in Lublin gebildete Regierung); auf die Curzon-Linie als poln. Ostgrenze und territoriale Entschädigung Polens durch dt. Ostgebiete (vorbehaltlich eines Friedensvertrages mit Dtl.; Oder-Neiße-Linie) und über die Grundzüge der alliierten Besatzungspolitik in Dtl. (Entwaffnung, Entnazifizierung, Einteilung in Besatzungszonen mit einem gemeinsamen alliierten Kontrollrat, Reparationen).

In einer geheimen Absprache erhielt die UdSSR territoriale (Kurilen, Südsachalin) und polit. (Besatzungsrechte in Korea, Vorrechte in der Mandschurei, Autonomie der Äußeren Mongolei) Zugeständnisse gegen die Verpflichtung, drei Monate nach der dt. Kapitulation in den Krieg gegen Japan einzutreten.

Jalta-Konferenz, Krim-Konferenz, Treffen 4.-11.2.1945 zwischen F. D. Roosevelt, J. Stalin und W. Churchil in Jalta (Krim)[252].
[Podpis pod zdjęciem oryginalny – Red.]

[252] „Die Teilnehmer einigten sich über Vorfragen der Gründung der Vereinigten Nationen (bes. Abstimmungsort und Vetorecht im Sicherheitsrat); auf die Bildung einer Provisor. Poln. Regierung der Nationalen Einheit (d.h. Einbeziehung nichtkommunist. Politiker in die in Lublin gebildete Regierung); auf die Curzon-Linie als poln. Ostgrenze und territoriale Entschädigung Polens durch dt. Ostgebiete (vorbehaltlich eines Friedensvertrages mit Dtl; Oder-Neiße-Linie und über die Grundzüge der allierten Besatzungspolitik in Dtl (Entwaffnung, Entnazifizierung, Einteilung in Besatzungszonen mit einem gemeinsamen allierten Kontrollrat, Reparationen).

In einer geheimen Absprache erhielt die UdSSR (Kurilen, Südsachalin) und polit. (Besatzungsrechte in Korea, Vorrechte in der Mandschurei, Autonomie der äußeren Mongolei) Zugeständnisse gegen die Verpflichtung drei Monate nach der dt. Kapitulation in den Krieg gegen Japan einzutreten".

„Jałta, miasto na południowym brzegu Krymu, Ukraińska SSR, 1977), 77 tys. mieszkańców, od końca XIX wieku licznie odwiedzana miejscowość kąpieliskowo-uzdrowiskowa.

Konferencja Jałtańska, Konferencja Krymska, spotkanie (4.-11.02.1945) F.D. Roosevelta, J. Stalina i W. Churchila w Jałcie (na Krymie).

Uczestnicy doszli do zgody w sprawie kwestii wstępnych dot. powołania Organizacji Narodów Zjednoczonych (szczególnie gdy chodzi o modus głosowania i prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa), w sprawie utworzenia prowizorycznego polskiego Rządu Jedności Narodowej w Lublinie (wciągając polityków niekomunist.), w sprawie linii Curzona jako polskiej granicy na wschodzie, czyli terytorialnej rekompensaty Polsce kosztem niemieckich obszarów na wschodzie (z zastrzeżeniem zawarcia umowy pokojowej z Niemcami); linii na Odrze i Nysie,

115
Konferencja w Jałcie (4 – 11.02.1945)

Z uchwały jałtańskiej wynika, że na terenie pokonanych Niemiec powstaną „strefy okupacyjne", które obowiązywać będą do czasu zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami. Zgodzono się, że Polsce przypadnie na zachodzie obszar na linii Odra – Nysa jako obszar pod administracją Polski.

Na północy nie spełniły się apetyty Polaków. „Przyjaciel" (?) Polski, Stalin, nie zgodził się, aby Polsce przyznano administrację całych Prus Wschodnich. Podobno twarde i ciężkie na ten temat były rozmowy delegacji polskiej ze Stalinem. Każdego dnia zmieniały się na mapie granice podziału.

Jakaż wielka szkoda, że nie było tam delegacji Związku Mazurów z projektem utworzenia „Republiki Szwajcarii Bałtyckiej" albo „Republiki Sowiecko-Bałtyckiej". „Władza leżała na ulicy, trzeba było ją tylko podjąć" – jak to przewidywał nasz ziomek dr Kurt Obitz. Niestety, zbrakło go i dlatego „nie było komu podjąć władzy, która leżała w rękach Stalina".

116
Związek Mazurów po wyzwoleniu

Każdy z członków Związku Mazurów boryka się z trudnościami bytowymi, które po wkroczeniu wojsk sowieckich pogarszają się z dnia na dzień. Prezes Karol Małłek aż do ostatniego dnia pracował w młynie na Pradze, więc z rodziną nie cierpiał głodu. Natomiast nasza sytuacja po moim zwolnieniu w firmie Gerlacha była krytyczna. Mimo wszystko, wszyscy działacze pozostawali w swych dotychczasowych miejscach zamieszkania. W takich warunkach trudno było myśleć o grupowym działaniu.

Opracowywanie zagadnień spadło na tych, którzy mieszkali w Radości: na prezesa Karola Małłka, Eugeniusza Piechę i na mnie. Moim obowiązkiem było też omówione sprawy przenieść na papier. Inni członkowie Związku Mazurów byli przypadkowymi gośćmi w Radości, którzy dowiadywali się o rzeczach nam wiadomych, a myśmy zapoznawali się z ich działalnością. Do odwiedzających Radość należeli: Jan Sczech, Fryderyk Leyk, Fryderyk (Jerzy) Burski i Walter Późny.

Szybko zbliżający się front armii radzieckiej radykalnie zmienił naszą orientację polityczną. Nastawiliśmy się na to, że wyzwolenie Polski nastąpi przez Związki Sowiecki, gdzie powstał Związek Patriotów Polskich, namiastka Rządu Polskiego i pierwsza Dywizja Wojska Polskiego im. Tadeusza Kościuszki. Niestety, Związek Mazurów ograniczył się do roli reprezentowania drobnej grupy polskiego ruchu konspiracyjnego, żądającego przyłą-

---

oraz główny zarys okupacyjnej polityki aliantów w Niemczech (rozbrojenie, denazyfikacja, podział na strefy okupacyjne ze wspólną Radą Kontrolną Aliantów, odszkodowania reparacyjne).

Dzięki tajnemu porozumieniu ZSRR otrzymał Kuryle, południowy Sachalin i polityczne (prawo okupowania w Korei, przywilej pierwszeństwa w Mandżurii, autonomię zewnętrznej Mongolii) ustępstwa za zobowiązanie [by] w przeciągu 3 miesięcy po kapitulacji Niemiec wszcząć wojnę z Japonią".

czenia Prus Wschodnich do Polski. Idea autonomii, czy Niepodległe Prusy Wschodnie, zeszła z ust działaczy Związku Mazurów do lamusa. Czyżby gwiazda „Króla Mazurów" przygasła? Razem z Fryderykiem Leykiem ubolewaliśmy nad tą stratą, ilekroć u nas nocował.

Na początku czerwca 1944 roku Niemcy zarządzili ewakuację ludności niemieckiej z Warszawy. Członkini Związku Mazurskiego, Amalia Wallesch, jako *Volksdeutschka* dostała zezwolenie na ewakuację do Berlina. Miała prawo zabrać ze sobą na swój bilet 10 osób bez względu na ich narodowość. Postanowiła wyjechać, bo nie była pewna, czy działalność w konspiracji i przechowywanie rodziny żydowskiej uchroni ją od prześladowania, a może nawet od śmierci ze strony Polaków. Namawiała mnie i moją żonę, abyśmy z nią wyjechali do Berlina. Znając radykalne programy „likwidacji niemczyzny", zgodziliśmy się wyjechać z Amalią Wallesch do Berlina. Do wyjazdu jednak nie doszło, bo Amalii Wallesch zmieniono cel ewakuacji, z Berlina na Działdowo. No tak, pomyśleliśmy, akurat wejść mordercom w łapy, którzy nas poszukiwali. Zrezygnowaliśmy z wyjazdu. Prosiliśmy Amalię Wallesch, aby w nasze miejsce zabrała naszą znajomą Jankę Kornalewską z synem Januszem. Zgodziła się i w ten sposób znajomi znaleźli się w rodzinnej Mławie.

W czerwcu 1944 roku po raz ostatni był w Radości Fryderyk (Jerzy) Burski, z którym prezes Karol Małłek w mojej i Piechy obecności szczegółowo omówił wszelkie sprawy odnośnie nawiązania kontaktu z Rządem Polski, jak tylko znajdzie się na terenie Polski. Przewidywaliśmy bowiem, że Jerzy Burski, Hermann Schmidt, Fryderyk Leyk, Gustaw Leyding i Fryderyk Późny znajdą się jako pierwsi w gronie oswobodzonych, więc na nich jako przedstawicieli ludności mazurskiej Prus Wschodnich spadnie obowiązek nawiązania kontaktu z Rządem Polskim, by przedstawić nasze dezyderaty. Na tym skończyły się nasze kontakty przed wkroczeniem armii sowieckiej na polskie ziemie. Walter Późny jako obywatel niemiecki został powołany na wojnę. Walczył na froncie wschodnim. Dostał się do niewoli sowieckiej. Uciekł. Przez Rumunię dostał się po powstaniu warszawskim do Warszawy, do żony.

117
Kontakt z rządem Polski

Jak przewidywaliśmy, tak pierwszymi wyzwolonymi spod okupacji hitlerowskiej byli wyżej wymienieni działacze Związku Mazurów.

Dnia 1 września 1944 roku Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przeniósł się z Chełma do Lublina. Tylko Jerzy Burski i Hermann Schmidt, który przybrał nazwisko Hieronim Skurpski, pamiętając o naszej rozmowie w Radości, udali się z Paulinowa do Lublina, aby jako reprezentanci ludności mazurskiej Prus Wschodnich przedstawić się najwyższej władzy Polski. Świadomie czy nieświadomie znaleźli się w biurze resortu administracji publicznej, której kierownikiem był Kotek-Agroszewski. Przyjęła ich młoda sekretarka. Przedstawili się, wymieniając swoje nazwiska. Jerzy Burski dodał: „Jesteśmy delegacją Mazurów spod Grunwaldu, chcemy rozmawiać z rządem". Na to sekretarka: „Skąd panowie są?" (Nie wiem, czy sekretarka używała tytułów „towarzysze", „obywatele", czy też „panowie".) Burski odpowiada „Mazurzy spod Grunwaldu". „A gdzie to jest, Grunwald?"

– pyta sekretarka. „Proszę o mapę, to pokażę". Sekretarka: „Mapę, mapę, hm mapę..." – kręciła się, nie znajdując mapy. „Muszę zapytać" – poszła do sąsiedniego pokoju. Po chwili wraca z dwoma panami („towarzyszami", "obywatelami?"). Ci pytają: „Skąd panowie (towarzysze) są?". Burski, widząc, że ma do czynienia z dyletantami, przybrał minę cynika, odpowiada: „Mazurzy spod Grunwaldu". Pytają: „Gdzie to leży, Grunwald?". Burski: „Pokażę na mapie". „Hm, mapa, gdzie może być mapa?" – zaczęto krzątać się za mapą. Trwało dość długo, nim znalazła się mapa. Na jej podstawie biuraliści umiejscowili w swoich umysłach Grunwald.

Powyższą relację podaję według opowiadania Jerzego Burskiego. Burski z Schmidtem byli z tą wizytą w Rządzie tuż po osiedleniu się Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie. Z zachowania biuralistów można wnioskować, że pracownikami resortów byli ludzie z przypadku. Wynikiem wizyty w rządzie było, że Jerzy Burski i Hieronim Skurpski (Hermann Schmidt) zostali wchłonięci przez PKWN i coraz bardziej z nim związani. Burski przedstawiał ogół spraw mazurskich, Skurpski jako malarz-artysta reprezentował sztukę i kulturę. Jerzy Burski dobrze znał zagadnienia mazurskie, więc był rozrywany w Lublinie. Szczególnie prasa nie dała mu spokoju. Jerzy Borejsza, Żyd, był „drzwiami" do Bolesława Bieruta, przyszłego prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Delegaci Mazur rośli w oczach Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Dziwne, że do Lublina nie zjawili się: Gustaw Leyding, sekretarz Związku Mazurów, Fryderyk Leyk, ani Fryderyk Późny. Nie zjawił się też działacz plebiscytowy, ksiądz Ewald Lodwich. Wszyscy mieszkali w Siedlcach lub okolicy.

118
NKWD na wyzwolonych terenach

W sierpniu 1944 roku po jednostkach bojowych zjawiły się grupy NKWD. Zaczęły wyłapywać członków AK – Armii Krajowej. Aresztowano i wysyłano do obozu Majdanek koło Lublina. To ten obóz, w którym Niemcy trzymali Polaków. Ważniejszych działaczy wywożono na Sybir, skąd nie było powrotu. Sytuacja w Polsce się nie zmieniła: jeden okupant zluzował drugiego. Szczególnie mężczyźni ukrywali się, aby nie dostać się w ręce NKWD. Po wkroczeniu Sowietów do Radości nastała straszna bieda. Wszystkiego brakowało.

Pewnego pięknego, słonecznego przedpołudnia mój szwagier, Bernard Wysocki, wyszedł w spodenkach i koszulce (bo było gorąco), aby gdziekolwiek zdobyć coś do jedzenia. Jak poszedł tak nie wrócił. Moja żona z Lucyną Sadren (która kochała się w Bernardzie) poszły go szukać. Dowiedziały się, że NKWD aresztowało szereg mężczyzn i trzymają ich w jakiejś szopie. Wróciły do domu i zaniosły Bernardowi ubranie. Na drugi czy trzeci dzień wywieziono ich do obozu w Majdanku. Podobnie działo się na całym „wyzwolonym" terenie. Ot, „wyswobodziciele"!?

Po zajęciu przez Sowietów Warszawy Pragi 14.9.1944 roku ze względu na większe bezpieczeństwo wyprowadziliśmy się do Florczaka i zamieszkaliśmy w opuszczonej willi baptystów pod lasem na granicy Międzylesia. Mieszkaliśmy bezpłatnie, gdyż nie było właściciela. Stacjonowała tam jeszcze przez krótki czas piechota rosyjska, a kilku oficerów

mieszkało w tej willi, którzy poprosili moją żonę, aby im gotowała. Ucieszyliśmy się, że będziemy mieli co jeść. Niestety, zapowiedzieli, że tylko „rebionki" mogą z ich jedzenia jeść, ale nikt z dorosłych, bo oni sami nie mają żadnych zapasów. Doprawdy nie mieli, a co zdobyli, z tego żona cuda robiła, żeby ugotować jakąkolwiek zupę. Rarytasem były ziemniaki smażone sposobem rosyjskim: surowe ziemniaki krojono w plastry, rzucone na tłuszcz na patelnię. A ziemniaki musieli zdobywać, podkradając się nocą na pola ziemniaczane, tuż na linii frontu przy Wiśle. Po kilkunastu dniach oficerowie opuścili willę, pozostaliśmy sami. Wtedy i dzieci nie miały skromnej zupy. Och, jakaż to była bieda. Wpadłem na pomysł: rozbierałem bunkry z pni, piłowałem, rąbałem, robiłem wiązki, które żona z Robusiem na wózku dziecinnym ciągnęły przez piaski, aby w Radości sprzedać, a za zdobyte grosze kupowała, co się dostało.

Pewnego dnia zjawił się szwagier, Bernard Wysocki, który uciekł z obozu w Majdanku, gdzie traktowano ich jako przestępców. W końcu dawano im do wyboru: wstąpienie do armii polskiej, albo zsyłka na Sybir. Bernard wybrał „wolność" (?), uciekł. Pomagał nam w rąbaniu i sprzedaży drzewa opałowego. Ale taki środek transportowy – wózek dziecinny, nie dawał dochodu, by pięcioosobowa rodzina mogła wyżyć. W domu panował niedostatek. Bernard nie widział innego wyjścia, tylko zgłosić się z powrotem do Majdanka, do Wojska Polskiego. Dostał się na kurs przeszkoleniowy. Po kursie, będąc kapralem Wojska Polskiego Polski sanacyjnej, dostał stopień „chorążego". Był to stopień „archaiczny" (ni to podoficer, ni oficer, stopień pośredni), zniesiony w służbie wojskowej. Nie został skierowany na front zachodni, by zdobywać Berlin. Jednostkę jego wysłano na południowy-wschód, do walki przeciw skrajnie nacjonalistycznym oddziałom ukraińskim UPA, które walczyły przeciw Rosji i Polsce. Głównym dowódcą Armii Polskiej, walczącej przeciw „UPA", był generał Karol Świerczewski.

Według oficjalnej wersji, poległ pod Baligrodem w 1944 roku. Według nieoficjalnych wieści, został zastrzelony przez „swoich" jako niewygodny. Tak mawiali wojskowi armii generała Świerczewskiego, do których należał Bernard Wysocki. Widocznie zlikwidowany na zasadzie późniejszej dewizy Światły (uciekiniera na Zachód): „Niewinny, dopóki nie przyjdzie pora". Widocznie generał Świerczewski „komuś" nie pasował i musiał podzielić los poległych. Bernard Wysocki dosłużył się stopnia podporucznika Polskiego Wojska Ludowego.

119
Warszawskie Starostwo Powiatowe

Z chwilą zajęcia Warszawy Pragi przez wojska sowieckie dnia 14 września 1944 roku zorganizowano Warszawskie Starostwo Powiatowe z siedzibą w Michalinie. Pierwszym starostą był Stanisław Krupka, który stał się naszym przyjacielem.

Nie wiedząc nic o działalności Jerzego Burskiego i Hieronima Skurpskiego (Schmidta), ponieważ nie było żadnej komunikacji, myśleliśmy o tym, aby dostać się do Lublina. Poza tym trzeba było myśleć o egzystencji, bowiem warunki bytowe były krytyczne. Starosta zaproponował Karolowi i mnie pracę w Starostwie. Obaj pracowaliśmy jako referenci opieki społecznej pod kierownictwem mgra Krzysińskiego. Mnie podlegały „zakłady opie-

kuńcze – sierocińce". Praca polegała raczej na improwizowaniu, gdyż środki materialne opieki społecznej były bardzo nikłe. Polegały prawie wyłącznie na przydziałach w naturze. Również pracownicy Starostwa dostawali skromne przydziały: mąki, kaszy, fasoli, oleju jadalnego.

Sierocińce stały pod opieką i kierownictwem zakonnic katolickich. Lustrując sierociniec, spotkałem się z praktyką dla mnie nieprzyjemną i niemiłą: dla referenta (czyli dla mnie) przygotowano pełną teczkę artykułów żywnościowych. Jakaż to była pokusa: wziąć – nie wziąć? Głód w domu nakazywał „wziąć". Ale gdy spojrzałem na wynędzniałe sieroty, które miałbym okradać z tak mizernych przydziałów, zażenowany delikatnie wytłumaczyłem kierowniczce, że przyjąć nie mogę. Wiem, że gest zakonnic miał znaczyć: mieć referenta po swojej stronie, „w kieszeni". Współczułem dzieciom, które przez wojnę straciły ojców, matki, braci, siostry. Cieszyłem się, że przy takim niedostatku były w stanie zaśpiewać mi pieśni i zarecytować wierszyki. Z ciężkim sercem opuszczałem sierociniec, nie widząc możliwości polepszenia ich bytu i ich losu. W starostwie pracowałem aż do chwili wyjazdu do Olsztyna, dochodząc pieszo do pracy.

Rozczulałem się nad własną nędzą i nad niedostatkiem, który cierpią nasze dzieci. Żyliśmy nadzieją, że nadejdzie dzień, w którym ruszymy w nasze rodzinne strony, na Mazury, na Prusy Wschodnie. Czy tam będzie lepiej, czy gorzej, ale zawsze na swoich śmieciach.

120
Działacze mazurscy wznawiają kontakty

Pracując w Warszawskim Starostwie Powiatowym, dowiedzieliśmy się od starosty Stanisława Krupki o działalności Jerzego Burskiego w Lublinie. Przez kuriera Starosty daliśmy znać Jerzemu Burskiemu, że żyjemy i że czekamy na jego przyjazd, bo z naszej strony nie mamy możliwości dostać się do Lublina. W październiku przyjechał Burski do Radości. Poinformował nas o swojej działalności w ramach PKWN-u i o panujących stosunkach z władzami naczelnymi. Powiedział, że dobrze byłoby, gdybyśmy opracowali na piśmie całość zagadnień Prus Wschodnich.

W czasie kilkudniowego pobytu Burskiego w Radości opracowywano Memoriał Związku Mazurów dla Rządu Polskiego. Ponieważ Burski nocował u prezesa, Karola Małłka, więc przede wszystkim oni dwaj redagowali treść Memoriału. Memoriał obejmował następujące zagadnienia:

1. Nazwa województwa
2. Obszar i ustrój
3. Ludność
4. Język
5. Sprawy gospodarcze
6. Oświata i wychowanie
7. Zabytki
8. Sprawy kościelne
9. Propaganda.

(Do Memoriału Związku Mazurów ustosunkuję się później, analizując go z dzisiejszej perspektywy.)

Przy tej okazji Burski opowiedział nam szczegółowo o „humorystycznym" wydarzeniu, gdy razem ze Skurpskim przedstawiali się w biurze administracji publicznej w Lublinie jako „Mazurzy spod Grunwaldu", a pracownicy biura nie wiedzieli, co to jest Grunwald. Było to pierwsze spotkanie działaczy Związku Mazurów po „wyzwoleniu".

121
Prezes Związku Mazurów w Lublinie

Starosta Powiatowy Stanisław Krupka obiecał prezesowi Karolowi Małłkowi, że jak tylko zorganizuje jakiś środek lokomocji, to zabierze go ze sobą do Lublina. Starosta słowa dotrzymał.

Raniutko, dnia 21 listopada 1944 roku, wybrali się samochodem terenowym („Willisem") do Lublina, do siedziby Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Po przybyciu do Lublina prezes Związku Mazurów skontaktował się z Jerzym Burskim i Hieronimem Skorupskim. Obaj radzili prezesowi, aby przed pójściem do Bieruta najpierw poszedł do Jerzego Borejszy, redaktora „Rzeczypospolitej" i prezesa Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Jerzy Borejsza był bowiem „drzwiami" do Bieruta. Burski wytłumaczył się, że nie może towarzyszyć prezesowi z uwagi na pilne obowiązki i pracę w PKWN. Wobec tego Karol Małłek poszedł do Borejszy w towarzystwie Skurpskiego. Ponieważ nie brałem osobistego udziału w tym tak ważnym wydarzeniu, więc posłużę się słowami brata, prezesa Związku Mazurów, zawartych w jego wspomnieniach *Z Mazur do podziemia*.

Karol pisze, że spotkanie z Jerzym Borejszą miało miejsce dnia 21 listopada 1944 roku po południu. Dyskusja toczyła się naokoło zagadnienia ludności mazurskiej Prus Wschodnich, która po wojnie przypadnie Polsce. Podstawą dyskusji był Memoriał Związku Mazurów, który zabrał Jerzy Burski z Radości do Lublina. Jerzy Borejsza zauważył, że aby realizacja postulatów i dezyderatów Związku Mazurów, które uznał za całkiem słuszne, przebiegała i postępowała właściwymi drogami i metodami, zaproponował, aby prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, przyjął stanowisko „Pełnomocnika Rządu" Prus Wschodnich. Wspaniała propozycja! – uważam.

Biorąc pod uwagę postulaty i program Związku Mazurów, była to propozycja właściwa i logiczna, aby Mazurzy wzięli władzę na Mazurach – Prusach Wschodnich, w swoje ręce. Jednym słowem nadarzyła się okazja, że „władza leży na ulicy i trzeba ją tylko podnieść, chwycić w ręce", jak to często powtarzał nieżyjący (szkoda) doktor Kurt Obitz. Jaka była reakcja prezesa Karola Małłka na tę realną, doniosłą propozycję? Reakcja dla mnie szokująca! Zamiast cieszyć się i „kuć żelazo póki gorące", chwycić „władzę" w ręce i przygotowywać odpowiednie kadry (które były do wyboru), prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, odpowiedział dosłownie: „Przepraszam, ja nie przychodzę tu po władzę, lecz po odpowiedź, czy Prusy Wschodnie wejdą w skład państwowości polskiej i pod jakimi hasłami"...

Jerzy Borejsza nadal obstawał przy swojej propozycji, mówiąc: „A skoro chodzi o desygnowanie was na pełnomocnika rządu w Prusach Wschodnich, to chyba to byłoby najsprawiedliwsze. Moim zdaniem, wszystko przemawia za tym". Rzecz nie do uwierzenia: Prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, wymiguje się, zasłaniając się lepiej przydatnym na to stanowisko (mocniejszym) doktorem Szymańskim.

W tym miejscu przypomina mi się historia biblijna: Jan Chrzciciel powiada: „To nie ja zbawię lud izraelski. Za mną idzie mocniejszy" – wskazując na Jezusa: „Oto Baranek, który zbawi lud izraelski". Ja tylko głoszę: „Pokutujcie!". To nie ja, Karol Małłek, uszczęśliwię Lud Mazurski. Oto mocniejszy baranek, doktor Szymański. Wprawdzie Karol Małłek nie głosi „pokutujcie", ale woła na wszystkie strony: „Polacy, zlitujcie się nad Mazurami Prus Wschodnich". Wnet okaże się, że to było wołanie „na puszczy".

Stawianie kandydatury doktora Szymańskiego trzeba uznać jako unik – manewr Karola Małłka, tłumaczący jego odmowę. Przecież nie byliśmy pewni, czy doktor Szymański w ogóle żyje, gdyż był aresztowany i siedział w obozie koncentracyjnym. Czym kierował się prezes Związku Mazurów, nie godząc przyjąć stanowisko Pełnomocnika Rządu w Prusach Wschodnich? Oto chyba zagadka. Można się chyba domyślać. Wiemy, że imponowało mu miano „Król Mazurów". Zawsze podkreślał, że jest reprezentantem Ludu Mazurskiego. Wiemy, że lubił być wodzirejem. Lubił zasiadywać „wysoko" i na „przedzie". Lubił imponować. A tu nagle powiada: nie! Czy uważał, że fotel, na którym miał usiąść, był za wysoki? Że nie dorósł do niego? A może... – oj, boję się głośno powiedzieć: może nie był pewny, czy Polska komunistyczna długo się utrzyma. Boć każdy wiedział, jak nikła była ilość komunistów w Polsce. Zresztą i Karol Małłek nigdy komunistą nie był. Stwierdzam to za panem, obywatelem czy towarzyszem, Andrzejem Wakarem. A być może, że prezes Związku Mazurów, nie godząc się na Pełnomocnika Prus Wschodnich, zląkł się po prostu własnego „memoriału", czy własnego „Programu likwidacji niemczyzny w Prusach Wschodnich"?

Przyjrzyjmy się temu „Memoriałowi". W tym miejscu ograniczam się do tego, co podaje W. Wrzesiński w książce *Warmia i Mazury*, strona 415[*].

„(...) W 1945 r. pozwala stwierdzić, że wiele postulatów Związku Mazurów realizowano. Związek Mazurów w tym momencie domagał się:

1) utworzenia województwa mazurskiego z powiatów: nidzickiego z Działdowszczyzną, szczycieńskiego, mrągowskiego, piskiego, ełckiego, oleckiego, giżyckiego, reszelskiego, olsztyńskiego, ostródzkiego, mąroskiego, lidzbarskiego, kętrzyńskiego, węgorzewskiego, gołdapskiego, darkiejmskiego, bartoszyckiego, iławieckiego (Pr. Eylau), świętomiejskiego, braniewskiego i pasłęckiego oraz włączenia do województwa pomorskiego powiatów: elbląskiego, malborskiego, sztumskiego, kwidzyńskiego i suskiego,
2) zorganizowania administracji państwowej i samorządu terytorialnego na podstawie przepisów polskich, ze zmianami wprowadzonymi na podstawie ustaw KRN i dekretów PKWN,
3) wprowadzenia ustawodawstwa i sądownictwa polskiego,
4) wprowadzenia w stosunku do miejscowej ludności polskiej wszystkich praw dotyczących Polaków na obszarach całej Rzeczypospolitej,
5) wysiedlenia ludności niemieckiej,

[*] W. Wrzesiński, *Warmia i Mazury w polskiej myśli politycznej 1864–1945*, Warszawa 1984, s. 454.

6) wprowadzenia języka polskiego jako jedynego języka urzędowego,
7) skonfiskowania całego majątku niemieckiego,
8) przeprowadzenia reformy rolnej,
9) zlikwidowania szkolnictwa niemieckiego i wprowadzenia w jego miejsce szkolnictwa polskiego wszystkich typów,
10) zapewnienia specjalnej opieki zabytkom polskiej sztuki rodzimej,
11) zorganizowania muzeum regionalnego ziemi mazurskiej,
12) przywrócenia kościołowi ewangelickiemu na Mazurach charakteru polskiego".

Proszę zwrócić uwagę na punkt piąty i siódmy. Przypomnijcie, co powiedziałem o tym, kogo Polacy będą uważali za Niemców w Prusach Wschodnich. Powtórzę krótko: Polacy uznają wszystkich Mazurów za Niemców, bo są „heretykami". I mogę już powiedzieć, że to, co Związek Mazurów wymierzył (pkt. 5 i 7) Niemcom, będzie rykoszetem, bumerangiem przeciwko nam, działaczom mazurskim, bo jesteśmy ewangelikami.

Dlatego, być może, że prezes Związku Mazurów podświadomie wyczuł, że „Memorandum Związku Mazurów" będzie dla Ludu mazurskiego „holocaustem" i wolał ograniczyć się do „głosu wołającego na puszczy", rezygnując ze stanowiska Pełnomocnika Rządu w Prusach Wschodnich.

Po obszernej dyskusji z Jerzym Borejszą uzgodnili, że następnego dnia udadzą się do Bolesława Bieruta w składzie: Karol Małłek, Jerzy Burski, Hieronim Skurpski w towarzystwie Jerzego Borejszy.

Dnia 22 listopada 1944 roku odbyła się audiencja u Przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej (KRN), Bolesława Bieruta. Jerzy Burski i tym razem wymówił się od uczestnictwa w konferencji. Jerzy Borejsza był wprowadzającym Karola Małłka i Hieronima Skurpskiego do Przewodniczącego KRN-u, Bolesława Bieruta. I tu wałkowano sprawę ludności mazurskiej Prus Wschodnich. I tutaj prezes Związku Mazurów powtórzył: „Ludność niemiecką wysiedlimy do Niemiec". Na zakończenie audiencji Jerzy Borejsza powtórzył pytanie: „Panie Karolu! A wy jaką funkcję chcielibyście dzierżyć? Administrację?". I na to pytanie prezes Związku Mazurów odpowiada wymijająco: „To jest chyba sprawa późniejsza...". Jak może polityk takie słowa mówić: „sprawa późniejsza", skoro armie sowieckie z Armią Polską stoją w Warszawie Praga i u progu Prus Wschodnich? Kiedy to „później" ma nastąpić? W każdym razie prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, wrócił do Radości bez tytułu Pełnomocnika Rządu Prus Wschodnich, dumny, że rozmawiał z „prezydentem", jakby nie było.

122
Druga podróż do Lublina

Muszę z góry uprzedzić, że biorąc osobiście udział w tej wyprawie, moja relacja z pobytu w Lublinie będzie inna od opisu Karola, brata mego, prezesa Związku Mazurów. Ale piszę to, co pamiętam.

Zgódźmy się z Karolem, że wyjazd do Lublina nastąpił 1 grudnia 1944 roku. Było nas trzech, Karol Małłek, Eugeniusz Piecha i ja, Edward Małłek. Ponieważ pobyt w Lublinie miał być okresem roboczym, polegającym na opracowywaniu i pisaniu referatów i innych

prac, więc zabraliśmy wszelkie materiały, które mieliśmy w posiadaniu, łącznie z różnymi programami polskich organizacji konspiracyjnych. Było tego ogromne dwie walizki. Nie pamiętam, jakim sposobem dostaliśmy się do Lublina, najprawdopodobniej samochodem ciężarowym.

W Lublinie spotkaliśmy się z Jerzym Burskim. Dostaliśmy kwaterę w jakimś hotelu: dość duży pokój, bez łóżek, był tylko stół i kilka krzeseł, piec kaflowy. Zimno jak w psiarni. Od Burskiego dowiedzieliśmy się, że nie mamy z kim rozmawiać, bo ważne „figury" się rozjechały. Mieliśmy więc wolny czas.

W hotelu i w biurach wydawnictw spotykaliśmy różnych ludzi rozprawiających o przyszłości Polski. U wszystkich twarze zatroskane, jakby zaskoczone powstałą sytuacją: komunizm na polskiej ziemi!? Widziałem to zatroskanie u „ludowców", bo innych grup politycznych, bardziej w „prawo", czy też w „centrum" leżących, nie było. Reporterzy uganiali się za nowościami. I nas nagabywano, było zbiegowisko. Wszędzie panował gwar. Każdy obserwując, czy nie usłyszy czegoś nowego, nadstawiał ucha, ale myśmy nie dali się wciągnąć w dłuższe rozmowy. „Co to będzie z 33-ma partiami, czy stronnictwami politycznymi, które istniały w Polsce sanacyjnej?". Rzeczywiście sytuacja w Polsce przewróciła się nogami do góry. Na niczym zeszedł nam dzień. Nastał wieczór. Pokój nieogrzewany, choć piec kaflowy stał, ale nie było opału. Posililiśmy się chyba kanapkami z domu. Wieczorem odwiedził nas w „hotelu" Jerzy Burski. Opowiadał o różnych „ciekawych" sprawach, z którymi styka się w ramach pracy w PKWN-ie i w rozmowach z różnymi osobami i osobistościami. Powiada, jak jeden drugiego szpicluje, jeden drugiego podkopuje, że odbywają się kontrole w mieszkaniach, że trzeba się liczyć z tym, aby nie mieć nic takiego, co mogłoby dawać posmak „reakcji". Na to wpada prezes ze słowami: „A my mamy tego całe dwie walizki".

Jerzy Burski, nie zwróciwszy uwagi na słowa prezesa, opowiada dalej o walce, która toczy się między poszczególnymi kierownikami resortów. Jak zlikwidowano kierownika administracji publicznej, Kotka-Agroszewskiego. Według jednej wersji: położono mu na stół (może na biurko) rewolwer ze słowami: „Wiesz, co masz zrobić". Według drugiej wersji, został zastrzelony. O pogrzebie nikt nie słyszał. Gdzie jest mogiła Kotka-Agroszewskiego, nikt nie wie. *Encyklopedia* go nie wspomina. Ot, znikł jak kamfora. Słuchając opowiadań Burskiego, nie dając po sobie poznać, strach nas ogarniał. Dość późno pożegnał nas Jerzy Burski.

Dopiero po jego odejściu daliśmy upust naszemu strachowi, szczególnie mój brat, Karol, trząsł się ze strachu. Z pewnością przypomniał sobie moment, gdy został aresztowany przez NKWD w Radości, przy ulicy Jasnej 9, gdy znaleziono zakopane w ogrodzie dokumenty, kiedy to podrzucili mu nawet książkę przeciwko komunizmowi. Strach był uzasadniony. Karol z Geńkiem chodzą z kąta w kąt i mruczą: „Co tu robić?". Na to mówię do nich: „Skoro macie takiego stracha, to zwyczajnie trzeba zniszczyć to, co mogłoby być podejrzane. Ponieważ ja znam najlepiej nasz »skarb kulturalny«, więc ja będę sortował, a Ty, Geniek, rozpalisz piec i będziemy palili to, co »śmierdzi reakcją«. I tak też zrobiliśmy. Ja mu podawałem, a Geniek pakował do pieca. Po chwili piec był gorący, w pokoju stało się cieplutko i przyjemnie. Dokumentów ubyło o połowę. Jeszcze raz sprawdziłem pozostałość, po czym powiedziałem: „No, teraz możemy spokojnie spać". Nerwy się uspokoiły, kości i mięśnie się ogrzały, sen chwycił nas w swoje ramiona. Prezes położył się na stole, ja

z Geńkiem na krzesłach. Można sobie wyobrazić, jak nas kości bolały po tak twardych „łożach".

Na drugi dzień, wolni już od strachu, kręcimy się tu i tam, bo nadal nie ma z kim gadać. Nasunęła mi się myśl: czy czasami Jerzy Burski nie umyślnie napędził nam stracha. Bo, znając Jurka, zachowanie jego było inne, jak dawniej. Zauważyłem, że czuje się w „siodle" i może zapachniała mu kariera. Miał kontakty z „czołówką" rządu, może nie chciał oddać „rumaka" drugiemu, choćby nawet prezesowi Związku Mazurów. Takie oto myśli przechodziły po mojej głowie. Widząc, że tu, w Lublinie, nie ma z kim gadać, powiadam do prezesa Związku Mazurów i do Geńka Piechy: „Na co my tu czekamy? Jedźmy do Stalina!". To prawda, orzekli, ale za późno! Może jeszcze nie było za późno, boć wojska Stalina stały dopiero na linii Wisła – Warszawa Praga. Brakowało jedynie koncepcji i odpowiednich reprezentantów. Po prostu chybiona okazja uratowania Prus Wschodnich i Ludu Mazurskiego przed zagładą. Wreszcie drugiego dnia, raczej trzeciego, doszło do spotkania, ale tylko z kierownikiem resortu administracji publicznej, Adamem Ostrowskim, który zajął fotel po Kotku-Agroszewskim.

Po przywitaniu i zapoznaniu się pan (chyba towarzysz) Ostrowski postawił następujące pytanie: „Więc jakie stanowiska chcieliby panowie mieć?". Nie pamiętam, czy byliśmy „panami", „obywatelami", czy „towarzyszami"? Oczywiście, i tu prezes Karol Małłek wyskoczył z repliką: „Myśmy tu nie przyszli po posady, lecz omówić ważkie sprawy, dotyczące Prus Wschodnich, których jesteśmy reprezentantami".

Dyskusja nie kleiła się. Sam prezes Karol Małłek pisze w swoich pamiętnikach – tom trzeci s. 186 – o tym spotkaniu: „Pan Ostrowski potraktował nas przychylnie, ale nie czuł się dość kompetentny, aby podjąć jakąś wiążącą decyzję w naszej sprawie. Wobec tego zaproponowałem, abyśmy na razie udali się do swych domów i tam czekali na decyzję, jaką wyda po powrocie prezydent Bierut... Obiecał kontaktować się z nami za pośrednictwem Jerzego Burskiego".

Po tej wizycie zauważyłem, jak prezes Związku Mazurów chętnie opuszcza (ucieka) z Lublina. Wracaliśmy niezadowoleni. Już w Radości pisze Karol Małłek: „Gdy znaleźliśmy się w naszej kwaterze, zaproponowałem rozwiązanie Związku Mazurów, jako że wykonał już swoją misję historyczną i Ludowej Ojczyźnie nie jest już potrzebny. Nastąpiło to 13 grudnia 1944 roku w Lublinie". Co, w Lublinie? Tu chyba zakradł się jakiś chochlik drukarski, bo tu coś nie sztymuje. Tak samo w następnym zdaniu. „Każdy z nas wrócił na swoje dotychczasowe śmiecie, aby wyczekiwać na powołania do Lublina". Po co i na co oczekiwać, skoro Związek Mazurów już nie istnieje? Finisz – Związku Mazurów już nie ma. Amen.

Odtąd każdy z działaczy mazurskich stał się niejako „prywatną inicjatywą", nie bardzo pasującą do ustroju komunistycznego. Ale mimo wszystko, każdy po swojemu będzie musiał pływać. Bezwarunkowa kapitulacja! W uszach moich słyszę Brodowskie dzwony: „Kuba, Janie, pójdziesz w wądół!".

Reasumując wyniki naszego pobytu w Lublinie, odnoszę wrażenie, że prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, czuł się zawstydzony i zawiedziony, przygaszony na duchu, bowiem nie miał z kim rozmawiać. Jakby odstawiony na tor boczny, bo „będziemy się kontaktować za pośrednictwem Jerzego Burskiego" (słowa przedstawiciela rządu mgra Adama Ostrowskiego). Z pewnością wyczuł, że nie on, Karol Małłek, gra pierwsze skrzypce w sprawach mazurskich, lecz Jerzy Burski.

Spójrzmy oczyma przedstawicieli rządu na tę sprawę. Nie ma wątpliwości, że Jerzy Burski odpowiadał rządowi, bowiem zakasał rękawy, wziął się do roboty, z miejsca włączył się w prace Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a nie jak prezes Związku Mazurów, Karol Małłek: tu macie nasz „memoriał", nasz „program", proszę go realizować, bo „myśmy nie przyjechali po posady" (do pracy – mój dodatek). I chyba to jest jasne, że kartą do gry rządu w Lublinie był „król" Jerzy Burski, a nie Karol Małłek. I tak też zostało.

Nic dziwnego, że z Lublina wróciliśmy z niczym. I tylko w tym świetle trzeba widzieć dalszą działalność Karola Małłka po rozwiązaniu Związku Mazurów, już nie jako prezesa, lecz indywidualnego działacza mazurskiego na rzecz Polski. Już nie jest reprezentantem Ludu Mazurskiego, ba, nie jest nawet reprezentantem grupy działaczy mazurskich.

W dalszym rozwoju wydarzeń każdy z nich działał we własnym zakresie, według własnej inspiracji i według istniejących warunków. Już nie ma ani grupowej myśli, ani grupowego działania działaczy mazurskich. Każdy począł własną rzepkę skrobać. Ja też.

„Król Mazurów", Karol Małłek, zamiast kroczyć ze swoją grupą w pierwszej linii frontu na „pola Grunwaldu" jako władza, jako „Pełnomocnik Rządu", w swej naiwnej wierze złożył los Ludu Mazurskiego w ręce Rządu Polskiego, składającego się w większości z przedstawicieli narodu żydowskiego, jakże sromotnie maltretowanego i mordowanego przez hitleryzm, w którego szeregach posłusznie walczyli zgermanizowani Mazurzy Prus Wschodnich i Działdowszczuzny. Im wtórowali jadem „Akcji Katolickiej" przesiąknięci ONR-owcy i członkowie wszystkich innych polskich organizacji. Z góry można było przewidywać tragicznych następstw takiego postawienia sprawy.

123
Totalna ofensywa Armii Sowieckiej

Od początku 1945 roku dowództwo armii sowieckiej koncentruje ogromne siły do generalnej ofensywy przeciwko siłom wojsk niemieckich. Codziennie napływają różnego rodzaju jednostki wojskowe. W tym i oddziały Polskiej Armii. Około 15 stycznia 1945 roku zagrzmiały sowieckie armaty i kaciusze na całym froncie od Karpat po Bałtyk. Już 17 stycznia „wyzwolono" Warszawę, niszcząc ją bodajże do reszty. Używając słów Jezusa Chrystusa: „Nie został kamień na kamieniu".

Front przesuwał się szybko naprzód, na zachód i na północ. Niemcy nie dają rady powstrzymać Sowietów, bo walczą na wszystkich frontach: na południu w Afryce, na zachodzie, na północy w Norwegii.

W ciągu stycznia 1945 roku Armia Czerwona zajmuje całe Prusy Wschodnie. Nie wiemy, co tam się dzieje, ale myślami jesteśmy tam. Martwimy się o nasze rodziny, o naszych krewnych, znajomych. Martwimy się o los mieszkańców Prus Wschodnich, boć jesteśmy ich cząstką. Jednocześnie obserwujemy poczynania władz na wyzwolonych terenach: NKWD wyłapuje „reakcjonistów", wrogów komunizmu, a Polacy polują na *Volksdeutschów*. Osobiście widziałem w Radości, jak Polacy pędzili grupkę zmęczonych *Volksdeutschów*, którzy wlekli na skombinowanej prymitywnej platformie niedołężną staruszkę. Może była inwalidką, może chora, tego nie wiem. Widok nieludzki, niehumanitarny.

124
Wracamy do domu na Mazury

W końcu stycznia 1945 roku mój brat Karol, były prezes Związku Mazurów, powiada do mnie: „Wracamy do domu. Prusy Wschodnie są zajęte, więc możemy maszerować do domu". „Jak to sobie wyobrażasz: iść do domu?" – pytam. „No, idziemy, ja, ty, Geniek, aby ratować Mateczkę, siostry, braci...". „Powiadasz, iść. Ale jak, z kijami w ręku, czy co?". „No tak, idziemy, aby tam być jak najprędzej!". „Ja z kijem w ręku nie idę. Jeżeli mamy iść, to tylko jako władza: ty jako wódz masz do dyspozycji oficera zawodowego, Kurta Wilamowskiego, który zorganizuje oddział Urzędu Bezpieczeństwa, masz mnie, oficera rezerwy, który zorganizuje oddział Milicji Obywatelskiej i jako siły uzbrojone, z pełnomocnictwami w ręku, ruszymy do Olsztyna, a nie do Brodowa. Bo jeżeli Mateczka, siostry, bracia dotąd nie zginęli, to żyć będą, a jeżeli zostali zabici, to ich nie wskrzesisz od umarłych. Bracie, tylko pod takimi warunkami pójdę na Mazury, inaczej nie idę". To powiedziałem bratu i przy tym zostałem.

Brat pozostał też przy swoim planie i dnia 1 lutego 1945 roku wyruszył w drogę do Brodowa, powiat Działdowo, razem ze szwagrem, Eugeniuszem Piechą. Rodziny ich pozostały w Radości. Droga ich prowadziła przez Modlin – Ciechanów – Mławę. Szli pieszo, czasami ktoś ich podwiózł i częściowo samochodami wojskowymi. Ostatni odcinek jechali samochodem z uzbrojonymi sowietami.

Na krzyżówkach, gdy wysiedli, zauważyli, że sołdaty celują na nich, więc błyskawicznie skoczyli do przydrożnego rowu. Sołdaty, oddalając się, zaniechali ubić dwóch Polaczków. Karol i Geniek głęboko odetchnęli, bo już „już duszę mieli na ramieniu". Łatwo mogli zginąć, chcąc ratować innych.

Dnia 3 lutego 1945 roku znaną drogą dotarli do Brodowa.

125
Sytuacja w Brodowie
(według opowiadania głównie mojej siostry, Jadwigi)

Na początku jesieni 1944 roku Niemcy wciągnęli do wojska mego szwagra, Fryderyka Żbikowskiego z Pierławki, i moich dwóch braci, Augusta z Rutkowic, Emila z Klęczkowa. Bracia dostali się do *Volkssturmu*[253]. Ich uzbrojeniem była przede wszystkim łopata i kilof, bo kopali rowy przeciwczołgowe w powiecie Ełk, we wsi Grabnik. (Mój brat Jan już nie żył, zmarł w 1942 roku.)

W tym samym czasie rozlokowało się w Brodowie wojsko hitlerowskie. Kwatermistrz niemiecki w asyście sołtysa Heyny i Ortsbauernführera[254] Emila Jebrama chodził od domu do domu, zajmując kwatery. Gdy podeszli do naszego podwórka, przedstawiciele Brodowa

[253] Szturmówka ludowa (oddziały zastępcze rekrutowane przeważnie spośród emerytów).
[254] Wódz lokalnej komórki partii nazistowskiej.

zwrócili kwatermistrzowi uwagę: „Hier nicht. Das ist eine polnische Familie”[255]. Kwatermistrz, jakby nie słyszał, wszedł do naszego domu, grzecznie pozdrowił i zapytał, czy może obejrzeć mieszkanie, bo szukają kwater. „Bitte schön”[256] – odpowiedziały Mateczka z Hedką, moją siostrą, otwierając pokój za pokojem. Po obejrzeniu kwatermistrz powiedział: „Frau Mallek, bei Ihnen werden Offiziere einquatiert”[257]. Sołtys i Ortsbauernführer zdziwili się bardzo. Mateczka i Hedka też się zdziwiły, bo tak grzecznej „lustracji” mieszkania przez całe cztery i pół roku ze strony hitlerowców nie miały. Zawsze kontrolowano i szukano Karola i mnie, a nawet zaglądano do garnka, czy czasami Mateczka nie gotuje „nielegalnie” ubitego świniaka.

Oficerowie zajęli kwaterę. Zdziwienie dla całej wsi, że u „Polaków” kwaterują oficerowie, a u nich, Niemców, tylko pospolite wojsko. A oficerowie czuli się na naszej kwaterze coraz lepiej. Chwalili, że mają najlepszą kwaterę ze wszystkich. Najczęściej u Małłkowej odbywały się zebrania i narady oficerów. Odtąd Mateczka z Hedką miały spokój od wszelkich kontroli i myszkowania za ukrywającymi się. Dwóch z tych oficerów mieszkało u Mateczki aż do ostatniej chwili, przed wkroczeniem Rusków.

W ostatnim czasie w armii niemieckiej kulało z zaopatrzeniem. Brakowało żołnierzom i oficerom szczególnie mięsa, aczkolwiek wszystkie obory były pełne bydła, świń i drobiu, ale „władze” wsi trzymały się ściśle przepisów aż do ostatniej chwili, to znaczy, że wolno było dokonać uboju tylko po otrzymaniu zezwolenia. Oficerowie kwaterujący u Mateczki takiego zezwolenia nie mogli otrzymać. Po rozmowie Mateczka sprzedała im, nie lękając się odpowiedzialności, 2 krowy na ubój. Mateczka widziała przecież, jak wszyscy gospodarze szykowali wozy do ucieczki, więc co tu kogoś pytać o zezwolenie. Tylko Mateczka nie szykowała wozów do ucieczki, bo oficerowie serdecznie radzili, aby w takich warunkach, głęboki śnieg i duży mróz, nie uciekać, gdyż można gdzieś w drodze zginąć, bowiem drogi będą zawalone wojskami i uciekinierami.

Przez cały czas pobytu u nas informowali nas o wydarzeniach w świecie. Odchodząc czy uciekając, serdecznie dziękowali za wszystko, za bardzo gościnną i miłą kwaterę, radząc, aby nie uciekać, tylko siedzieć na miejscu. Niemcy, wycofując się, zostawili dużo sprzętu wojennego, szczególnie samochodów, gdyż motory były do tego stopnia zamarznięte, że w żaden sposób nie mogły zaskoczyć, zapalić. Na naszym podwórku pozostawili dużo samochodów osobowych. Niemcy, wycofując się, nie zabierali żadnego inwentarza, ani martwego, ani żywego. Pełne stodoły i obory dostały się w ręce Sowietów.

W nocy z 18-go na 19-go stycznia 1945 roku Ruski byli w Brodowie.

Dzień przedtem wszyscy gospodarze z parobkami ruszyli z załadowanymi wozami w kierunku na Nibork. Nie zajechali daleko, bo zaledwie do Woli, niektórzy do Krokowa. Stamtąd zaczęli wracać do domu. Tylko Mateczka z Hedką i Żywiec, sąsiad, nie wyjeżdżali.

W Brodowie powstała Sodoma i Gomora. Sołdaty zaczęli gwałcić dziewczęta, kobiety. Dwie siostry Adriówny, młode mężatki, ze strachu przed gwałtami wrzuciły starsze dzieci do studni. Wszystkie potonęły. Trudno opisać, co się działo. Kto mógł, ukrywał się. I Mateczka z Hedką ukrywały się po obcych domach. Zaraza, choroby płciowe padły na kobiety, dziewczęta. Niejedne długo musiały się leczyć.

[255] Tu nie, tu mieszka rodzina polska.
[256] Bardzo proszę.
[257] Pani Mallek, tu będą zakwaterowani oficerowie.

Rosjanie wywozili do Rosji cały dorobek ludzki oraz nieuszkodzony sprzęt wojenny. Wywozili samochody, maszyny rolnicze. Potem konie, bydło. Stajnie, obory ogołocili. Świnie, drób rżnęli po kolei. Po kilku dniach w domu nie było ani jednego konia, ani krowy, ani świniaka, ani jednej kury. Zaistniał głód. Dom ogołocili Polacy z domowizny, mebli, ubrań, dokumentów (moich osobistych), książek, korzystając z nieobecności Mateczki i Hedki, które ukrywały się poza domem (później część mebli zwrócili).

Na dodatek do domu przybyli bracia August i Emil, którzy uciekli z Volkssturmu. Z Klęczkowa przybył syn Emila, Edward, z jakimś chłopakiem. W lutym doszła jeszcze żona Emila, Agata, z matką i niemowlęciem, Arminem, bo zostali przez Polaków wypędzeni z własności w Klęczkowie, a teść Emila, Marek, został w południe na ulicy rozstrzelany.

Polacy (katolicy) w Brodowie zaraz po wkroczeniu Rusków zorganizowali Straż Obywatelską (późniejsza Milicja Obywatelska) i zaczęli gospodarować po swojemu: ewangelików wypędzono z domów, pozbawiono własności i umieszczono ich w pewnych domach, które nazwano „gettami”. Stamtąd wyprowadzano ich do roboty na kolei i ruskim lotnisku w Iłowie. Jedynie Mateczka i Hedka nie zostały wypędzone z własności. Ale do roboty musieli chodzić Hedka, August i Emil. Żywiec, przedwojenny wójt, też został wypędzony z własności. Przygarnął go do siebie Reszko.

126
Polscy „Krzyżacy” w akcji

Pewnego dnia, było to w styczniu 1945 roku, spędzono do budynku parafialnego Kościoła Ewangelicko-Unijnego w Narzymiu resztkę ocalałych, będących przy życiu ewangelików. Organizatorem tej „wyprawy krzyżowej” był katolicki ksiądz Kobyliński z Białut, jeden z nauczycieli, były wychowanek Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie [...][*] oraz inni „obywatele” nowego Narzymia. Tych niedobitków heretyckich było około 18 osób, między innymi takie nazwiska, jak: Lysy (Łysy), córka zastrzelona z siostrą, Siegmund, Dombrowski, Mahn (Wołyniak) i inni. Postawiono im ultimatum: albo przyjmą katolicyzm i przekażą kościół w Narzymiu Kościołowi katolickiemu, albo śmierć. Czysto, prawowiernie, po krzyżacku!

Zgromadzeni nie byli waldensami, ani hugenotami, którzy dla prawdy Chrystusowej dali się wyrżnąć. Luteranie narzymscy postąpili tak, jak niektórzy Starzy Prusowie: „co szkodzi dać się pokropić”. Podpisali, że przekazują swój kościół Kościołowi katolickiemu i sami przyjmują katolicyzm. Zostali ochrzczeni, po „dziękczynnej mszy” otrzymali komunię świętą, oczywiście, pod jedną postacią, bo wino wypił tylko sam ksiądz.

Według relacji pani Lysy, ci sami „polscy Krzyżowcy”, zachęceni zdobyczą przybyli do Brodowa. Spędzili zmaltretowanych ewangelików z getta do sali szkolnej. Powołując się na ewangelików narzymskich, namawiali brodowskich ewangelików na katolicyzm. Nie

[*] Nazwisko znajdowało się w rękopisie, którym nie dysponuje edytor – Red.

wiem, jaką odpowiedź dali brodowscy ewangelicy, bo nasi nie byli na tym „spędzie". W każdym razie, „Krzyżowcy" wyszli z kwitkiem.

Czyż nie w ten sposób wyobrażali sobie Polacy „przytulić »współbraci« Mazurów do łona Madonny, prowadząc ich pod obraz »Królowej Polski«"?! Zamiast do Jezusa Chrystusa, jedynego Zbawiciela, mają się modlić tak, jak Karol Wojtyła, papież Jan Paweł II, do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, do Królowej Polski. Zamiast Krzyża Chrystusowego ma wisieć obraz Madonny, obraz Matki Boskiej. To nieważne, że w pierwszym przykazaniu Bóg powiada: „Nie uczynisz sobie obrazu rytego, ani żadnej podobizny... Nie będziesz się im kłaniał, ani im służył" (tak czytamy w Biblii katolickiej w II. księdze Mojż. 20, 15). Co tam dla katolika słowa Pana Boga, „którego nikt inny nigdy nie widział, prócz jego Syna, Jezusa". Ważniejsze są słowa „zastępcy Boga" na ziemi, papieża. Tego trzeba słuchać, bo inaczej będziesz wyklęty i pójdziesz do piekła, albo, jak dawniej bywało, najpierw zostaniesz spalony. Tak długo, jak papieżami będą tacy, jak Karol Wojtyła, tak długo Mazurzy, którzy staliście się katolikami, modlić się będziecie do takiego oto obrazka w kościołach opływających w złocie, Regina Poloniae, Matki Boskiej Jasnogórskiej, Czarnej Madonny.

te und Hintergrund

Dienstag, 24. August 1982 WAZ

Schwarze Madonna feiert ihr Jubiläum

Gnadenbild vermutlich eine Kopie

Von RENATE MARSCH

WARSCHAU (dpa)

Für Millionen Polen ist die „Mutter Gottes von Tschenstochau" mehr als ein Gnadenbild. Es ist die Personifizierung von Maria, der „Königin Polens", die ihr auserwähltes polnisches Volk in die nationale Pflicht nimmt und ihm dafür besondere Gnade gewährt. Lech Walesa trug das Bild am Jackenaufschlag, als er vor zwei Jahren das Abkommen von Danzig unterzeichnete.

SYMBOL DES POLENTUMS und der nationalen Einheit: Die Schwarze Madonna von Tschenstochau.

*

Dienstag, 24. August 1982
Schwarze MADONNA

Schwarze Madonna feiert ihr Jubiläum

Von RENATE MARSCH
WARSCHAU (DPA)

Für Millionen Polen ist die „Mutter Gottes von Tschenstochau” mehr als ein Gnadenbild. Es ist die Personifizierung von Maria, der „Königin Polens”, die ihr auserwähltes polnisches Volk in die nationale Pflicht nimmt und Ihm dafür besondere Gnade gewährt. Lech Walęsa trug das Bild am Jackenaufschlag, als er vor zwei Jahren das Abkommen von Danzig unterzeichnete.

Mehr als 100 000 Menschen pilgerten in diesem Jahr nach Tschenstochau um für Polen zu beten. Der Papst hält es für seine Pflicht, der Mutter Gottes zum 600. Jubiläum ihrer Anwesenheit in Tschenstochau seine Reverenz zu erweisen. Er kommt nun nicht wie geplant am kommenden Donnerstag. Daher wurden die Jubiläumsfeiern auf ein ganzes Jahr verlängert.

Es ist ohnehin nicht klar, wann das Bild nach Tschenstochau kam. 1382 holte Herzog Wladyslaus von Oppeln 16 Pauliner-Mönche aus Ungarn ins Land. Sie gründeten das Kloster. Historisch begründet ist, dass sich das Bild 1384 dort befand.

Es ist wahrscheinlich eine Kriegsbeute Wladyslaus aus Russland. Der Legende nach soll es der Hl. Lucas auf Holz gemalt haben, das von dem Tisch der Hl. Familie in Nazareth stammt.

Das heute verehrte Bild ist wohl eine Kopie aus dem 15. Jahrhundert. 1430 rissen Husitten das Original vom Altar und zerhackten es. An den Überfall erinnern die zwei langen Schwertwunden auf der rechten Wange des Madonnenbildes.

Nach der erfolgreichen Verteidiguing des Klosters 1655 gegen die Schweden erhob König Jan Kazimierz in Lemberg Maria feierlich zur Königin Polens. Seither gilt das Kloster als Hort des Polentums und der Marienkult wurde zum Symbol für den Wiederstandsgeist der geteilten Nation.

Der deutschen Besatzungsmacht war der nationale Geist des Klosters ein Dorn im Auge. Militär wurde auf dem Klostergelände stationiert und die Mönche bespitzelt. Zwei von ihnen wurden 1941 wegen „nationalistischer Predigten” verhaftet. Im Januar 1945 rettete ein Vorstoß der Roten Armee das Kloster. Es war von den Deutschen vermint worden. Man fand 70 Minen, eine hinter dem Marienbild.

Im kommunistisch beherrschten Volkspolen blieb die Madonna nicht nur religiöses sondern auch nationales Symbol. Am Ende des Stalinismus kamen am 26. August 1956 eine Million Pilger und erneuerten das Gelöbnis an die „Königin Polens”. Kurz darauf wurde Primas Kardinal Wyszyński aus der Internierung entlassen. Er mobilisierte den Marienkult noch, übergab die Nation 1966 in die „Knechtschaft Mariens” und schickte eine vom Papst geweihte Kopie in alle Gemeinden. Jahrelang war die Kopie unterwegs. In jeder Gemeinde wurde der „Besuch” zu einer Massenveranstaltung. Auch heute ist das Bild wieder

ein Symbol. Tausende tragen es auf dem Rockaufschlag als Ersatz für ihr verschwundenes „Solidaritäts"-Abzeichen[258].

*

W imię katolickiego boga na obrazku poniżej „Polscy Krzyżowcy", słudzy Akcji Katolickiej, dokonywali zgodnie z programami konspiracyjnymi likwidacji niemczyzny w powiecie działdowskim i w Prusach Wschodnich, jak również na Ziemiach Zachodnich. Rzecz niesamowicie dziwna, że działo się to pod osłoną i ochroną komunizmu! Jakiż parszywy ten komunizm. Wstyd powtarzać ideowe hasła komunizmu. Pod osłoną komunizmu „polscy Krzyżacy" prowadzili wojnę religijną. W imię „Matki Boskiej" spędzono ewangelików do gett, gdzie panował głód, brud, choroby, robactwo. Staruszkowie, jak wuj Jebram, zawszony, skóra w strupach, wynędzniały, pokryjomu łamzał u Mateczki o kawałek chleba, o odrobinę masła, by namaścić rany. W imię „Czarnej Madonny" pędzono wynędzniałych ewangelików do pracy w Iłowie. W imię „Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski" pozbawiono ewangelików majętności, wszelkiej własności. Wyrabowano wszystko, co posiadali.

Nie ominęło to również naszą Mateczkę. W tym czasie, gdy Hedka, August, Emil byli na przymusowych robotach w Iłowie, Mateczka, bojąc się być samej w domu, ukrywała się poza domem, „polscy Krzyżacy" wyrabowali z domu wszystko, co było. Zostały gołe ściany i nic na podłogach. Zabrali i moje meble, które zwiozłem z mojej posady w Nowejwsi.

Zabrali wszelkie książki, dokumenty. Straciłem ważne dokumenty osobiste. Skradli moje mundury: oficerski i strażacki powiatowego instruktora pożarnictwa, które wisiały

---

[258] Po lewej pod obrazem czytamy: „Symbol polskości i jedności narodowej: Czarna Madonna z Częstochowy". Po prawej czytamy w artykule z dnia 24.08.1982 w WAZ, tytuł: *Czarna Madonna obchodzi swój jubileusz* (aczkolwiek cudowny obraz jest prawdopodobnie tylko kopią). Autorka: Renata Marsch, Warszawa dpa (Deutsche Presse Agentur – Niemiecka Agencja Prasowa).

„Dla milionów Polaków obraz „Matki Boskiej z Częstochowy" jest więcej, niż tylko obrazem cudownym. Jest też uosobieniem Marii, „Królowej Polski", która swój wybrany polski lud mobilizuje pod hasłem obowiązku narodowego i z tego tytułu udziela mu szczególnej łaski. Lech Wałęsa nosił ten obrazek na klapie marynarki, gdy przed dwoma laty podpisywał Porozumienie Gdańskie.

Ponad 100 000 ludzi pielgrzymowało w tym roku do Częstochowy, by modlić się za Polskę. Z okazji 600-lecia papież czuje się zobowiązany złożyć swoje rewerencje rezydującej w Częstochowie Matce Boskiej. Nie przybędzie, jak planowano, w najbliższy czwartek. Uroczystości jubileuszowe przedłużono bowiem na cały rok.

Zresztą wcale nie wiadomo, kiedy obraz dotarł do Częstochowy. W 1382 książę Władysław z Opola ściągnął z Węgier do kraju 16 mnichów zakonu paulinów. Ci założyli klasztor. Rzeczą dowiedzioną historycznie jest, że w 1384 r. obraz już był. Prawdopodobnie jest on zdobyczą wojenną Władysława z Rosji. Według legendy, św. Łukasz namalował go na drewnie pochodzącym od stołu św. Rodziny z Nazaretu. Adorowany dziś obraz jest chyba kopią z 15. wieku, bowiem w 1430 husyci zdarli obraz z ołtarza i porąbali. Napad ten przypominają dwie rany zadane mieczem w prawy policzek obrazu Madonny.

Po skutecznej obronie klasztoru w 1655 przed Szwedami król Jan Kazimierz podniósł we Lwowie Marię do godności „Królowej Polski". Od tego czasu klasztor uchodzi za stróża polskości, a kult maryjny stał się symbolem ducha oporu podzielonego narodu.

Narodowy patriotyzm klasztoru był niemieckim okupantom solą w oku. Na terenie klasztoru stacjonowało wojsko, które bacznie obserwowało mnichów. Dwu spośród nich aresztowano w 1941 z powodu „nacjonalistycznych kazań". W styczniu 1945 szybki atak Czerwonej Armii uratował klasztor, bowiem Niemcy wcześniej zaminowali go. Znaleziono 70 min, jedną za obrazem Marii.

W Polsce Ludowej zdominowanej przez komunistów Madonna pozostała nie tylko religijnym, lecz także narodowym symbolem. Pod koniec stalinizmu do Częstochowy przybył 26 sierpnia 1956 milion pielgrzymów, odnawiając śluby wobec „Królowej Polski". Wkrótce potem zwolniono z miejsca internowania prymasa kardynała Wyszyńskiego. On jeszcze bardziej ugruntował kult maryjny i przekazał w 1966 r. naród „w służbę Maryi" oraz wydelegował kopię obrazu poświęconą przez papieża do parafii. Kopia była przez długie lata w drodze. W każdej parafii wizyta jej stała się powodem wielkich obchodów. Również dziś jest znowu symbolem: tysiące noszą go na klapie, względnie na wyłogu odzienia w miejsce poniechanego znaku „Solidarności".

w szafie. To wszystko uszanowali nawet hitlerowcy, wrogowie, dokonując w domu tyle razy kontroli i rewizji. A „swoi” potrafili zrabować.

W imię „Matki Boskiej” komendant Milicji Obywatelskiej w Iłowie, Świgoń, z zawodu nauczyciel, wychowanek Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie, zarządził, aby wszyscy ewangelicy stawili się do Iłowa. W domu zastanawiano się: Kto z domowników ma iść. „Idź ty, Hedka”, powiada August. „Ja sama boję się”. „No to ja pójdę”. August uszedł kawałek drogi i coś go tknęło, aby nie szedł dalej, i wrócił. „No to ja pójdę” – powiada Hedka.

Poszła dość daleko, jakieś dwa kilometry. Spotyka Michała Żywca, sąsiada, przedwojennego wójta (z pierwszej żony powinowaty z nami). Żywiec powiada: „Dziecko kochane, tylko tam nie chodź, tam dzieją się złe rzeczy”. Ale Hedka poszła dalej. Blisko krzyżówek spotyka wracających, starego Cybulę i starego Schulza. Mówią do niej: „Nie chodź tam, młodych ładują na samochody i wywożą”. (Ci znaleźli się na Syberii, między nimi Liesbet Szymańska, bratanica doktora Szymańskiego.) Hedka posłuchała i wróciła. Cybula i Schulz opowiadali, że milicjanci bili, poniewierali nawet starych.

Nasi w domu żyli w ciągłym strachu. Hedka uciekała aż do Karulkowskiej, znajomej, w Małej Turzy, powiat mławski, by ukryć się przed sołdatami. Bo gdy Sowieci pytali Polaków „Gdzie są jeszcze Germańcy?”, Polacy zawsze wskazywali na nasz dom. Sowieci nie dali spokoju, nachodzili dniem i nocą. Drzwi nie wolno było zamykać. Zresztą i tak by wyłamali. W pierwszych dniach po wkroczeniu Rusków, na nasze podwórko wjechała wozem rodzina z Polski, chcąc zająć nasze gospodarstwo, bo wszystkie inne były już zajęte przez byłych polskich parobków.

Mateczka przegoniła nieproszonych „osadników”, którzy zrezygnowali, widząc w domu wielki bałagan i nieład: wszędzie pełno pierza z pierzyn rozdartych przez „szabrowników” (tak poczęto nazywać złodziei), w których „rycerze maryjni” szukali skarbów, kosztowności. Mateczka specjalnie nie sprzątała domu, by przez nieład odstraszać intruzów. Taki stan rzeczy w domu w Brodowie zastali: b. prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, ścigany i poszukiwany przez hitlerowców, i Eugeniusz Piecha, jego szwagier, nauczyciel.

Matczysko i rodzeństwo bardzo ucieszyli się z przybycia syna, brata, o którego życie bali się każdego dnia. Smutny to był widok dla Karola, widząc wyrabowany dom, gospodarstwo. Mateczka nie miała nic, aby gości poczęstować. Ale Hedka pobiegła do Kazi, poprzedniej naszej służącej, która wyszła za mąż za pana Śpiewaka, przedwojennego policjanta, a obecnie komendanta Milicji Obywatelskiej w Brodowie. Oni mieli krowy, więc Kazia poratowała mlekiem, masłem, chlebem i jajami. W domu nie było nic, nawet jednej kury. Karol z Geńkiem nasłuchali się wszystkiego złego aż za dużo, że trudno było im zasnąć. W domu były tylko dwa łóżka z pierzynami. W jednym spały razem Mateczka z Hedką, do drugiego położyły Karola z Geńkiem, reszta domowników spała na słomie na podłodze w tym samym pokoju. Wszyscy zmęczeni: domownicy wrócili z pracy, a goście sturbowani podróżą, zasnęli.

W nocy ktoś wali do drzwi wejściowych do domu, włazi ciężkimi buciorami do sieni. August szybko wskoczył w buty, które wyjął spod poduszki (bo wszyscy domownicy spali w ubraniach, buty mając pod poduszką, pod głową, zawsze gotowi do ucieczki). August wyszedł do sieni i wprowadził sołdata do kuchni. Sołdat kazał Augustowi zdjąć buty. Przymierzył, były za małe. Karol i Geniek też się obudzili. Geniek zaczął gadać po rosyjsku, ale Karol szturchnął go w bok, aby był cicho, bo Rusek może się obcymi zaintereso-

wać i w takich warunkach nic nie wiadomo, co może się stać. Z pewnością strach przeleciał po ciele „bohaterów" z Guberni Generalnej. Na szczęście „wizyta" sołdata zakończyła się „przyjaźnie".

Tragiczny stan rzeczy zastali „reprezentanci Mazurów" w Brodowie.

Rano, po skromnym śniadaniu, Karol z Geńkiem udali się do sołtysa Zembrzuskiego i Milicji Obywatelskiej, których zaskoczyła ta wizyta, przypuszczali bowiem, że hitlerowcy gdzieś prezesa Związku Mazurów przydybali i posłali do św. Piotra. A on tu przed nimi stoi. Na żądanie Karola, aby rodzinie nie dokuczali i aby zwrócili ukradzione rzeczy, przyobiecali, że postarają się, aby był spokój. Trochę uspokojeni, udali się do Działdowa. Tam zastali taką samą sytuację, jak również w całym powiecie. W mieście i każdej wsi istniały „belwedery" – tak nazywano getta dla ewangelików, którzy wszędzie pozbawieni zostali własności, wszelkiego mienia i wypędzeni z własnych domów, pozbawieni wolności. Po rozmowie z miejscowymi „władzami", bo już takie samorzutnie powstały, Karol i Geniek ruszyli w powiat. Zajechali do naszej siostry Marty Żbikowskiej w Pierławce (jej mąż, Fryderyk, jeszcze nie wrócił z wojny).

U Marty kwaterował sztab rosyjski z generałem, więc u niej było wszystko, jak dawniej. Gospodarstwo nienaruszone, nic nie ukradziono. Od Marty dowiedzieli się, że rodzice Fryderyka (Jerzego Burskiego) zostali zamordowani. Później Jerzy Burski, już jako wicewojewoda olsztyński, opowiadał mi o śmierci swoich rodziców: „Polscy »szabrownicy«, uzbrojeni, rabując w domu rodziców, zauważyli, że ktoś jest w piwnicy, więc ktoś z nich zawołał: »Kto tam jest?« Stary Burski odpowiedział: »To ja, Burski z bziałką (żoną)«. Wtedy szabrownicy rzucili granat, czy granaty, które Burskich rozszarpały na śmierć".

W Komornikach, gdzie Geniek w pewnym okresie był nauczycielem, na podwórku gospodarza Pieszczka znaleźli zamordowane jego dwie dorosłe córki. O ohydzie morderców świadczy to, że zbezcześcili godność kobiety, wkładając sztućce (noże, widelce) do ich sromu. Cóż to były za bestie! Zginął też ich brat. Wszyscy, Burscy i Pieszczkowie byli członkami Związku Mazurów.

Dnia 8 lutego 1945 roku w Klęczkowie zamordowano przez rozstrzelanie w południe na ulicy Wilhelma Marrka, lat 79, teścia mego brata Emila. A mego brata Emila z żoną aresztowano i osadzono w więzieniu w Działdowie, a teściową z wnukami: Edwardem (16 lat) i Arminem (9 miesięcy) wyrzucono z gospodarstwa i nigdy nie pozwolono im wrócić.

Jedynie żona brata Augusta, Anna z domu Bromberg, zdążyła opuścić dom w Rutkowicach, wyjeżdżając dwukonnym wozem z parobkiem do Niemiec, aczkolwiek w dniu wyjazdu patrol rosyjski przeleciał przez jej podwórko. Szczęśliwie dojechała aż w pobliże Hamburga. Gdy wojska sowieckie opuściły Pierławkę, Polacy postawili moją siostrę Martę przed sądem w Działdowie. Wraz z innymi odpowiadała za „współpracę z Niemcami". Siostra nie prosiła o adwokata, który przysługiwał jej z urzędu. Broniła się sama. Słuchacze orzekli, że przemówienie jej było „adwokackie". Lepiej nie przemówiłby żaden adwokat. Została zrehabilitowana, to znaczy uniewinniona. Nie wiadomo z czego, bo była niewinna. Mimo to, w krótkim czasie gospodarstwo jej zostało upaństwowione, aczkolwiek nie podlegało jako małorolne reformie rolnej.

Sądy rehabilitacyjne w Działdowie toczyły się w czasie, gdy mój brat Karol Małłek był tam Przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej, a Eugeniusz Piecha inspektorem szkolnym. Obaj zabiegali, szczególnie mój brat, aby wyroki sądowe były uniewinniające, gdyż skierowane były przeciwko byłym członkom Związku Mazurów i przeciw Pomorza-

kom, którzy zostali, wbrew swojej woli, Eingedeutscht[259]. Nikt Pomorzakom, Poznaniakom, Ślązakom, Mazurom nie dawał schronienia, a teraz „Kongresiaki” decydują o ich życiu i śmierci.

Mój brat dwoił się i troił, zabiegając, interweniując u władz wyższych o złagodzenie postępowania w stosunku do ludności tubylczej. Sukcesy uzyskane u wyższych władz spowodowały na miejscu zaostrzenie stosunków. Koła klerykalno-narodowe uderzyły przede wszystkim w mego brata, stosując dawne, wypróbowane metody: „Karol Małłek broni Niemców!”. Za obronę autochtonów mordują w straszliwy sposób pierwszego Starostę Powiatowego, pana Godlewskiego, paląc go w piecu rakarni w Działdowie. Wiedział o tym pierwszy sekretarz Polskiej Partii Robotniczej, Stanisław Dejewski (a może brał w tym udział?), bo gdy to się wydało, Dejewski ze strachu nagle zmarł, przypuszczalnie dostał zawału serca.

Pozycja Karola Małłka nie wzmocniła się przez jego wstąpienie do PPR-u dnia 1 kwietnia 1945 roku. Uważam, że to mogło mu nawet zaszkodzić. No, któż z tych mławiaków, żurominiaków, pod jednym słowem, któż w tym czasie z „Kongresiaków” był z przekonania PPR-owcem, czyli komunistą? Żądni władzy jedynie udawali komunistów.

Przypuszczam, że wrogość miejscowych kół klerykalno-narodowych była powodem, że brat tak wcześnie zrezygnował z „kariery” politycznej, dnia 4 sierpnia 1945 roku zdając przewodnictwo Powiatowej Rady Narodowej w Działdowie. Szkoda, że w swoich wspomnieniach nie podaje powodów swej rezygnacji, wzmiankując jedynie (tom IV, s.19), że „przede wszystkim uderzono we wnioskodawców, a więc we mnie. Sprawy autochtonów zmieniły się o tyle, że zlikwidowano osławione wsiowe »belwedery« (w Brodowie nazywano je »gettami«). Płakać mi się chciało, kiedy widziałem, jak reaguje władza niższego szczebla na zarządzenia wyższego” – utyskuje Karol Małłek.

Przecież tą „niższą władzą” był on sam, Karol Małłek. A skoro musiał płakać nad sytuacją, będąc „władzą”, to znaczy, że jako „władza” nie mógł nic zaradzić, bo władzę miał motłoch, „rycerze Niepokalanowa”. Karol Małłek wspomina w powyższych słowach o likwidacji „belwederów”, ale nic nie mówi, w jaki sposób były likwidowane. Dlatego w imię prawdy muszę dodać, że „belwedery” i „getta” na Działdowszczyźnie rzeczywiście zostały zlikwidowane. A likwidacja przeprowadzona była w ten sam sposób, jak likwidacja „getta” żydowskiego w Warszawie przez hitlerowców: ewangelickich niedobitków wywieziono do Iłowa i innych stacji kolejowych, załadowano do samochodów, bo pociągi jeszcze nie chodziły i wywieziono w niewiadomym kierunku. Jedni z nich w drodze umarli, jak Jebramowie z Brodowa, inni znaleźli się na Syberii, jak Oskar Heyn, Liesbeth Szymańska i inni, a niektórym szczęśliwcom udało się uciec.

„Uparci” zostali na miejscu jako siła robocza, pozbawieni majątku, wypędzeni z własności, wyzuci z czci i godności, jak na przykład Michał Żywiec z Brodowa. W ten sposób zlikwidowano w Brodowie wszystkie rodziny ewangelickie, za wyjątkiem dwóch rodzin: Augusta z córką Jadwigą Małłek i Wiśniewską z dwiema córkami, razem pięć osób. Zupełny „holocaust” Mazurów ewangelików w Brodowie nastąpił w 1956 roku, kiedy to nawet te ostatnie zmuszone były opuścić Brodowo. Ale o tym później.

A oto nazwiska rodzin zlikwidowanych w Brodowie w 1945 roku: Rodzina Szymańskich (brat dr. A. Szymańskiego), Szymański Hardt, Napierski, Żywiec, Zakrzewski, Schau, Kantorek, Schulz, Kamiński, Manthey, Żywiec, Cybula, Lawrenc, Zakobielski, Za-

[259] Zaliczeni jako Niemcy.

krzewski, Adria, Robaczek, Jebram, Wiśniewski, Prilip, Buechler, Falkowski, Krokowski, Bromerg, Boliński, Heyn, Śliwiński, Opałka, Pieszczek, Sosiński, Adria, Kantorek... (Niektórych mogłem pominąć, bo było kilka rodzin o tych samych nazwiskach.)

Karol Małłek, zawiedziony w swoim działaniu w obronie Mazurów, dnia 4 sierpnia 1945 roku rezygnuje ze stanowiska Przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Działdowie, udając się na dwutygodniowy kurs dla dyrektorów Uniwersytetów Ludowych w Sopocie, a 12 października 1945 roku przenosi się z Pierławki do Pasymia, powiat Szczytno, gdzie zakłada Mazurski Uniwersytet Ludowy, najpierw w Pasymiu, a od drugiego turnusu w Rudziskach koło Pasymia. O tym proszę czytać we „wspomnieniach" Karola Małłka, IV-ty tom.

Matka Boska Jasnogórska
Królowa Polski / Czarna Madonna

*

Richeza

Nr. 11/78 S. n. S. 16.

Beziehungen Köln zu Polen

Der Primas von Polen, Kardinal Wyszynski, wurde bei seinem Deutschland-Besuch am 23.9.1978 im Kölner Dom vor seiner Predigt durch den Vorsitzenden der Deutschen Bischofskonferenz, Kardinal Höffner, begrüßt. Dabei erinnerte Höffner an die alten Beziehungen zwischen den vielen Pilgerzügen beider Diözesen auf den Stählen von Köln und Gnesen sowie an die selige Richeza, Königin von Polen, deren Gebeine im Kölner Dom ruhen.

Wer dabei war, als an die selige Richeza erinnert wurde, und wer die Geschichte dieser Königin von Polen kennt, der mußte an die entscheidende Parallelität zwischen den Ereignissen des 11. und des 20. Jahrhunderts denken.

Schlagen wir im Geschichtsbuch nach:

Geschickte und kriegerische Staatsaufbauten der Slawen erkennen im 10. Jahrhundert, daß die überall vordringende christliche Religion dem Wohle ihrer Untertanen dienen und auch zur Stärkung ihrer eigenen Macht genutzt werden könnte. Mieszko I. und ebenso sein Sohn Bolesław I., der „Chrobry”, hielten sich nicht lange bei der Missionierung mit christlicher Liebe auf, sondern fanden andere Mittel, ihre Leute an die Taufbecken zu bringen. Das gestrenge Regiment des „Chrobry” ließ unfreiwillig ein heimliches Murren zu, nicht aber eine Umgehung oder gar Ablehnung all der verlogenen und unmenschlichen Anweisungen der christlichen Priester. Wenn auch, wie Ausgrabungen in Lutomiersk ergaben, hier und da noch lange Zeit heidnische Begräbnisstätten beibehalten wurden, besonders da, wo treueste Söldner mit ihren eigenen Beerdigungsorten in den königlichen Dienst getreten waren, so waren doch insgesamt die Christenbräuche allgemein eingeführt.

Als nach dem Tode des „Chrobry” 1025 die strenge Zucht etwas lockerer wurde, da spürte man erst richtig die Unbeugsamkeit des neuen Glaubens. Da war aber der neue Fürst Mieszko II., ein dieser Deutschen (Richeza) verheirateter. Mit ihr zusammen ließ er sich bald nach dem Tode des Vaters die Königskrone, mit welcher dieser sich erst kurz vorher selbst gekrönt hatte, aufsetzen.

Mit ihrem deutschen Hofkreise, den vielen Mönchen und Geistlichen, versuchte Richeza weiterhin durchzusetzen, daß die christlichen Gesetze eingehalten wurden und daß die Priester und Lehrer auch etwas zu sagen hatten. Da die Strenge fehlte, an die man vom unerbittlichen „Chrobry” her gewöhnt war, hatte man auch bald ihre Ungerechtigkeiten und Regen zu klagen. Und so kam es gegenüber Mieszko II. („der Tüchtige” – „Chrobry” wurde ihm von Bewundern angehängt, Lambert war wohl zweiter Vorname) zu Unbotmäßigkeiten. Im Jahre 1034 starb er frühzeitig, und sein jüngster Sohn mit der zur Regentin gewordenen Richeza bekamen der Übergriffe nicht mehr Herr werden. Nun kam es dazu, was in den Hildesheimer Annalen geschrieben wird: „Der Christenstand in Polen ist völlig zugrunde gegangen”. Der hildesheimische Letopis schreibt darüber: „Die Leute erhoben sich und erschlugen ihre Bischöfe, Pipen und Bejerce und zu aus ein Aufstand im Lischerkande”.

Bald finden wir um Richeza in Berichten zur Baumeister bei Köln als Vorsteherin im Rheinland wieder. Hier war sie ja Angehörige des höchsten deutschen Adels. Ihre Mutter war die Tochter Kaiser Otto II. und Schwester Otto III., der Vater der Pfalzgraf Ehrenfried Ezzo, ihre sieben Schwestern als Äbtissinnen in Klöstern, von Brabant bis Gandersheim, ein Bruder Erzbischof von Köln, ein zweiter Bruder Herzog von Schwaben, der Sohn des dritten Bruders wurde Herzog von Bayern.

Sie selbst betätigte sich hier drei Jahrzehnte lang als Wohltäterin in Klöstern und Kirchen, aber Polen war für sie nicht abgeschrieben, auch wenn sie selbst nicht mehr dorthin zurückkehrte. Nicht ohne ihre Mitwirkung „schenkte” Kaiser Heinrich III. ihrem ehemaligen aus Polen vertriebenen Sohn Kazimir Karl 500 deutsche Ritter. An deren Spitze ging Kazimir nach Polen zurück und überwand die Anarchie und seine Widersacher. Er wurde als „Restaurator Poloniae” der „Gesetzgeber” der „Bauernkönig”.

Im Jahre 1046 weilte in Köln der Bruder der Richeza, Hermann, Erzbischof von Köln, die Mutter des ersten Bischofs von Krakau, Aaron. Schon diese Bischofsweihe zeigt die engen Beziehungen der Stadt zum Christentum in Polen.

In einem Fenster dieser ursprünglichen Grabkirche S. Maria ad Gradus in Köln war Richeza mit einem Strahlenkranz und der Inschrift „Sancta Richeza” dargestellt. Jahrhundertelang wurde ihr Sarkophag zu besonderen Anlässen geöffnet, und ihre Gebeine wurden dem Volke gezeigt. Diese Kirche ist während der französischen Besetzung der Rheinlande völlig verfallen und 1817 abgetragen worden. Die Gebeine der polnischen Königin wurden aber von den Kölnern in ihrem Hohen Dom überführt. Das katholische Köln hatte ja immer Verbindungen zu Polen und besonders zur katholischen Kirche Polens gepflegt.

Für die Zusammenarbeit zwischen Köln und Polen finden wir auch in den Jahrhunderten nach Richeza manches Beispiel. Als das Zisterzienserkloster im nahen Altenberg 1150 das Kloster Lekno bei Wongrowitz gründete, wurde bestimmt, daß in Lekno nur Söhne ansässiger Bürger aufgenommen werden sollten. Die Gründungsurkunde mit dem Bestätigung wurde vom Gnesener Erzbischof, dessen spätem Nachfolger Kardinal Wyszynski ist, bestätigt und blieb 400 Jahre lang bis zum Tode des letzten deutschen Abtes von Lekno im Jahre 1553, bestehen. Auf der Tinktafel eines Meßkaches von Altenberg finden wir eine Abbildung der Pfarrkirche von Lekno mit der lateinischen Umschrift: „Anno Domini 1230 wurde die Abtei Lekno in Polen gegründet – die erste Tochter von Altenberg.”

Mieszko III. „Der Alte”, unterstützte zu jener Zeit auf Veranlassung seiner Mutter Sakonia von Berg, der Gemahlin des Piastenkönigs Bolesław III., eine zweijährige Reise nach Köln und dabei auch eine Wallfahrt zu den Mönchen von Altenberg (1150). Auf seine Veranlassung wurden dann in seinem Herrschaftsbereich weitere Klostergründungen gegründet.

Als zwei Jahrhunderte später die Altenberger Mönche neben ihrem Kloster einen herrlichen Dom errichteten, wirkte hier der deutsche Bischof von Kulm, Michael, Seine schriftlichen Stiftungen ermöglichten die Vollendung des Domes, und er nahm auch die Weihe der Domes (am 28.1.1379) vor. Hier, im Altenberger Dom, wurde er dann unter einer kostbaren Grabplatte, von der Teile zur noch Bilder vorhanden sind, beerdigt.

* * *

In der Predigt von Kardinal Wyszynski im Kölner Dom wurden die selige Richeza und die alten Beziehungen zu Köln nicht erwähnt. Ob dies den anwesenden polnischen Historikern (der Geschichtswissenschaft zuzuschreiben ist, können wir nicht beurteilen. So liest man im „Slownik Historii Polski”, herausgegeben in Warschau 1969 unter dem Stichwort „Rycheza”: „Im Jahre 1023 wird sie von Mieszko II. auf Anordnung seines Vaters geheiratet. Im Jahre 1031 weilt sie in ihrer Heimat, die bezüglichen Ereignisse ereignetsich nach Deutschland zurückkehrend ...”

Beide Jahreszahlen können leicht widerlegt werden. Bei den alten polnischen Chronisten liest man nichts von einem Vetter der Richeza, sondern nur von Vasallen, die Richeza von Polen verjagt haben. Bemerkenswert für die neue Geschichtsschreibung ist, daß dabei sogar die deutsche Frau von 1034, die aus Polen verjagt wurde, „Landesverräterin” gebrandmarkt haben soll. Wir wissen ja, daß auch der Deutschen, die 1945 aus dem neuen Polen verjagt wurden, sowohl sie überhaupt noch ihr Leben behalten durften, ebenfalls „Landesverrat” angehängt wurde.

* * *

Die Ursache beider Vertreibungen (1034 wie 1945) war die gleiche: Bedrohung des Christentums. H.B.

Artykuł o Rychezie [260]

[260] Tłumaczenie:

Rycheza a średniowieczne powiązania Kolonii z Polską

Prymas Polski, kardynał Wyszyński, odwiedził Niemcy. Gdy znalazł się 23.09.1978 w katedrze w Kolonii, powitał go kardynał Höffner, przewodniczący Niemieckiej Konferencji Biskupów. Przy tej sposobności przypomniał dawne powiązania (stosunki) pomiędzy arcybiskupami sprawującymi wcześniej swój urząd w Kolonii i Gnieźnie. Wspomniał również świątobliwą Rychezę, królową Polski, której szczątki spoczywają w Kolonii.

Kto był obecny, gdy przypomniano świątobliwą Rychezę, musiał skojarzyć sobie zadziwiający paralelizm wydarzeń z wieku XI i XX.

Zajrzyjmy do historii:

Zręczni i wojowniczy książęta rodowi Słowian dostrzegli w X wieku, że napływające zewsząd chrześcijaństwo służy dobru ich poddanych, a także mogłoby posłużyć wzmocnieniu ich własnej hegemonii. Zarówno Mieszko I, jak i jego syn Bolesław I „Chrobry", niedługo trudzili się nawracaniem z zachowaniem zasad miłości. Rychło znaleźli również inne środki, by doprowadzić swój lud do chrzcielnicy. Być może surowe rządy „Chrobrego" kwitowano potajemnym pomrukiem. Nikt jednak nie poważył się nie ulec lub uchylać wobec rozmaitych niewygodnych i niezrozumiałych dyrektyw duchownych chrześcijańskich. Aczkolwiek potem też jeszcze stosowano tu i ówdzie pogańskie zwyczaje pogrzebowe (co wykazały wykopaliska spod Lutomierska), a szczególnie tam, gdzie na służbę królowi oddali się zaciężnicy razem ze swymi dowodzącymi, to w sumie obyczaje chrześcijańskie jednak się przyjęły.

Po śmierci „Chrobrego" w 1025 srogi rygor nieco zelżał. Wtedy rychło odczuto niewygodę wynikającą z nowej wiary. Lecz wtedy nowy książę Mieszko II, ożeniony z Niemką, Rychezą, razem z nią rychło po śmierci ojca kazał wdziać sobie koronę królewską, którą tamten [ojciec – przyp. Tłumacza] tak niedawno sam koronował siebie.

Wraz ze swymi niemieckimi dworzanami, wielu mnichami i duchownymi Rycheza w dalszym ciągu próbowała przeforsować, by ustawy chrześcijańskie były przestrzegane i by duchowni i nauczyciele mieli też coś do jedzenia. Ponieważ brak było rygoru, praktykowanego pod nieubłaganym „Chrobrym", poczęto wnet utyskiwać na niesprawiedliwość i zgorszenie. I tak doszło do niesubordynacji wobec Mieszka II (któremu złośliwi przydali imię „gnuśny", choć ten faktycznie drugim imieniem zwał się Lambert). W 1034 zmarł przedwcześnie. Jego najmłodszy syn razem z Rychezą, będąca obecnie regentką, nie mogli poradzić sobie z nadużyciami. Doszło do tego, o czym donoszą *Annały hildesheimskie*, że „w Polsce chrześcijaństwo żałośnie podupadło". Kościelny kronikarz Latopis pisze na ten temat: „Ludzie zbuntowali się, pozabijali swych biskupów, popów i bojarów i w krainie Lachów była rewolta".

Rychło w doniesieniach z Brauweiler k. Kolonii odnajdujemy Rychezę znowu, teraz jako wypędzoną, przebywającą w Nadrenii. Była przecież schlacheckiego rodu i przynależała do szlachty niemieckiej najwyższej rangi. Jej matka była córką cesarza Ottona II i siostrą Ottona III, a jej ojciec Ehrenfried Ezzo był hrabią palatynatu, jej sześć sióstr sprawowało urząd przełożonych klasztorów od Brabancji po Gandersheim, jej brat był arcybiskupem Kolonii, drugi brat księciem Szwabii, syn trzeciego brata stał się księciem Bawarii.

Ona sama była tu przez trzy dziesięciolecia aktywna w klasztorach po kościołach jako dobrodziejka. Polski nie zapomniała, mimo że nie mogła do niej powrócić. Nie bez jej przyczyny cesarz Henryk III „podarował" 500 rycerzy niemieckich jej synowi Karolowi Kazimierzowi I, również wypędzonemu z Polski. Kazimierz wrócił na ich czele do Polski i rozprawił się z anarchią i ze swymi oponentami. Wszedł do historii jako „restaurator Poloniae" i jako „odnowiciel".

W roku 1046 brat Rychezy, Hermann, arcybiskup koloński, konsekrował Aarona na pierwszego biskupa krakowskiego. Już powyższe święcenia świadczą o bliskich związkach miasta [Kolonii – przyp. Tłumacza] z chrześcijaństwem w Polsce.

W jednym z okien jej pierwotnego kościoła św. Grobu S. Maria ad Gradus w Kolonii umieszczono podobiznę Rychezy, uwieńczoną aureolą i napisem „Sancta Richeza" [święta Rycheza – przyp. Tłumacza]. Przez wiele wieków dla szczególnych powodów otwierano jej sarkofag, by pokazać ludowi jej szczątki. Kościół ten podupadł zupełnie podczas okupacji Nadrenii przez Francuzów, a w 1817 roku został zupełnie wyburzony. Ale szczątki polskiej królowej mieszkańcy Kolonii przenieśli do ich wielkiej katedry. Katolicka Kolonia zawsze utrzymywała kontakty z Polską, szczególnie zaś z kościołem katolickim w Polsce.

Odnośnie współpracy Kolonii z Polską znajdujemy też po Rychezie niejeden przykład w historii. Gdy klasztor cystersów w pobliskim Altenbergu w 1150 roku założył klasztor w Łęknie k. Wągrowca, postanowiono, że do klasztoru Łękno wstępować mogą tylko synowie obywateli Kolonii. Akt założenia zawierający niniejszą regułę potwierdzony został przez arcybiskupa gnieźnieńskiego. Następcą tego został później także kardynał Wyszyński. Tak było przez 400 lat, aż do śmierci ostatniego niemieckiego przeora w Łęknie w 1553 roku. Na stronie tytułowej jednego z mszalników w Altenberg znajdujemy rycinę przedstawiającą drewniany kościół w Łęknie i łaciński zapis: „Anno domini 1150, opactwo Łękno w Polsce założone jako pierwszy filiał klasztoru w Altenberg".

Mieszko III „Stary" podjął w owym czasie pod wpływem swej matki, Salomei von Berg, żony króla polskiego Bolesława III, podróż dwuletnią do Kolonii. Była to równocześnie pielgrzymka do mnichów w Altenberg (1135). Z jego przyczyny założono potem w granicach jego panowania dalsze klasztory.

Gdy 200 lat później mnisi z Altenberga wznieśli obok swego klasztoru wspaniałą katedrę, działał tu niemiecki biskup z Chełmna, Wiebold. Jego wielokrotne ufundowania umożliwiły dokończenie katedry. On też poświęcił katedrę (3.06.1379). Tu, w katedrze Altenberga, został potem pochowany pod kosztowną płytą, po której zachowały się niestety tylko ryciny.

W kazaniu kardynała Wyszyńskiego w katedrze kolońskiej nie wspomniano ani błogosławionej Rychezy, ani też dawnych powiązań z Kolonią.

Nie potrafimy wytłumaczyć, komu to przypisać, czy może nowszym polskim historykom reprezentującym własny zasób poznania przeszłości? I tak czytamy w *Słowniku historii Polski* wydanym w Warszawie w 1969 roku

127
Co robi reszta działaczy mazurskich?

Karol Małłek, rozwiązując dnia 13 grudnia 1944 roku Związek Mazurów, udając się dnia 1 lutego 1945 roku razem z Eugeniuszem Piechą do Brodowa, aby „ratować Mateczkę i rodzeństwo", wyrzekł się przez to samo mandatu „reprezentanta Ludu Mazurskiego". W ten sposób „wódz" zostawił swój oddział, swoich druhów, którzy mu ufali i liczyli na niego. Stał się osobą indywidualną, prywatną, osobą bez znaczenia.

Pług, który zapuszczony był w skibę, spadek po Karolu Małłku, uchwycił w swoje dłonie mniej doświadczony Jerzy (Fryderyk) Burski, który starał się w istniejących warunkach, skibę za skibą, uprawiać Ojczystą Ziemię Mazurską. Tak, jak w Piśmie Świętym czytamy: „Żaden, który przyłoży rękę do pługa i ogląda się wstecz, nie nadaje się do Królestwa Bożego" – Łuk. 9, 62. Tak też Jerzy Burski, uchwyciwszy „pług" Ludu Mazurskiego, nie oglądał się wstecz za Karolem Małłkiem, który borykał się z „mafią" w Działdowie.

Jerzy Burski trwał przy Rządzie Tymczasowym, będąc jednocześnie posłem do Krajowej Rady Narodowej KRN. Z chwilą, gdy Rząd Tymczasowy przeniósł się do Warszawy Pragi, Jerzy Burski znalazł się w Warszawie.

Hieronim Skurpski pozostał w Paulinowie.

Gustaw Leyding nie dawał znaku życia.

Walter Późny, szczęśliwie, po wielkich tarapatach, uciekając z niewoli rosyjskiej z Krymu, przez Rumunię wrócił do Warszawy.

Jego brat, Fryderyk, „wygrzewał" się u swych teściów w powiecie siedleckiem.

Bogdan (Kurt) Wilamowski, krótko po Karolu Małłku, znalazł się w Działdowie, krótko potem w Olsztynie, organizując Spółdzielnię „Społem".

Fryderyk Leyk odwiedzał nasz dom w Radości w willi baptystów.

Jan Sczech w końcu lutego 1945 roku wrócił z Częstochowy do Warszawy.

W Radości pozostali żona Karola Małłka z trzema synami, jej siostra Bronka z Wieśkiem, synem Eugeniusza Piechy, i ja z rodziną.

Miejscem spotkań „działaczy mazurskich" stało się nasze mieszkanie w willi baptystów, pięknie położonej przy lesie. Tu przyjeżdżali do nas: Fryderyk Leyk, Walter Późny, jego brat Fryderyk, Jan Sczech i Jerzy Burski.

W lutym 1945 roku brat Karol uzyskał przez Wilamowskiego samochód ciężarowy ze Spółdzielni „Społem" z Działdowa, który przyjechał do Radości, by przewieźć „chętnych" do Działdowa. Chętnie wyjeżdżała bratowa Wilhelmina z trzema synami. Namówiłem też moją żonę, aby z dwojgiem dzieci też wyjechała. Załadowaliśmy ich z resztkami bagażu i pojechali. Moja żona z dziećmi ulokowała się u mojej siostry Marty Żbikowskiej w Pierławce, a Wilunia z dziećmi zajechała do swojej, przedwojennej szkoły w Pierławce. Moja

---

pod hasłem *Rycheza*: »W r. 1023 Mieszko II żeni się z nią, bo życzy sobie tego jego ojciec. Ta w 1031 opuszcza swego męża, zdradziecko uprowadzając do Niemiec insygnia królewskie...«

Obie daty można łatwo podważyć. U starych polskich kronikarzy nie czytamy niczego o zdradzie Rychezy, a tylko o zdrajcach, którzy wygnali Rychezę z Polski. Przy tym cechą charakterystyczną nowszej historiografii jest to, że ta niewiasta z 1034 roku jako Niemka wygnana z Polski »działała na szkodę kraju«. My wiemy, że Niemcom wypędzonym po 1945 roku z Polski, na ile zdołali zachować życie, też przypisywano »zdradę kraju«.

Przyczyna obu wypędzeń (1034 i 1945) była ta sama: zagrożenie chrześcijaństwa.

H. B.

żona była szczęśliwa, bo u Marty było co jeść, gdyż gospodarstwo było jeszcze w jej rękach, albowiem miała dobrych „stróżów" porządku, sztab armii sowieckiej, który u niej kwaterował. Już nie martwiłem się o byt rodziny.

W Radości Jerzy Burski, Jan Sczech, Walter Późny i ja mogliśmy spokojnie debatować nad tym, co nas czeka, gdy znajdziemy się na Ziemi Ojców naszych. Bowiem Burski informował nas, że rząd polski przygotuje przejęcie administracji Prus Wschodnich.

Dnia 14 marca 1945 roku rząd mianował Pełnomocnika Rządu w Prusach Wschodnich, którym został pułkownik dr Jakub Prawin (Żyd), a jego zastępcą nasz Jerzy Burski. Wnet po zamianowaniu Jerzy Burski zjawił się z tą wiadomością w naszym gronie w Radości, prosząc nas jednocześnie o pomoc. Proponował, abyśmy objęli stanowiska starostów powiatowych. Ja oświadczyłem, że zająłbym się turystyką. Osobiście nie paliłem się do pracy administracyjnej w Prusach Wschodnich, gdyż przewidywałem, że nasze ideały Związku Mazurów, znając zakusy Polaków katolików, dostaną w łeb. Mimo to, na propozycję Jerzego Burskiego, Walter Późny, Jan Sczech, Jerzy Burski i ja, Edward Małłek, złożyliśmy uroczyste przyrzeczenie, że zostaniemy wierni drogim nam hasłom i że będziemy sobie wierni bez względu na warunki, które zaistnieją w terenie. Przyrzeczenie to uhonorowaliśmy przez podniesienie dwóch palców prawej ręki i złączenie lewych dłoni. Nie pamiętam słów, które wypowiadaliśmy. Tajemnicze to wydarzenie, o którym dotąd nikt nie wie, odbyło się po 14 marca 1945 roku u mnie w Radości, w willi baptystów. Pominęliśmy przy tym Fryderyka Późnego jako niezaangażowanego politycznie.

128
Sprawy religijno-kościelne

Na początku marca 1945 roku, wiedząc, iż na dniach ruszamy z władzą, to znaczy z Pełnomocnikiem Rządu do Olsztyna, Jan Sczech jako teolog, będąc u mnie w Radości, zaproponował, abyśmy pomyśleli o sprawach kościelnych, o Kościele ewangelickim w Prusach Wschodnich. Sprawa ta i mnie leżała na sercu, gdyż byłem zdecydowanym protestantem, ewangelikiem. W rozważaniach wychodziliśmy z założenia, że na skutek działań wojennych księża ewangeliccy z Prus Wschodnich albo są na wojnie, albo nie żyją, a reszta uratowała się ucieczką na zachód. Przewidywaliśmy, że „pasterze" zostawili „trzody" swoje, które będą potrzebowały opieki religijno-duszpasterskiej. Powstało pytanie: „kto ją ma im dać?".

W Polsce mieliśmy różne wyznania ewangelickie. Dominującym kościołem w Prusach Wschodnich był Kościół Ewangelicko-Unijny (czyli kościół luterański zjednoczony z reformowanym kalwińskim). A więc jako „opiekun" ewangelików Prus Wschodnich może wchodzić w rachubę albo luterski „Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski", albo „Kościół Ewangelicko-Reformowany". Związek Mazurów w czasie okupacji stawiał raczej na Kościół Ewangelicko-Reformowany, ale obecnie w marcu 1945 roku wiedzieliśmy, że szeregi duchownych obu kościołów zostały straszliwie przetrzebione hitlerowskimi obozami. W każdym razie liczyliśmy, że znacznie większą siłę przedstawia Polski Kościół Ewange-

licko-Augsburski. Oba kościoły były dobrze znane Janowi Sczechowi, który ukończył studia na Wydziale Teologii Uniwersytetu w Warszawie.

Zastanawiając się długo, za inicjatywą teologa Jana Sczecha udaliśmy się do „głowy" Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, biskupa dr. Jana Szerudy, który urzędował w miejsce zamordowanego biskupa dr. Juliusza Burschego. Biskup dr J. Szeruda przyjął nas w swoim skromniutkim biurze. Jan Sczech był biskupowi dobrze znajomy, bo był jego studentem teologii. Mnie musiał Jan Sczech biskupowi przedstawić. Po przywitaniu Jan Sczech przedstawił cel naszej wizyty, obrazując przypuszczalną sytuację Kościoła ewangelickiego w Prusach Wschodnich. Biskup dr Szeruda, doceniając naszą troskę, ze swej strony przedstawił znane i przypuszczalne straty w szeregach pastorskich. Po niezbyt długiej dyskusji biskup dr J. Szeruda, biorąc pod uwagę ubytek księży i konieczność obsadzenia dotychczasowych parafii, oświadczył, że nie jest niestety w stanie przejąć opieki nad ewangelikami Prus Wschodnich. Już stojąc, żegnając się, biskup dr J. Szeruda dodał dosłownie: „A zresztą, to są Niemcy" (mowa była o Mazurach Prus Wschodnich). Słowa te zatkały nam oddech. Nasz umysł odmówił posłuszeństwa. Nie zdobyliśmy się na żadną replikę. Przeprosiliśmy, wyszliśmy zmyci. Dopiero na dworze mózg nasz zaczął pracować. Mówimy do siebie: skoro Mazurzy Prus Wschodnich są Niemcami, to znaczy, że i my jesteśmy Niemcami, bo ja pochodzę z polskich Prus Wschodnich (z powiatu działdowskiego), a Jan Sczech z niemieckich Prus Wschodnich (z powiatu ełckiego). A tu te „Niemniaszki" ośmielili się przyjść do polskiego biskupa, przedstawiciela Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego i prosić go o opiekę nad Niemcami! Ha! Co za bezczelność!...

Przypomniała mi się walka (lata 1920–1939) między biskupem dr. Juliuszem Burschem a Superintendentem dr. Blauem w Poznaniu (Kościół Ewangelicko-Unijny). Wyciągając wniosek z wypowiedzi biskupa dr. Jana Szerudy, trzeba powiedzieć, że augsburczycy, to nie ewangelicy, lecz polscy patrioci. Ale spójrzmy na chwilę na ich „polskość" chodźby w nazwiskach: Gloeh, Suess (Süss), Bartel, Michelis, Trenkler, Wittenberg, Sachs, Pilch, Messerschmidt, Brüll, Dietz, Schendel, Bursche, Anweiler, Baumann, Gross, Hauptmann, Mach, Neumann, Hause, Raabe, Schröder, Werner... i cała plejada księży obecnych i w przeszłości o niemieckich nazwiskach. Dużo będzie Polaków katolików, którzy uważać będą ich za Polaków?

Po wyjściu od biskupa dr. J. Szerudy przez dłuższą chwilę nie mogliśmy z Janem Sczechem rozmawiać, milczeliśmy. Musieliśmy przetrawiać gorzką pigułkę. Wreszcie pada pytanie: „No i co dalej?". Jan Sczech, znając dobrze wszystkie wyznania ewangelickie w Polsce, głośno wymieniając poszczególne kościoły, powiada: reformowani odpadają, bo nie mają pastorów; baptyści, adwentyści, zielonoświątkowcy odpadają, bo uznają tylko chrzest dorosłych... Znów milczymy... Po chwili Jan Sczech, zwracając się do mnie, powiada: „Wiesz Edward, znam wspaniałego, energicznego człowieka, superintendenta Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego". „A co to takiego, metodysta, metodyzm?" – pytam Jana, bo nigdy nie słyszałem nic o metodystach. Jan Sczech w krótkich słowach opowiedział mi coś niecoś o metodyzmie, a przede wszystkim o superintendencie Konstantym Najderze: „Jako były ksiądz katolicki jest wielkim przeciwnikiem katolicyzmu, dokładniej, jest przeciw błędnym, niezgodnym z Pismem Świętym naukom papieży. Kościół metodystyczny prowadzi misję wśród katolików. Superintendet Najder jest dobrym kaznodzieją. Metodyzm stosuje chrzest dzieci i podkreśla »nowonarodzenie« tzn. »nawrócenie«". No to całkiem pasuje na Mazury, bo to samo głosiło nasze „gromadkarstwo", powiadam. „No tak,

ale jeżeli i on nam odmówi, to nie mamy już nikogo, kto zająłby się ewangelikami w Prusach Wschodnich" – powiada Jan Sczech.

Tak rozmyślając, doszliśmy ulicą Marszałkowską do Placu Trzech Krzyży. Stanęliśmy na rogu ulicy Mokotowskiej nr 12. Jan Sczech wskazując na budynek ośmiopiętrowy, powiedział: „To jest własna siedziba Kościoła metodystycznego w Polsce". Weszliśmy do środka. Stwierdziliśmy, że budynek uległ częściowemu zniszczeniu. Wszędzie pełno gruzu i nieładu. Na którymś piętrze słyszymy szelest papierów. Sądziliśmy, że szczury mają „bal taneczny". Podchodząc bliżej, zauważyliśmy dwie ewangelickie zakonnice (diakonise). Ucieszyliśmy się, że kogoś spotykamy, z kim możemy trochę porozmawiać. Diakonise wygrzebywały z kupy rozrzuconych, w dużym stopniu zniszczonych książek i dokumentów to, co można było jeszcze uratować. Jan Sczech zapytał o superintendenta Najdera. (Nawiasem mówiąc, jest to stryj Najdera z „Wolnej Europy".) Diakonise powiedziały, że w tej chwili Najder jest nieobecny, ale wkrótce będzie tu na pewno. A jeżeli nam się śpieszy, to możemy go zastać na Pradze, a na pewno spotkamy go po drodze, bo jest tylko jedna droga przez prowizoryczny most.

Nie tracąc czasu, udaliśmy się na Pragę, uważnie rozglądając się za superintendentem Najderem. Jesteśmy już na moście. W tym [momencie] Jan Sczech woła: „O, tam idzie ksiądz Najder". Musieliśmy się przedostać na drugą stronę ruchu. Po zbliżeniu się pozdrowiliśmy go. Jan Sczech referował naszą sprawę. I tak doszliśmy razem znów do Domu Metodystów. Wdrapaliśmy się do skromnego biura superintendenta Najdera. Tu ksiądz Najder, czując się u siebie, tak się zapalił i przejął naszą sprawą, że zawołał: „Dla takiego wzniosłego celu, dla takiej idei, rzucę na Prusy Wschodnie wszystkich pastorów". Osobiście byłem tym zaskoczony i pytam: „Jak to, superintendent chce rzucić wszystkich pastorów, a co będzie z waszymi parafiami w Polsce?". „Ach, to żaden problem. Nasz ustrój kościelny przewiduje w każdym zborze, poza pastorem, kaznodzieję świeckiego, który w każdej chwili zastępuje pastora" – wyjaśnia ksiądz Najder moje pytanie.

Entuzjazm Najdera udzielił się i nam. Ożywiła się dyskusja, boć przecież nam chodziło dokładnie o „zaopiekowanie się" w gruncie rzeczy „obcym" wyznaniem wyznawców luteranizmu. Wyjaśniliśmy superintendentowi Najderowi, że w tej samej sprawie zwróciliśmy się do luteran Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ale przed chwilą biskup doktor J. Szeruda odmówił nam zaopiekowania się ewangelikami w Prusach Wschodnich, więc tylko dlatego nie widzieliśmy innego wyjścia, jak zwrócić się do Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, który głosi tego samego Jezusa Chrystusa, co i nasz Kościół w Prusach Wschodnich. Superintendent Konstanty Najder podkreślił, że dobrze rozumie „opiekuńczą rolę" swego Kościoła wśród luteran w Prusach Wschodnich, godząc się z naszymi wywodami, które muszą być omówione na miejscu i ujęte jakąś umową. Jednym słowem, w naszej sprawie byliśmy jednej myśli dla dobra protestantyzmu w Polsce. Kończąc wizytę, superintendent Najder podając nam rękę powiedział: „Proszę mi dać znać, a zjawię się na wasze wezwanie". W pełni zadowoleni, opuściliśmy ruiny Domu Metodystów w Warszawie.

Z dyskusji dowiedziałem się, że początek metodyzmu był w Anglii, rozszerzył się przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Kościół Metodystyczny w Polsce jest finansowany przez Kościół metodystyczny w Ameryce. Przy Kościele Metodystycznym w Warszawie istnieje najlepsza szkoła języka angielskiego.

Nie pomyślałem wtedy, że za niespełna rok będę mieszkał w Domu Metodystów na ósmym piętrze jako student teologii Uniwersytetu Warszawskiego. Mając naszą troskę o Kościół na Mazurach zaspokojoną, udaliśmy się do Radości, gdzie snuliśmy plany o przyszłości.

129
Ruszamy do Olsztyna

Jak już wspomniałem, 14 marca 1945 roku Pełnomocnikiem Rządu Prus Wschodnich został pułkownik doktor Jakub Prawin, a jego zastępcą nasz ziomek, Jerzy (Fryderyk) Burski. Termin wyjazdu do Olsztyna ustalono na 28 marca 1945 roku rano, o czym powiadomił nas Jerzy Burski. Rano 28 marca zgromadziliśmy się w siedzibie rządu w Warszawie Pradze, przy ulicy Śnieżnej (?). Ja zabrałem ze sobą Edwarda Czekajło, urzędnika pocztowego z Radości, który mi się wprosił, mówiąc, że może nam się przydać, bo płynnie włada językiem rosyjskim w słowie i piśmie (bardzo mi się przydał, był moją prawą ręką). Grupa udająca się do Olsztyna wynosiła 22 osoby, sami mężczyźni, wśród nich trzech rodowitych Mazurów: Jerzy Burski, Walter Późny i ja, Edward Małłek. Załadowano nas na dwa ciężarowe samochody, niekryte (podobnie wieźli nas Niemcy do niewoli w Dęblinie). Droga prowadziła przez Ciechanów, Mławę, Nibork (Nidzicę) do Olsztyna.

Po drodze, już na terenie Prus Wschodnich, pustki. Nie widzieliśmy żadnego życia ludzkiego, tylko tu i ówdzie trupy w cywilu i rozbite wozy. Okropnie smutny widok. Pobojowisko. Pomyślałem z Późnym: „Jedziemy zająć się ziomkami-Mazurami, a ich tu wcale nie widać". Prawda co do tego wyjaśniła się dopiero później. Późnym popołudniem 28 marca 1945 roku zajechaliśmy do Olsztyna. Rozładowaliśmy się w ratuszu, który stał się siedzibą Pełnomocnika Rządu, przyszłych władz wojewódzkich.

Grupą „pionierów" zajął się Jerzy Burski, zalecając, aby każdy na własną rękę szukał noclegu, a jutro rano każdy ma się stawić w Ratuszu. Jerzy Burski, Walter Późny, Edward Czekajło i ja rozglądamy się za zorganizowaniem biura. Zebraliśmy przedmioty biurowe, jakie były, by móc „urzędować". Maszynę do pisania przywiózł ze sobą Jerzy Burski. Skoro jest maszyna do pisania, to już można urzędować. Jeszcze tego samego dnia Jerzy Burski udał się do pułkownika doktora Prawina. Razem z nim udali się do Komendanta Wojennego, by omówić ważne sprawy współdziałania, między innymi również kwestię zaprowiantowania, urządzenia tzw. „stołowaja", stołówki dla personelu władz wojewódzkich.

Nasza trójka: Walter Późny, Edward Czekajło i ja, późnym wieczorem udaliśmy się w poszukiwaniu noclegów. Chodziliśmy od mieszkania do mieszkania, żeby znaleźć jakieś łoże do przespania. Wszystkie mieszkania były prawie bez mebli. Wszędzie straszny nieład, brud, pełno pierza, pierzyny rozprute. Patrząc przez okno, na podwórkach pełno połamanych mebli, prawdopodobnie wyrzucane przez okna. Tak chodząc od drzwi do drzwi, nagle widzimy drzwi pewnego mieszkania zabezpieczone łańcuchem. Zaciekawiło to nas bardzo. Co to może być? Niewiele zastanawiając się, usunęliśmy łańcuch, otwieramy drzwi, oczom nie dowierzamy: mieszkanie kompletnie umeblowane, są łóżka, są pierzyny, są szafy, jest maszyna do szycia, są igły, nici w specjalnym mebelku. Pomyśleliśmy, że chyba aniołowie strzegli tego mieszkania. Rozgościliśmy się, jak w domu. Pewnie skonsu-

mowaliśmy nasze z Warszawy przywiezione wałówki i po krótkiej pogawędce zaryliśmy się w pierzyny. Och, jak błogo było znaleźć się pod pierzyną, bo przecież był marzec, a mieszkania długi czas nieopalane. Barykadując drzwi, aby nas nikt nie budził, zasnęliśmy błogim snem.

Wczesnym rankiem, lekko świtało, ktoś wali do drzwi. Bije w drzwi, ale na nasze pytania nie odpowiada, tylko nadal wali w drzwi. Wstajemy, ubieramy spodnie, otwieramy drzwi. Gdy się drzwi otwarły, przybysz krzyczy: „Kto wam pozwolił tutaj wejść? To jest moje mieszkanie!". Poznaliśmy jednego z naszych „pionierów", który obnażył się jako pospolity szabrownik. Powiedzieliśmy mu: „A kto tobie pozwolił tu zamieszkać? Zniknij, bo inaczej dostaniesz po gnatach i nie pokazuj się tu więcej". Widział, że to nie przelewki i ulotnił się. Na drugi dzień wybadaliśmy go, że miał trzy podobnie „zorganizowane" mieszkania, które kolejno zajmowaliśmy mu. Wściekał się co niemiara, ale przeciw „komunizmowi" (wszystko nasze) nie dawał rady wierzgać. Mieliśmy wspaniałe noclegi.

Następnego dnia rano zjawiliśmy się w ratuszu „do pracy". Zastaliśmy pełno ludzi, ludzi miejscowego pochodzenia, których poczęto nazywać „autochtonami". Jerzy Burski wpadł na pomysł wydawać autochtonom zaświadczenia w języku polskim i rosyjskim z polską pieczątką, które winni przybić na drzwi zewnątrz mieszkania lub budynku. Z pomysłem pobiegł do pułkownika dr. Prawina. Razem udali się do Komendanta Wojennego, który zgodził się z projektem Burskiego, wydając jednocześnie rozkaz do swoich jednostek, aby nie naruszały mieszkań, na których zobaczą uzgodnione zaświadczenia. Sprawa uzgodniona, ale jak ją zrealizować. Nie ma drukarni, nie ma powielacza. Jest tylko jedyna maszyna do pisania. A tymczasem Pełnomocnik Rządu pułkownik dr Prawin zorganizował samochód ciężarowy, załadował na samochód kandydatów na starostów i kazał ich rozesłać po powiatach. Pozostałem tylko ja z Burskim i Czekajło.

Uzgodniliśmy treść zaświadczenia, które, o ile sobie przypominam, było krótkie, o następującej treści:

Zaświadczenie

Niniejszym zaświadcza się, że ob. „XY" jest pochodzenia polskiego.

Olsztyn, dnia....1945 roku.
Podpis: (-) Jerzy Burski, z-ca Pełnomocnika Rządu.

Jaki cel miało spełnić to zaświadczenie? Projektodawcy, Jerzemu Burskiemu, wcale nie chodziło o przeprowadzenie selekcji, czy, jak to określił mój brat Karol, nazywając „nowym plebiscytem". Intencją naszą było ratowanie ludzi, człowieka przed gwałtem, bezprawiem. Akcji tej przyświecał humanitaryzm, a nie nacjonalizm. Jako dowód na to podaję, iż zaświadczenia wydawaliśmy każdemu autochnowi, nie pytając, czy jest Polakiem, Mazurem, czy Niemcem. Prosiliśmy tylko o imię i nazwisko, by wpisać do zaświadczenia. Ja byłem tym, który dniem i nocą pisał na maszynie zaświadczenia, lewą połówkę w języku polskim, a Czekajło prawą część, ręcznie po rosyjsku.

W międzyczasie przyjechała druga grupa „pionierów", z nią Jan Sczech, któremu Jerzy Burski powierzył referat społeczno-polityczny oraz sprawy opieki społecznej. Razem z Janem Sczechem chodziliśmy po domach, aby stwierdzić stan bezpieczeństwa autochtonów. W każ-

dym domu skarżono się na niespokojne noce z powodu gwałtów i rabunków. Nie pytając o narodowość, wypisywałem zaświadczenie i przytwierdzałem do drzwi mieszkania.

Pewnego dnia udaliśmy się z Janem Sczechem do plebanii ewangelickiej przy Starym Rynku. Nie oczekując takiej wizyty, otwiera nam drzwi dość wysoki, szczupły, o siwych włosach, w podeszłym wieku, przystojny pan. Przedstawiliśmy się, że jesteśmy z polskiego urzędu. Pytaliśmy się o poczucie w nowej sytuacji. Z początku dość nieufnie, ale gdy zapewniliśmy mu pomoc, wtedy zapoznał nas ze swoją małżonką, oświadczając, że był pastorem w Olsztynie. Nazywał się Schwede. Rozmowa przeszła w przyjacielską pogawędkę. Pastor Schwede opowiedział nam, że żyją w ciągłym strachu, żadnej nocy nie mają spokojnej, bo mają przy sobie synową (syn na wojnie), która za dnia musi chodzić do pracy, a nocą jest gwałcona przez ruskich sołdatów. Przykro było słuchać.

Zaproponowaliśmy im pomoc. Prosiłem, nalegałem, aby pastor przyszedł z żoną i córką do ratusza. Rozstaliśmy się jako przyjaciele. Na drugi dzień zjawili się, ale bez córki, tłumacząc, że córka musiała iść do pracy. Tego dnia było w ratuszu bardzo dużo ludzi. Widocznie dyskutowano nad treścią zaświadczenia, bo pastor Schwede zaczął mi tłumaczyć, że w jego genealogii nie ma nikogo, kto byłby polskiego pochodzenia. Wytłumaczyłem obojgu, aby nie martwili się treścią zaświadczenia, gdyż my, wydając zaświadczenie, nikogo nie rejestrujemy i nikogo nie pytamy o narodowość, chodzi głównie nam o to, aby każdy mógł bezpiecznie i spokojnie spać w swoim domu. Wręczyłem pastorowi Schwede zaświadczenie z prośbą, aby umocował na froncie drzwi wejściowych i żeby powiedział synowej, by od jutra nie poszła do przymusowej pracy. Na drugi dzień poszedłem do pastorstwa Schwede z Janem Sczechem. Otworzyła nam tym razem przystojna, dość wysoka, piękna blondynka, radosna, uśmiechnięta, miałem wrażenie, że z radości najchętniej by nas ucałowała. Przedstawiła się, że jest synową, i zaczęła nam opowiadać, że po długich, długich, męczących, poniżających nocach, miała, dzięki naszej „nalepce", pierwszą spokojną noc. „Jakież to cudowne, że tacy dobrzy ludzie się znaleźli", powiedziała. Stwierdziliśmy, że nasze zaświadczenia odnosiły natychmiastowy skutek. Były po prostu „różdżką czarodziejską". A wydających zaświadczenia zaczęto nazywać „aniołami".

To działo się w Olsztynie w pierwszych dniach naszej administracyjnej działalności pokojowej. A zasłużył się w tym dziele przede wszystkim zastępca Pełnomocnika Rządu, Jerzy Burski, który zaświadczenia podpisywał *in blanco*, a ja wpisywałem nazwiska autochtonów. Z przykrością muszę stwierdzić, że akcję tę później przeistoczono w selekcję: kto Polak, kto Niemiec. Wielu Mazurów polskiego pochodzenia, albo zwracali swoje „zaświadczenia", albo nie przyjmowali w ogóle. Tak zwana „weryfikacja" nie zapisała się w historii Mazur („anielskimi") zgłoskami. Okres wojewody Moczara wymagałby osobnego, szczegółowego opracowania. Szkoda wielka, że tego nie zrobił mój brat, Karol Małłek, który przez cały swój żywot powojenny borykał się z tymi sprawami, żyjąc w województwie olsztyńskim do śmierci.

Przez pastora Schwede dowiedzieliśmy się o warunkach ludności autochtonicznej. Większość ludzi Sowieci spędzili do jednej dzielnicy za miastem, którą nazwano „Masuren-Siedlung" (Kolonia Mazurska). Przewodniczącym i opiekunem tej kolonii był superintendent Friedrich Rzadki, mówiący dobrze po mazursku. O nim powiem przy innej okazji. Pastor Schwede był słabej kondycji, chyba chorowity. Później, gdy mnie już nie było w Olsztynie, Jerzy Burski wydał pastorowi Schwede, jego żonie i synowej przepustki na wyjazd do Niemiec.

Ogólnie stan Kościoła ewangelickiego w Prusach Wschodnich zastaliśmy prawie dosłownie [taki], jaki przewidywaliśmy z Janem Sczechem. Poza superintendentem Sternem w Ostródzie, który wkrótce wyjechał do Niemiec. Wszystkie parafie ewangelickie były opuszczone.

130
Jestem starostą powiatowym w Niborku

Z grubsza uporaliśmy się w Olsztynie z problemem bezpieczeństwa ludności autochtonicznej. Nie było już komu wydawać zaświadczeń „anielskich". Wszystkie powiaty województwa olsztyńskiego były obsadzone starostami, Szczytno przejął Walter Późny. Pozostał do obsadzenia powiat niborski, nazwany Nidzicą, przez Rosjan nadal nazywany Neidenburg. Zastępca Pełnomocnika Rządu, Jerzy Burski, zagaduje mnie: „Edward, wiem, że nie chciałeś być starostą, ale wiesz, nie mam odpowiedniego kandydata, chciałbym, abyś pojechał do Nidzicy i był tam starostą". Wymigiwałem się, jak tylko mogłem, ale Jerzy Burski nie popuszczał. Zgodziłem się wreszcie.

W czasie wydawania „anielskich" zaświadczeń poznałem dwie rodziny, pochodzące gdzieś tam spod Tylży, mówiące po mazursku. Utrzymali w swoich rękach cztery konie i dwa wozy załadowane domowizną. Takimi dwoma „Volkswagenami" o kołach drewnianych okutych żelaznymi obręczami udał się „Starosta Powiatowy, Stanisław Łopatowski (Edward Małłek), z sekretarzem Edwardem Czekajło do Niborka (Nidzicy)". Jaki byłem wtedy głupi, że nie rzuciłem okupacyjnego nazwiska. To była istna głupota, posługiwać się obcym nazwiskiem w swoich stronach. Dopiero za dwa lata wróciłem do własnego nazwiska. Na szczęście droga do Nidzicy przez Olsztynek była asfaltowana, więc jazda była do zniesienia. Zajechaliśmy jeszcze za dnia. Ludzi cywilnych w mieście nie widzimy w ogóle.

Jak dobrze, że miałem przy boku Edwarda Czekajło. On też zaczepił pierwszego lepszego sołdata, pytając o siedzibę Komendanta Wojennego. Zajechaliśmy przed komendę. „Volkswageny" zostawiliśmy na ulicy. Weszliśmy do biura Komendanta na pierwszym piętrze. Komendant, major Zejnałow, wyszedł naprzeciwko nam, przywitał się. Ja przedstawiłem się, podając moją nominację oraz przedstawiając mego sekretarza Czekajło, który tłumaczył moje słowa. Komendant, widząc że nie umiem po rosyjsku, wezwał swoją tłumaczkę, miłą, przyjemną, dość ładną, małego wzrostu Polkę. Bo i major Zejnałow był niskiego wzrostu, ciemnej cery, o ciemnych włosach, około czterdziestki, na wskroś uprzejmy Gruzin. Rozmowa była przyjemna, nawet wesoła, bo i tłumaczka brała w niej udział. Była jednocześnie kochanicą majora. Major Zejnałow poinformował nas, że lokum mamy w hotelu, wyżywienie w stołówce obok hotelu. Pożegnaliśmy się. Major zrobił na nas bardzo dobre wrażenie. Później byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Zamówił nas na jutro w swoim biurze. Wartownikowi polecił, aby nam wskazał stołówkę i hotel.

W hotelu rozlokowaliśmy się, myśląc, co będzie dalej. Nasze „Volkswageny" skierował na postój. Na drugi dzień poszliśmy do stołówki na śniadanie, a po śniadaniu do Komendanta naprzeciw stołówki i hotelu. W rozmowie major przedstawił nam nasze warunki: możemy poruszać się w obrębie: hotel, stołówka, komendantura. Pomyślałem: smutna per-

spektywa, równoznaczna z obozem. Wytłumaczył swoje zalecenia brakiem rozkazu przekazania administracji w polskie ręce. No, trudno, taki los wypadł nam, trzeba się z tym godzić.

Uprosiliśmy majora, by pozwolił nam, ludzi, którzy z nami przyjechali, osadzić gdzieś na wsi, możliwie blisko Neidenburga, bo tak Rosjanie nazywali Nidzicę. Podsunąłem majorowi wieś Piątki. Major zgodził się i wydał osadnikom odpowiednie „bumaszku".

Z Edwardem Czekajło pojechaliśmy z osadnikami do wsi Piątki. Wskazałem im wspaniałe gospodarstwo, którego właścicielem był Małłek, współimiennik, ale nie krewny. Osadnikom gospodarstwo się bardzo podobało, bo zabudowania były masywne, murowane, prawie jak nowe. Przy okazji zobaczyliśmy ślady szabru. W domach wszędzie pełno pierza, różnego śmiecia, zniszczone obrazy, fotografie, książki, papiery. Ani jednego człowieka we wsi. Wróciliśmy do „trójkąta": hotel, stołówka, komendantura. Za kilka dni przyszli „przemysłowcy", oczywiście niezależni od nikogo, „pełnomocnicy resortu przemysłu" w Warszawie. Było ich dwóch dość zarozumiałych panów. Było nam trochę weselej, ale wciąż nie wolno nam było wychodzić do miasta.

Pewnego dnia mamy wezwanie do NKWD. Dumnie i szorstko przyjął nas przystojny, wysoki blondyn, Rosjanin w stopniu kapitana. Kazał nam zająć miejsca pod rząd, jak na ławie oskarżonych. Zaczął nam prawić, czego to nie dokonała Armia Czerwona, w końcu wrzasnął: „A co wy dokonali, Polaczki? My wojowali, a wy co? A teraz chcecie tu rządzić?". Wreszcie wziął oddech. Skorzystałem z tego momentu i zabrałem głos, prosząc Czekajłę o przetłumaczenie. Powiedziałem, że obok Armii Czerwonej walczyła Polska Armia im. Tadeusza Kościuszki. Obie armie walczyły ramię przy ramieniu. A że teraz jesteśmy też obok siebie, to tylko dlatego, że tak chciał generalisimus Józef Stalin, który nas poprosił do pomocy. „Pigułka" chyba zadziałała, bo „niedźwiedź" się udobruchał, pomrukując: „Nu da, da... Nu charaszo!". Nigdy więcej nas nie wzywał. Później spotykaliśmy się na ich mityngach, urządzanych przez majora Zejnałowa.

Ta „trójkątna" władza starościńska bardzo mi się dłużyła. Wciąż nie wolno było nam chodzić po mieście. Siedzieliśmy w hotelu jak w więzieniu. Przez okna nie widzieliśmy nikogo z cywilów. Nie wiedzieliśmy nic o sytuacji w mieście, w powiecie i co dzieje się w świecie. W rozmowach z Komendantem upominałem się o danie nam możliwości do działania, do organizowania życia w mieście, w powiecie. Major grzecznie odpowiadał, że to nie od niego zależało, bo ogólnie był wobec mnie i Czekajły bardzo uprzejmy i serdeczny.

Jednak któregoś dnia trafiłem u niego na dobry humor, prosząc go o środek lokomocji i zezwolenie na wyjazd w powiat. Dał nam dwukonną bryczkę (po mazursku taki pojazd nazywa się „wasąg"), bez żołnierza. Zaopatrzył nas też w przepustki. Pojazd miał cztery siedzenia, więc „przemysłowcy" wprosili się, było nas czterech. Ja z Czekajłą zajęliśmy przednie siedzenia, „przemysłowcy" tylne. Pojechaliśmy w kierunku na Szczytno. Przejechaliśmy miasto, nie spotkaliśmy nikogo z cywilów, tylko sołdatów. Jedziemy dalej. Nie spotykamy żadnej żywej duszy. Wszędzie pusto, głucho, smutno. Wreszcie na pewnym zakręcie widzimy kobiecinkę przy chatce z trojgiem małych dzieci. Gdy nas zauważyły: „czmych, czmych!", jak przestraszone lisiątka, skryły się w piwnicy. Nie chcąc robić im większego strachu, przejechaliśmy dalej, by zobaczyć, co dzieje się dalej. Był to kwietniowy, ciepły, słoneczny dzień.

Po lewej stronie pod lasem, na polanie stadko saren. „Przemysłowcy" radośnie wykrzyknęli: „zatrzymajmy się", wyciągając spod ich siedzenia dubeltówkę, którą ukryli przede mną. I nim zdążyłem ich przekonać, aby nie strzelali, już jedna sarenka leży trafio-

na. Zwróciłem im uwagę, że przez to możemy mieć duże przykrości i nieprzyjemności z Sowietami. Ale oni, nie zważając na moje słowa, pobiegli po sarenkę. Przywlekli ją. Zrobiło mi się żal, bo sarenka była kotna (ciężarna). „Niszczyciele przyrody" ukryli sarenkę pod siedzeniem, zadowoleni z „polowania". Jedziemy dalej. Ludzi nie spotykamy.

Niedaleko Jedwabna wjeżdżamy w „kocioł" sowieckich żołnierzy, którzy „tyralierą", żołnierz obok żołnierza „przeczesują" teren, zaglądając pod każdy krzaczek, każdą miedzę, każdy dołek, „polując" na ludzi miejscowego pochodzenia, na autochtonów. Jakiś podoficer zatrzymuje nas. „Szto wy?" – krzyczy. Pokazujemy przepustki od Komendanta w Nidzicy. Zatrzymuje dokumenty i każe jechać za nim. Zaprowadził nas do punktu zbornego, domu na skraju Jedwabna. Na dworze jest kilku wartowników. Każe nam zejść z bryczki i prowadzi nas do ważniejszego rangą. Ten czyta nasze dokumenty, ale nie wierzy w ich prawdziwość i prowadzi nas do piwnicy. My staramy się wytłumaczyć. On nie słucha, tylko woła: „Dawaj! dawaj! posmotrym!". Za chwilę jesteśmy w piwnicy, w której zastajemy dwóch starszych Mazurów i trzy w różnym wieku kobiety, w tym jedna panienka. Jest nas teraz dziewięcioro. Oni zdziwieni, patrzą na nas, myśląc: „Dobrze im szabrownikom, niech siedzą razem z nami". My również zdziwieni, patrząc na współwięźniów. Wszyscy milczymy. Patrzymy na siebie i nie wiemy, co będzie. Po chwili zagadnąłem autochtonów, ale nikt z nich się nie odezwał. Piwnica była pusta, z małym okienkiem do zsypywania kartofli. Podłoga goła. Zrozumiałem, że Sowieci wyłapują resztki ludzi, którzy się jeszcze gdzieś ukrywali.

Za jakąś godzinę, otwierają się drzwi, podoficer każe nam wyjść. Zaprowadził nas do „komnatu". W pokoju widzimy podłogi, bardzo długi stół, nakryty białym prześcieradłem. Każą nam usiąść na ławach przy stole. Jakiś oficer bardzo nas przeprasza za zaszły incydent, tłumacząc, że prowadzą akcję przeciw bandytom i żołnierze mieli rozkaz zatrzymania każdego, kogo spotkają. Ucieszyliśmy się, że nas puścili, bo przez pomyłkę mogliśmy się znaleźć jako „bandyci" na Syberii. Furmankę nam oddali, ale „przemysłowcy" pozbyli się dubeltówki, a o smacznej sarninie mogli tylko pomarzyć. Majorowi Zejnałowi było przykro, że spotkała nas taka przykrość, ale taka jest wojna. To była jedyna „służbowa" przejażdżka starosty po powiecie.

Nieoczekiwanie jestem wezwany przez Komendanta majora Zejnałowa, abym przybył na stację kolejową. Co to może być za sprawa? – zaintrygowało mnie i mojego sekretarza Czekajłę, bo normalnie nie wolno było nam wychodzić do miasta.

Idziemy na stację. Na torze kolejowym widzimy transport z ludźmi. Wielu z nich okazuje wielkie zdenerwowanie, wymachują rękami, debatują z majorem Zejnałowem i jego asystą. Gdyśmy doszli do nich, major Zejnałow informuje mnie, że to są przesiedleńcy z Ukrainy i od wczoraj tutaj stoją i nie chcą się rozładować. Komendant prosi, abym wpłynął na przesiedleńców. Widzę, że nadszedł wreszcie dzień mego urzędowania.

Przedstawiłem się przesiedleńcom jako „polska władza", starosta powiatowy, który (nawiasem mówiąc) dotąd nie miał nic do gadania. Przesiedleńcy poczęli się uskarżać, że zostali oszukani przez władze wysiedleńcze, które wysyłając transport zapewniały, iż skierowani są na Śląsk, a nie na Mazury. I dlatego żądamy, aby nasz transport skierowano na Śląsk. „I my się tutaj nie rozładujemy". Nasza perswazja nie odnosiła skutku. Przesiedleńcy siedzą w wagonach. Wydarzenie to wykorzystałem, zwracając się do Komendanta o przydzielenie nam budynków, w których musimy urządzić biura Starostwa Powiatowego, gdzie załatwiać będziemy sprawy napływających przesiedleńców. Nie możemy przyjmować ludzi

w hotelu. Sam widzi, że napływać będą przesiedleńcy i osadnicy. Komendant uznał nasze żądanie za słuszne i przydzielił nam 1 (jeden) dom przy ulicy Dworcowej, jednopiętrowy z poddaszem. Na parterze, w jednym pokoiku mieszkał przestraszony właściciel Bolz z małżonką, z zawodu rzeźnik, pośrednik handlowy, mówiący dobrze po mazursku. Na poddaszu mieszkała Mazurka Borkowska z dwojgiem małych dzieci. Bolzów i Borkowską zapewniłem, że spokojnie mogą nadal mieszkać pod naszą opieką i niech się niczego nie boją. Ja z Edwardem Czekajło przenieśliśmy się do Starostwa. Na drugi dzień zajęliśmy obok drugi dom. Odtąd korzystaliśmy z „wolności", wolnego poruszania się po mieście.

Dopiero na trzeci dzień „przesiedleńcy", nie widząc innej rady, „wygruzili" się i każdy na swoją rękę szukał sobie miejsca zamieszkania. Sowieci nie robili trudności, strzegąc jedynie magazynów, do których tylko oni mieli dostęp. Jeden z przesiedleńców był piekarzem, zajął piekarnię. Przywiózł ze sobą dużo mąki i pszenicy. Ucieszyliśmy się, że będziemy mieli własny chleb. Dwie przedsiębiorcze panie otwarły na stacji bar. Kilka osób przyjąłem do „pracy" w Starostwie, w tym jedną panienkę za biuralistkę. Ale cóż to było za urzędowanie, skoro nie było ani biurek, ani stołów, ani krzeseł, ani papieru biurowego... Trzeba było wszystko stopniowo zdobywać. Całe szczęście, że Sowieci utrzymywali w porządku wodociągi, kanalizację i elektrownię. Od moich „mazurskich lokatorów" dowiedziałem się, że kto z miejscowych ludzi zdążył, to uciekł, inni, szczególnie młodzi, zostali wywiezieni do Rosji, resztki są skoszarowane po niektórych majątkach do pracy. Dużo osób zamordowano, nie mówiąc o strasznych gwałtach.

Stwierdziłem, iż objąłem powiat, ale bez ludzi, bez miejscowych mieszkańców, bez Mazurów. Puste miasto, puste wsie. Tylko pola, łąki, obudzone wiosną ze snu zimowego, zapowiadały bogate plony. Niebo słoneczne, ale nad moją Ziemią Ojczystą unosił się „Smętek".

Mając pustą ziemię, przeczuwając, iż Polacy nie pozwolą ludności miejscowej wrócić na swoje, wyjechałem do Mławy, do tamtejszego starosty powiatowego, aby tam zorganizować grupę odpowiedzialnych ludzi, którzy stanowiliby Milicję Obywatelską w Nidzicy. Za kilka dni zjawiła się grupa umundurowanych i uzbrojonych młodych ludzi w liczbie ośmiu osób plus komendant, obywatel Trafidło. Byli to bojownicy, którzy działali w konspiracji w czasie okupacji w Batalionach Chłopskich, a więc „ludowcy". Z pomocą Komendanta MO zorganizowaliśmy stołówkę. Milicjanci „zorganizowali" stoły, krzesła, ławy, naczynia kuchenne. Znaleźliśmy też personel kuchenny, a w tym pomogła nam Mazurka, Borkowska, mieszkająca w budynku starostwa na poddaszu.

Przy tej okazji muszę podkreślić, że tak miasto, jak i cały powiat nidzicki był ogołocony ze wszystkiego. Czego Sowieci nie wywieźli, to wywieźli „szabrownicy", Polacy z „Kongresówki", którzy do naszego przybycia mieli pełne dwa miesiące czasu, aby ogołocić sklepy, mieszkania, piwnice, gospodarstwa wiejskie, przy czym nie obyło się bez morderstw. Rozbierano stodoły i obory i wywożono do „Starej Polski".

Stopniowo do starostwa zgłaszały się kwalifikowane siły. Do administracji zgłosił się na przykład Goryński z Mławy, który przejął wydział ogólny. Zgłosiła się akuszerka, która zainteresowała się szpitalem. Pewnej nauczycielce powierzyłem sprawy szkolnictwa. Był też ogrodnik, Jakubowski, który zajął się ogrodnictwem. Był też już piekarz z przesiedleńców z Ukrainy. Z Warszawy przybył komisarz ziemski, Zygmunt Bartoszewski, komisarz Urzędu Ziemskiego. Zjawił się kierownik PUR-u (Państwowego Urzędu Repatriacyjnego). Od początku była grupa przemysłu. Całą plagą, nieporozumieniem i wielkim błędem poli-

tyczno-administracyjnym było to, że ci „panowie", kierownicy poszczególnych resortów, nie przychodzili do powiatu, skierowani przez Urząd Wojewódzki, przez Urząd Pełnomocnika Rządu, pułkownika Prawina, czy też przez jego zastępcę, Jerzego Burskiego, lecz każdy z nich przychodził z pełnomocnictwem danego ministerstwa. A więc każdy z nich czuł się niezależny, po prostu nikomu „niepodległy" pełnomocnik rządu danego resortu. Powstał straszliwy, wielki chaos. Każdy rządził po swojemu, jak chciał. Starostę nie uważali za przełożonego. Brak było skoordynowanych posunięć. Z uwagi na całkowity brak ludności miejscowej, autochtonów, na czoło wysunęła się sprawa osadnictwa.

Przychodziły transporty „wysiedleńców" zza Buga, którymi kierował PUR. Co to był za wielki „pan", zarazem cham, ten kierownik PUR-u w Nidzicy. Był ważniejszy od samego papieża. Straszna była z nim współpraca. Później porał się z nim komisarz ziemski, Zygmunt Bartoszewski. Na szczęście za mego „urzędowania" rządzili jeszcze Sowieci. Moje stosunki z Komendantem, majorem Zejnałowem, były jak najlepsze. Często zapraszał mnie z sekretarzem Edwardem Czekajło w teren. Najczęściej do majątku Orłowo (Orlau). Tam byliśmy przyjmowani bardzo gościnnie przez „starszyznę" w stopniu podoficera. W towarzystwie tym udawałem „dobrą twarz do złej gry". Jakże przykro było patrzeć, jak każdy z Sołdatów miał „niewolnicę" kochankę, które na rozkaz, w naszej obecności, musiały na kolanach, na rozkaz pocałować Ruska. Autochtonki, jakby manekiny, wykonywały rozkazy milcząco, tłumiąc w sobie gorycz, łzy i wstyd.

Tam w Orłowie Sowieci trzynastoletnią dziewczynkę zgwałcili na śmierć. Wewnątrz krajało mi się serce, patrząc na te nieszczęśliwe istoty.

Innym razem zabrał nas do Łyny, do młyna wodnego, który kiedyś należał do Dombrowskiego, żona jego była naszą ciotką. Przedtem mieszkali w Janowie koło Brodowa. Zastaliśmy tam milczącego młynarza. Będąc razem z majorem, nie miałem okazji z nim rozmawiać. Przypuszczam, że to był zięć Dombrowskich, Duchna. Była głupia sytuacja, bo nie miałem odwagi przyznać się, kim rzeczywiście jestem, sądząc, że Sowieci nie znają mego prawdziwego nazwiska. A oni dawno wiedzieli, skąd pochodzę. Weszliśmy też do mieszkania. Tam zastaliśmy młynarza żonę i może siostrę lub szwagierkę. Rozmowa też się nie kleiła. Głupią rzeczą z mej strony było ukrywanie własnego nazwiska, jako byłbym przestępcą. No, ale tak było.

Któregoś dnia, już późnym wieczorem, wracając z Orłowa, major Zejnałow powiada do mnie po rosyjsku, ale powtórzę po polsku: „Starosta, pokażę tobie coś". Zatrzymujemy się, przypuszczalnie była to stacja kolejowa Napiwoda. Tam stacjonowała sowiecka jednostka kolejowa, zajęta wywożeniem sprzętu kolejowego do Rosji. Na torze stał skład pociągu wagonów pulmanowskich. Była noc. Major wziął mnie pod rękę, wchodzimy do pulmana pierwszej klasy, siedzenia miękkie. Major odsuwa drzwi, świeci latarką i mówi: „Starosta, posmotryj!". Gasi latarkę, idziemy do następnego przedziału, major powtarza swoje czynności i te same słowa. I tak po kolei przeszliśmy cały pulman, w każdym przedziale leżał wojak ze „swojaczką" Rosjanką. W tym wypadku byli to żołnierze sowieccy i Rosjanki w służbie wojskowej, a wieczorami pocieszali się seksem.

Wychodząc z wagonu, major powiada: „Starosta, a teraz zobaczysz, co będzie". Wartownikowi polecił zagrać na alarm. Na głos trąbki w wagonach powstał wielki rumor. Sołdaci w gaciach, z mundurami pod pachą, w biegu się ubierają, stają w szeregu. Za chwilę wybiegają umundurowane dziewoje, tworząc drugi szereg. Wyobrażam sobie, jak w duchu przeklinali majora, który przeszkodził im w przyjemnościach. No cóż, służba nie drużba.

Sołdaty i sołdatki posłusznie musieli wysłuchać przemówienia majora o gotowości bojowej. Po przemówieniu rozpuścił bractwo z powrotem do wagonów, a myśmy mieli okazję na żarty i śmiechy. Rozbawieni wróciliśmy do domu. Innymi razy obwoził nas po gorzelniach, które były czynne, gdyż ziemniaków było w bród.

Pewnego dnia zjawił się u mnie w Starostwie katolicki ksiądz Kobyliński z Białut. Zachowywał się jak człowiek nienormalny. Oświadczył, że chciałby odprawić nabożeństwo. Wyjaśniłem mu, że na razie władzą jest tu Komendant Wojenny. Widocznie był u niego, bo otrzymał zezwolenie odprawienia nabożeństwa w Sarnowie. (Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest to ten sam ksiądz, który ukradł dwa dzwony z ewangelickiego cmentarza w Brodowie i wywiózł do „Kongresówki", i ten sam, który zmusił ewangelików Narzymia do przejścia na katolicyzm i przekazania kościoła Kościołowi katolickiemu.)

Major Zejnałow, wiedząc o tym nabożeństwie, zaprosił mnie i mego sekretarza do wzięcia udziału w nabożeństwie. Pojechaliśmy razem. A jakże, zajęliśmy miejsca w drugiej ławce po lewej stronie. Cierpliwie wysłuchaliśmy mszy świętej. W duchu protestowałem przeciwko bezprawnej grabieży obcej własności, gdyż odtąd stamtąd katolicy już nie wyszli. Ale cóż tam dla katolików znaczy dziewiąte przykazanie: „Nie pożądaj domu bliźniego twego". Było to pierwsze i jedyne nabożeństwo w Sarnowie i w ogóle w powiecie za mego urzędowania, do lipca 1945 roku.

W pewnym magazynie powstał pożar. Podejrzenie padło na dwóch Niemców, elektryków. (Jednym z nich był Wily Rössler, który później ożenił się z Emą Bromberg z Brodowa.) Major Zejnałow nie uwierzył tym poszlakom, bo to byli jego jedyni niewolnicy zaufani, „wolni" fachowcy, którzy za dnia korzystali ze względnej wolności i swobody poruszania się po mieście. Na noc wracali do piwnicy. Major przeprowadził dochodzenie, które udowodniło, że podpalaczem był żołnierz sowiecki. Wyrok był prosty: śmierć przez rozstrzelanie. Mimo to, skazany doznał uroczystego pogrzebu, na który zostaliśmy też zaproszeni. Pochowany został na cmentarzu żołnierzy sowieckich, naprzeciw cmentarza poniemieckiego.

W międzyczasie przyjechała moja żona z Robusiem i Jadźką z Pierławki, gdzie przebywały po wyjeździe z Radości u mojej siostry Marty. Przyjechała ciężarowym samochodem wojskowym. Jechała pod strachem, ale ze strony żołnierzy rosyjskich nie doznała krzywdy. Sypialnię urządziliśmy na pierwszym piętrze w domu obok Starostwa. Wtedy pod słowem „sypialnia" rozumieliśmy miejsce do przespania, bo poza podwójnymi łóżkami żadnych innych mebli nie było. Gdzie i na czym spały dzieci , nie pamiętam.

Z „getta" w Brodowie udało się uciec Brombergowej z córką Emą. Brombergową ulokowaliśmy w małym domku, a Ema ukrywała się u nas. Ze strachu spała razem z nami. Żadnej nocy nie mieliśmy spokojnej, bo stale przechodził przez naszą sypialnię znany mi dobrze żołnierz sowiecki, Fiodor, udawający pijanego, ciągle kręcąc się koło Starostwa. Był to obserwator, po prostu szpicel. Pozwalałem mu na przechadzki przez naszą sypialnię nawet nocą. Drzwi były otwarte. Każdy jego spacer wywoływał drgawki strachu u Emy Bromberg, która zakopywała się głęboko pod pierzynę, by nie być zauważoną.

Major Zejnałow, dowiedziawszy się, że mam żonę, urządził wspaniały „miting", na który zaprosił mnie z żoną i Edwarda Czekajłę. Przyjęcie było w znanej „stołówce". Wzdłuż ściany okiennej ustawiono długi stół, nakryty białymi obrusami. Nakrycia, talerze, sztućce, po europejsku. Na stole przeróżne mięsiwa, na środku upieczony warchlaczek leżał na srebrnym półmisku jak żywy. Przed każdym z biesiadników talerz, widelec, nóż i dwa

„staganki", szklanki do wódki, spirytusu. To ostatnie to już po rosyjsku. Obsługa kelnerzy niewolnicy, elegancko ubrani. Major posadził moją żonę po jego prawej stronie, a mnie z lewej strony, Edward Czekajło obok mnie. Na krzesłach naokoło stołu starszyzna oficerowie stacjonujący w Nidzicy, bez kobiet. Rozmowę prowadził przede wszystkim major Zejnałow, honorując jedyną „damę", moją żonę.

Moje oczy zerkały przede wszystkim na postawione dwa „stakanki". „Na co dwie szklanki?" – pomyślałem. Wnet zagadka się rozwiązała. Na znak majora, kelnerzy naleli do jednej szklanki spirytus, do drugiej wodę. No i dawaj, komenda: „Na zdarowie!". Oczywiście chwyciłem za wodę, bo nigdy nie piłem czystego spirytusu. Szklanice poszły w ruch. Prosiaczka zaczęto okrajać. Talerze napełniły się mięsiwem, do tego był chleb. Z każdą minutą, za każdą szklanicą humory się poprawiały. Było głośno i hałaśliwie. Dzięki temu, że major adorował mojej żonie, moje „manewry" ze szklankami się udawały. Po dłuższym czasie doszły do nas głosy z sąsiedniego pokoju, w którym ucztowały „dunie". Bowiem w naszym pokoju jedyną niewiastą była starościna, Anastazja Łopatowska. Jak towarzystwo obustronnie dobrze podjadło, a przede wszystkim popiło, dawaj do tańca.

Major poprosił moją żonę, inni towarzysze z naszego pokoju poszli po swoje towarzyszki, które ośmieliły się wyjść ze swego pokoju. Potańcówka była wszędzie, gdzie tylko było miejsce. Przy stole zostaliśmy sami z Edwardem Czekajło, bo nie byliśmy pewni, czy możemy prosić Rosjanki. Zresztą nikt nas do tańca nie zachęcał. Dobrze zrobiliśmy, bo ni stąd ni zowąd jedna z brygadzistek poprosiła mnie do tańca. Na to NKWD-zista krzyknął: „Udzieraj!". Ale dziewucha obstawała przy swoim. Zaczęła krzyczeć, wygłaszać wrogie hasła, wyzywać wszystkich. Wydzierała się z rąk wojskowych, którzy ją uspakajali. W końcu wynieśli ją na dwór, a ona jeszcze tam wykrzykiwała antysowieckie hasła. Z tego incydentu wynieśliśmy naukę, że Rosjankom nie wolno zadawać się z Polaczkami. Incydent ujemnie zaważył na humorach obecnych. Jeszcze jakiś czas bawiono się, co rusz towarzysze podchodzili do stołu, aby wypić dalszą szklankę „goryłki". Podziwiałem, jak im to smakowało. Naturalnie upili się solidnie. Dalszych zakłóceń nie było.

Majorowi daliśmy do zrozumienia, że chcielibyśmy pójść do domu, dziękując mu za wspaniały mityng. Major odprowadzając nas powiada: „Starosta, u nas w Gruzji jest zwyczaj, że przyjaciel daje swoją żonę". „Oczeń charaszo" – powiadam. „Jak będę w Gruzji, to ty mi dasz twoją żonkę!". „Nu da!" – odpowiada, „ale teraz ty dasz mi twoją żonkę!". Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem. Ale co w tej chwili pomyślała moja żona? Pewnie przeszedł ją dreszcz strachu, aby żart nie obrócił się w rzeczywistość. Ale major, dalej żartując, rozwiał te obawy. Pożegnaliśmy się wesoło, po przyjacielsku. I tak zakończył się mityng po rosyjsku.

Trzeba powiedzieć, że major lubił kobietki. A któż to z mężczyzn nie lubi? Ta „lubość" kosztowała majora przykrą konsekwencję, bo i on się zaraził i potrzebował leczenia przez swego „wracza". Muszę dopowiedzieć, że dużo niewiast cierpiało na skutek przewlekłego leczenia się po doznanych gwałtach.

Następnego dnia, budząc się z ciężką głową, trzeba było brać się do realizowania naszego prymitywnego życia osadniczego. Z Mławy sprowadziliśmy naszą przyjaciółkę z czasów okupacji, Jankę Kornalewską, i namówiliśmy ją do otwarcia sklepiku. Lokal był obok Starostwa i mieszkanie również, w którym zamieszkała razem z synkiem Januszem. Nasze dzieci miały kolegę i przyjaciela, z którym hasali po ruinach, „katakumbach", piwnicach, opuszczonych sklepach. Janka Kornalewska rozwinęła swój handel, sprowadzając

z Mławy towary żywnościowe okazyjnymi samochodami sowieckimi. Ucieszyliśmy się, że mamy już sklep i możemy coś kupić. Dobrze, ale nie ma pieniądza w obiegu, bo nikt nie otrzymywał wynagrodzenia. Każdy pracował honorowo. Ale Janka (tak ją powszechnie nazywaliśmy) musiała przecież dokonywać zakupów. Więc monetą obiegową przez pewien czas był „litr spirytusu gorzelanego", który zdobywaliśmy z gorzelni od sowieckich żołnierzy, którzy kierowali gorzelniami. Za spirytus kupowano i sprzedawano.

Mieliśmy stołówkę, ale trudno było o zaopatrzenie, bo nie mieliśmy jeszcze żadnego żywego inwentarza. Nie mieliśmy mleka, bo nie było krów. Wszystkie w „kołchozach" sowieckich. Janka Kornalewska poradziła nam, abyśmy się udali do Janowa, powiat Mława, tam jej znajomi poradzą nam, co do kupna krów. Oczywiście, też za spirytus. Zaszliśmy do proboszcza. Po dłuższej rozmowie utargowaliśmy u niego pięć krów. Zdziwicie się, że u księdza kupiliśmy pięć krów. Tak było. Bowiem ksiądz za pewne usługi religijne często żądał krowę. Zapłaciliśmy mu, o ile się nie mylę, dziesięć litrów spirytusu za jedną krowę, czyli ogółem pięćdziesiąt litrów. Zaraz przyprowadziliśmy je i umieściliśmy w oborach gospodarstwa blisko szpitala. Nie były to specjalnie dobre krowy, niewiele dawały mleka, ale otrzymując dostatnio paszy, udój mleka stopniowo się poprawiał. Mogliśmy zaopatrzyć stołówkę i pierwszych chorych w szpitalu. Och, jakież prymitywne było nasze życie. Pierwsi osadnicy borykali się ze swoimi trudnościami.

A tu wciąż wojna trwa. Niemcy ostatkiem sił bronią stolicy, Berlina. Wreszcie 8/9 maja 1945 roku Niemcy kapitulują. Dzień przed kapitulacją „Führer" Adolf Hitler, twórca tysiącletniego niemieckiego panowania nad światem, popełnił samobójstwo, a ciało swoje kazał spalić. Chyba śmierć godna śmierci milionów pomordowanych i spalonych, niewinnych ofiar. Kapitulacja Trzeciej Rzeszy (Das Dritte Reich) była totalna i bezwarunkowa. Niemcy nie mieli prawa stawiać jakichkolwiek warunków.

Radość Aliantów Zachodnich była chwilowa, bo oto Rosjanie byli pierwsi w stolicy Niemiec, Berlinie. I kto ich stąd wyprze?

Gdy o tym piszę, jest rok 1989-ty, a Rosjanie nadal są w Berlinie, a więc już 44 lata. Polska została wyzwolona spod jarzma jednego tyrana, zbrodniarza. Ale jak zachowa się wobec Polski drugi zbrodniarz, morderca tysięcy oficerów polskich w Katyniu i Kozielsku?

Z okazji końca wojny major Zejnałow urządził mityng na świeżym powietrzu, na którym i ja jako Starosta Powiatowy musiałem przemawiać. Nie wiem, w jaki sposób spędzono ludzi. Być może, że przypędzono resztki autochtonów z pobliskich „kołchozów" sowieckich, czego sprawdzić nie miałem okazji. W każdym razie po przemówieniach majora i moim nie było spontanicznych wiwatów. Może z grzeczności, może ze strachu, niektórzy poklaskali, tu i ówdzie ktoś zawołał: „Hurra!".

Społeczeństwo polskie wiedziało już, że granica Polski na zachodzie oprze się na słupach Bolesława Chrobrego, zatkniętych nad Odrą, a na północy Bałtyk będzie polski. Ale co z tego, skoro rząd wyzwolonej Polski został „przyniesiony" z Moskwy, a nie z Londynu. Stąd utajone antagonizmy, nieufność, nienawiść, niezadowolenie. Czy mogli radośnie wiwatować na mityngu „zaburzanie", skoro byli wypędzeni z własnej ziemi, z polskiego Lwowa, Wilna? Dlatego i moje przemówienie, którego treści nie pamiętam, było tylko maską. W czasie mego przemówienia starosta mławski (nazwiska nie pamiętam), będący w tłumie na mityngu, wykrzyknął: „To jest Szwab, który tam przemawia!". Powstało pewne zamieszanie, ale Rosjanie nie zrozumieli i nie zwrócili uwagi na ten incydent. I ja nie zareagowałem na ten okrzyk. Nie zauważyłem żadnej dyskusji na ten temat.

Okrzyk starosty mławskiego mnie nie zaskoczył, ale dał mi dużo do myślenia. Już od 10 stycznia 1920 roku dobrze znałem myślenie Polaków. Nie było i chyba nigdy nie będzie tak mądrego człowieka, który nauczyłby Polaków odróżniać wyznanie od narodowości. A to, żeby ewangelik w Polsce był uznany i uważany za Polaka, o tym niech raz na zawsze zapomną ci ewangelicy, którzy wierzą jeszcze w taką możliwość. Godni podziwu w tej materii są biskupi i księża Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, którzy wciąż podkreślają swą polskość i polski patriotyzm. A kto wam, augsburczycy, wierzy, skoro większość z was jest pochodzenia niemieckiego, o niemieckim nazwisku. Pilchowski też nie zakryje niemieckiego „Pilcha".

Niewątpliwie starosta mławski dowiedział się, że starosta nidzicki, Łopatowski, to „Szwab", bo ewangelik. No, bo tak, urodziłem się w powiecie nidzickim (Neidenburg), w pobliskim Brodowie (Brodau) w 1907 roku. A więc „Szwab" i basta.

Mimo tego, byłem lubiany przez ludzi, którzy osiedlili się w mieście i tu, i ówdzie w powiecie. Z żoną byliśmy proszeni na wesela przez „zaburzan". Moja żona była chrzestną syna Daniłowiczów, wójta ze Szkotowa, którzy byli naszymi serdecznymi przyjaciółmi. Z chwilą zjawienia się przesiedleńców i „dzikich" osadników z powiatu mławskiego zaistniała potrzeba mianowania sołtysów i wójtów. Sołtysem w Napierkach mianowałem autochtona katolika, który jedyny ocalał we wsi dzięki obrazowi Matki Boskiej na ścianie (o podobnych „ocaleniach" przed Polakami pisał Max Worgitzki, niemiecki działacz plebiscytowy).

Pewnego dnia zarządziłem konferencję, na którą zaprosiłem wszystkich „pełnomocników" wszelkich resortów, sołtysów i wójtów. Na początku zebrania poprosiłem sołtysów o przedstawienie sytuacji na wsi. Wszyscy stwierdzili, że „Niemców" we wsi nie ma. Tylko jeden z nich powstał i pochwalił się, że zastrzelił 14-letniego Niemca, którego znalazł ukrywającego się w stodole. „Dlaczego obywatel to zrobił? Co on złego zrobił obywatelowi?". „No, zabiłem, bo to Szwab!" – taka była odpowiedź polskiego bohatera, mordercy niewinnej dzieciny. Fakt ten zaciążył na moim przemówieniu. Słowa stawały w gardle. Oświadczyłem, że samosądów nie wolno stosować. Kto nie zastosuje sie do tego, będzie odpowiadał przed sądem.

Apelowałem do zebranych, szczególnie pod adresem „pełnomocników", że praca nasza musi być skoordynowana, a nie tak, jak dotychczas, „każdy sobie rzepkę skrobie". Nie może być tak, że każdy jest „sobie pan". Zauważyłem niezadowolenie i krytyczny wzrok „pełnomocników", uważając moje słowa za zamach na ich „samowładztwo". Kierownik PUR-u nie omieszkał podkreślić swojej roli w sprawach osadnictwa, którą uważa za niezależną od władzy starosty powiatowego. Z odpowiedzią na jego twierdzenie wyręczył mnie Komisarz Ziemski, Zygmunt Bartoszewski, potężne chłopisko, znawca spraw rolnych. Odpowiadając na słowa kierownika PUR-u, zwrócił mu uwagę, że jego działalność ogranicza się do powiatu nidzickiego, a zatem podlega władzy starosty powiatowego. Jeżeli się nie zastosuje do tego, będzie miał do czynienia z nim, z powiatowym Komisarzem Ziemskim. Chyba słowa tak potężnego Komisarza Ziemskiego nie poszły na wiatr, bo ze wstydu zaczerwienił się brzuchaty pan kierownik PUR-u. Odtąd miałem z nim spokój, bo w ryzach trzymał go Komisarz Ziemski.

Następna gratka mego urzędnika: zjawia się w biurze Starosty człowieczyna skromnie ubrany, małego wzrostu. Chce rozmawiać ze starostą. Sekretarka wprowadza go do mnie. Wchodzi niepokaźny człowieczynka, któremu Pan Bóg nie dał ani wzrostu, ani urody, ani prezencji, ot, po prostu, jak to się mówiło, „kreatura". Ale z widocznym tupetem. Nie wy-

mieniając swego nazwiska, powiada, że partia PPR mianowała go powiatowym sekretarzem partii w Nidzicy. Patrzę na niego, nie dowierzam jego słowom. Pomyślałem sobie: jakiś „mankolik", jak to się mówiło o człowieku, który marzył na przykład być królem. Może nienormalny...?

Takie myśli przelatywały po mojej głowie patrząc na człowieka, który na pewno był analfabetą, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałem. Nie zdradzając moich powątpiewań, poprosiłem go o „bumaszku". Użyłem umyślnie słowa rosyjskiego. Odpowiada, że pisma żadnego nie posiada. Gdy to usłyszałem, utwierdzały się moje złe myśli: „mankolik". Grzecznie wytłumaczyłem mu, że w takiej formie i sposobie może tu się zgłosić wielu „sekretarzy" partii. Powiadam do niego: „Skoro sekretarz wojewódzki partii was tu skierował, winien wam dać do garści nominację, względnie pismo polecające do starosty. Tylko z takim pismem może towarzysz być tu sekretarzem partii". Odszedł, jak to się mówi, z kwitkiem. Niedługo trwało, zjawia się znów... z pismem. Jak wyglądało to „pismo?"

Był to skrawek, róg marginesu z udartej gazety, na którym napisano, widocznie przez półanalfabetę, że X Y jest sekretarzem powiatowym PPR w Nidzicy. Ani daty, ani podpisu, ani pieczątki. Nie miałem cierpliwości rozmawiać z nim. Zapytałem go: „Czy tak wygląda pismo urzędowe? Przecież taki świstek może byle dziecko napisać. Dopóki nie zobaczę u towarzysza pisma z pieczątką i podpisem, nie będę rozmawiać z towarzyszem". Poszedł. Sądziłem, że pozbyłem się intruza. Niestety nie, nie dał za wygraną. Zjawił się po raz trzeci z pismem z pieczątką i podpisem. Uparł się i dopiął swego. Na drugi dzień dowiedziałem się, dlaczego był taki uparty. Bo był szewcem: uparty jak szewc, mówi przysłowie.

Formalności stało się zadość. Wobec tego zwraca się do mnie, abym mu wskazał dom pod siedzibę Komitetu Powiatowego Partii. Wziąłem go pod ramię, wprowadziłem go na mały balkonik, zataczając ręką łuk, powiadam do niego: „Eto wszystko nasze". Zadowolony, wyszedł rozpromieniony. Poszedł szukać „stolicy partyjnej". Jeszcze tego samego dnia wpada do mnie zadyszany, drżący ze strachu i woła: „Przecież tam wszędzie są Rosjanie!". Obecni w biurze huknęli śmiechem. Powiada dalej, że sołdaty chcieli go zastrzelić. Jak to, powiadam, sekretarza partii zastrzelić, to niemożliwe! To towarzysz nie mógł się dogadać z towarzyszami? Przecież towarzysz chyba powinien wiedzieć, że gospodarzem tutaj jest Armia Radziecka, a my korzystamy tylko z ułomków, które spadną ze stołu pańskiego. (Zapamiętał on mnie dobrze i w swoim czasie mnie napędził stracha. O tym później.)

Na domiar złego zjawił się Komendant Urzędu Bezpieczeństwa UB ze swymi chłopakami. Nie poczuwał się nawet do obowiązku zameldować się u starosty. Był to młodzik, nie starszy jak 22 lata, dość wysoki, wyjątkowo jasny blondyn. Co ten chłopak nie wyrabiał? Po prostu bawił się w wojnę. Urządzał podchody, napady na wsie, zakładając, że tam siedzi wróg. Każdego dnia wybierał jakąś wieś pod obstrzał. Chłopcy jego z nim na czele, uzbrojeni w karabiny i gry, systemem bojowym podchodzili do danej wsi, obstrzeliwując ją ogniem karabinów, a będąc we wsi obrzucali domy granatami. Można by powiedzieć, dzieci bawią się w wojnę.

O tych wybrykach ubowców donieśli mi nowi osadnicy, bojąc się o swoje życie. Wezwałem młokosa na rozmowę. Moglibyście widzieć jego arogancję i lekceważenie moich uwag. Nie miałem innej rady, jak prosić Pełnomocnika Rządu, pułkownika dr. J. Prawina, o przyjazd do Nidzicy. Pułkownik Prawin rozprawił się z „dzielnym" żołnierzykiem, powodując natychmiastowe jego zwolnienie. Od tego momentu nie miałem nic do czynienia z pracownikami UB. Tak, jakby ich nie było.

Natomiast miałem inną zmorę, która mnie dręczyła. Owa „kreatura", sekretarz partii – analfabeta. Przychodził ze swoim zastępcą (a jakże), namawiając mnie do wstąpienia do partii. Za każdym razem odparowywałem ich zakusy powiedzeniem, że nigdy należeć nie będę. Jestem po prostu bezpartyjny. Niestety, analfabeta nie dawał mi spokoju, stale nachodząc. Pewnego dnia, przypuszczalnie w końcu czerwca, początek lipca 1945 roku, przychodzi do mnie i powiada, że ja „muszę" wstąpić do partii. Ach tak, powiadam do niego, ja nie muszę. Tak długo, jak jestem Starostą, muszę być dla wszystkich ludzi i dlatego nie mogę być partyjny, bo straciłbym u nich zaufanie!

Nie pamiętam, czym mnie wyprowadził z równowagi, bo wstałem zza biurka i powiedziałem: skoro muszę być partyjnym, to – wskazując ręką na krzesło za biurkiem – moje miejsce jest wolne. Opuściłem biuro, udając się do domu.

131
Rezygnacja ze starostwa

Z miejsca pojechałem do Olsztyna, gdzie złożyłem moją rezygnację ze stanowiska starosty powiatowego w Nidzicy na ręce zastępcy Pełnomocnika Rządu, Jerzego Burskiego, mego serdecznego przyjaciela. Jerzy Burski długo perswadował mi, abym nie rezygnował, że postara się, aby partia dała mi spokój. Z mej strony przedstawiłem sytuację, która panuje w terenie, którą określić można jedynem słowem „bałagan", „chaos". I rola Starosty jest żadna, gdyż różni „pełnomocnicy" mają swoje dyrektywy z Warszawy, a nie z Olsztyna. Wreszcie Jerzy Burski dał się przekonać i przyjął moją rezygnację, przenosząc mnie do Olsztyna, „do dyspozycji Pełnomocnika Rządu". Jerzy Burski przyjmując moją rezygnację miał ułatwioną sprawę, gdyż za drzwiami „modlił" się o starostwo nowy kandydat, niejaki Kozakowski. Ja nie wróciłem już do Nidzicy, nie żegnając się z nikim. Był to czas, gdy w Nidzicy władzę dzierżyli jeszcze Sowieci i urzędował major Zejnałow. Na moje miejsce pojechał towarzysz Kozakowski, pochodzący z Ciechanowskiego. Naturalnie szybko pobiegł do Komendanta Wojennego, majora Zejnałowa, aby się przedstawić i pochwalić się nowością: „Czy wy wiecie, kogo wy tu mieli za starostę? To nie był żaden Łopatowski". Major odparował mu: „Kto był Łopatowski, to my dobrze znaju. A kim wy jesteście, też będziemy wnet wiedzieli". Tymi słowy zatkał Kozakowskiemu gębę.

Rozstając się ze starostwem w Nidzicy, zakodowały się w mojej pamięci, zdawałoby się, dwa drobne wypadki: po pierwsze, oświadczenie sołtysa (nie pamiętam z której wsi) na konferencji, o której poprzednio wspomniałem, że „ubił", zastrzelił czternastoletniego „Szwaba", aczkolwiek nazwisko jego kończyło się na „-ski", a więc był polskiego pochodzenia. Drugim, przykrym dla mnie wydarzeniem było obrabowanie przez Milicję Obywatelską pewnej staruszki, ciągnącej z dorosłą córką wózek, „Volkswagen"[261], z resztkami domowizny. Interwencja moja, nieuzbrojonego starosty, wobec uzbrojonych milicjantów, niestety w tamtejszych warunkach nie odniosła skutku. (Staruszka podobna była do mojej matki i może dlatego szczególnie ubolewałem, że nie mogłem w niczym pomóc.) Zabrano im porcelanę

[261] Pojazd (wózek), na który każdego stać (także marka bardzo popularnego samochodu w Niemczech).

i inne rzeczy. Chyba te dwa wydarzenia w dużej mierze przyczyniły się do mojej rezygnacji ze stanowiska starosty. Widziałem, że uczucie i humanitaryzm nie mają tutaj miejsca.

Przed odejściem z Nidzicy wydałem Brombergowej i jej córce Emie oraz Bolzowi z żoną przepustki do Niemiec. Brombergowa z Emą dojechały i zamieszkały w Ahnatal Weimar, powiat Kassel, gdzie już mieszkali mój brat August z żoną Anną z domu Bromberg i córką Edytą. Tam Ema Bromberg wyszła za mąż za Wily Rösslera, którego poznała w Nidzicy, gdzie był niewolnikiem majora Zejnałowa, zaufanym „elektyrykiem". O losie rodziny Bolz z Nidzicy nic nie wiem.

132
W Olsztynie

Z Nidzicy wyszliśmy tak, jak weszliśmy, goli, nic nie posiadając, nic nie wynosząc, ani pieniędzy, ani domowizny. Zamieszkaliśmy w Olsztynie w domu przy ulicy Kętrzyńskiego, zajmując duże mieszkanie na pierwszym piętrze. Dom ten został przejęty przez Naukowy Instytut Mazurski, który został założony jeszcze w czasie okupacji w Radości koło Warszawy, którego obecnie byłem sekretarzem do września 1945 roku. Potem sekretarzem była pani Emilia Sukert Biedrawina.

Trafiliśmy do Olsztyna w czasie, gdy w całym mieście panował tyfus brzuszny.

Aczkolwiek nazywało się, że jestem „do dyspozycji" Pełnomocnika Rządu (przyszłego wojewody), to jednak nie miałem żadnej pracy i żadnej pensji. Wprawdzie w obiegu był pieniądz, polski „złoty", jednak nadal dodatkową walutą obiegową był spirytus gorzelany. Nie mając środków do życia, a mając kontakty z gorzelniami powiatu nidzickiego, handlowałem spirytusem, nie patrząc na to, co głosiło „gromadkarstwo". Z pewnością popadłbym u nich w niełaskę. Ale w tym czasie nie było „gromadek" ani „Versammlungów"[262]. Trzeba było jakoś żyć. Zresztą i Pan Jezus ulitował się nad biedną rodziną w Kanie Galilejskiej, gdzie zamienił wodę w wino. Ufam w Panu Jezusie, że nie poczyta mi tego za grzech.

W mieście brakowało wszystkiego. Brak było wszelkiego zaopatrzenia. Ryby były jedynym artykułem żywnościowym i jednocześnie przyczyną tyfusu brzusznego. Żona poważnie zachorowała na tyfus. Stan był bardzo poważny. Pieczołowicie leczył ją dr Jankowski, który przede wszystkim ratował serce, które na skutek choroby bardzo ucierpiało, można powiedzieć na całe życie. Choroba wlekła się dość długo. Wreszcie nastąpiła powolna poprawa. W tym samym czasie ja zachorowałem na hemoroidy. Co to był za ból i jednocześnie kłopot, szczególnie w czasie oddawania stolca. Siadałem nad wiadrem z gorącą wodą, niby miało to pomagać. Niestety, pewien czas trzeba było wytrzymać, aż minęło i to bezpowrotnie. Zrządzeniem Boskim mieliśmy w czasie naszych chorób wspaniałą opiekunkę w osobie starszej Mazurki (nazwiska nie pamiętam), która mieszkała razem z nami i cuda robiła, przyrządzając jakieś potrawy. Dzieci, Robuś i Jadźka, też zachorowały na tyfus, ale nie był groźny.

[9] Zgromadzeń (zebrań wspólnoty-społeczności pietystycznej).

Cierpiąc na hemoroidy, nadal handlowałem spirytusem, który otrzymywałem w bańkach od mleka i bańkami sprzedawałem, czasami mniejszymi ilościami. Za spitytus kupiłem od sowieckiego „starszyny" samochód (amfibię) na chodzie, niekryty. Jeździliśmy trochę po Olsztynie. Nieopatrznie pożyczyłem go kierowcy, który był szoferem „hulajnogi" w Nidzicy. Ten pojechał do Nidzicy, zajechał w jakimś celu do warsztatów naprawczych. Tam zjawili się UB-owcy i partyjniacy i zarekwirowali nasz samochód. W panującym bałaganie nie warto było dochodzić swojej pretensji, bo nie miałem rachunku od żołnierza sowieckiego. Samochód trzeba było spisać na straty.

Będąc bez funkcji, często, prawie co dzień, przebywałem w domu zastępcy Pełnomocnika Rządu, Jerzego Burskiego, przy ulicy Kajki nr 6. Dom Jerzego Burskiego był stale pełen ludzi, domowników i gości. Mieszkali u niego jego ciotka, Bomertowa z domu Burska, jego brat Wilhelm (pseudonim Lewonik). Gościła też nasza znajoma, Janka Kornalewska. Tu spotykaliśmy się na rozmowy: Jerzy Burski, Jan Sczech i ja. Godnie prezentowała się żona Jerzego Burskiego, Kazimiera z domu Jasińska z Paulinowa koło Nałęczowa. Z prostej, niewykształconej dziewczyny wiejskiej stała się wojewodziną. Oczywiście, miała pomoc domową. Często schodziliśmy się na „wyżerkę", bo, jak to u wojewody, zawsze znalazło się coś na „ząb" i do popicia. Z Jurkiem byłem bardzo zżyty. Byliśmy serdecznymi, szczerymi przyjaciółmi, bez fałszu.

Pewnego dnia zwierzył mi się, że ma wielki kłopot. Zjawił się do niego pastor Alfred Jagucki, przed wojną pastor w Suwałkach. Jako żołnierzowi niemieckiemu udało mu się uniknąć niewoli sowieckiej. Ukrywa się u Jerzego Burskiego. Miałem sposobność rozmawiać z Jaguckim. Jako *Volksdeutsch* i żołnierz hitlerowski drżał o swoje życie. Jerzy pyta mnie: „Co mam robić z tym fantem?". Szukaliśmy rozwiązania. Po namyśle poradziłem Jurkowi: „Daj go gdzieś w »dżunglę«, gdzie nie ma żadnej komunikacji". Jerzy usłuchał mojej rady i umieścił go w Sorkwitach, powiat Mrągowo, gdzie on i jego żona byli nauczycielami. Na Mazurach, pod „opieką" Urzędu Bezpieczeństwa (UB), dosłużył się seniora w Polskim Kościele Ewangelicko-Augsburskim*.

133
Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie

Promotorem spraw Kościoła ewangelickiego na Mazurach (Prus Wschodnich) był Jan Sczech, teolog o ukończonych studiach Wydziału Teologii Uniwersytetu Warszawskiego i praktyce u Generalnego Superintendenta dr. Paula Blaua w Poznaniu. Od kwietnia 1945 roku do stycznia 1946 roku był kierownikiem Wydziału Opieki Społecznej przy Urzędzie Wojewódzkim w Olsztynie. Mieszkał w plebanii Kościoła ewangelickiego przy Starym Rynku, obok Zamku. Często bywałem u niego. Nawet przeprowadziliśmy się z całą rodziną z mieszkania przy ulicy Kętrzyńskiego do oficyny w podwórku plebanii. Mieszkaliśmy na piętrze, a na parterze były komórki na opał, w których zastaliśmy pełno węgla i drzewa opałowego. Po rezygnacji ze starostwa powiatowego w Nidzicy, miałem często okazję do

* Nomenklatura dotycząca nazw kościołów i instytucji religijnych, stosowana przez E. Małłka, nie zawsze jest zgodna z oficjalną. Zachowujemy pisownię oryginalną – Red.

spotykania się z Janem Sczechem. Tematem naszych rozmów były przede wszystkim sprawy Kościoła ewangelickiego na Mazurach (Polacy nazwę Prusy Wschodnie zastąpili określeniem „Mazury".)

Pierwszą myślą było powierzenie kierownictwa Kościołem ewangelickim superintendentowi Fryderykowi Rzadkiemu, z którym Jan Sczech utrzymywał kontakt. Superintendent Rzadki był jedynym duchownym Kościoła ewangelickiego, który pozostał przy swojej „trzodzie". Jan Sczech często spotykał się z superintendentem Rzadkim, namawiając go, aby chwycił w swoje ręce ster Kościoła ewangelickiego na Mazurach. Nawet władze wojewódzkie zgadzały się na to, aby Friedrich Rzadki, władający doskonale językiem mazurskim, był biskupem Kościoła ewangelickiego na Mazurach. Osobiście miałem dwukrotnie okazję spotkać się w mieszkaniu Jana Sczecha z superintendentem Rzadkim. Pierwszy raz zaledwie podając mu rękę, gdy wychodził od Jana Sczecha. Drugim razem brałem udział w ich rozmowie.

Tematem rozmowy była sytuacja ludności ewangelickiej, autochtonów. Superintendent Rzadki z góry odrzucał myśl pozostania w Polsce i przejęcia kierownictwa Kościoła ewangelickiego. Stanowisko swoje uzasadniał jednym zdaniem: „Z czasem wszyscy ewangelicy wyjadą". Dyplomatycznie nie użył słów: „zostaną wypędzeni". Słowa jego były prorocze, bowiem wkrótce potoczyły się transporty z „wygnańcami", *Vertriebenen*.

O superintendencie Rzadkim należy powiedzieć, że superintendentem w Olsztynie był od 1940 roku do 1945 roku. Najpierw był pastorem w Pile (Schneidemühl), potem w Turośli, powiat Pisz (Jańsbork). W końcu 1945 roku dobrowolnie wyjechał do Niemiec, odprowadzony do granicy przez Jana Sczecha. Nieprawdą jest to, co w Niemczech pisze ksiądz Rohde, że superintendent Rzadki został z Polski wydalony („ausgewiesen").

Narzuca się pytanie: Czy pozostanie superintendenta Rzadkiego i przejęcie przez niego steru Kościołem ewangelickim zapobiegłoby wysiedlaniu ludności tubylczej autochtonicznej, która w 98% była wyznania ewangelickiego? Nad odpowiedzią na to pytanie zastanawiam się przy omawianiu Umowy Poczdamskiej. Przypuszczam, że superintendent Rzadki wyczuwał, że nie spełni pokładanego w nim zadania. Fala wysiedlenia popłynie wbrew pobożnym życzeniom działaczy mazurskich. Takie przekonanie było na pewno superintendenta Rzadkiego. A może w tej sprawie widział najgorsze „straszydło", Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski, który tak zażarcie zwalczał Kościół Ewangelicko-Unijny w okresie międzywojennym (1920–1939) w okręgu poznańskim (łącznie z Działdowem) i na Śląsku. Na pewno pamiętał też hasła przedplebiscytowe, głoszone przez polską Narodową Demokrację „Endecję", że „Mazurzy będą szczęśliwi (?) na łonie Kościoła katolickiego". Czy taka perspektywa, walka na trzech frontach: Kościół katolicki, Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski i komunizm, mogła zachęcać już niemłodego superintendenta Rzadkiego? A być może, że superintendent Rzadki znał dokładnie postanowienia Uchwały Poczdamskiej z dnia 2.08.1945 roku, wobec której wszelkie poczynania działaczy mazurskich okażą się bezsilne. A więc, stawianie sprawy Kościoła Ewangelickiego na Mazurach na „swojego", na superintendenta Rzadkiego, ze względu na jego zdecydowaną odmowę odpadło.

Wobec tego nie pozostało nam, Janowi Sczechowi i mnie, nic innego, jak cofnąć się w naszych rozważaniach do momentu naszej wizyty u biskupa dr. Jana Szerudy i superintendenta Konstantego Najdera. Doszliśmy do wniosku, że musimy stworzyć jakieś „ciało", które oficjalnie występować będzie jako reprezentant byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego.

Dnia 13 sierpnia 1945 roku na zebraniu organizacyjnym zwołanym przez Jana Sczecha powołano do życia Radę Kościoła Ewangelickiego z siedzibą w Olsztynie, Stary Rynek 1. Na przewodniczącego wybrano Jana Sczecha, a członkami zostali: B. Labuś, Fryderyk Leyk, Gustaw Leyding, Hieronim Skurpski (Schmidt), Bogdan (Kurt) Wilamowski, Stanisław Łopatowski (Edward Małłek).

Dnia 28 sierpnia 1945 roku Rada Kościoła Ewangelickiego została uznana przez Pełnomocnika Rządu, generała Jakuba Prawina, za reprezentanta interesów byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Rada postanowiła wysłać pisma do Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (pomimo że biskup dr Jan Szeruda swego czasu odmówił zaopiekowania się ewangelikami Mazur, używając zdania: „A zresztą to są Niemcy") i do Kościoła Metodystycznego z prośbą o wydelegowanie przedstawicieli na konferencję do Olsztyna, celem omówienia spraw religijno-kościelnych na Mazurach.

Na wyznaczoną konferencję zjawiła się tylko delegacja Kościoła Metodystycznego z superintendentem Konstantym Najderem na czele. Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski nie dał żadnej odpowiedzi. Rada Kościoła Ewangelickiego uznała to za brak zainteresowania naszą sprawą. Z uwagi na ważność i pilność zagadnienia Rada postanowiła przedyskutować sprawy z delegacją Kościoła Metodystycznego. Jan Sczech jako przewodniczący zreferował sytuację ludności ewangelickiej na Mazurach. Ewangelicy Mazur są bez swoich dawnych duszpasterzy, którzy, jeżeli nie zginęli na skutek działań wojennych, to wyjechali na Zachód, do Niemiec. Lud ten potrzebuje opieki religijnej. Superintendent Najder przedstawił możliwości Kościoła Metodystycznego, oświadczając, że dla tak ważnej sprawy stoi do dyspozycji. Rozwinęła się dość żywa dyskusja, w której i ja brałem udział.

W dyskusji brano pod uwagę, że przedmiotem sprawy jest ludność wyznania ewangelicko-luterskiego, a ma być religijnie obsługiwana przez obcy Kościół, w tym wypadku przez Kościół Metodystyczny. Podkreślano, że dogmatycznie nie ma zasadniczych różnic. A głoszone przez Metodystów „nowonarodzenie" i „nawrócenie" oparte jest na Piśmie Świętym, zgodne też z nauką Lutra, jak również z praktyką „gromadkarzy", członków byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Obie strony zgodziły się na ogólną formułę, że Kościół Metodystyczny przejmuje rolę „opieki" nad ludnością wyznania ewangelicko-luterskiego na czas potrzeby. Uzgodniono też następujące zasady i warunki pracy pastorów Kościoła Metodystycznego na Mazurach:

1. Nauka religii udzielana będzie według katechizmu dr. Marcina Lutra.
2. Liturgia stosowana będzie według tradycji Kościoła Ewangelicko-Unijnego.
3. Pastorzy nosić będą strój liturgiczny byłych pastorów ewangelicko-unijnych.
4. Pastorzy służbowo podlegać będą superintendentowi Kościoła Metodystycznego.

Rada Kościoła Ewangelickiego przyjęła do wiadomości możliwość, że na skutek pracy pastorów metodystycznych, głoszących „nowonarodzenie" (zgodne z Pismem Świętym), podopieczni luteranie z biegiem czasu mogą stać się prawdziwymi metodystami.

Po konferencji superintendent K. Najder w rozmowie ze mną zapytał, czy jestem teologiem, bo takie odniósł wrażenie w czasie dyskusji, w której biorąc czynny udział często powoływałem się na wersety z Pisma Świętego. Odpowiedziałem, że nie jestem teologiem, ale jako wierzący mam za sobą religijne wychowanie domowe o zasadach i tradycjach „gromadkarskich" i dość bogatą znajomość Biblii, zdobytą w szkole i kościele. Na zakończenie rozmowy superintendent Najder powiedział: „Panie Małłek, chciałbym pana mieć pastorem w Kościele Metodystycznym. Niech się pan nad tym zastanowi. Kiedykolwiek się

pan zdecyduje, bardzo chętnie pana przyjmę". Słowa te przeleciały obok moich uszu, nie myśląc, abym kiedykolwiek był pastorem.

Widocznie był to głos Boga. Podobny głos usłyszałem z ust mego brata Wilhelma, który przed swoją śmiercią w maju 1922 roku powiedział do mnie: „Edward, uwierz w Pana Jezusa". Po śmierci brata Wilhelma rzeczywiście prawdziwie uwierzyłem w Jezusa Chrystusa jako mego Zbawiciela. Aby jednak być pastorem, o tym jeszcze nie myślałem, ale widocznie Pan Bóg nad tym pracował.

134
Metodyści na Mazurach

Ignorancja Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego wobec wołania i prośby Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie o zaopiekowanie się ewangelikami na Mazurach oraz uprzednie niechrześcijańskie określenie tychże wyznawców słowami dr. Jana Szerudy: „Zresztą to są Niemcy" doprowadziły do Umowy z Kościołem Metodystycznym, mocą której Kościół Metodystyczny przejmuje na czas potrzeby opiekę nad wyznawcami byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego, stosując w pracy kościelnej naukę według katechizmu dr. Marcina Lutra, porządek liturgiczny według miejscowego obyczaju i tradycji, jak również strój liturgiczny pastorów stanowić będzie toga i befki. Zgodnie z umową nastąpiła współpraca Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie z Kościołem Metodystycznym.

Profesor doktor Witold Benedyktowicz (metodysta) o działalności Metodystów na Mazurach w liście do mnie pisze:

„W sierpniu 1945 roku otrzymałem telegraficzne wezwanie od zwierzchnika Kościoła, księdza superintendenta Konstantego Najdera, do zgłoszenia się w Warszawie w jego biurze. Po przybyciu do Warszawy odbyłem rozmowę z księdzem Najderem i sekretarzem Zarządu Kościoła Metodystycznego, pastorem Michałem Kośmiderskim, którzy przedstawili propozycje ewangelików z Mazur, dotyczącą podjęcia pracy ewangelicko-duszpasterskiej w tym regionie... Następnego dnia po tej rozmowie zjawiły się w biurze kościelnym na Mokotowskiej dwie osoby, pan Sczech i pan Burski...

Odbyłem wówczas bardzo krótką rozmowę z panem Sczechem. Wówczas dowiedziałem się, że Biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ksiądz profesor Jan Szeruda, odmówił delegowania na Mazury duchownych swego Kościoła... Po przybyciu do Olsztyna zastałem tam już pastora metodystów Brunona Raszkiewicza. Wkrótce potem przybyli jeszcze pastorzy Jan Madziarz i Aleksander Piekarski, ponadto absolwent Wyższej Szkoły Biblijnej Kościoła Metodystycznego, Jan Kus. Zamieszkaliśmy tymczasowo w plebanii ewangelickiej w Olsztynie, której gospodarzem był pan Jan Sczech, mieszkający tam razem z siostrą. Budynek plebanii był na tyle obszerny, że z łatwością pomieścił tych czasowych lokatorów. W krótkim czasie nastąpił podział pracy w regionie: Brunon Raszkiewicz obsługiwał Szczytno i okolice, Jan Madziarz Olsztyn, Aleksander Piekarski Ostródę, Witold Benedyktowicz i Jan Kus Olsztynek, Mańki i Biesal... Podczas pobytu w Olsztynie kontaktowałem się często w Urzędzie Wojewódzkim z Janem Sczechem i Gustawem Leydingem-Mieleckim..."

Tyle prof. dr Witold Benedyktowicz o początkach pracy metodystów na Mazurach. Z tego wynika, że między Kościołem Metodystycznym i Radą Kościoła Ewangelickiego, względnie jej członkami, istniał już ścisły kontakt. Ja osobiście, poza pierwszą konferencją z przedstawicielami Kościoła Metodystycznego w 1945 roku w Olsztynie, więcej nie brałem udziału w spotkaniach z Metodystami, a to głównie dlatego, że przez całe lato moja rodzina (żona i dzieci) bardzo poważnie chorowała na tyfus, a ja na hemoroidy. W tym czasie tylko sporadycznie spotykałem się z Janem Sczechem i innymi kolegami, działaczami mazurskimi. A 1 listopada opuściłem Olsztyn prawie na zawsze i straciłem kontakt z Janem Sczechem i Radą Kościoła Ewangelickiego.

135
Augsburczycy na Mazurach

Działalność metodystów na Mazurach widocznie zaniepokoiła Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski. Nie są mi znane ewentualne narady Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego na temat ludności ewangelickiej Prus Wschodnich. Spiszę tylko to, co osobiście jest mi wiadome.

Którejś niedzieli wraca pastor Brunon Raszkiewicz, metodysta ze Szczytna, i opowiada, że nie mógł odprawić nabożeństwa, gdyż w tygodniu zjawił się tam ksiądz Wittenberg, przedstawił się jako pastor i prosił starszego zboru, aby zwołał ludzi, bo chce odprawić nabożeństwo. Pocztą „pantoflową" powiadomiono ewangelików. Ksiądz Wittenberg ubrał togę z befkami (metodyści tóg jeszcze nie mieli) i odprawił nabożeństwo. Ludziska ucieszyli się, że mogli posłuchać Słowa Bożego. Ksiądz Wittenberg zapowiedział następne nabożeństwo, pogadał ze zborownikami, wziął klucz od kościoła do kieszeni i odjechał. Z pewnością ucieszył się, że podstęp mu się udał. „Jeden zasiał, drugi zebrał". W ten sposób, przez przywłaszczenie kościelnych kluczy, parafia w Szczytnie przeszła w ręce pastora Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

Innym razem w dzień powszedni poszedł ksiądz Wittenberg do Pasymia. Wstąpił do plebanii, w której mieszkał kaznodzieja metodystyczny, Chęczkiewicz, z matką. Kaznodzieja Chęczkiewicz był na odwiedzinach zborowników. Ksiądz Wittenberg uznał nieobecność kaznodziei za dobrą okazję. Poprosił staruszkę o klucz do kościółka, bo chciałby obejrzeć świątynię. Niczego złego się nie spodziewając, staruszka wydała klucz. Ksiądz Wittenberg obejrzał kościółek, pośpiesznie go dobrze zamknął, klucz schował do kieszeni i odjechał. W haniebny sposób Pasym przeszedł w ręce Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Przez pewien czas kaznodzieja metodystyczny odprawiał nabożeństwa w plebanii. Z czasem ewangelicy Pasymia uznali pastora w todze. Kaznodzieja metodystyczny opuścił Pasym. A może był wygnany? Tego nie wiem.

Ale najciekawsza i zarazem najdziwniejsza rzecz stała się, gdy sam „inspirator" współpracy z metodystami, Jan Sczech, zraził się do metodystów. Nieoczekiwanie przerzucił zwrotnicę tak, że „pociąg" Rady Kościoła Ewangelickiego potoczył się w kierunku Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie. Obrazą „majestatu" Jana Sczecha ze strony metodystów był całkiem błahy, niegodny poważnej sprawy przypadek, o któ-

rym opowiadał mi osobiście Jan Sczech. Na zamkniętym strychu plebanii leżał jakiś poniemiecki, używany projektor, czy coś w tym rodzaju. Ponieważ w plebanii w tym czasie poza Janem Sczechem mieszkali tylko pastorzy metodystyczni, dokładnie Brunon Raszkiewicz z „asystentem", więc podejrzenie o kradzież przedmiotu padło na pastora Raszkiewicza i jego towarzysza. W upuście gniewu Jan Sczech kazał im opuścić plebanię. Ponieważ Raszkiewicz przez podstęp księdza Wittenberga stracił Szczytno, a tym samem i Olsztyn, więc opuścił teren Mazur i więcej nie wrócił.

Jan Sczech odtąd skierował starania o przesłanie pastorów i innych pracowników do Polskiego Kościoła Ewangeliczno-Augsburskiego w Warszawie, o czym świadczy pismo Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie, redagowane przez Jana Sczecha z dnia 4 marca 1946 roku, dodatkowo podpisane przez następujące osoby: Leydinga, Leyka, Wilamowskiego i Skurpskiego.

W międzyczasie, coś w styczniu 1946 roku (dokładnej daty nie znam), Jan Sczech daje się ordynować w Polskim Kościele Ewangelicko-Augsburskim i staje się pastorem tegoż Kościoła w Ządzborku (późniejszym Mrągowie). Ja natomiast, przed świętami Bożego Narodzenia 1945 roku z ramienia Kościoła Metodystycznego znalazłem się jako student Teologii Uniwersytetu Warszawskiego. Ale o tym w innym miejscu.

Z listy Rady Kościoła Ewangelickiego z 4 marca 1946 roku wynika, że zaistniał chaos w zarządzeniach administracyjnych władz państwowych: okólnik nr 122 Pełnomocnika Rządu (późniejszego wojewody) z dnia 28. 8. 1945 roku uznaje Radę Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie jako zarządcę majątkiem byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Natomiast Ministerstwo Administracji Publicznej okólnikiem nr 55 z dnia 19. 10. 1945 roku przekazuje zarząd majątkiem b. Kościoła Ewangelicko-Unijnego T.Z.P. Co oznacza ten skrót, Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie nie wyjaśnia.

W wyżej zacytowanym piśmie Rady Kościoła Ewangelickiego do Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego czytamy: „Rada została zobowiązana [przez kogo? – mój dopisek] do założenia ze swej strony wszelkich starań, celem doprowadzenia do połączenia z Kościołem Ewangelickim w Kraju". Z powyższych słów i treści całego pisma można wnioskować, że Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie wypowiedziała się za wyłączną współpracą z Polskim Kościołem Ewangelicko-Augsburskim. Nie mam dowodów na to, czy w tym samym czasie Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie utrzymywała jeszcze kontakt z Kościołem Metodystycznym. O Radzie Kościoła Ewangelickiego, składającej się z przedstawicieli miejscowej ludności, do tego z zasłużonych działaczy mazurskich, trzeba powiedzieć, że słusznie pretendowała do prawa wyłącznego reprezentowania wszelkich spraw byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Nie mając jednak w swoim gronie żadnego prawnika, nie wyjednała dla siebie podstaw prawnych w formie dekretu rządu. Należało nie poprzestać na uznaniu Rady Kościoła Ewangelickiego przez władze wojewódzkie Pełnomocnika Rządu, lecz wymusić u rządu polskiego wydania dekretu, mocą którego wszelki majątek b. Kościoła Ewangelicko-Unijnego przechodzi do rąk i na własność Rady Kościoła Ewangelickiego w Polsce.

Błędem było, że w sprawach religijno-kościelnych Prus Wschodnich stawialiśmy na „obcych" (augsburczyków, metodystów). Błędem było w umowie z metodystami, że pastorzy metodystyczni służbowo podlegają superintendentowi Kościoła Metodystycznego. Winno być: są wypożyczani na czas potrzeby Radzie Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie.

Rada Kościoła Ewangelickiego zaniedbała stworzenia własnej administracji kościelnej. Wprawdzie myśl taka istniała, gdy proponowano superintendentowi Rzadkiemu kierownictwo byłym Kościołem Ewangelicko-Unijnym. Należy dziwić się, że Rada zarzuciła tę myśl po wyjeździe superintendenta Rzadkiego do Niemiec. A przecież Rada posiadała w swym gronie rodowitego teologa, działacza mazurskiego, księdza Jana Sczecha, który śmiało mógł przejąć ster byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego w Polsce.

Ktoś powie: „Z widłami na słońce?!". „Z kim do ludzi?!", skoro na terenie Prus Wschodnich i Ziem Zachodnich nie ma dawnych pastorów, którzy jeżeli nie zginęli na skutek działań wojennych, to uciekli do Niemiec. Jako rodowity Mazur Prus Wschodnich widzę, że stworzenie własnej administracji kościelnej po Kościele Ewangelicko-Unijnym było możliwe, a w warunkach powojennych sprawa prosta i w ogóle niekosztowna. Mówię to na podstawie własnego doświadczenia. Wystarczyłoby zebrać na konferencji wszystkich kaznodziei gromadkarskich, których było licznie w każdym powiecie, wydać im zaświadczenia, upoważniające ich do urządzania i prowadzenia nabożeństw w kościołach i domach prywatnych.

Tak postąpiłem, będąc pastorem w kościele metodystycznym w Ełku, powołując do pracy kaznodziei gromadkarskich:

Bogumił Kobiałka – obsługiwał Ogródek, Klusy, Różyńsk, Skomack;
Ludwik Monselewski – Długie, Kalinowo, Milewo;
Gustaw Libuda – Sofy, Straduny;
Podufał – Przytuły.

Podobnego zezwolenia na prowadzenie nabożeństw udzielali komendanci sowieccy, na przykład w Olecku uzyskał pan Chlupka, w Starych Juchach, powiat Ełk, niewiasta, nazwiska nie pamiętam. Oboje prowadzili nabożeństwa w języku niemieckim. Natomiast władze polskie zabraniały wszystkim pastorom używania języka niemieckiego. Kaznodzieje świeccy pracowali o własnym chlebie. Jeżeli wyjeżdżali poza miejsce zamieszkania, otrzymywali zwrot kosztów podróży. Z dzisiejszej perspektywy widać błędy i niedociągnięcia Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie. Takim przeoczeniem było choćby pominięcie wysyłania kandydatów na studia teologiczne.

W każdym razie szkoda, że Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie pismem do Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego z dnia 4 marca 1946 roku właściwie zrezygnowała z prawa reprezentowania spraw byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego, aczkolwiek w pierwszym punkcie tegoż pisma podkreśla, że: „Rada postępuje w dalszym ciągu jako reprezentant Kościoła Unijnego naszego Okręgu". Słowa te zaprzeczają słowom usilnej prośby Rady Kościoła Ewangelickiego pod adresem Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ujętej w następujących punktach tegoż pisma:

a) O ustanowienie normalnej administracji kościelnej w jak największej ilości parafii w czasie do 1.5 br.
b) O mianowanie pełniącego obowiązki księdza seniora Okręgu Mazurskiego; w tym względzie Rada prosi o zamianowanie księdza Edmunda Friszkego, administratora olsztyńskiego.
c) O powołanie dotychczasowych członków Rady Kościoła w skład Synodu Okręgowego.
d) O wyrażenie woli miejscowego społeczeństwa ewangelickiego przez ustanowienie w ten sposób reprezentacji i skłonienie Rządu R. P. do rozciągnięcia odpowiednich

dekretów na teren okręgu, względnie wydanie nowych aktów prawnych, celem zlikwidowania chaotycznego stanu obecnego.

Sądzę, że było to ostatnie pismo z życia Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie. Można powiedzieć, że było to pismo likwidujące, rozwiązujące Radę Kościoła Ewangelickiego, albowiem odpowiedź biskupa dr. Jana Szerudy z dnia 6. IV 1946 roku na powyższe pismo Rady adresowana była już „Do Wielebnego Księdza Jana Sczecha w Ządzborku". Upraszczając sprawę, można powiedzieć, że przez przejęcie pracy pastorskiej przez księdza Jana Sczecha w Polskim Kościele Ewangelicko-Augsburskim przestała istnieć Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie, którą uznać można byłoby za prywatną „agenturę" Jana Sczecha. Być może, że na „zlikwidowanie" Rady Kościoła Ewangelickiego wpłynęły poważniejsze okoliczności, ale o tych może powiedzieć tylko ksiądz Jan Sczech.

136
Ewangelicy na Mazurach pod opieką dwóch kościołów protestanckich

Na skutek inicjatywy księdza Jana Sczecha i działalności stworzonej przez niego Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie mamy na Mazurach do czynienia z dwoma kościołami opiekującymi się miejscowymi ewangelikami, b. członkami Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Kościół Metodystyczny, działający zgodnie z Umową z Radą Kościoła Ewangelickiego, po utracie przez podstęp księdza Wittenberga parafii Szczytno i Pasym, w krótkim czasie opanował cały powiat ostródzki. Zorganizowano parafie: Ostróda, Olsztynek, Dąbrówno, Kurki, Kroplewo, Gietrzwałd, Łukta, Lipowo. W Starych Jabłonkach otwarto sierociniec dla dzieci ewangelickich. W 1946 roku powstały parafie metodystyczne w powiecie ełckim: Ełk, Grabnik, Klusy, Stare Juchy, Kalinowo, Piętki. W Piętkach otwarto Dom Starców dla ewangelików.

Poza wymienionymi powstały następujące parafie metodystyczne: Mrągowo, Ukta Krutyń, Zalewo, Elbląg, Kwidzyn, Inowrocław. Pastorami na Mazurach byli w ramach Kościoła Metodystycznego pionierzy: Witold Benedyktowicz, Jan Madziarz, Aleksander Piekarski, Brunon Raszkiewicz, Jan Kus, Jan Chęckiewicz.

Dalszymi pastorami według alfabetu byli: Eliasz Babieczko, Gustaw Burchard, Otto Cybulla, Franciszek Drosdek, Paweł Fibich, Gerhard Fröhlich, Henryk Hukisz, Zygmunt Karczewski, S. Kunze, Bazyli Kustodowicz, Julian Langner, Antoni Liszkiewicz, Edward Małłek, Julian Miśkow, Eugeniusz Mroczyński, Oskar Napierski, Zenon Pirożyński, Jan Redzel, Rafał Rumiński, Gerhard Samulowicz, Henryk Zalewski.

Poza tym pracowały dwie diakonise: Edyta Fröhlich w sierocińcu w Starych Jabłonkach i Frieda Behrent w parafii Gietrzwałd.

Trzeba wspomnieć, że Kościół Metodystyczny w Polsce po wojnie 1945 roku przyjmował do pracy księży, pastorów, kaznodziei wszelkich wyznań: luteran, baptystów, adwentystów, zielonoświątkowców, nie żądając od nich konwersji czyli zmiany wyznania.

Z wyżej wymienionych pastorów luteranami byli: Burchard, Cybulla, Fröhlich, Fibich, Kunze, Langner, Małłek, Napierski, Samulowicz, Zalewski.

Pastorzy metodystyczni, według Umowy z Radą Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie, prowadzili nabożeństwa według dawnej agendy (porządku) b. Kościoła Ewangelicko-Unijnego, występując w togach z befką, nauczając religii według katechizmu dr. Marcina Lutra. Z uwagi na zakaz używania języka niemieckiego nabożeństwa miały charakter polski. Używano tylko języka polskiego. Ewangelicy-autochtoni nie zrażali się tym, że słyszą w kościele tylko język polski. Cieszyli się, że mogą się zgromadzać ze „swoimi" i rozmawiać między sobą po swojemu. Szybko też oswoili się z nową, obcą nazwą Kościoła: „Kościół Ewangelicko-Metodystyczny", gdyż wszystko, co w nim znajdowali, było „tak, jak dawniej", „tak po naszemu": liturgia, ogólna spowiedź, komunia św., chrzty, śluby, pogrzeby, strój liturgiczny pastorów. Cenili to, że metodyści jako pierwsi podali ewangelikom pomocną dłoń, nie patrząc na to, że większość z nich mówiła po niemiecku, gdy tymczasem Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski w osobie biskupa dr. Jana Szerudy odmówił przedstawicielom ewangelików Prus Wschodnich, Janowi Sczechowi i Edwardowi Małłek, pomocy dla ewangelików na Mazurach, uzupełniając swoją odmowę epitetem politycznym: „A zresztą, to są Niemcy!".

Metodyści jako pierwsi zorganizowali pomoc z zagranicy w postaci odzieży i żywności. Dla parafii Ełk sprowadzono kilkanaście krów i koni. Sierociniec w Starych Jabłonkach koło Ostródy i dom starców w Piętkach, powiat Ełk, były tworem Kościoła Metodystycznego. Metodyści zaopiekowali się dziećmi i młodzieżą, kierując ich do szkół. W Ełku założono przy parafii „bursę" dla młodzieży pozaszkolnej, organizując z władzami szkolnymi specjalne kursy (klasy) maturalne; po ukończeniu tychże, młodzież mogła kształcić się dalej na wyższych uczelniach. Urządzano różne zjazdy młodzieżowe, święta misyjne. W ten sposób wyprowadzano przestraszonych ewangelików z ich kryjówek, w których chowali się przed Polakami-katolikami. Pastorzy metodystyczni byli po prostu obrońcami i orędownikami miejscowych ewangelików, często wstawiając się za nimi u polskich władz.

Metodyści zajmowali tylko te obiekty kościelne, które im władze państwowe przyznały. Kościoły ewangelickie w większości były samowolnie zajmowane przez katolików. Dlatego metodyści musieli się najczęściej zadowolić „kaplicą". Starano się, aby nie dawać powodów do kłótni, czy walki z katolikami. Dla uogólnienia trzeba powiedzieć, że metodyści byli pierwsi na Mazurach.

Dopiero w drugim rzucie, po metodystach, zjawili się pastorzy Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Być może zostali zachęceni chytrym „połowem" dwóch parafii (Szczytno, Pasym) z rąk metodystów przez księdza Wittenberga. Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie w swoim piśmie do Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego z dnia 4 marca 1946 roku w punkcie piątym wzmiankuje, że w tym czasie na Mazurach było siedmiu pastorów augsburskich. Organizowali oni parafie tam, gdzie nie pracowali metodyści. Przejmowali głównie dawne kościoły ewangelickie, które przez szereg lat stały się kością niezgody, sporu, walki, nawet rękoczynów ze strony katolików, na przykład ksiądz Missol w Piszu w 1946 roku tylko ucieczką przed katolikami uratował swoje życie.

Ewangelicy Mazur chętnie przyjmowali augsburczyków, gdyż byli to luteranie z miejsca występujący w togach, a co było może najważniejsze, że wielu z nich mieli niemieckie nazwiska: Wittenberg, Sachs, Friszke. Nabożeństwa i wszelkie inne czynności religijno-kościelne augsburczycy prowadzili według dawnego porządku i tradycji b. Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Dopiero później wprowadzono liturgię i strój liturgiczny Polskiego Ko-

ścioła Ewangelicko-Augsburskiego. Pastorzy zaczęli zakładać komżę na togę. Mazurzy mówili: „Pastor nakłada koszulę ze szpicami". Początkowo to odpychało miejscowych ewangelików, ale z czasem i do tego przywykli. Augsburczycy również zaopiekowali się ewangelikami, nie chcąc być gorszymi od metodystów. Przez kilka lat powojennych udzielali pomocy z darów zagranicznych.

Ogólnie można powiedzieć, że oba Kościoły, metodystyczny i augsburski, udzieliły ewangelikom Mazur dużej pomocy moralnej, humanitarnej i materialnej. A co do spraw religijno-kościelnych, to nawet po czterdziestu latach ewangelicy Mazur znajdują się w obu kościołach. Można przypuszczać, że miejscowym ewangelikom jest obojętne, do którego kościoła należą, bo są świadomi, że ani jeden, ani drugi nie jest ich pierwotnym Kościołem Ewangelicko-Unijnym. Świadomość ta utwierdza się, bowiem oba Kościoły od pewnego czasu wprowadziły swoje porządki nabożeństwa (liturgię, stroje liturgiczne), zarzucając dawne byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. W praktyce ewangelicy Mazur trzymają się tej „ręki", która dała im jako pierwsza Słowo Boże, opiekę, pomoc i obronę.

Ciekawa byłaby rzecz, gdyby po przeszło czterdziestu latach w obu Kościołach na Mazurach przeprowadzono bezimienną poufną ankietę, stawiając parafianom następujące pytania:

A) W Kościele Metodystycznym: Kim jesteś, metodystą czy ewangelikiem?

B) W Kościele Augsburskim: Kim jesteś, augsburczykiem czy dawnym ewangelikiem Kościoła Unijnego?

Być może pytania takie dla wielu, zwłaszcza młodszej generacji, urodzonej już w Polsce, byłyby kłopotliwe. Wielu zainteresowanych sprawą z pewnością postawiłoby następujące pytania:

- Co stało się z pierwotnym Kościołem Ewangelicko-Unijnym?
- Jak to się stało, że na Mazurach mamy dwa Kościoły, a jeden i ten sam ewangelicki lud mazurski?

Sprawa godna rozważania w imię prawdy historycznej. Przecież mówiąc o działalności Kościołów Metodystycznego i Augsburskiego na Mazurach, nie można pominąć faktu konfliktów i walki między obu Kościołami. W związku z tym nasuwają się nowe pytania:

- Kto spowodował konflikt?
- Kto rozpoczął walkę?

Pytania te wymagają odpowiedzi i wyjaśnienia. Jako uczestnik tego okresu i wydarzeń od 1945 roku dałem na te pytania odpowiedź w osobnym rozdziale moich wspomnień pt. *Akcja księdza Zygmunta Michelisa*. Niemniej, w tym miejscu wypada mi poruszyć przyczyny, które doprowadziły do niezgody.

W długim liście biskupa dr. Jana Szerudy do „Wielebnego Księdza Jana Sczecha w Ządzborku z dnia 6. IV. 1946 roku" czytamy takie słowa:

(...) wskutek stanowiska Księdza podczas wojny i po niej niektórzy z naszych księży w ogóle nie chcieli słyszeć o Mazowszu. (Mowa o Mazurach)...

Potem przyszła sprawa Metodystów, która już dużo krwi napsuła i będzie zarzewiem bardzo przykrych scysji. Dziś Mazowsze (mowa o Mazurach) jest rozbite wyznaniowo. Kto sprowadził tam Metodystów, kto ich zachęcał, kto na mnie wywierał presję w obecności księdza Najdera, który to szyderczo wyzyskiwał? Chcę Księdzu bardzo wyraźnie powiedzieć, że w Konsystorzu nikt się nie znajdzie, kto by brał na serio słowa Księdza, że do Świąt musi być trzech księży".

Słowa ks. dr. Jana Szerudy to niesamowity wytyk. To po prostu „paternoster" wymierzony w osobę mego przyjaciela, ks. Jana Sczecha. Biorąc słowa ks. dr. Jana Szerudy pod uwagę, można dojść do wniosku, że człowiek, to często dość dziwna istota, którą podciągnąć można tylko pod polskie bardzo trafne przysłowie: *kowal zawinił – cygana powiesili*. Ks. dr. Szeruda znalazł w osobie ks. Jana Sczecha „kozła ofiarnego", nad którym może się wyżywać. Nie jest mi wiadome, czy ks. J. Sczech zareagował na ten list. Mogę przypuszczać, że zbrakło mu odwagi, boć dopiero od kilkunastu dni, czy tygodni, stał się podwładnym biskupa ks. dr. Jana Szerudy jako pastor w Ządzborku.

W liście biskupa dr. J. Szerudy znajdujemy pytanie: „Kto sprowadził Metodystów?", na które nie daje wyraźnej odpowiedzi. Jednak z treści listu wynika, że ma na myśli ks. Jana Sczecha. Zgodnie z chronologią wydarzeń, jako uczestnik tychże muszę powiedzieć, że najpierw trzeba postawić pytanie: „Kto zawinił, że na Mazurach Prus Wschodnich znaleźli się Metodyści?"

Niedwuznacznie oświadczam, że wyłączną winę za istnienie Kościoła Metodystycznego na Mazurach ponosi jedynie i wyłącznie Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski w osobie biskupa dr. Jana Szerudy i pastorzy tegoż Kościoła, którzy według słów biskupa dr. J. Szerudy „nie chcieli nic słyszeć o Mazowszu" (mając na myśli Mazury). Sprawę tę opisałem już dokładnie, zgodnie z prawdą w rozdziale *Sprawy kościelne*. W tym miejscu powtórzę tylko ogólnikowo, że biskup dr Jan Szeruda na prośbę Jana Sczecha i Edwarda Małłka o zaopiekowanie się ewangelikami Mazur odmówił opieki, na odchodne dodając: „A zresztą, to są Niemcy".

Gdy piszę te słowa „zresztą, to są Niemcy", mimo woli przypominają mi się słowa biskupa dr. Juliusza Burschego: „Mazurzy to Polacy". Jako prezes Komitetu Mazurskiego w Warszawie w czasie Plebiscytu 1920 roku pocieszał ewangelickich Mazurów, że wreszcie „dostaną polskich pastorów". Jakaż dziwna „analogia" myślenia łączy obu biskupów. Obaj przedstawiciele Kościoła podchodzą do sprawy nie z punktu widzenia religijnego, a jedynie z nacjonalistyczno-politycznego. Pierwszy przypuszcza, że ewangelicy Mazur głosować będą za Polską, więc nazywa ich Polakami. Drugi, ponieważ Mazurzy nie głosowali 11.7.1920 roku za Polską, więc są Niemcami.

Na tym tle i podłożu toczyła się walka Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego przeciwko Kościołowi Ewangelicko-Unijnemu w Polsce w okresie międzywojennym 1920–1939 roku. Bardzo źle, jeżeli (jakikolwiek) Kościół staje się narzędziem nacjonalizmu, a nie chrystianizmu. Ewangelicy Prus Wschodnich potrzebowali bowiem tak w pierwszym, jak i w drugim czasie pastorów ewangelickich, a nie polskich.

Wróćmy do pytania biskupa dr. Jana Szerudy: „A kto sprowadził Metodystów?". Udowodniłem, iż winę za obecność Metodystów na Mazurach ponosi jedynie dr Jan Szeruda. A teraz należy odpowiedzieć na jego pytanie: „A kto sprowadził Metodystów na Mazury?".

Oto krótka odpowiedź: „Sprowadzenie Metodystów na Mazury z winy biskupa dr. Jana Szerudy zainicjował Jan Sczech w towarzystwie Edwarda Małłek, natomiast formalnie ich zaproszenie wyszło od Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie".

Teraz pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie: „Kto sprowadził Augsburczyków na Mazury?" W pierwszej fazie augsburczycy przybyli na Mazury na „dziko", [jak] w przypadku ks. Wittenberga. Nieco później, jak to wynika z pism Rady Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie, inicjatorem również był Jan Sczech, ale już bez Edwarda Małłek, a formalnie zapraszającą była ta sama Rada Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie. A więc

mamy do czynienia z dwoma Kościołami ewangelickimi, działającymi wśród ewangelików, byłych członków Kościoła Ewangelicko-Unijnego.

Z takich czy innych powodów mogą niektórzy krytykować działalność ks. Jana Sczecha. Niewątpliwą jednak jego zasługą jest to, że w takim *vacuum,* w jakim po wojnie znalazł się Kościół Ewangelicki na Mazurach, ks. Jan Sczech walnie przyczynił się do zachowania i pielęgnowania protestantyzmu na Mazurach. Szkoda tylko, że ewangelicy Mazur nie dostrzegli własnych sił religijnych, choćby w „gromadkarstwie", które mogło być zalążkiem dotychczasowego ustroju kościelnego, przez co nie nastąpiłoby „rozbicie wyznaniowe" na Mazurach, o którym mówi biskup dr Jan Szeruda. Jednak ani ks. Jan Sczech, ani metodyści nie są winni, że Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski wszczął walkę przeciwko Kościołowi Metodystycznemu na Mazurach.

Obu Kościołom można by tylko pobożnie życzyć, aby trwały przy Ewangelii Jezusa Chrystusa i aby razem nie utonęły w „morzu" polskiego katolicyzmu. Szkoda też, że oba Kościoły od pewnego czasu zarzuciły tradycyjny porządek nabożeństwa byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Bowiem oba Kościoły stosują obecnie własną formę nabożeństw odnośnie liturgii i stroju liturgicznego. Jednak oba Kościoły winne pamiętać, że tylko ewangelicy b. Kościoła Ewangelicko-Unijnego są i będą „opoką" dla obu Kościołów, a nie rodowici augsburczycy czy metodyści, których liczba jest znikoma. I dlatego Ewangelicy b. Kościoła Ewangelicko-Unijnego w pełni zasługują na to, aby oba Kościoły wróciły do ich tradycyjnej formy nabożeństw, które, moim zdaniem, są najuroczystrzymi formami wysławiania Boga, które znam.

137
Prezydent Bierut pod Grunwaldem

Czas robi swoje – mówi porzekadło. Nauka nie idzie w las, to druga prawda życiowa.

Dzięki Jerzemu Burskiemu i Hieronimowi Skurpskiemu (Hermann Schmidt), którzy meldując się w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego PKWN w Lublinie w lipcu 1944 roku jako „Mazurzy spod Grunwaldu" zwrócili uwagę ówczesnym p.o. „ministrom" PKWN-u, że „Grunwald" w historii polskiej (i niemieckiej też) zajmuje niezwykle poczesne miejsce. „Ministrowie" trochę pogrzebali w historii i przestudiowali mapę. Tak, rzeczywiście dzięki Jerzemu Burskiemu znaleźli na mapie wieś „Grunwald". Zerknęli do *Encyklopedii*: „Król polski Władysław Jagiełło, dowodząc wojskami polskimi i litewskimi, mając do pomocy oddziały ruskie, czeskie i tatarskie, w bitwie pod Grunwaldem dnia 15 lipca 1410 roku rozgromił wojska Zakonu Krzyżackiego". Wspaniałe, wiekopomne zwycięstwo! Jakież podobieństwo z 1945 rokiem – na pewno pomyśleli „ministrowie" PKWN-u. I teraz, dzięki wojskom ruskim, armii sowieckiej stoimy na ziemi b. Zakonu Krzyżackiego, rozgromiwszy tym razem wojska hitlerowskie.

„Ministrowie" Tymczasowego Rządu Polskiego medytują, czy nie należałoby nawiązać do polskiej przeszłości. Tylko sęk w tym: do jakiej przeszłości? Nawiązać do Polski 20-lecia, Polski „sanacyjnej?", do Polski Marszałka Józefa Piłsudskiego? W żadnym wypadku!, krzyczą chórem. Przecież Piłsudski rozgromił armię bolszewicką, można powiedzieć

radziecką! Nie, nie, o tym nie możemy nawet myśleć. A więc krótki proces: wyrok śmierci Polsce sanacyjnej! Nie istniała i już! A generalicja, a oficerowie Wojska Polskiego, a armia Wojska Polskiego, walcząca przeciw Hitlerowi? To nie były wojska polskie, to były wojska burżuazyjne! Tak było w rzeczywistości: w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie uznawano stopni oficerskich wojsk Polski sanacyjnej i mojego też nie. A więc Polska Sanacyjna nie istniała!

Pozostaje jedynie nawiązać do dalekiej przeszłości, do Grunwaldu. Ale co robić z tym „królem", on nie pasuje do naszego ustroju? Przecież Władysław Jagiełło był Litwinem, a więc nie Polakiem, to jest to samo, jak nasz Stalin, też nie jest Polakiem, a jednak stworzył Polskę Ludową, która istnieje od 21 lipca 1944 roku. Szkoda, że nie od 15 lipca, to by się pokrywało z bitwą pod Grunwaldem w 1410 roku. Ważne jest to, że wtedy brały udział wojska ruskie i tatarskie. Niestety, w rozgromieniu Niemców hitlerowskich Tatarzy nie brali udziału, bo jeszcze daleko przed wojną Stalin ich wymordował, a resztki wygnał na Sybir. Pomijając te i owe mankamenty historyczne, „ministrowie" PKWN-u postanowili „stalinowską" Polskę nawiązać do Grunwaldu z 1410 roku.

Postanowiono uczcić rocznicę walki pod Grunwaldem. Na dzień 10 lipca 1945 roku zjechały na pola grunwaldzkie różne jednostki Wojska Ludowego, hufce harcerstwa polskiego, różne organizacje. Jednym słowem, gromada ludzi z różnych stron. A co najważniejsze, na uroczystość przybędzie osobiście prezydent Bolesław Bierut w towarzystwie świty. Wiadomość ta zelektryzowała działaczy mazurskich i Warmiaków, którzy postanowili powitać prezydenta jako przedstawiciele miejscowej ludności autochtonicznej. Jerzy Burski, zastępca wojewody, poinformował nas, że zbieramy się we wsi Tannenberg (Stembark). Z Mazurów zjawili się poza Jerzym Burskim: Gustaw Leyding, Walter Późny, Jan Sczech, Hieronim Skurpski (Schmidt), Wilhelm Burski i ja. Innych nie przypominam. Z Warmiaków też było kilka osób. Nim zebraliśmy się, prezydent Bolesław Bierut już kwaterował w jednym z okazalszych domów w Tannenbergu.

Wreszcie zauważyliśmy, że prezydent ze świtą kroczy w naszym kierunku. Ustawiliśmy się w jednym szeregu jakby rekruci. Gdy prezydent znalazł się na naszej wysokości, Jerzy Burski wystąpił i powitał prezydenta na Ziemi Mazurskiej w imieniu Mazurów i Warmiaków, właścicieli tej ziemi. Prezydent przemówił niby do nas, nie wspomniawszy ani jednym słowem o ludności tubylczej, o Mazurach i Warmiakach. Tym byliśmy bardzo urażeni. Zostaliśmy po prostu zlekceważeni.

Na mnie Bierut zrobił złe wrażenie. Stałem od niego zaledwie kilka kroków. Wyglądał na człowieka bardzo zmęczonego. Powieki oczu chronicznie opadały, zwisały, zasłaniając gałki oczne. Przemówienie jego było na szczęście krótkie. Nie pamiętam, czy prezydent podał nam, przedstawicielom Ziemi Mazurskiej, rękę. Chyba nie, bo bym pamiętał. Prezydent odszedł, udając się na miejsce mszy polowej.

Czując zlekceważenie delegacji Mazurów przez Bieruta, ja jako ewangelik zrezygnowałem z udziału w dalszych uroczystościach, udając się z innymi do domu, do Olsztyna. Sądziliśmy, że Polska „komunistyczna" nie urazi uczuć miejscowej ewangelickiej ludności mazurskiej katolickimi obyczajami w ramach uroczystości państwowej. Z mowy prezydenta i całej oprawy uroczystości ze sztandarami maryjnymi wynikało dobitnie, że Polacy cieszą się zdobyczą ziemi, dostępem do Bałtyku, a nie przygarnięciem „braci Mazurów" do „łona" Ojczyzny.

Wnet zobaczymy, co postanowiono przez Wielką Trójkę na Konferencji Poczdamskiej odnośnie miejscowej ludności Prus Wschodnich i ziem po Odrę i Nysę.

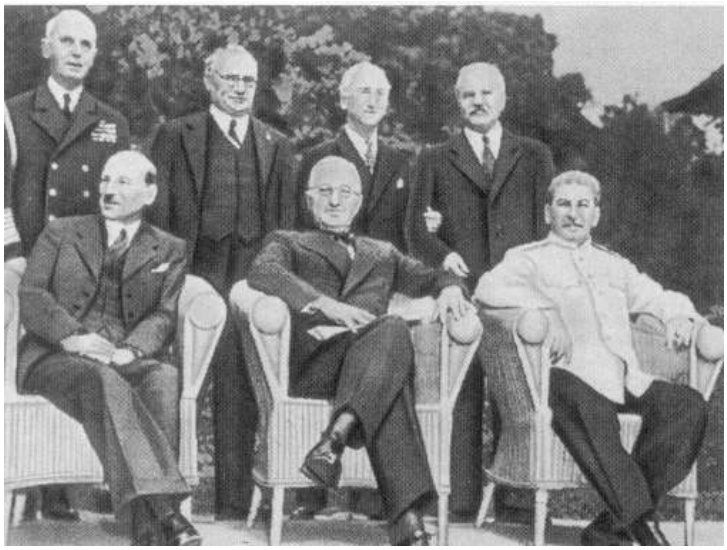

Konferencja Poczdamska 1945, siedzą od lewej: C. Attlee, H. Truman, J. Stalin

*

Umowa w Poczdamie 2.08.1945

Potsdamer Abkommen*
2.08.1945

Über die Gebiete östlich der Oder und Neiße heißt es im Abkommen folgendermaßen:

„Bezüglich der Westgrenze Polens wurde folgendes Abkommen erzielt: In Übereinstimmung mit dem bei der Krimkonferenz erzielten Abkommen haben die Häupter der drei Regierungen der Meinung der Polnischen Provisorischen Regierung der Nationalen Einheit hinsichtlich des Territoriums im Norden und Westen geprüft, was Polen erhalten soll. Der Präsident des des Nationalrates Polens und die Mitglieder der Polnischen Provisorischen Regierung der Nationalen Einheit sind auf der Konferenz empfangen worden und haben ihre Auffassungen in vollem Umfange dargelegt.

Die Häupter der drei Regierungen bekräftigten ihre Auffassung, daß die entgültige Festlegung der Westgrenze Polens bis zu der Friedenskonferenz zurückgestellt werden soll. Die Häupter der drei Regierungen stimmten darin überein, daß bis zur entgültigen Festlegung der Westgrenze Polens, die früher deutschen Gebiete östlich der Linie, die von der

* Oryginał na stronie 451 – Red.

Ostsee unmittelber westlich von Swinemünde und von dort die Oder entlang bis zur Einmündung der westlichen Neiße entlang bis zur Tschechoslovakischen Grenze verläuft einschließlich des Teiles von Ostpreußen, der nicht unter die Verwaltung der Union der Sozialistischen Sowjetrepubliken in Übereinstimmung mit den auf dieser Konferenz erzielten Vereinbarungen gestellt wird, und einschließlich des Gebietes der früheren Stadt Danzig, *unter die Verwaltung des polnischen Staates kommen*…

Zweimal wird also in diesem Abkommen darauf hingewiesen, daß die entgültige Westgrenze Polens erst in einem Friedensvertrag festgelegt werden soll. Ganz klar ist auch gesagt, daß die deutschen Gebiete östlich der Oder und Neiße lediglich *unter die Verwaltung des polnischen Staates* gestellt werden sollten.

Wenn demgegenüber der Kreml im Hinblick auf die von ihm geraubten ostpolnischen Gebiete die Version aufrechterhaltenwissen will, daß die Oder-Neiße-Linie die „Friedensgrenze" zwischen Deutschland und Polen darstelle, so handelt es sich um eine einseitige und willkürliche Auslegung des in Potsdam getroffenen Provisoriums, daß wir um so weniger anzuerkennen verpflichtet sind, als selbst die Westmächte es bis heute als solches bezeichnen.

Nun wird jedoch der Versuch gemacht, aus Tatsache der Vertreibung der Deutschen aus deutschen Ostgebietenden den *Schluß abzuleiten diese Gebiete entgültig an Polen fallen sollen*, sagt darüber das Potsdamer Abkommen:

„Ordnungsgemäße Überführung deutscher Bevölkerungsteile: Die Konferenz erzielte folgendes Abkommen über die Ausweisung Deutscher, Polen, der Tschechoslovaken und Ungarn: Die Regierungen habenhaben die Frage unter allen Gesichtspunkten beraten und erkennen an, daß die Überführung der deutschen Bevölkerung oder Bestand derselben, die in Polen, Tschechoslovakei und Ungarn zurückgeblieben sind, nach Deutschland durchgeführt werden muß. Sie stimmen darin überein, daß jede derartige Überführung die stattfinden wird, in ordnungsgemäßer und humaner Weise erfolgen soll.

Ohne auf die Tatsache einzugehen, daß die „Überführung" der Deutschen aus den aus den vorgenannten Staaten weder ordnungsgemäß noch human vorging, sondern einen einzigen Akt der Unmenschlichkeit darstellte – milionenfache Verbrechen gegen die Menschlichkeit – muß darauf hingewiesen werden, daß in dem vorstehenden Übereinkommen unzweideutig von den Deutschen, Polen, der Tschechoslovakei und Ungarn die Rede ist, das heißt also von den Staaten, wie sie beim Abschluß des Abkommens bestanden. Mit keinem Wort ist jedoch davon die Rede, daß von der Überführung auch die deutsche Bevölkerung in der unter polnische Verwaltung gestellten Gebieten getan werden sollte. Dies war ein klarer Bruch des Abkommens von Potsdam. Die Westmächte haben zugesehen, wie die Sowjets und die Polen das Abkommen verletzten. Sie sahen keine Möglichkeit der Intervention, befanden sich zu diesem Standpunkt noch in der Nachwirkung der Kriegspropagandapsychose gegen Deutschland. Die Austreibung der Deutschen aus ihren Heimatgebieten stellt einen Bruch des Potsdamer Abkommens dar.

Es bleibt die Aufgabe der deutschen Außenpolitik, die Ansprüche auf die deutschen Ostgebiete geltend zu machen und allen falschen Auslegungen des Potsdamer Abkommens, ja diesem überhaupt als einem für uns nicht rechtsverbindlichen Dokument entgegenzutreten.

Potsdamer Abkommen
2.08.1945

Über die Gebiete östlich der Oder und Neiße heißt es im Abkommen folgendermaßen: „Bezüglich der Westgrenze Polens wurde folgendes Abkommen erzielt: In Übereinstimmung mit dem bei der Krimkonferenz erzielten Abkommen haben die Häupter der drei Regierungen der Meinung der Polnischen Provisorischen Regierung der Nationalen Einheit hinsichtlich des Territoriums im Norden und Westen geprüft, was Polen erhalten soll. Der Präsident des Nationalrates Polens und die Mitglieder der Polnischen Provisorischen Regierung der Nationalen Einheit sind auf der Konferenz empfangen worden und haben ihre Auffassungen in vollem Umfange dargelegt.

Die Häupter der drei Regierungen bekräftigen ihre Auffassung, daß die endgültige Festlegung der Westgrenze Polens bis zu der Friedenskonferenz zurückgestellt werden soll. Die Häupter der drei Regierungen stimmen darin überein, daß, bis zur endgültigen Festlegung der Westgrenze Polens, die früher deutschen Gebiete östlich der Linie, die von der Ostsee unmittelbar westlich von Swinemünde und von dort die Oder entlang bis zur Einmündung der westlichen Neiße entlang bis zur Tschechoslowakischen Grenze verläuft, einschließlich des Teiles von Ostpreußen, der nicht unter die Verwaltung der Union der Sozialistischen Sowjetrepubliken in Übereinstimmung mit den auf dieser Konferenz erzielten Vereinbarungen gestellt wird, und einschließlich des Gebietes der früheren Freien Stadt Danzig, *unter die Verwaltung des polnischen Staates kommen ...*

Zweimal wird also in diesem Abkommen darauf hingewiesen, daß die endgültige Westgrenze Polens erst in einem Friedensvertrag festgelegt werden soll. Ganz klar ist auch gesagt, daß die deutschen Gebiete östlich der Oder und Neiße lediglich *unter die Verwaltung des polnischen Staates* gestellt werden sollten.

Wenn demgegenüber der Kreml im Hinblick auf die von ihm geraubten ostpolnischen Gebiete die Version aufrechterhalten wissen will, daß die Oder-Neiße-Linie die „Friedensgrenze" zwischen Deutschland und Polen darstelle, so handelt es sich um eine einseitige und willkürliche Auslegung des in Potsdam getroffenen Provisoriums, das wir umso weniger anzuerkennen verpflichtet sind, als selbst die Westmächte es bis heute als solches bezeichnen.

Nun wird jedoch der Versuch gemacht, aus Tatsache der Vertreibung der Deutschen aus deutschen Ostgebieten den Schluß abzuleiten diese Gebiete endgültig an Polen fallen sollen. sagt darüber das Potsdamer Abkommen?

„Ordnungsgemäße Überführung deutsche völkerungsteile: Die Konferenz erzielte folge Abkommen über die Ausweisung Deutscher Polen, der Tschechoslowakei und Ungarn: Die Regierungen haben die Frage unter allen Gesi punkten beraten und erkennen an, daß die Über rung der deutschen Bevölkerung oder Bestand derselben, die in Polen, Tschechoslowakei und garn zurückgeblieben sind, nach Deutsch durchgeführt werden muß. Sie stimmen darin ü ein, daß jede derartige Überführung, die stattfi wird, in ordnungsgemäßer und humaner Weis folgen soll."

Ohne auf die Tatsache einzugehen, daß die „Ü führung" der Deutschen aus den vorgenan *Staaten* weder ordnungemäß noch human vor ging, sondern einen einzigen Akt der Unmen lichkeit darstellte — *millionenfache Verbre gegen die Menschlichkeit* — muß darauf hinge sen werden, daß in dem vorstehenden Über kommen unzweideutig von den Deutsche *Polen*, der *Tschechoslowakei* und *Ungarn* die F ist, das heißt also von den Staaten, wie sie bei schluß des Abkommens bestanden. Mit kei Wort ist jedoch davon die Rede, daß von der Ü führung auch die deutsche Bevölkerung in der n polnische Verwaltung gestellten Gebieten be fen werden sollte. Dies war ein klarer Bruch des kommens von Potsdam. Die Westmächte h zugesehen, wie die Sowjets und die Polen das kommen verletzten. Sie sahen keine Möglich der Intervention, befanden sich zu diesem Zeitpunkt noch in der Nachwirkung der Kriegspropagandapsychose gegen Deutschland. Die Aus bung der Deutschen aus ihren Heimatgebi stellt einen Bruch des Potsdamer Abkommens

Es bleibt die Aufgabe der deutschen Außenpo tik, die Ansprüche auf die deutschen Ostgebi geltend zu machen und allen falschen Auslegun des Potsdamer Abkommens, ja diesem überh als einem für uns nicht rechtsverbindlichen D ment entgegenzutreten.

Poniżej tłumaczenie powyższego artykułu na temat Układu Poczdamskiego:

Układ poczdamski 2.08.1945

Na temat terenów na wschód od Odry i Nysy czytamy w układzie, co następuje: „Odnośnie zachodniej granicy Polski osiągnięto następujące porozumienie: Zgodnie z ugodą osiągniętą na konferencji krymskiej głowy trzech rządów rozważyły zapatrywanie Polskiego Prowizorycznego Rządu Frontu Jedności Narodowej w sprawie terytoriów, jakie Polska winna otrzymać na północy i na zachodzie. Prezydent Rady Narodowej Polski oraz członkowie Prowizorycznego Rządu Jedności Narodowej zostali przyjęci na konferencji i przedstawili w pełnym zakresie swój punkt widzenia.

Szefowie rządów potwierdzili swój pogląd, że definitywne ustalenie granic Polski na zachodzie winno być odłożone do czasu konferencji pokojowej. Liderzy rządów są jednak zdania co do tego, że do czasu definitywnego ustanowienia granicy Polski na zachodzie byłe tereny niemieckie położone na wschód od linii biegnącej od zachodniego krańca Świnoujścia przy Bałtyku i stamtąd wzdłuż Odry po ujście zachodniej Nysy i dalej wzdłuż Nysy po granicę z Czechosłowacją, nadto tę część Prus Wschodnich, która nie przeszła pod administrację Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, zgodnie z postanowieniami niniejszej konferencji, przejść mają pod administrację Państwa Polskiego, włącznie z obszarem byłego Wolnego Miasta Gdańska”.

Dwukrotnie wskazuje się w tym układzie na to, że definitywne ustalenie granicy na zachodzie Polski może nastąpić dopiero w traktacie pokojowym. Również całkiem wyraźnie powiedziane jest, że niemieckie obszary na wschód od Odry i Nysy przechodzą tylko pod administrację Państwa Polskiego.

Jeśli Kreml, z uwagi na zrabowane polskie obszary, próbuje obstawać przy wersji, że linia Odra – Nysa jest „granicą pokoju” pomiędzy Niemcami i Polską, to chodzi tu o jednostronne komentowanie prowizorium zawartego w Poczdamie, którego nie mamy obowiązku uznać, jako że same mocarstwa zachodnie tylko tak go nazywają.

Obecnie podejmowana jest próba wyprowadzenia z faktu wypędzenia Niemców z terytoriów wschodnich wniosku, że tereny te definitywnie przypaść mają Polsce. A jak mówi Układ Poczdamski?

„Niemiecka część ludności ma być prawidłowo przemieszczona: Konferencja osiągnęła porozumienie w sprawie wydalenia Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier. Rządy obradowały w tej sprawie rozpatrując wszystkie aspekty i doszły do wniosku, że przeprowadzenie ludności niemieckiej, która przetrwała w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech, musi nastąpić do Niemiec. Zgodzono się, że tego rodzaju przemieszczenie, jeżeli nastąpi, winno być dokonane z uszanowaniem porządku i godności ludzkiej”.

Nie wnikając w fakt, że „transport” Niemców z uprzednio wspomnianych państw nie miał przebiegu ani praworządnego, ani też szanującego godność człowieka, lecz był jednym aktem nieludzkiego traktowania, wyrażając się wielomilionowym przestępstwem wobec ludzkości, trzeba wskazać na fakt, że w niniejszym porozumieniu niedwuznacznie mowa o Niemcach w Polsce, Czechach i na Węgrzech, a więc o stanie, jaki istniał w momencie układu, lecz ani słowem nie mówi się, że ludność niemiecka podlega temuż na terenach oddanych pod polski zarząd. Tu dopuszczono się wyraźnego złamania Układu Poczdam-

skiego. Mocarstwa zachodnie przyglądały się, jak Sowieci i Polacy naruszali porozumienie. Nie widzieli żadnej możliwości interweniowania, bo znajdowali się w tym czasie pod działaniem psychozy antyniemieckiej propagandy wojennej. Wypędzenie Niemców z terenów ich ojczyzny stanowi pogwałcenie Układu Poczdamskiego.

Zadaniem niemieckiej polityki zewnętrznej będzie zgłaszać roszczenie do niemieckich obszarów wschodnich i protestować wobec wszelkich fałszywych komentowań Układu Poczdamskiego i w ogóle wobec niego samego jako dokumentu, który prawnie nas nie wiąże.

Odnośnie POCZDAMSKIEJ KONFERENCJI, czyli konferencji berlińskiej w dniach 17.VII. – 2.VIII.1945: Była to konferencja szefów rządów 3 mocarstw sojuszniczych w II wojnie światowej: W. Churchilla i potem C. Attleego (W. Brytania), H. Trumana (USA) i J. W. Stalina (ZSRR). Jej celem było uregulowanie problemów związanych z likwidacją skutków II wojny światowej i organizacją powojennej Europy. W sprawie Niemiec rozwinięto postanowienia konferencji jałtańskiej o likwidacji militaryzmu i nacjonalizmu niemieckiego. Ustalono: demilitaryzację, demokratyzację, dekartelizację, denazyfikację i ukaranie zbrodniarzy wojennych. Ustalono również polityczne i gospodarcze zasady sprawowania kontroli nad Niemcami. Realizację uchwał powierzono wojskowym zarządom stref okupacyjnych W. Brytanii, USA. ZSRR i Francji, a koordynację Sojuszniczej Radzie Kontroli Niemiec. Powołano Radę Ministrów Spraw Zagranicznych 5 mocarstw (Chin, Francji, USA, W. Brytanii i ZSRR) dla przygotowania traktatów pokojowych. Ustalono granicę Polski północną i zachodnią, na Odrze, Nysie Łużyckiej i Bałtyku. Przyznano ZSRR okręg Królewca oraz postanowiono przesiedlenie Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier. Zadecydowano o odszkodowaniach wojennych Niemiec. Ogłoszona w Poczdamie osobna deklaracja Chin, USA, i W. Brytanii (25. VII.) wezwała Japonię do bezwarunkowej kapitulacji oraz określiła główne zasady jej demilitaryzacji i demokratyzacji. Część istotnych postanowień Konferencji Poczdamskiej nie została w pełni zrealizowana ze względu na stanowisko mocarstw zachodnich. Konferencja Poczdamska miała decydujące znaczenie dla terytorialno-politycznego kształtu środkowej Europy po 1945 i spełniła funkcję pokojowego uregulowania wojny z Niemcami. Jej decyzje stanowią prawno-międzynarodową podstawę dla zachodniej granicy Polski. Układ w Zgorzelcu z NRD z 1950 roku i układ o podstawach normalizacji stosunków z RFN 1970 roku odwołują się do jej postanowień. Akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie 1975 potwierdził niepodważalność i nieodwracalność pokojowego ładu polityczno-terytorialnego w Europie ukształtowanego przez Konferencję Poczdamską i powojenny rozwój.

138
Konferencja Poczdamska

Konferencja ta stworzyła dzisiejszą, wielce skomplikowaną dla wielu narodów, tragiczną rzeczywistość. Na konferencji panował duch zemsty przeciwko narodowi niemieckiemu. Ogłoszono kolektywną odpowiedzialność całego narodu niemieckiego za zbrodnie Hitlera. Przedstawiciele Zachodu: USA i Anglii, układając nową Europę, nie zauważyli, że wyzwalając takie narody, jak Estonię, Łotwę, Litwę, Polskę, Czechosłowację, Węgry, Au-

strię, Rumunię, Bułgarię, spod jarzma jednego zbrodniarza Hitlera, oddawali takowe pod nowe jarzmo drugiego ludobójcy, Józefa Stalina, którego stopa stanęła nad rzeką Łabą (Elbą).

W moich wspomnieniach ograniczam się do tragedii mego Ludu Mazurskiego i ludu Prus Wschodnich. Tragedia wynikła z powodu złego i fałszywego interpretowania postanowień Uchwał Poczdamskich z dnia 2 sierpnia 1945 roku przez stronę polsko-sowiecką, co znalazło nawet swoje odbicie w polskiej encyklopedii. Przytaczam wykładnię umów poczdamskich według niemieckich źródeł. Polacy, aczkolwiek wspominają o strefach okupacyjnych i przygotowaniach traktatów pokojowych, błędnie w formie twierdzącej podają, że „ustalono północne i zachodnie granice Polski na Odrze, Nysie i Bałtyku".

Ponieważ do dnia dzisiejszego (rok 1989), po czterdziestu czterech latach jeszcze nie zawarto paktu pokojowego z przegranymi Niemcami, dlatego Niemcy mają rację, twierdząc, że tereny na wschód od Łaby po dawną granicę z Polską z 1939 roku oraz Prusy Wschodnie są pod okupacją, pod administracją sowiecką lub z łaski Stalina pod administracją Polski. Dlatego Niemcy słusznie stan obecny uważają za *provisorium*. Jeszcze gorzej przedstawia się polska interpretacja uchwały poczdamskiej odnośnie „przesiedlenia Niemców z Polski".

Prawną granicą zachodnią i północną Polski w chwili odbywającej się Konferencji Poczdamskiej nadal była granica z 1939 roku. I dlatego Polacy zgodnie z Umową Poczdamską mieli prawo do wysiedlenia Niemców z Polski. W umowie poczdamskiej nie ma ani jednego słowa upoważniającego Polskę do wysiedlenia Niemców z terenów okupacyjnych, które *de facto* i prawnie nie należały do Polski. Polska rozszerzając przepis wysiedlenia na tereny okupowane, administrowane przez Polskę, dokonała fałszerstwa na swą korzyść. Rząd Polski, korzystając ze sfałszowanej uchwały poczdamskiej, pośpieszył [się], wydając już 16 sierpnia 1945 roku (dwa tygodnie po Poczdamie) „Dekret o wyeliminowaniu wrogiego elementu ze społeczeństwa polskiego". Widocznie autorzy tego dekretu znali powiedzenie prezydenta USA Roosevelta, ale i jego powiedzenie sfałszowali, bo Roosevelt powiedział dosłownie: „wyeliminowanie wrogiego elementu niemieckiego z Polski" – a nie ze społeczeństwa Polski. Ale Polakom bardzo zależało na tym, aby wyeliminować wrogi element niemiecki ze wszystkich terenów, na których znalazło się społeczeństwo polskie, a zatem po Odrę, Nysę i Bałtyk.

Jeszcze bardziej radykalnie wystąpił w tej materii niejaki profesor Srokowski, o którym wspomina Karol Małłek (tom IV, strona 239), składając swego czasu petycję do naczelnych władz Polski o wysiedlenie do Niemiec polskiej ludności miejscowego pochodzenia. Nie wiadomo, czy wniosek profesora Srokowskiego uprzedził względnie spowodował wydanie powyższego dekretu. Albo profesor Srokowski, będąc niezadowolony z ogólnego ujęcia dekretu, złożył wniosek, aby nie było wątpliwości: wysiedlenie wszystkich autochtonów i tych, którzy są pochodzenia polskiego.

Sfałszowanie umowy poczdamskiej i wydanie przez Polskę dekretu o wyeliminowanie wrogiego elementu ze społeczeństwa polskiego, uderzyło przede wszystkim w Mazurów Prus Wschodnich i Działdowszczyzny. Ale gdyby nawet nie było umowy poczdamskiej i wymienionego dekretu, to i tak społeczeństwo polskie pod wpływem mafii „Akcji Katolickiej" wiedziałoby, kogo wysiedlić: heretyków, boć przecież Polakiem jest tylko katolik, a ludność ziem stojących pod administracją polską w 98% jest protestancka. „Co mają heretycy do szukania w Polsce?" – oto hasło ONR-u (Obozu Narodowo-Radykalnego) i „Akcji Katolickiej".

Pytam się was, działacze mazurscy: „Znaliście umowę poczdamską i dekret Rządu Polskiego?”. Przyznam, że ja tych rzeczy nie znałem. Myślę, że ogół działaczy mazurskich nie znali tych spraw. Przede wszystkim nie dostrzegli w systemie komunistycznym w Polsce Ludowej ogromnych, zakamuflowanych wpływów Akcji Katolickiej. Bo gdyby te sprawy były im znane, to ich działalność, polegająca na przekonywaniu społeczeństwa polskiego, że „Mazur to Polak”, z góry zdana była na przegraną, na klęskę. Czego byliśmy i jesteśmy świadkami i ofiarami.

Potoczyły się masowe transporty niemieckich „wygnańców” (=Vertriebenen) do Niemiec w warunkach urągających godności człowieka. Ludzie stłoczeni nawet po 80 osób w wagonie, często bez zaopatrzenia, jedzenia i picia. W podróży jeszcze okradani. Wydawano specjalne rozkazy wysiedlenia, dające zaledwie kilka godzin czasu do opuszczenia mieszkania. Amerykański autor książki pt. *Die Anglo-Amerikaner und die Vertreibung der Deutschen*, Alfred M. Zayas, podaje taki „Sonderbefehl”, który załączam. Tenże autor pisze, jak propaganda sowiecka, w której wyróżniał się propagandzista Ilja Erenburg, nastrajała społeczeństwo rosyjskie, szczególnie żołnierzy frontowych, przeciwko Niemcom, rozsiewając ulotki o podjudzającej treści, jak na przykład: „Niemcy to nie ludzie. Nie wystarczy Niemców wygonić na Zachód”. „Niemcy muszą być pędzeni do grobu”. „Oczywiście, zabity Niemiec jest lepszy od bezwstydnego”. „Ze wszystkich Fritzów zabici są najlepsi”. „Dla nas nie ma nic weselszego, jak trupy niemieckie”... Ilja Erenburg wołał: „Zabijać! Zabijać!” Nic dziwnego, iż pierwszymi ofiarami gwałtów i mordów padli mieszkańcy Prus Wschodnich, mężczyźni, kobiety, dzieci. Tenże autor podaje, że we wsi Nemmersdorf koło Gumbinen Sowieci zabili trzydziestu mężczyzn, dwadzieścia kobiet i piętnaścioro dzieci.

Sowieci, później Polacy, zajmując ziemię Prus Wschodnich nie bawili się w „weryfikację”. Jedynym hasłem było: zabijać i wypędzać! W ten sposób wyniszczono i wypędzono 99,99% dawnych mieszkańców powiatu działdowskiego, którego jestem jednym z nich. Tylko działacze Mazur i Warmii łamali głowy: kogo ratować?! Ale wreszcie i oni zrozumieli, że Polacy nie odróżniają Mazurów, Warmiaków od Niemców Prus Wschodnich, wszystkich uważając za Niemców.

Na tym epopeja Mazurów w Polsce się skończyła.

A Polska dostała w darze od Stalina tragiczną przyszłość, bowiem przyjdzie, że potomkowie byłych mieszkańców Prus Wschodnich upomną się o swoją Ziemię Ojczystą, o swój Heimat. Bowiem w historii świata nic i nigdy nie było załatwione definitywnie, ostatecznie. Wszystkie traktaty, układy, umowy, ulegały zmianom. Nic nie jest stałe, nic nie jest pewne!

139
Jestem aresztowany przez UB

W październiku 1945 roku Wydział Finansowy Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie wezwał mnie do zwrotu pożyczki, którą będąc starostą w Nidzicy udzieliłem jednemu z pracowników starostwa, przesiedleńcowi zza Buga. Pouczono mnie, że jako starosta nie miałem prawa udzielania bezzwrotnych zapomóg. To trzeba było wtedy wiedzieć. Myślałem, że działałem prawidłowo. O ile się nie mylę, rozchodziło się o sumę 500 zł. Na ów-

czesne czasy była to pokaźna suma, a ja nie miałem ani pracy, ani zarobku. Powiedziano mi, abym sprawę tę załatwił z pożyczkobiorcą, czyli trzeba do niego pojechać do Nidzicy. Mając tam dawną naszą znajomą, Jankę Kornalewską, która prowadziła restaurację i hotel, pojechałem w dzień Wszystkich Świętych, 1 listopada 1945 roku. Niczego złego się nie spodziewając, gościliśmy się jak najlepiej, tym bardziej, że do Kornalewskiej przyjechał jej narzeczony, Kazimierz Milewski, który był kierownikiem jakiegoś PGR-u (Państwowego Gospodarstwa Rolnego). Kornalewska wspomniała, że jutro w Zaduszki, 2 listopada, jedzie do Mławy na grób swego zmarłego męża.

Dnia 2 listopada od samego rana wielki ruch w restauracji. Jemy śniadanie. Przez okno obserwuję jakiś dziwny ruch na ulicy. Coś mnie tknęło, bo wśród nich zauważyłem owego analfabetę, sekretarza partii, o którym powiedziano mi, że jest bardzo ważną figurą. Inni mówią, że go wykończą.

Miałem zamiar zostać w Nidzicy, ale w tej sytuacji powiedziałem Kornalewskiej, że jadę z nimi do Mławy. Nadjechał samochód ciężarowy. Wyszliśmy, Kornalewska, Milewski i ja, aby wsiąść do samochodu. W tym momencie podchodzą do mnie UB-owcy i mówią: „Obywatel pozwoli z nami!". Pytam: „O co chodzi?". „O tym obywatel dowie się u nas w biurze". Idziemy ulicą Warszawską. Jesteśmy na Rynku. Z przeciwnej strony nadchodzi komendant Milicji Obywatelskiej, Trafidło, z którym jako starosta żyliśmy w przyjaźni. Komendant MO pyta: „Dokąd pana prowadzą?". „Nie wiem" – odpowiadam. Komendant MO zwraca się do UB-owców: „Czego chcecie od niego?". „To ciebie nic nie obchodzi" – rzekli. „To zobaczymy, czy mnie obchodzi, czy nie" – powiada, dodając: „Pójdę z wami".

Milcząc przeszliśmy Rynek, idziemy ulicą, przy której znajdują się biura UB, dawna siedziba komendanta sowieckiego, majora Zejnałowa. Przed wejściem do budynku komendant MO powiada do UB-owców: „Ja tu będę stał tak długo, aż go puścicie". UB-owcy wprowadzili mnie do biura na pierwszym piętrze do pokoju od strony ulicy. W pokoju stało biurko, krzesła i w rogu biurowa szafa. (Analfabeta, sekretarz partii, drwiąco uśmiechnięty, zadowolony z mego aresztowania, pozostał przy restauracji. Przyjaciele, Kornalewska i Milewski, pojechali do Mławy, mnie zostawiając własnemu losowi.) Ubowiec, „władca życia i śmierci", zasiadł za biurkiem, pyta mnie, siedzącego na krześle z tej strony biurka: „Po co obywatel przyjechał do Nidzicy?".

Krótko powiedziałem o mojej sprawie, dotyczącej owej pożyczki, pokazując mu pismo, które otrzymałem z Urzędu Wojewódzkiego. To go zaskoczyło. Wziął pisemko i poszedł do sąsiedniego pokoju, w którym było więcej ubowców. Po dłuższej chwili wraca, siada za biurkiem, oddaje mi pisemko i pyta: „A co więcej obywatel tu załatwiał?". „Poza odwiedzeniem znajomych, nic więcej nie robiłem" – odpowiedziałem. Ubowiec posiedział, pogrzebał coś w szufladzie i dłuższy czas nic nie mówi. Do tej chwili siedzę u nich już jakąś godzinę. Wreszcie wstał i stanął przy oknie, patrząc na ulicę. Znów usiadł. Znów wstał i poszedł do sąsiedniego pokoju.

Vertreibungsbefehl aus Schlesien, Juli 1945: Behält die blanke Gewalt das letzte Wort der Geschichte?

Sonderbefehl

für die deutsche Bevölkerung der Stadt Bad Salzbrunn einschliesslich Ortsteil Sandberg.

Laut Befehl der Polnischen Regierung wird befohlen:

1. Am 14. Juli 1945 ab 6 bis 9 Uhr wird eine Umsiedlung der deutschen Bevölkerung stattfinden.
2. Die deutsche Bevölkerung wird in das Gebiet westlich des Flusses Neisse umgesiedelt.
3. Jeder Deutsche darf höchstens 20 kg Reisegepäck mitnehmen.
4. Kein Transport (Wagen, Ochsen, Pferde, Kühe usw.) wird erlaubt.
5. Das ganze lebendige und tote Inventar in unbeschädigtem Zustande bleibt als Eigentum der Polnischen Regierung.
6. Die letzte Umsiedlungsfrist läuft am 14. Juli 10 Uhr ab.
7. Nichtausführung des Befehls wird mit schärfsten Strafen verfolgt, einschließlich Waffengebrauch.
8. Auch mit Waffengebrauch wird verhindert Sabotage u. Plünderung.
9. Sammelplatz an der Straße Bhf. Bad Salzbrunn-Adelsbacher Weg in einer Marschkolonne zu 4 Personen. Spitze der Kolonne 20 Meter vor der Ortschaft Adelsbach.
10. Diejenigen Deutschen, die im Besitz der Nichtevakuierungsbescheinigungen sind, dürfen die Wohnung mit ihren Angehörigen in der Zeit von 5 bis 14 Uhr nicht verlassen.
11. Alle Wohnungen in der Stadt müssen offen bleiben, die Wohnungs- und Hausschlüssel müssen nach außen gesteckt werden.

Bad Salzbrunn, 14. Juli 1945, 6 Uhr.

Abschnittskommandant
(-) Zinkowski
Oberstleutnant

Poolski areał

Sonderbefehl

Für die deutsche Bevölkerung der Stadt Bad Salzbrunn einschliesslich Ortsteil Sandberg

Laut Befehl der Polnischen Regierung wird befohlen:

1. Am 14. Juli 1945 ab 6 bis 9 Uhr wird eine Umsiedlung der deutschen Bevölkerung stattfinden.

2. Die deutsche Bevölkerung wird in das Gebiet westlich des Flusses Neisse umgesiedelt.

3. Jeder Deutsche darf höchstens 20 kg Reisegepäck mitnehmen.

4. Kein Transport (Wagen, Ochsen, Pferde, Kühe usw.) wird erlaubt.

5. Das ganze lebendige und tote Inventar in unbeschädigtem Zustande bleibt als Eigentum der Polnischen Regierung.

6. Die letzte Umsiedlungsfrist läuft am 14. Juli 10 Uhr ab.

7. Nichtausführung des Befehls wird mit schärfsten Strafen verfolgt, einschließlich Waffengebrauch.

8. Auch mit Waffengebrauch wird verhindert Sabotage und Plünderung.

9. Sammelplatz an der Strasse Bhf Bad Salzbrunn Adelsbacher Weg in einer Marschkolonne zu 4 Personen. Spitze der Kolonne 20 m vor der Ortschaft Adelsbach.

10. Diejenigen Deutschen, die im Besitz der Nichtevakuierungsbescheinigungen sind, dürfen die Wohnung mit ihren Angehörigen in der Zeit von 5 bis 14 Uhr nicht verlassen.

11. Die Wohnungen in der Stadt müssen offen bleiben, die Wohnungs- und Hausschlüssel, müssen nach außen gesteckt werden.

Bad Salzbrunn, 14. Juli 1945, 6 Uhr.

Abschnittskommandant
(-) Zinkowski
Oberstleutnant

Tłumaczenie:

Rozkaz specjalny

dla ludności niemieckiej w mieście Bad Salzbrunn (Szczawno Zdrój), włącznie z dzielnicą Sandberg

Zgodnie z rozkazem rządu polskiego nakazuje się:

1. W dniu 14 lipca 1945 od godz. 6 do 9-tej dokonane zostanie przesiedlenie ludności niemieckiej.

2. Ludność niemiecka przesiedlona zostanie na obszar na zachód od rzeki Nysy.

3. Każdy Niemiec może zabrać bagaż wielkości maksimum 20 kg.

4. Nie dopuszcza się środków transportu (wozu, wołów, koni, krów).

5. [...]

6. Ostatni termin przesiedlenia upływa 14 lipca o godz. 10-tej.

7. Niewykonanie rozkazu będzie ścigane najsurowszymi sankcjami, włącznie z użyciem broni.

8. Również przy pomocy broni będzie się zapobiegać sabotażowi i rabunkowi.

9. Miejsce zbiórki na ulicy przy dworcu Bad Salzbrunn, Adelsbacher Weg, w kolumnach po 4 osoby. Czołówka kolumny 20 m przed miejscowością Adelsbach (Struga).

10. Niemcom wraz z rodziną, posiadającym zaświadczenia stwierdzające niepodleganie ewakuacji, nie wolno opuszczać mieszkania w czasie od 5 do 14-tej.

11.Wszystkie mieszkania w mieście winny pozostać niezamknięte, klucze od mieszkania i domu winny tkwić w zamkach od zewnątrz.

Bad Salzbrunn, 14 lipca 1945, godz. 6-ta

Komendant odcinka
(-) Zinkowski,
podpułkownik.

Zdobyłem się na odwagę, wstałem i zerknąłem przez okno na ulicę. Stwierdziłem, że faktycznie komendant MO Trafidło przechadza się po chodniku u wejścia do Urzędu Bezpieczeństwa. Ubowiec wraca i pyta o znajomych, o Kornalewską, skąd się znamy itp. Wyjaśniłem im, że znamy się z czasów okupacji, kiedy Kornalewska z synem Januszem przebywała u nas w Radości koło Warszawy. Wychodzenie ubowca do sąsiedniego pokoju i spoglądanie przez okno wielokrotnie się powtarzało. Minęło kilka godzin. Wreszcie przychodzi inny ubek i dość ostrym tonem pyta: „A co obywatela łączy z AK (Armią Krajową)?". Odpowiadam mu: „Do AK nie należałem i nie należę". „Jak to, nie należy, a po co obywatel tutaj przyjechał?". „Powiedziałem wam i nic więcej nie mam do powiedzenia. Czy mogę odejść?". „O nie, nie, stąd obywatel prędko nie wyjdzie" – powiada. I znów zniknął do sąsiedniego pokoju.

Zostałem sam. Znów zerknąłem przez okno. Widzę, że komendant MO, Trafidło, nadal stoi przed wejściem. A przecież minęło już kilkanaście godzin. Aresztowali mnie przed godziną dziesiątą rano, a zaczyna się ściemniać. Widocznie UB-owcy często wyglądali z sąsiedniego pokoju przez okno, stale widząc upartego komendanta MO Trafidłę. Znać wszedł im za skórę, bo postanowili mnie zwolnić. Jeden z nich wchodzi do mnie i mówi: „Jest obywatel wolny, ale jutro rano proszę się u nas zgłosić". Wyszedłem. Podchodzę do Trafidły, a ten zdenerwowany kipi ze złości: „No, niechby spróbowali pana nie puścić, to ja bym im sprawił wesele". Serdecznie podziękowałem mu za jego poświęcenie. Nie poszedł ze mną do restauracji na kolację, lecz udał się wprost do domu, żeby go nie oskarżali o kumoterstwo ze mną. Jakże byłem szczęśliwy, gdy znalazłem się na wolności. Mimo wszystko, po tylu godzinach niepewności, byłem jeszcze w szoku.

W restauracji obskoczyły mnie, serdecznie witając, ekspedientki, Zosia, brunetka i druga blondynka, bo nie pamiętam jej imienia. Zaraz postawiły mi jedzenie, ale mimo głodu, nie wchodziło mi do ust. Ekspedientki dopytywały się o przebieg mego aresztowania i to, że jutro muszę się rano zgłosić w Urzędzie Bezpieczeństwa. Wspólnie uradziliśmy, że w żadnym wypadku nie powinienem się do nich zgłosić. Po prostu należy uciekać. Obie ekspendientki oświadczyły, że pójdą razem ze mną. Ucieszyłem się, że nie będę sam. Uznałem jednak, że tylko jedna może mi towarzyszyć, a nie obie. Los padł na Zosię. Obie były przystojne i ładne, blondynka wyższa i ładniejsza od Zosi. Ale w tej sytuacji uroda towarzyszki nie była mi w głowie. Z Zosią uzgodniliśmy, że wyruszamy w nocy o godzinie pierwszej. Nie wiedziałem jeszcze, w którym kierunku pójdziemy, aby wydostać się z miasta. Powiedziałem Zosi tylko to, że nie ona, a ja będę prowadził. Zosia będzie szła za mną, a nie odwrotnie. Z takim postanowieniem poszliśmy spać.

Gdzież tam mogłem spać. Rozmyślałem nad drogą, którą miałbym pójść. Pomyślałem: pójdę w stronę Polski, do Brodowa, do domu, do Mateczki. Ale wnet rozsądek mi mówi, że w razie poszukiwania najpierw będą szukać u krewnych. Kilkugodzinne rozmyślanie nie dawało mi właściwego rozwiązania. Zacząłem się serdecznie modlić, pamiętając słowa: „Oczy moje podnoszę do góry, skądby mi pomoc przyszła. Pomoc moja jest u Pana, który stworzył niebo i ziemię". Albo: „Wzywaj mnie w dzień utrapienia, a ja cię wyrwę, a ty mnie uwielbisz". Po długiej modlitwie postanowiłem ze spokojem zdać się całkowicie na Boga i prowadź sam. Wyłączyłem moje myśli, mój rozum, stałem się po prostu „medium" w ręku Boga.

Przed godziną pierwszą w nocy zszedłem na dół do restauracji. Obie panienki były już „na nogach". Śniadanie przygotowane, kanapki na podróż także. Blondynka ucałowała

mnie na odchodne, życząc mi szczęśliwej, dobrej drogi. Wyszliśmy po ciemku, nie mając latarki, żadnego światła. Na dworze ciemnica. Idę pierwszy, rzeczywiście, jakby manekin. Zosia za mną. Duch Boży, wbrew ludzkiemu rozsądkowi pokierował mnie ulicą dworcową. Przed przejeżdżającym samochodem ciężarowym skryliśmy się w gruzach. Idę jakby w transie. Zosia o krok za mną. Przechodzimy obok dworca, w barze kolejowym słyszymy gwar. Niepostrzeżeni maszerujemy wzdłuż torów kolejowych w kierunku wsi Piątki. Nagle słyszymy głośne chrapanie. Coś niesamowitego! Straszna ciemnica, nic nie widzimy. Podchodzimy coraz bliżej niewiadomego zjawiska. Słyszymy coraz głośniejsze chrapanie. Nie jestem już w transie. Rozmyślam, co to może być. „Na złodzieju czapka goreje". Tak czułem się w tym momencie. Strach ogarnął nas. „Może jednak wyloty z miasta UB-owcy obstawili, aby mnie nie wypuścić?". Chrapanie z Zosią uznaliśmy za chrapanie konia. (Bo znamy z Zosią chrapanie konia z domu na wsi.) Ale pytanie: „Skąd tutaj w nocy śpiący, chrapiący koń?". Nie trudziliśmy się nad rozwiązaniem tej zagadki. Woleliśmy przejść na drugą stronę torów, kierując się na wieś Piątki, w której osadziłem pierwszych dwóch osadników.

Och, jaka to była straszna droga. Była jesień, mokro, mglisto i chłodno. Szliśmy przez kartofliska. Znaleźliśmy się w nocy we wsi Piątki (Karlshöhe) przy stogu słomy jeszcze poniemieckiej, naprzeciw gospodarstwa osadników. Prosiliśmy ich o furmankę do Szkotowa. Odmówili. Nie pozostało nam nic innego, jak iść pieszo. Postaliśmy pod stogiem, czekając na świt. Mimo rozwidniania, ze względu na gęstą mgłę, widoczność była zaledwie na kilka metrów. Orientacja była żadna. Drogowskazów nie było. Po kilku godzinach błądzenia mijaliśmy jakąś wieś, ale to nie było Szkotowo. Ludzi we wsi nie widzieliśmy i zresztą nie chcieliśmy ich widzieć. Poszliśmy dalej. Za jakąś godzinę, czy później, jesteśmy w tej samej wsi. Wybraliśmy inną drogę. Idziemy i idziemy. Zmoczone nogi i wszystko od gęstej mgły, a tu nic, ni domów, ni ludzi. Nadsłuchujemy za głosem choćby jakiegoś psa. Idziemy drogą przez mały las. Gdyśmy go przeszli, słyszymy dalekie szczekanie psa. Nie wiemy, z której strony przychodzi ten głos. Czekamy na dalsze szczekanie. Postanowiliśmy iść dalej tą samą drogą. Pies, widocznie głodny, co chwila daje się słyszeć i to coraz bliżej. Otucha wstąpiła w nas. Byliśmy pewni, skoro jest pies, to muszą być i ludzie. Teraz było nam już wszystko jedno, czy spotkamy życzliwych, czy złych ludzi. Byliśmy wyczerpani do ostateczności i przemoknięci. Wreszcie przez mgłę zauważamy duże gospodarstwo osobne na kolonii (po mazursku: „na wybudowaniu"). Wchodzimy na podwórko, na prawo dom mieszkalny, naprzeciw stodoła, przy stodole buda, przy budzie uwiązany pies, który dostał od Boga rozkaz, aby swoim szczekaniem uratował nas zbłąkanych. Widzimy, że gospodarstwo zostało całkowicie wyszabrowane, żadnego inwentarza, żadnej zwierzyny, żadnej kury. Jeszcze nie wiemy, czy jest ktoś w domu. Nieśmiało wchodzimy do sieni. Usłyszano nasze kroki i głosy. Wychodzi z kuchni wysoka, młoda, korpulentna, przystojna, dość urodziwa, ale bardzo biednie ubrana niewiasta. Od razu poznałem, że mamy przed sobą Niemkę-Mazurkę. Pozdrowiłem ją po polsku, ale jak powiedziała, że nie rozumie, pozdrowiłem ją po niemiecku i zapytałem się, czy moglibyśmy się u niej trochę zatrzymać. Spojrzała trochę podejrzliwie, ale słysząc mowę niemiecką, choćby z ciekawości zaprosiła nas do kuchni.

Co tam widzimy: dwoje maleńkich dzieci, jedno około trzech lat, drugie w kojcu, trzymające się drabinki. Na środku kuchni piecyk żelazny z rurą wyprowadzoną przez szybę w oknie. Czarno w kuchni. Na nasze szczęście w piecu się pali, w kuchni cieplutko.

Dom całkowicie wyszabrowany. Śpią na barłogu. Nie ma żadnych mebli, tylko byle jakie krzesła. Nędza, straszna bieda. Mąż gospodyni w wojsku hitlerowskim, gdzieś tam w niewoli, albo nie żyje. Zapytałem: Gdzie my jesteśmy? Powiedziała, że gospodarstwo ich (*Vorwerk*)[263] nazywa się „Unruhsruh" („niespokojny spokój", w wolnym przetłumaczeniu), koło Lipau (Lipowa), powiat Nidzica. Poprosiłem gospodynię, by pozwoliła nam się trochę rozebrać i podsuszyć. Chętnie podłożyła paliwa do pieca. Rozwiesiliśmy na sznurku przede wszystkim skarpetki i buty oraz wierzchnie okrycie. Wyjęliśmy kanapki. Podzieliliśmy się z dzieciaczkami i gospodynią. Rozwinęła się rozmowa, ale nie zdradzałem, kim jesteśmy, a gospodyni też nie pytała. Ale na pewno rozmyślała nad tym, kogo ma przed sobą: może ukrywający się żołnierz niemiecki? Może jakiś „szabrownik?" Może bandzior?... W tym czasie grasowali na Ziemi Mazurskiej przeróżni ludzie, przeważnie o złych zamiarach.

Rozmawiając, zapytałem gospodynię o odległość do wsi Szkotowo. Zdziwiłem się, jak powiedziała dwa kilometry. A myśmy się tyle nachodzili i nie mogliśmy trafić. Ucieszyliśmy się, że jesteśmy blisko mego celu, gdzie znajdę dalszą pomoc. Poprosiłem gospodynię, czy nie mogłaby nas odprowadzić do Szkotowa, bo w tej mgle nie trafimy, a zbliża się wieczór. Oświadczyła, że może nas odprowadzić, ale najpierw musiałaby iść do siostry we wsi, aby ją zastąpiła w pracy u sołtysa, u którego musi pracować jako Niemka. „Dobrze, powiedziałem, ale przykładając palce do ust, dodałem, aby ani słówkiem nie wspomniała o nas". Przyrzekła zachować tajemnicę. Pobiegła do wsi, a my opiekujemy się dziećmi i w dalszym ciągu suszymy nasze rzeczy. Wnet gospodyni była z powrotem. Teraz na pewno domyśliła się, że jesteśmy uciekinierami. Ale jakimi, skoro udajemy się do wójta? Z pewnością tajemnica ta dręczyła ją długie lata. A może jeszcze teraz o tym wspomina. Chciałbym jej serdecznie podziękować za zachowanie tajemnicy i udzieloną pomoc.

Idziemy razem do Szkotowa. Gdy zauważyłem stodołę wójta, podziękowałem rodaczce (nazwiska nie pamiętam), jak najserdeczniej żegnając się słowami „Aufwiedersehn"[264]. Może kiedyś się spotkamy? W każdym razie postać jej pozostała w mojej pamięci do dzisiaj. Gdyśmy zapukali do wójtostwa Daniłowiczów w Szkotowie, było już ciemnawo. Natychmiast poznali mnie.

Ucieszyli się bardzo, ale widząc nas w strojach sfatygowanych, patrzyli ze zdziwieniem. Dlatego od razu wyjaśniłem mój nieoczekiwany napad. „Po prostu uciekam przed UB-owcami", powiadam. „Niech pan będzie spokojny, damy radę, ale najpierw prosimy zdjąć co mokre i do kolacji". U Daniłowiczów byłem jak w domu, bo byliśmy kumotrami. Moja żona była chrzestną ich pierwszego syna urodzonego w Nidzicy, który ochrzczony był w kościele katolickim obok zamku, obecnie użytkowany przez Kościół Ewangelicko-Augsburski, a kościół ewangelicki (większy) przejęli katolicy. Posilając się wspaniałą kolacją, rozmawialiśmy o sytuacji i o dawnej znajomości. Podkreśliłem, że w domu spać nie będę, więc pan Daniłowicz poszedł do stodoły przygotować mi legowisko. Wygrzebał w słomie jamę aż do drewnianej ściany ze szparami, by mieć powietrze do oddychania.

Ustaliliśmy, że jutro kolega Daniłowicza, kierownik sąsiedniego PGR-u w Gardynach, odwiezie mnie dokąd będę chciał. Przy kolacji nagadaliśmy się do syta o naszych wspólnych przeżyciach. Daniłowicze byli wysiedleńcami zza Buga. Po kolacji Wójt zaprowadził mnie do stodoły, zabierając koce i poduszkę. Wczołgałem się do nory i dałem znak, że jest

[263] Folwark.
[264] Do widzenia.

mi dobrze. Zawinąłem się w koce i po tak męczącej podróży zasnąłem błogim snem. Panna Zosia spała u wójtostwa. Rano, zawołany przez Daniłowicza, otrząchnąłem się z barłogu, zasiedliśmy do śniadania. Kierownik PGR-u z Gardyn już był na miejscu. Podziwiałem tak sprawną konspiracyjną „pocztę". Podziękowałem serdecznie za pomoc. Pożegnałem się z Daniłowiczami i panną Zosią, dziękując jej za jej poświęcenie. Nie przypuszczałem, że pożegnanie to było na zawsze. Z kierownikiem PGR z Gardyn wsiedliśmy na bryczkę i „wio koniku!" do Rumian koło Rybna, do Franciszka Ułanowskiego, brata Edmunda, który razem z moim bratem Robertem został rozstrzelany w lesie pod Komornikami, powiat Działdowo. U Ułanowskich dwie siostry Franka przygotowały wspaniałe jedzenie, po czym Kierownik PGR-u wrócił do domu do Gardyn, życząc mi dalszej szczęśliwej i dobrej drogi.

U Ułanowskich gościłem chyba dwa dni, wspominając naszą wspólną działalność w Straży Pożarnej oraz o bieżących wydarzeniach, smutnych i tragicznych. Od Ułanowskich pojechałem do Olsztyna, aby żonie powiedzieć o wydarzeniu w Nidzicy. Aby uniknąć ewentualnych dalszych nieprzyjemności, postanowiliśmy opuścić Olsztyn. Wyjechaliśmy na początku listopada 1945 roku do rodziców żony, do Czarnowa koło Torunia, gdzie teść był zawiadowcą stacji kolejki wąskotorowej.

Dalsza tułaczka...

140
Dwie wiary pod jednym dachem

Wiedzieliśmy z żoną, że naszym przybyciem do teściów nie sprawimy im ani przyjemności, ani radości. Gdy się jednak dowiedzieli, że tym razem uciekam przed UB-owcami, pogodzili się z faktem. Zapewnialiśmy, że będziemy szukali jakiegoś rozwiązania. Teściowie zrozumieli moją sytuację, bowiem ich najmłodszy syn, Mieczysław, będąc po „wyzwoleniu" już milicjantem, został aresztowany i wywieziony do Rosji, ponieważ służył w wojsku niemieckim i walczył na wschodnim froncie.

Zastanawialiśmy się z żoną nad przyszłością. Co tu robić? Pytanie to kołatało każdego dnia w naszych głowach. Pięć lat temu przypadek zdarzył, że żona spotkała w pociągu Nastkę Bęcławską, przez nią znaleźliśmy się we Włocławku, stamtąd w Płońsku i wreszcie w Guberni Generalnej. Może i teraz Pan Bóg ześle nam człowieka „anioła", który wyprowadzi nas z kłopotów. Mając doświadczenie, myśleliśmy o handlu. Ale co, „z widłami na słońce?". „Z czym do ludzi?", skoro w kieszeni nie mamy ani grosza. Pomyśleliśmy o Kornalewskiej z Nidzicy, aby razem z nią otworzyć „interes". Lecz Kornalewska miała swoje plany z Kazimierzem Milewskim.

Niecierpliwie czekamy na „wybawienie", na szczęście. Szczęście niestety nie przychodziło. W to miejsce wszedł niepokój. Teściowa, gorliwa katoliczka, dręczy swoją córkę, moją żonę żądaniem: „Weźcie ślub w Kościele katolickim". Tłumaczenie mojej żony, że przecież dawno jesteśmy po ślubie i mamy dwoje dzieci, nie dociera do umysłu teściowej. Moja żona dzieli się ze mną swoim cierpieniem. Dłuższy czas zastanawiałem się, jak z tego dylematu wybrnąć. Wreszcie powiedziałem żonie, bo teściowa nigdy ze mną nie rozmawiała: „Powiedz matce, że pójdę do ślubu katolickiego pod warunkiem, że tam niczego nie podpiszę. Niech mama pójdzie do proboszcza i niech się zapyta, czy udzieli takiego ślubu".

Żona przekazała matce moją decyzję. Teściowa w te dyrdy poszła do proboszcza z prośbą o udzielenie takiego ślubu. Przy tej okazji muszę wyjaśnić, że we wsi Czarnowo proboszczem był ksiądz z tytułem doktora teologii. Proboszcz wysłuchał teściową i udzielił jej odpowiedzi, wyjaśniając, że on osobiście gotów byłby udzielić takiego ślubu, ale wobec prawa Kościoła katolickiego tego rodzaju ślub będzie nieważny. Teściowa wróciła rozczarowana, może i zła. Opowiedziała rozmowę z proboszczem mojej żonie, dodając: „Wobec tego musicie się wyprowadzić, bo dwie wiary pod jednym dachem nie mogą być".

Nie pomogły tłumaczenia mojej żony. Teściowa obstawała przy swoim: dwie wiary pod jednym dachem nie mogą być. Muszę dodać, że teść, nie wiem, czy mnie lubił, czy nie, ale bardzo kochał swoją córkę i był dla nas szczery, przyjazny i tolerancyjny. Którejś niedzieli teść dał dowód, że nie popierał fanatyzmu swojej żony, używając o swojej żonie brzydkiego słowa, gdy zauważył ją wracającą z kościoła. Straszne dla mnie było to słowo. Mogło być dowodem o niezgodnym współżyciu teściów. Św. pamięci teściowa walczyła o wieczne szczęście swej córki według zasad i nauki Kościoła katolickiego, który wtłoczył w umysły swych wiernych, że tylko katolik będzie zbawiony. Nie teściowa jest winna, że nie znała Pisma Świętego, gdyż w owym czasie czytanie Pisma Świętego było dla katolika śmiertelnym grzechem. Rozumiem, iż Teściowa działała w dobrej wierze, chcąc uchronić córkę od wiecznego potępienia.

Nie wiem, czy teściowa zastanawiała się nad swoim postępowaniem wobec nas? W każdym razie odwiedzała nas nawet wtedy, gdy byłem już pastorem Kościoła Metodystycznego w Ełku, aczkolwiek nadal ze mną nie nawiązywała żadnej rozmowy. Zdziwiłem się bardzo, gdy teściowa przed śmiercią nie życzyła księdza, mimo że syn Bernard jej go proponował. Umarła bez spowiedzi. Czyżby zaszła zmiana w jej myśleniu? Ale wróćmy do naszej sytuacji. Przyjechaliśmy do Czarnowa, do swoich, ale „swoi nas nie przyjęli", jak to mówi Pismo Święte o Jezusie. I tak też się stało. Musieliśmy opuścić dom teściów.

Po długim rozmyślaniu nad rozwiązaniem naszej sytuacji przypomniałem sobie słowa superintendenta Kościoła Metodystycznego, Konstantego Najdera: „W każdej chwili przyjmę Pana u siebie". I tak, nie zastanawiając się, krótko przed Bożem Narodzeniem 1945 roku wyjechałem do Warszawy. A moja żona z Robusiem i czteroletnią Jadźką, z ciężkim żalem odprowadzana przez ojca, brnąc w głębokim śniegu, ciągnąc rower i walizkę do pociągu kilka kilometrów do stacji Ostromecko, udała się do mojej siostry Marty w Pierławce. Wysiadając w Działdowie, zastała ich śnieżyca. Nie dały rady iść do Pierławki, więc poprosili jakąś rodzinę kolejarską o nocleg. Na drugi dzień z trudem, obładowane tobołami, dotarli do Pierławki. Było to tuż po Nowym Roku 1946. W każdym razie święto Bożego Narodzenia, święto rodzinne, przeżywaliśmy osobno w smutnym nastroju.

W czym leżała przyczyna naszej sytuacji?

Niewątpliwie powodem był fanatyzm. Spotkało się dwóch fanatyków, jakże różniących się. Teściowa wierzyła w to, w co ksiądz, papież, Kościół katolicki kazał wierzyć, ja natomiast wierzyłem w to, co Pismo Święte mówi. Kościół katolicki np. uczy, że tylko Kościół katolicki zbawia; że pośrednikiem między Bogiem i człowiekiem jest papież, nazywany przez katolików „ojcem świętym". Ja wierzę, zgodnie z Pismem Świętym, że nie Kościół zbawia, lecz jedynie Jezus Chrystus; że pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem jest również jedynie Jezus, który powiedział: „Nikt nie przychodzi do Ojca tylko przeze mnie". A do uczniów powiedział: „Nikogo nie nazywajcie ojcem, albowiem jeden jest ojciec, ten w niebie". Tu drogi nasze w sprawach zbawienia między mną a teściową się roz-

chodziły. Teściowa, nie znająca Pisma Świętego, jak i większość katolików, a wychowana w posłuszeństwie wobec księdza i papieża oraz ich nauki, ubolewała nad tym, że jej córka, łącząc się z „heretykiem", idzie na zatracenie. Ja natomiast trzymałem się tego, co apostoł Piotr powiedział: trzeba więcej słuchać Boga, niżeli ludzi. Dzieje Ap. 5, 29. Dr Marcin Luter wulgarnie to określił: „Kto chce słyszeć głos Boga, niech czyta Pismo Święte, a kto chce słyszeć głos diabła, to niech czyta dekrety i bulle papieża". Jednym słowem „trafiła kosa na kamień".

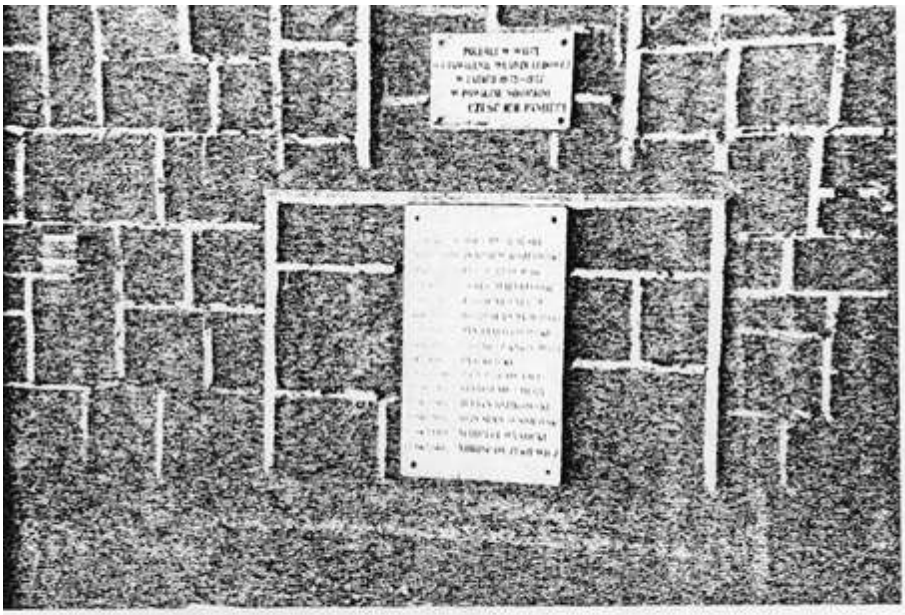

Zamordowani "bohaterowie" komunizmu w Hidzicy -
na pierwszym miejscu mój prześladowca, Wacław Bralski.

Teściowa ubolewała nad tym, że jej córka straciła Kościół „jedynie zbawiający", a ja ubolewam dzisiaj, że większość moich wnucząt rejestrowanych i ochrzczonych jest w Kościele rzymsko-katolickim, a nie w kościele Chrystusowym, zgodnym z Pismem Świętym. Przypuśćmy, że duch teściowej patrzy z wysokości nieba na padół ziemski, to może się cieszyć, że „walka" religijna między mną a nią rachunkowo wyszła na dobro teściowej i jej błędnych poglądów.

Dlaczego tak jest? Bo fanatyzm protestancki, jeżeli w ogóle taki jest, jest tolerancyjniejszy od katolickiego. Potrzeba dowodów? Proszę bardzo: spójrzcie na małżeństwa mieszane ewangelicko-katolickie. Która strona ustąpiła? Katolicka? Bynajmniej. W którym Kościele są dzieci ochrzczone? W kościele ewangelickim? Bynajmniej. Czy współmałżonek wyznania ewangelickiego może przystępować do komunii świętej w Kościele katolickim? W żadnym wypadku. Natomiast współmałżonek wyznania katolickiego może przy-

stępować w kościele protestanckim. Jeżeli mimo wszystko ktoś dopatrywałby się w w moich wspomnieniach fanatyzmu, temu musiałbym odpowiedzieć: skoro każdy katolik najczęściej nieoczytany w Piśmie Świętym jest fanatykiem, to dlaczego ja nie miałbym się chlubić znajomością Pisma Świętego?

Często podkreślam, że nauka Watykanu, papiestwa jest w wielu sprawach niezgodna z Pismem Św. Czym wobec tego wytłumaczyć, że blisko połowa chrześcijan na świecie jest wyznania rzymsko-katolickiego? Uważam, że tak długo, jak długo na świecie istnieć będzie analfabetyzm i nieznajomość Pisma Świętego, tak długo katolicy będą słuchali i wierzyli w to, co im papieże będą dawali do wierzenia. Myślę jednak, że nadejdzie prędzej jak myślimy oświecenie i wtedy można się spodziewać nowej, drugiej Reformacji w Kościele katolickim, początek najprawdopodobniej znów w Niemczech. Nie należy się spodziewać, że katolicy masowo przyłączać się będą do Kościoła Ewangelickiego, gdyż Kościół ten stracił siłę przyciągania, filary jego zmurszały. W Kościele ewangelickim obserwujemy swego rodzaju „analfabetyzm religijny", obojętność do czytania Pisma Świętego. Stąd to lekkomyślne ustępowanie stronie katolickiej w małżeństwach mieszanych.

Kto z Ewangelików docenia albo chlubi się jeszcze doniosłem dziełem Reformacji dr. Marcina Lutra, jego przetłumaczeniem Pisma Świętego, przez które poznajemy prawdę Bożą? Wielu utożsamia katolicyzm z ewangelicyzmem, że to jest to samo. Takie stanowisko może odpowiadać ateiście, ale nie wierzącemu chrześcijaninowi. Prawdziwy chrześcijanin buduje na nauce i słowach Jezusa Chrystusa, na przykład „Jeżeli wytrwacie w słowie moim, prawdziwie uczniami moimi będziecie i poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi" (dodam: od kłamstwa) – Jan 8,31-32, albo: „Jam jest światłością świata; kto idzie za mną, nie będzie chodził w ciemności, ale będzie miał światłość żywota" – Jan 8,12. A zatem: prawda i kłamstwo to nie jest to samo. Jasność nie jest równa ciemności. Dlatego Jezus żyjący na świecie krytykował nauki ówczesnego kapłaństwa żydowskiego, które „Dom Boży uczyniło jaskinią zbójców".

Czy fanatyzm zaprowadził Jezusa na krzyż? Wielu, którzy krytykowali nauki papieży, też ponosili cierpienia i śmierć, nawet przez spalenie. Czy dlatego, że byli fanatykami? I ja, nawet w XX wieku, doświadczałem prześladowania i cierpienia. Czy dlatego, że jestem fanatykiem? Nie dlatego, lecz dlatego, że za apostołem Pawłem wołam: „Nie wstydzę się Ewangelii Chrystusowej, albowiem jest mocą Bożą ku zbawieniu każdego, kto wierzy" – Rzym. 1,16. I tak, kochane dzieci, na świecie toczy się walka między prawdą a kłamstwem, między światłością i ciemnością.

Tak też musiałem z żoną i dziećmi opuścić dom moich teściów, bo „dwie wiary nie mogły być pod jednym dachem". Nie nasza wola, a wola Boża musiała się spełnić. Rozłąka wyszła dla obu stron pożytecznie. Rozłąka wyszła na korzyść obu stronom.

141
Jestem studentem teologii

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1945 roku zjawiłem się bez uprzedzenia w Kościele metodystycznym w Warszawie, przy ulicy Mokotowskiej 12. W biurze przyjęła mnie

bardzo serdecznie „siostra" diakonisa, Edyta Fröhlich (luteranka). Ucieszyła się bardzo, że ma przed sobą luteranina, który zamierza pracować w Kościele metodystycznym. Zapoznała mnie ogólnie o stanie Kościoła, korzystając z nieobecności superintendenta. Edyta Fröhlich była sekretarką i kierowniczką biura w jednej osobie.

Nadszedł superintendent Konstanty Najder. Nie potrzebowałem się przedstawiać, bo znaliśmy się z Olsztyna. Witając się, powiedziałem: „Melduję swoje przybycie na studia teologiczne". „Bardzo się cieszę, proszę siadać, proszę siadać!" – powiada. Od razu informuje mnie: Na razie mamy dwóch studentów, których „brat" wnet pozna. Nasi studenci studiują razem ze studentami Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego na Wydziale Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego. Wykłady odbywają się w sali Kościoła Augsburskiego w tzw. „Okrąglaku" przy ul. Miodowej. (Nazwa „Okrąglak" wzięła się od okrągłej kopuły wieży i okrągłego wnętrza kościoła.) Wykłady odbywają się przed południem, prace seminaryjne po południu, według umowy z poszczególnymi profesorami. Wykładowcami są profesorowie Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego: Biskup dr Jan Szeruda, prof. Wolfram, Prof. Niemczyk, prof. Suess, dr Szenajch (Schöneich), dr med. Michejda.

Było nas ogółem sześcioro studentów: troje z ramienia Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego: Rudolf Mrowiec, Alfred Figaszewski i jego siostra Figaszewska i trzech z Kościoła Metodystycznego: Jerzy Biczemski, Michał Jamny i ja, Edward Małłek, pod nazwiskiem okupacyjnym Stanisław Łopatowski. I na to nazwisko miałem wystawiony indeks.

Superintendent zaprowadził mnie do pokoju studenckiego, który był naszym wspólnym pokojem. Na tym samym piętrze obok była kuchnia i pokój-jadalnia. Biczemski i Jamny wrócili z wykładów. Ucieszyli się nowym kolegą. Razem poszliśmy na obiad. Jedzenie było bardzo skromne. Każdy z nas otrzymywał słoik smalcu, który musiał starczyć na cały tydzień do chleba. Rano chleb ze smalcem i herbata. Obiad bardzo skromny. Na kolację mleczna zupa. Można powiedzieć: klasztorne jedzenie. Było po wojnie, była bieda, pomoce zagraniczne dopiero w zalążku. Trzeba było wytrzymać.

W niedzielę mogłem się zapoznać z porządkiem nabożeństwa metodystycznego, który różni się od liturgii Kościoła Augsburskiego, a te oba różnią się od porządku liturgicznego nabożeństwa mego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Strój liturgiczny u metodystów nie obowiązuje, ale jest też stosowany. Pieśni są melodyjniejsze, nie takie ociężałe jak u luteran. Władzami Kościoła Metodystycznego w Polsce po drugiej wojnie światowej byli: biskup Wickstroem (Szwed), superintendent Konstanty Najder, który jednocześnie obsługiwał parafię warszawską, pastor Jesakow był dyrektorem Szkoły Języka Angielskiego i skarbnikiem. Doszedł pastor Chambers (Anglik), który był superintendentem na Okręg Mazurski. Kraj był podzielony na Okręgi z superintendentem okręgowym. Na czele parafii stał pastor albo diakon, albo kaznodzieja świecki. Ostatni byli pracownikami Kościoła bez ordynacji. Po odpowiednich studiach otrzymywało się stopień „diakona", po dwóch latach stopień „starszego", pospolicie nazywanego pastorem.

Najwyższym organem Kościoła Metodystycznego jest Doroczna Konferencja, składająca się ze wszystkich pastorów, diakonów i po kilku delegatów z każdej parafii. Głównym zadaniem Dorocznej Konferencji był wybór Komitetu Wykonawczego, czyli Zarządu Kościoła, ordynacja diakonów i pastorów, personalna obsada parafii kaznodziejami. Poszczególne programy pracy omawiano w różnych grupach. Każda Doroczna Konferencja kończyła się nabożeństwem z komunią świętą pod obiema postaciami, chleba i wina.

Siedzą od lewej: p. Enholz – Wydawnictwo Biblijne, pastor Leonid Jesakow, biskup Wickstroem, superint. Konstanty Najder. Stoją studenci – od lewej: Michał Jamny, Jerzy Biczemski, Edward Małłek

Studenci Uniwersytetu Warszawskiego, Wydział Teologii Ewangelickiej,
od lewej: Rudolf Mrowiec, Michał Jamny, Alfred Figaszewski,
pani Figaszewska, Jerzy Biczemski, Edward Małłek

Po przybyciu do metodystów, za kilka dni były święta Bożego Narodzenia, więc superintendent Najder zabrał mnie ze sobą w teren. Udaliśmy się do pastora Brunona Raszkiewicza, którego znałem z Olsztyna. Porządek nabożeństwa przypominał mi całkowicie nabożeństwo gromadkarskie na Mazurach. Nabożeństwa metodystyczne nie odbywały się w kościołach, lecz w kaplicach, które mieściły się w domach prywatnych lub w domach kupionych przez Kościół. Jedynie na Mazurach metodyści dysponowali tu i ówdzie budynkami kościelnymi byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego.

Z uwagi na to, że zgodnie z dekretem rządu wszystkie wyznania korzystały z równych praw (gdyż religia rzymsko-katolicka nie była uznana za panującą), więc frekwencja na nabożeństwach metodystycznych była duża i z dnia na dzień na terenie Polski przybywało członków z szeregów katolickich. Zbory rosły jak grzyby po deszczu. Brakowało kaznodziei, więc superintendent przyjmował do pracy kaznodziei z różnych wyznań: katolików: ks. Józefa Naumiuka; luteranina: ks. Henryka Zalewskiego, Gustawa Burcharda; baptystów: Kustodowicza, Karczewskiego; zielonoświątkowców: Chęckiewicza, Juliana Miśkowa. Później doszli studenci z Mazur, luteranie: Edward Małłek, Jan Waszk, Gerhard Fröhlich, Kunze, Samulewicz. Była to cała mozaika kaznodziei, których Jezus Chrystus łączył w jeden Kościół Chrystusowy pod nazwą Kościół Metodystyczny w Polsce.

Kazania wygłaszane przez kaznodziei metodystycznych oparte były wyłącznie na wersetach Pisma Świętego, które miały poruszyć serca ludzkie do wyznania grzechów i oddania się Jezusowi Chrystusowi, który przez swoją męczeńską śmierć gładzi grzechy nasze i zapewnia wierzącym w imię Jego wieczne zbawienie przez zmartwychwstanie. Całkiem inną budowę kazań przewidywały wykłady profesorów Uniwersytetu Warszawskiego. Według słów profesora Wolframa, kazanie winno zawierać jak najwięcej synonimów, wyrazów określających jedno i to samo pojęcie, by w ten sposób wypełnić czas przeznaczony na kazanie. Pamiętam takie naukowe kazania, które wygłaszał w mojej rodzinnej parafii ksiądz Wilk w języku niemieckim. Tak wysokiego języka filozoficznego nikt nie rozumiał, a on osobiście rozczulał się do łez treścią swego kazania. Z własnego doświadczenia pamiętam, że proste kazania gromadkarzy bardziej trafiały do serc ludzkich, niż [wywody] uczonych pastorów.

Wykłady na Wydziale Teologii były dość nudne, na przykład na wykładzie ks. dr. Niemczyka, który wykład dosłownie czytał, nie odrywając oczu, niektórzy z kolegów kwitowali wykład mocną drzemką. Gdy kończył wykład, trzeba było ich budzić. Profesor Wolfram i profesor Suess nie dali spać, również biskup dr Szeruda też nie, bo siadał blisko studentów. Wykłady biskupa były interesujące, obejmowały Stary Testament.

Słuchając wykładów uniwersyteckich, nie byłem przekonany, że będę dobrym kaznodzieją. Niedzielami uczęszczałem na nabożeństwa metodystyczne i ewangelicko-augsburskie. Porównując jedne z drugimi, zauważyłem, że kazania pastorów augsburskich zawierają dużo słów, mało treści. Jako studenci pierwszego semestru nie wygłaszaliśmy kazań. Zaszedł jednak wypadek, że zachorował superintendent Kościoła Reformowanego (kalwińskiego), ks. Skierski, który prosił superintendenta Najdera, by kogoś z pastorów wysłał do parafii w Żyrardowie, odprawić nabożeństwo. Superntendent Najder zawołał mnie i powiada: „Brat pojedzie do Żyrardowa odprawić nabożeństwo, bo superintendent Skierski zachorował". Wymawiałem się, jak swego czasu Mojżesz, ale dałem się przekonać. W Żyrardowie byłem radośnie powitany i serdecznie dziękowano mi za odprawienie nabożeństwa.

Było to jedyne kazanie, które wygłosiłem w czasie moich krótkich studiów na Wydziale Teologii Uniwersytetu Warszawskiego.

W styczniu 1946 roku superintendent Najder przydzielił mi osobny pokój z możliwością gotowania, bym mógł sprowadzić żonę z dziećmi. Tak byliśmy całą rodziną na utrzymaniu Kościoła. Było to słabe utrzymanie, ale było. Często trzeba było się upominać o „jałmużnę". Dziesięcioletni synek Robert uczęszczał w Warszawie do szkoły. Wczesną wiosną, żona, spacerując z dziećmi w Parku Łazienkowskim, zapoznała również spacerującą z synkiem i córką Helenę Nowakowską. Jej mąż był magazynierem Spółdzielni Warzywniczo-Owocowej. Staliśmy się przyjaciółmi. Odtąd owoców nam nie brakowało. Wkrótce Nowakowscy stali się wiernymi metodystami. Przez wypadek Nowakowscy stracili synka (przejechany przez samochód). Również Nowakowski przedwcześnie zmarł. Z Heleną Nowakowską i jej córką Marylką, która jest lekarzem w USA, utrzymujemy nadal serdeczne kontakty. Kiedykolwiek byliśmy w Warszawie, nocowaliśmy u Nowakowskich, aczkolwiek mieszkali szereg lat po wojnie w suterenie ambasady amerykańskiej, mając jedynie jeden pokój z małym okienkiem z widokiem na Aleje Ujazdowskie. Zawsze było nam u nich miło i przyjemnie. Szwagier Nowakowskiego był osobistym szoferem ambasadora amerykańskiego.

Były to czasy, gdy Warszawa powstawała z gruzów.

142
Weryfikacja wojskowa w Warszawie

Wiosną 1946 roku wyszło zarządzenie o weryfikacji wojskowej. Z Rejonowej Komendy Uzupełnień w Warszawie otrzymałem formularz do wypełnienia i wysłania. Kilka dni po odesłaniu wypełnionego druczka dostałem pismo, że moje nazwisko nie figuruje w dokumentach wojskowych jako oficer. Poszedłem osobiście do RKU i poprosiłem o Dziennik Personalny Nr 1 ze stycznia 1933 roku. Podoficer, pracownik RKU, przyniósł wskazany Dziennik Personalny. Powertowałem według liter alfabetu, doszedłem do litery „M". Pokazałem palcem moje nazwisko. Podoficer wytłumaczył, że moje nazwisko szukali pod „Małłek", a moje nazwisko, zgodnie z metryką urodzenia, pisano Mallek. Sprawa się wyjaśniła i otrzymałem zaświadczenie, że rozkazem Prezydenta RP ze stycznia 1933 roku zostałem mianowany podporucznikiem rezerwy piechoty Wojska Polskiego.

Po „wyzwoleniu" legitymowaliśmy się nadal hitlerowskimi „Kennkartami", z których w Urzędach Meldunkowych wycinano jedynie swastykę. Dopiero później wprowadzono dowody osobiste.

143
Delegacja do Ełku

Jest kwiecień 1946 roku. Wakacje wielkanocne. Mamy wolne od wykładów na Wydziale Teologii Uniwersytetu Warszawskiego. Superintendent Najder woła mnie do siebie i przedstawia mi następującą sprawę: „Wojewoda białostocki Stefan Dybowski (ewangelik Kościoła Reformowanego) nie daje mi spokoju, prosi, abym kogoś wysłał do powiatów mazurskich, przyłączonych do województwa białostockiego (Ełk, Olecko, Gołdap), celem zaopiekowania się Mazurami wyznania ewangelickiego. Nim wyślę tam kogoś z pastorów, chciałbym najpierw znać tamtejszą sytuację. Chciałbym, aby brat pojechał tam na zwiady. Towarzyszyć będzie bratu Jerzy Biczemski. Dostaniecie delegację do wojewody w Białymstoku, a on was dalej pokieruje". Nie miałem co oponować, bo na okres świąt i tak superintendent Najder wysyłał studentów do parafii na praktykę. Z Biczemskim dostaliśmy garść pieniędzy, bardzo niewiele, oraz list polecający do wojewody w Białymstoku.

Pojechaliśmy, nie przewidując tego, co nas czeka, a właściwie, jak superintendent Najder nas wykiwał. Ale Najder był już taki: stawiał człowieka przed faktem dokonanym.

W Białymstoku meldujemy się w biurze wojewody. Sekretarka melduje nas wojewodzie, podając mu list od superintendenta Najdera. Nie czekamy nawet minuty. Wychodzi wojewoda, wysoki, przystojny pan, uśmiechnięty, uradowany. Witając nas, zaprasza do swego gabinetu, dając sekretarce jakieś polecenie. Za chwilę wchodzi cały sztab kierowników wydziałów Urzędu Wojewódzkiego. Wojewoda przedstawia nas, jakby jakichś „nuncjuszów papieskich". Wojewoda po prostu urządził *ad hoc* konferencję, polecając swoim podwładnym, aby służyli nam pomocą w naszej pracy w powiatach mazurskich, gdzie władze mają sporo problemów do uregulowania. Chodzi w pierwszym rzędzie, aby ludność mazurska wyznania ewangelickiego znalazła właściwą opiekę. Konferencja była tak poważna, że czuliśmy się niespodziewanie uhonorowani i dumni.

Wojewoda polecił kierownikowi społeczno-politycznemu przygotowanie listów polecających do starostów powiatów: Ełk, Olecko, Gołdap. Sam wdał się z nami w dyskusję, przedstawiając sytuację w wymienionych powiatach. Wręczając nam polecające pisma do starostów, życząc nam powodzenia, pożegnał nas, obiecując wszelką pomoc.

Będąc w Ełku, pierwszą troską było znaleźć miejsce na noclegi. Hotelów nie było. Dowiadujemy się, że były pierwszy burmistrz Ełku, mając willę, wynajmuje pokoje. Idziemy na ulicę Szopena, tak wtedy radcy miasta pisali nazwisko Chopina, widocznie przypuszczali, że nazwisko Szopen pochodzi od „szopy" (obory), a nie Francji. W każdym razie wchodzimy do ładnej, schludnej willi państwa Jeremów. Pan Jerema [to] starszy, o siwych włosach, niedużego wzrostu, szlachetnego wejrzenia, energiczny pan. Pani Jeremowa, dużo młodsza od męża, ruchliwa, energiczna, zapobiegliwa, trzymająca gospodarkę domu w swoim ręku, a szczególnie przejęta losem swego męża. Przedstawiamy się, że jesteśmy protestantami, przyjeżdżamy z Warszawy, aby zająć się ewangelikami miasta i powiatu Ełk. Sądziliśmy, że zarzuciliśmy czerwoną płachtę i tylko czekać, kiedy nam wskażą drzwi do wyjścia. A tu nagła niespodzianka. Państwo Jeremowie bardzo się ucieszyli. Pani Jeremowa od razu poprowadziła nas na piętro, wprowadziła do pokoju, w którym stały dwa łóżka z innymi meblami. „Tu pastorzy mogą mieszkać i spać". Pytamy się o cenę. „To nieważne" – powiada pani Jeromowa.

Było to piękne mieszkanie z drugim pokoikiem z balkonem od strony ogrodu. Rozlokowaliśmy się, zadowoleni, że mamy wygodne lokum. Za chwilę zrobiła nam pani Jeromowa niespodziankę, przynosząc kawę i poczęstunek. Taką serdecznością byliśmy zaskoczeni. Odważyłem się zapytać, czy nie zechciałaby nas stołować, dodając, że jesteśmy niewymagalni i skromni. Pani Jeromowa zgodziła się ku naszej wielkiej radości. Byliśmy bardzo szczęśliwi, mając dach nad głową i do tego utrzymanie na miejscu. Po posiłku pani Jeromowa zaprosiła nas, abyśmy zeszli na dół do nich na pogawędkę. Pan Jerema nie wypytywał nas, lecz sam mówił o sobie. Pochodził z Łodzi, gdzie był pracownikiem Fabryki Widzewskiej Manufaktury. Był komunistą sprzed wojny, wyznania ewangelickiego, żona postępowa katoliczka, również o poglądach komunistycznych. Jeroma był pierwszym burmistrzem Ełku. Reakcyjne siły spowodowały, że musiał ustąpić. Podkreślał, że polskie społeczeństwo nie dorosło do komunizmu i nienawidzi komunistów, a szczególnie takich, którzy nie są katolikami. Ostrzegł nas, że jako protestanci napotykać będziemy na różnego rodzaju trudności i przeszkody. „Ale do odważnych świat należy". Tym powiedzeniem zachęcił nas do działania. Pani Jeremowa uskarżała się, jak bardzo ich skrzywdzono. Zorientowali nas o panujących stosunkach w Ełku. Jeroma jako komunista znalazł się na „odstawce". Przypuszczam, że nie dlatego, że był komunistą, lecz dlatego, że nie był „swój", nie był katolikiem. Na pogawędce z panią Jeromą spędziliśmy pierwszy dzień pobytu w Ełku.

Po spokojnej nocy, odpoczęci, posileni wspaniałym śniadaniem, udaliśmy się do starosty powiatowego, wręczając mu list polecający od wojewody. Starosta, przystojny, dobrze ubrany pan, godnie przywitał nas i rozwinął rozmowę na temat ludności mazurskiej. Wyraził zadowolenie, że chcemy zająć się tą ludnością, która jest obojętnie nastawiona do Polski i jej władz. Zahaczyłem o sprawę obiektów kościelnych, wiedząc już, że katolicy, aczkolwiek mając swój kościół przy ulicy Kościuszki, samowolnie zajęli kościół ewangelicki przy ulicy Wojska Polskiego. Więc jak Mazurzy ewangelicy mogą się czuć dobrze w Polsce? „Właśnie, sprawę obiektów musimy uregulować i załatwić. Oczekujemy od Kościoła ewangelickiego współpracy i odpowiednich wniosków" – powiedział starosta. Oświadczyłem, że właśnie przyjechaliśmy, by rozejrzeć się w sytuacji, zorientować się co do liczby ewangelików i odpowiednio się nimi zaopiekować. Starosta zrobił na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Był uprzejmy i życzliwie ustosunkowany, zapewniając, że sprawy kościelne dadzą się załatwić.

Wyszliśmy z Biczemskim pełni nadziei. Teraz ruszyliśmy po mieście, by znaleźć ewangelików. Stwierdziliśmy, że w mieście mieszkały nieliczne rodziny. Większość mieszkała, podobnie jak w Olsztynie, na „Mazurskim Siedlungu". Opiekunem – ich sołtysem był Gorlo, Mazur, ożeniony z dość bogatą gburką z Szelig. Podobnie jak w Olsztyńskim i tutaj Mazurzy pozbawieni byli własności i własnych mieszkań. Dawnych mieszkańców Ełku było zaledwie kilka osób. Wszyscy inni, to „wygnańcy" z wiosek, pozbawieni swoich gospodarstw. Ludność miejscowego pochodzenia, „autochtonów", Polacy używali jako przymusową siłę roboczą.

Od słowa do słowa, od człowieka do człowieka zorientowaliśmy się, że w mieście i powiecie ełckim jest jeszcze dość dużo Mazurów ewangelików. Dowiedzieliśmy się, że baptyści już działają. Mają własną kaplicę przy parku (dawniej Luisenplatz). W Wielki Piątek poszliśmy z Biczemskim na nabożeństwo baptystyczne. Przedtem przedstawiliśmy się kaznodziei, którym był Popko, pochodzący z Ukrainy. Nasz udział w nabożeństwie ograniczyliśmy do zaśpiewania pieśni misyjnych na dwa głosy: Biczemski pierwszy tenor, ja dru-

gi. Przez udział w nabożeństwie rozgłosiło się, że będą w Ełku też nabożeństwa ewangelickie, ale na razie władze nie przydzieliły żadnego kościoła.

Superintendent Najder obiecał przesłać nam pieniędzy na utrzymanie, lecz pieniądze nie nadchodziły. Wobec tego postanowiliśmy, że Biczemski pojedzie do Warszawy, a ja zostanę. Biczemski zabrał ze sobą nasze sprawozdanie z naszych obserwacji. Ja zostałem na łasce państwa Jeromów.

144
Jestem pastorem w Ełku

Zamiast spodziewanego powrotu do Warszawy, by kontynuować studia teologiczne, superintendent Najder przesłał mi nominację na p.o. pastora na trzy powiaty (Ełk, Olecko, Gołdap) z pismami polecającymi do władz państwowych z prośbą o okazanie mi pomocy. Przesłał mi też drobną sumę pieniędzy. Nominacja była dla mnie wielkim zaskoczeniem. Ale taki właśnie był superintendent Najder: „Bracie, masz Biblię, idź, głoś ludowi Ewangelię, Radosną Nowinę!".

Cóż, nie było rady. Trzeba było się nastawić do pracy. Przypomniałem Mojżesza, który uchylał się od misji, którą Bóg mu powierzał, tłumacząc się, rzekł do Boga: „Proszę, Panie, nie jestem ja mężem wymownym, nie byłem nim dawniej, nie jestem nim teraz, jestem ciężkiej mowy i ciężkiego języka". Na to rzekł Bóg do Mojżesza: „Kto dał człowiekowi usta? Albo kto czyni go niemym albo głuchym, widzącym albo ślepym? Czyż nie Ja, Pan. Idź więc teraz, a Ja będę z twoimi ustami i pouczę cię, co masz mówić" – 2. Mojż. 4, 11 12.

Wspomniałem już dawnych kaznodziei „gromadkarskich", którzy byli prostymi rolnikami albo rzemieślnikami, a Bóg dał im moc wygłaszania często porywających kazań. Będąc sam na sam z Bogiem w modlitwie, prosiłem Boga, aby wkładał w usta moje słowa, które mam mówić. Pamiętałem, że niejeden „gromadkarz" nieuczony, wygłaszał lepsze kazanie od uczonego teologa. Pomyślałem sobie: „Masz półroczne przygotowanie teologiczne, wprawdzie krótkie, ale masz za sobą 18 lat nauki religii: 8 lat w szkole podstawowej, 5 lat w Seminarium Nauczycielskim i 5 lat jako nauczyciel, znasz Pismo Święte i od czternastego roku życia uwierzyłeś w Jezusa Chrystusa". Rozmyślanie z Bogiem postawiło mnie na nogi.

Zaraz po Wielkiejnocy 1946 roku udałem się już jako pastor do starosty powiatowego z prośbą o przydział kościoła. Zaproponowałem, aby skoro katolicy samowolnie zajęli kościół ewangelicki, który jest dużo obszerniejszy od katolickiego, to powinni odstąpić swój mniejszy kościół. Na to Starosta oświadczył, że w najbliższych dniach zwoła specjalną konferencję z udziałem przedstawicieli Kościoła katolickiego, poszczególnych partii i Urzędu Bezpieczeństwa. Nim odbyła się wspomniana konferencja, udałem się do burmistrza miasta, aby przedstawić się. Był nim pan Krzywkowski. Po zameldowaniu mnie przez sekretarkę dał mi sporo czasu czekać na łaskawe przyjęcie. Wreszcie dał znać sekretarce, abym wszedł. Po wejściu do jego gabinetu pozdrowiłem i przedstawiłem się. Pan burmistrz nie raczył wstać, ani nie podał mi ręki. To mi wystarczyło, aby mu powiedzieć: „Chcę, aby

pan wiedział, kogo pan ma w swoim mieście: pastora Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego". Nie było żadnej rozmowy. Można się domyślić, co o nim pomyślałem.

Okazało się, że był to wierny, fanatyczny katolik. Wraz z żoną. Zajmował willę po byłym konsulu polskim w Ełku, przy ulicy Słowackiego.

W międzyczasie stwierdziłem, że do byłego Kościoła Ewangelicko-Unijnego należał tzw. „Gemeindehaus" (*Gemeindehaus* – dom zborowy) i kaplica „Gromadkarzy", tzw. „Lutherischer Gebetsverein"[265] znajdowały się przy ulicy Słowackiego (dawniej Steinstrasse). Zgodnie z obietnicą, starosta zwołał konferencję, aby zadośćuczynić potrzebom mazurskiej ludności ewangelickiej. Zjawili się: starosta jako przewodniczący, ksiądz katolicki, kierownik Urzędu Bezpieczeństwa, sekretarz Partii Robotniczej, sekretarz Polskiej Partii Socjalistycznej, przedstawiciel Stronnictwa Ludowego. Starosta zagaił zebranie i przedstawił temat obrad: „Oddanie kościoła ewangelikom".

Ksiądz katolicki sprzeciwił się, podkreślając, że katolicy, zajmując od przeszło roku kościół poewangelicki, przyzwyczaili się do niego i opuszczenie go wywołałoby ogromne niezadowolenie i poruszenie. Stanowiska księdza katolickiego właściwie nikt nie poparł, ale też nikt nie wyraził zdania, aby kościół zwrócić ewangelikom. Starosta zwrócił się do mnie z pytaniem: „Jakie jest pana pastora zdanie?". Zabierając głos, powiedziałem:

„Ogólnie wiadomą jest rzeczą, że Polska znalazła się na Mazurach za zgodą mocarstw zachodnich, a przede wszystkim za zgodą marszałka Stalina. Delegacja Rządu Polskiego na Konferencji w Poczdamie, chcąc mieć te ziemie, namiętnie udowadniała, że na Ziemi Mazurskiej żyje ludność mazurska, czyli polska, i dlatego Rząd Polski pragnie ten lud przygarnąć i złączyć z resztą Narodu Polskiego. Ten atut przekonał sojuszników i ostatecznie Stalina, który zgodził się, aby część Prus Wschodnich przypadła Polsce z tytułu ludności pochodzenia polskiego. Skoro powoływanie się na ludność mazurską zadecydowało, że jesteśmy tutaj w Ełku i innych powiatach, to w pierwszym rzędzie miejscowej ludności należy się prawo pierwszeństwa, a co najmniej równe prawo. Dalej, zgodnie z Dekretem Rządu Polskiego cały majątek poniemiecki należy do państwa, czyli Rząd, władze państwowe decydują, komu co się należy.

Przedstawiciel Kościoła katolickiego wspomniał, że kościół poewangelicki jest w posiadaniu Kościoła katolickiego. Ciekaw byłbym widzieć akt nadania. Jestem pewny, że Kościół katolicki nie widział potrzeby (nie tylko w Ełku) zwracać się do kompetentnych władz państwowych o przydział obiektów sakralnych, samowolnie zajmując kościół ewangelicki. (Pomrukiwanie i poruszenie na sali, ale Starosta uspokajał i prosił, abym mówił dalej.) Komuś może się wydawać, że ludności mazurskiej jest niewiele. Trzeba się właśnie liczyć, że ludzie wrócą z ewakuacji, wrócą ojcowie, synowie z wojny, z niewoli, z różnych stron, gdziekolwiek się znajdują. (Powstało jeszcze większe poruszenie.) Skoro zebraliśmy się, aby te bolące sprawy załatwić, to proponuję, aby kościół poewangelicki pozostał w rękach katolików z uwagi na to, że katolików będzie więcej, a kościół katolicki, jako mniejszy, oddać ewangelikom".

Skończyłem moje wywody. Natychmiast porwał się do słowa sekretarz „PPS" – Polskiej Partii Socjalistycznej, wołając zdenerwowany: „Przecież Mazurzy to Niemcy, skąd mają mieć to samo prawo? Ich miejsce jest na Zachodzie!".

Zwróciłem mu uwagę, że gdyby delegacja Rządu Polskiego w Poczdamie takimi argumentami podchodziła do sprawy jak sekretarz PPS, to Związek Sowiecki miałby w swo-

[265] Luterski Związek Modlitwy.

jej strefie nie tylko królewiecką okolicę, ale całe Prusy Wschodnie, łącznie z Gdańskiem. W swoim zacietrzewieniu woła: „Mazurzy walczyli przeciw Polsce i wiernie służyli Hitlerowi!". „A czy Polacy nie walczyli przeciw Rosji, a teraz co..." – powiadam do niego. Nie wytrzymał i wybuchnął: „A kto wie, kim pastor jest?!". Nastąpiła konsternacja. Na to ja spokojnie zwracam się w stronę kierownika UB, Urzędu Bezpieczeństwa, i mówię: „Panie kierowniku, słyszy pan insynuacje sekretarza PPS pod moim adresem. Myślę, że ma pan wolną celę dla mnie".

Na to kierownik UB jakby nie słyszał moich słów, zaproponował, aby zastanowić się, co można by dobrego zrobić. Dyskutowano, aby już znaleźć jakieś rozwiązanie. Zaproponowano mi, aby dla świętego spokoju, tymczasowo przejąć kaplicę po „Gebetsvereinie" przy ulicy Słowackiego 25, która jest wolna, jak również dwa mieszkania niezajęte. Pod wpływem atmosfery panującej na konferencji zgodziłem się, zastrzegając sobie prawo starania się o prestiżowy obiekt. Był to mój nie do naprawienia błąd taktyczny.

Po załatwieniu sprawy kościoła w Ełku poruszyłem ogólną kwestię kościołów całego powiatu. Wiedząc, iż większość kościołów ewangelickich już były samowolnie opanowane przez katolików i walka o ich zwrot byłaby z góry przegrana, dlatego zaproponowałem, aby kościoły pozostały w rękach katolików, a plebanie, które posiadają dużą salę i mieszkanie dla pastora oddać ewangelikom. Bowiem ksiądz katolicki znajdzie w każdej miejscowości dom poniemiecki na swoją siedzibę. Propozycję moją przyjęto bez wielkich sprzeciwów. Na tym zakończono konferencję.

Wkrótce po konferencji sekretarz Polskiej Partii Socjalistycznej w Ełku, który nie dowierzał mojej polskości, został aresztowany i osadzony w więzieniu za „współpracę z Niemcami" w czasie okupacji. Wyszło szydło z worka – mówi przysłowie.

Mieniem poniemieckim jako majątkiem państwowym na terenie Ełku zarządzał Urząd Likwidacyjny. Kierownikiem tego urzędu był adwokat Dubiel, lwowianin, dość nam przychylny. Na jego ręce złożyłem podania o przydzielenie Kościołowi Ewangelicko-Metodystycznemu następujących obiektów:

Ełk	–	kaplica, przy ulicy Słowackiego 25,
Bajtkowo	–	kościół z kaplicą,
Prawdziszki	–	kościół z plebanią,
Kalinowo	–	plebania,
Wiśniewo	–	plebania,
Pisanica	–	plebania,
Borzymy	–	plebania,
Klusy	–	plebania,
Grabnik	–	plebania,
Stare Juchy	–	plebania.

(W Stradunach plebania została spalona.)

Akty nadania na powyższe obiekty otrzymałem dopiero w 1948 roku. Cała trudność polegała na tym, w jaki sposób obsadzić powyższe obiekty. Nie było pastorów, aby obsadzić wszystkie placówki. Szukałem odważnych Mazurów, by zamieszkali w plebaniach z uwagi na grasujące bandy szabrowników i partyzantki przeciwne polskiemu rządowi komunistycznemu; nie znalazłem nikogo, kto by zamieszkał w przydzielonych plebaniach. Katolicy, dowiedziawszy się, że władze przyznały nam powyższe obiekty, pośpiesznie, samowolnie, nie respektując obowiązujących dekretów, obsadzili następujące plebanie: Kali-

nowo, Wiśniewo, Pisanica, Stare Juchy. Uratowaliśmy tylko plebanię w Grabniku i Klusach. Z parafii Prawdziszki Polacy wypędzili wszystkich ewangelików, więc nie było sensu przejmować tam kościoła z plebanią. To samo Polacy zrobili w parafii Bajtkowo, wypędzając wszystkich ewangelików.

145
Kaplica w Ełku

Chcąc nie chcąc, przejąłem kaplicę w Ełku przy ulicy Słowackiego 25. Kaplica przylegała szczytem do ulicy, skąd też było główne wejście. Z kaplicą połączony był dwupiętrowy dom z dwoma trzypokojowymi mieszkaniami z kuchniami i łazienkami. Na parterze, pod mieszkaniem znajdowała się duża sala z oknami na zachód, z widokiem na ogród. Salę od kaplicy dzieliły dwuskrzydłowe drzwi. Wejście do mieszkania i sali było z boku od strony dawnego placu szkolnego. Kaplica i mieszkania nie były zdewastowane, ale ogołocone do podłogi i gołych ścian. W kaplicy był komplet ławek według pierwotnego stanu. Pod mieszkaniem była piwnica z trzema przegrodami. W korytarzu była ubikacja i komórka, a obok tzw. „podjazd" z bramami po obu szczytach. Bramę z frontu zamurowałem i wstawiłem jedno okno.

Kaplica Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, Ełk, zima 1946/47

W mieszkaniach było miejscowe centralne ogrzewanie na wodę. Kaplica była ogrzewana żelaznym piecem z długą rurą. To strasznie szpeciło wnętrze kaplicy. I co najgorsze, że rura nie wchodziła bezpośrednio do komina, lecz do kanału w murze, który ciągnął się

przez cały korytarz budynku mieszkalnego. To było straszne. W czasie rozpalania w kaplicy było pełno dymu. Z tyłu budynku mieszkalnego było maleńkie podwórko, gdzie stał betonowy śmietnik. Za płotem był duży ogród, którego nowym użytkownikiem był inżynier Stanko, przesiedleniec z Lwowa. Dawnym właścicielem był Filipzik. Po nawiązaniu znajomości inżynier Stanko odstąpił nam połowę ogrodu, z czego byliśmy bardzo zadowoleni.

Wzdłuż kaplicy i ogrodu przechodziła uliczka dla pieszych do dawnego „rynku nabiałowego" – „Buttermarkt". Uliczkę tę zlikwidowano tak, że mieliśmy bezpośrednie sąsiedztwo z b. placem szkolnym, gdzie leżały gruzy zburzonej szkoły, obecnie miejsce zabaw dla dzieci. Po ogłoszeniu, że przejąłem kaplicę, zbiegli się ewangelicy, mężczyźni, kobiety, aby uprzątnąć kaplicę i mieszkania. Przygotowaliśmy kaplicę do nabożeństwa. W kaplicy znajdowała się przenośna mównica-kazalnica. Mieszkańcy przynieśli stół, który służył jako ołtarz. Do mieszkania przywlekli jakieś łoże i używaną pościel. Miałem spanie.

Na gospodynię domową zaoferowała się Martha Schiwek, właścicielka domu ze stolarnią przy ulicy Orzeszkowej 4, u której mieszkali sami Mazurzy, „Mazurskie Getto". Jej mąż zginął na wojnie, a córkę uprowadzono na Syberię. Po kilku dniach otrzymaliśmy pomoc w formie darów z zagranicy, przywiezioną samochodem ciężarowym z Warszawy. Przesyłka zawierała tylko artykuły żywnościowe: fasola, groch, kasza, ziemniaki w puszkach, przyprawy do zup i dwie beczki mięsa wołowego. Powiedziałem pani Schiwkowej, aby ugotowała zupę jarzynową. Po pewnym czasie woła do obiadu. Wlałem do talerza, biorę do ust, a tu sama gorycz. Zupa nie do zjedzenia. Pytam się Schiwkowej, co też ona wzięła. Pokazała: a to były przyprawy do zup, a ona z tego zrobiła zupę. Pomyślałem sobie, że przy takiej gospodyni to ja tu zginę. Schiwkowa zrezygnowała z gotowania, zajęła się tylko sprzątaniem.

Kaplica Parafii Ewangelicko-Metodystycznej Ełk, zdjęcie z 1987 roku,
budynek przylegający z lewej strony to siedziba PCK (Polskiego Czerwonego Krzyża w Ełku)

Na gospodynię zgłosiła się pani Wolffke, żona fryzjera. O mężu nic nie wiedziała, czy żyje, czy nie żyje. Była to energiczna kobieta. Korpulentna, uprawiała codzienną, osobistą gimnastykę. Wnet postarała się o łóżka małżeńskie (zakrwawione) po zamordowanych

Niemcach, szafę ubraniową, kredens, stół dębowy z krzesłami oraz z jeleniem, ręcznie rzeźbiony. Znała wszystkich miejscowych, wystarczyło, że zakomenderowała i wnet było to, co było potrzebne. A sztukę kulinarną miała w ręku. Świetna gospodyni. Jej zakład fryzjerski Sowieci spalili, a zakopane „skarby" szabrownicy znaleźli i ukradli. Z pomocą bezinteresownych ludzi uporządkowaliśmy kaplicę na tyle, ile było możliwe. Brakowało nam tylko fisharmonium, no i organisty. Nie miałem też togi. Pomyślałem sobie: mam dobry głos, to jakoś tam będzie. A brak togi też mi wybaczą, bo wszyscy jesteśmy wyrabowani i biedni. Nikt nie patrzył na szaty, na wygląd. Wszyscy czekali na spotkanie się ze „swoimi".

1946 rok, Edward Małłek, pastor i organista

Luter i Melanchton, pędzla Lucasa Cranacha Starszego

146
Pierwsze nabożeństwo w Ełku

Na otwarcie kaplicy wyznaczyłem Święto Wniebowstąpienia Jezusa Chrystusa (1946 roku) o godzinie dziesiątej rano. O nabożeństwie powiadomiłem przez przybicie ogłoszenia na drzwiach wejściowych kaplicy. Będąc z zawodu również nauczycielem, musiałem wziąć pod uwagę, że na nabożeństwo przyjdą ludzie, którzy nie mówią po polsku. Więc trzeba obrać pewną metodę, aby słuchacze mieli jako taką przyjemność i pożytek. Bo po niemiecku nie wolno było prowadzić pracy kościelnej.

Postanowiłem przemawiać możliwie prostym językiem, a jeżeli chodzi o kazania, trzymać się Pisma Świętego. Co do śpiewu, to będę uczył przede wszystkim melodyjnych pieśni. Trudno będzie uniknąć śpiewu po niemiecku. Będę używał pieśni ze śpiewnika metodystycznego, więc myślę, że śpiew w języku polskim będzie dominował, do czego przyczyni się mój dobry głos. Chciałem uniknąć zarzutu ze strony władz politycznych, że pielęgnujemy język niemiecki. Z drugiej strony rozumiałem ewangelików, którzy byli nieprzychylnie ustosunkowani do Polaków. Winę co do tego ponosili sami Polacy. Inauguracja nabożeństwa w Ełku była dla ewangelików, jak również dla katolików czymś nowym, osobliwym. Przygotowując się do jutrzejszego nabożeństwa, prosiłem Boga w modlitwie, by stał u mego boku i wkładał w usta moje słowa, które mam wygłaszać. Nie przeżywałem stresu, ani tremy, bo jako nauczyciel byłem przyzwyczajony występować przed forum. Byłem tylko ciekawy, ilu odważnych ewangelików przyjdzie na nabożeństwo.

Rano, w Święto w Niebowstąpienia Pańskiego, przez okno w kuchni obserwowałem śpieszących się ludzi do kaplicy, która była otwarta od wczesnego rana. Do kaplicy wszedłem głównym wejściem punktualnie o godzinie dziesiątej. Zgromadziło się około stu osób, zajmując miejsca w ławkach po obu stronach ganku, niektórzy na balkonie. Przed ławkami, na podeście w środku stała kazalnica, przed nią stół, nakryty białym obrusem z kwiatami i dwiema świecami, imitujący ołtarz.

Klęcząc, przed ołtarzem zmówiłem osobistą cichą modlitwę, prosząc Boga o Jego pomoc i błogosławieństwo. Obróciwszy się do zgromadzonych, przedstawiłem się, witając przybyłych w imię Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego.

„Z uwagi na to, że nabożeństwa wolno nam prowadzić tylko w języku polskim, postaram się, abyśmy, nie gardząc tym językiem, pomaleńku się do tego przyzwyczaili" – wyjaśniłem zebranym zaistniałą sytuację. Zapowiedzianą pieśń z polskiego śpiewnika przeczytałem najpierw sam, potem wszyscy razem, a dopiero potem zaśpiewano. Tą metodą, przez pewien czas stosowaną, przyzwyczaiłem zborowników do języka polskiego.

Pierwsze nabożeństwo rozpoczęliśmy pieśnią:

Boże Wielki, pełnyś chwał;
wielbim Twą potęgę, Panie!
Tyś stworzeniom życie dał,
Podziwiamy Twe działanie;
Jakiś od wieczności był,
Tak na wieki będziesz żył.

Melodia pięciozwrotkowej pieśni była ogólnie znana. Więc z początku przeważał śpiew w języku niemieckim, bo pieśń *Grosser Gott wir loben Dich* była znana wszystkim ewangelikom. Ale ponieważ niemieckich śpiewników nie było, więc z każdą następną zwrotką, pamięć zawodziła i w końcu ostatnie zwrotki słyszano już tylko po polsku. (Z czego wielu się podśmiewywało.)

Wyjaśniłem, że dzisiejsze nabożeństwo będzie bez liturgii. Przeczytałem bardzo powoli Psalm 23, który większość ewangelików znała w języku niemieckim na pamięć:

Pan jest pasterzem moim,
Niczego mi nie braknie.
Na niwach zielonych pasie mnie.
Duszę moją pokrzepia.
Wiedzie mnie ścieżkami sprawiedliwości
Ze względu na imię swoje.
Choćbym nawet szedł ciemną doliną,
Zła się nie ulęknę, boś Ty ze mną,
Laska twoja i kij twój mnie pocieszają
Zastawiasz przede mną stół wobec nieprzyjaciół moich
Namaszczasz oliwą głowę moją, kielich mój przelewa się
Dobroć i łaska towarzyszyć mi będą
Przez wszystkie dni życia mego.
I zamieszkam w domu Pana przez długie dni!

Po przeczytaniu psalmu w modlitwie (wszyscy klęcząc) dziękowałem Bogu za opiekę i cudowne ocalenie nas w czasie straszliwej zawieruchy wojennej i szczęśliwe zgromadzenie w dniu dzisiejszym, jednocześnie polecając miłosierdziu Bożemu wszystkich poległych, zamordowanych oraz tych, którzy cierpią w niewoli.

W czasie modlitwy wielu szlochało płaczem, boć prawie każdy opłakiwał stratę kogoś z rodziny. Łzy wzdychających świadczyły, iż słowa mojej modlitwy były zrozumiane, mimo iż modliłem się w języku polskim. Po modlitwie zadałem pieśń:

Bóg jest miłością, On mię ukochał,
Z całą tkliwością miłuje mię.
To zawsze wyznaję: Bóg jest miłością,
Bóg jest miłością, miłuje mię! (pięć zwrotek).

Okazało się, że zgromadzeni i tę pieśń znali z niemieckiego: *Gott ist die Liebe*, śpiewana przez „gromadkarzy". Przez tę pieśń stwierdziłem, że wśród obecnych na nabożeństwie mam „gromadkarzy" z „Gebetsvereinu". I przy tej pieśni dalsze zwrotki śpiewano już tylko po polsku. Po pieśni wszedłem na mównicę (kazalnicę), pozdrowiłem Zbór słowami apostolskimi: „Łaska wam i pokój od Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego".

Słowa do kazania przeczytałem według Dziejów Apostolskich (1, 6-11). Po przeczytaniu najpierw wyjaśniłem, kogo reprezentuję jako kaznodzieja, pastor:

Wiem, że jesteście ewangelikami luterskiego wyznania. Taki kościół jest też i w Polsce, ale nie chciał się wami zaopiekować. Ja też jestem luteraninem, ale przyłączyłem się do Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, który objął opiekę nad ewangelikami Prus Wschodnich i ziem aż po Odrę.

Co to jest Kościół Metodystyczny? Jest to Kościół założony przez Johna Wesleya w Anglii w XVIII wieku. Do Polski przyszedł z Ameryki. Ameryka utrzymuje Kościół Metodystyczny w Polsce. Zauważyłem, że znacie pieśń *Bóg jest miłością*, to znaczy, że niektórzy z was należeliście do „Gebetsverein"[266], którego własnością była kaplica, w której jesteśmy zgromadzeni. „Gebetsverein" i „gromadkarstwo" głosiło słowo Jezusa Chrystusa: „Jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie może ujrzeć Królestwa Bożego" – Jan 3,3.

Tę naukę głosił dr Marcin Luter, John Wesley i główny założyciel „gromadkarstwa", Christoph Kukat; oni wszyscy wiernie głosili Ewangelię Jezusa Chrystusa. Tegoż Jezusa Chrystusa chcę i ja, z pomocą Bożą, wam głosić, wspominając też tych trzech reformatorów. Przeczytane słowa z Dziejów Apostolskich mówią nam o Wniebowstąpieniu Jezusa Chrystusa. Tą pamiątką rozpoczynamy nasze ewangelickie nabożeństwo tu, w Ełku. Biorąc pod uwagę waszą – naszą sytuację, byłoby właściwiej mówić o Jezusie, leżącym w żłobku na słomie, tak biednym, jak my wszyscy, którzy jesteśmy bez własnych mieszkań, ubodzy, nadzy. Byłoby stosowniej mówić o cierpieniu, ukrzyżowaniu i śmierci Jezusa Chrystusa, gdyż wielu z nas straciło bliskich, wielu cierpi głód, cierpienie w niewoli. Te kamienie, które w tej chwili padły przez szyby do kaplicy, świadczą, że ktoś nas nienawidzi. (Rzeczywiście katolicy tłukli szyby naszej kaplicy.) Jeżeli jednak obchodzimy dzisiaj Wniebowstąpienie Jezusa Chrystusa, poprzedzone Jego zmartwychwstaniem, to znaczy, że sprawdziły się słowa Jezusa: „Jam zwyciężył świat" – Jan 16, 33. „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, ale duszy zabić nie mogą" – Mat. 10, 28. „Kto wytrwa aż do końca, ten będzie zbawiony!" – Mat. 24, 13.

To były główne myśli mego kazania. Po reakcji słuchaczy odniosłem wrażenie, że moje przemówienie było zrozumiane, tym bardziej, że niektóre wyrażenia tłumaczyłem na niemiecki.

Brzęk tłuczonych szyb przez zgraję „prawowiernych katolików" nastroił mnie bojowo. Dlatego podałem do zaśpiewania hymn dr. Marcina Lutra: *Warownym grodem jest nasz Bóg*. Zborownicy w ślad za mną śmiało śpiewali dobrze znaną pieśń. Po modlitwie dziękczynnej, zakończonej modlitwą Pańską „Ojcze nasz", zakończyłem nabożeństwo Aaronowym błogosławieństwem kałańskim:

> Niech ci błogosławi Pan i niechaj cię strzeże;
> Niech rozjaśni Pan oblicze swoje nad tobą i niech ci miłościw będzie;
> Niech obróci Pan twarz swoją ku tobie
> i niech ci da swój pokój". (4 Mojż. 6,24-26).
>
> Idźcie w pokoju!

Na tym zakończyło się pierwsze moje nabożeństwo w Ełku. Skończyło się nabożeństwo, ale zborownicy boją się wyjść z kaplicy, bo na dworze zgraja katolików stoi z kamieniami w ręku, gotowych ukamienować ewangelików. Po dłuższej rozmowie ze zborownikami pierwszy wyszedłem z kaplicy i odprowadziłem ich aż do ulicy Czerwonej Armii. Niecelnie rzucane kamienie fruwały obok nas. Taka była inauguracja mojej kościelnej pracy w Ełku. Musiałem być przygotowany na gorsze rzeczy.

[266] Związek Modlitwy.

John Wesley (1703–1791), założyciel Kościoła Metodystycznego w Anglii

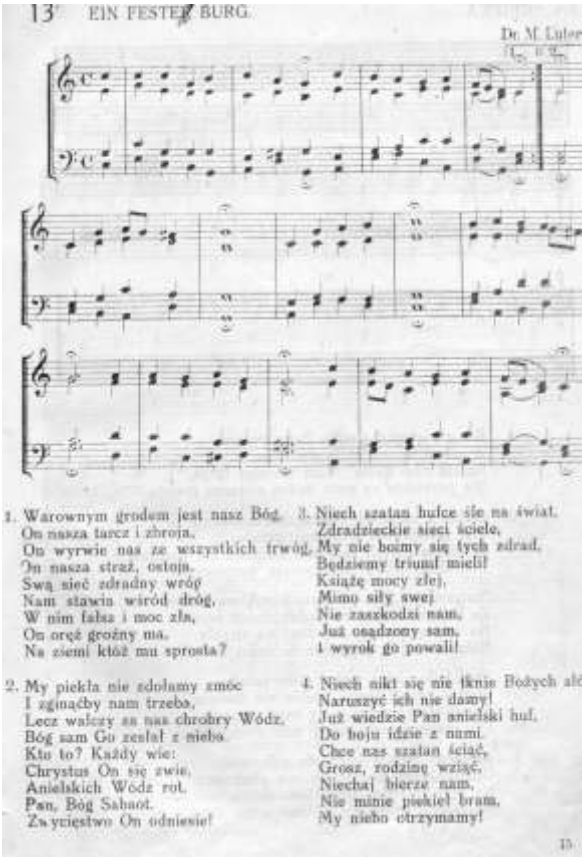

13 EIN FESTE BURG.

Dr. M. Luter

1. Warownym grodem jest nasz Bóg,
On nasza tarcz i zbroja,
On wyrwie nas ze wszystkich trwóg,
On nasza straż, ostoja.
Swą sieć zdradny wróg
Nam stawia wśród dróg,
W nim fałsz i moc złą,
On oręż groźny ma,
Na ziemi któż mu sprosta?

2. My piekła nie zdołamy zmóc
I zginąćby nam trzeba,
Lecz walczy za nas chrobry Wódz,
Bóg sam Go zesłał z nieba.
Kto to? Każdy wie:
Chrystus On się zwie,
Anielskich Wódz rot,
Pan, Bóg Sabaot.
Zwycięstwo On odniesie!

3. Niech szatan hufce śle na świat,
Zdradzieckie sieci ściele,
My nie boimy się tych zdrad,
Będziemy triumf mieli!
Książę mocy złej,
Mimo siły swej
Nie zaszkodzi nam,
Już osądzony sam,
I wyrok go powali!

4. Niech nikt się nie tknie Bożych ał
Naruszyć ich nie damy!
Już wiedzie Pan anielski huf,
Do boju idzie z nami.
Chce nas szatan ściąć,
Grosz, rodzinę wziąć,
Niechaj bierze nam,
Nie minie piekieł bram,
My niebo otrzymamy!

15

Pieśń Marcina Lutra *Warownym grodem jest nasz Bóg* z 1529 roku
we współczesnym śpiewniku protestanckim – Red.

147
Organizacja pracy kościelnej

Postanowiłem zbadać ilościowy stan ludności ewangelickiej w powiecie. W międzyczasie dostałem razem z innymi darami z Ameryki rower produkcji szwedzkiej. Wspaniały rower. Ruszyłem w powiat. Będąc na wsi, urządzałem krótkie, okazyjne nabożeństwa w prywatnych domach tych ewangelików, którzy nie zostali wyrzuceni z własnych domostw. O tych nabożeństwach uprzedzałem na piśmie Urząd Bezpieczeństwa, aby nie czyniono mi przeszkód, powołując się na decyzję wojewody.

Przy tej okazji przekonałem się, jak wielu znalazłem „gromadkarzy". Łatwo mogłem się z autochtonami porozumieć po polsku. Nawet młodzież i dzieci mówiły po polsku. Przez 500 lat Niemcy nie zdołali zlikwidować języka mazurskiego w Prusach Wschodnich. Nagle, po wkroczeniu, Polacy w ciągu jednego dnia zgermanizowali Mazurów, nazywając ich „Szwabami", którymi nigdy nie byli. Nic dziwnego, że nawet synowa słynnego poety mazurskiego, Michała Kajki, nie chciała rozmawiać po mazursku z urzędnikami polskimi, aczkolwiek lepiej mówiła po mazursku niż po niemiecku. Polacy, nienawidząc Mazurów, zasiali nienawiść między nimi do Polaków i Polski.

Jeżdżąc po powiecie, wyłowiłem trzech dobrych kaznodziei gromadkarskich, których wciągnąłem do pracy kościelnej. Władali płynnie po mazursku. Byli nimi: Ludwik Monselewski we wsi Długie, Bogumił Kobiałka we wsi Ogródek, Gustaw Libuda we wsi Sofy. W Kościele Metodystycznym nazywano ich „kaznodziejami świeckimi". Byli do pomocy pastorom. Był jeszcze jeden, nazwiskiem Podufał, który uważał siebie za coś lepszego od tamtych trzech, bo podobno liznął trochę nauki teologicznej w jakiejś szkole misyjnej. Chwalił się znajomością języka hebrajskiego i greckiego. Robił wrażenie człowieka zarozumiałego. Pewnego razu poprosiłem go, aby mnie zastąpił w Ełku. Gdy stanął przed zborem, stracił mowę. Chwilę stał, pot płynął mu po twarzy, z nosa ciekło. Konsternacja. Moja żona, widząc to, musiała ratować sytuację, przejmując prowadzenie nabożeństwem. Pan Podufał zawstydzony usiadł w ławce. Odtąd przestał się chwalić i krytykować tamtych trzech.

Wielką moją podporą i pomocą była moja małżonka. Kierowała akcją rozdawnictwa darów. Prowadziła szkółkę niedzielną, to znaczy naukę religii z maluchami. Przyjmowała gości i interesantów. Do pomocy zgłosiła się też panna Luisa Soboll. Polacy zmienili jej i jej rodzicom nazwisko na Sobolewski, jakby słowo „sobol" nie należało do polskiego słownictwa. Jej rodzice byli wyrzuceni z ich gospodarstwa we wsi Gołubie. Lisa była magazynierką i razem z [moją] żoną uczyły dzieci religii. Potem doszła jeszcze Jadwiga Wierucz, która była sekretarką i prowadziła kancelarię. Pochodziła ze wsi Sajzy.

Wreszcie zdobyłem instrument do grania. Można też nazwać „fisharmonium", bo trzeba było deptać nogami. Powstał problem, skąd dostać organistę. Ani ja, ani nikt ze zboru nie umiał grać. I nikt nie był chętny, by uczyć się gry na organach. Była w Ełku podstawowa szkoła muzyczna. Początkowo zgodził się na organistę kierownik tej szkoły, ale w końcu odmówił. Zdobyliśmy na organistkę pannę Lenę Janowską z powiatu mrągowskiego. Była to dziewucha żywa jak „srebro", do tego ładna, szukała raczej wrażeń i przygód. Wiedziałem, że nie zagrzeje długo ławki przy fisharmonium, więc postanowiłem nauczyć się grać. I rzeczywiście, w krótkim czasie nauczyłem się. Ale nie myślcie, że potrafi-

łem grać „polki", „oberki". Nic z tego. Mogłem grać tylko melodie kościelne, chorały. Fakt ten potwierdził słowa Jezusa, który powiedział do uczniów swoich: „O cokolwiek byście prosili Ojca w imieniu moim, da wam" – Jan 14, 13-14. Gdy Lena Janowska odchodziła, nie zatrzymywałem jej. Później wyszła za mąż za Rychławskiego w Olsztynie. Małżeństwo to uważała za nieudane.

Grę na fisharmonium przejąłem osobiście, ale tylko pieśni. Brakowało kogoś, który by grał melodie liturgiczne. Namówiłem moją żonę, by nauczyła się grać tylko do liturgii. Mojej żonie też zależało, abu nasze nabożeństwa miały ładną, miłą i przyjemną oprawę. Jakże zborownicy ucieszyli się, gdy któregoś dnia przy fisharmonium zobaczyli piękną, miłą, młodą panią pastorową. (Zdradzę, że niektórzy przychodzili na nabożeństwa, by wpatrywać się i podziwiać panią pastorową. Teraz mogli ją oglądać „twarzą w twarz", siedzącą przy fisharmonium.) Natomiast żona podziwiała moje kazania, stale powtarzając: „Skąd jemu to wszystko przychodzi?". Wiedziała bowiem, że prywatnie należałem do ludzi małomównych, do „mruków". „A tu w kazaniach sypie mu się, jak z rękawa".

W kazaniach moich wzorowałem się na kaznodziejach gromadkarskich. Śmiało można powiedzieć, że byłem „Kukatowcem". Tak, jak na nabożeństwach gromadkarskich, tak i na moich słuchacze byli wzruszeni aż do łez, ja razem z nimi. Kazania moje wygłaszałem *ad hoc, ex cathedra,* bez czytania notatek. Do kazania wybierałem odpowiedni temat, podbudowany dobrymi wersetami Słowa Bożego, szczególnie z Nowego Testamentu, opierając się przede wszystkim na słowach Jezusa Chrystusa. Różniłem się od kaznodziei gromadkarskich tym, że robiłem na kartce dyspozycje, czego gromadkarze nie robili. Można by powiedzieć, że wygłaszali kazania bez przygotowania. W moich kazaniach czułem wyraźnie inspirację Ducha Bożego. Temu właśnie ufali też gromadkarze. Słusznie zauważył mój brat, Karol, będąc jedyny raz na moim nabożeństwie, że „kazanie Edwarda ma czysto gromadkarski charakter". Wykształcenie nauczycielskie i domowe wychowanie religijne bardzo ułatwiły moją pracę.

Praca kościelna w Ełku bardzo się rozwijała. Moja małżonka w krótkim czasie przejęła całość grania na fisharmonium: liturgii i pieśni. Wtedy mogłem śpiewać drugim głosem, a gdy niektórzy również śpiewali drugim głosem, wtedy ja przeszedł na bas lub tenor. Pieśni nasze słyszało się, jakby chór śpiewał. Radość dla wszystkich. Nawet przechodnie podziwiali piękno naszych pieśni.

Latem każdej niedzieli miałem nabożeństwo w Ełku i po południu gdzieś na wsi, często trzy nabożeństwa każdej niedzieli. Dojeżdżałem do następujących miejscowości, gdzie w domach prywatnych odbywały się nabożeństwa: Milewo (Stankewitz Szostak), Kalinowo (Lysewski), Długie (Monselewski), Iwaszki (Borowy), Andrejki (Gänseleiter), Stożne (Nikulka), Wiśniewo (Kolenda Kłoskowski), Krzywe (Jesgarek), Małe Laski (Drasba), Kopiejki (Kania), Nowa Wieś (Grusdat Lask), Prostki (Schiemann), Ruska Wieś (Bondzio), Klusy (Kobiałka), Różyńsk (Druba), Grabnik (Lokowand), Sajzy (Wierucz), Przytuły (Leimann), Sędki (Soboll), Szeligi (Walendy), Sofy (Libuda) i w innych miejscowościach.

Zborownikom trudno było dochodzić, najczęściej pieszo na nabożeństwa w Ełku, więc ja rowerem dojeżdżałem do nich nawet w dni powszednie.

W parafii było dużo młodzieży. Wpadłem na pomysł zorganizowania kursu dla nauczycieli religii. Zgłosiło się 31 osób z poszczególnych miejscowości, z rodzin religijnych. Razem z moją żoną i Lizą Soboll było 33 osoby. Na kursie omówiłem metodę nauczania

podstawowych zasad wiary i historii biblijnych, korzystając głównie z Biblii. Jak to się czasami historia powtarza. Moi rodzice 80 lat temu też uczyli się tylko na podstawie Biblii.

Dzieci ze Szkółki Niedzielnej
Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, Ełk 1946 r.
Pastorowa Jadwiga Mallek i Lisa Soboll(ewska)
rozdają kanapki i słodycze z darów kościoła

Niektórzy z młodzieży nadawali się do prowadzenia nabożeństw na wsi. Do nich należeli: Jan Waschk, Helmut Sylla (Zyła), Gerd Nowak, Heinz Sokołowski, Günter Donder, Halina Korobczenko, Gerda Jelonek, Inga Mottel, Krystyna Prostka. Jak widać, wysyłałem też niewiasty, by głosiły Ewangelię Jezusa Chrystusa. Tego kościoły oficjalnie jeszcze nie stosowały. Ludzie na wsi cieszyli się bardzo, że mogli się zbierać, pośpiewać, pomodlić się, posłuchać Słowa Bożego z ust tak młodych osób.

Główne uroczystości świąteczne i konfirmacje odbywały się zawsze w Ełku. Wtedy kaplica była pełna, musieliśmy nawet otwierać drzwi do sali na zapleczu. Na te uroczystości przybywali ludzie z całego powiatu, a nawet z sąsiednich powiatów, przeważnie pieszo. Wtedy wygody nie grały roli. Każdy pragnął znaleźć się w kościele, by razem z innymi chwalić i dziękować Bogu za wszelkie dobrodziejstwa. Najważniejszym świętem w Kościele Ewangelickim jest Wielki Piątek – pamiątka ukrzyżowania i śmierci Jezusa Chrystusa. Śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu to fundament wiary chrześcijańskiej, to krwawa ofiara i okup Jezusa za grzechy ludzkości, bowiem: „Krew Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu" – 1 Jana 1,7. „Przez krew Jezusa mamy odkupienie, odpuszczenie grzechów" – Efez. 1,7. Śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu jest ukoronowaniem jego misji na świecie, jest spełnieniem woli Bożej, wypowiedzianej Józefowi, mężowi

Marii, przez anioła w widzeniu: „Józefie, synu Dawidowy, nie lękaj się przyjąć Marii, żony swej, albowiem to, co się w niej poczęło, jest z Ducha Świętego, a urodzi syna i nadasz mu imię Jezus, albowiem on zbawi lud swój od grzechów jego" – Mat. 1,20-21.

Zbawienie przez wiarę w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego – to opoka wiary chrześcijańskiej. Dlatego Ewangelicy uroczyście obchodzą pamiątkę śmierci Jezusa Chrystusa w Wielki Piątek. Wszyscy śpieszą do kościoła, aby społecznie wyznać grzechy, dla których Jezus zawisnął na krzyżu i błagać Boga o przebaczenie, słowami: „Wszechmogący Boże, miłosierny Ojcze, ja, ubogi, nędzny, grzeszny człowiek, wyznaję przed Tobą moje grzechy i nieprawości, które dokonałem myślami, słowami i uczynkami, którymi Cię rozgniewałem i zasługuję na ukaranie doczesne i wieczne. Ale tego wszystkiego jest mi serdecznie żal, i proszę Cię według nieskończonego miłosierdzia Twego i gorzkiej i niewinnej męki i śmierci Syna Twego miłego Jezusa Chrystusa, bądź mi nędznemu, grzesznemu człowiekowi łaskaw i miłościw, wszystkie moje grzechy racz mi odpuścić, a do poprawy mojej daj mi moc Ducha Twego Świętego. Amen".

Nauczyciele religii Parafii Ewangelicko-Metodystycznej na cały powiat Ełk od 1945 r.

Czyniono to zgodnie z Pismem Świętym, gdzie czytamy: „Jeśli wyznamy grzechy swoje, wierny jest Bóg i sprawiedliwy i odpuści nam grzechy i oczyści od wszelkiej nieprawości" – 1 Jan 1,9. Po ogólnej spowiedzi, pastor przypomina słowa ustanowienia Wieczerzy Pańskiej przez Jezusa, którą nazywamy Komunią Świętą (społeczność wierzących), po czym komunikanci spożywają chleb i piją wino zgodnie ze słowami Pisma Świętego: „Pan Jezus tej nocy, której był wydany, wziął chleb, a podziękowawszy, złamał i rzekł: Bierzcie, jedzcie, to jest ciało moje za was wydane". „Potem wziął kielich i podziękowawszy, dał im, mówiąc: Pijcie z niego wszyscy; albowiem to jest krew moja nowego przymie-

rza, która się za wielu wylewa na odpuszczenie grzechów; to czyńcie ilekroć pić będziecie, na pamiątkę moją" – Mat. 26, 26-28 i 1 Korynt. 11, 23-25.

Święto Żniw Parafii Ewangelicko-Metodystycznej w Ełku

Zwyczajem domowym u ewangelików w Prusach Wschodnich i w Działdowszczyźnie było, że domownicy przed udaniem się do Komunii Św., wzajemnie sobie wybaczali swoje przewinienia. Najpierw dzieci przystępowały do rodziców, potem między rodzeństwem, mówiąc: „Przebacz mi, cokolwiek złego uczyniłem". Odpowiadano: „Niech ci odpuści Pan Jezus". Zwyczaj ten opierał się na słowach Pisma Św.: „Odpuść nam (Boże) winy nasze, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom" – Mat. 6,12. „Bo jeśli odpuścicie ludziom ich przewinienia, odpuści i wam Ojciec wasz niebieski. A jeśli nie odpuścicie ludziom, i Ojciec wasz nie odpuści wam przewinień waszych" Mat. 6, 14-15. W tym sensie należy rozumieć słowa: „Cokolwiek byście związali na ziemi, będzie związane i w niebie; i cokolwiek byście rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie" – Mat. 18, 18 i Mat. 16, 19.

Papiestwo, błędnie interpretując te słowa, wyprodukowało tak zwaną „Władzę kluczów": że papież (księża, biskupi Kościoła katolickiego) mają prawo odpuszczania grzechów, związywania i rozwiązywania małżeństw itd. A przecież słowa powyższe skierowane są do ogółu wyznawców Jezusa Chrystusa. Bowiem Jezus nie ustanowił ani papiestwa, ani kapłaństwa z „kluczami" do nieba, bowiem „kluczem" do nieba jest sam Jezus Chrystus, bowiem jest „kamieniem węgielnym" Domu Bożego.

Pewne obyczaje religijne związane z Wielkim Piątkiem, uważam, [że] były bardzo wychowujące, gdyż człowiek przynajmniej raz do roku uważał siebie za grzesznika, winowajcę wobec ojca, matki, siostry, brata, dzieci, bliźniego i prosił ich o przebaczenie; raz do roku uznawał się grzesznikiem wobec Boga, prosząc Go o przebaczenie, przystępując do Komunii Św., przyznając się do społeczności z Jezusem Chrystusem.

W obecnych czasach w wielu kościołach ewangelickich nie stosuje się spowiedzi ogólnej, bo prawda, że Jezus Chrystus nie ustanowił ani ogólnej, ani „usznej" spowiedzi. Dlatego mało jest tych, którzy uważają się za grzeszników, że mają złe myśli, używają złych słów i postępują źle. Nawet zbrodniarz, zabójca nie przyznaje się, szuka alibi, a z pomocą adwokata szuka okoliczności niewinności. Dlatego zło rozszerzające się na świecie nie ma żadnych hamulców. Nawet UNO, NATO, „Kirchentage"[267] są bezradne, gdyż zło leży w sercu człowieka i zwalczać można je jedynie wiarą w Boga, objawionego przez Jezusa Chrystusa.

Dawne zwyczaje wielkopiątkowe stosowałem w Ełku jako pastor tamtejszej parafii.

148
Stosunek Polaków do Mazurów

Tak jak w województwie olsztyńskim, tak samo i tu w trzech powiatach mazurskich (Ełk, Olecko, Gołdap), przyłączonych do województwa białostockiego, Polacy traktowali Mazurów za Niemców, mimo iż porozumiewali się z nimi całkiem swobodnie po polsku. Zresztą od dawnych lat znali się dobrze, handlując, szmuglując towary przez granicę, to w jedną, to w drugą stronę. Polacy bywali też na robotach sezonowych w Prusach Wschodnich.

Na 5700 osób zarejestrowanych w mojej parafii było najwyżej dwadzieścia osób w powiecie ełckim, z którymi mogłem się porozumieć tylko po niemiecku, reszta mówiła po mazursku. Wystarczy spojrzeć na wymienione przeze mnie nazwiska, by stwierdzić, że są to nazwiska polskie. Ale dla polskich katolików to wszystko (mowa, nazwiska) jest nieważne. Przecież to są „Lutry", a więc „Szwaby!".

Nieważne są dawne znajomości poprzez granicę. Zapomniano, że Mazurzy Prus Wschodnich byli chlebodawcami dla wielu robotników sezonowych z Polski. Teraz „my, Polacy, jesteśmy tu panami, gospodarzami". „Wy, Szwaby, won stąd!".

Bandy Polaków napadały domostwa Mazurów, strzelając, przeważnie nocą, wypędzali ich z ich własności. Wiosną 1946 roku zajechałem do Milewa, wstąpiłem do Stankiewiczowej, która żyła z córką Martą. Dowiedziałem się, że Stankiewiczowej drugi mąż, Szostak, został w ostatnich dniach nocą przez bandę Polaków trafiony dwoma kulami w płuca i leży w szpitalu w Ełku, a druga córka, Hildegard Stankiewicz, trafiona w kręgosłup, sparaliżowana, leży w szpitalu w Białymstoku. Natychmiast odwiedziłem oboje*. Lekarze w obu wypadkach byli bezradni, mimo iż dawałem do dyspozycji pieniądze na dodatkowe koszty leczenia. Niestety, oboje pochowałem: najpierw Szostaka w Ełku, a za kilkanaście

[267] Dni – zjazdy Kościoła.
* W oryginale „obojga" – Red.

dni piękną, młodą, dwudziestoletnią panienkę Hildę Stankiewicz na cmentarzu w Białymstoku.

W ten sposób, strachem, wyzwiskami, napadami bandyckimi wypędzano Mazurów z ich własnych gospodarstw. Tylko niektórym Mazurom udało się obronić swoje domostwo. Ale wszystkie gospodarstwa były wyrabowane z inwentarza żywego i martwego. Gdziekolwiek się zaszło, w mieszkaniach, w gospodarstwach wyglądało prawdziwie jak po wojnie. Wszyscy Mazurzy bali się nadejścia nocy. Gdy już nic nie było do rabowania, to zaczęto rozbierać budynki (stodoły, obory) i wywozić do Polski. Tam się Polacy budowali. Można to było oglądać w powiecie Grajewo.

Mazurów na Suwalszczyźnie mordowano: Sakowski, Klimach, względnie więziono: Julian Krüger, Helena Korobczenko, tylko dlatego, że Hitler uznał ich za Volksdeutsch[268].

Walka Polaków przeciw Mazurom nastroiła Mazurów negatywnie, wrogo do wszystkiego, co polskie. Dzieci mazurskie nie chodziły do szkoły. W Ełku poznałem rodzinę autochtoniczną, Majewskich, wyznania katolickiego. Majewska, wyznania katolickiego. Majewska była Mazurką, a jej mąż pochodził z powiatu lubawskiego. Mieli dwunastoletnią córkę. Wyglądała na panienkę, wyrośnięta, korpulentna. Pani Majewska należała do Polskiego Związku Zachodniego (PZZ), była członkiem zarządu. Majewski nie chciał w ogóle mówić o Polakach. Zapytałem Majewskich, do jakiej szkoły chodzi ich córka. Majewska powiada: „Do żadnej!". „Jak to?" – pytam. Majewska zaczyna opowiadać: „Na początku, gdy otwarto szkoły, dzieci mazurskie i moja córka zaczęły uczęszczać do szkoły. Ale gdy wychodziły ze szkoły do domu, były obrzucane kamieniami i wyzywane od Szwabów, Niemców i hitlerowców. Więc dzieci i moja córka przestały chodzić do szkoły i taki stan się utrzymuje nadal". „To źle" – powiadam. Pani Majewska powiada, że Zarząd PZZ stara się temu zaradzić, ale starania nie odnoszą skutku. „Zresztą nastroje u Mazurów są obliczone na wyjazd do Niemiec" – powiada Majewska, dodając: „Mój mąż też powiada: uciekać!". „Tylko ja się jeszcze zastanawiam" – kończy pani Majewska.

Teraz dopiero zrozumiałem, jak bardzo zależało wojewodzie Stefanowi Dybowskiemu i staroście w Ełku, bym wytężył wysiłki na zmianę nastawienia Mazurów do władz polskich, oraz na to, by dzieci wciągnąć do szkoły polskiej. Zadanie nie lada...

149
Proces z Polskim Czerwonym Krzyżem

Odwiedzając ewangelików, pewnego słonecznego dnia przechodziłem przez podwórko pani Siwek, przy ulicy Orzeszkowej 4. Na podwórku zauważyłem dwóch bawiących się chłopczyków w wieku około dwóch i czterech lat. Zbliżyłem się do nich. Widzę, na ogrzanym słońcem płaskim kamieniu „smażą" rybki i jedzą na surowo.

Przykucnąłem do nich i wdałem się w rozmowę. Spojrzeli na mnie podejrzliwie, ale gdy odezwałem się po niemiecku, ośmielili się i ten starszy odpowiadał na moje pytania: „Czy rybki smakują?". „Tak", odpowiedzieli. „Jakie są wasze imiona?". Powiedzieli swoje

[268] Przynależący narodowo do ludu niemieckiego.

imiona, których dziś nie pamiętam, ale pamiętam nazwisko ich matki: Fröhlich. Zapytałem o ojca, o matkę. O ojcu nic nie wiedzieli, a o matce powiedzieli tylko tyle, że nie ma jej w domu. Z pewnością była gdzieś na przymusowej pracy. Odniosłem wrażenie, że dzieci zdane są na pastwę losu. A może nawet nie mają matki i są sierotami?

Wiedziałem w międzyczasie, że Polski Czerwony Krzyż utrzymuje „Dom Opieki nad Dziećmi", czyli sierociniec. Biura PCK mieściły się obok naszej kaplicy tylko przez ścianę, przy ulicy Słowackiego 24. Nie namyślając się wiele, idę wprost do biura PCK, aby przekazać spotkanych chłopców do sierocińca. W biurze PCK na parterze zastałem trzy panie żywo rozmawiające ze sobą na stojąco, nie zwracając uwagi na mnie. Przeprosiłem grzecznie i prosiłem o rozmowę z panią kierowniczką. Odwróciła się jedna z pań i pyta: „Czego pan chce?". Na to przedstawiłem się jako ewangelicki pastor, prosząc o przyjęcie dwóch chłopców, dzieci mazurskich do sierocińca. Nie wchodząc ze mną w rozmowę, oczywiście nie podając mi ręki, kierowniczka wulgarnie parsknęła słowami: „Tak, mogą być przyjęte, ale najpierw muszą być ochrzczone w Kościele katolickim!". Widocznie osoba moja zadziałała na kierowniczkę jak czerwona płachta na byka.

Gdy te słowa usłyszałem, zareagowałem pytaniem: „Jak to muszą być ochrzczeni?". „A tak tak, tak musi być" – powiada kierowniczka. Na to ja: „To znaczy, że my żyjemy w czasach krzyżackich, kiedy to Krzyżacy dawali Starym Prusom do wyboru: chrzest albo śmierć! Nie myślałem, że te czasy się powtórzą na tej ziemi". Kierowniczka strasznie się oburzyła, wymachując rękami, że obrażam ją i instytucję PCK. „Widzę, że z panią nie mam o czym mówić" – tymi słowy zakończyłem moją wizytę w biurze PCK w Ełku.

Po wyjściu z PCK odszukałem matkę tych chłopców, nazywała się Erna Fröhlich, młoda niewiasta, wdowa, mąż jej zginął na wojnie, a ona obecnie musi przymusowo pracować, otrzymując za to mizerne jedzenie. Oczywiście, chłopcy nie poszli do sierocińca. Sierociniec w Ełku umieszczono w jednym z gospodarstw za byłą „Domeną", obecnie PGR-em. Kierowniczką była pani Szymańska, żona nauczyciela. Znajdowały się tam sieroty, dzieci ewangelickich rodziców, przymusowo ochrzczone na wiarę katolicką. Tak samo, jak i te, które pojedynczo znajdowały się w polskich katolickich rodzinach, jak na przykład rzeźnik w Nowej Wsi miał ładną dziesięcioletnią dziewczynkę. Gdy starałem się ją zabrać, wywiózł ją w nieznane strony do Polski. Albo Günter Bucholski, dwunastoletni chłopiec, był pastuchem i robotnikiem u gospodarza w powiecie Grajewo. Za moją namową uciekł na Śląsk, gdzie pracował w PGR w miejscowości Bogatynia. Takich „katolickich chrztów" dzieci ewangelickich była niezliczona ilość.

Myślałem, że na tym incydencie w Polskim Czerwonym Krzyżu moja interwencja o przyjęcie chłopców do Domu Opieki się skończyła. Gdy tymczasem nieoczekiwanie po kilku dniach otrzymuję z Sądu Powiatowego pozew-oskarżenie o zniesławienie instytucji PCK i obrazę personelu PCK. Na świadków podano owe trzy panie z biura PCK, między nimi kierowniczka, pani Zawardko. Korzystając z prawa odwołania, wniosłem do tegoż Sądu sprzeciw, przedstawiając sprawę zgodnie z prawdą. Ponieważ w sprawie chodziło o zniesławienie instytucji PCK, więc jako oskarżyciel występował prokurator. Jednym słowem sprawa bardzo poważna i groźna. W sprawach sądowych nie byłem laikiem ani nowicjuszem. Z wielką ciekawością czekałem na rozprawę. Byłem pewny, że będzie to bardzo interesujące wydarzenie, biorąc pod uwagę okoliczność, że żyliśmy w państwie komunistycznym.

Elfrieda/Elwira Bucholska – pielęgniarka dyplomowana
Z prawej: jej brat Gerhard Bucholski

Reinhold Stinka, urodzony 16.01.1932 i Ewald Stinka, urodzony 9.10.1933

Nadszedł termin rozprawy. Wchodzę na salę. Widzę tylko sędziego. Nie ma ani prokuratora, ani pani Zawardko, ani innych świadków. Sędzia otwiera postępowanie, ogłasza-

jąc, że prokurator jako oskarżyciel publiczny, jak również pani Zawardko jako oskarżycielka cywilna, wycofują pozew, rezygnując z oskarżenia. Sędzia dodał: „Przecież ze sprzeciwu pastora Edwarda Małłek wynika, że personel PCK w osobie pani Zawardko [oraz] ta pani zniesławiła Kościół ewangelicki i ubliżyła osobiście pastorowi Edwardowi Małłek. Sprawa może przybrać obrót odwrotny, w której oskarżoną będzie tak z postępowania publicznego, jak i prywatnego pani Zawardko, o ile pastor Małłek o to wniesie”. Co za zmiana. Z oskarżonego stałem się oskarżycielem. Skarga pani Zawardko stała się dla niej bumerangiem, który uderzył w nią samą. W kołach Sądu Powiatowego zastanawiano się nad tym, czy też pastor Małłek skorzysta ze swego prawa. Czy wniesie skargę przeciwko pani Zawardko? Sprawa odbiła się głośnym echem w całym mieście.

W Sądzie Powiatowym byłem codziennym bywalcem, ponieważ potrzebowali mnie jako tłumacza szczególnie w oddziale ksiąg wieczystych. Sekretarz Sądu Powiatowego i kierowniczka oddziału ksiąg wieczystych (bardzo uprzejma pani zza Buga) stale pytali mnie: „No co, będzie pan pastor zaskarży panią Zawardko?”. Cóż, kiedy pani Zawardko jeszcze przed sprawą znikła z Ełku jak kamfora. Po prostu uciekła bez podania adresu. Prokurator zapewniał mnie, że jeżeli wniosę skargę, to prokuratura będzie ją poszukiwała. W każdym razie groziła jej poważna kara. Ponieważ sprawa nabrała tak dużego rozgłosu, że oskarżycielka musiała uciekać, uważałem, że doznałem pełnej satysfakcji i zrezygnowałem z nowej sprawy. Zdobyłem przez to poważanie u prawników Sądu Powiatowego, jak również u mieszkańców miasta. Sprawiedliwości stało się zadość.

150
„Kristall-Sonntage” w Ełku[269]

Dość powszechnie wiemy, co to jest Kristallnacht[270] z dnia 9-go na 10-tego listopada 1938 roku, której to nocy na rozkaz hitlerowskiego ministra propagandy Josepha Goebelsa hordy hitlerowskie napadały na żydowskie bożnice, sklepy, mieszkania, tłukąc szyby, niszcząc i rabując mienie żydowskie w całych Niemczech, a szczególnie w Berlinie. Przy tym zabito około stu Żydów i aresztowano około trzydziestu tysięcy Żydów, osadzając ich w obozach koncentracyjnych. Ale co to są „Kristall-Sonntage” w Ełku?

Z chwilą otwarcia kaplicy i urządzania nabożeństw ewangelickich w Ełku zgraja katolików każdej niedzieli, w czasie każdej uroczystości, urządzali napady na kaplicę, tłukąc szyby, waląc butami i kamieniami w drzwi wejściowe, wykrzykując wyzwiskami. Z początku byli to opryszkowie w wieku do czternastu lat. Stopniowo zwiększały się bandy do stu osób różnego wieku. Pytanie: kto dawał w tym wypadku rozkaz, by tłuc szyby i przeszkadzać w nabożeństwach ewangelickich? Można się domyślać, z jakiej „stolicy” pochodziły rozkazy.

Pod koniec sierpnia 1946 roku przyjechał na wizytację superintendent na Okręg Mazurski Chambers (Czembers), obywatel angielski, mówiący po polsku. Przyjechał samochodem. W czasie nabożeństwa powstało ogromne zbiegowisko katolików. Otoczyli kapli-

[269] Niedziele kryształowe.
[270] Noc kryształowa.

cę i zaczęli „bombardować", tłukąc szyby. Jeden kamień, rzucony przez okno z ulicy, o mało nie trafił w głowę przemawiającego superintendenta. Po nabożeństwie Milicja Obywatelska otoczyła kaplicę. Ale nie myślcie, że aresztowała kogokolwiek z napastników, tłukących szyby. Milicja Obywatelska, uzbrojona w karabiny gotowe do strzału, nie pozwoliła nikomu opuścić kaplicy. Ja z superintendentem weszliśmy do przyległej sali. Tam zjawiło się trzech milicjantów i legitymują superintendenta, żądając pokazania dowodów osobistych. Niestety, superintendent nie miał przy sobie paszportu, tłumacząc, że w jego kraju, w Anglii nikt nie nosi przy sobie dowodów osobistych. Wytłumaczyłem milicjantom, kim jest superintendent, że stanowisko jego równa się z biskupem w Kościele katolickim. Wówczas ten niby dowódca „oblężenia" kazał wypuścić ludzi z kaplicy, a mnie i superintendenta trzymali pod strażą, pod karabinami, aż przyszedł komendant powiatowy Milicji Obywatelskiej. Ten zorientowawszy się w sytuacji, mówiąc o „pomyłce", przeprosił i zwinął „oblężenie". Przestraszony superintendent zorientował się, w jakich warunkach pracujemy w Ełku.

„Kryształowe niedziele" powtarzały się co tydzień i to wcale z niesłabnącą siłą. Powstawały szkody i koszty przez wstawianie nowych szyb. W międzyczasie poznałem inspektora Państwowego Zakładu Ubezpieczeń, pana Masiałka. Ten poradził mi, abym ubezpieczył kaplicę i mieszkanie. Tak też to zrobiłem. Co poniedziałek przychodził pan Masiałek stwierdzić szkodę. Na drugi dzień szklarz wstawiał szyby, wystawiając rachunek, który w całości pokrywał Państwowy Zakład Ubezpieczeń. Odtąd nie mieliśmy strat materialnych. Ale napady wcale się nie zmniejszyły. Którejś niedzieli było tak niebezpiecznie, że żona postanowiła udać się do Milicji. Wyszła na plac, a tu banda otoczyła ją i pyta, dokąd chce iść. „Idę po Milicję, bo co wy tu wyrabiacie?" – powiada. A zgraja krzyczy: „Spróbuj tylko iść, to te kamienie pójdą na ciebie". Żona była tak otoczona, że nie mogła się ruszyć z miejsca. Słysząc wrzawę, wyszedłem z kaplicy, aby zobaczyć zgraję rozjuszonych dzikich fanatyków, gotowych ukamienować moją żonę. Nie mieli litości nad niewiastą w wysokiej ciąży. Żona z trudem wydostała się z motłochu.

Akcja Katolicka przybrała taki rozmiar, że po pewnej uroczystości szklarz miał 184 szyby (małego rozmiaru) do wstawienia, wybite przez hołotę katolicką. Ktoś zapytał: „A Milicja Obywatelska nie interweniowała na takie wykroczenia?". A jakże, interweniowała. Ale jak? Posłuchajcie: pewnej niedzieli już po nabożeństwie, kilku opryszków nadal tłukli szyby. Zaczaiłem się i udało mi się jednego z nich, około czternastoletniego chłopca chwycić. Ten zaczął na cały głos wrzeszczeć i wołać: „Milicja! Milicja!". I rzeczywiście zza węgła kaplicy nadchodzi szybkim krokiem milicjant i mówi do mnie: „Czego chcesz od tego chłopca?". „Nic innego, tylko oddać go wam, w wasze ręce, gdyż on należy do tych, którzy tłuką nam szyby", powiadam. Na to milicjant uniesionym, ordynarnym, rozkazującym głosem krzyczy: „Puść chamie chłopca (wyciągając rewolwer), bo inaczej kula w łeb". Tak się skończyła interwencja Milicji Obywatelskiej. No cóż, trzeba było puścić chłopaka, który odszedł ręka w rękę z milicjantem. Być może, że był to młodszy brat milicjanta? Naturalnie „Kristall-Sonntage" szły dalej.

Rozmyślałem, jakby można wpłynąć na zmniejszenie napadów na kaplicę. Ponieważ kaplica była ubezpieczona, postanowiłem wywiesić „apel" do napastników, w którym poinformowałem, że tłukąc nam szyby, nie wyrządzają nam szkody, ale Państwu, gdyż szyby są ubezpieczone i Państwowy Zakład Ubezpieczeń zwraca nam koszt wyrządzonej szkody. Z początku nie zauważono wywieszonego „apelu" i „bombardowanie" kaplicy szło dalej.

Dopiero stopniowo napady, przynajmniej te jawne, zmniejszały się. Tłukli nadal, ale niepostrzeżenie. Chyba teraz obawiali się konsekwencji ponoszenia kosztów nie na rzecz kościoła, ale wobec PZU. Ktoś zapytał: „Jak długo trwają »Kristall-Sonntage« w Ełku?". Tak długo, jak długo odprawiałem nabożeństwa w kaplicy. Bo w 1953 roku kaplica została bezprawnie przekazana przez władze państwowe Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu.

Kościół Metodystyczny został zepchnięty do mniejszej sali na zapleczu, od ogrodu, mniej przystępnej dla napastników. Takie oto były warunki bytowania w „tolerancyjnej" Polsce. Tolerancja w Polsce? Chyba żartujesz! Chyba drwisz! Chyba szydzisz!?... Ach, bardzo przepraszam, przecież był okres, kiedy Polska rzeczywiście słynęła tolerancją na całym świecie. Z różnych krajów świata innowiercy / niekatolicy w Polsce znajdowali przytułek. Okres ten w Polsce zapisano jako „Złoty Wiek", „Wiek Oświecenia". Kiedy to było? Jak to się stało?

Źródła historyczne podają, że Konferencja Warszawska w 1573 roku uchwaliła i ogłosiła zasadę o tolerancji religijnej za jedną z najważniejszych idei w życiu społecznym. Czytamy tam: „A iż w Rzeczypospolitej naszej jest różmość niemała w sprawie religii chrześcijańskiej, zabiegając, aby się z tej przyczyny między ludźmi bunt, jaka szkoda nie wszczęła, którą po inszych królestwach jaśnie widzimy, obiecujemy to sobie spólnie za nas i potomków naszych na wieczne czasy pod obowiązkiem przysięgi, uczciwością, honorem i sumieniem naszym, iż którzy jesteśmy rozróżnieni w religii pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w kościelech krwie nie przelewać ani nie karać konfiskatą dóbr, pozbawieniem czci, więzieniem i wygnaniem".

Jeżeli taka uchwała mogła się zrodzić, to dlatego, że w tym czasie w sejmikach Rzeczypospolitej Polskiej dominowali luteranie, kalwini i arianie. Czy to nie znamienne: „Złoty Wiek Oświecenia", tolerancji w Polsce za panowania heretyków?

151
Nasze dzieci w szkole w Ełku

Po przybyciu do Ełku, nasz syn, Robert, ur. 27.2.1936 roku w Działdowie, uczęszczał do Szkoły Podstawowej nr 4 przy ulicy Kościuszki, obok koszar. W tym czasie żadne dziecko ewangelickie, dodajmy mazurskie, nie uczęszczało do szkoły. A zatem Robert był jedynym ewangelickim dzieckiem w szkole.

Z początku nie zauważyliśmy nic takiego, co mogłoby świadczyć, że dziecko przechodziło jakieś trudności, czy też przykrości. Po pewnym czasie zauważam, że syn przychodzi ze szkoły zapłakany, ale nic nie mówi. Na moje pytanie: dlaczego płaczesz? – nie odpowiada. Milczy. Myślę sobie: a pewnie poturbowali siebie chłopaki między sobą, więc nie przejmowałem się tym zbytnio. Aż któregoś dnia przychodzi tak zapłakany, że nie można było go uspokoić, utulić. „Musiało się coś wydarzyć" – pomyślałem. Chwilowo Robert nie chce powiedzieć, dlaczego płacze. Ale w końcu skłoniłem go do powiedzenia przyczyny jego płaczu. Robert opowiada: nauczyciel gimnastyki wyprowadza klasę chłopców na plac szkolny, ustawia w szeregu i powiada: „A teraz »Niemiaszek« Małłek wystąp. Chodź ze mną". Zaprowadził Roberta na jedną stronę boiska, gdzie leżały kamienie. Na-

uczyciel mówi do Roberta: „Bierz kamień za kamieniem i przenoś na drugą stronę boiska". Ile tych kamieni było, nie pytałem. Gdy Robert przeniósł kamienie na drugą stronę, wtedy nauczyciel mówi do niego: „A teraz przenoś kamienie z powrotem, na tamtą stronę". „Ale co najgorsze przy tym, mówi Robert, to to, że cała klasa się śmieje i przezywa mnie »Szwab«. Syn, opowiadając o tym strasznym przeżyciu, nie może pohamować swoich łez.

Można sobie wyobrazić moją złość. Nie mogłem znaleźć miejsca ze zdenerwowania. Nie mogłem od razu pójść do szkoły, bo było już po lekcjach. Ale na drugi dzień rano udałem się do kierownika szkoły i przedstawiłem sprawę tak, jak ją usłyszałem od syna. Kierowniczka szkoły uważnie wysłuchała mojej relacji. Zaszokowana sprawą, przeprosiła mnie, że coś takiego mogło się wydarzyć w jej szkole. „My natychmiast zajmiemy się tą sprawą. Niech pan pastor będzie pewny, że nauczyciel nie zagrzeje tu miejsca ani jednego dnia", rzekła kierowniczka. I rzeczywiście, nauczyciela sadystę z miejsca zwolniono. Odtąd Robert miał spokój w szkole.

W 1948 roku wstąpiła do szkoły nasza córka Jadwiga, ur. 20.06.1941 roku w Słoszewie, powiat Płońsk, w czasie okupacji hitlerowskiej. W pierwszych latach nie uskarżała się na jakieś prześladowania. Dopiero gdzieś, gdy miała 11–12 lat, przezywano ją: „córka popa" i innymi obraźliwymi wyrazami, zniesławiającymi wiarę ewangelicką. Ale córka sama poradziła sobie z wrogimi koleżankami. Jednej z nich dostało się po wulgarnym pysku i odtąd wszystkie inne miały respekt przed córką. Trzeba i w ten sposób bronić swego honoru.

Młodzież Bursy Mazurskiej Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego
Ełk, założona 1.9.1947 r.

152
Dom Starców w Piętkach, powiat Ełk

Na konferencji Kościoła Metodystycznego w Warszawie jesienią 1946 roku superintendent K. Najder polecił mi, abym wyszukał w powiecie Ełk odpowiednie gospodarstwo, które nadawałoby się na założenie Domu Opieki. Powiedział, że Rada Kościołów w Szwajcarii obiecała dać na ten cel jeden milion złotych i potem dalszą pomoc. Przejąłem się tą sprawą, ponieważ w powiecie było dużo starszych ludzi, szczególnie kobiet, potrzebujących pomocy i opieki. Wiadomością tą podzieliłem się przede wszystkim z moimi kaznodziejami świeckimi: Monselewskim z Długiego, Kobiałką z Ogródka i Libudą z Sof. Oni zaczęli szukać za odpowiednim gospodarstwem. Tylko Monselewski znalazł odpowiedni majątek poniemiecki, niezajęty i nadający się na dom starców. Pojechałem do Monselewskiego i razem z nim poszliśmy oglądać wskazany majątek, położony o jeden kilometr od Monselewskiego. Były tam dwa duże gospodarstwa, opuszczone przez właścicieli niemieckich w Piętkach (dawniej Blumental) koło Kalinowa, powiat Ełk. Jeden majątek z zabudowaniami znajdował się po prawej stronie szosy, drugi po lewej stronie, idąc od Kalinowa. Jedynie odpowiadałby majątek po lewej stronie szosy, blisko posiadłości Monselewskiego. Majątek ten posiadał obszerne, w dobrym stanie zabudowania: dom mieszkalny z ogrodem, obora, stajnia, świniarnia, stodoła, kuźnia i pięć murowanych, w dobrym stanie domów robotniczych, leżących przy szosie. Do majątku prowadziła alejka, wysadzana brzozami. Nasz wybór padł na Piętki.

Młodzież Parafii Ewangelicko-Metodystycznej Ełk
W pierwszym rzędzie siedzą:
Z. Karczewski, pastorowa J. Małłek, E. Małłek, H. Nowakowska, Miśkow

Zwróciłem się do Starostwa Powiatowego, Urzędu Ziemskiego z podaniem o bezpłatne przydzielenie Parafii Kościoła Metodystycznego w Ełku majątku ziemskiego w Piętkach pod dom starców dla autochtonów wyznania ewangelickiego. Nie było trudności w otrzymaniu przydziału majątku (bo komisarz ziemski otrzymał paczki CARE). Otrzymałem akt na piśmie, opiewający na bezpłatne użytkowanie majątkiem na czas nieograniczony. Zawiadomiłem o tym superintendenta Najdera w Warszawie. Natychmiast przysłał koleją kilkanaście krów, zacielonych jałówek i sześć koni. Umieściliśmy je razem w stajni. Paszy, siana, słomy było pod dostatkiem. Muszę zaznaczyć, że ze stodoły ocalał tylko dach, gdyż ściany szabrownicy rozebrali i wywieźli do Polski. Na stróża ochotniczo zgłosił się pan Borowy z Iwszak (dwa kilometry od Piętek, były oberżysta i gospodarz). Pan Borowy nocował razem z końmi i bydłem tak, jak kiedyś normalnie nocowali parobki. Nim ochłonęliśmy z wrażenia, że mamy nowe zadanie przed sobą, jeszcześmy się nie urządzili, jeszcze dom pusty, tylko pan Borowy, jedyny stróż z żywym inwentarzem, a tu nagłe straszne zaskoczenie.

153
Pożar Domu Starców

Jest piękna, słoneczna, ciepła, majowa niedziela. Majątek Domu Starców w Piętkach się pali! Naszego stróża pana Borowego, który leżał w stajni na sianie, coś tknęło, wstał i wyszedł na dwór. Jakże był zaskoczony i przestraszony, patrząc, że świniarnia już stoi w płomieniach. Już tylko patrzeć, jak pożar przejdzie na przyległą stajnię. Pan Borowy oprzytomniał i szybko zabrał się za uwalnianie koni i bydła. Ledwie zdążył odwiązać i wypędzić na dwór. I w tej chwili stajnia stanęła w płomieniach. Na szczęście wiatr wiał w kierunku pola, a nie na dom mieszkalny i na stodołę. Pożar strawił najlepsze zabudowania gospodarcze. Pozostał dom mieszkalny, jedna obora i dach stodoły. Domki robocze zostały nietknięte, gdyż znajdowały się około dwustu metrów od pożaru. Zastanawialiśmy się nad przyczyną pożaru.

Jedna z przychylnych nam osób wyznania katolickiego opowiedziała nam w szczegółach, jak doszło do tego pożaru. Właśnie tej pięknej niedzieli ks. katolicki w Kalinowie w kazaniu powiedział: „Parafianie, wiecie, że osiedlili się heretycy i to całkiem blisko. Nie muszę wam mówić, co macie z nimi robić. Palcie ten gnój niemiecki!”. Po nabożeństwie ludziska się porozchodzili, każdy w swoją stronę. Również jeden z obywateli Piętek (nazwisko mi znane) wyszedł z kościoła, ale do domu nie poszedł drogą, lecz polami, które pokryte były wyschłymi trawami i zielskiem. W pewnym miejscu podpalił trawy, a odpowiedni wiatr pędził ogień wprost na budynki majątku Domu Starców. Ogień objął najpierw nowocześnie urządzoną świniarnię i strawił doszczętnie stajnię. Całe szczęście, że pozostał dom mieszkalny, jedna obora i poddasze stodoły. Relację o słowach księdza katolickiego owej niedzieli potwierdziły nam i inne osoby. No cóż, kazanie księdza w Kalinowie było godne kapłana katolickiego, a „podpalacz” zasłużył się „dobrym uczynkiem”.

Dom Starców Piętki, powiat Ełk założony 1.04.1947 r.

Bronowanie

Młodzież przy żniwach

Staruszki przy posiłku

Staruszki w kościele

Mimo tej szkody, nie zrezygnowaliśmy z organizacji Domu Starców. Żadna z niewiast ewangelickich nie miała odwagi być kucharką, więc przyjęliśmy młode małżeństwo zza Buga, wyznania katolickiego. Z darów amerykańskich dostaliśmy łóżka polowe, koce, bieliznę pościelową. W maju 1947 roku otrzymałem kilkanaście koni do podziału między rolników Mazurów. Innym transportem przyszły krowy też do rozdziału. Obdarowany rolnik krową był zobowiązany oddać pierwsze cielę (jałówkę) po odchowaniu bezpłatnie innemu gospodarzowi, który nie miał krowy. Była to pierwsza pomoc w formie żywego inwentarza z Zachodu. Dopiero później władze państwowe dysponowały darami UNRA. Rolnicy obdarowani końmi przyjechali do Piętek i pomogli nam zaorać, zabronować i dokonać zasiewu jarego zboża oraz posadzić ziemniaki. W ten sposób mieliśmy zapewnione jesienne plony.

Pierwszym administratorem majątku Piętki był Alfred Drasba, syn rolnika z Małych Lasków. Pierwszym personelem Domu Starców były dwie siostry: Hedwig i Helena Cieślik, córki rolnika z Kulesz, które pracowały aż do zlikwidowania Domu Starców. Pierwszym pastuchem był Mazur z powiatu Olecko, inwalida bez ręki. Tego samego roku zachorował na skręt jelit. Lekarze nie zdążyli go operować i zmarł. Pochowaliśmy go na cmentarzu prywatnym majątku Piętki, w lesie przy szosie Iwszak. Po nim pastuchem był jeden z dwóch sierot: Ewald Stinka, ur. 9.10.1933 roku, a jego brat Reinhold, ur.16.1.1932 roku pracował przy koniach.

Niestety z obiecanego miliona nie oglądaliśmy ani jednej złotówki, ani na początku, ani przez cały czas istnienia Domu Starców. Szwajcaria po prostu zawiodła superintendenta Najdera, a on zawiódł mnie. Jednym słowem, Dom Starców był wielkim ciężarem parafii Ełk. Nie mając dochodów, pracowników, wynagradzaliśmy darami. Borykaliśmy się z dużymi trudnościami. Ale Pan Bóg nam dziwnie i cudownie pomagał. Tylko ze strony Polaków spotkała nas nowa duża szkoda.

154
Bandycki napad na Dom Starców

Latem, przypuszczalnie w lipcu 1947 roku, uzbrojona banda w wojskowych mundurach, przypuszczalnie partyzantka NSZ-etowska (Narodowych Sił Zbrojnych, przeciwna komunistycznemu rządowi polskiemu), w jasny dzień, w południe otoczyła gospodarstwo Domu Starców i ukradli pięć koni z uprzężą, zostawiając tylko jednego, który w tym czasie kulał. Banda z łupem udała się przez Kalinowo do Polski, przechodząc obok Milicji Obywatelskiej. Milicja Obywatelska nie zatrzymała bandytów. Dopiero na naszą interwencję podjęli ślamazarny pościg, idąc śladami koni. Reinhold Stinka, jeden z sierot, pracujący w gospodarstwie, towarzyszył milicjantom. Dojechali do pewnej wsi na terenie starej Polski. Z pierwszej chałupy wyszła kobieta i woła: „Nie idźcie dalej, bo partyzantka was zabije". Milicjanci, nie zastanawiając się, zawrócili z powrotem. Tak musieliśmy pięć koni spisać na straty i prosić centralę Kościoła o przysłanie nowych, które otrzymaliśmy. Niezmordowanie uganiałem się po różnych misjach zagranicznych, żebrząc o pomoc. Dużą pomoc w naturze otrzymaliśmy od Szwajcarów i menonitów, niezależnie od pomocy, którą otrzy-

mywaliśmy z centrali Kościoła Metodystycznego w Warszawie. Menonici przysłali nam nawet traktor z traktorzystą, studentem, który był i pracował przez trzy miesiące. Traktorzysta, John Overholt, miał trudności z traktorem, bo często się psuł. Jeszcze większe kłopoty mieliśmy z traktorem, gdy Overholt wyjechał do Ameryki. W końcu oddaliśmy go pastorowi Cybulli do Domu Opieki i Sierocińca w Starych Jabłonkach, powiat Ostróda.

Mimo uprzedzeń i prześladowania ze strony katolików oraz wyrządzonych przez nich szkód, praca nasza się rozwijała, a to dzięki ofiarności i poświęceniu naszych zborowników. Tanim kosztem wyremontowaliśmy domki robotnicze przy szosie, w których umieszczaliśmy staruszków, przeważnie kobiety. Tylko jeden był mężczyzną, który jednocześnie był naszym kowalem. Później wrócił do Nowej Wsi, skąd pochodził. Podopieczni byli przy zdrowiu i przy siłach tak, że do posiłków przychodzili do głównej sali „stołówki", w której niedzielami odbywały się nabożeństwa, najczęściej prowadzone przez kaznodzieję Monselewskiego z pobliskiej wsi Długie. Kolejnymi kierownikami administratorami gospodarstwa Domu Starców byli (po Drasbie): Albin Wysocki, który wkrótce poszedł na kierownika PGR-u (Państwowego Gospodarstwa Rolnego) w Dunajkach. Po Wysockim przyszedł Kazimierz Milewski z żoną Janką (Anną), którzy przeszli z katolicyzmu do metodyzmu. Po studiach teologicznych został pastorem w Grudziądzu.

Stałym pastuchem, po Ewaldzie Stince, był Sobotka, Mazur, wypędzony przez Polaków z jego gospodarstwa w Prawdziszkach. Ostatnim opiekunem gospodarstwa Domu Starców był diakon Longin Trojanowicz, którego Kościół, na moje nieszczęście, przysłał do mojej pomocy. Był synem gorliwego baptysty z Bydgoszczy. Podobno siedział w obozie koncentracyjnym. Ponieważ wyszedł z niego zdrowy i w bardzo dobrej kondycji, dlatego pomrukiwano o jego podejrzliwej funkcji w tymże obozie. Dlaczego komunistyczne władze polskie darzyły go zaufaniem, pozostaje ich tajemnicą. Od samego przybycia do Ełku stał się moim wrogiem. Skierowanie służbowe z Kościoła miał do Kalinowa z siedzibą w Piętkach. Chwilowo wpuściłem go do mieszkania, które parafia miała dla pracowników w mieście. Już z tego mieszkania nie wyszedł. W Piętkach zamieszkał, dojeżdżając tylko na nabożeństwa. Z czasem wpadły mu w oko nasze tam pracujące panny Cieślikówny. Zaczął się do nich dobierać. Ponieważ były to silne, zdrowe dziewuchy, nie dały się zgwałcić. Ale Trojanowicz nie dawał za wygrane. Polował dalej, atakował brutalnie, grożąc im zwolnieniem z pracy, do czego nie miał żadnego prawa, gdyż kierownikiem Domu Starców nadal byłem ja. W takim stanie rzeczy Cieślikówny zwróciły się do mnie z pytaniem: „Co mają robić?".

Nie miałem zamiaru babrać się takimi sprawami. Poradziłem im, aby napisały do Kościoła, co też zrobiły. Kościół zrobił krótki proces: z miejsca zwolnił Trojanowicza z pracy w Kościele. Ale Trojanowicz pozostał w Ełku, gdzie znalazł pracę, stając się wrogiem Kościoła Metodystycznego, przystępując do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

155
Bursa Mazurska dla młodzieży

Moją szczególną troską była młodzież i dzieci. Przeprowadzona przeze mnie rejestracja Mazurów ewangelików objęła w powiecie Ełk 5700 osób. Nie wszyscy dali się reje-

strować, jedni ze względu na nową nazwę kościoła, drudzy bardziej ze względu na poczucie niemiecko-narodowe.

W Starych Juchach prowadziła pracę kościelną w języku niemieckim kobieta, posiadając zezwolenie jeszcze od komendanta armii sowieckiej. Była Mazurką o polskim nazwisku, ale przekonania niemieckiego. Odmówiła mi nawet przyjmowania darów, które proponowałem jej grupie. Tylko niektóre rodziny z okolicy Starych Juch zarejestrowały się u mnie. Za kilka lat sytuacja w Starych Juchach się zmieniła na korzyść Kościoła Metodystycznego, a to z chwilą wyjazdu kierowniczki grupy niemieckiej i zamianowania w Starych Juchach młodego pastora Bazylego Kustodowicza, pochodzącego z Ukrainy.

Z chwilą otwarcia kaplicy w Ełku, założyłem dla dzieci szkółkę niedzielną, którą prowadziła moja żona, a do pomocy była Luisa Soboll (Sobolewska). Była to właściwie „codzienna szkółka", gdyż dzieci zbierały się codziennie w sali. Zajęcia polegały na śpiewie, zabawach i opowiadaniu historii biblijnych. Ponieważ niektóre dzieci nie rozumiały po polsku, więc każdego dnia była jedna lekcja języka polskiego, czytania i pisania.

Przez dłuższy czas dzieci mazurskie w obawie przed prześladowaniami nie chodziły do szkoły. Z językiem polskim zapoznawały się jedynie w naszym kościele. Po kilku miesiącach takiej pracy niespodziewanie otrzymuję pismo od podinspektora pani Kurzynowskiej, w którym zabrania mi nauczania języka polskiego w kościele, pouczając, że zadanie to spełniają szkoły państwowe. Czytając to pismo, przypomniałem sobie, że już raz w życiu miałem taki „zakaz" jako nauczyciel w Wielkim Wełczu, powiat Grudziądz w 1931 roku, o czym już pisałem. Zakaz to zakaz! Mimo to, sprawa znalazła oddźwięk w PZZ (Polskim Związku Zachodnim), który stanął na stanowisku: „Skoro władze szkolne nie zapewniają dzieciom mazurskim bezpieczeństwa, to praca pastora Edwarda Małłek zasługuje na pochwałę, a nie na zakaz".

Aktywiści młodzieży Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego Ełk, 1947 rok: Inga Mottel (misjonarka), Edeltraut Skowronek, Gertruda Feller, Edyta Donder, Krystyna Prostka, (?), Alfred Skowronek, Heinz Sokołowski, pastor Edward Mallek, Günter Donder, Gerd Nowak, Helmut Żyła (Sylla),

Aktywiści z grona młodzieży męskiej parafii Ełk ze swym pastorem. Od lewej: Alfred Skowronnek, Helmut Żyła (Sylla), pastor Edward Mallek, Heinz Sokolowski, Gerd Nowak, Günter Donder

Powrót młodzieży ełckiej ze swoim pastorem Małłkiem z konfirmacji w Klusach, dnia 23.09.1951

Młodzież Bursy Mazurskiej w Ełku na Wystawie Ziem Odzyskanych, Wrocław 1948 rok

Do sprawy włączył się główny inspektor szkolny, który uznał i pochwalał moją pracę, ale jednocześnie usilnie prosił, bym wpływał na dzieci mazurskie, aby uczęszczały do szkół, a on uczyni wszystko, żeby dzieci nie zaznały żadnej krzywdy. Oczywiście, incydent z moim synem w Szkole nr 1 był mu znany. Przy tej okazji prosił też, aby młodzież mazurska pozaszkolna uczęszczała do gimnazjum. W związku z tym zapropomowałem, aby kuratorium szkolne urządziło specjalne klasy dla młodzieży mazurskiej. Jedną klasę dla młodzieży, która ukończyła szkołę podstawową, drugą dla tych, którzy nie ukończyli. Władze szkolne zgodziły się na moją propozycję. Moja agitacja wśród młodzieży za wstępowaniem do gimnazjum niestety nie znajdowała posłuchu z uwagi na złe warunki materialne rodziców, a internatów nie było.

Wpadłem na pomysł, założyć bursę-internat w parafii. Miałem do dyspozycji salę na parterze i trzy pokoje z kuchnią, łazienką na drugim piętrze. Były dwie kucharki: pani Wolffke i pani Twardy. Gdy te wyjechały do Niemiec, była pani Olga Bąk. Z darów zagranicznych miałem dość dużą ilość koców i prześcieradeł, oraz z artykułów żywnościowych kaszę, groch, fasolę, trochę konserw, mięso wołowe w beczkach. Ruszyłem z motyką na słońce. Dobry znajomy woźnica (furman) pan Wołosewicz przywiózł dostateczną ilość słomy. Rozłożyliśmy na podłogach wzdłuż ścian w sali i w trzech pokojach.

1 września 1947 roku było otwarcie Bursy Mazurskiej. Zgłosiło się osiemdziesięcioro osób w wieku 13 do 20 lat, w tym 22 chłopców, reszta to dorodne dziewuchy. Chłopców ulokowaliśmy w sali na parterze, dziewczęta na drugim piętrze w trzech pokojach. Dziewczęta miały łazienkę, a chłopcy umywalnię w tzw. kotłowni. Ubikacja była u dziewcząt i u chłopców. Powstała kwestia jadalni-stołówki. Z desek zbiliśmy długie stoły i ławy.

W dniach powszednich ustawialiśmy stoły i ławy na ganku kaplicy między ławkami kościelnymi i tam jedliśmy. Co jedliśmy? Ano trzy razy dziennie zupę. Rano zupę mleczną i często wieczorem. Na obiad zupę jarzynową. Gospodyni Bąkowa z moją żoną robiły cuda, aby jakoś urozmaicić jadłospis. Mimo biedy, w całym domu było wesoło. Chałupa tętniła życiem. Niektórzy z ludzi przychodzili oglądać, jak żeśmy to urządzili. Młodzież spała pokotem na słomie na podłodze. Rano, po śniadaniu, młodzież udawała się do gimnazjum ogólnokształcącego przy ulicy 6 Kwietnia.

Mając zorganizowaną młodzież i jej fotografię w kieszeni, udałem się do centrali Kościoła o pomoc. Pojechałem też do Otwocka do Misji Szwajcarskiej. Tu uprzejma kierowniczka przydzieliła nam piętrowe łóżka z materacami i szafki ubraniowe. Jakaż to była radość, gdy transport zajechał pod drzwi naszej bursy. W mig barłóg został usunięty i wnet stanęły przyzwoite łóżka piętrowe i obok szafki, tak, jak w wojsku. To był już komfort i wygoda. Młodzież czuła się doskonale, bo przecież między „swoimi". Duże zainteresowanie i pomoc mieliśmy ze strony Misji Szwajcarskiej. Od czasu do czasu przyjeżdżała delegatka, Szwajcarka z kantonatu francuskiego, młoda panna, mówiąca po francusku i niemiecku. Zakochała się w moim szwagrze, bracie mojej żony, Mieczysławie Wysockim, co też wyszło na korzyść naszej bursie. Chyba po trzech latach, gdy misje zagraniczne zwijały swoje żagle, bo Polska „nie potrzebowała obcej pomocy(!?)", Młodzież Mazurska z Ełku ofiarowała kierowniczce Misji Szwajcarskiej piękny, ozdobny album ze zdjęciami naszej pracy. W międzyczasie upomniałem się u władz administracyjnych i szkolnych o przydzielenie Bursie Mazurskiej budynku pod internat. Władze niestety nie reagowały na moje prośby.

Młodzież po pięciu miesiącach nauki okrzepła w świadomości, poczuła się również pewna językowo. Odbyliśmy ogólną naradę, by w jakiś sposób zmusić władze do przydzielenia Bursie budynku pod internat. Postanowiliśmy urządzić „demonstrację". Opracowaliśmy petycję, czyli prośbę na piśmie, i omówiliśmy szczegóły demonstracji. Wybraliśmy trzyosobową delegację, która wręczy petycję staroście powiatowemu w osobach: Halina Korobczenko, Henryk Sokołowski i Gerd Nowak. Pismo wręczy Halina Korobczenko, przedstawiając delegację Bursy Mazurskiej. Pomaszerujemy trójkami. Staniemy pod oknami gabinetu starosty, który będzie mógł nas widzieć przez okno (gabinet starosty znajdował się na parterze).

Ruszyliśmy. Był to osiemdziesięcioosobowy orszak, który zwrócił uwagę przechodniów. Szkoda tylko, że nie mieliśmy transparentu. Orszak stanął tak, jak wspomniałem przed starostwem, w pewnej odległości od budynku, na wprost okien biura starościńskiego. Trzyosobowa delegacja weszła do budynku i udała się do gabinetu starosty. Starosta był nie lada zaskoczony, bo ani delegacja, ani demonstracja nie były meldowane. Starosta uważnie wysłuchał wstępnych słów, wygłoszonych przez Halinę Korobczenko, przeczytał też petycję, po czym rzekł: „Aprobuję Wasze postulaty. Waszym pragnieniom i żądaniom stanie się zadość. W najbliższych dniach otrzymacie pozytywną decyzję".

Ze zwycięskim obliczem wracała Młodzież Mazurska z demonstracji u starosty powiatowego. Młodzież czuła się jakby po zwycięskiej bitwie. Była to chyba jedyna demonstracja w Polsce Ludowej do czasu powstania „Solidarności". Młodzież mazurska zrobiła duże wrażenie w mieście, gdyż występowała w jednolitym stroju – mundurach uszytych przez p. Wierucz z Sajzów z zielonych koców i zielonkawo-beżowych materiałów (gabardyny), które otrzymaliśmy z Misji Szwajcarskiej. Chłopców i dziewczęta ubrano w jedna-

kowe bluzy z koców, a dziewczęta otrzymały dodatkowo spódniczki z gabardyny. Młodzież wyglądała jak zmobilizowane wojsko, w jednakowych czapkach gimnazjalnych. Dumny byłem z „mojej młodzieży".

Rzeczywiście starosta dotrzymał słowa: Bursie Mazurskiej przydzielono dom po Polskim Czerwonym Krzyżu, obok naszej kaplicy, przy ulicy Słowackiego 24. Po sześciomiesięcznej męczarni w prymitywnych warunkach młodzież mazurska doczekała się własnego lokum. Wnet przeniesiono łóżka, szafki i inne rzeczy w nowe miejsce. Bliskość nowego lokum nie nastręczała mi trudności w dozorowaniu. Po krótkim jednak czasie władze szkolne, z pewnością pod wpływem władz partyjnych, uznały, że Bursa nie może być związana z Kościołem i kierownikiem Bursy nie może być ksiądz. Kierownikiem Bursy mianowano nauczyciela Mieczykowskiego, a kierowniczką kuchni jego żonę. Z początku młodzież Bursy buntowała się, sprzeciwiając się dokonanym zmianom. Młodzież szczególnie skarżyła się na brak higieny w kuchni. Zauważono, że kierowniczka kuchni pali papierosy nad gotującym się obiadem, przy czym popiół z papierosa spadał do zupy. Skargi odniosły skutek. Kierowniczka została odpowiednio upomniana i pouczona. Dziś, wspominając o tym, uznaję, że popełniłem błąd, dając się zepchnąć ze stanowiska kierownika Bursy. Wystarczyło, aby młodzież zastrajkowała, udając się z powrotem do domu. Z pewnością władze prędko pośpieszyłyby do mnie z prośbą o zwołanie młodzieży. Niestety, tego nie zrobiłem.

Skoro władze szkolne przejęły Bursę w swoje ręce, zrzekłem się z utrzymywania Bursy. Wówczas władze szkolne i Partia w porozumieniu z instytucjami gospodarczymi postanowiły oddać Bursę pod opiekę Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", przenosząc jednocześnie Bursę do budynku podlegającego Spółdzielni. Moją rolę ograniczono do udzielania nauki religii w sali Bursy. Młodzież nie zniechęciła się, uczyła się bardzo dobrze, przerabiając dwuletni program w jednym roku. Wielu z nich zdobyło maturę, kilkunastu skończyło wyższe studia. Młodzież mazurska powiatu ełckiego była wykształcona w nowych, można powiedzieć, obcych warunkach. W 1948 roku urządziła wycieczkę na Wystawę Ziem Odzyskanych w Poznaniu.

Młodzież Bursy Mazurskiej była rdzeniem młodzieży całego powiatu, gdyż wielu młodszych i starszych z różnych powodów nie uczęszczała do gimnazjum. Młodzież odgrywała w parafii bardzo dużą rolę. Zawsze była czynna i współdziałająca w urządzaniu różnych uroczystości. Czyniłem wszystko, aby i oko zborowników rozweselać wystrojem kaplicy. Niezapomniana Maria Mroczek (Mrotzek), bardzo pobożna niewiasta, stale i zawsze przynosiła ze swego ogrodu cudowne kwiaty, aby upiększyć nastrój w czasie nabożeństwa. Z żoną byliśmy częstymi gośćmi u Mroczków. Stracili na wojnie dwóch czy trzech synów. Jedyny, który ocalał, mieszka w Niemczech. Strasznie ubolewali i opłakiwali swych synów. Na szczęście Polacy nie wyrzucili ich z własności. Posiadali starego typu dom w podwórku, skromną piętrową oficynę i duży ogród przy ulicy Wojska Polskiego. Pan Mroczek, zawodowy maszynista kolejowy, lubił zaglądać do kieliszka, przez co był u Polaków bardzo lubiany. Często pijany wracał do domu, nad czym ubolewała i płakała Mroczkowa. Z tego też powodu były między nimi dość częste nieporozumienia. Mroczkowa często nie wpuszczała męża do domu. Jako „gromadkarka" nawrócona nienawidziła pijaków.

Kiedyś, rozmawiając ze mną sam na sam, zapytała: „Panie pastorze, dlaczego Pan Bóg nie wysłuchuje moich modlitw? Tak bardzo Boga wzywam i proszę, aby mój mąż się nawrócił do Boga i przestał pić". Bardzo poważne pytanie, pomyślałem. Po chwili namysłu pytam Mroczkową: „Co Mroczkowa robi, gdy mąż wraca do domu pijany?". Odpowiada:

„Ano, nie wpuszczam go do mieszkania. Nie rozmawiam z nim. Nie wpuszczam go do łóżka (wspólnie spali w jednym łóżku), bo jak spać z takim pijakiem?". Wtedy powiedziałem do Mroczkowej tak: „Mroczkowa, wiecie, co my pobożni ludzie najczęściej myślimy, że ten ktoś, ten drugi ma się »nawrócić«, a zapominamy o tym, że my sami musimy się »na nowo nawrócić«, zapominamy o tym, że my sami też musimy się zmienić. Niech Mroczkowa spróbuje zastosować takiego lekarstwa na swego męża: nigdy nie zamykać drzwi, aby mąż nawet pijany mógł wejść do domu o każdej porze. Gdy usłyszycie jego kroki, podbiegnijcie do niego, chwyćcie go pod ramiona, zaprowadźcie go ze słowami „Gottliebku" (takie było jego imię) do łóżka, rozbierzcie go, przytulcie go do siebie. Na drugi dzień poczęstujcie go dobrym winem, własnego wyrobu. Może wtedy Pan Bóg wysłucha waszej modlitwy?". Mroczkowa dziwnymi oczyma patrzy na mnie, ale nic nie mówi, bo mnie jako pastora bardzo ceniła i szanowała. Widziałem, że zastanawiała się nad moimi słowami. Nadal bywaliśmy u Mroczków. Mroczek jako Mazur urodzony w Ełku lubił opowiadać żarty, kawały, a przede wszystkim o dawnych dziejach, co mnie bardzo interesowało.

Po niedługim czasie stwierdziliśmy, że „Pan Bóg wysłuchał modlitwy". Mroczek unikał pijaków, trzymał się domu. Zawsze, gdyśmy przyszli do nich, wypiliśmy smacznego wina własnej produkcji z własnych owoców z własnego ogrodu. Odtąd panowała u Mroczków harmonijna, przyjemna atmosfera. Przez ich wyjazd do Niemiec, do syna, straciliśmy wiernych przyjaciół.

Wrócę jeszcze do naszej młodzieży, która tyle radości sprawiała nam i ich rodzicom w nabożeństwach. Całe rodziny przychodziły do kościoła. Z młodzieżą wyjeżdżałem na nabożeństwa też do innych miejscowości powiatu. Czasami w mniejszych grupach.

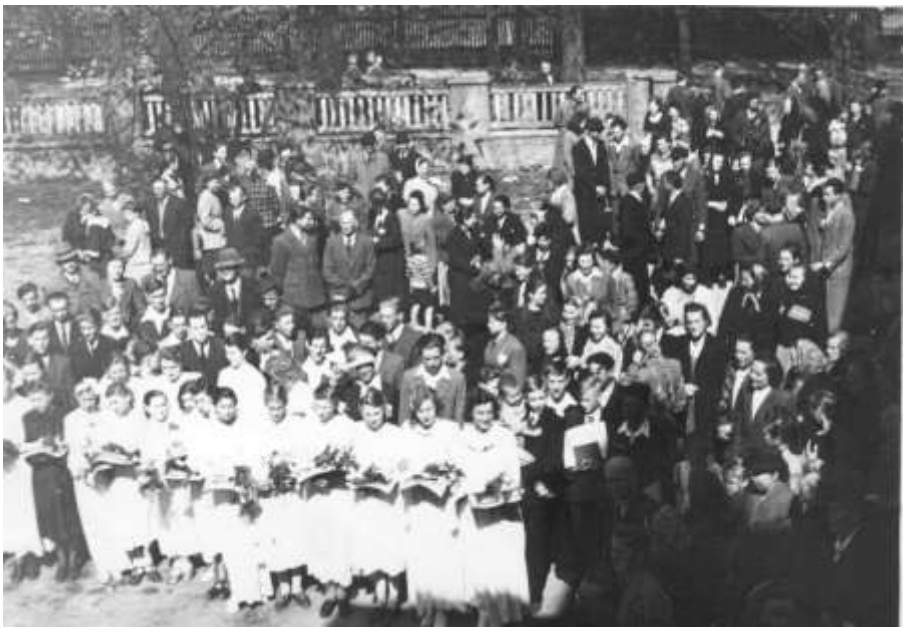

Zbór z konfirmandami na placu Parafii Ewangelicko-Metodystycznej, Ełk

W 1946 roku wciąż walczyłem o przyznanie nam jednego z kościołów. Gdy to okazało się niemożliwe, zażądałem przyznania nam dawnego ewangelickiego Domu Zborowego „Gemeindehaus". Uzyskałem zaledwie zezwolenie na urządzenie tam „Jutrzni Mazurskiej", według książki mego brata Karola. Ze względu na krótki czas przygotowawczy, ograniczyliśmy się tylko do pewnych fragmentów. Był to raczej przedsmak prawdziwej „Jutrzni". Mimo to, obecni podziwiali, z jaką perfekcją młodzież mazurska przedstawiła sztukę ludową w języku polskim. Ostatecznie zostało na tym, że musieliśmy się zadowolić kaplicą przy ulicy Słowackiego 25, która sprawiała nam duże kłopoty renowacyjne. Zresztą nastroje wyjazdowe miejscowej ludności do Niemiec nie mobilizowały mnie do energiczniejszych starań o kościół. Za kilka lat nie bylibyśmy w stanie opłacić kosztów utrzymania obiektu naszego z kościołem.

156
Konfirmacje

Szczególnymi uroczystościami były konfirmacje. Młodzież w kościele ewangelickim, po ukończeniu szkoły podstawowej, jako czternastoletnia dwa razy w tygodniu (wtorki i piątki) uczęszczała do kościoła na lekcje konfirmacyjne. Konfirmacja była potwierdzeniem chrztu dziecięcego. Była dość poważną osobistą uroczystością konfirmandów. W Kościele ewangelickim na Mazurach młodzież przystępowała w stroju poważnym: dziewczęta w czarnych sukienkach, chłopcy w czarnych lub ciemnogranatowych ubraniach. W mojej parafii w Ełku wprowadziłem dla dziewcząt sukienki białe, dla chłopców możliwie ciemny strój. Dziewczęta cieszyły się, że nie muszą występować w „pogrzebowym" stroju. Każda konfirmacja była wielkim wydarzeniem kościelnym. Wnętrze kaplicy strojono w girlandy, kwiatami, zielenią.

Dnia **8.09.1946** roku odbyła się w Ełku **pierwsza** konfirmacja. Było czternastu konfirmandów: siedem dziewcząt i siedmiu chłopców, wszyscy o polskich nazwiskach. Była to młodzież, która za niemieckich czasów uczęszczała na lekcje konfirmacyjne.

Dnia **24.08.1947** roku odbyła się **druga** konfirmacja. Przystępowało 52 osób: 35 dziewcząt, 19 chłopców, o polskich nazwiskach 40, o niemieckich 9 i 3 innego pochodzenia.

Dnia **15.08.1948** roku odbyła się **trzecia** konfirmacja. Konfirmowano 63 [osoby]: 38 dziewcząt, 25 chłopców. O polskich nazwiskach 38, niemieckich 22 i 3 innego pochodzenia.

Była to młodzież przygotowana do konfirmacji na czterotygodniowym całodziennym kursie z zakwaterowaniem w Domu Starców w Piętkach. Przed południem była nauka religii i śpiew, a po południu lekka pomoc przy żniwach. Młodzież otrzymywała pełne wyżywienie. Na tym kursie nie zapomnę jednej konfirmandki ze Skomacka, która była niewolnicą Polaka, który zajął gospodarstwo jej rodziców. Jako szesnastoletnia była dla niego przedmiotem seksu. Niestety, nie zdołałem jej namówić, aby poszła ze mną do prokuratora, bo bała się, że gwałciciel może ją zamordować, a ona chce wyjechać do Niemiec. Na szczęście po konfirmacji wyjechała do Niemiec.

W latach **1949 i 1950 nie było konfirmacji**.

Druga. konfirmacja, Ełk, 24.08.1947. (pastor Edward Małłek)

Dnia **13.05.1951** roku odbyła się **czwarta** konfirmacja. Konfirmowałem 59 [osób]: 22 dziewczęta i 37 chłopców. O polskich nazwiskach 38, niemieckich 16 i 5 innego pochodzenia.

Czwarta konfirmacja, Ełk, 13.05.1951
Pastorzy: Edward Małłek, Leonid Jesakow, Julian Miśkow

Uroczyste wprowadzenie konfirmandów do kościoła
oraz poniżej konfirmanci

Konfirmanci na tle zgromadzonego zboru

Konfirmacja w Klusach, powiat Ełk

23.09.1951
Razem z pastorem Zygmuntem Karczewskim

Dnia **1.06.1952** roku odbyła się **piąta** konfirmacja. Przystępowały 23 osoby: 14 dziewcząt, 9 chłopców, o polskich nazwiskach 15, niemieckich 8 osób.

Piąta konfirmacja w Ełku w dniu 1.06.1952
Pastor Edward Małłek

Dnia **17.08.1952** roku odbyła się konfirmacja w prywatnym domu państwa Krüger **w Lidzbarku Warmińskim**. Konfirmowałem Halinę Krüger i Waldemara Moritza z Ełku. Obie rodziny wypędzone przez Polaków z powiatu suwalskiego; a Krüger osadzony w więzieniu.

Dnia **24.05.1953** roku odbyła się **siódma** konfirmacja. Konfirmowano 12 osób: 6 chłopców i 6 dziewcząt, o polskich nazwiskach 7, o niemieckich 5 osób.

Siódma konfirmacja w Ełku w Zielone Świątki 24.05.1953 r.

Dnia **13.06.1954** roku była **ósma** konfirmacja. Konfirmowano 9 osób: 6 dziewcząt, 3 chłopców. O polskim nazwisku 7, niemieckim 2 osoby.

Dnia **3.10.1954** roku była dziewiąta konfirmacja młodzieży **z Mrągowa**, po zlikwidowaniu tamtejszej parafii ewangelicko-metodystycznej przez władze polityczne. Konfirmowano osiem osób: 5 dziewcząt i 3 chłopców. O polskim nazwisku 3, niemieckim 5 osób.

Konfirmandzi ze zboru Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Mrągowie
Konfirmacja w Ełku dnia 3.10.1954. Dokonał jej pastor Edward Małłek
Na nabożeństwie obecni z lewej pastor Z. Karczewski i z prawej pastor Jan Waszk
Obydwaj pozbawieni uprawnień pastora przez władze polityczne

W 1955 roku nie było konfirmacji.

Dnia **20.05.1956** roku odbyła się **dziesiąta** konfirmacja. Konfirmowano 23 osoby: 10 dziewcząt, 13 chłopców, o polskim nazwisku 18, o niemieckim 5 osób.

Dziesiąta konfirmacja w Ełku 20.05.1956 – powyżej i poniżej

Dnia **9.06.1957** roku odbyła się **jedenasta** konfirmacja. Konfirmowano 13 osób: 7 dziewcząt, 6 chłopców. O polskim nazwisku 10, o niemieckim 3 osoby.

Jedenasta konfirmacja w Ełku 9.06.1957, z prawej obok pastora jego córka

Dnia **30.03.1958** roku odbyła się **dwunasta** konfirmacja. Przystępowało sześć osób: 3 dziewczęta i 3 chłopców. Wszyscy o polskim nazwisku. Była to moja ostatnia konfirmacja.

Powyżej i dalej dwunasta i ostatnia konfirmacja w Ełku
Dnia 9.06.1958 r.

Konfirmacja rozpoczynała się wprowadzeniem konfirmandów przez pastora do kaplicy (kościoła) przy śpiewie pieśni *Toruj Jezu sam drogę życia nam*, a kończyła się pieśnią *Za rękę weź mię Panie i prowadź sam*.

Młodzież przystępująca do konfirmacji, kolejno wypowiadała wybrany przez siebie werset biblijny, w odpowiedzi pastor również każdemu dedykował odpowiedni werset, udzielając błogosławieństwa Bożego przez nakładanie rąk na głowę konfirmanda. W pierwszych latach wręczałem konfirmandom Nowy Testament z dedykacją, później

Świadectwo Konfirmacyjne i Nowy Testament. Ogółem konfirmowałem 284 osoby: 152 dziewczęta i 132 chłopców, w tym o polskich nazwiskach 196, niemieckich 75 i 13 innego pochodzenia.

Można zauważyć, że z każdym rokiem zmniejszała się liczba konfirmandów. Pierwszą przyczyną były wyjazdy do Niemiec, organizowane przez starostwo powiatowe, później indywidualne. Kolejne powstawanie oddzielnych parafii w Grabniku, Klusach, Starych Juchach i Kalinowie – Piętkach wpłynęło na zmniejszenie liczby konfirmandów w parafii Ełk.

Ilu z moich konfirmandów pozostało w Polsce? Zaledwie 15 osób: 10 chłopców i 5 dziewcząt, z tych troje nie żyje: dwóch chłopców i jedna dziewczynka. Z piętnastu konfirmandów ośmioro nosi niemieckie, a siedmioro polskie nazwiska. Jeżeli weźmiemy pod uwagę stosunek liczbowy konfirmandów ze 196 polskimi nazwiskami, a 75 z niemieckimi, to widzimy, jakiego elementu etnicznego Polska się wyzbyła przez wysiedlenie. Polska wyrzuciła właśnie ludność, na którą powoływała się delegacja rządu polskiego na Konferencji w Poczdamie, to znaczy Mazurów. Polacy powiedzą: „Przecież sami dobrowolnie wyjechali". Masowe transporty wysiedleńców ze zdobytych ziem nie miały nic wspólnego z „dobrowolnym wyjazdem". Pozbawienie miejscowej ludności własnego mieszkania, domu, gospodarstwa nie można inaczej nazwać, jak „wypędzeniem", „wysiedleniem". W ten sposób moich 181 konfirmandów opuściło Polskę, w tym trzech inżynierów, jedna nauczycielka i jeden pastor (były konfirmand Jan Waszk), zlikwidowany przez UB, bo nie zgodził się na współpracę.

157
Chór kościelny

Ukoronowaniem naszej pracy kościelnej w Ełku był wspaniały chór parafialny. Entuzjazm ludzi, którzy związali się z naszym kościołem, sprawił, że praca kościelna rozwijała się wszechstronnie, mimo przeszkód, prześladowania i tłuczenia szyb przez katolików. A może właśnie te okoliczności sprawiły, iż ludność miejscowego pochodzenia znajdowała w kościele opiekę i swoją ostoję. Zborownicy wszystko czynili, aby życie kościelne i praca były przyjemnością i radością. Stąd wypłynęło pragnienie założenia chóru kościelnego. Zresztą chór to był „konik", na którym lubiłem „jeździć"; to moje „hobby".

Zgłosiło się sporo osób w różnym wieku, od szesnastu do pięćdziesięciu lat (Scherello był najstarszym chórzystą). Wielu z nich wiedziało, którym głosem chcą śpiewać. Z niektórymi trzeba było zrobić próbę, aby odpowiednio przydzielić do właściwego głosu. Przy tym brałem pod uwagę proporcjonalność grup głosowych, aby któryś głos nie był za silny lub za słaby. Chórzyści na ogół nie znali nut, ale mimo to rozpisywałem każdemu pieśń z tekstem i nutami. Nie było czasu na „solfeż", ćwiczenie nut. Wystarczyło powiedzieć: jeżeli nuty leżą liniowo wyżej, to śpiewa się wyższym tonem, jeżeli niżej, to niższym. Po takich uwagach zaczęliśmy ćwiczyć. Najpierw przegrałem pieśń na fisharmonium, aby chórzyści poznali melodię, po czym ćwiczyłem kolejno sopran, potem alt, tenor i bas. Pierwsze pieśni miały równolegle biegnący układ nut. Dopiero później śpiewaliśmy utwory o zróżnicowa-

nym przebiegu poszczególnych głosów. Nie zawsze łatwo było opanować taki utwór, ale cierpliwie pokonywaliśmy wszelkie trudności.

Prowadząc chór żałowałem, że nie mogłem liczyć na młodzież Bursy Mazurskiej, która mając inne kierownictwo miała inne zajęcia. Tylko niektóre osoby, uczęszczające do gimnazjum, niemieszkające w Bursie, były członkami chóru, jak: Inga Mottel, Halina Korobczenko, Helga Zbikowska, Henryk Sokołowski.

Nasz chór był atrakcją i ozdobą naszych nabożeństw i uroczystości kościelnych. Urządzaliśmy wyjazdy do Starych Juch. Z biegiem lat, z powodu wyjazdów miejscowej ludności do Niemiec, ubywało chórzystów. Z sześćdziesięciu chórzystów spadła liczba do dwudziestu, a w końcu musieliśmy się pogodzić [z tym], że nabożeństwa i uroczystości kościelne urządzaliśmy bez chóru. Przykro nam było z tego powodu.

158
Napad bandycki na pastora

Jest dość późny wieczór, koniec lipca 1948 roku. Dzieci: Robert, Jadźka i jednoroczny Jurek, najspokojniej śpią w swoim pokoju. Żona z gospodynią Olgą Bąk rozmawiają w kuchni z pewnością o naszym po siedmiu miesiącach urodzonym 15 lipca 1948 roku synku Andrzeju. Nim opiszę o napadzie, wspomnę o przyczynie wczesnego porodu: żona poszła za czymś do naszego najbliższego sąsiada, b. burmistrza Krzywkowskiego (tak, to ten sam, który w kwietniu 1946 roku nie podał mi ręki). Piętro jego willi zabrano mu i zamieszkał tam pierwszy sekretarz partii Miasta Ełku, Napieralski, który miał ogromnego psa. Gdy żona otworzyła drzwi frontowe do willi Krzywkowskiego, pies skoczył na żonę. Żona ogromnie się przestraszyła, po prostu dostała szoku. Gdy wróciła do domu, na drugi dzień dostała bóli porodowych. W obecności akuszerki nastąpił poród. Synek urodził się żywy, ale cały siny.

Akuszerka poleciła wezwać lekarza. Przywołano znaną lekarkę dziecięcą. Lekarka stwierdziła, że dziecko umiera. Nie zastanawiając się, powiada: „Jedynym ratunkiem jest zastrzyk krwi matki". Oczywiście, żona gotowa do pobrania krwi. Dziecko dostało zastrzyk i po jakiejś chwili zaczęło dawać żywsze oznaki życia. Dziecko zostało uratowane. Lekarka wiedząc, że żona nie ma pokarmu, poleciła poszukać niańkę i wskazała nawet niewiastę, która w tych samych dniach urodziła córeczkę. Tą kobietą była Sabina Pietraszewiczowa, żona dobrze nam znanego szklarza. Pietraszewiczowie pochodzili zza Buga.

Natychmiast udałem się do Pietraszewiczów, przedstawiając im nasz kłopot. Ponieważ z Pietraszewiczem łączyły nas znajomości z tytułu reperacji przez niego szyb w kaplicy, potłuczonych przez hołotę, więc Pietraszewiczowa zgodziła się, dodając, że może to chętnie uczynić, gdyż jej córeczka Jagoda nie daje rady wyssać [wszystkiego] i nadmiar mleka musi ściągać. I zaraz wyżej wspomnianego wieczoru Pietraszewiczowa siedziała w naszej sypialni i karmiła naszego Andrzejka. Ja byłem zajęty w pokoju stołowym.

Chór parafii Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Ełku

Ostatni skład chóru Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Ełku,
1956 rok

Nagle słyszymy głośny rumor, łoskot w ciemnej klatce schodowej. Z hukiem drzwi się otwierają (bo nigdy nie były zamykane), dwóch pijanych bandziorów wpada wprost do pokoju stołowego i od razu do mnie. Zaczynają mnie bić, krzycząc: „Ty paskudny Szwabie, ty chamie, teraz będzie koniec z tobą!". Chwycili mnie, gwałtem ciągną mnie przez przedpokój na schody. Szamotanie usłyszały w kuchni moja żona i Bąkowa. Powstało zamieszanie. Żona pobiegła do pokoju, do telefonu, a Bąkowa woła: „Panie pastorze, niech pan z nimi nie idzie!".

Słowa Bąkowej zmobilizowały mnie. Z całą siłą pchnąłem trzymającego mnie bandziora, przez co wyrwałem się z rąk oprawcy, a on upadł na schody. Pobiegłem szybko do mieszkania. Wpadłem do sypialni, gdzie naprzeciw drzwi przy łóżku siedzi pani Pietraszewiczowa, karmiąc naszego synka Andrzeja. W sypialni było widno, światło się paliło. Napastnicy wpadli za mną do sypialni, biją mnie i starają się mnie wywlec z sypialni. Ja się bronię. Nagle przestali mnie bić i szybko uciekli. Widocznie spostrzegli, że obca osoba jest świadkiem, więc ze strachu uciekli.

Żona natychmiast zadzwoniła do pana Krzywkowskiego, prosząc go, aby o napadzie powiadomił Milicję Obywatelską, co też uczynił. A nasza dzielna pani Bąkowa, czając się, pobiegła za bandziorami, którzy udali się na ulicę Kościuszki, idąc w kierunku ulicy Wojska Polskiego. Z tamtej strony nadbiegli milicjanci i UB-owcy. Bandyci wpadli do pierwszej lepszej klatki schodowej. Funkcjonariusze władzy natknęli się na Bąkową, która wskazała im kryjówkę napastników. Kilku milicjantów weszło do klatki schodowej, z piętra na piętro, i znaleźli przestępców na ostatnim piętrze. Zaprowadzili ich na posterunek Milicji Obywatelskiej, gdzie mieściły się również biura Urzędu Bezpieczeństwa. Tam dostali lanie i wołali do Bąkowej: „Lej pani po gębie ile tylko wlezie!". Oczywiście Bąkowa nie czuła się uprawniona, aby skorzystać z zachęty. Okazało się, że bandytami byli: Hawel, znany w Ełku dentysta, i jego kolega, student medycyny z Gdańska.

Spisano przy Bąkowej jako świadku protokół i osadzono ich w areszcie. Na drugi dzień zostali zwolnieni. Sprawa znalazła się w rękach prokuratora. Niesłychana rzecz: „zamach na życie!", oto podstawa oskarżenia. Niemała kara za takie przestępstwo. A co najgorsze, oskarżonym jest znany społeczeństwu ełckiemu pan Hawel, dentysta, arcykatolik! Co za wstyd i hańba! A więc po raz drugi sądowanie: „Czy pan pastor będzie obstawał, aby proces się odbył...". Tak pytali jedni. Drudzy mówili: „Niech pan im nie daruje...".

Jako głosiciel Ewangelii Jezusa Chrystusa, który przez swoje cierpienie i śmierć zgładził moje przewinienia i grzechy, tak i my mamy wybaczać upadki bliźnich. Ja zawiadomiłem sekretarza prokuratury, z którym utrzymywałem przyjazne stosunki, że nie zależy mi na tym, aby proces się odbył. Na to sekretarz oświadczył mi, że „Tak szlachetnego człowieka nie spotkał w życiu. A przestępcy, chuliganie, powinni panu za to serdecznie podziękować i przeprosić". I rzeczywiście, „wilki żarłoczne" przyoblekli się w skórę niewinnego baranka i przyszli do mnie z przeprosinami. Przyszli ze świadkiem. Od razu wyczułem, że był nim funkcjonariusz UB (Urzędu Bezpieczeństwa). Świadek zaaranżował dyskusję, stawiając pytanie: „Jak to jest możliwe, że pan pastor nie żądał postępowania karnego?". Wyjaśniłem mój czyn zasadami mojej wiary, że należy wybaczać, a Jezus Chrystus nawołuje, abyśmy nieprzyjaciół i wrogów miłowali. Na to „ubowiec": „Panie pastorze, to jak to by było, gdyby wróg napadł na kraj, to my mamy miłować, nie mamy się bronić i walczyć?". „No, powiem panom na to coś praktycznego: walczyliśmy (i ja jako oficer polski) bardzo przeciwko Hitlerowi. I co z tego wyszło? Urządził nas tak, jak zechciał. A czy teraz nie

urządzają Polskę tak, jak chcą?". „To prawda, powiada ubowiec, ale mimo wszystko, zasady pana pastora są ciekawe, ale i dziwne".

Wnętrze kaplicy Ełk – ślub córki pastora, Jadwigi Małłek, z Edwardem Siewierskim

W tym włącza się do rozmowy bandzior Hawel: „Przecież mógł pan pastor chwycić jakiś twardy przedmiotu i przepędzić nas, pijaków". Na to odpowiedziałem: „Nie chwyciłem żadnego przedmiotu, ale pytam się panów: Dlaczego uciekliście? Przecież zamierzaliście co innego ze mną zrobić?". Nie mają na to odpowiedzi. „To ja wam powiem: bo nie przyszła na mnie jeszcze godzina, abym umarł, gdyż »bez woli Boga nawet włos z głowy nikomu nie spadnie«. Uciekliście, boście zobaczyli mego Anioła Stróża w osobie kobiety (Pietraszewiczowej), która karmiła nasze niemowlę. Tego Anioła żeście się zlękli". W duchu musieli przyznać, że tak było. Na tym wymiana zdań i poglądów się skończyła.

„Ubowiec" podkreślił, że rozmowa ze mną była „ciekawa i pouczająca". „Złoczyńcy raz jeszcze dziękowali za darowanie im winy i z wielkim wstydem przepraszali mnie za tak nikczemny (nieudany – mój dopisek) napad. Po trzeźwemu na pewno zdawali sobie sprawę, że przy czterech bezstronnych świadkach nie ominęłaby ich kara więzienia. Odtąd Hawel z daleka ze wstydem mijał się ze mną na ulicach Ełku. A „studenta medycyny" (nazwiska nie pamiętam) nigdy więcej nie widziałem. Dałby Bóg, aby czasami nie mordował swoich przyszłych pacjentów.

159
Kamienowanie w Kalinowie

Wykonanie kary śmierci przez ukamienowanie stosowano w starożytności w Grecji, u Germanów, w starożytnym Rzymie i u Żydów. Znamy z Ewangelii według Jana (8, 1-11) historię o niewieście, którą faryzeusze przyłapali na „gorącym uczynku" i przyprowadzili ją do Jezusa, mówiąc: „Mojżesz w zakonie kazał nam takie kamienować". Wiemy, jak sprawa się zakończyła po słowach Jezusa: „Kto z was jest bez grzechu niech pierwszy rzuci na nią kamieniem". Wszyscy ze wstydem opuścili zbiegowisko, żaden nie rzuciwszy na kobietę kamieniem. Również skazanego na śmierć Jezusa Żydzi nie kamienowali według prawa i obyczaju żydowskiego, lecz woleli Jezusa wydać Rzymianom (okupantom Palestyny), aby oni Go ukrzyżowali według prawa rzymskiego. Obecnie Żydzi usprawiedliwiają się, że nie oni ukrzyżowali Jezusa, lecz uczynili to Rzymianie. Tak, to jest prawda. Ale niestety wyrok śmierci wydał „Sanhedryn", najwyższy sąd żydowski.

Ale o co chodzi w związku [z] kamienowaniem w Kalinowie? Otóż to.

Kalinowo jest to wieś leżąca 24 kilometry na północ od Ełku (dawniej Dreimühlen, Kreis Lyck). Jak już w innym miejscu wspomniałem, Urząd Likwidacyjny aktem nadania przydzielił nam plebanię w Kalinowie. Coś w połowie sierpnia 1948 roku władze administracyjne powiadomiły nas, że przekazania plebanii dokona Komendant Posterunku Milicji Obywatelskiej w Kalinowie, którego znałem osobiście, nazywał się Zając. Termin przekazania-przejęcia plebanii ustalono na pewną sierpniową środę. Poniekąd zdziwiłem się, że władze państwowe aż tak formalnie chcą w tym wypadku dokonać przekazania własności Państwa w nasze ręce.

W tym czasie byli u mnie na praktyce trzej studenci teologii: Bazyli Kustodowicz, Eliasz Babieczko i Wincenty Winniczek. We wtorek przed wyznaczoną środą wybrałem się z wyżej wymienionymi studentami do Piętek k/Kalinowa do domu starców. Na stacji wąskiego toru w Ełku spotykamy wracającego do Kalinowa Komendanta MO, pana Zająca. Witamy się. On pyta: „Dokąd pastor jedzie?". Powiedziałem, że jadę z kolegami do Piętek, do domu starców. „Skoro tak, powiada, to dzisiaj możemy dokonać przejęcia plebanii w Kalinowie". Oczywiście, zgodziłem się. Wsiedliśmy do kolejki i turlamy się do Kalinowa. Komendant miał swoje towarzystwo, więc spotkaliśmy się znów po wysiadce z kolejki. Idziemy razem do wsi odległej o jeden kilometr od stacji wąskotorówki.

Wchodzimy na podwórko plebanii. Komendant, pan Zając, podchodzi do drzwi wejściowych od podwórka. Są zamknięte. Dobija się, waląc do drzwi. Nikt się nie odzywa. Było nam wiadome, że w międzyczasie ksiądz katolicki bezprawnie zamieszkał w plebanii wraz z gospodynią. Komendant więc woła. Po chwili z ogrodu wychodzi młodziutka dziewoja (niby gospodyni) i powiada, że księdza nie ma, wyjechał. W tym momencie patrzę, a na podwórzu już kupa ludzi i wciąż ich przybywa i krzyczą: „Czego tu chcecie?". Komendant powiada: „Wyłamiemy drzwi i wejdziemy". Na to ja do niego: „Panie Komendancie, skoro drzwi są zamknięte i ktoś tam mieszka, to ja, to my nie będziemy się włamywać. Ja w ten sposób tam nie wejdę. Niech pan da spokój. Chodźmy stąd". Gdy zamieniam z Komendantem te słowa, na podwórku jest pełno ludzi z kijami. Powiedziałem cichutko do studentów: „Chodźmy stąd".

Przeciskamy się przez ciżbę odpowiednio uzbrojonych ludzi. Z trudnością wydostaliśmy się na plac przedkościelny. Hołota nie pozwala nam się ruszyć. Ze wszystkich stron nadbiegają kobiety, mężczyźni, dzieci, krzyczą, wyzywają, grożą, wymachują kijami. Nie wiemy, co robić. Oglądamy się za Komendantem Milicji Obywatelskiej, który nas tu przyprowadził. Znikł. Skrył się pod „miedzą", jak prawdziwy zając. Być może, że zaszył się w krzakach z nadobną „gosposią" pana proboszcza.

Będąc otoczeni przez rozjuszony motłoch, z którym nie sposób rozmawiać, rozmyślam nad naszym położeniem: jest popołudnie. Do powrotnego pociągu do Ełku jeszcze dwie godziny czasu. Do domu starców w Piętkach dwa kilometry. Nie wiem, co robić? Nie wiem, co myśleli studenci, bo rozmawiać z nimi było niemożliwe ze względu na tumult, hałas i krzyki. Motłoch zatłoczył prawie dość obszerny plac między kościołem a posterunkiem Milicji Obywatelskiej. Szepnąłem studentom: starajmy się dobić do posterunku MO. Dzieli nas przestrzeń około stu metrów. Stopa za stopą, z trudem posuwamy się przy krzykach i wyzwiskach: „Wy szubrawcy! Wy skurwysyny! Cholery! Odszczepieńcy! Plemię szatańskie! Zabić tych heretyków! Skórę z nich zdzierać! Zabić ich, zabić ich...! Ukamienować ich! Ukamienować! Ukamienować! ..."

Ciarki przechodziły nam po plecach pod gradem przekleństw i wyzwisk. W ręku każdego uczestnika napadu kij, pała, drąg, cegła lub kamień. Dziwiłem się, że nas nie rozszarpali. Pod huraganem „chrześcijańsko-katolickich", średniowiecznych haseł, z wielkim trudem dotarliśmy do posterunku Milicji Obywatelskiej. Na posterunku było trzech milicjantów. Gdyśmy weszli do środka, drzwi zamknęli. Hołota jeszcze bardziej zaczęła się wydzierać, prześcigając się w doborze słów „polskiej łaciny". Trudno ująć w słowa i opisać to, co tam się działo. Myślałem, że nie tylko drzwi do biura wysadzą, ale ścianę wywalą. Z pewnością nie zbrakło tam ani jednego mieszkańca wsi.

Widząc groźną sytuację, proszę milicjanta, aby połączył się z Komendą Powiatową. Kręci... kręci... „Nie ma połączenia" – powiada. Jesteśmy zdani na łaskę Pana Boga. Pomyślałem: ja coś takiego nie widziałem w życiu. Mogłem sobie tylko wyobrażać, jak Żydzi prowadzili Jezusa, krzycząc: „Ukrzyżuj go! ukrzyżuj go!..." Dziwiłem się studentom, gdyż oni inaczej przeżywali to zbiegowisko, niż ja. Żartowali, śmieli się, drażnili napastników tak, jakby byli w ogrodzie zoologicznym, drażniąc dzikie zwierzęta. Oczywiście, ci za drzwiami wyglądali jak dzikie zwierzęta żądne żeru. Tylko, co gorsze, że my znajdujemy się jakby w klatce.

Postanowiliśmy siedzieć na posterunku tak długo, aż krótko przed nadejściem pociągu. Oblężenie trwało około dwóch godzin. Gardła im pochrypły, ale wciąż atakują posterunek. Co będzie dalej? Nie wiem. Wreszcie nadszedł czas do wyjścia, do pójścia do pociągu. „No, chłopaki, idziemy. Bóg z nami!" – zwróciłem się do kolegów studentów. Otworzyliśmy drzwi. Napastnicy huknęli: „Zabić heretyków! Zabić ich!...". Starałem się przemówić do pospólstwa. Nie pozwolili. Zakrzyczeli mnie. Znali mnie przecież, gdyż niektórzy bywali na moich nabożeństwach (z ciekawości) u Monselewskiego we wsi Długie. Nie mogę przemówić i nie możemy się ruszyć. Zatarasowali drogę. Poprosiłem milicjantów, aby nas odprowadzili do pociągu.

Jeden milicjant wyszedł z nami, ale zamiast torować nam drogę, to szedł za nami. Po prostu siłą przepychaliśmy się, stale przy akompaniamencie „polskiej łaciny", ryków i nieludzkich krzyków. Jakiś cud Boski, że nikt nie użył kija ani pał, które były w ich rękach. Dopiero na drodze wiodącej do stacji kolejowej posypały się kamienie i kawały cegieł. Nie

szliśmy w skupieniu. Ja szedłem na przedzie. Szczęśliwie nie dostałem po głowie, ale studenci, wyśmiewając, drwiąc i drażniąc prześladowców, oberwali swoje. W połowie drogi do stacji hołota rzymsko-katolicka rozpłynęła się i opuściła pole bitwy.

Wsiedliśmy do pociągu. W pociągu jechał znany mi listonosz z Ełku, przewożący pocztę. Zawołał mnie do swego przedziału pocztowego. Studenci pozostali za ścianą w sąsiednim przedziale. Nagle słyszymy za ścianą straszny hałas. Otwieramy drzwi, a tam po prostu bójka: konduktor z jakimiś pomagierami trzymają Kustodowicza i chcą go wyrzucić w biegu pociągu przez okno. Listonosz załagodził zajście i tak szczęśliwie, bogatsi w doświadczenia, wróciliśmy do domu.

Za dwa dni dowiedzieliśmy się o tym, co działo się dalej w Kalinowie. Otóż w środę, dzień po naszym „ukamienowaniu", do Kalinowa zjechała wozami i pieszo cała parafia, bo ks. katolicki ostatniej niedzieli ogłosił: „Drodzy parafianie, wiecie, że w pobliżu mamy gniazdo heretyckie. W najbliższą środę przyjdą heretycy do Kalinowa, aby nam zabrać plebanię. Nie muszę wam mówić, jak macie ich przywitać". Po wygłoszeniu tych słów ksiądz bohater w poniedziałek zwinął manatki, wyjechał do Polski, zostawiając „krzyżaków", aby rozprawili się z heretykami.

Mieliśmy szczęście w nieszczęściu, że przez pana Zająca ubiegliśmy wydarzenie i parafianie środowi musieli się zadowolić opowiadaniami o dniu wczorajszym. W każdym razie wydarzenie to, które mogło skończyć się tragicznie, jest dowodem, że siła jest przed prawem. A podobno Polska tolerancją słynie !(?).

160
Delegacja Mazurów u Władysława Gomułki

O nieludzkich, karygodnych wykroczeniach katolików meldowałem superintendentowi Najderowi. Ponieważ ekscesy podobne zachodziły również w innych parafiach, więc sprawy te były tematem rozważań i dyskusji Komitetu Wykonawczego Kościoła Metodystycznego. Zażalenia i interwencja władz kościelnych w Urzędzie do Spraw Wyznań nie odnosiły żadnego skutku. Tłumaczyć to można tym, że nowy rząd polski (komunistyczny) nie okrzepł jeszcze [na tyle] w siłę, by mógł wyciągać konsekwencje wobec naruszających prawo i porządek. A zresztą, któż tam wiedział, jakiej farby są urzędnicy na stanowiskach państwowych. Jeszcze w 1948, 1949 roku toczyły się walki z partyzantami, którzy byli przeciwni ustrojowi komunistycznemu w Polsce. Nowy rząd polski nie był jeszcze w stanie rządzić katolickim społeczeństwem Polski. Wszędzie, zwłaszcza w terenie, na różnych stanowiskach siedzieli ludzie reakcyjni.

Pracownikom Kościoła Metodystycznego nie pozostało nic innego, tylko w takich warunkach dalej pracować, głosząc Ewangelię Jezusa Chrystusa, znosząc dla Jego imienia krzywdy i prześladowania. W osobistej rozmowie z superintendentem Najderem na temat chuligańskiej akcji katolickiej superintendent Najder podsunął mi myśl, abym zorganizował delegację z przedstawicieli ludności mazurskiej powiatu ełckiego. Z taką delegacją on uda się do Ministra Ziem Odzyskanych, Władysława Gomułki, by przedstawić mu stosunki wyznaniowe panujące na Mazurach. Radośnie przyjąłem tę myśl. Superintendent Najder do-

dał: „Jak tylko będę miał gotową taką delegację, to mam tylko napisać i wtedy ustalimy termin audiencji u ministra Władysława Gomułki". Po powrocie do Ełku kolejno skomunikowałem się w tej sprawie z kaznodziejami świeckimi: Bogumiłem Kobiałką, Gustawem Libudą i Ludwikiem Monselewskim. Pierwsi dwaj oświadczyli, że są gotowi pojechać do Warszawy. Monselewski wymówił się złym stanem zdrowia. O składzie delegacji powiadomiłem superintendenta Najdera.

Krótko mówiąc, któregoś dnia w styczniu 1949 roku pojechaliśmy do Warszawy. Przenocowaliśmy w gościnnych pokojach kościelnych przy ulicy Mokotowskiej 12, róg Placu Zbawiciela. Rano zadzwonił superintendent Najder do sekretarki, by upewnić się o obecności Ministra Władysława Gomułki. Poszliśmy pieszo. Przy okazji moi Mazurzy mogli podziwiać zgruzowaną Warszawę.

Weszliśmy do Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Przyjęła nas sekretarka, która z uśmiechem i serdecznością przywitała się z superintendentem Najderem. Zdziwiłem się, że sekretarka wcale nas nie zameldowała ministrowi. Superintendent Najder zwyczajnie zapukał do drzwi, wszedł, wprowadzając nas do gabinetu ministra Władysława Gomułki. *Podpadająco* serdecznie przywitał się z ministrem. Przedstawiając nas, powiedział: „Panie Ministrze przyprowadziłem delegację Mazurów z powiatu ełckiego, województwa białostockiego, z prośbą o wysłuchanie". Zabierając głos, powiedziałem: „Panie Ministrze, przychodzimy z prośbą o interwencję w sprawach, które przedstawiamy w niniejszym memoriale", wręczając mu przygotowaną petycję. Minister Władysław Gomułka, biorąc pismo do ręki, pyta: „O co chodzi?".

Przedstawiłem, że zgodnie z dekretami o „majątku poniemieckim" otrzymaliśmy od władz państwowych akty nadania. Niestety, obiekty kościelne przyznane nam są samowolnie, gwałtem, nieprawnie zabierane przez Kościół katolicki. Na to minister Gomułka powiada: „To co wy za wyznawców macie, że pozwolicie im zabrać?". Zaskoczyła mnie taka uwaga. Pomyślałem sobie: „I to mówi minister?". Nie zastanawiając się wiele, powiedziałem: „Panie Ministrze, jesteśmy wychowani w szanowaniu prawa. Ponieważ majątek naszego pierwotnego Kościoła Ewangelickiego dekretem państwowym przeszedł w ręce państwa, więc uważamy, że tylko państwo może decydować i rozporządzać tym mieniem. Skoro otrzymaliśmy z rąk władz państwowych obiekty do użytku kościelnego, to prosimy Pana Ministra, aby zajął odpowiednie stanowisko wobec Kościoła katolickiego, który narusza i depcze prawo i ustawy państwowe".

Rozwinęła się krótka dyskusja, w której zabierali głos delegaci: Libuda i Kobiała, przedstawiając przykłady własnych przeżyć. Obserwując ministra Gomułkę, odniosłem wrażenie, że myślami swoimi jest gdzieś w zaświatach, że nie kontaktuje z naszymi myślami i sprawami. Powiedzenie jego, dlaczego dajemy sobie zabierać to, co nam się należy, wydało mi się bardzo prymitywne, nawet chuligańskie. Dlatego też w dyskusji powiedziałem: „Nie jest naszym zwyczajem toczyć walki z kosami i widłami". Minister Władysław Gomułka, kończąc audiencję, powiedział: „Postaramy się rozpatrzeć wasze sprawy". Podziękowaliśmy grzecznie za przyjęcie i wyszliśmy. Strasznie nie podobała mi się cała rozmowa z Ministrem Ziem Odzyskanych. Widziałem jego niemoc, bezradność. Moi Mazurzy też nie byli zachwyceni polskim ministrem, pewnie inaczej wyobrażali sobie ministra.

Nie wiedzeliśmy wtedy, że Władysław Gomułka miał rzeczywiście ogromne kłopoty osobiste. Wkrótce bowiem został usunięty ze stanowiska pierwszego sekretarza partii za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne" i w ślad za tem został uwięziony. To „odchyle-

nie” Gomułki zgadzało się z moim odczuciem w czasie audiencji. W duchu pomyślałem wtedy: „Gomułka to katolik, żaden komunista”.

Po wyjściu z ministerstwa, superintendent Najder opowiadał mi, że Gomułka jest jego serdecznym przyjacielem. W czasie okupacji Władysław Gomułka, ukrywając się, korzystał z pomocy superintendenta Najdera, który jako superintendent Kościoła Metodystycznego był przez hitlerowców tolerowany, korzystając z pewnej swobody osobistej. Nie mogę nic powiedzieć, aby znajomość superintendenta Najdera z Ministrem Władysławem Gomułką dała jakiekolwiek korzyści Kościołowi Metodystycznemu. W każdym razie nasza rozmowa z nim nie dała żadnych dobrych owoców. Nadal musieliśmy walczyć z trudnościami i przykrościami.

161
„Zamach stanu” w Kościele Metodystycznym

Upadek Władysława Gomułki jako I sekretarza partii był ciosem dla superintendenta Konstantego Najdera, który był jego przyjacielem i który [w] każdej chwili znajdował u niego posłuchanie. Uwięzienie Wł. Gomułki musiało wywołać jakieś poruszenie w Komitecie Wykonawczym Kościoła Metodystycznego w Warszawie. Niestety, byłem daleko od Centrali, zajęty miejscowymi problemami i kłopotami. Wiem tylko to, że superintendent Najder dość często wyjeżdżał do Szwajcarii, skąd przynosił zawsze dobre wiadomości dla Kościoła w formie otrzymanych lub obiecanych pomocy finansowych.

W 1949 roku superintendent Najder wyjechał na jakąś konferencję do Norwegii czy Szwecji. Nagle obiegła nas wiadomość, że rząd polski odmówił mu powrotu do kraju. Fakt ten wywołał różne plotki i domysły. Jedna z wersji głosiła, że super. Najder „zaplątał” się w jakieś sprawy finansowe oraz przewożenie towarów z Szwajcarii z pominięciem cła i tym podobne insynuacje. W związku z tym osoby blisko stojące z Władysławem Gomułką widocznie wolały, aby Najder nie wrócił, by uniknąć procesów, które w tym czasie zaczęły być modne jako „procesy pokazowe”. Była też inna wersja, lansowana przede wszystkim wśród pastorów terenowych, że właśnie osoby z najbliższego otoczenia super. Najdera, czyli członkowie Komitetu Wykonawczego, jako konkurenci, pretendenci na stanowisko Superintendenta Naczelnego, spowodowały w niewiadomy sposób zakaz powrotu Najdera do kraju. Bowiem nie słyszałem, aby członkowie Komitetu Wykonawczego interweniowali u władz o zniesienie zakazu. Można przypuszczać, że niektórzy z „braci” cieszyli się z tego faktu. Być może interweniowała żona Najdera, o czym nie jest mi wiadome. Jeżeli interweniowała, to jednak bez skutku, gdyż zakaz powrotu Najdera do Polski nie został wycofany.

W taki sposób superintendent Najder został pozbawiony swej Ojczyzny, a przede wszystkim swej pracy misyjnej. Nie mogąc wrócić do kraju, wyjechał do Ameryki. Nie są mi znane przyczyny, dlaczego Najder nie został wchłonięty przez tamtejszy Kościół Metodystyczny. W każdym razie musiał chwycić się pracy fizycznej. Po kilku latach doszedł do grosza (również przez giełdę) i założył własną parafię w New Yorku przy 2 Avenue, przeniesioną na 8 Street i w końcu urządzoną w budynku kościelnym w Brooklynie na Greenpoint, Messerole Ave.

O prawdziwości powyższej wersji może świadczyć następujący fakt: po kilku latach wygnania superintendent Najder zwrócił się do mnie z prośbą, abym zdobył podpisy pastorów, pracujących na Mazurach, na Konferencji Okręgowej, a od innych korespondencyjnie. Pismo z podpisami wysłałem Komitetowi Wykonawczemu do zaakceptowania. Komitet Wykonawczy nie poparł zaproszenia. Co więcej, spowodował, że zostałem wezwany do Urzędu do Spraw Wyznań w Warszawie, gdzie otrzymałem odpowiednią reprymendę. Miałem wielkie nieprzyjemności. Z powyższego wynika, że „bracia w Chrystusie Jezusie", korzystając z nieobecności Superintendenta Naczelnego Konstantego Najdera, dokonali pospolitego „zamachu stanu". Jest też możliwe, że w tej sprawie macała swoje ręce również Akcja Katolicka, której bardzo zależało na ukróceniu działalności tak energicznego przedstawiciela Kościoła Metodystycznego. Reasumując, uważam, że całe „trio": władze polityczne, „bracia zamachowcy", żądni władzy, jak również Akcja Katolicka miały w tym zakazie swój interes.

To doprowadziło do tego, że w Kościele Metodystycznym w Polsce powstał nowy Komitet Wykonawczy:

Superintenden Naczelny:	Józef Naumiuk
Członkami pastorzy:	Leonid Jesakow
	Gustaw Burchard
	Jan Kalinowski
	Jan Kus
	Brunon Raszkiewicz

Ogół metodystów ubolewał nad brakiem superintendenta K. Najdera. Cieszył się wróg – Kościół katolicki.

Komitet Wykonawczy Kościoła Metodystycznego
„Zamachowcy" – 1949 rok
Siedzą od lewej: Leonid Jesakow, Józef Naumiuk – Superintendent Naczelny, Gustaw Burchard.
Stoją: Kalinowski Jan, Jan Kus, Józef Szczepkowski, Brunon Raszkiewicz

162
Współpraca kościołów z Rządem

W 1973 roku, po długich staraniach, będąc emerytem, dostałem paszport na pobyt czasowy do USA. Niestety, ambasada amerykańska odmówiła mi wizy, więc dnia 5 lipca 1973 roku odleciałem samolotem TU przez Pragę (Czechosłowację) do Kanady. Ale i w Kanadzie ambasada amerykańska odmówiła mi wizy do USA, gdzie od 4 stycznia przebywała moja żona. Wobec tych trudności dostania się do USA, dnia 28 września 1973 roku, otrzymując wizę na pobyt stały z ambasady RFN w Toronto, wyjechałem do Bundesrepublik Deutschland[271]. I tu ambasada amerykańska przez 2 lata odmawiała mi wizy do USA. Dopiero cudem dnia 20 września 1975 roku otrzymałem wizę na 3 miesiące pobytu w USA. Wyjechałem 10 października, wróciłem do Niemiec 22 grudnia 1975 roku. Dnia 14 lutego 1978 roku otrzymałem wizę wielokrotnego przekroczenia granicy USA, a dnia 23 marca 1981 roku otrzymałem stały pobyt w USA na podstawie karty „Resident, Alien". Od 1978 do 1984 roku rokrocznie przebywałem z żoną w New Yorku co najmniej 6 miesięcy, korzystając z lokum u szwagra, brata żony, Bernarda Wysockiego, przy ul. 7-th Street na Manhatanie.

W New Yorku uczęszczałem na nabożeństwa do różnych kościołów, ale najczęściej do polskiej parafii Kościoła Metodystycznego, założonej i prowadzonej przez pastora (superintendenta) Konstantego Najdera, wygnanego z Polski. Tu spotykałem się z pastorem Najderem i pastorem Winniczkiem. Po nabożeństwach odbywały się pogawędki i dyskusje przy kawie.

Dzielono się wiadomościami z kraju. Mówiono o trudnościach pracy kościelnej w Polsce. W 1983 roku, po nabożeństwie w czasie dyskusji, po wspólnym obiedzie uczestników nabożeństwa, pastor Najder poprosił o chwilę ciszy, uzasadniając następująco: „Drodzy Bracia i Siostry, chcę wam powiedzieć o pewnym wydarzeniu, o którym dotąd nikomu nie mówiłem: Kościół rzymsko-katolicki w Polsce, widząc wielki rozwój wyznań ewangelickich, szczególnie Kościoła Metodystycznego i Baptystów, oraz liczny odpływ katolików od katolicyzmu, zwrócił się do rządu z ofertą »współpracy« z Rządem, stawiając warunek, aby rząd spowodował ukrócenie rozwoju protestantyzmu w Polsce. Oferta złożona została przez Sekretarza Kurii Biskupiej w 1947 roku. Rząd jednak nie przyjął proponowanej oferty. Ale Kuria Biskupia nie dała za wygrane. W 1948 tenże Sekretarz Kurii Biskupiej ponowił ofertę »współpracy«. Tym razem Rząd przyjął ofertę. O tej sprawie poinformowała mnie – mówi Najder – osoba wysoko stojąca w hierarchii rządowej". – Tyle pastor Najder.

Relacja pastora Najdera wywołała ogólne zainteresowanie. Osobiście, analizując powyższą wiadomość, cofnąłem się do stycznia 1949 roku, kiedy to z delegacją Mazurów z Ełku i superintendentem Najderem byłem u Ministra Ziem Odzyskanych, Władysława Gomułki. Teraz zrozumiałem, dlaczego stanowisko Wł. Gomułki w sprawach przez delegację przedstawionych było wówczas obojętne, zdawkowe, bez odpowiedzi, bez rezultatu. Na czym polegała „współpraca" Kurii Biskupiej Kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce z rządem, nie jest celem moich dociekań. Wiem jedno tylko, iż rząd polski w stosunku do

[271] Republika Federalna Niemiec.

Kościoła katolickiego był wspaniałomyślny, bowiem nie przedsięwziął żadnych kroków, by ukrócić bezprawne, samowolne przejmowanie kościołów ewangelickich przez katolików. Katolicy powiedzą, że słowem „wspaniałomyślny" przeceniłem rolę rządu polskiego w stosunku do Kościoła katolickiego. Wiem, że stosunki te nie układały się sielsko. Wiem, że Kościół katolicki walczył o naukę religii w szkołach, o krzyże w klasach szkolnych itp. Wiem dobrze, że kardynał Wyszyński siedział w więzieniu. Ale pytanie: kto przed kim ugiął się, skoro kardynał Wyszyński został zwolniony z więzienia?

Nie mogę się zgodzić z tymi, którzy mówią, że kościoły nie współpracowały z komunistycznym rządem polskim. Powiedzmy, że nie było współpracy tego typu w formie „oferty", jak to relacjonował pastor Konstanty Najder w Kościele Metodystycznym w Nowym Jorku. Był bowiem drugi rodzaj „współpracy" z rządem. Była to „współpraca wymuszona": kto z dygnitarzy kościelnych, biskupów, księży, pastorów odmówił stawiennictwa w biurach Urzędu do Spraw Wyznań, Urzędu Bezpieczeństwa na ich wezwanie-zaproszenie, na piśmie lub telefonicznie? Względnie kto odmówił wizyty domowej przedstawicielom tych urzędów? Każde stawiennictwo w tych urzędach, każda domowa wizyta funkcjonariuszy owych urzędów, była w ich oczach niczym innym, jak współpracą – „współpracą wymuszoną". „Współpraca" różnie się układała. Nawet tragicznie, jak śmierć ks. Popiełuszki.

Kto twierdziłby, że kościoły w Polsce Ludowej nie „współpracowały" z rządem, ten nie ma pojęcia o stosunkach panujących w państwie komunistycznym, jakim była Rzeczpospolita Ludowa. Powiem więcej, wielu pastorów kościołów protestanckich w PRL miało kontakt z władzami państwowymi: Urzędem do Spraw Wyznań, Urzędem Bezpieczeństwa. Uważali to za pochlebstwo, za zaszczyt, za oznakę uznania. Dla przykładu, choćby taki ks. Jaworski (augsburczyk), pastor w Ełku, chełpił się przede mną, że „władze jego (a nie mnie) popierają". Wiem nawet, do „jakich władz" chodził. „Współpraca", taka czy inna, kończyła się dla jednych zaszczytami, honorami, stanowiskami, dla drugich zwolnieniami ze stanowisk, zakazem wykonywania zawodu.

163
Założenie Zboru Kościoła Metodystycznego w Mrągowie

Od 1946 roku istniała w Mrągowie (dawniej Ządzbork – Sensburg) parafia Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, której pastorem był mój przyjaciel, ks. Jan Sczech. Ten sam, który ze mną sprowadził metodystów na Mazury. Dodam, że ks. Jan Sczech miał za sobą pełne uniwersyteckie wykształcenie teologiczne w ramach Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

W Mrągowie było dużo „gromadkarzy", ewangelików, którzy za niemieckich czasów należeli do luterskiego „Gebetsvereinu"[272] w ramach Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Gromadkarzom Mrągowskim widocznie nie odpowiadały kazania teologiczne w kościele, więc urządzali w domach prywatnych nabożeństwa gromadkarskie, na których kazania wygłaszał nieteolog Karol Sczech, w jakimś stopniu spokrewniony z ks. Janem Sczechem. Do

[272] Związku Modlitwy.

grona gromadkarzy w Mrągowie należał również Adolf Kayka, syn poety mazurskiego Michała Kayki z Ogródka, powiatu ełckiego. Niezadowoleni z nabożeństw w Kościele Ewangelicko-Augsburskim, gdy dowiedzieli się, że Kościół Metodystyczny stoi na gruncie „nawrócenia" zgodnie ze słowami Jezusa: „Jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie może ujrzeć Królestwa Bożego" (Jan 3,3), od czasu do czasu przyjeżdżali do Ełku na nasze nabożeństwa. Kazania, które wygłaszałem, podobały się im, bowiem miały charakter gromadkarski.

Po pewnym czasie ludzie ci nie dali mi spokoju, zapraszając mnie na ich nabożeństwa w mieszkaniu Karola Sczecha w Mrągowie, przy ul. Lenina, na których wygłaszałem kazania. Nalegali, abym zorganizował, założył Zbór Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Mrągowie. Tłumaczyłem, że powinni trzymać się istniejącej parafii Ewangelicko-Augsburskiej. Oświadczyli mi, że oni i tak nie chodzą tam na nabożeństwa, więc ks. Jan Sczech nie powinien mieć żalu ani pretensji do mnie ani do nich. Nie odpowiadała mi propozycja założenia osobnego Zboru Metodystycznego, gdyż to zakrawałoby na robotę rozbijacką.

Udałem się więc do mego przyjaciela, ks. Jana Sczecha, aby omówić i zażegnać całą sprawę, pogodzić obie strony. Zaproponowałem ks. Janowi Sczechowi, abyśmy po przyjacielsku współpracowali ze sobą. Zaproponowałem, aby raz w miesiącu przyjeżdżał do Ełku odprawić nabożeństwo, bo w Ełku niektórzy zborownicy woleliby z pewnością posłuchać księdza ewangelicko-luterskiego (aczkolwiek i ja byłem luteraninem w służbie Kościoła Metodystycznego). A ze strony ks. Jana Sczecha spodziewałem się, aby pozwolił mi odprawić nabożeństwo w jego kościele nawet wieczorem, na które przyjdą ci, którzy normalnie nie chodzą do kościoła. Chodziło mi o to, aby nie dopuścić do rozdwojenia. Ks. Jan Sczech niby zgodził się na moją propozycję, ale na ustalony termin nie przyjechał do Ełku.

Pojechałem raz jeszcze do ks. Jana Sczecha. Przyjęty zostałem obiadem, który spożywałem z wielkim niesmakiem, bo tuż przy stole siedział ich maleńki synek na nocniku i robił kupę. Oczywiście, nocnik stał na podłodze, żeby ktoś nie myślał, że stał na stole. Pfuj! To było niesmaczne, nieprzyjemne. Ale miłość rodzicielska wszystko znosi, bowiem „miłość jest cierpliwa, nie nadyma się, wszystko znosi..." – 1 Kor. 13.

Rozmowa na temat współpracy nie dała wyników, ks. Jan Sczech odmówił takowej, nie uzasadniając powodami. Żegnając się powiedziałem: „Janie, nie zdziw się, jeżeli któregoś dnia powstanie Zbór Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Mrągowie".

Wyszedłszy od ks. Jana Sczecha, udałem się do Karola Sczecha i Adolfa Kayki, aby ich przekonać, że założenie odrębnej parafii nie będzie dobrą rzeczą, gdyż w ten sposób powstaną dwie odrębne parafie na „gruzach" dawnego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Dawniej tak nie było, gdyż gromadkarze nie wyłączali się z oficjalnego Kościoła, nie tworzyli osobnej denominacji, osobnego wyznania, po prostu „gromadkarstwo" było stowarzyszeniem modlitewnym w ramach Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Na moje wywody Karol Sczech i Adolf Kayka odpowiadają: „Przecież Kościół Ewangelicko-Augsburski, którego pastorem jest ks. Jan Sczech, też nie jest naszym dawnym kościołem, też jest nam obcy co do liturgii, stroju liturgicznego, gdyż księża zakładają na togę »koszulę ze szpicami«" (nie znali słowa *komża*). I dalej mówią: „Kościół Metodystyczny jest nam bliższy, bo głosi zasady gromadkarskie i jest oficjalnie uznanym kościołem w Polsce. A co jest najważniejsze, że duża liczba ewangelików w Mrągowie i okolicy nie uczęszcza do Kościoła Augsburskiego, mimo iż są ludźmi pobożnymi. Będąc na nabożeństwach w Ełku, przekonaliśmy się, że porządek nabożeństwa razem z liturgią są te same, jakie były w naszym dawnym

Kościele Ewangelicko-Unijnym i chcielibyśmy, abyśmy byli obsługiwani przez pastora Edwarda Małłka tu w Mrągowie".

Musiałem przyznać, że myślenia Karola Sczecha i Adolfa Kayki były logiczne i... dałem się namówić. Zgodziłem się przyjechać na nabożeństwo organizacyjne, celem założenia parafii Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Mrągowie. (Później bardzo żałowałem tego.)

Nabożeństwo organizacyjne Zboru Kościoła Metodystycznego odbyło się którejś niedzieli pod koniec 1949 roku. Rzeczywiście przybyło dużo ludzi, trudno było pomieścić w prywatnym mieszkaniu Karola Sczecha przy ul. Lenina. Po nabożeństwie odbyła się rozmowa, dyskusja, w której wszyscy wypowiedzieli się za utworzeniem Parafii Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego. Poruszono też sprawę kaplicy. „Kaplica po Gebetsvereinie stoi pusta" – mówią wszyscy. Polecili, abym przygotował podanie o przydzielenie tego obiektu. Z podaniem do władz powiatowych udadzą się Karol Sczech i Adolf Kayka.

Chwilowo nabożeństwa odbywały się po południu każdej niedzieli w mieszkaniu Karola Sczecha. Po niedługim czasie Zarząd Miasta przydzielił wspomnianą kaplicę. Ustaliliśmy uroczyste otwarcie kaplicy. Członkowie uporządkowali i przygotowali kaplicę do uroczystości. Zbór zebrał się w mieszkaniu Karola Sczecha, skąd pochodem udaliśmy się do kaplicy. Nasz pochód sciągnął sporo ciekawskich. Nabożeństwo urozmaicone było chórem pod batutą Karola Sczecha. Odtąd istniała w Mrągowie Parafia Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego, obsługiwana przeze mnie. Zbór rozwijał się dobrze. Mniej więcej po roku urządziłem uroczystość kościelną, na którą zaprosiłem super. naczelnego Józefa Naumiuka i pastora Gustawa Burcharda. Obaj wygłosili kazania. Po uroczystości w kaplicy, odbyło się przyjęcie w mieszkaniu Karola Sczecha. Po dobrym posiłku każdy znajdywał swego rozmówcę. Podpadło mi zachowanie się Sczechów u Kayków. Poza moimi plecami poprosili super. Naumiuka i pastora Burcharda do osobnego pokoju, beze mnie. Domyśliłem się pewnych intryg. Żona Karola Sczecha i żona Adolfa Kayki robiły wszystko, abym czasami nie wszedł do pokoju, w którym odbywały się „tajemnicze" narady. Po dłuższym czasie „intryganci" rozeszli się trochę zmieszani, gdy mnie spotkali, wychodząc z poufnej narady.

Rozjechaliśmy się, jakby nic nie zaszło, aczkolwiek czułem urazę do tej „poufnej" czwórki. Tematem narady musiało być coś, czego ja nie miałem wiedzieć. Za kilka dni wszystko się wyjaśniło. Otrzymuję z Komitetu Wykonawczego pismo, w którym zawiadamia się mnie, że pastorem w Mrągowie mianowany został pastor Gustaw Burchard, który obsługiwać będzie, dojeżdżając z Warszawy. Z samego faktu byłem zadowolony, bo pozbyłem się dodatkowego ciężaru. Ale wspominając „poufną naradę", zaaranżowaną przez Szczechów i Kayków, uznałem że ks. Jan Sczech miał rację, charakteryzując ich obu jako „intryganci i malkontenci". Szczęśliwy byłem nie stawać przed ich fałszywymi twarzami. Przecież zaprojektowane zmiany można było dokonać w mojej obecności.

Parafię w Mrągowie objął pastor Gustaw Burchard, dobry kaznodzieja, też luteranin. Mało wiedziałem o jego pracy w Mrągowie. Po prostu nie interesowałem się. Aż tu nagle, po niespełna roku, otrzymałem pismo z Komitetu Wykonawczego, abym z powrotem objął Mrągowo. Byłem tym bardzo zaskoczony. Bo co mogło się stać? Dlaczego ta komedia? Nieurzędowo powiedziano mi, że Gustaw Burchard podpadł władzom państwowym. Podobno odprawił nabożeństwo po niemiecku. W każdym razie musiał opuścić Mrągowo. Na

propozycję ponownego objęcia Mrągowa odpowiedziałem negatywnie. Powiedziałem prosto: „Nie myślę lizać tego, co ktoś napaskudził".

Wobec tego na miejsce Burcharda wysłano młodego pastora Zygmunta Karczewskiego, który na życzenie władz państwowych musiał opuścić Elbląg. Pastor Zygmunt Karczewski objął Mrągowo przypuszczalnie w końcu 1950 lub na początku 1951 roku. Pastor Z. Karczewski był bardzo zdolny, muzykalny, podobał się zborowi mrągowskiemu, a szczególnie rodzinie Kayka, która mając dwie dorodne i urodziwe córki, upatrywali Zygmunta na przyszłego zięcia. I rzeczywiście, po kilku latach, dnia 2 stycznia 1954 roku, odbył się ślub z Katarzyną.

Dnia 1 stycznia 1954 roku udzieliłem ślubu moim wychowankom Bursy Mazurskiej w Ełku, pastorowi Janowi Waszkowi z Gerdą Jelonek. Ślub odbył się w ich mieszkaniu w Mrągowie. Pastor Jan Waszk był synem wypędzonego rolnika z Wiśniewa, Gerda Jelonek córką rolnika z Milewa, oboje z powiatu ełckiego. Nowożeńcy urządzili piękną, wspaniałą ucztę weselną w swoim mieszkaniu w Mrągowie przy ul. Lenina. Przyjęcie, nader smaczne potrawy przygotowała i serwowała „zawodowa" kucharka weselna i to według dawnych reguł na Mazurach. Tej uroczystości nigdy nie zapomnę.

Nocując w Mrągowie z 1-go na 2-go stycznia 1954 roku, postanowiliśmy z żoną być obecnymi na ślubie Zygmunta Karczewskiego z Käthą Kayka, który odbędzie się w kaplicy, którą ja zorganizowałem. Wprawdzie nie mieliśmy zaproszenia, mimo to nie spodziewaliśmy się niespodzianki. Podchodzimy do drzwi wejściowych, chcąc wejść do kaplicy. W drzwiach stoi gruba żona Karola Sczecha, tarasując wejście. Udając, że nas nie poznaje, nie przepuszcza nas, wołając: „Nie wolno! Tylko za zaproszeniem. Tylko za zaproszeniem!"... Nie dowierzam swoim oczom. W tym [momencie] przyszły mi na myśl słowa Jezusa: „Przyszedłem do swoich, ale swoi mnie nie przyjęli" – Jan 1,11. Moja żona mówi do mnie: „Chodź, idziemy...". Ja, jakbym nie słyszał tych słów, stoję, jakby zahipnotyzowany słowami: „Nie wolno!". Nie wolno wejść do kościoła...!? Tak stojąc przed grubą Sczechową, zostałem zauważony przez innych zborowników, którzy interweniowali u Sczechowej. Nie witając nas, nie podając ręki, wpuściła nas łaskawie do kaplicy. Stojąc w tłumie, analizując „widowisko", słyszę wewnętrzny głos: masz zapłatę za twój trud. Za chwilę ślubu udzielił nowożeńcom superintendent naczelny Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego Józef Naumiuk z Warszawy. Po ślubie zaproszeni goście udali się do mieszkania Kayków, gdzie odbyła się uczta weselna.

Wydarzenie to dało mi dużo do myślenia. Widocznie byłem naiwny, że zaufałem „takim gromadkarzom", którzy mienili się być „nawróconymi". Do kogo? Dla mnie jedno doświadczenie więcej. Kilka dni po ślubie dowiaduję się, że pastor Zygmunt Karczewski został wezwany do kierownika Wojewódzkiego Urzędu do Spraw Wyznań w Olsztynie. Po wejściu do gabinetu kierownika pastor Karczewski przedstawia się słowami: „Jestem pastor Karczewski z Mrągowa". „Niestety, od dzisiaj nie jest pan już pastorem!" – powiada kierownik. W dalszej rozmowie kierownik powiada do pastora Karczewskiego: „Zwolnienie może być cofnięte, jeżeli pan zgodzi się na *współpracę*". Pastor kategorycznie odmówił współpracy, więc zwolnienie z miejsca było aktualne. Podaję to według relacji Pastora Karczewskiego.

Po Karczewskim parafię w Mrągowie obsługiwał pastor Jan Waszk, który od pewnego czasu był pomocnikiem pastora Karczewskiego, obsługując przede wszystkim stacje kaznodziejskie w powiecie, jak: Ukta, Krutyń i inne. Jeszcze tego samego roku (1954) los

zwolnienia spotkał również pastora Jana Waszka, i to w identyczny sposób, jak zwolnienie pastora Karczewskiego. Zwolnienie obu pastorów było przykrym i bolesnym „podarunkiem" ślubnym nowożeńców. Nie będąc już pastorami, Karczewski i Waszk przygotowali 8-osobową grupę młodzieży nieistniejącej, zlikwidowanej parafii w Mrągowie do konfirmacji, która odbyła się w Ełku dnia 3.10.1954 roku.

Z rodziną pastora Zygmunta Karczewskiego i Kaykami, mimo doznanego poniżenia, utrzymuję przyjazne stosunki.

A więc władze państwowe bezpośrednio położyły kres istnieniu parafii Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Mrągowie, zwalniając ostatnich dwóch pastorów, którym nie pozwolono wrócić do pracy w kościele.

164
Akcja ks. Zygmunta Michelisa

Był to jeden z piękniejszych słonecznych dni lata 1951 roku. Jestem wyjątkowo w domu. Ktoś puka do drzwi. Otwieram, a tu niespodziewani goście: mój brat Karol, który pozbawiony był wszelkich urzędów i stanowisk, wyrzucony na emeryturę, oraz drugi gość – nie zgadniecie: ks. Zygmunt Machelis, proboszcz parafii Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie. Nie zdziwiłem się, że brat mnie odwiedza. Ale co jest powodem wizyty tak zarozumiałego księdza Zygmunta Michelisa? Małżonka moja zakrzątnęła się naokoło poczęstunku, a my w gadkę.

Ks. Michelis nie zwlekał ani nie ukrywał, w jakiej misji przyjechał do mnie, prosząc mego brata do towarzystwa. Otwarcie powiedział: „Chciałbym, aby pastor był pastorem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego tu w Ełku". Byłem nie lada zaskoczony taką propozycją, zwłaszcza słowami „tu w Ełku". Nim zabrałem głos, ks. Michelis ciągnął dalej: „Przecież pastor jest luteraninem, więc winien należeć do kościoła luterskiego". Zapytałem: „Jak to Ksiądz sobie wyobraża?" „A no po prostu: przyjmujemy pastora do Kościoła Augsburskiego na pełnych prawach" – powiedział. Wciąż nie wiem, co kryje się za ofertą, więc pytam: „Dlaczego ta propozycja?". Ks. Michelis powiada: „Mamy plan, aby całe Mazury należały do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego". Cicho pomyślałem: „podjazdówka!". Głośno powiedziałem: „To znaczy, że taką samą propozycję dostaną wszyscy pastorzy metodystyczni, pracujący na Mazurach". „Tak bym nie powiedział – powiada ks. Michelis – chcemy przyjąć pastora i pastorów Oskara Napierskiego i Otto Cybullę". „A co z resztą?". „No, innych nie przejmiemy".

Zabieram głos: „Ksiądz powiedział, że chcecie, aby całe Mazury należały do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego". „Tak, ale innych pastorów nie-Mazurów nie chcemy mieć". Jeszcze nie domyślam się złych zamiarów misji ks. Z. Michelisa, więc powiadam: „Myślę, że propozycja Księdza to spóźniony refleks. Przecież to ja z ks. Janem Sczechem sprowadziliśmy metodystów na Mazury. Dlaczego to zrobiliśmy? Bo w marcu 1945 roku, przedstawiając sprawy Kościoła ewangelickiego na Mazurach waszemu biskupowi dr. Janowi Szerudzie, prosząc go o zaopiekowanie się ewangelickimi Mazurami, on powiedział nam, że niestety nie jest w stanie zaopiekować się Mazurami, dodając: A zresztą to są Niemcy.

Nie chcąc pozostawić Mazurów bez opieki religijnej zorganizowaliśmy za zgodą Wojewody Olsztyńskiego Radę Kościoła Ewangelickiego, która zaprosiła na konferencję delegację Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Niestety żadna delegacja Kościoła Augsburskiego wówczas się nie zjawiła, czego jestem osobistym świadkiem. Pozostali więc tylko metodyści, którzy przejęli opiekę – powtarzam „opiekę" – nad Mazurami na ustalonych wówczas warunkach: Nauka według *Katechizmu* dr. Marcina Lutra, strój liturgiczny pastorów i liturgia według porządku dawniejszego Kościoła Ewangelicko-Unijnego. Dlatego nie szkalujcie metodystów, że są na Mazurach, gdyż jedynie z winy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego są oni tutaj. Wracając więc do propozycji Księdza, abym przeszedł do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, uważam, że jest to sprawa nie do przyjęcia, nawet i wtedy, gdyby pastorzy Napierski i Cybulla zgodzili się być u was. Według mego zdania, można by ewentualnie wysądować sprawę przejścia Mazurów do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, gdyby tenże Kościół przejął wszystkich pastorów metodystycznych, pracujących na Mazurach i to na pełnych prawach. Myślę, że takie rozwiązanie, w porozumieniu ze wszystkimi pastorami mogłoby być realne i ewentualnie możliwe. Na indywidualną »wyrywkę« nie mam ochoty się pisać".

W dalszej rozmowie ks. Michelis apelował, abym jednak się zdecydował. Podkreślił przy tym, że plan swój będzie realizował, gdyż „w tej sprawie ma porozumienie i poparcie władz państwowych". Na tym rozmowa „fachowa" się skończyła. Każdy z nas pozostał na swojej pozycji.

Nie przypuszczałem wtedy, aby porozumienie ks. Zygmunta Michelisa z władzami państwowymi miało aż tak mocne podstawy. O ks. Michelisie wiedziałem tyle, że kosztem wszystkiego chciałby zasiąść na fotelu biskupa Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Żądny władzy, gotów konszachtować nawet z diabłem, by tylko osiągnąć swój cel. Aby nie mieć przeciwników spoza Kościoła Augsburskiego, konszachtował nawet z Kościołem rzymsko-katolickim, o czym pisze jeden z b. księży Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, pastor Edward Kneifel, w swojej książce pt. *Die Pastoren der Evangelisch-Augsburgischen Kirche in Polen*[273]. Na „adiutanta" swej akcji ks. Michelis dobrał sobie ks. Ryszarda Trenklera, seniora diecezji pomorskiej.

Akcja ks. Michelisa zaczyna działać. Przeciw katolikom?! – A skądże! Skierowana była jedynie i wyłącznie przeciw protestantom, przeciw metodystom. Pierwszą – przypuszczalnie – ofiarą był pastor Gustaw Burchard, który wprawdzie nie został zwolniony z pastorstwa, ale musiał opuścić Mrągowo. (Szkoda, że przez mój wyjazd na Zachód wszelkie moje dokumenty zaginęły. Muszę ograniczyć się do mojej pamięci.)

Drugą ofiarą byłem ja. Przypuszczalnie jeszcze w 1951 roku, niedługo po wizycie ks. Michelisa u mnie. Było to tak: pewnego dnia przychodzi do mego mieszkania dwóch panów (osobiście nieznanych mi), przedstawiają się jako urzędnicy Zarządu Miejskiego. Odniosłem wrażenie, że co najmniej jeden z nich to funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa. Zakomunikowali mi, że część kaplicy przydzielona została Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu. „Jak to – powiadam – przecież Kościół Metodystyczny posiada akt nadania na cały obiekt". „Tak – powiadają – ale niemniej obiekt ten, jako mienie poniemieckie, jest własnością państwa i obecnie władze uznały, że część obiektu należy się Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu". Byłem zaszokowany niespodziewaną wizytą. Tłumaczę im, że zaledwie dwie, trzy rodziny chcą należeć do Kościoła Augsburskiego. Skoro pragną te

[273] Pastorzy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

rodziny osobnych nabożeństw, to przecież możemy ustalić terminy, w których będą ich nabożeństwa. „Skoro przez dłuższy czas gościliśmy prawosławnych, aż dostali własną kaplicę, to tak samo możemy współżyć z ewangelikami Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego" – powiadam. „No, niestety, władze uznały za właściwe, aby nastąpił podział" – oświadczyli przybysze. Tłumaczę, że „jestem zaskoczony sprawą i muszę poradzić się Rady Parafialnej i Centrali Kościoła Metodystycznego". „Dobrze, niech pastor się poradzi, aczkolwiek to nie zmieni decyzji władz. Proszę jedynie zastanowić się nad tym, którą część chce pastor zatrzymać dla siebie: kaplicę od ulicy, czy salę od ogrodu. Przyjdziemy wtedy i wtedy i spiszemy protokół". Podali termin i poszli.

Wiedziałem, skąd wiatr wieje: akcja Michelisa działa, ks. Michelis użył przeciwko mnie ks. Bussego, który przyjeżdżał do Ełku do rodziny Gerharda Czwikły, ożenionego z Lizą Soboll(-ewską), gdzie odprawiając krótkie nabożeństwa, knuli z Longinem Trojanowiczem, b. kaznodzieją, wyrzuconym z Kościoła Metodystycznego za niemoralne prowadzenie się w Domu Starców w Piętkach, plany przeciwko mnie, mając poparcie władz.

Centrala Kościoła Metodystycznego nie była w stanie mi pomóc ani poradzić. Zdany byłem na własne siły. Przedstawiłem sprawę Zarządowi Parafii. Musimy odpowiedzieć na pytanie: którą część obiektu chcemy zatrzymać dla siebie? Przedstawiłem mój pogląd na tę sprawę... Obecnie parafia w Ełku nie jest jedyną w powiecie, są bowiem jeszcze cztery:

Grabnik	–	pastor Julian Miśków,
Stare Juchy	–	pastor Bazyli Kustodowicz,
Klusy	–	pastor Julian Langner,
Kalinowo	–	kaznodzieja Liszkiewicz.

Wciąż ubywa naszych członków przez wyjazdy do Niemiec. Wobec tego zaproponowałem, abyśmy zatrzymali salę od ogrodu. Przez to pozbędziemy się przeszkód i tłuczenia szyb przez katolików oraz kłopotu z ogrzewaniem kaplicy. Zarząd Parafialny uznał moją propozycję za właściwą. Gdy zjawili się ci sami funkcjonariusze, spisali protokół, który pod przymusem podpisałem, mocą którego zrzekałem się kaplicy od ulicy i jednego pokoju na drugim piętrze, zajęty przez moją matkę, dwie siostry i dwie siostrzenice. Praktycznie tylko kaplica frontowa przeszła pod administrację Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, obsługiwana przez pastora Bussego.

Proszę sobie wyobrazić, jaka powstała sytuacja: kaplica oddzielona była od naszej sali tylko drzwiami, których – ze względu na bezpieczeństwo przeciwpożarowe jako rezerwowe wyjście – nie można było zamurować. Ks. Busse nie pofatygował się, aby uzgodnić ze mną godziny odprawiania nabożeństw, by jedne drugiemu nie przeszkadzały. Jak na złość urządzał nabożeństwa w tym samym czasie jak nasze, mimo iż zmieniłem rozpoczęcia naszego nabożeństwa. Teraz musieliśmy znosić przeszkody ze strony ewangelików. Przykra, godna ubolewania sytuacja. Za drzwiami na nabożeństwie u augsburczyków tylko sześcioro osób: małżonkowie Trojanowicze, małżonkowie Czwikła, pani Korobczenkowa i pastor Busse.

Dalszym krokiem przeciwko mnie było przejęcie mieszkania parafialnego pod zarząd miasta. Odtąd musiałem płacić czynsz, mimo iż formalnie nie unieważniono naszego aktu nadania. Wszystko, co się działo, było nieformalne i bezprawne, dokonywane przez przedstawicieli „władz państwowych".

Idźmy dalej śladami brudnych stóp ks. Michelisa i jego „misji". Jak już wspomniałem w rozdziale *Założenia Zboru w Mrągowie*, zwolnieni zostali w 1954 roku pastorzy: Zygmunt Karczewski i Jan Waszk tylko dlatego, że odmówili „współpracy" z władzami poli-

tycznymi. Na propozycję współpracy wystarczyło powiedzieć „nie", a już leżało się na bruku. Nie wiem, jaki był początek likwidacji „głowy" Kościoła Metodystycznego, ks. Józefa Naumiuka. Nazywało się, że został zwolniony w 1955 roku przez Kościół ze swego stanowiska superintendenta naczelnego i jako pastor. Kto był tym „Kościołem" zwalniającym ks. Józefa Naumiuka, tego nie wiem. Nie wiem też, czy otrzymał jakiekolwiek pismo o zwolnieniu.

Na dorocznej Konferencji Kościoła Metodystycznego w Warszawie we wrześniu 1955 roku wystąpiłem w obronie ks. J. Naumiuka, mimo iż nie był moim szczególnym przyjacielem. Zarzucałem Komitetowi Wykonawczemu bezpodstawne, niezgodne ze Statutem (prawem Kościoła) zwolnienie i to bez jakiegokolwiek postępowania dyscyplinarnego czy też karnego. Wniosek mój o przeprowadzenie postępowania dyscyplinarnego popierała większość pastorów, między innymi Stanisław Słotwiński, Michał Jamny, pastorzy z Mazur. Ponieważ Komitet Wykonawczy nie dopuścił, aby sprawa ks. Józefa Naumiuka znalazła się na porządku obrad Konferencji, było jasne, że ks. J. Naumiuk został zwolniony na żądanie władz państwowych. Jest też zrozumiałe, że „nie chciał być pajacem w rękach Urzędu do Spraw Wyznań, czy też Urzędu Bezpieczeństwa" – jak mi to osobiście powiedział.

Ubytek ks. J. Naumiuka w 1955 roku był ciosem dla Kościoła Metodystycznego tej samej miary, jak wyrzucenie z kraju superintendenta Najdera w 1949 roku. Ks. J. Naumiuk (b. ks. katolicki) był dobrym organizatorem, walczącym protestantem i bardzo dobrym mówcą-kaznodzieją. Duchowo, moralnie, fizycznie i finansowo zbity, mimo dobrej kondycji, wcześnie zmarł.

Na jego miejsce, superintendentem naczelnym został Józef Szczepkowski (były bokser – jak to sam o sobie mówił), wykształcony w Stanach Zjednoczonych Ameryki, bardzo źle mówiący po polsku, mizerny mówca, ożeniony z Polką-katoliczką, która nic nie chciała mieć wspólnego z Kościołem Metodystycznym. Nigdy nie brała udziału w uroczystościach Kościoła. Jeżeli była (?) w Centrali Kościoła, u męża, to chyba tylko w sprawach finansowych. Przed superintendenturą Józef Szczepkowski przez szereg lat był dyrektorem Szkoły Języka Angielskiego Kościoła Metodystycznego w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej 12. Szkoła ta słynęła na całą Polskę. Tu zdobywali znajomość języka angielskiego przyszli pracownicy ambasad. Superintendent J. Szczepkowski był „chorągiewką" w rękach Urzędu do Spraw Wyznań. Z wejrzenia o złośliwym wyrazie twarzy. W rozmowie suchy, bez uczuć, powiedziałbym bez współczucia, głaz. Nic go nie obchodziło, gdy ktoś z pastorów niewinnie został z miejsca zwolniony i znalazł się bez środków do życia. Za jego kadencji nie było wzlotu misji Kościoła Metodystycznego, raczej stagnacja.

Dalszą stratą dla Kościoła Metodystycznego było przekazanie kaplicy metodystycznej w Olsztynku Kościołowi Augsburskiemu. Akcja ks. Michelisa wciąż ma powodzenie, szczególnie pod względem zdobywania obiektów. Pastor Oskar Napierski, mój przyjaciel, Mazur z Klęczkowa, powiat Działdowo, mając w ręku większość ewangelików w Olsztynku, własnym sposobem gospodarczym z pomocą zborowników wybudował w zburzonej części miasta, kaplicę, w której odbywały się nabożeństwa metodystyczne.

W którymś roku zabrano metodystom „sierociniec" w Starych Jabłonkach, powiat Ostróda, którego kierownikiem był pastor Otto Cybulla, obsługujący również parafię w Ostródzie. Pastor Otto Cybulla pochodził z mojej wsi rodzinnej, Brodowo, powiat Dział-

dowo. Nieznane mi są losy takich parafii metodystycznych, jak: Kurki, Waplewo, Łukta, Lipowo, Mańki powiatu ostródzkiego.

W tym samym okresie czasu został zwolniony pastor Rafał Rumiński w Zalewie, który obsługiwał również parafię w Miłomłynie w powiecie Morąg. Nie tylko, że z miejsca został zwolniony, oczywiście przez Wojewódzki Wydział do Spraw Wyznań; jednocześnie musiał opróżnić mieszkanie, a parafie zostały przekazane Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu. Pastor Rafał Rumiński zamieszkał u swej teściowej, pani Lisewskiej w Kalinowie, powiat Ełk, ożeniony z Ilzą Lisewską. Prowadził tam młyn i tartak, własność teściowej.

W walce Kościoła Augsburskiego przeciwko pastorom metodystycznym ciekawe i dziwne było stanowisko Komitetu Wykonawczego łącznie z superintendentem naczelnym Kościoła Metodystycznego w Warszawie. Równolegle ze zwolnieniem przez władze polityczne Kościół Metodystyczny z tą samą datą skreślał zwolnionych pastorów z listy płac, nie wyrażając zlikwidowanym nawet wyrazów „braterskiego" współczucia, ani nie przeprowadzając z nimi „pożegnalnej" rozmowy. „W biedzie poznasz przyjaciela". Superintendent naczelny ani nikt z członków Komitetu Wykonawczego nie zapytał, z czego zwolnieni będą żyli. Tym bardziej, że zwolnienia następowały nagle i niespodziewanie. Nikt nie był na to przygotowany. A mając takie piętno na czole „zwolniony politycznie", gdzie można było znaleźć pracę? Szczęśliwcem był pastor Rafał Rumiński, który znalazł przytułek u niewysiedlonej teściowej. Natychmiastowe skreślenie z listy płac, bez dochodzenia dyscyplinarnego, było nieludzkie, czego powinien się wstydzić Kościół, który mieni się być kościołem misyjnym, nazywając się między sobą „braćmi", „siostrami". Gdzie tu był „brat"? Gdzie była „siostra"? Paskudna obłuda.

A jak nazwać „z dala kierowaną" akcją ks. Michelisa? Było to dzieło szatana, który burzył dzieło Boże. Czyż ks. Michelis działał z rozkazu Jezusa Chrystusa, który polecał swoim uczniom i wszystkim tym, którzy pracują w kościołach: „Czyńcie uczniami moimi (Chrystusowymi) wszystkie narody"? – Mat. 28, 19. Czyż ks. Michelis spełniał rozkaz Jezusa? Do niego stosują się słowa apostoła Pawła – Filip. 2, 21: „Szukają swego, a nie tego, co jest Chrystusa Jezusa".

Czy akcja jego znalazła uznanie w Kościele Augsburskim? Należałoby sądzić, że tak, boć przecież przyspożył obiektów kaznodziejskich swemu kościołowi. Czy zdobył większe osobiste uznanie w Kościele Augsburskim? Można powiedzieć, że nie, o czym świadczy lakoniczna notatka w jednym z czasopism na jego 50-lecie pracy w kościele: „Biskup i Pastorzy złożyli Jubilatowi swoje życzenia". I nic więcej. Nie spełniły się jego życzenia, być biskupem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. I dobrze tak, bo byłby większy wstyd i hańba dla Kościoła Augsburskiego. Hańba, boć wyrządził wielką szkodę protestantyzmowi w Polsce, walcząc przeciwko protestantom.

Zresztą, [o] ile pamiętam, od 1920 roku Kościół Ewangelicko-Augsburski działa na szkodę protestantyzmu w Polsce: tak biskup dr Juliusz Bursche, walcząc przeciw superintedentowi dr. Paulowi Blau, reprezentującemu Kościół Ewangelicko-Unijny na Pomorzu, w Poznańskiem i na Działdowszczyźnie, działał na szkodę protestantyzmu w Polsce. Pastor Ewald Lodwich, walcząc z superintendentem Ernestem Barczewskim w Działdowie, działał na szkodę protestantyzmu w Polsce. Tak też i ks. Michelis walcząc z metodystami, czynił ogromną szkodę protestantyzmowi w Polsce.

Muszę przyznać, że biskup dr Juliusz Bursche był wielkim patriotą polskim. Działał jako patriota polski. Umarł w obozie koncentracyjnym jako bohater polski, a nie jako ambasador protestantyzmu. Nie zgadzam się z pastorem Gastparym, który w swoim dziele wypowiada pienia uwielbienia o biskupie dr. J. Burschem, „jakim to wielkim ewangelikiem był biskup Bursche". Powtarzam moje zdanie: „Biskup dr J. Bursche był wielkim Polakiem! Nigdy wielkim Lutrem!".

Jeden z byłych księży Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce, przebywający w Niemczech, pisze: „Es war Bursches Tragik, keine Gaben und auch kein Format eines Reformators gehabt zu haben"[274]. Ten sam ksiądz przytacza słowa ks. Feliksa Gloeha, przeciwnika polityki kościelnej biskupa Burschego: „Bursches Regiment ist kein Kirchenregiment mehr"[275].

Michelis, Siegmund

Geb. am 17. März 1890 als Sohn des Lehrers und Kantors Peter Michelis; stud. theol. in Dorpat und ordin. am 8. Dezember 1912. Vikar in Warschau 1912–1914. Pfarrer in Lipno 1914–1921, 2. Pfarrer in Warschau 1921–1939, 2. Pfarrer der polnisch-evang. Gemeinde zu Warschau 1939–1944, 1. Pfarrer 1944–1962. Redakteur des polnisch-evang. Wochenblattes „Zw. Ew." Bedeutender polnischer Kanzelredner, Gegner der Kirchenpolitik Bischof D. Bursches in den Jahren 1936–1939[325]). Leiter der Evangelischen Bank in Warschau. Im Zweiten Weltkrieg als freiheitlicher Pole in deutscher Haft. Nach seiner Entlassung betätigte er sich konspirativ und im polnischen Aufstand 1944 aktiv. Um den Wiederaufbau der Warschauer evangelischen Dreifaltigkeitskirche machte er sich verdient. Er bemüht sich um den Dialog mit den polnischen Katholiken, was in den dortigen konfessionellen Verhältnissen natürlich nicht leicht ist. Nur darf dieser Dialog nicht zur Preisgabe evangelischer Positionen oder gar zu Konversionen führen[326]). Die Gründung der zweiten evangelischen Gemeinde in Warschau war wohl verständlich, doch angesichts der zahlenmäßigen Schwäche beider Parochien nicht zwingend notwendig. Trotz schöner Worte und Beschlüsse vereinigten sich die beiden Gemeinden immer noch nicht[327]). Vom 50jährigen Amtsjubiläum des Pfarrers Michelis hieß es in einer polnischen Publikation: „Der Bischof und die Pastoren übermittelten dem Jubilar ihre Wünsche." Seit 1. Januar 1963 i. R. Verh. 2 Sohn.

[325]) Vergl. E. Kneifel, Gesch. der Evang.-Augsb. Kirche in Polen, S. 274 u. a.
[326]) Wie z. B. bei Władysław Ludwig Evert.

Trenkler, Richard

In Władysławow am 1. Februar 1912 als Sohn des Böttchers Heinrich Trenkler und Mathilde, geb. Presse, geb.; stud. theol. in Warschau und ordin. am 25. Oktober 1936. Vikar in Bromberg und bald darauf Adm. in Thorn und Graudenz. Während des Zweiten Weltkrieges hielt er sich in Warschau auf. Nach 1945 wieder Pfarrer in Thorn und seit 1951 Senior der pommerell.-großpolnischen Diözese. Von 1959 2. Pfarrer an der St. Trinitatis-Kirche zu Warschau und seit 1. Januar 1963 1. Pfarrer. Verh.

276

[274] Tragedią [w oryginale: „tragiką" – Red.] Burschego było, że nie posiadał ani charyzmy, ani też formatu reformatora.

[275] Rządy Burschego to już nie rządy kościelne (odpowiedzialna troska o Kościół).

[276] Ks. Dr. Eduard Kneifel, *Die Pastoren der Evangelisch-Augsburgischen Kirche in Polen* (Pastorzy Ewangelicko-Augsburskiego Kościoła w Polsce) na stronie 135: „**Michelis Siegmund**, urodz. 17 marca 1890 jako syn nauczyciela i kantora Piotra Michelisa, studiuje teologię w Dorpacie, ordynowany 8 grudnia1912. 1912–1914 [był] wikariuszem w Warszawie, księdzem w Lipnie 1914–1921, 2 prob. w Warszawie 1921–1939, 2 prob. polskiej parafii ewangelickiej w Warszawie 1939–1944, 1. księdzem 1944–1962. Redaktor polskiego ewangelickiego tygodnika „Zwiastun Ewangeliczny", wyróżnia się jako dobry polski kaznodzieja, przeciwnik polityki kościelnej biskupa D. Burschego w latach 1936–1939. Kierownik Banku Ewangelickiego w Warszawie. Jako polski niepod-

Pastorowi Ewaldowi Lodwichowi nie odmawiam gorliwości działacza ewangelizmu, ale w jego działalności dominował egoizm i własny interes w patriotyzmie polskim.

A cóż można dopiero powiedzieć o ks. Michelisie? Kierowała nim żądza władzy i sławy. Osobista pycha, zarozumiałość i wiara w samego siebie sprawiały, że w swoim postępowaniu nie przebierał w środkach. Idąc na usługi i współpracę z władzami politycznymi, korzystał z ich przychylności i poparcia. To, co czynił z metodystami na Mazurach, zasługuje tylko na potępienie.

Kto korzystał z walki biskupa Burschego przeciwko Kościołowi Ewangelicko-Unijnemu w Polsce? Kto korzystał z walki ewangelickiego ks. Lodwicha przeciwko ewangelickiemu superintendentowi Barczewskiemu w Działdowie? Kto korzystał z nikczemnej walki ewangelickiego ks. Michelisa przeciwko ewangelickim metodystom na Mazurach? W każdym wypadku radość panowała u katolików. Śmiało można powiedzieć, że robili dobrą robotę na rzecz katolicyzmu, jakby byli najemnikami Akcji Katolickiej.

Zdawałoby się, że tak mądrzy i wysoce wykształceni teologowie: biskup Bursche, ks. Michelis, ks. Lodwich winni byli znać powiedzenie zażartego przeciwnika Reformacji w Polsce, biskupa warmińskiego, Stanisława Hozjusza (1504–1579), który powiedział: *Bellum haeretikum pax est Ecclesiae* (wojna między heretykami jest pokojem dla Kościoła). To samo mówi polskie przysłowie: „Gdzie się dwóch kłóci – trzeci korzysta". I tak było rzeczywiście. Przed akcją ks. Michelisa, Kościół katolicki bał się, że straci dużo wiernych na rzecz wyznań protestanckich. Akcja ks. Michelisa zapewniła pokój Kościołowi katolickiemu. Czy katolicy docenili zasługi ks. Michelisa? Winni go za to kanonizować...

Ks. Michelis, niestety, nie osiągnął swego celu: zlikwidowania Kościoła Metodystycznego na Mazurach, którego parafie nadal istnieją, nawet i w Ełku, gdzie szachrajsko Kościół Augsburski sprzedał kaplicę, a Metodyści ją z powrotem wykupili, pięknie odremontowali i nadal głoszą Ewangelię Jezusa Chrystusa.

165
„Odwilż" polityczna w Polsce

Wciąż trwają rozgrywki wśród aparatu partyjnego w Polsce. W 1955 roku, po blisko sześciu latach więzienia, zostaje zwolniony Władysław Gomułka. Społeczeństwo polskie natchnięte nadzieją na lepszą przyszłość, swobodę, wolność, praworządność, odgryzło się

ległościowiec podczas II wojny światowej więziony przez Niemców. Po zwolnieniu aktywny w konspiracji i w polskim powstaniu. Zasłużył się na rzecz odbudowy kościoła Św. Trójcy w Warszawie. Zabiega o dialog z polskimi katolikami, co przy tamtejszych konstelacjach konfesyjnych nie jest rzeczą łatwą. Naturalnie, dialog ten nie powinien odbywać się kosztem pozycji ewangelickich, a nawet sprowadzać się do konwersji (przypis 326: jak np. w przypadku Władysława Ludwika Everta). Powołanie do życia drugiej parafii ewangelickiej w Warszawie można zrozumieć, ale niekoniecznie akceptować z uwagi na liczebną słabość obu parafii. Pomimo pięknych słów i uchwał, obie te parafie wciąż jeszcze nie zjednoczyły się (przypis 327): Współżycie i współpraca wśród polskich pastorów ewangelickich wydają się obecnie jeszcze trudniejsze aniżeli były przed 1939 rokiem pomiędzy pastorami niemieckimi i polskimi. O 50-leciu sprawowania urzędu (księdza) przez Zygmunta Michelisa czytamy w polskiej publikacji: »Biskup i pastorzy przekazali Jubilatowi swoje życzenia«. Od 1 stycznia 1963 w stanie spoczynku. Żonaty, ma jednego syna."

na różnych partyjniakach, wywożąc niektórych na taczkach z zakładów pracy. Robotnicy liczyli na Władysława Gomułkę, wiwatując: Wiesław, Wiesław! Wiesław!...

Nastroje te oddziałały równie na mnie. Pomyślałem: nadeszła chwila sprawiedliwości. Postanowiłem wnieść sprawę do Sądu Powiatowego w Ełku o zwrot kaplicy, którą zabrano Kościołowi Metodystycznemu i bezprawnie oddano Kościołowi Augsburskiemu, wymuszając mój podpis pod protokółem zdawczo-odbiorczym. Wziąłem adwokata Giecewicza, znanego przeciwnika komunizmu. Był dobrym prawnikiem. Szereg lat był sędzią w Ełku, ferując solidne wyroki, szczególnie wtedy, gdy oskarżonym był członek partii, uzasadniając wyrok słowami: „Wy jako członek partii powinniście świecić przykładem porządnego człowieka, a nie być złodziejem..."

Gdy zjawiłem się u Giecewicza, byliśmy już sobie znajomi z sądu, gdyż często zastępowałem Mazurów w różnych sprawach. W sądzie uważano mnie za prawnika, tylko się do tego nie przyznaje, a władze polityczne nazywały mnie „Ambasadorem Niemieckim". Z adwokatem Giecewiczem spotykaliśmy się również w gimnazjum, na „wywiadówkach", do którego chodziły nasze dzieci i ich syn Janusz. Oddając sprawę w ręce adwokata wyjaśniłem okoliczności, w jakich wymuszono ode mnie podpis pod protokołem, mocą którego Kościół Ewangelicko-Augsburski otrzymał część kaplicy. Adwokat Giecewicz złożył skargę do Sądu.

Wcale niedługo trwało, a już sprawa doszła do władz partyjnych i Urzędu Bezpieczeństwa. Powstał wielki szum naokoło tej sprawy. Po prostu wsadziłem „kij w mrowisko". Był to czas w Polsce, kiedy Władysław Gomułka w 1955 roku był zwolniony z więzienia, a w 1956 roku rehabilitowany, ale jeszcze nie przejął władzy pierwszego sekretarza partii, co stało się dopiero w październiku 1956 roku. W tym czasie toczyła się walka między „stalinowcami" a zwolennikami „odwilży", widząc w Władysławie Gomułce – „Wiesławie" odnowiciela.

Białostocczyzna (w tym Ełk) była opanowana przez Białorusinów – stalinowców. Nie dali się zepchnąć z wygodnych foteli, nadal dzierżąc władzę według dawnych form rządzenia. Wszelkie objawy krytyki, partii czy rządzących władz tępiono w zarodku.

Niedługo po złożeniu skargi do sądu zjawia się „Tajniak", żądający ode mnie wycofania skargi. Wymówiłem się, że sprawa jest w ręku adwokata i muszę się z nim porozumieć. Poszedł. Adwokat poparł moje stanowisko, aby odczekać, zobaczyć, co będzie dalej. Stalinowcy nie czekali długo, „kuli żelazo, dopóki było gorące".

Dostaję piśmienne wezwanie do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. W gabinecie zastaję przewodniczącego i dwóch podejrzanych typów. Z pewnością wyższej rangi UB-owcy, prawdopodobnie z Białegostoku, bo nigdy ich przedtem nie widziałem. Rozmowa rozpoczęła się bardzo łagodnie od ich niewinnego pytania: „Jak się pastor czuje itp.?". Wiedząc, o co chodzi, podkreśliłem, iż Kościołowi Metodystycznemu wyrządzono wówczas krzywdę, zabierając nam kaplicę, przydzielając ją Kościołowi Augsburskiemu, który dotąd, po kilku latach pracy, ma tę samą liczbę członków na nabożeństwie w liczbie pięciu osób. Przypomniałem też, że Kościół Augsburski w 1945 roku odmówił opieki nad ludnością mazurską, a obecnie siłą niszczy to, co inni wypracowali i zbudowali. „Myśmy się tu zebrali, aby wezwać pastora do wycofania sprawy sądowej" – oświadczył jeden z nich tonem rozkazującym. Dziś, po przeszło trzydziestu latach, nie przypominam dokładnego przebiegu rozmowy. Wiem tylko, że zdania formułowane przez funkcjonariuszy miały na celu zastraszenia i groźby. Charakter rozmowy nie różnił się od wielu, wielu innych po-

przednich rozmów, aranżowanych przez Urząd do Spraw Wyznań, a kończących się w innych „komórkach". Spotkanie to nie dało wyniku, bo nie zgodziłem się na wycofanie sprawy. Wychodząc, usłyszałem słowa: „Panie pastorze, tego pan pożałuje!"

Będąc w domu, słowa te mnie prześladowały, nie dawały mi spokoju. Pragnąłem pokoju, a nie wojny, która toczy się przez ścianę w kaplicy. Co tu robić? Z jednej strony groźba ze strony „dzierżymordów", z którymi trudno wygrać sprawę. Z drugiej strony dręczyła mnie niesprawiedliwość i złość wroga. Uważałem słuszność po mojej stronie, jednak nie byłem pewny, czy uda mi się „złego ducha" przepędzić z kaplicy, gdyż znalazł on sprzymierzeńców i popleczników we władzach komunistycznych bezbożników.

Udałem się więc do adwokata Giecewicza. Przedstawiłem mu przebieg rozmowy z „aparatczykami" u przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej. Metody stalinowskie były adwokatowi aż nadto dobrze znane. Gdy go zapytałem, co mam robić, odpowiedział: „Jestem mimo wszystko gotów proces prowadzić. Będzie to bardzo ciekawa rozprawa". Znałem adwokata Giecewicza z rozpraw sądowych bardzo dobrze. Miał wyrobiony, cięty język prawnika. Sam byłbym ciekaw rozprawy sądowej. Jednak zwróciłem adwokatowi uwagę na rozgrywki polityczne, dokonujące się w Polsce. Jeszcze działał stary aparat partyjny. Powiedziałem: „Może za wcześnie wystąpiłem do sądu ze skargą? Może należałoby odroczyć sprawę? Myślę, że osobiście będę przegrany, nawet w wypadku wygrania sprawy merytorycznej".

Po dłuższej dyskusji zgodziliśmy się, że adwokat „zawiesi sprawę". Obraliśmy „złoty środek": „wilk syty, owca cała". Sprawa nigdy się nie odbyła. Wpłynęły na to inne wydarzenia.

166
„Pucz" – spisek w Kościele Metodystycznym

We wrześniu 1956 roku powołana została Doroczna Konferencja Kościoła Metodystycznego w Warszawie. Konferencja odbywała się w atmosferze odnowy – „odwilży" politycznej w Polsce. Na dniach liczono się z wyborem Władysława Gomułki na pierwszego sekretarza partii i utratą stanowisk wielu partyjniaków, którzy zawinili klęsce gospodarczej Polski. Całe społeczeństwo przeklinało i krytykowało tych, którzy źle rządzili krajem.

Taka sama atmosfera znalazła swoje odbicie również w Kościele Metodystycznym w Polsce. Szemrano przeciwko złemu gospodarowaniu finansowemu. Ogół nie wiedział, co dzieje się z pomocą finansową z zagranicy. Skarżono się na samowolę Komitetu Wykonawczego, który obdarowywał „uprzywilejowanych", dzieląc niesprawiedliwie. Oskarżano superintendenta naczelnego i Komitet Wykonawczy, że dopuścił do zwolnienia szeregu pastorów. Żądano wyjaśnienia, dlaczego zostali zwolnieni. Zarzucano Komitetowi Wykonawczemu, że bezpodstawnie skreślał zwolnionych pastorów z listy płac i nie zatroszczył się o sytuację materialną pastorów i ich rodzin. A przede wszystkim (po cichu) zarzucano Komitetowi Wykonawczemu, z superintendentem Józefem Szczepkowskim na czele, że są „marionetką" w ręku Urzędu do Spraw Wyznań. Ogólnie mówiąc, zebrało się „kwasu" dostatecznie dużo, że za kulisami dyskutowano nad wyborem nowego składu Komitetu Wykonawczego, łącznie z superintendentem.

Tak się składało, że nie pierwszy raz występowałem w obronie pokrzywdzonych, jak na przykład superintendenta Najdera, superintendenta Naumiuka, a przede wszystkim teraz przeciwko bezprawnemu skreśleniu z listy płac zwolnionych pastorów. Widziałem, że większość pastorów i delegatów krytykowała rządy Komitetu Wykonawczego, ale poza mną nikt nie miał odwagi tego głośno powiedzieć. Ponownie upomniałem się o rozpatrzenie sprawy zwolnienia superintendenta Józefa Naumiuka. Komitet Wykonawczy odmówił rozpatrzenia sprawy, co „dosypało węgla do ognia” niezadowolenia.

Za kulisami poważnie postanowiono wybrać nowy Komitet Wykonawczy, aby odnowić Kościół i nadać mu pierwotny charakter kościoła misyjnego. Zwolennicy „odnowienia” zaproponowali (jeszcze za kulisami), abym przyjął kandydaturę na superintendenta naczelnego. „Odnowicielom” wyklarowałem, że Kościół Metodystyczny powinien reprezentować pastor o pełnym wyższym wykształceniu teologicznym, czego ja nie mam. Dlatego proponuję na superintendenta naczelnego pastora o nienagannej opinii, uczciwego na wskroś i bardzo koleżeńskiego, o wyższym wykształceniu teologicznym, Oskara Napierskiego z Olsztynka. A ja, jeżeli będzie wolą większości, mogę należeć do Komitetu Wykonawczego.

Za kulisami wrzało, oczekiwano ostatniego dnia Konferencji, który decydował o wyborze superintendenta naczelnego i członków Komitetu Wykonawczego. Utworzyły się dwa bloki: „starych” i „młodych”. „Starzy” debatowali w mieszkaniu superintendenta Szczepkowskiego, „młodzi” rajcowali w pokojach noclegowych. Do „młodych” należeli wszyscy pastorzy z Mazur i część z centralnej Polski. Tylko pastor Adam Kuczma kursował od jednej grupy do drugiej, ale ostatecznie – odniosłem wrażenie – przechylił się na stronę „młodych”. Grupa „młodych” silnie agitowała wśród delegatów, by głosowali za „odnową”, bowiem ich głosy były tak ważne, jak głosy pastorów. Grupa z Mazur była silnie reprezentowana.

Nadszedł dzień wyborów. Jak każdy inny dzień konferencyjny, tak i ten zaingurowany był krótkim nabożeństwem. Wybory władz naczelnych Kościoła rozpoczęto od wyboru przewodniczącego Komisji Wyborczej. Nie pamiętam, jakie były kandydatury. „Młodzi” proponowali mnie na przewodniczącego. Już w tym głosowaniu „starzy” ponieśli klęskę, bo moja kandydatura przeszła. Zły „omen” dla „starych?”. Natychmiast po wyborze przejąłem przewodnictwo, dziękując za zaufanie. Po czym przystąpiłem do realizacji dalszych punktów programu, dokonując najpierw wyboru tzw. „komisji matki”. Osoby wybrane zajęły miejsce obok przewodniczącego. „Komisja matka” ustaliła liczbę uprawnionych do głosowania. Podałem do wiadomości, że głosowanie odbędzie się tajnie na podstawie indywidualnych kart do głosowania. Teraz moment naprężenia. Wszyscy podekscytowani.

Ogłaszam: „Proszę zgłaszać kandydatury na superintendenta naczelnego”. Nie pamiętam, jakie kandydatury padły. „Młodzi” podali pastora Oskara Napierskiego. Za pierwszym głosowaniem Oskar Napierski otrzymał znaczną większość głosów, a zatem został wybranym superintendentem naczelnym Kościoła Metodystycznego w Polsce.

Nie miałem czasu obserwować reakcji „starych”, ale myślę, że byli zaszokowani, szczególnie wysoką liczbą oddanych głosów na pastora Napierskiego. „Proszę zgłaszać kandydatury na stanowisko skarbnika głównego” – apeluję do zgromadzenia. Padły nazwiska, między innymi i moje.

Głosowanie... Liczenie kartek-głosów...

Jako przewodniczący podaję wynik głosowania: „Edward Małłek został wybrany głównym skarbnikiem Kościoła większością głosów". Po każdym głosowaniu podałem liczbę głosów, oddanych na każdego kandydata. Okazało się, że otrzymałem jeszcze więcej głosów niż pastor Napierski. Po wyborach, kandydaci na zapytanie: „Czy przyjmują wybór?" – odpowiedzieli: „Tak". A zatem runęły stare filary Kościoła Metodystycznego w Polsce. Można sobie wyobrazić, co działo się w duszy „starych". Nie pamiętam, jakie dalsze osoby weszły do nowego Komitetu Wykonawczego, w każdym razie nikt ze „starych".

Po dokonaniu wyborów jako przewodniczący Komisji Wyborczej podziękowałem uczestnikom za sprawne i uczciwe wybory. Jako rzecz niebywałą podkreśliłem, że ster Kościoła Metodystycznego przechodzi w ręce Mazurów, wypróbowanych i zdecydowanych protestantów, gorliwych wyznawców Jezusa Chrystusa. Po czym dalsze przewodnictwo Konferencji przekazałem w ręce wybranego superintendenta naczelnego Oskara Napierskiego, który wyczerpał resztę programu dziennego Dorocznej Konferencji. Ogółowi zdawało się, że wszystko jest w porządku. Każdy patrzył w lepszą przyszłość Kościoła. Wszyscy oczekiwali unormowania spraw wewnętrznych i finansowo-gospodarczych. Nikt nie spodziewał się spisku, jaki knuli „starzy" za kulisami.

Przypuszczalnie następnego dnia nowowybrany superintendent naczelny Oskar Napierski zwołał wszystkich uczestników Konferencji na zebranie do sali Szkoły Języka Angielskiego na parterze. (Obrady Konferencji odbywały się w kaplicy na pierwszym piętrze.) Zebranie miało charakter informacyjny, a nie jakichś narad.

Zaledwie superintendent Napierski powiedział kilka zdań, jak z procy wyskoczył z sali pastor Witold Benedyktowicz, wskakując na scenę (bo taka była), zawołał: „Polscy metodyści do mnie!". Za nim wyskoczyli następujący pastorzy: Józef Szczepkowski, Jan Kalinowski, Jan Kus i Brunon Raszkiewicz. O ile się nie mylę, tylko tylu znalazło się na scenie, reagując na bojowe wezwanie pastora Benedyktowicza. Oczywiście wszyscy ze zdetronizowanego Komitetu Wykonawczego. Jednym słowem „pucz" – zamach stanu!

Reszta pozostała na sali. Nastąpiła ogólna konsternacja. Powstał tumult. Ogół poczuł się urażony, szczególnie delegaci z Mazur i ich pastorzy, bo zrozumieli hasło Benedyktowicza jako degradację narodowościową. Ja z Napierskim zdębieliśmy. „Aha! Jesteśmy po prostu Niemcami w oczach »zamachowców«" – pomyślałem. Tak samo przyjął to Oskar Napierski.

Z szumem wszyscy rozeszli się po salach. „Zamachowcy" pozostali sami, na pewno też debatując między sobą. Zdziwili się na pewno, że nikt więcej nie znalazł się po ich stronie. Zastanawiając się nad wydarzeniem na Konferencji Kościoła Metodystycznego, przypomniałem historię Ludu Izraelskiego i jego wodza Mojżesza. Izraelici, pokonując 40-letnią wędrówkę do Ziemi Obiecanej, zapomnieli lata niewoli, lata ucisku w Egipcie. Nie tylko zaczęli szemrać przeciwko Mojżeszowi, lecz również stracili nadzieję i wiarę w Boga, tańcząc i kłaniając się „złotemu cielcowi". Mojżesz, patrząc boleśnie na odstępstwo ludu od Boga, zawołał: „Kto jest za Panem (Bogiem), do mnie" – 2 Mojż. 32,26.

Analogia do wydarzenia na Dorocznej Konferencji Kościoła Metodystycznego w Warszawie – wrzesień 1956 rok? Może tak, jeżeli chodzi o ujęcie słowne. Ale jakaż różnica w treści. Mojżesz nawoływał Lud Izraelski do Boga. Pastor Benedyktowicz wołał metodystów do siebie i to tylko „polskich" metodystów. Widocznie uważa, że tylko „polscy

metodyści" będą zbawieni. Jako były katolik nie odskoczył od wiary papieży, którzy uważają, że tylko katolicy będą zbawieni. (Kościół katolicki – jedynozbawczy.)

Zdaniem większości metodystów w Polsce pastor Benedyktowicz razem z Komitetem Wykonawczym był „kukłą" w rękach władz komunistycznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dlatego metodyści Dorocznej Konferencji we wrześniu 1956 roku dali swój głos pastorom, którzy prowadzić będą lud do Pana, do Boga, do Jezusa Chrystusa. Przeważna część uczestników Konferencji rozjechała się do domów, zabierając ze sobą wstrętne wrażenia o zachowaniu się niektórych „braci w Jezusie Chrystusie".

Każdemu wiadomem było, że nowy Komitet Wykonawczy z superintendentem naczelnym musi być zatwierdzony przez Urząd do Spraw Wyznań. Pastor Napierski chciał rzucić wszystko i wyjechać do domu, bowiem dotknięty był tym wydarzeniem. Mnie chodziło o sprawdzenie, czy Kościół, a więc władza kościelna, jest niezależny od władzy państwowej. Dlatego rzekłem do Napierskiego: „Oskar, nie rzucaj, poczekaj, zobaczymy, czy Urząd do Spraw Wyznań nas w ogóle zatwierdzi. Musimy się przekonać, kto jest władzy państwowej odpowiedni i przyjemny".

Pastor Napierski dał się udobruchać, sporządził pismo z wykazem nowego Komitetu Wykonawczego i przesłał do Urzędu do Spraw Wyznań z prośbą o zatwierdzenie. „Zdetronizowani" ze swej strony wnieśli sprzeciw, a może nawet oskarżenie nowego Komitetu Wykonawczego, względnie niektórych jego członków, o wrogie działanie na szkodę Polski. Nie wiem też, w jakiej formie złożyli, na piśmie czy na „gębę". Dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań wezwał obie strony na konferencję, która odbyła się w jego gabinecie. Ze strony „wybranych" był Oskar Napierski i ja, ze strony „zdetronizowanych" byli: Józef Szczepkowski, Witold Benedyktowicz, Jan Kalinowski i Jan Kus. W gabinecie powitał nas osobiście dyrektor, prosząc, byśmy zajęli miejsce przy (dość długim) stole: dyrektor (nazwiska nie pamiętam) w szczycie stołu, „wybrani" po jego lewej stronie, „zdetronizowani" po jego prawej. Napierski pierwszy przy dyrektorze, ja obok niego. Jakaż przykra sytuacja: „Braci Chrystusowych", chrześcijan, musi godzić komunista, „bezbożnik!". Wstyd nam, chrześcijanie! No, ale taka była rzeczywistość w komunistycznej Polsce Ludowej. I w tym wypadku tylko katolicy mogli radośnie ręce zacierać, wołając: *Bellum haereticum – pax est Ecclesiae*, wojna między heretykami – pokojem dla Kościoła (katolickiego).

Gdyśmy zajęli miejsca, dyrektor udzielił słowa najpierw „płaczącym". Nieudolnie przemawiał swą kiepską polszczyzną Józef Szczepkowski, poprawiał go i uzupełniał pastor Witold Benedyktowicz. Ale obaj ględzili, bo w zasadzie co mieli do powiedzenia, skoro nie zostali wybrani. Po nich przemawiał Oskar Napierski, który przedstawił sprawę pod kontem dokonanych wyborów, które były uczciwie przeprowadzone. Po Napierskim ja zabrałem głos. Będąc trochę wyrobiony w sprawach politycznych, nawiązałem do hasła „zamachowcy", Witolda Benedyktowicza: „Polscy metodyści do mnie!". Rozwinąłem dość szeroko myśl: kim jest pastor Napierski, kim jest Edward Małłek, kim są delegaci z Mazur, kim są pastorzy i delegaci z całej Polski, którzy w większości głosowali na nowy skład Komitetu Wykonawczego, tak pod względem religijnym, społecznym, narodowym i politycznym. Moje wywody zamknąłem apelem pod adresem dyrektora: „Skoro przeciwnicy mają w swoim ręku jedyny argument, politycznie nas jako obywateli Polski obrażający, więc jedynie władza państwowa, a zatem Pan Dyrektor może ten spór rozstrzygnąć. Mam nadzieję, zgodnie z wolą tych, którzy nas wybrali". Po moich słowach były jeszcze drobne wypowiedzi dyrektora, z których wnioskowałem, że nasze wywody zrobiły na nim wraże-

nie. Przeciwnicy naprawdę nie mieli żadnych argumentów na swoją obronę. Po grzecznościowych słowach dyrektor pożegnał nas, obiecując, że rozpatrzy sprawę.

„Zamachowcy" wyszli pierwsi z gabinetu, ja za nimi. Na końcu wychodził pastor Napierski. Blisko drzwi dyrektor zatrzymał go na osobistą rozmowę. „Puczyści" poszli do domu, ja pozostałem w poczekalni. Rozmowa pastora Napierskiego z dyrektorem była dość długa. Wreszcie Napierski wychodzi z gabinetu dość zmieszany i zdenerwowany. Idąc z nim i pytam go wprost: „Zgodziłeś się?". Oskar Napierski przecząco kiwnął głową. Obaj, bez dalszych słów, wiedzieliśmy, o co chodzi. Na to powiedziałem: „To nie mamy na co czekać, możemy jechać do domu". „Tak, możemy jechać do domu" – powtórzył Oskar. Nic więcej Napierski nie mógł powiedzieć, gdyż przyrzekł dyrektorowi zachować tajemnicę o treści rozmowy. Znam dobrze tę formułę.

Chodziło o to, czy Napierski zgodzi się na „współpracę" z władzami politycznymi. Ponieważ się nie zgodził, więc nie było mowy, abyśmy jako Komitet Wykonawczy, a Napierski jako superintendent naczelny, mogli być zatwierdzeni. Ale trzeba wiedzieć, że delikatne sprawy władze polityczne PRL załatwiały w „białych rękawiczkach". Wybrały „złoty środek": nie zatwierdziły nowego superintendenta Oskara Napierskiego i nowego składu Komitetu Wykonawczego, ale i nie przywróciły „zdetronizowanych" do władzy. Wyszukały „odpowiedniego" kandydata na „komisarycznego" (z nominacji Urzędu do Spraw Wyznań) kandydata, którym został pastor Janusz Ostrowski. A więc rządy w Kościele były jednoosobowe.

Jest zrozumiałe, jeżeli władze państwowe, polityczne, oceniają wartość człowieka według narodowości i jeżeli jakikolwiek kościół ocenia ludzi na podstawie pochodzenia narodowego, to to zakrawa chyba tylko na miano nienormalności. Dlatego politykę kościelną biskupa dr. J. Burschego, biskupa dr. J. Szerudy, ks. E. Lodwicha, ks. Z. Michelisa, pastora W. Benedyktowicza i Komitetu Wykonawczego Kościoła Metodystycznego w Polsce nie mogę powiedzieć, że była chrześcijańską. Albowiem polityka-ideologia Jezusa Chrystusa nie uznaje barier, ani żadnych granic, zamyka się w jednym Jego zdaniu, wypowiedzianym do swoich uczniów: „Idźcie na cały świat, czyńcie uczniami moimi wszystkie narody" – Mat. 28, 19. Czy w tym duchu postępowali, rządzili wyżej wymienieni?...

Po słowach pastora Benedyktowicza: „Polscy metodyści do mnie" nie wpadła nam wtedy myśl do głowy utworzenia dwóch odrębnych Dorocznych Konferencji Kościoła Metodystycznego: jedną w centralnej Polsce – „polską", drugą na Ziemiach Odzyskanych – „niemiecką". Ale władze polityczne i tak żądałyby od każdego superintendenta naczelnego, tak jak i od każdego pastora „współpracy". Kto się nie zgadzał, musiał się liczyć ze zwolnieniem. To znaczy, że ci księża, pastorzy, którzy są czynni, są związani z władzami politycznymi, jak to mówi J.R. (Joachim Rogall) w „Borussii" 1/1992: – „szli ręka w rękę z państwem i jego polityką?". Odpowiadam: tak. Są jednak między nimi różnice: jedni mądrzejsi, bardziej wpływowi na otoczenie, współpracują świadomie, inni prostaczkowie, naiwniacy czynią to z dumą, „śpiewając" to, co wiedzą i czego nie wiedzą, ciesząc się z tego, że władze ich „popierają".

Dowodem mojej wypowiedzi jest choćby konferencja dwu obozów przedstawicieli metodystów u Dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań w 1956 roku oraz liczni zwolnieni pastorzy, którzy odmówili „współpracy". Jadąc z Napierskim do domu, dręczyła nas-Mazurów gorzka rzeczywistość naszej sytuacji w Polsce. Sądziliśmy, że choć w kościołach będziemy „braćmi – siostrami" jednego Boga. Niestety, stwierdziliśmy, że jest Bóg „pol-

ski" i „niemiecki". Po drodze zahaczyliśmy jeszcze o mego brata, Karola Małłka, b. prezesa Związku Mazurów, aby się pożalić, ale i on był „spłukany" z powierzchni „Polonii".

W Olsztynku w 1957 roku. Od lewej: pastor Oskar Napierski, biskup Ferdinand Sigg (Szwajcaria) oraz komisaryczny superintendent naczelny pastor Janusz Ostrowski

Jadąc od mego brata z Krutyni do Ełku, czułem, jak moja „polskość" ulatnia się do reszty. To samo działo się z Oskarem Napierskim. Obaj oraz inni pastorzy-Mazurzy wytężyliśmy wszystkie siły, aby wyjechać na Zachód. Stwierdziliśmy bowiem, że nawet w kościołach mamy do czynienia z szowinizmem: ze strony katolickiej szowinizm wyznaniowy; ze strony ewangelickiej szowinizm narodowy. Ani jeden, ani drugi nie odpowiadały moim zasadom. Doświadczyłem, iż oba są moimi wrogami i wrogami mego Narodu Mazurskiego.

167
Staranie o wyjazd za granicę

Posiadaliśmy w ręku dokumenty na osiedlenie w USA, nadesłane nam przez brata mojej żony, Władysława Wysockiego z Hartword, stan Connececticut, drugie od mojej bratowej Anny (żony Augusta), z domu Bromberg z Kassel na osiedlenie się w Republice Federalnej Niemiec. Od 1956 roku zaczęliśmy regularnie składać papiery na wyjazd na Zachód. Odpowiednie formularze, w których musieliśmy wymienić krewnych w Polsce i za granicą, składaliśmy do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie przez Biuro

Paszportów Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Ełku. Czyniłem to dlatego, ponieważ ewangelicy-Mazurzy masowo wyjeżdżali do Niemiec w ramach tzw. „akcji łączenia rodzin". I nasze podania były motywowane „łączeniem rodzin", wyjazdem do bliskich krewnych. Nasze podania składaliśmy na przemian: raz do RFN, innym razem do USA. Raz całą rodziną, innym razem tylko żona sama, albo ja sam, z synem Robertem.

Odpowiedzi władz na nasze dwukrotne podania każdego roku były negatywne. Dlatego w międzyczasie szukaliśmy innych sposobów, przez „znajomości", by koniecznie wyjechać z Polski. Za pośrednictwem znajomego z Ogródka, [z] powiatu ełckiego, poznałem jego szwagra w Warszawie [...][*], który jako były pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych miał powiązania i znajomości, zapewniał, że nasz wyjazd do Niemiec załatwi za odpowiednią opłatą, po prostu za „łapówkę". Sprzedałem pasiekę, 50 pni, i wpakowałem mu żądaną sumę. Okazało się, że wpadliśmy w łapy oszustów. Pieniądze przepadły, wyjazdu nie było. Jesteśmy zrujnowani. Z zaparciem samego siebie zakładam na nowo pasiekę. Było to w 1957 roku.

Szukamy dalszych znajomości, by wyjechać. Tegoż samego roku poznajemy u pastora Langnera w Klusach, pow. Ełk, lekarza [...][**] z Warszawy, przebywającego na wczasach, który ratuje naszego syna, Andrzeja, pomyłkowo operowanego w szpitalu w Ełku na wyrostek robaczkowy – „ślepą kiszkę". Okazało się, że operacja była niepotrzebna, gdyż wyrostek robaczkowy był zupełnie zdrowy. Nie wiedzieliśmy, że do sali pooperacyjnej, na której leżał Andrzej kilka dni z innymi dziećmi, służba szpitalna położyła ciężko chore dziecko na gruźlicę. Andrzej, bawiąc się z nim, zaraził się i zaczął chorować, ale lekarze nie trafiali na właściwą chorobę. Leczyli go na żołądek. Dopiero lekarz z Warszawy jako lekarz wojskowy zbadał Andrzeja i stwierdził, że Andrzej musi być prześwietlony, bo podejrzewa, że z płucami jest coś nie w porządku. Poszedł z Andrzejem do Szpitala Wojewódzkiego w Ełku na prześwietlenie. Okazało się, że rzeczywiście na płucach jest naciek, na szczęście cofający się. Widocznie penicylina, którą dostawał od lekarzy, powodowała cofanie się choroby. Mimo to, umieściliśmy Andrzeja w prewentorium w Choroszczy koło Białegostoku. Po pewnym czasie wrócił do domu, powoli przychodząc do zdrowia.

Właśnie żona lekarza z Warszawy słysząc, że chcemy wyjechać do Niemiec, powiedziała, że ma bardzo dobrego znajomego urzędnika w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, który sprawę tę na pewno załatwi. Wspomniała, że właśnie ten urzędnik załatwia wyjazd pastora Langnera. Przy okazji poznałem tego urzędnika w mieszkaniu doktorstwa. Zapewniał, że sprawa ta może być załatwiona. Wiadomość tę przyjąłem z rezerwą. Pomyślałem sobie: zaczekam, aż załatwi wyjazd Langrenowi, wtedy mogę mu zaufać. Rzeczywiście, pastor Langner dostał wyjazd do Niemiec na pobyt stały. Na pożegnanie spotkaliśmy się u doktorstwa w Warszawie, przy ul. Flory 5, gdzie ponownie rozmawiałem z owym „wpływowym ubowcem". Langner załatwił swoje wizy: do Republiki Federalnej Niemiec i tranzytową przez NRD (DDR). Żegnając się z Langnerem, raz jeszcze zapytałem: czy mogę „pośrednikowi" zaufać w naszej sprawie? Odpowiedział: „Możesz całkowicie zaufać mu". Na tym słowie polegałem i pozostawiłem tego dnia u doktorowej dość znaczną, jak na owe czasy, sumę jako zaliczkę. Wszystko wyglądało na uczciwą robotę. Pozostało czekać na rezultat.

---

[*] Nazwisko w rękopisie, którym nie dysponuje edytor – Red.
[**] Jak wyżej.

Na początku 1958 roku, w tajemnicy przed ojcem, podanie o wyjazd na gościnę do RFN złożył mój bratanek, Ryszard Małłek, pastor Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Ukcie, razem z synkiem Joachimem. O tej tajemnicy wiedziałem, gdyż często odwiedzałem ich w Ukcie. W pierwszych dniach kwietnia 1958 roku Ryszard Małłek z Joachimem wyjeżdżają do Hamburga, do teściów. Pozostała żona Ryszarda z córeczką Magdaleną. Musiała jednak opuścić plebanię w Ukcie, przeprowadziła się do Szczytna. Ryszard wyjeżdżając nie pożegnał się ani z rodzicami, ani z braćmi, aczkolwiek wyjeżdżał z zamiarem pozostania w Niemczech na zawsze. Na pożegnaniu prosiłem, błagałem go, aby mając wizę na 3 miesiące, nie rezygnował z polskiego paszportu, korzystając z gościny. Chodziło mi o to, aby pozostając na zawsze nie zepsuł naszej sprawy wyjazdowej, która była na dobrej drodze załatwiania. Niestety, Rysio znalazł się u teściów pod pręgierzem. „Idź, melduj się do roboty!" – wołają teście. Ryszard sam, czy też za czyjąś namową, natychmiast wysłał listem poleconym swój paszport do żony, by oddała go w Biurze Paszportów Milicji Obywatelskiej w Mrągowie. O ile się nie mylę, list z paszportem został wychwycony bezpośrednio przez kontrolę. Z chwilą, gdy paszport znalazł się w rękach Milicji Obywatelskiej, wiadomość pozostania Ryszarda w Niemczech rozeszła się szybkością błyskawicy: „Syn Karola Małłka, wielkiego działacza mazurskiego, uciekł do Niemiec!". Sensacja na całą Polskę.

Można sobie wyobrazić wrażenie i reakcję Karola Małłka, b. prezesa Związku Mazurów. Miotał się ze złości. „Jak mógł mu taką przykrość sprawić kochający syn?!". „Kto przyczynił się do jego wyjazdu?!". Te i inne pytania dręczyły mego brata po „ucieczce" Ryszarda. W szaleństwie pędzi do Ełku, podejrzewając, że mogłem ja być przyczyną „ucieczki" Ryszarda, gdyż wiedział, że staraliśmy się też o wyjazd. W domu nie zastał mnie, więc swoją złość, swoją tragedię wylał przed moją żoną, wołając między innymi: „Już ja to zrobię, że nikt więcej z Małłków nie wyjedzie?!". Wróciwszy do domu, udobruchałem brata i przekonałem go, że nie mam nic wspólnego z jego wyjazdem, w tajemnicy wiedząc tylko o jego zamiarach. „Kto dał Ryszardowi wyjazd, tego naprawdę nie wiem" – zapewniam brata.

Brat nie dał spokoju, aż doszedł, że ktoś z partyjniaków czy ubowców [...][*], dając wyjazd Ryszardowi, chciał skompromitować działacza mazurskiego, b. prezesa Związku Mazurów. Na „ucieczkę" Ryszarda ujemnie i wrogo ustosunkował się Kościół Ewangelicko-Augsburski w Polsce, oskarżając Ryszarda przed władzami kościelnymi w Niemczech, że opuścił parafię bez zgody Kościoła, przez to Ryszard miał przez dłuższy czas wielkie trudności w znalezieniu pracy. Działanie Kościoła Augsburskiego godne zastanowienia.

„Ucieczka" Ryszarda zapaskudziła całkowicie naszą sprawę wyjazdu, która była w toku załatwiania. Odwoławcze wnioski nasze o wyjazd leżały w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Korespondując w tym czasie z pastorem Otto Cybullą, który od szeregu lat był pastorem samodzielnym niemieckiej parafii w Słupsku, zaproponował mi, abym w Słupsku złożył podanie o wyjazd, nie czekając na odpowiedź z Ministerstwa. Powiedział mi, że w ciągu dwóch tygodni będę miał wyjazd. Biorąc pod uwagę burzę naokoło ucieczki Ryszarda oraz groźną zapowiedź mego brata Karola, że „nikt z Małłków nie wyjedzie", uchwyciłem się rady, propozycji pastora Cybulli. Uradziliśmy z żoną, że ja z synem Robertem fikcyjnie zameldujemy się u pastora Cybulli i w Słupsku złożymy podanie o wyjazd. W Słupsku bowiem sprawy wyjazdowe załatwiał jeszcze referent Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, dobry znajomy pastora Cybulli. Jak postanowiliśmy, tak też

[*] Nazwisko tej osoby znajdowało się w rękopisie, którym nie dysponuje edytor – Red.

zrobiliśmy. Pojechaliśmy do Słupska. Gdyśmy złożyli podanie, referent był na urlopie. Gdy referent wrócił z urlopu, w międzyczasie weszły nowe przepisy, przekazujące sprawy wyjazdowe Władzom Wojewódzkim w Koszalinie. „Masz ci babo placek" – pomyślałem. Referent zapewnił nas, że nasze podanie prześle z dobrą opinią.

Powstała paskudna sytuacja: jedno podanie-odwołanie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie, drugie w Wojewódzkiej Komendzie Milicji Obywatelskiej w Koszalinie. W naszej gorączce wyjazdowej, chcąc uprzedzić decyzję z Koszalina, żona pojechała do Ministerstwa, by upomnieć się o przychylne załatwienie naszej sprawy. W rozmowie z żoną padło pytanie: „Czy Edward Małłek w Ełku i w Słupsku, to jedna i ta sama osoba?" – ona, zaskoczona pytaniem, powiedziała: „Tak". Żona wróciła z Warszawy z niczym. Stwierdziliśmy tylko, że w Polsce Ludowej nie da się niczego ukryć. Nie przewidywaliśmy, że gromadziły się nad nami groźne, złowrogie chmury, które uderzą w naszą egzystencję.

Dnia 18 lub 19 maja 1959 roku jestem w Warszawie, prawdopodobnie, by spotkać się z „pośrednikiem". Przypadkowo spotkałem się z pastorem Milewskim z Grudziądza, przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Kościoła Metodystycznego. Razem idziemy do siedziby Kościoła przy ul. Mokotowskiej 12. W bramie spotykamy superintendenta naczelnego, Józefa Szczepkowskiego. Zobaczywszy mnie, nie witając się, złośliwym głosem zawołał: „Bracie Małłek, brat będzie zwolniony. Właśnie zostałem wezwany w tej sprawie do Urzędu do Sprawy Wyznań, dokąd idę". Nie pytając o nic, poszedł bez pożegnania.

To była złowroga zapowiedź burzy, która nadciągała z piorunami przeciwko mnie i mojej rodzinie. Powrót do domu był okryty smutkiem.

168
Zwolnienie z pastorstwa

Zgodnie z zapowiedzią superintendenta Szczepkowskiego dnia 25 maja 1959 roku dostałem dekret zwolnienia, datowany 20 maja 1959 roku, czyli natychmiast po wizycie w Urzędzie do Spraw Wyznań. Treść dekretu:

„Pastor Edward Małłek w Ełku: Urząd do Spraw Wyznań zawiadomił Zarząd Kościoła Metodystycznego, że Brat Pastor złożył podanie jako mieszkaniec Koszalina o wyjazd do N.R.F. Z uwagi na to, że Brat Pastor bez wiedzy Zarządu Kościoła opuścił placówkę w Ełku i wyjechał do Koszalina, uważamy, że stosunek pracy z naszym Kościołem został z Bratem Pastorem rozwiązany. Z dniem 31 maja 1959 r. zostaje Brat Pastor skreślony z listy płacy. Za Zarząd Kościoła, W. Benedyktowicz".

Bardzo „braterski" dekret, bez „spowiedzi" delikwenta, w którym użyto cztery razy słowa „brat", które zupełnie nie pasuje do treści dekretu. Zresztą tylko jeden szczegół zwolnienia zgodny jest z prawdą, mianowicie: złożenie podania o wyjazd do RFN, które znalazło się w Koszalinie. Reszta to fikcja i nieprawda, albowiem zameldowanie w Słupsku było konieczne, by można było składać podanie w Słupsku. Nieprawdą jest, że „opuściłem placówkę w Ełku". Pobyt mój u pastora Cybulli ograniczał się do jednego dnia.

Nagłe skreślenie mnie z listy płac, bez uprzedzenia, bez odprawy, bez postępowania dyscyplinarnego, równało się z pozbawieniem mnie i mojej rodziny prawa do życia. Nigdy nie spodziewałem się takiego wyroku od „braci w Chrystusie", których nie stać było załączyć przy dekrecie wyrazów współczucia. Wstyd! – „bracia" metodyści. A może cieszył się co najmniej pastor Witold Benedyktowicz – polski „metodysta", podpisując dekret zwolnienia. Na pewno uczynił to z satysfakcją w odwecie za Konferencję w 1956 roku, na której on i cały stary Komitet Wykonawczy nie został wybrany. Utracili mandaty na rzecz pastora Oskara Napierskiego, Edwarda Małłka i innych nowowybranych. Dekret zwolnienia zatruł rodzinną, domową atmosferę. Powstało pytanie: z czego będziemy żyć?

Posiadanie oszczędności i ze sprzedaży następnej pasieki dałem „pośrednikowi". Nawet meble były sprzedane, do odebrania, w razie wyjazdu. Jednym słowem, klęska. Jedyny płomyk nadziei w wyjeździe. Ciężka była noc z 25 na 26 maja 1959 roku. I śniadanie nie smakowało.

Rano 26 maja 1959 roku wchodzi p. Pajko, listonosz. Wręcza mi między innymi list z Koszalina, nadawca: Wojewódzka Komenda Milicji Obywatelskiej. Boję się otwierać, bo na pewno odmowa na wyjazd do NRF. Otwieram, czytam, przecieram oczy, bo nie wierzę, co czytam: „Dnia 29 maja 1959 roku proszę zgłosić się po paszporty". Żona bierze list i czyta. Rzeczywiście, jest wyjazd! Aż nie do wiary. Jakoś trudno nam się cieszyć. Rozważamy oba wydarzenia: zwolnienie i wyjazd. Właściwie logiczne następstwa.

Zastanawiamy się z małżonką, co mamy robić: zdać parafię przed wyjazdem do Koszalina, czy po powrocie? Zdecydowałem zdać parafię przed wyjazdem. Dnia 28 maja zwołałem Zarząd Parafialny i podałem do wiadomości o zaistniałej sytuacji. Tegoż dnia wyjechałem do Koszalina. W Koszalinie byłem rano 29 maja, zgodnie z wezwaniem. Zmęczony długą nocną jazdą, wychodzę z dworca, a tu nagle podchodzi do mnie nieznany facet i woła: „Dzień dobry panie pastorze Małłek. Co też pana tu sprowadza?". Wita się, wymienia swoje nazwisko: Malinowski. Młody, przystojny, niskiego wzrostu. „Dokąd pan pastor idzie, jeżeli wolno zapytać?". Odpowiadam krótko, wiedząc, z kim mam do czynienia. „Idę do Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej". „O, to i ja tam idę" – powiada. (Już nie raz słyszałem te słowa w Białymstoku i innych miastach.) Więc szliśmy razem. Nie potrzebowałem pytać o drogę, wiedząc, że „Malinowski" po prostu czekał na mnie. (Ty człowieka nie znasz, oni cię znają, gdziekolwiek się ruszysz.) Weszliśmy do Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej.

Nie muszę pytać. Pan „Malinowski" prowadzi, puka, wchodzimy. W gabinecie siedzi dwóch panów. Przedstawiam się i podaję wezwanie w sprawie odbioru paszportów. Jeden z nich wziął pisemko i wskazał krzesło: „Proszę siadać!" – głosem nie zapraszającym, a rozkazującym. „A więc przybył pan po odbiór paszportów. Pozwoli pan pastor, że najpierw porozmawiamy sobie". Gdy usłyszałem te słowa, z góry wiedziałem, że nie będzie to żadna „rozmowa", a po prostu zmuszanie do odpowiadania na stawiane przez nich pytania.

Dziś, po trzydziestu latach nie jestem w stanie dokładnie odtworzyć treści kilkugodzinnej „rozmowy" z urzędnikami o wyższej randze Urzędu Bezpieczeństwa. Pytania dotyczyły moich najbliższych przyjaciół. „Co pan pastor myśli o »N.N.?«. „Co pan pastor może powiedzieć o »X.X.?«. Przede wszystkim pytano mnie o mego szczerego przyjaciela, ziomka z mojej rodzinnej wsi Brodowo, powiat Działdowo, pastora Otto Cybullę, pastora niemieckiej parafii ewangelickiej w Słupsku. Nie wiedziałem, o co im właściwie chodzi? Domyślałem się, że chcą, abym o pytanych osobach mówił źle. Ja trzymałem się jednak

sztywno linii: nie mów o nikim źle. Zauważyłem, że są niezadowoleni z moich odpowiedzi, nawet źli. „Trudno – pomyślałem sobie – nie będę przecież szpiclem".

„Przesłuchiwanie", a nie rozmowa, trwało kilka godzin. Wreszcie puścili „farbę", abym zgodził się na współpracę. Ważąc każde słowo, ostrożnie, delikatnie wytłumaczyłem im, że stan duchownego na to mi nie pozwala. „Szkoda" – powiada jeden z nich, idąc do szafy. Zdziwiłem się: przynosi paszporty. „Widzi pan pastor, oto przygotowaliśmy paszporty dla pana i rodziny". Pokazuje mi paszporty, abym mógł stwierdzić, że noszą nasze nazwiska. „Ale, ponieważ nie jesteśmy zadowoleni z rozmowy z panem, muszę panu wręczyć odmowę na wyjazd". Sięga do teczki i podaje mi odmowę. Czułem, że ziemia zapada się pode mną. Ale niech się dzieje wola Boża – pomyślałem. Wstałem, wziąłem świstek i wyszedłem.

Nie miałem możności myśleć o tym, co się stało, bo za mną wyszedł pan Malinowski, który milcząco obserwował mnie w czasie całego wywiadu. Gdy byliśmy na dworze, powiada do mnie: „Ale pan frajer, trzeba było się zgodzić". Po chwili: „Wie pan, jeszcze nic straconego, zaprowadzę pana w inne miejsce". Słyszę te słowa i nie słyszę. Jestem, jakby w transie. Ale idę za Malinowskim, jak baran na rzeź. Weszliśmy do jakiegoś budynku. Przypuszczam, że to był Urząd Bezpieczeństwa. Poprzednio byłem w Biurze Paszportów Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej, gdzie miałem „rozmowę" z wywiadowcami.

Teraz stoję w biurze przed wysokim, przystojnym, korpulentnym brunetem, wyglądającym na Żyda. I tu, na odwertkę, ta sama tematyka, te same pytania. I znów: „Kto jest Cybulla?". „Co pan może o nim powiedzieć?" itd. itd. Wreszcie, po dłuższej męczarni, powiada: „Co, nic złego nie może pan powiedzieć o Cybulli?". Zamiast wykrętnie powiedzieć, że nie wiem nic złego o Cybulli, nieopatrznie powiedziałem: „Gdybym nawet wiedział coś złego o Cybulli, to bym i tak nie powiedział, bo Cybulla jest moim przyjacielem". Na to arogancko i ze złością powiedział: „Wobec tego nie mam z panem o czym mówić" – wychodząc do innego pokoju.

Wyszedłem jak z łaźni, zmęczony, zmaltretowany. A „Malinowski" za mną. Odprowadził mnie aż na dwór ze słowami: „Szkoda, że pan nic nie uzyskał". Żegnając mnie, powiedział: „Ale twarda sztuka z pana". Malinowski zrobił na mnie dobre wrażenie. Widocznie dobra dusza znalazła się – może nieświadomie – w komunistycznym piekle, z którego nie ma sposobu się wydostać.

Byłem niesamowicie zmęczony nocną jazdą pociągiem z Ełku, nie śpiąc, a przede wszystkim „kąpielą" psychiczną ustroju komunistycznego, że nie miałem siły zastanawiać się nad tym, co się stało i co dalej począć. Tłukłem się z powrotem pociągiem z „hijobową" wiadomością do domu. Słyszałem tylko stukot kół wagonu. Myśli zamarły.

Dopiero w domu, po przespaniu, wziąłem oba świstki (zwolnienie z pastorostwa i odmowę wyjazdu) przed siebie i zacząłem rozważać, analizować. Doszedłem do przekonania, że obie sprawy gotowane były w jednym tyglu. Pismo Kościoła Metodystycznego „skreślające mnie z listy płacy" na żądanie Urzędu do Spraw Wyznań nosi datę 20 maja 1959 r., a odmowa na wyjazd Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej w Koszalinie 21 maja 1959 roku. Jednym słowem, groteskę z mojej osoby wyreżyserowały naczelne władze bezpieczeństwa PRL w Warszawie, a w zrealizowaniu komedii posłużyły się Kościołem Metodystycznym i podległymi sobie urzędami. O tym, że likwidacja mojej osoby wyszła z Warszawy, świadczy odręczny list super. naczelnego Kościoła Metodystycznego Józefa Szczepkowskiego do mnie z dnia 5 marca 1966 roku, w którym pisze między innymi: „Piszę o Urzędzie do Spraw Wyznań, ponieważ Brat był zwolniony na ich żądanie".

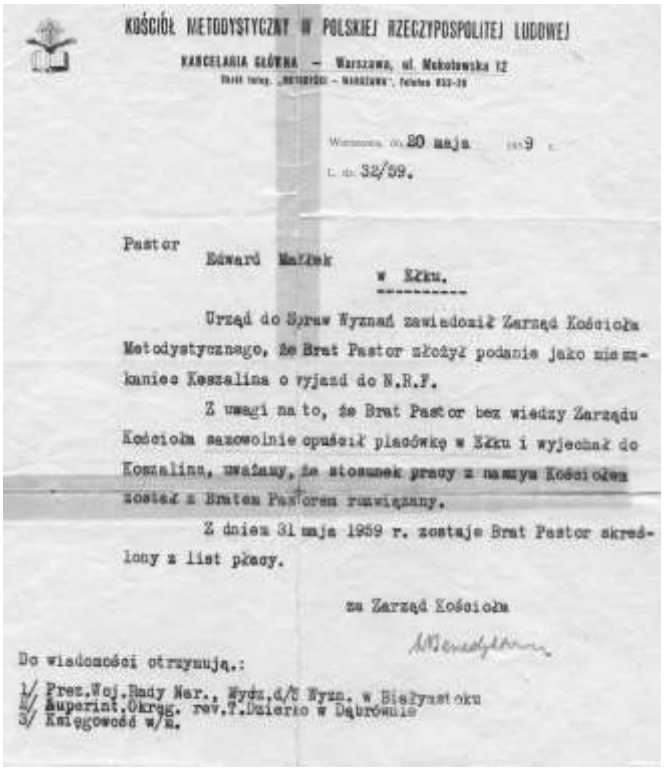

KOŚCIÓŁ METODYSTYCZNY W POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

KANCELARIA GŁÓWNA – Warszawa, ul. Mokotowska 12

Warszawa, dn. 20 maja 1959 r.

L. dz. 32/59.

Pastor

Edward Małłek

w Ełku.

Urząd do Spraw Wyznań zawiadomił Zarząd Kościoła Metodystycznego, że Brat Pastor złożył podanie jako mieszkaniec Koszalina o wyjazd do N.R.F.

Z uwagi na to, że Brat Pastor bez wiedzy Zarządu Kościoła samowolnie opuścił placówkę w Ełku i wyjechał do Koszalina, uważamy, że stosunek pracy z naszym Kościołem został z Bratem Pastorem rozwiązany.

Z dniem 31 maja 1959 r. zostaje Brat Pastor skreślony z list płacy.

za Zarząd Kościoła

Do wiadomości otrzymują.:

1/ Prez.Woj.Rady Nar., Wydz.d/S Wyzn. w Białymstoku
2/ Superint.Okręg. rev.T.Dzierko w Dąbrównie
3/ Księgowość w/m.

KOMENDA WOJEWÓDZKA
Milicji Obywatelskiej

Koszalin dnia 29.05.59

Wycofano dokumenty dnia 7.1959 r.

Pismo z Komendy Wojewódzkiej MO – Red.[277]

[277] Treść pisma Komendy Wojewódzkiej:
„Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej, Koszalin, Słowackiego 11;
Koszalin, dnia 29.05.59, Nr. 15184
Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej zawiadamia, że decyzją z dnia 21.05.1959 odmówiono Obywatelowi wydania paszportu zagranicznego na wyjazd do NRF na pobyt stały.

W tym świetle dopiero można widzieć perfidię, celowy cynizm i podstęp w „urzędowym" postępowaniu władz państwowych wobec mnie, które można określić jedynie jako szyderstwo, drwiny, podłość, pogardę wobec niewinnego człowieka. Potraktowano mnie jako ofiarę, nad którą szereg godzin lekceważąco się znęcano. Brakowało tylko średniowiecznych metod, tortur, stosowanych przez zbrodniczą „inkwizycję".

Oczywiście, z mojej tragedii skorzystali moi osobiści wrogowie, „bracia w Chrystusie" pastorzy, członkowie Komitetu Wykonawczego Kościoła Metodystycznego, o czym świadczy pismo super. naczelnego Józefa Szczepkowskiego z dnia 31 marca 1966 roku. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak protokolarnie zdać skromny „majątek" parafialny. Straciłem pracę, straciłem źródło utrzymania 6-osobowej rodziny. Straciliśmy około 100 tysięcy złotych, które pożarli „pośrednicy" – oszuści. Pozbyliśmy się pasieki, która mogła być jedynym ratunkiem w biedzie. Zwróciliśmy zadatek za meble, które były sprzedane w razie naszego wyjazdu.

Staliśmy goli, bez grosza, bez pracy, troje dzieci na studiach: Robert, Jadźka w Warszawie, Jurek w Gdańsku, tylko Andrzej uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego w Ełku. Pozostało nam jedynie mieszkanie, które Zarząd Parafialny przyznał mi „w dowód mojej zasługi" w trwałe, bezpłatne użytkowanie. Dobrze i za to, bo mieliśmy przynajmniej dach nad głową. W całej tej naszej tragedii mimo wszystko byłem zadowolony, że nie uległem pokusie zgodzić się na współpracę i korzystać z dóbr tego świata kosztem szpiclowania i szpiegostwa. Dobrze pamiętałem i pamiętam „kuszenie Jezusa na pustyni". Pamiętam też słowa Jezusa: „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł" – Mat. 16,26. Albo inne słowa Jezusa: „Nie bójcie się tych, którzy ciało zabijają, ale duszy zabić nie mogą; bójcie się raczej tego, który może i duszę i ciało zniszczyć" – Mat.10, 28. Albo: „Nikt nie może dwom panom służyć... Nie możecie Bogu służyć i mamonie" – Mat.6, 24. Straciłem wszystko, ale zachowałem czyste i spokojne sumienie, wierząc, iż Bóg ma więcej, niż rozdał, i znajdzie wyjście z ucisku.

Znamienne są słowa starej pieśni mazurskiej w Kancjonale Pruskim nr 889: „Błogo tym, co Boga za Pomocnika mają, a nadziei pełni, serc swych mu ból zwierzają; którzy tu w tym Panie ufność swą gruntują, którego pomocnym i wiecznym znajdują..."

„Jak dobra jest rzecz, zdać się nie na lud, lecz na Pana! Ufność tych jest marna, słaba i sfałszowana, którzy się na ciało i ludzi spuszczają, bo bogowie ziemscy sami umierają...

Ci, którzy w nędzy swej do nóg ich upadają, świadkami są tego, że mało władzy mają: że i ci przeniną, co wysoko siedzą, w własnej trwodze często ratunku nie widzą..."

Od powyższej decyzji przysługuje Obywatelowi prawo wniesienia odwołania do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (Biuro Paszportów Zagranicznych) – [w] ciągu 14 dni od daty doręczenia pisma. Odwołanie należy wnieść za pośrednictwem tutejszej Komendy Milicji Obywatelskiej wraz z opłatą w znaczkach na sumę 10 zł.

Naczelnik Wydziału, podpis nieczytelny.

Wycofano dokumenty w lipcu 1959."

5/II/1966 r.

Drogi Bracie Małłek,

Dziękuję za list Brata z dnia 30/I który był nadesłany do mnie, do sanatorium, gdzie jestem w tej chwili. Nie powracam do Warszawy aż około 25ego lutego tak że jeżli Brat przyjedzie do Warszawy 10/II, mnie nie będzie.

Treść Brata list nie jest niespodzianką dla mnie. Jeszcze w przeszłym roku Brat Milewski dał mnie do zrozumienia, że Brat by powrócił do naszego kościoła gdyby to było możliwe. Chcę Bratu powiedzieć że już próbowałem to wysadować wśród Braci i widzę że Brat ma swoich przeciwników. Skoro Brat zwraca się do mnie na piśmie przedłożę tą sprawę na następnym zebraniu komitetu wykonawczego które odbędzie się przed Wielkanocą. Najważniejsza sprawa jest jak Urząd do Spraw Wyz. będzie podchodził do powrotu Brata

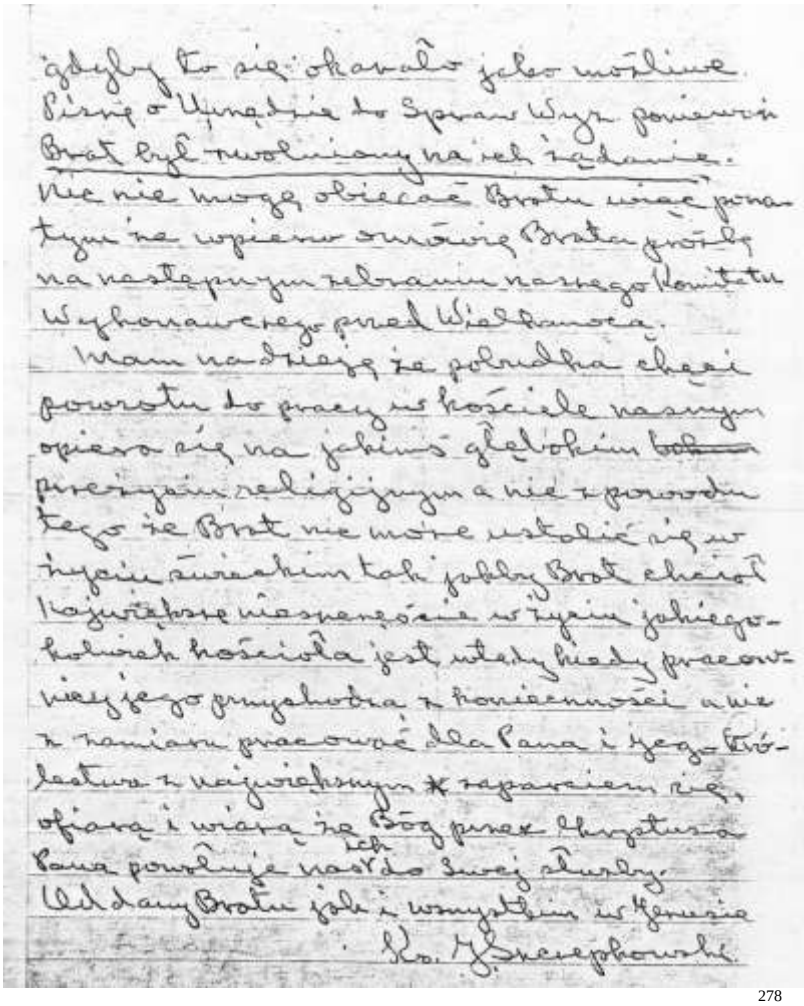

gdyby to się okazało jako możliwe.
Piszę o Urzędzie do Spraw Wyz. ponieważ
Brat był zwolniony na ich żądanie.
Nic nie mogę obiecać Bratu więc poza
tym że wpierw omówię Brata prośbę
na następnym zebraniu naszego Komitetu
Wykonawczego przed Wielkanocą.
Mam nadzieję że pobudka chęci
powrotu do pracy w kościele naszym
opiera się na jakimś głębokim ~~bo~~
przeżyciu religijnym a nie z powodu
tego że Brat nie może ustalić się w
życiu świeckim tak jakby Brat chciał
Największe nieszczęście w życiu jakiego-
kolwiek kościoła jest wtedy kiedy pracow-
nicy jego przychodzą z konieczności a nie
z zamiaru pracować dla Pana i jego Kró-
lestwa z największym * zaparciem się,
ofiarą i wiarą że Bóg przez Chrystusa
Pana powołuje nas-ich do swej służby.
Oddany Bratu jak i wszystkim w Jezusie
Ks. J. Szczepkowski

278

[278] Treść listu:

5.II.1966, Drogi Bracie Małłek, Dziękuję za list Brata z dnia 30/I. który był nadesłany do mnie, do Sanatorium, gdzie jestem w tej chwili. Nie powracam do Warszawy aż około 25ego lutego tak, że jeżeli Brat przyjedzie do Warszawy 10/II, mnie nie będzie. Treść Brata listu nie jest niespodzianką dla mnie. Jeszcze w przeszłym roku Brat Milewski dał mi do zrozumienia, że Brat by wrócił do naszego Kościoła, gdyby to było możliwe. Chcę Bratu powiedzieć, że już próbowałem wysądować wśród Braci i widzę, że Brat ma swoich przeciwników. Skoro Brat zwraca się do mnie na piśmie przedłożę tą sprawę na następnym zebraniu komitetu wykonawczego, które odbędzie się przed Wielkanocą. Najważniejsza sprawa jest jak Urząd do Spraw Wyz. będzie podchodził do powrotu Brata, gdyby to się okazało jako możliwe. Piszę o Urzędzie do Spraw Wyz., ponieważ Brat był zwolniony na ich żądanie. Nic nie mogę obiecać Bratu więc poza tym, że wpierw omówię Brata prośbę na następnym zebraniu naszego Komitetu Wykonawczego przed Wielkanocą. Mam nadzieję, że pobudka chęci powrotu do pracy w kościele naszym opiera się na jakimś głębokim przeżyciu religijnym, a nie z powodu tego, że Brat nie może ustalić się w życiu świeckim tak jakby Brat chciał. Największe nieszczęście w życiu jakiegokolwiek kościoła jest wtedy, kiedy pracownicy jego przychodzą z konieczności, a nie z zamiaru pracować dla Pana i jego królestwa z największym zaparciem się, ofiarą i wiarą, że Bóg przez Chrystusa Pana powołuje nas-ich do swej służby. Oddany Bratu jak i wszystkim w Jezusie, Ks. J. Szczepkowski". [Pisownia oryginalna – Red.]

Władze państwowe uznały, że przegrały pojedynek ze mną w Koszalinie. A to przecież nie pasowało do ich koncepcji. Wobec tego posłużyły się swoim wiernym sługą, jednym z superintendentów Kościoła Metodystycznego [...][*], który po moim zwolnieniu przyjechał do mnie i w serdeczny sposób powiada do mnie: „Edward, ty pogadaj z nimi (wiemy, kogo miał na myśli), na pewno wrócisz do pracy". Wiem, że nie od siebie to mówi, lecz z polecenia. Żywo miałem jeszcze w pamięci to upadlające gadanie „z nimi" w Koszalinie i odruchowo, bez zastanowienia wulgarnie powiedziałem: „Mam ich w d..."

Oj, dali mi oni w d...! Oj, dali! – bo powiedzonko moje dotarło do nich. Ale o tym później.

Moja małżonka, nie czekając na dalszy bieg rzeczy, szybko pisze do swego brata, Władysława Wysockiego w Ameryce, o pomoc. A ja nie znajdywałem spokoju, nerwowo chodziłem od okna do drzwi i z powrotem, grając na nerwach domowników. Zdawałem sobie sprawę, że wyjazdu nie dadzą. Mając kwalifikacje nauczyciela, złożyłem podanie na nauczyciela. Na odpowiedź czekam do dnia dzisiejszego. Dopytywałem o jakąkolwiek pracę, bez wyniku. Zacząłem na nowo organizować, montować pasiekę, pomagał mi w tym Mazur z Ogródka, Dembiany.

169
Drzwi zamknięte w Kościele Metodystycznym w Warszawie

We wrześniu 1959 roku pojechałem do Warszawy, aby wziąć udział w dorocznej Konferencji Kościoła Metodystycznego jako pastor tegoż kościoła. Skreślenie bowiem z listy płac, to nie może równać się ze skreśleniem z listy pastorów, czego dokonać może tylko Doroczna Konferencja i to tylko w wypadku głoszenia nauk niezgodnych z Ewangelią Jezusa Chrystusa.

Każdemu wiadomem było, iż dnia 15.06.1947 roku zostałem mianowany „diakonem" przez biskupa Paul Neff Garbera, Amerykanina, a dnia 29.06.1950 roku „starszym duchownym" – pospolicie mówiąc – pastorem przez superintendenta naczelnego ks. Józefa Namiuka.

Nie każdy z delegatów na Konferencję wiedział, że jestem „skreślony z listy płac". Miałem uczciwy zamiar wyklarować nieporozumienie, które powstało w związku z moim staraniem się o wyjazd. W Warszawie, jak zwykle, zatrzymałem się u naszych przyjaciół Nowakowskich, którzy na skutek rozmów z moją żoną przeszli z katolicyzmu do metodyzmu. Każdy dzień Konferencji rozpoczynał się rannym nabożeństwem. Idę z Nowakowskimi, aby wziąć udział w nabożeństwie. Do kaplicy na pierwszym piętrze były dwa wejścia. Podchodzimy do głównego wejścia od Placu Zbawiciela. Drzwi są zamknięte. Wywieszka informuje, że wejście jest tylko od ulicy Mokotowskiej 12. Idziemy tam. Na pierwszym piętrze podchodzimy do drzwi wejściowych kaplicy. We drzwiach stoi opasły, brzuszasty pastor Brunon Raszkiewicz i trochę figurą podobny do niego Markowski, członek Zboru Warszawa-Praga. Nowakowskich wpuścili do kaplicy, mnie groźnie zagrodzono

[*] Nazwisko w rękopisie, którym nie dysponuje edytor – Red.

wejście, mówiąc: „Panu wejść nie wolno!”. „Od kiedy to do metodystów nie wolno wejść na nabożeństwo?” – pytam się. „Tylko dla pana nie wolno” – padła „braterska” odpowiedź. Wróciłem, aby wziąć udział w obradach Konferencji. Obstawa drzwi ta sama, nieco wzmocniona: „Panu nie wolno wejść!” – brzmiało „misyjne” hasło. Odniosłem paskudne wrażenie. Pojechałem do domu. Czy metodystyczny „anioł-stróż”, Brunon Raszkiewicz, znalazł po śmierci drzwi do nieba otwarte? Nie pomogły perswazje Nowakowskich. „Nie wolno i koniec!” – brzmiała groźna odpowiedź „aniołów stróżów” metodystycznego „konklawe”.

Nie pozostało nic innego, jak pójść na spacer, bo każdy z pastorów unikał rozmowy ze mną.

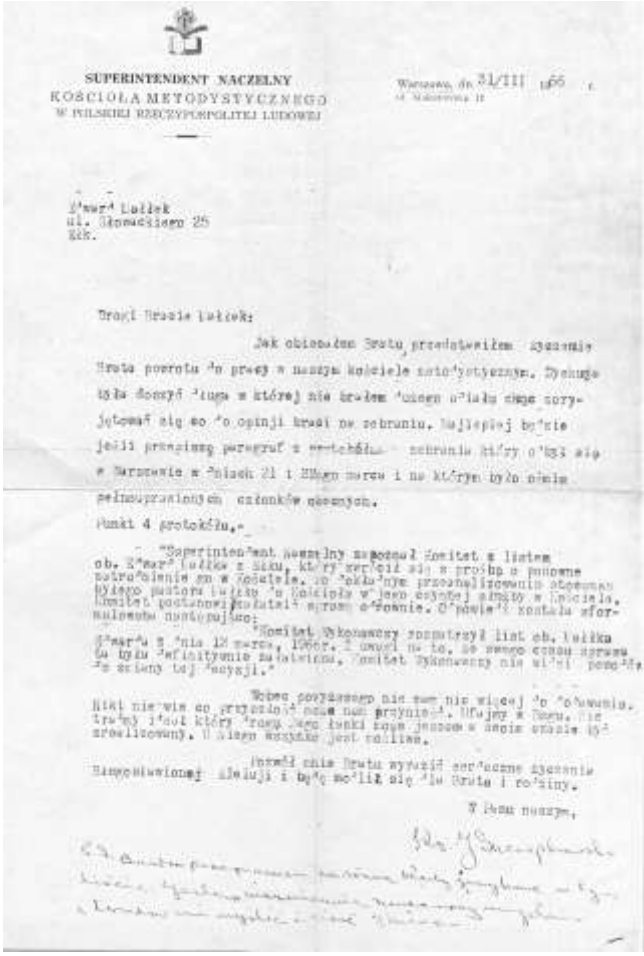

SUPERINTENDENT NACZELNY
KOŚCIOŁA METODYSTYCZNEGO
W POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Warszawa, dn. 31/III 1966 r.
ul. Nowolipie 12

Ewar Małłek
ul. Sienkiewicza 25
Łódź.

Drogi Bracie Małłek:

Jak obiecałem Bratu przedstawiłem życzenie Brata powrotu do pracy w naszym kościele metodystycznym. Dyskusja była dosyć długa w której nie brałem udziału chcąc zorientować się co do opinji braci na zebraniu. Najlepiej będzie jeśli przeczytamy paragraf z protokółu zebrania który odbył się w Warszawie w dniach 21 i 22 marca i na którym było około pełnouprawnionych członków obecnych.

Punkt 4 protokółu.-

"Superintendent naczelny zapoznał Komitet z listem ob. Ewar Małłka z Łodzi, który zwrócił się z prośbą o ponowne zatrudnienie go w Kościele. Po dokładnym przedyskutowaniu obecnego wyżej pastora Małłka w Kościele w jego ostatniej pracy w Kościele, Komitet postanowił zakończyć sprawę ostatecznie. Odpowiedź została sformułowana następująco:

"Komitet Wykonawczy rozpatrzył list ob. Małłka Ewar'a z dnia 12 marca, 1966r. I uważa na to, że wszyscy czasu sprawa ta była definitywnie załatwiona. Komitet Wykonawczy nie widzi powodu do zmiany tej decyzji."

Wobec powyższego nic więcej do oświadczenia. Nikt nie wie co przyszłość nam nie przyniesie. Ufajmy w Boga. Nie trzeba iść tam gdzie Jego ławki zaraz jeszcze w ogóle zostały zrealizowane. O Jego wszystko jest radzisz.

Pozwól mi Bracie wyrazić serdeczne życzenie błogosławionej aleluji i bądź możliwie się dla Brata i rodziny.

W Panu naszym,

List Superintendenta do Edwarda Małłka – Red.[279]

[279] List pisany na maszynie jest dostatecznie czytelny, ale dopisek odręczny nie. Oto jego treść:
„P.S. Bardzo przepraszam za różne błędy językowe w tym liście. Jestem niezmiernie zmęczony umysłowo i trudno mi myślić i pisać. J. Szczepkowski”.

Know all Men by these Presents that
I Paul Neff Garber
ONE OF THE BISHOPS
The Methodist Church

280

Niech będzie wiadomo wszystkim

Edwarda Małłka

Akt ordynacji Edwarda Małłka – Red.[281]

[280] Z angielskiego: „Niech wszyscy przy tym obecni wiedzą, że ja, Paweł Neff Garber, jeden z Biskupów Kościoła Metodystycznego z łaski Boga Wszechmogącego i pod jego bezpośrednim spojrzeniem ku jego chwale przez położenie swych rąk i modlitwę ustanowiłem dziś na urząd Diakona wymienionego Kościoła Metodystycznego – Małłka Edwarda-Łopatowskiego, człowieka, który w opinii Polskiej Prowizorycznej Rocznej Konferencji posiada kwalifikacje dla sprawowania tego urzędu i niniejszym polecam go wszystkim, których to może dotyczyć, jako właściwą osobę do udzielania Sakramentu Chrztu, Małżeństwa, Pogrzebania Zmarłego w czasie nieobecności Przełożonego Starszego i strzeżenia Trzody Chrystusowej dopóki duch i czyn będą takimi, jakimi chce Ewangelia Chrystusa by były, i dopóki będzie przestrzegał treści zgodnych z ustanowionymi doktrynami Ewangelii Świętej. Na świadectwo powyższego własnoręcznie podpisałem i przyłożyłem pieczęć mego urzędu – dnia 15. czerwca Roku naszego Pana jeden tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego. Sporządzono w Warszawie – Polska. Podpis: /-/ Paweł Neff Garber. Tłoczona pieczęć okrągła z godłem chrześcijańskim: Głoś Słowo – karm owieczki moje".

[281] Powtórzenie treści dokumentu – aktu ordynacji na Starszego: „Niech będzie wiadomo wszystkim, że ja, Józef Naumiuk, jeden z Przełożonych Kościoła Metodystycznego, świadom opieki Boga Wszechmogącego i Jego chwałę jedynie mającego na względzie, w dniu dzisiejszym, przy współudziale Starszych Duchownych udzieliłem wyższych święceń kaznodziei Edwardowi Małłkowi. Zdaniem Konferencji Ogólnej, kaznodzieja Edward Małłek jest godzien piastować urząd Starszego Duchownego w Kościele Metodystycznym i ma prawo udzielania sakramentów, sprawowania obrzędów oraz pełnienia powinności duszpasterza dotąd, dopóki duchem i czynem trwać

170
Staram się opuścić Ełk

Parafię w Ełku dojazdowo ze Starych Juch przejął pastor Bazyli Kustodowicz, z którym łączyły mnie pewne wspólne przeżycia, choćby jego praktyka w Ełku, „kamienowanie w Kalinowie" i dobrosąsiedzkie współżycie, które nadal trwało po moim zwolnieniu.

W międzyczasie dowiedziałem się od zaufanej osoby, pracującej w kancelarii Kościoła Metodystycznego w Warszawie, że przeciwko mnie wpływają listy oczerniające z parafii Ełk. Pisano zmyślone, bzdurne rzeczy, że przeszkadzamy w czasie nabożeństwa, że w czasie nabożeństwa wywieszamy za oknami sali, w której odbywały się nabożeństwa, bieliznę, nawet pieluchy (skąd pieluchy, skoro najmłodszy syn miał przeszło dwanaście lat) i inne kłamstwa. Wiem, kto te paszkwile pisał [...][*]. Zauważyłem, że pewna osoba wolałaby mnie nie widzieć na nabożeństwach. Również z parafii Piętki, kaznodzieja Liszkiewicz, którego swego czasu, po zwolnieniu Tojanowicza, sprowadziłem do pomocy, oczerniał mnie przed superintendentem naczelnym Józefem Szczepkowskim. Przestałem się z nim spotykać. Z pastorem Kustodowiczem utrzymywałem kontakt aż do jego wyjazdu do Kanady, skąd przeniósł się do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

W każdym razie poczułem się osobą niepożądaną w kościele, który założyłem, bez udziału w nabożeństwach... Brak nadziei wyjazdu na Zachód z Ełku nasunęła mi myśl przeniesienia się do innego miasta, do czego namawiali mnie szczerzy przyjaciele i znajomi. Ale jak się przenieść? Gdzie? Dokąd? Gdzie znaleźć mieszkanie? I za co? Skąd wziąć pieniądze, skoro w kieszeni tylko podszewka? Po moim zwolnieniu, wielu parafian zraziło się do Kościoła Metodystycznego, przestawali chodzić na nabożeństwa metodystyczne, a do augsburczyków wstydzili się pójść. Czyli byli bez kościoła, jak i ja.

Wpadła mi kupiecko-handlowa myśl. W Gdyni było do nabycia mieszkanie, za które żądano 50 000 złotych. Skąd je zdobyć? Pomyślałem, że na naszym mieszkaniu w Ełku najbardziej będzie zależało Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu. Pojechałem więc do dobrze mi znajomego ks. Jaguckiego, który był seniorem na Okręg Mazurski, a mizerną kilkuosobową „trzódkę" Augsburczyków w Ełku obsługiwał ks. Busse. Ks. Jaguckiemu przedstawiłem moją propozycję, która go zainteresowała. Bo jeszcze w 1959 roku ks. Jagucki rozszerzył tematykę, apelując do mnie, abym skłonił ewangelików ełckich do parafii augsburskiej. Nie bardzo uśmiechała mi się ta myśl, wspominając choćby negatywny stosunek do Mazurów biskupa dr. J. Szerudy z 1945 roku. Nie wiedziałem też, jak zareagują ewangelicy ełczanie na propozycję ks. Jaguckiego. Rozeszliśmy się na tym, że mam się zastanowić nad jego propozycją. W Ełku rozmawiałem najpierw z rodzinami, które przed wojną na Suwalszczyźnie należały do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, jak: Sakowscy, Klimachy, Fellerzy i inni. Zainteresowani byli za tym, abym zorganizował zbór augsburski.

Udałem się do seniora Jaguckiego z konkretną propozycją: „Zorganizuję wam Zbór, opróżnię mieszkanie, a wy – Kościół Augsburski dacie mi 50 tysięcy złotych odstępnego".

---

będzie w posłuszeństwie Prawu Bożemu i jak długo głosić będzie doktryny zgodne z Ewangelią Świętą. Dan w Warszawie dnia 29 czerwca 1950 r. Ks. Józef Naumiuk. Pieczęć tłoczona z napisem na obwodzie: KOŚCIÓŁ METODYSTYCZNY POLSKA i pośrodku znakiem Krzyża, Pokoju i A-Ω".

[*] Nazwisko w rękopisie, którym nie dysponował edytor – Red.

Senior Jagucki odpowiedział: „To da się zrobić. Potrzeba mi tylko trochę czasu do postarania się o pieniądze". Po chwili dodał: „Na pewno to zrobię". Na tym stanęła umowa. Niestety umowa niepisana, nie przy świadkach, tylko na „gębę". Uważałem, że mam do czynienia z prawdomównym duchownym.

W styczniu 1960 roku ogłosiłem nabożeństwo przez rozesłanie zaproszeń. Ze względu na zimę nabożeństwo nie odbyło się w kaplicy, gdzie nie było ogrzewania, lecz w pokoju na drugim piętrze. Niespodziewanie przybyło dużo osób, pokój był pełny. Nabożeństwo odprawiłem bez togi, tak jak to było w 1946 roku, jakby czas się cofnął o czternaście lat. Po kazaniu wyjaśniłem nową sytuację, przypominając to, co mówiłem przy zakładaniu parafii Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Ełku w 1946 roku, że metodyści przejęli opiekę na Mazurach, ponieważ Kościół Ewangelicko-Augsburski odmówił wówczas przejęcia opieki, tłumacząc się brakiem pastorów. „Wiem, że niektórzy z was należeli przed wojną na Suwalszczyźnie do Kościoła Ewangelicko-Luterskiego i wolelibyście należeć do swego kościoła, jak wielu również innych ewangelików powiatu ełckiego. Ponieważ już istnieje parafia augsburska, możemy się do niej przyłączyć". W ten sposób wzrosła liczebnie parafia Kościoła Augsburskiego w Ełku, że obsadzona została jeszcze w 1960 roku stałym pastorem, któremu odstąpiłem mieszkanie na drugim piętrze.

Pierwszym pastorem był ks. Drzewiecki, który wyjechał do Niemiec Zachodnioch i jest pastorem w Celle pod panieńskim nazwiskiem swojej żony, Handke. Chwilowo była dojazdowo obsługiwana przez ks. Bussego, któremu przygotowałem pierwszą grupę konfirmantów, których konfirmował wiosną 1960 roku. Jak widać, wywiązałem się z umowy z ks. Jaguckim z nawiązką, bo odstąpiłem mieszkanie na drugim piętrze (trzy pokoje, kuchnia, łazienka). Na próżno czekałem na pieniądze od Jaguckiego, który okazał się pospolitym kłamcą. Ale cóż, osiągnął wszystko, powiększenie zboru i mieszkanie, nie musiał ze mną więcej rozmawiać. Wystrychnął mnie na dudka. Była to zapłata za moje wstawiennictwo za nim u wicewojewody Burskiego w 1945 roku, ukrywającego się jako *Volksdeutsch*. Konszachtując z ks. Jaguckim, nie znałem jeszcze powiedzenia Lenina: „Kto wierzy na słowo, jest beznadziejnym głupcem, którego jednym ruchem ręki można znieść (zniszczyć)".

Doznawałem coraz więcej zawodów i przykrości ze strony ludzi nieuczciwych, oszustów, kłamców, ludzi bez skrupułów. W dalszym ciągu szukam wyjścia z tragicznej naszej sytuacji bytowej. Szukam pracy, szukam źródła utrzymania, bowiem nie można żyć jałmużną „Wuja Sama", jak to nazywano krewnych w Ameryce, w naszym przypadku szwagra, Władysława Wysockiego, który ratował nas od głodu, przysyłając paczki z towarami, które żona spieniężała, kupując artykuły żywnościowe.

Pojechałem do Warszawy do superintendenta naczelnego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego (kalwińskiego), ks. Niewieczerzała, z którym znaliśmy się jeszcze z okupacji, z konspiracyjnej konferencji w Kościele Reformowanym w Lesznie, na której wygłosiłem referat o przyszłości Kościoła Ewangelickiego na Mazurach na wypadek przyłączenia Prus Wschodnich do Polski. Również jako student teologii w 1946 roku zastępowałem superintendenta generalnego ks. Skierskiego (chorego) w nabożeństwie w Żyrardowie. Niewieczerzałowi byłem dobrze znany z mojej pracy w Kościele Metodystycznym, toteż, gdy mnie zobaczył we drzwiach, radośnie mnie przywitał, zapraszając do swego gabinetu. Zanim postawił mi pytanie: „Czym mogę służyć?", uprzedziłem go, mówiąc: „Chcę u Was pracować".

„Och, z tego mogę się tylko cieszyć, mamy wolne parafie" – powiada, dodając: „Bardzo się cieszę, bardzo się cieszę". Byłem zaskoczony serdecznością i szczerością, więc radośnie powiadam: „To mnie też bardzo cieszy, ale muszę wyjaśnić, że zostałem zwolniony przez Kościół Metodystyczny i Urząd do Spraw Wyznań nie zgadza się, abym tam wrócił do pracy". Na to superintendent Niewieczerzał: „Sądzę, że sprawę tę na pewno załatwię, gdyż dotąd Urząd do Spraw Wyznań niczego mi nie odmówił". „Bardzo bym się z tego ucieszył" – powiedziałem. Umówiliśmy się, że za dwa dni mam przyjść po wiadomość. Oczywiście, zjawiłem się. Jakże inną minę miał tym razem superintendent Niewieczerzał. Witając mnie, powiada: „Księże Małłek, smutno i przykro mi powiedzieć: niestety mi odmówiono". „Nie jestem zaskoczony, bo tego się spodziewałem". Superintedent nie dowiedział się powodów, którymi kierował się Urząd do Spraw Wyznań, odmawiając zatwierdzenia mojej kandydatury.

Będąc w Warszawie, wyszedłszy od superintedenta Niewieczerzała, udałem się do biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, Andrzeja Wantuły, by zaapelować do niego o uregulowanie umowy z ks. Jaguckim. Biskupa Wantuły nie znałem. Przyjął mnie z godnością dostojnika Kościoła. Od razu czułem dystans, dzielący nas: Z jednej strony „majestat", z drugiej „baranek". Po przedstawieniu się nie czekał, abym wyłuszczył cel mojej u niego wizyty. Od razu zaatakował mnie słowami: „A to pan jest konwertytą, a to pan sprowadził z ks. Sczechem metodystów na Mazury!" Słowami temi żgnął mnie w sam dołek żołądka. Myślałem, że skoczę na niego, jak pantera na lwa. Ale opanowałem się, wziąłem nerwy w cugle. Poprosiłem o słowo: „Widzę, że biskup jest w błędzie i źle poinformowany. Ani ja, ani ks. Zalewski, ks. Burchard, ks. Fibich, ks. Napierski, ks. Cybulla, ks. Fröhlich jako luteranie pracujący w Kościele Metodystycznym nie są konwertytami. Przystępując do pracy w Kościele Metodystycznym, nie potrzebowali zmieniać wyznania, by głosić Ewangelię Jezusa Chrystusa. Tak prymitywny – jak biskup sądzi – Kościół Metodystyczny nie jest. Muszę dodać, że nadal jestem luteraninem, bo przyznaję się do Reformacji dr. Marcina Lutra". (Jakoś biskup nie przerywa mi, słucha.) Mówię dalej: „Biskup pozwoli, że wyjaśnię sprawę. Tylko i wyłącznie Kościół Augsburski jest temu winien, że metodyści są na Mazurach, bo ówczesny biskup, dr Jan Szeruda, tak właśnie do mnie i do ks. Sczecha powiedział, że nie może zaopiekować się ewangelikami (luteranami) na Mazurach, dodając znamienne słowa: »A zresztą to są Niemcy«, wobec tego przyszli na Mazury metodyści, nie jako współwyznawcy, lecz jako »opiekunowie« nad luteranami, zgodnie z zawartą umową z Radą Kościoła Ewangelickiego w Olsztynie". „To ja o tym nie słyszałem – zmiękł pan biskup i zaczął rozmawiać zupełnie innym tonem". „Tak, tak, księże biskupie, taka jest prawda" – tymi słowami przypieczętowałem rozmowę na oba zarzuty.

Odnośnie sprawy z ks. Jaguckim, biskup się wymigał, że to jest sprawa Diecezji Okręgowej Mazurskiej, ściślej mówiąc ks. Jaguckiego. A pan ks. Alfred Jagucki wziął dudy pod pazuchę i uciekł na Śląsk do parafii Cieszyn, a będąc doktorem teologii wydaje święte dzieła, jak np. *Tylko Jezus*. Tak, księże doktorze Jagucki. Jezus wywiązał się z umowy, bowiem co obiecał ludzkości, spełnił. A jak wygląda ks. dr Jagucki w świetle Jezusa i Jego Ewangelii?... Oj, wstyd, panie księże doktorze Jagucki.

171
Ultimatum

Dobra jest rzecz ufać w Bogu. Ale nie można założyć rąk i czekać, i czekać na zmiłowanie Boskie. Bowiem słowo Boże mówi: „...z pracy rąk twoich pożywać będziesz i będzie ci się dobrze działo" – Ps.128,2. Skoro nie wolno mi pożywać z głoszenia Ewangelii Chrystusowej, wobec tego przychodzi czas, że z pracy rąk muszę żyć. Skoro władze państwowe zabroniły mi wykonywania pracy duchowej, muszą mi dać jakąkolwiek pracę – tak sobie rozmyślałem. Minął bowiem pełny rok, jak jestem bez pracy i bez jakiegokolwiek zarobku. Tak dalej być nie może. Nerwowo byłem wykończony „spacerem od okna do drzwi i z powrotem". Będąc podminowany różnymi myślami i tragicznym położeniem bytowym, postanowiłem napisać do Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Ełku podanie „ultimatum". (Ubolewam, że przez mój wyjazd na Zachód straciłem wszelkie dokumenty i korespondencję.)

W podaniu przedstawiłem naszą krytyczną, beznadziejną sytuację materialną, którą cierpimy z winy władz państwowych. Zakończyłem podanie żądaniem: „Albo dostaniemy wyjazd za granicę, albo pracę, a jeżeli ani jedno, ani drugie nie zostanie spełnione, to nie pozostanie mi nic innego, jak zebrać rodzinę, żonę, dzieci i powiesić się na szpikulcach metalowego płotu, ogrodzenia siedziby Komitetu Partii". Z podaniem poszedłem do pierwszego sekretarza partii Komitetu Miejskiego, osobiście dobrze znajomego mi, sąsiada, tow. Napieralskiego (mówiono o nim, że jest Żydem, rzeczywiście wyglądał na niego, wysokiego wzrostu z dużą nadwagą, ożeniony z katoliczką, filigranowej postaci). Przywitaliśmy się jak dobrzy sąsiedzi". Tym razem przychodzę do pana w bardzo poważnej, osobistej sprawie – powiedziałem, podając Napieralskiemu podanie.

Wziął do ręki i czyta. Po przeczytaniu, spojrzał na mnie i jakby ironicznie, niedowierzająco uśmiechnął się. „Tak – powiadam do niego – dla pana to żart, z którego można się uśmiać, ale dla nas jest to tragedia. Proszę potraktować sprawę bardzo poważnie, bo jeżeli dziś nie dostanę pracy, albo zapewnienia wyjazdu za granicę, to pozostaje nam jedynie popełnić samobójstwo tu przed waszymi oknami". Napieralski spoważniał. Wziął podanie i poszedł do pierwszego sekretarza powiatowego partii. Po dłuższej chwili wraca i powiada: „Panie Małłek, od jutra ma pan pracę w Powiatowej Spółdzielni »Samopomoc Chłopska«"; na razie dla pana, a dla pańskiej małżonki później. Proszę udać się do prezesa Supińskiego i omówić warunki pracy". Podziękowałem i wprost udałem się do prezesa Supińskiego (w którego córce podkochiwał się nasz Jurek).

Było to 24 maja 1960 roku, rok po moim zwolnieniu z pastorostwa.

Prezes Supiński, uprzedzony o wszystkim, po krótkiej rozmowie, skierował mnie do Działu Skupu, do prezesa Bocia, który dojeżdżał z Prostek. Po przedstawieniu się pan Boć, który urzędował w jednym biurze z referentem Czesławem Walczukiem, wiedząc kogo ma przed sobą, w rozmowie starał się mnie „spłukać", przedstawiając w złym świetle warunki pracy i marne wynagrodzenie, mówiąc: „Wie pan, wyjeżdżamy w teren do punktów skupu bardzo rano, tak, aby być na godzinę siódmą. Nie wiem, czy panu to będzie odpowiadało. A jeżeli chodzi o płacę, to możemy panu dać osiem tysięcy złotych". Na to odpowiedziałem: „Panie prezesie, warunki pracy wcale mnie nie przestraszają, bo moja praca pastorska była gorsza, bo często w nocy trzeba było rowerem (nie samochodem ciężarowym) drało-

wać do chorego, zima czy lato, śnieg czy deszcz. A jeżeli chodzi o płacę, to jak pan myśli, co jest lepsze: „»coś, czy nic?« – ponieważ nie mam nic, więc przyjmuję każdą stawkę". Prezes nie miał więcej argumentów, aby się mnie pozbyć, powiedział: „Wobec tego proszę jutro przyjść do pracy". Małżonka i dzieci ucieszyły się bardzo, że dostałem angaż. Jaki taki, ale zawsze coś.

172
Praca w Spółdzielni „Samopomoc Chłopska"

Rano, 25 maja 1960 roku, po dokładnie rocznym „bezrobociu", przed godziną ósmą stawiłem się w biurze Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu „Samopomoc Chłopska", Zakład Skupu w Ełku, przy ulicy Wojska Polskiego. Zameldowałem się u prezesa Zakładu Skupu, ob. Bocia, który przydzielił mnie do Działu Zbożowego, którego kierownikiem był Sławek... Zapoznałem się z innymi pracownikami Działu Skupu: Walczukiem, Sobolewskim i innymi. Pierwszy dzień upłynął na zapoznaniu się z pracą działu zbożowego. Na drugi dzień przychodzę do biura już jako normalny pracownik. Po wejściu do biura, w którym urzędowali pracownicy Działu Skupu Zboża i Działu Skupu Żywca, po przywitaniu się ze wszystkimi, Zenek Sobolewski prosi mnie, abym poszedł z nim do szafy. Otwiera szafę, nalał kielicha i powiada: „Proszę się poczęstować i zakąsić kiełbasą". Zasadniczo byłem abstynentem, ale znów ten „kusiciel" powiada: „Wszedłeś między wrony, krakaj, jak i one". Nawet słowa Chrystusa przyszły mi w sukurs: „Czyńcie sobie przyjaciół z mamony" – Łuk. 16,9. Łyknąłem „czyściuchę" – po mazursku „kornusa", zagryzłem kiełbaską. Dzień pracy przeszedł wspaniale, tylko w biurze.

Drugi dzień i następne rozpoczynały się tą samą procedurą, z tą różnicą, że każdy sam się obsługiwał: nalewał sobie kieliszek, ja, inni, szklankę „czystej" i krajał sobie kawał kiełbasy z bułką. Sądziłem, że muszę się przyczynić do kosztów, ale „szef procedury" powiada: „Nie trzeba". Wkrótce dowiedziałem się, że nikt nie ponosi kosztów, a „fundatorami" są magazynierzy, którzy czerpią na takie wydatki z „nadwyżek" magazynowych. A „nadwyżki" magazynowe, na przykład w magazynach zbożowych, obliczano na tony albo na samochody ciężarowe. Jednym słowem pracownicy Spółdzielni jedli śniadanie, a często nie tylko śniadanie, na koszt „niczyj". „Wspaniała ta komuna" – pomyślałem – tylko żyć, nie umierać!

W dniu 1 czerwca otrzymałem pierwszą wypłatę za jeden tydzień pracy. Po obliczeniu i porównaniu z wypłatami „kolegów" przekonałem się, że i tutaj zastosowano dyskryminację w stosunku do mnie, bo moja wypłata wynosiła dwie trzecie wypłaty równorzędnego referenta, nawet razem ze mną przyjętego do pracy. Ale nie okazałem niezadowolenia. Po wypłacie dowiedziałem się o panującym zwyczaju, że każdy nowo przyjęty pracownik musi się „wkupić". Pomyślałem: jak mus, to mus. Urządziłem przyjęcie w domu, poświęcając całą wypłatę i trochę od „Wuja Sama", bo nie starczyło. Zaprosiłem wszystkich współpracowników Zakładu Skupu. Odtąd stałem się kumplem, z którym można „konie kraść". Z każdym dniem zyskiwałem na sympatii współpracowników. A z „kielichem" na rozpoczęcie pracy radziłem sobie dobrze, bo trzeba było to robić, aby nikt nie widział. Po prostu

wchodziłem „dziobem” do szafy i udawałem, że wychyliłem kielicha. Z czasem inni się z tego cieszyli, bo zostawało więcej dla nich. Z kiełbasy oczywiście nie rezygnowałem, bo to było śniadanie.

Po dwóch tygodniach zostałem przeniesiony do Działu Skupu Żywca. Trzeba było obsługiwać punkty skupu bydła, świń, owiec i koni w Ełku, Skomacku i Kalinowie. Praca polegała na wystawianiu kwitów za dostarczony przez rolników inwentarz żywy. Ważenia żywca dokonywał osobiście magazynier. Klasyfikację przeprowadzał „klasyfikator”, który nie był pracownikiem Spółdzielni. I tu procedura „nadwyżek” kwitła. Głodny nigdy nie wracałem do domu.

Moje zjawienie się w punktach skupu wywołało sensację. Zdziwieni rolnicy nie dowierzali, bo zobaczyli „niemieckiego księdza”, którego w Kalinowie chcieli ukamienować, jako pracownika Spółdzielni. Z początku szeptali między sobą, nie wiedząc, co się stało. Większość z nich znała mnie chociażby z pogrzebów, a wielu z nich znało mnie osobiście, więc odważyli się mnie pytać o przyczyny. Żartobliwie odpowiadałem, że „widocznie nasze władze uznały, że i nasze bydełko ma duszę, więc potrzebują swoich duszpastuchów i to nie tylko jednego, ale trzech, bo i nasze bydełko widocznie podzielone jest na katolickie, ewangelickie i baptystyczne. Dlatego katolickie mają referenta Markowskiego, niedoszłego księdza katolickiego, ewangelickie mają mnie, a baptystyczne kaznodzieję Popko”. Śmiechu było co niemiara. „Popatrzcie – mówię do zaciekawionych – i one często jedno przeciwko drugiemu ryjem albo kopytem”. Znów śmiech na punkcie skupu. Przekonałem się jednak, że bydełko mniej się bodło między sobą niż ludzie. Pracę na „spędach” traktowałem jak normalną pracę. A stosunki koleżeńskie układały się humorystycznie, jak najlepiej.

Wkrótce prezes Boć proponuje mi przejście do referatu drobiarsko-jajczarskiego, referatu samodzielnego. Zgodziłem się bez zastanowienia. Aby jednak nie być analfabetą w tej dziedzinie, zostałem wysłany na miesięczny kurs drobiarsko-jajczarski do Mrągowa. Tam na wykładach i zajęciach praktycznych zapoznałem się z hodowlą drobiu, ocenianiem jaj pod względem jakości i świeżości. Wykłady o eksporcie i ekonomii podkreślały wartość tej dziedziny.

Byliśmy skoszarowani po kilka osób w jednym pokoju. Większość kursistów to „chłopaki” ze wsi. Można sobie wyobrazić, jakiego rodzaju sypały się żarty i kawały. Jeden odprawiał „muzykę siarkowodorową”, brał pudełko zapałek (ubrany w spodniach), zapalał zapałkę, wypinał dupę, palącą zapałkę zbliżył do odbytnicy i pierdział różnymi tonami. Im ton był wyższy, tym płomień był strzelistszy, im był niższy, wtedy płomień był kłębiasty. Wszyscy, pękając ze śmiechu, podziwiali. A śmiejąc się, niejednemu samowolnie wybuchał pocisk HSO, więc inni zaczęli naśladować. We wszystkich pokojach wybuchła „strzelanina”. U każdego ukazywały się płomyki – rzecz zrozumiała dla chemików – ale tylko ten jeden potrafił pierdzieć różnymi tonami. Nie tylko różnymi tonami, ale i o zmiennej sile: raz „pianissimo”, innym razem „forte”, czasami „piszczando”.

Nie, nie! Nie myślcie, że pokoje zamieniły się w „komory gazowe”, albo że pływaliśmy w stanie „nieważkości?” Nie, nie, smrodu nie było. Bo gaz HSO spalał się do reszty. Aha, widzę, że i Szanowni Czytelnicy chcieliby dokładnie wiedzieć, jak on to robił. Ano, prosta rzecz: popuszczał pierdziela i wstrzymywał, popuszczał i wstrzymywał, komponując całą gamę tonów. Myślę, żeście pokapowali. Spróbujcie! To jest rozrywka niebywale zabawna. Początkujący mogą grać we dwójkę: jeden pierdzi, drugi podpala. Na wszelki wypadek ostrzegam, aby palącą zapałką nie dotykać spodni, bo „muzykant” może doznać po-

parzenia „wytwórni" HSO. „Seanse" powtarzały się od czasu do czasu, bo niektórzy zapisali się do „orkiestry", chcąc się nauczyć grać. Śmiechu było do rozpuku. Ściany trzęsły się od śmiechu.

Na kursie było ogółem 66 kursantów, w tym cztery żeńskie „rodzynki". Wykłady odbywały się w dwóch grupach, w dwóch klasach. W mojej grupie byli sami mężczyźni. Kurs zakończył się egzaminami. Wszyscy zdali z pozytywnymi ocenami. Każdy otrzymał świadectwo ukończenia kursu. Skończyły się dobre czasy. Rozwijały się miłostki i sympatie z „rodzynkami". Wszyscy rozjechali się do swoich miejsc działania.

Zaraz po powrocie z kursu przejąłem dział jajczarsko-drobiarski, ponieważ dotychczasowy referent się zwolnił, wyjeżdżając do USA na pobyt stały. Z przejęciem samodzielnego działu otrzymałem też podwyżkę poborów. Mnie podlegali dwaj etatowi magazynierzy punktów skupu w Ełku i Kalinowie oraz „skupowicze jaj" na prowizji, na umowie, w wielu miejscowościach powiatu. Magazynierzy w Ełku i Kalinowie skupowali jaja i wszelki drób, a skupowicze tylko jaja. Skupiony towar odstawiano do Prostek. Tam drób był dodatkowo tuczony, ubijany i wysyłany na eksport. Jaja były prześwietlane, sortowane i też szły na eksport. Do moich obowiązków należało prowadzenie dokumentacji, sporządzanie rachunków i protokółów oraz kontrola magazynierów oraz osoby skupujące. Naturalnie, i tu gospodarowano „nadwyżkami". Ustalanie ogólnej ilości skupionego towaru i jego wagi, to było już „sztuką" magazynierów i skupowiczów. W tym okresie, trwającym kilka lat, nie brakowało na naszym stole kurcząt, kur, kaczek, gęsi, indyków. Rzecz jasna z „nadwyżek".

Duże kłopoty miałem z magazynierami w Ełku, Müllerem i Puciłowskim, którzy będąc alkoholikami nie wykonywali na czas swoich obowiązków. Zostali zwolnieni z pracy. Wspaniale pracowało się z magazynierami w Ełku, z Gerhardem Czwikłą i Ruszczykiem w Kalinowie. W czasie mego urzędowania jako referent jajczarsko-drobiarski Spółdzielnia nie miała żadnych strat. Krótko po wyjeździe magazyniera Gerharda Czwikły do RFN-u prosiłem o zmianę stanowiska. Prezes Supiński, widząc doskonale prowadzone przeze mnie protokoły strat w dziale jajczarsko-drobiarskim, które w 100% pozytywnie były załatwiane przez Państwowy Zakład Ubezpieczeń, powierzył mi prowadzenie protokołów odszkodowawczych wszystkich zakładów Spółdzielni. Było to stanowisko jednoosobowe, niezależne. Na tym stanowisku, w okresie półtora roku, wykazałem się jako doskonały „adwokat", gdyż wszystkie szkody w 100% zostały pokryte przez Państwowy Zakład Ubezpieczeń. Wszystko zależało od umiejętnego ujęcia protokołu dotyczącego szkód.

Dla oddania właściwego obrazu gospodarki w Polsce Ludowej muszę powiedzieć, że szkody były sztucznie wykazywane na papierze, w protokołach. Sztucznie powstawały tzw. „nadwyżki", którymi dzieliła się komisja ustalająca szkodę. Przykładowo: nadszedł wagon z winem w butelkach. Stłuczonych było na przykład 12 butelek, ale do protokołu wpisywano np. 47 sztuk. Tak było z wszelkimi towarami, przesyłkami. Do komisji ustalającej szkodę wagonową należeli: pracownik Polskich Kolei Państwowych, milicjant posterunku kolejowego, spedytor kolejowy Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" i jeden z robotników transportu samochodowego. Takie praktyki działy się w wielu przedsiębiorstwach. Każdy biorący udział w tych „przestępstwach" usprawiedliwiał siebie ideologią Marksa-Engelsa: „Wszystko jest własnością ogółu, a więc i naszą". A że od czasu ktoś tam podpadł i dostał się za kratki, to wcale nie był powód, aby zaniechać procedury „nadwyżek i podziału". Mimo takiej gospodarki, „Jeszcze Polska nie zginęła!". A że zbankrutowała, to nie z winy

Polaków, a kapitalizmu zachodniego, który sypał kredytami, a polscy politycy uważali się po swojemu, budując sobie „dacze”, które rosły jak grzyby po deszczu.

Kurs jajczarsko-drobiarski, Mrągowo – sierpień 1960 roku

Kurs jajczarsko-drobiarski, Mrągowo – sierpień 1960 roku

Pewnego dnia dyrektor Wojewódzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego, ob. Janik, zaproponował mi stanowisko kierownika działu rozliczeniowego w jego spółdzielni, oczywiście z lepszym wynagrodzeniem. Zgodziłem się, otrzymując przeniesienie z Powiatowej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Z początku praca z dyr. Janikiem układała się jako tako, ale po roku poprosiłem go o przeniesienie, nawet na niższe stanowisko, gdyż nie mo-

głem pracować z dyrektorem, który każdego ranka zmieniał plan pracy ustalony dnia poprzedniego. Jednak dyr. Janik uparł się i nie chciał mnie przenieść, wobec tego zrezygnowałem w ogóle z pracy, oświadczając dyrektorowi, że jeżeli będzie potrzebował pracownika w miejsce odchodzącego spedytora kolejowego, to może mnie zawołać, bo chętnie przyjmę tę pracę. Pracę spedytora kolejowego WSTW poznałem dobrze w okresie sporządzania protokółów szkód.

Po kilku dniach pobytu w domu zjawił się posłaniec dyr. Janika, prosząc, abym zjawił się u niego. Zaproponował mi opróżnione stanowisko spedytora kolejowego, które z miejsca przyjąłem. Była to praca na kolei z ramienia WSTW. Miejscem urzędowania była poczekalnia dworca towarowego. Akta nosiło się w teczce. Brygada transportowa, kolejarze i milicjanci posterunku kolejowego byli mi bardzo dobrze znani. Praca ułożyła się harmonijnie. „Choroba" kosztów, które spółdzielnie ponosiły z powodu dużych przestojów wagonów, nie na czas rozładowanych lub załadowanych, znikła bezpowrotnie. Z czego ogromnie cieszyły się poszczególne Zakłady Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", obsługiwane przez Wojewódzką Spółdzielnię Transportu Wiejskiego. To dodało mi odwagi zażądania lepszych warunków pracy. Poprosiłem dyrektora o zbudowanie barakowozu-baraku na kółkach (bo na stałego na gruncie kolejowym nie pozwalano). Dyrektor, doceniając moją myśl, polecił własnym warsztatom zbudowanie barakowozu, który wkrótce ku radości spedytora i robotników – stanął na placu kolejowym. Barakowóz miał dwa pomieszczenia dla robotników i biuro spedytora (światło i ogrzewanie elektryczne). Na ówczesne czasy były to warunki wspaniałe, wprost idealne. Praca samodzielna, daleko od władz Spółdzielni. Stosunki z kolejarzami układały sie doskonale, po bratersku, a szczególnie z panami Kamińskim, Źwikowskim i skarbnikiem, panem Biegańskim.

Ponieważ praca na kolei (rozładunki, załadunki) trwała i wieczorami, nawet nocą, wobec tego zaproponowałem dyrektorowi, aby na drugą zmianę zatrudnił moją żonę. Chętnie się na to zgodził, wiedząc, że ja wszystkiego dopilnuję. Tak więc pracowaliśmy wspólnie z żoną, mając podwójną pensję. Przez kilkuletni okres pracy nie mieliśmy żadnych przestojów wagonów. Przez to znajdowaliśmy pełne uznanie u władz Spółdzielni. W tej pracy, mimo dwóch zmian, mieliśmy dużo godzin nadliczbowych, szczególnie u mnie w ostatnich dwóch latach, które dodatnio wpłynęły na wysokość mojej renty. Przestojów wagonów unikaliśmy przez wynajem ludzi na rachunek, gdyż często brygada etatowa była niewystarczająca do wykonania pracy w czasie. Szczególnie wagony z butelkami dla winiarni były zawsze rozładowywane przez kobiety na rachunek. Często zachodziła taka sytuacja, że trudno było znaleźć ludzi do rozładunku na rachunek. Po przeanalizowaniu tej sprawy dyr. Janik zarządził, aby robotnicy etatowi w godzinach pozasłużbowych pracowali na rachunek, ale na fikcyjne nazwisko. Nazwiska fikcyjne nazywaliśmy „nazwiskami z cmentarza". Dla mnie była taka praktyka podejrzaną, ale skoro to było zaleceniem dyrektora i on potwierdzał każdy rachunek swoim podpisem, to uważałem rzecz za załatwioną.

Faktycznie, po jakichś dwóch, trzech latach sprawą fikcyjnych rachunków zainteresował się Urząd Bezpieczeństwa. Przeprowadzono kontrolę w księgowości. Wyłowiono fikcyjnych rachunków na sumę dziesiątek tysięcy. Wszczęto dochodzenie karne. Szukano odpowiedzialnych. Dyrektor Janik wymigał się, rzucając wszelką winę na mnie. Po prostu zrobił ze mnie „kozła ofiarnego". Byłem szereg razy wzywany do UB, gdzie grożono mi karą długoletniego więzienia. W końcu ubowiec powiada: „Będzie pan wolny, jeżeli się pan przyzna". Odpowiedziałem: „Proceder z rachunkami fikcyjnymi miał miejsce, ale nie

ja jestem temu winien”. W każdym razie sprawa znalazła się w Sądzie Powiatowym w Ełku, oskarżonym jestem ja. Wyznaczono termin rozprawy. Pod względem prawa nie „upadłem na głowę”. W moim odwołaniu podałem faktyczny stan rzeczy, powołując się na szereg świadków, robotników Wojewódzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego, którzy wykonywali pracę i podpisywali fikcyjnym nazwiskiem. Wszyscy podani przeze mnie świadkowie stawili się na rozprawę. Sąd po sprawdzeniu obecności wezwanych, po zaprzysiężeniu świadków, którzy opuścić musieli salę, zwrócił się do mnie (siedziałem na ławie oskarżonych) z pytaniem: „Czy wystawiał obywatel rachunki fikcyjne?”. Odpowiedziałem: „Nigdy osobiście nie wystawiałem rachunków fikcyjnych”. Sędzia: „Co może Obywatel powiedzieć na temat rachunków, które są dowodami oskarżenia?”. Wyjaśniłem Sądowi, że rachunki są tylko częściowo fikcyjne, tylko co do nazwiska, ale nie co do wykonania wymienionej w rachunku pracy. Czyli robotnicy WSTW, wykonując pracę na rachunek w godzinach pozasłużbowych, podawali fikcyjne nazwiska. Sąd kolejno wzywał świadków i wszystkim stawiał następujące pytania: „Kto dawał polecenie stosowania rachunków na fikcyjne nazwisko?”. „Czy świadek pracował na rachunek podpisując fikcyjnym nazwiskiem?”. „Jaką rolę odgrywał w tej sprawie ob. Małłek?”.

Wszyscy świadkowie oświadczyli, że polecenie wystawiania rachunków fikcyjnych wydał dyr. Janik i osobiście je podpisywał. Przyznali się do fikcyjnych podpisów. Przy tym wyjaśniłem sądowi, że każdy z nich miał nazwisko jednego i tego samego „nieboszczyka”, którego uwieczniali na rachunku. Co do mojej osoby zeznali: „Ob. Małłek stwierdzał na rachunku tylko wykonanie pracy”. Ostatnim świadkiem był dyr. Janik. Po jego wejściu na salę sądową Sędzia jeszcze raz zwrócił się do mnie z pytaniem: „Kto wydał zalecenia stosowania rachunków z fikcyjnymi nazwiskami?”. Odpowiedziałem: „Zalecenie wydał dyrektor Janik”. Twarz dyrektora okryła się rumieńcem. Teraz prokurator wziął go w obroty. Dyrektor wił się jak piskorz, za każdym zdaniem okrywając się nowymi rumieńcami. Nie miał innego wyjścia, jak przyznać się, że on wydał zarządzenie stosowania w rachunkach fikcyjnych nazwisk. Dyrektor Janik ze świadka stał się właściwym oskarżonym. Wobec tego oskarżenie z urzędu przeciwko mnie zostało oddalone. Zostałem uniewinniony. Dyrektor Janik uniknął oskarżenia tylko dlatego, że był członkiem partii.

Sprawa sądowa przeciwko mnie, za niepopełnione winy, była powodem, że zrezygnowałem z pracy w Wojewódzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego, której dyrektorem był Janik. Po odejściu z WSTW przejąłem stanowisko kierownika Punktu Czyszczenia Wagonów w Ełku, podlegając spółdzielni wielobranżowej z siedzibą w Olsztynie. Była to praca samodzielna, polegająca na kierowaniu pracą brygad i przesyłania ich do centrali Spółdzielni w Olsztynie. Po rocznej pracy w tej spółdzielni przeszedłem na emeryturę z dniem 16 maja 1972 roku, otrzymując rentę w wysokości 2279 zł miesięcznie. Do obliczenia renty podałem zarobki z 24 miesięcy od 1.11.1966 do 31.10.1968 roku w sumie 100.963 zł. Z tego wypadło:

80 % od podstawy wymiaru emer. do 1500	= 1.200,00
55 % od nadwyżki ponad 1500 do 2000	= 275,00
25 % od nadwyżki ponad 2000	= 551,00
Razem	= 2.026,00

plus 1 % za każdy rok pracy w PRL, za 6 lat ponad 20 lat pracy w PRL + 253

Ogółem	= 2.279,00

Na tym skończyła się moja „kariera” w Polsce.

173
Stosunek władz państwowych do mnie

Od 1920 roku byłem zwykłym obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej (RP), a od 1944 roku obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (PRL). Mimo mojej skromności, jednak miałem do czynienia z władzami państwowymi. W poprzednich rozdziałach wspomniałem coś niecoś o przeżyciach w obu ojczyznach. W tym rozdziale chcę powiedzieć o przeżyciach z władzami PRL. Oczywiście, nie było moim celem ani pragnieniem nawiązywania kontaktu z władzami PRL. Wiemy, że w PRL mamy różne władze. Laik, człowiek niewtajemniczony w życie polityczne, nie zgadnie, która władza jest najważniejszą i najgroźniejszą.

Z góry powiem, że w PRL miałem do czynienia z władzą administracji publicznej (powiatu, województwa), z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą (PZPR), Urzędem Bezpieczeństwa i Kontrwywiadem. Która z powyższych władz jest najważniejsza w Polsce Ludowej?

Ogólnie orientujemy się, co to jest starostwo powiatowe, urząd wojewódzki, ministerstwo takie czy inne, wiemy, co to jest partia albo urząd bezpieczeństwa. Ale co to jest „kontrwywiad?". Czy to jakiś urząd? Trudno mi odpowiedzieć. Myślę, że to jest coś „nieokreślonego". Uważam, że gdyby to był urząd, czy jakieś ministerstwo, to miałoby szyld na jakimś budynku. Byłem ciągany przez różne urzędy, ale nigdzie nie spotkałem szyldu: kontrwywiad. A jednak miałem z nim do czynienia wbrew mojej woli.

Na podstawie moich przeżyć w PRL mógłbym kontrwywiad przyrównać do Akcji Katolickiej, która też nie stosuje szyldów, a „ma na celu podporządkowanie Kościołowi wszystkich dziedzin życia społecznego i zapewnienie Kościołowi wpływu na politykę wewnętrzną, ustawodawstwo, gospodarkę". Tak jest według encyklopedii polskiej. Tym bardziej uważam, nic się nie dzieje w komunistycznej PRL bez woli kontrwywiadu. „Akcji Katolickiej" nie widać, a jednak działa nawet w komunizmie. Kontrwywiadu nie widać, a decyduje w komunistycznej Polsce Ludowej bodajże o każdym człowieku. Przekonałem się na własnej skórze, że wszystkie władze z podległymi sobie urzędami i instytucjami społecznymi muszą tak tańczyć, jak KW zagra.

Ze służby wojskowej w podchorążówce w Berezie Kartuskiej oraz z wykładów dla oficerów wiadomem mi było, że w przedwojennej Polsce (sanacyjnej) istniał wywiad i kontrwywiad, tzw. Oddział II-gi. Ale cóż miał z tym do czynienia zwykły obywatel? W ogóle nic. Nawet nie wiedział o istnieniu takowego. Nie tak było za „rządów" kontrwywiadu w komunistycznej Polsce Ludowej.

Jaki cel miał kontrwywiad w komuniźmie? Uczynić wszystkich ludzi szpiclami, donosicielami, informatorami, konfidentami i szpiegami. Jaką metodą osiągał kontrwywiad swój cel? Naiwnych pochlebstwami, obiecankami pomocy finansowej, awansu w pracy itp. Opornych zmuszano groźbami, szantażem. „Nieugiętych" doprowadzali do nędzy materialnej i duchowej, do załamania psychicznego. Ten wstęp piszę po to, aby [pozwolić] zrozumieć to, co będę pisał o sobie.

Jeszcze nie otrząsnąłem się z przeżyć w Nidzicy jako starosta powiatowy w 1945 roku. Jeszcze nie zdobyłem należytej wiedzy teologicznej na Wydziale Teologii Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1945–1946, a tu nagle władze państwowe „upatrzyły" mnie na

„królika doświadczalnego swojej polityki, ponieważ znały mnie (niesłusznie) jako działacza mazurskiego. Nie przypuszczały jednak, że mają we mnie przede wszystkim człowieka głęboko wierzącego, uczciwego w zasadach, człowieka z sumieniem.

Będąc skierowany do Ełku na pastora Kościoła Metodystycznego w 1946 roku, znalazłem uznanie i poparcie władz administracji publicznej, wojewody białostockiego Stefana Dybowskiego. Czekając jednak (z kolegą Biczemskim) na wygotowanie pisma polecającego do starostów w Ełku, Olecku i Gołdapi, zostałem osobno sam poproszony przez dwóch urzędników do osobnego pokoju. Jestem pewny, że to nie byli urzędnicy Urzędu Wojewódzkiego. Czy to byli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, czy kontrwywiadu? Każdemu wolno zgadywać.

W rozmowie zwrócili mi uwagę, że mogę mieć w pracy trudności i przykrości. Radzili mi, abym zawiadamiał o wszystkim, a szczególnie o przeszkodach ze strony księży katolickich. Nabożnie wysłuchałem rad, ale od razu pomyślałem: „donosiciela" ze mnie nie zrobicie, bowiem ósme przykazanie mówi: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu". Nie zrobiłem ani jednego donosu, mimo wielokrotnych przeszkód ze strony katolików, o czym już pisałem. Widocznie niezadowoleni moim dłuższym milczeniem, „zaprosili" mnie do Urzędu Wojewódzkiego. W jakiej sprawie? Proponują mi przejęcie kościoła po parafii Ewangelicko-Reformowanej (kalwińskiej). Propozycją byłem bardzo zaskoczony. Domyślając się, o co rozmówcom chodzi, powiedziałem, że to nie leży w mojej kompetencji. „Skoro władze wojewódzkie uważają za rzecz potrzebną, powinny zwrócić się do superintendenta ks. Najdera w Warszawie i jeżeli on mi poleci organizować parafię w Białymstoku, to będę organizował" – powiedziałem. „Och, pastor nie potrzebuje pytać superintendenta, sam może to zrobić, my na to damy zezwolenie". Naiwny ucieszyłby się taką propozycją. Ja jednak podejrzewałem, że chcą mnie kupić. Wiedziałem, że ani Urząd Bezpieczeństwa, ani tym bardziej kontrwywiad, nie daje nic za darmo. Dlatego odpowiedziałem: „Mnie jednak obowiązuje subordynacja wobec przełożonego i tylko na jego polecenie podejmę się tego zadania i to tylko pod warunkiem, że wówczas odpadnie z moich obowiązków parafia w Ełku, gdyż nie podołałbym tak obszernemu zadaniu". Cudem wyplątałem się z zastawionej „sieci". Gdyby bowiem – delikatnie mówiąc – „rozmówcom" zależało naprawdę na reaktywowaniu Kościoła ewangelickiego w Białymstoku, dobrze znali adres superintendenta Najdera, mogli się do niego zwrócić tak, jak poprzednio w sprawie powiatów mazurskich. Więcej do Urzędu Wojewódzkiego nie byłem wzywany. Funkcję „opieki" nade mną przejął Wojewódzki Urząd do Spraw Wyznań. Zajęto się moją osobą w Ełku.

Już na konferencji u starosty powiatowego na początku 1946 roku w sprawie podziału mienia po byłym Kościele Ewangelicko-Unijnym sekretarz PPS zasugerował zebranych insynuacją: „Nie wiadomo, kto to jest pastor Małłek (właściwie wówczas jeszcze Łopatowski)?". Pewnego dnia 1946 roku zostałem wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa w Ełku przy ulicy Wojska Polskiego. W biurze, w którym siedział dyżurny, kazano mi czekać. Siedzę, czekam cierpliwie. Po kilku godzinach, bez rozmowy ze mną, kazano mi pójść do domu. Jaki był ich cel? Napędzić stracha.

Niezadługo znów wezwanie do tegoż Urzędu Bezpieczeństwa. Znów, po paru godzinach czekania, funkcjonariusz Mach, junior, pokazuje mi fotografię niemieckiego żołnierza i wmawia mi, że to jest mój brat. „To musi mi pan powiedzieć, jakie jest imię jego" – mówię do niego. Milczy. Po pewnym czasie mówi: „Proszę czekać w poczekalni". Siedzę kil-

ka godzin. „Proszę iść do domu". – Jaki cel tego wezwania? Odpowiedź chyba prosta. Jaki cel miało znęcanie się nad naszym synem Robertem przez nauczyciela gimnastyki Szkoły Podstawowej nr 4, o czym poprzednio pisałem? Jaki cel miało „oblężenie" kaplicy w Ełku przez Milicję Obywatelską w czasie wizyty superintendenta okręgowego Chambersa, o czym też pisałem? Napędzenie strachu! Jaki cel miało oskarżenie mnie przez Polski Czerwony Krzyż? Napędzić stracha i ewentualnie wsadzić do więzienia. Jaki cel miało podpalenie zabudowań domu starców i kradzież koni w Piętkach? Jaki cel miało tzw. „kamienowanie" w Kalinowie i obojętność władz w tym wydarzeniu?

Nasyłanie przebranych różnych żebraków, niby zwolnionych, czy nawet uciekinierów z łagrów rosyjskich? Nie uwierzycie, nawet z bochenkiem rosyjskiego białego chleba, prosząc o zamianę na razowy chleb, którego u nas nie było. Nasyłano podejrzanych typów proszących o jałmużnę, proponujących sprzedaż dolarów lub kupno tychże. Przecież miejscowych żebraków znaliśmy, więc po co ta komedia. Naturalnie każdy taki „żebrak" musiał zdać relację „zleceniodawcy" ze swojej wyprawy. Czy tego rodzaju „żebrak" po wizycie u nas, wchodząc do budynku Urzędu Bezpieczeństwa w Ełku przy ulicy Chopina, wchodził po jałmużnę? A może jednak po „jałmużnę"?

W czasie weryfikacji wojskowej w Ełku unieważniono mój stopień oficerski oraz cały przebieg służby wojskowej, łącznie z udziałem walki frontowej w II-giej wojnie światowej, wydając mi książeczkę wojskową z adnotacjami: „stopień wojskowy: strzelec" i „nie służył w wojsku". Często wzywano mnie przez referenta do Spraw Wyznań przy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w różnych sprawach, ale najczęściej, aby usłyszeć od niego ustne polecenie, stawić się dnia takiego o godzinie 8.00 rano w Urzędzie do Spraw Wyznań w Białymstoku. Po wyjściu z pociągu w Białymstoku stoję w kolejce, czekając na autobus, by dojechać do miasta. Po chwili „ktoś" się odzywa: „Dzień dobry, panie pastorze Małłek". Odwracam się. Nie znam osobnika. A on pyta dalej: „Co pana sprowadza do Białegostoku?". Wiem, z kim mam do czynienia, więc otwarcie mówię: „Idę do Urzędu do Spraw Wyznań". „Ach, to i ja tam właśnie idę". A więc mam już niepożądane towarzystwo. Wchodzę do biura Wojewódzkiego Urzędu do Spraw Wyznań. „Towarzysz" został w przedpokoju.

Rozmowa niby służbowa w Urzędzie do Spraw Wyznań ogranicza się właściwie do niczego, trwa zaledwie kilkanaście minut. Wychodząc z biura, „towarzysz" czeka na mnie. Wstaje z ławki i pyta: „Jest pan pastor już wolny?". „Tak" – odpowiadam. „Czy nie zechciałby pan pójść ze mną, zapoznam pana z panem, który chciałby z panem porozmawiać". Powiedz takiemu „tajniakowi": Nie!, to wyciągnie karteczkę i powie: „Jest pan aresztowany". Nie chcąc usłyszeć tego zdania, posłusznie poszedłem z człowiekiem, który stał się „przedmiotem" w rękach obcych, a nie niezależną istotą ludzką.

Opowiem o dwóch wyjątkowo znamiennych „spotkaniach" z funkcjonariuszami, powiedzmy, „tajnej służby". „Naganiacz" po moim wyjściu z Urzędu do Spraw Wyznań w Białymstoku prowadzi mnie krętymi drogami, ulicami miasta. Wchodzimy do prywatnego mieszkania na parterze. Otwiera nam kobiecinka powyżej sześćdziesiątki, małego wzrostu. „Naganiacz" wprowadza mnie do pokoju, w którym przedstawia swego szefa. Pan „szef", blondyn, szczupły, średniego wzrostu, wyższy ode mnie, przypuszczalnie wiekiem powyżej czterdziestu lat, wyglądał starzej ode mnie. Witając mnie, szepnął jakieś nazwisko, które nie zakodowało się w moim mózgu. „Proszę zająć miejsce" – wskazując na krzesło powiedział: „Chcę z panem pastorem porozmawiać". Robił wrażenie groźnego egzekutora.

Po drobnych słowach wstępnych o mojej pracy w Ełku zabrał się do „roboty": „Niech pan pastor powie o sobie wszystko od urodzenia aż do dzisiaj, po prostu niech pan opowie swój życiorys".

„Szef" usiadł sobie wygodnie, a ja zacząłem snuć nić mego żywota. Od czasu do czasu wtrącał się słowami: „Niech pan o tym dokładniej opowie". Nie pamiętam, jak długo trwała moja „ustna spowiedź". Gdy skończyłem, „szef" wstał, dał mi parę arkuszy papieru z długopisem i rzekł: „Niech pan pastor usiądzie przy stole pod oknem i niech pan to wszystko, co pan mówił, napisze". Ja zacząłem pisać, a „szef" zajął się swoją robotą. Z pewnością pisałem dłużej niż godzinę. „Szef" wziął do ręki i czyta. Po chwili mówi: „Dlaczego pan to i tamto pominął. Niech pan jeszcze raz napisze dokładnie". Wiedziałem, że będąc w łapach kontrwywiadu nie ma co myśleć o sprzeciwie, o oporze. Trzeba wykonywać, co każą. Po kilku godzinach, które już minęły, jestem zmęczony powstałą sytuacją, bo wciąż dręczy mnie myśl, czy w ogóle stąd wyjdę. No trudno, piszę drugi raz mój życiorys, coraz wolniej mi to idzie, bo przeszkadzają mi moje przeróżne myśli. W międzyczasie „naganiacz" wyszedł, przypuszczalnie na nowe „polowanie" na „wroga" kraju. Pisząc, nie wiem, co robi „szef", bo siedzę do niego plecami. Nie wiem też, czy w międzyczasie posilał się, czy coś jadł, boć przecież minęło kilka dobrych godzin. Gdy skończyłem, „szef" znów czyta, porównując jeden życiorys z drugim. Zauważył jakąś różnicę, wybucha gniewem: „Dlaczego pan raz pisze tak, drugi raz inaczej?! Pan kłamie, nie mówi pan prawdy! Trudno, musi pan jeszcze raz pisać, ale pisać prawdę!"

Myślałem, że oszaleję ze złości. Psychicznie byłem wykończony, fizycznie zmęczony. Ostatkiem sił piszę życiorys po raz trzeci. Nie śmiem zerknąć na zegarek, ale po słońcu zauważam, że jest późne popołudnie, a siedzę tutaj od godziny dziewiątej rano, bo w Urzędzie do Spraw Wyznań byłem o godzinie ósmej i rozmowa trwała tam zaledwie kilkanaście minut. Starałem się pisać to samo, co poprzednio, ale czy to wychodziło, tego sam nie wiem. Po trudach skończyłem wreszcie pisanie. Ze strachem oddaję życiorys „szefowi", spodziewając się znów jakiegoś wybuchu złości. Wziął życiorys, położył go do poprzednich i rzekł: „Na dziś ma pan dosyć. Innym razem niech pan mówi prawdę. Jest pan wolny!". Na słowa te ugięły mi się kolana, poczułem słabość, myślałem, że źle słyszę, że to nieprawda: „Wolny!". Chwiejnymi krokami opuściłem moje „więzienie", bo skoro „wolny", to znaczy, że byłem „niewolny". Gdy wyszedłem na dwór, wszystko widziałem jakby przez mgłę. Nie zważałem na kierunek, dokąd idę, aby dalej, aby daleko od miejsca znęcania się. Aby dalej...

Czytałem o różnych torturach, stosowanych na przykład przez Inkwizycję, która w przeróżny sposób dręczyła niewinnych ludzi, zmuszając ich do przyznania się do niepopełnionych przestępstw. A wszystko to działo się pod nadzorem „inkwizytora", trzymającego w ręku krzyż. Chyba tortury stosowane przez Inkwizycję, instytucję „Namiestnika" Chrystusowego w Rzymie, papieża, są wzorem do naśladowania przez przyszłych dyktatorów. I tak komunistyczni „papieże" nie różnili się w stosowaniu tortur od „inkwizytorów". Jedną z męczarń, stosowanych przez komunizm, nazwałbym „płukanie mózgu", polegające na niekończących się wywiadach, w czasie których poprzez zaskakujące, podchwytliwe pytania, niemające nic wspólnego z prawdą i rzeczywistością, doprowadza się delikwenta do całkowitego załamania psychicznego. Po takich insynuacjach, wmawianiu niepopełnionych przestępstw, załamany delikwent zaczyna wierzyć, że jest przestępcą, szkodnikiem, zdrajcą

państwa, szpiegiem. Taki przebieg miało moje jedno z innych spotkań z funkcjonariuszmi kontrwywiadu.

Również na wezwanie Urzędu do Spraw Wyznań w Białymstoku jadę wczesnym pociągiem, aby zdążyć na godzinę ósmą rano. Wychodząc z dworca, już z daleka „naganiacz" (już inny, młodzik, mniej urodziwy i mniej przyjemny) kłania się i pyta: „Co pana pastora sprowadza do Białegostoku? Dokąd się pan udaje?". Wysłuchawszy wyuczonej formułki powiadam: „Do...". „Och, to ja też tam idę". „No, to jedziemy" – autobusem. W Urzędzie do Spraw Wyznań zdawkowa, bardzo krótka rozmowa. Po wyjściu z biura czekający w przedpokoju „naganiacz" pyta się mnie: „Czy załatwił pan wszystkie sprawy?". Powiedziałem, że mam do załatwienia sprawę w Urzędzie Opieki nad Cmentarzami. „To ja pana zaprowadzę" – powiada. Spróbuj powiedzieć: nie.

Spróbuj zrobić awanturę na ulicy. Nadjedzie karetka i znajdziesz się w zakładzie dla obłąkanych w pobliskiej Choroszczy. Więc nie myślę wcale o stawianiu oporu, idę jak baranek na zarżnięcie. Po drodze nachodzą mnie ciemne myśli. Jestem po prostu pewny, że tym razem chyba nie będę wolny. Rozmyślam, w jaki sposób mógłbym zawiadomić żonę o mojej sytuacji. Z tą myślą doszedłem do Urzędu Opieki nad Cmentarzami. Mniej rozmowny, bardziej służbowy „naganiacz" zostaje w korytarzu, mówiąc: „Ja zaczekam na pana". „Lepiej, żebyś znikł do piekła" – pomyślałem, trochę nie po chrześcijańsku. Będąc już w biurze, przygotowałem kartkę z moim adresem i numerem telefonu. W biurze, w dużym pokoju, siedziało chyba ośmiu urzędników. Rozejrzałem się po nich, wybrałem starszego pana, do którego podszedłem, wręczając mu pismo, aby zdewastowany cmentarz w Ełku oddano pod opiekę Kościoła Metodystycznego, gdyż nikt cmentarzem się nie zajmuje i „poszukiwacze złota" stale dewastują nagrobki. Rozmowa się nie kleiła, bo dręczyła mnie myśl, co będzie ze mną, gdy wyjdę z biura. Skończył się temat cmentarza. „Dać kartkę temu panu, czy nie dać? Czy można mu zaufać?". „Wszystko jedno – dam". Obejrzałem się za siebie, aby sprawdzić, czy ktoś mnie obserwuje. „Proszę pana, na korytarzu czeka na mnie urzędnik UB, jestem pewny, że nie wrócę do domu. Tu jest mój adres i numer telefonu. Niech pan będzie łaskaw zawiadomić moją żonę i dzieci. Będę panu bardzo wdzięczny" – powiedziałem szeptem i pożegnałem go.

Nie trafiłem na właściwego człowieka. W najlepszym wypadku widocznie bał się zawiadomiać moją żonę. Nie przypuszczam, aby był złym człowiekiem. „Naganiacz" upewniwszy się, że załatwiłem wszystkie sprawy, bez osłonek powiada: „Proszę pana, a teraz proszę pójść ze mną". Zbyteczne są pytania: „dokąd?", „po co?" itp. Wiadomo przecież, dokąd i po co. Skóra cierpnie ze strachu. Egzema rąk, którą dostałem od 1948 roku, niemiłosiernie swędzi. „Naganiacz" prowadzi mnie w dzielnicę rzadko zabudowaną, dość daleko od centrum miasta. Dom pojedynczo stojący. Wchodzimy do prywatnego mieszkania, też na parterze. Mogła być najdalej godzina dziesiąta przed południem. „Naganiacz" wprowadził mnie i znikł. W mieszkaniu zastałem tego samego „szefa" z poprzedniego opisu, ale poza nim jest jeszcze drugi pan, młodszy od szefa.

Obaj wesoło, radośnie witają mnie. Patrzę, stół zastawiony różnymi trunkami i smakołykami. Domyśliłem się, że tu nie chodzi o jakieś imieniny, ani o ugoszczenie mojej osoby. Po prostu inne „preludium" do „prania mózgu". Wcale się nie pomyliłem. Owszem, natarczywie namawiali mnie do picia trunków alkoholowych różnego rodzaju i gatunku i jedzenia zakąsek. Wymówiłem się, że jestem abstynentem i nie jestem głodny. Tego trzymałem się, podejrzewając, że mogą mi podstępnie dosypać środek do bredzenia. „Tajniacy" kon-

sumują, sowicie popijają, na przemian stawiają mi pytania, raz w tonie wesołym, to znów poważnym, znów żartobliwie, znów złośliwie, gniewnie, oskarżająco. Pytania obracały się głównie naokoło kontaktów z zagranicą. Mijała godzina za godziną. Zrobił się wieczór. Na dworze ciemno. Nic nie jadłem, nic nie piłem. A „inkwizytorzy", już dobrze podchmieleni, wciąż „piorą mój mózg", który jest już całkiem jałowy.

Nie mogłem zaprzeczyć kontaktów z Ameryką, bowiem Kościół Metodystyczny otrzymał pomoc stamtąd i Amerykanie odwiedzali zbory metodystyczne w Polsce i Ełk, a moja żona korespondowała ze swoim bratem, mieszkającym stale w Ameryce, który pomagał nam w formie paczek. To wszystko poniekąd potwierdzało podejrzenia, insynuacje władz polskich. W świetle rozumowania funkcjonariuszów kontrwywiadu siedziałem na krześle (nie ruszając się przez cały dzień) jako oskarżony, podejrzany o szpiegostwo. Byłem pewny, że domu oglądać nie będę. Po prostu pogodziłem się z rolą oskarżonego i w końcu nie reagowałem na pytania, nie odpowiadałem. Nie wiem, co się stało, nagle „szef" powiada: „No, na dziś dosyć. Jest pan wolny!"

Zmaltretowany, wycieńczony, „wyprany" do ostatniego nerwu, wyszedłem z „komory tortur" półprzytomny. Była godzina jedenasta w nocy. Na dworze ciemnica, żadnego światła. Nie wiem, w którym kierunku leży dworzec kolejowy. W oddali widzę małe światełko. Idę w kierunku światła. Okazało się, że to jest skromna restauracyjka, na szczęście jeszcze nie zamknięta. Poprosiłem o herbatę. Kanapki zwykle miałem ze sobą. Posiliwszy się trochę, upewniwszy się o drogę do dworca, popędziłem, aby jak najprędzej być w domu. Trzynaście godzin byłem psychicznie torturowany. W domu byłem rano, gdzie zastałem moją zatroskaną, zmartwioną, niewyspaną żonę.

Takimi metodami komunizm ujarzmiał, łamał niewinnych ludzi. To tylko ułamek moich bolesnych, przykrych przeżyć i wydarzeń na skutek nieprzerwanych wezwań na „rozmowy" w ciągu czternastoletniej mojej pracy pastorskiej w Ełku. Od samego początku byłem otoczony osobami, które musiały zdawać relacje o mnie w Urzędzie Bezpieczeństwa w Ełku. Nawet naszą gosposię, panią Bąk, wzywano i pytano ją, jakich gości mieliśmy, o czym rozmawiano. Pytano ją również, co gotuje na śniadanie, na obiad, na kolację.

Niepełnoletnią młodzież Bursy Mazurskiej zmuszano do wypowiadania się o mnie. Między innymi przychodzi do mnie Krystyna Prostka z Nowej Wsi, płacząc powiada, że chce popełnić samobójstwo. Pomyślałem: zawód miłosny. Pytam się: „Krysiu, dlaczego chcesz to zrobić?". Z płaczem mówi: „Ubowcy zmuszają mnie, abym źle mówiła o panu, a ja przecież tego nie mogę robić". Również innych z młodzieży mieli w swoich łapach, na przykład Liza Sobollewska, pracująca w parafii, była wzywana i inwigilowana o mnie. A jej starego ojca wyprowadzili w gruzy, pod groźbą lufy karabinowej wymuszali z niego wypowiedzi o mnie.

Nie zadawalano się donosami i wymuszonymi wypowiedziami inwigilowanych osób. Dokonywano wielokrotnych rewizji mieszkaniowych, szperając między dokumentami, szukając dolarów, których nigdy nie mieliśmy. Szukano, nie wiadomo czego. Nawet urzędnicy Urzędu Skarbowego przeprowadzali kontrole, szukając w szkatułkach kosztowności, których też nie mieliśmy. Innym razem przychodzi nieznany mi osobnik, przedstawiając się jako urzędnik Urzędu Skarbowego i zażądał, abym podał szczegółowe rozchody mojej pensji, tzn. na co wydaję moje pobory. Byłem zaskoczony jego żądaniem. Pytam go: „A czy pan też musi podawać, na co pan wydaje swoją pensję?". „No nie, ale panu pastorowi radzę, aby pan podał tak mniej więcej, bo jeżeli pan nie poda, to wiem, że będzie pan miał

przykrości i nieprzyjemności z ważnej strony". „Co za szykany!" – pomyślałem. Z drugiej strony znalazł się człowiek, który wykonując czyjeś polecenie, jednocześnie mnie ostrzegł przed złem. Posłuchałem „urzędnika" i zrobiliśmy rozdzielnik mojej pensji: na utrzymanie, na odzież i obuwie, wydatki szkolne, kulturalne itd. Widocznie „zleceniodawca" zadowolił się zestawieniem, bo nikt z „ważniejszych" się nie zjawił.

W komunizmie wszystkim się interesowali. Mało tego, wszystko notowali. Wyjątkowo nie pytali: ile razy idę siusiu i ile razy dziennie idę srać. Poza tym o wszystko pytali i wszystko notowali, to, co było prawdą, i to, co konfidenci musieli zeznać, choć to było kłamstwem.

W 1951 roku po zlikwidowaniu nam domu starców w Piętkach, powiat Ełk, Prezydium Powiatowej Rady Narodowej – Urząd Ziemski (na pewno na rozkaz „władz ważniejszych") zażądał ode mnie osobiście zapłaty 75 tysięcy złotych za użytkowanie gospodarstwa rolnego przez dom starców w Piętkach, mimo iż akt nadania opiewał na Kościół Metodystyczny, a ze względu na cel społeczny domu starców, Kościół wyżej wymienionym aktem był wolny od czynszu i wszelkich opłat i podatku. Nic nie ważyło pokazanie i powoływanie się na akt nadania. Nic nie pomogły tłumaczenia, nikogo nie wzruszały moje łzy w oczach. Komisarz ziemski, dobrze mi znajomy, który chętnie przyjmował paczki „Care", powiedział mi: „Musiałem to zrobić". Prosiłem, aby nakaz zapłaty wysłano wprost do centrali Kościoła Metodystycznego w Warszawie. To nikogo nie obchodziło. „Pan prowadził dom starców, pan płaci" – powiadali. Solidnie musiałem się napocić, aby żądaną sumę otrzymać z centrali Kościoła, boć przecież to nie był mój osobisty biznes. Mało tego, po zapłaceniu żądanej sumy Urząd Skarbowy zażądał za wszystkie lata zapłacenia podatku. W Urzędzie Skarbowym nie mogłem wstrzymać moich łez. Zapłakałem jak dziecko.

W 1951 roku funkcjonariusze „ważniejszej władzy" zmusiły mnie do protokolarnego zrzeczenia się kaplicy i jednego mieszkania na rzecz Rady Miejskiej, która oddała wymuszony obiekt Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu.

W 1955 roku syn nasz Robert nie zostaje przyjęty na studia Uniwersytetu Warszawskiego, mimo iż zdał egzaminy powyżej dobrze. Nie wolno mu było studiować, bo był synem pastora Małłka. Nie pomogła moja interwencja osobista u rektora. Wcisnęliśmy Roberta przez znajomość do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi, używając podstępu: mąż Haliny Krüger (córki naszych dobrych znajomych z Suwałk, której ojca „wykupiliśmy" z więzienia za nasze 10 tys. zł), będąc Rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi, nie będąc wtajemniczony w nasz podstęp, przyjął Roberta jako „półsierotę" nieposiadającego ojca. W ten sposób dostał się Robert na studia. Po dwóch latach przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, gdzie skończył studia jako mgr geograf-geolog.

W 1956 roku funkcjonariusze niewiadomego mi urzędu zmusili mnie do zawieszenia skargi o zwrot bezprawnie zabranej kaplicy, wymuszonej w 1951 roku. We wrześniu 1956 roku Urząd do Spraw Wyznań w Warszawie nie zatwierdził mnie z pastorem Napierskim, aczkolwiek byliśmy przez Konferencję wybrani na najwyższe stanowiska w Kościele Metodystycznym.

W maju 1959 roku Władze PRL różnych szczebli uplanowały „złamać" mnie psychicznie i materialnie do reszty. Urząd do Spraw Wyznań nakazuje superintendentowi Józefowi Szczepkowskiemu zwolnienie mnie z pracy, co też zostało dokonane pismem Kościoła Metodystycznego w Warszawie dnia 20 maja 1959 roku, skreślając mnie z listy płac z dniem 31 maja tegoż roku. Jeden dzień po piśmie Kościoła Metodystycznego Minister-

stwo Spraw Wewnętrznych wydało decyzję, mocą której odmówiono mi wyjazdu do RFN, a odmowę na piśmie otrzymałem po znamiennej rozmowie w Wojewódzkim Biurze Paszportów w Koszalinie dnia 29 maja 1959 roku. Sądziłem, iż „inkwizytorzy" komunistyczni dokonali swego, osiągając swój cel i zapomną o mnie. Pomyliłem się bardzo.

Okazało się, że właściwym ich celem było zdobycie mnie do „współpracy", o czym dotąd mi nic nie mówiono. A to, co robiono ze mną dotąd, to było „naciągnięcie strun instrumentu", na którym rozpoczną grać. Teraz, gdy jestem położony na obie łopatki, bez pracy, bez zarobku, bez środków do życiu, nadarza się najlepsza okazja do „gry".

Pod koniec 1959 roku dzwoni telefon. Mówi ktoś i pyta, czy mógłby mnie odwiedzić. Chociaż z góry wiedziałem, „skąd wiatr wieje", wolałbym nie widzieć intruza, ale grzeczność nakazywała powiedzieć: „Proszę bardzo". Zjawił się „gość", dość wysokiego wzrostu, ubrany typowo, jak inni tajniacy. Przedstawił się jako „Jurkiewicz". Miał charakterystyczną górną wargę, grubą, wywiniętą na zewnątrz tak, jak u wielu Murzynów (pastor W. Benedyktowicz w Warszawie miał podobną wargę albo pan Verheugen, poseł Bundestagu – SPD). Tego „typa" poznałbym jeszcze dzisiaj, po 30 latach. „Przyszedłem do pana porozmawiać z panem, bo wiem, że spotkała pana przykra krzywda. Chcielibyśmy panu pomóc, o ile zechciałby pan z nami rozmawiać" – tak zagaił swoją wizytę. „Przecież tyle razy, aż do znudzenia rozmawiałem, chcąc czy nie chcąc, a zawsze byliście niezadowoleni. Wątpię, aby jakiekolwiek wasze rozmowy ze mną, was zadowoliły". „A jednak spróbujemy" – powiedział na zakończenie, dodając: „Dam się słyszeć. Do widzenia". Poszedł. Wolałbym cię więcej nie widzieć, pomyślałem. Po odejściu „tajniaka" żona zapytała: „Czego on chciał". „Chcą, abym rozmawiał z nimi" – wyjaśniłem żonie. Żona, szczególnie borykająca się z naszą biedą, nie wiadomo, co włożyć do garnka, w rozmowie powiada: „Edward, spróbuj z nimi rozmawiać, przecież cię nie zjedzą". Ot, właśnie to jest najgorsze: „nie zjedzą". Wprawdzie kanibalami nie są, ale bawią się z człowiekiem jak kot z myszą. Kot tak długo „bawi się", aż mysz ze zmęczenia pada i zdycha. Na tej zasadzie działają rosyjskie łagry i hitlerowskie Konzentrationslagry[282]. „Mimo wszystko, spróbuj rozmawiać" – powtarza żona. Przez kilka dni wojuję w duszy mojej: „Rozmawiać – nie rozmawiać?". „Tonący chwyta się brzytwy" – mówi przysłowie.

Wtem któregoś dnia o godzinie dziewiątej rano telefon: „Tu mówi Jurkiewicz, jestem na ulicy Czerwonej Armii przy sklepie żywnościowym naprzeciw pomnika Michała Kajki. Chciałbym bardzo porozmawiać z panem. Niech pan przyjdzie. Czekam". Nie pamiętam, czy zdążyłem mu dać odpowiedź. Mając za sobą zachętę żony, poszedłem na spotkanie. Po przywitaniu, Jurkiewicz prowadzi mnie do hotelu. Wchodzimy do „Turystycznej". Wchodzimy na pierwsze piętro, pokój nr 1 po lewej stronie, nad wejściem do „Turystycznej" (hotel – restauracja). Pokój bez łóżka, stół, dwa krzesła i nic więcej. Widocznie pokój specjalnie zarezerwowany na tego rodzaju spotkania.

„Jurkiewicz" każe mi zająć miejsce przy stole. On staje przede mną i powiada: „Panie Małłek, chcemy panu pomóc. Powiem panu, co chcemy panu dać: najlepszą parafię w Kościele, oczywiście i stanowisko tamże, stanowisko urzędnika z tytułu nauczyciela religii z odpowiednim wynagrodzeniem, zwolnienie z opłat paczek zagranicznych, dowolne korespondowanie z zagranicą – chcielibyśmy, aby pan jak najwięcej korespondował i w końcu, po pewnym czasie wyjazd całej rodziny za granicę. To wszystko, a nawet coś więcej, dostanie pan pod warunkiem, że zgodzi się pan z nami współpracować. Co pan powie na to?".

[282] Obozy koncentracyjne.

Słuchałem tych słów, a w wyobraźni mojej widziałem górę na pustyni Palestyńskiej, a na niej Jezusa i Szatana, mówiącego do Jezusa: „To wszystko będzie twoje, jeżeli upadniesz i pokłonisz mi się". Czyż nie trafne podobieństwo scen? Słowa „Co pan na to?" sprowadziły mnie na „padół ziemski".

Mózgownica moja zaczyna pracować. Wymiguję się, gimnastykuję się jak tylko mogę. Uzasadniam, że ja się do takiej pracy nie nadaję, bo jestem człowiekiem wierzącym. Na to „Jurkiewicz" uspakaja mnie, że nic takiego nie będą ode mnie żądali, co podważałoby moją wiarę. Jeszcze nie daję za wygraną, jeszcze toczę bój, który trwa już kilka godzin. Widzę, że mój upór denerwuje go, wyprowadza go z równowagi. Za dużo mi powiedział, aby mógł zejść z pobojowiska pokonany. Widząc mój upór, zdenerwował się i gniewnie powiada: „Radzę panu zastanowić się dobrze i zgodzić się na to, co panu proponujemy, w przeciwnym razie nie wyjdzie pan stąd wolny. Zostawiam pana samego, pójdę do miasta, a pan niech się zastanowi i się zdecyduje".

Wyszedł, drzwi zamknął na klucz. Przez to stałem się już więźniem, pozbawiony wolności. Zacząłem się modlić. Miałem dużo czasu, bo długo nie wracał. Już Panu Bogu polecałem duszę moją. Nachodziły mnie złe myśli popełnienia samobójstwa (dzieło szatana), bo wiedziałem, co to jest wpaść w paszczę wywiadu. Miałem okazję chodzić po pokoju. Podchodzę do okna: „Gdyby tak wyskoczyć z okna i się zabić?". Trzeźwymi oczyma patrzę, że pod oknem, nad wejściem do „Turystycznej" jest daszek, chroniący przed deszczem. Wyskakując, mógłbym się tylko pokaleczyć. A więc szatańskie podszepty popełnienia samobójstwa odpadły. Wiara w Boga zwyciężyła, bowiem Bóg dał życie człowiekowi i tylko Bóg wyznacza kreskę „finiszu". Niech się dzieje święta wola Pana Boga.

Spokojnie czekam na „Jurkiewicza", który co najmniej dwie godziny biesiadował lub zastanawiał się z „kimś drugim", bojąc się swego „Lucyfera", by nie wrócić do niego bez trofei. Chrzęst kluczy, drzwi „więzienne" się otwierają, wchodzi „inkwizytor" Jurkiewicz. „No i co, panie Małłek, zdecydował się pan?" „Tak, bo w tych warunkach, które pan stworzył, nie mam innego wyjścia" – odpowiedziałem. Ale „Jurkiewicz" jakby nie słyszał mojej odpowiedzi, powiada: „Tak się należy. Wobec tego pozostaje nam tylko napisać zobowiązanie". Podaje mi ćwiartkę arkusza papieru, długopis i „Pan będzie pisał, a ja będę panu dyktował: Zobowiązanie – jako nagłówek, dalej: Ja, niżej podpisany Edward Małłek zgadzam się na współpracę z KW. Dla porozumienia się używać będę pseudonimu »Klein«. Ełk, dnia... podpis". – Dokładnej daty nie pamiętam, ale przypuszczalnie było to w listopadzie 1959 roku, była zima, leżał śnieg.

Wstajemy od stołu. „Jurkiewicz" składa na wpół kartkę-„zobowiązanie" i chowa do portfela. Jednocześnie z bocznej kieszeni wyjmuje zwykłą kopertę (dość grubo wypełnioną), podchodzi do mnie, wręczając mi ją, powiada: „A to na początek, na pewno panu się przyda. Taką kopertę otrzymywać pan będzie zawsze". Wziąłem kopertę do ręki i trzymam ją przed sobą. (Dziś nie mogę sobie darować, że nie przeliczyłem banknotów.) Zwracam się do „Jurkiewicza" z pytaniem: „Co mam z tym fantem zrobić?". „No, przecież panu na pewno są potrzebne". „O tak, nawet bardzo potrzebne, ale mimo to, pieniędzy tych przyjąć nie mogę". „Dlaczego nie, przecież ja panu je daję?". Na to ja do niego: „Proszę wstawić się w moje położenie: jestem bez pracy, nie mam żadnych zarobków, naraz przychodzę do domu, daję żonie kopertę z kupą pieniędzy. Żona ze zdziwieniem spojrzy na mnie i powie: Co, zabiłeś kogoś i obrabowałeś? Albo może włamałeś się do banku?". „Niech mi pan powie, co mam na to żonie powiedzieć? Przecież od razu wyjdzie »szydło z worka« i to, co

miało być według pańskiego życzenia ściśle tajne, będzie całkowicie jawne. Nie, proszę pana, ja tych pieniędzy nie przyjmę i żadnych innych. Zresztą muszę podkreślić, że nie jestem ani do sprzedania, ani do kupna za pieniądze". „Ma pan rzeczywiście rację" – powiedział „Jurkiewicz", chowając kopertę do kieszeni. Czy zwrócił ją, skąd ją otrzymał, czy przywłaszczył, to już sprawa jego sumienia.

W każdym razie rozchodziliśmy się w jakże odmiennych nastrojach: „Jur-kiewicz" zadowolony, że zdobył „współpracownika" (nawet bez pieniędzy), ja do głębi duszy zraniony, jak zestrzelony ptak, o tyle szczęśliwy, że nie przyjąłem „judaszowskich groszy" i, co było w tej chwili najważniejsze: jestem „wolny", mogę iść do domu. Na pożegnanie „inkwizytor" powiedział: „O następnym spotkaniu dam panu znać".

Tak wyglądał mój „angaż" do kontrwywiadu – KW.

A jak wyglądała moja „współpraca" na rzecz KW, to posłuchajcie. Spotkania toczyły się w dość szybkim tempie, aczkolwiek nie było ich wiele, zaledwie kilka. Na spotkania wzywał mnie Jurkiewicz telefonicznie. Na pierwszym spotkaniu dostałem następujące zadanie: „Proszę sporządzić wykaz osób, z którymi koresponduję za granicą". Jakież „niewinne" zadanie, prawda. Zrobiłem wykaz, wiedząc przecież, że adresy są im z poczty dawno znane, gdyż i tam mają „współpracowników". W każdym razie złożone „zobowiązanie" zatruwało mi życie każdego dnia. Chodziłem jak struty. Myślałem, jakby się z tego wyplątać. Powiedziałem sobie, że będę w tym „kieracie" chodził tak długo, dopóki nie przekażą mi pewnych ważniejszych tajnych informacji, bo wtedy naprawdę nie będzie wyjścia. Na drugim spotkaniu oddałem wykaz moich korespondentów i dostałem następne zadanie. „Jurkiewicz" powiada: „W Olecku mieszka pewien Mazur nazwiskiem Chlupka. Niech pan pojedzie do niego i proszę przeprowadzić z nim rozmowę i wysondować, jaki jest jego stosunek do państwa polskiego". To było już zadanie czysto „szpiclowskie".

Chlupkę dobrze znałem z czasów, gdy byłem jeszcze pastorem, dojeżdżając do Olecka na nabożeństwa. Oczywiście, pogadałem z Chlupką po dawnemu, tak jak ja chciałem, wiedząc, że i Chlupkę będą pytali, czego ja u niego szukałem. Chodziło mi o to, aby nasze relacje się pokrywały. Na szczęście nie potrzebowałem dawać rozmowy z Chlupką na piśmie, tylko przekazałem „Jurkiewiczowi" ustnie. Chlupkę przedstawiłem jako człowieka bardzo wierzącego, zajmującego się ewangelikami, opiekującego się nimi i odprawiającego nabożeństwa. Do władz polskich ustosunkowany lojalnie, obojętny w sprawach politycznych. Nabożeństwa w Olecku prowadzi na podstawie zezwolenia, uzyskanego jeszcze przez komendanta sowieckiego.

Na drugim spotkaniu miałem tylko „niewinną" rozmowę na temat Chlupki. Nowego zadania nie dostałem. „Jurkiewicz" zapowiedział mi tylko, że następnym razem zapozna mnie z jego szefem, pułkownikiem. Przestraszyłem się szybkim tempem, ktoś nazwałby to błyskawicznym „awansem". Za kilka dni jest telefon: „Panie »Klein«, jestem na poczcie jako nieznajomy, proszę iść za mną". Poszedłem na pocztę. „Nieznajomy Jurkiewicz" stoi na rogu poczty przy ulicy Czerwonej Armii. Jak „spotkały się nasze oczy", poszedł w kierunku dworca, ja w pewnej odległości za nim. Wchodzi do „Turystycznej", ja za nim. Wchodzimy na pierwsze piętro. Wprowadza mnie nie pod jedynkę, a do pierwszego pokoju po prawej stronie tuż przy recepcji.

„Jurkiewicz" przedstawia mnie Pułkownikowi. Widzę przed sobą poważnego, o godnej postawie, starszego, o siwych włosach, średniego wzrostu, nieco grubawego pana, o dobrotliwym wyglądzie twarzy. Pułkownik nie pytał o nic, nie zadawał żadnych pytań.

Mówił tylko, że „wróg nie śpi" i naszym zadaniem jest znać nastroje ludzi i do tego potrzebujemy współpracowników. „Dlatego witam pana w naszych szeregach". Taka była treść „wizyty" u pułkownika, która była krótka i treściwa. Pułkownik jako człowiek zrobił na mnie dobre wrażenie, ale nienawidzę roboty, którą reprezentuję, a do której gwałtem zostałem wciągnięty. Dlatego wciąż myślałem, jak wyplątać się z sidła. Z „Turystycznej" wyszedłem sam, niezauważony przez nikogo, bo i recepcja była „opróżniona". Byłem szczęśliwy, że nie dostałem nowego zadania.

Czwarte spotkanie z „Jurkiewiczem" było bardzo krótkie. Powiedział mi tylko te słowa: „Następnym razem zaprowadzę pana do naszego ośrodka" i nic więcej. Gdy usłyszałem słowo „ośrodek szkoleniowy", mieszczący się w jednym z budynków koszarowych (wiem w którym) przy ulicy Kościuszki. Fama głosiła, że kto tam się znajdzie, zostaje „ich" na zawsze. (Jeden z pastorów chodził tam – nazwisko mi znane.) Teraz dopiero zacząłem się poważnie zastanawiać nad moją sytuacją. Zrozumiałem, że mają zamiar mnie przeszkolić, a nie wiem, na co i w jakim celu i jak długo potrwa znów „pranie mózgu" czy też edukacja szpiegowska. „Skoro ten próg »ośrodka« przekroczysz, jesteś zgubiony!" – słyszę głos wewnętrzny. Modlitwą uzbrojony z pomocą Bożą postanowiłem nie pójść na spotkanie.

Jest telefon: „Czekam na pana" – zwykle było spotkanie przy którymś oknie wystawowym naprzeciw pomnika Kayki. Odpowiadam: „Źle się czuję, nie przyjdę ani dziś, ani nigdy więcej". „Panie Małłek (czy pan Klein – nie pamiętam), co się stało?". „Nic się nie stało, ale ja nie przyjdę". „Dlaczego nie?". „Nie przyjdę. Jeżeli ma pan ochotę ze mną porozmawiać, nasze drzwi są otwarte, ale ja nie przyjdę, to są moje ostatnie słowa". Jakże „Jurkiewicz" molestował, prosił, abym przyszedł, a ja wciąż powtarzałem „nie przyjdę". Wreszcie ktoś z nas położył słuchawkę, z pewnością „Jurkiewicz". Po chwili zadzwonił jeszcze raz, prosił, abym przyszedł. Odpowiedziałem: jeżeli ma ochotę porozmawiać, może do mnie przyjść.

„Jurkiewicz" nie miał innego wyjścia, musiał przyjść do mnie. W moim mieszkaniu nie może mnie zamknąć, jak to zrobił w „Turystycznej". Może mnie najwyżej aresztować. Niech się dzieje wola Pana Boga. Pyta mnie, dlaczego zmieniłem zdanie. Dlaczego zawiodłem go. Wytłumaczyłem mu, że zgoda moja na „współpracę z KW" została przez niego wymuszona groźbą i zamknięciem na klucz. Podkreślałem wtedy i obecnie oświadczam, że „współpraca" z wami jest niezgodna z moimi zasadami wiary i sumienia. „Jeżeli zawiniłem w czymkolwiek przeciwko państwu, możecie mnie aresztować i robić ze mną, co chcecie, ale na żadne spotkania więcej się nie zjawię". „Jurkiewicz" starał się wszelkimi sposobami, skłonić mnie do „powrotu". W końcu musiałem mu powiedzieć: „Chyba nie byłoby wam na rękę z powodu współpracy z wami mieć mnie samobójcę, a cała moja rodzina wiedziałaby, kto był ku temu przyczyną". „Na rozmowy na dowolne tematy u mnie w domu jestem do dyspozycji. To jest ostatnie moje słowo".

„No, szkoda" – powiedział. Widziałem, jak „Jurkiewicz" z trudem hamował w sobie zdenerwowanie i złość. Tak rozstałem się z „Jurkiewiczem" i kontrwywiadem. Było to w styczniu – lutym 1960 roku. Z Bożą pomocą strząchnąłem z siebie dręczącą zmorę. Poczułem, jakby mi z serca kamień spadł.

A co stało się z obietnicami, które zapowiadał „Jurkiewicz?". „Obiecanki – cacanki, głupiemu radość" – mówi przysłowie. Obiecanki, perspektywy dobrobytu pękły jak mydlane baloniki. Mimo to, byłem zadowolony i szczęśliwy, że zachowałem czyste sumienie.

Odtąd nie miałem żadnych wezwań na „spotkania". Wkrótce też znikła moja dwunastoletnia egzema bezpowrotnie.

Ciekawe, że wszelkie kontakty z KW nigdy nie odbywały się w biurach urzędów państwowych. Zawsze były to mieszkania prywatne, hotele, ulica. Wezwania Milicji Obywatelskiej lub Urzędu Bezpieczeństwa załatwiane były w ich urzędowych biurach. Po tym można było poznać, z kim ma się do czynienia. Po szczęśliwym „rozwodzie" z KW trzeba było się nastawić na to, że będziemy się borykali z dużymi trudnościami, nie mając pracy, ani zarobku. Dla ratowania egzystencji, by mieć miejsce na postawienie pasieki, zwróciłem się do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej o przydzielenie nam działki poniemieckiej obok Bilińskiego Gottlieba w Szybie. Odmówiono nam i prędko przydzielono komuś innemu, abyśmy nie mieli prawa do odwołania.

Tego samego roku (1960-tego) wyjeżdżała do Niemiec na pobyt stały staruszka Maria Grusdat z dorosłą córką Martą, która była właścicielką chałupinki, chlewika, stodółki i paru hektarów ziemi w Nowej Wsi koło Ełku. Pani Grusdat, u której odprawiałem nabożeństwa, bardzo mnie ceniła i szanowała jako pastora i ubolewała bardzo, że tak strasznie nas skrzywdzili, zwalniając mnie z pastorostwa i nie dając żadnej pracy i cierpimy nędzę. Czytając jej zezwolenie na wyjazd, stwierdziłem, że „własność swoją może sprzedać lub darować". Poinformowałem się u notariusza Andrzejewskiego, jaki akt jest tańszy, korzystniejszy, akt sprzedaży czy darowizny. Powiedział, że akt darowizny jest tańszy co do opłat.

Mając tę informację, zaproponowałem pani Grusdat, aby przekazała nam swoją własność, gdzie będziemy się mogli dalej modlić, śpiewać i czytać Pismo Święte, a nasze pszczółki, jedyne źródło naszego utrzymania, postawimy na polu. Pani Grusdat z córką, litując się nad nami, chętnie zgodziły się zostawić nam ich krwawicę życiową. Udaliśmy się do notariusza Andrzejewskiego, który sporządził akt darowizny, mocą którego Maria Grusdat jako właścicielka daruje, a Edward Małłek z żoną Jadwigą przyjmują nieruchomość, położoną w Nowej Wsi, składającą się z zabudowań i gruntu ziemi wartości 10 tysięcy złotych. Akt prawidłowo sporządzony przez długoletniego notariusza i wytrawnego prawnika. Maria Grusdat z córką wzięły swój egzemplarz aktu darowizny i udały się do Powiatowej Komendy Milicji Obywatelskiej po odbiór paszportów. Tam spotkała ich niespodzianka.

Funkcjonariusz, przeczytawszy akt, powiedział: „Akt jest nieważny. Małłek nie może dostać waszego gospodarstwa. Idźcie z powrotem do notariusza i unieważnijcie akt, inaczej nie dostaniecie paszportów. Własność musicie przekazać na Skarb Państwa". Sturbowane niewiasty przyszły do mnie. Razem udaliśmy się do notariatu. Notariusz Andrzejewski zrobił „wielkie oczy", ale wiedział, że przeciw wiatrowi trudno dmuchać. Sporządził nowy akt, unieważniający poprzedni i jeszcze trzeci akt darowizny na Skarb Państwa.

Pracownicy Polski „Solidarnościowej" powiedzcie: „Czy pierwszy akt darowizny ma ważność, czy nadal w Polsce panuje bezprawie?". Praktyki Polski komunistycznej miały w sobie tragikomedię ludzką.

Szykany władz Polski Ludowej doprowadziły mnie do ostateczności. W maju 1960 roku wystosowałem do władz partyjnych w Ełku pismo w formie „ultimatum", żądając pracy, o czym już szczegółowo pisałem. Po otrzymaniu pracy w Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" bynajmniej nie ustały szykany. Otoczono mnie falangą szpiclów spośród robotników Spółdzielni. Wielu z nich, jak Iwański, Orzechowski, Kosior, Tański i inni przyznali się, że byli pytani o mnie. Zabrano naszym dzieciom mieszkanie na drugim piętrze. Nasze

mieszkanie parafialne przejął Zarząd Miasta, chyba tylko po to, aby uderzyć w naszą i tak już pustą kieszeń w formie czynszu.

W 1968 roku Zarząd Miasta zabrał nam jeden pokój-sypialnię, pozostawiając pięcioosobowej rodzinie półtora pokoju (23 i 9 metrów kwadratowych). Bez decyzji na piśmie odebrany pokój, oddzielony od naszego mieszkania tylko zwykłymi drzwiami, przekazano Milicji Obywatelskiej. Analfabeta domyśliłby się, w jakim celu zakwaterowano Milicję, czy też funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa albo KW za naszymi drzwiami. Nocami słyszeliśmy też za drzwiami głosy „milicjantek".

Na początek 1970 roku zakwaterowano w odebranym pokoju młodego funkcjonariusza, przypuszczalnie Urzędu Bezpieczeństwa, z żoną i półrocznym niemowlęciem. Do pokoju, w którym nie było ogrzewania, wody, nie było zlewu, nie było wanny, nie było ubikacji. Oczywiście, o zakwaterowaniu tym dowiedzieliśmy się, widząc trojga ludzi z tobołami niesionymi przez dwóch milicjantów. Drzwi do naszego przedpokoju były otwarte. Z żoną słyszymy ludzkie głosy, wychodzimy z pokoju do przedpokoju. Przybysze pozdrawiają nas przez „Dzień dobry". Milicjant otwiera drzwi do odebranego pokoju. „Przesiedleniec" w cywilu powiada: „My będziemy tutaj na razie mieszkać". „Jak to, tutaj mieszkać w jednym pokoju? Przecież tam nie ma ogrzewania, wody, nie ma nic" – powiadamy do lokatorów, nie wiedząc, kim oni są. Nieznany jeszcze pan z nazwiska powiada: „Niestety, musimy się tutaj zatrzymać, aż się znajdzie mieszkanie". Skoro tak, to prosimy wejść do nas. Niech pani prędko wejdzie z dzieckiem, żeby się nie przeziębiło – mówi moja żona. „Pani" była niezmiernie ucieszona i zadowolona naszą gościnnością. Domyślaliśmy się, że jest milicjantem. Powiedziałem „sąsiadom", że mogą swobodnie korzystać z naszej kuchni, łazienki z toaletą. A dla dorosłych osób dodatkowa ubikacja jest na parterze. Wreszcie powiedzieli nam swoje nazwisko. Byli szczęśliwi, że znaleźli do nas drzwi otwarte, które zresztą nigdy nie były zamykane. Tak mieszkaliśmy razem w jednym mieszkaniu – dwie rodziny: my, rodzina „podejrzana", i rodzina funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa.

Czyż w takich warunkach można jeszcze mowić, że w Polsce Ludowej byliśmy „wolni", mieliśmy swobodne, niezależne mieszkanie? Chyba łatwo się domyślać, w jakim celu zakwaterowano rodzinę funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa za naszymi drzwiami, po prostu w naszym mieszkaniu. Niezależnie od domysłów, muszę z radością powiedzieć, że ten „mezalians" wyszedł nam na korzyść. „Sublokatorzy" mogli nas poznać z bliska. Szczególnie wieczorami spędzaliśmy dużo godzin na rozmowach. Z naszej strony mówiliśmy szczerze, nie ukrywając niczego, mówiliśmy o naszych trudnościach i kłopotach. Żylimy po prostu przyjaźnie, popijając często kawkę. Po paru miesiącach, „sublokator", słysząc o naszych trudnościach, zdradził, że jest zastępcą komendanta Biura Paszportów.

Można sobie wyobrazić naszą cichą reakcję na jego słowa: „A może nam pomoże wyjechać?". Pewnego wieczoru powiada: „To ja się zainteresuję waszą sprawą wyjazdową". Przy tej okazji zapoznał się z czterema tomami *Wspomnień* mego brata Karola, w których jest i o nas mowa. Po zapoznaniu się z naszymi aktami, wieczorkiem przy kawce powiada: „Proszę państwa, zajrzałem do waszych akt. Jedno mogę tylko powiedzieć, że jest tego kupa". Po kilku dniach poinformował moją żonę (bo tylko ona składała podanie o wyjazd do USA do brata i dostała z województwa odmowę), czym i jak ma uzasadniać odwołanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Napisaliśmy podanie, załączając cztery tomy *Wspomnień* Karola Małłka i wysłaliśmy jako paczkę do Warszawy. „Sublokator" obiecał, że postara się, aby z Biura Paszportów w Ełku wyszła opinia dobra, pozytywna. A do tego wyko-

rzysta istniejącą okoliczność, że komendant jest na urlopie, więc opinię wyda i podpisze jego zastępca, który na dniach odchodzi na emeryturę, a na jego miejsce wejdzie „sublokator".

Upłynął jakiś czas niecierpliwego wyczekiwania. Po kilkunastu dniach otrzymaliśmy zwrot załączników, które były przy naszym podaniu, ale bez pisma w sprawie wyjazdu. Mimo wszystko, „sublokator" zapewnia moją żonę, że wyjazd do brata na gościnę do USA dostanie na pewno. Wszystko, co powiedziałem o metodach stosowanych przez urzędy, władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej znajduje potwierdzenie w wypowiedziach byłego ministra spraw wewnętrznych, Franciszka Szlachcica, szefa Urzędu Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej, Wywiadu, Kontrwywiadu, według książki pt. *Przesłuchanie supergliny*, której autorem jest Jerzy Sławomir Mac*. A oto wiązanka wypowiedzi-odpowiedzi Szlachcica na pytania autora („spowiednika" – moje określenie):

1) Przy zdobywaniu informatorów-współpracowników-konfidentów: szantaż istniał – s. 35.
2) Założyliśmy pełną kartotekę wszystkich księży – s. 27.
3) „Notowano dosłownie wszystko" – s. 26.
4) Podsłuch pokojowy: jest kosztowniejszy – s. 47 – (w moim przypadku nie kosztował nic).
5) Zwolnienie z pracy: Tak, resort miał taką możliwość – s. 40.
6) Przyczyniłem się do krzywdy wielu ludzi, którym złamałem życiorysy – s. 124.

A oto kilka ogólnych wypowiedzi Szlachcica:

1) W latach 1945–48 jedynie kilka osób przyjętych do bezpieczeństwa miało maturę – s. 61.
2) W pierwszym okresie przyjmowano do służby w aparacie bezpieczeństwa wielu analfabetów. Ponieważ śledczy był niegramotny, kazał drugiemu aresztantowi pisać protokół – s. 62.
3) Kadry bezpieczeństwa opierały się w dużej mierze na strukturze rodzinnej... ojciec, matka, brat, żona – s. 63.
4) Ci, którzy bili, robili to głównie z własnej inicjatywy – oficjalnie „góra" zabraniała bić – s. 15.
5) Mnie osobiście przerażało – ile w Polakach tkwi zawiści i chęci bezinteresownego szkodzenia drugiemu – s. 35.
6) W mojej karierze pisałem 11 razy życiorys, który był porównywany.
7) Ten system dalej nie mógł istnieć – s. 121.
8) Uważam za swój wielki błąd życiowy. Nie powinienem tam pracować – s. 123.

No, cóż można do tego dodać? Chyba to, że nie byłby pan Szlachcic ministrem spraw wewnętrznych, byłby ktoś inny. Taki bowiem był system, który „masowo produkował wrogów" – powiada p. Szlachcic – s. 14.

* J. S. Mac, *Przesłuchanie supergliny*, Warszawa 1990 – Red.

174
Wyjazd żony do Ameryki

I rzeczywiście, coś w końcu listopada 1970 roku żona dostaje zezwolenie na czasowy wyjazd do Ameryki. Prędko po paszport, szybko po wizę, zamówić bilet. Skorzystała z biletu na statek „Stefan Batory", który raz do roku na Boże Narodzenie płynął do New Yorku.

Bernard, brat żony z Ameryki, pożyczył nam 450 dolarów na opłacenie biletu. Termin odpłynięcia „Batorego" ustalono na 20 grudnia 1970 roku. Po czternastu latach starania dostała żona zezwolenie na wyjazd. Dostała może i dlatego, że zastrzeżenie mego brata Karola, „żeby nikogo z Małłków nie wypuszczać", straciło ważność, gdyż brat zmarł 28 sierpnia 1969 roku.

Cieszymy się wszyscy w rodzinie, że wreszcie w naszych sprawach zrobił się wyłom. Jakież przerażenie było nasze, gdyśmy usłyszeli w radiu o powstaniu w Gdańsku, Gdyni, Poznaniu, Szczecinie, które wybuchło w grudniu 1970 roku. Osławionego „Wiesława" – Władysława Gomułkę przepędzono ze stanowiska pierwszego Sekretarza Partii. Na ulicach miast czołgi, armaty, wojsko pod bronią, robotnicy strajkują.

Co będzie z wyjazdem? Czy „Batory" w ogóle wypłynie? Krążą różne słuchy. Nasi synowie, Jurek i Andrzej, są na studiach w Gdańsku. Nie wiemy, co dzieje się z nimi. Ja z żoną nie zważamy na pogłoski, jedziemy do moich sióstr w Olsztynie, aby być blisko Gdyni, gdyż z Gdyni ma wypłynąć „Batory". Do Olsztyna przyjeżdża syn Jurek z Gdańska i powiada, aby nie jechać do Gdańska, bo jest „wojna", a na ulicach miasta straszny smród po gazach łzawiących. Mówi też, że pociągi idą tylko do Tczewa. Jedziemy do Tczewa, będziemy blisko Gdyni – powiadam do żony. W pociągu dowiadujemy się od konduktora, że pociąg dojedzie do Gdańska. „Fajno jest!".

Wysiadamy w Gdańsku. Smród niesamowity, gaz szczypie w oczy, na ulicach wszędzie czołgi, armaty. Na szczęście są taksówki. Podchodzimy do taksiarza: „Chcemy jechać do Gdyni" – „Co pan, niemądry? przecież tam jeszcze wojna" – powiada. „To niech pan zawiezie nas do Oliwy, Osiedle Młodych, ulica Michałowskiego nr 43". „Dobra, mogę jechać". Dostaliśmy się do naszej córki Jadwigi i zięcia. Stamtąd już tylko krok do Gdyni.

Dnia 20 grudnia dostaliśmy się do Gdyni. Dowiedzieliśmy się, że statek „Stefan Batory" wrócił z rejsu, ale stoi na morzu, bo nie wpuszczają go do portu. Ale pogłoski chodzą, że „Batory" popłynie do New Yorku, z czego się bardzo cieszymy. Dnia 21 grudnia wpuszczono „Batorego", ale nie do portu w Gdyni, lecz część pasażerów wysadzono w Sopocie. Dnia 22 grudnia „Batory" znajdował się w Gdyni, z którego wyszła reszta pasażerów. Obsługa uwija się, zaopatrując statek w prowiant i wszystko inne co potrzeba. O ile się nie mylę, około południa 22 grudnia zaczęto wpuszczać pasażerów udających się do New Yorku. Wszyscy szczęśliwi.

Mamuśka nasza, moja żona, bidulka, mizernie ubrana w „ciuchu" jesioneczce, pożal się Boże. Podchodzimy do kontroli celnej. Celnik grzebie w walizce: „A to co?". „Malutki moździeż". „Nie wolno. Odbieram". „Ma pani walutę?". „10 dolarów". „Zezwolenie jest?". „Nie zdążyłam się postarać". „Wobec tego nie wolno, oddać". I tak po prostu goła, jak „mysz kościelna", bez centa, pożegnawszy się uprzednio z wszystkimi odprowadzającymi ją, weszła żona na statek „Stefan Batory", który pod wieczór odbił od mola. Kiwaniem chu-

steczkami pożegnaliśmy naszą kochaną, dzielną „Mamuśkę”. W specyficznych warunkach, gdy w kraju panowały strajki, statek „Stefan Batory” ruszył w rejs.

Według planu, 31 grudnia, czyli w Sylwestra, miał być w New Yorku. W domach śledzimy każdy „Dziennik”, każdą „Kronikę”, „Panoramę” telewizyjną. Dowiadujemy się, że Amerykanie nie wpuszczają „Batorego” do portu nowojorskiego. Obsługa portu solidaryzuje się ze strajkującymi robotnikami polskimi, odmawiając wyładunku bagażu i obsługi pasażerów. I oto 4 stycznia 1971 roku, oglądając „Kronikę” czy „Panoramę” telewizyjną, widzę na „Batorym” żonę, nogą popychającą swoją walizkę. Ucieszyłem się bardzo. Był to dowód, że żona zdrowo dopłynęła do Nowego Yorku. Spełniło się nasze marzenie: już jedna osoba z rodziny jest w Ameryce.

Z listu żony z Ameryki dowiedzieliśmy się, jakie trwogi przeżywali pasażerowie na „Batorym”. Nie tyle z powodu burz i orkanów, bo i takie były, lecz głównie dlatego, że Nowy York odmawiał przyjęcia „Batorego” do portu. „Musieliśmy stać na wodach internacjonalnych w pobliżu Nowego Yorku. Nie mając wjazdu do Ameryki, kapitan zwrócił się do Kanady, ale i Kanada odmówiła przyjęcia. Niesamowita sytuacja. Można sobie wyobrazić, jaki lament powstał na statku. Pasażerowie obstąpili kapitana, aby nadal starał się o wpuszczenie do Nowego Yorku, bowiem większość pasażerów to »ucikienierzy«, którzy nie mieli zamiaru wracać do Polski. »Stefan Batory« cztery dni drałował na granicy wód ex-terytorialnych”.

Wreszcie Amerykanie się zlitowali i wpuścili statek do portu. Jakaż radość zapanowała na statku. Wszyscy z ulgą zasnęli. Tylko jedna osoba, pani Zosia, kucharka Szkoły Pielęgniarskiej w Ełku, cierpiąca przez cały czas na „chorobę morską”, nie spała. Gdy zobaczyła w nocy światła Nowego Yorku, zaczęła wołać, krzyczeć: „Ludzie, ludzie, co za cuda! Co za cuda! Ludzie, wstawajta! Patrzta, jakie cuda! Cuda! Cuda!...” Wszyscy się obudzili, wyszli z pieleszy, by oglądać cuda. Bo faktycznie, widzieć Nowy York w nocy z dala ze statku lub z samolotu to rzeczywiście cud. W ten sposób pasażerowie „Stefana Batorego” w nocy dnia 4 stycznia 1971 roku stanęli stopami na Ziemi Amerykańskiej. To nic, że musieli sami wyładować, dźwigać bagaże. To nic, że musieli brnąć pieszo po rozpuszczonym śniegu do swoich krewnych, bo i taksiarze strajkowali, odmawiając Polakom swej usługi. Wszyscy szczęśliwi, weseli. Kto znał język angielski, wołał: „I love Amerika!”. Moja żona też zawołała.

Żegnając się z żoną, uzgodniliśmy, że choćby z moim wyjazdem trwało parę lat, to nie powinna wracać. Łatwo było powiedzieć, ale wytrwać. Łatwo było mnie, bo byłem w domu, dzieci były w Polsce, miałem pracę, miałem dodatkowe zajęcie – pasiekę u p. Klein w Chełchach oraz europejskie jedzenie, obiady w „Żyletce”, „Kormoranie” lub „Turystycznej”. (Zapomniałem, co było w pokoju nr 1.)

Dużo gorzej było dla mojej żony w Ameryce. Wprawdzie zatrzymała się u dawnego superintendenta Konstantego Najdera, ale zaledwie kilka dni, potem przeniosła się do swego brata Bernarda, który rok temu też „uciekł” z Polski, ale mieszkał w opłakanych warunkach. Nie znała na tyle języka angielskiego, aby dawać sobie radę. A nikt nie był w stanie poinformować, w jaki sposób i gdzie znaleźć pracę, jakąkolwiek pracę. Nie mogła się też przyzwyczaić do amerykańskiego jedzenia, zwłaszcza do tamtejszego chleba, który był bielutki, mięciutki jak wata. Chodziła nienajedzona, głodna. Dopiero na nabożeństwie w polskiej parafii metodystów ks. Najdera, pożaliła się, że pragnie chleba, prawdziwego chleba.

Usłyszała to „gruba" pani Lodzia: „Co, jesteś głodna, nie masz chleba?". „Ja ci zaraz przyniosę". Natychmiast pobiegła i przyniosła „polskiego" chleba, „prawdziwego" chleba. Żona przysadziła się do niego, jadła suchy, jadła i jadła, aż była syta. „Co kraj, to obyczaj" – to tyczy i chleba.

Żona sama zaczęła szukać pracy, chodząc od sklepu do sklepu. Wreszcie znalazła pracę do trojga dzieci. Tu dopiero dowiedziała się, że są ogłoszenia w różnych gazetach: amerykańskich, polskich, niemieckich, żydowskich, w których poszukują ludzi do pracy. W ten sposób żona stała się informatorką dla poszukujących pracy. A nikt jej przedtem tego nie powiedział. Chociaż zarobek miała skromny, ale miała swój swobodny, ładny pokój, dach nad głową, ładny dom z ogrodem, utrzymanie i miłych sąsiadów – Amerykanów. Właściciel umiał po polsku, bo pochodził z Polski, cudem uratowany w kopalni na Ukrainie. Dzieci jego, syn i dwie córeczki, nie umiały po polsku.

Wiadomość, że żona czuje się dobrze i nastawiona jest zostać w Ameryce, zdopingowała mnie, aby też starać się o wyjazd.

175
Mój wyjazd z Polski

Przewidywałem, że sprawa otrzymania zezwolenia na mój wyjazd z Polski nie będzie łatwa. Mimo wszystko, złożyłem podanie o wyjazd do USA, teraz do żony. Liczyłem i w moim wypadku na pomoc naszego byłego „sublokatora", który jeszcze przed wyjazdem mojej żony dostał mieszkanie w nowym budownictwie przy ul. Wojska Polskiego. Byliśmy u nich w gościnie, częstowani „polską kiszką", drugim razem „babką kartoflaną".

W końcu stycznia, czy też w lutym 1971 roku odwiedziłem ich, by porozmawiać w mojej sprawie. Jakież było moje zaskoczenie, gdy oświadczył mi, że został zwolniony ze stanowiska i przeniesiony na magazyniera. Czy sprawa wyjazdu mojej żony mu zaszkodziła, powiedział, że raczej nie, bo opinię o mojej żonie co do wyjazdu podpisał zastępca komendanta, odchodzący na emeryturę. Zresztą wspomniał, że i w poprzedniej miejscowości miał trudności w wykonywaniu pewnych rzeczy, które kolidowały z jego sumieniem, a niestety nie było możliwości rozwiązać się z obowiązków, które kiedyś mu imponowały. W tym stanie rzeczy, b. „sublokator" mógł mnie jedynie zachęcać, aby wytrwale składać podania. Raz kiedyś musi się udać. Tak też robiłem.

Przypomniałem jego słowa, że w Urzędzie Bezpieczeństwa w Ełku jest „kupa" akt o nas. Z tego wnioskowałem, że wyrobiono tam o nas fałszywy obraz na podstawie donosów, czy też wymuszonych zeznań torturowanych niewinnych osób. Dlatego pragnieniem moim było, by w jakiś sposób dostać się do samego komendanta Urzędu Bezpieczeństwa w Ełku, któremu podlegało Biuro Paszportów. Ale jak się do niego dostać? Rzecz niemożliwa. O komendancie wiedziałem tylko tyle, że jest ostry, w stopniu majora, i znałem jego nazwisko. Nie wiedziałem, jak wygląda. Czy go kiedykolwiek widziałem, skoro ja i on jesteśmy długoletnimi mieszkańcami Ełku?

Kilka miesięcy po wyjeździe do Ameryki, żona dostała pismo z Urzędu Skarbowego, w którym wzywano do wypowiedzenia się na wymienione pytania. Ponieważ żony nie by-

ło, udałem się do Urzędu Skarbowego, czy ja nie mógłbym odpowiedzieć na przysłane pismo. Powiedziano mi, że musi to uczynić osobiście żona i własnoręcznie podpisać. A jeżeli żona jest za granicą, to muszę przedstawić dowód urzędowy, stwierdzający, że jest za granicą. Taki dowód może mi dać tylko Biuro Paszportów, które wydało żonie paszport. Nie myśląc wiele, idę do referenta, u którego stale składaliśmy podania o wyjazd. Przedstawiłem mu moją sprawę, że potrzebuję zaświadczenie dla Urzędu Skarbowego, że żona jest za granicą. Referent przeczytał pismo i po krótkiej dyskusji powiada: „Wie pan, ja nigdy takiej sprawy nie miałem i nigdy nie załatwiałem, nie wiem, czy ja mogę to zrobić. Najlepiej, niech pan idzie do samego komendanta".

Jak te słowa usłyszałem, w duchu ucieszyłem się ogromnie. Wreszcie zobaczę groźnego komendanta. Bezpośrednio od referenta melduję się u sekretarki, która przedkłada moją prośbę komendantowi. Ten prosi mnie do siebie. Wchodzę, przedstawiam się, pozdrawiając słowami: „Dzień dobry". „Ach, to pan jest – pan Małłek; proszę siadać. Co pana sprowadza do mnie?". Przedstawiłem mu sprawę, o co mi chodzi. Wysłuchał. Kazał sekretarce przywołać referenta i polecił mu napisanie zaświadczenia. Jak referent wyszedł do swego biura, by zredagować zaświadczenie, komendant (którego rzeczywiście nigdy nie widziałem) wdał się ze mną w rozmowę, rozpoczynając pytaniem: „Co słychać u pana?". Od razu wpadłem na temat mego starania się o wyjazd do żony, która postanowiła nie wracać, ale dostałem odmowę. Na to komendant powiada: „Dlaczego pan chce wyjechać? Przecież państwu powodzi się tutaj bardzo dobrze". Pomyślałem, że komendant ma wyrobiony obraz o nas na podstawie donosów. Dlatego pozwoliłem sobie postawić pytanie: „Panie komendancie, na jakiej podstawie sądzi pan, że nam jest tu dobrze?". „Ano, tak tu się słyszy" – odpowiedział.

„Panie komendancie, ja panu powiem, na jakiej przesłance ludzie mówią o nas, że powodzi się nam dobrze, mówią nawet, że jesteśmy bogaci. Z pewnością zna pan takiego alkoholika, którego w Ełku nazywają po imieniu Ludwik. Ten Ludwik raniutko o godzinie szóstej, gdy idę do pracy na kolej jako spedytor, pięknie mnie pozdrawia, mówiąc: »Dzień dobry dobrodziejowi«, jednocześnie wyciągając rękę, aby dostać datek na ćwiartkę. Jak nie miałbym się zlitować. Nie potrafię odmówić. I tak Ludwik prawie codziennie dostaje na ćwiartkę, mimo iż nie popieram alkoholizmu. Ale ja nie wchodzę w to, co żebrak robi z jałmużną. Prosi, więc ja daję. Często Ludwik przychodzi do mych drzwi do domu po jałmużnę. Kumple jego mówią: „Idź do twego »ojca dobrodzieja«, on ci nie odmówi". „To jest jeden przykład mego »bogactwa« – panie komendancie". Komendant słuchał, nie przerywając. Mówię więc dalej: „A oto dalsze przykłady: codziennie przychodzi do mnie listonosz Pajko, przynosząc korespondencję. Zawsze dostaje kieszonkowe. »Bo Małłek bogaty«... Na takich przykładach mogła powstać o nas całkiem błędna opinia, niezgodna z prawdą, panie Komendancie". Komendant z ciekawością słuchał o naszym „bogactwie". W dalszej rozmowie ograniczał się do pytań, na które odpowiadałem szczerze, swobodnie i otwarcie. W międzyczasie referent przyniósł przygotowane zaświadczenie. Komendant przeczytał, podpisał i w ten sposób dostałem zaświadczenie, a przede wszystkim znalazłem dostęp do komendanta Biura Paszportów.

Mając zaświadczenie w ręku, zwróciłem się z pytaniem: „Panie Komendancie, czy mogę przyjść do pana z podaniem na wyjazd?". „A proszę bardzo. I tak pan dostanie odmowę". „To nic, Panie Komendancie, będzie to dla mnie satysfakcja, otrzymać od pana pismo". Na tym skończyło się nasze przypadkowe spotkanie. Major, komendant Urzędu Bez-

pieczeństwa i Biura Paszportowego, typowy Białorusin, krępy, wzrostu około 170, zrobił na mnie wrażenie służbisty, który osobowością swoją starał się dorównać zajmowanemu stanowisku. Ale był uprzejmy i wcale „niegroźny". Gdy wyszedłem z biura, zerknąłem na zegarek. Nie przypuszczałem, że rozmowa z komendantem trwała półtorej godziny. Muszę powiedzieć, że cieszyłem się, że znalazłem dostęp do komendanta Biura Paszportowego.

Odtąd mijaliśmy się idąc do pracy, ja na kolej jako spedytor kolejowy Wojewódzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego, a on w odwrotnym kierunku, jako Komendant Urzędu Bezpieczeństwa. Dziwiłem się, że już o godzinie szóstej rano szedł do pracy. Wkrótce poszedłem z podaniem o wyjazd. Tak, jak zapowiedział, dostałem odmowę. W ciągu 1971–72 roku włącznie byłem u komendanta pięć czy sześć razy, składając podania o wyjazd do USA, względnie odwołania. Za każdym razem rozmowa z nim trwała około jednej godziny. Pewnego razu zaproponował mi, abym składał podanie do Niemiec, to dostanę wyjazd. Od razu przypomniały mi się „tortury" kontrwywiadu (bez wątpienia rzeczy te były komendantowi znane). Nie zastanawiając się odpowiedziałem: „Wyjazd do Niemiec obecnie mnie nie interesuje, bo żona jest w Ameryce". „No, szkoda" – powiedział. (Z tego można wnioskować, że KW planowało zrobić ze mnie szpiega, czy konfidenta w Bundesrepublice.)

Za każdym pobytem u komendanta Biura Paszportowego zauważyłem, że „lodowe filary" oporu nieudzielenia mi wyjazdu topnieją. Coraz bardziej stawał się rozmowniejszy i wyrozumialszy. Doszło nawet do tego, że rozmowy stały się żartobliwe, wesołe. Żartowaliśmy nawet o kobietach. W pewnym momencie, było to już w 1972 roku, powiada żartobliwie: „Panie Małłek, pańska żona w międzyczasie ma już innego mężczyznę, więc po co pan tam jedzie, skoro tu w kraju mamy tyle pięknych kobiet". Musiałem mu przyznać rację, że Polki to piękne kobiety, ale moją żonę też uważam za piękną. Będąc w Ameryce przekonałem się, że komendant miał dobry, właściwy obraz o Polkach w Ameryce, bo faktycznie przeważnie od razu miały kochanków, po niemiecku mówiąc: „Kurschatten"[283] albo „Liebhaberów"[284], a jak moja żona mówi: „Hablieberów"[285].

Żartobliwa zachęta komendanta do pozostania w Polsce nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. W dalszym ciągu składałem podania o wyjazd, od 16 maja 1972 roku już jako rencista. Może ta okoliczność zaważyła, że „lody" topniały? Pewnego dnia miesiąca stycznia 1973 roku, idąc ulicą Słowackiego, spotkałem sekretarkę Biura Paszportowego. Mówiono powszechnie, że ona jest właściwym komendantem Biura Paszportowego. Prawdopodobnie była „zaufaną wyższych władz wojewódzkich". Uśmiechnięta, podchodzi do mnie i powiada: „Mam dla pana radosną wiadomość: dostał pan wyjazd. Proszę przyjść do mego biura dnia... o godzinie..."

Podskoczyłem z radości. Dziękując, uścisnąłem ją. Umówionego dnia kupiłem dobrego koniaka i bombonierę i udałem się do dobrze znanego biura sekretarki na parterze Urzędu Bezpieczeństwa i Powiatowej Komendy Milicji Obywatelskiej przy ulicy Chopina. Wchodząc do biura, zastaję stół nakryty obrusem. Pani sekretarka, mimo godzin służbowych, stawia na stół kawę, ja stawiam koniak i kładę bombonierę i siadamy do przyjacielskiej pogawędki, nie mającej nic wspólnego ze sprawami służbowymi. W trakcie rozmowy wręczyła mi paszport, zabierając ode mnie dowód osobisty. Dopiero poznałem, że „groźna" sekretarka jest prawdziwą kobietą, nie tylko „komendantem", przed którą wszyscy drżeli ze

[283] Cień wczasowy.
[284] Sympatia.
[285] W niemieckim nie ma takiego wyrazu.

strachu. Oczywiście, odwdzięczyłem się bańką miodu z własnej pasieki i koniaku wychylając po kielichu już w jej mieszkaniu na moją dobrą przyszłość.

Cieszę się, mam paszport na wyjazd czasowy do USA, wystawiony w Białymstoku, dnia 30 stycznia 1973 roku, z ważnością do 30 lipca 1974 roku, na „wszystkie kraje świata". Jadę do Warszawy do ambasady amerykańskiej po wizę. Jeszcze świt, a już kupa ludzi pod drzwiami ambasady przy ul. Pięknej po wizy. O godzinie ósmej wpuszczono do poczekalni. Po zameldowaniu, siedząc, czekamy wszyscy na wywołanie. Jeden do drugiego szepce: „Żeby tylko nie trafić do tego rudzielca-ryżego". Osobiście jestem pierwszy raz, ale inni widocznie znali wszystkich konsulów i pracowników ambasady. Czekający szepcą dalej: „Ta starsza w meldunkach to podobno »bierze«, ale jak podejść?". Obserwujemy z jednym ełczaninem wychodzących po rozmowie z odpowiednim konsulem. Jedni się cieszą i uśmiechają się, pozytywnie załatwieni, drudzy wychodzą ze łzami, płaczą – też „załatwieni", ale odmownie.

Wreszcie wołają: Małłek Edward.

Wchodzę do biura konsula: „rudzielec!" trzyma paszport w ręku i krótko, sucho, bez amerykańskiego uśmiechu, powiada: „Nie mogę panu dać wizy czasowej, ponieważ pańska żona jest w Stanach Zjednoczonych. Proszę starać się o paszport na pobyt stały". Tłumaczę mu, że władze polskie odmawiają mi wyjazdu na pobyt stały. „Trudno, na to my nie mamy wpływu. Więcej nie mogę panu powiedzieć" – powiada, oddając mi paszport. Wyszedłem, nie płacząc, ale ze zdziwieniem, trochę zły na „rudzielca".

Może nie był to wcale zły człowiek. Widocznie taki był podział funkcji między konsulami: jeden załatwiał pozytywnych, drugi negatywnych. Znany ełczanin, któremu też odmówiono, mówi do mnie: „Wie pan, słyszałem, że Kanada daje łatwo wizy". „Skoro tak, to idziemy". W ambasadzie kanadyjskiej grzecznie i uprzejmie poinformowano nas, że po przedstawieniu zaproszenia od kogokolwiek z Kanady otrzymamy wizę odręcznie. Skąd wziąć zaproszenie? Przypomniał mi się pastor Manfred Martin Ulońska, pochodzący z powiatu Pisz, który wyemigrował z Niemiec do Toronto w Kanadzie, a będąc jeszcze studentem teologii był z kolegą u mnie w Ełku. Zorganizowałem im samochód pocztowy, by mogli zobaczyć swoje rodzinne strony.

Nie namyślając się, napisałem natychmiast list z prośbą o przysłanie mi zaproszenia, zaznaczając, że wszelkie koszty pokryje moja żona z Nowego Yorku. O tym wszystkim napisałem też do mojej żony. Nie czekałem długo i zaproszenie było. Ale cóż z tego, skoro wkładkę do paszportu miałem wypisaną do USA, a nie do Kanady. Więc idę do sekretarki Biura Paszportowego, przedstawiając moje zmartwienie. „To żaden kłopot, jak pan będzie wyjeżdżał, proszę przyjść do mnie, ja panu wymienię na Kanadę" – powiada. Ucieszyłem się bardzo. A zatem nie mam już żadnych formalnych przeszkód. Nim się te wszystkie sprawy wyklarowały, był już maj-czerwiec 1973 roku.

A tu trzeba sprzedać pasiekę, 80 pni z przenośnym domkiem i narzędziami. Tak, ale znajdź kupca, który da właściwą cenę? Każdy wiedząc, że sprzedaję z powodu wyjazdu, proponuje cenę nie do przyjęcia. Postanowiłem w czerwcu wywirować miód, a pasiekę pozostawić synowi Robertowi do sprzedania za jakąkolwiek cenę. Miodem obdzieliłem przede wszystkim dzieci, żeby sobie spieniężyły. Mieszkanie, półtora pokoju z kuchnią i łazienką pozostawiłem również Robertowi do dyspozycji. Pozostawiłem mu więcej kłopotu niż pożytku.

Po wizę kanadyjską pojechałem 29 czerwca 1973 roku. Stamtąd do Polskich Linii Lotniczych LOT, zarezerwować lot do Kanady. Z pomocą „załącznika" dostałem rezerwację na 15 lipca. Stamtąd udałem się do Polskiego Banku Narodowego po zezwolenie na dozwolone kupno 10 dolarów. Bo więcej nie było wolno. Mając w kieszeni paszport, bilet na samolot produkcji rosyjskiej Tu 134 (Tupolew) oraz 10 dolarów, walizkę i teczkę w ręku, udałem się do Warszawy dnia 14 lipca 1973 roku. Zatrzymałem się w hotelu w Warszawie Praga.

Przed wyjazdem z Ełku pożegnałem się z krewnymi w Olsztynie i Toruniu oraz ze znajomymi w Ełku. Na pożegnanie przyjechały do Warszawy wszystkie nasze dzieci i Helena Wysocka, żona Bernarda, mego szwagra. Kładła mi do głowy, aby namówić Bernarda, by koniecznie przysłał jej pieniądze na kupno „Fiata".

Dnia 15 lipca 1973 roku, żegnając się z dziećmi bez specjalnych czułości, powiedziałem do nich: „Nie martwcie się o nas. Wprawdzie nie wiem, co mnie czeka, ale jedno wam powiem: choćbym tam z głodu musiał umrzeć, ja do Polski nie wrócę. Bóg dotąd mnie prowadził, prowadzić będzie nadal". „Wskaż mi, Panie Boże, drogę swoją, bym postępował w prawdzie twojej; Spraw, by serce moje jednego tylko pragnęło, bojaźni imienia twego!".

Z hotelu taksówkami udaliśmy się na lotnisko Okęcie. Tam, częstując się w restauracji na piętrze, obserwowaliśmy ruch w porcie, czekając na odlot. Ogłaszają, by pasażerowie udali się do kontroli. Ostatnie pocałunki, ostatnie życzenia. Kontrola paszportu bez problemu, kontrola bagażu, bez grzebania w walizce. Bardzo przyjemna pani kontrolerka. Zdawałoby się, że po przejściu kontroli paszportowej jesteśmy już za granicą. Tak nie było, bo w każdej chwili samolot mógł być wezwany do powrotu. Dlatego, będąc już ponad chmurami, prosiliśmy kapitana, aby ogłosił, kiedy mijać będziemy „żelazną kurtynę". Nim do tego doszło, kapitan ogłasza lądowanie w Pradze. A przecież lot miał być bezpośredni. Lądujemy w Pradze. Przewożą nas autobusami do portu. Dowiadujemy się, że lądowanie było z powodu defektu samolotu. Ogłaszają, że odlecimy po naprawieniu samolotu. Modliliśmy się, aby tylko udało się naprawienie samolotu, bo wiąż jesteśmy w „raju sowieckim". Trzy razy ogłaszali przesunięcie godziny odlotu. Gdyby było to normalne „śródlądowanie", to w Pradze dosiedliby nowi pasażerowie, a tego nie było, mimo iż samolot był półpusty. Można było leżeć.

Sądziłem, że z powodu niesprawności samolotu niektórzy ze strachu zrezygnują z dalszego lotu. Okazało się, że wszyscy, co do jednego, znaleźli się w naprawionym samolocie, najedzeni, bo Lot musiał nam dać dwa dobre posiłki dodatkowo, na lotnisku w Pradze. Kapitan nie zapomniał nam podać wiadomość, o którą go prosiliśmy: „Minęliśmy granicę czesko-austriacką". Na to słychać było ogólne westchnienie: „Och!" i „Niech żyje!". Twarze się rozweseliły. Jesteśmy na Zachodzie!

Jakiż to był cudowny lot nocą. Cudowne, malownicze chmury. Co chwila zmieniały się ich kolory. Oczywiście pod nami, nad nami bezchmurne, gwiaździste niebo. Tych wspaniałych widoków i przeżyć nie mielibyśmy, gdyby samolot leciał planowo bez defektu. Bo w Kanadzie, w Montrealu mieliśmy być pod wieczór 15 lipca, a byliśmy o godzinie drugiej rano 16 lipca 1973 roku. Lot TU 134 kończył się w Montrealu. Dalej mieliśmy lecieć samolotami kanadyjskimi. Ale o tej porze nie było żadnych lotów do Toronto, więc obsługa LOT-u umieściła nas po „motelach" poza miastem. Miałem wspaniały apartament z łazienką, toaletą i rano śniadanie. Rano autobusami zwieźli nas na lotnisko i z Montrealu

polecieliśmy do Toronto samolotem – nazwałbym go „roboczym", bo pasażerowie byli ludzie, którzy lecieli do pracy. Samolot bez komfortu, ciasny, tłoczny.

W Toronto byliśmy około godziny ósmej rano, zamiast o ósmej wieczorem dnia poprzedniego. Tylko jeden z naszych pasażerów miał szczęście, że krewni czekali na niego. Inni rozjechali się do domów, bo samolot nie przyleciał w czasie. Co tu robić? Spotykam dwie pięknie umundurowane, młodziutkie, ładne informatorki. Zagaduję po niemiecku, a one „ani w ząb", a ja po angielsku też „ani w ząb". Zdani byliśmy na czekanie, aż ktoś się zgłosi po swoich. Kręcimy się po holu. Po dłuższym czekaniu wreszcie zjawił się młodszy mężczyzna i rozgląda się, jakby kogoś szukał. Ponieważ wyglądał na Polaka, podszedłem do niego i pytam się, czy kogoś szuka. Odezwał się po polsku. Wszyscy otoczyliśmy go. Jesteśmy uratowani. Przynajmniej nas poinformuje, a miał na to czas, bo jego siostra przez pomyłkę została w Montrealu, więc musiał czekać do wylądowania następnego samolotu.

Zapytałem go: ile będzie kosztować taksówka do mego przyjaciela. Mówi, że około 25 dolarów. Ale skąd je wziąć, skoro mam już nie 10, a tylko 8 dolarów, bo 2 wydałem w samolocie. Ale pan Kazimierz Cieśla, bo tak się nazywał rodak z Polski, powiada: „Jak tylko siostra przyjedzie, to może pan jechać ze mną, bo ja mieszkam w tamtej dzielnicy". Byłem uradowany, bo telefon mego przyjaciela, Ulońskiego, się nie odzywa. Siostra pana Cieśli przyleciała. Zajechaliśmy do domu pana Cieśli. Zostawił siostrę i jedną z pasażerek w domu, a ze mną pojechał do mego przyjaciela, u którego miała czekać na mnie moja żona.

Zajechaliśmy. Pukamy, nikt nie otwiera drzwi. Chodzimy naokoło domu. Pytamy się majstrów reperujących dach, czy jest ktoś w domu. Mówią, że nie wiedzą. Postaliśmy chwilę. Wreszcie pan Cieśla powiada: „Jedziemy do mnie do domu, stamtąd będziemy dzwonić, aż ktoś się odezwie". Pojechaliśmy. Po wejściu do mieszkania widzę stół zastawiony do obiadu, do którego uprzejma żona Cieśli zaprosiła również przygodnych, „nieproszonych" gości. Co chwila dzwonimy do mego przyjaciela. Nareszcie odzywa się moja żona. Ucieszona tłumaczy, że w tej chwili Manfreda (mego przyjaciela) nie ma w domu, ale jak tylko przyjdzie, przyjadą po mnie.

W taki oto sposób wyzwoliłem się z „objęć Polski Ludowej" i znalazłem się w objęciach mojej żony. Radość po dwu i pół latach rozłąki była nie do opisania.

Przyjaciel ulokował mnie w „beismencie": duży pokój z kuchnią.

W Toronto spędziłem 10 tygodni, aż do wyjazdu do Bundesrepubliki.

176
Zestawienie doznanej dyskryminacji w Polsce

A. W Polsce „sanacyjnej":

1. Edward Małłek „narodowo niepewny" – poufna notatka w dokumentach maturalnych 1927 roku Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie.

2. O wyłącznie mazurskim wychowaniu i polskim wykształceniu, władze szkolne wbrew mojej woli zatrudniają mnie jako nauczyciela w szkołach niemieckich o wykładowym języku niemieckim.
3. Z dniem 1 marca 1933 roku jestem zwolniony z nauczycielstwa w Wielkim Wełczu, powiat Grudziądz.
4. Z dniem 1 lipca 1933 roku ponownie zwolniony jako nauczyciel kontraktowy w Przygodzicach, powiat Ostrów Wielkopolski.
5. Z dniem 1 lipca 1943 roku zwolniony jako nauczyciel religii w Działdowie.
6. W czasie od 1. 01. 1935 do 30. 06. 1936 roku, mimo nominacji, nie wypłacano mi uposażenia jako instruktora straży pożarnych przez Wydział Powiatowy przy Starostwie Powiatowym w Działdowie.
7. W 1936 roku zostałem zwolniony jako kwalifikowany instruktor Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej w Działdowie.
8. W lipcu 1937 roku zlikwidowano nam sklep krótkich towarów w Działdowie.
9. Z dniem 1 lipca 1939 roku zwolniony jako nauczyciel kontraktowy w Nowejwsi, powiat Działdowo.

B. W Polsce Ludowej:

1. Dnia 2.11.1945 roku Urząd Bezpieczeństwa w Nidzicy aresztuje mnie jako AK-owca (członka Armii Krajowej).
2. W 1946 roku Inspektorat Szkolny zabronił nauczania języka polskiego w kościele.
3. Polska Ludowa nie pozwoliła mi, abym był kierownikiem przez siebie założonej młodzieżowej Bursy Mazurskiej w Ełku.
4. Polska Ludowa pozbawiła mnie stopnia oficerskiego, wystawiając mi książeczkę wojskową z adnotacjami: „stopień wojskowy: szeregowiec", „nie służył w wojsku".
5. Polska Ludowa zmusiła mnie do bezprawnego działania: przekazania kaplicy Kościoła Metodystycznego w Ełku Zarządowi Miasta, który przekazał ją Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu.
6. Polska Ludowa obciążyła moje mieszkanie parafialne czynszem na rzecz Zarządu Miasta.
7. Polska Ludowa spowodowała likwidację założonego przeze mnie domu starców w Piętkach, powiat Ełk.
8. Polska Ludowa bezprawnie ściągnęła ode mnie opłatę i podatki za dom starców w Piętkach.
9. W 1956 roku Polska Ludowa nie zatwierdziła mnie na stanowisku w Kościele Metodystycznym w Polsce.
10. Polska Ludowa zwolniła mnie w 1959 roku ze stanowiska pastora w Ełku.
11. Polska Ludowa głodziła mnie i moją rodzinę przez cały rok (1.06.1959 – do 26 maja 1960 roku), nie dając mi żadnej pracy, ani środków do życia.
12. Polska Ludowa nie zgadzała się, abym pracował jako pastor w Kościele Ewangelicko-Augsburskim.

13. Polska Ludowa była przeciwna, abym pracował jako pastor w Kościele Reformowanym.
14. Polska Ludowa nie zgodziła się, abym pracował jako nauczyciel szkół podstawowych w Ełku.
15. Polska Ludowa nie zgodziła się, abym był nauczycielem religii w Ełku.
16. Polska Ludowa nie pozwoliła, abym nabył działkę w Szybie koło Ełku.
17. Polska Ludowa unieważniła mój akt nabycia drobnego gospodarstwa rolnego w Nowej Wsi.
18. Polska Ludowa dręczyła mnie przez długie lata przesłuchiwaniami przez funkcjonariuszów Urzędu Bezpieczeństwa i kontrwywiadu.
19. Polska Ludowa otaczała mnie szpiclami i konfidentami aż do mego wyjazdu z Polski.
20. Polska Ludowa stopniowo ograniczała wielkość naszego mieszkania w Ełku.
21. Polska Ludowa odbierając nam pokój sypialny, umieściła za drzwiami funkcjonariuszów Urzędu Bezpieczeństwa.

Czy Edward Małłek był uważany w Polsce za Polaka?
Czy Edward Małłek czuł się jeszcze Polakiem?
Odpowiedzi otwarte.

177
Czy zasługiwałem na dyskryminację?

1. W chwili urodzenia, dnia 16 maja 1907 roku w Brodowie, powiatu Neidenburg, Prusy Wschodnie, byłem obywatelem Kaisera Prus, czyli Niemiec.
2. Byłem siódmym dzieckiem (z dziesięciorga) pobożnych, solidnych, uczciwych rodziców narodowości mazurskiej, mówiących w domu, nawet pod panowaniem królów – Kaiserów Prus, tylko po mazursku.
3. A zatem moim językiem ojczystym jest język mazurski.
4. Po przyłączeniu Działdowszczyzny (i Brodowa) do Polski, co stało się dnia 10. 01. 1920 roku, nie optowaliśmy na rzecz Niemiec, lecz pozostaliśmy w Polsce, spełniając uczciwie obowiązki obywatelskie jako „uobywatelnieni" przez państwo polskie.
5. W 1922 roku byłem pierwszym wychowankiem Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie spośród młodzieży mazurskiej.
6. W maju 1927 roku jako pierwszy z Mazurów zdobyłem maturę, uprawniającą do wykonywania zawodu nauczyciela szkół podstawowych.
7. Od 1 września 1927 roku wykonywałem z zamiłowaniem obowiązki nauczyciela.
8. Od 15 września 1929 do 15 września 1930 roku odbywałem czynną służbę wojskową w Baonie Podchorążych Rezerwy Piechoty nr 9 w Berezie Kartuskiej, zdobywając stopień kaprala podchorążego rezerwy.
9. Jako podchorąży przydzielony do 64 Pułku Piechoty w Grudziądzu prawie co roku odbywałem ćwiczenia rezerwy.

10. Dziennikiem Personalnym Prezydenta RP ze stycznia 1933 roku zostałem mianowany podporucznikiem rezerwy.
11. W 1938 roku byłem na ćwiczeniach rezerwy dla dowódców kolumn taborowych w Radymnie koło Przemyśla.
12. W 1939 roku na takich samych ćwiczeniach w Bochni.
13. Od 1 września 1939 roku aż do kapitulacji 6 października 1939 roku walczyłem w armii generała Kleeberga, jako dowódca 105-tej Kolumny Taborowej.
14. Dnia 6 października, po kapitulacji, dostałem się do niewoli niemieckiej: Dęblin – Kielce – Radom – Jędrzejów – Działdowo – Olsztynek – Nürnberg (Fürth-Laufen) koło Salzburga.
15. Po zwolnieniu z niewoli z pomocą dobrych Niemców ukrywałem się w różnych miejscach na obszarach przyłączonych do Rzeszy, a od grudnia 1942 roku w Guberni Generalnej (General-Gouvernement) pod obcym nazwiskiem, działając w konspiracji przeciwko hitleryzmowi.
16. Po wyzwoleniu brałem udział w delegacji Związku Mazurów do Bieruta, do Rządu PRL w Lublinie w 1944 roku.
17. Po zajęciu Prus Wschodnich byłem krótki czas starostą powiatowym w Nidzicy.
18. Jako pastor Kościoła Metodystycznego, czy też później jako pracownik Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", wykonywałem moje obowiązki sumiennie i uczciwie.

„Czy Edward Małłek był Polakiem?"

178
Czy Związek Mazurów spełnił swoją misję?

Jestem jednym z nielicznych żyjących członków-założycieli Związku Mazurów, który powstał w grudniu 1935 roku, niespełna cztery lata przed wybuchem drugiej wojny światowej. Korzystając z wolności, żyjąc spokojnie, mając byt zapewniony w Niemczech, mieszkając w Hamburgu, rozmyślam o dalekiej mojej Ziemi Ojczystej, przed wojną nazywanej Ostpreussen, obecnie Mazurami. Analizuję też dzieje Związku Mazurów, który gromadził w sobie Mazurów o poglądach odrębnościowych – separatystycznych – autonomicznych – aż do niepodległościowych: Prusy Wschodnie odrębne, niepodległe państwo.

Dziś można o wszystkim tylko wspominać i analizować, co było dobre, co było złe, gdyż wydarzenia wojenne przekreśliły wszelkie nasze marzenia. Prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, mój brat, zapisał w swoich pamiętnikach (tom III, s. 187) następujące słowa: „(...) zaproponowałem rozwiązanie Związku Mazurów, jako że wykonał swoją misję historyczną i Ludowej Ojczyźnie nie jest już potrzebny. Nastąpiło to 13 grudnia 1944 roku w Lublinie. Każdy z nas wrócił na swoje dotychczasowe śmiecie, aby wyczekiwać powołania do Lublina".

Czytając powyższe słowa, nasuwa się pytanie: co rozumiał Prezes Związku Mazurów pod słowami „misja historyczna?" Co kryło się pod tym określeniem? Co było treścią tej misji? Ponieważ Prezes Związku Mazurów nie wyjaśnia, na czym polegała „misja histo-

ryczna" Związku Mazurów, nie pozostaje nic innego, jak tylko snuć domysły, przypuszczenia.

Słowa przytoczone Prezes zanotował po wizycie Delegacji Związku Mazurów (Karol Małłek, Jerzy Burski, Eugeniusz Piecha i ja – Edward Małłek) w Lublinie, gdzie mieliśmy być przyjęci przez Bieruta. Okazało się, że Bierut był u „spowiedzi" u Stalina w Moskwie, więc byliśmy przyjęci przez pana Ostrowskiego, o którym Prezes Związku Mazurów napisał takie słowa: „Pan Ostrowski potraktował nas przychylnie, ale nie czuł się kompetentny". Kto był wtedy kompetentny? Bierut może? Przecież Bierut dzwonił któregoś dnia do Stalina i żali się: „Wasz ambasador Popow komenderuje mną, jak sekretarzem wiejskiego komitetu rejonowego". Skoro Bierut był „komenderowany", to cóż można powiedzieć o jego „klice". Przecież to byli ludzie z przypadku, którzy improwizowali Rząd Polski Ludowej. Bawili się w rządzenie, szamocąc się między sobą, zwalczając się wzajemnie. A duch zaginionego (na pewno zamordowanego) Kotka-Agroszewskiego, byłego kierownika resortu administracji publicznej, z pewnością towarzyszył im dniem i nocą. Dlatego słuszna była wówczas moja uwaga: „Tu nie ma z kim rozmawiać. Jedźmy do Stalina!". Szkoda, że nie wzięliśmy tych słów poważnie. Na pewno mapa Prus Wschodnich wyglądałaby inaczej. A ja z rodziną nie mieszkalibyśmy w Hamburgu, lecz w Königsbergu, szwargocąc po rosyjsku. Szkoda, mogła powstać „Szwajcaria Bałtycka".

Wracam do słów „misja historyczna". Czy prezes Karol Małłek używając tego określenia może miał na myśli nawiązanie kontaktu z Rządem Polski Ludowej? A może przekazanie Rządowi Polski Ludowej Programu Związku Mazurów na wypadek przyłączenia Prus Wschodnich do Polski?

Jeżeli weźmiemy dosłowne znaczenie słowa „misja" z łacińskiego *missio,* co po polsku znaczy: posłannictwo – zlecenie (po niemiecku: Sendung – Auftrag), to rzeczywiście „misja" Związku Mazurów została spełniona, gdyż „polecenie" Prezesa Karola Małłek skierowane do Jerzego Burskiego: nawiązania kontaktu i przekazania Programu Związku Mazurów Rządowi Polski Ludowej zostało przez niego wykonane. Może rzeczywiście Prezes Związku Mazurów kontakt z Rządem Polski Ludowej i przekazanie mu Programu w sprawie przyłączenia Prus Wschodnich do Polski uważał za spełnienie „misji" Związku Mazurów, za niepotrzebne. Idąc po tej myśli, przyjrzyjmy się „Programowi" Związku Mazurów, któremu nadano tytuł *Memoriał Związku Mazurów*. Był on opracowany w czasie pobytu Jerzego Burskiego w Radości. Ponieważ Burski zatrzymał się i nocował u Prezesa Karola Małłka, więc oni dwaj przede wszystkim redagowali treść *Memoriału*. Czyje nosił podpisy, tego dokładnie nie pamiętam. A oto *Memoriał*, który zdobyłem w Niemczech, ale bez podpisów.

Memoriał Związku Mazurów
MAZURY

Mówiąc na temat ziemi mazurskiej, stwierdzić trzeba: niewielu z nas, Polaków, zagadnienie to zna, a już niewielu orientuje się w układzie ludności tej ziemi, w jej wielowiekowych zmaganiach o polskość, o przynależność do Polski. Toteż dziś, kiedy sprawa ta staje się coraz bardziej aktualna, nagła i paląca, postanowiliśmy z naszej strony, jako synowie tej ziemi, podać w krótkim rzucie nasz pogląd na tę sprawę w tym sensie, by wielowiekowa

walka nasza znalazła nareszcie swą właściwą ocenę i uwieńczona została naszym wspólnym zwycięstwem.

Przyjrzyjmy się bliżej tej twardej walce o przynależność do Polski naszych Mazurów.

Twardo i nieugięcie szła ekspansja chłopa polskiego z Mazowsza na Prusy już 800 lat temu. Objął on w wieczyste posiadanie całą południową połać tej ziemi. Siekiera Mazura wyrąbała lasy-olbrzymy, łopata chłopa polskiego czyniła zdatnymi pod uprawę mokradła i błota przyjeziorne. Socha, pług i brona darły jałowe piaski na pagórkach i stworzyły ziemię orną. Budowali Mazurzy wioski i miasta, budowali drogi i szosy. Cała ziemia mazurska to dowód ich pracowitości. Chłop ugruntował swą egzystencję na przejętej, skolonizowanej ziemi i przesuwał polskość coraz bardziej na północ, do morza i gdyby nie krótkowzroczność ówczesnych władców polskich i zgoda ich na osiedlenie się krzyżactwa na tych terenach, już wtedy polska, chłopska, silna dłoń byłaby wyrąbała tędy dostęp do Bałtyku.

Stało się inaczej. Krzyżak rychło zorientował się w tężyźnie Mazura i postanowił go zniszczyć. Lud zaciął się i trwał, oczekując chwili, kiedy będzie się mógł odwzajemnić.

Przyszło do wojny w roku 1410. Waleczny lud mazurski spiesznie podążył na powitanie zbliżających się wojsk polskich, torując drogę do Dobrzynia w kierunku na Działdowo. Tu, pod Działdowem, w czasie 3-dniowego postoju króla Jagiełły zjawia się delegacja chłopów mazurskich, uzbrojonych w trójzębate widły. Podążają Mazurzy spod Ełku i Olecka, zjawiają się zastępy zwiadowcze spod Olsztynka, Ostródy i Grunwaldu i pouczają króla o położeniu. Wtedy to król postanowił ruszyć dalej na północ. Szło wojsko polskie, szły wielkie bataliony chłopów mazurskich i razem wspólnymi siłami dokonali na polach stembarskich rozgromienia Krzyżaków.

I co się stało? Zamiast wolności zostawił im król tylko grób. Zaczęły się masowe mordy krzyżackie na chłopach mazurskich, którym nie było końca.

Z tego wielkiego ludowego zrywu zbrojnego pozostała jedynie legenda ludowa o „Kamieniu Jagiełły" w Wysokiej pod Działdowem.

Czy zatem lud mazurski poprzestał trwać w polskości? Otóż nie. Lud tym bardziej zaczął się organizować. Pod płaszczykiem zebrań rodzinnych lub gminnych omawiano w ścisłym gronie zaufanych osób, jak uchylić się gromadnie od nakładanych robót przymusowych, jak zemścić za zbrodnie krzyżackie, jak tworzyć grupy zbrojne do przyszłej rozprawy z Krzyżakiem. Wtedy to na Mazurzy zostali znowu masami mordowani w zamkach krzyżackich. Znaleziono na to dowody przy remoncie zamku w Szczytnie, piwnice zamkowe były po prostu brukowane szkieletami ludzkimi. Ale lud trzymał się dzielnie.

Wyjechała delegacja do króla polskiego do Krakowa, aby mu przedstawić rozpaczliwe położenie kraju i prosić o pomoc. Na czele delegacji stał Jan Bażyński, Mazur z Leszna k. Dąbrówna, który w długiej prośbie zobrazował Kazimierzowi Jagiellończykowi tragiczne położenie ludu. Oto krótki urywek: „Nikt nie doznawał z nas opieki prawa, tyrania brała przeważnie górę; tylu było panów w kraju, ilu wielkich mistrzów i dygnitarzy zakonnych. Wszeteczeństwo, bewstyd i zbrodnia były pośród nich rzeczą tak rozpowszechnioną, że zaledwie wypowiedzieć można. Bezcześcili nasze żony, dzieci, czeladź. Naszych przyjaciół, rodziców i dzieci, braci i krewnych mordowali bez wyroku i prawa, bez wysłuchania sprawy, bez wszelkiej winy, jedynie z rozpusty, tak w nocy jak i we dnie, tak skrycie jak i publicznie. Więzili ich po turmach, kaleczyli i topili, a nikt nie mógł uzyskać sprawiedliwości, jak wszystko to i wiele więcej jeszcze W.K.M. szerzej oznajmiamy, a w razie potrzeby piśmiennymi stwierdzimy dowodami".

Przyszła z Polski pomoc, a w roku 1454 cały kraj mazurski stanął w ogniu wielkiej wojny powstańczej (13-letniej). Wojna ta zakończyła się w roku 1466 ostateczną klęską Zakonu Krzyżackiego. Lud mazurski, reprezentowany przez swoje stany i oparty o Polskę, osiągnął wprawdzie swój cel, lecz daleko mu było jeszcze do odzyskania wolności, zagwarantowanej Bażyńskiemu. Mimo to lud mazurski zakasał rękawy i zabrał się do dalszej pracy na podbój dalszych Prus! Nasz polski język ojczysty rozbrzmiewał aż po Królewiec. Nowo utworzony Uniwersytet w Królewcu miał nie tylko polskiego orła w herbie, ale i wiele polskich profesorów na katedrach. Jedna z ulic nosi nazwę „Polskiej ulicy szkolnej", a jeden z kościołów ewangelickich – przynajmniej u ludu – „polski kościół". Cała ta walka zakończyła się haniebnie dla Polski przez krótkowzroczną politykę ówczesnego władcy polskiego pokojem welawsko-bydgoskim w roku 1657, gdzie król zrzeka się wszelkich praw do Prus Wschodnich (sic!). Nic już nie pomogły protesty i bunty stanów.

Samotny i opuszczony lud mazurski nie zrezygnował z dalszej walki. Mężami tymi, którzy wskazywali ludowi drogę do przyszłości, byli Mrongowiusz i Gizewiusz, obaj synowie walecznego ludu mazurskiego. Prowadzili oni twardą walkę o polskość z władzami niemieckimi, z pruskim domem królewskim. Z walki tej wyszli obaj zwycięsko. Im też zawdzięczamy wstrzymanie germanizacji o 50 lat. Nie walczyli oni bronią w ręku lecz mocnym, polskim słowem i piórem. Zrzeszali lud, oświecali i przygotowywali go ku Polsce. Ścisły kontakt trzymali z rodakami z Polski, jak: z A. Czartoryskim, ks. Czarneckim, Łukasiewiczem, Raczyńskim, Kaz. Brodzińskim, Adamem Mickiewiczem i innymi.

Oto urywek z listu A. Mickiewicza, pisanego do Mrongowiusza z Paryża 24. II. 1852 r: „Sam śród obcego języka, bez wszelkich ożywczych zachętów, które obecność pracowników na wspólnej niwie wzajemnie sobie udziela, mocą jedynie miłości powołania swego, uzacniłeś życie Twoje niezmordowaną, nieprzerwaną, owocną pracą około języka polskiego, który dochowujesz w całej jędrności rodzimej jego istoty".

Pod koniec XIX wieku dalsze ich dzieło kontynuują bracia Barkowie, synowie chłopscy z Mazur. Założyli oni w Ełku „Gazetę Ludową". Ponieważ gazeta otwarcie i energicznie broniła interesów polskich, lud garnął się pod jej sztandar, a powstała Mazurska Partia Ludowa prowadziła zajadłą walkę wyborczą z systemem bismarckowskim o odwieczne swe prawa narodowe.

Nastała wojna światowa, a po niej nieudany plebiscyt na Mazurach, znowu nie zabrakło Mazurów. Mazurski Komitet Plebiscytowy i Mazurska Partia Ludowa nie zawahały się stanąć do nierównej walki z potężnymi demonami germańskimi. Ludzie po przegranej walce woleli wybrać poniewierkę, niż przeprosić się z Niemcami. Mało, założyli Związek Mazurów, jeden w Berlinie, drugi w Działdowie i uderzyli od zewnątrz i wewnątrz na swoich gnębicieli. Nie pomogły długoletnie więzienia i obozy koncentracyjne, nie pomogły konfiskaty mienia i wysiedlenia ani też publiczne rozstrzeliwania najlepszych synów mazurskich, których obliczyć nie podobna.

Nie pomogą tortury w Dachau, Mauthausen i Oświęcimiu, znane ludowi zresztą już 700 lat.

Tak przedstawia się droga powrotna ku Polsce, droga pełna tortur i mogił, cierpień i łez.

Toteż my, ocaleni bojownicy, członkowie Związku Mazurów, skazani przez Niemców na śmierć, zakonspirowani w czasie tej wojny w Mazurskiej Partii Ludowej, wołamy w imię tych wszystkich, którzy życie swe na ołtarzu Ojczyzny złożyli, w imię tych, którzy

jeszcze dziś znoszą męczarnie w obozach koncentracyjnych, w imię całej ludności mazurskiej: Mazury – to Polska.

W tej dziejowej, sprzyjającej chwili, włączając Mazurów i ziemię mazurską do Polski, kierujemy się następującymi wytycznymi:

I. NAZWA

1. Usuwa się nazwę Prusy Wschodnie.

Wyrosła ona na tle wiekowych dążeń imperialistycznych narodu germańskiego i jako taka jest ubliżająca dla ludu polskiego, który swą pracą twórczą wprowadził polską kulturę na te ziemie. Jest to w dodatku nazwa bezprawnie przez kata przyjęta od wytępionego żelazem i ogniem narodu.

2. Wprowadza się nazwę Mazury – województwo mazurskie.

Ziemię tę zdobyli Mazurzy i do dnia dzisiejszego w zwartych masach tam mieszkają. Jedynie taka nazwa ma swoje uzasadnienie etniczne, historyczne i geograficzne i wytrwałość oraz utrzymanie przez Mazura pośród nadludzkich cierpień aż do chwili obecnej polskiego charakteru ziemi mazurskiej.

II. OBSZAR I USTRÓJ

3. Granice województwa mazurskiego.

Nie będą się równały granicom dzisiejszych Prus Wschodnich. Powiaty przywiślańskie należy przyłączyć do województwa pomorskiego jako etnicznie i historycznie związane z Pomorzem.

Jest to pięć powiatów: Elbląg, Malbork, Sztum, Kwidzyn i Susz. W skład powiatu niborskiego wejść musi ziemia działdowska, historycznie i etnograficznie z nim związana, oddzielona od niego w roku 1920, która dziś zresztą tworzy z nim jedną całość. Kilka powiatów w części północno-wschodniej, zamieszkałych przez ludność litewską, przypadnie Litwie. W granicach województwa mazurskiego pozostać powinno miasto Królewiec, historycznie i gospodarczo z Mazurami silnie związane. Gdyby jednak pomimo wszystko, ze względów od nas niezależnych, na mocy umów pokojowych i Królewiec miał być od Mazur odłączony, wtedy w obrębie województwa znajdą się 22 powiaty, które są tematem naszych dalszych wywodów.

4. Ustrój niemiecki rejencyjny znosi się.

W życie wejdzie z natychmiastową mocą obowiązującą polski ustrój administracyjny.

Województwo mazurskie z siedzibą wojewódzką w Olsztynie obejmuje następujące powiaty: Nibork (Neidenburg), Szczytno (Ortelsburg), Pisz (Johannisburg), Ełk (Lyck), Olecko (Treuburg), Łuczany (Lötzen), Ządzbark (Sensburg), Reszel (Rössel), Olsztyn (Allenstein), Ostróda (Osterode), Morąg (Mohrungen), Lidzbark (Heilsberg), Rastembork (Rastenburg), Węgorzyn (Angerburg), Gołdap (Goldap), Darkiejmy (Ebenrode), Gerdowa (Gerdauen), Bartoszyce (Bartenstein), Iława (Pr. Eylau), Siekierka (Heiligenbeil), Braniewo (Braunsberg), Holąd (Pr. Holland). Miasto Olsztyn jest miastem wydzielonym.

5. Urzędy i samorządy wszelkich typów wprowadza się

natychmiast w województwie mazurskim w całej rozciągłości według ustroju polskiego, ze zmianami opartymi o ustawy Krajowej Rady Narodowej i dekrety Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

6. Wprowadza się ustawodawstwo i sądownictwo polskie, znosząc zupełnie dotychczasowe niemieckie.

7. Przy obsadzaniu wszelkich stanowisk urzędniczych w pierwszym rzędzie uwzględniało się będzie element polski spośród autochtonów tej ziemi w miarę ich przydatności. Znajomość polskiego języka literackiego nie może przy tym być decydującym miernikiem wartościowania. Jedynym warunkiem nieodzownym będzie posiadanie poświadczenia komisji narodowo-klasyfikacyjnej o przynależności do narodu polskiego.

III. LUDNOŚĆ

8. Województwo w granicach wyżej określonych liczy dzisiaj około 1 350 000 mieszkańców.

Jak wykazuje załączona mapka ludność polska jest dominującą w powiatach południowych, natomiast w północnych jest w mniejszości. W pewnym odsetku ludność polskiego pochodzenia znajduje się też w powiatach, które przyłączone będą do Litwy. Badania przeprowadzone w roku 1942 wykazały, że w liczbie powyższej na terenie przyszłego województwa mazurskiego jest: około 710 000 ludności polskiego pochodzenia, 59 000 litewskiego pochodzenia, 64 000 pochodzenia innego (Francuzi, Holendrzy i inni), 507 000 ludności niemieckiej.

9. W stosunku do ludności polskiego pochodzenia zastosuje się wszelkie uprawnienia i obowiązki, które obowiązują na pozostałym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej. Ludności innych narodowości, z wyłączeniem niemieckiej, udzieli się prawa gościnności pod warunkiem, że przynależność swoją do poszczególnych narodów udowodni.

W stosunku do ludności niemieckiej, zastosujemy zupełnie inny sposób postępowania. Musi ona ziemię naszą opuścić. Niemców na krwią naszą zroszonej ziemi tolerować dłużej nie będziemy, twardo i bezwzględnie zastosujemy do nich ich własne prawo: pozbawimy ją wszelkich praw, a więc i prawa pobytu na naszej ziemi. Przy usuwaniu Niemców należy zwrócić uwagę na to, by do tej grupy ludności nie wkradła się przypadkowo nawet kropla krwi polskiej.

10. Klasyfikacja narodowa.

Długowiekowa niewola sprawiła, że część ludności pochodzenia polskiego zapomniała już nawet języka ojczystego-polskiego, szczególnie wśród pokolenia młodszego.

Dość częste są wypadki, że nawet nazwisko polskie zostało jej skradzione przez Niemców i narzuconym niemieckim nazwiskiem jest zmuszona się posługiwać. Aby umożliwić i takiej grupie powrót na łono polskości, trzeba będzie utworzyć specjalną komisję, której zadaniem będzie zakwalifikowanie ludności do narodu polskiego, względnie obcego. Wychodząc z założenia, że nie można stosować systemu wyniszczającego, a w całej rozpiętości obszernie zakrojony plan odrodzeniowy, komisja musi się kierować następującymi wskazaniami:

A) Polakiem na ziemi mazurskiej jest:

a) ten, który ma nazwisko polskie,

b) ten, komu polskie nazwisko zostało zniemczone (lub jego przodkom),

c) ten, o niepolskim nazwisku, który zna język polski i nim się posługuje, jeżeli zalicza się do społeczności polskiej,

d) małżonek mieszanego małżeństwa, którego druga strona jest polskiego pochodzenia oraz ich potomstwo.

B) Niemcem na Mazurach jest każdy, do kogo nie ma zastosowania punkt A) a-d, skoro nie udowodni przynależności do innego narodu.

Komisja wyda każdemu Polakowi specjalne zaświadczenie, którym w razie potrzeby będzie legitymował swoją polskość. W żadnym wypadku zaświadczenia takiego nie wolno wydać jednostce przynależnej do narodu niemieckiego.

11. Zmiana nazwisk.

Zezwolić należy ludności o zgermanizowanych nazwiskach, zakwalifikowanej do narodu polskiego, na powrót drogą urzędową do pierwotnego polskiego nazwiska. W wypadku, gdy polskie nazwisko będzie nieznane, na zmianę nazwiska niemieckiego na polskie. Polacy o niemieckich imionach powinni mieć możliwość zmiany tychże na polskie.

IV. JĘZYK

12. Z chwilą przejęcia województwa mazurskiego przez władze administracji polskiej wprowadza się natychmiast język polski jako jedynie urzędowy. Ze względu na nieznajomość języka polskiego u znacznego odsetka ludności polskiej, zezwoli się w pierwszym okresie na posługiwanie się tejże ludności tłumaczem.

V. DZIEDZINA GOSPODARCZA

13. Graniczny ruch ludności województwa mazurskiego wstrzymuje się do czasu, dopóki nie przeprowadzi się przebudowy ustroju politycznego, gospodarczego i społecznego tej ziemi. Podyktowane to jest koniecznością niedopuszczenia niepowołanych elementów, które by stwarzały trudności w przeprowadzeniu powyższych zadań. Nie dotyczy to wojska, funkcjonariuszy państwowych oraz ludności miejscowej województwa mazurskiego, ewakuowanej na skutek działań wojennych. Wykonanie powyższego powierza się organom polskiej służby bezpieczeństwa publicznego.

14. Konfiskacie ulega całkowity majątek ruchomy i nieruchomy osób niemieckiej narodowości i przechodzi na własność państwa. W celu zabezpieczenia tegoż majątku wyznaczą organa władz państwowych, specjalnych zarządców. Majątki ziemskie przeznaczone będą na cele przeprowadzenia reformy rolnej.

15. Majątki opuszczone przez ludność miejscową polską przejdą pod tymczasowy zarząd państwowy, skoro opieka nad nimi nie spoczywa w rękach bliższych lub dalszych członków rodziny. Natychmiast z chwilą powrotu ich prawowitego właściciela, względnie jego prawnych spadkobierców na wypadek śmierci tegoż, będą zainteresowanym zwrócone.

16. Reforma rolna.

W związku z przeprowadzeniem na Mazurach w całej rozciągłości ogólnopolskiej reformy rolnej należy przyjąć zasadę, że do korzystania z reformy rolnej uprawniona jest w pierwszej linii polska ludność miejscowa. Zagwarantować trzeba miejsce dla reemigracji mazurskiej (w szczególności z Nadrenii i tej części dzisiejszego obszaru Prus Wschodnich, która przyłączona zostanie do Litwy).

17. Odszkodowania.

Część majątku poniemieckiego przeznaczyć trzeba na odszkodowania dla Mazurów-bojowników polskości, którzy opuścić musieli jako zbiegowie ziemię rodzinną oraz tym rodzinom, którym Niemcy wymordowali członków rodzin. Ich twarda i ciężka walka o Polskę musi zostać nagrodzona. Ci Mazurzy, którym przez Niemców zagrabiony został ich majątek, muszą otrzymać go co najmniej w takiej wartości, w jakiej im został zabrany.

18. Wykorzystanie zabudowań. Przy realizacji reformy rolnej i likwidacji majątków poniemieckich przewidzieć trzeba wykorzystanie zabudowań gospodarczych oraz innych budynków na celową akcję odrodzeniową ludu mazurskiego. W każdej wsi np. przeznaczyć trzeba jeden dom na urządzenie przedszkola, inne na spółdzielnie, na dom ludowy itd.

19. Istniejąca spółdzielczość, dość wysoko postawiona, musi być nadal utrzymana. Nie należy żadnej spółdzielni likwidować. Trzeba ją jedynie przystosować do wymagań polskiego ruchu spółdzielczego. Zmienione być muszą tylko zasady i władze spółdzielni, gdyby znajdowały się w rękach niemieckich. Dotyczy to także spółdzielczości rybackiej, którą należy otoczyć specjalną opieką, by nie dopuścić do wyniszczenia gospodarki rolnej.

20. Pieniądz niemiecki wycofuje się z obiegu.

21. Zadłużenie.

Całkowitej likwidacji ulega zadłużenie ludności polskiej w stosunku do Niemców, instytucji i władz niemieckich. Sprawa zadłużenia Polaków na rzecz Niemców była bowiem najczęściej celowo organizowana, aby gospodarczo zniszczyć element polski i doprowadzić do likwidacji jego stanu posiadania.

VI. OŚWIATA I WYCHOWANIE

22. Likwiduje się z miejsca całą sieć organizacyjną szkolnictwa niemieckiego oraz wszelkie niemieckie instytucje kulturalne i wychowawczo-oświatowe. Ich miejsce musi zastąpić dobrze zorganizowana sieć szkolnictwa wszelkich typów według polskiego ustroju szkolnego i dobrze postawiona praca wychowawcza i oświatowa.

Mając na uwadze odrodzenie narodowe ludu mazurskiego, całe szkolnictwo musi być tak zorganizowane, by w jak najkrótszym czasie przygotować kadry, zdolne pokierować polskim życiem duchowym i gospodarczym na własnym terenie.

23. Przedszkola. W związku z poprzednim punktem uruchomić trzeba w każdej miejscowości przynajmniej jedno przedszkole, którego zadaniem będzie w pierwszym rzędzie nauczenie języka polskiego dziatwę polską.

24. Szkolnictwo powszechne i średnie wszystkich typów musi być tak rozmieszczone, by dać możność wszystkiej młodzieży duchowego odrodzenia i otrzymania nawet wyższego wykształcenia.

25. Uniwersytet. W mieście wojewódzkim zorganizowana być musi uczelnia wyższa.

26. Oświata pozaszkolna musi stanąć na odpowiednim poziomie. Ogniska jej powinny być gęsto rozlokowane i podporządkowane hasłu naczelnemu: „Odrodzenie narodowe ludu mazurskiego". Stworzyć należy w każdym powiecie uniwersytet ludowy (typ Grundtviga).

27. W dziedzinie sztuki teatralnej powinno się zorganizować przynajmniej jeden teatr stały w Olsztynie i kilka zawodowych teatrów objazdowych (a koniecznie przynajmniej jeden), które z dobrą sztuką polską docierałyby do najodleglejszych zakątków ziemi mazurskiej. Teatr ludowy powinien być w miarę możliwości zorganizowany w każdej wsi.

VII. ZABYTKI POLSKIE

28. Specjalną opieką otoczyć trzeba od razu z chwilą włączenia Mazur do Polski wszelkie zabytki rodzimej sztuki polskiej i pamiątki polskiej pracy twórczej oraz pomniki walki narodowej ludu polskiego z niemieckim najeźdźcą. Nie można zezwolić, np. na zniszczenie „Kamienia Jagiełły" pod Stembarkiem – pomimo jego napisu niemieckiego o śmierci wielkiego mistrza krzyżackiego Ulricha von Jungingen. Należałoby tylko zmienić napis niemiecki na polski z dodaniem zwrotu: „zginął ukarany za zbrodnie, dokonane przez krzyżactwo na narodzie polskim". Pomnik Kopernika w Olsztynie musi ze zmianą napisu niemieckiego na polski zachowany zostać nadal.

29. Niemieckie – wszystkie zabytki, pomniki i pamiątki panowania Niemców na terenie ziemi mazurskiej usunie się radykalnie i bezapelacyjnie. Nie wolno ich pozostawić nawet mimo ich wartości artystycznych, architektonicznych czy też naukowych. Muszą zniknąć bezpowrotnie. Zniknąć musi „Dąb Bismarcka" i mauzoleum Hindeburga. Zniknąć musi każdy zamek krzyżacki, stojący na kościach robotnika polskiego i wiele innych. Ziemia mazurska i jej mieszkaniec – Mazur musi natychmiast przyjąć czyste oblicze mazurskie – polskie.

30. Muzeum.

Zorganizować trzeba dobre muzeum regionalne ziemi mazurskiej, które zobrazuje wkład elementu polskiego w pracę twórczą na tej ziemi i uwidoczni 8-wiekowe zmagania się ludu w walce o polską duszę Mazura.

VIII. SPRAWY KOŚCIELNE

Jedno z ważnych zagadnień ziemi mazurskiej to sprawy kościelne. Ludność jest w 95,6 % wyznania ewangelickiego i należy do Konsystorza w Królewcu. Trzeba wiedzieć, że protestantyzm na Mazurach to nie niemieckość. Kościół ewangelicki bowiem był prawie aż do końca XIX wieku ostoją polskości na Mazurach. Różni się on od wszystkich Kościołów ewangelickich w świecie swoim charakterem wewnętrznym polsko-słowiańskim, ma pewne wspólne cechy polskie z Kościołem ewangelickim na Śląsku Cieszyńskim. Dopiero na początku XX wieku staje się Kościół ośrodkiem germanizacyjnym. Chcąc przywrócić Kościołowi ewangelickiemu na Mazurach jego pierwotne oblicze polskie, należy postąpić następująco:

Władze państwowe unieważniają natychmiast dotąd obowiązującą ustawę kościelną tegoż Kościoła i spowodują opracowanie nowej.

Nie wolno pod żadnym pozorem czynić rekatolizacji Mazurów. Historia i szerokie doświadczenia nasze wykazały, że próby takie przynosiły państwu polskiemu li tylko szkody.

W miejscowościach zamieszkałych przez ludność ewangelicką unikać należy urządzania wszelkich procesji i mszy polowych, gdyż wpływałyby one ujemnie na pracę narodowo-odrodzeniową.

Stosunki Kościoła rzymskokatolickiego na ziemi mazurskiej uregulują naczelne władze Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce.

Dopilnować należy, by wszystkie Kościoły – tak ewangelickie, jak też katolickie odłączone zostały od wszelkiego wpływu na życie państwowe i polityczno-narodowe. Spowodować trzeba natychmiastową likwidację wszelkich zewnętrznych i wewnętrznych oznak niemczyzny i obczyzny we wszystkich kościołach na terenie województwa mazurskiego.

IX. PROPAGANDA

Propagandzie, kierowanej na ziemię mazurską, przyświecać powinna myśl naczelna: „Odrodzenie narodowe ludu mazurskiego". Wobec tego unikać należy takich momentów, które drażniłyby uczucia Mazura.

*

POZWOLĘ SOBIE ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA PEWNE, W SWEJ TREŚCI BARDZO WAŻKIE, FRAGMENTY *MEMORIAŁU*:

1. „Granice województwa mazurskiego nie będą się równały granicom dzisiejszych Prus Wschodnich".

2. „W stosunku do ludności niemieckiej zastosujemy zupełnie inny (niż do polskiej) sposób postępowania. Niemców na krwią naszą zroszonej ziemi tolerować dłużej nie będziemy, twardo i bezwzględnie zastosujemy do nich ich własne prawo: pozbawimy ich wszelkich praw, a więc i prawa pobytu na naszej ziemi".

3. „Zmiana nazwisk i imion na polskie".

4. „Konfiskacie ulega całkowity majątek ruchomy osób niemieckiej narodowości i przechodzi na własność państwa".

5. „Wszystkie zabytki, pomniki i pamiątki panowania Niemców na terenie ziemi mazurskiej usunie się radykalnie i bezapelacyjnie. Nie wolno ich pozostawić nawet mimo ich wartości artystycznych, architektonicznych czy też naukowych. Muszą zniknąć bezpowrotnie".

6. „Spowodować trzeba natychmiastową likwidację zewnętrznych i wewnętrznych oznak niemczyzny i obczyzny we wszystkich kościołach na terenie województwa mazurskiego".

Gdy czytam to dzisiaj, i to w Republice Federalnej Niemiec, ja, syn Ziemi Mazurskiej, *Memoriał Związku Mazurów*, a szczególnie wyżej podane fragmenty, to ogarnia mnie to samo przerażenie, jakie przeżywałem w czasie okupacji w Warszawie, czytając: *Program Obozu Narodowo-Radykalnego* – ONR-u o likwidacji niemczyzny.

Dziś, w świetle wydarzeń, które zaszły na Ziemi Mazurskiej Prus Wschodnich od stycznia 1945 roku do dnia dzisiejszego, okrywam się wstydem i hańbą. Jak mógł w naszych umysłach, działaczy mazurskich, powstać tak haniebny, nieludzki program?

A co jest najtragiczniejsze, że prezes Karol Małłek, przez złożenie *Memoriału* w ręce Rządu Polski Ludowej, uznał „misję" Związku Mazurów za „wykonaną", rozwiązując jednocześnie Związek Mazurów.

Przeciwnie. Właśnie teraz dopiero, po złożeniu *Memoriału*, powinien Związek Mazurów rozpocząć swoją „misję historyczną", realizując swój program według własnego zrozumienia spraw, przedstawionych w *Memoriale*. Tymczasem prezes Karol Małłek „umył rączki", zdając losowi sprawę Ludu Mazurskiego. „Niech się dzieje wola Boska". Karol Małłek nie przewidział, że nie „wola Boska" dziać się będzie, lecz dziać się będzie wola „Matki Boskiej" i to pod ochroną komunizmu. Nie szkodzi: „cel uświęca środki" – oto dewiza, która została zastosowana.

Jak Polacy, pędzeni duchem „wypraw krzyżowych", rozumieli i realizowali Program Związku Mazurów (nie musieli go wcale znać), przekonaliśmy się naocznie, biorąc udział, już nie jako Związek Mazurów, ale indywidualnie w administracji państwowej na Mazurach: Karol Małłek jako przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej w Działdowie, później jako kierownik Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach; Eugeniusz Piecha jako powiatowy inspektor szkolny w Działdowie, później profesor gimnazjum tamże; Walter Późny jako starosta powiatowy w Szczytnie, później wicewojewoda w Olsztynie. Jerzy Burski jako pierwszy wicewojewoda w Olsztynie, Jan Sczech jako referent Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie, później pastor Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Mrągowie, Gustaw Leyding jako referent Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie, później w Starostwie Powiatowym w Szczytnie. Edward Małłek, krótki czas jako starosta powiatowy w Nidzicy, później pastor Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Ełku, Bogdan Wilamowski jako wicewojewoda w Olsztynie i poseł na sejm. Również Walter Późny był posłem. Dr Adolf Szymański jako Komisarz Ziemski przy Urzędzie Wojewódzkim w Olsztynie, Fryderyk i Emil Leykowie, Fryderyk Późny, Wilhelm Burski i inni na różnych stanowiskach państwowych.

Przypatrzmy się, co działo się po objęciu administracji Prus Wschodnich przez Polskę.

Obszar Prus Wschodnich najpierw Stalin poćwiartował na część sowiecką, litewską i polską. Polska część swoją z miejsca podzieliła na dwie części: białostocką (powiaty: Ełk, Olecko, Gołdap) i olsztyńską z resztą powiatów Prus Wschodnich.

W obecnych (w 1989 roku) granicach trudno się rozeznać. Kto by przypuszczał, że Wejsuny będą należały do województwa suwalskiego. Takich zmian Związek Mazurów nie przewidywał. Ale takich zmian życzy sobie szowinizm polski, by resztę „Niemców" zniechęcić i wypędzić z Polski.

To samo zaproponował w swoim *Memoriale* ks. senior, pułkownik WP Gloeh dnia 10 września 1945 roku do władz państwowych. A oto odpowiedni wyjątek jego wypowiedzi na ten temat:

1945, 10 wrzesień, Warszawa.

Memoriał ks. seniora Feliksa Gloeha,

skierowanego do Departamentu Wyznań Ministerstwa Administracji Publicznej, sporządzony na podstawie obserwacji podczas objazdu Mazur w czasie od 11-22 sierpnia 1945.

Rkps AAN, Warszawa MAP, sygn. 1059, k 8-14

„Do całości tego złego tuż przed wojną stworzono na tym skrawku ziemi mazurskiej „Związek Mazurski", do którego nie przyjmowano nikogo z Polaków, prócz rodowitych Mazurów i w ten sposób jeszcze bardziej wyodrębniono i odseperowano pojęcie „Mazur" od ogólnie przyjętego pojęcia Polak, ten przesąd separatystyczny, a tak dla państwowości polskiej szkodliwy, pokutuje i po dzień dzisiejszy w całym okręgu olsztyńskim. Wyraził to dosadnie, a zbyt otwarcie starosta szczytnowski Walter Późny w rozmowie ze mną słowami: jak Polska dla... i Polaków – tak Mazury dla Mazurów…

Tak oto referent do spraw wyznaniowych wydziału społeczno-politycznego (Urzędu Pełnomocnika) Jan Sczech, chociaż na nasz koszt Gimnazjum M. Reja i Wydział Teologii Uniwersytetu Warszawskiego jest tym, który zamiast przyłączone do Polski prowincje z Macierzą jednoczyć i różnice dzielnicowe wygaszać, sam ten separatyzm wzmacnia przez uniemożliwienie czynnikom i Władzom Kościoła Ewangelicko-Augsb. w Warszawie przeniknięcie w teren, objęcie opieki duszpasterskiej nad Mazurami i wywieranie na nich wpływów w duchu ogólnopolskim. Jan Sczech pochodzi z Mazur, rodzice jego i krewni pozostali pod okupacją niemiecką, rejestrowali się jako Niemcy...

I. Wniosek:

Usunąć wszelkie granice między Okręgiem Mazurskim a resztą kraju. Wbrew temu, co sobie życzą różni działacze i opiekunowie Mazurów – podzielić powiaty mazurskie między sąsiednie województwa tak, aby Mazury Pruskie jako odrębna dzielnica przestały grać rolę i zaprzątać głowę niepowołanym megalomanom...

III. Wniosek:

Zrewidować i poddać korekcie referat Narodowo-Wyznaniowy Wydziału Społeczno-Politycznego przy Urzędzie Pełnomocnika Rządu Polskiego na Okręg Mazurski.

Kler rzymsko-katolicki zwodzi Mazurów swoim jezuickim hasłem, że tylko katolik to Polak i w ten sposób nawracają ich do rzymskiego wyznania.

Wielu Mazurów zapisało się do Kościoła rzymsko-katolickiego. Spotkało ich jednak wielkie rozczarowanie, gdyż przez to praw obywatelskich nie otrzymali i pozostają nadal skoszarowani w Narzymiu.

Milicja nie tylko nie interweniuje, ale jeszcze dopomaga do terroryzowania ludności mazurskiej. W pojęciu Milicji i Resortu Bezpieczeństwa każdy Mazur to Niemiec, a Mazur to tylko ewangelik... W Olsztynie pozostało dwóch księży ewangelickich: ks. superintendent Rzadki – Mazur i pastor Schwede – Niemiec. Wojewoda Burski odbył osobistą rozmowę z księdzem Rzadkim i proponował mu podpisanie deklaracji na wierność Narodowi Polskiemu i pozostawienie go na urzędzie w Olsztynie. Ten jednak prosił [o] parę dni do namysłu i odmówił.

Ks. superintendowi Rzadkiemu nic nie mogę zarzucić. Gdyby pozostał, byłby pożytecznym działaczem wśród rzeszy Mazurów. Jest podejrzanie uzasadnione, że odmówił pod wpływem propagandy niemieckiej."

(Jest to skrócony wyciąg z archiwum w Warszawie.)

To są słowa „przyjaciela Ludu Mazurskiego" z 1920 i następnych lat w Działdowie. Słowa Polaka Gloeha!

Tak zrealizowano i realizuje się wciąż zmianę granic Prus Wschodnich, w których żył lud mazurski taki, jaki został ukształtowany przez historię. Czy takich zmian granic życzył sobie Związek Mazurów?

Drugi problem według *Memoriału* Związku Mazurów: „**Ludność niemiecka musi ziemię mazurską Prus Wschodnich opuścić".**

Problem ten właściwie definitywnie załatwiły już zwycięskie mocarstwa w Jałcie i Poczdamie.

W pojęciu „Niemiec" istniała zasadnicza różnica między Polakami a działaczami mazurskimi. Związek Mazurów uważał za Niemców ludność pochodzenia niemieckiego, natomiast Polacy Niemcami nazywali ewangelików.

A ponieważ ludność Prus Wschodnich łącznie z Mazurami była w 98 % ewangelicka, a reszta, choć katolicka, była niemiecka, więc w pojęciu Polaków problem, który nie wymaga rozdrobnienia: „Wszyscy są Niemcami, wszyscy muszą opuścić Prusy Wschodnie".

Przystąpiono radykalnie do likwidacji Niemców. Rozpoczęto od „Niemców" powiatu działdowskiego, którzy już w styczniu znaleźli się w rękach administracji polskiej, gdy tymczasem Niemcy innych powiatów byli w rękach wojsk sowieckich aż do czasu przekazania administracji władzom polskim.

Polscy „krzyżacy" takiej miary, jak Świgoń, komendant Milicji Obywatelskiej w Iłowie, wychowanek Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie, i jego kolega, też wychowanek tegoż seminarium, nie używali określenia „Niemiec", tylko „ewangelik". Nakaz brzmiał na przykład: „Ewangelicy mają się stawić na posterunek Milicji Obywatelskiej w Iłowie". Ewangelików pędzono do przymusowych robót. A więc znaleźli się między nimi członkowie Związku Mazurów: Michał Żywiec, wójt przedwojenny, więzień obozu hitlerowskiego w Olsztynku i Hohenbruch, z rodziny Małłek: August, Emil i Jadwiga.

Innych ewangelików spędzono w każdej wsi do „gett" – „Belwederów", skąd wysyłano ich do robót przymusowych. Ewangelicy wsi Narzymia zostali spędzeni i pod groźbą śmierci zostali przez ks. katolickiego Kobylińskiego zmuszeni do przyjęcia chrztu, komunii i przekazania kościoła katolikom. Polskim katolikom bardzo zależało na zlikwidowaniu ewangelików Działdowszczyzny, którzy przez 20 lat przynależności do Polski, nie dali się skatolizować. Ponieważ przed wojną byli obywatelami polskimi, przez Hitlera zaliczeni do *Volksdeutschów*, więc posypały się procesy „rehabilitacyjne", np. mojej i Karola siostry Marty Żbikowskiej, Fiergołówny z Pierławki i innych.

Karol Małłek wspomina w pamiętnikach, że udało się zlikwidować „Belwedery". Nie podaje jednak, w jaki sposób nastąpiła likwidacja. Odpowiedź na to daje moja siostra Jadwiga, która przeżywała te wydarzenia w Brodowie:

„Jesienią, po zakończeniu robót w polu, młodych, zdolnych do pracy wywieziono na Syberię, a starych transportami w różnych kierunkach, po których ślad zaginął, np. starzy Jebramowie z Brodowa, nasi krewni. Gospodarstwa rolne zagarnęli samowolnie parobki dawnych właścicieli. Michał Żywiec został wypędzony ze swego gospodarstwa.

Zabrano gospodarstwa rolne: Augustowi Małłek w Rutkowicach, Emilowi Małłek w Klęczkowie, zabijając w jasny dzień jego teścia. Zabrano gospodarstwo Janowi Buechlerowi, który był członkiem Związku Mazurów. Wreszcie i Marta Żbikowska, moja siostra, straciła swoje gospodarstwo w Pierławce, bowiem zostało upaństwowione. Jednym sło-

wem, wszyscy ewangelicy potracili swoje gospodarstwa w powiecie działdowskim. Jedynie w Brodowie pozostaje na własnym gospodarstwie moja Mateczka z moją siostrą Jadwigą, walcząc z trudnościami gospodarczymi, gdyż zostały doszczętnie wyrabowane z wszelkiego inwentarza żywego, martwego i domowizny.

Działacze Mazurscy starali się przeciwstawić się rugowaniu, wysiedlaniu, wypędzaniu Mazurów – ściślej mówiąc ewangelików, bowiem to samo działo się na ziemiach po rzekę Odrę. Wysiedlanie przybrało zastraszające rozmiary. Całe transporty szły przez Szczecin i Śląsk za Odrę i Nysę, przeważnie do Niemiec Zachodnich.

Czy można wyobrazić sobie, że wypędza się z gospodarstwa rolnego dr. A. Szymańskiego, więźnia obozu koncentracyjnego, b. pierwszego sekretarza osobistego wojewody pomorskiego, gdy Polska z niewoli powstała?

Działacze Mazurscy starają się przeciwstawić się nieludzkiemu wysiedlaniu przez Polaków, katolików, interweniując u władz wyższych, ale bez skutku".

179
Próba reaktywowania Związku Mazurów

Nie wiem, jak to się stało, że trzech działaczy na Mazurach: Eugeniusz Piecha – inspektor szkolny w Działdowie, ks. ewangelicki – Ewald Lodwich i Karol Małłek – już jako kierownik Mazurskiego Uniwersytetu w Pasymiu-Rudziskach wnieśli na początku 1946 roku podanie do Powiatowej Komisji Międzypartyjnej w Działdowie o zalegalizowanie Związku Mazurów. Nie będę wchodził w to, kto z nich był wnioskodawcą. Widocznie zrozumiano, że rozwiązanie Związku Mazurów przez prezesa Karola Małłka dnia 13 grudnia 1944 roku było błędem, bowiem działacze mazurscy stracili prawo działania jako grupa. Obecnie chciano ten błąd naprawić. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy: dlaczego wniosek o reaktywowanie Związku Mazurów wniesiono w Działdowie?

Czy ewentualnie uznany Związek Mazurów miałby obejmować swoim działaniem tylko powiat działdowski? Jeżeli tak myślano, to uważam, że sprawa reaktywowania Związku Mazurów była z góry przegrana, choćby tylko dlatego, że wtedy w 1946 roku ludność mazurska-ewangelicka na Działdowszczyźnie była w co najmniej 98% wysiedlona i nadal wysiedlana. Więc dla kogo miałby Związek Mazurów być potrzebny, skoro nawet dwaj z wnioskodawców (Karol Małłek i ks. Ewald Lodwich) opuścili ziemię działdowską? Czyż nie realniejszą była okazja reaktywowania Związku Mazurów w Olsztynie przez Urząd Wojewódzki? Jako działacze mazurscy byliśmy wszyscy na Mazurach. Łatwo było nam się zebrać, zamiast bawić się w „Mazurski Instytut Naukowy". Należało zorganizować się w Związek Mazurski, włączając do Statutu możliwie dawną myśl Związku Mazurów odnośnie „Autonomii Prus Wschodnich", o którą walczył też Fryderyk Leyk.

Myślę, że były wtedy ku temu sprzyjające warunki, gdyż po wyzwoleniu mieliśmy przychylne władze wojewódzkie w Olsztynie z własnym wicewojewodą Burskim, a nawet może i Rząd PRL w Warszawie. Niestety, o takim wniosku nie wiem.

No tak, teraz po przeszło 40 latach łatwo i krytykować, i cudownie „planować". Nie jest mi wiadomo, ilu działaczy mazurskich wiedziało o wniosku reaktywowania Związku

Mazurów w Działdowie. Ja dowiedziałem się o tym dopiero w Hamburgu w 1988 roku, otrzymując od Bogdana Piechy, syna Eugeniusza, kopię „protokółu Pow. Komisji Międzypartyjnej Str. Pol. w Działdowie z dnia 10.2.46 r.”, w którym czytamy (piszę czcionkami polskimi, gdyż oryginał jest pisany maszyną niemiecką):

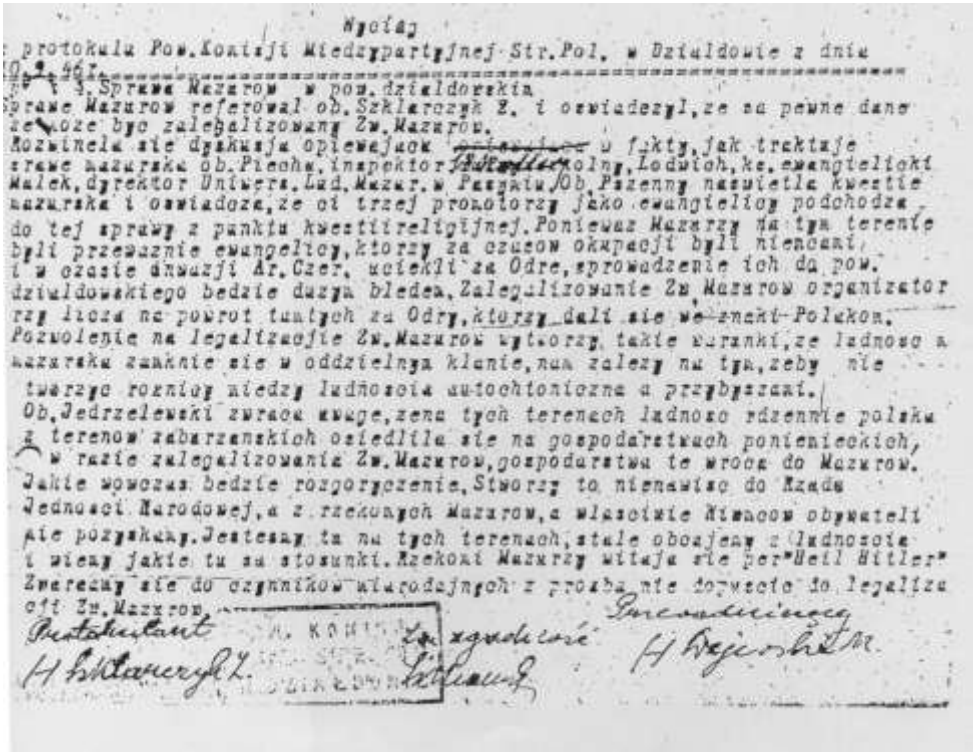

Wyciąg
z protokulu Pow.Komisji Miedzypartyjnej Str.Pol. w Dzialdowie z dnia
10.9.46r.
Pkt 4.Sprawa Mazurow w pow.dzialdowskim
Sprawe Mazurow referowal ob.Szklarczyk Z. i oswiadczyl,ze sa pewne dane
ze moze byc zalegalizowany Zw.Mazurow.
Rozwinela sie dyskusja opiewajaca w fakty,jak traktuje
sprawe mazurska ob.Piecha,inspektor szkolny,Lodwich,ks.ewangielicki
Malek,dyrektor Uniwers.Lud.Mazur.w Pasymiu.Ob.Pszenny naswietla kwestie
mazurska i oswiadcza,ze ci trzej promotorzy jako ewangielicy podchodza
do tej sprawy z punktu kwestii religijnej.Poniewaz Mazurzy na tym terenie
byli przewaznie ewangelicy,ktorzy za czasow okupacji byli niemcami
i w czasie inwazji Ar.Czer. uciekli za Odre,sprowadzenie ich do pow.
dzialdowskiego bedzie duzym bledem.Zalegalizowanie Zw.Mazurow organizator
rzy licza na powrot tamtych za Odry,ktorzy dali sie we znaki Polakom.
Pozwolenie na legalizacje Zw.Mazurow wytworzy takie warunki,ze ludnosc m
mazurska zamknie sie w oddzielnym klanie,nam zalezy na tym,zeby nie
tworzyc roznicy miedzy ludnoscia autochtoniczna a przybyszami.
Ob.Jedrzelewski zwraca uwage,zena tych terenach ludnosc rdzennie polska
z terenow zaburzanskich osiedlila sie na gospodarstwach poniemieckich,
w razie zalegalizowania Zw.Mazurow,gospodarstwa te wroca do Mazurow.
Jakie wowczas bedzie rozgoryczenie,Stworzy to nienawisc do Rzadu
Jednosci Narodowej,a z rzekomych Mazurow,a wlasciwie Niemcow obywateli
nie pozyskamy.Jestesmy tu na tych terenach,stale obcajemy z ludnoscia
i wiemy jakie tu sa stosunki.Rzekomi Mazurzy witaja sie per"Heil Hitler"
Zwracamy sie do czynnikow miarodajnych z prosba nie dopuscic do legaliza
cji Zw.Mazurow.

„Wyciąg z protokółu Pow. Komisji Międzypartyjnej Str. Pol. W Działdowie z dnia 10.9.46, Pkt. 4 – Sprawa Mazurów w pow. działdowskim

Sprawę Mazurów referował ob. Szklarczyk Z. i oświadczył, że są pewne dane, że może być zalegalizowany Zw. Mazurów.

Rozwinęła się dyskusja opiewająca w fakty, jak traktuje sprawę mazurską ob. Piecha, inspektor szkolny, Lodwich, ks. ewangelicki, Małek, dyrektor Uniwers. Lud. Mazur. w Pasymiu.

Ob. Pszenny naświetla kwestię mazurską i oświadcza, że ci trzej promotorzy jako ewangelicy podchodzą do tej sprawy z punktu kwestii religijnej. Ponieważ Mazurzy na tym terenie byli przeważnie ewangelicy, którzy za czasów okupacji byli niemcami i w czasie inwazji Ar(mii) Czer(wonej) uciekli za Odrę, sprowadzenie ich do pow. działdowskiego będzie dużym błędem.

Zalegalizowanie Zw. Mazurów organizatorzy liczą na powrót tamtych za Odry, którzy dali się we znaki Polakom. Pozwolenie na legalizację Zw. Mazurów wytworzy takie wa-

runki, że ludność mazurska zamknie się w oddzielnym klanie. Nam zależy na tym, żeby nie tworzyć różnicy między ludnością autochtoniczną a przybyszami.

Ob. Jędrzelewski zwraca uwagę, że na tych terenach ludność rdzennie polska z terenów zaburzańskich osiedliła się na gospodarstwach poniemieckich, w razie zalegalizowania Zw. Mazurów, gospodarstwa te wrócą do Mazurów. Jakie wówczas będzie rozgoryczenie. Stworzy to nienawiść do Rządu Jedności Narodowej, a z rzekomych Mazurów, a właściwie Niemców obywateli nie pozyskamy. Jesteśmy tu na tych terenach, stale obcujemy z ludnością i wiemy jakie tu są stosunki. Rzekomi Mazurzy witają się per „Heil Hitler". Zwracamy się do czynników miarodajnych z prośbą, [by] nie dopuścić do legalizacji Zw. Mazurów.

Podpisy:

Przewodniczący – Dejewski M.,

Protokulant – Szklarczyk Z."

Kopię potwierdził: Za zgodność – Szklarczyk, przykładając podłużną pieczęć: Pow. Komisja..." dalsze słowa niewyraźne. Niewyraźna jest też data protokółu, być może, że ma być 10.9.46 r. – to dla wyjaśnienia.

Klika Międzypartyjna w Działdowie z panem Pszennym (reakcjonistą), a jakże, naszym przedwojennym niby „przyjacielem" na czele, zarzuca wnioskodawcom reaktywowania Zw. Mazurów, że „kierują się względami religijnymi". Bezstronnie trzeba przyznać, że Mazurzy to ewangelicy. Ale to nie przeszkadzało, że Polska, pretendująca do Prus Wschodnich, zawsze twierdziła, że Mazurzy to Polacy. A czym kieruje się pan Pszenny i Komisja Międzypartyjna, ach, jak wielce „komunistyczna?" Czyż nie względami religijnymi? Można by przy tak bolesnej i tragicznej sprawie zażartować: „garnek garnkowi przysmala".

Karol Małłek, b. prezes Zw. Mazurów, musiał stwierdzić na posiedzeniu Komisji Międzypartyjnej, że „zagwarantowanie miejsca dla reemigracji Mazurów np. z Nadrenii", co przewidywano w *Memoriale* Zw. Mazurów, było mrzonką i pobożnym życzeniem. W każdym razie do zalegalizowania Związku Mazurów nie doszło. Akcja prześladowań, likwidacja reszty Mazurów Działdowszczyzny szła dalej.

W listopadzie 1947 roku aresztują mego brata Emila z jego żoną Agatą z d. Marrek, oboje członkowie b. Związku Mazurów. Nie wystarczyło, że teść brata, Marrek, został zastrzelony. Już w styczniu 1945 roku wypędzono całą rodzinę (teściową, żonę z niemowlęciem i drugim synem) z gospodarstwa w Klęczkowie. Musieli się schronić u mojej Mateczki w Brodowie. Ale i tu nie zaznali spokoju. Aresztowano ich i osadzono w więzieniu w Działdowie. To, że zostało niemowlę bez karmicielki matki, to nikogo nie wzruszało. Siedzieli od listopada 1947 roku do końca lutego 1948 roku. Zwolnieni „warunkowo" bez procesu, bez wyroku. Wkrótce brat z rodziną wyprowadził się, raczej uciekł do powiatu szczytnowskiego, do „Prus", gdzie po pewnym czasie znalazł pracę w browarze jako robotnik.

Brat August, członek Związku Mazurów, wypędzony z gospodarstwa w Rutkowicach, w obawie przed aresztowaniem, uciekł przez „zieloną" granicę do Niemiec Zachodnich.

O to właśnie Polakom chodziło: rozsadzić „twierdzę mazurską" – rodzinę Małłków w Brodowie, w której żyło siedmioro osób. W „twierdzy" pozostały dwie niewiasty: moja Mateczka, lat 77, i siostra Jadwiga, lat 39. Było to w końcu 1948 roku. Pozbawione mężczyzn, gospodarowały, jak tylko mogły. Jeszcze za Sowietów miały dwie krowy, jedną od siostry Marty, drugą uratował Emil ze swego gospodarstwa w Klęczkowie. Gdy Ruski ode-

szli, Polacy zaczęli gospodarować po swojemu. Wprowadzili „obowiązkowe dostawy" płodów rolnych, przede wszystkim zboża i żywca. W 1948 roku dostały ode mnie z darów Kościoła Metodystycznego w Ełku jednego konia. Mateczka z Hedką starały się wywiązać z nałożonych kontyngentów, może jedyni z Brodowa. Za każde wykonanie dostaw otrzymywały pochwałę. Następnego dnia przychodziła Komisja sprawdzić zapasy. Po kontroli dostawały „domiar". Na drugi rok kontyngent był podwyższony. Tak było z roku na rok: dziś pochwała, jutro domiar. Nasuwa się przy tym powiedzenie arabskie: „całuj i zabijaj!". Wprawdzie metoda i sposób były inne, ale skutek ten sam. Dręczenie Mateczki i siostry przybrały wprost groteskowy rozmiar. Z dwóch posiadanych krów, zabrano jedną, tę mleczną, i dano Polakowi Wysmułkowi, gospodarzowi na kolonii (po Gradkim), który handlował mlekiem, dowożąc do Olsztyna. Pewnego dnia Hedka, siostra, dostaje wezwanie stawić się w Gminie w Iłowie. Tam dostaje jeden kilogram masła za zabraną krowę. Czy to nie drwiny?!

Metoda stosowana przeciwko Mateczce i Hedce była skuteczna. Zniszczone, zmęczone, zniechęcone do wszystkiego, oświadczyły, iż dalej prowadzić gospodarstwa nie są w stanie. Ponieważ brat Jan jako właściciel gospodarstwa, nagle zmarł w 1942 roku, nie zostawiając testamentu, przeto pozostała przy życiu rodzina zebrała się i postanowiono na wniosek Karola sprzedać gospodarstwo. Już przedtem Karol sprzedał swoją „Zawieś", którą uzyskał przy zapisach Ojca w 1937 roku, a dalej dzierżawionej przez brata Jana. To był drugi akt likwidacji ojcowizny. Obecnie zebraliśmy się do „odegrania" trzeciego i ostatniego aktu likwidacji spuścizny po rodzicach. Preludium do tego było postępowanie spadkowe przed sądem w Działdowie. Wszyscy uprawnieni do spadku zrzekliśmy się na rzecz siostry Hedki, Jadwigi.

Sprzedaży gospodarstwa za bezcen dokonano wiosną 1956 roku, sporządzając u notariusza akt sprzedaży-kupna. Nabywcą stał się pan Frankowski z Pierławki. Tak zmarnowaliśmy krwawicę, ciężki dorobek Rodziców. Straciliśmy dom i prawo do niego. Nasuwają się smutne refleksje...

Kilka lat wcześniej sprowadziłem siostrę Martę z dwiema córkami (po wypędzeniu ich z gospodarstwa w Pierławce) do Ełku. Teraz dołączyły do nich Mateczka i Hedka. W ten sposób Polska Ludowa zlikwidowała „twierdzę" mazursko-ewangelicką w Brodowie. Hura! Zwycięstwo rzymskiego katolicyzmu.

Krocząc stopami „Smętka" po Ziemi Działdowskiej próżno szukałbyś Mazura ewangelika w Purgałkach, Chorabiu, Białutach, Pruskach, Janowie, Iłowie, Sochach, Dźwierzni, Kraszewie, Narzymiu, Kisinach, Kurkach i innych miejscowościach powiatu działdowskiego. Jedyną „rodzynką" tego rodzaju jest podobno pan Burski, krewniak byłego wicewojewody olsztyńskiego, który gospodaruje w Skurpiu. Jak długo?... A może już go nie ma?... Jugosłowiańska poetka powiedziała takie słowa:

Robak pozostawia po sobie ślad –

Człowiek pozostawia po sobie czyny.

Takie czyny pozostawili Polacy-katolicy w Brodowie, Narzymiu, Działdowie... Czy tylko tam? Posłuchajmy na ten temat słów księdza Alfreda Jaguckiego:

„Z jaką nadzieją rozpoczynałem w roku 1945 moją pracę na Mazurach, nie tylko jako ksiądz, ale też przez jeden rok szkolny jako etatowy nauczyciel w szkole w Sorkwitach... Wtedy było na Mazurach około 100 tysięcy ewangelików. Patronat nad szkołą w Sorkwitach objęli studenci Uniwersytetu Łódzkiego, którzy założyli w zamku sorkwickim obóz

wypoczynkowy. Wykonywali piękną pracę społeczną wśród Mazurów: »Nareszcie przyszła do nas Polska«. Owoce tej pracy zostały jednak przekreślone, gdy podczas pożegnalnej imprezy... przemówił do zebranych dziekan z Mrągowa, który zwrócił się do studentów między innymi takimi zdaniami: »Mazurzy są nam z jednej strony bliscy, bo są kość z kości, krew z krwi polskiej. Jednak z drugiej strony są nam dalecy, bo mają luterską wiarę. Módlcie się do Marii, Królowej Korony Polskiej, żeby we wierze stali się nam bliscy«. Skutek był taki, że Mazurzy zaczęli się dyskretnie rozchodzić, a potem słyszałem głosy: »To jednak mieli podczas plebiscytu rację ci, którzy nam mówili: Nie głosujcie za Polską, bo jest katolicka i wy będziecie musieli być katolikami«... W roku 1959 rozeszła się po Mazurach wieść, że dostojnik Kościoła katolickiego powiedział w Świętej Lipce: «Na mapie Mazur była kiedyś jedna wielka czarna plama luterska. Teraz one już się zmniejszyły, a muszą zniknąć zupełnie«".

W jaki sposób mają zniknąć „plamy luterskie?"

Przytoczę kilka zdań z pisma księdza Firli, skierowanego do Ekumenicznej Rady Kościołów i innych instytucji ewangelickich za granicą o sytuacji w Polsce (dowolnie tłumaczonego tekstu niemieckiego, podanego w „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z dnia 20.11.1981 roku):

„Ksiądz Firla, który obsługiwał dotąd dwanaście samodzielnych parafii ewangelickich na Mazurach, przed Wielkanocą 1981 roku »ukradziono« ewangelicki kościół w Ukcie, 3 maja katolicy gwałtem zajęli kościół w Nawiadach i 9 października Szestno. Ksiądz Firla protestował do władz państwowych, ale one nie przedsięwzięły żadnych kroków przeciw grabieżcom. Ewangelików przezywa się od »Szwabów«, »Niemców«, »Hitlerowców«. Ewangelickie cmentarze są niszczone, szyby kościelne tłuczone" .

W ten sposób „plama luterska" jedna za drugą znika, znika, znika. Polacy-katolicy przez wypędzenie Mazurów-ewangelików z kościoła i z ich domu, widzą „braci z krwi i kości". Jeżeli mówią, plama ta musi zniknąć, to trzeba rozumieć zginąć z ziemi mazurskiej.

A oto, co podaje o sobie Fryderyk Leyk, który był działaczem w czasie Plebiscytu w 1920 roku i w czasie okupacji: „Luterski Szwabie wynoś się do Niemiec, póki nie jesteś sprzątnięty".

W latach 50. (dokładnych dat nie znam) następuje fala aresztowań. Kogo? Właśnie, kogo? Wzięli się do „działaczy mazurskich". Zostają osadzeni w więzieniu (nie znam kolejności): Jerzy Burski, były pierwszy wicewojewoda olsztyński, Walter Późny, starosta w Szczytnie, Emil Leyk, inżynier budowlany, Gustaw Leyding, urzędnik starostwa w Szczytnie. Inni, jak Bogdan Wilamowski, Fryderyk Leyk, obrzucani są szkodliwymi insynuacjami. Karol Małłek, były prezes Związku Mazurów, doznaje upokarzających zwolnień, przesunięć w pracy i wreszcie wysłany na przymusową, mizerną rentę 206 zł miesięcznie – rok 1951. Ciekawe byłyby wypowiedzi aresztowanych, którzy po kilku miesiącach zostali zwolnieni bez procesu i bez wyroku sądowego. Można sobie wyobrazić, jakie tortury, choćby tylko psychiczne (może i inne), musieli znosić i przeżywać, skoro grożono im wyrokiem śmierci.

O co władzom chodziło, aresztując działaczy mazurskich? Niewątpliwie chodziło im o to, aby złamać ich duchowo i co najmniej nastraszyć, że w każdej chwili mogą się znów znaleźć za kratkami. Co więcej, chodziło im o to, aby działacze nie przeszkadzali w akcji likwidacji niemczyzny, bowiem stawali w obronie miejscowej ludności. Po prostu zniechę-

cić ich do działania. „Przestraszenie" odniosło skutek: działacze bali się nawet spotykać między sobą. Brat, Karol Małłek, Bogdan Wilamowski, może i inni, będąc w Ełku nie wstępowali do mnie, bo byłem „trefny", gdyż jako pastor metodystyczny utrzymywałem kontakt z Amerykankami, a to zakrawało na wyższego stopnia szpiegostwo.

Od wielu lat pisze się w Polsce dużo o Mazurach. Wielu pisarzy polskich występuje w obronie Mazurów, których już prawie nie ma. Wielu z nich wytyka i krytykuje błędy i „wypaczenia" stosowane wobec ludności mazurskiej Prus Wschodnich. Przy tym wymienia się sprawców prześladowania. Są nimi: szabrownicy, nieświadome elementy społeczne, aparat partyjny, administracja publiczna, nieodpowiedzialni funkcjonariusze partii, Milicji Obywatelskiej, Urzędu Bezpieczeństwa itd. itp. Nawet niektórzy ministrowie przyznają się do „błędów i wypaczeń" w stosunku do Mazurów. Czytałem w polskiej prasie, że nawet taki „bandzior", dręczyciel ludu mazurskiego, generał-minister Moczar, były wojewoda olsztyński, krótko przed śmiercią przyznał, że popełnił sporo błędów wobec Mazurów, bo „Warmiacy podprowadzili go przeciw Mazurom". W słowach Moczara kryje się niemało prawdy.

Działacze warmińscy jako katolicy znalazłszy się w orbicie państwa polskiego, uważali się za prawowiernych Polaków. Zetknąwszy się z działaczami mazurskimi, powstał między nimi antagonizm. Może określenie „antagonizm" nie jest właściwe, bo działacze mazurscy ograniczali swoją działalność wyłącznie do powiatów mazurskich i nie pretendowali być reprezentantami Warmii, natomiast Warmiacy starali się być przedstawicielami całych Mazur (Prus Wschodnich). Potrafili, gdzie była okazja, podważać autorytet działaczy mazurskich, odmawiając im zasług.

Przykładem tego jest choćby „Decyzja Nr 5 Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie, Nr SW IV/2 b/36/62 z dnia 24.08.1962 roku", mocą której odmówiono Eugeniuszowi Piesze, działaczowi Związku Mazurów, dotacji za przejętą na własność Skarbu Państwa nieruchomość rolną o powierzchni 35.6765 ha, położonej w Zakrzewie, powiat Działdowo. W uzasadnieniu podano, że „o dotację mogą się ubiegać tylko osoby, które wyróżniły się w szczególny sposób w walce przeciwko polityce germanizacyjnej okupanta lub w walce o ustrój ludowo-demokratyczny w Polsce", a „Obywatel nie odpowiada kryterium zawartym w cyt. zarządzeniu". A co najważniejsze w tym piśmie, [to] jest właśnie to, że pismo podpisał działacz warmiński, pan Jan Boenigk.

Antagonizm ze strony Warmiaków ustał, gdy i ich dzieci nazywano „Szwabami" i gdy i Warmiacy masowo zaczęli wyjeżdżać do Niemiec Zachodnich.

Zauważam, że cokolwiek czyta się o eksodusie Mazurów, nikt z pisarzy nie sięga źródła, z którego płynie wrogość Polaków do Narodu Mazurskiego. Odnoszę wrażenie, że pisarze boją się lub wstydzą się nazwać rzecz po imieniu. Nie trzeba być filozofem, ani innym naukowcem, wystarczy mieć oczy otwarte na rzeczywistość, a wnet widać źródło, z którego tryska nienawiść Polaków do Mazurów. Źródłem tym jest tylko i wyłącznie fanatyzm katolicki. Nikt nie może zaprzeczyć, że tak jest. Uważając Mazurów za „heretyków", więc są elementem niepożądanym – *Peresona non grata*. Polski katolicyzm przenika wszystkie dziedziny życia społecznego, politycznego i gospodarczego.

Wystarczy spojrzeć co się dzieje w Polsce. Nawet rząd komunistycznej Polski Ludowej ugiął się przed hierarchią Kościoła katolickiego. Czym jest „Solidarność", nosząca w klapie marynarki czy na piersiach wizerunek papieża, względnie Matki Boskiej? Jest po prostu awangardą katolicyzmu. Ponieważ Polacy uważają, że Polska musi być katolicką,

więc Mazurzy jako ewangelicy muszą opuścić Polskę. Związek Mazurów, opracowując swój *Memoriał*, w swej naiwności, nie przewidywał, że Polacy w imię Matki Boskiej – Królowej Polski, będą pojmowali i realizowali problem Narodu Mazurskiego Prus Wschodnich.

Polacy powiatów nadgranicznych: mławskiego, ciechanowskiego, łomżyńskiego, grajewskiego, suwalskiego, wkraczając w styczniu 1945 roku na Ziemię Mazurską, poczęli usuwać wszelkie napisy, szyldy, drogowskazy, niszcząc w ten sposób ślady niemczyzny. Łupem szalonych fanatyków padły przede wszystkim ewangelickie kościoły i cmentarze, które mieściły całe bogactwo językowe i kulturalne ludu mazurskiego. Palono, niszczono książki pisane po polsku, drukiem gotyckim. Często na rozkaz księdza katolickiego. Przykład: jestem we wsi Straduny, powiat Ełk, spotykam sołtysa, który pokazuje mi egzemplarz *Kancjonału* – śpiewnika mazurskiego, pisanego po polsku, mówiąc: „Takich różnych ksiąg pisanych takim językiem było bardzo dużo, ale ksiądz kazał wykopać dół, wrzucić książki, spalić i zakopać".

Rozbijano pomniki, grobowce, w których „hijeny" w ludzkim ciele szukali w szkieletach złotych pamiątek. Szabrownicy rabowali i wywozili płyty nagrobkowe, przerabiając na nagrobki katolickie w centralnej Polsce. W Ełku zasłynął w pierwszych latach po „wyzwoleniu" grabarz cmentarny (nazwiska już nie pamiętam), który po pogrzebie odkopywał i „rozbierał" trupa, oczywiście upewniwszy się uprzednio o wartości ubioru. Cmentarze ewangelickie przedstawiały pobojowisko. W miejscu, gdzie spoczywała głowa nieboszczyka, kopano jamę, aby dostać się do uzębienia i ewentualnie znaleźć złote koronki.

Polacy, spotykając na Mazurach sieroty, niby „litując" się nad nimi, uprowadzali do Polski, nadając im obce nazwisko i imię, chrzcząc je w Kościele katolickim. Na pewno do dziś dnia błąka się niejedna sierota w Polsce, nie znając swego własnego nazwiska, imienia, ani swoich rodziców. Nawet chłopcu o polskim nazwisku Bucholski nadano obce nazwisko. Pracował jako pastuch w powiecie Grajewo. Bez pytania i zgody zmieniano dorosłym nazwiska i imiona, nawet polskie nazwiska, np. Mazurowi o nazwisku Sobol zmieniono na Sobolewski, jakby wyraz „sobol" nie znajdował się w polskim słowniku.

Czy tak Związek Mazurów, pisząc *Memoriał*, wyobrażał niszczenie śladów niemczyzny? Polacy, naśladując hitlerowców, którzy głosili: „Hier wird nur deutsch gesprochem"[286], nie chcąc być lepszymi od nich, wprowadzili zakaz mówienia po niemiecku. Mazurzy ewangelicy, nie rozumiejący języka polskiego, byli pozbawieni swego języka nawet w kościele. Jako pastor w Ełku nie mogłem używać języka niemieckiego wobec nieznających języka polskiego. A mimo, iż pracę kościelną prowadziliśmy tylko po polsku, i tak byliśmy nazywani Niemcami, Szwabami, hitlerowcami.

Nie mogę pominąć milczeniem punktu czternastego *Memoriału* Związku Mazurów, który głosi: „Konfiskacie ulega całkowity majątek ruchomy i nieruchomy osób niemieckiej narodowości i przechodzi na skarb państwa".

Polacy nie odróżniając Mazurów od Niemców ze względu na ich ewangelicką wiarę, w czambuł własność ludności „Ziem Odzyskanych", w tym i Prus Wschodnich, przejęli na skarb państwa, co zresztą ujęto w formie Dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. W ten sposób pozbawiano ludność miejscowego pochodzenia wszelkiej własności i wszelkiego prawa. Nawet resztki domowizny rabowano, zabierano, konfiskowano, znaj-

[286] Tu mówi się tylko po niemiecku.

dujących się na ręcznych wózkach – „Volkswagenach", powracających uciekinierów, czego byłem osobiście świadkiem, jak staruszce Mazurce zabrano zawartość wózka.

PREZYDIUM
WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
w Olsztynie

Olsztyn, dnia 24.08.1962 r.

Nr SW.IV/2b/36/62

D E C Y Z J A Nr 5

Na podstawie art.77 ust.2 ustawy z dnia 25.I.1958 r. o radach narodowych /Dz.U. Nr 5, poz.16/, § 4 uchwały Nr 52/58 Rady Ministrów z dnia 6.III.1958 r. w sprawie przyznawania osobom szczególnie zasłużonym dla Polski Ludowej dotacji w związku z ustawą o sprzedaży państwowych nieruchomości rolnych ..... oraz § 6 zarządzenia Nr 193 Prezesa Rady Ministrów z dnia 25.IX.1958 r. w sprawie zasad i trybu przyznawania dotacji tym osobom, Prezydium Woj.Rady Narodowej w Olsztynie po rozpatrzeniu wniosku ob. Eugeniusza Piecha, zam. w Działdowie, ul. Jagiełły 28 w sprawie przyznania dotacji za przejętą na własność Skarbu Państwa nieruchomość rolną o powierzchni 35.6765 ha położoną w Zakrzewie, pow. działdowski

o r z e k a

odmówić przyznania mu tego rodzaju dotacji.

U z a s a d n i e n i e

Stosownie do postanowień zawartych w § 2 zarządzenia Nr 193 Prezesa Rady Ministrów z dnia 25.IX.1958 r. o przyznanie dotacji mogą ubiegać się osoby, które wyróżniły się w szczególny sposób w walce przeciwko polityce germanizacyjnej okupanta lub w walce o ustrój ludowo-demokratyczny w Polsce.

Ponieważ Obywatel nie odpowiada kryteriom zawartym w cyt. zarządzeniu Nr 193 Prezesa Rady Ministrów, przeto Prezydium postanowiło orzec jak wyżej.

Od decyzji niniejszej służy Obywatelowi odwołanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych /Dep.Społ.-Adm./ w Warszawie, które należy wnieść za pośrednictwem Urzędu Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN w Olsztynie w terminie 14 dni od daty otrzymania decyzji.

Sekretarz Prezydium
/-/ mgr W.Medyński

Z-ca Przewodniczącego
/-/ Jan Boenigk

Otrzymuje:
Ob. Eugeniusz Piecha
zam. w Działdowie
ul. Wł.Jagiełły 28

za zgodność:

Już powiedziałem, że nawet członkom Związku Mazurów zabrano własność i prawa do własności. A te resztki Mazurów, którzy jeszcze siedzą na „swoich śmieciach", nie wiadomo, na jakim prawie siedzą. Na próżno Jerzy Żywiec, wnuk Michała Żywca, przedwojennego wójta i więźnia hitlerowskiego obozu, walczy o prawo do swojej własności, gdyż kilkunastohektarowe jego gospodarstwo w Pełku koło Dziemian na Kaszubach zostało upaństwowione. Jerzy Żywiec, ożeniony z Polką-katoliczką, z pięciorgiem nieletnich dzieci „z łaski" nadleśnictwa Lasów Państwowych mieszka w „nieswojej" chacie.

Próżne były utyskiwania, lamenty Karola Małłka, posła do Sejmu Gerharda Skoka i innych działaczy. Nie pomogły błagalne słowa Karola Małłka, skierowane 14 marca 1957 roku do pierwszego sekretarza partii o „zaopiekowanie się zaszczutym, ginącym szczepem mazurskim, o stworzenie mu, póki czas, takich warunków, by mógł Polskę uznać za swą Matkę-Ojczyznę". Bez echa. Wszelkie starania i wysiłki działaczy mazurskich skierowania zagadnienia na inne tory nie dały żadnego wyniku, żadnego rezultatu. „Dlaczego nie dały?" Dlatego, że Lud Mazurski „stracił serce do Polski" – jak to pisze pisarz mazurski, Erwin Kruk. Dlatego, że „lud mazurski stracił zaufanie" – tak pisze poeta mazurski, Gerhard Skok. Dlaczego stracił zaufanie?

Po pierwsze, Mazurzy stracili zaufanie do Polaków, którzy uznawali ich z tytułu wiary ewangelickiej za Niemców, uważając ich za wrogów.

Po wtóre, Mazurzy stracili zaufanie do prowodyrów, do działaczy mazurskich, ponieważ ci wmawiali im, że są Polakami, a takimi się oni nie czuli. Poeta, poseł do Sejmu, działacz mazurski, Gerhard Skok, zrezygnowany tak powiada: „Złym byłem synem swego ludu, odwróciłem się od niego i dlatego straciłem jego zaufanie". Wyraźniej powiedzieć nie można.

Kim są więc Mazurzy? Na to pytanie odpowiada niedwuznacznie terenowo obcy człowiek, lwowianin, polski nauczyciel w Wejsunach, żyjący wśród Mazurów, ożeniony z Mazurką: „Mazurzy nie są ani Niemcami, ani Polakami, są po prostu Mazurami".

Obcoplemieniec napisał prawdę: Mazurzy są odrębnym narodem!

Prawdy tej: odrębności, autonomizmu, separatyzmu, idei niepodległościowej Związek Mazurów wyrzekł się w czasie okupacji, wręczając rządowi polskiemu w Lublinie w 1944 roku tak wstrętny i haniebny *Memoriał*. Dziś, patrząc z perspektywy minionych lat na to, co się stało na Mazurach, widzę oto taki obraz: „Ktoś z Polaków trzyma w ręku *Memoriał Związku Mazurów* i dyryguje jego wykonaniem, punkt za punktem". Wiemy, że dyrygentami nie byli działacze mazurscy, gdyż jako Mazurzy-ewangelicy, uważani przez Polaków za Niemców, nie mieli nic do powiedzenia.

Nic dziwnego, że ani Mazurzy Działdowszczyzny w latach 1920–1939, ani Mazurzy Prus Wschodnich nie uznawali Związku Mazurów lub działaczy mazurskich za swych reprezentantów. Gdyż „kierować działalnością ludzi może tylko człowiek, który ma ich zaufanie" – pisze zawiedziony w swym działaniu, nieżyjący już Gerhard Skok. A pani Bożena Domagała w „Borusi" powiada tak: „Ludzie ci (działacze Warmii i Mazur) w swoim środowisku byliby niczym, bo tak naprawdę Mazurzy i Warmiacy niczego od nich nie potrzebowali".

Porównując treść *Memoriału* Związku Mazurów z działalnością działaczy mazurskich w stosunku do ludności Prus Wschodnich, zauważamy wielki kontrast, coś przeciwnego do tego, co czytamy w *Memoriale*: Prezes Karol Małłek zostawia żonę i dzieci w Radości koło Warszawy, ze szwagrem E. Piechą śpieszy na Prusy Wschodnie, by ratować matkę, rodzeń-

stwo, ludzi dręczonych przez Rosjan i Polaków. To samo czynią wszyscy inni działacze mazurscy, wychodząc ze swoich kryjówek, śpieszą do „swoich" z pomocą: Jerzy Burski jako wicewojewoda i poseł do Sejmu, Bogdan Wilamowski jako wicewojewoda i poseł do Sejmu, Walter Późny jako starosta, wicewojewoda i poseł do Sejmu, Gustaw Leyding jako urzędnik Urzędu Wojewódzkiego, Jan Sczech jako urzędnik Urzędu Wojewódzkiego i pastor Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, Edward Małłek jako starosta i pastor Kościoła Metodystycznego, Fryderyk Leyk jako pisarz, Emil Leyk, jako inżynier budownictwa, Erwin Kruk, pisarz i poseł do Sejmu, Gerhard Skok, poeta i poseł do Sejmu i wielu innych. Wszyscy występowali w obronie godności człowieka, nie pytając: „Polak – czy Niemiec?"

Rzecz po prostu niezrozumiała, gdy się porównuje działanie działaczy mazurskich z treścią *Memoriału* Związku Mazurskiego. Czyżby jakiś paszkwil, czyjś złośliwy produkt przeciwko Związkowi Mazurów lub działaczom mazurskim?

Jako członek Związku Mazurów muszę przyznać, że *Memoriał* jest niestety tragicznym tworem Związku Mazurów. Z bólem i ze wstydem przyznaję się do tego. Bowiem „nic tak nie plami polityka, jak atrament na papierze" – powiedział Cziczerin w 1920 roku.

Co mogło być powodem, przyczyną napisania tak niehumanitarnego *Memoriału*?

Postaram się wyjaśnić według tego, co osobiście odczuwam. Działacze Mazurscy, ścigani, poszukiwani, tropieni przez hitlerowców, uważani przez nich jako zdrajcy, wrogowie III Rzeszy, ukrywając się przed nimi, cierpiąc niedostatek, głód, niewygody, wspominając, opłakując zamordowanych przez hitlerowców: mego brata, Roberta – nauczyciela, rozstrzelanego, Jana Jaegertala – kupca, ściętego toporem, Arno Kanta – nauczyciela, rozszarpanego przez psy gestapowskie, współczując wszystkim, znajdującym się w obozach koncentracyjnych, współżyjąc w Guberni Generalnej wyłącznie z Polakami-katolikami i ich organizacjami, przesiąknęliśmy, zaraziliśmy się „polską chorobą" – polską nienawiścią do Niemców. W niepostrzeżony sposób przejmowaliśmy kroplę za kroplą polską żądzę odwetu za wyrządzone krzywdy. Konspirując z organizacjami polskimi, mimo woli, przejmowaliśmy ich myśli i zamiary.

Osobiście, będąc w niewoli niemieckiej w Nürnberg, spożywając przez dwa tygodnie obiady, składające się jedynie z gotowanych nieskrobanych kartofli z osypką, życzyłem Niemcom, aby ich to samo w życiu spotkało. Okazało się, że wielu z nich i tego nie dostali. Nie wiem tylko, czy Pan Bóg, czy Lucyfer spełnił moje nieludzkie życzenie.

W każdym razie, działając na Działdowszczyźnie i w Prusach Wschodnich byliśmy tym, czym byliśmy z natury: ludźmi, a nie hienami. Działanie każdego działacza mazurskiego było i jest godne naszych Ojców-Pradziadów naszej Ziemi Ojczystej, co zadokumentowaliśmy cierpieniami, doznawanymi ze strony władz polskich.

A *Memoriał* uważam za nieopatrzne dyktando „Złego".

Związek Mazurów, wiążąc sprawę mazurską w czasie okupacji z katolicką Polską, wybrał tragiczną w swych skutkach drogę. Dlaczego tak się stało?

Przecież mieliśmy złe doświadczenia z przynależności Działdowszczyzny do Polski w okresie dwudziestolecia, od 1920 [do] 1939 roku. Mazurzy, zakładając w 1935 roku Związek Mazurów, postawili sobie za cel: „autonomia Działdowszczyzny" („Mazury dla Mazurów"), a na wypadek klęski Hitlera ideą naszą były „Niepodległe Prusy Wschodnie", jako trzy-kantonalna (mazursko-niemiecko-litewska) „Szwajcaria Bałtycka".

Dlaczego Związek Mazurów w czasie okupacji zapomniał o swoim celu, ograniczając się jedynie do „misji" wręczenia rządowi polskiemu opracowanego *Memoriału*? Dlaczego zagubił swoje ideały? Czemu to przypisać?

Już poprzednio wspomniałem, że działacze mazurscy, ścigani przez hitleryzm, ukrywając się w Guberni Generalnej, zdani byli wyłącznie na życie w konspiracji „polskiego podziemia", które wycisnęło na nich fatalne piętno co do sprawy przyszłości ludności Prus Wschodnich, na wypadek przyłączenia jej do Polski. Konspiracyjne życie działaczy mazurskich, ograniczone do walki o życie i zdobycie kawałka chleba, nie dawało okazji ani możliwości zdobywania przez nich realnych wiadomości o sytuacji w świecie.

Mogę otwarcie powiedzieć: Byliśmy „analfabetami" politycznymi pod tym względem. Treść rozmów przedstawicieli wielkich mocarstw były nam nieznane. Słyszeliśmy tylko hasła Narodu Polskiego: „Polska od morza do morza!" „Od Niemna po Odrę!"... Największym naszym błędem było zlekceważenie mojej przypadkowej wypowiedzi w Lublinie w 1944 roku: „Jedźmy do Stalina!". Prezes Związku Mazurów, Karol Małłek, zdeterminowany powiedział na to: „Za późno!".

Czy było „za późno?" Niektórzy pisarze polscy zadają pytanie: „Czy istniała możliwość uniknięcia Exodusu ludności mazurskiej – dodajmy mieszkańców – Prus Wschodnich?". Sami odpowiadają: „W tamtych warunkach było to niemożliwe".

Ja na to odpowiadam: „Było możliwe!". Trzeba było tylko posłuchać Edwarda Małłka i w sierpniu 1944 roku powiedzieć: „Jedziemy do Stalina!". Nie było wcale „za późno". Przecież od wypowiedzenia słów „Jedźmy do Stalina" do Konferencji Wielkiej Trójki (Roosvelt – Churchill – Stalin) 4-11.II.1945 roku w Jałcie mieliśmy pół roku czasu, a do Konferencji Poczdamskiej (Truman – Churchill, Attlee – Stalin) od 17.VII. – 2.VIII.1945 roku było jeszcze rok czasu, więc nie było „za późno".

Dlaczego nie pojechaliśmy do Stalina? Pewnie ze strachu.

Wiedzieliśmy o tragedii katyńskiej, gdzie tysiące polskich oficerów na rozkaz Stalina zostało zamordowanych.

Ale nie wiedzieliśmy o tym, co mogło być dla nas bardzo ważne, że Stalin długo, długo, bardzo długo sprzeciwiał się oddaniu Prus Wschodnich pod administrację Polski. Dopiero pod naciskiem mocarstw zachodnich zgodził się oddać Polsce część Prus Wschodnich, przy czym pewną rolę odegrała Polsce przyjazna Francja.

Stalin niewątpliwie byłby z otwartymi rękami przyjął delegację Prus Wschodnich, która zaproponowałaby mu utworzenie Republiki Prus Wschodnich pod taką czy inną nazwą.

Niestety, trzeba powiedzieć, że nikt z działaczy mazurskich nie urodził się na „Wodza Niepodległej Szwajcarii Bałtyckiej".

W tym leży tragedia Prus Wschodnich.

Dziś wiemy, że w Rosji mogło powstać „Das Neue Deutschland" – przyszłe „DDR". Tak samo mogła powstać „Szwajcaria Bałtycka".

Większość mieszkańców „DDR" czuje się dobrze, bo są u siebie. Tak samo i my czulibyśmy się dobrze w swojej „republice", u siebie, na swojej ziemi. Ta okazja została przez Związek Mazurów zaprzepaszczona. Przecież myśl-idea: „Niepodległe Prusy Wschodnie" nie była nowa. Nie jest wymysłem Związku Mazurów, który ją tylko podchwycił w 1935 roku w Działdowie.

Przypomnijmy choćby tylko Plebiscyt w 1920 roku. Dyktat Wersalskiej Komisji Pokojowej, ustalając Plebiscyt w Prusach Wschodnich, nakazywał głosowanie: „Für Ostpreussen" albo „Für Polen" („Prusy Wschodnie" albo „Polska"). Z tego wynika, że w Wersalu brano pod uwagę „Prusy Wschodnie" jako odrębny twór państwowy. Również czynniki miejscowe Prus Wschodnich, po klęsce wojennej i w czasie Plebiscytu, rozpatrywały sprawę utworzenia odrębnego państwa Prus Wschodnich.

Dlaczego jednak nie doszło do utworzenia „Niepodległych Prus Wschodnich"?

Ostatni „Nadprezydent" (Oberpräsident) Prus Wschodnich, August Winnig, urzędujący w latach 1919–1920, pochodzący z Turyngii, socjaldemokrata, który przed podpisaniem Traktatu Wersalskiego (28.6.1919 r.) przez przedstawicieli rządu niemieckiego (ministra spraw zagranicznych H. Müllera i ministra komunikacji J. Bella), zdołał wyjednać plebiscyt w Prusach Wschodnich, po plebiscycie, po konferencji miejscowych przedstawicieli całych Prus Wschodnich w Malborku, uznał, utworzenie odrębnego państwa Prus Wschodnich za nierealne, gdyż nie ostoi się przed wrogami. I tak, moim zdaniem – spaczono przez Niemców wspaniały wynik „Für Ostpreussen", zamieniając na „Für Deutschland". Niemcy, pisząc o rezultacie plebiscytu, w każdym wypadku mówią: 98 % głosów padło za „Niemcami" („für Deutschland"), a nie za „Prusami Wschodnimi" („fur Ostpreussen").

W ten sposób nie doszło do stworzenia odrębnego państwa Prus Wschodnich. Ale idea ta nie umarła. Powołując się na Wojciecha Wrzesińskiego, który w swej książce *Mazury i Warmia* podaje: **„W kwietniu 1932 roku Otto von Bartenstein wystąpił publicznie z projektem przyznania Prusom Wschodnim niepodległości i utworzenia na ich terenie trzech kantonów narodowych: niemieckiego, litewskiego i polskiego" – widzimy, że idea „Niepodległyh Prus Wschodnich" istniała.**

Ideę tę podchwycił Związek Mazurów w Działdowie w latach 1935–1939, jednak nie dorósł [do tego], aby ją zrealizować. Takiej okazji, jak za Stalina, nie było. A czy będzie kiedykolwiek? Sam Pan Bóg raczy wiedzieć. Możemy się jedynie pocieszać powiedzeniem: „Wszystko, cokolwiek było postanowione w historii, nic i nigdy nie trwało na wieki".

Mazurzy, mieszkancy Prus Wschodnich, musimy się pogodzić z naszym losem jako: „Heimatlose", „Aussiedler", „Vertriebene", „Flüchtlinge", a nawet może jako „Ausländer".

180
Stosunek Związku Mazurów do katolicyzmu

Za Mazura uznawaliśmy człowieka, którego korzenie drzewa genealogicznego znajdują się w ziemi Prus Wschodnich i jest ewangelikiem, bowiem takimi byli nasi przodkowie. Tego rodzaju definicja znajdowała się – o ile się nie mylę – w Statucie odnośnie członkowstwa Związku Mazurów.

Pisarz polski, Andrzej Sakson, w swojej książce *Mazurzy – społeczność pogranicza* określa Mazurów następującymi słowami: „Mazurami określam tę grupę ludności, której przodkowie w wyniku kolejnych lat osadnictwa polskiego napłynęli na tereny obecnych Mazur, posługując się językiem polskim (mazurskim) i jest w zasadniczej swej masie wyznania ewangelickiego". Do słów pana Saksona należałoby wprowadzić pewną korektę

i następującą zmianę: napłynęli na tereny obecnych Mazur, „na skutek wypędzenia ich przez Polaków do Niemiec, mówiących po niemiecku". Byłoby to zgodne z rzeczywistą sytuacją na Mazurach.

Przecież Mazurzy, którzy musieli opuścić swoją Ojcowiznę, nadal są Mazurami, obojętnie, jakim obecnie mówią językiem. A iluż Mazurów mówiących językiem polskim na Mazurach w Polsce naliczyłby pan Sakson? Czy warto byłoby w ogóle liczyć? W moich wywodach udowodniłem, iż Mazurzy w Polsce cierpieli przede wszystkim z powodu panującego katolicyzmu. Biorąc jednak pod uwagę stosunek wielu działaczy mazurskich do katolicyzmu, należałoby zaprzeczyć temu, co powiedziałem. Bowiem wielu z nich związało się z katolicyzmem przez związki małżeńskie, szczególnie w czasie okupacji i po wojnie. A oto działacze mazurscy (ewangelicy), którzy pobrali żony katoliczki: Jerzy Burski, Hieronim Skurpski (Hermann Schmidt), Gustaw Leyding, dr Kurt Obitz, Edward Małłek – konwertytkę z rodziny katolickiej, Walter Późny i Fryderyk Późny, dr Janusz Małłek, syn Karola, oraz wielu z młodszej generacji wyżej wymienionych i innych.

Czyżby w tej materii miał rację katolicki działacz plebiscytowy, Jaroszyk, pisząc: „Mazurzy lgną do katolicyzmu?". Zapytajmy się: Kim są dzieci, wnuki wymienionych i niewymienionych działaczy mazurskich? Czy są Mazurami? Czy są ewangelikami? Na te pytania niech wymienieni i inni sami odpowiedzą. Działacze Mazurscy, kumając się z katolicyzmem, nie mogli liczyć na zaufanie Mazurów ewangelików. Wielu z nich na pewno pamiętało jeszcze przestrogę Maxa Worgitzkiego, działacza plebiscytowego: „Jeżeli będziecie w Polsce, musicie być katolikami".

Mazurzy, patrząc na to, co się dzieje, dochodzili do przekonania, że ewangelicy nie mają racji bytu w Polsce. Dlatego – można powiedzieć – **działacze mazurscy, łącząc sprawę mazurską z Polską, nie reprezentowali ideałów narodowych i religijnych narodu mazurskiego.** Na skutek działań katolicyzmu Mazurzy przejrzeli. Oczywiście nie tak, jak tego spodziewał się Wojciech Kętrzyński, pisząc: „(...) przyjdzie czas, gdy i Mazur pruski powoli przejrzy, czym był, czym jest i czym być powinien" (miał na myśli, że Mazur stanie się Polakiem). Jesteśmy świadkami, że proces wcale nie odbył się powoli. Nastąpił błyskawicznie, podobnie jak „Blitzkrieg"[287] na Polskę. Polacy, stosując swoiste metody, zgermanizowali Mazurów w ciągu jednego – 1945 – roku, czego Niemcy, nawet Bismarck, nie zdołali tego uczynić w ciągu pięciu wieków. Inaczej myślał poseł do Sejmu Polski międzywojennej, Bolesław Limanowski, Ślązak, który chwaląc pracę dziennikarską pani Emilii Sukert-Biedrawiny, pisał: „Ojczyzna wdzięczna jej będzie, gdy ci synowie, którzy opuścili niegdyś centralną dzielnicę i z biegiem lat dostali się pod bat pruski, nie roztopią się w morzu niemczyzny".

Niestety, Polacy, kierując się „miłością" do „synów" Mazurów, wyrzucili ich w morze niemczyzny.

Niemcy – Prusacy pozwolili Mazurom, aby swobodnie mogli mieszkać, poruszać się i żyć na swojej ziemi.

Polska więziła, mordowała i wygnała Mazurów z ich własnej ziemi.

Gdzież jest to „Ojczyzny łono", o którym pisze Karol Małłek? – Może Polska?...

Oj! wstyd nam, działaczom Mazurów, że w Polsce widzieliśmy „Ojczyzny łono".

Przecież „jak świat światem, nigdy Polak nie będzie Niemcowi bratem", oto powiedzenie polskie.

[287] Wojna błyskawiczna.

181
Martwy Mazur – dobry Polak

W lipcu 1989 roku wybrał się „Smętek" na Mazury. Nie był to ten znany „Smętek" Melchiora Wańkowicza. „Smętek" Wańkowicza miał niedaleką drogę z Warszawy na Mazury i w dodatku nie musiał się bać, udając się na Mazury, mimo iż wtedy na Mazurach panowały zbrodnicze rządu hitleryzmu. Był to chyba rok 1934 lub 1935 – nie wiem dokładnie.

„Smętek", który udał się w lipcu 1989 roku, miał znacznie dalszą drogę, bo aż z Hamburga. „Smętek Hamburski", udając się na Mazury, miał przede wszystkim obiekcje i strach, bo jako obywatel polski był „przestępcą", ponieważ „nielegalnie przebywał za granicą", co, według prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, było karalne. Tym „Smętkiem Hamburskim" byłem ja, Edward Małłek, który 15 lipca 1973 roku wyjechał do Kanady na pobyt czasowy i nie wrócił.

Przekroczywszy polski punkt graniczny w Kołbaskowie koło Szczecina, mając polską wizę w paszporcie niemieckim, ucieszyłem się, że „przestępcę" jakoś nie aresztowano. Czyżby dlatego, że byłem jednocześnie obywatelem Bundesrepubliki Niemiec, kraju, od którego PRL spodziewa się pomocy i kredytów? W każdym razie tak, jak „Smętek" Wańkowicza, tak i „Smętek Hamburski" mógł swobodnie wędrować po Polsce. „Smętek" Wańkowicza wędrując po Mazurach utyskiwał i biadolił nad zanikiem języka mazurskiego u Mazurów, co było wynikiem prowadzonej przez rząd niemiecki akcji germanizacyjnej. „Smętek Hamburski", ostrożnie stąpając po świętej Ziemi Mazurskiej, płakał w duszy swej, ubolewając, że Polska Ludowa w ciągu 40 lat wyniszczyła mój Naród Mazurski. Chodziłem od wsi do wsi, nie znajdując Mazurów. Odnosiłem wrażenie, że chodzę po wielkim cmentarzysku.

Grób Ojca: Wilhelm Małłek
ur. 9.04.1862 – Duża Sławka
zm. 17.01.1937 – Brodowo

Wreszcie stanąłem swoimi stopami w mojej wsi rodzinnej, Brodowie, gdzie się urodziłem i wychowałem. Już wiedziałem, że nie znajdę w Brodowie, ani w innych wsiach powiatu działdowskiego Mazurów. Wjeżdżając do Brodowa od strony Niborka (Nidzicy), zatrzymałem się przy cmentarzu.

Ogrodzenie cmentarza rozwalone. Po grobach nie ma ani śladu. Ale, o dziwo, jest jeden grób z dużym krzyżem, ogrodzony żelaznym płotem. W ogrodzeniu dwie mogiły, obudowane betonowymi ramami. Na połowie marmurowej tablicy napis:

Wilhelm Małłek
ur. 9.4.1862 r.
zmarł 17.1.1937 r.

Jest to grób mego Ojca. Druga połowa tablicy pusta, zarezerwowana dla naszej Mateczki, która niestety zmarła w Olsztynie i tam została pochowana:

(ur. 13.8.1871 r., zmarła 8.1.1963 r.).

Grób Ojca zamieniono na Grób Rodzinny z 6-ma tablicami:

Ojciec Wilhelm Małłek, jego 1-miesięczna córeczka Helena,
1/2 roczny wnuczek Karol-Michał,
syn Jan i wzmianka na 2-ch tablicach, że: żona Henrietta-Augusta
pochowana w Olsztynie i syn Robert,
rozstrzelany przez Gestapo pod Komornikami

Zastanawiające: cały cmentarz zrównany z ziemią, a tu pojedynczy grób ogrodzony i cmentarz od strony wsi ogrodzony drucianą siatką.

Dowiaduję się, że Ojca naszego Polska Ludowa uznała za Polaka i dlatego zadbano o jego grób. A ze względu na widoczność grobu od frontu, przeniesiono tablicę z napisem z wezgłowia w nogi, przez co stworzono nierzeczywisty stan. Niezapisane miejsce na tablicy jest nad grobem Ojca, a napis „Wilhelm Małłek" nad ziemią, w której spocząć miała nasza Mateczka.

A kim są obok leżący: nasz synek, Karol-Michał, który w 1939 roku zmarł jako półroczne dziecko, a obok niego mój brat Jan, syn Wilhelma?

Ojczulku! po śmierci będąc duchem, widzisz, jak Polakom się pokręciło? Ojciec-Polak, a syn, wnuk, kim są?

Ojciec-Polak! – hm... Napis: „Walczył o polskość tej ziemi"

Smętnie stąpam dalej po Brodowie. Na miejscu naszej dawnej chaty jest nowy dom, typu podmiejskiego. Tam, gdzie było duże gospodarstwo w centrum wsi, którego właścicielem był Schau (pospolicie nazywany Siała), zabudowania nie istnieją. Jest wielki plac. Na miejscu, gdzie stała duża obora ze stajnią, wybudowano długi parterowy „Dom Kultury" z remizą Ochotniczej Straży Pożarnej. Budynek robi wrażenie długiego baraku. Architektonicznie nieładna i nieestetyczna budowla. Na tymże placu postawiono Obelisk.

Poważnie podchodzę bliżej, całkiem blisko. Czytam napis na obelisku:

Karol Małłek
ur. 18.03.1898
zm. 28.08.1969
Walczył o polskość tej ziemi.

Uświadamiam sobie, że Karol Małłek to mój rodzony brat, b. prezes Związku Mazurów.

Wpatrując się w obelisk i napis na nim, popadłem w zadumę i zakłopotanie. Nie mogłem zebrać moich myśli. Stałem jakby przed zagadką. Widzę na obelisku „rebus” trudny do rozszyfrowania. Powoli szukam rozwiązania.

Jak to się stało, że Karolowi Małłkowi, za życia dręczonemu, pomiatanemu (przeczytajcie jego *Wspomnienia*, tom IV), po jego śmierci stawia się pomnik, urządzając dnia 17.9.1988 roku pompatyczną uroczystość z okazji 90. rocznicy jego urodzin? – Co to ma znaczyć?

Pytam się, jakie znaczenie ma ten pomnik? Czy to jest pomnik uznania?

Napis: „Martwy Mazur – dobry Mazur” – byłby właściwszy
[Podpis i kolaż E. Małłka – Red.]

A może jest to pomnik pokuty Narodu Polskiego za wyrządzone Karolowi Małłkowi krzywdy?

A może jest to pomnik radości Narodu Polskiego, na znak, że ostatni wódz – „Król Mazurów” już nie chodzi po Ziemi Mazurskiej, lecz leży martwy, przyciśnięty głazem?

Myślę, że każdy przypatrujący się pomnikowi będzie stawiał takie i wiele innych pytań. W mojej głowie kotłują się różne myśli, nasuwają się wciąż nowe pytania. Zanim je wyznam, opowiem pewną przygodę. W 1983 roku byłem z żoną u jej brata Albina Wysockiego w Denver w stanie Colorado Ameryki Północnej. On i jego zięć, Stanley Wojciuk, zapuścili dwa samochody i razem z rodzinami ruszyliśmy na zwiedzanie stanu Colorado, pierwotnie zamieszkałego przez Indian. Podziwiając przyrodę, cudowny krajobraz, wspaniałe widoki różnokolorowych skał, znaleźliśmy się na pewnym szczycie gór. Stanley podchodzi do mnie i do mojej żony i powiada: „Pokażę Wam miejsce, gdzie spoczywa bohater Ameryki, który swoją odwagą wsławił się w polowaniu na bizony (ang. „buffalo”) i w walkach z Indianami. Nazywał się William F. Cody, ale do historii Ameryki wszedł jak legendarny bohater »Buffalo Bill«. Żył w latach 1845–1917”.

Na szczycie góry stoi jego pomnik-grób z napisem „Buffalo Bill". Grób ogrodzony żelaznym płotem, wnętrze ogrodzenia wyłożone tłuczniem różnokolorowych skał. Obok pomnika małe muzeum.

Oglądając pomnik legendarnego bohatera Ameryki, Buffalo Billa, usłyszałem następującą historię: Amerykanie, chcąc posiąść ziemię Indian, musieli toczyć z nimi długoletnie walki. Przy tym Indianie przypłacali życiem, gdyż nie brano ich do niewoli. Wśród walczących Amerykanów utarł się slogan: „Martwy Indianin – dobry Indianin". Pod hasłem tragicznego sloganu, ginęli Indianie. Tyle, co usłyszałem o walkach Amerykanów przeciw Indianom.

Zwiedzając dawną ziemię Indian, dręczył mnie barbarzyński slogan walczących Amerykanów. Wzrok mój kierowałem na wierzchołki gór, wypatrując Indian. Niestety, nigdzie nie spotkaliśmy ich. Zostali wymordowani, a resztki niedobitków spędzono do specjalnych rezerwatów.

Stojąc pod pomnikiem mego brata Karola, przypomniał mi się pomnik Buffalo Billa. Nasuwają się nowe pytania: czy istnieje na przykład jakaś analogia między bohaterem Ameryki Bufallo Billem a Karolem Małłkiem? Z pewnością duch Buffalo Billa jest dumny, patrząc z wierzchołka gór Colorado na dawną ziemię indiańską – bez Indian.

Ale czyżby Karol Małłek, spoglądając z piedestału swego pomnika w Brodowie na swoją Ziemię Mazurską – bez Mazurów, miałby być z tego dumny?

Bowiem z intencji napisu na pomniku: „Walczył o polskość tej ziemi", wynikałoby, że Karol Małłek walczył o to, aby Ziemia Mazurska była „polską", aby należała do Polski. Chyba dlatego Polska uznała go za polskiego bohatera, stawiając mu pomnik. Według takiego myślenia, można by postawić Karola Małłka obok Buffalo Billa.

Jako brat Karola Małłka kategorycznie zaprzeczam takiemu myśleniu, które wynika z intencji niefortunnego napisu na pomniku: „Walczył o polskość tej ziemi". Przecież mój brat Karol jako wierny syn Ziemi Mazurskiej nie musiał o nią walczyć, gdyż była jego Ojczyzną, bez względu, do jakiego państwa należała.

O prawo Mazurów do Ziemi Mazurskiej walczył „Związek Mazurski" na czele z prezesem Karolem Małłkiem, w okresie 20-lecia przynależności Działdowszczyzny do Polski. O prawo Mazurów do Ziemi Mazurskiej walczył Związek Mazurów na czele z Karolem Małłkiem w czasie działań konspiracyjnych za okupacji hitlerowskiej. O prawo Mazurów do Ziemi Mazurskiej walczył Karol Małłek aż do śmierci, po zawładnięciu Ziemi Mazurskiej – Prus Wschodnich przez Polskę w 1945 roku. Karol Małłek walczył o prawo Mazurów do tego stopnia, że pragnął, aby Mazurzy nie wyjeżdżali do Niemiec, lecz trwali na swojej Ojczystej Ziemi Mazurskiej. Dowodem tego jest choćby Karola powiedzenie: „Już ja to zrobię, że żaden z Małłków nie wyjedzie", wypowiedziane do mojej żony po „ucieczce" jego syna Ryszarda do Niemiec. Czynił to jedynie z wielkiej miłości do Ojczystej Ziemi Mazurskiej, aby była w rękach Mazurów.

Niestety, walka Karola Małłka o „Mazury dla Mazur[ów]" była daremną i bez skutku, gdyż Polacy uznali Mazurów za Niemców i pozbawili ich prawa do ich Ojczystej Ziemi. Dlatego stwierdzam, że mój brat, Karol Małłek, nie jest polskim bohaterem, lecz jedną z niezliczonych ofiar wyniszczonego przez Polaków Narodu Mazurskiego. Dlatego należałoby zmienić napis na pomniku na: „Martwy Mazur – dobry Mazur".

Nasuwa się analogia losu Narodu Mazurskiego z losem Narodu Indian. Ziemia Indian jest bez Indian. Ziemia Mazurska jest bez Mazurów.

Nie muszę powtarzać hasła, którym kierowali się Polacy, likwidując mieszkańców Prus Wschodnich, w tym i Mazurów w latach od 1945 roku. Polska, dokonując wyniszczenia Narodu Mazurskiego, powtórzyła zbrodnię, już raz dokonaną na tej ziemi przez Zakon Krzyżacki, sprowadzony przez Polaków w osobie księcia Konrada Mazowieckiego. Wtedy ofiarą padł cały naród Starych Prusów, który znikł z ziemi i z mapy świata.

90. rocznica urodzin „króla Mazurów"

W Brodowie stanął pomnik Karola Małłka

Wieś Brodowo koło Działdowa. Tu w sobotę, 17 bm., odbyły się uroczyste obchody 90. rocznicy urodzin Karola Małłka — wybitnego działacza i pisarza mazurskiego. Głównym punktem uroczystości było odsłonięcie pomnika. Obelisk z surowego piaskowca, którego autorem jest plastyk, Jerzy Mówiński, stanął pośrodku Brodowa, rodzinnej miejscowości Karola Małłka.

W odsłonięciu pomnika wzięli udział mieszkańcy Brodowa i wielu sąsiednich miejscowości oraz dawni działacze organizacji mazurskich pamiętający Karola Małłka. Szczególnego charakteru nadała uroczystości obecność liczącej dziś 89 lat żony działacza i pisarza, Wilhelminy, oraz synów Leopolda i Janusza.

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

Odsłonięcie pomnika Karola Małłka.

Notatka z „Dziennika Pojezierza" z dnia 19 września 1988

W Brodowie stanął pomnik Karola Małłka

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Obchodów 90-lecia Urodzin Karola Małłka — **Edmund Kozłowski** przypomniał zebranym jego sylwetkę.

Obecny na uroczystości przewodniczący Zarządu Głównego Stowarzyszenia „Wisła-Odra" — **Edmund Męclewski** powiedział:

— Przeżyliśmy tu dziś powrót „króla Mazurów" Karol Małłek to symbol, który żyje do dziś w świadomości tutejszego społeczeństwa. Nie zapomnieliśmy Małłków, Kętrzyńskich i innych bojowników o polskość Mazur, Warmii, Kaszub, Śląska.

Fot. J. BIAŁKOWSKI

ześnia 1988

O kilka słów refleksji poprosiłem syna Karola Małłka, pracownika naukowego Instytutu Historii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu — doc. dr. hab. **Janusza Małłka:**

— Jestem ogromnie wzruszony żyjącą tu, na ziemi działdowskiej, pamięcią o moim ojcu. Jako historyk, za szczególnie cenne uważam nawiązywanie do tradycji i historii tego regionu.

Odsłonięciu pomnika w Brodowie towarzyszyło otwarcie wystawy zatytułowanej — „Karol Małłek — bojownik o polskość Warmii i Mazur", a także odsłonięcie tablic pamiątkowych wmurowanych m.in. w miejscu dawnego domu, w którym przed 90 laty urodził się mazurski działacz.

Odbyły się też obchody związane z 65-leciem Ochotniczej Straży Pożarnej w Brodowie — której współzałożycielem był Karol Małłek — połączone z przekazaniem do użytku społeczeństwu nowego Domu Strażaka i nadaniem OSP sztandaru.

W części artystycznej wystąpiły zespoły z MDK w Działdowie i z ośrodka kultury z pobliskiego Iłowa.

Karol Małłek – 70-lecie urodzin

Rodzina Karola w czasie uroczystości odsłonięcia pomnika.
Od lewej: Leopold – syn, prawnuczka – Edyta, córka Jerzego, -?-.
żona Wilhelmina z wnuczką Małgosią, córką dra Janusza, Jerzy, wnuk,
prof. dr Janusz – syn z żoną dr. Ewą

Mazurzy już raz opłakiwali swój tragiczny los, gdy w 1656 roku zostali gnębieni przez hordy pod wodzą polskiego hetmana Gosiewskiego. Tragedię tę opłakiwali **41-zwrotkową pieśnią nr 740 w *Kancjonale Mazurskim* (*Pruskim*),** którą ze względu na to, że *Kancjonał* jest już tylko unikatem, warto ją podać potomstwu ku pamięci:

Ojczyzno tęskliwa, zalewaj się łzami,
wspominajcie, Prusacy! co się działo z wami,
w roku tysiąc sześć set pięćdziesiątym szóstym,
kiedy różne wojska leżały, jak mostem.
Naród nieznajomy, jak orzeł przyleciał,
z pogańskich krainów, wszystko pozrzec[288] zechciał:
W niewinne granice, niespodzianie wkroczył,
bystrym koniem na nie gromnie przyskoczył.
Tam wsie, domy, zboża i gumna palili,
poniekąd kościoły, w popiół obrócili:
Szaty, koni sobie i pieniędzy zbiwszy,
tylko szczerą nędzę w Prusiech zostawiwszy.
Okrutnie na ten czas Tatar następował,
będzie się temu świat potomny dziwował,
bo tego od wieku nie było słuchane,
owa, się tych czasów nigdy nie spodziewano
Ach niestetyż ! teraz synowie doznali
o czym ich przodkowie nigdy nie słychali:
Przed strachem niezmiernym serce im drętwiało,
okrutniki widząc, zgoła się pękało.
Tatar lud mizerny, jak szalony,
gonił, że prze okrutnim rzadko się kto schronił
Wszystkie pola, chrósty, lasy śpiegowali,
kryjących się wszędzie, w sadzie swym szukali.
Niektórych dobiegłszy, szablami ścinali,
niemowlątka, matkom z ręku wydzierali:
Na co patrząc, płaczą, za dziatkami proszą
do nieba w tęskności oczy swe podnoszą.
Lecz poganin żadnej litości nie mając,
ale strasznym fukiem sprosny odpór dając:
Przywiązawszy matkę do konia, precz bieży,
biedne niemowlątko porzucone leży.
Niejedno skwierczało zimno, głód cierpiący:
Nie było nikogo, Boże Wszechmogący!
co by się zmiłował, opatrzył dziatki,
którym w okrucieństwie odebrano matki.
Każdy tam i tam uciekał, dla strachu wielkiego,
a szukał tam i sam miejsca by jakiego,
gdzieby się mógł ukryć przed Tatarem srogim,
ludzi chrześcijanskich tak okrutnym wrogiem.
Które zaś już chodzić i mówić umiały,
te się już po polach, jak błędne tułały:
Ojców, matek swoich skowycząc szukają,

[288] Pożreć, pochłonąć.

jakoby ptaszęta, rzewnie narzekają.
Gdzież ojcowie nasi? pytają: Gdzie matki?
opuszczone zewsząd i ubogie dziatki.
Od wielkiego płaczu gardła im chrypiały,
od głodu i mrozu w polach umierały.
A ojciec i matka w ciężkim utrapieniu,
siedzą powiązani w Tatarskim rzemieniu,
będąc sknęblowani, bez wszelkiej litości,
pomóc im nikt nie mógł w takowej trudności.
Na dziatki wspomniawszy, serce się im kraje,
aczkolwiek i znaku w trudności nie daje:
Choć im serce wielce z żałości boleje,
od smutku ciężkiego, jako kwiat więdnieje.
Zewsząd opuszczeni, siedząc przy ognisku
tatarskim, dość mają wszelkiego ucisku:
Panie i panienki niezbożnicy gwałcą
przeciw przykazaniu Najwyższego walczą.
Starców nie szanują, okrutnie ścinają,
drugim zasię rany śmiertelne zadają:
Innych dobiegając, jak wielcy łapają,
nad niewolnikami różnie się wdzierają.
Wiążą i spinają nogi i też ręce
ludzi chrześcijańskich, jak w piekielnej męce:
Mąż i żona z sobą tam są rozłączeni,
ani jedno z drugim ku sobie się zmieni.
Jedne na drugiego okiem poglądają,
rozmawiać nie mogą, tylko, że wzdychają:
Jeść ich przymuszają ścierw niedowarzony,
który gdzie na drodze widzą porzucony.
W ciągu powiązanych, jako bydło pędzą,
seca chrześcijanów, jako w dymie wędzą:
Ci na swę ojczyznę oczy obracają,
na pokrewne swoje z płaczem poglądają.
Tam współ ciągnąc rzeczy, nawiedzają brody,
których niedosiężne płyną bystro wody;
Tamci ich niemało w tak ich wodach tonie,
młody tak i stary, mąż i żona ginie.
Bo ich wódz, nie Mojżesz, tam w tedy prowadzi,
ale ten, co w ich złym więzieniu wszem radzi:
Nie dzielą się wody, jak Izraelowi,
lecz którzy w nie wpadną, już śmierci gotowi.
Gdy się do pogańskich już krajów dostali,
niebaczni Tatarzy pojmane pobrali:
Każdy swoje więźnie wiedzie do chalupy,
a swemu pogaństwu wydzielają łupy.
To się wszystko stało, jak prorokowano,
jako w Mojżeszowej księdze napisano (3 Mojż. 26,14)
że dla twoich grzechów i nieposłuszeństwa
poda cię Pan w ręce okrutnego męstwa.
Pojmiesz sobie żonę, nie będziesz z nią legał,
że nieprzyjaciel twój będzie z nią obcował.

Dom sobie zbudujesz, nie będziesz w nim mieszkał;
lecz po obcych krajach będziesz się potłukał.
Przed oczyma twemi pobiją twe woły,
ty ich nie będziesz jadł, popaląć stodoły.
Konie twe pobiorą i onych nie wrócą,
bo się z nimi w kraje pogańskie obrócą.
Synowie i córki twoje, które lubisz,
tamże z nimi pójdą, ty je przez to zgubisz:
Ty zostaniesz nędzny, zewsząd utrapiony,
po wszystkie dni twoje będziesz opuszczony.
Całą ziemię twoją naród zły spustoszy,
wszystkie jej mieszkańce, jak ptaki rozpłoszy:
na to spoglądając, zaćmiąć się twe oczy
i nie będą miały ręce twoje mocy.
A to cię potrafi dla twej niezbożności,
żeś przed Panem twoim czynił wielkie złości:
dlatego i w domu twym nie będziesz legał,
lecz dla grzechów wielkich siódmą drogą biegał.
Na co wy, mieszkańcy Pruscy! pamiętajcie,
uporności waszych i złości przestańcie:
Służcie zawsze Panu z nieobłudnej wiary,
tedy was zachowa od takowej kary.
Ale, ach niestetyż, jak się w Prusiech toczy?
Obróć, gdzie chcesz, w koło pilnie swoje oczy:
Więc się tedy doznasz, że dobroci mało,
co żywo, do złości wszelakiej powstało.
Obciążenie wielkie u ubogich ludzi,
co ich we dnie, w nocy budzi:
Już szczerości niemasz, już miłość oziębła,
prawda we wszech sercach, jak trawa uwiędła.
Idź, gdzieć się podoba, przypatruj się pilno;
azaż nieszczerości, obłudy nie pełno?
Już sąsiad sąsiada w łyżce wody topi,
swą zdradą, chytrością wszędzie za nim tropi.
Aby go oszukał, w nieszczęście wprowadził,
aby go z inszymi sąsiadami zwadził:
słówka mu z ust płyną, jako olej cichy,
lecz kto je uważa, są śmiertelne sztychy.
Syn ojcu własnemu żadnej czci nie chce dać,
ani go w starości jego opatrować:
Choć Bóg dobrym dziatkom chce tu błogosławić,
i onym lata ich w długi wiek postawić.
Matka z córką krnąbrną już na udry chodzi,
a córka niezbożna za włosy ją wodzi;
już i bracia sobie dobrego nie życzą,
często za łby idąc, po włosku się ćwiczą.
Pobożnym i świeckim czci już zawściągają,
jako też niektórzy przeciw im powstają:
tak, że się wszystka złość opisać nie może,
co się w Prusiech dzieje, o wszechmocny Boże!
Wisi miecz nad tobą, nie bądźże ospała!

abyś od nieszczęścia bezpieczna została,
o, ty Pruska ziemio! choć rozga minęła,
patrzaj, abyś w ostatku cale nie zginęła.
Udaj się do Boga, on ci grzeszne ręce;
uderz czołem rzewnym do Pańskiej stolice:
Już się nie oglądaj na rozpusty, grzechy,
abyć Pan Bóg dodał łaskawej pociechy.
Będzie cię Najwyższy miał na pilnym oku;
będzie miłosiernym zawsze przy twym boku:
Nieprzyjaciel musi mijać twe granice,
i będzie uciekał od twojej stolice.
Boże wszechmogący! rządź sam nasze myśli,
byśmy pamiętając grzechów naszych uszli:
Kiedy przyjdziesz sądzić z Aniołami swymi,
poczytaj nas mile z Zastępi świętemi.
Tamci wespół zabrzmiem głosami nowemi,
zaśpiewamy czasy wesoło wdzięcznymi:
Zastępem Aniołów będziem Cię wielbili.
Amen! niech się stanie, daj bym z tobą żyli –

Również inną pieśnią Mazurzy ubolewają nad swoją niedolą (*Kancjonał*, nr 558 – urywek):

Jeśli z nami Bóg nie będzie, Gdy się wrodzy buntują,
I nie zastąpi nas wszędzie,
Do szczętu nas zwojują.
W gniewie swym się zapalili,
Jakby nas pozrzeć chcieli,
Mordować nas umyślili,
A Boga zapomnieli.
Chcą nas jak błędnych wygubić,
Krwi naszej pożądają,
Choć chrześcijanami chcą być...

Dzisiaj Lud Mazurski może na nowo zaintonować tragiczną pieśń: „Ojczyzno tęskliwa, zalewaj się łzami, wspomnijcie Mazurzy, co się działo z wami w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku?”.

Co pomyślą Mazurzy, gdy zobaczą pomnik Karola Małłka z napisem: „Walczył za polskość tej ziemi?”. Osobiście wolę nie zgadywać ich myśli. Ale jako Mazur powiem tylko to, co ja odczuwam:

Stawiając pomnik Mazurowi na ojczystej ziemi wypędzonych, wywłaszczonych, pozbawionych wszelkich praw Mazurów, jest niczym innym, jak urągowiskiem.

Mimo to podziwiam jednocześnie tych Polaków, którzy mieli odwagę w Polsce postawić pomnik Mazurowi.

Na pewno nie o takich Mazurach bez Mazurów myślał mój brat, Karol, pisząc tom IV-ty swoich wspomnień pt. *Polskie są Mazury*.

Dlatego byłoby właściwiej, gdyby stawiający bratu pomnik i tablice zastosowali się do słów Marszałka Józefa Piłsudskiego, który na pomysł postawienia pomnika poległym

w zamachu majowym w 1926 roku, powiedział: „Gdy brat zabija brata, nie jest to okazja, aby czcić pomnikami, jedynie możemy prosić Boga, aby nam wybaczył".

Nie jest na miejscu stawianie pomnika Karolowi Małłkowi, gdy tymczasem ziomkowie jego zostali wypędzeni z Ziemi Ojczystej.

Zresztą pisarze polscy wciąż rozważają nad tym, kim właściwie był Karol Małłek?

Był Karol Małłek Polakiem?

Był Karol Małłek Mazurem?

A może był Karol Małłek Niemcem? – jak to głośno wykrzykiwał sołtys, gdy szkole w Narzymiu nadawano imię Karola Małłka?

Pisarze polscy ubolewają nad brakiem wyczerpującej biografii o Karolu Małłku, „bo nikt z rodziny nie zabiera głosu".

Może jestem pierwszym z nich, pisząc, wspominając swego nieodżałowanego brata Karola. Gdyby nie nagła, niespodziewana śmierć, która zabrała go ze świata, w którym żył, pracował, pisał, marzył, z pewnością po upadku komunizmu w Polsce osobiście przyczyniłby się do określenia swojej prawdziwej sylwetki. Na pewno dałby do druku jedną trzecią część swoich wspomnień, którą skreśliła komunistyczna cenzura. Po wydrukowaniu tegoż Karol Małłek nie byłby taki „superczerwony" ani taki „super-biało-czerwony".

Bo to raziło właśnie członków rodziny (siostra, dwaj bracia wypędzeni przez Polaków z gospodarstwa, dalszy brat pozbawiony prawa wykonywania swego zawodu nauczyciela i pastora).

Z drugiej strony rodzina Karola, krewni, czytając jego wspomnienia, dobrze go rozumieli, że inaczej pisać nie mógł, bo takie były czasy. Chcąc wtedy coś ogłosić, coś napisać, trzeba było się dopasować do istniejącej sytuacji i warunków.

Tak niestety jest już na tym świecie: na przykład jeden prezydent Ameryki dyktuje bezwarunkową kapitulację Niemcom, żąda ich wysiedlenia z Polski, drugi prezydent Ameryki w Berlinie woła: „Ich bin ein Berliner!"[289]

Na pewno Polacy szukają odpowiedzi na pytanie: kim właściwie był Karol Małłek?

Nie będę się mylił, jeżeli powiem, że opinia o Karolu Małłku w Polsce jest co najmniej niejednolita.

Co ja mogę wiedzieć o moim bracie Karolu?

Biorąc pod uwagę to, co brat pisał i publicznie głosił w „nienormalnych" czasach, można by wnioskować, że był Polakiem (takim widzieli go przynajmniej Niemcy w czasie okupacji). Natomiast patrząc na jego działalność, na to, co czynił, znając jego myśli i zamiary w stosunku do miejscowej ludności b. Prus Wschodnich, muszę dobitnie powiedzieć, że **mój brat Karol Małłek był prawdziwym Mazurem, bez reszty oddany swemu ludowi, o którego prawa desperacko walczył.** Chcąc coś pozytywnego uzyskać od rządzących dla swego nieszczęsnego Ludu, potrafił wpadać w romantyczne uniesienie, nazywając Polskę „Matką" – „Ojczyzną", na przykład w liście do Gomułki. W uniesieniu widział Polskę taką, jaką według wyobraźni chciałby mieć.

W desperackiej walce o prawa dla „autochtonów" (tak Polacy nazwali miejscową ludność Ziem Zachodnich), nie mogąc władzom PRL udowodnić ich polskiego pochodzenia, dla ich ratowania przed prześladowaniem, „robił" ich „komunistami". Każdy transport wysiedlonych do Niemiec przeżywał jako osobistą tragedię. Ubolewał nad wyjazdem poje-

[289] Jestem Berlińczykiem.

dynczych osób, pojedynczych rodzin. Wyjazd swego syna przeżył, jakby ktoś żgnął [go] sztyletem w serce. Z całego serca pragnął, by każdy pozostał na Ziemi Ojczystej.

Mój brat, Karol, jako prawdziwy Mazur nie wyobrażał sobie b. Prus Wschodnich, nazwanych „Mazurami bez Mazurów", bez miejscowej ludności. Czynił to wbrew temu, co pisał, i co czytamy w niefortunnym, tragicznym *Memoriale Związku Mazurów*.

Wspominając mego zmarłego brata Karola, widzę go nie tylko jako rdzennego Mazura, ale również jako szlachetnego człowieka-filantropa, humanitarnie walczącego o prawa człowieka.

Pytanie: Czy Karol Małłek był dobrym politykiem? Na to pytanie jest mi trudno powiedzieć twierdząco. Osobiście uważam, że do tej roli miał za miękkie serce, za wrażliwe sumienie. Zamiast chwycić w rękę berło władzy (Lublin), wybrał rolę przegranego. Zamiast rozkazywać, wolał prosić, błagać (Olsztyn). Niewątpliwie ciążyła na nim wiekowa tradycja, bowiem Mazurzy zawsze byli rządzonymi, a nie rządzącymi. Może dlatego Karol Małłek zeszedł z tego świata tylko jako prawdziwy Mazur o tradycjach mazurskich, wierzeniach i języku mazurskim. Z jego śmiercią poszła do grobu tradycyjna mazurskość naszych Ziem Ojczystych.

Z mazurskiego *Kancynała* (śpiewnika) śpiewają już tylko umarli Mazurzy w grobach, może i w niebie.

Uchylam czoła przed Polakami, którzy swym działaniem i pisaniem mają odwagę występować w Polsce jako „przyjaciele", jako „obrońcy" Ludu Mazurskiego. Jednak pozwolę sobie do nich skierować mój apel: Stawiajcie żywe pomniki:

1. Zwróćcie domy i gospodarstwa Mazurom, którzy ocaleli i żyją w Polsce.

Dla przykładu: zwróćcie własność wnukowi Michała Żywca z Brodowa.

2. Przywróćcie prawa do własności Mazurom, których wypędzono z Polski.
3. Zwróćcie Mazurom zabrane im kościoły ewangelickie.
4. Zadbajcie i uszanujcie groby i cmentarze Mazurów ewangelików.
5. Spowodujcie, aby zrabowane dzwony wróciły na swoje miejsca.

Z góry wiem, że tego nie zdołacie przeprowadzić. Łatwiej postawić pomnik, czy tablicę. Dlatego proponuję, aby umieścić na każdej przydrożnej figurce czy kapliczce Matki Boskiej tablicę pamiątkową, choćby z następującym napisem:

Tu, na Ziemi Starych Prusów, wymordowanych przez Zakon Krzyżacki, sprowadzonego przez księcia polskiego Konrada Mazowieckiego, żył Lud Mazurski, wyniszczony przez Polaków w latach od 1945 roku.

Czyż nie byłby to pouczający pomnik, historycznie prawdziwy? Naprawdę godny zrealizowania.

Takie oto refleksje snułem, wpatrując się w pomnik mego brata, Karola Małłka w Brodowie.

Drogi mój bracie, Karolu, kto ci tu zaśpiewa *Hymn Mazurski*? Nie będzie też nikogo, ktoby ci zaintonował *Hejnał Mazurski*: „Ojczysta mowo wzbudź się na nowo...!"

Nie „wzbudzi się na nowo", bo Polacy wyrugowali Mazurów, a zatem i ich język mazurski wypędzili. Chcąc już odejść spod pomnika mego brata Karola, słyszę jego słowa, które wypowiedział przed śmiercią: „Stwierdziłem, że szkoda było tego wszystkiego, tego wysiłku". Były to słowa bólu, żalu, jednocześnie skargi, gdyż nic nie mógł zdziałać, by Mazurzy mieli prawo do swej Ziemi Ojczystej. Rzeczywiście, „szkoda było wszystkiego",

co czyniliśmy – działacze mazurscy – w imię Polski. Trzeba wyraźnie powiedzieć: jeżeli Związek Mazurów w czasie okupacji łączył sprawę przyszłości Prus Wschodnich z Polską, to popełnił historyczną, niepowetowaną pomyłkę, nie do darowania błąd.

Tak, jak mordercy narodu Starych Prusów przyswoili sobie nazwę zamordowanego „Preussen”[290], podobnie postąpili Polacy, likwidując Lud Mazurski, nazwali ich Ziemię „Mazurami”.

Drogi mój bracie, Karolu, trudno walczyć z „zaborcą”, któremu chodzi tylko o zdobycie ziemi, a nie o uratowanie mieszkańców zdobytego kraju. Wiemy przecież dobrze, że Polska nie ma żadnego prawa historycznego do Prus Wschodnich, a przez wyrugowanie Mazurów straciła, raczej wyrzekła się prawa etnicznego. Przez to Polska straciła wszelkie prawa do ziem Prus Wschodnich. Przytoczę tu za pisarzem polskim, Wojciechem Wrzesińskim słowa niejakiego B. Zawadzkiego**: „Słuszne prawo historyczne do jakiejś ziemi posiada naród, który na niej osiadł choćby nawet później został wypędzony lub przemocą wyniszczony. Natomiast nie posiada prawa do danej ziemi państwo dlatego, że kiedyś ją zdobyło i rozciągnęło nad nią władzę polityczną”** (*Warmia i Mazurzy*). B. Zawadzki, wypowiadając powyższe słowa w 1944 roku z pewnością miał na myśli Niemców, którzy z pomocą Zakonu Krzyżackiego wyniszczyli naród Starych Prusów, „zdobyli ziemię i rozciągnęli nad nią władzę polityczną”.

Jeżeli taką zasadę stosujemy do Niemców, to takąż samą normą należy mierzyć stosunek Polski do wyniszczonych Mazurów, mieszkańców Prus Wschodnich.

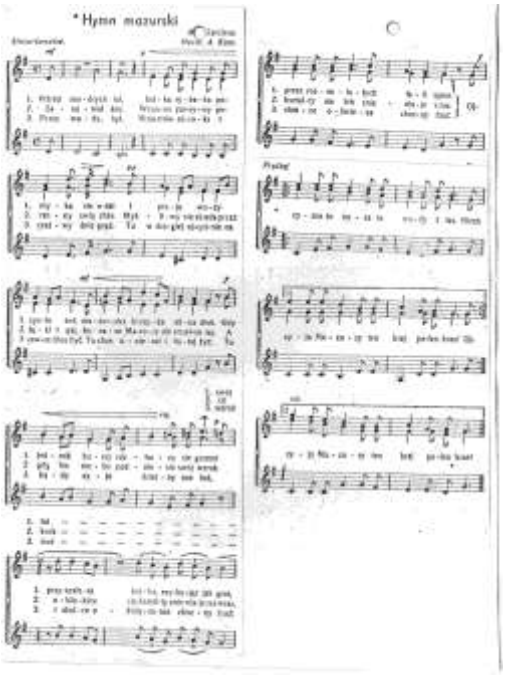

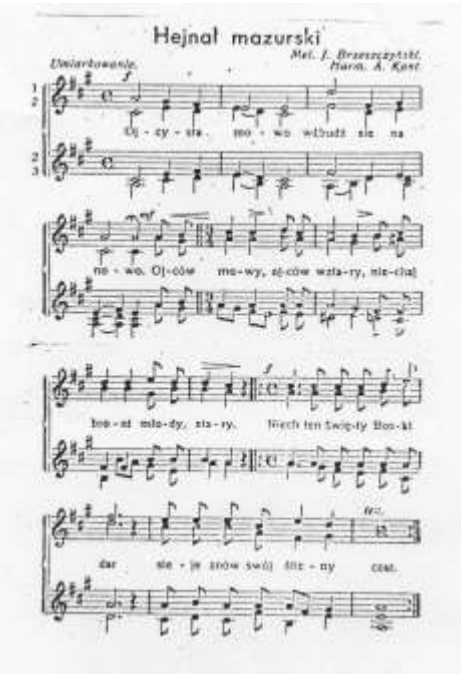

[290] Prusy.

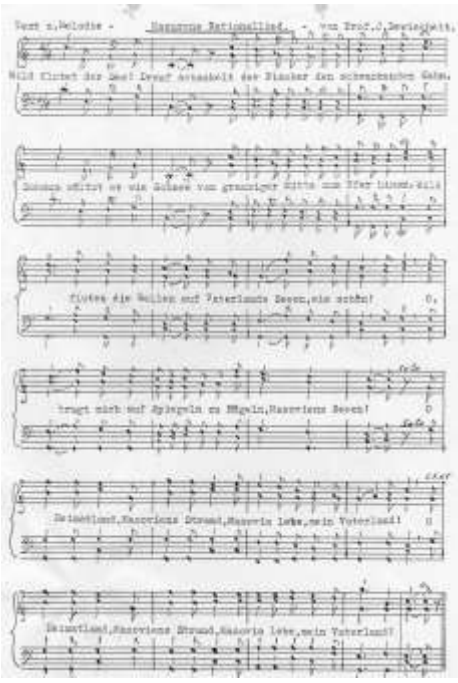

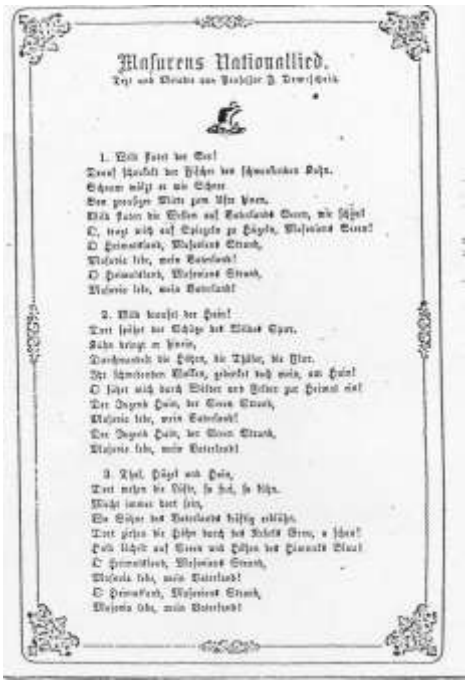

Tłumaczenie:

Mazurski hymn narodowy
Tekst i melodia: Prof. J. Dewischeit*

1. Dziko faluje jezioro. Na nim chybocze się rybak w rozkołysanej łódce.
Piana sunie niby śnieg od groźnego środka ku brzegom.
O, jak szaleńczo, jak uroczo miotają fale ojczyźnianych wód.
Nieście i mnie ku wzgórzom i ku mazurskim jeziorom!
Ziemio rodzinna, mazurskie plaże, kraju Mazurów, moja Ojczyzno, rozkwitaj!
Ziemio rodzinna, mazurskie plaże, kraju Mazurów, moja Ojczyzno, rozkwitaj!

2. Dziko szumi las. Tam myśliwy wypatruje zwierzyny.
Odważnie wdziera się w głąb kniei. Przemierza wzgórza, doliny, niwy.
Płynące obłoki wspominajcie mnie tam nad borami!
Wiedźcie mnie przez lasy i pola ku rodzinnej stronie.
Gaje młodości, plaże jezior, Mazury, moja ojczysta strono, zakwitaj!
Mazury, ojczyzno moja, rozkwitaj!

3. Kotliny, pagórki, lasy, tam wiatry wieją swobodnie i zawadiacko.
Chciałbym tam zawsze przebywać, gdzie synowie Ojczyzny zdrowo krzepną,

* Friedrich Dewischeit (1805–1884) – muzyk i poeta, skomponował 5 pieśni, w tym *Dziko szumi jezioro* (inny tytuł: *Pieśń mazurskiego wędrowca*) – Red.

Gdzie szarym porankiem mgła snuje się a na lustro wód niebo spogląda z uśmiechem.
Ojczyzno moja, mazurskie plaże, Mazury, skąd się wywodzę, bywajcie zdrowe!
Ojczyzno moja, mazurskie plaże, Mazury, skąd się wywodzę, bywajcie zdrowe!

Idąc po tej linii myślenia, należy uznać, że jedyne prawo do Prus Wschodnich mają w pierwszym rzędzie potomkowie Starych Prusów (tacy istnieją w Niemczech, zorganizowani w związku pn. „Tolkemita"), w dalszej kolejności mają prawo: Mazurzy, Litwini, austriaccy salzburczycy, francuscy hugenoci, holenderscy menonici ... i ... potomkowie niemieckiego Zakonu Krzyżackiego.

„Herezja!" – słyszę głosy Polaków. Jak to „herezja?". To po co Polacy w osobie księcia Konrada Mazowieckiego sprowadzali Zakon Krzyżacki?

Wiemy, iż prawo to zostało przez Polskę w 1945 roku siłą pogwałcone. Dlatego błędem Związku Mazurów było liczyć na Polskę. Inaczej wyglądałaby sytuacja, gdy byłby Związek Mazurów konferował w sprawie przyszłości Prus Wschodnich ze Stalinem, a nie z Polską. Istniałaby z pewnością „Republika Ostpreussen" – może pod inną nazwą. A obecnie, razem z krajami bałtyckimi: Łotwą, Litwą, Estonią przeżywalibyśmy ruchy wolnościowe, niepodległościowe, a Königsberg byłby naszą stolicą. Niestety, stało się inaczej, z winy działaczy mazurskich. Polska, otrzymawszy od Stalina w darze część Prus Wschodnich, stworzyła nienaturalny stan rzeczy: „Prusy Wschodnie" – bez pierwotnych mieszkańców.

„Mazury" – bez Mazurów!

Tylko duch wymordowanych Prusów i duch umarłych Mazurów unosi się nad polami, łąkami, lasami, jeziorami, moczarami Ziemi Mazurskiej, Prus Wschodnich, może niejednemu osadnikowi spędzając sen z oczu, by czasami nie zmartwychwstali.

Żegnając groby: Ojca, syna, brata, siostry, spoczywających na cmentarzu w Brodowie; Mateczki, siostry, brata, siostrzenicy, pochowanych w Olsztynie, i wspólną mogiłę pomordowanych, w tym mego brata Roberta w Działdowie, będąc pozbawiony praw do Ziemi Ojców-Praojców, mogłem tylko zanucić pieśń z mego dzieciństwa: „Nasza Ojczyzna jest tam w niebie..."

Nie pamiętając i nie mogąc zdobyć tekstu w języku polskim, podaję tekst niemiecki.

Stojąc nad grobem Ojca, Mateczki, słyszę słowa Pisma Świętego, których mnie uczyli: „Jeśli stracimy ziemską ojczyznę, mamy jeszcze jedną, tę w niebie" – Filip. 3,20.

Opuszczając niewdzięczną, nietolerancyjną Polskę katolicką – „Solidarnościową", z żalem i bólem żegnając swoją Ziemię Ojczystą, w której spoczywają przodkowie, stawiam sobie pytanie:

182
Kim jestem?

Pisarz Igor Newerly powiada: „Każdy jest pod względem narodowościowym tym, za kogo się uważa". **Więc za kogo się uważasz, Edward Mallek?**

W chwili urodzenia w 1907 roku w Prusach Wschodnich byłem Pruskim Mazurem.

W 1920 roku przyłączony do Polski, poprzez wykształcenie w polskich szkołach i przez służbę w polskim wojsku, czułem się Polakiem.

PO WOJNIE, POZBAWIONY WSZELKICH PRAW W POLSCE, JESTEM TYM, KIM BYŁEM OD URODZENIA: JESTEM PRUSKIM MAZUREM!

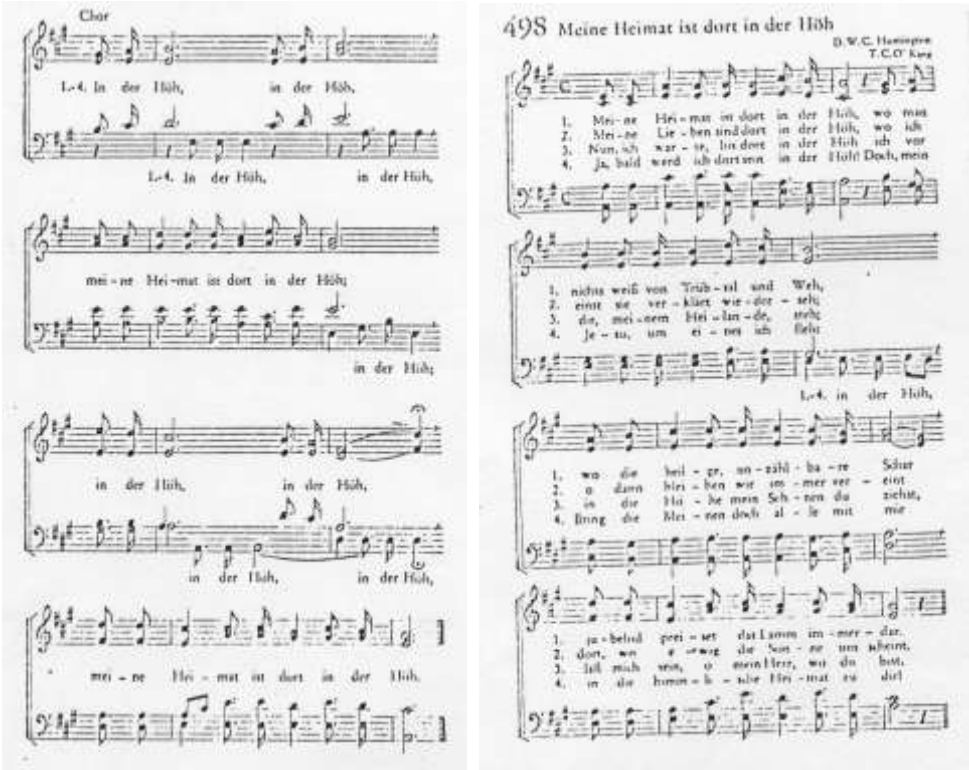

Nuty do pieśni *Moja Ojczyzna tam, w górze* [podpis – Red.]

Moja Ojczyzna tam, w górze

1. Moja Ojczyzna tam w górze, gdzie nieznane są smutki i ból,
   Gdzie rzesza święta, niezliczona wielbi, chwali Baranka nieprzerwanie.
2. Moi mili tam w górze przebywają i ja tam kiedyś opromieniony podążę
   i wtedy będziemy na zawsze złączeni tam, gdzie słońce wiecznie przyświeca.
3. Jeszcze czekam, aż tam u góry przed Zbawcą mym stanę,
   Ty Panie do góry tęsknotę moją orientujesz, pozwól znaleźć się, gdzie sam przebywasz.
4. Rychło już znajdę się ja tam w górze. Lecz, mój Jezu, o jedno Cię proszę,
   Przyprowadź mych bliskich pospołu ze mną do niebiańskiej Ojczyzny – do siebie!

Refren:

W górze, w górze jest moja Ojczyzna,
w górze, tam w górze moja Ojczyzna jest!

Jestem cząstką Ludu Mazurskiego Prus Wschodnich, bez względu na to, za kogo nas uznają Polacy czy Niemcy.

Jestem Mazurem! Staję w szeregu z mazurskimi męczennikami: moim bratem Robertem i dr Kurtem Obitzem, którzy w Obozach Koncentracyjnych na pytanie: „Was bist du?”[291] – odpowiadali: „Ich bin ein Masure”[292].

Nie wiem, czy innym zamordowanym: Jaegertalowi, Kantowi ... stawiano podobne pytania.

Hitlerowcy tych, ktorzy mówili: „Ich bin ein Masure”, uznawali za Polaków. Dlatego mój brat Robert i dr Kurt Obitz ponieśli męczeńską śmierć. Oni są męczennikami Ludu Mazurskiego.

I ja byłem w rękach hitlerowców jako oficer wojsk polskich. Gdyby mnie postawili pytanie, z którym wiązałoby się życie lub śmierć, wybrałbym życie. Dlatego za staraniem przyjaciół-Niemców, rodziców moich dzieci szkolnych w W. Wełczu, powiat Grudziądz, zostałem – ku mojej radości – zwolniony z niewoli niemieckiej z Oflagu VII C w Laufen koło Salzburga.

Będąc wolny, mogłem w konspiracji działać przeciw hitleryzmowi, a od 1945 roku służyć mojemu Ludowi Mazurskiemu jako ewangelicki pastor w Ełku, będąc wiernym synem Ziemi Mazurskiej.

Mazurzy, „zgermanizowani” (uznani za Niemców) przez Polaków, wypchnięci w taki czy inny sposób z Ziemi Ojczystej, znaleźli się przeważnie w Niemczech Zachodnich. Dla pierwszych „wygnańców” i „uciekinierów” pobyt w Niemczech był bardzo trudny, gdyż bieda była bodajże gorsza niż na Mazurach: brak żywności, brak mieszkań, miasta w gruzach.

Po latach pobytu w Niemczech są zagospodarowani, urządzeni, posiadają mieszkania, wybudowali własne domy, mają pracę i zarobki, starzy renty, ścigają się w kupnie dobrych samochodów. Czują się w Ojczyźnie.

Również i ja z żoną i dziećmi należymy do tzw. „Umsiedlerów” i mamy w Niemczech zapewniony spokojny, dostatni byt. Dzieci mają pracę według zdobytych kwalifikacji zawodowych: Robert jest dyplomowanym inżynierem geologiem, Jerzy, mgrem pianistą w Wyższej Szkole Muzycznej, Andrzej, dyplomowany inżynier w fabryce budowy autobusów, specjalność klimatyzacja, córka wdowa po inżynierze, rencistką.

Mazurzy, żyjąc w Niemczech, oczywiście nie śpiewają *Hymnu* ani *Hejnału Mazurskiego*. Śpiewają pieśni niemieckie, czytają książki niemieckie. Czują się jako „Ostpreusse”[293]. Zorganizowani są w związku pod nazwą „Landsmannschaft Ostpreussen”[294], a każdy powiat posiada „Kreisgemeinschaft”[295].

Polacy psioczą na tzw. „Ziomkostwa” i ich działalność w Niemczech. Dlaczego?

A czy Polacy byli inni, gdy stracili domy, własność, niepodległość? Przecież nie siedzieli, jak „mysz pod miotłą”. Nie ograniczali się tylko do organizowania związków ojczyźnianych, lecz tworzyli konspiracyjne oddziały wojskowe, czego „Ziomkostwa” nie czynią.

---

[291] Kim jesteś, za kogo się masz?
[292] Jestem Mazurem!
[293] Wschodni Prusowie.
[294] Związek rodaków pochodzących z Prus Wschodnich (Ziomkowie z Prus Wschodnich).
[295] Bractwo, grupa, wspólnota pochodząca z tego samego powiatu.

Jak Polakom wolno było wierzyć w Niepodległość, pozwólmy Mazurom – przepraszam –„Ostpreusiakom”, wierzyć, że wrócą na „Swoje”.

Czego życzysz sobie – życz i drugiemu.

I odwrotna strona medalu: Co tobie niemiłe – nie czyń drugiemu.

183
Tęsknota

Nie dziwmy się, że Ostpreusiaki – już nie Mazurzy – mimo dobrobytu w Niemczech, tęsknią za Ojcowizną, za Heimatem. Któżby nie tęsknił za tem, co posiadał, co było jego, a co mu zabrano. Dlatego, daleko od Ziemi Ojczystej, wylewają swoją tęsknotę w pieśniach, utworach poetyckich, choćby dla przykładu w takim wierszu pod tytułem *Unser Herz blieb in Masuren*:

O Heimat, alles, was wir lieben,
O alles, was uns sehnt zurück:
Der Krieg hat grausam uns vertrieben,
Zerstörte unser aller Glück.
Doch mit Gewalt ist nichst zu wenden
Wenn Stadt und Land in Flammen steh'n,
Dann würd im Chaos alles enden,
Wir würden alle untergeh’n.
Drum mögt ihr in Geduld noch warten,
Denn unrecht Werk hat nie Bestand.
Doch eurer Heimatschönheit Garten
Ist unvergänglich wie das Land.
Niemals verlöschen unsere Spuren,
Das Schwören wir: Mann, Frau und Kind.
Denn unser Herz blieb in Masuren,
Wenn wir auch fern von euch noch sind. –

Tłumaczenie:

Nasze serce pozostało na Mazurach

Ojczyzno – wszystko, co miłujemy, wszystko, do czego tęskno nam wrócić – wojna okrutnie nam ciebie zabrała, wygnała nas i szczęście nasze zburzyła.

Przemocą niczego nie odwrócisz. Gdy miasto i kraj pożoga ogarnie, wtedy wszystko chaos pochłonie. I nam przyszłoby niemal zginąć.

Dlatego czekać jeszcze musimy cierpliwie. Dzieło bezprawia ostać się nie może. Piękno Ojczyzny, jej rajskich ogrodów trwa i nie przeminie.

Nigdy nie zanikną nasze ślady – to przysięgamy, my: mężczyzna, kobieta, dziecko, bo serce nasze na Mazurach zostało, mimo że w dali żyjemy.

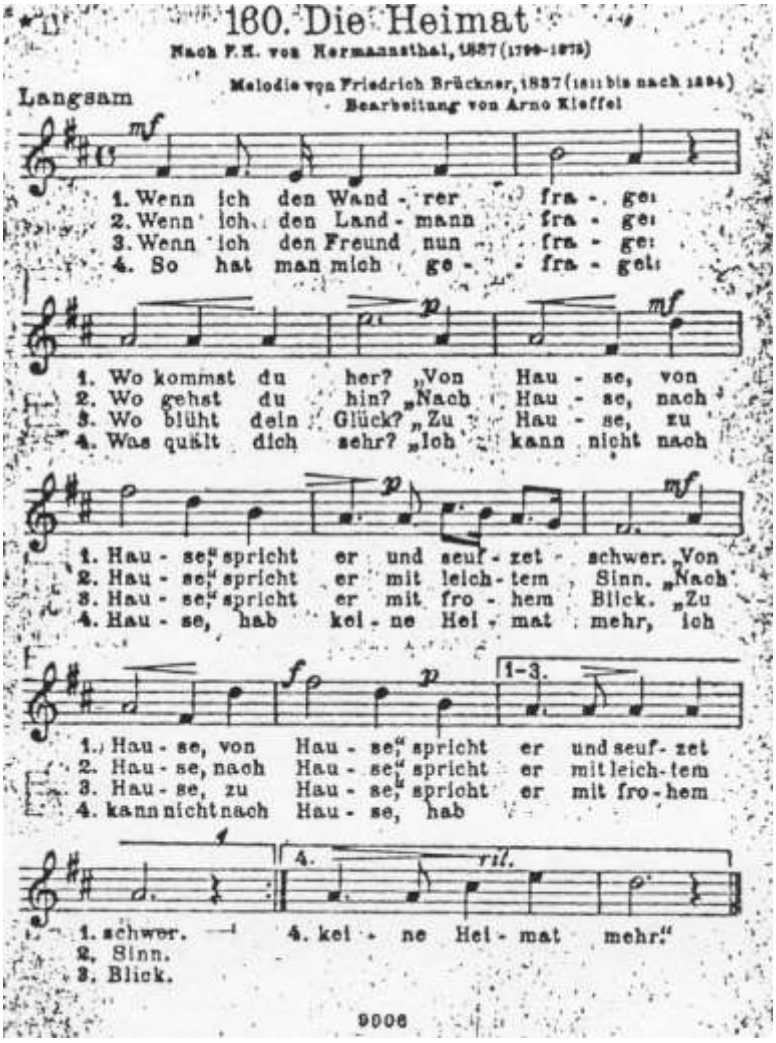

OJCZYZNA

1. Pytam wędrowca, skąd pochodzisz? On na to: Stamtąd, gdzie był mój dom... i ciężko wzdycha. Pochodzę z domu, z domu – i ciężko wzdycha.

2. Gdy zapytam ziomka: Dokąd podążasz? Do domu, do domu, odpowiada wesoło. Do domu, do domu, odpowiada wesoło.

3. Gdy zapytam przyjaciela: Gdzie twe szczęście rozkwita? W domu, w domu – odpowiada radośnie. W domu, w domu – odpowiada radośnie.

4. Tak i mnie zapytano, co Tobie tak bardzo dolega? Nie mogę do domu, bo już nie mam Ojczyzny, bo już nie mam Ojczyzny![296]

I ja też jako jeden z „Ostpreusiaków", po „ucieczce" w 1973 roku z Polski, wędrując po Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, żyjąc w Niemczech Zachodnich z bólem w sercu, czekałem z utęsknieniem na możliwość odwiedzenia moich stron ojczystych. Gdy tylko zmiany przepisów granicznych w Polsce weszły w życie, znosząc karalność „uciekinierów" za „nielegalny pobyt za granicą", natychmiast pośpieszyłem w 1989 roku do D O M U ! Wprawdzie już go nie mam, a jednak cieszyłem się, mogąc odwiedzić OJCZYZNĘ, moich krewnych, przyjaciół, kolegów, znajomych, a ze szczególną czcią groby umarłych.

Grób Ojca, ufundowany przez „Komitet Obchodu 90-lecia Urodzin Karola Małłka", zmieniłem, stawiając nowy grób rodzinny, obejmujący sześć tablic: Ojczulka Wilhelma, naszego półrocznego synka Karola-Michała, półrocznej siostrzyczki Heleny-Otylii, brata Jana-Fryderyka i dwie tablice, informujące, że Mateczka Henrietta-Augusta pochowana jest w Olsztynie i o bracie Robercie, że został rozstrzelany przez hitlerowców w lesie pod Komornikami.

I tak długo, jak dobrotliwy Pan Bóg da mi zdrowie, tak długo będę wędrował do miejsca mojej „kolebki" i do grobów moich bliskich, moich Ojców – Praojców, spoczywających w mojej Ziemi Ojczystej.

A jako wędrowiec wylewam moją tęsknotę słowami pieśni pod tytułem *Die Heimat*, którą załączam. „Nie mogę iść do domu, bo nie mam już mojej ojczyzny" – oto ostatnie słowa piosenki wędrowca.

Moje wspomnienia pozwolę sobie zakończyć anegdotą, którą córka Urszula (Ursel) pocieszała swego ojca, Landrata[297] powiatu Gerdauen, który po pierwszej wojnie światowej stracił swój majątek w Warnikeim, w powiecie Rastenburg:

„Ein Mann sitzt am Weg und weint. Da kommt der liebe Gott vorbei: „Mannchen, was weinst?" „Ich hab'ne Landwirtschaft in Ostpreussen, aber sie ist verloren!"„ Da setzt der liebe Gott sich zu ihm und weint mit"[298]. –

Przystosuję anegdotę do mojej sytuacji:

„Siedzi »Smętek« w Hamburgu w ogródku, lamentując, płacze. Przechodzi litościwy Pan Bóg: »Człowieczynko, dlaczego płaczesz?«. »Miałem swoją Ojczyznę, meine Heimat w Prusach Wschodnich, ale mi ją zabrali«. Pan Bóg dosiadł do niego i razem z nim płacze..."

Czy muszę jeszcze odpowiedzieć na pytanie w tytule moich wspomnień: „Gdzie jest moja Ojczyzna – mój Heimat?" –

[296] Tłumaczenie: Tekst P. H. Hermannthal, 1887, melodia Friedrich Brückner, 1837, obróbka: Arno Kleffel.

[297] Landrat – starosta powiatu.

[298] Siedzi człowiek przy drodze i płacze. Przechodził Pan Bóg i zapytał: czemu płaczesz. Ten odpowiedział: miałem Ojczyznę.

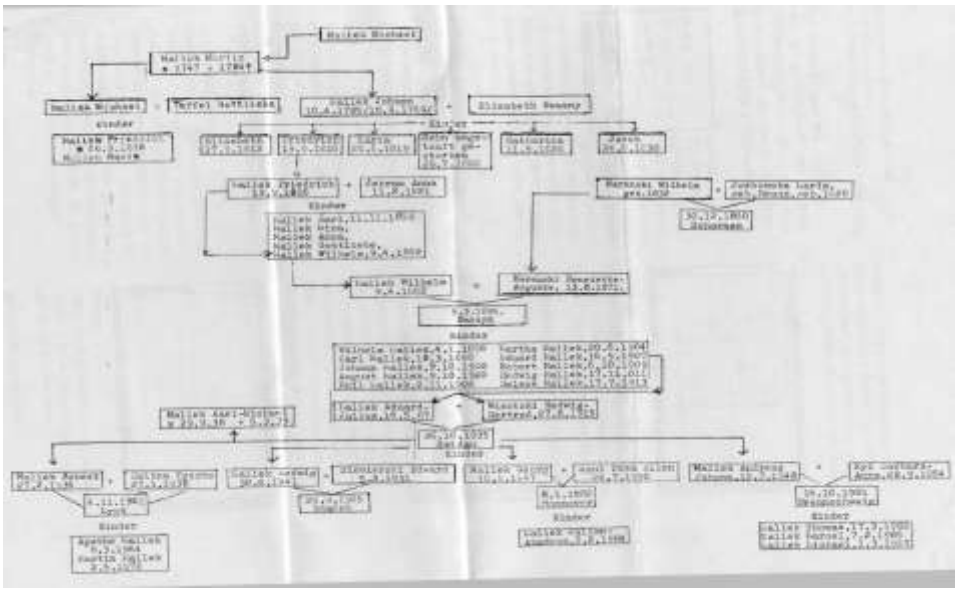

Mallek Wilhelm, syn Fryderyka
ur. 9.04.1862 w Gr. Schläfken
zm. 17.01.1937 w Brodowie
zm. 8.01.1963 w Olsztynie

Mallek Henrietta-Augusta
córka Wilhelma Mareńskiego
ur. 13.08.1862 w Scharnau

Mallek Wilhelm-Karl, syn Wilhelma
ur. 4.01.1896 w Brodau/Neidenburg
zm. 16.05.1922 w Neidenburg /Ostpr.

Mallek Karl-Gustaw, syn Wilhelma
ur. 18.03.1898 w Brodau/Neidenburg
zm. 28.08.1969 w Krutyni /pow. Mrągowo
(Na odwrocie fotografii słowa Karola: Miałem wtedy lat 52, kiedy zostałem wyeliminowany przymusowo w stan spoczynku)

Mallek Jan Fryderyk, syn Wilhelma
ur. 9.10.1900 w Brodau /Neidenburg
zm. 29.04.1943 w Działdowie
(w szpitalu)

Mallek August-Samuel
ur. 9.10.1900 w Brodau/Ostpr.
zm. 5.11.1956 w Ahnatal /BRD
(Wypędzony z własności przez władze PRL)

Mallek Emil-Hermann, syn Wilhelma
ur. 2.11.1902 w Brodau/Neidenburg
zm. 29.12.1977 w Hamburgu/Deutschland
(wypędzony z własności i aresztowany
przez władze Polski Ludowej)

Żbikowska Marta-Augusta
c. Wilhelma i Henrietty-Augusty Mallek
ur. 20.06.1904 w Brodau/Neidenburg
zm. 22.06.1977 w Olsztynie
(wydziedziczona z własności
przez Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej)

Mallek Edward-Julius
s. Wilhelma i Henrietty-Augusty
ur. 16.05.1907 w Brodau/Neidenburg
(pozbawiony przez władze PRL prawa
wykonywania zawodu nauczyciela i pastora)

Mallek Robert-Otto, syn Wilhelma
ur. 6.10.1909 w Brodau/Neidenburg
zm. 8.12.1939 – rozstrzelany
przez hitlerowców w lesie w Komornikach,
powiat Działdowo

Mallek Hedwig (Jadwiga)-Emilia
córka Wilhelma i Henrietty-Augusty
ur. 17.11.1911 w Brodau/Neidenburg

KONIEC

colloquia
orientalia
bialostocensia

EPILOG (I)*

Gdy skończyłem pisanie moich *Wspomnień*, ziemia zatrzęsła się doniosłymi wydarzeniami. Rozpadł się Związek Socjalistycznych Republik Rad, kolebka i bastion komunizmu światowego. Upadają reżimy komunistyczne w różnych krajach świata. Na gruzach ZSRR powstają republiki narodowościowe, w tym Rosja. Odzyskują niepodległość kraje bałtyckie: Estonia, Łotwa i Litwa.

Jednoczą się dwa państwa niemieckie: Bundesrepublika i Deutsche Demokratische Republik. Berlin staje się na nowo stolicą zjednoczonych Niemiec.

Komunistyczny dyktator DDR, Erich Honecker, umiera na wygnaniu w Chile jako azylant, chowany przez wdzięcznych mu lumumbowców. Na terenie zbankrutowanej DDR w miejsce komunistycznej partii SED powstaje jej spadkobierczyni, „socjalistyczna" partia PDS, która żywi się resztkami padliny „nieodżałowanego" komunizmu.

Jest rok 1994. Ostatni żołnierz byłego Związku Socjalistycznych Republik Rad opuszcza w tym roku: Polskę, Estonię, Łotwę, Litwę i Niemcy. Jedynie Prusy Wschodnie (mój Heimat) nie uzyskały wolności. Ale i tu zachodzą doniosłe zmiany. Można swobodnie odwiedzać Prusy Wschodnie, czego dotąd nie było. W części, będącej pod administracją Polski, powstają niemieckie, niemiecko-mazurskie, niemiecko-polskie stowarzyszenia mniejszościowe, pielęgnujące język i kulturę niemiecką.

Część Wschodnich Prus – okręg Królewca, nadal pozostaje pod administracją nowych władz Rosji, stanowiąc enklawę, nie mającą terytorialnego połączenia z Rosją.

W związku z tym powstają różne spekulacje co do przyszłości Okręgu Królewca i Prus Wschodnich jako całości. Problem ten jest tematem wypowiedzi i dyskusji naukowców, polityków różnych krajów, jak również przedstawicieli dawnych mieszkańców Prus Wschodnich.

Jako pierwszy pośpieszył się prezydent Polski, p. Wałęsa, który po montersku już podzielił okrąg Królewca na strefy: główną część z Królewcem przydzielił Polsce, innymi częściami obdarzył Litwę, Białoruś i Ukrainę. (Zobacz mapę.) Polska otwarła konsulat w Królewcu.

Litwa niewątpliwie chętnie przyjęłaby całość Okręgu Królewca, gdyby ku temu sprzyjała sytuacja międzynarodowa.

Jakie stanowisko co do przyszłości Prus Wschodnich zajmuje Państwo Niemieckie, które straciło nie tylko Prusy Wschodnie?

Zacytuję wypowiedzi zaczerpnięte z „Ostpreußenblatt": „(…) am 19. Januar 1990 hatte der deutsche Bundeskanzler auf einer Konferenz (…) in Paris erklärt: «Die Deutschen – und hieran sollte niemand zweifeln – haben nicht die Absicht, im Europa von morgen eine Grenzdiskussion vom Zaune zu brechen, die die europäische Friedensordnung, die wir ge-

* O czasie powstania i rękopisach *Epilogów* patrz: *Zasady wydania* do niniejszej edycji.

meinsam anstreben, gefährden müßte. Niemand will daher die Frage der Einheit der Nation verbinden mit der Verschiebung bestehender Grenzen»"[1].

To świadczy, że z uwagi na zawarty układ z Polską, ustalający granice na Odrze i Nysie, rząd niemiecki nie interesuje się Prusami Wschodnimi, czego dowodem jest fakt, że dotąd nie utworzono konsulatu w Królewcu. Obserwujemy, że Niemcy starają się utrzymywać z Polską jak najlepsze stosunki, czego dowodem jest inna wypowiedź p. Helmuta Kohla z dnia 19 lutego 1976 roku w Bundestagu (wówczas w opozycji): „dass es aus der großen Tradition der Deutschen Zentrumpartei heraus – aus der meine Familie kommt und in deren Tradition ich großgezogen wurde – ganz selbstverstandlich war, eine propolnische Haltung zu beziehen"[2]. (Cytaty podane przez Wilhelma v. Gottberga w „Ostpreußenblatt", wygłoszone na Deutschlandtreffen [oglólnoniemieckim spotkaniu ziomkostwa wschodniopruskiego] w Düsseldorfie w 1994 roku.)

Po rozpadnięciu się ZSRR Rosja podobno zaproponowała rządowi niemieckiemu kupno Okręgu Królewca za 13 miliardów DM. Zagadnięty w tej sprawie minister spraw zagranicznych, p. Genscher, miał odpowiedzieć: „Gdyby nawet za darmo, to tego nie weźmiemy". Wypowiedź p. Genschera z pewnością nie jest dowodem lekceważenia problemu, lecz świadczy o tym, że Państwa Niemieckiego nie stać na przejęcie utraconych ziem z czysto finansowo-gospodarczych przyczyn, gdyż przejęte, zbankrutowane DDR jeszcze długie lata będzie „niestrawione" przez budżet państwowy.

A co myśli o przyszłości Prus Wschodnich „Ziomkostwo", to jest Landsmannschaft Ostpreußen, reprezentujące dawnych mieszkańców Prus Wschodnich, wypędzonych z ich ojczystych ziem?

Landsmannschaft Ostpreußen nie zareagowało na przykład na propozycje prawnika, p. Rudolfa Grommelta z Hannoveru, który w sprawie kupna Okręgu Królewca zwrócił się na łamach „Ostpreßenblatt" dnia 15.6.1991 roku z następującym apelem: „Liebe Landsleute, wir alten Preußen sollen in der Lange sein, die c/a 13 Milliarden Quadratmeter in Nordostpreußen (ungefähr die Fläche von Schleswig-Holstein) durch eine private Prussia-Grunderwerbs-Organisation zu kaufen. Bei den geforderten Milliarden Mark wurde der Quadratmeterpreis nur wenige Mark ausmachen… Bündeln wir unsere Interessen und Kräfte, sichern wir den Erwerb internationalrechtlich ab und bauen wir das alte Preußenland als Teil des europäischen Hauses wieder auf"[3].

Niestety nie doczytałem się tego, aby Landsmannschaft Ostpreußen podchwyciło tę mądrą i konkretną myśl p. Grommelta.

Nieco odmiennej myśli odnośnie przyszłości Prus Wschodnich jest Junge Landsmannschaft Ostpreußen. Czytamy w jej deklaracji: „Die JLO reicht allen Menschen in und um Ostpreußen, allen Deutschen und Russen, allen Polen und Litauern, denen Ostpreußen

[1] Dnia 19 stycznia 1990 roku niemiecki kanclerz podczas konferencji międzynarodowej w Paryżu oświadczył: Niemcy – a co do tego nikt nie powinien wątpić – nie mają zamiaru w przyszłej Europie wszczynać dyskusji o granicach. Nikt nie chce kwestii jedności narodu łączyć z przesunięciem istniejących granic.

[2] Naturalnym i niepoddawanym przez nikogo w wątpliwość składnikiem wielkiej tradycji niemieckiej partii Centrum, z której wywodzi się moja rodzina i w której również ja zostałem wychowany, było zajmowanie propolskich pozycji.

[3] Drodzy Rodacy, my, starzy Prusacy, powinniśmy być zdolni do wykupienia poprzez prywatną Organizację Wykupu Ziemi „Prussia" tych ok. 13 miliardów m^2 ziemi w północnych Prusach Wschodnich (co stanowi mniej więcej powierzchnię Szlezwika-Holsztynu). Przy żądanych miliardach marek cena jednego metra kwadratowego ziemi wynosiłaby zaledwie kilka marek. Jeśli złączymy swoje interesy i siły, to zabezpieczymy kupno w świetle prawa międzynarodowego i odbudujemy starą Krainę Pruską jako część europejskiego domu.

am Herzen liegt, die Hand für eine gemeinsame Zukunft. Nur gemeinsam kann es uns gelingen, aus der großen Vergangenheit Ostpreußens eine Brükke in eine bessere Zukunft zu bauen. Die JLO bekennt sich zu einem friedlichen Wandel. Die JLO lehnt eine Vertreibung der in Ostdeutschland angesiedelten Bevölkerungsgruppen ab. Die JLO ruft alle Deutschen und ihre Nachbarn zum gemeinsamen Wiederaufbau Ostpreußens auf. Nur wenn wir Ostpreußen als eine gemeinsame Aufgabe begreifen, wird dieses Land eine Zukunft haben"[4].

To, co Junge Landsmannschaft Ostpreußen dokładnie nie precyzuje, dopowiadają rosyjscy politycy i naukowcy, choćby tacy, jak zmarły pisarz Jurij Iwanow, profesor prawa S. Kargopolow i inni, którzy przyszłość Prus Wschodnich widzą w utworzeniu Czwartej Republiki Bałtyckiej. Do ich koncepcji pasuje inna wypowiedź już raz wspomnianego prawnika, p. Rudolfa Grommelta z Hanoweru, który w odpowiedzi na artykuł Herberta Hupki na łamach „Ostpreußenblatt" w 1990 roku powiedział: „Eigentlich sollten wir Ostpreußen nicht darüber jammern, daß wir nicht mehr »Ostdeutsche« sein sollen. Ostpreuße zu sein ist nämlich besser und richtiger, weil (Ost-) Preußen erst seit 1871 zum Reich der Deutschen gehörte und vorher jahrhundertelang selbständig war – unter den Prußen, dem Orden, als Herzogtum und Königreich, das mit Brandenburg und den anderen Territorien unter den Hohenzollern nur in Personalunion vereint war. Noch unter Friedrich dem Großen gab es kein Preußen von der Memel bis zum Rhein, sondern „Seiner Majestät Gesamtstaaten". Wir sind als Ostpreußen auch landsmannschaftlich nicht durchweg deutschstämmig, sondern ein Vielvölkergemisch mit eigenständiger Geschichte und Kultur. Lassen wir den Deutschen in der erweiterten Bundesrepublik ihr kleinmütiges Deutschtum und seien wir ganz selbstverständlich einfach nur Ostpreußen!!" (moje podkreślenie)[5].

Czy istnieją realne możliwości powstania Czwartej Republiki Bałtyckiej?

Najpierw trzeba z góry powiedzieć, jeżeli ktoś uważa, że obecny *status quo*, stworzony przez Konferencje – Układy Jałtańsko-Poczdamskie – są wieczne, ten nie ma pojęcia o historii świata. Żadne bowiem układy, traktaty, „Ententy", „Osie" nie były trwałe. Toteż i dyktat poczdamski, pomijający wolę miejscowej ludności, nie może trwać długo.

Dlatego niektórzy politycy i naukowcy rosyjscy wysuwają myśl utworzenia z Prus Wschodnich „Czwartej Republiki Bałtyckiej", bo nie wierzą, aby Oblast Królewca mógł istnieć na zawsze.

Dlatego Landsmannschaft Ostpreußen, powołując się na słowa Mołotowa, że „dyktat Poczdamski trwać będzie 50 lat", spodziewa się w 50-tą rocznicę rewizji czy korektury

[4] Młode Ziomkostwo Prus Wschodnich (Junge Landsmannschaft Ostpreußen, JLO) wyciąga dłoń do wszystkich mieszkańców Prus Wschodnich i sąsiadujących z nimi krajów, wszystkich Niemców i Rosjan, wszystkich Polaków i Litwinów, którym Prusy Wschodnie leżą na sercu. Razem pragniemy budować wspólną przyszłość. Tylko wspólnie może się nam udać wzniesienie mostu łączącego wielką przeszłość Prus Wschodnich z ich lepszą przyszłością. JLO wyznaje zasadę pokojowej zmiany. JLO odrzuca wypędzenie mieszkających w Niemczech Wschodnich grup narodowościowych. JLO wzywa wszystkich Niemców i ich sąsiadów do wspólnej odbudowy Prus Wschodnich. Tylko wtedy, gdy uznamy Prusy Wschodnie za wspólne zadanie, kraj ten będzie posiadał perspektywę na przyszłość.

[5] Właściwie my, Wschodnioprusacy, nie możemy użalać się nad tym, że nie powinniśmy być już więcej „Niemcami ze Wschodu". Bycie Wschodnioprusakiem jest lepsze i słuszniejsze, ponieważ Prusy (Wschodnie) należały dopiero od 1871 do Rzeszy Niemieckiej, a wcześniej przez wieki były samodzielne – pod panowaniem Prusów, pod panowaniem zakonu krzyżackiego, jako księstwo i królestwo, które pod panowaniem Hohenzollernów połączone było z Brandenburgią tylko unią personalną. Jeszcze podczas panowania Fryderyka Wielkiego nie istniały Prusy od Niemna do Renu, lecz „wszystkie państwa Jego Wysokości". Jako Wschodnioprusacy nie jesteśmy wyłącznie pochodzenia niemieckiego, lecz stanowimy mieszankę wielu narodów, posiadającą własną historię i kulturę. Niemcom w poszerzonej Republice Federalnej pozostawmy ich nieśmiałą niemieckość, sami zaś bądźmy po prostu Wschodnioprusakami! [Fragment w oryginale podkreślony w całości przez Autora – Red.]

Układu Poczdamskiego, wołając: „Wir streben ein Rückkehr- und Niederlassungsrecht für Vertriebene und ihre Nachkommen in der Heimat an”[6].

Nie wiem, jak sobie Landsmannschaft Ostpreußen wyobraża powrót na utracone ziemie? Mówią w swojej „Karcie”: „w pokoju i w wolności”.

Sądzę, [że] aby to było możliwe, musiałaby nastąpić rewizja – korektura – zmiana orientacji myślenia, uczuć patriotyczno-nacjonalistycznych u mieszkańców obecnie zamieszkujących Prusy Wschodnie i u tych, którzy chcą wrócić na swoje ziemie. Rosjanie, Polacy, chcąc nadal mieszkać na nieswojej ziemi, muszą przekształcić swój patriotyzm narodowy z Rosjanina na Pruskiego Rosjanina, z Polaka na Pruskiego Polaka, jak to już się czuje rosyjski malarz-artysta w Królewcu, Wiktor Rjabinin, który mówi o sobie: jestem Pruski Rosjanin.

A ci, którzy chcą wrócić na swoje ziemie, czyli dawni mieszkańcy Prus Wschodnich i ich potomkowie, byłoby na czasie, aby ideę „Groß-Deutschland” z granicami z 1937 roku wyrzucili za burtę okrętu, na którym dotychczas płyną i przesiedli się na okręt przyszłości „Ostpreußen”, śpiewając: „Wir sind fünfach Ostpreußen”!

Tylko takie zmiany, korektury zapewnią wspólne współżycie ludzi różnych grup narodowościowych w nowej, wspólnej, wolnej, niepodległej Republice Prus Wschodnich o takiej, czy innej nazwie.

Prusy Wschodnie powinny być Państwem Niepodległym. Landsmannschaft Ostpreussen powinno przypomnieć dzień 11 lipca 1920 roku, kiedy to 98% głosujących mieszkańców Prus Wschodnich wypowiedziało się za Prusami Wschodnimi – „für Ostpreußen”. Już wtedy mogła być niepodległa Republika Prus Wschodnich. Niestety, zrezygnowano z „Ostpreußen”, przyłączając się do „Groß-Deutschland”. I dlatego płacimy za to teraz naszą tragedią.

Obecnie należy ten błąd naprawić. Innej alternatywy dla Prus Wschodnich nie ma, jeżeli chcemy wrócić do Domu, do Heimatu.

Przy tym wszyscy, Polacy i Niemcy, powinniśmy sobie zdawać sprawę z tego, że klucz przyszłości Prus Wschodnich (powstania Czwartej Republiki Bałtyckiej) nie leży ani w Bonn, ani w Berlinie, ani w Warszawie, lecz jedynie w Moskwie.

Moskwa bowiem jest matką-rodzicielką dzisiejszego stanu rzeczy w Prusach Wschodnich. Moskwa urodziła polskie „Mazury” i rosyjski „Oblast Kaliningradzki”. I tylko Rosja może skorygować, zmienić to, co, według słów Mołotowa, miało istnieć 50 lat.

Dlatego byłoby wskazane i na czasie, aby Landsmannschaft Ostpreußen przestało lamentować i błagać Rząd i Parlament Niemiecki o należyte uznanie i większą pomoc, a raczej powinno szukać sposobu nawiązania bezpośredniego kontaktu z Moskwą, z władzami rosyjskimi. Myślę, że pierwszym krokiem ku temu byłoby przekształcenie Związku Landsmannschaft Ostpreußen w partię polityczną. Wtedy jako partia miałby większy szacunek, prestiż i jednocześnie mandat występowania tak w Niemczech, jak i zagranicą w sprawach swej Ojczyzny. Mieszkańcy obecnie zamieszkujący Prusy Wschodnie razem z Landsmannschaft Ostpreußen powinni już dzisiaj działać nad ukształtowaniem zrębów przyszłej wspólnej, niepodległej Ojczyzny, dążąc do uznania jej przez Narody Zjednoczone.

[6] Naszym celem jest prawo do powrotu i osiedlenia się w stronach ojczystych dla wszystkich wypędzonych i ich potomków. [Teksty niemieckie w *Epilogu* zostały przełożone przez E. Małłka, były to jednak tłumaczenia tak nieadekwatne, że ponownie fragmenty te przełożył dr Rafał Żytyniec – Red.]

Jako wierny syn Prus Wschodnich czuję obowiązek wypowiedzenia moich myśli w sprawie ich przeszłości:

W 1918 roku, gdy Polska powstawała, miałem zaledwie 11 lat. Wtedy jako dziecko biernie i nieświadomie musiałem się pogodzić z faktem, że ówczesny Rząd Niemiecki po przegranej I wojnie światowej Traktatem Wersalskim zaprzedał moją ziemię ojczystą – część powiatu Neidenburg (Soldauergebiet) i tak z dniem 10 stycznia 1920 roku znalazłem się w granicach Polski. Dzisiaj jestem człowiekiem w podeszłym wieku, o bogatym doświadczeniu. W Polsce przeżyłem 66 lat mojej gehenny życiowej, w tym 5 lat jako nauczyciel, 14 lat pastor, 14 lat z zakazem wykonywania zawodu.

W 1973 roku cudem udało mi się wyjechać z Polski przez Kanadę do Bundesrepubliki, gdzie jako pełnoprawny obywatel interesuję się przede wszystkim polityką Rządu Niemieckiego w stosunku do utraconych ziem, w tym i Prus Wschodnich.

W związku z tym, jest mi bardzo przykro stwierdzić, iż Rząd Bundesrepubliki odżegnuje się od utraconych ziem, zawierając z Polską układ, ustalający granicę na Odrze i Nysie, układ przyjęty (dziwię się bardzo) z wielkim aplauzem przez Parlament Niemiecki. Osobiście nie zgadzam się ani ze wspomnianym Układem, ani z wypędzeniem przez Polskę miejscowej ludności, która od setek lat zamieszkiwała te ziemie.

Jeżeli więc Rząd Bundesrepubliki rezygnuje między innymi z Prus Wschodnich, to my, Wschodnioprusacy, musimy naszą sprawę wziąć w nasze ręce, zachęceni dyskusją, rozważaniami w tej sprawie na arenie międzynarodowej.

Uważam, że dla upamiętnienia pierwotnych mieszkańców tych ziem, Starych Prusów, niepodległa Republika Prus Wschodnich powinna nosić nazwę „Prusai Republika". I to choćby dlatego, aby ci, co mieszkają, i ci, którzy chcą mieszkać w Prusach Wschodnich, byli świadomi tego, że żyją na obcej ziemi. Przecież ani Niemcy, ani Polska, ani Rosja nie mają żadnych praw do Prus Wschodnich, gdyż była ziemią Prusów. Świadomość ta powinna ułatwić współżycie różnych grup narodowościowych w Prusach Wschodnich. Obecnie prawo do tych ziem mają przede wszystkim ci, którzy przez setki lat tam mieszkali i ci, którzy teraz mieszkają. Jedni i drudzy powinni wspólnie ukształtować własną, niezależną tożsamość państwową.

Prusy Wschodnie nie mogą być czyjąś „forpocztą" przeciw Wschodowi czy Zachodowi („Kleines militärisches Aufmarschgebiet gegen Osten oder Westen"). Nie należy kierować się starymi kryteriami czy systemami. Miejmy odwagę stworzyć coś nowego, nawiązując do starego, do niepodległych ziem Starych Prusów.

Musimy zrozumieć, że po wytępieniu Prusów mieszkańcami Prus Wschodnich stali się osadnicy różnych narodów, tworząc mieszaninę narodowościową – „Vielvolkergemisch", i taką jest obecnie, i taką będzie w przyszłości. I dlatego jako „Vielvolkergemisch" nie może należeć do żadnego jednonarodowościowego państwa, jakim jest Rosja i Polska, gdyż w takich państwach grupy mniejszościowe będą zawsze pokrzywdzone. Taki „Mischvolk" musi mieć własne państwo, w którym wszystkie grupy narodowościowe będą miały równe prawa bez względu na ich liczebność.

Przecież nie wierzę, aby „Vertriebene", „Flüchtlinge", „Umsiedler" z Niemiec zechcieli wrócić do dzisiejszego rosyjskiego Kaliningradu albo do Polski na tzw. „Mazury", gdyby nawet dano im prawo do powrotu i do własności? Kto chciałby żyć w obcym, wrogim kraju? Ja też nie. Wobec tego uważam politykę Landsmannschaft Ostpreussen, wyraża-

jącą się w słowach: „Wir streben ein Rückkehr- und Niederlassungsrecht für Vertriebene und ihre Nachkommen in der Heimat an" z góry za przegraną.

Tak samo żądanie zwrotu Prus Wschodnich jako części Niemiec uważam za nierealne, wprost nie do pomyślenia na drodze pokojowej.

Dlatego jedyną alternatywą dla Prus Wschodnich na przyszłość jest stworzenie niepodległego, neutralnego państwa, które nie będzie groźne dla sąsiadów.

Jak wyobrażam sobie powstanie niepodległego Państwa Prus Wschodnich? Po prostu należy przeprowadzić drugi Plebiscyt – wypowiedzenie się byłych i obecnych mieszkańców Prus Wschodnich, łącznie z Gdańskiem, o swojej przynależności, to znaczy, czy chcą mieć niepodległe państwo, na przykład o nazwie „Prusai Republika". Uprawnione do głosowania powinne być osoby, które ukończyły 18-ty rok życia:

1. Przede wszystkim mieszkańcy, którzy od setek lat mieszkali w Prusach Wschodnich i Gdańsku w granicach 1914 roku, oraz ich potomkowie, bez względu na obecne ich miejsce zamieszkania.
2. Mieszkańcy obecnie zamieszkujący Prusy Wschodnie („Mazury", „Okręg Kaliningradu" i Gdańska), ale urodzeni po 8 maja 1945 roku (którzy nie ponoszą winy, że ich ojcowie zagrabili obce ziemie).

Głosowaniem obejmuje się obszar Prus Wschodnich w granicach z 1914 roku i w Niemczech oraz innych krajach świata, w których żyją wypędzeni, uciekinierzy, dawni mieszkańcy Prus Wschodnich i ich potomkowie. Głosowaniem kieruje Główna Komisja, składająca się z przedstawicieli Niemiec, Rosji i Polski, rekrutująca się z mieszkańców uprawionych do głosowania, z siedzibą poza terenem głosowania, na przykład w Wiedniu, pod nadzorem przedstawicieli Wspólnej Europy i Narodów Zjednoczonych. W Polsce (na terenach b. Prus Wschodnich, łącznie z Działdowszczyzną i Gdańskiem), w Okręgu Kaliningradzkim i w Niemczech działają Komisje Krajowe, składające się z przedstawicieli mieszkańców Niemiec, Rosji i Polski, uprawnionych do głosowania, również pod nadzorem organizacji międzynarodowych.

W Polsce i Okręgu Kaliningradzkim głosowanie odbywa się w otwartych dla tego celu politycznych lokalach.

W Niemczech głosujący oddaje wypełnioną kartę głosowania Urzędowi Meldunkowemu, który przekazuje ją (zbiorowo) Krajowej Komisji Głosowania, a ta kieruje dalej do Głównej Komisji Głosowania.

Wysiedleni, uciekinierzy, byli mieszkańcu Prus Wschodnich i ich potomkowie, mieszkający w innych krajach świata, przesyłają wypełnioną kartę głosowania do ambasad-konsulatów niemieckich kraju zamieszkania, a te przekazują dalej Krajowej Komisji Głosowania w Niemczech, a stamtąd do Głównej Komisji Głosowania.

Karty głosowania będą w 2-ch kolorach. Jedna z napisem: *Za Prusai Republiką*, druga: *Przeciw Prusai Republice*.

Głosowanie powinno być imienne, co zapobiegnie fałszerstwu.

Na odwrocie karty głosowania głosujący odpowiada na następujące pytania:

1. Imię i nazwisko:
2. Imiona rodziców:
3. Data urodzenia:
4. Miejscowość i kraj pochodzenia rodziców:
5. Miejsce obecnego zamieszkania:

6. Data i podpis (lub odciski palców):

Główna komisja oblicza wszystkie oddane głosy. Rezultat podaje do publicznej wiadomości. Wybór „Prusai Republiki" lub sprzeciw zapada zwykłą większością głosów.

W razie zwycięstwa Prusai Republiki Główna Komisja przesyła Narodom Zjednoczonym i Wspólnocie Europejskiej wynik głosowania, prosząc jednocześnie o przyjęcie nowej Republiki na członka.

Pierwszą władzą przejściową Prusai Republiki są Główna Komisja i Krajowe Komisje Głosowania łącznie.

Już przed głosowaniem strony zainteresowane powinny przygotować główne punkty przyszłej Konstytucji Prusai Republiki, aby głosujący wiedzieli, na co mają głosować. Na przykład:

1. Ustalić nazwę Republiki.
2. Wybrać Godło Państwa – chorągiew.
3. Ustalić obszar Republiki w granicach Prus Wschodnich z 1914 roku, łącznie z Gdańskiem.
4. Ogłosić neutralność Republiki, bez wojska; jedynie straż graniczna i policja.
5. Obowiązywać będzie ustrój demokratyczny.
6. Podział administracyjny na rejencje (województwa): Konigsberg, Allenstein, Marienburg, Danzig; powiaty i gminy.
7. Kto może być obywatelem Prusai Republiki:
   a) Dawni mieszkańcy Prus Wschodnich i ich potomkowie bez względu na ich przekonania narodowe i obecne miejsce zamieszkania, z prawem do własności.
   b) Mieszkańcy napływowi po 1945 roku, urodzeni po dniu 8 maja 1945 r.
   c) Elementy destrukcyjne, kryminalne, chuligańskie będą wydalone z Prusai Republiki do krajów ich pochodzenia.
8. Ustalić języki urzędowe: niemiecki, mazurski (polski), rosyjski, obowiązujące w urzędach i szkolnictwie Prusai Republiki.
9. Rozdział Kościoła od Państwa: wszystkie konfesje religijne korzystają z równych praw bez względu na liczbę wyznawców. Żadne wyznanie nie może być uprzywilejowane. Żaden konkordat z jakimkolwiek kościołem. Kościoły nie mogą wpływać na politykę państwa.
10. Nauka religii tylko w ramach kościoła.
11. Kultura: Każda grupa etniczna ma prawo do własnej kultury i języka.
12. Obywateli wszystkich grup etnicznych – na wzór amerykański – łączy słowo „Prusai" („Prusai-Niemiec", „Prusai Mazur", „Prusai Polak", „Prusai Rosjanins", „Prusai Litwin" itd.).

Naczelnym hasłem Prusai Republiki to: Wolność, niezależność, pokój, dobrobyt, sprawiedliwość społeczna.

Tylko młoda, niepodległa Prusai Republika może przyciągnąć i zachęcać byłych mieszkańców Prus Wschodnich i ich potomków żyjących w Niemczech do powrotu na ich ziemie.

Dlaczego do przyszłej Prusai Republiki włączam Gdańsk?

Jeżeli przyjmiemy, że Rosja prędzej czy później zgodzi się na utworzenie z Prus Wschodnich Czwartej Republiki Bałtyckiej, nie od rzeczy trzeba przewidywać, że przez to

samo nie zrzeknie się bazy Wojskowej w Pillau. W takim wypadku młoda Prusai Republika będzie potrzebowała swego niezależnego, wolnego portu, którym może być tylko Gdańsk.

Jak ustosunkować się do istnienia rosyjskiej bazy w Pillau?

Osobiście uważam, że istnienie jej, szczególnie w początkowej fazie, będzie dla Prusai Republiki korzystne. Bowiem tylko Rosja może być pierwszym gwarantem niepodległości młodej Republiki. W dalszej kolejności należy zdobyć innych gwarantów: Anglię, Amerykę, Kraje Bałtyckie…

Byłoby paradoksem, gdyby zaistniała taka sytuacja, że Bundesrepublika razem z „bratnią" Francją odmówiły gwarancji nienaruszalności granic Prusai Republice, [że] stają po stronie interesów Polski.

W każdym razie Prusai Republika będzie potrzebowała mądrej polityki, mądrej dyplomacji ze strony przedstawicieli Prus Wschodnich i zdecydowanej woli „Wygnańców i Uciekinierów", [by] wrócić na swoje ojczyste ziemie.

My, Wschodnioprusacy, współpracujemy z przychylnym dla Polski i Rosji Rządem Niemieckim w zakresie inwestowania, unowocześniania przemysłu, zakładów produkcyjnych, ochrony przyrody, pielęgnowania obiektów państwowych, byśmy przejmując kiedyś nasze Prusy Wschodnie z rąk Polski i Rosji nie przejęli bankruta typu DDR. Pomoc niemiecka udzielona Polsce i Rosji powinna lądować przede wszystkim w Prusach Wschodnich i dawnych ziemiach niemieckich. Pamiętajmy też o pielęgnowaniu i ochronie obiektów kultury i zabytków w Prusach Wschodnich. Do takich między innymi należą nasze ewangelickie cmentarze. To niewiele kosztuje, jeżeli robimy to z miłości i szacunku wobec naszych zmarłych.

Na przykład: za 10.000 DM (w tym 1.350 DM udziału 6-ga ofiarodawców, b. brodowiaków) dałem postawić pomnik rodziny, tablicę pamiątkową z nazwiskami rodzin spoczywających na cmentarzu w Brodowie, przenieść pomnik poległego na I wojnie światowej mego kuzyna Ulricha Braun z Sarnowa (gdzie groziło mu zniszczenie), postawić nowe ogrodzenie cmentarza długości przeszło 70 metrów i odremontowanie starego muru cmentarnego.

Pielęgnacji naszych cmentarzy nie możemy żądać od obecnych mieszkańców wyznania katolickiego. Musimy my to robić.

W drugi dzień Zielonych Świąt, dnia 22 maja 1944 roku, odbyła się uroczystość poświęcenia tablicy pamiątkowej na cmentarzu ewangelickim w Brodowie z udziałem burmistrza miasta Działdowo, wójta z Iłowa, księdza ewangelickiego Otello z Nidzicy, ludności katolickiej z księdzem z Białut, ludności ewangelickiej parafii Działdowo z chórem młodzieżowym i gości z różnych stron, między nimi p. Bożena Wilamowska z rodziną z Olsztyna, rodzina Burskich ze Skurpia, z Niemiec Jerzy Małłek i ja. Organizatorem uroczystości był przyjaciel Mazurów, p. inż. Edmund Kozłowski z Narzymia. Poświęcenia tablicy dokonał ks. ewangelicki, Waldemar Kurzawa z Działdowa, wygłaszając kazanie następującej treści:

„Sprawiedliwy nigdy nie będzie zapomniany" – Ps. 112,6.

Drodzy!

Zebraliśmy się tutaj właśnie w ten szczególny dzień – Święto Zesłania Ducha Świętego. Mają one szczególną szatę – zieleń budzącej się przyrody, przypominającą i nam o od-

rodzeniu, nowym życiu w Chrystusie. Jak młodzież gałązkami brzozy, lipy, tataraku maiła izby, a nawet chlewy, obory i bydło.

Co jednak łączy te święta z dzisiejszym poświęceniem tablicy pamiątkowej? Może zaważyło kilka względów, ale dla mnie szczególnie ważnym jest jeden. Otóż Jezus Chrystus zapowiadając wylanie Ducha Świętego powiedział: „Pocieszyciel, Duch Św., którego Ojciec pośle w imieniu moim, nauczy was wszystkiego i przypomni wam wszystko, co wam powiedziałem".

Dziś obchodzimy pamiątkę tamtych wydarzeń, aby apostołowie otrzymawszy Ducha Świętego, przypomnieli sobie o słowach Mistrza oraz dana im została odwaga, by wobec ludzi, z mocą głosić Ewangelię.

Dziś to nasza pamięć ma zostać odświeżona. Pragniemy wspomnieć poprzednie pokolenia, ludzi, którzy tutaj żyli, mieszkali, pracowali i w swej rodzinnej ziemi pochowani zostali. Chcemy to uczynić otwarcie wśród tego zgromadzenia, bo nie można odcinać się od dorobku minionych pokoleń. Jeśli byśmy chcieli odciąć korzenie przeszłości, wtedy gałęzie teraźniejszości stają się blade, wiotkie, więdną nie mając skąd czerpać odżywczych soków.

Wiele jest nazwisk tych, którzy tutaj mieszkali, żyli i ilu ich było tak różnili się między sobą. Wykształceni i prości, bogaci i ubodzy, ci, którzy wyrośli ponad przeciętność i zostali zapisani w księgach historii i ci, których życie zawarło się jedynie w granicach tej wioski. Byli jednak sobie bliscy, gdyż wszystkich łączyła ziemia, na której wyrośli, wychowali się – ich mała ojczyzna – Brodowo. Byli Mazurami, o których Wojciech Kętrzyński zapisał, iż są jednej krwi, choć nie tej samej wiary z sąsiadami z Królestwa Polskiego.

Dziś ten lud jest rozproszony po różnych częściach naszego kraju i Europy. Przyjechaliście z różnych, często z bardzo odległych stron – wy, którzy jesteście związani więzami krwi z dawnymi mieszkańcami tej wioski. Przybyliśmy my, których z nami łączy tradycja i wyznanie.

Jesteście i wy, którzy teraz zamieszkujecie tę okolicę. Bo i was łączy coś z dawnymi mieszkańcami, a mianowicie ta mała ojczyzna – Brodowo.

Tak jak oni kiedyś, tak wy teraz jesteście związani sercem z tą okolicą, dbacie o nią i troszczycie się, pamiętając zarazem o minionych pokoleniach – za co pragnę wam podziękować. W końcu tym, co połączy nas wszystkich. jest to miejsce, na którym stoimy. Droga każdego z nas wyjdzie na ten ostatni gościniec – cmentarz. Cmentarz, który w XVI-wiecznej ustawie kościelnej dla Prus Książęcych pięknie został nazwany *smętarzem*, a więc „domem odpoczywania albo spania", gdzie śpią umarli aż do zmartwychwstania. I niech to miejsce nie będzie pogardzane, ale w poczciwości wielkiej trzymane. Niechaj pamięć o tych, którzy tutaj spoczywają, będzie w naszych umysłach. Wzmocnieniu jej ma służyć ta pamiątkowa tablica. Wiemy jednak, że pamięć ludzka jest ulotna, że nawet i ten kamień z upływem czasu zniszczeje. Dlatego cenniejsza od ludzkiej pamięci jest Boża pamięć. Jest wyrycie ludzkiego istnienia w trwałej i niezniszczalnej księdze, o której mówi prorok Daniel – księdze żywota. Niechaj Pan Pamięta o tych, których tu wspominamy, aby „Sprawiedliwy nigdy nie był zapomniany".

Mieszkańcy Brodowa starym mazurskim zwyczajem w ostatnią drogę odchodzili z kancjonałem. Z tego kancjonału pragnąłbym przypomnieć słowa jednej z tych pisanych pięknym, staropolskim językiem pieśni ewangelickich. Pieśni, która właśnie mówi, że nadejdzie ten czas, gdy opuścimy naszą małą, ziemską ojczyznę, by wkroczyć do wspólnej ojczyzny wszystkich wierzących – Królestwa Bożego:

Jestem gościem na świecie i miejsca w nim nie znam,
lecz w niebieskim namiecie ojczyznę wieczną mam.
Tu dni pielgrzymstwa mego, tam w wiecznym pokoju,
w łasce Boga miłego odpocznę po boju.
Gospoda tu sprzykrzona, ucisku za wiele,
kiedyż z niej wyłączona będzie dusza w ciele!
Ach Jezu ! przyjdź, wyprowadź mię z pielgrzymstwa mego,
Duszę co prędzej wprowadź do raju wiecznego.
Toć nie prawa ojczyzna, gdziem dotąd przebywał,
tu nic trwałego nie mam, co bym na własność miał!
boć i ja czasu swego odłożę namiot swój,
a potem mię nędznego włożą w ciemny grób mój.
Ty ale ma radość, światło życia mego!
Wywiedziesz mię z ciemności do domu wiecznego,
gdzie za stołem zasiądę, gdzie jak słońce śliczne,
z świętymi świecić będę, w niebie ustawicznie.
Tam będę ustawicznie, nie jako gość mieszkał,
z temi, której prześliczne w korony sam ubrał.
Tam będę piosnkę śpiewał o twojej miłości,
i wdzięcznie odpoczywał po pracy w wieczności. Amen.

(*Kancjonał*, nr 580)

Po uroczystości na cmentarzu brodowskim, odbył się wspólny obiad w sali gminy Iłowo. Podczas obiadu przemawiali: wójt, komendant Ochotniczej Straży Pożarnej, organizator uroczystości, inż. p. E. Kozłowski i p. Bożena Wilamowska z Olsztyna, wdowa po wicewojewodzie Bogdanie Wilamowskim. Pan Kozłowski wspomniał o krzywdach wyrządzonych dawnym mieszkańcom tych ziem. Pani Wilamowska wyraziła swój smutek, że poza zmarłymi, spoczywającymi w grobach, nie ma ani jednego żyjącego z dawnych mieszkańców Brodowa.

Jako uczestnik uroczystości, rodak Brodowa, przygotowałem krótkie przemówienie, którego jednak z uwagi na treść polityczną nie wygłosiłem w czasie uroczystości czysto religijno-kościelnej na cmentarzu, lecz wręczyłem organizatorowi, p. inżynierowi Kozłowskiemu. A oto treść mego pisma:

„Dzisiejszą uroczystość chciałbym nazwać S p o t k a n i e m . Spotkaniem dwóch epok. Dwóch epok osadnictwa polskiego na Ziemi Brodowskiej. Ci, których honorujemy tablicą pamiątkową, to potomkowie polskich osadników, którzy przybyli na te ziemie 700-800 lat temu. Wykarczowali lasy i założyli osadę Brodowo.

Wówczas Brodowo wyglądało inaczej. Otoczone było borami, lasami, kniejami, nad rzeką rozpościerały się rozlewiska, trzęsawiska, topiele. W lasach pełno dzikiego zwierza, nawet byzony i niedźwiedzie – jak to stwierdzają naukowcy. Praca pierwszych osadników była ciężka, mozolna i niebezpieczna.

Mieszkańcy dzisiejszego Brodowa to osadnicy polscy obecnej epoki, od 1945 roku, którzy posiedli dorobek pierwszych osadników polskich, jakże w łatwiejszy sposób od tamtych.

Dzisiejszą uroczystość chciałbym też nazwać P o j e d n a n i e m . Czy jednak można tak powiedzieć? Moim zdaniem, w tej sprawie zaistniała istotna historyczna przeszkoda. Bardzo dawno. Był to rok 1525. Wtedy, kiedy książę pruski Albert I składał hołd królowi

polskiemu Zygmuntowi I Staremu w Krakowie, między Mazowszanami a osadnikami polskimi księstwa pruskiego powstała – powiedziałbym – swego rodzaju „żelazna kurtyna" – granica religijno-wyznaniowa.

Książę Albrecht bowiem wprowadził w swoim Księstwie religię ewangelicką, a książę Janusz Mazowiecki wydał tegoż roku dekret zabraniający ewangelikom zamieszkiwanie na Mazowszu.

A więc osadnicy polscy Księstwa Pruskiego jako ewangelicy stawali się kolejno obywatelami Księstwa Pruskiego, później Królestwa Pruskiego, potem Cesarstwa Niemieckiego i w końcu byli obywatelami Niemiec hitlerowskich.

Tymczasem Mazowszanie pozostali Polakami wyznania katolickiego. Kontakty między osadnikami polskimi Księstwa Pruskiego a Mazowszanami z wiekami zmalały prawie do zera.

Pierwotnych osadników polskich Księstwa Pruskiego Polacy – z upływem czasu – zaczęli nazywać Niemcami.

Tak pozostało po dziś dzień.

Sąsiedztwo pierwotnych osadników polskich Księstwa Pruskiego z Mazowszanami zamieniło się w nienawiść do tego stopnia, że powstało polskie przysłowie: „Jak świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem".

Wydarzenie historyczne z 1525 roku jest przyczyną dzisiejszej sytuacji. Żyjący potomkowie tych, którzy spoczywają w ziemi cmentarza w Brodowie, nie mają prawa do Ziemi Ojców-Praojców, do Ziemi Ojczystej. I tak, obecni na dzisiejszej uroczystości wnuk i prawnuki Michała Żywca, przedwojennego wójta w Działdowie, byłego więźnia obozu koncentracyjnego, nie mogą dziedziczyć ziemi po swoim dziadku-pradziadku w Brodowie. Ci sami nie mogą dziedziczyć gospodarstwa po swoim ojcu-dziadku Fryderyku Żywcu w Pełku na Kaszubach, mimo iż ich ojciec-dziadek zginął jako polski partyzant w borach kaszubskich, a rodzina obecnego Jerzego Żywca w Pełku jest rodziną polską i obecnie katolicką. – Ale nie ma prawa do własności.

Z tych samych powodów dr Szymański, rodak z Brodowa, I-szy sekretarz wojewody województwa pomorskiego po odzyskaniu niepodległości Polski w 1918 roku, więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, nie miał prawa do swego majątku w Wierzbowie koło Działdowa. – Spoczywa na obczyźnie. Z tych samych powodów 2-ch synów i córka spoczywającego tu w tym grobie Wilhelma Małłka zostali w 1945 roku wypędzeni z własności w Rutkowicach, Klęczkowie i Pierławce.

Z tych samych powodów Edward Małłek, syn Wilhelma, spoczywającego w mogile w Brodowie, ppor. Wojska Polskiego, nauczyciel, uczestnik Kampanii Wrześniowej, pierwszy starosta w 1945 roku w Nidzicy, nie ma prawa do nabytej aktem notarialnym w 1960 roku wiejskiej chatki w Nowej Wsi, powiatu ełckiego, po „wyzwoleniu" pozbawiony stopnia oficerskiego (bo wojsko Polski sanacyjnej nie było polskim wojskiem), pozbawiony od maja 1959 roku na zawsze prawa wykonywania zawodu nauczyciela i pastora w Polsce.

Takich Żywców, Szymańskich, Małłków jest bardzo wiele.

W tym historycznym świetle z przedstawionego porównania wynika, że potomkowie pierwszej epoki polskiego osadnictwa na dzisiejszych mazurach – b. Prusach Wschodnich – pozostaje jedynie: odwiedzanie ziemi Ojczystej, oglądanie zniszczonych cmentarzy i grobów przodków swoich.

Chwalebną jest rzeczą, że obecni mieszkańcy Brodowa, pod kierownictwem p. mgr. inż. E. Kozłowskiego z Narzymia i sołtysa p. R. Frankowskiego postawieniem nowego ogrodzenia cmentarza i tablicą pamiątkową, finansowane przez niektórych brodowiaków, żyjących w Niemczech, czczą pamięć potomków pierwotnych osadników Brodowa.

Pewna artystka powiedziała: „Nasi przodkowie żyją w kamieniach – grobowcach.

Dlatego szanujemy groby przodków naszych, obojętnie do jakiej epoki osadnictwa się poczuwamy".

*

Odpowiednią notatkę ze zdjęciami o uroczystości w Brodowie przesłałem z prośbą o wydrukowanie do „Ostpreußenblatt", lecz Redakcja tegoż tygodnika odmówiła wydrukowania, uzasadniając to następującym pismem:

„Szanowny Panie Mallek,

Pańskiej prośbie o ogłoszenie opisu musimy niestety odmówić. Jakkolwiek radosną rzeczą jest, że niemieccy mieszkańcy Brodowa mogą czcić swoich przodków, jednak należy mieć zastrzeżenia. W wielu miejscach dochodzi między Wschodnioprusakami i obecnymi mieszkańcami naszego Heimatu, są to Polacy, Rosjanie czy Litwini, do harmonicznych spotkań.

Do tematu porozumienie i wyrównanie należy zapewne też, aby obecni mieszkańcy nie negowali 700-letniej kultury niemieckiej tego regionu.

Dwujęzyczne pomniki na cmentarzach i w parkach nie należą już do wyjątków i mamy nadzieję na przyszłość…

Jeżeli jednak ktoś popadnie w stosowanie tylko obcojęzycznych napisów na tego rodzaju pomnikach, popiera z pewnością niechcąco niebezpieczeństwo stale utrzymującej się babraniny historycznej. Należy konsekwentnie reprezentować prawdę. W nadziei, iż niniejsze słowa nie zrozumie Pan jako pouczenie, lecz jako zachętę przy przyszłych projektach, pozostaję z przyjacielskimi pozdrowieniami – Syskowski".

Z treści pisma widzimy wyraźnie, na jakim koniu galopuje „Ostpreußenblatt". Widocznie „Ostpreußenblatt" uważa, że w Prusach Wschodnich istniała tylko kultura niemiecka i dlatego należy tylko do niej nawiązywać. Myślę, że takie stanowisko pachnie szowinizmem, niezgodne [jest] z prawdą historyczną.

Ogólnie wiadomą jest rzeczą, że w północnej części Prus Wschodnich, graniczącej z Litwą, mieliśmy ludność pochodzenia litewskiego z językiem i kulturą litewską. W powiatach: Neidenburg, Osterode, Ortelsburg, Sensburg, Johannisburg, Lötzen, Lyck, Olecko zamieszkiwała ludność mazurska, pochodzenia polskiego, pielęgnująca swój język mazurski i swoją kulturę mazurską.

Jestem Wschodnioprusakiem i jest mi wiadome, że generacja moich rodziców [ojciec ur. 1862 Groß Schläfken (Sławka Wielka), matka ur. 1971 Scharnau (Sarnowo), oboje pow. Neidenburg] uczęszczała do szkoły (w Prusach Wschodnich) z mazurskim-polskim językiem wykładowym. Tak było we wszystkich wymienionych powiatach. Nauczyciele nie umieli po niemiecku. W kościołach panował język mazurski.

Dopiero zarządzenie z 1804 roku wymagało, że nauczycielem może być tylko taki, który „umie czytać i pisać po niemiecku". Mimo to, jeszcze 50 lat później istniały szkoły z mazurskim językiem wykładowym. Ogół mieszkańców posługiwał się językiem mazurskim, pielęgnował własne zwyczaje, obyczaje i swoistą kulturę ludową.

Urzędnicy niemieccy musieli znać język mazurski-polski lub posługiwać się tłumaczami.

Nawet królowie Prus mówili po polsku. Na przykład Friedrich II Wielki („Stary Fritz") panujący od 1740 [do] 1786 roku, krzyczał na opieszałych wojaków w bitwie po polsku: „Kanalie, czyż chcecie żyć wiecznie?" Można się domyślać, jakich miał wojaków.

Ostatnim królem Prus władający językiem polskim był Friedrich Wilhelm IV, panujący od 1840 [do] 1861 roku. Będąc w czasie rozruchów mieszkańców w Lecu (Lotzen – Giżycko), wołających po mazursku: „Chleba! Chleby" (bo była bieda w kraju), dla uspokojenia tłumu, przemówił po polsku: „Dzieci, dzieci, nie upadajcie na duchu. Nasz Pan Bóg jeszcze żyje. Znajdę radę i pomoc, ile mi tylko sił stanie".

Jest to dowód, że lud nie rozumiał po niemiecku. Wszystkie zarządzenia musiały być tłumaczone na język mazurski lub litewski.

A więc pomijanie języka i kultury mazurskiej w Prusach Wschodnich, w których jako Wschodnioprusak byłem wychowany, jest niczym innym, jak właśnie „Geschichtsklitterung". Takie stanowisko przynosi tylko ujmę tak niby poważnemu organowi Landsmannschaft Ostpreußen.

Oczywiście, dobrze się dzieje, że w Prusach Wschodnich, będących pod administracją Polski i Rosji, obecni mieszkańcy uczą się języka niemieckiego, ale jest najwyższy czas, aby Ostpreusiaki zaczęli się uczyć języka polskiego i rosyjskiego, [a] chcąc kiedyś wrócić na Ziemie Ojczyste, mogli się porozumieć z tymi, którzy tam zastaną, a których „nie chcemy wypędzić" – jak to głosi Junge Landsmannschaft Ostpreussen.

Z wielką ciekawością i zainteresowaniem przeczytałem artykuł z „FAZ" [*], który podaję w całości:

„Strassburg, 8 lutego 1994 roku.

We wtorek Parlament Europejski wypowiedział się w sprawie specjalnych stosunków Unii Europejskiej i Regionu Królewca, ostrzegając jednocześnie przed dyskusją nad oderwaniem terytorium tego regionu od Rosji. Silna rosyjska obecność wojskowa i gospodarczy upadek zagrażają całemu regionowi nadbałtyckiemu. Wzmocnione zaangażowanie krajów Unii Europejskiej w byłych Północnych Prusach Wschodnich mogłoby przy współpracy z Rosją i sąsiednimi państwami zapobiec powstaniu niebezpiecznego konfliktu i dopomóc we włączeniu tego Regionu do regionalnej współpracy – czytamy w sprawozdaniu SPD deputowanej Parlamentu Europejskiego p. Hoff, które służyło za podstawę debaty. Deputowani żądali specjalnej klauzuli dla handlu i współpracy Unii Europejskiej z Regionem Królewca w planowanym Porozumieniu Partnerskim z Rosją. Poza tym Rząd Rosyjski powinien upoważnić Region do samodzielnego pertraktowania z Unią Europejską i międzynarodowymi instytucjami kredytowymi. Powstrzymująco wypowiedział się brytyjski komisarz Unii Europejskiej Millan. Spełnienie postulatów Parlamentu zależy od gotowości Rosji.

Pani Hoff powiedziała, że Unia Europejska mogłaby teraz przejąć rolę »aktora, koordynatora i moderatora«. Sytuacja w Regionie się zaostrzyła, ponieważ rozmyślania nad przemianą regionu w specjalną strefę handlową z ulgami podatkowymi zostały zahamowane przez wzmagającą się polaryzację w rosyjskiej polityce. Bez zagranicznej pomocy gospodarczej Region ten nie może przeżyć. W swojej strukturze jest za mocno nastawiony na

[*] „Frankfurter Allgemeine Zeitung" – Red.

utrzymanie 200 000 oficerów i żołnierzy. Nieustająca silna obecność wojskowa będzie przez sąsiadów uważana za zagrożenie.

Jako pierwszoplanowe zadania wymieniła p. Hoff modernizację telekomunikacji i struktury komunikacji drogowej, przekształcenie zakładów wojskowych w cywilne, jak również ściślejsze włączenie regionu w obszar bałtycki. Jako wkład do bliższego nawiązania kontaktów z europejskimi sąsiadami uznali p. Hoff i chrześcijańsko-demokratyczny deputowany p. Lenz zamiar utworzenia Wydziału Unii Europejskiej przy Uniwersytecie w Królewcu. Dla kształtowania pożądanej roli regionu jako »koła obrotowego« liczy się też rozbudowa europejskiego centrum duchowego, które nawiąże do tradycji 450-letnego Uniwersytetu. Należy mieć nadzieję, że Królewiec odzyska choć częściowo swój dawny blask.

W debacie, w której brali udział, z wyjątkiem przedstawiciela brytyjskiego Labour Party, Crantona, wyłącznie niemieccy parlamentarzyści, zażądano też zwrotu Regionu Królewca państwu niemieckiemu. Znajdujący się na liście mówców republikanin, ale bezpartyjny, deputowany Schodruch powiedział, odnosząc się do rozważań rosyjskich polityków: »Niemcy i Rosjanie nie powinni być pomocnikami polskiej i litewskiej polityki ekspansjonistycznej«. Również republikanin wybrany do Parlamentu, p. Grund, określił Królewiec jako »Stolicę niemieckiej prowincji Prus Wschodnich«".

Jak wynika ze sprawozdania parlamentarzystki Hoff, wspomniane Kraje chcą przeszkodzić „regermanizacji" regionu i są zainteresowane wewnętrzną przemianą i otwarciem Regionu na zewnątrz. Państwo Niemieckie okazuje „niski profil", ponieważ jest świadome, jak politycznie wrażliwy jest to problem. Pierwszeństwo mają dobre stosunki z Polską i Rosją. Dlatego rząd Republiki Federalnej nie popiera inwestycji ani niemieckiego osadnictwa w Regionie Królewca. Jeżeli teraz chciałby ktoś wzruszyć granicami, blokuje rosyjską gotowość do współpracy i stwarza „niebezpieczny wyrok" dla wszystkich, którzy śnią o korekturze granic w Europie.

Moje serce raduje się, że sprawa przyszłości mojej kochanej Ziemi Ojczystej, Prus Wschodnich, znalazła się na forum międzynarodowym.

A kiedy pytania takie (co do Prus Wschodnich) zostały raz zadane i kiedy je zanotowano w tej właśnie postaci, nie zamilkną już nigdy.

Można zauważyć, że układy jałtańsko-poczdamskie powoli tracą na znaczeniu: oba Państwa Niemieckie się zjednoczyły. Wojska okupacyjne Rosji, Ameryki, Anglii, Francji zwijają swoje chorągwie, udają się do domu, do swoich krajów. Dawni wrogowie stają się partnerami, przyjaciółmi. Po niespełna 50-ciu latach kończy się pierwszy etap likwidacji skutków II-giej wojny światowej.

Obecnie należy oczekiwać drugiego etapu: likwidacji krzywd i niesprawiedliwości, powstałych na skutek dokonanego gwałtu, grabieży, zaboru ziem przeciw woli miejscowej ludności, a usankcjonowanych umowami międzynarodowymi.

Do pokrzywdzonych należą Prusy Wschodnie.

Wbrew układom polsko-niemieckim, wbrew zastrzeżeniom, by „nie śnić czasami o naruszeniu, rewizji granic", krzywdy ludzkie nie dadzą się zagłuszyć, ani uśmiercić. Co zostało załatwione niesprawiedliwie, nie może trwać wiecznie.

Dlatego każdy myślący ziomek Prus Wschodnich powinien brać udział w dyskusji nad przyszłością Prus Wschodnich. Dyskusja toczy się nie od dziś i trwać będzie tak długo,

dopóki Prusy Wschodnie nie uzyskają tożsamości państwowej. Okres wyczekiwania może trwać długo, może drugie 50 lat.

Osobiście życzyłbym, aby wizja Związku Mazurów w Działdowie z lat 1933–1939 – powstania wolnych, niepodległych Prus Wschodnich – stała się rzeczywistością.

Tym ziomkom Prus Wschodnich i ich potomkom, żyjącym w Niemczech, którzy dziś nie myślą o przyszłości swojej Ziemi Ojczystej, chciałbym powiedzieć, że przyjdzie czas, że Naród Niemiecki, ściśnięty w dzisiejszych granicach, będzie szukał kraju i ziemi dla nadmiaru swej ludności. Dlatego już dzisiaj należy myśleć o przyszłości naszej Ziemi Ojczystej, która może być kolebką dla naszych wnuków, prawnuków.

Wszechmogący Boże, w Twoje ręce kładę los mojej ukochanej Ziemi Ojczystej, Prus Wschodnich. Daj tej Ziemi upragniony pokój. Obdarz moją Ziemię Ojczystą urodzajami, bogatymi zbiorami. Boże, błogosław piękno Ziemi Ojczystej. Błogosław mieszkańców Ziemi Ojczystej. Wzbudź, Panie, ducha ojców wiary, by tak jak 80, 100 lat temu z każdego okna chaty wznosił się ku niebu głos modlitwy dziękczynnej i wdzięcznej pieśni, wysławiającej święte imię Trójjedynego Boga.

Boże Wszechmogący, błogosław moje wolne Prusy Wschodnie!

Hamburg, dnia 7.09.1994. *Edward Mallek*

Nordostpreußen:

Die polnischen Teilungspläne

Warschau versucht Anrainer der Ostprovinz für Polit-Coup einzuspannen

Die Tinte auf der Entlassungsurkunde des Bonner Außenministers Genscher, der bislang hauptverantwortlich für die dilettantische und völkerrechtswidrige Ostpolitik zeichnete, war noch nicht trokken, da erreichte uns gleichsam als außenpolitische Hinterlassenschaft neben beweis- und aussagekräftigen Hintergrundinformationen über die langfristigen polnischen Absichten auch die nebenstehend abgebildete Zeichnung, die Beamte des polnischen Außenministeriums als „anschauliche Faustskizze" für

Polski „plan podziału" północnej części Prus Wschodnich
– ilustracja E. Małłka do *Epilogu* [I] – [Red.]
Kolejne ilustracje załączone do *Epilogu* wybrał E. Małłek

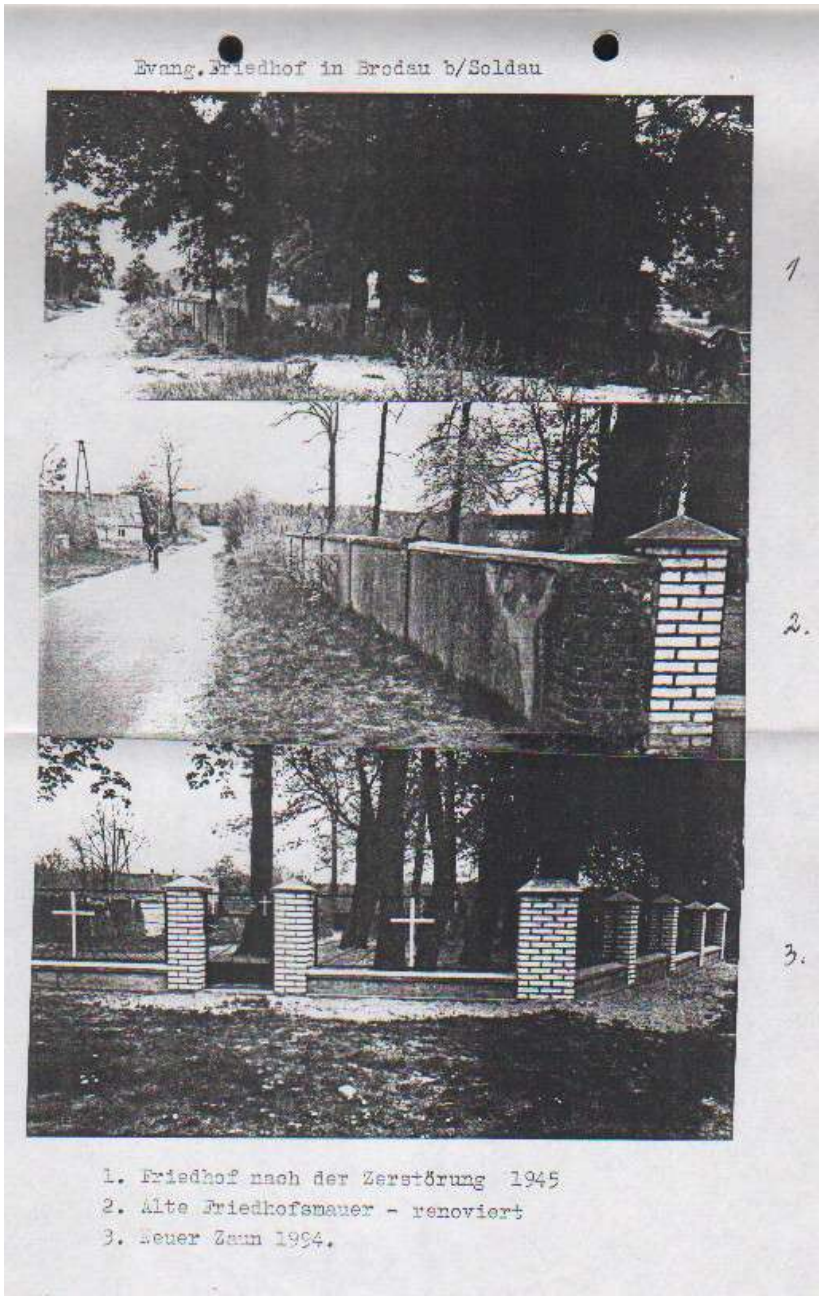

Cmentarz ewangelicki w Brodowie – po 1945 i w 1994 roku [Red.]

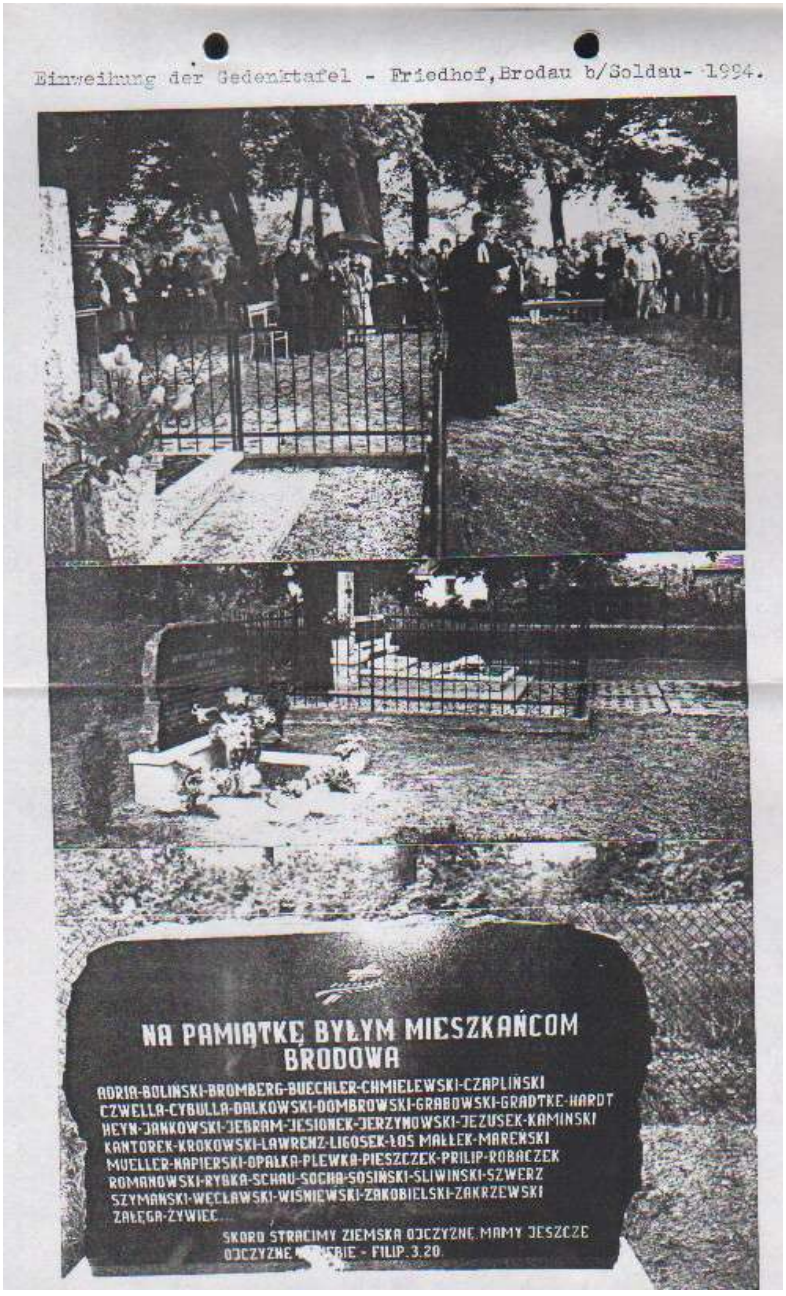

Odsłonięcie tablicy w Brodowie poświęconej „byłym mieszkańcom Brodowa” [Red.]

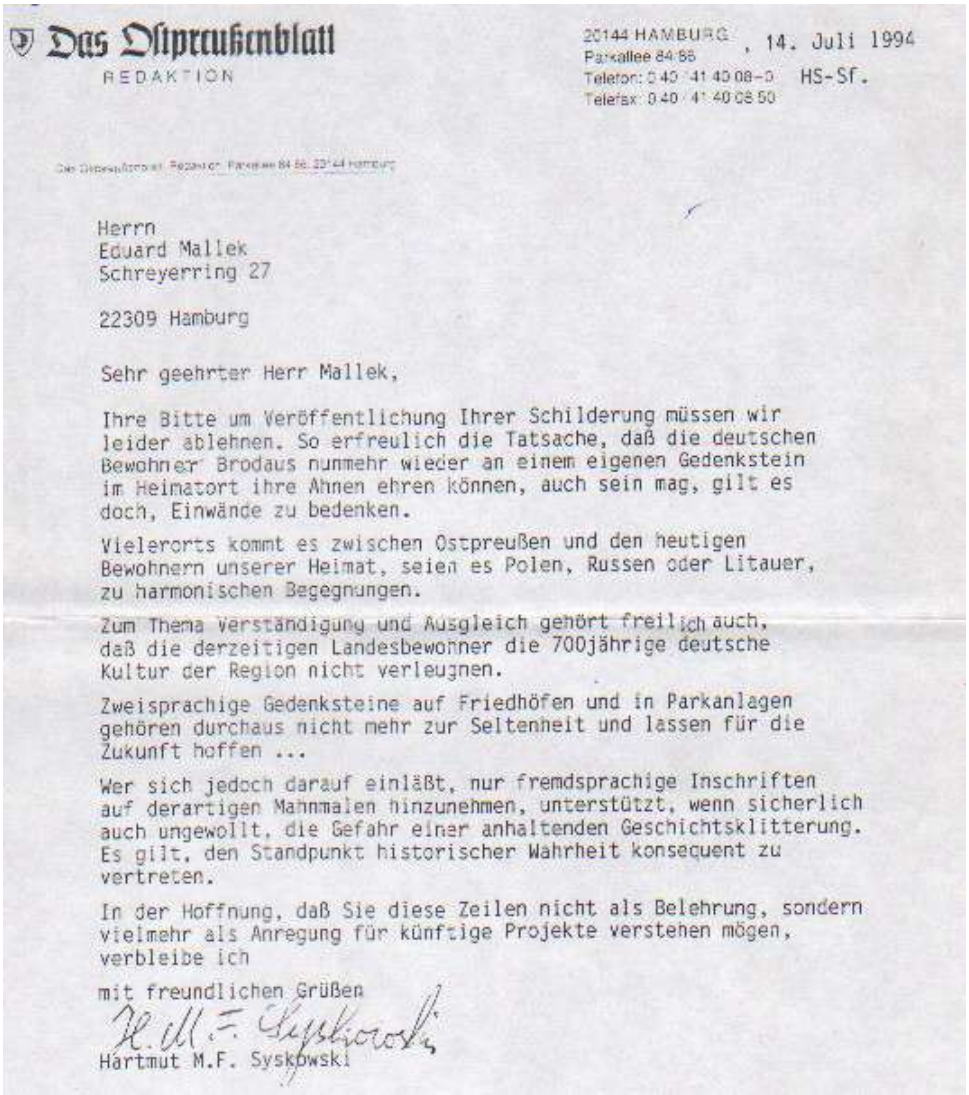

Das Ostpreußenblatt
REDAKTION

20144 HAMBURG, 14. Juli 1994
Parkallee 84/86
Telefon: 0 40 / 41 40 08-0 HS-Sf.
Telefax: 0 40 / 41 40 08 50

Das Ostpreußenblatt, Redaktion, Parkallee 84/86, 20144 Hamburg

Herrn
Eduard Mallek
Schreyerring 27

22309 Hamburg

Sehr geehrter Herr Mallek,

Ihre Bitte um Veröffentlichung Ihrer Schilderung müssen wir leider ablehnen. So erfreulich die Tatsache, daß die deutschen Bewohner Brodaus nunmehr wieder an einem eigenen Gedenkstein im Heimatort ihre Ahnen ehren können, auch sein mag, gilt es doch, Einwände zu bedenken.

Vielerorts kommt es zwischen Ostpreußen und den heutigen Bewohnern unserer Heimat, seien es Polen, Russen oder Litauer, zu harmonischen Begegnungen.

Zum Thema Verständigung und Ausgleich gehört freilich auch, daß die derzeitigen Landesbewohner die 700jährige deutsche Kultur der Region nicht verleugnen.

Zweisprachige Gedenksteine auf Friedhöfen und in Parkanlagen gehören durchaus nicht mehr zur Seltenheit und lassen für die Zukunft hoffen ...

Wer sich jedoch darauf einläßt, nur fremdsprachige Inschriften auf derartigen Mahnmalen hinzunehmen, unterstützt, wenn sicherlich auch ungewollt, die Gefahr einer anhaltenden Geschichtsklitterung. Es gilt, den Standpunkt historischer Wahrheit konsequent zu vertreten.

In der Hoffnung, daß Sie diese Zeilen nicht als Belehrung, sondern vielmehr als Anregung für künftige Projekte verstehen mögen, verbleibe ich

mit freundlichen Grüßen

H. M. F. Syskowski

Hartmut M.F. Syskowski

List Hartmuta Syskowskiego z „Ostpreußenblatt” do Edwarda Małłka z 1994 roku [Red.]

Für ein Sonderverhältnis zu Königsberg

Straßburg warnt aber vor Debatte über territoriale Loslösung

94

now. STRASSBURG, 8. Februar. Das Europäische Parlament hat sich am Dienstag für ein Sonderverhältnis zwischen der Europäischen Union (EU) und der Region Königsberg (Kaliningrad) ausgesprochen, gleichzeitig aber vor Diskussionen zur territorialen Lösung des Gebiets von Rußland gewarnt. Die von starker russischer Militärpräsenz und wirtschaftlichem Niedergang geprägte Lage dort drohe den gesamten Ostseeraum politisch zu destabilisieren. Ein verstärktes Engagement der EU-Länder im ehemaligen nördlichen Ostpreußen könne in Zusammenarbeit mit Rußland und den Nachbarländern die Entstehung eines gefährlichen Konflikts verhindern und zur Einbindung des Gebiets in die regionale Zusammenarbeit beitragen, heißt es im Bericht der SPD-Europaabgeordneten Hoff, der als Grundlage für die Debatte diente. Die Abgeordneten förderten insbesondere eine spezielle Klausel über Handel und Zusammenarbeit der EU mit der Region Königsberg im geplanten Partnerschaftsabkommen mit Rußland. Außerdem solle die russische Regierung die Region ermächtigen, eigenständig mit der EU sowie mit internationalen Kreditinstituten zu verhandeln. Zurückhaltend äußerte sich der britsche EU-Kommissar Millan. Die Erfüllung der Wünsche des Parlaments hingen von einer entsprechenden Bereitschaft Rußlands ab.

Frau Hoff sagte, die EU könne in der Region eine Rolle als „Akteur, Koordinator und Moderator" übernehmen. Die Lage habe sich verschärft, weil die Überlegungen zur Umwandlung des Gebiets in eine „Sonderwirtschaftszone" mit zoll- und steuerrechtlichen Vergünstigungen durch die zunehmende Polarisierung in der russischen Innenpolitik gebremst worden seien. Ohne ausländische Wirtschaftshilfe könne das Gebiet nicht überleben. Es sei in seiner Struktur zu stark auf die Stützung der rund 200 000 Offiziere und Mannschaften zugeschnitten. Eine fortdauernde starke Militärpräsenz werde von den Nachbarn als Bedrohung empfunden.

Als vorrangige Aufgaben nannte Frau Hoff die Modernisierung der Telekommunikation und der Verkehrsinfrastruktur, die Umwandlung militärischer in zivile Anlagen sowie die bessere Eingliederung des Gebiets in den baltischen Raum. Als Beitrag für eine engere Anbindung an die europäischen Nachbarn werteten Frau Hoff und die christlich-demokratische Abgeordnete Lenz das Vorhaben einer „Euro-Fakultät" an der Universität Königsberg. Zu der angestrebten Rolle des Gebiets als „Drehscheibe" zähle auch der Ausbau eines „geistigen europäischen Zentrums", das an die Tradition der 450 Jahre alten Universität anknüpfe. Es sei zu hoffen, daß Königsberg ein Stück des früheren Glanzes wiedererlange.

In der Debatte, an der sich mit Ausnahme des britischen Labour-Abgeordneten Crampton ausschließlich deutsche Parlamentarier beteiligten, kam auch die Forderung nach einer „Rückübertragung" der Region Königsberg an Deutschland zur Sprache. Der auf der Liste der Republikaner gewählte, aber parteilose Abgeordnete Schodruch sagte unter Hinweis auf entsprechende Überlegungen russischer Politiker: „Das russische Angebot zu mißachten ist falsche Politik." Deutsche und Russen dürften nicht zu „Handlangern polnischer und litauischer Expansionspolitik" werden. Die ebenfalls auf der Liste der Republikaner ins Parlament gewählte Abgeordnete Grund bezeichnete Königsberg als „Hauptstadt der deutschen Provinz Ostpreußen".

Dagegen heißt es im Bericht der Abgeordneten Hoff, alle betroffenen Länder wollten eine „Regermanisierung" der Region verhindern und seien an einem inneren Wandel des Gebiets und an seiner Öffnung nach außen interessiert. Deutschland zeige ein „niedriges Profil", weil es sich der politischen Sensibilität des Problems bewußt sei. Vorrang hätten gute Beziehungen zu Polen und Rußland. Deshalb fördere die Bundesregierung weder hohe Kapitalinvestitionen noch die Ansiedlung von Deutschen in der Region Königsberg. Wer jetzt an den Grenzen rütteln wolle, blokkiere die russische Bereitschaft zur Zusammenarbeit und schaffe ein „gefährliches Präjudiz" für alle, die von einer Korrektur der Grenzen in Europa träumten. ■

Fragment artykułu dotyczącego debaty w Strassburgu na temat relacji UE z Okręgiem Kaliningradzkim [Red.]

[EPILOG II]

Jednej sprawy w moich *Wspomnieniach* nie mogę pominąć milczeniem. Dotyczy ona nie tylko mnie, ale głównie Kościoła Metodystycznego w Polsce oraz pastorów niewinnie zwolnionych przez tenże Kościół w czasie panowania komunizmu w Polsce.

Po bankructwie komunizmu światowego nowe rządy demokratyczne byłych krajów komunistycznych, w tym i Polska, rehabilitowały pokrzywdzonych obywateli, udzielając im nawet odszkodowania.

Jako pokrzywdzony przez komunistyczny reżym – Komitet Wykonawczy Kościoła Metodystycznego w Polsce – spodziewałem się, iż Kościół ten samorzutnie – w ślad za władzami państwowymi – zrehabilituje niewinnie zwolnionych pastorów.

Skoro jednak to nie nastąpiło, zwróciłem się dnia 5.08.1991 roku z wnioskiem o rehabilitację, wspominając również innych pastorów.

Z niemałym zdziwieniem i rozczarowaniem otrzymałem następującą odpowiedź:

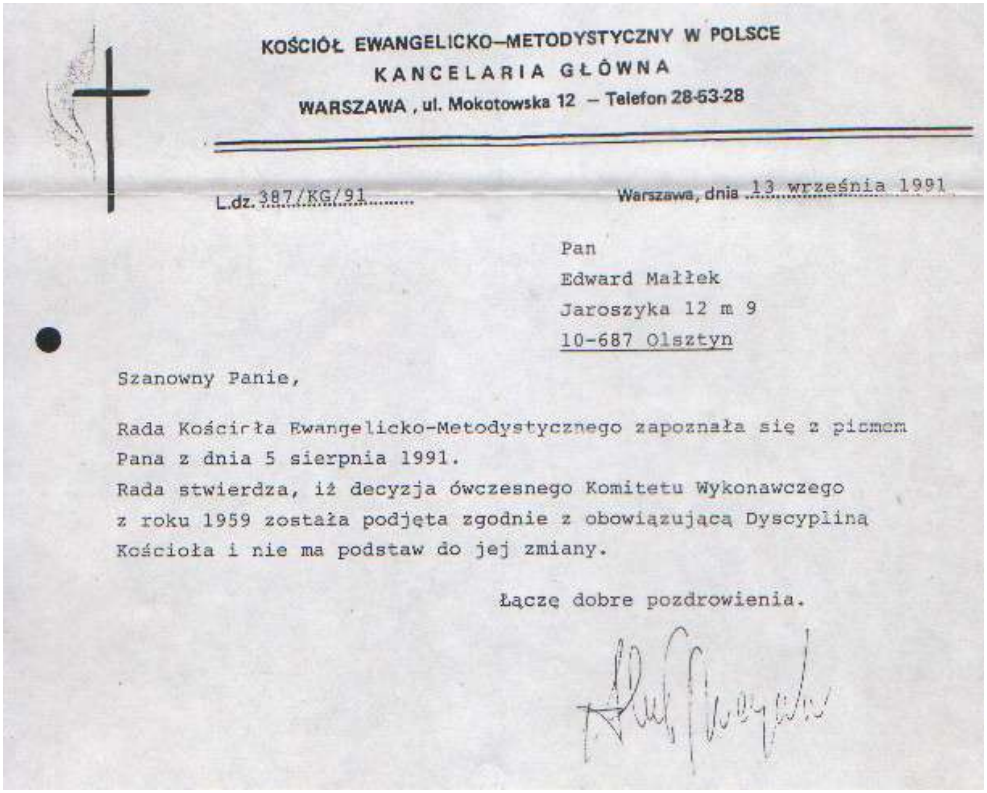

KOŚCIÓŁ EWANGELICKO–METODYSTYCZNY W POLSCE
KANCELARIA GŁÓWNA
WARSZAWA, ul. Mokotowska 12 – Telefon 28-53-28

L.dz. 387/KG/91 Warszawa, dnia 13 września 1991

Pan
Edward Małłek
Jaroszyka 12 m 9
10-687 Olsztyn

Szanowny Panie,

Rada Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego zapoznała się z pismem Pana z dnia 5 sierpnia 1991.
Rada stwierdza, iż decyzja ówczesnego Komitetu Wykonawczego z roku 1959 została podjęta zgodnie z obowiązującą Dyscypliną Kościoła i nie ma podstaw do jej zmiany.

Łączę dobre pozdrowienia.

Własnym oczom nie wierzyłem, czytając uzasadnienie nowej decyzji nowego reżymu – tym razem – Zarządu Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Polsce.

Sądziłem, spodziewałem się, że Zarząd Kościoła Metodystycznego w Polsce odżegna się od „błędów i wypaczeń" ery stalinowskiego komunizmu. A tymczasem nowy Zarząd sankcjonuje decyzję poprzedniego reżymu komunistycznego Komitetu Wykonawczego Kościoła Metodystycznego.

Panowie [z] nowego Zarządu, którzy obecnie rządzą Kościołem, powołują się na „obowiązującą dyscyplinę". Cóż to za „dyscyplina"? Byłem 14 lat pastorem i zawsze mówiliśmy o Statusie Kościoła Metodystycznego w Polsce. Czyżby nowy reżym Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego spalił dawny „Statut", a na drzwiach Kościoła zawiesił rzemienną „dyscyplinę"? – Którą dalej leje się tych pastorów, którzy wiernie służyli „jednemu Panu", zgodnie ze słowami Jezusa Chrystusa: „Nie możecie dwóm panom służyć". Leje się tych pastorów, którzy wybrali Ewangelię Jezusa Chrystusa i… zwolnienie, niż [chcieli] zgodzić się na współpracę z bezbożnym, komunistycznym Urzędem Bezpieczeństwa i kontrwywiadem. Z tego wynika, że dla pastorów, którzy chcą służyć jedynie Ewangelii Jezusa Chrystusa nie ma miejsca w Kościele Ewangelicko-Metodystycznym w Polsce.

Kim wobec tego są obecnie urzędujący pastorzy? Komu służyli i służą, skoro nie zostali zwolnieni?

Czyż w tym świetle Kościół Metodystyczny nie obłudnie nosi przydomek „ewangelicki", skoro nie stosuje się do Ewangelii Jezusa Chrystusa? Nazwa „metodystyczny" raczej bardziej pasuje do Was, Panowie [z] nowego Zarządu Kościoła, bo możecie stosować dowolną metodę, dowolną dyscyplinę. Przydomek „ewangelicki" jakoś nie pasuje do Waszego działania.

Panowie [z] Zarządu Kościoła Metodystycznego, sankcjonując decyzję byłego reżymu komunistycznego, dajecie dowód, że nie jesteście „uczniami" Jezusa, „braćmi w Chrystusie" i dlatego nie zależy Wam na tym, aby oczyścić splamione imię Kościoła.

Niewinnie zwolnienie pastorzy mogę być dumni ze swej postawy.

Hamburg, dnia 7.09.1994. *Edward Mallek*

[EPILOG III]

Szanowni Państwo!

Wiedząc o tym, iż utrzymujecie Państwo kontakt, czy też współpracujecie ze Stowarzyszeniami Niemieckiej Mniejszości Narodowej na Mazurach – w Prusach Wschodnich, jako jeden z tych, którzy na skutek II wojny światowej straciliśmy swoją Ojczyznę, pozwoliłem sobie przesłać Państwu mój *Epilog*, zawierający moje myśli, rozważania odnośnie dyskutowanego w Europie (a może i poza Europą) zagadnienia przyszłości Prus Wschodnich.

Załączony *Epilog* znajdzie się w przyszłości w mojej książce – wspomnieniach pod tytułem *Gdzie jest moja Ojczyzna* (Heimat) – przeszło 600 stron druku z licznymi zdjęciami.

Co do mojej osoby, mogę powiedzieć, że urodziłem się w 1907 roku w Brodau, Kreis Neidenburg, od stycznia 1920 roku mocą Traktatu Wersalskiego znalazłem się wraz z mieszkańcami powiatu działdowskiego (Soldau) w Polsce, gdzie zdobyłem wykształcenie w języku polskim, będąc okresowo nauczycielem i pastorem, w obu zawodach zwalniany ze względów politycznych, nie z mojej winy.

Należałem do regionalnego Związku Mazurów w Działdowie, założonego w 1935 roku.

Po „wyzwoleniu" brałem udział w delegacji Związku Mazurów do Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Prezydenta Bieruta w Lublinie w listopadzie 1944 roku.

W 1945 roku byłem pierwszym starostą w Nidzicy. Zrezygnowałem z tego stanowiska, nie mogąc przepatrzeć stosowanego bezprawia. Pozbawiony wszelkich praw obywatelskich w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (zakaz wykonywania zawodu, pozbawienie stopnia oficerskiego, odmawianie prawa do własności…), w 1973 roku wyjechałem do Kanady, stamtąd do Bundesrepubliki Deutschland i nie wróciłem, „przebywając nielegalnie za granicą" – według prawa PRL. Obecnie jestem chyba jednym z ostatnich Mazurów Prus Wschodnich o tradycyjnym języku mazurskim, tradycyjnej kulturze mazurskiej, mazurskich zwyczajach, obyczajach mazurskich i ewangelickiej kulturze religijnej.

Ponieważ przyjąć trzeba, że tradycyjnej mazurskości w Prusach Wschodnich dzisiaj nie ma (wyniszczona, zanikła), wobec tego obecnie przyłączam się do tych, którzy mówią o sobie: „Ich bin ein Ostpreuße". I jako taki rozmyślam nad przyszłością mojej kochanej Ziemi Ojczystej Prus Wschodnich.

Będę bardzo wdzięczny za nadesłane wszelkie uwagi.

Łączę ojczyźniane pozdrowienia –

Hamburg, 20.09.1994 r. *Edward Mallek*

Ełk (Lyck) przed 1939 rokiem. Pocztówka

Aneks

Ks. Zbigniew Chojnacki, ówczesny pastor parafii w Ełku i Starych Juchach,
w ełckim kościele tuż przed remontem (rok 1988)

LIST EDWARDA MAŁŁKA*

Hamburg, dnia 28.10.1994 r.

Drogi Panie Pastorze,

jestem Panu Pastorowi dłużny z odpowiedzią co do przesłania odpowiednich zdjęć z mego okresu pracy w Ełku do projektowanej przez Pana Pastora „Izby Pamiątkowej" Parafii w Ełku.

Oczywiście zdjęcia, które posiadam, są dla mnie miłą i drogą pamiątką, gdyż nie mogę przecież 14 lat pracy kościelnej w Ełku wykreślić z mego życiorysu i wymazać z mej pamięci.

Biorąc jednak pod rozwagę negatywny stosunek Naczelnych Władz Kościoła Metodystycznego do mojej osoby, uważam, że jakakolwiek pamiątka o mnie i po mnie w Parafii Ełckiej będzie nie na miejscu, przynajmniej tak długo, jak długo Parafia ta należy do Kościoła Metodystycznego. Faktem jest bowiem, iż ówcześni członkowie Komitetu Wykonawczego Kościoła Metodystycznego w Polsce, którzy – z wyjątkiem jednego – już nie żyją, wydali „inkwizycyjny" wyrok na mnie. Obecni „inkwizytorzy", nie znając mnie w ogóle, jako „Odwoławcza Instytucja Inkwizycyjna" usankcjonowała wyrok pierwszej instancji, wykluczając mnie z Kościoła Metodystycznego.

Więc jak by to wyglądało, że moja podobizna ma się znajdować na oficjalnym miejscu w Kościele Metodystycznym? – Pan pastor chyba to rozumie…

Pozostaje mi jedynie moją krzywdę zapisać w moich *Wspomnieniach*, przesyłając Panu Pastorowi mój *Epilog* do wiadomości – dodając, iż Kościół Metodystyczny jako taki nie stoi w złym świetle w moich *Wspomnieniach*. Drogi Panie Pastorze, cieszy mnie bardzo, że Parafię w Ełku wyprowadził Pan Pastor na czołowe miejsce.

Moja sprawa osobista niech spoczywa zgodnie z wolą jednych i drugich „inkwizytorów" na ich hańbiącą pamiątkę.

Panie Pastorze, pozbawiono mnie Kościoła, ale nie tylko to, bo pozbawiono mnie w Polsce prawa do Ojczystej Ziemi, i dlatego pozwalam przesłać Panu Pastorowi drugą część *Epilogu*, wiedząc, iż o słynną Parafię Ełcką „ocierają" się przedstawiciele „Ziomkostwa" z Niemiec.

I w tej części *Epilogu* wyrażam swój żal, a jednocześnie wizję przyszłości mojej utraconej Ziemi Ojczystej.

Myślę, że wydarzenia światowe zasługują na zainteresowanie, dyskusję i rozważania ludzi myślących, a szczególnie osób wierzących w to, że nic trwałego nie ma na tym padole ziemskim.

---

* List E. Małłka do ks. Z. Chojnackiego z Archiwum Parafii Miłości Bożej w Ełku opublikowany za zgodą Archiwum.

Z wielkim uznaniem i radością czytam w prasie „Ziomkostwa" o owocnej pracy Pana Pastora.

Życzę Panu Pastorowi i Parafii Ełckiej wielkiego rozkwitu, a w życiu osobistym dobrego zdrowia i radości w Rodzinie z obfitym błogosławieństwem Bożym – pozostaje

Edward Mallek

PS

Jesteśmy z małżonką – Bogu dzięki – jeszcze sprawni. Żona przez 2 operacje i 10 miesięcy leczenia pozbyła się wszelkich śladów raka. Chwała Bogu!

EDWARD MALLEK

Gdzie jest moja ojczyzna ?

WSPOMNIENIA

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

HAMBURG 1980

Strona tytułowa przepisanej wersji *Wspomnień*

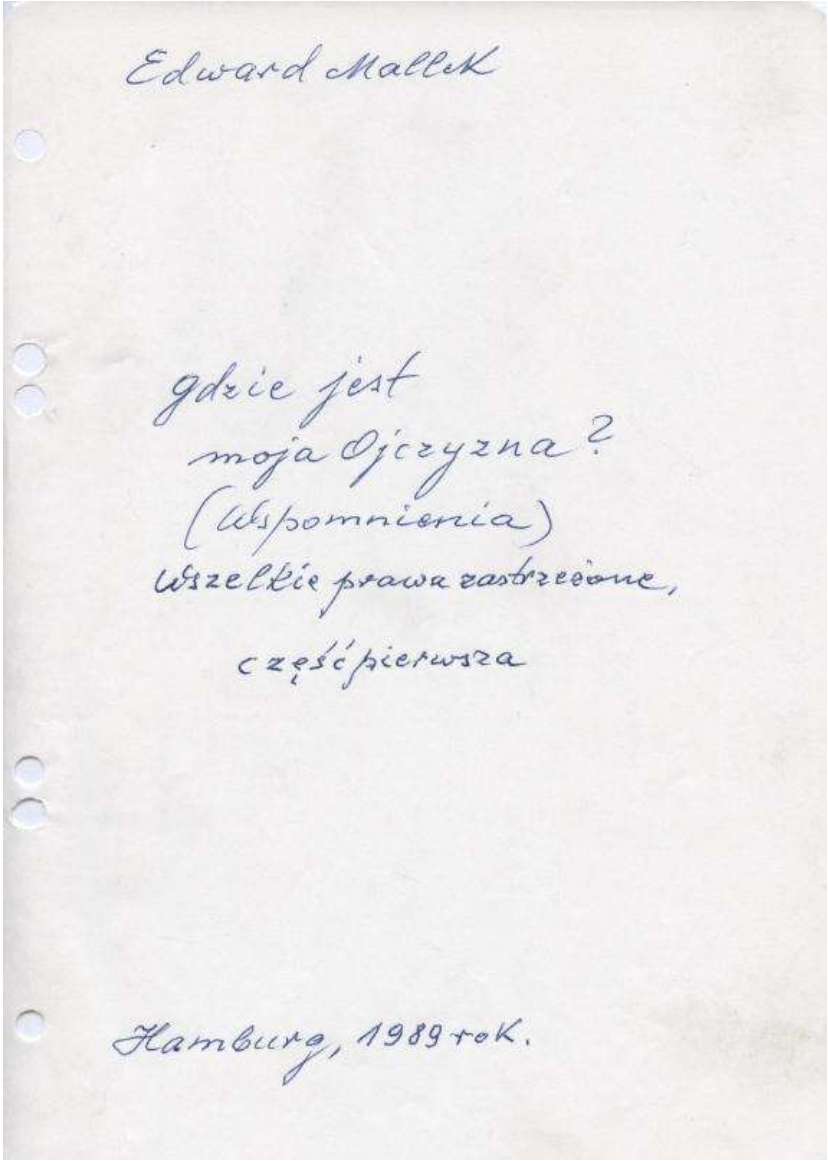
Edward Mallek

gdzie jest
moja Ojczyzna?
(Wspomnienia)
Wszelkie prawa zastrzeżone,
część pierwsza

Hamburg, 1989 rok.

Strona tytułowa rękopisu *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia* z 1989 roku

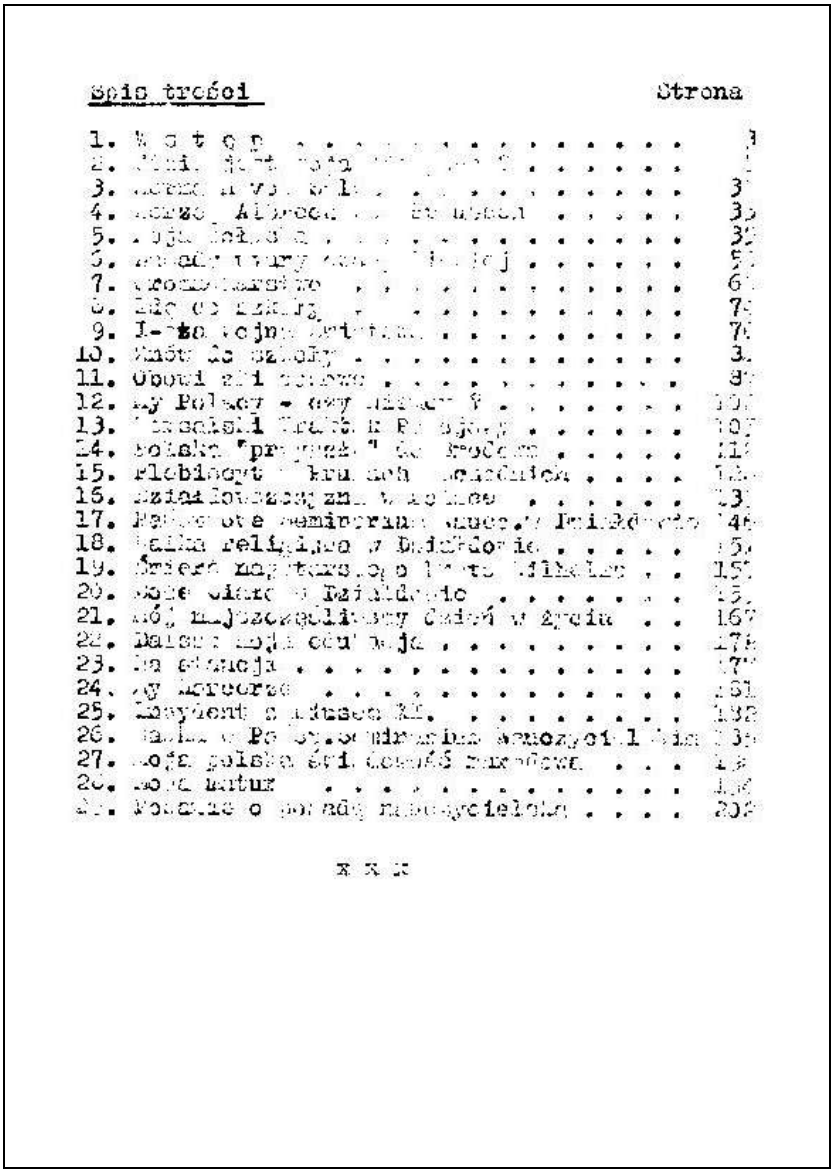

Spis treści

Strona

1. W s t ę p . . . . . [illegible]
2. [illegible] . . . . . [illegible]
3. [illegible] . . . . . 3[illegible]
4. [illegible] . . . . . 3[illegible]
5. [illegible] . . . . . 3[illegible]
6. [illegible] . . . . . 5[illegible]
7. [illegible] . . . . . 6[illegible]
8. [illegible] . . . . . 7[illegible]
9. I-sza wojna [illegible] . . . . . 7[illegible]
10. [illegible] . . . . . 3[illegible]
11. Obowiązki [illegible] . . . . . 8[illegible]
12. My Polacy - czy [illegible] ? . . . . . [illegible]
13. [illegible] . . . . . [illegible]
14. Polska "przyszła" do [illegible] . . . . . [illegible]
15. Plebiscyt w [illegible] . . . . . [illegible]
16. [illegible] . . . . . [illegible]
17. [illegible] seminarium [illegible] w Działdowie [illegible]
18. [illegible] religijna w Działdowie . . . . . [illegible]
19. Śmierć [illegible] . . . . . [illegible]
20. [illegible] w Działdowie . . . . . [illegible]
21. Mój najszczęśliwszy dzień w życiu 167
22. Dalsza moja edukacja . . . . . [illegible]
23. [illegible] . . . . . [illegible]
24. [illegible] . . . . . [illegible]
25. Incydent z [illegible] . . . . . [illegible]
26. [illegible] . . . . . [illegible]
27. Moja polska świadomość narodowa . . . . . [illegible]
28. Moja matura . . . . . [illegible]
29. [illegible] . . . . . [illegible]

x x x

Spis treści *Wspomnień* przepisanych na maszynie i odbitych przez kalkę

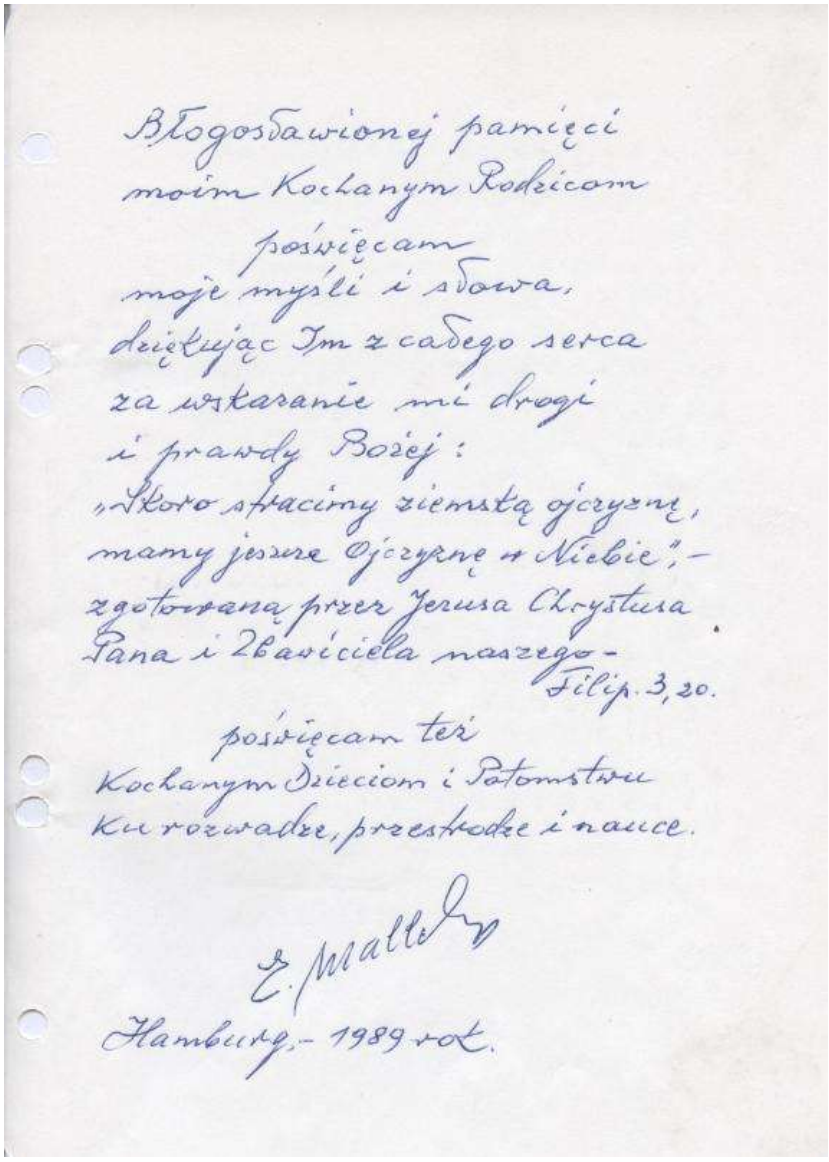

Błogosławionej pamięci
moim Kochanym Rodzicom
poświęcam
moje myśli i słowa,
dziękując Im z całego serca
za wskazanie mi drogi
i prawdy Bożej:
„Skoro stracimy ziemską ojczyznę,
mamy jeszcze Ojczyznę w Niebie", –
zgotowaną przez Jezusa Chrystusa
Pana i Zbawiciela naszego –
Filip. 3, 20.
poświęcam też
Kochanym Dzieciom i Potomstwu
ku rozwadze, przestrodze i nauce.

E. Malleck

Hamburg, – 1989 rok.

Dedykacja rękopisu *Wspomnień* z 1989 roku

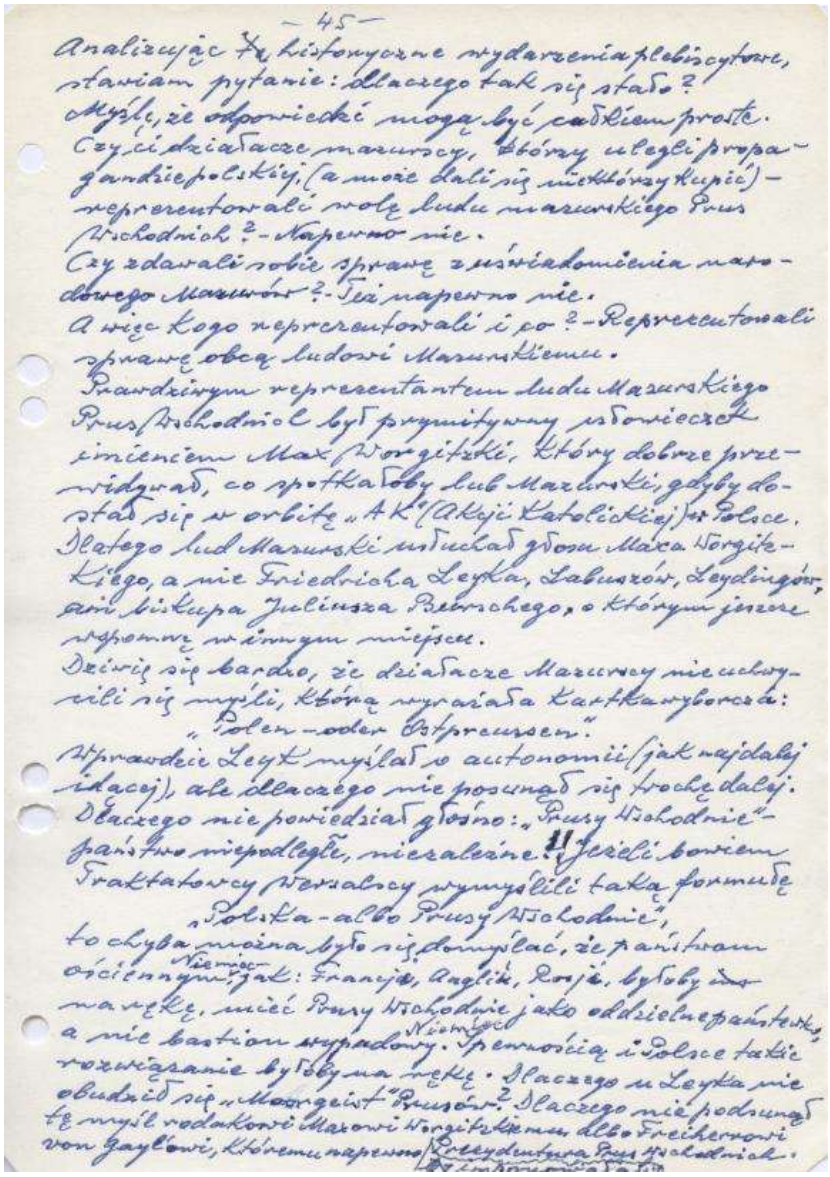

— 45 —

Analizując te historyczne wydarzenia plebiscytowe, stawiam pytanie: dlaczego tak się stało?
Myślę, że odpowiedzi mogą być całkiem proste.
Czy ci działacze mazurscy, którzy ulegli propagandzie polskiej, (a może dali się niektórzy kupić) — reprezentowali wolę ludu mazurskiego Prus Wschodnich? — Napewno nie.
Czy zdawali sobie sprawę z uświadomienia narodowego Mazurów? — Też napewno nie.
A więc kogo reprezentowali i po? — Reprezentowali sprawę obcą ludowi Mazurskiemu.
Prawdziwym reprezentantem ludu Mazurskiego Prus Wschodnich był prymitywny usłowieczek imieniem Max Worgitzki, który dobrze przewidywał, co spotkałoby lud Mazurski, gdyby dostał się w orbitę „AK" (Akcji Katolickiej) w Polsce.
Dlatego lud Mazurski usłuchał głosu Maxa Worgitzkiego, a nie Friedricha Leyka, Labuszów, Leydingów, ani biskupa Juliusza Betrschego, o którym jeszcze wspomnę w innym miejscu.
Dziwię się bardzo, że działacze Mazurscy nie uchwycili się myśli, którą wyrażała kartka wyborcza:
„Polen — oder Ostpreussen."
Wprawdzie Leyk myślał o autonomii (jak najdalej idącej), ale dlaczego nie posunął się trochę dalej.
Dlaczego nie powiedział głośno: „Prusy Wschodnie" — państwo niepodległe, niezależne!!
Jeżeli bowiem traktatowcy Wersalscy wymyślili taką formułę
„Polska — albo Prusy Wschodnie",
to chyba można było się domyślać, że państwom ościennym Niemiec jak: Francja, Anglia, Rosja, byłoby na rękę, mieć Prusy Wschodnie jako oddzielne państewko, a nie bastion wypadowy Niemiec. Pewnością i Polsce takie rozwiązanie byłoby na rękę. Dlaczego u Leyka nie obudził się „Morgeist" Prusów? Dlaczego nie podsunął tę myśl rodakowi Maxowi Worgitzkiemu albo Freiherrowi von Gayl'owi, któremu napewno Prezydentura Prus Wschodnich.

Strona 45 rękopisu *Wspomnień*

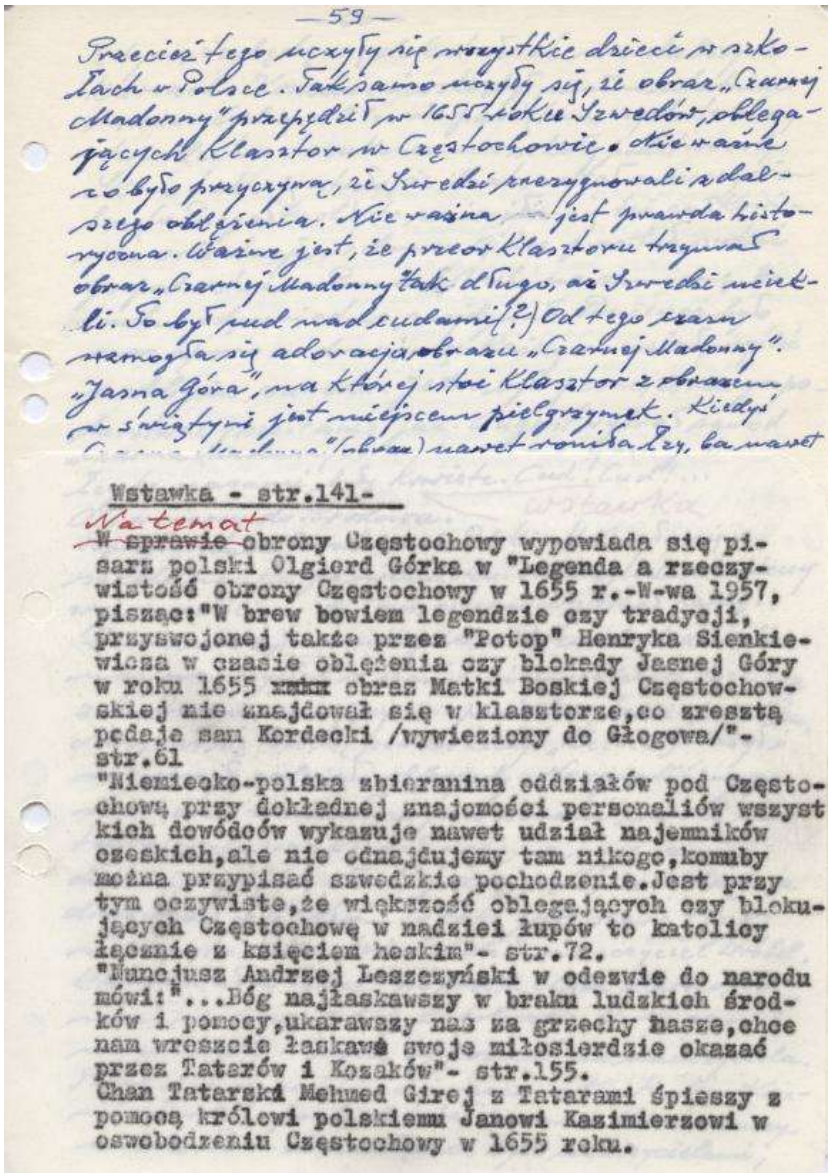

— 59 —

Przecież tego uczyły się wszystkie dzieci w szkołach w Polsce. Tak samo uczyły się, że obraz „Czarnej Madonny" przypędził w 1655 roku Szwedów, oblegających Klasztor w Częstochowie. Nie ważne co było przyczyną, że Szwedzi zrezygnowali z dalszego oblężenia. Nie ważna jest prawda historyczna. Ważne jest, że przeor Klasztoru trzymał obraz „Czarnej Madonny" tak długo, aż Szwedzi uciekli. To był cud nad cudami(?) Od tego czasu rozwinęła się adoracja obrazu „Czarnej Madonny". „Jasna Góra", na której stoi Klasztor z obrazem w świątyni jest miejscem pielgrzymek. Kiedyś [illegible] (obraz) nawet ronił łzy, ba nawet

Wstawka - str.141-

Na temat ~~W sprawie~~ obrony Częstochowy wypowiada się pisarz polski Olgierd Górka w "Legenda a rzeczywistość obrony Częstochowy w 1655 r.-W-wa 1957, pisząc:"W brew bowiem legendzie czy tradycji, przyswojonej także przez "Potop" Henryka Sienkiewicza w czasie oblężenia czy blokady Jasnej Góry w roku 1655 ~~xxxx~~ obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nie znajdował się w klasztorze,co zresztą podaje sam Kordecki /wywieziony do Głogowa/"- str.61

"Niemiecko-polska zbieranina oddziałów pod Częstochową przy dokładnej znajomości personaliów wszystkich dowódców wykazuje nawet udział najemników czeskich,ale nie odnajdujemy tam nikogo,komuby można przypisać szwedzkie pochodzenie.Jest przy tym oczywiste,że większość oblegających czy blokujących Częstochowę w nadziei łupów to katolicy łącznie z księciem heskim"- str.72.

"Nuncjusz Andrzej Leszczyński w odezwie do narodu mówi:"...Bóg najłaskawszy w braku ludzkich środków i pomocy,ukarawszy nas za grzechy nasze,chce nam wreszcie łaskawe swoje miłosierdzie okazać przez Tatarów i Kozaków"- str.155.

Chan Tatarski Mehmed Girej z Tatarami śpieszy z pomocą królowi polskiemu Janowi Kazimierzowi w oswobodzeniu Częstochowy w 1655 roku.

Strona rękopisu *Wspomnień* z charakterystyczną „wstawką" przepisana na maszynie

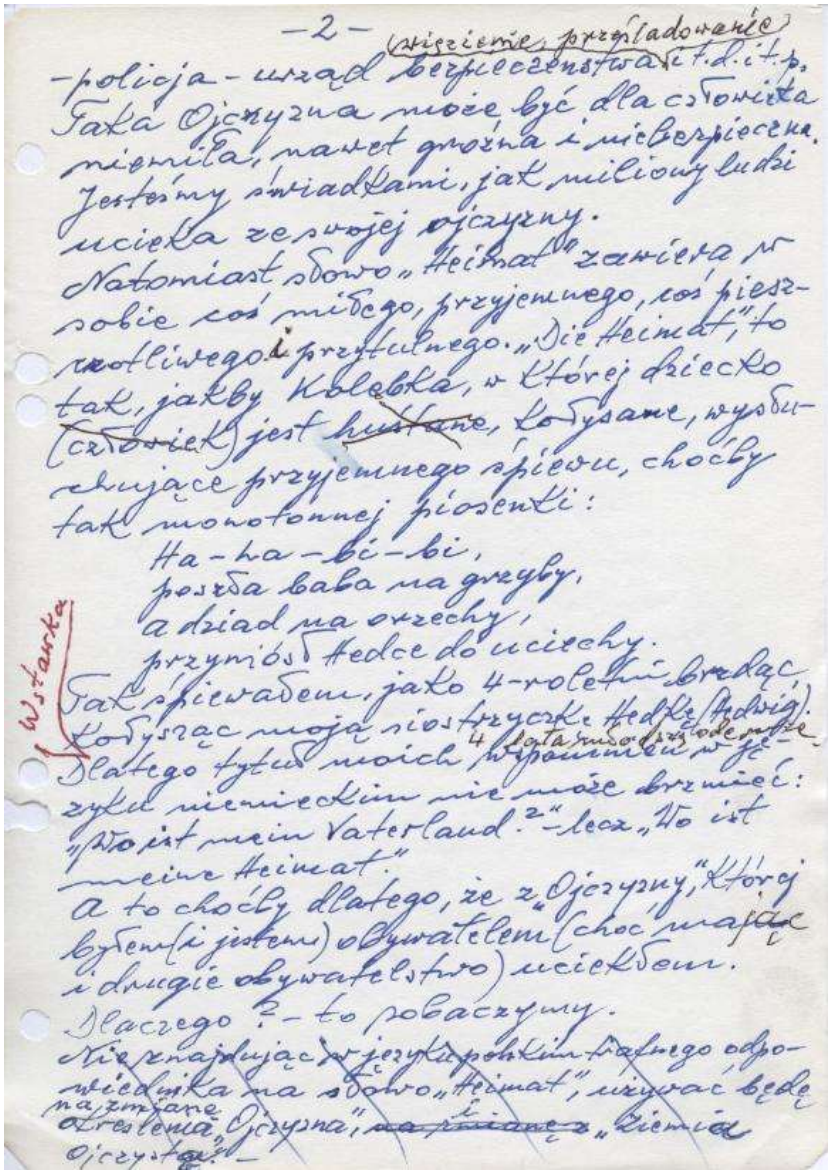

-2-

-policja - urząd bezpieczeństwa (więzienie, prześladowanie) i t.d. i t.p.
Taka Ojczyzna może być dla człowieka
niemiła, nawet groźna i niebezpieczna.
Jesteśmy świadkami, jak miliony ludzi
ucieka ze swojej ojczyzny.
Natomiast słowo „Heimat" zawiera w
sobie coś miłego, przyjemnego, coś pieszczotliwego i przytulnego. „Die Heimat", to
tak, jakby Kolebka, w której dziecko
(człowiek) jest ~~huśtane~~, kołysane, wysłuchujące przyjemnego śpiewu, choćby
tak monotonnej piosenki:

Ha-ha-bi-bi,
poszła baba na grzyby,
a dziad na orzechy,
przyniósł Hedce do uciechy.

Wstawka

Tak śpiewałem, jako 4-roletni brzdąc,
kołysząc moją siostrzyczkę Hedkę (Hedwig).
Dlatego tytuł moich 4 lata młodszych wspomnień w języku niemieckim nie może brzmieć:
„Wo ist mein Vaterland?" - lecz „Wo ist
meine Heimat."
A to choćby dlatego, że z „Ojczyzny", której
byłem (i jestem) obywatelem (choć mając
i drugie obywatelstwo) uciekłem.
Dlaczego? - to zobaczymy.
~~Nie znajdując w języku polskim trafnego odpowiednika na słowo „Heimat", używać będę na zmianę określenia „Ojczyzna", i „Ziemia Ojczysta".~~ -

Fragment rękopisu *Wstępu* do *Wspomnień* z licznymi skreśleniami, poprawkami

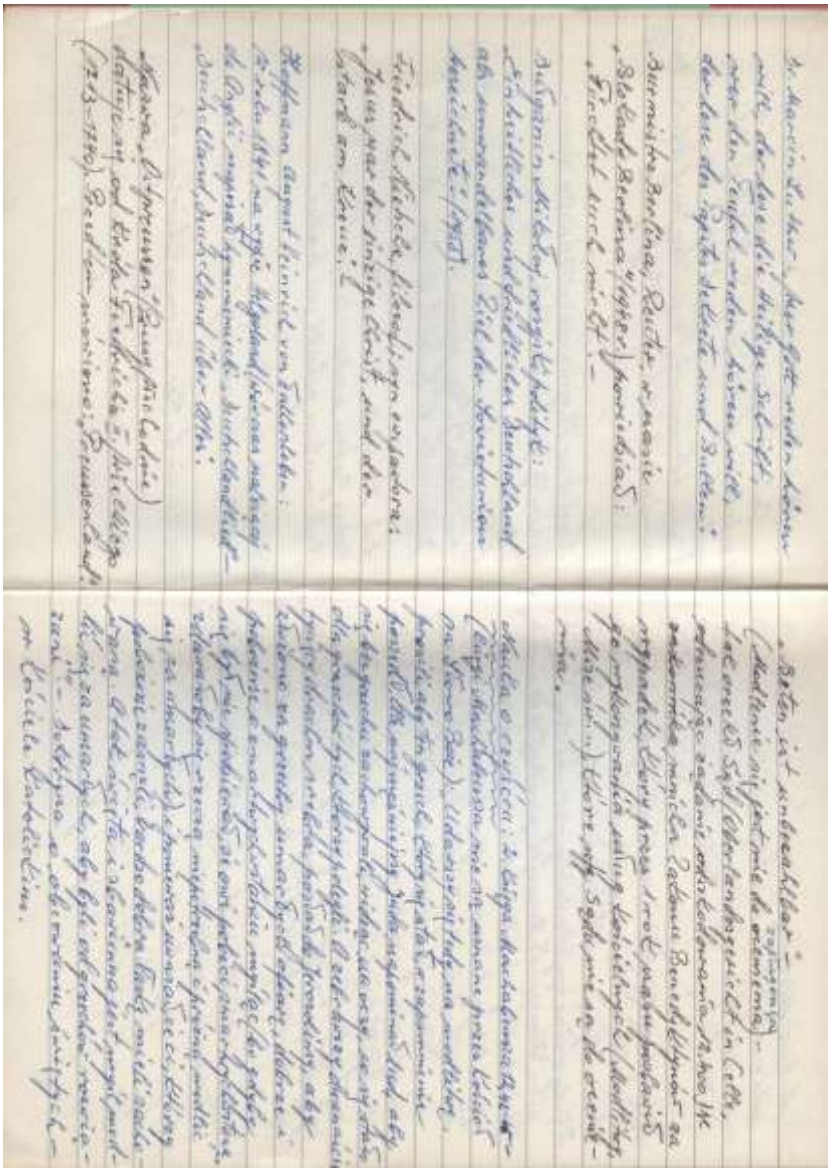

Strony jednego ze skoroszytów zawierające notatki Edwarda Małłka

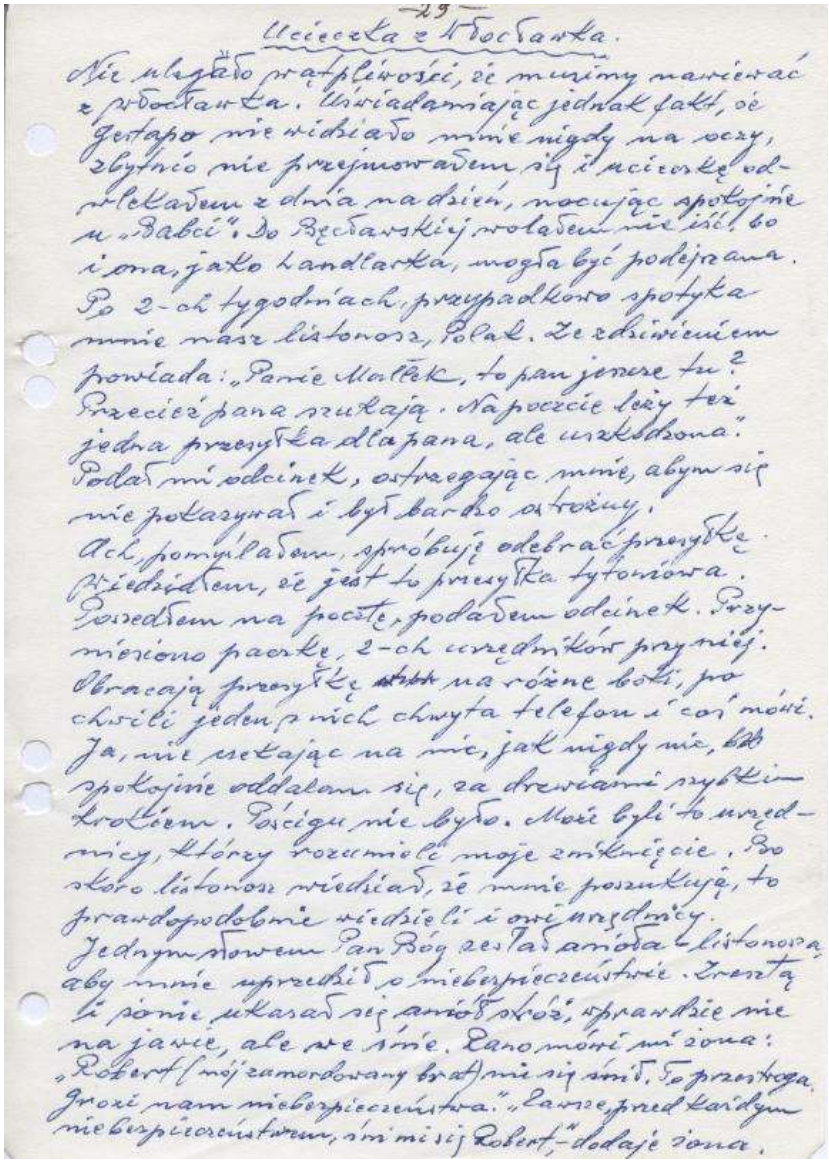

-29-

Ucieczka z Włocławka.

Nie ulegało wątpliwości, że musimy uciekać z Włocławka. Uświadamiając jednak fakt, że Gestapo nie widziało mnie nigdy na oczy, zbytnio nie przejmowałem się i ucieczkę odwlekałem z dnia na dzień, nocując spokojnie u „Babci". Do Bęczarskiej wolałem nie iść, bo i ona, jako Landlarka, mogła być podejrzana.
Po 2-ch tygodniach, przypadkowo spotyka mnie nasz listonosz, Polak. Ze zdziwieniem powiada: „Panie Maciek, to pan jeszcze tu? Przecież pana szukają. Na poczcie leży też jedna przesyłka dla pana, ale uszkodzona". Podał mi odcinek, ostrzegając mnie, abym się nie pokazywał i był bardzo ostrożny.
Ach, pomyślałem, spróbuję odebrać przesyłkę. Przedziałem, że jest to przesyłka tytoniowa. Poszedłem na pocztę, podałem odcinek. Przyniesiono paczkę, 2-ch urzędników przy niej. Obracają przesyłkę na różne boki, po chwili jeden z nich chwyta telefon i coś mówi. Ja, nie czekając na nic, jak nigdy nic, spokojnie oddalam się, za drzwiami szybkim krokiem. Pościgu nie było. Może byli to urzędnicy, którzy rozumieli moje zmieszanie. Bo skoro listonosz wiedział, że mnie poszukują, to prawdopodobnie wiedzieli i owi urzędnicy.
Jednym słowem Pan Bóg zesłał anioła-listonosza, aby mnie uprzedził o niebezpieczeństwie. Zresztą i żonie ukazał się anioł stróż, wprawdzie nie na jawie, ale we śnie. Tak mówi mi żona: „Robert (mój zamordowany brat) mi się śnił. To przestroga. Grozi nam niebezpieczeństwo." „Zawsze przed każdym niebezpieczeństwem, śni mi się Robert, – dodaje żona.

Fragment rękopisu rozdziału *Ucieczka z Włocławka* ze *Wspomnień*

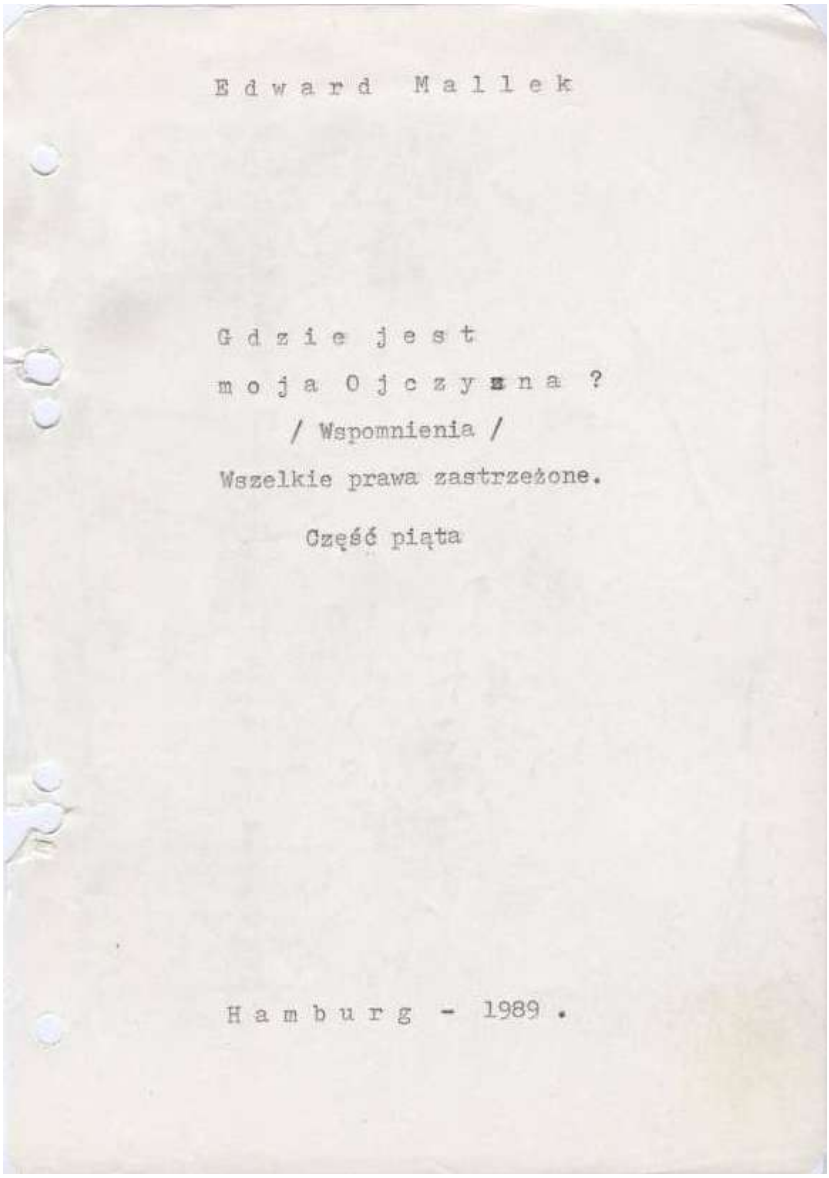

Edward Mallek

Gdzie jest
moja Ojczyzna ?
/ Wspomnienia /

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Część piąta

Hamburg - 1989 .

Strona tytułowa maszynopisu *Wspomnień* z 1989 roku

16

2. Gdzie jest moja Ojczyzna?

Gdzie ona jest?

Czy są nią Niemcy, gdzie się urodziłem?

Czy jest nią Polska, do której bez mojej woli zostałem w 1920 roku włączony?

Czy Ojczyzną moją są Niemcy, gdzie obecnie od 1973 roku żyję?

Niemcy czy Polska? Polska czy Niemcy? Może nie jest ani jedna, ani druga? A może są nią obie?

A może jednak żadna z nich?

Och! -Jakież to dręczące pytania.

Dlaczego dręczące? -ktoś powie.

Przecież każdy człowiek zna swoją ojczyznę i może ją nazwać bez zastanawiania się. Hm..., w moim wypadku nie jest to takie proste.

To może wydawać się dość dziwne, ale muszę szczerze powiedzieć, że mam z tym kłopot. Nad odpowiedzią muszę się zastanowić. A więc niech myśli moje lecą w dal w poszukiwaniu mojej Ojczyzny, którą we wstępnych słowach przyrównałem do kołebki.

A była to prawdziwa kołebka z naturalnego drzewa sosnowego, „krasiona" (pomalowana) na kolor orzechowy.

A gdzie ona stała?

Aha! a jednak stała... na ziemi!

Och! ukochana moja Ziemio. Jakże daleko jesteś ode mnie. Tęsknio mi bardzo za Tobą...

Parafrazując słowa Adama Mickiewicza wołać muszę: „Ziemio Ojczysta moja, ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił."

Odnieć jest ta moja utracona Ziemia Ojczysta, na której stała moja sosnowa kołebka?

Droga do niej ode mnie z Hamburga dość daleka -poza samolotem, -dość uciążliwa.

Leży przede mną mapa Europy Środkowej. Wiodę po niej palcem; wychodząc z Hamburga w kierunku wschodnim, idąc wzdłuż wybrzeża Bałtyku przez miasta Lübeck -Rostock -Szczecin -Koszalin -Słupsk dochodzimy do dolnej rzeki Wisły. Odtąd zaczyna się Ziemia moich Przodków, -moja Ziemia Ojczysta.

Rozpościera się od Wisły poza rzekę Niemen na wschodzie, na południu do dawnej granicy Niemcy-Polska sprzed 1920 roku, a na północy po Bałtyk.

W jednym z zakątków tej ziemi, na południowym cyplu, stała chatka drewniana, słomą kryta, w której się urodziłem.

Cóż to za Ziemia Przodków moich?

Melchior Wańkowicz, wędrując po tej ziemi przed I Wojną światową, pisał, że jest to ziemia, nad którą unosi się „Smętek"

A syn tej ziemi, Fryderyk Łzyk, pisał: „Nad naszą Ziemią Ojczystą unosi się „Moorgeist" (Duch Mo-czarowi). O tym czytamy w jego wierszu w języku niemieckim p.t. „Der Moorgeist".

Dlaczego tak smutne, bodajże nawet magiczne określenia tej ziemi znajdujemy w różnych opisach?

W wielu pracach historycznych, w różnych językach, kryje się tragiczna przeszłość... i teraźniejszość mojej Ziemi Ojczystej.

Spojrzałem na szczegółową mapę mojej Ziemi Ojczystej. -Zasmuciłem się..

Ogarnął mnie „Smętek"...

Jakże została ona poćwiartowana, podzielona na 3 części, każda z nich należy do innego państwa. Jest to wynik II Wojny Światowej, która trwała od 1 go września 1939 roku do 8 maja 1945 roku. Ale o tym potem...

Cofnijmy się myślami ben, daleko wstecz: może 5, może 4, może 3, a napewno 2 tysiące lat temu. Żył tu naród, którego nie ma. Co się z nim stało?

Co wiemy o mojej Ziemi Ojczystej?

Historycy mówią, że był to kraj o nieprzebytych wspaniałych lasach, między nimi często podmokłe łąki i pastwiska. Naokoło niezliczonych jezior rozpościerały się niebezpieczne trzęsawiska i moczary (jeszcze dziś nie radzę samotnemu wędrowcy zapuszczać się głęboko w Puszczę Piską).

16

Strona z przepisanym na komputerze fragmentem *Wspomnień* (rozdział: *Gdzie jest moja Ojczyzna*?)

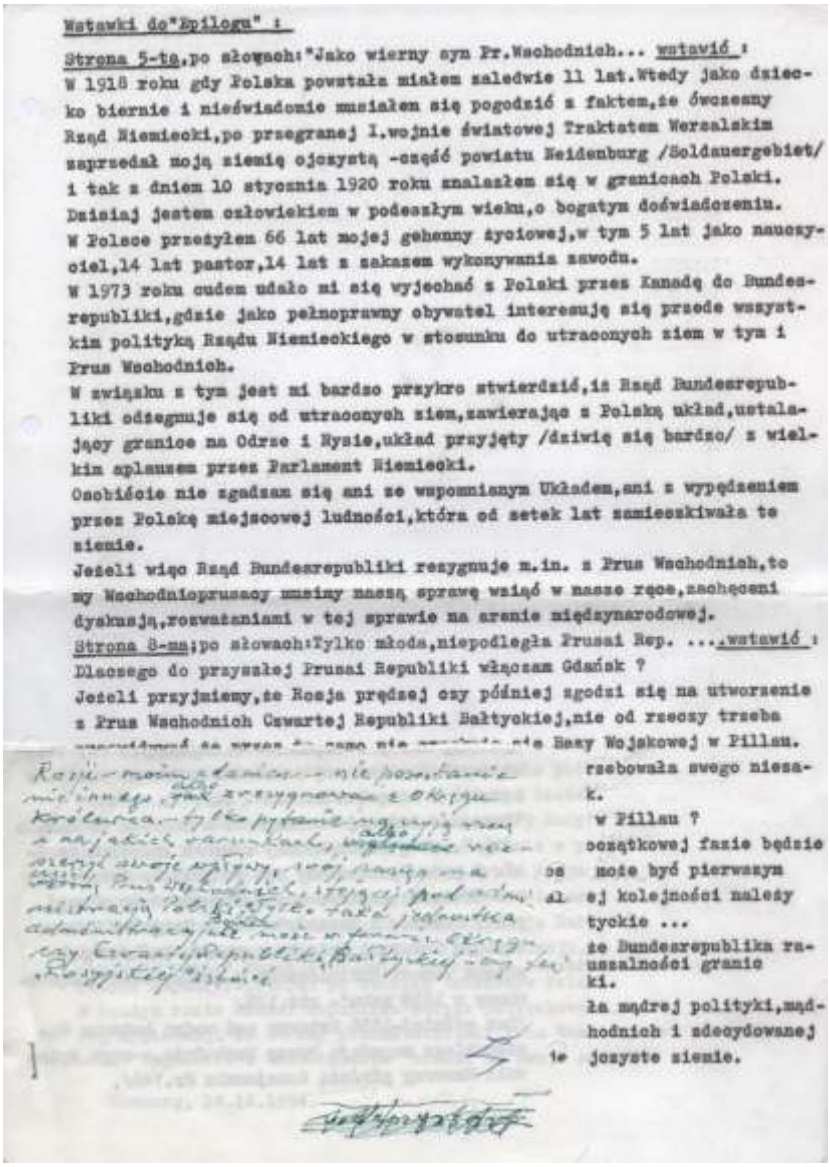

Wstawki do"Epilogu" :

Strona 5-ta,po słowach:"Jako wierny syn Pr.Wschodnich... wstawić :
W 1918 roku gdy Polska powstała miałem zaledwie 11 lat.Wtedy jako dziecko biernie i nieświadomie musiałem się pogodzić z faktem,że ówczesny Rząd Niemiecki,po przegranej I.wojnie światowej Traktatem Wersalskim zaprzedał moją ziemię ojczystą -część powiatu Neidenburg /Soldauergebiet/ i tak z dniem 10 stycznia 1920 roku znalazłem się w granicach Polski.
Dzisiaj jestem człowiekiem w podeszłym wieku,o bogatym doświadczeniu.
W Polsce przeżyłem 66 lat mojej gehenny życiowej,w tym 5 lat jako nauczyciel,14 lat pastor,14 lat z zakazem wykonywania zawodu.
W 1973 roku cudem udało mi się wyjechać z Polski przez Kanadę do Bundesrepubliki,gdzie jako pełnoprawny obywatel interesuję się przede wszystkim polityką Rządu Niemieckiego w stosunku do utraconych ziem w tym i Prus Wschodnich.
W związku z tym jest mi bardzo przykro stwierdzić,iż Rząd Bundesrepubliki odżegnuje się od utraconych ziem,zawierając z Polską układ,ustalający granice na Odrze i Nysie,układ przyjęty /dziwię się bardzo/ z wielkim aplauzem przez Parlament Niemiecki.
Osobiście nie zgadzam się ani ze wspomnianym Układem,ani z wypędzeniem przez Polskę miejscowej ludności,która od setek lat zamieszkiwała te ziemie.
Jeżeli więc Rząd Bundesrepubliki rezygnuje m.in. z Prus Wschodnich,to my Wschodnioprusacy musimy naszą sprawę wziąć w nasze ręce,zachęceni dyskusją,rozważaniami w tej sprawie na arenie międzynarodowej.
Strona 8-ma;po słowach:Tylko młoda,niepodległa Prusai Rep. ....wstawić :
Dlaczego do przyszłej Prusai Republiki włączam Gdańsk ?
Jeżeli przyjmiemy,że Rosja prędzej czy później zgodzi się na utworzenie z Prus Wschodnich Czwartej Republiki Bałtyckiej,nie od rzeczy trzeba [illegible] Bazy Wojskowej w Pillau.

Rosji - moim zdaniem - nie pozostanie nic innego, jak zrezygnować z okręgu Królewca - tylko pytanie na [illegible] i na jakich warunkach, [illegible] swoje wpływy, swój [illegible] Prus Wschodnich, stojącej pod administracją Polski. Tylko taka jednostka administracyjna może w formie okręgu czy Czwartej Republiki Bałtyckiej - [illegible] Rosyjskiej [illegible]

rzebowała swego niezak.
w Pillau ?
oczątkowej fazie będzie
może być pierwszym
ej kolejności należy
tyckie ...
że Bundesrepublika rauszalności granic
ki.
ła mądrej polityki,mądhodnich i zdecydowanej
jczyste ziemie.

Wstawki w *Epilogu* do *Wspomnień* E. Małłka

E p i l o g .

Gdy skończyłem pisanie moich Wspomnień,ziemia zatrzęsła się doniosłymi wydarzeniami.Rozpadł się Związek Socjalistycznych Republik Rad,kolebka i bastion komunizmu światowego.Upadają reżymy komunistyczne w różnych krajach świata.Na gruzach ZSRR powstają republiki narodowościowe,w tym Rosja.Odzyskują niepodległość kraje bałtyckie:Estonia,Łotwa i Litwa. Jednoczą się dwa państwa niemieckie: Bundesrepublika i Deutsche Demokratische Republik.Berlin staje się na nowo stolicą zjednoczonych Niemiec.
Komunistyczny dyktator DDR,Erich Honecker umiera na wygnaniu w Chile, jako azylant,chowany przez wdzięcznych mu Lumumbowców.Na terenie zbankrutowanej DDR w miejsce komunistycznej partii SED powstaje jej spadkobierczyni "socjalistyczna" partia PDS,która żywi się resztkami padliny "nieodsłowanego" komunizmu.
Jest rok 1994.Ostatni żołnierz byłego Związku Socjalistycznych Republik Rad opuszcza w tym roku: Polskę,Estonię,Łotwę,Litwę i Niemcy.
Jedynie Prusy Wschodnie /mój Heimat/ nie uzyskały wolności.Ale i tu zachodzą doniosłe zmiany.Można swobodnie odwiedzać Prusy Wschodnie, czego dotąd nie było.W części,będącej pod administracją Polski,powstają Niemieckie,Niemiecko-Mazurskie,Niemiecko-Polskie Stowarzyszenia Mniejszościowe,pielęgnujące język i kulturę niemiecką.
Część Wschodnich Prus - Okręg Królewca nadal pozostaje pod administracją nowych władz Rosji,stanowiąc enklawę,nie mającą terytorialnego połączenia z Rosją.
W związku z tym powstają różne spekulacje co do przyszłości Okręgu Królewca i Prus Wschodnich jako całości.Problem ten jest tematem wypowiedzi i dyskusji naukowców,polityków różnych krajów,jak również przedstawicieli dawnych mieszkańców Prus Wschodnich.
Jako pierwszy pośpieszył się prezydent Polski p.Wałęsa,który po monterasku już podzielił Okręg Królewca na strefy: Główną część z Królewcem przydzielił Polsce,innemi częściami obdarzył Litwę,Białoruś i Ukrainę./Zobacz mapkę/. Polska otwarła konsulat w Królewcu.
Litwa niewątpliwie chętnie przejęłaby całość Okręgu Królewca,gdyby ku temu sprzyjała sytuacja międzynarodowa.
Jakie stanowisko co do przyszłości Prus Wschodnich zajmuje Państwo Niemieckie,które straciło nie tylko Prusy Wschodnie ?
Zacytuję wypowiedzi zaczerpnięte z Ostpreussenblatt:"Am 19.Januar 1990 hat der deutsche Bundeskanzler auf einer internationalen Konferenz in Paris erklärt:"Die Deutschen- und hieran sollte niemand zweifeln- haben nicht die Absicht,im Europa vom morgen eine Grenzdiskussion von Zaun zu brechen.Niemand will die Frage der Einheit der Nation

Początek maszynopisu *Epilogu* do *Wspomnień*

- 14 -

Odpowiednią notatkę ze zdjęciami o uroczystości w Brodowie przesłałem z prośbą o wydrukowanie do "Ostpreussenblatt", lecz Redakcja tegoż tygodnika odmówiła wydrukowania,uzasadniając następującym pismem :

Das Ostpreußenblatt
REDAKTION

20144 HAMBURG
Parkallee 84/86
Telefon: 0 40 / 41 40 08-0
Telefax: 0 40 / 41 40 08 50

, 14. Juli 1994
H5-Sf.

Herrn
Eduard Mallek
Schreyerring 27

22309 Hamburg

Sehr geehrter Herr Mallek,

Ihre Bitte um Veröffentlichung Ihrer Schilderung müssen wir leider ablehnen. So erfreulich die Tatsache, daß die deutschen Bewohner Brodaus nunmehr wieder an einem eigenen Gedenkstein im Heimatort ihre Ahnen ehren können, auch sein mag, gilt es doch, Einwände zu bedenken.

Vielerorts kommt es zwischen Ostpreußen und den heutigen Bewohnern unserer Heimat, seien es Polen, Russen oder Litauer, zu harmonischen Begegnungen.

Zum Thema Verständigung und Ausgleich gehört freilich auch, daß die derzeitigen Landesbewohner die 700jährige deutsche Kultur der Region nicht verleugnen.

Zweisprachige Gedenksteine auf Friedhöfen und in Parkanlagen gehören durchaus nicht mehr zur Seltenheit und lassen für die Zukunft hoffen ...

Wer sich jedoch darauf einläßt, nur fremdsprachige Inschriften auf derartigen Mahnmalen hinzunehmen, unterstützt, wenn sicherlich auch ungewollt, die Gefahr einer anhaltenden Geschichtsklitterung. Es gilt, den Standpunkt historischer Wahrheit konsequent zu vertreten.

In der Hoffnung, daß Sie diese Zeilen nicht als Belehrung, sondern vielmehr als Anregung für künftige Projekte verstehen mögen, verbleibe ich

mit freundlichen Grüßen

Hartmut M.F. Sysków

Z treści pisma widzimy wyraźnie na jakim koniu galopuje Ostpreussenblatt.Widocznie Ostpreussenblatt uważa,że w Prusach Wschodnich istniała tylko kultura niemiecka i dlatego należy tylko do niej nawiązywać.Myślę,że takie stanowisko pachnie szowinizmem,niezgodne z prawdą historyczną.

Fragment *Epilogu* z listem od Redakcji pisma „Das Ostpreussenblatt”

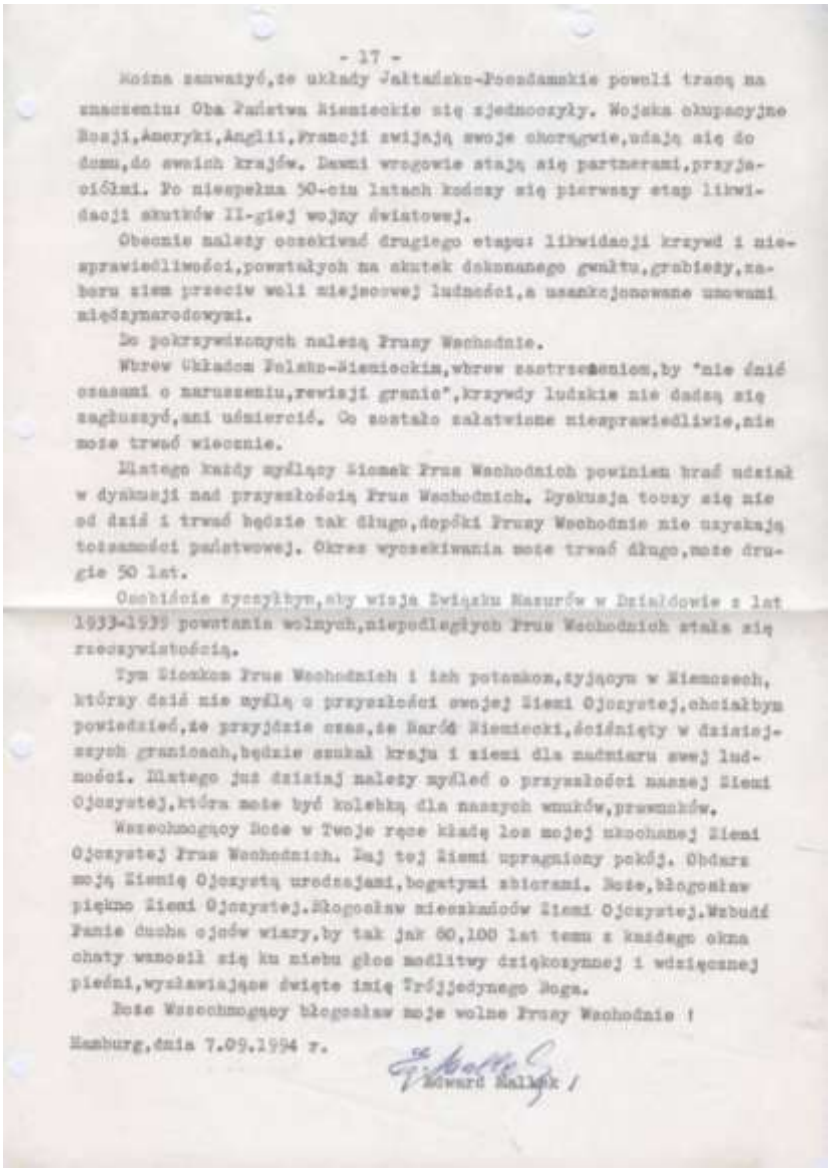

- 17 -

Można zauważyć,że układy Jałtańsko-Poczdamskie powoli tracą na znaczeniu: Oba Państwa Niemieckie się zjednoczyły. Wojska okupacyjne Rosji,Ameryki,Anglii,Francji zwijają swoje chorągwie,udają się do domu,do swoich krajów. Dawni wrogowie stają się partnerami,przyjaciółmi. Po niespełna 50-ciu latach kończy się pierwszy etap likwidacji skutków II-giej wojny światowej.

Obecnie należy oczekiwać drugiego etapu: likwidacji krzywd i niesprawiedliwości,powstałych na skutek dokonanego gwałtu,grabieży,zaboru ziem przeciw woli miejscowej ludności,a usankcjonowane umowami międzynarodowymi.

Do pokrzywdzonych należą Prusy Wschodnie.

Wbrew Układom Polsko-Niemieckim,wbrew zastrzeżeniom,by "nie dziś czasami o naruszeniu,rewizji granic",krzywdy ludzkie nie dadzą się zagłuszyć,ani uśmiercić. Co zostało załatwione niesprawiedliwie,nie może trwać wiecznie.

Dlatego każdy myślący Ziomek Prus Wschodnich powinien brać udział w dyskusji nad przyszłością Prus Wschodnich. Dyskusja toczy się nie od dziś i trwać będzie tak długo,dopóki Prusy Wschodnie nie uzyskają tożsamości państwowej. Okres wyczekiwania może trwać długo,może drugie 50 lat.

Osobiście życzyłbym,aby wizja Związku Mazurów w Działdowie z lat 1933-1939 powstania wolnych,niepodległych Prus Wschodnich stała się rzeczywistością.

Tym Ziomkom Prus Wschodnich i ich potomkom,żyjącym w Niemczech, którzy dziś nie myślą o przyszłości swojej Ziemi Ojczystej,chciałbym powiedzieć,że przyjdzie czas,że Bardź Niemiecki,dzielnięty w dzisiejszych granicach,będzie szukał kraju i ziemi dla zadmiaru swej ludności. Dlatego już dzisiaj należy myśleć o przyszłości naszej Ziemi Ojczystej,która może być kolebką dla naszych wnuków,prawnuków.

Wszechmogący Boże w Twoje ręce kładę los mojej ukochanej Ziemi Ojczystej Prus Wschodnich. Daj tej Ziemi upragniony pokój. Obdarz moją Ziemię Ojczystą urodzajami,bogatymi zbiorami. Boże,błogosław piękno Ziemi Ojczystej.Błogosław mieszkańców Ziemi Ojczystej.Wzbudź Panie ducha ojców wiary,by tak jak 60,100 lat temu z każdego okna chaty wznosił się ku niebu głos modlitwy dziękczynnej i wdzięcznej pieśni,wysławiające święte imię Trójjedynego Boga.

Boże Wszechmogący błogosław moje wolne Prusy Wschodnie !

Hamburg,dnia 7.09.1994 r.

Edward Małłek /

Zakończenie maszynopisu *Epilogu* do *Wspomnień* z własnoręcznym podpisem E. Małłka

Szanowni Państwo !
Wiedząc o tym,iż utrzymujecie Państwo kontakt,czy też współpracujecie ze Stowarzyszeniami Niemieckiej Mniejszości Narodowej na Mazurach - Prusach Wschodnich,jako jeden z tych,którzy na skutek II-giej wojny światowej straciliśmy swoją Ojczyznę,pozwoliłem sobie przesłać Państwu mój "Epilog",zawierający moje myśli,rozważania odnośnie dyskutowanego w Europie /a może i poza Europą/ zagadnienia przyszłości Prus Wschodnich.
Załączony "Epilog" znajdzie się w przyszłości w mojej książce - wspomnieniach p.t."Gdzie jest moja Ojczyzna" /Heimat/ - przeszło 600 stron druku z licznymi zdjęciami.
Co do mojej osoby mogę powiedzieć,że urodziłem się w 1907 roku w Brodzu,Kreis Neidenburg,od stycznia 1920 roku mocą Traktatu Wersalskiego znalazłem się wraz z mieszkańcami powiatu Działdowskiego /Soldau/ w Polsce,gdzie zdobyłem wykształcenie w języku polskim,będąc okresowo nauczycielem i pastorem,w obu zawodach zwolniony ze względów politycznych,nie z mojej winy.
Należałem do regionalnego Związku Mazurów w Działdowie,założonego w 1935 roku.
Po "Wyzwoleniu" brałem udział w delegacji Związku Mazurów do Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Prez.Bieruta w Lublinie w listopadzie 1944 roku.
W 1945 roku byłem pierwszym starostą w Nidzicy.Zrezygnowałem z tego stanowiska,nie mogąc przepatrzeć stosowanego bezprawia. Pozbawiony wszelkich praw obywatelskich w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej /zakaz wykonywania zawodu,pozbawienie stopnia oficerskiego,odmawianie prawa do własności.../ w 1973 roku wyjechałem do Kanady,z tamtąd do Bundesrepubliki Deutschland i nie wróciłem,"przebywając nielegalnie zagranicą"-według prawa PRL.
Obecnie jestem chyba jednym z ostatnich Mazurów Prus Wschodnich o tradycyjnym języku mazurskim,tradycyjnej kulturze mazurskiej, mazurskich zwyczajach,obyczajach mazurskich i ewangelickiej kulturze religijnej.
Ponieważ przyjąć trzeba,że tradycyjnej mazurskości w Prusach Wschodnich dzisiaj nie ma /wyniszczona,zanikła/,wobec tego obecnie przykłączam się do tych,którzy mówią o sobie:" Ich bin ein Ostpreusse". I jako taki rozmyślam nad przyszłością mojej kochanej Ziemi Ojczystej Prus Wschodnich.
Będę bardzo wdzięczny za nadesłane wszelkie uwagi.
Łączę ojczyźniane pozdrowienia -

Hamburg, 20.09.1994 r.

/ Edward Kallek /

List do redakcji pisma [*Epilog III*], zawierający informację o zamiarze publikacji *Wspomnień*

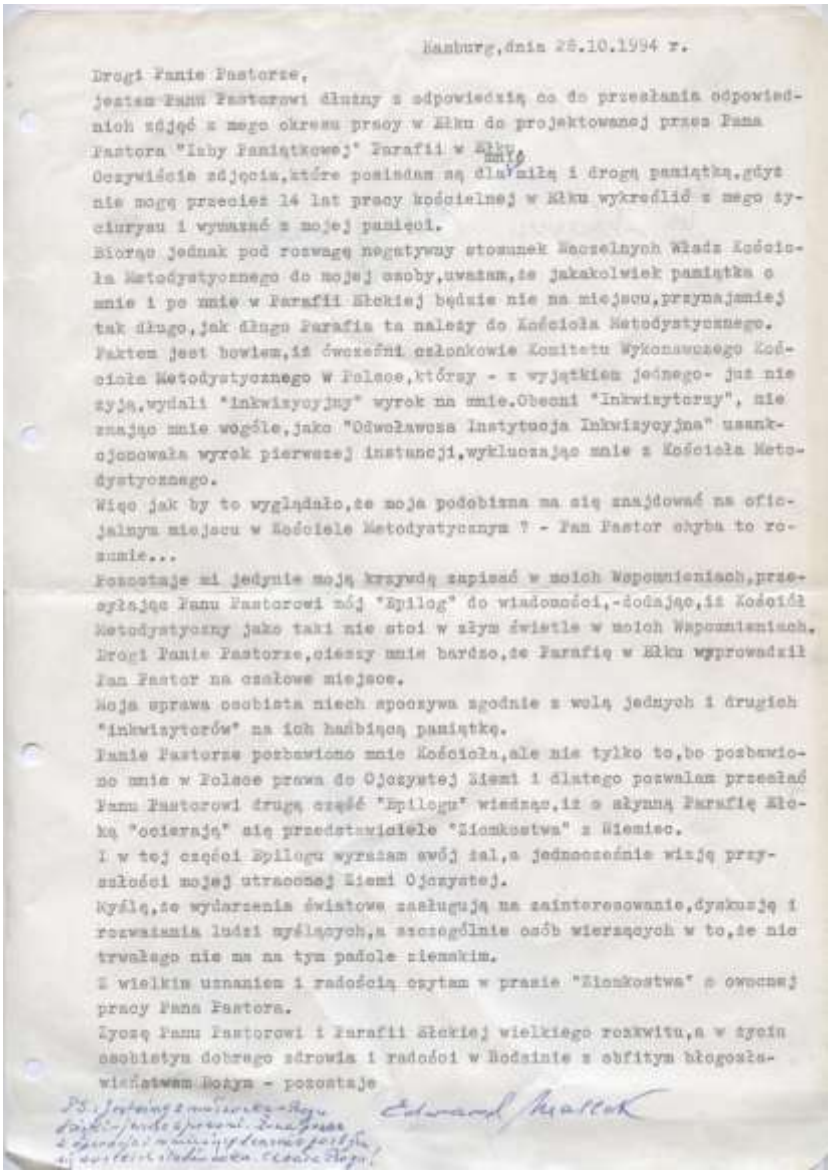

Hamburg, dnia 28.10.1994 r.

Drogi Panie Pastorze,
jestem Panu Pastorowi dłużny z odpowiedzią co do przesłania odpowiednich zdjęć z mego okresu pracy w Ełku do projektowanej przez Pana Pastora "Izby Pamiątkowej" Parafii w Ełku.
Oczywiście zdjęcia, które posiadam są dla mnie miłą i drogą pamiątką, gdyż nie mogę przecież 14 lat pracy kościelnej w Ełku wykreślić z mego życiorysu i wymazać z mojej pamięci.
Biorąc jednak pod rozwagę negatywny stosunek Naczelnych Władz Kościoła Metodystycznego do mojej osoby, uważam, że jakakolwiek pamiątka o mnie i po mnie w Parafii Ełckiej będzie nie na miejscu, przynajmniej tak długo, jak długo Parafia ta należy do Kościoła Metodystycznego.
Faktem jest bowiem, iż dwaście członkowie Komitetu Wykonawczego Kościoła Metodystycznego w Polsce, którzy - z wyjątkiem jednego- już nie żyją, wydali "Inkwizycyjny" wyrok na mnie. Obecni "Inkwizytorzy", nie znając mnie wogóle, jako "Odwoławcza Instytucja Inkwizycyjna" usankcjonowała wyrok pierwszej instancji, wykluczając mnie z Kościoła Metodystycznego.
Więc jak by to wyglądało, że moja podobizna ma się znajdować na oficjalnym miejscu w Kościele Metodystycznym ? - Pan Pastor chyba to rozumie...
Pozostaje mi jedynie moją krzywdą zapisać w moich Wspomnieniach, przesyłając Panu Pastorowi mój "Epilog" do wiadomości, - dodając, iż Kościół Metodystyczny jako taki nie stoi w złym świetle w moich Wspomnieniach.
Drogi Panie Pastorze, cieszy mnie bardzo, że Parafię w Ełku wyprowadził Pan Pastor na czołowe miejsce.
Moja sprawa osobista niech spoczywa zgodnie z wolą jednych i drugich "inkwizytorów" na ich hańbiącą pamiątkę.
Panie Pastorze pozbawiono mnie Kościoła, ale nie tylko to, bo pozbawiono mnie w Polsce prawa do Ojczystej Ziemi i dlatego pozwalam przesłać Panu Pastorowi drugą część "Epilogu" wiedząc, iż o słynną Parafię Ełcką "ocierają" się przedstawiciele "Ziomkostwa" z Niemiec.
I w tej części Epilogu wyrażam swój żal, a jednocześnie wizję przyszłości mojej utraconej Ziemi Ojczystej.
Myślę, że wydarzenia światowe zasługują na zainteresowanie, dyskusję i rozważania ludzi myślących, a szczególnie osób wierzących w to, że nic trwałego nie ma na tym padole ziemskim.
Z wielkim uznaniem i radością czytam w prasie "Ziomkostwa" o owocnej pracy Pana Pastora.
Życzę Panu Pastorowi i Parafii Ełckiej wielkiego rozkwitu, a w życiu osobistym dobrego zdrowia i radości w Bodzinie z obfitym błogosławieństwem Bożym - pozostaje

Edward Małłek

PS. Jestem z miłością Boga
Dziękuję Pastorowi. Znajdzie
z Bożą pomocą miejsce dla mnie
i wielkich Pastora. Czcze Boga!

List E. Małłka do ks. Z. Chojnackiego z odręcznym dopiskiem Autora

Krótka historia Parafii Ełk
Kościoła Metodystycznego
/Napisał pierwszy pastor Edward Mallek/

W okresie Świąt Wielkiejnocy 1946 roku,Superintendent Naczelny Kościoła Metodystycznego,ks.Konstanty Najder wydelegował mnie do Ełku,celem zbadania sytuacji życia religijnego ewangelików,członków b.Kościoła Ewangelicko-Unijnego,powiatów: Ełk,Olecko i Gołdap,należących do województwa białostockiego.
Superintendent,ks.Najder,delegując mnie do Ełku,spełniał życzenie Wojewody Białostockiego,Stefana Dybowskiego,który prosił o zaopiekowanie się ewangelikami- autochtonami tych 3-ch powiatów.
Superintendent,ks.Najder,wręczył mi list osobisty do Wojewody,Stefana Dybowskiego,który - nawiasem mówiąc - był ewangelikiem,wyznania reformowanego.
Do towarzystwa wyprawy do Ełku dostałem kolegę Jerzego Biczemskiego.
Razem wyruszyliśmy do Białegostoku,mając w kieszeni zaledwie trochę pieniędzy,bo było powiedziane,że jedziemy tylko "na zwiady."
W Białymstoku zostaliśmy przyjęci przez Wojewodę radośnie,serdecznie i z honorami.Wojewoda na poczekaniu zwołał kierowników poszczególnych wydziałów,przedstawiając nas jako pastorów Kościoła Metodystycznego, "którym należy okazać wszelką pomoc."
Po dłuższej rozmowie i dyskusji na temat położenia ludności autochtonicznej,wyznania ewangelickiego,polecił kierownikowi Wydziału Administracyjnego,przygotowanie listów polecających do Starostów w Ełku,Olecku i Gołdapii.

Początek *Krótkiej historii Parafii Ełk Kościoła Metodystycznego* napisanej przez E. Małłka

Ks. Edward Małłek z konfirmantami (ok. 1954 roku), Ełk

Jedna z wizyt ks. Edwarda Małłka w ełckiej Parafii. Rozmowy parafian z byłym pastorem (początek lat 90. XX w.)

Ks. Edward Małłek w Kaplicy Parafii Ewangelicko-Metodystycznej w Starych Juchach

WZMIANKI Z „PIELGRZYMA POLSKIEGO”*

W notatce pt. *Konferencja Doroczna* informacja: „W niedzielę 15 czerwca 1947 roku na Konferencji Dorocznej obradującej w Warszawie ordynowano na diakonów: St.[anisława] Łopatowskiego, G. [ustawa] Burchardta, J.[Anusza Szczęsnego] Ostrowskiego, M.[ieczysława] Ostrowskiego, A.[leksandra] Piekarskiego i St.[anisława] Słotwińskiego. Ordynacji dokonał bp Paul Neff Garber”.

„Pielgrzym Polski” nr 7-8(182-3), rok 1947, s. 107-108

W rubryce pt. *Smutna kronika* zamieszono informację: że Kościół Metodystyczny w Ełku prowadzi misję niemiecką bądź bolszewicką. Pobito kolporterów „Pielgrzyma Polskiego” i „Drogi”.

„Pielgrzym Polski” nr 1, rok 1947, s. 16.

„W lipcu 1947 roku zorganizowano kolonie dla dzieci w Starych Jabłonkach, Piwnicznej, w Klarysewie i Piętkach. Kolonie w Piętkach prowadził rev. Łopatowski”.

„Droga” nr 8-9, rok 1947, s. 18 (101)

Notatka w rubryce *Kronika*: „W Kalinowie otwarto nowy zbór metodystyczny. Opiekę nad zborem powierzono E[dwardowi] Małłkowi, pastorowi obwodu ełckiego. Zbór rekrutuje się z autochtonów”.

„Pielgrzym Polski” nr 6, rok 1949, s. 83

„W Kalinowie po raz pierwszy po wojnie w Wigilię urządzono „Jutrznię”. Na koniec uroczystości zaśpiewano tradycyjną pieśń pt. *Z samego nieba idziesz ku nam*. Zborem opiekuje się rev. Łopatowski”.

„Pielgrzym Polski” nr 2, rok 1950, s. 24

„29 czerwca 1950 roku na Konferencji Dorocznej ordynowano na starszego pastora E.[dwarda] Małłka, A.[leksandra] Piekarskiego, J.[Anusza Szczęsnego] Ostrowskiego M.[ieczysława] Ostrowskiego, S.[tanisława] Słotwińskiego (zatwierdzeni w roku 1949) J.[erzego] Biczemskiego i M.[ichała] Jamnego”.

„Pielgrzym Polski” nr 7-8, rok 1950, s. 86

---

* Wzmianki o ks. Edwardzie Małłku (Łopatowskim) z „Pielgrzyma Polskiego”, polskiego pisma metodystycznego, znalezione przez ks. Zbigniewa Kamińskiego.

Także w „Pielgrzymie Polskim” nr 588 z października 1988 oraz nr 643 z maja 1993 roku znaleźć można informacje o ełckiej parafii metodystycznej.

colloquia
orientalia
bialostocensia

BIBLIOGRAFIA

I. Prace o Edwardzie Małłku i kościołach protestanckich w Polsce

- Alabrudzińska Elżbieta, *Juliusz Bursche (1862–1942). Zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce. Biografia*, Toruń 2010.
- Bobowik Alfons, *Edward Małłek, ps. Łopalewski (1907–1986*) [sic!] – *pastor trudnych czasów w Ełku*, „Rocznik Ełcki" 2013.
- Bobowik Alfons, *Pionierskie pokolenie ełczan 1945–1970. (Materia, fakty, ludzie)*, T. I, Ełk 2014.
- Donder Günther, *Die Kirche in Lyck. Einer von uns*, „Masurische Storchenpost" 2015, nr 3 i 4.
- Grygier Tadeusz, *Świadomość narodowa Mazurów i Warmiaków w polskich rachubach politycznych w latach 1870–1920*, „Komunikaty Warmińsko-Mazurskie" 1962.
- Jagucki Alfred, *Mazurskie dole i niedole. Wspomnienia i refleksje z lat pracy na Mazurach*, opr. E. Kruk, rys. H. Skurpski, Olsztyn 2004.
- Jasiński Grzegorz, *Kościół ewangelicki na Mazurach w XIX wieku (1817–1914)*, Olsztyn 2003.
- Jastremski Otto, *Christoph Kukat und der Evangelische Gebetsverein*, Gelsenkirchen-Erle 1972.
- Karczewski Zygmunt, *Kościoły i konfesje w Prusach Wschodnich. Doznania byłego pastora metodystów na Mazurach*, „Pielgrzym Polski", nr 768, s. 12-19.
- Klimowicz Robert, *Początki Kościoła oraz rozwój wiary ewangelickiej*, w: *Ełk. Karty z dziejów miasta i okolic*, Ełk 2009.
- *Ksiądz dr Alfred Jagucki (1914–2004). W stulecie urodzin*, red. J. A. Badura, Pszczyna 2014.
- Lejk-Rożyński Fryderyk, *Zrzeszenia gromadkarskie wśród Mazurów, zamieszkałych na Mazowszu Pruskim, Nadrenii i Westfalii*, „Przegląd Ewangelicki" 1937, z. 8-12.
- Leyk Fryderyk, *Pamięć notuje i utrwala. Wspomnienia*, opr. T. Kisielewski, Warszawa 1969.
- Małłek Edward *List z Hamburga będący reakcją na ukazanie się książki Tadeusza Baryły „Warmiacy i Mazurzy w PRL"*, „Masurische Storchenpost" 1995, nr 3.
- Małłek Edward, *„…werde das Pseudonym „Klein" gebrauchen"* [fragmenty *Wspomnień*], „Masurische Storchenpost" 1996, nr 10, 11, 12.
- Małłek Edward, *Krótka historia Parafii Ełk Kościoła Metodystycznego. Napisał pierwszy pastor Edward Małłek*, Hamburg 1989, dostęp w: Archiwum Parafii Miłości Bożej w Ełku Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego.
- Małłek Karol, *Mazury polskie. Pamiętniki*, T. 4, *Od 2 lutego 1945 do 12 października 1966 r.*, opr. T. Baryła, wstęp B. Gołębiowski, Olsztyn 2011.
- Michalak Ryszard, *Kościoły protestanckie i władze partyjno-państwowe w Polsce (1845–1956)*, Warszawa 2002.
- Michalak Ryszard, *Kościoły protestanckie wobec kwestii repolonizacji ludności rodzimej Warmii i Mazur w latach 1945–1956*, „Komunikaty Warmińsko-Mazurskie" 1999, nr 3.
- Michalak Ryszard, *Polityka wyznaniowa państwa polskiego wobec mniejszości religijnych w latach 1945–1989*, Zielona Góra 2014.
- *Nekrolog Stowarzyszenia Mazurskiego po śmierci Edwarda Małłka*, „Masurische Strochenpost" 1995, nr 7.
- Osękowski Czesław, *Społeczeństwo Polski zachodniej i północnej w latach 1945–1956. Procesy integracji i dezintegracji*, Zielona Góra 1994.
- Otello Ryszard, *Działacze religijni ewangelickich Mazur w walce o język polski (1848–1945)*, „Kalendarz Ewangelicki" 1977.
- Otello Ryszard, *Ruch gromadkarski w Prusach Wschodnich w latach 1848–1914*, „Komunikaty Warmińsko-Mazurskie" 1976, nr 25.
- Pasek Zbigniew, *Topika zbawienia w polskich kancjonałach ewangelikalnego protestantyzmu*, Kraków 2005.

- „Pielgrzym Polski", wychodzi od 1926 r., miesięcznik Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Polsce.
- *Pierwszy między Mazurami. Wspomnienia o Karolu Małłku*, opr. J. Chłosta, Olsztyn 1998.
- Sakson Andrzej, *Działalność kościołów i wyznań protestanckich na Mazurach*, „Euhemer" 1987, z. 1.
- Sakson Andrzej, *Mazurzy – społeczność pogranicza*, Poznań 1990.
- Sakson Andrzej, *Stosunki narodowościowe na Warmii i Mazurach 1945–1997*, Poznań 1998.
- Urban Kazimierz, *Luteranie i metodyści na Mazurach 1945–1957. Wybór materiałów*, Kraków 2000.
- Urban Kazimierz, *Przyczynek do historii „akcji mazurskiej" Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w 1952 r.*, „Zeszyty Naukowe Akademii Ekonomicznej w Krakowie" 2001, nr 571.
- Willan Tadeusz, *Edward Małłeks Lycker Jahre*, „Masurische Storchenpost" 2015, nr 3 i 4.
- Zieliński Tadeusz J., *Protestantyzm ewangelikalny. Studium specyfiki religijnej*, Katowice 2014.
- Zuber Dariusz, *Eklezjologia Jana Wesleya*, „Studia Oecumenica" 2011, t. 11.

II. Prace o Ełku i Mazurach

- Achremczyk Stanisław, *Ełk. Dzieje miasta*, Olsztyn 2012.
- Achremczyk Stanisław, *Historia Warmii i Mazur*, T. I-II, Olsztyn 2010–2011.
- Baner Jerzy, *Wyboiste koleiny losów. Opowieść o losach powojennego jutra polskich Mazur (1946–1956)*, Ełk 2004.
- Barran Fritz, *Städte-Atlas Ostpreußen*, Würzburg 2004.
- Bogusz Kazimierz, *Kontrapunkt. Muzeum Historyczne w Ełku*, „Borussia" 2014, nr 53.
- *Borussia – ziemia i ludzie. Antologia literacka*, wyb. i opr. K. Brakoniecki, W. Lipscher, współpraca D. Kraemer, Z. Chojnowski, M. Jackiewicz, Olsztyn 1999.
- Chojnowski Zbigniew, *Korespondencja Michała Kajki (Kayki) do „Nowin Szląskich". (Edycja z komentarzem)*, „Prace Literaturoznawcze" 2014, nr 4, Olsztyn UWM.
- *Ełk. Na tyłach historii czy w centrum nowoczesności*, tekst R. Żytyniec, grafika J. Pilecki, Ełk 2014.
- Herman Radosław, *Zamek w Ełku. Tajemnice wydobyte z przeszłości*, Ełk – Łódź 2015.
- Jasiński Grzegorz, *Słownik duchownych ewangelickich na Mazurach w XIX wieku*, Dąbrówno 2015.
- Jasiński Janusz, *Michał Kajka 1858–1940*, Ełk 2008.
- Kossert Andreas, *Mazury. Zapomniane południe Prus Wschodnich*, Warszawa 2004.
- Kossert Andreas, *Prusy Wschodnie. Historia i mit*, Warszawa 2009.
- Lenz Siegfried, *Na przykład ja. Znaki szczególne pewnego rocznika (1926)*, „Borussia" 2010, nr 48.
- Lojevski Erich von, *Die ewangelischen Kirchen im Kreise Lyck*, Lyck 1928.
- *Lyck. Die Hauptstadt Masurens. Kleiner amtlicher Führer*, Halberstadt 1924.
- Ławski Jarosław, *Rzeka. Krutynia – Spychowska Struga*, [w:] *Urzeczenia. Locje literatury i wyobraźni*, red. M. Jochemczyk, M. Piotrowiak, Katowice 2013.
- Małłek Janusz, *Dwie części Prus. Studia z dziejów Prus Książęcych i Prus Królewskich w XV i XVII wieku*, Olsztyn 1987.
- Małłek Janusz, *Moje Prusy, moje Mazury. Szkice z dziejów Prus Książęcych, Królewca i Mazur*, Dąbrówno 2007.
- Marcinkiewicz Stefan Michał, *Mityczna stolica Mazur. Między Ełkiem a Lyck*, Ełk 2015.
- *Mazury. Słownik stronniczy, ilustrowany*, red. W. Mierzwa, Dąbrówno – Warszawa 2008.
- *Mazurzy – tradycja i codzienność*, opr. A. Kossert, Olsztyn 2002.
- Obitz Kurt, *Dzieje ludu mazurskiego*, Dąbrówno 2007.

- Olszewski Michał, Żytyniec Rafał, *Ełk. Spacerownik po mieście niezwykłym*, wyd. rozszerzone, Ełk 2014.
- Oracki Tadeusz, *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla, XIX i XX wiek*, Warszawa 1983.
- Orłowicz Mieczysław, *Ilustrowany przewodnik po Mazurach Pruskich i Warmii*, Olsztyn 1991.
- Orłowski Hubert, *Za górami, za lasami... O niemieckiej literaturze Prus Wschodnich 1963–1945*, Olsztyn 2003.
- Skibowski Klaus, *Wolken über weitem Land*, München 2002.
- Skowronek Fritz, *Księga Mazur*, Olsztyn 2007.
- Toeppen Max, *Historia Mazur*, przeł. M. Szymańska-Jasińska, wstęp G. Jasiński, Olsztyn 1998.
- Traba Robert, *Wschodniopruskość. Tożsamość regionalna i narodowa w kulturze politycznej Niemiec*, Poznań – Warszawa 2005.
- Wańkowicz Melchior, *Na tropach Smętka*, Warszawa 1936.
- Weber Reinhold, *Der Kreis Lyck. Ein ostpreußisches Heimatbuch*, Leer 1981.
- *Wielokulturowy świat Siegfrieda Lenza. Studia*, red. J. Ławski, R. Żytyniec, Białystok – Ełk 2014.
- Żytyniec Rafał, *Zwischen Verlust und Wiedergewinn. Ostpreußen als Erinnerungslandschaft der deutschen und polnischen Literatur nach 1945*, Olsztyn 2007.

Pocztówka z widokiem przedwojennego Ełku

NOTY O AUTORACH

JAROSŁAW ŁAWSKI, (ur. 1968 w Szczytnie), prof. zw., badacz wyobraźni literackiej polsko-wschodnioeuropejskich związków kulturowych, twórca Katedry Badań Filologicznych „Wschód – Zachód" na Uniwersytecie w Białymstoku. Zainteresowania: literatura polska i powszechna od XVIII do XXI wieku, przemiany wyobraźni, faustyzm i bizantynizm w literaturze, romantyzm, modernizm, poezja Czesława Miłosza. Redaktor naczelny Naukowych Serii Wydawniczych „Czarny Romantyzm", „Przełomy/Pogranicza", „Colloquia Orientalia Bialostocensia". Napisał m.in.: *Wyobraźnia lucyferyczna. Szkice o poemacie Tadeusza Micińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni"* (1995), *Ironia i mistyka. Doświadczenia graniczne wyobraźni poetyckiej Juliusza Słowackiego* (2005), a także *Mickiewicz – Mit – Historia. Studia* (2010), *Miłosz: „Kroniki" istnienia. Sylwy* (2014). Współredaktor tomów: *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej* (t. I-II, 1999, 2001), *Pogranicza, cezury, zmierzchy Czesława Miłosza* (2012), *Dramat w nowych ujęciach teoretycznych. Studia slawistyczne* (Białystok – Odessa 2014). Edytor *Horsztyńskiego* Słowackiego w serii „Biblioteki Narodowej" (2009), polskich przekładów *Fausta* A. E. F. Klingemanna (2013) i *The Remembances of a Polish Exile* A. A. Jakubowskiego (2013). Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Miejscami zamieszkania związany ze Spychowem, Ełkiem i Białymstokiem. Hobby: Mazury, literatura, Europa Wschodnia.

KS. DARIUSZ ZUBER, (ur. 1978), pastor ełckiej Parafii Miłości Bożej Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w RP, absolwent Biblijnego Seminarium Teologicznego we Wrocławiu i Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Ma żonę Monikę i dwójkę dzieci, Zofię i Stanisława. Szczególnie interesuje się teologią ekumeniczną i filozofią dialogu. Współpracuje z miesięcznikiem homiletycznym „Biblioteka Kaznodziejska". Publikował w miesięczniku „Pielgrzym Polski", kwartalnikach „Słowo i Myśl" i „Jednota". Ważniejsze publikacje: *Bóg i człowiek w filozofii dramatu Józefa Tischnera,* w: „Baptystyczny Przegląd Teologiczny", T. III, K. Brzechczyn [red.], Warszawa 2006; *Znaczenie Innego w myśleniu filozoficznym na przykładzie „dialogiki" Franza Rosenzweiga,* w: Patalon M. [red.], *Tolerancja i edukacja*, Gdańsk 2008; *Koncepcja Ja aksjologicznego w filozofii dramatu Józefa Tischnera,* „Miscellanea Sociologica et Philosophica", Gdańsk 2008; *Beznamiętność chrześcijańska. Dwugłos prawosławno-metodystyczny,* „Studia Oecumenica", nr 9, P. Jaskuła [red.], Opole 2009; *Urząd Pastora w Kościele Ewangelicko-Metodystycznym w RP,* „Studia Oecumenica", nr 10, P. Jaskuła, R. Porada [red.], Opole 2010; *Eklezjologia Jana Wesleya,* „Studia Oecumenica", nr 11, P. Jaskuła, R. Porada [red.], Opole 2011.

colloquia
orientalia
bialostocensia

EDWARD MAŁŁEK. *WHERE IS MY NATIVE LAND? REMINISCENCES*, INTRODUCTION AND EDITION BY JAROSŁAW ŁAWSKI. FOREWORD BY DARIUSZ ZUBER, SCHOLARLY PUBLISHING SERIES 'COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA', BIAŁYSTOK – EŁK 2015.

Summary

Edward Małłek (1907-1995) made significant contributions to the development of Masurian culture and Protestantism in Poland. He came from East Prussia, and his family was notable for cultivating Polish traditions within the German state. Before the war, Robert Małłek was a Masurian activist; during the communistic rule his brother, Karol Małłek, a gifted writer, collaborated with the authorities and was often referred to as the "king of the Masurians." Janusz Małłek, Karol's son, is a well-known Polish historian from Toruń. Edward Małłek, however, was subject to a complex metamorphosis of his ethnic identity. He was born as a Masurian – a loyal German citizen, speaking Polish (but in the Masurian jargon). Soon, however, following in the footsteps of other family members, he chose Polish culture, became a teacher of Polish and later – an officer in the Polish army. After the fiasco of the September Campaign of 1939, Małłek was first interned in a German oflag and later released. During the war, he became involved in clandestine activities of the Masurian Union (reactivated in 1943), which aimed at smoothing a way for Masurians to seize power in East Prussia after the expected fall of Hitler. After the war, he received a degree in theology and became a pastor in Ełk. Persecuted by the communist regime, the secret police, and Polish newcomers (by whom he was often treated as a German), Małłek's identity experienced yet another volte-face – he renounced the Polish part of his background and started to emphasize his belonging to the community of Protestant Masurians. He referred to himself as a "Prussian Masurian," whom – as he would emphasize towards the end of his life – he had always been. Together with his family Małłek left Poland and went first to Canada, then to Germany, where he was still active in Protestant circles and in the community of Masurian expatriates (*Umsiedler*).

While in Hamburg, Germany, Małłek wrote his *Reminiscences* (in Polish). This memoir sketches the life of a Protestant Masurian who had been looking for a native land all his life. The text abounds in pathos, passion and grudge against Poles. Małłek's subjective and mythical vision of East Prussia's and Masuria's history is informed by simplifications and harsh, unfair judgments. At the same time, however, it is an outstanding achievement –

it has a strong polemical edge and brings the author to reckoning with his own life choices. Małłek's fault-finding knowns no "sacred cows" – he criticizes Poles, Germans, Masurs, Protestants, Polish newcomers to Masuria, politicians, members of the Masurian Union, and even his own brother, Karol Małłek. *Reminiscences* have an undoubted literary value and belong to the so-called Masurian current within Polish literature. The author himself thought of his book as a "Masurian odyssey."

The idea of publishing the volume came from Edward Małłek's son, Andreas Małłek. The edition was possible thanks to Father Dariusz Zuber from the Parish of God's Love Evangelical Methodist Church in Ełk, Kazimierz Bogusz from the Museum of History in Ełk, and, last but not least, Professor Jarosław Ławski, head of the Chair in Philological Studies 'East-West' at the University of Białystok, who is native to the region (Szczytno, Spychowo, Ełk). The present critical (and reviewed) edition includes two introductions (by Jarosław Ławski and Dariusz Zuber) as well as "Editorial Remarks," and the index of names and places. The original spelling has been modernized, but the peculiarity of Małłek's style has been retained. It needs to be mentioned that in the past the book *Where Is My Native Land? Reminiscences* circulated in the form of copies and was known only to few historians and Protestant activists.

Hopefully, the reader will appreciate the representation of complicated fortunes of one man, the historical testimony, and the outstanding literary work of a pastor who did not aspire to become "an author," but who yearned for the mythical "Native Land" – Masuria.

Przełożył: Jacek Partyka

EDWARD MAŁŁEK, *GDZIE JEST MOJA OJCZYZNA? WSPOMNIENIA*, [WO IST MEINE HEIMAT? ERINNERUNGEN], HERAUSGEGEBEN VON JAROSŁAW ŁAWSKI, EINLEITUNG: DARIUSZ ZUBER, WISSENSCHAFTLICHE REIHE „COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA", UNIVERSITÄT IN BIAŁYSTOK, GEMEINDE DER LIEBE GOTTES DER EVANGELISCH-METHODISTISCHEN KIRCHE IN EŁK/LYCK, BIAŁYSTOK–EŁK 2015.

Zusammenfassung

Edward Małłek (1907–1995) ist eine für die Kultur der Masuren und der protestantischen Kirchen in Polen sehr verdiente Persönlichkeit. Er entstammte der in Ostpreußen lebenden Familie Małłek, die sich sehr für die Pflege der polnischen Traditionen im deutschen Staat einsetzte. Der aus dieser Familie ebenfalls stammende Robert Małłek war vor dem Krieg masurischer Aktivist und wurde 1943 von den Nazis erschossen. Sein Bruder Karol Małłek, während der kommunistischen Herrschaft in Polen als „König der Masuren" bezeichnet, arbeitete mit den offiziellen Stellen zusammen und war ein angesehener Schriftsteller. Janusz Małłek (der Sohn von Karol Małłek) ist ein herausragender polnischer Historiker, Inhaber eines Lehrstuhls an der Universität Thorn.

Die ethnische Identität von Karol Małłek unterlag im Laufe seines Lebens mehreren Veränderungen. Er wurde als Masure geboren und sprach Polnisch (masurischen Dialekt), war ein loyaler deutscher Staatsbürger. Sehr schnell aber, so wie es in der Familientradition begründet war, entschied er sich für die polnische Kultur, wurde polnischer Lehrer, trat in die polnische Armee ein und wurde Offizier. Nach der Niederlage der polnischen Armee im September 1939 geriet er in ein Offiziersgefangenenlager, aus dem er bald entlassen wurde. Bereits während des Krieges wurde er in dem 1943 wiedererrichteten konspirativen Masurenbund (Związek Mazurów) aktiv, dessen Ziel die Vorbereitung der Machtübernahme durch die Masuren in Ostpreußen nach Hitlers Niederlage war. Nach dem Krieg absolvierte er ein Studium der Theologie und wurde methodistischer Pastor in Ełk/ Lyck. Verfolgt von den kommunistischen Behörden, der Staatsicherheit (Urząd Bezpieczeństwa, UB) und der angesiedelten polnischen Bevölkerung (die die Masuren für Deutsche hielt), erlebte er die nächste Identitätswende in seinem Leben: er verzichtete auf seine polnische Identität und stellte vor allem seine Zugehörigkeit zu der protestantischen Gemeinschaft der Masuren heraus. Er bezeichnete sich als „preußischer Masure", der er, was er erst gegen Ende seines

Lebens hervorhob, bereits von seiner Geburt war. Małłek wanderte schließlich mit seiner Familie über Kanada aus der Volksrepublik Polen in die BRD aus, wo er weiterhin in der protestantischen Kirche und im Milieu der masurischen Umsiedler aktiv war.

In den Jahren 1984–1989 schrieb Małłek in Hamburg in polnischer Sprache seine *Erinnerungen* nieder. Es ist ein überaus dramatisches, leidenschaftlich geschriebenes Zeugnis des Schicksals eines Masuren und Protestanten, der sein ganzes Leben lang auf der Suche nach „Heimat" war. In den Aufzeichnungen Małłeks kommt manchenorts auch die Abneigung des Autors gegenüber den Polen zum Ausdruck. Małłek schaft eine mythische, subjektive Vision der Geschichte Ostpreußens und der Masuren, die voller Vereinfachungen und ungerechter Urteilen ist. Es ist zugleich aber ein herausragendes Werk, das mit viel polemischer Leidenschaft geschrieben wurde, eine Abrechnung mit eigenen Lebensentscheidungen des Autors. Seine Kritik erfahren hier alle: Polen, Deutsche, Masuren, Protestanten, polnische Umsiedler in Masuren, Politiker und sogar Mitglieder des Masurenbundes, und der Bruder des Autors Karol Małłek. Es ist ein herausragendes literarisches Werk, das zu der masurischen Strömung innerhalb der polnischen Literatur zählt. Małłek selbst bezeichnete es als „masurische Odyssee".

Die Herausgabe des vorliegenden Werkes geht auf die Initiative von Andreas und Robert Małłek, den beiden Söhnen des Pastors zurück. Dank der organisatorischen Unterstützung von Pfarrer Dariusz Zuber von der Gemeinde der Liebe Gottes der Evangelisch-Methodistischen Kirche in Ełk/ Lyck und der Initiative des Historischen Museums in Ełk/ Lyck wurde mit der Herausgabe des Buches Prof. Jarosław Ławski beauftragt. Er ist Inhaber des Lehrstuhls für Philologische Studien „Ost-West" an der Universität in Białystok, durch seinen Geburts- und Wohnort selbst mit Masuren verbunden (Szczytno/ Ortelsburg, Spychowo/Puppen, Ełk/Lyck). Die vorliegende Edition hat einen kritischen Charakter. Sie wird eingeleitet durch Vorworte von Jarosław Ławski und Dariusz Zuber. Eine Art Anleitung für den Leser sind philologische *Editionsgrundsätze* (*Filologiczne zasady wydania*). Die polnische Rechtsschreibung wurde an die gültigen Standards angepasst, die Merkmale des polnischen Schreibstils von Karol Małłek wurden belassen. Der Band wurde mit einem Namens- und Ortsregister versehen. Das Buch wurde von Prof. Zbigniew Chojnowski von der Universität Allenstein wissenschaftlich begutachtet. Die Aufzeichnungen von Małłek mit dem Titel *Gdzie jest moja ojczyzna? Wspomnienia* [Wo ist meine Heimat? Erinnerungen] kursierten in mehreren Kopien und waren nur einem eingeschränkten Kreis von Historikern und Mitgliedern der protestantischen Kirchen bekannt.

Insofern steht es zu hoffen, dass der vorliegende Band als ein Werk über ein kompliziertes Schicksal eines Menschen, ein historisches Zeugnis und ein überraschend aus dem ästhetischen Gesichtspunkt gut geschriebenes literarisches Werk betrachtet wird, das von einem Autor verfasst wurde, der nie Ambitionen äußerte Schriftsteller zu werden. Er wollte vor allem seine mythische „Heimat" Masuren wiederfinden.

Przełożył Rafał Żytyniec

INDEKS MIEJSCOWOŚCI[1]

A
Adamów – 291,
Ahnatal – 435, 642,
Altenberg – 416,
Andrejki – 483,
Anin – 391,
Augsburg – 149-150, 382, 418-419, 437-441, 444-446, 466, 528, 532-536, 539, 547, 558, 560, 590,

B
Babilon – 28,
Baboszewo – 349,
Bajtkowo – 474-475,
Baligród – 397,
Barczewo – 338,
Bartoszyce (Bartenstein) – 400, 596,
Bereza Kartuska – 17, 196-197, 199, 201-203, 205, 277, 568, 591,
Berlin – 16, 33, 35, 98, 114, 116, 146, 151-152, 186, 371, 395, 397, 431, 491, 595, 630, 645,
Białowieża – 285,
Białuty (Bialutten) – 118, 608, 652,
Biała (Bialla) – 151,
Białystok – 3-7, 18, 30, 33, 40, 58, 280-284, 348, 470, 487-488, 539, 546, 549, 569, 572, 587, 690, 697, 699, 701, 703,
Bielsk Podlaski – 284, 286,
Bochnia – 10, 276-279, 592,
Bogatynia – 489,
Bonn – 35,
Borzymy – 474,
Braniewo (Braunsberg) – 400, 596,
Brodnica – 231, 273,
Brodowo (Brodau) – 9-12, 17, 20-21, 26, 32, 36, 44, 51, 80-81, 88-90, 101, 103, 108, 113-114, 116, 118, 120-122, 130, 145-146, 148, 151-152, 159, 164, 166-168, 170, 172-173, 178, 180, 188, 213-214, 220, 224-225, 227-231, 234, 243, 249, 254, 256, 261, 264, 274, 277, 279-282, 293-302, 310, 315, 317-319, 322-323, 325, 403, 405, 407, 411-413, 417, 429, 432, 459, 535, 549, 591, 605, 607-608, 618-620, 634, 640-643, 652-656, 662,
Brześć nad Bugiem – 117, 202,
Burkat (Borschersdorf) – 118, 162, 279,
Bursz (Bursch) – 118,
Bydgoszcz – 11, 234, 237, 270, 279, 326, 328-329, 354, 358, 500, 595,

C
Champagne – 114, 116,
Chełchy – 583,
Chełm – 389-390, 395,
Chemnitz – 78,
Choel – 114, 116,
Chorap (Chorapp) – 118, 213, 608,
Choroszcz – 546, 572,
Ciechanów – 338, 405,
Cieszyn – 560,
Czapkowo – 346-347, 351, 357, 360, 375,
Czarnowo – 11, 232, 279, 291, 322, 324-325, 329, 357, 462-463,
Czerniachowsk (Rosja) – patrz: Insterburg
Czerwińsk – 345,
Częstochowa – 7, 145, 294, 360, 372, 379, 408-410, 417,
Czworaki (Zworaden) – 118,

D
Dachau – 595,
Darkiejmy (Ebenrode) – 400, 596,
Dąbrówno (Gilgenburg) – 21, 30-31, 37-38, 238-239, 443, 594, 696,
Denver – 621,
Dęblin – 292-293, 362-363, 592,
Dieburg – 75,
Długie – 442, 482-483, 495, 500, 522,
Dobrzyń – 594,
Dorpat (Tartu) – 537,
Dunajki – 500,
Dusocin – 210,
Düsseldorf – 646

[1] W *Indeksie miejscowości* podajemy nazwy niemieckie przy tych miejscowościach, które zarówno po polsku, jak i po niemiecku wymienia – najczęściej równocześnie – Edward Małłek.

Duża Sławka (Groß Schläfken) – 20-21, 37, 81, 119, 213, 258, 618, 640, 656,
Działdowo (Soldau) – 9-11, 14-15, 17, 26, 44, 56, 61, 80, 101, 104, 118-124, 130-131, 134, 144-152, 159, 161-164, 167, 171-174, 183-184, 189, 197-198, 201, 206, 214-215, 220, 228-229, 232, 234, 236-240, 242-245, 247-248, 251-253, 256-257, 259-265, 267, 269, 271, 273, 277-279, 281-282, 285, 293, 295, 297-298, 300, 304-306, 314, 316-318, 322, 324, 326, 330, 334, 338, 342-344, 346, 351, 359-360, 379, 386-387, 395, 400, 404-405, 411-414, 417, 437, 463, 493, 535-536, 538, 549, 589-591, 594-596, 602, 604-608, 612, 614-615, 619, 622, 634, 643, 649, 652, 655, 659, 667, 698,
Dziemiany – 326, 613,
Dźwierznia (Dzwiersna) – 118, 145, 608,

E
Elbląg – 392, 443, 531, 596,
Ełk (Lyck) – 3-6, 8, 12-13, 16-18, 21-22, 25-26, 30-34, 38, 40-44, 46-48, 50, 53, 55, 60, 62, 88, 118, 131, 136, 138, 150, 170, 172, 313, 348-349, 400, 405, 442-444, 463, 470-480, 482-489, 491-497, 499-504, 507-508, 511-524, 528-529, 532, 534, 536, 538-539, 545-546, 548, 550, 552, 558-559, 562-564, 567, 569-570, 572-576, 579-580, 583-585, 587-588, 590-591, 594-596, 602, 608, 610-611, 636, 656, 668, 670-671, 690-693, 695-697, 699, 701-704,

F
Falenica – 371,
Fatima – 372,
Filice (Fylitz) – 118,
Fordon – 234, 236-238, 240-241, 322, 329, 333, 362,

G
Gajówki (Gajowken) – 118,
Gardyn – 461-462,
Gdańsk – 19, 33, 36, 67, 118, 132, 232, 264, 281, 369, 373, 474, 552, 582, 650-651, 699,
Gdynia – 558, 582,
Georgenburg – 97,
Gierdawy (Gerdauen) – 596,
Gietrzwałd – 443,
Giżycko (Lötzen) – 37, 118, 136, 400, 656-657,
Głogów – 145,
Golub-Dobrzyń – 238,
Gołdap (Goldap) – 16, 470, 472, 569, 596, 602, 690,
Gołubie – 482,
Grabarka – 6,
Grabnik – 405, 443, 474-475, 483, 516, 534,
Grajewo – 16, 348, 489, 611,
Gralewo (Grallau) – 118, 304,
Grodki (Grodtken) – 118,
Gross-Wersmeningken – 97,
Groszki – 131,
Grudziądz (Leistenau) – 10, 33, 150, 174-176, 187-190, 192, 195-196, 199, 203-207, 213-214, 216-218, 220, 224-226, 231, 234, 237-238, 273-274, 310, 332-333, 500-501, 548, 590-591, 636,
Grunwald – 12, 72-73, 104, 306, 395-396, 399, 404, 447-448, 594,
Gryźlin (Grieslienen) – 105,
Gumbinen – 455,

H
Haga – 308,
Hajnówka – 285,
Halberstadt – 696,
Hamburg – 22, 38, 43, 49-51, 65, 162, 412, 592, 606, 618, 639, 642, 659, 666-667, 671, 673, 682, 688, 695,
Hartford – 545,
Hohenbruch – 314, 316-317, 322, 338, 604,
Hosenbark – 131,

I
Iławka (Pr. Eylau) – 400, 596,
Iłowo (Illowo) – 80, 113, 118, 120, 145, 225-227, 229, 276, 293, 295, 407, 410-411, 413, 604, 608, 652,
Inowrocław – 224, 443,
Insterburg (Czerniachowsk) – 97,
Iwaszki – 483,

J
Jabłonowo – 174, 187,
Jałta – 393-394, 615, 647,
Janowo (Hansburg) – 101, 118, 315, 431, 608,
Jarosław – 272,
Jedwabno – 426,
Jelenia Góra – 33,
Jerozolima – 93,
Jędrzejowo – 293-294,
Jędrzejów – 592,

K
Kaliningrad – patrz: Królewiec

Kalinowo – 13, 313, 442-443, 474-475, 483, 495, 499-500, 516, 521, 523, 534, 536, 563-564, 693,
Kana Galilejska – 91, 435,
Kassel – 435, 545,
Katowice – 40, 696,
Katyń – 391, 431,
Kętrzyn (Rastembork, Rastenburg) – 400, 436, 596,
Kielce – 293-294, 592,
Kisiny (Kyschienen) – 80, 118, 161, 174, 261, 280, 298, 300, 302, 608,
Klarysewo – 693,
Klęczkowo (Klentzkau) – 118, 164, 243, 279, 281, 315, 321, 405, 407, 412, 535, 607,
Klusy – 442-443, 474-475, 483, 502, 511, 516, 534, 546,
Kobryń – 200,
Kobylanka – 194,
Kocborowo – 186-187,
Kock – 291,
Kolonia – 416,
Kołbaskowo – 618,
Komorniki (Kämmersdorf) – 21, 118, 317, 412, 462, 639, 643,
Königsberg – patrz: Królewiec
Kopenhaga (Dania) – 162,
Kopiejki – 483,
Koszalin – 65, 548-549, 551, 555, 575,
Koszelewy Wielkie (Groß Koschlau) – 118,
Kościerzyna – 326,
Kozielsk – 431,
Kozienice – 367,
Kraków – 19, 24-25, 37, 40, 46-47, 72, 164, 235, 358, 392, 594, 695-696,
Kramarzewo (Krämersdorf) – 118,
Krasnołęka (Schönwiese) – 118, 294, 315-316,
Kraszewo (Kraschewo) – 118, 227, 326, 608,
Krokowo – 119, 144, 258,
Kroplewo – 443,
Królewiec (Kaliningrad, Königsberg) – 21, 25, 36, 63, 72, 74, 80, 91-92, 270, 474, 593, 596, 600, 645-646, 648, 657-658, 664,
Kruszyniany – 6,
Krutyń – 443, 531, 545, 641,
Krzywe – 483,
Księżydwór (Königs-hagen) – 118,
Kulesze – 499,
Kurki (Kurken) – 118, 174, 189, 250, 281, 297-298, 314-315, 443, 536, 608,
Kutno – 294, 348, 350-351, 355, 358,
Kwidzyń (Marienwerder) – 118, 127, 132, 443, 596,

L
Labiau – 314,
Laufen – 11, 33, 311, 322-323, 636,
Leer – 697,
Leszno – 559, 594,
Leśniewo – 212-213, 217,
Lidzbark Warmiński (Heilsberg) – 145, 224, 400, 512, 596,
Lipno – 342, 537,
Lipowo – 443, 536,
Lisnowo – 174-179, 181-182, 184-185, 187-188, 190-191, 196, 333,
Londyn – 392, 431,
Lozanna – 117,
Lubawa – 145, 150,
Lubicz – 329,
Lublin – 12, 17, 117, 232-233, 374, 389-393, 395, 397-399, 401-403, 447, 592-593, 613, 615, 631, 667,
Lubsztynek – 131,
Lübeck – 65,
Lwów – 431, 476,

Ł
Łęczyca – 294,
Łękno – 416,
Łęsk Mały (Klein Lensk) – 118,
Łęsk Wielki (Groß Lensk) – 118,
Łódź – 294, 339-340, 345, 348, 351-353, 471, 574, 608, 696,
Łuczany (Lötzen) – 596,
Łukta – 443, 536,

M
Majdanek-Lublin – 362-363, 396-397,
Malbork (Marienburg) – 72, 118, 132, 270, 596, 616,
Malinowo (Amaliendorf) – 118,
Małe Laski – 483, 499,
Małe Tarpy – 131,
Mansfeldy (Mansfeld) – 118,
Mańki – 536,
Marwałd – 239,
Mauthausen – 595,
Mediolan – 93,
Międzylesie – 391, 396,
Milewo – 442, 483, 487, 531,
Miłomłyn – 536,
Mińsk Mazowiecki – 252, 346, 357,
Mława – 299, 311, 338-339, 375, 395, 405, 427, 430-432, 456,
Modlin – 278, 405,
Mokre – 210, 212, 217, 333,

Montreal – 588,
Morąg (Mohrungen) – 400, 536, 596,
Moskwa – 35-36, 389, 431, 593,
Mrągowo (Sensburg) – 13, 118, 136, 400, 443, 513, 528-534, 563, 565, 602, 641, 656,
Murawki (Murawken) – 118,
München – 697,
Myślęta (Meischlitz) – 118,

N
Nałęczów – 11, 351, 361, 368, 370, 436,
Narzym – 21, 82, 118, 121, 130, 146, 151, 164, 167, 213, 227, 230, 232, 271, 274, 279-280, 293, 297, 323-324, 407, 432-433, 604, 608, 652, 656,
Nawiady – 609,
Nemmersdorf – 455,
New York (Nowy Jork) – 389, 525, 527-528, 582-583, 587,
Nidzica (Neidenburg, Nibork) – 12, 17, 20-21, 37, 80-81, 104, 118-119, 122, 133, 136, 140-141, 146, 152, 258, 303, 400, 424-428, 434-436, 455-456, 462, 464, 568, 590-592, 596, 602, 619, 641-643, 649, 652, 656, 667,
Nieostoja (Nieostoy) – 118,
Nowa Wieś (Neuendorf) – 118, 273-274, 276, 278-279, 302-305, 324, 410, 483, 489, 500, 573, 579, 590,
Nowosiołki – 197,
Nowy Dwór – 345, 348, 350,
Nürnberg – 11, 307-309, 592,

O
Odolanów – 224,
Ogródek – 442, 482, 495, 546, 555,
Olecko (Treuburg) – 37, 118, 132, 136, 400, 442, 470, 472, 499, 569, 577, 594, 596, 602, 656, 690,
Oliwa – 582,
Olsztyn (Allenstein, Jakobsberg) – 12, 15-18, 21, 23, 25, 29-30, 32, 37-39, 118, 125-127, 132, 136-137, 139, 141, 143, 168, 171, 197, 297, 313-314, 338, 381, 400, 405, 417-418, 421, 423-424, 434-441, 443, 455, 462, 466, 468, 471, 487, 531, 533, 567, 582, 588, 596, 600, 602, 608, 610, 612, 619, 631, 634, 639-640, 642, 652, 654, 695-697,
Olsztynek – 11, 306-308, 535, 545, 592, 594, 604,
Opole – 31, 33, 699,
Orłowo (Orlau) – 428,
Ostromecko – 463,
Ostróda (Osterode) – 37, 118, 136, 140, 400, 443, 500, 535-536, 594, 596, 656,
Ostrów Wielkopolski – 222-223, 225-226, 590,
Oświęcim – 322, 595,

P
Paryż (Paris) – 9, 117, 119, 239, 318, 595, 616, 645, 649, 667,
Pasłęk (Pr. Holland) – 400, 596,
Pasym – 414, 440, 443, 605,
Paulinów – 11, 360-364, 368-372, 379, 395, 417, 436,
Pełki (Pelk) – 326-327, 613, 655,
Piaski – 189-192, 194-196, 205, 234,
Piątki (Karlshöhe) – 460,
Pielgrzymowo – 258,
Pierławka (Pierlawken) – 118, 164, 213, 242-243, 261, 264, 266, 280-281, 319, 321, 351, 405, 412, 414, 417, 429, 463, 604, 608,
Piętki – 45, 443, 495-500, 507, 516, 521-522, 534, 558, 574, 590, 693,
Pillau (Baltijsk) – 138, 651,
Pillkallen (Schloßberg, Dobrowolsk) – 98,
Piła (Schneidemühl) – 437,
Pińsk – 287,
Piotrków Trybunalski – 294,
Piotrowice – 351, 360-361,
Pisanica – 474-475,
Pisz (Jansbork, Johannisburg) – 16, 34, 118, 136, 142, 313, 400, 437, 444, 587, 596, 656,
Piwniczna – 693,
Płock – 67, 294, 367,
Płońsk – 11, 343-345, 347, 349, 351, 353, 355, 462,
Płośnica (Heinrichsdorf) – 118,
Pobethen – 80,
Poczajów – 6,
Poczdam – 12, 51, 449-454, 473, 615, 647,
Poznań – 15, 24, 36, 38, 150, 226, 236, 281, 285, 291, 293, 312, 392, 505, 536, 582, 696-697,
Pożary (Posaren) – 118,
Prabuty (Riesenburg) – 118,
Praga – 67-68, 527, 588,
Prawdziszki – 474-475, 500,
Prostki – 348, 483, 561, 564,
Prusinowo (Pruschinowo) – 118,
Pruski (Prusken) – 118, 608,
Prusy (Preussen) – 118,
Pryoma (Priom) – 118, 352,
Przełęk Duży (Groß Przellenk) – 118,
Przełęk Mały (Klein Przellenk) – 118,

Przemyśl – 272, 358, 592,
Przygodzice – 222-225, 590,
Przytuły – 442, 483,
Pszczyna – 695,
Puławy – 360,
Purgałki (Purgalken) – 118, 121, 227, 230, 608,

R
Radom – 293-294, 367, 592,
Radomsko – 294,
Radość – 357, 359-361, 363, 370-371, 379, 389-390, 394-395, 398-399, 401-405, 417-418, 421, 459, 613,
Radymno – 10, 272, 277, 592,
Reime – 114, 116,
Reszel (Rössel) – 118, 131, 136, 400, 596,
Rostock – 65,
Różyńsk – 442, 483,
Rudziski – 414, 602, 605,
Rumian – 462,
Ruska Wieś – 483,
Rutkowice (Rutkowitz) – 118, 281, 352, 405, 412, 604, 607,
Rybno – 275, 462,
Rywociny (Rywoczin) – 118,
Rzym – 28, 71-72, 93-95, 100, 202, 205, 245, 265, 322,

S
Sajzy – 482-483,
Salzburg – 11, 33, 97, 311, 592, 636,
Sarnowo (Scharnau) – 21, 37, 81, 111, 262, 429, 640, 652, 656,
Sędki – 483,
Sękowo (Schönkau) – 118,
Siedlce – 33, 147, 360, 379, 396, 417,
Siekierka (Heiligenbeil) – 596,
Siennica – 346,
Sierpc – 294-295,
Skierniewice – 345,
Skomack – 442, 563,
Skurpie (Skurpien) – 118, 164, 652,
Słoszewo – 343, 349, 352-355, 362,
Słupsk – 65, 547-549,
Sochaczew – 345,
Sochy (Sochen) – 118, 145, 608,
Sofy – 442, 482, 483, 495,
Soissone – 114, 116,
Sokółka – 280-283, 293,
Solec – 322,
Sopot – 414, 582,
Sorkwity – 608,
Spychowo (Puppen) – 16, 40, 699, 702, 704,
Stalingrad – 74, 368, 376, 388,
Starachowice – 294,
Stare Jabłonki – 443-444, 500, 535, 693,
Stare Juchy – 442-443, 474-475, 501, 516-517, 534, 558, 670, 692,
Stogen – 114, 116,
Straduny – 442, 474,
Strassburg – 657,
Stembark (Tannenberg) – 105, 448, 600,
Stożne – 483,
Supraśl – 6,
Susz (Rosenberg) – 118, 596,
Suwałki – 436, 512, 574,
Szamotuły – 285,
Szarnoś (Scharnau) – 174,
Szczawno Zdrój (Bad Salzbrunn) – 458,
Szczecin – 65, 582, 605, 618,
Szczepka (Scepka) – 118,
Szczupliniak (Szczuplienen) – 118,
Szczupliny (Szczuplienen) – 118,
Szczytno (Ortelsburg) – 37, 40, 118, 128, 136, 142, 360, 400, 414, 424-425, 440-441, 547, 596, 602, 656, 702, 704,
Szeligi – 367, 483,
Szestno – 609,
Szkotowo – 460-461,
Sztum (Stuhm) – 118, 596,

Ś
Święta Lipka – 609,
Świętomiejsce – 400,
Świnoujście – 143,

T
Tczew – 582,
Teheran – 11, 377-378,
Toledo – 97,
Tolkmicko (Tolkemit) – 75,
Toronto – 527, 587-589,
Toruń – 21, 33, 96, 123, 150, 155, 174, 189, 222, 232-233, 236, 248, 263, 279, 291, 322, 329, 333, 350, 354-358, 462, 588, 695, 701, 703,
Tschikiel – 114, 116,
Tuczki (Tauschken) – 118,
Turzno Małe (Klein Tauersee) – 118, 299,
Turzno Wielkie (Groß Tauersee) – 118,

U
Ukta – 443, 531, 547, 609,
Uzdowo (Usdau) – 104, 118, 134, 164, 278, 280, 311, 347,

V
Verdun – 21, 114, 116,

W
Waplewo – 536,
Warka – 392,
Warszawa – 11-13, 17, 21, 25, 28, 31, 35, 37, 40, 46, 128, 145, 149, 164, 168, 197, 202, 231-232, 234-236, 251, 253, 268, 279-281, 294, 297, 314, 321, 345-347, 349-351, 354-363, 368-371, 373, 375, 379, 390-392, 395-398, 400-401, 403, 409, 413, 417, 419-422, 425, 434-436, 439-441, 459, 463, 465-467, 469-470, 472, 495-496, 500, 524-525, 530-531, 535, 537, 540, 546-548, 550, 552, 554-555, 558-560, 568-569, 574, 580, 587-588, 601-603, 613, 618, 693, 695-697, 699,
Wawer – 391,
Wądzy (Wansen) – 118,
Wągrowiec – 416,
Wesołowo (Wesolowo) – 118,
Węgorzewo (Angerburg) – 400, 596,
Wiedeń (Wien) – 7, 267,
Wielki Wełcz – 33, 205-206, 209-214, 217-218, 220, 241, 310-311, 332, 334, 501, 590, 636,
Wierzbowo (Wiersbau) – 118,
Wiesbaden – 33,
Więcbork – 146,
Wilamowo (Wilmsdorf) – 118,
Wilno – 6-7, 197, 235, 281, 431,
Wiśniewo – 474-475, 483, 531,
Włocławek (Leslau) – 11, 51, 294, 329-331, 333, 337-339, 341, 354, 363, 462, 681,
Woevre – 114, 116,
Wrocław – 27-28, 503,
Würzburg – 696,
Wysoka (Hohendorf) – 118, 253,

Z
Zabiny (Seeben) – 118,
Zabłudów – 284,
Zakurzewo – 217,
Zalewo – 443, 536,
Ządzbark (Sensburg) – 445,
Zbójna Góra – 379, 389-390,
Zielona Góra – 7, 695,
Zschillen – 78,
Zwoleń – 367,

Ź
Źwiklinek – 343-345,

Ż
Żabiny – 302, 304, 324,
Żułowo – 235,
Żychlino – 356,
Żyrardów – 468, 559

INDEKS NAZWISK

A
Achremczyk Stanisław – 16, 696,
Adenauer Konrad, kanclerz Niemiec – 372,
Alabrudzińska Elżbieta – 695,
Albrecht Hohenzollern I, wielki mistrz Zakonu Krzyżackiego, książę Prus – 9, 37, 72, **(78-80)**, 654-655,
Aleksander IV, papież – 28, 71,
Anders Władysław – 278,
Andrzej II węgierski, król Węgier – 70,
Antoni z Padwy, św. – 371,
Asnyk Adam – 31, 220,
Attlee Clement Richard, premier Wielkiej Brytanii – 27, 449-453, 615,
Auch Rudolf – 168, 359, 367, 379,
Auktumi – 71,

B
Babieczko Eliasz, pastor – 443, 521,
Bachmann Halina – 342,
Baden Maximilian, książę, kanclerz Niemiec – 117,
Badtke Olga – 333-334,
Badura Jadwiga Anna – 695,
Bajko Marcin – 4,
Baner Jerzy – 696,
Baranow Andrzej – 7,
Barczewski Ernest, pastor – 150-151, 167, 241-243, 273, 536, 538,
Barran Fritz – 696,
Bartłomiej Apostoł, św. – 96, 155,
Baryła Tadeusz – 21, 695,
Bathke Olga – 217,
Batory Stefan, król Polski – 582-583,
Baumann Karl – 68,
Bażyński Jan – 594-595,
Bąk Olga – 349, 503-504, 517, 519, 573,
Beck Józef – 167,
Behrent Frieda, diakonisa – 443,
Bell Johannes – 616,
Benedyktowicz Witold, pastor – 439-440, 443, 542-544, 548-549, 575,
Berg Salomea von – 416,
Berling Zygmunt – 392,
Bernstein Leonard – 182,
Beyersdorf Herman Ernst – 33,
Bezwiński Adam – 7,
Bęcławska Anastazja – 329-330, 462,
Biczemski Jerzy – 466-467, 470-472, 569, 693,
Biedrawa Józef – 165, 170-171,
Bielińska Wilhelmina – 349,
Bienek Horst – 33,
Bierut Bolesław, prezydent RP – 12, 122, 392, 399, 401, 403, 447-448, 593,
Bismarck Otto von – 595, 600, 617,
Blau Paul, pastor – 436, 536,
Bobowik Alfons – 695,
Bobrowski Johannes – 33,
Boenigk Jan – 610,
Boerner Ignacy – 167,
Bogusz Kazimierz – 22, 41, 53, 696, 702,
Bolesław I Chrobry, król Polski – 68, 416, 431,
Bolesław III Krzywousty, książę Polski – 416,
Boliński Gustaw – 88,
Bomert Adam – 343-344, 348, 352-355,
Bomert Henryk – 159, 168, 201, 343, 345, 355,
Bondareva Olena – 7,
Bonnek Anna – 211-212, 216,
Bonnek Walter – 211-212, 216,
Borejsza Jerzy – 399-401,
Borg Eliza – 32,
Borkowska Aniela – 217-218,
Borkowska Grażyna – 7,
Borkowska Wanda – 217-219,
Borutta Adalbert – 164, 261,
Bór-Komorowski Tadeusz, gen. – 392,
Bracka Mariya – 4, 40,
Brakoniecki Kazimierz – 696,
Bralski Wacław – 464,
Brandenburg-Ansbach Friedrich von – 72, 78,
Braun Ulrich – 102-103, 106, 652,
Brodziński Kazimierz – 595,
Bromberg Ema – 429, 435,
Bromberg Gottlieb – 88,
Bromberg Wilim – 321,

Bronfman Edgar E. – 336,
Bruno z Querfurtu (Bonifacius), św., bp – 68,
Brückner Friedrich – 639,
Brzechczyn Krzysztof – 699,
Bucholska Elfrieda (Elwira) – 490,
Bucholski Günter – 489-490,
Bujnicki Tadeusz – 7,
Bukowski Bronisław – 369, 373, 375, 379,
Burchard Gustaw, pastor – 443, 468, 526, 530-531, 533, 560, 693,
Burczyk Gertruda – 183,
Bursche Juliusz, bp – 128, 130, 133, 150-151, 268, 383, 419, 446, 536-538, 544, 695,
Burska Kazimiera z domu Jasińska – 436,
Burski Fryderyk (Jerzy) – 164, 261, 266, 351, 360-363, 364, 366, 369, 379, 381, 394-399, 401-404, 412, 417-418, 421-424, 428, 434, 436, 439, 447-448, 559, 593, 602-603, 609, 614, 617,
Burski Wilhelm – 266, 360-361, 363-364, 366, 369, 379, 436, 448, 602,
Büchler Adolf – 320,

C
Carlo Andrea de – 7,
Celestyn IV, papież – 28, 71,
Chęckiewicz Jan, pastor – 443, 468,
Chłosta Jan – 696,
Chmielewski Juliusz – 278,
Chmielewski Konstanty – 105-107, 120, 180,
Chojnacki Zbigniew S., pastor – 47, 670, 689,
Chojnowski Zbigniew – 4, 16, 18-19, 41, 696, 704,
Chomicz Anna – 212,
Chopin Fryderyk – 470, 570, 586,
Choriew Wiktor – 33,
Churchill Winston Leonard Spencer, premier Wielkiej Brytanii – 27, 377, 392-393, 615,
Chwin Stefan – 27,
Cierniak Urszula – 7,
Cieśla Kazimierz – 589,
Cieślik Hedwig – 499-500,
Cieślik Helena – 499-500,
Ciszko Karol – 261,
Citko Lilia – 4,
Citkowska-Kimla Anna – 24,
Cody William F. (pseud. „Buffalo Bill") – 621-622,
Cooper James Fenimore – 25,
Cranach Lucas Starszy – 79, 477,
Curzon George – 289, 393,
Cybulla Otto, pastor – 164, 266, 338, 411, 443, 500, 532-533, 535, 547-550, 560,
Czajkowska Agnieszka – 4,
Czajkowski Krzysztof – 4,
Czartoryski Adam, książę – 595,
Czechowski Jan – 389,
Czekajło Edward – 421-422, 424-425, 427-430,
Czerwiński Grzegorz – 4,
Cziczerin Gieorgij Wasyljewicz – 614,
Czwella Horst – 275,
Czwela-Mallek Wilhelm – 89,
Czwela-Żywiec Michał – 89,
Czwikła Gerhard – 534, 564,

D
Dalkowski Erich – 164, 227, 261, 264,
Dambrowski Samuel, pastor – 31,
Daszyński Ignacy – 117,
Dejewski Stanisław – 413,
Dewischeit Johannes – 633-634,
Diesing Anni – 185,
Długokińska Hermina – 164, 280,
Dmowski Roman – 117,
Domagała Bożena – 613,
Donder Edyta – 501,
Donder Günter – 484, 501-502, 695,
Döpner Martin – 372,
Drasba Alfred – 499-500,
Drobner Bolesław – 389,
Drosdek Franciszek, pastor – 443,
Drozdowska-Broering Izabela – 24,
Dunant Henri – 308,
Dybowski Stefan – 470, 488, 569, 690,
Dywanas – 71,
Dziedzic Joanna – 4,
Dziubek Wacław – 216,

E
Elżbieta, św. – 161,
Erenburg Ilja Grigorjewicz – 455,
Evert Władysław Ludwik – 538,
Ezzo Ehrenfried – 416,

F
Falkowski Adolf – 101, 301-302, 304, 318, 322, 352,
Feliksiak Elżbieta – 40,
Feller Gertruda – 501,
Fibich Paweł, pastor – 443, 560,
Figaszewski Alfred – 466-467,
Firmian Leopold Anton-Freiherr von, bp – 97,
Fita Stanisław – 25,
Florczak Marek – 371,

Florczak Tomasz – 371,
Franciszek z Asyżu, św. – 204,
Frankowski R. – 656,
Friszke Edmund, pastor – 442,
Fröhlich Edyta, diakonisa – 443, 466,
Fröhlich Gerard, pastor – 443, 468, 560,
Fryderyk II Wielki, król Prus – 388, 647, 657,
Fryderyk III, król Prus – 72,
Fryderyk Wilhelm I Pruski, król Prus – 97-98,
Fryderyk Wilhelm IV Pruski, król Prus – 657,
Frymus-Dąbrowska Ewa – 4,

G
Gajda Stanisław – 33,
Garber Paul Neff, bp – 555, 557, 693,
Gawłowski Stanisław – 163,
Gayl Freiherr von – 128, 133, 135, 143-144,
Genscher Hans-Dietrich – 646,
Gerent Emil – 160,
Gerent Rudolf – 160, 234,
Gerlach Heinrich – 63, 74-75, 388,
Giecewicz Janusz – 539,
Gierek Edward – 122,
Girej Mehmed, chan tatarski – 145,
Gloeh Feliks, pastor – 603-604,
Gloger Zygmunt – 16,
Gnida (Błoniecka) Stefania – 189-197,
Goebbels Joseph – 267, 491,
Gołębiowski Bronisław – 21, 695,
Gomułka Władysław – 13, 48, 122, 392, 523-525, 527, 538-540, 582,
Gosiewski Wincenty Korwin – 25, 145, 626,
Górka Olgierd – 145,
Graham Billy – 98,
Grenz Friedrich – 97,
Grommelt Rudolf – 647
Grubecki Jan Michał – 389,
Grusdat Maria – 579,
Grusdat Marta – 579,
Grygier Tadeusz – 695,
Grzegorz I, papież – 69,
Grzegorz V, papież – 69,
Grzegorz VII, papież – 69,
Grzegorz IX, papież – 28, 71,
Grzegorz X, papież – 28, 71,
Grzegorz XV, papież – 121, 123, 244,
Grzywacz Irena – 329,

H
Hadrian I, papież – 69, 91,
Haller Józef – 270, 273,
Hadrian V, papież – 28, 72,
Haneman Jan Stefan – 389,
Harnack Adolf – 46,
Hartknoch Krzysztof – 25,
Haupt Ludwik – 317,
Haute Eberhard – 33,
Hegemann Emil, pastor – 133-134,
Henryk III Salicki, król Niemiec – 416,
Henryk IV Wielki, król Francji i Nawarry – 96,
Herkus Monte – 71,
Herman, Abp Kolonii – 416,
Herman Radosław – 696,
Hermannthal P. H. – 639,
Heyn Amalia-Otylia – 146, 152,
Heyn Oskar – 88, 122, 320, 322-324, 405, 413,
Hindenburg Paul von – 105, 306, 600,
Hitler Adolf – 16, 18-19, 21-22, 25, 30, 33, 38-39, 49, 53, 66, 72, 74, 101, 163, 211, 236, 238, 244, 246-247, 261, 264-265, 267-268, 272, 278, 289, 293, 300-302, 306-307, 312, 314-315, 317-324, 326, 328-331, 334-338, 340-341, 345-346, 348, 351-352, 357-358, 360, 362, 369-370, 373-374, 376-377, 382, 384, 388-389, 395, 405, 411-413, 431-432, 448, 461, 469, 474, 488, 491, 494, 519, 538, 592, 604, 607, 609, 611, 614, 622, 636, 655, 701,
Hoff, parlamentarzystka UE – 657-658
Honecker Erich – 34, 335-336, 645,
Honoriusz III, papież – 28, 70-71,
Horwath Stanisław – 261, 266, 279,
Hozjusz Stanisław, bp – 151, 538,
Hukisz Henryk, pastor – 443,
Hupka Herbert – 647
Hus Jan, ks. – 95,

I
Innocenty III, papież – 28, 68-69, 71,
Innocenty IV, papież – 28, 71,
Innocenty V, papież – 28, 71-72,
Iwanow Jurij – 647
Izajasz, prorok – 321,

J
Jackiewicz Mieczysław – 7, 696,
Jaegertal Jan – 614,
Jagiełłko-Jaegeral Jan – 131, 242-243, 262, 265, 272, 300,
Jagucki Alfred, pastor – 558-560, 608, 695,
Jakiel Edward – 19,
Jakub, św. – 93,
Jakubowski August Antoni – 25,
Jamny Michał, pastor – 466-467, 535, 693,
Jan II Kazimierz Waza, król Polski – 145, 409-410,

Jan XXI, papież – 28, 72,
Jan Chrzciciel, św. – 400,
Jan Ewangelista, św. – 79, 93, 99-101, 205, 322, 480, 483-485, 521, 531,
Janicka Anna – 4, 33, 40,
Janowska Lena – 482-483,
Jan Paweł II (Karol Wojtyła), papież – 95, 123, 163, 372, 408,
Janusz Stanisław – 389,
Jaruzelski Wojciech, prezydent RP – 122, 245,
Jarzyna Anita – 36,
Jasińska Kazimiera – 362, 369,
Jasiński Grzegorz – 25, 31, 34, 695, 697,
Jasiński Janusz – 696,
Jasiński Tadeusz – 362,
Jaskóła Piotr – 699,
Jaworski Marcin – 36,
Jebram Emil – 114, 277, 405, 413,
Jebram Samuel – 88, 122, 413,
Jelonek Gerda – 484, 531,
Jerszow Wołodymyr – 7,
Jesakow Leonid, pastor – 467, 508, 526,
Jezus Chrystus – 18-20, 22, 25-26, 28-31, 33-38, 43-48, 50-51, 59, 67-82, 85-87, 91, 93-101, 107-108, 121-124, 128, 130, 133, 145-147, 149-158, 160, 163-164, 167-168, 175-176, 180, 182-184, 192, 197-200, 202-203, 205, 210, 214, 224, 228-230, 235, 238-239, 241-247, 250, 252-253, 255-257, 260-261, 263-265, 267-268, 275-277, 281, 287, 294, 301, 309, 311-312, 314-315, 321-323, 325, 329, 332-333, 339, 347, 349, 352, 356, 359, 365-367, 369, 372-373, 375, 382-383, 385-387, 401, 404, 407-411, 413-414, 416-420, 424, 429, 432, 435-447, 454-455, 460-487, 489, 491-495, 499-501, 505-544, 549, 551-552, 554-563, 568-572, 576-578, 582-583, 587, 590-591, 595, 600-604, 608-611, 613-614, 616-617, 631, 636, 652-655, 658-659, 665-666, 671-672, 690, 693, 695-696, 699, 701-704,
Jędrychowski Stefan – 389,
Jochemczyk Mariusz – 33, 696,
Józef z Nazaretu, św. – 484-485,
Jóźków Jan – 242,
Jungingen Ulrich von, wielki mistrz Zakonu Krzyżackiego – 72, 600,

K

Kacperowska Greta – 330, 334, 337,
Kacperowska (Janus) Henrietta – 330-331, 334-335, 340,
Kacperowski Ernest – 330,
Kadłubek Wincenty – 67,
Kajka Adolf – 529-532,
Kajka Katarzyna – 531-532,
Kajka Michał – 16, 131, 482, 529, 532, 575, 578, 696,
Kalinowski Jan, pastor – 526, 542-543,
Kalwin Jan – 569,
Kałążny Jerzy – 24,
Kamiński Zbigniew, pastor – 41, 46, 693,
Kant Arno – 15, 614,
Kantorrek Gottlieb – 89, 121, 130,
Karczewski Zygmunt, pastor – 22, 41, 45, 49, 52-53, 443, 468, 495, 511, 513, 531-532, 534, 695,
Kargopolow S. – 647,
Karol IX Walezjusz, król Francji – 96,
Kasabuła Tadeusz, ks. – 4,
Kasperek Danuta – 31,
Katarzyna, św. – 248,
Kauffman Ruth Eleonora – 75,
Kawiecki Gustaw – 206-209, 211-213, 218,
Kazimierz I Karol Odnowiciel, książę Polski – 416,
Kazimierz IV Jagiellończyk, król Polski – 78,
Kaźmierczak Elżbieta – 15,
Kaźmierczyk Zbigniew – 7,
Kąkol Kazimierz – 230, 277,
Kętrzyński Wojciech – 16, 653,
Kieżuń Anna – 7,
Kisielewski Tadeusz – 695,
Kita-Huber Jadwiga – 19,
Kleeberg Franciszek – 289-292, 592,
Kleffel Arno – 639,
Klemens IV, papież – 28, 71,
Kleßmann Christoph – 24,
Klimowicz Robert – 695,
Klingemann Ernst August Friedrich – 699,
Kluczyński Andrzej P. – 4,
Kłańska Maria – 19,
Kneifel Edward, pastor – 533, 537,
Kobiałka Bogumił – 442, 482, 495, 524,
Koch Erich – 338,
Kochanowski Jan – 31,
Kohl Helmut, kanclerz RFN – 35, 336, 646,
Kohls Ruth – 187,
Konończuk Elżbieta – 33,
Konrad I Mazowiecki, książę mazowiecki i krakowski – 25-26, 69-74, 78, 268, 623, 631, 634,
Konstantyn I Wielki, cesarz rzymsko-bizantyjski – 93-94,
Konwicki Tadeusz – 40,
Kopania Kamil – 4,

Kopczyński Tomasz – 4,
Kopeć Zbigniew – 36,
Kopernik Mikołaj, bp – 21, 244, 600,
Kopiczko Andrzej, ks. – 38,
Kordalski Jan – 189,
Kordecki Klemens Augustyn, OSPPE – 145,
Korejwo Mariusz Tomasz – 38,
Kornalewska Janka – 375, 395, 430-431, 436, 456, 459, 462, 500,
Korobczenko Halina – 484, 488, 504, 517, 534,
Korotkich Krzysztof – 4,
Kossak Łucja – 329,
Kossert Andreas – 15, 696,
Kossmann Elza – 185,
Kościński Ernest – 164, 227, 261, 266, 279,
Kościuszko Tadeusz – 373, 392, 394, 471, 578,
Kośmiderski Michał, pastor – 439,
Kotek-Agroszewski Stanisław – 389, 395, 402-403, 593,
Kowalski Grzegorz – 4, 33, 40,
Kozłowska Marysia – 345-346, 349, 354,
Kozłowski Edmund – 652, 654, 656,
Kożusznik Robert – 147, 159, 165-167, 170, 275,
Kraemer Doris – 696,
Kraft Amalia – 161,
Krasicki Ignacy, bp – 334,
Krokowski Andreas – 88,
Kruk Erwin – 21, 30, 33, 38, 52, 613-614, 695,
Krukowska Halina – 7, 30,
Krupka Stanisław – 397-399,
Krüger Halina – 512, 574,
Krüger Julian – 488, 512,
Krystian (Christian) z Łękna, bp – 68-69,
Krzemieniewski Konstanty – 88, 146,
Kucharzak Jan – 355,
Kuchcik Jan – 171,
Kuciński Paweł – 4,
Kuczma Adam, pastor – 541-542,
Kukat Christoph – 97-99, 480, 483,
Kukiełko Dariusz – 4, 41, 53,
Kunze S., pastor – 443, 468,
Kurzawa Waldemar – 652,
Kus Jan, pastor – 439, 443, 526, 542-543,
Kustodowicz Bazyli, pastor – 443, 468, 501, 521, 523, 534, 558,

L
Labusch Emilia – 131,
Labusch Gottlieb – 131, 133,
Labuś B. – 438,
Langner Julian, pastor – 443, 534, 546,
Leder Wiktor – 15,
Lefebvre Marcel, bp – 95,
Lejk-Rożyński Fryderyk – 695,
Lenhert Franz – 298, 300,
Lenin Włodzimierz – 529-531, 559,
Lenz Siegfried – 32-33, 87-88, 696-697,
Leończuk Jan – 7,
Leszczyński Andrzej, prymas Polski – 145,
Leyding-Mielecki Gustaw – 131, 133, 262, 264-266, 269, 272, 279, 360, 379, 381, 395-396, 417, 438-439, 448, 602, 609, 614, 617,
Leyk Emil – 602, 609, 614,
Leyk Fryderyk – 65-66, 128, 130-131, 133, 360, 379-381, 394-396, 417, 438, 602, 605, 609, 614, 695,
Libuda Gustaw – 442, 482, 495, 524,
Limanowski Bolesław – 617,
Linka Gottlieb – 131,
Lipiński Alojzy – 306-307, 310-312,
Lipscher Winfried – 696,
Lisewska Ilza – 536,
Lisowska Lucy – 4,
Liszkiewicz Antoni, pastor – 443, 534, 558,
Lodwich Ewald, pastor – 146-151, 160, 163, 165-166, 396, 536, 538, 544, 605-606,
Lojevski Erich von – 696,
Longwitz Alfred – 164, 248, 261, 266, 300, 314, 316, 338,
Lott August – 171,
Löw Ryszard – 7,
Lubiejewska Zofia – 168,
Ludendorf Erich – 105,
Luter Marcin – 78-80, 94-96, 214, 245, 321, 383, 418, 439, 444, 464, 477, 480-481, 529, 532-533, 559-560, 609,

Ł
Łaski Jan – 46,
Ławski Jarosław – 4-5, 9, **(15-41)**, 30, 33, 40, **(49-54)**, 52, 696-697, 699, 701-704,
Łopatowska Anastazja – patrz: Małłek Jadwiga Gertruda,
Łopatowski Stanisław – patrz: Małłek Edward
Łukasz Ewangelista, św. – 93, 409-410, 417, 562,

M
Mac Jerzy Sławomir – 581,
Madziarz Jan, pastor – 439, 443,
Majewski Józef – 46,

Maliutina Natalia – 7,
Mallek Adolf – 146,
Mallek Agata z domu Marrek – 281,
Mallek Anna z domu Bromberg – 281, 321, 412, 435, 545,
Mallek Anna z domu Jebram – 20, 81,
Mallek Armin – 412,
Mallek August-Samuel – 82, 104, 111, 144, 146, 228, 242-243, 255, 257, 263, 281, 321, 352, 382, 405, 407, 410-412, 435, 545, 604, 607, 642,
Mallek Edyta – 352, 435,
Mallek Edward, syn Emila – 281,
Mallek Edwin – 412,
Mallek Emil-Herman – 82, 104, 144, 146, 243, 255, 257, 281, 314-316, 320-321, 349, 405, 407, 410, 412, 604, 607, 642,
Mallek Friedrich – 20, 81, 640,
Mallek Hedwig-Emilie – 82-83, 104, 168, 222, 243, 255-256, 258-259, 280-281, 295, 302, 314, 319-321, 382, 405-407, 411, 604, 608, 643,
Mallek Helene-Ottilie – 82-83, 619, 639,
Mallek Jan (Johann-Friedrich) – 82, 104, 111, 144, 146, 242-243, 254-257, 259, 280-281, 295, 297-298, 304-305, 314, 317, 320-321, 324, 405, 608, 620, 639, 641,
Mallek Leopold – 281, 299, 351, 360,
Mallek Martha-Augusta (Żbikowska) – 82, 104, 120, 146, 168, 213, 216, 220, 242-243, 255-256, 258, 281, 319, 321, 412, 417-418, 463, 604, 607, 642,
Mallek Robert-Otto – 82, 120, 150, 159, 161, 164, 167, 172, 174, 188-189, 224, 249-250, 255, 257, 266, 279, 281, 295, 297, 300, 304, 314-317, 322, 324, 338, 342, 353, 462, 614, 619, 636, 639, 643, 703,
Mallek Ryszard,– 281, 299, 351, 360, 547,
Mallek Wilhelm-Karl – 82, 103, 117, 119, 146, 151-152, 156, 213, 439, 641,
Mallek Wilhelmina z domu Piecha – 242, 248, 255-256, 266, 281, 297, 299, 320, 347, 351, 357, 360, 375, 380, 417,
Małłek Andrzej (Mallek Andreas) – 4, 22-23, 41, 50, 53, 349, 517, 519, 546, 552, 636, 702, 704,
Małłek Anna – 21, 81,
Małłek Henriette Auguste z Marenskich – 17, 20, 81-82, 85-87, 102-104, 108, 119-120, 148, 157, 168, 242-243, 249, 254-259, 262, 273-274, 279-281, 291, 295-296, 301, 314, 318-324, 382, 405-407, 410-411, 607-608, 619, 639-640, 643,
Małłek Edward Juliusz (Mallek Edward Julius, pseud. Łopatowski Stanisław), pastor – 4, **(5-704)**, 8-9, **(15-41)**, **(43-48)**, 57, 61,
Małłek Jadwiga – 22, 349, 354, 356, 362, 371, 391, 429, 430, 435, 463, 494, 514, 517, 520, 552, 582, 636,
Małłek Jadwiga Gertruda, z domu Wysocka – 167, 227-232, 234, 236-245, 247-257, 259-260, 273, 276-277, 279-281, 295, 297, 299, 302, 304-305, 310, 314, 320, 322-323, 325-326, 328-329, 332, 341-342, 345, 349, 353-356, 358, 362-366, 370-371, 391, 396-397, 417-418, 429-430, 432, 435, 462-463, 469, 482-485, 492, 495, 504, 517, 519, 527, 531, 545-546, 548-549, 552, 555, 561-562, 566, 573, 575-576, 580-587, 589, 621-622, 636, 672,
Małłek Janusz (mgr) – 21-22, 49,
Małłek Janusz (prof. dr) – 52, 78, 281, 299, 617, 696, 701, 703,
Małłek Jerzy – 349, 517, 552, 561, 582, 636, 652,
Małłek Joachim – 547,
Małłek Karol (Mallek Karl-Gustaw) – 15, 21, 24, 26-27, 30, 82, 104, 113-114, 116-117, 119, 146, 148, 152, 164, 167, 174-175, 189, 213, 220-221, 228, 242-244, 248-249, 255-257, 261-262, 266, 278-279, 281, 297-301, 303, 317, 320, 345-347, 351, 357, 360, 369-372, 374-375, 378-383, 385, 387, 394-395, 397-406, 411-414, 417, 422-423, 483, 507, 532, 545, 547, 580, 582, 592-593, 602, 604-606, 608-610, 613, 615, 617, 620-625, 629-632, 639, 641, 701-704,
Małłek Karol Michał – 273-274, 619, 639,
Małłek Leopold – 266,
Małłek Magdalena – 547,
Małłek Robert (Mallek Robert) – 21-23, 33, 41, 52-53, 104, 146, 237, 249-250, 253-254, 275-277, 279-281, 295, 297, 299, 301, 314, 320, 322-323, 325, 343-344, 349, 353-354, 362, 371, 391, 429, 435, 463, 469, 493-494, 517, 546, 552, 574, 636, 704,
Małłek Ryszard (Mallek Richard) – 266, 349, 547,
Małłek Wilhelm (Mallek Wilhelm) – 17, 20, 81-82, 85-87, 104, 119, 121-122, 130, 146, 148-151, 157, 167-168, 188, 228, 243, 254-259, 262, 279, 317, 608, 618-620, 639, 640, 643,
Mann Tomasz – 40,
Mannheim Karl – 28,
Marcin, św. – 84,

Marcin IV, papież – 28, 72,
Marcinkiewicz Stefan Michał – 17, 46, 696,
Marenski Jan – 21, 81-82, 88, 144,
Marenski Maria z Jorkowskich – 21, 81,
Marenski Wilhelm – 21, 81, 640,
Maria Magdalena z Magdali, św. – 205,
Maria z Nazaretu, matka Jezusa Chrystusa – 26, 50, 69, 91, 122, 124, 145, 153-154, 184, 199, 246, 294, 312, 334, 372, 378, 408-411, 414, 432, 485, 609-611, 631,
Marrek Wilhelm – 412,
Marsch Renate – 409,
Marszewska Gottlieba – 213,
Marszewski Jan – 213,
Maślanka Julian – 25,
Matern Gerhard – 372,
Materna Hermann – 388,
Mateusz Ewangelista, św. – 91, 93, 124, 246, 257, 287, 480, 485-486, 536, 552,
Mazgal Ewa – 39,
Melanchton Filip – 477,
Michalak Ryszard – 695,
Michelis Piotr – 537,
Michelis Zygmunt, pastor – 13, 445, 532-534, 536-538, 544,
Miciński Tadeusz – 699,
Mickiewicz Adam – 16, 25-27, 31, 65, 595, 699,
Mierzwa Waldemar – 37, 696,
Mieszko I, książę Polski – 416,
Mieszko II Lambert, król Polski – 416-417,
Mieszko III Stary, książę zwierzchni Polski – 416,
Mikiciuk Elżbieta – 7,
Mikołaj III, papież – 28, 72,
Mikołajczak Małgorzata – 7,
Mikołajczyk Stanisław – 392,
Milewski Kazimierz, pastor – 349, 456, 462, 500, 548,
Miłosz Czesław – 699,
Miśków Julian, pastor – 443, 468, 495, 508, 534,
Miziński Jan – 28,
Moczar Mieczysław – 610,
Mogiłowska Emma – 227, 326-327,
Mojżesz, prorok – 123, 408, 468, 472, 542,
Moltke Hans Adolf von – 246-247,
Mołotow Wiaczesław Michajłowicz – 36, 648,
Monselewski Ludwik – 442, 482-483, 495, 500, 522, 524,
Montwiłł Teodor – 261, 269,
Moritz Edmund – 172,
Moritz Waldemar – 512,
Mossakowski Janusz – 19,
Mościcki Ignacy, prezydent RP – 222, 235,
Mottel Inga – 484, 501, 517,
Mroczek Gottlieb – 348, 506,
Mroczek (Mrotzek) Maria – 505-506,
Mroczyński Eugeniusz, pastor – 443,
Mrongowiusz Krzysztof Celestyn, pastor – 595,
Mrowiec Rudolf – 466-467,
Murinius Marcin – 25,
Musijenko Swietłana – 7, 40,
Mussolini Benito – 163,
Müller Hermann – 616,
Müller Zygmunt – 168, 379,

N

Najder Konstanty, pastor – 44, 46, 48, 419-420, 438-439, 463, 466-470, 472, 496, 499, 523-528, 541, 569, 583, 690,
Napierski Oskar, pastor – 164, 266, 275, 300, 314, 316, 338, 443, 532-533, 535, 541-545, 549, 560, 574,
Napierski Wilhelm – 89, 122,
Narutowicz Gabriel, prezydent RP – 122, 167, 386,
Naumiuk Józef, pastor – 349, 468, 526, 530-531, 535, 541, 555, 557,
Naumow Aleksander – 7,
Newerly Igor – 634,
Niedanowski Jan – 270,
Nikitorowicz Jerzy – 7,
Nosilia Viviana – 7,
Nowak Gerd – 484, 501-502, 504,
Nowak Jeanine – 39,
Nowak Zbigniew – 25,
Nowakowska Helena – 469, 495,
Nowakowska Maryla – 469,

O

Obitz Kurt – 33, 262, 269-270, 360, 399, 617, 636, 696,
Okulicz-Kozaryn Łucja – 28,
Olech Barbara – 4,
Olszewski Adalbert – 164, 279, 280,
Olszewski Michał – 30, 696,
Olszewski Wojciech – 33,
Oracki Tadeusz – 696,
Orłowicz Mieczysław – 696,
Orłowski Hubert – 29-30, 696,
Orzeszkowa Eliza – 476, 488,
Osękowski Czesław – 695,
Osóbka-Morawski Edward – 389, 392,

Ossowski Mirosław – 33,
Ostrowski Adam – 403,
Ostrowski Janusz, pastor – 544-545, 593, 693,
Ostrowski Mieczysław, pastor – 693,
Otello Ryszard – 695,
Otton II, król Niemiec – 416,
Otton III, król Niemiec – 416,
Overholt John – 500,
Ożana Paweł – 159, 165, 232, 241,

P
Paderewski Ignacy Jan – 117,
Papla Eulalia – 7,
Partyka Jacek – 4, 702,
Pasek Zbigniew – 695,
Patalon Mirosław – 699,
Paulus Friedrich – 368,
Paweł VI, papież – 95,
Paweł z Tarsu, św. – 79, 198, 465, 536,
Pawłowski Stanisław – 163,
Pedretti Erica – 40,
Piecha Bronisława – 360,
Piecha Eugeniusz – 171, 232, 266, 279, 360, 369, 371, 379-381, 383, 394-395, 401, 403, 405, 411-412, 417, 593, 602, 605-606, 610, 612,
Piecha Wiesław – 266, 279, 360,
Piecha Wilhelmina Aleksandra – 167,
Piekarowicz E. – 170,
Piekarski Aleksander, pastor – 439, 443, 693,
Pilecki Janusz – 696,
Piłsudski Józef, marszałek Polski – 121, 145, 167, 222, 235-236, 238, 246-247, 261, 264, 268, 273, 312, 447, 629-630,
Piotr Apostoł, św. – 69-70, 91, 93, 95, 100-101, 412,
Piotrowiak Miłosz – 696,
Pirożyński Zenon, pastor – 443,
Pius XI, papież – 10, 122, 163, 167, 244-245, 264, 334,
Piwowarska Danuta – 7,
Płotek Marcin – 38,
Podehl Hans Georg – 73,
Podufał – 442,
Poliszczuk Jarosław – 7,
Popiełuszko Jerzy, ks. – 528,
Popow Gieorgij Michajłowicz – 593,
Porada Rajmund – 699,
Powidaj Ludwik – 25,
Późny Elżbieta – 360,
Późny Fryderyk – 164, 360, 379, 381, 395-396, 417-418, 602, 617,
Późny Walter – 52, 164, 360, 379, 394, 417-418, 421-422, 424, 448, 602-603, 609, 614, 617,
Prawin Jakub – 418, 421-422, 433, 438,
Pronobis Alojzy – 174-178, 186-187, 224,
Prostka Krystyna – 484, 501, 573,
Próchnicki Włodzimierz – 30,
Przybyłowska Maria – 32,
Przymuszała Lidia – 31,
Pułaski Kazimierz – 168,
Puślecki Edward, bp – 46,

R
Radkiewicz Stanisław – 389,
Radyszewski Rościsław – 7,
Radzanowska Hilda – 266, 275,
Radziwiłł Michał, książę – 223,
Rajzig Willi – 106,
Rangenau Otto – 342,
Raszkiewicz Brunon, pastor – 439-441, 443, 468, 526, 542, 555-556,
Ravasi Gianfranco, kardynał – 19,
Redzel Jan, pastor – 443,
Rej Mikołaj z Nagłowic – 31, 88, 603,
Ritz German – 7,
Rjabinin Wiktor – 648,
Rogall Joachim – 544,
Rola-Żymierski Michał – 389, 392,
Roosevelt Franklin Delano, prezydent USA – 27, 377, 392-393, 454, 615,
Rosenow Else – 185,
Rosenzweig Franz – 699,
Rössler Wily – 429, 435,
Rubinstein Artur – 204,
Rumiński Rafał, pastor – 443, 536,
Rusek Iwona E. – 4,
Rutkowski Krzysztof – 7,
Rycheza Lotaryńska, królowa Polski – 415-417,
Rydz-Śmigły Edward, marszałek Polski – 239, 267-268, 272, 278,
Rzadki Friedrich, pastor – 423, 437, 603,
Rzymowski Wincenty – 389,

S
Sadren Lucyna – 371, 396,
Saganiak Magdalena – 40,
Sakson Andrzej – 15, 38, 616-617, 696,
Salza Hermann von, wielki mistrz zakonu krzyżackiego – 9, **(76-77)**, 78,
Samsonow Wasiliewicz Aleksander – 105,
Samulowicz Gerhard, pastor – 443, 468,
Sapieha Adam Stefan, kardynał – 235,

Schau Adolf – 89, 121-122,
Schau Gertruda – 323,
Scheidemann Philipp – 117,
Schimanski Adolf – 114,
Schimanski (Szymański) Gustaw – 106-107, 122,
Schimanski Karl – 89,
Schiwek Martha – 476,
Schmalz Jadwiga – 343,
Schmidt Henryk – 360-364, 366, 369,
Schmidt Otylia – 266,
Schulz August – 299, 411,
Schulz Gottfried – 34,
Sczech Jan, pastor – 44, 63, 164, 360, 379-381, 394, 417-420, 422-424, 436-441, 443-448, 528-529, 560, 602-603, 614,
Sczech Karol – 528-531,
Sellmer Isabella – 30,
Sellmer Sven – 30,
Sembrzycki Jan Karol – 31,
Sendzicki Horst – 266,
Seutter Gerda – 75,
Seydlitz-Kurzbach Walther von – 368,
Siedlecki Michał – 4,
Sienkiewicz Henryk – 70, 93, 145,
Sierpówna Alma – 159,
Siewierski Edward – 52,
Sigg Ferdinand, bp – 545,
Sikora Jan – 147, 165-166, 170-171,
Sikora Paweł – 147,
Skibowski Klaus – 697,
Skok Gerhard – 613-614,
Skomand – 71,
Skowronek Alfred – 501-502,
Skowronek Edeltraut – 501,
Skowronek Fritz – 697,
Skóra Zlatka – 199,
Skurpski Hieronim (Schmidt Hermann) – 164, 351, 361-364, 366, 369, 379, 381, 395-397, 399, 401, 417, 438, 447-448, 617, 695,
Skrzeszewski Stanisław – 389,
Sławoj-Składkowski Felicjan – 167,
Słotwiński Stanisław, pastor – 535, 693,
Słowacki Juliusz – 245, 473-475, 507, 551, 586, 699,
Sobieraj Sławomir – 31, 33,
Sobolewski Zenon – 562,
Soboll (Sobolewska) Luisa – 482-484, 534, 573,
Sokołowski Heinz (Henryk) – 484, 501-502, 504, 517,
Sommer Wilhelm z Janowa – 101, 156, 183,
Sommerstein Emil – 389,
Soschinski Samuel – 89,
Sowa Paweł – 270,
Sowiński Józef – 175, 192, 209-210, 213, 215-216, 220, 222, 224, 334,
Stalin Józef – 27-28, 33, 51, 74, 97, 117, 131, 145, 289, 348, 376-378, 388, 390-393, 403, 425, 431, 448-453, 455, 473, 539, 593, 602, 615-616,
Stankiewicz Hildegarda – 487-488,
Stankiewicz Marta – 487,
Starowieyski Marek, ks. – 19,
Stawecki Piotr – 16,
Stebłowski Adam – 301, 325,
Stefan III, papież – 91,
Stevenson Robert Louis – 32,
Stinka Ewald – 490, 499-500,
Stinka Reinhold – 490, 499,
Strehlau Ursel – 211, 216,
Sucharski Tadeusz – 7,
Sukert-Biedrawina Emilia – 128, 265-266, 435,
Supa Wanda – 7,
Surminski Arno – 33, 39,
Surynt Izabela – 27,
Sylla (Żyła) Helmut – 484, 501-502,
Sylwester II, papież – 69,
Syskowski Hartmut M. F. – 656
Szacki Jerzy – 28,
Szalonek Michał – 16,
Szczepkowski Józef, pastor – 526, 535, 540-543, 548, 552, 554, 556, 558,
Szekspir William – 302,
Szeruda Jan, bp – 44, 419, 437-439, 443-446, 466, 468, 544, 558, 560,
Szlachcic Franciszek – 581,
Szramek Emil, ks. – 33,
Szymańska Liesbeth – 413,
Szymańska-Jasińska Małgorzata – 25, 697,
Szymański Adolf – 37, 227, 261, 265, 400, 602, 605, 655,

Ś

Śliwowski Mariusz – 4,
Świerczewski Karol, gen. – 397,
Świętopełk II Wielki, książę Pomorza Gdańskiego – 71,

T

Tałuć Katarzyna – 33,
Teresa, św. – 229,
Terey Aleksander – 172,
Tetzel Johann, OP – 94,
Thews Walter – 315-317,

Thiede Arthur – 330, 363,
Tischner Józef, ks. – 699,
Toeppen Max – 25, 697,
Toporow Władimir Nikołajewicz – 76,
Traba Robert – 697,
Trenkler Ryszard, pastor – 533, 537,
Trojanowicz Longin, pastor – 500, 534, 558,
Truman Harry S., prezydent USA – 449-453, 615,
Turkiewicz Halina – 7,

U
Uloński Manfred Martin, pastor – 587, 589,
Ułanowski Edmund – 266, 314, 462,
Ułanowski Franciszek – 462,
Ułanowski Kazimierz – 266,
Urban II, papież – 69, 124,
Urban IV, papież – 28, 71,
Urban Kazimierz – 47, 696,
Usarek Robert – 362,
Usarek Wiesław – 362-363,

V
Verheugen Günter – 575,
Vogt Johannes – 25,

W
Walerowicz Jan – 88,
Wallach Johannes (Jan), pastor – 273,
Walczuk Czesław – 561-562,
Wallesch Amalia – 266, 272, 347, 350-351, 360, 379, 395,
Wałęsa Lech, prezydent RP – 245, 410, 645,
Wantuła Andrzej, bp – 560,
Wańkowicz Melchior – 65-66, 618, 697,
Waschek Hans – 47,
Wasilewska Wanda – 389,
Waszk Jan, pastor – 468, 484, 513, 531-532, 534,
Waśniewska Hilda – 266, 275-276,
Weber Reinhold – 697,
Wechsler Lucy – 182-184, 333,
Weitz Greta – 250,
Wesley John, ks. – 480-481, 696,
Wiebold z Chełmna, bp – 416,
Wiechert Ernst – 33,
Wilamowska Bożena – 52, 652, 654,
Wilamowski Bogdan (Kurt) – 164, 360, 379, 381, 405, 417, 438, 602, 609-610, 614, 654,
Wilhelm II Hohenzollern, cesarz Niemiec – 117, 119, 121,
Will Abel, pastor – 80,
Willan Tadeusz – 52, 696,
Wilson Woodrow, prezydent USA – 117,
Winniczek Wincenty, pastor – 521, 527,
Winnig August – 616,
Wischniewski Adam – 88,
Wischniewski Jan – 89,
Wiśniewski Stanisław – 169, 171,
Witos Andrzej – 389,
Witos Wincenty – 268,
Władysław II Jagiełło, król Polski – 72, 268, 447-448, 594, 600,
Władysław z Opola, książę kaliski – 409-410,
Wojciech Sławnikowic, bp, św., OSB – 67-68, 268,
Wojciuk Stanley – 621,
Wojtaszek E. – 170,
Woldan Alois – 7,
Worgitzki Max – 128, 130, 133, 135-136, 387, 432, 617,
Wróbel-Best Jolanta – 7,
Wrzesiński Wojciech – 16, 263, 270, 385, 400, 616, 632,
Wujek Jakub, SJ – 123,
Wysocka Helena – 588,
Wysocki Albin – 322, 500, 621,
Wysocki Jan – 322,
Wysocki Bernard – 227, 237, 322, 329, 362-363, 375, 391, 396-397, 527, 582-583, 588,
Wysocki Franciszek – 227, 230, 234, 236-238, 241, 322,
Wysocki Mieczysław – 322, 462,
Wysocki Stefan – 237, 322,
Wysocki Wiktor – 248,
Wysocki Władysław – 322, 545, 555,
Wyszyński Stefan, prymas Polski – 415-416, 528,

Z
Zabielski Łukasz – 4, 33, 40-41, 53,
Zabierowski Stefan – 40,
Zagożdżon Witold – 37,
Zakrzewski Michał – 88,
Zakrzewski Wilhelm – 89, 121, 261,
Zalewski Henryk, pastor – 443, 468, 560,
Zaprucki Józef – 33,
Zarychta Paweł – 19,
Zawadzki B. – 632,
Zayas Alfred M. – 455,
Zieliński Tadeusz J. – 696,
Zuber Dariusz, pastor – 4-5, 9, 17, 22, 38, 41, **(43-48)**, 48, 53, 696, 699, 701-704,
Zuber Monika – 699,
Zybura Marek – 27,

Zygmunt I Stary, król Polski – 37, 72, 78, 655,

Ż
Żbikowska Hanna – 281, 319,
Żbikowska Helga – 281, 319, 517,
Żbikowska Marta – 349,
Żbikowski Fryderyk (Fritz) – 213, 216, 242-243, 281, 319, 321, 405, 412,
Żołnowska Irena – 206, 210, 224-226,, 333-334,
Żuk Ihar Wasiliewicz – 7,
Żytyniec Rafał – 4, 30, 33, 696-697, 704
Żywiec Anna – 150, 159, 164, 266,
Żywiec Fritz – 164, 227, 231, 299, 326-328,
Żywiec Georg – 164,
Żywiec Gertruda (Brodowo) – 266,
Żywiec Gertruda (Pierławka) – 266,
Żywiec Fryderyk – 655,
Żywiec Jerzy – 613, 655,
Żywiec Michał – 121, 150-151, 227, 243, 272, 295, 406, 411, 413, 604, 613

colloquia
orientalia
bialostocensia

NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA
„COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA”

Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” Uniwersytetu w Białymstoku

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
Stowarzyszenie Naukowe „Oikoumene”

TOMY WYDANE:

1. *Teodor Bujnicki. Ostatni bard Wielkiego Księstwa Litewskiego*, red. Tadeusz Bujnicki, Białystok 2012.

2. *Żydzi wschodniej Polski*, Seria I: *Świadectwa i interpretacje*, red. Barbara Olech i Jarosław Ławski, Białystok 2013.

3. *Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria I: *Prace dedykowane Profesor Swietłanie Musijenko*, idea i wstęp Jarosław Ławski, redakcja naukowa: Anna Janicka, Grzegorz Kowalski i Łukasz Zabielski, Białystok 2013.

4. *Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria II: *Wiktor Choriew in memoriam*, idea i wstęp Jarosław Ławski, redakcja naukowa: Anna Janicka, Grzegorz Kowalski i Łukasz Zabielski, Białystok 2013.

5. Grzegorz Czerwiński, *Sprawozdania z podróży muftiego Jakuba Szynkiewicza. Źródła, omówienie, interpretacja*, red. tomu Jarosław Ławski i Grzegorz Kowalski, Białystok 2013. (Studia Tatarskie, seria 1)

6. *Sybir. Wysiedlenia – Losy – Świadectwa*, red. Jarosław Ławski, Sylwia Trzeciakowska i Łukasz Zabielski, Białystok 2013.

7. *Żydzi wschodniej Polski*, Seria II: *W blasku i w cieniu historii*, red. Barbara Olech, Jarosław Ławski i Grzegorz Kowalski, Białystok 2014.

8. Tadeusz Bujnicki, *Na pograniczach, kresach i poza granicami. Studia*, red. Michał Siedlecki i Łukasz Zabielski, Białystok 2014.

9. Stanisław Kryczyński, *Wspomnienia. Utwory poetyckie. Eseje*, wstęp, wybór i oprac. Grzegorz Czerwiński, Białystok 2014. (Studia Tatarskie, pod red. Grzegorza Czerwińskiego, seria 2)

10. *Podróże do serca islamu. Antologia międzywojennego reportażu polskich Tatarów*, wstęp, wybór i opracowanie Grzegorz Czerwiński, Białystok 2014. (Studia Tatarskie, pod red. Grzegorza Czerwińskiego, seria 3)

11. *Драматургия в ракурсах новейших теоретических исследований / Dramat w nowych ujęciach teoretycznych. Studia slawistyczne*, red. Natalia Malutina i Jarosław Ławski, Białystok–Odessa 2014.

12. *Wielokulturowy świat Siegfrieda Lenza. Studia*, red. Jarosław Ławski i Rafał Żytyniec, Białystok–Ełk 2014.

13. *Żydzi wschodniej Polski*, Seria III: *Kobieta żydowska*, red. Anna Janicka, Jarosław Ławski i Barbara Olech, Białystok 2015.

14. *Estetyczne aspekty literatury polskich, białoruskich i litewskich Tatarów (od XVI do XXI w.) / Aesthetic Aspects of the Literature of Polish, Belarusian and Lithuanian Tatars (XVIth–XXIst century) / Эстетические аспекты литературы польских, белорусских и литовских татар (XVI–XXI вв.)*, edited by Grzegorz Czerwiński and Artur Konopacki, Białystok 2015.

15. Edward Małłek, *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*, opr., wstęp, red. Jarosław Ławski, przedsłowie ks. Dariusz Zuber, Białystok 2016.